


JEJ DROGA ROZPOCZĘŁA SIĘ OD OSTRZA.
PRZEZNACZENIE PRZYNIESIE JEJ KORONĘ



KRÓLESTWO POPIOŁÓW

SARAH J. MAAS



Sarah J. Maas

KRÓLESTWO POPIOŁÓW

przełożył
Marcin Mortka



Tytuł oryginału: *Kingdom of Ash*

Text copyright © Sarah J. Maas 2018

This translation of *Kingdom of Ash* is published by Grupa Wydawnicza Foksal by arrangement with Bloomsbury Publishing Inc. and Macadamia Literary Agency, Warsaw.

All rights reserved.

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Map copyright © Kelly de Groot, 2017

Cover illustration © by Talexi

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXIX

Copyright © for the Polish translation by Marcin Mortka, MMXIX

Wydanie I

Warszawa, MMXIX

Spis treści

Dedykacja

Mapa

Książę

Księżniczka

Część pierwsza. Armie i sojusznicy

1.

2.

3.

4.

5.

6.

7.

8.

9.

10.

11.

12.

13.

14.

15.

16.

17.

18.

19.

20.

21.

22.

23.

24.

25.

26.

27.

28.

29.

30.

31.

32.

33.

34.

35.

36.

37.

38.

39.

40.

41.

42.

43.

44.

45.

46.

47.

48.

49.

50.

51.

52.

53.

54.

55.

56.

57.

58.

59.

60.

61.

62.

63.

64.

65.

66.

67.

Część druga. Bogowie i Bramy

68.

69.

70.

71.

72.

73.

74.

75.

76.

77.

78.

79.

80.

81.

82.

83.

84.

85.

86.

87.

88.

89.

90.

91.

92.

93.

94.

95.

96.

97.

98.

99.

100.

101.

102.

103.

104.

105.

106.

[107.](#)

[108.](#)

[109.](#)

[110.](#)

[111.](#)

[112.](#)

[113.](#)

[114.](#)

[115.](#)

[116.](#)

[117.](#)

[118.](#)

[119.](#)

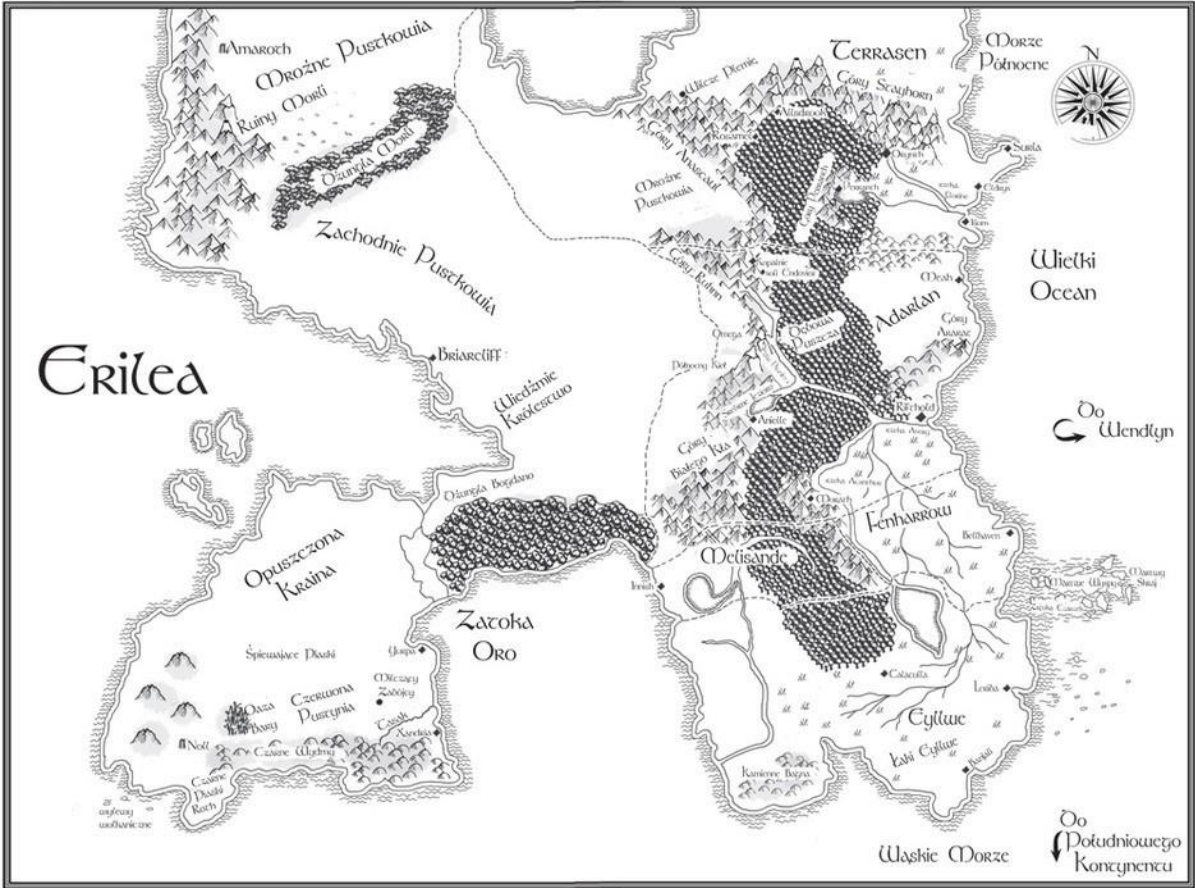
[120.](#)

[121.](#)

[Lepszy świat](#)

[Podziękowania](#)

Moim rodzicom, dzięki którym uwierzyłam, że dziewczyny mogą ocalić świat



Książę

Śledził ją od chwili, kiedy mu ją odebrano. Jemu, jej towarzyszowi życia.

Ledwie pamiętał swe własne imię, a przypominał je sobie tylko dlatego, że jego troje kompanów często je powtarzało, gdy szukali jej po wzburzonych, ciemnych morzach, wśród starożytnych, uśpionych lasów i między smaganymi przez burze górami, już pogrzebanymi pod śniegiem.

Zatrzymywał się tylko po to, by coś zjeść i pozwolić towarzyszom na choć kilka godzin snu. Gdyby nie oni, już dawno wzbiliby się w niebiosa i poleciał daleko.

Potrzebował jednak ich mieczy oraz ich magii. Potrzebował ich sprytu oraz mądrości, by móc zakończyć poszukiwania. By móc stanąć przed mroczną królową, która wyszarpnęła mu kawałek serca i skradła ukochaną, zamkniętą w żelaznej trumnie. Gdy już z nią skończy, weźmie się za samych zimnokrwistych bogów, którzy się zawzięli, by zniszczyć to, co zostanie z jego umiłowanej.

Nie opuścił więc swych towarzyszy. Wraz z nimi szukał przez pierwsze dni, potem tygodnie, wreszcie miesiące.

Nie ustawał. Szukał jej na każdej zakurzonej, zapomnianej drodze.

A czasami przypominał sobie o łączącej ich więzi i mówił przez nią. Słał swą duszę na wietrze tam, gdzie więziono jego ukochaną, a dusza szeptała dwa słowa:

„Znajdę cię”.

Księżniczka

Żelazo ją dusiło. Zgasiło płomienie w jej żyłach, jakby były zaledwie zwykłym ogniem rozpalonym w obozowisku.

Choć zamknięto ją w żelaznej trumnie, twarz zasłonięto maską, a ciało ozdobiono żelaznymi łańcuchami na podobieństwo jedwabnych wstążek, wciąż słyszała śpiew wody, niekończący się ryk potężnych fal, rozbijających się o kamienie. Ich głośny szum wypełniał przerwy między jej wrzaskami.

Wiedziała, że umieszczono ją na gładkiej, kamiennej wysepce skąpanej w mgłach rzeki, wśród bystrzyn i wodospadów. Przechowywano ją niczym towar w kamiennej świątyni, wzniesionej dla jakiegoś zapomnianego boga.

Przeczuwała zresztą, że i ona zostanie zapomniana. Lepiej tak, niż zapisać się w historii jako zupełna przegrana, o ile rzecz jasna będzie jeszcze komu ją pamiętać. Jeśli w ogóle ktoś przeżyje.

Nie zamierzała pozwolić sobie na to, by stać się przegraną.

Uparła się, że nie powie im tego, co chcieli wiedzieć.

Bez względu na to, jak często huk rzeki miał zagłuszać jej wrzaski. Bez względu na to, jak często trzask pękających kości miał przebijać się przez szum spienionej wody.

Próbowała mierzyć upływ czasu, ale nie wiedziała, jak długo była przetrzymywana. Nie wiedziała, ile dni i nocy spała, odurzona słodkim dymem, który wprowadzano do skrzyni w drodze na tę wyspę, do świątyni bólu.

Nie wiedziała, ile trwały przerwy między jej wrzaskami a kolejnym przebudzeniem. Między końcem jednego bólu i początkiem następnego. Dni, miesiące, lata zlewały się ze sobą tak jak strumyki jej krwi, ściekające ze skrzyni na kamienne podłoże, a potem do rzeki.

A miała przeżyć tysiąc lat. Ba, może dłużej.

Kiedyś sądziła, że to dar, ale teraz uznawała to raczej za klątwę, kolejną klątwę, równie ciężką jak ta, która spadła na nią na długo

przed jej urodzeniem. Miała się poświęcić, by naprawić dawną winę. Miała spłacić czyjś dług wobec bogów, którzy odnaleźli ten świat, ugrzęźli w nim, a potem objęli nad nim władzę.

Nie czuła już ciepłej dłoni bogini, która pobłogosławiła jej ciało tak straszliwą mocą, będącą również jej przekleństwem. Zastanawiała się czasem, czy ową boginię światła i płomieni interesowało w ogóle to, że uwięziono ją teraz w tej żelaznej skrzyni, czy może skupiła swą uwagę na kimś innym, jak chociażby na królu, który mógł zaofiarować się w jej miejsce i oddać życie, by ocalić ich świat.

Bogom było wszystko jedno, kto spłaci dług. Wiedziała, że nie przybędą, by ją ocalić, więc nie zwracała sobie głowy modlitwą.

Mimo to nadal opowiadała sobie historię. Nadal czasami wyobrażała sobie, że rzeka śpiewa dla niej. Że ciemność, która mieszkała wraz z nią w zapieczętowanej trumnie, również dla niej śpiewała.

„Dawno, dawno temu w pewnej krainie już dawno zrównanej z ziemią żyła sobie księżniczka, która bardzo kochała swe królestwo...”.

Pograżała się w mroku i morzu płomieni tak głęboko, że gdy znów strzelał bicz i pękały kości, czasami wcale tego nie czuła.

Na ogół czuła jednak wszystko.

Miało to miejsce podczas owych niekończących się godzin, kiedy wbijała wzrok w swego towarzysza. Nie chodziło jej wcale o łowczego królowej, który potrafił wydobyć z niej ból niczym muzyk dobywający melodię z instrumentu, ale o ogromnego białego wilka, skutego niewidzialnymi więzami i zmuszanego, by oglądał jej katusze.

Bywały dni, kiedy nie mogła nawet na niego patrzeć, zwłaszcza wtedy, gdy niewiele jej brakowało do całkowitego załamania się. Wówczas broniła ją przed tym tylko owa opowieść.

„Dawno, dawno temu w pewnej krainie już dawno zrównanej z ziemią żyła sobie księżniczka, która bardzo kochała swe królestwo...”.

Były to słowa, które kiedyś wypowiedziała do pewnego księcia. Kiedyś. Dawno temu. Księciu lodu i wiatru. Księciu, który należał do niej, a ona do niego, na długo, nim ujrzeli więź między swymi

duszami.

To na jego barkach spoczywało teraz zadanie obrony tego ongiś wspaniałego królestwa.

Pamiętała dobrze jego zapach, przesycony wonią śniegu i sosen. Tak samo pachniało jej królestwo, które kochała sercem pełnym dzikiego ognia.

Nawet gdy Mroczna Królowa we własnej osobie uczestniczyła w torturach, zadawanych przez jej łowczego, księżniczka nadal myślała o swym księciu. Wpijała się we wspomnienia o nim, jakby był skałą pośród szalejącej rzeki.

Mroczna Królowa z pajęczym uśmiechem próbowała wykorzystać te wspomnienia przeciwko niej. Oplatała ją obsydianowocznymi sieciami snów i iluzji, w których usiłowała wypaczyć jej wyobrażenia i w ten sposób wdrzeć się do jej umysłu.

A wspomnienia w istocie się zacierały. Różnica między prawdą a fałszem stawała się coraz bardziej płynna. Nie wiedziała, co jest snem, a co mrokiem wypełniającym jej żelazne więzienie. Nie odróżniała dni, w których leżała przykuta do kamiennego ołtarza na środku komnaty, od tych, w których zwisała z haka na suficie czy z łańcuchów na ścianie. Wszystko zlewało się niczym atrament mieszający się z wodą.

Opowiadała więc sobie historię. Szeptem powtarzały ją ciemności oraz płomień skryte głęboko w niej, a ona odpowiadała im śpiewem. Uwięziona w trumnie na kamiennej wyspie w samym sercu rzeki księżniczka raz za razem powtarzała swą opowieść i pozwalała, by ta wyzwoliła ją od niekończącego się cierpienia, które jej zadawano.

„Dawno, dawno temu w pewnej krainie już dawno zrównanej z ziemią żyła sobie księżniczka, która bardzo kochała swe królestwo...”.

Część pierwsza. Armie i sojusznicy

1.

Śnieg spadł wcześniej.

Nawet w Terrasenie rzadko się zdarzało, by pierwszy, późnojesienny śnieg pojawił się tak szybko.

Aedion Ashryver nie był do końca przekonany, czy należy się z tego cieszyć, ale jeśli śnieg miałby zatrzymać legiony Morath choć na chwilę, był gotów paść na kolana i wylewnie podziękować bogom. Nawet jeśli ci sami bogowie zagrażali teraz wszystkiemu, co kochał. Oczywiście, o ile istoty z innego świata można było w ogóle uznać za bogów.

Aedion szybko doszedł do wniosku, że ma ważniejsze sprawy na głowie.

Przez dwa tygodnie, które upłynęły od ponownego przejęcia dowodzenia nad Zgubą, nie widziano ani śladu wojsk Erawana, zarówno lądowych, jak i powietrznych. Gęsty śnieg zaczął padać już trzy dni po jego powrocie, co jeszcze bardziej spowolniło przemarsz jednostek, które schodziły z pokładów okrętów i kierowały się do ogromnego obozowiska Zguby na równinie Theralis.

Statki wpłynęły rzeką Florine i rzuciły kotwice niemalże na progu Orynthu. Rześki wiatr, spływający od gór, unosił najrozmaitsze bandery – kobaltowo-złotą Wendlyn, czarno-karmazynową Ansel z Briarcliff i migotliwie srebrną rodu Białego Ciernia. Milczący Zabójcy, rozproszeni po całej flocie, nie mieli własnej bandery, choć nie potrzeba jej było, by ich rozpoznać. Wystarczyły jasne stroje i kolekcje pięknych, zabójczych broni, którymi się obwieszali.

Flota miała niebawem dołączyć do straży tylnej, pilnującej ujścia Florine, a potem rozpocząć patrolowanie wybrzeży od Ilium po Surię, ale wojsko lądowe, w większości armia księcia Galana Ashryvera, kierowało się na front, teraz przykryty grubą warstwą śniegu. Co więcej, wszystko wskazywało na to, że to jeszcze nie koniec opadów.

Aedion, który krył się nad wąską przełęczą górską w Jelenich Rogach, za ziemiami Allsbrooków, wpatrywał się ponuro w ciężkie chmury.

Miał na sobie jasne futra, dzięki którym bez trudu wtapiał się w biało-szare skały, a złocistą czuprynę zakrył kapturem. W takiej odzieży nie groziło mu zimno. Niestety, wielu żołnierzy Galana nigdy dotąd nawet nie widziało śniegu, gdyż w Wendlyn panował umiarkowany klimat. Fae z rodu Białego Ciernia oraz ich wojownicy mieli podobny problem. Aedion zlecił więc Kyllianowi, swemu najbardziej zaufanemu dowódcy, zadanie zatroszczenia się o wszelkie potrzeby ich sojuszników.

Znaleźli się przecież daleko od domu, a czekała ich walka za królową, której nie znali bądź w którą nawet nie wierzyli, a mróz mógł osłabić morale i rozsiać niezadowolenie o wiele szybciej niż wiatry wyjące między szczytami.

Naraz uwagę Aediona przyciągnął ruch po drugiej stronie przełęczy, zauważalny dlań tylko dlatego, że wiedział, gdzie patrzeć.

Lysandra maskowała się lepiej od niego, ale jej przewaga polegała na tym, że okrywało ją futro zrodzone w tych górach. Oczywiście nie miał zamiaru jej tego mówić. Nawet na nią nie zerknął, gdy wyruszyli wspólnie na tę misję zwiadowczą.

Wyglądało na to, że Aelin miała jakieś tajne sprawy do załatwienia w Eldrys i pozostawiła Galanowi oraz ich nowym sojusznikom krótki list wyjaśniający jej nieobecność, co pozwoliło Lysandrze wziąć udział w ich misji.

Przez ostatnie dwa miesiące nikt nie przejrzał ich podstępów. Nikt się nie zorientował, że Królowa Ognia nie może popisać się najmniejszym nawet płomyczkiem. Nikt też nie zwrócił uwagi na to, że ona oraz zmiennokształtna nigdy nie pojawiają się w tym samym miejscu i czasie. Co więcej, ani Milczący Zabójcy z Czerwonej Pustyni, ani Galan Ashryver czy żołnierze, którzy zostali przysłani przez Ansel z Briarcliff, nie zwrócili uwagi na szczegóły, które się z Aelin zupełnie nie kojarzyły, jak choćby to, że na jej nadgarstku widnieje wypalone znamię, którego Lysandra nie potrafiła ukryć bez względu na to, jakie ciało przybierała.

Jak dotąd zasłaniała je długimi rękawami bądź rękawiczkami, a gdyby ktoś w istocie zauważył fragment poznaczonej bliznami skóry, można to było przedstawić jako ślady po kajdanach.

Lysandra pamiętała natomiast o oddaniu blizn Aelin, dokładnie tam, gdzie się znajdowały, doskonale też naśladowała jej śmiech,

krzywy, złośliwy uśmieszek i zawadiacki chód.

Aedion ledwie mógł na nią patrzeć i z trudem zmuszał się do rozmowy z nią. Robił to tylko dlatego, że musieli kontynuować fortel. Nadal miał udawać jej wiernego kuzyna i nieustraszonego przywódcę prowadzącego armie Terrasenu do zwycięstwa, które wcale nie wydawało się prawdopodobne.

Odgrywał więc swą rolę, nie pierwszą w życiu, ale gdy Lysandra zamieniała złociste włosy na czarne loki i oczy Ashryverów na swe własne, szmaragdowe, przestawał zauważać jej istnienie. Bywało, że terraseński węzeł wytatuowany na jego piersi, w który wpleciono imiona jego królowej i członków niewielkiego jeszcze dworu, palił go żywym ogniem. Zwłaszcza jej imię.

Zabrał Lysandrę na misję, by ułatwić im to zadanie. By zredukować niebezpieczeństwo. Wszak nie tylko on mógł stracić życie, ale także wielu innych ludzi. Bez trudu mógł powierzyć misję jakiejś jednostce należącej do Zguby, ale potrzebował ruszyć się z miejsca i czymś zająć.

Rejs z Eyllwe w towarzystwie nowych sojuszników zabrał ponad miesiąc, gdyż należało po drodze wyminąć flotę Morath niedaleko Rifthold, a droga lądem trwała dodatkowe dwa tygodnie.

Nie doszło jak dotąd do większych starć. Natknęli się zaledwie na kilka band adarlańskich maruderów, wśród których nie było Valgów. Rozprawili się z nimi bez trudu.

Aedion nie sądził, by Erawan zamierzał czekać na wiosnę. Nie wydawało mu się, by trwająca cisza miała jakikolwiek związek z pogodą. Kilka dni temu omawiał sytuację z Darrowem i pozostałymi dowódcami – przekonywał ich, że Erawan najprawdopodobniej czeka na sam środek najcięższej zimy, która znacznie zredukuje mobilność Terrasenu i odbierze siły żołnierzom Aediona, wyczerpanym i zmarzniętym po długich miesiącach w górach. Nawet królewska fortuna, którą Aelin zapewniła im zeszłej wiosny, nie mogła w tym pomóc. Oczywiście można było kupić za nią jedzenie, koce i ciepłe ubrania, ale jak mieli to zrobić w chwili, gdy linie zaopatrzeniowe tonęły w śniegu? Nawet całe złoto Erilei nie mogło powstrzymać nadciągającej powoli stagnacji, wywołanej długimi miesiącami spędzonymi w obozie zimowym, narażonym na ataki bezlitosnych żywiołów.

Darrow i pozostali lordowie nie dali się przekonać, nawet gdy Aediona poparł Ren. Utrzymywali, że Erawan nie jest głupcem. Co prawda dysponował powietrznymi legionami wiedźm, ale nawet piesza armia Valgów nie była w stanie maszerować w śniegu głębokim na trzy metry. Uznali, że Erawan zaczeka na wiosnę.

Aedion nie chciał jednak ryzykować, w czym poparł go Galan. Książę nie zabierał wprawdzie głosu na naradzie, ale odnalazł Aediona i zaoferował mu wsparcie. Musieli dołożyć wszelkich starań, by ich żołnierzom nie dokuczało zimno ani chłód, musieli ich ćwiczyć i przygotować do wymarszu w każdej chwili, a misja zwiadowcza, o ile informacje Rena były prawidłowe, mogła pomóc ich sprawie.

Nieopodal zaskrzypiała naciągana cięciwa, niemalże zagłuszona świstem wiatru. Łęczysko pomalowano na białą, podobnie jak grot strzały wycelowanej teraz z zabójczą precyzją w wejście na przełęcz.

Aedion dostrzegł oczy Rena Allsbrooka, kryjącego się wśród skał z napiętym łukiem. Młody lord miał na sobie podobne szaro-białe futra, a twarz zasłonił jasnym szalem, przez co widać było tylko parę jego ciemnych oczu i kawałek nierównej blizny.

Aedion nakazał mu gestem, by się wstrzymał. Potem przekazał ten sam rozkaz zmiennokształtnej po drugiej stronie przełęczy, ledwie na nią spoglądając.

Niech wrogowie podejną bliżej.

Rozległo się skrzypienie śniegu oraz głośnie sapanie.

W samą porę.

Aedion nałożył strzałę na cięciwę i skrył się za skałami.

Wedle tego, co mówił zwiadowca Rena, który wpadł do namiotu Aediona pięć dni temu, było ich sześciu.

Nie próbowali nawet zlewać się ze śniegiem i skałami. Ich osobliwe futra, ciemne i kudłate, przyciągały spojrzenia na tle oślepiającej bieli przełęczy, a ich niesiony wiatrem smród powiedział Aedionowi wszystko.

Byli to Valgowie. Nie widział w ich grupie nikogo z naszymi, a ewentualne pierścienie kryły się w grubych rękawicach. Najwidoczniej nawet demony mogły zmarznąć. Czy może nie tyle demony, ile ludzie, którym odebrano ciała.

Valgowie zapuszczali się coraz głębiej w przełęcz. Ręka celującego Rena nawet nie drgnęła.

Przed zajęciem pozycji Aedion kazał mu pozostawić jednego przy życiu.

Mieli spore szczęście, że Valgowie wybrali akurat tę przełęcz, na pół zapomniane przejście, prowadzące na niziny terraseńskie, szerokie góra na dwa konie jadące obok siebie, i od dawna ignorowane przez zwycięskie armie i kupców z towarami.

Aedion nie miał pojęcia, kto ośmielał się żyć w tak nieprzyjaznej okolicy. Nie wiedział również, dlaczego ci żołnierze zapuścili się aż tak daleko, ale liczył na to, że wkrótce się tego dowie.

Grupa demonów przechodziła właśnie dołem. Obaj łucznicy wodzili za nimi wycelowanymi strzałami.

„Celny grot prosto w czaszkę” – pomyślał Aedion i obrał cel.

Skinął w stronę Rena i strzały pomknęły.

Gdy walka dobiegła końca, czarna krew nadal parowała na śniegu. Zajście trwało jedynie kilka minut. Gdy Ren i Aedion posłali swe strzały, Lysandra wyskoczyła z kryjówki, rozszarpała trzech kolejnych żołnierzy i przerwała mięśnie łydek szóstemu, jedynemu ocalałemu.

Aedion ruszył ku jęczącemu mężczyźnie. Jego nogi otaczała kałuża czarnej krwi, a nogawki zwisały w strzępach jak szczątki proporca na wietrze.

Lysandra siedziała po drugiej stronie. Jej kły były poplamione czernią, a spojrzenie zielonych oczu utkwione w głowie mężczyzny. Z ogromnych łap wystawały szpony ostre jak igły.

Za ich plecami Ren dla pewności odrąbywał trupom głowy, nim zeszywniały na zimnie.

– Zdradzieckie łajno! – wysyczał demon na widok Aediona. Jego wąską twarz wykrzywiła nienawiść, a odór wdzierał się Ashryverowi w nozdrza i odurzał zmysły.

Aedion wyciągnął długi, ostry nóż, otrzymany w darze od Rowana, i uśmiechnął się ponuro.

– Jeśli okażesz odrobinę zdrowego rozsądku, nie potrwa to długo –

oznajmił.

Valg splunął na pokryte śniegiem buty mężczyzny.

Zamek Allsbrooków od ponad pięciuset lat trwał na skale z Jelenimi Rogami za sobą i Dębową Puszczą u swych stóp.

Aedion, który spacerował przed ogniem huczącym w jednym z wielu ogromnych kominków zamkowych, widział ślady pozostawione na szarych kamieniach przez brutalne zimy. Czuł też wyrytą w nich historię zamku – stuleci męstwa i ofiarności, gdy w salach rozbrzmiewał śpiew, a po korytarzach kroczyli wojownicy, a później długich lat smutku.

Ren zajął stary, wyświechtany fotel po drugiej stronie kominka i oparł przedramiona na kolanach, wpatrzony w ogień. Przybyli do zamku późną nocą i nawet Aedion był zanadto wyczerpany wędrówką przez zasypaną śniegiem Dębową Puszcę, by zwiedzić zamczysko, a po tym, co zrobili wcześniej tego dnia, wątpił, czy kiedykolwiek znajdzie w sobie na to siłę.

W ongiś wspaniałej sali panowała cisza, a w kątach czaił się mrok. Podmuchy wiatru wiejące od wysokich okien, ciągnących się wzdłuż jednej ze ścian, poruszały spłowiałymi gobelinami i herbami szlachty służącej rodowi Allsbrooków. Wśród belek gnieździły się rozmaite ptaki, które kuliły się za starożytnymi murami, szukając ratunku przed zabójczym zimnem. Między nimi zasiadał zielonooki sokół, który słuchał rozmowy toczącej się na dole.

- Jeśli Erawan szuka drogi do Terrasenu – odezwał się w końcu Ren – góry okażą się kiepskim wyborem.

Zmarszczył brwi, spoglądając na tace, na których przyniesiono im potrawkę z baraniny i gotowane warzywa. Większość była pozbawiona smaku, za to gorąca. Pochłonęli wszystko bez wahania.

- To nieubłagana kraina. Same żywioly zabrałyby mu tysiące ludzi.

- Erawan nie robi niczego bez powodu – rzekł Aedion. – Do Terrasenu najłatwiej dostać się północnymi traktami przez niziny uprawne. Wszyscy spodziewają się go właśnie tam. Myślą, że nadejdzie łądem bądź wysadzi swą armię na brzegu.

- Albo zrobi jedno i drugie.

Aedion pokiwał głową. Erawan rozciągnął szeroką sieć, by zdławić opór, który pojawił się na kontynencie. Porzucił już pozory utrzymywania imperium adarlańskiego. Od Eyllwe aż po północne granice Adarlanu, od brzegów Wielkiego Oceanu aż po wyniosłe góry, które przecinały kontynent na pół, mrok króla Valgów gęstniał z każdym dniem i Aedion szczerze wątpił, czy Erawan zatrzyma się, zanim nałoży każdemu z nich czarny naszyjnik.

A gdyby Erawan zdobył dwa pozostałe Klucze Wyrda, gdyby mógł na własne życzenie otworzyć Bramę Wyrda i wypuścić hordy Valgów z własnego królestwa, a może nawet zniewolić armie z innych światów i ruszyć na ich czele... Cóż, wówczas nie byłoby sposobu, by go powstrzymać – ani w tym świecie, ani w żadnym innym.

Jedyną nadzieją na uniknięcie straszliwego przeznaczenia byli Dorian Havilliard i Manon Czarnodzioba, ale Aedion nie miał bladego pojęcia, gdzie byli przez ostatnie miesiące i co spotkali na swej drodze. Nie docierały do niego żadne wieści na ich temat, co poczytywał za dobry znak. Wszak by przeżyć, musieli utrzymać swą misję w tajemnicy.

– A więc wysyłanie grupy zwiadowczej celem odnalezienia małej górskiej przełęczy wydaje się dość niemądre jak na Erawana – rzekł Aedion i potarł zarośnięty policzek. Poprzedniego dnia wyruszyli w drogę przed świtem i wołał pospać chwilę dłużej, niż się ogolić. – Ze strategicznego punktu widzenia nie ma to sensu. Wiedźmy mogą latać, a więc wysyłanie ludzi na rozpoznanie terenu nie na wiele im się przyda. Jeśli zaś zbiera informacje dla armii lądowych... Sam nie wiem. Przedzieranie się przez tak wąskie przełęcze zabierze długie miesiące, nie mówiąc już o niebezpieczeństwach w związku z pogodą.

– Ten jeniec nie przestawał się śmiać. – Ren potrząsnął głową. Jego ciemne włosy do ramion zafalowały. – Czego nie zauważyliśmy? Co nam umknęło?

W blasku ognia blizna na jego policzku wydawała się ciemniejsza. Aedion wiedział, że to pamiątka po przeżytym koszmarze, który zgubił resztę jego rodu.

– Pewnie chciał, byśmy nadal się zastanawiali i być może poprzysuwali oddziały. – Aedion oparł łokieć na obramowaniu kominka. Ciepły kamień rozgrzewał jego wciąż chłodną skórę.

Podczas jego nieobecności Ren szykował Zgubę do nadciągających

zmagają. We współpracy z Kyllianem przesunął oddział tak daleko na południe od Orynthu, jak pozwolił Darrow, czyli niewiele dalej niż na wzgórze okalające równinę Theralis.

Po przybyciu Aediona lord Allsbrook przekazał mu dowództwo, choć jego spotkanie z rzekomą Aelin było chłodne, wręcz lodowate, niczym wichry na zewnątrz fortecy.

Lysandra dobrze odgrywała swoją rolę. Świetnie udawała poczucie winy oraz zniecierpliwienie Aelin, a potem sprytnie unikała wszelkich sytuacji, w których mogliby rozmawiać o przeszłości, choć Ren bynajmniej nie zamierzał wspominać czasów sprzed upadku Terrasenu czy też wydarzeń minionej zimy.

Aedion mógł mieć tylko nadzieję, że Erawan nie ma pojęcia, iż wśród jego wrogów brakuje Niosącej Ogień, a o tym, co powiedzą bądź zrobią obrońcy Terrasenu na wieść o zniknięciu królowej, nie chciał nawet myśleć.

– Choć niewykluczone, że to autentyczny manewr i mamy sporo szczęścia, że go odkryliśmy – zastanawiał się Ren. – Czy ryzykujemy, przesuając oddziały na przełęcz? Przecież kilka już jest rozstawionych na Jelenich Rogach za Orynthem oraz na północnych równinach za miastem.

Ren wykazał się wielkim sprytem, gdy namówił Darrowa, by ten pozwolił mu przesunąć część Zguby za Orynth. Istniała przecież możliwość, że Erawan pożegluje na północ i przeprowadzi atak stamtąd. Ten łajdak był zdolny do wszystkiego.

– Nie chcę rozciągać naszych sił tak bardzo – rzekł Aedion, wpatrując się w ogień, jakże odmienny od tego, którym władała Aelin. W porównaniu z ową niemalże żywą istotą, przyzywaną przez jego królową, ten wydawał się wręcz duchem. – Poza tym nie mamy aż tylu ludzi.

Aelin wykazała się wielką śmiałością i desperacją w pozyskiwaniu sojuszników, ale mimo to ich połączone siły były o wiele mniej liczne od pełnej potęgi Morath. Nie zdołali również powiększyć swych sił za złoto, które zgromadziła, choćby dlatego, że nie pozostało wielu ludzi, którzy mogliby się zaciągnąć.

– Aelin nie wydawała się specjalnie przejęta, gdy umknęła do Eldrys – mruknął Ren.

Na moment Aedion znów znalazł się na zbryzganym krwią piasku. Znów widział żelazną trumnę, w której Maeve zamknęła Aelin po wychłostaniu jej, a potem odpłynęła wraz z nią daleko. Sama Mala wie dokąd.

- Aelin - Aedion usiłował mówić normalnym głosem, choć kłamstwo go dławilo - ma własne plany, o których nam powie, gdy nadejdzie odpowiednia chwila.

Ren milczał. I choć królowa, w powrót której wierzył, była zaledwie złudzeniem, Aedion dodał:

- Ona poświęca Terrasenowi każdą minutę życia.

Zarzucił jej straszne rzeczy owego dnia, gdy pokonała ilkeny. „Gdzie są nasi sojusznicy?” - dopytywał. Nadal próbował sobie to wybaczyć. Nadal próbował wybaczyć sobie cokolwiek. Pozostała mu jedna szansa. Musiał wszystko naprawić i zrobić dokładnie to, o co go prosiła, by uratować królestwo.

Ren zerknął na bliźniacze miecze, które rzucił na stary stół, stojący za nimi.

- A mimo to opuściła nas.

Nie miał na myśli wyjazdu do Eldrys, ale zdarzenia sprzed dziesięciu lat.

- Wszyscy popełniliśmy jakieś błędy - rzekł Aedion. Bogowie jedni wiedzieli, ile on sam miał win na sumieniu.

Ren napiął mięśnie, jakby naraz przypomniał sobie o wszystkich swoich wyborach, które go dręczyły.

- Nigdy jej nie powiedziałem - Aedion mówił cicho, by nie usłyszał go sokół siedzący na belkach - o palarni opium w Rifthold.

O tym, że Ren znał właścicielkę i wielokrotnie odwiedzał jej lokal, zanim Aedion i Chaol wciągnęli go tam niemalże nieprzytomnego, uciekając przed ludźmi króla.

- Czasem wylazi z ciebie straszny łajdak, wiesz o tym? - Głos Rena był chrapliwy.

- Nigdy nie wykorzystałbym tego przeciwko tobie. - Aedion wytrzymał wściekle, mroczne spojrzenie młodego lorda i pozwolił, by ten wyczytał przewagę skrzącą się w jego oczach. - I nie unos się, bo

chodziło mi o coś innego – dodał, gdy Ren otworzył usta. – Chciałem ci przypomnieć, że Aelin zaproponowała ci miejsce na swym dworze, nie znając tej części twojej przeszłości.

Na szczęście Rena drgnął mięsień.

– Ale nawet gdyby wiedziała o tobie wszystko, Ren, i tak by cię przyjęła.

Allsbrook przyglądał się kamiennej podłodze pod swymi stopami.

– Nie ma żadnego dworu.

– Darrow może się drzeć, ile chce, ale ja mam inne zdanie. – Aedion opadł na krzesło obok młodego lorda.

Gdyby Ren poparł Aelin, Elide Lochan powróciła, a Sol i Ravi z Surii również stanęli po jej stronie, królowa mogłaby liczyć na trzy głosy, wciąż mając cztery przeciwko sobie.

Nie było póki co szans na to, by uznano głos Lysandry jako pani na Caraverre. Zmiennokształtna nie poprosiła jeszcze, by pokazano jej ziemie, które miały stać się jej domem, jeśli wszyscy przetrwają wojnę. W trakcie podróży zamieniła się jednak w sokoła i odleciała na jakiś czas. Po powrocie nic nie mówiła, ale jej zielone oczy aż lśniły.

Nie, Caraverre nie zostanie uznane jako jej dominium, dopóki Aelin nie zasiądzie na tronie. A raczej dopóki nie zrobi tego Lysandra w jej imieniu.

„Ale Aelin wróci – pomyślał Aedion. – Musi powrócić”.

Po drugiej stronie sali otworzyły się drzwi, a potem rozległy się pospieszne, lekkie kroki. Mężczyzna poderwał się na ułamek sekundy przed tym, jak od ścian odbiło się radosne wołanie:

– Aedionie!

Evangeline promieniała ze szczęścia. Dziewczynka była odziana w zielone, wełniane szaty obszyte białym futrem, a jej złocistorude włosy zapleciono w dwa warkocze. Przypominała teraz młodą góralkę z Terrasenu. Jej blizny rozciągnęły się, gdy się roześmiała, a potem wskoczyła w rozłożone ramiona Aediona.

– Powiedzieli mi, że przybyłeś późno w nocy, a potem opuściłeś zamek o brzasku, i bałam się, że już się nie spotkamy i...

Aedion ucałował ją w czubek głowy.

- Mam wrażenie, że bardzo urosłaś od naszego ostatniego spotkania.

Zielonożółte oczy Evangeline rozbłysły, gdy patrzyła to na niego, to na Rena.

- A gdzie...

Rozbłysło światło i nagle zjawiała się wśród nich Lysandra. Wydawała się jaśnieć, gdy zarzuciła na swe nagie ciało płaszcz, pozostawiony na sąsiednim krześle dokładnie w tym celu. Dziewczynka, szlochając ze szczęścia, rzuciła się prosto w ramiona zmiennokształtnej. Jej drobne ramiona drżały. Lysandra uśmiechnęła się ciepło i serdecznie i pogładziła ją po głowie.

- Wszystko w porządku? – spytała.

Każdy człowiek na świecie odniósłby teraz wrażenie, że Lysandra jest spokojna i zrównoważona, ale Aedion znał ją doskonale. Poznał jej nastroje i sekretny język ciała. Wiedział, że lekkie drżenie jej głosu to dowód na burzę uczuć szalejącą pod tą piękną powłoką.

- Och, tak! – odparła Evangeline i oderwała się od Lysandry, by z uśmiechem odwrócić się w stronę lorda Allsbrooka. – Ren i Murtaugh przywieźli mnie tutaj. Strzała jest z nim, nawiasem mówiąc. Z Murtaughem. Chyba polubiła go bardziej ode mnie, bo ciągle ją karmi jakimiś smakołykami. Spasła się jak leniwy kot!

Lysandra roześmiała się, a Aedion się uśmiechnął. Widać było, że dziewczynkę otoczono wielką troską. Zmiennokształtna również to sobie uświadomiła.

- Dziękuję – szepnęła miękko do Rena.

Ten podniósł się, lekko zarumieniony.

- Uznałem, że tu będzie bezpieczniejsza niż w obozie wojskowym. A przynajmniej będzie jej wygodniej.

- Och, to doprawdy cudowne miejsce, Lysandro! – zaćwierkała Evangeline, ujmując obie dłonie kobiety. – Murtaugh nawet zabrał mnie do Caraverre pewnego popołudnia, zanim zaczęły się śnieżyce, wiesz? Musisz to zobaczyć! Wzgórza, rzeki, piękne drzewa, a wszystko u stóp gór. Wydaje mi się, że wypatrzyłam widmowego lamparta wśród skał, ale Murtaugh powiedział, że tylko mi się wydawało. Ale ja go naprawdę widziałam, na własne oczy! Był większy od tego

twojego! Widziałam też dom, najpiękniejszy w moim życiu, z ogrodem otoczonym murem! Murtaugh powiedział, że latem jest pełen warzyw i róż.

Przez krótką chwilę Aedion nie mógł znieść natłoku emocji na twarzy Lysandry, gdy Evangeline opowiadała o swoich planach w związku z posiadłością. Była to ogromna, bolesna tęsknota za życiem, które zapewne zostanie jej wyszarpnięte, nim zdoła je rozpocząć.

Odwrócił się do Rena, który nie mógł oderwać spojrzenia od Lysandry, jak zwykle, gdy przebywała w ludzkiej postaci. Powstrzymał odruch zaciśnięcia szczęk i odezwał się:

– A więc uznaliście Caraverre za ziemie Lysandry.

Evangeline nadal ćwierkała z ożywieniem, ale Lysandra przeniosła spojrzenie na mężczyznę.

– Darrow nie jest Allsbrookiem – odparł Ren. – I nie włada naszymi ziemiami.

„W rzeczy samej – pomyślał Aedion. – A poza tym któż by nie chciał tak pięknego sąsiada? Oczywiście pod warunkiem, że Lysandra nie będzie mieszkała w Oryncie w skórze królowej, gdzie wykorzystaliby go do spłodzenia fałszywej linii królewskiej. Jak ogiera”.

Lysandra znów pokiwała głową z wdzięcznością, a Ren zarumienił się jeszcze bardziej, zupełnie jakby nie wędrowali cały dzień przez zasy i nie mordowali Valgów. Jakby ich ciała nadal nie cuchnęły ich krwią.

W istocie, Evangeline powąchała płaszcz Lysandry i skrzywiła się.

– Ależ ty śmierdzisz. Wszyscy śmierdzą.

– Gdzie twoje maniery? – napomniała ją Lysandra, ale roześmiała się.

Evangeline oparła dłonie na biodrach. Aedion widział podobny gest u Aelin tyle razy, że serce przeszył mu nagły ból.

– Ty sama kazałaś, bym ci mówiła, jeśli będziesz brzydko pachnieć. Zwłaszcza z buzi.

Lysandra uśmiechnęła się. Aedion siłą narzucił sobie obojętność.

- Prawda, prawda – bąknęła zmiennokształtna.

Evangeline pociągnęła ją za rękę w stronę drzwi.

- Możesz dziś spać w mojej komnacie. Tam jest pokój łaźnienny!

Lysandra zrobiła krok.

- Niezły pokój gościnny! – mruknął Aedion do Rena i uniósł lekko brew. Komnata, w której mieszkała Evangeline, musiała należeć do najlepszych na zamku, skoro miała własny pokój łaźnienny.

- Kiedyś należał do Rose. – Ren pochylił głowę.

Rose była jego najstarszą siostrą, która wraz z drugą siostrą Rallen została zamordowana w Devellin, osławionej akademii magicznej, do której uczęszczały. Szkoła znajdowała się przy granicy adarlańskiej, dokładnie na trasie armii inwazyjnej. Choć magia wówczas jeszcze istniała, szkoła nie umiała się obronić przed tysiącami żołnierzy. Aedion próbował nie wspominać rzezi z Devellin. Próbował zapomnieć o tym, ile było tam dzieci, i o tym, że żadnemu nie udało się uciec. Ren był blisko związany z obiema siostrami, ale przede wszystkim z pogodną Rose.

- Polubiłyby się – dodał Ren i wskazał Evangeline podbródkiem.

Oboje byli poznaczeni bliznami. Ren zarobił cięcie przez twarz podczas ucieczki z miejsca egzekucji. Jego rodzice ściągnęli na siebie uwagę wroga i zapłacili za to życiem, ale Ren i Murtaugh zdołali uciec. Blizny Evangeline upamiętniały inny rodzaj ucieczki – od potwornego życia, które wiodła jej przybrana matka.

O tym Aedion również próbował nie myśleć.

Evangeline, niepomna na rozmowę, ciągnęła Lysandrę ku drzwiom.

- A czemu nie obudziłaś mnie, gdy przyjechaliście?

Aedion nie usłyszał odpowiedzi zmiennokształtnej, wyprowadzanej na korytarz. Zignorował również jej spojrzenie.

Lysandra wiele, wiele razy próbowała z nim porozmawiać przez ostatnie dwa miesiące, ale Aedion ją ignorował. Gdy dotarli do terraseńskich brzegów, zmiennokształtna poddała się.

Okłamała go. Oszukała go tak bardzo, iż Aedion nie wiedział, czy którakolwiek z ich wspólnych chwil była prawdziwa. Nie chciał zresztą tego wiedzieć. Nie chciał wiedzieć, czy Lysandra mówiła

prawdę, gdy on jak ostatni idiota odsłaniał przed nią duszę.

Uwierzył, że to jego ostatnie polowanie. Że będzie mógł niespiesznie budować związek i pokazać Lysandrze wszystko, co Terrasen miało do zaoferowania. Nie tylko Terrasen zresztą, ale również on sam.

Nazwał ją kłamliwą suką, ba, wywrzeszczał jej to w twarz. Opanował już emocje na tyle, by czuć z tego powodu wstyd, ale furia nie wygasła.

Lysandra spoglądała na niego czujnie, z obawą, jakby pytała:

„Czy nie możemy choć teraz, gdy nastał jakże rzadki moment szczęścia, porozmawiać jak przyjaciele?”

Odwrócił się od jej uroczej twarzy i szmaragdowych oczu. Znow zapatrzył się w ogień.

„Ren może ją sobie wziąć” – pomyślał, choć w tej samej chwili zapragnął coś rozwalić.

Lysandra i Evangeline wyszły z sali. Wciąż słychać było rozćwierkany głos dziewczynki, ale rozczarowanie zmiennokształtnej wisiało w powietrzu.

Ren odkaszlnął.

– Mógłbyś mi powiedzieć, co się dzieje między wami?

Aedion smagnął go spojrzeniem, od którego ktoś inny rzuciłby się do ucieczki.

– Przynieś mapę. Chcę raz jeszcze przyjrzeć się przełęczom.

Ren nie drażył tematu. Rozsądnie wstał i ruszył na poszukiwanie mapy.

Aedion wpatrywał się w płomienie, jakże blade bez magii jego królowej.

Ile czasu jeszcze mieli, nim wycie wiatru za oknami zamku zastąpi ryk bestii Erawana?

Aedion dostał odpowiedź o świcie następnego dnia.

Usiadł przy długim stole w Wielkiej Sali Jadalnej i próbując opanować drżenie palców, ujął list, dostarczony chwilę wcześniej

przez posłańca. Lysandra i Evangeline jadły w ciszy śniadanie po drugiej stronie stołu, a siedzący przy Aedionie Ren i Murtaugh powstrzymali się od zadawania pytań.

Aedion przeczytał list raz, a potem jeszcze raz. Następnie odłożył go, nabrał tchu i marszcząc brwi, spojrzął ku rzędowi okien wysoko na ścianie. Przez okiennice wpadało rozrzedzone, szare światło świtu.

Poczuł na sobie ciężar spojrzenia Lysandry, która z trudem powstrzymała się przed powstaniem i podejściem bliżej.

– To list od Kylliana – powiedział ochryple Aedion. – Oddziały Morath wylądowały przy Eldrys.

Ren zaklął. Murtaugh milczał. Aedion nie podnosił się, bo bał się, że kolana go nie utrzymają.

– Miasto zostało obrócone w perzynę, choć nie zaatakował go ani jeden oddział.

Nie miał pojęcia, dlaczego mroczny władca zwlekał tak długo.

– To robota wiedźmich wież? – spytał Ren.

Aedion przekazał mu wszystko, co Manon Czarnodzioba wyjawiała podczas wędrówki przez Kamienne Bagna.

– Nic tu nie ma na ten temat.

Nie sądził, by Erawan wykorzystał wieże. Były to ogromne konstrukcje, które należało transportować lądem, a zwiadowcy Aediona z pewnością zauważyliby takie giganty, wleczone po ziemiach Terrasenu.

– Niemniej miasto zniszczyły wybuchy – dodał.

– A Aelin? – wykrztusił z trudem Murtaugh.

– Nic jej nie jest – skłamał Aedion. – Znajdowała się już w drodze do obozu pod Orynthem, gdy doszło do ataku.

Oczywiście w liście od Kylliana nie było o tym ani słowa, ale jego głównodowodzący uznał, że skoro nie znaleziono ciała, a wróg niczego nie świętował, królowa zdołała się uratować.

Murtaugh opadł bezwładnie na krzesło, a Strzała ułożyła mu złocisty łeb na kolanach.

– Dzięki niech będą Mali za takie miłosierdzie.

– Jeszcze jej nie dziękuj. – Aedion wsunął list do kieszeni grubego płaszcza, który narzucił dla ochrony przed przeciągami w sali.

„A najlepiej to w ogóle tego nie rób” – dodał w myślach.

– W drodze do Eldrys Morath zajął dziesięć wendlyńskich okrętów przy Ilium i ruszył w górę rzeki Florine, gdzie zablokował resztę naszej floty.

Murtaugh potarł szczękę.

– Dlaczego ich nie ścigano?

– Nie wiem. – Aedion uznał, że przemyśli to kiedy indziej. – Erawan uparł się, że zniszczy Eldrys i dopiął swego. Wygląda na to, że oddziały wkrótce opuszczą miasto. Jeśli nikt ich nie powstrzyma, dotrą do Orynthu w ciągu tygodnia.

– Musimy wracać do obozu! – rzekł Ren z pociemniałą twarzą. – Może uda się przeprowadzić kontratak na rzece, zwłaszcza jeśli Rolfe uderzy z morza, a my z lądu.

Aedion nie chciał im przypominać, że kontakt z Rolfe'em właściwie się urwał, jeśli nie liczyć zdawkowych raportów z jego poszukiwań zagubionych Mycenian i ich legendarnej floty. Szanse, że się pojawi i uratuje ich z opresji były równie niewielkie jak to, że owiane legendami Wilcze Plemię wynurzy się z głębi Gór Anascaul.

Albo to, że Fae, którzy umknęli z Terrasenu dekadę temu, nagle powrócą, by wesprzeć siły Aediona.

Mężczyznę znów zawładnął wyrachowany spokój, który prowadził go przez bitwy i rzezie, równie mocny i materialny jak futro, które nosił na sobie. Ich sojusznikiem będzie teraz szybkość. Szybkość i klarowność działania.

Rowan na odchodnym kazał mu utrzymać front. Mieli zdobyć dla nich tyle czasu, ile się dało.

Aedion był gotów zrobić wszystko, by spełnić obietnicę.

Evangeline umilkła, gdy wojownik wbił spojrzenie w Lysandrę.

– Ilu ludzi uniesiesz pod postacią wywerny? – zapytał.

2.

Elide Lochan marzyła kiedyś o tym, by podróżować po świecie, tak daleko, by znaleźć miejsce, gdzie nikt nie słyszał o Adarlanie i Terrasenie, tak odległe, by Vernon nie miał szans jej odszukać.

Nigdy nie sądziła, że kiedykolwiek naprawdę do tego dojdzie.

Stojąc na zakurzonej, starej uliczce w równie zakurzonym, starym mieście w królestwie leżącym na południe od Doranelle, Elide z zadziwieniem słuchała dzwonów oznajmiających południe. Ich czysty dźwięk niósł się po niebie. Słońce prażyło blade kamienie budowli, a suchy wiatr przetaczał się po wąskich uliczkach. Już trzykrotnie słyszała nazwę tego miasta, ale nadal nie mogła jej wymówić.

To i tak było bez znaczenia. Nie zabawią tu przecież długo, podobnie jak w innych miastach, lasach, górach czy nizinach po drodze. Przemierzali królestwo za królestwem w szalonym tempie narzuconym przez nieubłaganego księcia, który rzadko kiedy pamiętał o tym, by się do nich odezwać. Ba, o jedzeniu również często zapominał.

Elide skrzywiła się, spoglądając na sfatygowany, skórzany wiedźmi strój, który nadal nosiła, oraz na postrzępiony szary płaszcz i brudne buty, a potem zerknęła na dwóch towarzyszy, stojących w uliczce. Zdecydowanie każdy z nich widział lepsze czasy.

- Jeszcze chwila – mruknął Gavriel. Jego brązowe oczy wpatrywały się we wlot uliczki, gdzie znajdowała się ogromna ciemna postać obserwująca ożywiony ruch na ulicy, zlewając się ze skąpymi cieniami, rzucanymi przez kruszący się łuk.

Elide nie spoglądała zbyt długo w kierunku mężczyzny. Przez ostatnie niekończące się tygodnie nie mogła znieść sytuacji, w jakiej się znalazła. Nie mogła znieść jego ani też owego nieznośnego bólu w klatce piersiowej.

- Powinniśmy coś zjeść – powiedziała do Gavriela, marszcząc brwi.

Ten wskazał jej gestem sfatygowaną sakwę leżącą przy murze.

- Mam tam jabłko – rzekł.

Elide zerknęła na budynek, który wyrastał nad nimi. Westchnęła i sięgnęła do sakwy. Przez chwilę grzebała wśród zapasowych ubrań, lin, broni i innych zapasów, aż wyciągnęła wielkie, czerwono-zielone jabłko, ostatnie z wielu, które zerwali w sadzie w sąsiednim królestwie. Bez słowa podała je Fae.

Mężczyzna uniósł złocistą brew, ale Elide nie cofnęła dłoni.

- Przecież słyszę, jak ci burczy w brzuchu.

Gavriel parsknął cichym śmiechem i wziął od niej jabłko, pochylając lekko głowę, po czym wytarł je o rękaw kaftana.

- Nie da się ukryć.

Elide mogłaby przysiąc, że ciemna postać siedząca przy końcu alei zeszywniała. Starła się nie zwracać na to uwagi.

Gavriel wgryzł się w jabłko. Jego długie kły błysnęły. Ojciec Aediona Ashryvera... W istocie nie można było im odmówić podobieństwa, choć ograniczało się ono do wyglądu. W ciągu kilku dni, które spędziła w towarzystwie Aediona, przekonała się, że jest on całkowitym przeciwieństwem łagodnego, małomównego, często zamyślnego Fae.

Po tym, jak Asterin i Vesta pozostawiły ją na pokładzie statku, na którym tu dotarli, często wyrzucała sobie, że popełniła błąd. Że nie powinna była wyprawiać się w towarzystwie trzech nieśmiertelnych mężczyzn. Że nie nadąży za nimi i będzie tylko ciężarem. Gavriel jednakże od samego początku okazywał jej sporo życzliwości. Dbał o to, by dobrze się odżywiała i okrywała podczas zimnych nocy, a także uczył ją jazdy konnej. Wydali na wierzchowce mnóstwo pieniędzy, ale była to konieczność, gdyż Elide nie miała szans nadążyć pieszo za Fae, nawet gdyby miała zdrową nogę. Zdarzało się, że musieli prowadzić konie po trudnym terenie, a wówczas Gavriel wzmacniał jej kostkę magią. Jego moc była niczym tchnienie lata na skórze.

Lorcanowi na pewno by na to nie pozwoliła.

Nie mogła zapomnieć, jak pełzał za Maeve po tym, jak królowa przecięła więź krwi. Czołgał się za nią jak odtrącony kochanek, jak zbity pies łaknący uwagi pana. To on ściągnął im na kark Maeve. To

przez niego Aelin została pokrzywdzona, a mimo to nadal usiłował podążać za swą królową, po piasku wciąż mokrym od krwi Aelin.

Gavriel zjadł połowę jabłka i przekazał resztę Elide.

- Też powinnaś coś zjeść – rzekł.

Zmarszczyła brwi, patrząc na sińce pod oczami Fae. Nie miała wątpliwości, że sama wygląda podobnie. Na szczęście w zeszłym miesiącu, pomimo ciężkiej, wytężonej wędrówki, która do cna wyczerpała jej siły, doczekała się krwawienia. Było to upokarzające doświadczenie. Musiała przecież wytłumaczyć trzem wojownikom, którzy mogli wyczuć zapach krwi, że potrzebuje środków higieny i częstszych przerw.

Nie wspomniała ani słowem o skurczach, które skręcały jej brzuch, plecy i uda. Jechała przed siebie z pochyloną głową. Wiedziała, że zatrzymaliby się dla niej. Nawet Rowan zatrzymałby się, by dać jej odpocząć, ale za każdym razem, gdy robili postój, Elide widziała żelazną skrzynię. Widziała bat lśniący od krwi, strzelający w powietrze. Słyszała krzyk Aelin.

Królowa poświęciła się dla niej. Nie zawahała się, by zaofiarować siebie w jej miejsce.

Na samą myśl o tym Elide pozbywała się wszelkich wątpliwości i nie przeszło jej nawet przez myśl, by zsiąść z konia. Cierpienie tych dni załagodzili nieco Gavriel i Rowan, którzy podali jej kilka pasków czystego płótna, bez wątplenia pochodzącego z ich koszul, choć nie miała pojęcia, kiedy i gdzie je odcięli.

Nadgryzła jabłko, rozkoszując się cierpkim, słodkim miąższem. Rowan wziął kilka miedziaków z ich kurczącego się coraz szybciej zapasu i pozostawił je na pniaku, by zapłacić w ten sposób za zabrane owoce. Elide wiedziała, że wkrótce będą musieli kraść jedzenie albo sprzedać konie.

Zza okiennic na piętrze budynku dobiegł głuchy rumor, a potem kilka stłumionych męskich okrzyków.

- Myślisz, że tym razem nam się poszczęści? – spytała cicho Elide.

Gavriel przyglądał się błękitnym, ozdobnie rzeźbionym okiennicom.

- Muszę mieć nadzieję – odparł.

Szczęście ostatnio zaczynało się od nich odwracać. Właściwie nie

dopisywało im od czasu wydarzeń na tamtej przeklętej plaży w Eyllwe, gdzie Rowan poczuł szarpnięcie więzi łączącej go z Aelin, jego towarzyszką życia, i podążył za wezwaniem przez ocean. Gdy przybyli do Wendlyn po kilku straszliwych tygodniach walki z burzami morskimi, trop wygasł całkowicie. Nie było już śladu po armadzie Maeve. Nikt nie słyszał, by okręt królowej, „Słowik”, zacumował w którymkolwiek porcie. Nikt nie słyszał, by wróciła do swej stolicy, Doranelle.

Pozostawały im więc jedynie plotki, które słały ich na kolejne wyprawy przez zasypane śniegiem góry, gęste lasy i suche równiny.

Do ostatniego miasta dotarli podczas obchodów Samhuinn, kiedy to tłumy ludzi wyległy na ulice, by oddać cześć bogom. Wszak tego dnia bariera oddzielająca świat ludzki od boskiego była najcieńsza.

Ludzie jednakże nie mieli pojęcia, że owi bogowie to tylko istoty z innego świata. Co więcej, nie wiedzieli, że wszelka pomoc, jaką od nich otrzymują, jak wsparcie, które Elide dostała od owego głosu szepczącego zza jej ramienia, miała tylko jedno na celu – pomóc samym bogom w powrocie do domu. Elide, Aelin i wszyscy inni byli dla nich jedynie pionkami.

Doskonałym potwierdzeniem tego faktu było choćby to, że od owego okropnego dnia w Eyllwe Elide nie usłyszała ani szeptu od Anneith. Od czasu do czasu czuła jedynie szturchnięcia, które przypominały o obecności bogów. Które uświadamiały, że ktoś się jej nadal przygląda. Które nie pozwalały zapomnieć, że jeśli zdołają odnaleźć Aelin, młoda królowa wciąż będzie musiała zapłacić bogom ostateczną cenę. Jeśli Dorianowi Havilliardowi i Manon Czarnodziobej uda się odzyskać trzeci i ostatni Klucz Wyrda, a młody król nie odda się w ofierze zamiast Aelin.

Elide znosiła więc te odczuwane od czasu do czasu szturchnięcia, ale usiłowała nie zastanawiać się nad tym, jaka istota zainteresowała się nią i pozostałymi. Odepchnęła od siebie wszelkie myśli na ten temat i skupiła się na przeczesywaniu ulic w poszukiwaniu jakichkolwiek śladów obecności Maeve. Słońce zaszło, a Rowan warczał dziko z każdą upływającą godziną, która nie przynosiła żadnego rezultatu. Podobnie jak w innych miastach.

Elide nakłoniła ich jednak, by nadal przemierzali tętniące wesołością uliczki, niezauważeni i niewyróżniający się z tłumu. Za

każdym razem, gdy Rowan błyskał kłami, przypominała mu, że w każdym królestwie ktoś mógł się im przyglądać. Gdyby zaś rozeszły się plotki o grupie Fae, terroryzujących ludzkie siedziby w poszukiwaniu Maeve, ta bez wątpienia od razu by się o tym dowiedziała.

Zapadła noc. Na łagodnych, złocistych wzgórzach za murami miasta zapalono ogniska.

Rowan w końcu przestał warczeć na ich widok. Elide miała wrażenie, że te płomienie budziły w nim jakieś bolesne wspomnienia.

Naraz minęła ich grupa rozbawionych wojowników Fae. Rowan znieruchomiał i oszacował ich chłodnym, wyrachowanym spojrzeniem, które zdradziło Elide, że ułożył jakiś plan. Schronili się w ciemnej uliczce, a wówczas książę Fae wyłożył im go w prostych, brutalnych słowach.

Minął tydzień i zjawili się tutaj. Krzyki w budynku przybrały na sile.

Elide skrzywiła się, gdy trzask drewna stał się głośniejszy od bicia dzwonów.

– Powinniśmy im pomóc? – spytała.

Gavriel przecesał wytatuowaną dłońią złociste włosy. W zeszłym tygodniu dziewczyna odważyła się spytać, co oznaczają owe tatuaże, a Fae wyjaśnił jej, że były to imiona wojowników poległych pod jego dowództwem.

– Już prawie skończył.

Nawet Lorcan krzywił się z niecierpliwości, wpatrując się w okno nad Elide i Gavrielem.

Gdy dzwon ucichł, okiennice rozwarły się nagle, choć słowo „ekspłodowały” lepiej by tu pasowało. Na ulicę wypadło dwóch Fae. Jeden z nich, brązowowłosy i zakrwawiony, wrzasnął głośno, ale książę Rowan Biały Cierń, obnażając kły i zaciskając dłonie na ofierze, nawet nie stęknął. Elide odsunęła im się z drogi, a obaj Fae rozbili stos skrzyń, które wybuchły drzazgami. Dziewczyna wyczuła powiew wiatru, który załagodził upadek brązowowłosego Fae. Wszak martwy nie mógł im się na nic przydać.

Rowan wywlókł go z rumowiska za kołnierz błękitnej tuniki.

Gavriel wyciągnął nóż, nadal stojąc przy Elide, a księżę grzotnął nieznanym o ścianę. Na jego obliczu nie było ani śladu życzliwości, ani odrobiny ciepła. Przypominał zimnokrwistego drapieżnika, któremu zależało wyłącznie na odnalezieniu królowej, władającej jego sercem.

– Błagam – wykrztusił mężczyzna we wspólnej mowie.

A więc Rowan zdołał go znaleźć. Podczas Samhuinn dotarło do niego, że nie mają szans na wytropienie Maeve, ale odnalezienie jej dowódców, którzy służyli za pieniądze śmiertelnikom w wielu królestwach... Cóż, to było wykonalne.

A mężczyzna, na którego warczał Rowan, ocierając krwawiącą wargę, był oficerem. Barczyste ramiona i muskularne ciało zdradzały wojownika, choć wydawał się drobniejszy od Rowana, Gavriela i Lorcana, jakby tych trzech stanowiło osobny gatunek nawet wśród Fae.

– Posłuchaj, co się teraz wydarzy – odezwał się Rowan do błagającego oficera. Jego głos był złowieszczo cichy. Księżę uśmiechnął się z okrucieństwem, przez co z jego rozbitej wargi znów pociekła krew. – Najpierw połamię ci nogi i być może zmiążdżę też kręgosłup, byś nie mógł się czołgać. – Wycelował zakrwawionym palcem w Lorcana, który właśnie oderwał się od cieni rzucanych przez luk. – Wiesz, kto to jest, prawda?

Oficer zaczął się trząść.

– Noga i kręgosłup kiedyś się zagoją – ciągnął Rowan, a Lorcan podchodził coraz bliżej. – Ale to, co ci robi Lorcan Salvaterre... – Zaśmiał się nisko, bez wesołości. – Tego już nie wyleczysz, przyjacielu.

Oficer spojrzał z rozpaczą na Elide i Gavriela.

Gdy doszło do tego po raz pierwszy – jakieś dwa dni temu – dziewczyna musiała odwrócić spojrzenie. Ów oficer nie dysponował żadnymi istotnymi informacjami, a znaleźli go w burdelu tak podłym, iż Elide wcale nie żałowała, że Rowan porzucił jego ciało przy jednym końcu uliczki, a głowę przy drugim. Ale dziś...

„Przyglądaj się. Patrz – syknął jej cichy głos do ucha. – Słuchaj”.

Elide zadrżała pomimo upału. Zacisnęła zęby i zdusiła w sobie

słowa, które właśnie pojawiły się w jej głowie:

„Znajdź sobie kogoś innego. Znajdź sposób, by wykorzystać swe moce do wykucia Zamka. Znajdź sposób, by pogodzić się z tym, że uwięziono was w tym świecie, byśmy nie musieli spłacać długu, który nigdy nie był nasz”.

Ale skoro Anneith wreszcie się odezwała po tym, jak przez tyle miesięcy tylko ją poszturchiwała... Elide zdusiła w sobie wściekłe słowa. Wszyscy śmiertelnicy musieli okazywać pokorę wobec bogów. Uznała, że zrobi to dla Aelin, bo ona również kiedyś miała się ukorzyć.

Na twarzy Gavriela nie było ani cienia litości. Spoglądał na oficera drżącego w żelaznym uścisku Rowana z chłodną obojętnością.

– Powiedz mu wszystko, co będzie chciał usłyszeć. Bo tylko pogorszysz sprawę.

Lorcan już był przy nich. Wokół jego palców tańczył ciemny wiatr, a na obliczu nie było ani śladu po mężczyźnie, którego Elide знаła – czy raczej mężczyźnie, którego znała przed wydarzeniami na plaży. Spoglądała teraz na maskę, którą po raz pierwszy ujrzała w Dębowej Puszczy. Pozbawioną uczuć. Arogancką. Okrutną.

Oficer popatrzył na moc zbierającą się wokół dłoni Lorcana, ale spojrzawszy na Rowana i zdołał uśmiechnąć się wzgardliwie. Krew zalewała mu kły.

– Ona pozabija was wszystkich – wysyczał. Podbite oko spuchło mu już tak, że nie mógł go otworzyć.

Powietrze huczało w uszach Elide, gdy Rowan utworzył wokół nich dźwiękoszczelną barierę.

– Maeve pozabija was wszystkich, zdrajcy!

– Niech no spróbuje – mruknął Rowan.

„Patrz” – szepnęła ponownie Anneith.

Gdy oficer znów zaczął wrzeszczeć, Elide nie odwróciła wzroku. Rowan i Lorcan zajęli się tym, do czego ich wyszkolono, a Elide nie miała pojęcia, o co chodziło Anneith. Chciała jej pomóc czy przypomnieć, do czego są zdolni bogowie, jeśli okaże się im nieposłuszeństwo?

3.

Jelenie Rogi płonęły, a Dębowa Puszcza wraz z nimi.

Po ogromnych, prastarych drzewach pozostały jedynie poczerniałe, wypalone skorupy, a z nieba opadał popiół gęsty niczym śnieg. Wiatr unosił drobinki żaru, jakby z niej szydził. Wszak niegdyś żar wirował wokół niej niczym świetliki, gdy biegała wśród ognisk rozpalanych na Beltane. Mnóstwo płomieni, duszące gorąco, powietrze parzące jej płuca.

„Twoja wina, twoja wina, twoja wina, twoja wina, twoja wina” – jęczały i płakały stare, pękające drzewa.

Świat był skąpany w ogniu. W ogniu, a nie w ciemności.

Jej uwagę przykuł ruch między drzewami.

Ból odebrał Władcy Północy świadomość. Gnał ku niej, oszalały z cierpienia. Z jego białego futra buchał dym, a płomienie pożerały potężne poroże. Nie był to już nieśmiertelny ogień, który unosił się między nimi, nieśmiertelny płomień świętych jeleni Terrasenu, a wcześniej Mali Przynoszącej Światło, ale prawdziwe, bezlitosne płomienie.

Władca Północy przemknął obok niej, płonąc, płonąc, płonąc. Wyciągnęła ku niemu dłoń, niewidzialna i pozbawiona znaczenia, ale dumny jeleń dalej biegł naprzód, krzycząc ze wszystkich sił. Cóż za okropne, nieubłagane krzyki, zupełnie jakby darto na strzępy serce świata.

Nie mogła nic począć, gdy ujrzała, że jeleń wskoczył w ścianę płomieni między dwoma palącymi się dębami.

Nie pojawił się już więcej.

Biały wilk znów się w nią wpatrywał.

Aelin Ashryver Biały Cierń Galathynius musnęła ciężkim od żelaza palcem krawędź ołtarza, na którym ją położono. Nie było jej stać na żaden inny ruch.

Cairn pozostawił ją tutaj. Nie chciało mu się przenosić jej do żelaznej skrzyni.

Miała więc przed sobą rzadką chwilę wytchnienia. Zamiast przebudzić się w ciemnościach, mogła otworzyć oczy przy migotliwym blasku pochodni.

Żar w żelaznych koszach przygasał i wilgotny chłód oblepiał każdy fragment jej skóry, który nie był zakryty żelazem. Pociągnęła za łańcuchy najciszej, jak umiała, ale trzymały mocno.

Zaczęli dodawać jej coraz więcej żelaza. Pierwsze były metalowe rękawice. Nie pamiętała, kiedy je założono ani też gdzie. Wtedy istniała jedynie skrzynia.

Dusząca żelazna trumna.

Wielokrotnie sprawdzała, czy nie uda jej się wyrwać ze skrzyni, na długo zanim zaczęli wstrzykiwać do środka ów słodko pachnący dym. Nie miała pojęcia, jak długo później spała.

Gdy się budziła, nie było już dymu. Raz jeszcze spróbowała wyrwać się ze skrzyni. Napierała stopami, łokciami, dłońmi, ale metal był nieubłagany. Nie miała miejsca, by się odwrócić, a łańcuchy wpijały się w jej ciało, ocierały skórę.

Rany pozostawione na plecach przez bicz, rozcięcia skóry aż do kości, znikły bez śladu. Czyżby i to było snem?

Odpląnęła we wspomnienia, do lat spędzonych na szkoleniu w siedzibie zabójców. Powróciła do lekcji uwalniania się z łańcuchów, kiedy to tkwiła w kajdanach i własnych nieczystościach, póki nie wypracowała metody zrzucenia oków.

Nic nie zadziało.

Metal rękawicy zazgrzytał o ciemny kamień ołtarza. Dźwięk był cichy, ledwie słyszalny wśród syczącego żaru w koszach i ryczących wód rzeki, gdziekolwiek by się nie znajdowali.

Ona i wilk.

Fenrys.

Nie krępowały go żadne łańcuchy, bo nie były potrzebne.

Maeve kazała mu tu zostać i posłuchał. Przez dłuższą chwilę wpatrywali się w siebie.

Aelin nie chciała rozpamiętywać cierpienia, które odebrało jej przytomność, choć na samo wspomnienie pękających kości jej stopy drgnęły. Łańcuchy zadźwięczały.

Powinien zalewać ją ból, ale nie czuła nawet najmniejszego dyskomfortu w stopach. Wyparła z umysłu wspomnienie o tym, jak ów mężczyzna – Cairn – miażdżył je i rozdzierał. Jak wrzeszczała, aż głos ją zawiódł.

To mógł być sen. Jeden z tysięcy, które prześladowały ją wśród ciemności. Płonący jeleń niknący wśród drzew. Godziny na ołtarzu, na którym ciężkimi narzędziami z dawnych lat kruszono jej stopy. Srebrnowłosa księżę, pachnący tak jak jej ojczyzna.

Wspomnienia zlewały się i krwawiły. Nawet ta chwila, w której wpatrywała się w białego wilka, stojącego przy przeciwnej ścianie, mogła być częścią iluzji.

Znów przesunęła palcem po zakrzywionej krawędzi ołtarza.

Wilk zamrugał do niej po trzykroć.

Na samym początku – miesiące, lata temu – wypracowali system porozumiewania się bez słów, gdy parokrotnie udało jej się wydobyć z siebie głos i wyszeptać kilka zdań przez niemalże niewidzialne otwory w żelaznej trumnie.

Jedno mrugnięcie oznaczało „tak”. Dwa – „nie”. Trzy należało rozumieć jako: „Wszystko w porządku?”. Cztery to: „Jestem tu, przy tobie”. Pięć znaczyło: „To się dzieje naprawdę. Obudziłaś się”.

Fenrys ponownie zamrugał trzy razy.

„Wszystko w porządku?”.

Aelin przełknęła ślinę, pokonując opór ściśniętego gardła. Oderwała język od podniebienia.

„Tak” – mrugnęła raz i przeliczyła jego odpowiedź.

„Sześć?”.

Wymyślił to. Pewnie chciał jej przekazać, że kłamie lub coś w tym stylu. Nie przyjęła tego do wiadomości.

„Tak” – zamrugała raz jeszcze.

Ciemne oczy wpatrywały się w nią uważnie. Widział wszystko,

każdą chwilę. Gdyby mógł zmienić postać, powiedziałaby jej, co stanowiło iluzję, a co wydarzyło się naprawdę. O ile cokolwiek działa się tu naprawdę.

Gdy się budziła, nie widziała żadnych ran. Nie czuła też bólu. Towarzyszyło jej jedynie wspomnienie kaźni i uśmiechniętej twarzy Cairna, wznoszącego rękę do kolejnych uderzeń.

To, że pozostawił ją na ołtarzu, oznaczało zapewne, że niebawem powróci.

Aelin zmieniła pozycję, by szarpnąć za łańcuchy. Klódka mocująca maskę do twarzy wbiła jej się w potylicę. Nie miała pojęcia, kiedy po raz ostatni czuła na skórze podmuch wiatru.

Te części jej ciała, których nie zakuto w stal, zasłonięto białą szatą bez rękawów, sięgającą do połowy uda. Jej ramiona i nogi były więc wystawione na pastwę Cairna.

Bywało, że znikła nawet szata, cięta nożem ślizgającym się po jej brzuchu, ale gdy się budziła, szata znów wydawała się nietknięta i wolna od plam.

Uszy Fenrysa drgnęły, co stanowiło dla Aelin ostrzeżenie. Nienawidziła drżenia, które wstąpiło w jej ciało, gdy usłyszała ciche kroki i ktoś pchnął żelazne drzwi, by wejść do komnaty. Było to jedyne wejście. Poza nim nie było tu żadnych okien. Kamienny korytarz, który czasem udawało się jej dostrzec, również był zamknięty na głucho. Ze świata zewnętrznego dobiegał jedynie szum wody, głośniejszy, nim jej oprawca zamknął drzwi.

Ze wszystkich sił powstrzymała drżenie na całym ciele.

– Już się obudziłaś? Najwyraźniej nie przyłożyłem się, jak należy.

Och, ten głos. Ależ go nienawidziła. Stary i zimny... Cairn nosił się jak wojownik, ale przy pasie opinającym jego wąską talię nie było żadnej typowej dla wojownika broni.

Zauważył jej spojrzenie i poklepał ciężki młot zwisający z biodra.

– Masz więc ochotę na więcej?

Nie mogła liczyć na to, że przywoła na pomoc płomienie. Nie było nawet żaru.

Cairn podszedł do niewielkiego stosu bierwion przy którymś

z koszy i dorzucił porcję do ognia. Zaskwierczało i wnet szczapę oblepiły żarłoczne płomienne palce.

Jej magia nawet nie zamigotała w odpowiedzi. Do wszystkich płynów i pokarmów, które wlewano przez niewielki otwór w ustach maski, dodawano sporo żelaza. Z początku, czując jego osobliwy smak, nie chciała jeść i wypluwała wszystko na podłogę. Wkrótce o mało nie umarła z pragnienia, więc napojono ją siłą, a potem pozostawiono samą sobie. Aelin głodowała do granic wytrzymałości, aż pękła i zaczęła pożerać wszystko, co jej dano, ignorując zawartość żelaza.

Nie wracała często myślami do tamtych chwil. Nie myślała o swojej słabości. Usiłowała wyprzeć z pamięci wspomnienie podniecenia na twarzy Cairna, gdy ugięła się i zaczęła jeść. Nie myślała o tym, jak bardzo się wściekał, gdy jego zabiegi nie przynosiły oczekiwanych rezultatów.

Cairn załadował kolejny kosz drewnem i pstryknął palcami na Fenrysa.

– Możesz wyjść na korytarz za potrzebą, po czym masz tu wrócić.

Ogromny wilk podniósł się, jakby widmowa dłoń poderwała go za kark, i wyszedł.

Maeve, jak widać, pomyślała nawet o tym. Mężczyzna miał prawo wydawać Fenrysowi wszelkie rozkazy, łącznie z tym, kiedy miał jeść, pić i sikać. Aelin wiedziała, że Cairn celowo czasami o tym zapominał. Pełne bólu wilcze skamlenie docierało nawet do wnętrza skrzyni. Prawdziwe. Prawdziwe jak mało co.

Mężczyzna stojący przed nią, niedościgniony wojownik, który osiągnął doskonałość we wszystkim z wyjątkiem honoru i uczciwości, zapytał:

– Jak rozegramy to dziś, Aelin?

Nienawidziła, gdy wymawiał jej imię. Odsloniła kły.

Cairn, szybki jak zmija, złapał ją za szyję tak mocno, że mógł pozostawić sińce.

– Nawet teraz pokazujesz zębki, co?

Aelin wiedziała, że nie może pozwolić sobie na to, by jej wściekłość przygasła choć na moment. Nawet gdy pogrążała się we własnym

płonącym morzu, nawet gdy śpiewała ciemności i płomieniom, wściekłość nadal ją prowadziła.

Palce Cairna wbijały się w jej gardło. Z ust Aelin wyrwało się zdławione rżenie.

– Wystarczy kilka słów, a to wszystko dobiegnie końca, księżniczko – wyszeptał Cairn, pochylając się nad nią tak nisko, że jego oddech omiótł usta dziewczyny. – Kilka cichych, krótkich słów, a rozstaniemy się na zawsze.

Nigdy. Przenigdy. Nigdy w życiu nie złoży Maeve przysięgi krwi. Gdyby to zrobiła, musiałaby przekazać jej wszystko, co wiedziała, wszystko, czym była. Stałaby się niewolnicą na wieki. Doprowadziłyby do zagłady świata.

Uścisk Cairna osłabł. Aelin nabrała tchu, ale nadal czuła palce Fae po prawej stronie szyi. Wiedziała dokładnie, jaką bliznę odnalazł. Były to dwa identyczne ślady między szyją a ramieniem.

– Ciekawe – mruknął Cairn.

Aelin wyrwała głowę i znów odsłoniła kły.

Uderzył ją.

Nie w twarz, bo żelazna maska mogłaby pokaleczyć jego kłykcie. Uderzył ją w niczym niechroniony brzuch. Cios wybił jej powietrze z płuc. Zazgrzytało żelazo, gdy Aelin bez powodzenia usiłowała się skulić na boku.

Fenrys bezszelestnie zajął miejsce pod ścianą. W ciemnych oczach wilka zajaśniały troska oraz wściekłość, gdy patrzył na usiłującą złapać oddech dziewczynę, która próbowała zasłonić brzuch zakutymi w kajdany dłońmi. Nie mógł jednak zrobić nic poza zajęciem miejsca na podłodze.

Zamrugnął czterokrotnie.

„Jestem tu, przy tobie”.

Cairn tego nie widział. Nie zareagował na pojedyncze mrugnięcie dziewczyny. Z kąpiącym uśmiechem wpatrywał się w małe znaki na szyi, zasklepięte solą z ciepłych wód Zatoki Czaszek. Na znamiona pozostawione przez Rowana, jej towarzysza życia.

Nie chciała myśleć o tym zbyt długo, tym bardziej że Cairn trzymał

już młot o ciężkim obuchu.

– Gdyby Maeve mi tego nie zabroniła – oznajmił, przyglądając się jej ciału jak malarz pustemu płótnu – zatopiłbym ci w szyi własne kły. Ciekawe, czy ślady pozostawione przez Białego Ciernia by się utrzymały.

W jej żołądku zakotłowało się przerażenie. Widziała już nieraz, do jakiego stanu doprowadzały jej oprawcę długie godziny spędzone w jej towarzystwie. Zacisnęła palce, drapiąc kamień, jakby to była jego twarz.

Cairn przełożył młot do jednej ręki.

– Póki co to musi mi wystarczyć.

Przesunął dłonią po jej ciele. Targnęła się ponownie.

– Aleś ty przewrażliwiona – oznajmił i złapał jej nagie kolano. Ścisnął je lekko. – Ostatnio zaczęliśmy od stóp. Pora przenieść się wyżej.

Aelin przygotowała się na wszystko. Oddychała szybko, by umknąć jak najdalej, by opuścić własne ciało.

Nie pozwoli, by ją złamał. Nigdy nie złoży przysięgi krwi. Dla Terrasenu, dla jej poddanych, których porzuciła na długie dziesięć lat, by w samotności przechodzili własne tortury. Była im to winna.

Oddalała się coraz bardziej, wnikała coraz głębiej, jakby mogła prześcignąć to, co nadciągało, jakby potrafiła się przed tym ukryć.

Młot błysnął w blasku ognia, wzniesiony nad jej kolanem. Cairn wciągnął powietrze, a na jego twarzy zachwyty mieszał się z ekscytacją.

Fenrys zamrugał parokrotnie.

„Jestem tu, przy tobie”.

Nie zatrzymało to opadającego młota.

Ani wrzasku, który wyrwał się z jej ust.

4.

Ten obóz porzucono wiele miesięcy temu – oznajmiła Asterin.

Manon odwróciła się od pokrytego zamrzniętym śniegiem klifu, z którego spoglądała na zachodni skraj Gór Białego Kł. Na Pustkowie.

Asterin zaś nadal kuciała nad resztkami zasypanego przez zamieć paleniska. Lodowaty wiatr trącał kępki koziego futra, które zarzuciła na ramiona.

– Nikogo tu nie było od wczesnej jesieni – dodała.

Manon sama się tego domyśliła. Cienie zauważyły to miejsce godzinę temu podczas zwiadu. Jakimś cudem udało im się wypatrzeć nieregularności, sprytnie ukryte po zawietrznej skalistego szczytu. Matka jedna wiedziała, że Manon przeleciałaby nad obozowiskiem i niczego by nie dostrzegła.

Asterin wstała i strzepnęła śnieg z kolan skórzanego stroju. Nawet gruby materiał nie chronił przez bezlitosnym zimnem, więc dodatkowo zaczęły się okrywać kozimi skórąmi.

„Dzięki nim łatwiej wtopić się w otoczenie” – oświadczyła Edda. Cień nawet przestała farbować sobie włosy, by jej ulubiona czerń ustąpiła miejsca księżycowej bieli, z którą przyszła na świat. Tej samej bieli co u Manon. Briar zaś nadal farbowała sobie włosy, bo jedna z nich musiała prowadzić rozpoznanie również w nocy.

Manon przyglądała się teraz, jak oba Cienie ostrożnie przekradają się przez obóz.

„Może to już nie cienie – pomyślała. – Teraz przypominają dwa oblicza księżycy, jedno ciemne, a drugie jasne. To jedna z wielu zmian, jakie zaszły na łonie Trzynastki”.

Wypuściła dech, natychmiast rozwiany przez podmuch wiatru.

– Są gdzieś tam – mruknęła do niej Asterin na tyle cicho, by nie usłyszały jej pozostałe wiedźmy, zgromadzone pod nawisem, ochraniającym je przed podmuchami wiatru.

– Trzy obozy – odparła Manon równie cicho. – I wszystkie

opuszczone. Polujemy na duchy.

Kosmyk złocistych włosów Asterin wyrwał się z warkocza i uniósł ku zachodowi, ku ojczyźnie, której być może nigdy już nie ujrzą.

- Obozy sugerują, że to wcale nie duchy. Nasz przeciwnik jest z krwi i kości. Ghislaine sądzi, że obozy powstały podczas polowań pod koniec lata.

- Równie dobrze mogły pozostać po miejscowych góralach – odparła Manon, choć wiedziała, że to nieprawda. Przez ostatnie sto lat polowała na Crochan na tyle często, że umiała teraz rozpoznać ich sposób rozpalania ognisk czy stawiania obozów. Żadna z wiedźm Trzynastki nie miała co do tego wątpliwości. Co więcej, na służbie u Erawana wielokrotnie polowały na dzikich górali, przez co poznały również ich zwyczaje.

Spojrzenie czarnych, upstrzonych złotymi plamkami oczu Asterin padło na rozmyty horyzont.

- Odnajdziemy je.

Niebawem. Przecież wkrótce musiały się natknąć choćby na kilka Crochan. Manon wiedziała, że nie pozostało ich wiele, ale miały sposoby, by się komunikować. W razie potrzeby umiały wezwać pomoc.

Czas, niestety, nie był po ich stronie. Od wydarzeń na plaży upłynęły już dwa miesiące. Przez dwa miesiące Manon żyła ze świadomością, jak straszliwą cenę musiała zapłacić królowa Terrasenu, by powstrzymać to szaleństwo. W razie potrzeby mógł ją zastąpić ktoś inny z rodu Mali.

Manon powstrzymała pokusę, by spojrzeć przez ramię na króla Adarlanu, który stał wśród wiedźm i zabawiał Vestę przyzywaniem ognia, wody i lodu. Strużki trzech żywiołów tańczyły leniwie wokół siebie na dłoni Doriana, a Vesta uniosła brew, najwyraźniej pod wrażeniem skromnego pokazu potwornej, niepojętej mocy. Manon widziała już wzrok, jakim rudowłosa wojowniczką obrzucała króla, ale zauważyła też, iż Vesta roztropnie powstrzymywała się od jakichkolwiek kroków.

Było to dziwne, gdyż Manon niczego jej nie zakazywała. Nie wyjawiała też żadnej z wiedźm, kim naprawdę był dla niej ludzki król.

W pierwszym odruchu chciałyby rzec, iż był nikim. Kimś równie niezależnym jak ona. Kimś, kto także dusił w sobie wściekłość i żył w przeświadczeniu, że kończy mu się czas. Poszukiwania trzeciego, ostatniego Klucza Wyrda nie przyniosły żadnego rezultatu. Dwa, które król nosił w kieszeni, w niczym nie pomagały, a jedynie roztaczały wokół siebie smród nie z tego świata. Nie mieli pojęcia, gdzie Erawan trzymał ostatni z nich, a rozpoczęcie poszukiwań w Morath byłoby samobójstwem.

Po kilku miesiącach bezowocnych wędrówek Manon postanowiła, że spróbują odnaleźć Crochan. Król z początku protestował, ale ustąpił. Jego sojusznicy i przyjaciele na północy potrzebowali jak najwięcej wojowników, a po odnalezieniu Crochan... Manon nie miała najmniejszego zamiaru łamać danego słowa.

Może i była wygnaną dziedziczką Klanu Czarnodziobych i dowodziła teraz jedynie dwunastoma wiedźmami, ale nadal była gotowa dotrzymać słowa.

Uparła się więc, by odnaleźć Crochan, a potem przekonać je, by poleciały na wojnę wraz z Trzynastką. Z nią. Z ich ostatnią żyjącą królową.

Nawet gdyby miała je poprowadzić prosto w objęcia Ciemności.

Słońce wzniosło się jeszcze wyżej, a jego blask, odbijający się od śniegu, niemalże oślepił. Nie warto było zwlekać. Przetrwały ostatnie dwa miesiące dzięki sile i sprytowi, bo gdy same szukały Crochan, ktoś inny polował na nie. Zazwyczaj były to Żółtonogie i Błękitnokrwiste. Trzynastka natrafiała głównie na ich patrole zwiadowcze. Manon zakazała swym wiedźmom wdawać się w starcia i zabijać członkinie innych klanów. Brakujący patrol Żelaznozębnych wskazałby reszcie, gdzie należy ich szukać, choć Dorian mógł połamać wrogim wiedźmom karki bez unoszenia ręki.

Manon żałowała, że nie przyszedł na świat jako członek ich rasy, ale cieszyła się z tego, że mają śmiertelnie groźnego sojusznika. Pozostałe wiedźmy również.

– Co powiesz Crochan, gdy je w końcu znajdziemy? – spytała z zadumą Asterin.

Manon nieraz się nad tym zastanawiała. Ciekawa była, czy Crochan będą pamiętały, kim była Lothian Czarnodzioba i że kochała ojca

Manon, jednego z książąt Crochan, którzy rzadko przychodzili na świat. Czy będą wiedziały, że jej rodzice marzyli, a nawet uwierzyli w to, że ich dziecko przełamie klątwę Żelaznozębnych i zjednoczy ich ludy.

Miała być dzieckiem pokoju, a nie wojny.

Dla niej były to jednak obce słowa. Miłość. Pokój.

Manon przesunęła dłonią w rękawicy po strzępie czerwonej tkaniny, którym obwiązała jeden z warkoczy. Strzęp pochodził z płaszcza jej przyrodniej siostry, Rhiannon, rzekomo ostatniej królowej wiedźm. Manon była do niej bardzo podobna.

– Poproszę je chyba najpierw, by nie strzelały.

Usta Asterin drgnęły, jakby chciała się uśmiechnąć.

– Miałam na myśli twoje pochodzenie.

Manon rzadko kiedy się czegoś bała, rzadko wzdragała się przed czymś, ale wypowiedzenie tych słów...

– Nie wiem – przyznała. – Zobaczymy, gdy przyjdzie co do czego.

Biały Demon. Tak nazywały ją Crochan. Manon wiedziała, że zajmuje jedno z pierwszych miejsc na liście wrogów do zabicia. Była tą, którą każda Crochan zamordowałyby bez wahania.

Choćby już samo to świadczyło o fakcie, że Crochan nie miały pojęcia, kim dla nich była.

A mimo to jej siostra przyrodnia jakoś się domyśliła prawdy. Po czym Manon poderżnęła jej gardło.

Babka drwiąco przezwała ją Manon Siostróbójczynią. Przypuszczalnie nie posiadała się z radości za każdym razem, gdy Manon przynosiła jej serce zabitej Crochan przez ostatnie sto lat.

Przywódczyni wiedźm zacisnęła powieki i wsłuchała się w głucho wycie wiatru. Abraxos za jej plecami zaskamlał niecierpliwie, ze złością. Tak, wszyscy byli głodni.

– Nie odstępimy cię, Manon – powiedziała cicho Asterin.

Wiedźma odwróciła się ku kuzynce.

– Czy naprawdę zasłużyłam sobie na ten zaszczyt?

Asterin zacisnęła usta w cienką linię. Na jej nosie znać było

niewielkie wybrzuszenie, pamiątkę po miejscu, w którym został złamany przez samą Manon. Przywódczyni Trzynastki ukarała ją w ten sposób za bójkę z pyskatą Żółtonogą, ale Asterin nigdy się nie poskarżyła. Wręcz przeciwnie – dla niej blizna była powodem do dumy.

– Tylko ty możesz zdecydować, czy na to zasługujesz, Manon.

Słowa Asterin utkwily głęboko. Manon przeniosła wzrok na zachodni horyzont. Być może zasłuży sobie na ten zaszczyt bardziej, jeśli przywiedzie wiedźmy do domu, którego nigdy nie widziały.

O ile przeżyją wojnę i wszystkie straszne czyny, których trzeba będzie dokonać, nim ta dobiegnie końca.

Wymknięcie się z obozowiska trzynastu śpiących wiedźm oraz ich wyvern nie należało do łatwych zadań, ale Dorian Havilliard przyglądał im się od dawna. Wiedział, która z nich śpi najmocniej, która zamelduje o tym, że odchodzi od ogniska, a która będzie trzymać gębę na kłódkę. Obserwował je od tygodni, a w jego głowie powstawał plan.

Obozowali na niewielkim skalnym cyplu, gdzie znaleźli ślady po dawno opuszczonym obozowisku wiedźm. Trzynastka schroniła się pod nawisem, gdzie otoczyły je ciepłe ciała wyvern.

Nie miał wiele czasu, ale ćwiczył już od kilku tygodni. Podnosił się z zaspaną, skwaszoną miną, jak człowiek, który musi w środku nocy zaspokoić swoje potrzeby. Chciał, by wiedźmy przyzwyczyły się do jego nocnych wypadów poza obóz. By Manon nie nabrała podejrzeń.

Nie było między nimi żadnych deklaracji, ale mimo to ich posłania co noc znajdowały się obok siebie. Obóz pełen wiedźm oczywiście nie sprzyjał zbliżeniom, ale znajdowali na nie czas gdzie indziej, wśród zamarzniętych, zimowych drzew na owianych śniegiem przełęczach. Ich dłonie wpijały się chciwie w skrawki nagości, które odważyli się wystawić na chłodne powietrze. Każde zbliżenie okazywało się krótkie, dzikie. Kły, pazury, głucho warczenie, nie tylko ze strony Manon.

Niemniej po całym dniu bezowocnych poszukiwań i wymykania się wrogom, podczas gdy jego przyjaciele wykrwawiali się w walce o swe ojczyzny, Dorian potrzebował jakiegoś ujścia dla swojej frustracji.

Manon zresztą również. Nigdy nie rozmawiali o tym, co ich prześladowało, z czego Dorian się cieszył.

Czuł, że staje się przez to kimś innym, ale nie miał pojęcia, co to tak naprawdę oznacza.

Na ogół, szczerze powiedziawszy, jego serce pozostawało puste. Nie odczuwał nic od wielu tygodni, nie licząc owych dzikich, skradzionych chwil z Manon. Wyjątkiem były też treningi z Trzynastką, kiedy to ogarniała go prymitywna furia, nakazująca mu wznosić miecz i podrywać się za każdym razem, gdy padł na ziemię. Szkolił się w walce na miecze, strzelaniu z łuku, posługiwaniu się nożem, tropieniu... Wiedźmy uczyły go wszystkiego, na czym się znały, a na pasie młodego króla, obok ciężkiego Damaris, zawisł wiedźmi nóż. Był to dar od Sorrel o kamiennym obliczu, wręczony mu, gdy po raz pierwszy zdołał przygnieść ją do ziemi dwa tygodnie temu.

Niemniej gdy trening dobiegał końca i zasiadali wokół niewielkiego ogniska, które wiedźmy odważały się rozpalić każdej nocy, Dorian zawsze zastanawiał się, czy są w stanie wyczuć szarpiący nim niepokój. Zadawał sobie w myślach pytanie, czy wiedzą, że wcale nie szukał miejsca, by się wysikać.

Kluczył wśród posłań, a potem prześlizgnął się przez niewielką szczelinę między Abraxosem i Narene, błękitną kłaczą Asterin. Skinął pełniącą wartę rudowłosej Veście, która pomimo okrutnego zimna uśmiechnęła się do niego zawadiacko, a potem skręcił za skały i znikł im z oczu.

Wybrał jej wartę nie bez powodu. Do Trzynastki należały wiedźmy, które w ogóle się nie uśmiechały. Była wśród nich Lin, która spoglądała na niego, jakby nadal się zastanawiała, czy go nie poćwiartować, by obejrzeć sobie jego wnętrzności. Była Imogen, która trzymała się na osobności i nie uśmiechała się w ogóle do nikogo. Były Thea i Kaya, które uśmiechały się tylko do siebie, a gdy uśmiech pojawiał się na twarzach Faline i Fallon, zwanych przez resztę zielonookimi demonicami, lepiej było brać nogi za pas, gdyż nadciągała zagłada.

Każda z nich nabrałaby podejrzeń, gdyby znikł na zbyt długo, ale Vesta, która flirtowała z nim bezwstydnie, pozwalała mu na długą nieobecność poza obozem. Pewnie bała się reakcji Manon, gdyby ta

dowiedziała się, że śledzi Doriana w nocy.

Czuł się jak łajdak. Wiedział, że nie powinien wykorzystywać ich słabości, choćby dlatego, że ryzykowały własne życie, by odnaleźć Crochan.

Jego odczucia nie miały jednak żadnego znaczenia. Cóż z tego, że okazywał wiedźmom szacunek? Cóż z tego, że dbał o siebie? Nigdy niczego nie zyskał, gdy okazywał komuś troskę. Sorschy również to w niczym nie pomogło.

Poza tym i tak w głębi serca wyrzekł się już wszystkiego. Liczyło się tylko zamknięcie Bramy Wyrda. Czuł przy boku ciężar Damaris, ale na ogół nawet o nim nie myślał, gdyż jego myśli krążyły wokół dwóch przedmiotów, które trzymał w kieszeni ciężkiej kurty. Na szczęście szybko nauczył się ignorować ich szepty i kuszenie rodem z innego świata. Na ogół mu się to udawało.

Żadna z wiedźm nie zwróciła uwagi, że bez większych oporów dał się przekonać do zarzucenia poszukiwania trzeciego Klucza. Wiedział, że klótnie nic nie dadzą, a więc ustąpił i zaczął knuć. Pozwolił, by Manon oraz pozostałe uznały, że wystarcza mu rola magicznego strażnika całego sabatu.

Wnet dotarł na osłoniętą głazami polankę, którą wypatrzył wcześniej podczas rzekomo bezcelowego spaceru. Tam szybko przystąpił do przygotowań.

Zapamiętał każdy ruch Aelin, gdy rozsmarowywała swą krew na podłodze gospody w Zatoce Czaszek.

Ale to nie Elenę chciał przywołać.

Gdy na śniegu widniały już czerwone Znaki, Dorian upewnił się, czy wiatr nadal niesie jego zapach w kierunku przeciwnym do wiedźmiego obozu, po czym wyjął Damaris i wbił go w sam środek kręgu Znaków Wyrda.

Czekał.

Magia szumiała rytmicznie w jego ciele, gdyż odważył się wezwać mały płomień, by ogrzać ciało i uchronić się od śmierci z wyziębienia.

Pierwszym wytworem jego magii był lód, przez co Dorian sądził, że magia lodu powinna przychodzić mu łatwiej, a on sam powinien być choć częściowo nań odporny. Niestety, nie stwierdził ani jednego, ani

drugiego. Powiedział sobie, że jeśli zdołają dotrzeć do letnich upałów, już nigdy nie będzie na nie narzekał.

Podczas długich tygodni bezcelowych poszukiwań ćwiczył się w posługiwaniu się mocą. Żadna z wiedźm nie dysponowała magią, jeśli nie liczyć Uwolnienia, po które wedle ich zapewnień można było sięgnąć jedynie raz, ale za to z prawdziwie niszczycielskim, przerażającym skutkiem. Mimo to wiedźmy z pewnym zainteresowaniem przyglądały się Dorianowi, który powtarzał nauki, udzielone mu przez Rowana.

Lód. Ogień. Woda. Leczenie. Wiatr. Wśród takich mrozów próby wyciągnięcia jakiegokolwiek życia z zamrożonej ziemi spełzały na niczym, ale mimo to nie przestawał próbować. Jediną formą magii, która zawsze zjawiała się na jego żądanie, była owa niewidzialna moc, zdolna łamać kości. Ta podobała się wiedźmom najbardziej, zwłaszcza że to dzięki niej Dorian stawał się najlepszą linią obrony przeciwko wrogom. Śmierć... Tak, śmierć była jego największym darem. Wyglądało na to, że poza nią nie może swoim przyjaciółom zaoferować nic innego. W tym aspekcie nie był wiele lepszy od swego ojca.

Ciepło niewidzialnego płomienia przenikało go, uspokajało, wyciszało.

Nie mieli żadnych wieści o Aelin. Nie słyszeli nic o Rowanie i jego towarzyszach. Nie mieli pojęcia, czy królowa nadal pozostawała więźniem Maeve.

Aelin była gotowa poświęcić wszystko, by ocalić Terrasen oraz ich wszystkich, a więc on, Dorian, musiał pójść w jej ślady. Wszak Aelin miała o wiele więcej do stracenia. Miała wybrańca serca, który ją kochał. Miała dwór, który był gotów skoczyć za nią do czeluści piekielnej. Miała królestwo, które od dawna czekało na jej powrót. Tymczasem on mógł się pochwalić jedynie nieoznaczonym grobem, w którym spoczywała zapomniana przez wszystkich uzdrowicielka, rozbite imperium oraz strzaskany zamek.

Zacisnął na chwilę powieki, by odpędzić od siebie wspomnienie eksplodującego szklanego zamku oraz własnego ojca, wyciągającego ku niemu rękę, błagającego o wybaczenie. Ojciec był potworem. Był potworem w każdym możliwym aspekcie. Spłodził Dorianą, gdy był opętany przez Valga.

Kim się przez to stał? Krew miał czerwoną, a księżę Valgów, który osobiście przejął ciało Doriana, z rozkoszą pożywiał się jego duszą. Zmuszał go, by rozkoszował się wszystkim, co robił, nosząc czarny naszyjnik. Czy był nadal w pełni człowiekiem?

Dorian odetchnął głęboko i otworzył oczy.

Na zaśnieżonej polanie stał samotny mężczyzna.

Młody król uklonił się nisko.

– Witaj, Gavinie.

Pierwszy król Adarlanu miał takie same oczy jak Dorian. Czy raczej należałoby rzec, że to Dorian miał oczy Gavina, dziedziczone z pokolenia na pokolenie przez tysiąc lat.

Poza oczami oblicze władcy wydawało się obce, dziwne. Gavin miał długie, ciemnobrązowe włosy, surowe rysy i mocno zaciśnięte, poważne usta.

– Poznałeś sztukę kreślenia Znaków – rzekł.

Dorian się wyprostował.

– Szybko się uczę.

Gavin nie odpowiedział mu uśmiechem.

– Przywoływanie nie jest darem, z którego można beztrąsko korzystać. Wiele ryzykujesz, młody królu, przyzywając mnie tutaj, zważwszy na to, co nosisz w kieszeni.

Dorian poklepał wybrzuszenie kurtki, zdradzające miejsce ukrycia dwóch Kluczy Wyrda, ignorując przy tym osobliwą, straszną moc, którą zapłonęły w odpowiedzi.

– Ostatnio wszystko pociąga za sobą ryzyko – rzekł, ponownie się prostując. – Potrzebuję twojej pomocy.

Gavin nie odpowiedział. Jego spojrzenie przesunęło się na Damaris, nadal wbity w śnieg pośród Znaków Wyrda. Dorian wykorzystał miecz, który ongiś należał do króla, by przywołać akurat jego, tak jak Aelin sięgnęła po Oko Eleny, by porozmawiać z królową sprzed wieków.

– Przynajmniej zatroszczyłeś się o mój miecz – powiedział Gavin,

po czym przeniósł wzrok na Doriana. Jego spojrzenie było równie ostre jak sama klinga. – Czego nie mogę powiedzieć o moim królestwie.

Dorian zacisnął szczęki.

– Obawiam się, że odziedziczyłem po ojcu niezły bałagan.

– Ale byłeś księciem Adarlanu na długo, zanim stałeś się jego królem.

Magia Doriana zakotłowała się i buchnęła lodem, zimniejszym niż noc dookoła niego.

– A więc uznaj, że próbuję odpokutować za lata złego zachowania.

Gavin wpatrywał się w niego długo, nieskończenie wręcz długo. Dorian nie miał wątpliwości, że patrzy na prawdziwego króla, nie tylko z tytułu, ale też z usposobienia i charakteru. Mało kto mógł mu dorównać po tym, jak jego ciało złożono w grobowcu w podziemiach zamku, który wznosił nad brzegiem Avery.

Dorian wytrzymał ciężar spojrzenia. Chciał, by starożytny król ujrzał, co z niego zostało. Chciał, by spostrzegł błady ślad dookoła gardła.

Potem Gavin zamrugnął, jakby dawał przyzwolenie, by Dorian mówił dalej. Ten przełknął ślinę.

– Gdzie jest trzeci Klucz? – zapytał.

Gavin zeszywniał.

– Nie wolno mi tego wyjawić – rzekł.

– Nie wolno ci czy nie chcesz? – Dorian wiedział, że powinien klęczeć i odzywać się z szacunkiem. Ile legend o Gavinie przeczytał jako dziecko? Ile razy biegał po korytarzach zamku, udając stojącego przed nim króla?

Wyciągnął Amulet Orynthu zza pazuchy i pozwolił, by ten zakołysał się na ostrym wietrze. Ze złocisto-błękitnego medalionu dobywała się cicha, upiorna pieśń w językach, które już nie istniały.

– Brannon Galathynius okazał nieposłuszeństwo bogom i umieścił tu Klucz jako ostrzeżenie dla Aelin. Ty mógłbyś chociaż dać mi jakąś wskazówkę.

Postać Gavina zaczynała rzednieć. Czas się kończył.

– Brannon Galathynius był aroganckim łajdakiem. Widziałem, jakie są konsekwencje mieszania się w boskie plany. To nie skończy się dobrze.

– To twoja żona wywołała to zamieszanie. Nie bogowie.

Gavin odsłonił zęby. Choć nie żył od wielu setek lat, magia Doriana rozjarzyła się, gotując się do uderzenia.

– Moja towarzyszka życia – wywarczał – jest ceną za to zamieszanie. Jeśli Klucze zostaną odzyskane, ona zniknie na zawsze. Wiesz, jak to jest, młody królu? Wiesz, jak to jest, gdy ktoś ma wieczność dla siebie, a potem nagle ją straci?

Dorian nie miał zamiaru odpowiadać.

– Nie chcesz, żebym znalazł trzeci Klucz, bo to będzie oznaczało koniec Eleny?

Gavin nie odpowiedział.

– Tysiące, dziesiątki tysięcy ludzi zginą, jeśli Klucze nie zostaną wsunięte w Bramę – warknął Dorian i wepchnął Amulet Orynthu pod kurtkę. Znów zignorował szum z innego świata, który rozlał się po jego ciele. – Nie możesz chyba być aż takim egoistą!

Gavin milczał. Wiatr poruszał jego ciemnymi włosami. Oczy króla zamigotały.

– Powiedz mi – wyszeptał Dorian. Czuł, że lada moment Vesta zacznie go szukać. – Powiedz mi, gdzie znajduje się trzeci Klucz.

– Ty również stracisz życie, jeśli odzyskasz Klucze i wykujesz Zamek. Ba, utracisz nie tylko życie, ale również duszę! Nie pozostanie po tobie nawet strzęp!

– Wątpię, by komuś było przykro z tego powodu – odparł Dorian. Jemu nie zależało na własnym życiu. Co więcej, bez wątpienia zasłużył sobie na ten los po tym, jak tyle razy poniósł porażkę. Po tym, co miał na sumieniu.

Gavin przyglądał mu się przez dłuższą chwilę, a Dorian bez ruchu wytrzymał jego zaciekle spojrzenie. Nie bał się, choć Gavin był srogim wojownikiem i przetrwał drugą wojnę z Erawanem.

– Elena pomogła Aelin – naciskał Dorian. Wokół jego ust kłębiła się

para. – Nie zawahała się ani przez chwilę, choć wiedziała, że przyjdzie jej zapłacić wysoką cenę. Aelin również poświęciła zarówno długie życie u boku swego wybrańca, jak i wieczność wraz z nim. – „Też bym się nie wahał ani chwili” – dodał w myślach. Serce biło mu mocno, a magia potężniała z każdym jego uderzeniem. – A ty nie masz na to ochoty. Ty chcesz przed tym uciec.

Kły Gavina błysnęły.

- Erawana można pokonać bez zamykania Bramy.
- Powiedz mi, jak tego dokonać, a ja znajdę na to sposób.

Mimo to Gavin zamilkł ponownie i zacisnął pięści.

Dorian, widząc to, parsknął cicho.

- Gdybyś naprawdę to wiedział, już dawno byś tego dokonał.

Gavin potrząsnął głową, ale Dorian brnął:

– Twoi przyjaciele zginęli w walce z hordami Erawana. Chcę oszczędzić moim tego samego losu, a więc pomóż mi! Dla niektórych już może być za późno!

Poczuł ucisk w żołądku. Czy Chaol dotarł na południowy kontynent? Być może byłoby lepiej, gdyby jego przyjaciel nigdy nie powrócił, gdyby pozostał w bezpiecznej Antice. Coś mu jednak mówiło, że Chaol nigdy by tego nie zrobił.

Dorian zerknął na skały, zza których wyszedł. Nie pozostało mu już wiele czasu.

– A co z Adarlanem? – zapytał ostro Gavin. – Chcesz, by królestwo pozostało bez władcy?

Pytanie było dowodem na to, co Gavin sądził o Hollinie.

– W ten sposób chcesz zadośćuczynić za lata, które zmarnowałeś jako następca tronu?

Cios zabolął. Słowa człowieka, który służył swemu bezimiennemu bogu, były wyłącznie prawdą.

– Czy to ma jakieś znaczenie?

– Adarlan był moją dumą.

– To królestwo nie jest już tego godne – parsknął Dorian. – I to od wielu, wielu lat. Być może zasługuje na to, by popaść w ruinę.

Gavin przechylił głowę.

– Oto słowa lekkomyślnego, aroganckiego młodzieńca. Myślisz, że jesteś jedynym, który poniósł stratę?

– Tymczasem to ty boisz się straty tak bardzo, że przedkładasz jedną kobietę ponad cały świat!

– Gdybyś miał wybór: twa ukochana czy cała Erilea, podjąłbyś inną decyzję?

„Sorscha czy świat?”.

To pytanie rozbrzmiało głuchym echem w duszy Doriana, a ogień nieco przygasł. Mimo to ośmielił się odpowiedzieć:

– Zwodzisz się myślami o tym, co cię czeka, a przecież służyłeś bogu prawdy!

Chaol opowiedział mu o ich odkryciu w kanałach pod Rifthold, które miało miejsce tej wiosny. Natrafił bowiem na świątynię z kości, w której zapisano przedśmiertne wyznanie Gavina.

– A cóż takiego *on* powie o roli, jaką odegrała Elena? – dodał.

– Wszechwiedzącego nie łączy żadne pokrewieństwo z tymi tchórzliwymi, bojaźliwymi istotami! – warknął Gavin.

Dorian mógłby przysiąc, że przełęczą przemknął suchy wiatr, niosący kłęby pyłu.

– A więc czym on jest?

– A czy nie może istnieć wielu bogów, pochodzących z wielu miejsc? Niektórzy urodzeni na tym świecie, a inni gdzieś indziej?

– Tę kwestię chętnie bym rozważył w innych okolicznościach – wycedził Dorian. – Na przykład po wojnie. – Odetchnął raz, a potem ponownie. – Proszę – szepnął. – Proszę, pomóż mi ocalić moich przyjaciół. Pomóż mi to naprawić.

Poza tą ostatnią misją nie miał już nic.

Gavin przyglądał mu się, oceniał, taksował. Dorian znosił jego wzrok. Chciał, by starożytny król rozgryzł jego duszę i wyczytał z niej tyle prawdy, ile potrzebował.

Naraz oblicze zmarłego władcy przyćmiły ból oraz żal.

– Klucz znajduje się w Morath – rzekł.

Dorianowi zaschło w ustach.

– Gdzie dokładnie?

– Nie wiem.

Dorian uwierzył mu, a wszelkie wątpliwości rozwiął lęk, dojrzany w oczach Gavina. Starożytny król wskazał Damaris.

– Ten miecz to nie ozdoba. Pozwól, by cię poprowadził, skoro nie ufasz sobie.

– Mam uwierzyć w to, że miecz wskaże mi prawdę?

– Został pobłogosławiony przez samego Wszechwiedzącego po tym, jak poprzysiągł mu lojalność – odparł Gavin i wzruszył ramionami. W geście czegoś brakowało, zupełnie jakby w duszy Gavin pozostał dzikim wodzem, który nigdy nie opuścił pustkowi Adarlanu, by zostać Najwyższym Królem. – A tego, co jest prawdą, a co kłamstwem, musisz nauczyć się sam.

– Damaris pomoże mi odnaleźć Klucz w Morath?

Na samą myśl o wdarciu się do twierdzy Erawana, gdzie wykonywano wszystkie naszyjniki...

Gavin zacisnął usta.

– Nie mogę ci tego powiedzieć, ale zapamiętaj jedno. Nie zapuszczaj się jeszcze do Morath. Musisz być gotowy.

– Ja już jestem gotowy! – Dorian wypalił bez namysłu, choć wiedział, że to bzdura.

Gavin również to wiedział. Młody król ze wszystkich sił powstrzymał odruch dotknięcia bladego znamienia po naszyjniku. – Morath to nie tylko twierdza – rzekł Gavin. – To prawdziwe piekło i nie miejsce dla lekkomyślnych, młodych ludzi.

Dorian zeszywniał, ale władca mówił dalej:

– Będiesz wiedział, kiedy naprawdę osiągniesz gotowość. Pozostań w tym obozie, jeśli zdołasz przekonać swe towarzyszki, a ścieżka sama cię odnajdzie.

Postać Gavina rozmywała się, a jego twarz ciemniała.

Dorian ośmielił się zrobić krok naprzód.

– Czy ja jestem człowiekiem? – zapytał.

Blask szafirowych oczu Gavina złagodniał, ale tylko odrobinę.

– Nie jestem tym, kto potrafi odpowiedzieć na to pytanie – odparł pierwszy król Adarlanu i znikł.

5.

Oficer w uliczce utrzymywał, że jego ostatnie rozkazy przybyły z Doranelle, ale nie wiedzieli, czy można mu wierzyć.

Gdy usiedli przy niewielkim ognisku, rozpalonym na pylistym polu na obrzeżach rozpadającej się mieściny, Lorcan Salvaterre spojrzął na swoje dłonie, oczyszczone już z krwi, i raz jeszcze spróbował doszukać się logiki w tym, co wiedzieli.

Czy to możliwe, by przeoczyli najbardziej oczywiste? Czy to możliwe, by Maeve przez cały czas przebywała w Doranelle, ukryta przed poddanymi?

Ale przecież ten oficer kłamał w żywe oczy. Ba, splunął Lorcanowi w twarz, zanim odebrali mu życie.

Inny oficer, odnaleziony dziś po tygodniowych poszukiwaniach w nadmorskim porcie, utrzymywał, że dostał rozkazy z odległego królestwa, które przeszukali trzy tygodnie temu. Co więcej, leżało ono w przeciwnym kierunku niż Doranelle.

Lorcan trącił butem grudkę piasku.

Nikt nie miał ochoty się odzywać po tym, jak drugi z przesłuchanych oficerów zaprzeczył temu, co usłyszeli od pierwszego.

– Doranelle to twierdza Maeve – odezwała się w końcu Elide. Jej mocny głos przegnał ciężką ciszę. – Rozsądek podpowiada, że zabrałaby Aelin właśnie tam.

Biały Cierń wpatrywał się w płomienie. Nie starł jeszcze krwi ze swego ciemnoszarego kaftana.

– Nawet Maeve nie zdołałaby utrzymać jej obecności w Doranelle w tajemnicy – zaprzeczył Lorcan. – Już byśmy coś o tym wiedzieli.

Nie miał pojęcia, kiedy po raz ostatni zwrócił się do tej kobiety. Zauważył natomiast, że nie odwracała spojrzenia, gdy łamał dowódców Maeve. Wzdrygała się co prawda w najgorszych chwilach, ale bacznie przysłuchiwała się każdemu słowu, które Rowanowi

i Lorcanowi udawało się z nich wycisnąć. Przypuszczał, że w Morath widywała o wiele gorsze rzeczy i budziło to w nim wściekłość. Nienawidził jej przebrzydłego wuja za to, że ten wciąż oddychał.

Obiecał sobie, że go dopadnie, ale najpierw musieli odnaleźć Aelin bądź to, co z niej zostało.

– Maeve udało się ukryć obecność Gavriela i Fenrysa przed Rowanem w Zatoce Czaszek – sprzeciwiła się Elide, której oczy nagle ochłodziły. – Co więcej, ukryła też całą swą flotę.

Lorcan nie odpowiedział.

– Maeve wie, że w jej przypadku Doranelle wydaje się oczywistym wyborem – ciągnęła Elide, a jej spojrzenie nawet nie drgnęło. – Wie też, że z tego powodu odrzucilibyśmy go jako nazbyt prosty i założylibyśmy, że zamiast do domu zabrała Aelin gdzieś na najdalsze krańce Erilei.

– Gdziekolwiek jest, Maeve zawsze będzie mogła liczyć na swą armię – rzekł Gavriel. Grdyka przesunęła mu się w górę i w dół na wytatuowanej szyi. – A to znacznie utrudni akcję ratunkową.

Lorcan miał ochotę powiedzieć mu, by się zamknął. Zauważył, że ten robi wszystko, by pomóc Elide i często z nią rozmawia. W gruncie rzeczy był mu za to wdzięczny, bo wiedział, że od niego nie przyjęłaby żadnej formy pomocy.

„Niech mnie Hellas przeklnie – pomyślał. – Doszło do tego, że oddaję swą pociętą koszulę Białemu Cierniowi i Gavrielowi, by ci przekazali ją miesiączkującej Elide”.

Zagroził, że obedrze ich żywcem ze skóry, jeśli któryś powie, że koszula należała do niego. Elide zaś, która dysponowała tylko ludzkim powonieniem, nie wyczuła jego zapachu.

Nie miał pojęcia, dlaczego mu w ogóle zależało. Nie zapomniał wszak jej ostatnich słów na plaży.

„Mam nadzieję, że spędzisz resztę swego żalostnego, nieśmiertelnego życia, cierpiąc. Mam nadzieję, że spędzisz je w samotności. Mam nadzieję, że ani przez chwilę nie opuszczą cię żal i poczucie winy i że nigdy nie znajdziesz sposobu, by je zwalczyć”.

Nie wiedział, czy jej słowa to przysięga czy klątwa, ale okazały się celnym ciosem i wdarły się prosto do jego serca. Był świadom, że

zniszczył coś niebywale cennego. Coś, czym nigdy, aż do tej chwili, nie zaprzętał sobie głowy.

Nawet wielka jama w jego duszy, pozostawiona przez przeciętą przysięgę krwi, nijak się miała do wyrwy w sercu, odzywającej się bólem za każdym razem, gdy spojrzął na Elide.

Zaproponowała mu dom w Perrancie, wiedząc, że zostanie pohańbiony. Chciała, by mieszkał z nią.

Jej propozycja była już od dawna nieaktualna, ale powodem wcale nie było to, że Maeve zerwała przysięgę krwi. Nie, przyczyną była zdrada tak wielka, że nie wiedział, jak ją naprawić.

„Gdzie jest Aelin? Gdzie moja żona?”.

Żona Białego Ciernia. Jego towarzyszka życia.

Tylko ta wyprawa, tylko niekończące się poszukiwanie Aelin powstrzymały Lorcana przed pogrążeniem się w mroku, z którego już by się nie wydostał.

Być może, gdy ją odbiją – o ile Aelin zdoła przeżyć tortury zadane jej przez Cairna – nauczy się jakoś żyć ze sobą. Znajdzie sposób, by wytrzymać to, kim się stał, choć nie wiedział, czy i pięćset lat wystarczy.

Nie chciał myśleć o tym, że z Elide zostanie wówczas już tylko garstka popiołu na wietrze. Na samą myśl o tym nędzny posiłek, składający się z czerstwego chleba i twardego sera, zamieniał się w jego ustach w popiół.

Był durniem. Nieśmiertelnym idiotą. Po co w ogóle się angażował? Dlaczego zapominał o tym, że nawet jeśli Elide mu wybaczy, nie odbierze jej to śmiertelności?

– Oficer, którego dziś dorwaliśmy, zeznał, że rozkazy pochodziły z Akkadii – odezwał się w końcu. – Niewykluczone, że Maeve zaszyła się właśnie tam. Od dawna utrzymuje przyjazne stosunki z tym królestwem.

Wraz z Rowanem i Gavrielem toczyli kiedyś wojnę w tej smaganej burzami piaskowymi krainie. Miał nadzieję, że już nigdy tam nie wróci.

– Armie Akkadian ją osłonią.

Potrzeba było całej armii, by powstrzymać Białego Ciernia przed odbiciem ukochanej. Lorcan spojrział na księcia, który nie dał po sobie poznać, że przysłuchiwał się rozmowie. Nie chciał się zastanawiać nad tym, czy Fae nie będzie musiał wkrótce dodać tatuażu po drugiej stronie twarzy.

– Ten, którego dziś dorwaliśmy, był o wiele bardziej skłonny do pomocy – powiedział do księcia, wraz z którym walczył od wielu stuleci, którego miał za równie zimnego łajdaka jak on sam, przynajmniej do minionej wiosny. – Wystarczyło, że mu pogroziłeś, a zaczął śpiewać. Ten, który utrzymywał, że Maeve jest w Doranelle, drwił do samego końca.

– A ja myślę, że ona przebywa w Doranelle – przerwała mu Elide. – Anneith kazała mi tego dnia słuchać uważnie. Milczała podczas pozostałych dwóch przesłuchań.

– Warto się nad tym zastanowić – rzekł Lorcan, a oczy Elide aż zaiskrzyły z irytacji. – Choć nie widzę powodu, dla którego bogowie mieliby przekazywać intencje tak wyraźnie.

– A słyszymy to od mężczyzny, któremu dotknięcia boga mówią, czy ma walczyć, czy uciekać – parsknęła Elide.

Lorcan zignorował te słowa, choć Elide mówiła prawdę. Nie poczuł dotknięcia Hellasa od wędrowki przez Kamienne Bagna, jakby nawet Bóg Śmierci czuł teraz do niego obrzydzenie.

– Granica Akkadii leży trzy dni jazdy stąd, a stolica jeszcze trzy dni dalej. Do Doranelle mamy ponad dwa tygodnie drogi, jeśli nie będziemy się oszczędzać.

A czas na pewno nie był po ich stronie. Na rodzimym kontynencie Elide bez wątplenia szalała już wojna i każde opóźnienie musiało pociągnąć za sobą jakiś koszt, nie wspominając nawet o tym, ile każdy kolejny dzień zwłoki kosztował królową Terrasenu.

Elide otworzyła usta, ale Lorcan jej przerwał:

– W rezultacie dotrzemy do fortecy Maeve głodni i wyczerpani. Nie będziemy mieli najmniejszych szans. Poza tym Maeve jest w stanie zasłonić Aelin taką barierą, że moglibyśmy przejść obok niej i nawet jej nie zauważyć.

Elide rozchyliła nozdrza, ale spojrziała na Rowana.

- To ty decydujesz, książę – rzekła.

Nie był już księciem. Pozostał mu jedynie tytuł małżonka królowej Terrasenu.

Tym niemniej Rowan podniósł głowę i wbił spojrzenie zielonych oczu w Lorcana. Fae wytrzymał ciężar jego wzroku i przyrodzone mu poczucie przewagi. Czekał, aż Rowan wyegzekwuje zemstę, do której miał prawo. Czekał na cios, a nawet miał nadzieję, że ten nastąpi, ale nigdy się go nie doczekał.

- Dotarliśmy bardzo daleko na południe – odezwał się Rowan cicho.
- Lepiej udać się do Akkadii, niż ryzykować drogę do Doranelle, a tam przekonać się, że jednak popełniliśmy błąd.

To zakończyło dyskusję.

Elide obrzuciła Lorcana wściekłym spojrzeniem i wstała, mrużąc pod nosem o konieczności pójścia za potrzebą przed snem. Szła równym, miarowym krokiem przez szeleszczące trawy, gdyż Gabriel nadal usztywniał jej kostkę.

To nie jego magia powinna jej pomagać. Nie jego magia powinna jej dotyczyć.

Jej kroki stały się niemalże niesłyszalne. Zazwyczaj oddalała się bardziej, by mieć pewność, że niczego nie usłyszą. Lorcan dał jej kilka minut, po czym wszedł w mrok w ślad za nią.

Natrafił na Elide, gdy ta już wracała. Zatrzymała się na niewielkim wzgórku suchej ziemi.

- Czego chcesz?

Lorcan stanął przed wzniesieniem.

- Akkadia to mądrzejszy wybór.

- Rowan też tak uznał. Musisz być zadowolony.

Chciała przejść obok niego, ale Lorcan zastąpił jej drogę. Musiała zadrzeć głowę, by spojrzeć na jego twarz, ale mimo to nigdy nie czuła się mniejszy i niższy.

- Nie upierałem się przy Akkadii po to, by cię zdenerwować – wykrztusił.

- Nie interesuje mnie to.

Znów spróbowała go wyminąć, ale Lorcan bez trudu ją dogonił.

– Ja nie... – Słowa uwięzły mu w gardle. – Ja nie chciałem, by do tego doszło.

Elide zaśmiała się cicho, złośliwie.

– Ach, oczywiście, że nie! Przecież świadomie nigdy nie dopuściłbyś do tego, by twoja cudowna królowa zerwała przysięgę krwi.

– Nie dbam o to – odparł. W istocie tak było. Nigdy nie powiedział niczego, co byłoby bardziej prawdziwe. – Ja tylko chcę wszystko naprawić.

Elide wydeła usta.

– Może bym ci uwierzyła, gdybym nie widziała, jak pełniesz w ślad za Maeve po plaży.

Lorcan zamrugał. Nienawiść w jej słowach zaskoczyła go tak bardzo, że tym razem pozwolił, by dziewczyna wyminęła go i nawet nie obejrzała się za siebie.

– Nie czołgałem się w ślad za nią – powiedział.

Elide zatrzymała się gwałtownie, jej włosy aż zafalowały. Powoli obróciła głowę i obrzuciła go władcym spojrzeniem, zimnym jak gwiazdy nad ich głowami.

– Ja pełniałem... – Jego grdyka podjechała w górę i opadła. – Ja czołgałem się za Aelin. – Odepchnął od siebie wspomnienie zakrwawionego piasku, wrzasków królowej i jej ostatniego, błagalnego słowa wygłoszonego do Elide. Odepchnął myśli i rzekł: – Gdy Maeve zerwała przysięgę, nie byłem w stanie się poruszyć. Ledwie mogłem oddychać.

Ból był tak ogromny, że Lorcan nie potrafił sobie wyobrazić, czym by było zerwanie przysięgi własnoręcznie. O takim cierpieniu niełatwo jest zapomnieć.

Przysięgę można było przedłużyć i rozciągnąć. To, że Vaughan, ostatni z ich drużyny, bez wątplenia nadal przemierzał dziką północ, „polując” na Lorcana, było najlepszym dowodem na to, że ograniczenia narzucone przez przysięgę krwi można było obejść. Niemniej zerwanie przysięgi z własnej inicjatywy skończyłoby się śmiercią. Mimo to przez minione miesiące wielokrotnie zastanawiał się, czy nie powinien był tego zrobić.

– Próbowałem się do niej dostać. – Przełknął ślinę. – Do Aelin. Chciałem podpełznąć do tej skrzyni. – Milczał przez moment, po czym dodał tak cicho, że tylko Elide mogła to usłyszeć: – Przysięgam.

Jego słowo było wszystkim, co miał, jedyną walutą, w której godził się dokonywać wymiany. Powiedział jej to raz podczas długich tygodni podróży. W oczach Elide nie widział błysku, który by oznaczał, że to zapamiętała.

Dziewczyna ruszyła do obozu, a Lorcan stał tam, gdzie się zatrzymał.

A więc dokonał tego. Wyznał jej prawdę.

Elide dotarła do obozu, a Lorcan podążył za nią. Zbliżył się do kręgu światła w porę, by ujrzeć, jak dziewczyna siada obok Gavriela. Miała mocno zaciśnięte usta.

– On nie kłamał, wiesz? – mruknął do niej Lew.

Lorcan zacisnął szczęki. Nawet nie próbował iść cicho. Skoro Gavriel był w stanie usłyszeć każde słowo z ich rozmowy, z pewnością wiedział, że wraca do obozu. I z pewnością pamiętał też o tym, by nie wtykać nosa w nie swoje sprawy.

Mimo to Lorcan złapał się na tym, że wpatruje się w oblicze Elide i czeka na jej odpowiedź. Gdy zignorowała ich obu, pożałował, że w ogóle się odezwał.

Księżę Rowan Biały Cierń Galathynius, małżonek, towarzysz życia i wybranek serca królowej Terrasenu, wiedział, że śni.

Był tego pewien, ponieważ mógł ją dostrzec.

Otaczała go ciemność. Wyczuwał tylko wiatr oraz wielką, nieprzebytą przepaść między nimi. Wiedział, że to istne pęknięcie w materii świata, szczelina bez dna. Mimo to słyszał szepty, które docierały z głębi.

Stała zwrócona do niego plecami, a jej powiewające na wietrze włosy wydawały się być strugą złota. Były dłuższe niż w chwili, gdy widział ją po raz ostatni. Próbował zmienić kształt i przelecieć nad przepaścią, ale magia nie przybyła na jego wezwanie, a drugi brzeg znajdował się zbyt daleko, by móc doń doskoczyć. Stał więc, uwięziony w ciele Fae, i mógł tylko na nią patrzeć i wdychać

przynoszony wiatrem zapach, w którym wyczuwał jaśmin, werbenę cytrynową oraz skrzący się żar. Wiatr nie zdradził mu jednak żadnych sekretów, nie śpiewał żadnych pieśni.

Był to bowiem wiatr śmierci, zimna i nicości.

„Aelin”.

Nie mógł posłużyć się głosem, ale mimo to wypowiedział jej imię. Cisnął je nad dzielącą ich przepaścią, a ona powoli odwróciła się ku niemu.

Patrzył na jej twarz. Czy raczej na twarz, którą będzie mieć za kilka lat, po Przemianie.

Wydawała się nieco starsza, ale nie to odebrało mu dech.

Tak naprawdę wstrząsnęło nim to, że trzymała dłoń na zaokrąglonym brzuchu.

Wpatrywała się w niego, a wiatr unosił jej włosy. Za jej plecami pojawiły się cztery drobne postaci.

Rowan padł na kolana.

Najwyższa była dziewczyna ze złocistymi włosami, oczami zielonymi niczym sosnowe igły i twarzą poważną i pełną dumy niczym jej matka. Stojący obok niej chłopiec, niemalże dorównujący jej wzrostem, uśmiechnął się do niego ciepło. Oczy Ashryverów płonęły pod grzywką srebrnych włosów. Drugi z chłopców, również srebrnowłosy i zielonooki, mógłby równie dobrze być bliźniakiem Rowana. A najmniejsza postać, dziewczynka trzymająca się nóg matki, filigranowa, srebrnowłosa, ledwo chodząca, miała błękitne oczy, pamiątkę po nieznanym mu przodku.

Dzieci. Jego dzieci. Ich dzieci. I kolejne, które miało przyjść na świat zaledwie za kilka tygodni.

Jego rodzina.

Rodzina, którą mógł mieć. Przyszłość, którą mógł się cieszyć. Patrzył na najpiękniejszą rzecz, jaką w życiu widział.

„Aelin”.

Dzieci przywarły do niej mocniej. Najstarsza dziewczynka zerknęła na Aelin ostrzegawczo.

Wtedy Rowan poczuł śmiercionośny, potężny czarny wiatr, który runął prosto na nich.

Próbował wrzeszczeć. Chciał się zerwać z kolan i znaleźć sposób, by do nich przypaść, ale czarny wiatr wpadł na niego z rykiem, niszcząc i rozrywając wszystko na swej drodze.

Nadal się w niego wpatrywali, gdy ich porwał.

Pozostały po nich tylko pył i cienie.

Rowan zerwał się gwałtownie. Jego serce biło jak szalone, a ciało krzychało, by powstał i walczył. Tymczasem nigdzie nie widział żadnego przeciwnika. Nie było z kim walczyć pod gwiazdami.

To był sen. Wciąż ten sam powracający sen.

Potarł twarz, siedząc na posłaniu. Konie drzemały i nic nie wskazywało na to, by groziło im jakieś niebezpieczeństwo. Gavriel pod postacią lwa pełnił wartę na skraju blasku rzucanego przez ogień. Jego oczy lśniły w ciemnościach. Elide i Lorcan, pogrążeni w głębokim śnie, nawet się nie poruszyli.

Rowan przyjrzał się gwiazdom. Do świtu pozostało jeszcze kilka godzin, a potem mieli się udać do Akkadii, krainy piachu i krzaków.

Podczas gdy Elide i Lorcan kłócili się, dokąd się udać, Rowan rozważył kierunek wędrówki w głębi serca. Zastanawiał się, czy nie zamienić się w ptaka i nie polecieć do Doranelle samotnie, by zmarnować tam kilka cennych dni na bezcelowe poszukiwania.

Gdyby Vaughan został zwolniony z przysięgi i był teraz z nimi, mógłby go wysłać pod postacią orła do Doranelle, podczas gdy oni ruszyliby do Akkadii.

Znów się zastanowił. Gdyby wykorzystał całą swą magię i okiełznał wiatry, w kilka dni pokonałby drogę do Doranelle, która w innej sytuacji zabrałaby dwa tygodnie. Ale gdyby udało mu się jakimś cudem odnaleźć Aelin... Stoczył w życiu wiele bitew i wiedział, że będzie potrzebował wsparcia Gavriela i Lorcana. Gdyby próbował uwolnić Aelin bez ich pomocy, jej życie znalazłoby się w niebezpieczeństwie, więc musiałby do nich wrócić i rozpocząć mozolną podróż na północ.

Akkadia leżała blisko, a więc rozsądek nakazywał przeszukać to

królestwo w pierwszej kolejności. Istniała przecież szansa, że ów oficer nie kłamał. A jeśli to, czego się dowiedzą w Akkadii, poprowadzi ich do Doranelle, tam też się udadzą. Razem.

Podjął decyzję i chciał dopiąć swego, nawet jeśli instynkt towarzysza życia, męża i wybrańca serca narzucał mu inne wybory. Chciał przeprowadzić swój plan, nawet jeśli każda kolejna godzina w szponach Maeve przynosiła Aelin więcej bólu, niż Rowan był w stanie sobie wyobrazić.

Tak, pojedą do Akkadii. Za kilka dni znajdą się na płaskich równinach i ujrzą na horyzoncie łańcuch wyschniętych wzgórz. Gdy nadejdą zimowe deszcze, równina ożyje i zazieleni się, ale po upalnym lecie stanie się znów brązowa, wyschnięta, pozbawiona wielu źródeł wody.

Musieli się zaopatrzyć w wodę przy następnej rzece. Musiało jej wystarczyć dla koni. Brakowało im co prawda jedzenia, ale na równinie mogli zapolować. Pamiętał przecież wychudłe króliki i inne kudłate stworzenia, które ryły nory w spękanej ziemi. Ha, Aelin wzdrygałaby się przed takim jedzeniem.

Gavriel zauważył ruch w obozie i podszedł bliżej. Ogromne łapy bezszelestnie stąpały po suchej ziemi. Brązowe, dociekliwe oczy zamrugwały, wpatrując się w niego. Rowan wychwycił niewypowiedziane pytanie i pokręcił głową.

- Prześpij się. Ja przejmę wartę.

Gavriel przechylił lekko głowę w geście, który Rowan dobrze znał.

„Wszystko w porządku?” – pytał.

Dziwne było to wszystko. Nadal nie mógł się przyzwyczaić do tego, że działa z Lorcanem i Gavrielem bez więzów, które narzucała na nich Maeve. Wciąż nie mógł uwierzyć, że są tu z własnego wyboru, i nadal nie wiedział, czym wszyscy teraz byli.

Zignorował milczące pytanie Gavriela i wbił wzrok w dogasające płomienie.

- Odpocznij, póki jeszcze możesz – rzekł.

Gavriel nie sprzeciwiał się. Podszedł do posłania i padł na nie z basowym, kocim westchnieniem.

Rowan zdusił w sobie poczucie winy. Zmuszał ich do zbyt dużego

wysiłku, ale nikt z nich nie narzekał. Nikt nie poprosił, by zwolnił nieco wyczerpujące tempo, jakie im narzucił.

Od owego dnia na plaży nie poczuł żadnej zmiany w więzi, która łączyła go z Aelin. Żadnej. Wiedział, że żyje, bo więź nadal istniała, ale... ale milczała. Myślał o tym nieprzerwanie, zarówno podczas długich godzin spędzanych na wędrówce, jak i podczas wart. Myślał o tym w nocy, gdy powinien spać.

Owego dnia na plaży w Eyllwe więź nie przekazała mu żadnego bólu, a przecież wyczuł go wcześniej, gdy Dorian Havilliard zranił Aelin w szklanym zamku. Czuł wówczas, jak więź, którą jak ostatni idiota uznał za *carranam*, rozciąga się do granic możliwości, gdy Aelin stanęła na progu śmierci.

A mimo to na plaży, kiedy Maeve ją zaatakowała, a potem kazała Cairnowi, by ją wychłostał...

Rowan zacisnął szczęki tak mocno, że poczuł ból, a w jego żołądku obudziły się mdłości. Zerknął na Goldryna, który leżał tuż obok niego na posłaniu.

Ostrożnie ułożył broń przed sobą i wbił wzrok w rubin osadzony w rękojeści, migoczący w blasku ognia.

Aelin poczuła jego ból, gdy został ugodzony strzałą podczas walki z Manon w świątyni Temis. Przeszły ją na tyle mocno, iż nie miała w tym momencie wątpliwości, że są połączeni więzią. Mimo to on na plaży nie poczuł nic.

Coś mu mówiło, że zna odpowiedź na nurtującą go kwestię. Wiedział, że przyczyną przypuszczalnie była sama Maeve, która wygłuszyła to, co ich łączyło. Wbiła mu się przecież do głowy i próbowała mu wmówić, że to Lyria jest jego towarzyszką życia. Zmyliła najbardziej pierwotne instynkty, które czyniły z niego mężczyznę Fae. Z pewnością była więc w stanie wytłumić uczucia między nim a Aelin, by nie wiedział, że ukochana jest w niebezpieczeństwie i nie zdołał jej odnaleźć.

Wyrzucał sobie, że nie domyślił się wszystkiego, że nie zareagował wystarczająco szybko. Nie powinien był czekać na wywerny i pozostałych. Trzeba było polecieć od razu na plażę, gdzie Aelin groziło niebezpieczeństwo. Żałował, że stracił cenne minuty.

Jego wybranka. Towarzyszka życia.

Nie był to jego jedyny błąd. Choć wściekłość i rozpacz sprzed lat zamieniły go w pożałowania godnego, zimnego łajdaka, powinien był wiedzieć, kim oboje są od chwili, gdy ją ugryzł w Mistward, nie mogąc powstrzymać żądzы zagarnięcia jej dla siebie. Od chwili, gdy jej krew znalazła się na jego języku i zaczęła dla niego śpiewać. Przez długie miesiące czuł na języku jej smak.

Zamiast tego zaczęli się kłócić i awanturować, a on, zatraciwszy się w gniewie i zimnej obojętności, nie miał nic przeciwko. Duszą i sercem Aelin również władała wściekłość i dziewczyna odnosiła się do niego z tak niewysłowioną nienawiścią, że potraktował ją jak każdego podkomendnego, bez względu na płeć, który odważył się mu postawić. Wciąż prześladowało go to wspomnienie, choć wiedział, że gdyby przypomniał Aelin ich właśnie z choćby odrobiną wstydu, wyzwałaby go od głupców.

Nie miał pojęcia, co zrobić z tatuażem na twarzy, szyi i ramieniu. Opowiadał wszak o stracie, która była kłamstwem, a jedyną ujawnioną przezeń prawdą było to, iż był ślepcem. Pokochał Lyrię szczerą miłością i nie miał co do tego wątpliwości. Poczucie winy zżerało go za każdym razem, gdy o tym pomyślał, ale teraz już wszystko rozumiał. Wiedział, dlaczego Lyria tak się go bała przez pierwsze miesiące i dlaczego tak trudno mu było zdobyć jej serce, choć połączyła ich więź, z czego Lyria nie zdawała sobie sprawy. Była łagodną, cichą i życzliwą kobietą, co stanowiło jej siłę, ale z pewnością nie taką, którą wybrałby dla siebie. Znienawidził się za takie myślenie.

Wściekłość budziła się w nim na samą myśl o tym, co zostało mu odebrane. Jemu i Lyrii. Aelin zaś należała do niego, a on do niej od samego początku. Ba, nawet dłużej. A Maeve postanowiła ich złamać. Złamać ją, by dostać to, czego chciała.

Nie miał zamiaru pozwolić, by uszło jej to na sucho. O Lyrii też nie mógł zapomnieć, bo bez względu na to, co tak naprawdę zaistniało między nimi, nosiła pod sercem jego dziecko, kiedy Maeve posłała wrogie siły na jego dom w górach. Wiedział, że nigdy jej tego nie wybaczy.

„Zabiję cię!” – powiedziała Aelin, gdy usłyszała, co Maeve zrobiła, jak nim manipulowała i jak zniszczyła Lyrię. Elide wielokrotnie relacjonowała mu przebieg spotkania między Maeve a Aelin. Co do sekundy.

„Zabiję cię”.

Rowan wpatrywał się w płonące serce rubinu Goldryna. Modlił się o to, by ogień i wściekłość nigdy nie opuściły Aelin. Dobrze pamiętał, ile dni niewoli upłynęło, wiedział, kto z polecenia Maeve miał nadzorować tortury. Czuł, że Aelin ma niewielkie szanse. Wszak sam spędził dwa tygodnie, przywiązany do stołu wroga, i nadal nosił bliznę na ramieniu po jednym z bardziej wyszukanych przyrządów tortur.

Nie mieli czasu. Musieli się spieszyć.

Rowan pochylił się i oparł czoło na rękojeści Goldryna. Metal był ciepły, jakby nadal krył w sobie szept ognia właścicielki.

Nie postawił stopy w Akkadii od czasu owej ostatniej, straszliwej wojny. Poprowadził wówczas wojowników ludzi i Fae do zwycięstwa, ale nie miał ochoty tam wracać.

Niemniej tam właśnie prowadził ich szlak.

A gdyby ją odnalazł i uwolnił... Nie chciał nawet o tym myśleć.

Bo wówczas czekało ich kolejne wyzwanie.

„A Rowana przepros w moim imieniu za to, że kłamałam. Powiedz mu też, że i tak żyłam na kredyt, o czym dowiedziałam się wczoraj. Mimo to żałuję, że nie dane nam było dłużej być razem”.

Nie chciał przyjąć tych słów do wiadomości. Wiedział, że nigdy nie pogodzi się z tym, iż to ona ma być ostateczną ceną – to jej śmierć ma zbawić świat.

Wpatrywał się w gwiazdy nad głową.

Wszystkie konstelacje powoli się przesuwały, ale Władca Północy nadal trwał na swoim miejscu. Nieśmiertelna gwiazda między jego rogami wskazywała drogę do domu. Do Terrasenu.

„Powiedz mu, że musi walczyć. Że musi wyzwolić Terrasen i nie wolno mu zapomnieć o przysiędze, którą mi złożył”.

Nie pozostało im wiele czasu. Za przeciwnika mieli potężną Maeve, a na ich własnym kontynencie rozgorzała straszliwa wojna. Mimo to Rowan nie miał zamiaru wracać bez Aelin, choć poprzysiągł, iż będzie strzegł i bronił Terrasenu.

„Powiedz mu też, że... że jestem mu wdzięczna. Że szedł ze mną po

ciemnych ścieżkach ku światłu”.

Był to dla niego zaszczyt, od samego początku. Największy honor, jakiego doznał w nieśmiertelnym życiu.

W nieśmiertelnym życiu, które mieli dzielić, w ten czy inny sposób.

„Bo nie przewiduję innej możliwości” – obiecał w duchu gwiazdom.

Mógłby przysiąc, że Władca Północy zamrugnął w odpowiedzi.

6.

Zimowe wichry, śmigające nad wzburzonymi falami, przeszły Chaola Westfalla zimnem w chwili, gdy wyłonił się spod pokładu. Miał na sobie ciepły, błękitny płaszcz, a mimo to wilgotny chłód natychmiast wniknął w jego kości. Spojrzał na widnokrąg i doszedł do wniosku, że gruba warstwa chmur tak łatwo nie ustąpi. Nad kontynent nadciągała zima, równie nieubłagana jak legiony Morath.

W blasku świtu nie ujrzał nic poza szeregami fal oraz zachowującymi stoicki spokój żeglarzami, którzy utrzymywali okręt na kursie północnym. Jak okiem sięgnąć podążały za nimi inne okręty, stanowiące razem połowę floty kagana. Druga połowa nadal zbierała się przy brzegach południowego kontynentu i miała wyruszyć raptem kilka tygodni po nich, jeśli pogoda na to pozwoli.

Chaol zmówił krótką modlitwę, by im się udało, a zimny, słony wiatr poniosł jego słowa. Pomimo ogromnej liczby okrętów i tysiąca ręków, które właśnie podrywały się z jednostek, by rozpocząć poranne polowanie nad falami, nadal nie mieli wystarczająco dużo sił, by stawić czoła Morath.

Ponadto wystarczy, że się spóźnią, a ich udział przestanie mieć jakiegokolwiek znaczenie.

W trakcie trzech tygodni żeglugi nie otrzymali praktycznie żadnych wieści o siłach, jakie ich przyjaciele i sojusznicy zgromadzili w Terrasenie. Trzymali się też z dala od wybrzeży, by uniknąć wrogich okrętów oraz wyvern.

Tego dnia miało się to jednak zmienić.

Talię Chaola otoczyło delikatne, ciepłe ramie, a o bark oparła się głowa. Złocistobrązowe włosy spłynęły po jego ręce.

– Ależ tu zimno – mruknęła Yrene, wpatrując się z niechęcią we wzburzone fale.

Chaol wycisnął pocałunek na czubku jej głowy.

– Zimno wzmacnia charakter – powiedział.

Yrene parsknęła śmiechem. Wiatr natychmiast rozwiął parę wokół jej ust.

– Tak może mówić tylko ktoś z północy.

Chaol otoczył ją ramieniem i przyciągnął do siebie.

– Wydawało mi się, że dzięki mnie ostatnio przestałaś narzekać na zimno, żono.

Yrene zarumieniła się i szturchnęła go w bok.

– Łajdak.

Minął miesiąc, a on wciąż nie mógł nadziwić się temu słowu. Żona... Nadal też zdumiewała go kobieta u jego boku, która wyleczyła jego popękana, znużoną duszę. Przy tych ranach obrażenia, jakich doznał jego kręgosłup, miały mniejsze znaczenie. Chaol spędzał każdy długi dzień na okręcie na przygotowaniach do wojny. Szkolił się w walce mieczem z końskiego siodła lub laską z fotela na kołach, bo przecież musiał założyć, że moc Yrene kiedyś zacznie się wyczerpywać, a łącząca ich więź rozrzedzi się na tyle, że jego ciałem znów zawładnie paraliż.

Jego kręgosłup nie został w pełni zaleczony. Nie było na to szansy. Zapłacił tę cenę za ocalenie życia po tym, jak księżniczka Valgów zawlokła go na próg królestwa śmierci. Mimo to Chaol ani przez moment nie pomyślał, że cena okazała się zbyt wysoka. Kalectwo nie było dla niego ciężarem wcześniej i nie miał zamiaru przejmować się nim teraz.

Niestety istniała jeszcze druga część umowy z boginią, która towarzyszyła Yrene przez całe jej życie, doprowadziła ją do Antiki, a teraz wiodła z powrotem na ojczyzny kontynent. Ta część, która przerażała go najbardziej.

By Yrene mogła zawsze wlewać w Chaola swą uzdrowicielską moc, dzięki której mógł chodzić, ich życia zostały splecione. Gdyby więc poległ w walce z legionami Morath, nie będzie jedynym, który straci życie.

– Znowu rozmyślasz – stwierdziła Yrene, marszcząc czoło. – O co chodzi tym razem?

Chaol wskazał ruchem głowy najbliższy okręt. Na rufie siedziały wyprostowane dwa ruki, jeden złocisty, a drugi czerwono-brązowy.

Oba zostały już osiodłane, choć nie było jeszcze śladu jeźdźców.

– Chodzi ci o ruki czy może o to, że Nesryn i Sartaq są na tyle mądrzy, by w taki dzień nie wychodzić z łóżka? – spytała.

„Bo ja zaczynam im zazdrościć” – dodały jej złocistobrązowe włosy.

Tym razem to Chaol szturchnął ją w bok.

– To ty mnie obudziłaś dziś rano, wiesz? – rzekł i musnął wargami jej szyję, przypominając dziewczynie dokładnie, w jaki sposób został obudzony. I co zabrało im około godziny o świcie.

Wystarczyło, by dotknął ustami jej jedwabistej skóry, by jego ciało wypełniło się ciepłem.

– Możemy wrócić do łóżka, jeśli chcesz – mruknął.

Yrene westchnęła bezgłośnie, na co dłonie Chaola zaczęły wodzić po jej zakutanym w ciepły płaszcz ciele. Choć czas ich naglił, a okręty szły pod pełnymi żaglami na północ, wciąż uwielbiał poznawać wszystkie jej odgłosy, skłaniać ją, by się nimi z nim dzieliła.

Oderwał jednak głowę od jej szyi i wskazał ponownie na ruki.

– Wkrótce wybierają się na misję zwiadowczą.

Mógł się założyć, że Nesryn i świeżo koronowany następca tronu właśnie zapinali sprzączki skórzanych kombinezonów i przytracali broń.

– Dotarliśmy już tak daleko na północ, że potrzeba nam informacji, gdzie możemy rzucić kotwicę – dodał.

A co za tym idzie, musimy wybrać miejsce do desantu i ruszyć w głąb kraju najszybciej, jak się da. Jeśli Rifthold nadal znajdowało się pod władzą Erawana i legionów Żelaznozębnych, wpłynięcie rzeką Avery i marsz lądem ku granicom Terrasenu byłyby kiepskim pomysłem. Niestety, król Valgów mógł rozstawić swoje siły w różnych miejscach, a ponadto należało brać pod uwagę flotę królowej Maeve, która na szczęście zniknęła po bitwie z Aelin i jak dotąd się nie pojawiła. Wedle wyliczeń kapitana ich okrętu znajdowali się już prawie na wysokości granicy między Fenharrow a Adarlanem. Musieli więc zdecydować, dokąd tak naprawdę zmierzają. I to szybko.

Stracili już mnóstwo cennego czasu, wymijając Martwe Wyspy, choć plotki głosiły, że władzę nad nimi odzyskał kapitan Rolfe. Do

Morath z pewnością dotarły już wieści o tym, że flota kagana wypłynęła z portów, ale Chaol i pozostali dowódcy nie chcieli, by nieprzyjaciel poznał ich dokładną pozycję.

Utrzymywanie kursu armady w tajemnicy miało jednakże swoje minusy. Nie mieli na przykład pojęcia, gdzie przebywa Dorian. Nie wiedzieli, czy udał się na północ z Aelin i zebraną przez nią flotą kilku królestw. Chaol mógł się o to tylko modlić.

Yrene przyglądała się obu rnikom.

– Ilu zwiadowców rusza na rekonesans?

– Tylko oni.

Oczy Yrene błysnęły ostrzegawczo.

– Dwóch zwiadowców łatwiej przemknie niespostrzeżenie. – Chaol wskazał niebo. – Chmury dziś również sprzyjają takim wypadom.

Uzdrowicielka nadal wydawała się zmartwiona, a więc dodał:

– To wojna, Yrene. Prędzej czy później będziemy musieli chwycić za broń.

„Ilu ludziom Erawan odebrał życie za każdy dzień naszej zwłoki?” – pomyślał.

– Wiem.

Dziewczyna zacisnęła dłoń na srebrnym naszyjniku, który jej wręczył. Mistrz jubilerski wygrawerował na wieczku góry oraz morza, a w środku krył się list, który Aelin Galathynius pozostawiła jej kilka lat temu. Jego żona była wówczas barmanką w jakiejś zapadłej dziurze na wybrzeżu, a jego królowa pracowała pod przybranym nazwiskiem jako zabójczyni.

– Chodzi o to... Ja wiem, że to głupie, ale chyba nie sądziłam, że dojdzie do tego tak szybko.

Chaol nigdy by nie powiedział, że te długie tygodnie spędzone na morzu minęły szybko, ale rozumiał, o czym mówi Yrene.

– Te ostatnie dni okażą się najdłuższe – rzekł.

Yrene wtuliła się w jego bok i otoczyła jego talię ramieniem.

– Muszę sprawdzić zapasy – oznajmiła. – Poproszę Borte, by zabrała mnie na okręt Hasar.

Arcas, zapalczywy ruk Borte, nadal drzemał na rufie. Jej samej również nie było jeszcze widać.

– Czuję, że trochę na to poczekasz – powiedział Chaol.

W istocie – w ciągu ostatnich tygodni oboje przekonali się, że lepiej nie budzić ani jeźdźca, ani ruka. Wiedzieli też, że jeśli Borte kiedykolwiek spotka się z Aelin, tylko bogowie mogli ich ocalić.

Yrene uśmiechnęła się i ujęła twarz męża w obie dłonie. Spojrzała mu głęboko w oczy.

– Kocham cię – powiedziała łagodnie.

Chaol opuścił głowę, aż ich czoła się zetknęły.

– Powtórz to, gdy będziemy brnąć po kolana w marznącym błocie, dobrze?

Yrene parsknęła, ale nie odsunęła się. On również trwał nieruchomo i stali tak naprzeciwko siebie, stykając się czołami i oplatając duszami, pośród ostrych wiatrów i wzburzonych fal, czekając na raport jeźdźców ruków.

Już zapomniała, jak cholernie zimno było na Północy. Nawet mieszkając wśród jeźdźców ruków w Górach Tavan, Nesryn Faliq nigdy nie zmarzła aż tak bardzo, a zima przecież nie rozpoczęła się jeszcze na dobre.

Mimo to Salkhi nie dawał po sobie poznać, że zimno robiło na nim jakiegokolwiek wrażenie, gdy mknął wśród chmur nad rozhukanym morzem. Być może przyczyną była Kadara, która leciała tuż obok, obojętna na zimny wiatr. Tak, Kadara była jego słabością. Salkhi darzył wierzchowca Sartaqa niesłabnącym podziwem, choć zdaniem Nesryn to samo można było powiedzieć o niej i o jeźdźcu drugiego ruka.

Oderwała wzrok od kotłujących się szarych chmur i zerknęła na towarzysza. Jego krótko obcięte włosy odrosły już trochę, na tyle, by zapleść je w krótki warkocz. Następca tronu, wyczuwając jej wzrok, odwrócił się i zapytał gestem:

„Wszystko w porządku?”.

Nesryn zarumieniła się pomimo chłodu i przekazała zdrtwiałymi

palcami odpowiedź:

„Wszystko gra”.

W towarzystwie księcia stawała się czerwieniącym się podlotkiem, choć od wielu tygodni dzielili łóżko, a Sartaq już obiecywał jej wspólną przyszłość. Chciał, by rządziła u jego boku. Chciał, by została władczynią kaganatu.

Pomysł oczywiście był absurdalny. Nie mogła sobie wyobrazić siebie ubranej tak jak jej matka, w powłóczyste, piękne szaty oraz zawój na głowie... Nie, jej bardziej odpowiadał skórzany strój *rukhin*, wolała też czuć ciężar stali, a nie klejnotów. Wielokrotnie powtarzała to Sartaqowi, ale ten wyśmiewał jej obawy. Powiedział, że gdyby zechciała, mogłaby chodzić po pałacu nago. Zupełnie nie interesowało go to, co miała zamiar nosić lub czego nosić nie chciała.

Tak czy owak, pomysł wydawał się jej idiotyczny, choć księżę najwyraźniej sądził, że to jedyne możliwe do zaakceptowania rozwiązanie dla ich wspólnej przyszłości. Nawet uzależnił od tego przyjęcie korony – oznajmił ojcu, że jeśli będzie musiał piastować godność księcia bez niej, bez wahania zrezygnuje z tronu. Ojciec zaproponował mu wówczas tytuł dziedzica.

Bracia i siostry Sartaqa nie wydawali się być tym wyborem rozgniewani, choć przez całe życie szykowali się do walki o godność dziedzica. Nawet Hasar, która płynęła wraz z nimi, powstrzymała się od typowych dla niej złośliwych komentarzy. Kashin, Arghun i Duva pozostali w Antice, choć Kashin obiecał, że wyruszy z drugą połową sił ojca. Jeśli zmienili zdanie co do nominacji brata, Nesryn nie miała o tym pojęcia.

Dostrzegła jakiś ruch po prawej stronie i skierowała tam Salkhiego. Falkan Ennar, zmiennokształtny oraz kupiec, który został szpiegiem *rukhin*, przeistoczył się tego poranka w sokoła i leciał chyżo przed nimi, aż coś zapewne przyciągnęło jego uwagę, gdyż odbił w bok, przemknął obok nich i runął w stronę ziemi. Nesryn miała wrażenie, że chce, by podążyli za nim.

Niewykluczone, że popłyną prosto do Terrasenu – wszystko zależało od tego, co odkryją podczas zwiadu wzdłuż wybrzeża – ale nikt nie miał pojęcia, czy Lysandra już tam dotarła ani czy nadal była przy życiu.

Falkan poprzysiągł, że Lysandra odziedziczy po nim cały majątek, jeszcze nim się dowiedział, że przeżyła dzieciństwo i odziedziczyła jego dar. Byli doprawdy osobliwym rodem z Pustkowi, który rozprzestrzenił się po całym kontynencie, aż jego brat dotarł do Adarlanu, gdzie spłodził Lysandrę i porzucił jej matkę. Nie było wątpliwości, że Falkan pragnie odnaleźć Lysandrę, ale nie mówił o tym od chwili opuszczenia Gór Tavan, a zamiast tego skupił się na niesieniu *rukhin* wszelkiej pomocy. Służył im głównie jako szpieg, ale wnet miał się przydać w innych działaniach, tak jak wcześniej w starciu z *kharankui* w Łańcuchu Dagul.

Informacje, które udało im się zgromadzić, były równie ważne jak prowadzona armia. Wiedzieli ponad wszelką wątpliwość, że Maeve nie jest królową Fae, ale starożytną władczynią Valgów, która przeniknęła do Doranelle u zarania dziejów, wdarła się do umysłów Sióstr-Królowych i przekonała je, że mają starszą siostrę.

Trzeba było liczyć się z tym, że ta wiedza w niczym im nie pomoże podczas wojny, ale mogła też zapewnić im przewagę. Dobrze było wiedzieć, że za plecami czyha jeszcze jeden wróg. Dobrze było wiedzieć, że Maeve pojawiła się w Erilei, uciekając przez królem Valgów, którego poślubiła. Ów król miał dwóch braci, którzy odłamali Klucze Wyrda z Bramy i we trzech przemieszczali się z jednego świata do drugiego, by ją odnaleźć.

To, że zostali powstrzymani właśnie tu, nie mając pojęcia, że uciekiniarka zaczęła się na tronie Doranelle, zakrawało na osobliwą ironię losu. W ich świecie pozostał jedynie Erawan, brat Orcusa, męża Maeve. Ciekawe, ile by zapłacił za informację o tym, kim naprawdę była Maeve?

Nesryn uznała jednak, że odpowiedź na to pytanie pozostawi innym.

Falkan przebił się lotem nurkowym przez chmury, a Nesryn podążyła za nim.

Zimne, mgliste powietrze smagało ją po twarzy, ale ona pochyliła się, rozkoszując się lotem. Salkhi nieponaglany rozkazem leciał za Falkanem. Przez długą minutę otaczały ich jedynie chmury, aż wystrzelili prosto na białe klify, wyrastające z szarych fal. Za nimi ciągnęły się suche trawy, pokrywające najbardziej wysuniętą na północ równinę Fenharrow. Falkan nadal mknął ku wybrzeżom, ale

zwolnił, by nie zgubić obu *rukhin*.

Kadara nadażała za nim bez trudu. Lecieli w ciszy ku coraz wyższym klifom.

I wkrótce przekonali się, że trawy nie były wyschnięte, a spalone.

Rosnące tu i ówdzie drzewa, pozbawione liści, były jedynie wypalonymi skorupami, a dalej na widnokręgu słupy dymu plamiły zimowe niebo. Było ich zbyt wiele i były zbyt gęste, żeby mogły pochodzić od farmerów, palących resztki zbiorów, by użyźnić ziemię.

„Muszę się przyjrzeć temu z bliska!” – przekazała Nesryn Sartaqowi.

„Nie opuszczaj chmur!” – odpowiedział książę.

Nesryn skinęła głową i na grzbiecie swego ruka zniknęła wśród rzadkich obłoków, ciągnących się pod gęstą pokrywą chmur. Mknęła naprzód, w przerwach między chmurami dostrzegając fragmenty poczerńiałej, spopielonej ziemi. Wsie i gospodarstwa całkiem znikły, jakby od morskich brzegów przeszła tędy niszczycielska siła, unicestwiając wszystko na swej drodze.

Z tym że u brzegów nie było widać kotwiczącej floty. Nie, ta armia nadeszła lądem.

Nesryn i Sartaq przemykali między obłokami, zapuszczając się coraz dalej w głąb lądu. Z każdym przebytym kilometrem jałowego, wyniszczonego krajobrazu serce dziewczyny biło coraz mocniej. Nigdzie nie widzieli śladów starc czy obozów armii przeciwnika.

Wyglądało na to, że wróg spalił tę krainę dla własnej, sadystycznej przyjemności.

Nesryn szukała jakichś punktów orientacyjnych, aż doszła do wniosku, że ledwie przekroczyli granicę Fenharrow, a na północy przed nimi ciągnął się Adarlan. Co ważniejsze, wypatrzyła też wrogą armię, ciągnącą się przez wiele kilometrów, czarną i wijącą się.

Patrzyli na potęgę Morath bądź jej przerażającą część, wysłaną po to, by zasiać przerażenie w sercach ludzi przed nadejściem głównych oddziałów.

„Grupa wojowników na dole” – przekazał Sartaq.

Nesryn spojrzała nad skrzydłem Salkhiego i dostrzegła niewielki oddział w czarnych zbrojach, przedzierający się między drzewami.

Wydawali się grupą, która odłączyła się od wielkiej masy, by polować na ocalałych z pogromu.

Nesryn zacisnęła szczęki.

„Ruszajmy” – przekazała księciu.

Bynajmniej nie miała na myśli lotu na okręt, ale atak na sześciu wojowników, którzy rozpoczynali już długą drogę powrotną do głównych sił.

Pomknęła na Salkhim w dół, a ledwie widoczny Sartaq zanurkował po jej lewej stronie.

Wojownicy, w których uderzyli, nie zdołali nawet wrzasnąć ze strachu.

Lady Yrene Westfall, do niedawna Yrene Towers, przeliczyła zapasy już sześciokrotnie. Każda jednostka wiozła ich sporą ilość, ale okręt księżniczki Hasar, eskortujący Najwyższą Uzdrowicielkę, przewoził najcenniejsze eliksiry i maści. Wiele z nich sporządzono jeszcze przed opuszczeniem Antiki, ale Yrene i inne towarzyszące armii uzdrowicielki podjęły pracę na pokładzie i nieustannie wzbogacały zapasy o nowe medykamenty.

Stojąca w ciemnej ładowni Yrene rozstawiła szerzej stopy, by zniwelować kołysanie fal, po czym zamknęła wieko kufra pełnego puszek z maściami i zapisała liczbę na przyniesionej kartce papieru.

– Tyle samo co dwa dni temu – dobiegł ją głos należący do starszej osoby.

Najwyższa Uzdrowicielka Hafiza siedziała na drewnianych schodach i opierała dłonie na kościstych kolanach, przykrytych ciężką, wełnianą spódnicą.

– Czemu się tak o nie martwisz, Yrene? – spytała.

Dziewczyna odrzuciła warkocz na ramię.

– Chciałam mieć pewność, że dobrze przeliczyłam – rzekła.

– Raz jeszcze?

Yrene wsunęła kartkę do kieszeni i podniosła podszyty futrem płaszcz, który rzuciła na skrzynię.

– Kiedy ruszymy do bitwy, kontrola nad zapasami medycznymi...

– Będzie istotna, zgadza się, ale również niemożliwa. Gdy dojdzie do bitwy, dziewczyno, będziesz się mogła uważać za szczęściarę, jeśli w tym chaosie zdołasz w ogóle odnaleźć którąś z owych puszek.

– Tego właśnie próbuję uniknąć.

Najwyższa Uzdrawicielka westchnęła współczująco.

– Ludzie będą umierać, Yrene. Będą ginąć straszliwą, bolesną śmiercią i nawet my dwie nie zdołamy ich wszystkich ocalić.

– Wiem. – Yrene przełknęła ślinę.

Ilu ludzi jeszcze zginie, jeśli nie pospieszą się z wysadzeniem armii kagana i nie wybiorą dla niej najlepszej marszruty?

Mądre spojrzenie starej kobiety nie traciło na sile. Od chwili, gdy Yrene po raz pierwszy spojrzała na Hafizę, zawsze miała wrażenie, że staruszka emanuje ciepłem, spokojem i pewnością siebie. Na myśl o tym, że miałyby się znaleźć na polu bitwy, poczuła mdłości, choć przecież po to się właśnie szkoliły i po to tu przybyły.

Niemniej, spełniając swoje powołanie, nie brały jeszcze pod uwagę Valgów, którzy gnieździli się w ludzkich ciałach niczym pasożyty. Valgów, którzy pozabijaliby je bez wahania, gdyby wiedzieli, co uzdrawicielki planowały. Co Yrene zamierzała zrobić z każdym napotkanym Valgiem.

– Maści zostały przyrządzone tak, jak należy, Yrene. – Hafiza jęknęła, podnosząc się ze stopnia, po czym poprawiła swą długą, skórzaną kurtkę, uszytą i ozdobioną w ulubionym stylu Darghanów. Był to dar, który Najwyższa Uzdrawicielka otrzymała podczas ostatniej wizyty na stepach, gdzie zabrała ze sobą Yrene. – Zostały też policzone. Nie mamy już surowców, by sporządzić kolejne, i nie będziemy ich miały do chwili, gdy wylądujemy.

Yrene przycisnęła płaszcz do piersi.

– Ale ja muszę się czymś zająć!

Najwyższa Uzdrawicielka poklepała reling.

– Nie przejmuj się. Już niebawem będziesz miała aż nadto pracy – rzekła i weszła po schodach na górę, pozostawiając Yrene pośród stosów skrzyń.

Dziewczyna nie powiedziała Najwyższej Uzdrawicielce, że nie była pewna, jak długo będzie mogła w czymkolwiek pomagać. Jeszcze nie. Nie podzieliła się swoimi wątpliwościami z nikim, nawet z Chaolem.

Jej dłonie odruchowo opadły na brzuch i tam zostały.

7.

Morath. Ostatni Klucz znajdował się w Morath.

Świadomość ta przez całą noc wisiała nad Dorianem i nie pozwalała mu zasnąć, a kiedy w końcu zmrużył oko, przebudził się z ręką na szyi. Zaciskał palce na naszyjniku, którego już tam nie było.

Musiał znaleźć jakiś sposób, by zdobyć ostatni Klucz.

Był pewien, że Manon nie będzie chciała go tam zabrać, nawet jeśli to ona zasugerowała, że Dorian mógłby zająć miejsce Aelin i wykuć Zamek. Przecież Trzynastka cudem uciekła z Morath i bez wątpienia wiedźmy nie kwapiły się, by tam wrócić, a już na pewno nie teraz, gdy uparły się, by odnaleźć Crochan. Co więcej, Erawan mógłby bez trudu wyczuć ich przybycie, ledwie zbliżyłyby się do jego twierdzy.

Gavin twierdził, że ścieżka prowadząca do Klucza sama go odnajdzie i to jeszcze w tym obozie, ale przekonanie Trzynastki, by się nigdzie nie ruszały w chwili, gdy instynkt i poczucie obowiązku gnały je naprzód, mogło się okazać równie trudne jak zdobycie samego Klucza.

Nadszedł szary świt i w obozie rozpoczęła się krzątanina. Dorian miał już dość prób zapadnięcia w sen. Zerwał się i spostrzegł, że posłanie Manon zostało już spakowane, a ona sama stoi z Asterin i Sorrel przy wywernach. Musiał przekonać tę trójkę, by poczekała, choć nie wiedział, jak tego dokonać.

Pozostałe wywerny siedziały już przy wylocie z przełęczy, szykując się na kolejny, niebywale zimny przelot. Czekał ich następny dzień polowania na klan wiedźm, które nie miały najmniejszej ochoty dać się odnaleźć. Co więcej, zapewne nie chciały też brać udziału w wojnie.

– Ruszamy za pięć minut! – Chropowaty głos Sorrel niósł się daleko.

Na przekonywanie kogokolwiek brakowało już czasu. Musiał więc je opóźnić.

W ciągu trzech minut wiedźmy zagasiły ogień, przytroczyły broń, załatwiły swe potrzeby i uwiązały zwinięte derki przed długim lotem.

Dorian przypiął Damaris i ruszył ku Manon, która stała nieruchomo niczym posąg. Nawet pośród śniegów, z kozią skórą na ramionach, wydawała się piękna. Gdy podszedł bliżej, spojrzała na niego, a jej oczy błysnęły niczym płonące złoto.

– Dzień dobry, Wasza Wysokość. – Asterin uśmiechnęła się krzywo.

Dorian pochylił głowę.

– Dokąd dziś lecimy? – spytał beztrąsko, choć wiedział, że napięcie w jego spojrzeniu przeczy swobodnym słowom.

– Właśnie się zastanawialiśmy – odpowiedziała Sorrel. Na jej kamiennej twarzy widniała szczerłość.

Vesta za nimi zakłęła, gdy rozpięła się jakaś sprzączka przy jej siodle. Dorian nie ośmielił się obejrzeć. Wystarczyła mu świadomość, że jego niewidzialne magiczne ręce zadziały.

– Przeszukaliśmy już północny rejon – rzekła Asterin. – Ruszajmy więc na południe, a kiedy dotrzemy do południowego skraju Kłów, możemy zawrócić i przeczesać teren ponownie.

– Nie ma pewności, że Crochan są w górach – sprzeciwiła się Sorrel.
– Od dziesiątków lat polujemy na nie na nizinach.

Manon przysłuchiwała się z chłodną, nieporuszoną twarzą, jak co rano. Rozważała ich słowa i słuchała śpiewającego im wiatru.

Juki Imogen odpadły od uprzęży. Wiedźma syknęła i zeskoczyła z wywerny, by przytroczyć je na nowo. Dorian nie miał pojęcia, ile czasu dadzą mu te drobne opóźnienia, ale wiedział, że nie wystarczy to na długo.

– Jeśli porzucimy góry – dowodziła Asterin – staniemy się o wiele łatwiejszym celem. Zarówno nasi wrogowie, jak i Crochan zauważą nas, na długo zanim się zorientujemy.

– Ale będzie cieplej – burknęła Sorrel. – W Eyllwe będzie o wiele cieplej.

Najwidoczniej nawet nieśmiertelne wiedźmy ze stałą płynącą w żyłach mogły znużyć się nieustającym mrozem. Niemniej perspektywa powrotu na południe, aż do Eyllwe, podczas gdy teraz przebywali wciąż tak blisko Morath... Manon najwyraźniej również się nad tym zastanawiała. Jej wzrok padł na kurtkę Dorianą i Klucze skryte w kieszeni, zupełnie jakby wyczuwała ich pulsujący szept,

ześlizgujący się po jego mocy. Klucze – ostatnia rzecz, która uniemożliwiła Erawanowi objęcie całkowitej władzy nad Erileą.

„Nie – uświadomił sobie młody król. – Ona nigdy nie pozwoli na to, byśmy wraz z Kluczami znaleźli się w promieniu choćby stu pięćdziesięciu kilometrów od Morath”.

Stał, lekko uśmiechnięty, z dłonią opartą na rękojeści Damaris, zwieńczonej podobizną oka.

– Czyli nikt w obozie nie ma pojęcia, dokąd się udały?

Wiedział o tym doskonale, a mimo to czekał na odpowiedź, próbując nie zaciskać dłoni na mieczu zbyt mocno.

– Nie. – W głosie Manon pobrzmiwało warknięcie.

Damaris jednakże nie podsunął mu żadnej odpowiedzi. Dorian wyczuł tylko, że rękojeść rozgrzewa się lekko. Nie miał pojęcia, czego się spodziewać. Szumu magii? Potwierdzającego głosu w głowie? Cóż, na pewno nie spodziewał się tego nikłego ciepła. Czyli może ciepło oznaczało prawdę, a zimno zwracało uwagę na kłamstwa. Przynajmniej Gavin powiedział prawdę o mieczu. Nie powinien w to wątpić, zważywszy na boga, którego starożytny król nadal czcił.

Manon, wpatrzona w niego nieubłaganym, drapieżnym wzrokiem, dała sygnał do odlotu. Na północ.

Jak najdalej od Morath.

Dorian otworzył usta i desperacko zastanawiał się, co może zrobić czy powiedzieć, by opóźnić wylot. Pozostało mu tylko złamanie skrzydła którejs z wywern.

Wiedźmy zawróciły ku swym rumakom. Dorian miał zasiąść na siodle jednej z przybocznych Manon, gdy niespodziewanie Abraxos zaryczał i rzucił się ku Manon, kłapiąc szczękami. Wiedźma odwróciła się jak fryga ku niewidocznemu jeszcze wrogowi. Potężny biały niedźwiedź wystrzelił ze śniegu za nią. Błysnął kłami i zamachnął się pazurzastą łapą. Manon wykonała unik i przetoczyła się po ziemi, a Dorian uwolnił magię, tworząc wokół nich barierę wiatru i lodu.

Niedźwiedź został odrzucony w tył i rąbnął w zaspę, wzbijając obłok białej, lodowatej kurzawy, po czym błyskawicznie się zerwał i runął na Manon. Tylko na Manon.

Wówczas Dorian bez zastanowienia cisnął niewidzialne ręce, by go

zatrzymać. Ułamek sekundy później rozpadziony niedźwiedź zderzył się z jego magią. Rozległ się błysk i buchnął śnieg.

Dorian dobrze znał ten błysk. To była zmiennokształtna istota.

Z idealnie białego futra niedźwiedzia nie wyłoniła się jednak Lysandra.

Nie. Oczom Doriana ukazała się bestia rodem z koszmarów. Ogromny, stygijski pajak, wielki niczym koń i czarny jak noc. Jego liczne oczy skierowały się na Manon, a szczypcy zaklekotały.

- Czarnodzioba! – wysyczał.

A więc pajęczyca jakoś ją odnalazła. Po tylu miesiącach walk, po przebyciu tysięcy kilometrów w powietrzu, na lądzie oraz morzu, pajęczyca, której ukradła jedwab na wzmocnienie skrzydeł Abraxosa, zdołała ją odnaleźć.

Nie wzięła jednak pod uwagę Trzynastki. Ani też mocy króla Adarlanu.

Podczas gdy Dorian bez zauważalnego wysiłku przytrzymał pajaka, Manon wyszarpnęła Tnącego Wiatr.

„Potężny jest – przeszło jej przez myśl, gdy spojrzała na króla. – Każdego dnia staje się coraz potężniejszy”.

Wiedźmy zwarły szyki. Ich broń błysnęła w oślepiającym słońcu, a wywerny uformowały ścianę skórzastych pancerzy, szponów i kłów za nimi. Manon podeszła kilka kroków bliżej do drgających szczypców.

- Znalazłaś się daleko od Gór Ruhnn, siostrze.

- A mimo to wcale nie tak trudno cię znaleźć! – zasyczała pajęczyca.

- Znasz to stworzenie? – spytała Asterin, stając u boku przywódczyni.

Ta wykrzywiła usta w okrutnym uśmiechu.

- Podzieliła się ze mną pajęczym jedwabiem na skrzydła Abraxosa.

- Ty ukradłaś mój jedwab! – warknęła pajęczyca. – Zepchnęłaś mnie i moje tkaczki z klifu...

– Jak to możliwe, że umiesz zmieniać kształt? – zapytał Dorian, który wciąż unieruchamiał bestię swą mocą. Stał po drugiej stronie Manon, nadal zaciskając dłoń na rękojeści starożytnego miecza. – Legendy nic o tym nie mówią – dodał.

Jego twarz w istocie rozjaśniła ciekawość. Manon przypuszczała, że biała pręga na jego gardle jest świadectwem tego, że kiedyś miał do czynienia z czymś o wiele gorszym od pajaków. Co więcej, osobliwa, trudna do sprecyzowania więź, którą nawiązali, była kolejnym dowodem na to, że Dorian wcale nie bał się bólu ani śmierci.

To dobra cecha u wiedźmy, ale u śmiertelnika? Z takim usposobieniem mógł zginąć na każdym kroku.

Być może źle to rozumiała. Być może Doriana cechował nie brak strachu, ale czegoś, co śmiertelnicy uważali za niezbędny element swych dusz, czegoś wyszarpniętego mu przez ojca oraz owego demona Valgów.

– Odebrałam dwie dekady życia pewnemu młodemu kupcowi w zamian za mój jedwab – wyszczała pajęczyca. – Wraz z jego energią życiową otrzymałam dar zmieniania postaci, a przynajmniej jego część. – Jej wszystkie ślepie skierowały się na Manon. – On z ochotą zapłacił cenę!

– Zabij ją i miej już problem z głowy – mruknęła Asterin.

Pajęczyca cofnęła się najdalej, jak mogła, wciąż spętana niewidzialną mocą młodego króla.

– Nie miałam pojęcia, że nasze siostry stały się tak wielkimi tchórzami! Odkąd to potrzeba im magii, by przekłuwać nas jak wieprze?

Manon uniosła Tnącego Wiatr, zastanawiając się, w które miejsce między licznymi ślepiami bestii go wrazić.

– No to przekonajmy się, czy będziesz kwiczeć jak świnia, kiedy cię rzeczywiście przekłuję.

– Tchórz! – parsknęła pajęczyca. – Uwolnij mnie, a rozstrzygniemy to jak dawniej.

Manon zastanowiła się, a potem wzruszyła ramionami.

– Śmierć nie będzie szczególnie bolesna. Uznaj to za spłatę długu – rzekła, po czym wciągnęła powietrze i uniosła ostrze.

– Poczekaj! – wyszeptała pajęczycyca. – Poczekaj!

– Najpierw nas obraża, a potem błaga – mruknęła Asterin. – I kto tu nie ma ani krzty honoru?

Pajęczycyca zignorowała słowa zastępczyni, a jej bezdenne ślepia wbiły się w Manon, a potem w Doriana.

– Wiecie, co się dzieje na południu? Jakie koszmary się tam zbierają?

– Stare wieści – prychnęła Vesta.

– A jak twoim zdaniem cię znalazłam? – spytała pajęczycyca, a Manon zeszywniała. – Pozostawiłaś po sobie wiele rzeczy w Morath, a na każdej wyczułam twój zapach.

Skoro pająk odnalazł je tak łatwo, należało jak najszybciej wyruszyć w dalszą drogę. Najlepiej już teraz.

– A mam ci powiedzieć, co odnalazłam zaledwie osiemdziesiąt kilometrów na południe stąd? – syczała pajęczycyca. – Chcesz się dowiedzieć, kogo tam ujrzałam, Czarnodzioba?

Manon stała nieruchomo.

– Crochan – rzekła pajęczycyca, a potem głęboko, niemal pazernie, nabrała powietrza.

Manon mrugnęła. Tylko raz. Cała Trzynastka znieruchomiała.

– Widziałaś Crochan? – spytała Asterin.

Pajęczycyca pochyliła ogromną głowę, a potem znów westchnęła.

– Uwielbiam smak Crochan. Zawsze kojarzył mi się z letnim winem. Albo czekoladą, jak wy to nazywacie.

– Gdzie? – spytała ostro Manon.

Pajęczycyca opisała miejsce, o którym nikt spośród nich nie słyszał.

– Pokażę wam je – dodała. – Poprowadzę was.

– To może być pułapka – oznajmiła Sorrel.

– Nie – powiedział Dorian, nie puszczając miecza.

Manon ujrzała jego błyszczące oczy i napięte mięśnie. Twarz króla pozostawała obojętna, bezlitosna, ale przechylał lekko głowę, jakby był naprawdę zaintrygowany.

- Sprawdźmy, czy ta informacja jest prawdziwa, a potem zdecydujemy o losie tej pajączycy?

- Co? – wyrwało się Manon.

Pozostałe wiedźmy spojrzały na Doriana, zaskoczone tym, że chce im zabronić zglądzenia potwora.

- Nie zabijajcie jej. – Młody król wskazał drżącą pajączycę ruchem podbródka. – Jeszcze nie. Być może ma jeszcze inne informacje, nie tylko o miejscu pobytu Crochan.

- Nie potrzeba mi miłosierdzia chłopca, który... – zaczęła pajączyca.

- Mylisz pojęcia – powiedział chłodno Dorian. – Proponuję ci łaskę króla i sugeruję, byś spróbowała na nią zasłużyć. Na przykład zamykając gębę na jakiś czas.

Rzadko, jakże rzadko zdarzało się Manon słyszeć, by Dorian odzywał się tym głosem. Jego ton przeniknął przez jej ciało. Tak mówił król.

Ale nie jej król. Dorian nie był dowódcą sabatu.

- Jeśli darujemy jej życie, sprzeda nas temu, kto da najwięcej.

Szafirowe oczy Doriana pociemniały. Jego dłoń mocniej ujęła rękojeść miecza. Manon napięła mięśnie, czując na sobie jego chłodne spojrzenie pełne zadumy. W jego przystojnej twarzy ujrziała naraz bezlitosnego, chłodno kalkulującego drapieżcę. Odwrócił się ku pajączycy i rzekł:

- Wygląda na to, że opanowałaś sztukę zmiany kształtu w kilka miesięcy.

Gavin powiedział, że ścieżka sama go znajdzie.

Ścieżka do Morath. Nie trakt istniejący w rzeczywistości, nie podróż z miejsca na miejsce, ale to.

Nieczysta bestia milczała przez moment, po czym rzekła:

- Nasze dary są dziwne. Chciwe i głodne. Nie karmimy się tylko waszym życiem, ale również waszymi mocami, jeśli je posiadacie. Gdy uwolniono magię, nauczyłam się posługiwać umiejętnościami, które

przekazał mi ów zmiennokształtny.

Damaris w ręce Dorigana stawał się coraz cieplejszy. Prawda. Każde słowo tego pajaka okazywało się prawdą. Co więcej, nagle młodzieniec uświadomił sobie, że może wejść do Morath jako ktoś inny. W cudzej skórze. Być może jako ludzki niewolnik, ktoś taki jak Elide Lochan. Ktoś, kogo obecność nie zwróci niczyjej uwagi.

Jego surowa moc pozwalała mu wykorzystywać każdą możliwą formę mocy, od magii ognia i lodu aż po magię uzdrowicielską. Może więc będzie w stanie nauczyć się i zmiennokształtności?

– Masz jakieś imię? – zwrócił się do pajęczycy.

– Król bez korony pyta zwykłą, nikczemną pajęczycę o imię – mruknęła bestia. Jej bezdenne oczy wpatrywały się teraz w Dorigana. – W waszym języku nie byłbyś w stanie go wymówić, ale możesz zwać mnie Cyrene.

Manon zgrzytnęła zębami.

– To, jak cię nazwiemy, nie ma żadnego znaczenia, bo za moment będziesz trupem.

Dorian zerknął na nią z ukosa.

– Góry Ruhnn to część mego królestwa, a więc Cyrene jest jedną z moich poddanych. Myślę, że to daje mi prawo do zadecydowania, czy ma żyć, czy też umrzeć.

– Oboje jesteście zdani na litość mojego sabatu – warknęła Manon.
– Cofnij się.

– Doprawdy? – Dorian uśmiechnął się i naraz nad przełęczą przemknął wiatr zimniejszy od górskiego powietrza.

Mógłby pozabijać je wszystkie. Mógłby powyrywać im powietrze z płuc bądź połamać im karki. Mógłby pozabijać je razem z wyvernami, a ta świadomość stworzyła kolejną pustkę w jego sercu. Czy jego ojciec bądź Aelin mieli kiedyś dylematy związane ze swą mocą?

– Zabierzmy ją ze sobą i przepytajmy dokładniej w kolejnym obozowisku.

– Chcesz zabrać to coś z nami? – warknęła Manon.

Jakby w odpowiedzi pajak przybrał formę bladokórej kobiety

z ciemnymi włosami, drobnej i niepozornej, jeśli nie liczyć niepokojąco czarnych oczu. Nie była zbyt piękna, ale dysponowała zabójczym, prastarym powabem, którego nawet nowe ciało nie zdołało ukryć. Co więcej, była całkowicie naga. Zadrżała, pocierając chude ramiona.

– Czy takie ciało wystarczy, by podróżować bez przeszkód? – zapytała.

Manon, ignorując pajaka, zwróciła się do Doriana.

– A jeśli przeistoczy się w nocy, by nas porozrywać na strzępy?

Dorian przechylił głowę. Wokół jego palców tańczyły iskierki lodu.

– Nie bój się.

Cyrene wciągnęła powietrze.

– Osobliwy rodzaj magii – powiedziała, wpatrując się w Doriana wygłodniałym spojrzeniem. – A i król niecodzienny.

Dorian jedynie skrzywił się z niesmakiem.

Manon zerknęła na Asterin, która mocno zaciskała usta. W oczach zastępczyni wyczytała ostrzeżenie. Sorrel, stojąca kilka kroków dalej, wbijała w pajęczycę wściekłe spojrzenie, ale jej dłoń opadła z rękojeści miecza.

Trzynastka, jak na niewypowiedziany rozkaz, odeszła do wywn. Cyrene nadal wpatrywała się w nich, co rusz mrugając potwornymi, bezdusznymi oczyma. Zaczęła szcząkać zębami.

Manon przechyliła głowę, wpatrując się w Doriana.

– Jesteś dziś... inny – rzekła.

Wzruszył ramionami.

– Jeśli twoje łóżko ma ogrzewać ktoś, kto kuli się po każdym twoim zdaniu i słucha wszystkich poleceń, poszukaj go gdzieś indziej.

Spojrzenie wiedźmy omiotło białą pręgę na jego szyi.

– Nie jestem przekonana, książątko, czy nie powinniśmy naprawdę jej zabić.

– A cóż takiego by cię przekonało, wiedźmiątko? – Dorian nawet nie próbował zamaskować zmysłowej obietnicy w swych słowach ani też bijącej z nich ironii.

W szczęce Manon drgnął jakiś mięsień.

Otaczały go istoty z legend. Wiedźmy, wywerny, pająki... Równie dobrze mógłby być jednym z bohaterów książek, które zeszłej jesieni pożyczał Aelin, choć na pewno żaden z nich nie miał tak ogromnej dziury zamiast serca.

Cyrene spojrzała, krzywiąc się, na swe nagie stopy tkwiące w śniegu. Jej dłonie parokrotnie poruszyły się nerwowo, jakby zapomniała, że już nie ma szczypców.

Dorian powstrzymał dreszcz. Próba wniknięcia do Morath była samobójstwem, o ile zdoła w ogóle nauczyć się zmiennokształtności od tego potwora.

Poczuł na sobie pełną wagę spojrzenia Manon, ale nie wzdrygnął się ani przed nim, ani przed jej słowami.

– Jeśli cenisz swe życie tak nisko, że gotów jesteś zaufać temu czemuś, to proszę bardzo. Zabierz ją z nami.

Jej słowa były wyzwaniem. Manon chciała, by odwrócił wzrok od Morath oraz pajęczycy, a spojrzał w głąb siebie. Widziała bowiem dokładnie, co gryzło jego puste serce, choćby dlatego, że podobna bestia wgryzała się w jej własne.

– Niebawem się dowiemy, czy powiedziała nam prawdę o Crochan.

Dorian był tego pewien. Damaris wszak rozgrzał się przy jej słowach.

Kiedy zaś je odnajdą, a uwaga Trzynastki skupi się na czymś innym, on nauczy się od pajęczycy wszystkiego, co mu potrzebne.

Manon odwróciła się do sabatu. Wiedźmy przestępowały z nogi na nogę z niecierpliwości.

– Lecimy. Spotkamy się z Crochan przed zmierzchem.

– A co potem? – spytała Asterin, która jako jedyna miała prawo zadawać takie pytania.

Manon podeszła do Abraxosa, a Dorian ruszył za nią, wlekąc za sobą Cyrene mocą swej magii. Rzucił jej zapasowy płaszcz.

– A potem wykonamy własny ruch – oznajmiła przywódczyni. I nie spojrzała przy tym nikomu w oczy. Patrzyła jedynie na południe.

Wiedźma bez wątpienia kryła jakiś sekret. Czy był tak mroczny jak jego?

8.

Ciemność powitała Aelin, gdy odzyskiwała przytomność. Ciasna, zamknięta ciemność.

Jej łokcie natrafiły na ściany metalowej skrzyni, a niewielką przestrzeń wypełnił brzęk łańcuchów. Gdy wyciągnęła stopy, mogła dotknąć palcami końca trumny.

Uniosła związane dłonie do masywnej ściany żelaza, znajdującej się zaledwie kilka centymetrów nad jej twarzą. Wodziła palcami po symbolach wyrytych w metalu, często natrafiając na motyw słońca. Maeve nakazała je wyryć nawet od środka, tak by Aelin nie zapomniała, że skrzynię zrobiono specjalnie dla niej, na długo zanim przyszła na świat.

Wodziła palcami po chłodnym, szorstkim metalu. Palcami, nagimi palcami.

Zdjął jej żelazne rękawice. A może zapomniał je założyć po zakończonych torturach. Trzymał je nad koszem z żarem, aż metal rozgrzewał się do czerwoności wokół jej dłoni, a ona wrzeszczała bez opamiętania...

Przycisnęła dłonie do metalowego wieka i pchnęła.

Pamiętała, że strzaskał jej ramię. Pamiętała kawałki kości, wystające ze skóry. Nie było po tym ani śladu. A może nigdy nie zadał jej tych obrażeń? Ale wydawały się takie prawdziwe...

O wiele prawdziwsze od innych wspomnień, które napierały na nią i domagały się, by je uznała. Zaakceptowała.

Naparła ze wszystkich sił na wieko, ale nawet nie drgnęło. Podjęła kolejną próbę. To, że w ogóle była w stanie zdobyć się na taki wysiłek, zawdzięczała jedynie pracy uzdrowicieli Maeve, którzy zabezpieczali jej mięśnie przed atrofią, gdy leżała w zamknięciu.

We wnętrzu skrzyni odbiło się echem ciche skomlenie. Ostrzeżenie.

Aelin opuściła dłonie w chwili, gdy zazgrzytał zamek i zachrząściły zawiasy otwieranych drzwi. Kroki Cairna były tym razem szybsze,

bardziej niespokojne.

- Załatw się w korytarzu i czekaj przy drzwiach – warknął na Fenrysa.

Aelin przygotowała się na wszystko. Kroki ucichły. Rozległo się stęknienie, a potem syk metalu. Do skrzyni wdarł się blask ognia. Dziewczyna zamrugła, ale ani drgnęła. Jej kajdany zostały przymocowane do wnętrza skrzyni, o czym zdążyła się już boleśnie przekonać.

Cairn nie powiedział ani słowa, gdy odpinał jej łańcuchy. Była to dla niego najbardziej ryzykowna chwila, tym bardziej że za moment miał ją przykuć do uchwyty na ołtarzu. Dziewczyna miała wprawdzie związane ręce i nogi, ale jej strażnik nigdy nie ryzykował.

Tego dnia również postępował ostrożnie, choć nie zawracał sobie głowy rękawicami. Może stopiły się nad koszem wraz z jej skórą?

Podniósł ją ostrym szarpnięciem. W komnacie pojawiło się jeszcze sześciu milczących strażników, którzy obojętnie spoglądali na jej krzywdę. Widziała ich wcześniej na zakrwawionej plaży.

- Varik – oznajmił Cairn.

Jeden ze strażników podszedł bliżej, prowadząc wilka wielkości kuca. Ostrze Fae opierało się na gardle zwierzęcia.

Cairn złapał za jej łańcuchy, przyciągnął ją do siebie i ruszył w stronę wyjścia, ku wojownikowi z wilkiem.

- Drgnij tylko, a on zginie.

Aelin nie powiedziała mu, iż nie jest pewna, czy wystarczyłoby jej sił na cokolwiek, nie mówiąc już o ucieczce. W jej ciało wniknęła ociężałość. Nie protestowała, gdy na głowę wciągnięto jej czarny worek i poprowadzono ją przez zwieńczone łukiem przejście. Nie protestowała, gdy ciągnięto ją korytarzem, choć liczyła stopnie i zakręty. Wiedziała, że Cairn może kluczyć, by ją zmylić, ale liczyła je mimo wszystko. Słuchała szumu rzeki, który stawał się coraz głośniejszy z każdym zakrętem. Gęstniejąca mgła chłodziła jej odsłonięte ramiona i przydawała śliskości kamieniom pod jej stopami.

Wtem znaleźli się na otwartej przestrzeni. Nie widziała nic, ale czuła wilgoć na skórze, opowiadającą jej o tym, że świat nagle utracił wszelkie granice.

W jej głowie rozległy się niewyraźne słowa:

„Uciekaj! Teraz!”.

Nie miała wątpliwości, że strażnik nadal trzyma miecz na gardle Fenrysa i nie zawaha się przed rozlewem krwi. Poza tym Fenrysa paraliżował zakaz Maeve. Jej towarzysz niewoli nie był w stanie uciec razem z nią, nie umiał też wykorzystać swego osobliwego daru, który pozwalał mu znikać i przenosić się na niewielkie odległości, jakby przechodził z pokoju do pokoju. Z początku Aelin miała nadzieję, że uda mu się z niego skorzystać i zabrać ich gdzieś indziej, ale już dawno temu pogodziła się z faktem, iż było to niemożliwe. Nie sądziła też, że nagle, w cudowny sposób odzyska tę umiejętność z wrogim ostrzem na gardle.

A co by się stało, gdyby posłuchała podszeptu i rzuciła się do ucieczki? Czy jego śmierć była warta tyle co jej życie?

– Wskoczył ci pomysł do głowy, nieprawdaż? – Cairn syknął jej do ucha. Czowała jego uśmiech nawet przez płócienny worek. – Zastanawiasz się teraz, czy życie wilka to odpowiednia cena za twoje życie. – Zaśmiał się miękko, niczym jej kochanek. – No, spróbuj. Przekonaj się, jak daleko zdołasz zwiać. Zostało nam jeszcze kilka minut spaceru.

Zignorowała go. Zignorowała ów głos, nieustannie namawiający ją do ucieczki. Szła wraz z oprawcami, krok za krokiem. Jej nogi drżały z wysiłku, co było najlepszym dowodem na to, jak długo ją przetrzymywano. Nawet zabiegi uzdrowicieli nie powstrzymały marnienia mięśni.

Cairn prowadził ją w górę po spiralnych schodach, co wnet wywołało u niej zadyszkę. Mgła ustąpiła miejsca chłodnemu powietrzu nocy. Nagle Aelin poczuła zapach słodkich kwiatów. Kwiatów... A więc kwiaty nadal istniały. W tym świecie, w tym piekle, gdzieś kwitły kwiaty.

Huk wody oddalił się i był już tylko przyjemnym, cichym szumem, a wnet zastąpił go wesoły plusk. Czyżby fontanny? Jej stopy dotykały teraz chłodnych, gładkich płytek, a przez płótno worka przenikały złociste błyski. Latarnie...

Powietrze zamarło. Aelin poczuła, że znaleźli się w zamkniętej przestrzeni. Czyżby na jakimś dziedzińcu?

Jej uda i łydki przeszywały impulsy bólu, ostrzegające, każące jej zatrzymać się i odpocząć.

Niespodziewanie powietrze wokół niej otworzyło się i ponownie rozległ się ryk wody.

Potężny Cairn zatrzymał się i przyciągnął ją do siebie szarpnięciem. Poczowała, jak jego broń wgryza się w jej ciało, zgrzyta o łańcuchy. Usłyszała szelest kroków innych strażników, również zatrzymujących się, i cichy chrobot pazurów Fenrysa na kamieniu, czym bez wątpienia dał jej do zrozumienia, że nadal jest w pobliżu.

Nie wiedziała, skąd wzięła się u niego taka potrzeba, ale zrozumiała wszystko, gdy rozległ się kobiecy głos, zarówno młody, jak i stary, rozbawiony i bezduszny:

- Zdejmij jej kaptur, Cairn.

Worek znikł, a Aelin, mrugnawszy parokrotnie, uświadomiła sobie, że była już kiedyś w tym miejscu.

Kiedyś już stała na tej szerokiej werandzie, z której roztaczał się widok na potężną rzekę oraz wodospady, chodziła po ulicach kamiennego, starożytnego miasta, które rozciągało się za jej plecami.

Stała dokładnie w tym samym miejscu, naprzeciwko czarnowłosej królowej spoczywającej na kamiennym tronie na podwyższeniu. Wokół władczyni unosiła się mgła, a na oparciu tronu przysiadła sowa. U jej stóp spoczywał już tylko jeden wilk, czarny niczym noc, czarny jak oczy królowej, które wwierały się w Aelin, zmrużone z rozkoszy.

Maeve pozwoliła, by Aelin napatrzyła się na wszystko. Milczała z zauważalnym zadowoleniem. Jej ciemnofioletowa szata połyskiwała niczym mgły unoszące się za nią, a długi tren spływał po stopniach podestu, aż po...

Wtedy Aelin ujrzała to, co błyszczało u stóp podwyższenia, i zamarła. Czerwone usta Maeve wykrzywił uśmiech. Machnęła białą dłonią.

- Mógłbyś, Cairn?

Mężczyzna bez wahania powlókł Aelin bliżej.

U stóp tronu Maeve ułożono krąg ze strzaskanego szkła. Cairn zatrzymał się tuż przed nim. Najbliższy okruch znajdował się tuż przy

palcach bosych stóp Aelin.

Królowa skinęła na czarnego wilka, który podniósł się, zdjął pyskiem coś z szerokiego podłokietnika tronu i podszedł do Cairna.

– Uznałam, że przynajmniej należałoby uznać twój status – powiedziała Maeve. Przyglądała się Aelin z nieodłącznym pajęczym uśmiechem, gdy dziewczyna podążała wzrokiem za rzeczą, którą wilk podał strażnikowi stojącemu obok Cairna. – Załóżcie jej to – rozkazała królowa.

W dłoniach strażnika migotała starożytna korona, srebrna i wysadzana perłami. Uformowano ją na podobieństwo wznoszących się skrzydeł, spotykających się w środku i zwieńczonych czystymi diamentami. Strażnik umieścił koronę na głowie Aelin, a wtedy klejnoty zaśniły, jakby więziły w sobie blask księżyca.

Korona okazała się nieprzyjemnie ciężka, o wiele cięższa, niż na to wyglądała, jakby zawierała w sobie obręcz z mocnego żelaza. Chłodny metal wpijał się w skórę głowy Aelin.

Cóż, wszak korona była tylko inną formą kajdan.

Aelin opanowała odruch wzdrygnięcia się i strząśnięcia jej z głowy.

– To korona Mab – wyjaśniła Maeve. – Twoja korona. Należy ci się z tytułu pochodzenia. Jesteś jej prawdziwą dziedziczką.

Aelin, ignorując jej słowa, wpatrywała się w krąg szkła.

– Och, o to ci chodzi. – Maeve zauważyła jej spojrzenie. – Chyba wiesz, co teraz będzie, prawda, Aelin, Władczyni Dzikiego Ognia?

Aelin nie odpowiedziała.

Maeve skinęła głową, a Cairn pchnął dziewczynę naprzód, prosto w szkło.

Odłamki rozcięły skórę jej bosych stóp w kilku miejscach. Aelin wciągnęła powietrze przez zęby i powstrzymała okrzyk bólu, a wtedy Cairn pchnął ją na kolana.

Uderzenie wyrwało jej powietrze z płuc. Ból eksplodował, gdy w jej skórę wbiły się kolejne odłamki.

„Oddychaj – nakazała sobie. – Musisz rytmicznie oddychać. To najważniejsze”.

Rozpędziła myśli, skupiła się na wciąganiu i wypuszczaniu powietrza w tempie fali, która nadciąga z morza i cofa się po piasku. Czowała ciepłą wilgoć, gromadzącą się wokół kolan, łydek oraz kostek. Z mgłami mieszał się już metaliczny zapach krwi.

Oddech Aelin stał się chrapliwy. Jej ciałem wstrząsały dreszcze, a w sercu narastał wrzask. Zagryzła wargę mocno, aż wbiła w nią kły.

Nie chciała krzyczeć. Jeszcze nie.

„Oddychaj. Oddychaj!”.

Zacisnęła zęby jeszcze mocniej, aż poczuła smak krwi.

– Szkoda, że nikt tego nie zobaczy. – Głos Maeve zdawał się dobiegać zarówno z daleka, jak i rozbrzmiewać zbyt blisko. – Aelin Niosąca Ogień, która wreszcie założyła właściwą koronę i uklękła u moich stóp.

Ciałem dziewczyny znów wstrząsnął spazm. Zakołysała się, a wtedy kawałki szkła wbiły się w nowe miejsca. Myślami wycofała się jeszcze dalej. Z każdym oddechem znajdowała się coraz bliżej morza, gdzie słowa, uczucia i ból zamieniały się w odległe wybrzeże.

– Fenrys. – Maeve pstryknęła palcami.

Wilk podszedł bliżej i usiadł obok jej tronu, choć wcześniej obrzucił czarnego wilka przelotnym spojrzeniem. Ten odwzajemnił je, chłodno i obojętnie, na co zareagowała sama Maeve.

– Connallu, możesz już powiedzieć bratu wszystko, co chcesz.

Rozbłysło światło. Aelin wciągnęła powietrze przez nos i wypuściła je ustami, a potem ponownie, i raz jeszcze. Ledwie zarejestrowała ciemnowłosego, przystojnego mężczyznę, który pojawił się w miejscu wilka. Miał zbrązowiałą skórę podobnie jak bliźniak, ale brakowało w nim dzikości i drwiny, cechujących Fenrysa. Był odziany jak wojownik, w czerń, a u pasa nosił dwa identyczne noże.

Biały wilk, przytrzymywany niewidzialną mocą, wpatrywał się w bliźniaka.

– Mów, Connallu. Nie wahaj się – rzekła Maeve. Na jej twarzy znów pojawił się lekki uśmiech. Sowa na oparciu tronu przyglądała się sytuacji z powagą, nie mrugając. – Niech twój brat wie, że to twoje słowa i nie mają żadnego związku ze mną.

Stopa w ciężkim bucie trąciła Aelin w plecy i wepchnęła ją mocniej w szkło. Tym razem nawet rytmiczny oddech nie pomógł i z ust dziewczyny wyrwał się stłumiony jęk. Znienawidziła się za to. Nienawidziła tego jęku równie mocno jak królowej przed sobą i sadysty za plecami, ale fakt pozostawał faktem. Jęknęła, choć ryk wodospadu niemalże to zagłuszył.

Poczuła na sobie spojrzenie ciemnych oczu Fenrysa. Wilk mrugnął czterokrotnie, ale Aelin nie była w stanie mu odpowiedzieć. Zaciskała i rozprostowywała palce.

- Sam ściągnąłeś na siebie ten los – oznajmił Connall, przykuwając ponownie uwagę brata. Jego głos był równie lodowaty jak głos Maeve. – Przez swą arogancję i nieskończoną beztroskę. Naprawdę tego pragnąłeś?

Fenrys nie odpowiedział.

- Nie chciałeś, bym otrzymał jakikolwiek zaszczyt. Złożyłeś przysięgę krwi nie po to, by służyć naszej pani, ale po to, bym już nigdy nie zdołał cię w czymś ubiec.

Fenrys obnażył kły, choć jego wzrok zmatowiał, gdy w oczach pojawiło się coś na kształt żalu. Kolana i uda Aelin przeszły kolejna fala płonącego bólu. Zacisnęła powieki. Uparła się, że to zniesie. Zdusi ten ból. Jej poddani cierpieli przez dziesięć lat, a ich udręka nadal trwała. Zrobi to dla nich. Stłumi ów ból, przetrwa go.

Grzmiący głos Connalla przebił się przez jej cierpienie.

- Przyniosłeś wstyd naszemu rodowi i całemu królestwu. Jak dziwka oddałeś się obcej królowej, i co ci to dało? Błagałem cię, byś panował nad sobą, gdy zostałeś wysłany na poszukiwanie Lorcana. Prosiłem cię, byś okazał rozsądek. Równie dobrze mogłeś mi napluć w twarz.

Fenrys warknął, co zapewne było jakąś wiadomością w sekretnej mowie bliźniaków, gdyż jego brat parsknął.

- Wyjechać? Dlaczego niby miałbym chcieć stąd wyjechać? I niby po co? Dla tego czegoś?

Aelin miała zaciśnięte powieki, a mimo to wiedziała, że Connall wskazuje na nią.

- Nie, Fenrysie. Nie wyjadę stąd. Ty zresztą też nie.

Wilgotne powietrze przecięło ciche skamlenie.

– To by było na tyle, Connallu – powiedziała Maeve.

Znów błysnęło światło, które przeniknęło nawet ciemność pod powiekami Aelin.

Oddychała. Oddychała. Oddychała.

– Wiesz, że mogę to szybko zakończyć, Aelin – powiedziała Maeve. Dziewczyna nie otwierała oczu. – Powiedz mi, gdzie ukryłaś Klucze Wyrda, i złoż mi przysięgę krwi, choć kolejność w sumie nie ma znaczenia.

Aelin rozchyliła powieki. Uniosła związane ręce i pokazała królowej najbardziej obsceniczny gest, jaki знаła.

Maeve lekko zacisnęła usta.

– Cairn?

Nim Aelin zdołała nabrać tchu, czyjeś dłonie zacisnęły się na jej barkach i pchnęły ją w dół. Z całej siły. Tym razem nie udało jej się powstrzymać wrzasku. Cairn bowiem posłał ją w przepaść płonącego bólu, który pomknął od rozrytych kolan w górę kręgosłupa.

„Na bogów, na bogów...”.

Przez jej wrzask przebiło się warczenie Fenrysa, dobiegające z wielkiej odległości. Przerwał je świergot Maeve:

– Dobra robota, Cairn.

Uścisk dłoni na jej ramionach zelżał. Aelin pochyliła głowę. Pełen oddech. Musiała nabrać głęboko tchu, ale nie mogła. Jej pierś unosiła się szybko i opadała. Dziewczyna oddychała płytko, chrapliwie, z trudem. Świat przed nią rozmazał się i kołysał, a krew wokół jej kolan falowała wraz z nim.

Trzeba przetrwać. Przeżyć.

– Moi szpiedzy przekazali mi ciekawą informację dziś rano – oznajmiła Maeve, rozciągając słowa. – Rzekomo przebywasz aktualnie w Terrasenie, gdzie szykujesz swoją malutką armię na wojnę. Ty, książę Rowan i dwaj spośród moich pohańbionych wojowników, a do tego reszta twoich stronników.

A trzymała się nadziei jak ostatnia, żalosna idiotka. Liczyła na to, że

przybędzie jej na pomoc. Choć z drugiej strony powiedziała mu, by tego nie robił. Kazała mu zostać i bronić Terrasenu. Zrobiła wszystko, by mógł z desperacją stawić czoła Morath.

– Dobrze jest mieć zmiennokształtną, która odegra za ciebie rolę królowej – zadumała się Maeve. – Ciekawe tylko, jak długo przetrwa ów podstęp, skoro zmiennokształtna nie potrafi palić legionów Morath tak jak ty. Ile czasu upłynie, zanim sojusznicy zaczną się zastanawiać, dlaczego Niosąca Ogień niczego nie pali.

Maeve nie kłamała, ale skąd знаła szczegóły sekretnego planu, który Aelin ułożyła z Lysandrą? Czyżby po prostu się domyśliła? Być może, jednak...

Czyli Rowan udał się z nimi. Wszyscy są na północy. Dotarli do Terrasenu.

Cieszyła się z tej łaski losu, ale...

Szkoło wokół niej migotało we mgle i blasku księżyca. Między okruchami przedzierały się strumienie gęstej krwi.

– Nie chcę zniszczyć tego świata tak jak Erawan – ciągnęła Maeve tonem, jakim toczyło się dysputy w herbaciarniach w Rifthold, o ile któraś przetrwała szturm Żelaznozębnych. – Erilea podoba mi się taka, jak jest, i zawsze tak było.

Szkoło, krew, weranda i blask księżyca falowały wokół Aelin.

– Widziałam wiele wojen. Posyłałam moich wojowników, by w nich walczyli i je kończyli. Wiem, jakie są niszczycielskie. Szkoło, na którym spoczywasz, pochodzi z jednej z tych wojen. Z gór szkła na południu. Kiedyś były piaszczystymi wydmiami, ale smoki spaliły je na szkło podczas krwawego konfliktu w przeszłości. – Mruknięcie rozbawienia. – Niektórzy ludzie mówią, że to najtwardsze szkło na świecie. Najbardziej odporne. Przyszło mi do głowy, że zważywszy na twe dziedzictwo i reputację ziejącej ogniem księżniczki, docenisz jego pochodzenie.

Maeve cmoknęła głośno, a wówczas Cairn ponownie złapał Aelin za ramiona i zaczął wciskać ją w szkło, coraz mocniej i mocniej.

„Bogowie, bogowie, na bogów...”.

Nie, nie było żadnych bogów, którzy mogliby przyjść jej teraz z pomocą. Nie, na pewno nie.

Jej wrzaski odbijały się echem od skał i wody. Była sama. Całkiem sama. Proszenie białego wilka, by przyszedł jej z pomocą, miało się z sensem.

Dłonie, zaciskające się na jej ramionach, oderwały się. Aelin zgarbiła się, dysząc ciężko. Żółć podeszła jej do gardła.

„Przetrwać, przeżyć...”.

– Smoki nie przeżyły tej wojny – ciągnęła ze spokojem Maeve. – I wszelki ślad po nich zginął.

Wykrzywiła usta, a Aelin zrozumiała, że to sama Maeve tego dopilnowała. A więc polowała na wszelkie istoty, które władały ogniem. Polowała na nie i je zabijała.

Aelin nie miała pojęcia, dlaczego nagle obudził się w niej smutek z powodu odejścia istot, których nie było w Erilei od wielu, wielu stuleci i których już nigdy miała nie ujrzeć. Nie wiedziała, dlaczego ten fakt przepęłił ją tak niewyobrażalną rozpaczą. Nie wiedziała, dlaczego to miało jakiegokolwiek znaczenie w chwili, gdy jej własna krew płonęła bólem.

Maeve odwróciła się ku Connallowi, który stał jako Fae obok tronu i z wściekłością patrzył na brata.

– Podajcie mi jakieś przekąski.

Aelin nadal klęczała w szkle, gdy przyniesiono jedzenie i picie. Klęczała, gdy Maeve kosztowała sera i winogron, nie przestając się do niej uśmiechać. Nie mogła opanować drżenia, które zawładnęło jej ciałem, nie umiała powstrzymać brutalnego odrętwienia. Pogrążała się coraz głębiej.

To, że Rowan nie zmierzał jej na ratunek, nie miało znaczenia. Najważniejsze było to, że reszta posłuchała jej prośby i ruszyła do walki o Terrasen.

Ona zaś miała zamiar bronić królestwa na własny sposób, najdłużej, jak mogła. Miała wielki dług wobec Terrasenu i wiedziała, że nigdy do końca go nie spłaci.

Naraz z oddali dobiegły słowa, a po nich wspomnienie. Pozwoliła, by ją pochłonęło i wyciągnęło z ciała.

Siedziała obok ojca na kilku stopniach, prowadzących na arenę dla trenujących wojowników. Miejsce to przypominało świątynię – otaczały je

starożytne, blade kolumny, które były świadkami objawienia się najwaleczniejszych wojów Terrasenu. Trwało późne, letnie popołudnie, a o tej porze arena, rozjarzona złocistymi promieniami słońca, była już pusta.

Rhoe Galathynius przesunął dłoń po okrągłej tarczy. Ciemny metal znaczyły wgięcia i szczyrby, pamiątki po koszmarach, które unicestwili władający osłoną wojownicy.

– Któregoś dnia – rzekł, wiodąc palcem po jednej z długich szram – ta tarcza stanie się twoją własnością, tak jak kiedyś ja ją otrzymałem, a przede mną twój prawuj.

Wciąż był zasapany po treningu, który odbyli. Tylko we dwoje, jak jej obiecał. Ta godzina raz w tygodniu była przeznaczona tylko dla niej.

Ojciec ułożył tarczę na kamiennym stopniu poniżej. Stuknęła mocno, aż Aelin poczuła wibracje przez podeszwę sandała. Tarcza ważyła prawie tyle co ona sama, ale dla ojca było to niemalże przedłużenie ramienia.

– A ty – ciągnął – jak wiele innych wielkich kobiet i mężczyzn z tego rodu będziesz ją dzierżyć w obronie królestwa.

Uniosła oczy ku jego twarzy, przystojnej i pozbawionej zmarszczek, poważnej i królewskiej.

– To twoje zadanie, twa misja, twój najważniejszy obowiązek – dodał i oparł dłoń na krawędzi tarczy, stukając w nią dla podkreślenia wagi swych słów. – Będziesz bronić, Aelin. Bronić i ochraniać.

Pokiwała głową, nic nie rozumiejąc. Ojciec zaś ucałował ją w czoło, jakby miał nadzieję, że jego córka nigdy nie będzie musiała zrozumieć, o co mu chodziło.

Cairn ponownie wepchnął ją w szkło.

Aelin nie była już w stanie wrzeszczeć.

– Zaczyna mnie to nudzić – oznajmiła Maeve, zapomniawszy o srebrnej tacy z jedzeniem. Wychyliła się na tronie, a sowa na oparciu zaszeleściła skrzydłami. – Myślisz, Aelin Galathynius, że ja nie jestem gotowa na ofiary, by dostać to, czego poszukuję?

Aelin zapomniała, jak się składa słowa w mowę, więc milczała.

– Pozwól, że ci zademonstruję – oznajmiła królowa i się wyprostowała.

Oczy Fenrysa błysnęły ostrzegawczo.

Maeve machnęła białą dłonią na Connalla, który stał nieruchomo obok jej tronu od chwili, gdy przyniósł królowej jedzenie.

– Do roboty – powiedziała.

Connall wyciągnął nóż zza pasa i zrobił krok w stronę brata.

„Nie...”.

Słowo rozbrzmiało w duszy Aelin zimnym echem. Jej usta ułożyły się, by je wypowiedzieć, a ona sama napała na łańcuchy, choć jej nogi eksplodowały płynnym ogniem.

Connall zrobił kolejny krok.

Szkło zachręściło pod stopami dziewczyny.

„Nie, nie!”.

Connall stanął nad bratem z drżącą ręką. Fenrys jedynie warknął, gdy jego brat wzniósł broń.

Nie była w stanie zerwać się na nogi. Szkło paraliżowało ją bólem, a łańcuchy ograniczały jej ruchy. Nie mogła zrobić nic, absolutnie nic... Cairn złapał ją za szyję z taką siłą, iż z pewnością pozostawił na skórze sińce, i znów wepchnął ją w zakrwawione drobinki szkła. Spomiędzy popękanych ust Aelin wyrwał się ochryply, urwany wrzask.

Fenrys, jedyne, co łączyło ją z życiem, z rzeczywistością... Ostrze Connalla zabłysło.

Przyszedł jej na pomoc w Mistward, czym sprzeciwił się woli Maeve. Może teraz robi to samo? Może jego pełne nienawiści słowa były tylko oszustwem...

Ostrze opadło.

Nie ugodziło jednak Fenrysa, a wbiło się w serce Connalla.

Fenrys drgnął. Rozwarł pysk, jakby chciał wrzasnąć, i raz za razem z desperacją próbował skoczyć bratu na pomoc, lecz ten osunął się na płytki werandy. Wokół niego zgromadziła się kałuża krwi.

Sowa na tronie Maeve trzepnęła skrzydłami, jakby ogarnęło ją przerażenie. Stojący za Aelin Cairn parsknął dudniącym śmiechem.

To się działo naprawdę. Musiało. Nie było innej możliwości.

Coś zimnego, oleistego rozlało się po sercu Aelin. Jej dłonie osłabły. Światło w ciemnych oczach Connalla zaczęło gasnąć, a rozprzestrzeniająca się kałuża krwi sięgnęła jego rozsypanych włosów.

Fenrys dygotał. W innej sytuacji Aelin zareagowałaby tak samo.

– Skaziłaś coś, co należało do mnie, Aelin Galathynius – oznajmiła Maeve. – Teraz ową skazę trzeba oczyścić.

Fenrys skamlał, nadal próbując podpełznąć do martwego brata na podłodze. Fae potrafili się uzdrawiać, może więc serce Connalla zdoła jeszcze ożyć... Wtedy pierś śmiertelnie rannego Fae uniosła się raz jeszcze, a z jego ust wydobył się chrapliwy oddech, po czym Connall znieruchomiał na zawsze.

Wycie Fenrysa przeszło noc. Cairn puścił Aelin, która opadła na szkło. Jej dłonie i nadgarstki znów zapiekły.

Nie podnosiła się. Było jej obojętne, że korona zsunęła się jej z głowy i potoczyła na bok, roztrzając smocze szkło. Podskoczyła raz i drugi na co większych odłamkach, po czym poturlała się ku kamiennej balustradzie.

Sekundę później wpadła do rozhukanej, nienawistnej rzeki.

– Nikt cię nie uratuje. – Głos Maeve był równie pusty jak przestrzeń między gwiazdami. – Nikt ci nie przyjdzie z pomocą. Nikt.

Ręce dziewczyny zanurzyły się w starożytnym szkle.

– Pomyśl o tym dziś w nocy, Aelin. Dobrze się zastanów – rzekła Maeve i strzeliła palcami. – Już skończyliśmy.

Cairn zacisnął dłonie na łańcuchach.

Pod Aelin ugięły się kolana, na stopach pojawiły się nowe skaleczenia. Ledwie je poczuła, ledwie czuła cokolwiek, gdyż w jej sercu obudziły się niespodziewanie wściekłość oraz istne morze ognia. I wtedy, gdy Cairn usiłował ją podnieść, zaatakowała.

Zamachnęła się i wbiła szklany odłamek w bok jego szyi. Oprawca zatoczył się i zaklął, tamując tryskającą krew.

Aelin zaś zawirowała, nie dbając o to, że szkło rani ją w stopy, i cisnęła okruchem trzymanym w drugiej ręce prosto w Maeve.

Chybiła o włos. Odłamek rozorał blady policzek królowej i odbił się

od oparcia tronu. Sowa siedząca tuż nad trafionym miejscem wrzasnęła wściekle.

Ktoś pochwycił ją brutalnie, Cairn krzyczał coś, ktoś wyzywał ją od małych zdzir, ale ona nie słyszała niczego. Widziała tylko strużkę krwi na policzku królowej.

Czarnej krwi. Czarnej niczym noc. Równie czarnej jak oczy, które królowa wbiła w nią, dotykając skaleczenia.

Nogi Aelin osłabły. Nie stawiała oporu odciągającym ją strażnikom.

Mrugnęła i krew Maeve na powrót stała się czerwona, a zapach równie żelazisty jak zapach jej własnej krwi. Złudzenie optyczne. Halucynacja. Sen. Maeve wpatrywała się w czerwoną plamę na swych bladych palcach.

Czarny wiatr runął na Aelin, otoczył jej szyję i zacisnął się wokół niej. Świat zalał mrok.

9.

Cairn przywiązał ją do ołtarza i pozostawił. Ani myślał wyciągać odłamków szkła z jej ran na nogach i stopach, przez co nadal ściekała z nich krew.

Fenrys przyszedł długo po tym, jak się przebudziła, tym razem nie jako wilk, ale jako człowiek.

Każdy jego krok zdradzał jej, co się z nim dzieje, na długo nim ujrzała martwość w jego oczach i bladość zazwyczaj złocistej skóry. Nie patrzył na nic, nawet gdy zatrzymał się przed ołtarzem, do którego została przykuta.

Aelin nie wiedziała, czy uda jej się wykrztusić choć słowo. Zamrugła więc trzykrotnie.

„Wszystko w porządku?”

Odpowiedziały jej dwa mrugnięcia: „Nie”.

Na jego policzkach schły łzy.

Jej łańcuchy zachrzęściły, gdy wyciągnęła ku niemu drżący palec. Fenrys bez słowa ujął jej dłoń.

Wiedziała, że zapewne nie usłyszy jej słów, ledwie wyszeptanych i stłumionych przez żelazną maskę, ale mimo to podjęła próbę:

– Przykro mi.

Mocniej uściskał jej dłoń.

Górne guziki jego szarego kaftana były rozpięte i odsłaniały fragment muskularnej klatki piersiowej, jakby Fenrys uciekał przed oblicza Maeve, nie dbając już o nic. Aelin poczuła ucisk w żołądku. Tak, bez wątplenia stamtąd zbiegł, porzucając ciało zabitego brata.

– Nie wiedziałem, że nienawidzi mnie tak bardzo – wychrypiał.

Aelin ścisnęła jego dłoń. Fae zamknął oczy i drżąc na całym ciele, nabrał tchu.

– Pozwoliła mi tu przyjść tylko po to, by wyjąć szkło. Po wszystkim muszę... muszę tam wracać.

Ruchem podbródka wskazał miejsce pod ścianą, gdzie zazwyczaj siedział. Chciał podejść do jej nóg, ale Aelin znów ścisnęła jego dłoń i zamruwała dwa razy. „Nie”.

Chciała, by został w tym ciele choć chwilę dłużej, by mógł opłakać śmierć brata jako mężczyzna, a nie wilk. Chciała, by pozostał człowiekiem, by móc usłyszeć przyjazny głos, poczuć łagodny dotyk...

Zaczęła płakać. Nie mogła nic na to poradzić, nie umiała też przestać. Nienawidziła każdej łzy, każdego drżącego oddechu, każdego spazmu, który na nowo budził ból w jej nogach i stopach.

– Wszystko powyciągam – rzekł Fenrys, a ona nie była w stanie mu wyjaśnić, że nie chodzi wcale o szkło ani o pocięte ciało.

On nie przybędzie. Nie uratuje jej.

Powinna się cieszyć. Powinna czuć ulgę. Ba, czuła ulgę, ale... mimo to...

Fenrys wyciągnął drobne szczypce z zestawu pozostawionego przez Cairna.

– Uporam się z tym najszybciej, jak się da.

Aelin znów przygryzła wargę i odwróciła głowę, gdy Fae wyjął pierwszy okruch z jej kolana. Z ranki znów pociekła krew.

Czuła zapach soli, silniejszy od woni krwi, i wiedziała, że znów płacze. Zapach łez wypełnił całą komnatę.

Fenrys pracował. Żadne z nich nie odzywało się ani słowem.

10.

Świat ograniczył się do zamarzającego błota, czerwonej i czarnej krwi oraz wrzasków umierających, które wzbijały się ku zimowemu niebu.

Lysandra już dawno się nauczyła, że bitwy nie są uporządkowanymi wydarzeniami. Bitwy to chaos, ból i furia, a w ich trakcie nie ma miejsca na wielkie pojedynki między bohaterami. Był tylko ścisk, przez który przebijała się, chlastając pazurami i szarpiąc kłami, były zakrwawione miecze tłukące o pogięte tarcze i ongiś rozpoznawalne zbroje, teraz zbryzgane posoką. Gdyby nie to, że wróg nosił głównie czarne pancerze, Lysandra nie byłaby w stanie odróżnić swego od przeciwnika.

Udało im się utrzymać pozycję. Przynajmniej tyle.

Tarcza w tarczę, ramię w ramię stawili czoła legionowi Erawana na śnieżnej równinie pod Eldrys, która niebawem zamieniła się w błotne grzęzawisko.

Decyzje o miejscu, momencie wszczęcia walki oraz szyku podjął Aedion. Inni nalegali na natychmiastowy kontratak, ale Ashryver pozwolił Morath wedrzeć się w głąb Terrasenu, dokładnie tam, gdzie chciał, by wróg dotarł.

„Miejsce, w którym dochodzi do bitwy, jest równie ważne jak liczebność armii” – wyjaśnił.

Oczywiście nie Lysandrze, której nie zaszczycił ostatnio ani słowem.

Choć nie była to odpowiednia chwila, by o tym myśleć czy się tym przejmować.

Ich sojusznicy i żołnierze wierzyli w to, że Aelin Galathynius jest w drodze do nich, dzięki czemu Lysandra mogła przybrać formę widmowego lamparta. Ren Allsbrook zamówił dla niej pancerz, który chronił pierś i boki jej zwierzęcia, na tyle lekki, by nie krępował jej ruchów, ale jednocześnie na tyle mocny, że trzy ciosy, których nie zdołała zablokować – strzała w bok i dwa pchnięcia mieczem – nie wyrządziły jej żadnej szkody.

Mimo to jej ciało płonęło od bólu pomniejszych skaleczeń. Jej łapy były lepkie od krwi wroga po rzezi, jaką czyniła w ich szeregach, a także od własnej, bo nieraz nadepnęła na upuszczony miecz czy pękniętą strzałę. Mimo to parła naprzód, a Zguba walecznie wytrzymywała napór wrogiego hufca.

Liczącego zaledwie pięć tysięcy zbrojnych.

Zaledwie. Słowo wydawało się idiotyczne, ale używali go Aedion i pozostali. Zważywszy na potęgę Morath, wysłane przeciwko nim siły nie zasługiwały nawet na miano armii, ale były wystarczająco duże, by stanowić zagrożenie.

„Jeszcze się przekonamy” – pomyślała Lysandra, która wdarła się między dwóch wojowników Zguby i skoczyła na najbliższego piechura Valgów.

Ten wznosił akurat miecz do ciosu na ludzkiego wojownika. Patrzył w innym kierunku i nawet nie zauważył nadciągającej śmierci, aż kły lamparta zacisnęły się na jego odsłoniętej szyi. Bitwa trwała od wielu godzin i Lysandra podążała już tylko za instynktem. Ten zaś nakazał jej zacisnąć szczęki i rozszarpać ciało niczym kęs dojrzałego owocu.

Jej łapy opadły na ziemię. Wypluła krew i skoczyła naprzód, pozostawiając odrąbanie głowy żołnierzowi. Życie kurtyzany, jakie wiodła w Rifthold, wydawało się teraz odległe o całe wieki, a choć otaczała ją śmierć, nie mogła powiedzieć, by jej go brakowało.

Dalej w szeregu Aedion krzyczał w kierunku lewej flanki. Na wieść o tym, że siły Erawana są stosunkowo nieliczne, odesłał część Zguby na tyły i wzmocnił oddziały wojownikami lordów Terrasenu oraz siłami księcia Galana Ashryvera i królowej Ansel z Pustkowi, którzy czekali na posiłki.

Nie rozgłaszano, że w razie potrzeby mogą liczyć na drużynę żołnierzy Fae dzięki uprzejmości księcia Endymiona i księżniczki Sellene Białej Cierń oraz Milczących Zabójców z Czerwonej Pustyni. Podczas krótkiej narady wojennej, która odbyła się po powrocie do obozu, Aedion przekonał wszystkich, że na wyciąganie asów z rękawa będzie jeszcze czas. Lysandra, wycieńczona po locie z zamku Allbrooków na skraj Orynthu, ledwie przysłuchiwała się debacie. Tak czy owak, Aedion dopiął swego.

Jak zwykle dzięki czystej sile woli i arogancji.

Lysandra nie miała odwagi spojrzeć na szeregi wojowników, by przekonać się, jak sobie radził, walcząc ramię w ramię w błocie ze swymi ludźmi. Prawą flanką, gdzie szalała ona sama, dowodził Ren, a dowództwo nad lewą objęli Galan i Ansel. Wspierali ich tam Ravi i Sol z Surii. Lysandra nie miała odwagi sprawdzać, kto jeszcze unosił miecz.

Czas na liczenie poległych miał nastąpić po bitwie. Zresztą siły wroga topniały. Najeźdźców pozostał jeszcze jakiś tysiąc i sprzymierzeni mieli już nad nimi sporą przewagę liczebną. Lysandra szalała więc dalej, czując na języku krew wrogów przypominającą smakiem zepsute wino.

Osiągnęli zwycięstwo, choć Aedion był jak najbardziej świadom tego, że wobec ogromnej liczebności sił Morath nie była to znacząca wygrana.

Gorączka bitewna nie opuściła ich jeszcze i jakąś godzinę po zabiciu ostatniego Valga Aedion stał już w swym namiocie wojennym i pochylał się nad zasłanym mapami stołem. Towarzyszyli mu Ren Allbrook oraz Ravi i Sol z Surii.

Nie miał pojęcia, gdzie przebywała Lysandra. Wiedział, że przeżyła, a ta świadomość wystarczała mu w zupełności.

Nikt nie miał czasu zmyć z siebie krwi czy błota, które zasychały lepką warstwą pod ich hełmami i zbrojami. Broń zrzucili na stos przy wejściu do namiotu. Każde ostrze wymagało czyszczenia, ale nie teraz.

– Jakie mamy straty? – Aedion zwrócił się do Raviego i Sola. Dwaj jasnowłosi bracia rządząli Surią, choć z technicznego punktu widzenia władcą był Sol. Choć byli w wieku Aediona, nigdy wcześniej nie walczyli w bitwie, ale tego dnia stawili wrogowi dzielny opór, podobnie jak ich żołnierze. Ich ojciec zginął na katowskim pieńku po adarlańskiej inwazji, ale matce udało się przeżyć wojnę i okupację dzięki własnemu sprytowi oraz temu, że dobrze prosperujące miasto portowe było dla imperium zbyt cenne, by urządzić w nim rzeź. Sol, z tego, co Aedion mógł dostrzec, odziedziczył spokój i bystry umysł po matce, a Ravi, zuchwały i gwałtowny, bardziej przypominał ojca. Ich jasnoniebieskie oczy zdradzały jednak, że obaj nienawidzą Adarlanu z całego serca.

Sol, którego szczupła twarz nadal była poznaczona plamkami błota, odetchnął przez nos. Gdy byli dziećmi, Aedion uważał, że to nos arystokraty. Zresztą Sol zawsze wydawał mu się bardziej uczonym niż wojownikiem, ale wyglądało na to, że podczas ponurych lat okupacji nauczył się niejednego.

- Nieliczne, dzięki bogom. Padło co najwyżej dwustu naszych.

Mówił miękkim, cichym głosem, ale w ciągu ostatnich tygodni Aedion przekonał się, że nie ma to żadnego związku z jego charakterem. Być może ta cecha również mogła okazać się bronią – sprawiał w ten sposób wrażenie słabego, łagodnego człowieka, maskując ostry umysł i jeszcze ostrzejsze instynkty.

- A twoje skrzydło? – Aedion zwrócił się do Rena.

Ten przeczesał dłonią włosy, krusząc zaschnięte błoto.

- Najwyżej stu pięćdziesięciu.

Aedion pokiwał głową. O wiele lepiej, niż się spodziewał. Dzięki wsparciu żołnierzy Zguby, którzy stanowili trzon armii, wytrzymali napór. Valgowie usiłowali utrzymać dyscyplinę w swych szeregach, ale gdy lała się ludzka krew, tracili panowanie nad sobą i wpadali w szał pomimo wrzasków dowódców.

Wszyscy wrogowie byli szeregowymi Valgami i nie było wśród nich ani jednego księcia. Aedion wiedział, że nie ma się z czego cieszyć. Wiedział, że owe pięć tysięcy, wysłane przez Erawana, by zaskoczyć okręty Galana przy Ilium i ruszyć na Eldrys, miało jedynie ich zmęczyć. Nie towarzyszyły im ilkeny, nie było Żelaznozębnych ani Ogarów Wyrda.

Mimo to i tak trudno było ich pozabijać. Walczyli o wiele dłużej od zwykłych ludzi.

Ravi przyglądał się mapie.

- Cofamy się do Orynthu czy idziemy na granicę?

- Darrow kazał nam wrócić do Orynthu, jeśli przeżyjemy – odparł Sol i zmarszczył brwi, patrząc na brata. Błysk w jego oczach aż nader wyraźnie zdradzał, gdzie młodzieniec chciałby się teraz znaleźć.

Darrow, który był zbyt stary, by wziąć udział w walce, przebywał w obozie drugiej linii, znajdującym się trzydzieści kilometrów za nimi. Gdyby siłom Morath udało się przebić przez jeden z najlepszych

oddziałów w dziejach Terrasenu, miał stanąć im na drodze, ale nie było wątpliwości, że wiedział już o zwycięstwie, co oznaczało, iż ruszył do stolicy.

Aedion spojrzał na Rena.

– Myślisz, że twój dziadek jest w stanie przekonać Darrowa i pozostałych lordów do ruszenia na południe?

Żeby toczyć wojnę na posiedzeniach i naradach? Cóż za absurd. Musiał walczyć, by przeforsować każdy swój pomysł, każdy wybór pola bitwy. Musiał ich przekonać!

A przecież te oddziały zostały zebrane przez ich królową. Przybyły na wezwanie Aelin, a Zguba nie służyła nikomu innemu.

Ren uniósł głowę i odetchnął. Obłok pary poleciał w stronę sufitu namiotu, wielkiego, ale pozbawionego jakichkolwiek dekoracji. Nie mieli czasu ani możliwości, by zamienić go w prawdziwy namiot wojenny. Wstawiono tu tylko pryczę, kilka koszów z ogniem oraz ten stół, a z tyłu miedzianą wannę za parawanem. Aedion wiedział, że po zakończeniu spotkania będzie musiał znaleźć kogoś, kto ją napełni.

Gdyby była tu Aelin, podgrzałaby wodę w okamgnieniu. Aedion przegnął ból z serca.

Ba, gdyby tu była, owe pięć tysięcy wrogów, których zabili z takim trudem, w okamgnieniu zamieniłoby się w popiół na wietrze.

Nikt z lordów obecnych na naradzie nie dopytywał się, gdzie przebywa królowa i dlaczego nie dołączyła do bitwy. Być może nie mieli odwagi.

– Jeśli ruszymy na południe bez zgody Darrowa i innych lordów, ci poczują to za zdradę – rzekł Ren.

– Zdradę? – spytał wzburzony Ravi. – Przecież ratujemy nasze przeklęte królestwo.

– Darrow i pozostali walczyli podczas ostatniej wojny. – Sol zwrócił się do brata.

– I ponieśli klęskę – sprzeciwił się tamten. – I to wielką. – Spojrzał na Aediona. – Walczyłeś na równinie Theralis. Widziałeś tę rzeź.

Władcy Surii nie żywili wielkiego szacunku względem Darrowa i innych lordów, którzy dowodzili armią Terrasenu podczas ostatniej,

skazanej na porażkę bitwy. Wszak ich błędy doprowadziły do śmierci większości członków dworu, ich przyjaciół. To, że musieli walczyć przeciwko ogromnej, beznadziejnej wprost przewadze, nie miało dla nich znaczenia.

– Moim zdaniem trzeba iść na południe – ciągnął Ravi. – Trzeba zgromadzić siły na granicy i nie pozwolić, by Morath podszedł tak blisko Orynthu.

– Co więcej, jeśli na południu nadal mamy sojuszników, ci nie mieliby długiej drogi do pokonania, gdyby zechcieli do nas dołączyć – dodał Ren.

– Galan Ashryver oraz Ansel z Pustkowi udadzą się, gdzie im każemy. Fae oraz Zabójcy również – naciskał Ravi. – Pozostałe oddziały Ansel zmierzają na północ. Możemy wyjść im na spotkanie. Być może każemy im uderzyć z zachodu, podczas gdy my wyprowadzimy atak z północy.

Był to rozsądny pomysł i Aedion sam już go rozważał. Niemniej musiał wpierw przekonać Darrowa. Obiecał sobie, że wyruszy jutro do drugiego obozu i być może dogoni Darrowa, nim ten powróci do stolicy, ale najpierw musiał sprawdzić, czy ranni otrzymali należytą pomoc.

Wyglądało jednak na to, że Darrow nie chciał czekać do jutra.

– Generale Ashryver! – Na zewnątrz namiotu rozległ się młody, opanowany głos.

Aedion burknął, zapraszając gościa do środka. Jego oczom ukazał się oczywiście nie Darrow, ale wysoki, ciemnowłosy i szarooki mężczyzna. Zamiast zbroi miał na sobie zbryzgany błotem strój podróżny, który krył dobrze zbudowane ciało. Z wrodzoną zwinnością zrobił kilka kroków, uklonił się przed Aedionem i wręczył mu trzymany w rękę list. Ten ujrzał własne imię, wypisane dłonią Darrowa.

– Lord Darrow prosi, by spotkał się pan z nim jutro. – Poślaniec wskazał list ruchem głowy. – Pan oraz pańska armia.

– Po co wysłać list, skoro chcesz nam powiedzieć, co się w nim znajduje? – mruknął Ravi.

Poślaniec obrzucił młodego lorda zamyślonym spojrzeniem.

- Również o to spytałem, panie.

- A więc dziwi mnie to, że wciąż jesteś na jego służbie – rzekł Aedion.

- Nie jestem na służbie – odparł posłaniec. – Ja... Cóż, współpracuję.

Aedion otworzył list, który w istocie zawierał rozkaz Darrowa.

- Musiałbyś umieć latać, by dotrzeć tu tak szybko – powiedział do posłańca. – Ten list zapewne został napisany jeszcze przed rozpoczęciem bitwy dziś rano.

- Dostałem dwa listy. – Posłaniec uśmiechnął się. – Jeden na okoliczność zwycięstwa, a drugi porażki.

Cóż, bez wątpienia był śmiałym i aroganckim człowiekiem jak na kogoś, kto służy na każde skinienie Darrowa.

- Jak cię zwa?

- Nox Owen. – Posłaniec ukłonił się nisko. – Z Perranthu.

- Słyszałem o tobie! – Ren raz jeszcze przyjrzał się nowo przybyłemu. – Jesteś złodziejem!

- Byłem złodziejem – poprawił go Nox. – Teraz jestem buntownikiem i najbardziej zaufanym posłańcem lorda Darrowa.

W istocie – doświadczony złodziej idealnie nadawał się na posłańca, gdyż mało kto lepiej potrafił niespostrzeżenie przemykać z miejsca w miejsce. Aedion jednakże nie dbał o to, co Nox umie, a czego nie.

- Rozumiem, że nie wracasz do niego dzisiaj?

Posłaniec pokręcił głową. Aedion westchnął.

- Czy Darrow zdaje sobie sprawę z tego, że ludzie są wycieńczeni i choć wygraliśmy tę bitwę, nie przyszło nam to łatwo?

- Och, z całą pewnością zdaje sobie z tego sprawę – rzekł Nox i uniósł wysoko brwi z lekkim rozbawieniem.

- Przekaż mu – wtrącił się Ravi – że może zatem tu przybyć. Nie będziemy przesuwać całej armii po to, by mógł się z nami spotkać.

- Spotkanie to tylko pretekst – rzekł cicho Sol, a Aedion pokiwał głową. Widząc zmarszczone czoło brata, Sol dodał: – Chce mieć pewność, że my nie... – Urwał, uświadomiwszy sobie, że w namiocie

nadal stoi złodziej, który słucha każdego słowa.

Nox uśmiechnął się, jakby doskonale wiedział, o co chodzi.

Darrow chciał mieć pewność, że nie wyruszą na południe i zapobiegliwie pokrzyżował im szyki. Ravi warknął, gdy wreszcie dotarło do niego to, co chciał przekazać mu brat. Aedion i Ren spojrzeli po sobie. Lord Allsbrook zmarszczył brwi, ale pokiwał głową.

– Znajdź dla siebie jakieś ognisko i odpocznij, Noksie Owen. – Aedion zwrócił się do posłańca. – Wyruszamy o świcie.

Aedion wyszedł, by znaleźć Kylliana i przekazać mu rozkaz. Kluczył wśród namiotów pełnych wyczerpanych, poranionych, jęczących z bólu żołnierzy. Zatrzymywał się przy ich posłaniach, zaciskał dłoń na ich ramionach, podnosił na duchu ciepłym słowem. Wiedział, że niektórzy przeżyją tę noc, ale nie wszyscy. Na pewno nie wszyscy.

Zatrzymywał się również przy ogniskach, gdzie chwalił walczących, bez względu na to, czy wywodzili się z Terrasenu, Pustkowi czy Wendlyn. Z kilkoma napił się piwa, z paroma coś przekąsił. To Rho nauczył go subtelnej sztuki wpływania na wojowników, by ci chcieli iść za nim do bitwy, walczyć, a nawet ginąć za niego. Co więcej, pokazywał, że są dla niego ludźmi, którzy mają przyjaciół oraz rodziny i ponoszą takie samo ryzyko jak on. Aedion czuł się wyczerpany, ale mimo to z ochotą przystawał, by podziękować ludziom za odwagę i waleczność.

Zabrało to jednak sporo czasu. Gdy dotarł w pobliże namiotu Kylliana, słońce zdążyło już zająć i zabłocony obóz zalewały coraz dłuższe cienie między ogniskami. Siwowłosa Elgan, jeden z kapitanów Zguby, klepnął go w ramię, gdy przechodził obok.

– Nieźle jak na pierwszy dzień, szczeniaku! – burknął z ponurym uśmiechem.

Nazywał tak Aediona od początku jego służby w szeregach oddziału. Był jednym z pierwszych ludzi, którzy traktowali go nie jak księcia, który stracił królestwo, ale jak wojownika, gotowego go bronić. Aedion zawdzięczał mu zarówno niejedną lekcję dowodzenia armią w polu, jak i życie, bo mądrość i ostry miecz Elgana nieraz ocaliły go od śmierci.

Aedion uśmiechnął się do starzejącego się oficera.

– Dobrze walczyłeś jak na starego dziadka.

Córka Elgana zimą powiła syna.

– Ciekawe, czy w moim wieku też będziesz tak sprawnie wywijał mieczem, chłopcze!

Kapitan odszedł, kierując się ku ognisku, przy którym siedziało kilku starszych oficerów. Ci zauważyli Aediona i unieśli kufle w salucie, na co Ashryver pochylił głowę i szedł dalej przed siebie.

– Aedionie.

Rozpoznałby ten głos, nawet gdyby był ślepy. Lysandra wyszła zza namiotu. Jej ubranie było ubłocone, ale twarz miała czystą. Aedion zatrzymał się, wreszcie czując na sobie ciężar brudu i zaschniętej krwi.

– Czego?

Zmiennokształtna zignorowała jego ton.

– Mogłabym polecieć do Darrowa i przekazać mu wiadomość od was.

– Chce, byśmy cofnęli armię do niego, a potem przenieśli ją do Orynthu – rzucił Aedion, nadal idąc w stronę namiotu Kylliana. – I to natychmiast.

Lysandra stanęła mu na drodze.

– Mogę polecieć i powiedzieć mu, że wojownicy potrzebują czasu na odpoczynek.

– O co ci chodzi? Próbujesz na nowo wkraść się w moje łaski? – Aedion był zbyt zmęczony, by owijać w bawełnę.

Jej szmaragdowe oczy stały się równie zimne jak otaczająca ich noc.

– Twoje łaski mam głęboko w dupie. Zależy mi natomiast na tym, by armia nie opadła z sił na skutek niepotrzebnych manewrów.

– A skąd ty w ogóle wiesz o tym, co było mówione w namiocie? – spytał Aedion, choć odpowiedź przysłała mu niemalże natychmiast do głowy. Przebywała tam wraz z nimi, przybrawszy ciało jakiegoś drobnego, mało zauważalnego stworzenia. Właśnie dlatego wiele

królestw i dworów wypowiedziało zmiennokształtnym zdecydowaną, bezlitosną wojnę. Byli niezrównanymi szpiegami i zabójcami.

Lysandra założyła ramiona na piersi.

– Jeśli nie chcesz, bym zasiadała w twojej radzie wojennej, po prostu to powiedz.

Aedion przyjrzał się jej twarzy i wyprostowanemu, sztywnemu ciału. Znać było po niej skrajne zmęczenie – złocista skóra pobladła, a oczom brakowało blasku. Nie miał pojęcia, gdzie nocowała i czy w ogóle miała jakiś namiot.

Poczucie winy ustąpiło po sekundzie.

– Kiedy dokładnie nastąpi wielki powrót naszej królowej?

Lysandra zacisnęła usta.

– Choćby dziś wieczór, jeśli uznasz to za sensowne – rzekła.

– Aelin miałyby spóźnić się na bitwę, by napawać się chwałą zwyciężczyni? Nie sądzę, by naszym ludziom się to spodobało.

– A więc powiedz mi kiedy i gdzie, a zrobię to.

– Będiesz teraz ślepo słuchać mnie, tak jak ślepo słuchałaś naszej królowej?

– Nie będę posłuszna żadnemu mężczyźnie – warknęła Lysandra. – Ale nie jestem głupia i zdaję sobie sprawę z tego, że wiesz o armiach i żołnierzach więcej ode mnie. Niełatwo urazić moją dumę.

– A moją? – Aedion zrobił krok ku niej.

– Zrobiłam to wszystko dla niej i dla tego królestwa. Spójrz na tych ludzi, na swoich ludzi! Spójrz na naszych sojuszników i powiedz mi, czy mieliby taką ochotę do walki, gdyby znali prawdę.

– Zguba walczy od dawna. Walczyła również w czasach, gdy sądziliśmy, że Aelin nie żyje. Nie byłoby wcale inaczej.

– A więc niech nasza intryga przysłuży się naszym sojusznikom i mieszkańcom Terrasenu! – Lysandra nie ustępowała. – Jeśli chcesz, karz mnie przez resztę życia, ba, przez tysiąc lat, jeśli doczekasz Przemiany.

Zważywszy na to, że miał Gavriela za ojca, istniała na to spora szansa, ale Aedion wolał się nad tym nie zastanawiać. Z arystokracją

i wojownikami Fae zadawał się tylko, gdy było to absolutnie konieczne, a ci na ogół trzymali się we własnym gronie. Mimo to nie patrzyli na niego z góry, choć był pół-Fae. Najwidoczniej nie było dla nich istotne, czyja krew płynęła w jego żyłach, dopóki byli po tej samej stronie konfliktu.

– Mamy już dość wrogów – ciągnęła Lysandra. – Ale jeśli naprawdę chcesz, bym dołączyła do twoich, proszę bardzo. Nie żałuję tego, co zrobiłam, i nigdy nie będę tego żałować.

– W porządku – powiedział. Nie przychodziła mu do głowy żadna inna odpowiedź.

Lysandra spojrzała na niego przenikliwie, jakby próbowała ocenić męstwo w jego sercu.

– To wszystko wydarzyło się naprawdę. Wszystko, Aedionie – rzekła. – Nie interesuje mnie to, czy wierzysz mi teraz, czy nie. Dla mnie wszystko było prawdziwe.

Nie mógł tego słuchać.

– Czekaj, mnie rozmowa – skłamał i obszedł Lysandrę. – Idź pełzać gdzieś indziej.

W jej oczach błysnął ból, który szybko ukryła, a Aedion poczuł się jak najgorszy łajdak. Mimo to szedł dalej w stronę namiotu Kylliana.

Nie podążyła za nim.

Była straszną idiotką.

Po co się do niego odzywała? Teraz czuła, że jej serce kruszy się i rozpada.

Resztki godności zabroniły jej błagać i nakazały, by się odwróciła. Nie chciała patrzeć, jak Aedion wchodzi do namiotu Kylliana i zastanawiać się, czy rzeczywiście wzywała go rozmowa, czy może po tej rzezi chciał sobie przypomnieć, na czym polega prawdziwe życie. Nie miała najmniejszego zamiaru poddać się tęsknocie, płonącej w jej oczach.

Lysandra skierowała się ku wygodnemu namiotowi, podarowanemu jej przez Sola z Surii. Był on uprzejmym, przenikliwym mężczyzną, który nie interesował się kobietami. Jego młodszy brat, Ravi, pożerał

ją wzrokiem jak większość mężczyzn, ale zachowywał wymagany szacunkiem dystans i rozmawiał z nią, a nie z jej biustem, a więc jego również darzyła sympatią. Nie miała nic przeciwko temu, że jej namiot znajdował się między ich kwaterami.

W zasadzie powinna poczytywać to za zaszczyt. Czas, kiedy wpełzała szlachcom do łóżek i z uśmiechem robiła wszystko, na co mieli ochotę, minął bezpowrotnie. Teraz walczyła z nimi ramie w ramie. Ba, sama była damą, uznawaną przez lordów Surii i Allsbrooków, choć Darrow pluł na jej godność.

Czułaby dumę, gdyby bitwa nie wyczerpała jej sił do tego stopnia, że powrót do namiotu wydawał się nie mieć końca. Tak, bitwa odebrała jej siły, a generał Ashryver zdeptał jej serce.

Każdy krok stanowił wysiłek, a błoto kleiło się do jej butów.

Skręciła i szła teraz aleją namiotów. Proporce Zguby z białym jeleniem na szmaragdowym tle ustąpiły miejsca dwóm srebrnym rybom na tle turkusu, herbowi Surii. Zaledwie kilkadziesiąt kroków stąd znajdował się jej własny namiot, gdzie wreszcie mogła się położyć. Żołnierze ją znali, wiedzieli, kim i czym jest. Żaden z nich nie obdarzył jej jednak drugim spojrzeniem, żaden nie wykrzyknął do niej tak jak swego czasu ludzie w Rifthold.

Człapiąc ciężko, Lysandra weszła do namiotu. Westchnęła z ulgą, odgarnawszy klapy, i skierowała się ku pryczy. Sen, zimny i pusty, dopadł ją, nim przypomniała sobie, że nie zdjęła butów.

11.

To pewne? – Chaol czuł, że serce bije mu jak szalone. Jedną ręką oparł się o biurko stojące w kajucie, którą dzielił z Yrene, a drugą wskazał mapę, którą Nesryn i Sartaq rozłożyli przed nimi.

– Przesłuchani przez nas żołnierze otrzymali wytyczne co do punktu zbiórki – odezwał się siedzący po drugiej stronie biurka Sartaq, wciąż ubrany w skórzany strój *rukhin*. – Znaleźli się tak daleko za innymi, że potrzebowali wskazówek.

Chaol potarł dłonią szczękę.

– Jaką liczebność miała ta armia? – spytał.

– Dziesięć tysięcy – powiedziała Nesryn, nadal oparta o ścianę. – Ale nie widziałam ani śladu legionów Żelaznozębnych. Piechota i jakiś tysiąc kawalerii.

– Tyle przynajmniej udało wam się wypatrzyć z wysoka – stwierdziła księżniczka Hasar, okręcając koniec długiego, czarnego warkocza wokół palca. – Bo któż może stwierdzić, co się kryje w ich szeregach?

Księżniczka nie musiała precyzować, o co jej chodzi. Miała na myśli księżęta Valgów. Ze wszystkich dzieci kagana Hasar najbardziej osobiście przyjęła zakazanie Duvy i śmierć Tumelun. Ruszyła na wojnę, by pomścić obie siostry i dołożyć wszelkich starań, by nic takiego nigdy nie miało już miejsca. Gdyby ta wojna nie wiązała się z tak wielkim ryzykiem, Chaol zapłaciłby sporo pieniędzy, by patrzeć, jak Hasar rozszarpuje Valgów na strzępy.

– Tego nie wiemy – przyznał Sartaq. – Wiemy tylko, dokąd zmierzają.

Stojąca przy Chaolu Yrene oplotła palcami jego dłoń. Dopiero, gdy jej ciepło zaczęło wnikać w jego ciało, Chaol uświadomił sobie, że ręce ostygły mu i zaczęły drżeć.

Bo właśnie okazało się, że wroga armia szła prosto na północny zachód.

Na Anielle.

– Twój ojciec nie padł na kolana przed Morath. – Hasar zamyśliła się i zarzuciła ciężki warkocz na plecy okryte kurtą błękitną jak samo niebo. – Myślę, że Erawan musiał się tym zaniepokoić, skoro posłał tak wielką armię, by go zmiażdżyć.

Chaol przełknął ślinę, choć w ustach czuł suchość.

– Ale przecież Erawan już złupił Rifthold – powiedział i wskazał stolicę na wybrzeżu, a następnie przejechał palcem wzdłuż Avery. – Kontroluje większość terenów nad rzeką. Dlaczego nie wysłał więdźm? Dlaczego nie popłynął w górę rzeki? Po co wysłać armię taki szmat drogi łądem, a potem czekać, aż wróci?

– By utorować drogę dla innych – oznajmiła Yrene i zacisnęła mocno usta. – By zasiać jak najwięcej grozy.

Chaol odetchnął.

– W Terrasenie. Erawan chce, by Terraseni dowiedziało się, co ich czeka. By wiadano, że się nie spieszy i może rozsyłać siły w różnych kierunkach.

– Czy Anielle dysponuje armią? – spytał Sartaq. Ciemne oczy księcia były spokojne.

Chaol wyprostował się i zacisnął dłoń w pięść, jakby mógł w ten sposób powstrzymać grozę zalewającą mu żołądek. Musieli się spieszyć! Spieszyć!

– Na pewno nie taką, która może stawić czoła dziesięciu tysiącom. Sama twierdza może wytrzymać oblężenie, ale nie będzie się bronić w nieskończoność. Nie zmieści też całej ludności miasta.

„Ojciec otworzy bramy tylko przed tymi, których sam wybierze” – pomyślał.

Zapadła cisza. Chaol wiedział, że czekają, aż się odezwie. Aż sam wypowie pytanie. Nienawidził każdego słowa, które padło z jego ust:

– Czy warto wysadzać nasze oddziały tu i ruszać Anielle na odsiecz?

Droga w górę rzeki Avery odpadała, gdyż u jej ujścia leżało Rifthold. Należało znaleźć jakieś miejsce, w którym można by wysadzić oddziały na ląd i rozpocząć marsz przez rzekę Akant i Dębową Puszcę aż do podnóża Białych Kłów. To dobrych kilka dni

drogi w siodle i tylko bogowie wiedzieli, jak długo potrwałby przemarsz całej armii.

- Istnieje spora szansa, że nim tam dotrzemy, nie będzie już żadnego Anielle – powiedziała Hasar z rzadko u niej spotykaną łagodnością.

Słyszając to, Chaol opanował impuls, by przekazać im, że muszą ruszać jak najszybciej, choćby zaraz.

- Skoro południowa część Adarlanu odpada, moglibyśmy spróbować wylądować przy Meah – ciągnęła księżniczka, wskazując miasto na północy królestwa. – Stamtąd przemaszerowalibyśmy niedaleko granicy, skąd moglibyśmy ich przechwycić.

- Równie dobrze moglibyśmy udać się prosto do Terrasenu i popłynąć wodami Florine aż pod próg Orynthu – zastanawiał się głośno Sartaq.

- Nie wiadomo, co zastaniemy w obu tych miejscach. – Kajutę wypełnił chłodny, spokojny głos Nesryn. Pod wieloma względami była teraz inną kobietą niż ta, która popłynęła z Chaolem na południowy kontynent. – Możliwe, że Meah wpadło w ręce nieprzyjaciela, a Terrasen odiera własne oblężenie. Minęłoby sporo cennego czasu, nim nasi zwiadowcy wróciliby z północy, o ile w ogóle by wrócili.

Chaol nabrał tchu, usiłując uspokoić mocno bijące serce. Nie miał bladego pojęcia, gdzie przebywa teraz Dorian, o ile nie udał się z Aelin do Terrasenu. Żołnierze przesłuchiwani przez Nesryn i Sartaqą nic o nim nie wiedzieli. Jaką decyzję podjął jego przyjaciel? W myślach niemalże słyszał, jak ten wrzeszczy na niego i beszta go za wahanie. Jak nakazuje mu przestać myśleć o sobie i spieszyć na pomoc Anielle.

- Anielle leży niedaleko Elfiej Przełęczu – powiedziała Hasar. – A ta również jest pod kontrolą Morath i stanowi przyczółek dla Żelaznozębnych i ich wywern. Jeśli pošlemy armię tak daleko w głąb lądu, będziemy musieli liczyć się nie tylko z wojskami lądowymi przeciwnika, ale też z tym, że na głowy spadną nam wiedźmy. – Spojrzała na Chaola. Jej twarz nawet nie drgnęła. – Czy uratowanie tego miasta da nam cokolwiek?

- To jego dom – rzekła cicho, ale mocno Yrene. Choć otaczali ją wysoko urodzeni, nie opuściła głowy ani o centymetr. – Nie wiem, czy

potrzebujemy jakiegokolwiek innego powodu, by bronić Anielle.

Chaol uściśnął jej dłoń, dziękując w milczeniu. Dorian powiedziałaby to samo.

Sartaq ponownie przyjrzał się mapie.

– Avery rozchodzi się przy Anielle – mruknął, wodząc wzdłuż rzeki palcem. – Skręca na południe do Srebrnego Jeziora i samego miasta, ale druga jej odnoga idzie na północ, mija Elfią Przełęcz, przechodzi obok Gór Ruhnn i dochodzi niemalże do granicy Terrasenu.

– Potrafię odczytywać mapy, bracie – warknęła Hasar.

Sartaq zignorował ją i raz jeszcze spojrzął Chaolowi w oczy. W jego ciemnych źrenicach zapłonęły iskry.

– Pójdziemy lądem aż do Anielle, a gdy obronimy miasto, ruszymy wzdłuż Avery na północ.

Nesryn odepchnęła się od ściany i stanęła u boku księcia.

– Prosto w Elfią Przełęcz? Tam roi się od wiedźm!

Sartaq uśmiechnął się lekko.

– No to całe szczęście, że mamy ruki.

Hasar pochyliła się nad mapą.

– Jeśli zabezpieczymy Elfią Przełęcz, moglibyśmy ruszyć pieszo do Terrasenu. – Pokręciła głową. – Ale co poczniemy z flotą?

– Zabierzemy piechotę, kawalerię Darghanów i ruki, a nasze okręty mogłyby poczekać na jednostki Kashina – odparł Sartaq.

W sercu Chaola pojawiła się nadzieja.

– Niemniej w dalszym ciągu armia Valgów ma nad nami przynajmniej tydzień przewagi – stwierdziła Nesryn.

To prawda. Nie mieli szans jej dogonić, a każda chwila opóźnienia mogłaby pociągnąć za sobą śmierć wielu ludzi.

– Trzeba ich ostrzec – rzekł Chaol. – Anielle musi zostać ostrzeżone i mieć czas na poczynienie przygotowań!

Sartaq pokiwał głową.

– Dolecę tam w kilka dni.

- Nie – rzekł Chaol, a Yrene uniosła brew. – Jeśli możesz mi przekazać jakiegoś ruka z jeźdźcem, udam się tam sam. Ty pozostań tutaj i przygotuj jeźdźców do lotu. Wyruszcicie jutro, jeśli będzie to możliwe. – Przeniósł spojrzenie na Hasar. – Rzuć kotwicę i poprowadź armię w głąb lądu najszybciej, jak się da.

W oczach Yrene pojawiła się ostrożność. Dobrze wiedziała, co czeka na Chaola w Anielle. Była przekonana, że takiego powrotu do domu jej mąż nigdy sobie nie wyobrażał.

- Polecę z tobą – rzekła.

Znów ścisnął jej dłoń, jakby chciał powiedzieć: „Zupełnie nie jestem zaskoczony twoją propozycją”. Yrene odpowiedziała tym samym.

Sartaq i Hasar pokiwali głowami. Nesryn otworzyła usta, jakby chciała zaprotestować, ale zrezygnowała i sama również przytaknęła.

Postanowili, że wylecą jeszcze tego samego dnia pod osłoną ciemności. Odnalezienie Doriana musiało zostać odłożone na później. Yrene przygryzła wargę, bez wątplenia zastanawiając się nad tym, co należy zabrać, a co przekazać pozostałym uzdrowicielkom.

Chaol zaś modlił się w duchu, by udało im się zdążyć na czas. Modlił się, by zdołał wymyślić, jakimi słowami zwrócić się do ojca po tym, jak złamał przysięgę i jeszcze bardziej pogłębił przepaść między nimi. Musiał również przygotować się do rozmowy z matką i dorosłym już bratem, którego porzucił, rezygnując z własnego dziedzictwa dla służby u Doriana.

Poślubiając Yrene, Chaol przekazał jej tytuł lady Westfall. Zastanawiał się, jak zniesie to, że ktoś może nazywać go lordem. I czy to w ogóle miało znaczenie, zważywszy na to, co zbliżało się do Srebrnego Jeziora. Czy miałyby to jakieś znaczenie, gdyby nie dotarli na czas.

Sartaq oparł dłoń na rękojeści miecza.

- Wytrzymaj najdłużej, jak się da, lordzie Westfall. Ruki dotrą jakiś dzień po tobie, a armia lądowa tydzień później.

Chaol uściśnął dłoń Sartaqa, a potem dłoń Hasar.

- Dziękuję wam.

Na twarzy księżniczki pojawił się lekki, krzywy uśmiech.

- Podziękujesz nam, gdy ocalimy twe miasto.

12.

Wszystko. Oddała za to wszystko i cieszyła się z tego. Leżała w ciemnościach. Żelazna płyta nad jej głową przypominała bezgwiazdne nocne niebo.

Przebudziła się tu. Była tu od... od dawna. Na tyle długo, że zdążyła już popuścić. Nie przeszkadzało jej to.

Być może wszystko to było na nic. Królowa, Która Została Obiecana, tak? Może obiecano tylko tyle, że umrze. Że podda się, by spłacić dług księżniczki sprzed setek lat. By zbawić świat.

Nie, tego nie będzie w stanie zrobić. Zawiedzie. Okaże się rozczarowaniem, nawet jeśli przetrwa Maeve.

Jeśli przetrwa to, co kryło się pod skórą królowej, o ile wzrok jej nie mylił. O ile było to prawdą.

W wojnie z Erawanem nie mieli większych szans, a w walce zarówno z Maeve, jak i z Erawanem...

Spod maski wypływały ciche łzy.

To już nie miało znaczenia. Wiedziała bowiem, że zostanie tu na zawsze. Że nigdy nie wyrwie się z tej skrzyni. Nigdy nie poczuje ciepła promieni słonecznych na swych włosach czy też słonego wiatru znad morza na policzkach.

Nie mogła przestać płakać. Łzy płynęły nieprzerwanym, nieubłaganym strumieniem, jakby pękła w niej jakaś tama w chwili, gdy ujrzała krew na twarzy Maeve.

Nie obchodziło ją, czy Cairn ujrzy te łzy, czy wyczuje ich zapach. Niech ją katuje, aż zamieni się w krwawą miazgę na podłodze. Niech ją bije bez wytchnienia. Nie chciała już walczyć. Nie miała już na to ochoty.

Zgrzytnęły otwierane i zamykane drzwi, po czym rozległy się coraz bliższe kroki. Coś uderzyło w wieko skrzyni.

- Co powiesz na kilka kolejnych dni w tej trumnie?

Żałowała, że nie może otulić się ciemnością. Cairn kazał Fenrysowi

wysikać się i wrócić, a wtedy komnatę wypełniła cisza.

Potem rozległ się cichy zgrzyt, jakby Cairn przesuwiał po pokrywie sztyletem.

– Zastanawiałem się, jak ci się odpłacić, gdy cię stąd wypuszczę.

Aelin nie słuchała go. Wpatrywała się w mrok. Była zmęczona, tak bardzo zmęczona.

Nie żałowała wyboru. Zrobiła to dla Terrasenu. Dla swej ojczyzny. Dla niej gotowa była zapłacić tę cenę. Próbowwała wszystko naprawić, ale się nie udało.

I była teraz tak bardzo zmęczona.

„Ogniste Serce”.

Ciche słowa płynęły przez wieczną noc niczym nikły poblask, echo szeptu.

„Ogniste Serce”.

Był to głos kobiety, łagodny i pełen miłości. Głos jej matki.

Aelin odwróciła głowę, choć nawet ten ruch był ponad jej siły.

„Ogniste Serce, dlaczego płaczesz?”.

Aelin nie umiała odpowiedzieć.

„Ogniste Serce”.

Te słowa były dla niej jak łagodne muśnięcie po policzku.

„Ogniste Serce, dlaczego płaczesz?”.

I wtedy Aelin z głębi serca szepnęła ku owemu promykowi wspomnień:

„Bo się zgubiłam. I nie znam drogi”.

Cairn mówił dalej. Dalej przesuwiał nożem po pokrywie trumny, ale Aelin nie słyszała niczego, bo nagle uświadomiła sobie, że obok niej leży kobieta. Patrzyła na lustrzane odbicie swej twarzy... Nie, na twarz, którą będzie miała za kilka lat.

O ile dożyje.

Pożyczony czas. Jak dotąd żyła w pożyczonym czasie.

Evalin Ashryver delikatnie dotknęła palcem policzka córki, jakby

maska nie istniała. Aelin była gotowa przysiąc, że czuje dotyk na swojej skórze.

„Byłaś bardzo dzielna – odezwała się jej matka. – Bardzo dzielna i to jak długo”.

Aelin nie mogła powstrzymać niemego szlochu, który wzbierał w jej gardle.

„Musisz jednak znaleźć tej odwagi jeszcze trochę, moje Ogniste Serce”.

Aelin wtuliła się w matkę.

„Musisz wytrzymać jeszcze trochę i pamiętać o jednym”.

Evalin położyła swą widmową dłoń nad sercem córki.

„Tu kryje się jedyna siła, która naprawdę ma znaczenie. Bez względu na to, gdzie się znajdziesz, ona poprowadzi cię do domu”.

Aelin z trudem uniosła dłoń, by nakryć rękę matki, by złapać jej palce, ale natrafiła tylko na cienkie płótno oraz żelazo. Jednakże Evalin Ashryver nadal patrzyła jej w oczy. Łagodność zamieniła się w lśniąca stal.

„Tu kryje się siła, która ma znaczenie, Aelin”.

Dziewczyna wbiła palce w swoją klatkę piersiową.

– Tu kryje się siła – szepnęła.

Evalin pokiwała głową.

Przez żelazne ściany skrzyni przenikały groźby wysyczone przez Cairna. Nóż nie przestawał drapać.

Twarz Evalin pozostawała wyraźna.

„Jesteś moją córką, zrodzoną z dwóch potężnych rodów. Ta siła płynie w twojej krwi. Żyje w tobie!”.

Jej oblicze emanowało zuchwałością, potęgą i zajadłością jej przodkiń aż po królową Fae, po której obie odziedziczyły oczy.

„Nie masz prawa się poddać”.

I znikła niczym rosa w promieniach porannego słońca. Jej słowa natomiast pozostały i zakwitły w sercu Aelin, jasne niczym rozżarzone węgle w mroku nocy.

„Nie masz prawa się poddać”.

Cairn drapał sztyletem tuż nad jej głową.

– Tym razem, gdy cię potnę, zdziro, wezmę...

Aelin rąbnęła dłonią w wieko.

Cairn urwał.

Aelin uderzyła raz jeszcze. I ponownie.

„Nie masz prawa się poddać”.

I raz jeszcze. I jeszcze.

Tłukła, aż rytm uderzeń obudził w niej życie i przejął nad nią kontrolę. Uderzała, aż krew zaczęła kapać na jej twarz, splukując łyż, aż każde uderzenie dłoni w żelazo przeradzało się w okrzyk bojowy.

„Nie masz prawa się poddać”.

„Nie masz prawa się poddać”.

„Nie masz prawa się poddać”.

Moc narastała w niej, płonąca i rycząca. Oddała się jej w pełni.

Gdzieś w oddali usłyszała trzask pękającego drewna, jakby ktoś zatoczył się i wpadł na coś całym ciężarem. Potem rozległy się krzyki.

Aelin tłukła pięścią w metal. Pieśń w niej pulsowała i nabierała tempa niczym fala przyboju, gnająca w stronę plaży.

– Przyniescie tę przeklętą gloriellę!

Słowa nie miały znaczenia. On był niczym i zawsze miał tym pozostać.

Tłukła. Raz za razem. Bez przerwy. Pieśń ognia i ciemności rozbrzmiewała w niej, wypływała z niej i wdzierała się do świata.

„Nie masz prawa się poddać”.

Coś zasyczało i zaskwierczało. Przez dziury w pokrywie wdarł się dym.

Walila bez ustanku, aż dym zaczął ją dławić, a słodki zapach odebrał jej przytomność.

Gdy przebudziła się, przykuta łańcuchami do ołtarza, zobaczyła, co zrobiła z żelazną trumną.

Jej pokrywa w jednym miejscu była wybrzuszona, a metal wydawał się cienki i rozciągnięty, jakby niewiele brakowało, by ustąpił całkowicie.

Rowan, stojący na ciemnym wzgórzu wznoszącym się nad uśpionym królestwem, naraz znieruchomiał.

Reszta była już w połowie drogi w dół zbocza. Prowadzili konie po wyschniętej ziemi ku granicy Akkadii i ciągnącym się dalej jałowym równinom.

Ręka wojownika ześlizgnęła się z wodzy.

Nie, musiał to sobie wyobrazić.

Przyjrzał się rozgwieżdżonemu niebu i pogrążonym we śnie ziemiom, aż odnalazł wzrokiem Władcę Północy.

Pełen impet poczuł uderzenie serca później. Świat wokół niego eksplodował, a dziki łoskot powtarzał się rytmicznie, bez końca, niczym młot uderzający w kowadło.

Pozostali odwrócili się ku niemu.

Huk i ryk wokół układały się w pieśń, wściekłą i zajadłą, przybliżającą się, aż przemknęła przez niego. Sunęła wzdłuż więzi, która łączyła go z Aelin, a wnikała prosto w jego duszę. Słyszał w niej furie, nieustępliwość, opór.

– Rowan! – wychrypiał Lorcan.

Było to niemożliwe, całkiem niemożliwe, a mimo to...

– Północ – odezwał się Gavriel, zawracając swego gniadego wałacha. – Ta fala nadciągnęła z północy.

Czyli z Doranelle. Moc szła falą przez świat tak jak swego czasu w Zatoce Czaszek. Przepelniła go ogniem i światłem, które zdawały się krzyczeć: „Ja żyję! Ja żyję! Żyję!”.

A potem nastąpiła cisza, jakby fala została przecięta w pół. Jakby ogień zgasł.

Nie chciał myśleć o tym, dlaczego tak się stało, bo czuł, że więź nadal istnieje. Była długa i rozciągnięta, ale przetrwała. Posłał więc po niej kilka słów, w które włożył tyle samo nadziei, gniewu i miłości, ile

otrzymał od niej.

„Znajdę cię”.

Nie było odpowiedzi. Słyszał tylko mruczącą cicho ciemność, a Władca Północy połyskiwał mu nad głową, wskazując drogę na północ. Ku niej.

Nagle zorientował się, że jego towarzysze czekają na rozkazy. Otworzył usta, ale się zawahał. Rozmyślał.

– Musimy wyciągnąć Maeve z Doranelle. Odciągnąć ją od Aelin. – Jego dudniący głos zagłuszył senne brzęczenie nocnych owadów wśród traw. – Na tyle, by wślizgnąć się do Doranelle.

Nawet we trzech nie byłiby w stanie stawić czoła Maeve.

– Jeśli się dowie, że nadciągamy – zaproponował Lorcan – zabierze Aelin i ją ukryje. Nie jest aż tak głupia.

Rowan przeniósł wzrok na Elide. Lady Perranthu wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami.

– Wiem – odparł. W jego głowie powstawał plan, zimny i bezwzględny jak moc w jego żyłach. – Wywabimy Maeve przy pomocy innego fortelu.

13.

Pajęczycyca powiedziała prawdę.

Manon oraz Trzynastka, skryte wśród oblodzonych szczytów poszarpanego łańcucha górskiego, zerkwały na niewielką przełęcz. Znajdował się tam obóz wiedźm noszących czerwone płaszcze, którego lokalizację Cienie potwierdziły niecałą godzinę temu.

Manon zerknęła przez ramię, na Dorianą, niemalże niewidzialnego na tle śniegu, oraz pajęczycę w ludzkim ciele obok. Bezdenne oczy zmiennokształtnej istoty skrzyły się tryumfalnie, gdy na nią patrzyła.

W porządku. Mogła darować życie tej Cyrene, czy też jak to stworzenie naprawdę się nazywało.

„Zobaczymy, dokąd nas ta bestia doprowadzi – pomyślała. – Owe okropności, które rzekomo widziała w Morath... Nie, później”.

Manon spojrzała na ciemniejące, błękitne niebo. Wiedźmy nie zadawały żadnych pytań, gdy kilka godzin temu wsiadła na Abraxosa i odleciała. Teraz również nie pytały, gdzie była, gdy one śledziły obóz starożytnego wroga.

– Siedemdziesiąt pięć – mruknęła Asterin, wpatrzona w krzątanicę Crochan. – A przynajmniej tyle ich widać. Co one tu, cholera, robią?

Manon nie miała pojęcia. Cieniom nie udało się niczego dowiedzieć.

Niewielkie ogniska otoczone były namiotami, z kręgu których co chwila odlatywało na miotłach kilka postaci. W międzyczasie inne powracały. Serce przywódczyni Trzynastki waliło mocno.

Crochan. Druga połowa jej dziedzictwa.

– Ruszamy na twój rozkaz – odezwała się ostrożnie Sorrel.

Manon nabrała tchu, mając nadzieję, że niosący śnieżne drobiny wiatr ostudzi jej emocje i pomoże jej zachować spokój podczas nadciągającej konfrontacji. I tego, co miało nastąpić później.

– Żadnych szponów i klów – nakazała Trzynastce, a potem raz jeszcze spojrzała przez ramię na króla i pajęczycę. – Możecie zostać

tutaj, jeśli chcecie.

Dorian obdarzył ją leniwym uśmiechem.

– I przegapić zabawę? – spytał.

Wiedźma jednakże pochwyciła nowy błysk w jego oczach. Z całego jej otoczenia młody król bodaj jako jedyny wiedział, co ją czeka. On jeden wiedział, że Manon przyjdzie się spotkać nie tylko z wrogami, ale również z potencjalnymi poddanymi. Pokiwał lekko głową i dodał:

– Idziemy wszyscy.

Manon odpowiedziała zdawkowym skinieniem i wstała, a pozostałe wiedźmy zrobiły to samo.

Chwilę później rozległy się pierwsze ostrzegawcze okrzyki.

Manon, lądując na Abraxosie na skraju obozowiska Crochan, trzymała ręce uniesione do góry. Za nią osiadały pozostałe wywerny. Na siodle Vesty znajdowali się również Dorian oraz Cyrene.

Strzały i włócznie, które Crochan wymierzyły ku nim, mogły zadać im śmierć w okamgnieniu.

Ciemnowłosa wiedźma wyszła przed najeżony ostrzami szereg swoich sióstr. W ręku trzymała miecz, a jej spojrzenie nie opuszczało Manon.

Crochan. Jej poddane.

Teraz! Teraz nadszedł czas na mowę, którą zaplanowała. Na to, by uwolnić słowa, które trzymała w środku. Asterin odwróciła się ku niej, ponaglając ją wzrokiem. Mimo to usta Manon nawet nie drgnęły.

Ciemnowłosa nie spuszczała z niej spojrzenia brązowych oczu. Nad jej ramieniem błysnęła laska z wypolerowanego drewna. Nie, nie laska. Zza falującego na wietrze czerwonego płaszcza wystawała miotła zakończona związanymi złotą tasiemką, migoczącymi witkami, co oznaczało, że jej właścicielka zajmuje wysoką pozycję. Większość Crochan obwiązywała miotły tańszymi drutami, a najuboższe sięgały po sznurki.

– Doprawdy ciekawe zastępstwo dla mioteł – rzekła Crochan.

Jej towarzyszki były równie spięte i nieruchome jak wiedźmy Trzynastki. Ciemnowłosa zerknęła na Dorianą, siedzącego na grzbiecie wierzchowca Vesty. Jej oczy rozbłysły, gdy wszystko analizowała.

– I równie ciekawe towarzystwo – dodała i wykrzywiła lekko usta. – Przędzicie już tak cienko, Czarnodzioba, że musicie się dzielić?

Asterin warknęła głośno.

A więc Crochan ją rozpoznała, a przynajmniej jej klan.

Obca wiedźma spojrzała na zmiennokształtną i wciągnęła powietrze nosem, po czym zamrugowała.

– Doprawdy ciekawe towarzystwo.

– Nie chcemy nikogo skrzywdzić – odezwała się wreszcie Manon.

– Cóż to? – parsknęła Crochan. – A więc nie będzie żadnych gróźb od Białego Demona?

Och, a więc wiedziała wszystko. Rozpoznała zarówno Manon, jak i resztę.

– Czyli plotki nie kłamią? Naprawdę zerwałaś układy z babką? – Crochan bezczelnie otaksowała ją od stóp do głów, co dla Manon nie było łatwe do zniesienia. Na ogół nie pozwalała wrogom, by spoglądali na nią w ten sposób. – Inne plotki głoszą, iż ponoć cię wypatroszyła, ale cóż... Stoisz przed nami cała i zdrowa. Co więcej, znów na nas polujesz. Być może wieści o twojej dezercji nie są jednak prawdziwe.

– Uciekła od babki – rzekł Dorian, który ześlizgnął się z grzbietu wywerny Vesty i podszedł do Abraxosa. Crochan napięły mięśnie, ale żadna nawet nie drgnęła. – Wyciągnąłem ją z morza kilka miesięcy temu, gdy leżała już na progu Śmierci. Widziałem żelazne okruchy, które moi przyjaciele wyjęli z jej brzucha.

Crochan uniosła brwi i ponownie przyjrzała się uważnie przystojnemu mężczyźnie, który nie obawiał się zabrać głosu. Być może wyczuwała moc, którą emanował, oraz noszone przezeń Klucze.

– A ty kim niby jesteś?

Dorian obdarzył wiedźmę jednym ze swoich czarujących uśmiechów i się uklonił.

– Dorian Havilliard, do usług.

– To król! – szepnęła jedna z Crochan stojących niedaleko wywern.

– Nic dodać, nic ująć. – Dorian mrugnął.

Przywódczyni sabatu nadal nie spuszczała z niego oczu. Potem przyjrzała się Manon, a na końcu pajęczycy.

– Wygląda na to, że czeka was sporo wyjaśnień.

Manon miała wielką ochotę sięgnąć po Tnącego Wiatr, przytroczonego do pleców, ale Dorian znów zabrał głos.

– Szukamy was od dwóch miesięcy – rzekł.

Wśród Crochan ponownie pojawiło się napięcie.

– Bynajmniej nie dla zabawy – wyjaśnił płynnie król. – Nie kieruje też nami żądza krwi. Zależy nam na tym, by wyjaśnić pewne sprawy między naszymi narodami.

Crochan wierciły się, rozglądały. Śnieg skrzypiał pod ich butami.

– Między nami a Adarlanem? – spytała przywódczyni sabatu. – Czy też między nami a Czarnodziobymi?

Manon ześlizgnęła się w końcu z Abraxosa, który parsknął z niepokojem na widok połyskujących ostrzy.

– Chodzi o nas wszystkich – wykrztusiła. Ruchem głowy wskazała wywerny. – Nic wam nie zrobią – dodała.

„Chyba, że wydam rozkaz – pomyślała. – Wtedy wasze głowy potoczą się po ziemi, zanim którakolwiek zdoła chwycić za włócznię”.

– Możecie odłożyć broń.

– By zapamiętano nas jako idiotki, które uwierzyły zapewnieniom Czarnodziobej? – zadrwiła ze śmiechem jedna z Crochan, piękna brunetka o atrakcyjnej figurze. – Nie wydaje mi się!

Przywódczyni sabatu smagneła śmiałą wojowniczkę spojrzeniem, na co ta wzruszyła ramionami i westchnęła ku niebu. Przywódczyni zwróciła się do Manon.

– Odłożymy broń, gdy otrzymamy taki rozkaz.

– Od kogo? – Dorian przyjrzał się uważnie ich szeregom.

Nadszedł czas, by Manon wyjaśniła, kim jest i z jakiego powodu przybyła. Przywódczyni sabatu wskazała wewnątrz obozu.

– Od niej.

Dorian z oddalenia podziwiał miotły, na których Crochan śmigają po niebie, ale teraz, gdy stanął z nimi oko w oko, poczuł się niepewnie. Crochan nie były mitem, ale grupą wojowniczek, które z ochotą odebrałyby im życie. Wszędzie widział powiewające czerwone płaszcze, wyraźnie odcinające się od bieli śniegu i szarości gór. Dostrzegął wiele młodych, pięknych twarzy, ale również takie w średnim wieku, a kilka jeszcze starszych. Nie miał pojęcia, ile lat musi mieć wiedźma, która ma tak głębokie zmarszczki, ale wiedział, że każda z nich zgładziłaby go bez trudu.

Przywódczyni sabatu wskazywała równe szeregi namiotów. Wojowniczkę się rozstąpiły. Ich broń połyskiwała w gasnącym świetle.

– A więc – odezwała się stara wiedźma. Szła wyprostowana mimo wieku, ale włosy miała całkiem białe, a jej błękitne oczy były bystre jak wody górskiego jeziora. – Polujące stały się zwierzyną.

Staruszka zatrzymała się na skraju szeregu swoich sióstr i przyjrzała się Manon. Dorian zauważył na jej obliczu życzliwość oraz mądrość, a po chwili wypatrzył również coś na kształt smutku. Nie powstrzymało go to jednak przed niby przypadkowym oparciem dłoni na rękojeści Damaris.

– Odnalazłyśmy was, by porozmawiać. – Zimny, spokojny głos Manon odbił się echem od skał. – Nie stanowimy zagrożenia.

Damaris rozgrzał się nieco. Manon mówiła prawdę.

– Póki co – mruknęła brunetka, która odezwała się przed chwilą.

Przywódczyni ostrzegawczo trąciła ją łokciem.

– A tym kim jesteś? – Manon zwróciła się do staruszki. – Dowodzisz tymi sabatami.

– Jestem Glennis. Moja rodzina służyła rodowi królewskiemu na długo przed upadkiem miasta – odparła Crochan i odszukała wzrokiem pasemko czerwonego płótna, którym Manon związała warkocz. – A więc Rhiannon cię znalazła.

Dorian przysłuchiwał się Manon, gdy ta wyjaśniała Trzynastce prawdę o swoim pochodzeniu i mówiła o tym, kogo babka kazała jej zamordować w Omedze. Teraz wiedźma zadarła głowę, a jej złociste oczy zamigotały.

– Rhiannon pozostała na zawsze na Elfiej Przełęczy!

- Ty suko! - zasyczała któraś z Crochan, a inne powtórzyły jej słowa.

Manon je zignorowała.

- A więc znałaś ją? - spytała staruszkę.

Crochan umilkły.

Stara wiedźma pochyliła głowę, a w jej oczach ponownie pojawił się smutek. Dorian zaś nie potrzebował mocy Damaris, by wiedzieć, że jej kolejne słowa są prawdą.

- Byłam jej prababką.

Nawet smagający je wiatr przycichł na moment.

- Twoją też jestem.

Crochan opuściły broń na rozkaz rzekomej prababki Manon.

Glennis.

Manon zaczęła się natychmiast dopytywać o jej rodowód, ale Glennis jedynie skinęła na Czarnodziobą, by podążyła za nią do wnętrza obozu.

Przynajmniej dwa tuziny wiedźm uwijały się wokół kilku ognisk, rozpalonych między białymi namiotami, ale wszystkie przerywały pracę na widok nowo przybyłej. Manon nigdy nie widziała Crochan zajmujących się pracami obozowymi – niektóre doglądały ognisk, inne nosiły wiadra wody, jeszcze inne pilnowały ciężkich kotłów, z których bił zapach przywodzący na myśl gulasz z kozic przyprawiony suszonymi ziołami.

Nie miała pojęcia, co powiedzieć, gdy przechodziła przez szeregi najeżonych, ponurych Crochan. Trzynastka również milczała. Wyjątkiem był Dorian, który zrównał się z nią. Manon poczuła obok siebie jego mocne, ciepłe ciało.

– Wiedziałaś, że nadal masz rodzinę wśród Crochan?

– Nie – odparła. Jej babka rzeczywiście nawet nie wspomniała o tym podczas drwin.

Manon nie sądziła, by obóz stanowił stałą siedzibę Crochan, bo wówczas nigdy nie ujawniłyby jego położenia. Mimo to Cyrene udało się go jakoś odnaleźć. W jaki sposób? Może podążała po zapachu Manon, którą łączyło jakieś pokrewieństwo z Crochan?

Pajęczyca szła teraz między Asterin a Sorrel. Dorian nadal bez zauważalnego wysiłku częściowo krępował jej ruchy, choć nie spuszczał dłoni z rękojeści miecza. Zrobił to dopiero, gdy Manon smagnęła go spojrzeniem.

– Jak chcesz to rozegrać? – mruknął. – Mam być cicho czy cię wspierać?

– Asterin jest moją zastępczynią.

- A więc kim ja jestem?

Pytanie spłynęło jej po plecach, jakby Dorian gładził ją swymi niewidzialnymi dłońmi.

- Królem Adarlanu.

- A więc mam wziąć udział w dyskusji?

- Jeśli chcesz.

Wyczuła jego narastające rozdrażnienie i ukryła swój uśmiech. Głos Doriana zamienił się w cichy pomruk.

- Wiesz, na co mam teraz ochotę?

Obróciła głowę, by spojrzeć na niego z niedowierzaniem. Król się uśmiechał.

- Wyglądasz, jakbyś chciała stąd zwać! – oznajmił. – To może wyrzucić niekorzystne wrażenie.

Próbował ją zirytować. Chciał odciągnąć jej uwagę na tyle, by się rozluźniła.

- One wiedzą, kim jesteś – ciągnął Dorian. – Tego udowodniać już nie trzeba. Ważne teraz jest to, czy cię zaakceptują.

Jej prababka zapewne nie pochodziła z królewskiej części rodu.

- Te Crochan nie robią wrażenia takich, które można zjednać brutalnością.

Nie miał o niczym pojęcia.

- Czy ty próbujesz udzielać mi rad?

- Uznaj to raczej za wskazówkę. Podpowiedź. Wiesz, jak władca władczyń.

Choć Manon była świadoma tego, kto ich otacza, uśmiechnęła się lekko, a Dorian zaskoczył ją, mówiąc dalej:

- Pobieram moc od chwili, gdy się pojawiły. Jeden wrogi ruch, a zmiotę je wszystkie.

Plecy przeszył jej dreszcz, gdy wychwyciła zimne okrucieństwo w jego głosie.

- Potrzebujemy ich jako sojuszniczek – rzekła.

W tej chwili nie liczyło się dla niej nic innego.

- A więc miejmy nadzieję, że nie będę musiał nic robić, wiedźmiątko.

Manon otworzyła usta, by odpowiedzieć, ale w tej samej chwili ciszę nocy przeszył przenikliwy ryk rogu, a gwiazdy zostały przesłonięte przez ogromne skrzydła. W obozie Crochan natychmiast zapanowało ożywienie. Wartowniczkę, które dostrzegły wroga jako pierwsze, wykrzykiwały ostrzeżenia. Trzynastka z dobytą bronią ustawiła się w szyku wokół Manon.

Żelaznozębne odnalazły je, i to o wiele szybciej, niż Manon to zaplanowała.

Dorian nie miał pojęcia, w jaki sposób Żelaznozębne ich wykryły. Być może zdradziły ich ogniska.

Pospiesznie zgromadził swą moc, wiodąc wzrokiem za dwudziestoma sześcioma ogromnymi kształtami, które przemknęły nad obozem.

Dwa sabaty Żółtonogich.

Staruszka, która przedstawiła się jako prababka Manon, zaczęła wykrzykiwać rozkazy, a Crochan posłuchały bez wahania. W milczeniu wskakiwały na miotły i mknęły ku ciemniejszemu niebu, wyciągając miecze bądź łuki.

Nie była to odpowiednia pora na rozmyślanie, w jaki sposób je odnaleziono i czy pajęczycza nie wprowadziła ich w zasadzkę, tym bardziej że zaraz rozległ się dźwięczny głos Manon, nakazującej Trzynastce zająć pozycje obronne. Zwinne jak cienie Czarnodziobe pomknęły ku swoim wywernom, połyskując zębami. Dorian zaś czekał, aż Crochan zrobią mu miejsce, by mógł uwolnić swą moc. By mógł posłać lodowe włócznie ku odsłoniętym pierścionkom i skrzydłom wrogich wywern.

Poluźnił więzy, które nałożył na Cyrene, na tyle, by ta miała możliwość zmiany postaci i obronienia się. Błysk po drugiej stronie obozu zdradził mu, że zrobiła to bez wahania. Czas na przesłuchiwanie miał nadejść później.

Manon wraz z pozostałymi przypadły do wywern i w ciągu kilku

sekund znalazły się na niebie, kierując się w stronę chaosu.

Crochan były drobne, jakże drobne w porównaniu z ogromnymi wyvernami. Nawet na swoich miotłach wydawały się okruszkami niesionymi przez wiatr, gdy opadły na dwa sabaty Żelaznozębnych, wypuszczając strzałę za strzałą i wymachując mieczami. Dorian nie miał czystej pozycji do użycia magii. Wiedźmy śmigwały wokół latających bestii, zbyt szybkie, by mógł nadążyć za nimi wzrokiem. Kilka wyvern z dzikim rykiem zwały się już z nieba, ale reszta nadal unosiła się nad obozowiskiem.

Glennis wykrzykiwała rozkazy z ziemi. Jej pomarszczone dłonie uniosły wielki łuk i wycelowały ku niebu.

Nad ich głowami przemknęła wywerna, tak nisko, że jej najeżony trującymi kolcami ogon zmiatał jeden namiot za drugim. Glennis wypuściła strzałę, a Dorian posłał w potwora lancę z twardego lodu, mierząc w odsłoniętą pierś.

Oba pociski trafiły. Trysnęła czarna posoka i wywerna wraz z jeźdźcem uderzyła w skałę, po czym zsunęła się po niej na dół. Twarz wiekowej wiedźmy rozjaśnił uśmiech.

- Ja trafiłam pierwsza – oznajmiła i sięgnęła po kolejną strzałę.

Dorian był zaskoczony jej pogodą ducha w samym środku zasadzki.

- Chciałbym mieć taką prababkę – mruknął i przygotował się do kolejnego ciosu. Musiał zachować wielką ostrożność, gdyż z dołu wywerny Trzynastki bardzo przypominały wierzchowce Żółtonogich.

Wiedźmy Manon jednakże nie potrzebowały wcale jego pomocy – bez wahania runęły na szyk Żółtonogich, łamiąc go natychmiast i rozpraszając wrogie wojowniczeki na boki. Żółtonogie dysponowały co prawda przewagą zaskoczenia, ale Trzynastka nie miała sobie równych w boju.

Crochan spadały z nieba, rażone ciosami kolczastych ogonów, a niektóre nikły na zawsze w ogromnych paszczach.

- Z drogi! – wrzeszczała Manon. – Formujcie szyki blisko ziemi!

Rozkazy były skierowane nie do Trzynastki, ale do Crochan.

- Słuchajcie, co mówi! – huknęła Glennis, której głos bez wątpienia spotęgowała jakaś magia.

Crochan cofnęły się bez wahania i utworzyły zwartą formację nad namiotami. Wspólnie patrzyły, jak Abraxos rozszarpuje gardło samcowi dwakroć od niego większemu, a Manon posyła strzałę prosto w twarz jeźdźca. Patrzyły, jak zielonookie demony stłoczyły między sobą aż trzy wywerny i posłały je prosto na zbocze góry. Patrzyły, jak błękitna klacz Asterin wyrywa jeźdźca z siodła, a potem wypruwa wrogiej wywernie fragment kręgosłupa.

Każdej z wiedźm Trzynastki wystarczyło jedno natarcie, by wyeliminować kolejnego wroga. Żółtonogie nie mogły się poszczycić podobną organizacją. Te spośród nich, które usiłowały się uwolnić od Trzynastki i rzucić na Crochan, trafiały w sam środek gradu strzał. Wywerny mogły coś takiego przeżyć, ale wiedźmy już nie. Bestie wiły się, robiły uniki i ostatecznie wymykały się łuczniczkom, już bez swoich jeźdźców, po czym waliły się na ziemię z rozszarpanymi gardłami.

W sercu Doriana współczucie mieszało się z lękiem i wściekłością. Ile spośród tych bestii mogło być jak Abraxos, gdyby trafili im się dobrzy, kochający jeźdźcy.

Z zaskoczeniem przekonał się, że z trudem przyszło mu cisnąć mocą nawet w wywernę, której udało się przemknąć im nad głowami i popędzić prosto na Glennis. Zafundował jej łatwą śmierć i złamał jej kark wybuchem mocy tak potężnym, że na moment stracił oddech. Kątem oka zauważył, że za pierwszą wywerną gna druga. Pchnął swą magię i zesłał na nią taką samą śmierć jak na pierwszą, ale nie zauważył trzeciej i czwartej bestii, które wpadły na obóz, obracając namioty w perzynę i rozszarpując każdą Crochan, która znalazła się w pobliżu.

Manon jednakże czuwała. Abraxos runął do ataku i kilka uderzeń serca później wiedźma cięła już najbliższą Żółtonogą w szyję. Jej głowa, na której zastygło zdumienie, runęła w dół.

Magia Doriana zawiodła.

Odcięta głowa uderzyła niedaleko niego i potoczyła się po ziemi.

Rozbłysło światło. Nagle znalazł się w komnacie i patrzył na marmur zbryzgany krwią. Słyszał łupnięcie spadającej głowy, a potem wszystko zagłuszył jego własny wrzask.

„Nie miałam cię pokochać”.

Głowa Żółtonogiej zatrzymała się niedaleko jego butów, a potem na zdeptany, brudny śnieg buchnęła niebieska krew. Dorian nie słyszał kolejnej, czwartej wywerny, lecącej prosto na niego. Nie obchodziło go to.

Manon wykrzyknęła jego imię, Crochan posłały grad strzał, ale Żółtonoga na grzbiecie wywerny nie widziała nikogo ani niczego poza nim.

Ogromna paszcza otworzyła się tuż przed Dorianem.

Manon znów wywrzeszczała jego imię, ale młody król nie był w stanie nawet drgnąć.

Wywerna była coraz bliżej, tuż przy nim, i naraz Dorian zewsząd otoczyła ciemność. Szczęki zatrzasnęły się wokół niego.

I wtedy uwolnił całą swą moc.

Wywerna, która jeszcze sekundę temu połykała go w całości i dusiła kwaśnym oddechem, nagle leżała na ziemi i parowała po tym, co jej zrobił.

Nie, nie jej, a sobie.

Dorian zamienił bowiem swe ciało w płomień tak gorący, że w okamgnieniu stopił szczęki i gardziel bestii. Młody król przeszedł przez jej ciało, jakby na drodze miał tylko zasłonę z pajęczyn.

Żółtonoga, która przetrwała kraknę, wyciągnęła miecz, ale było już na to za późno. Glennis wpakowała jej strzałę w szyję.

Zapadła cisza. Nawet zmagania na niebie dobiegły końca.

Trzynastka wylądowała, zbryzgana niebieską i czarną posoką, jakże odmienną od czerwonej krwi Sorschy i jego własnej.

Niespodziewanie pochwyciły go czyjeś ramiona. Napotkał wściekły błysk złocistych oczu.

- Zdurniałeś?

Dorian patrzył tylko na głowę Żółtonogiej, leżącą kilka kroków od niego. Manon również odwróciła się, by na nią spojrzeć. Zacisnęła mocno usta, a potem puściła go i zwróciła się ostro do Glennis.

- Wyślę moje Cienie, by się rozejrzały. Może wiemy jeszcze gdzieś się kryją.

– Ktoś z wrogów przetrwał? – Glennis spojrzała na puste niebo.

Jeśli magia Doriana zaskoczyła bądź wstrząsnęła którąkolwiek z Crochan, żadna nie dała tego po sobie poznać. Wszystkie zajmowały się teraz rannymi.

– Zabiliśmy je wszystkie – rzekła Manon.

Naraz pojawiła się ciemnowłosa Crochan, która jako pierwsza powitała Manon. Tym razem rzuciła się na nią z dobytym mieczem.

– To twoja robota! – krzyknęła.

Dorian pochwyił za Damaris, ale nie próbował nawet go wyciągnąć, tym bardziej że Manon bynajmniej nie miała zamiaru się cofnąć.

– Moja robota? – warknęła. – Chodzi o to, że ocaliłam wam tyłki? Tak, co do tego nie ma wątpliwości.

– To ty je tu ściągnęłaś! – wysyczała wiedźma.

– Bronwen! – ostrzegła ją Glennis, ścierając błękitną krew z twarzy.

Młoda wiedźma nazwana Bronwen najeżyła się.

– Myślisz, że to zbieg okoliczności? – wyrzuciła z siebie. – Najpierw przylatują te tutaj, a potem zostajemy zaatakowane?

– Walczyły u naszego boku, a nie przeciwko nam – oznajmiła Glennis i odwróciła się. – Czy przysięgasz, że to nie ty za tym stoisz? – spytała.

Złote oczy Manon migotały w blasku ognia.

– Przysięgam. To nie ja je tu ściągnęłam.

Glennis pokiwała głową, ale Dorian nie spuszczał wzroku z Czarnodziobej. Damaris był bowiem zimny jak lód, tak zimny, że złota rękojeść kasała jego dłoń.

Glennis, najwyraźniej zadowolona, znów pokiwała głową.

– A więc pogadamy później.

Bronwen splunęła na zakrwawiony śnieg i odeszła.

Kłamstwo. Manon skłamała.

Uniosła brwi, patrząc na niego, ale Dorian odwrócił głowę. Musiał przemyśleć to, czego się właśnie dowiedział. To, co zrobiła Manon.

Naraz w obozie padły rozkazy i rozpoczęła się krzątanina. Crochan zbierały swe ranne i poległe, a Dorian pomagał, ile mógł, lecząc te, które najbardziej wymagały jego interwencji. Z otwartych, ziejących ran ściekała błękitna krew prosto na jego dłonie, ale nie czuł jej ciepła.

15.

A więc była kłamczuchą i morderczynią. Co więcej, by doprowadzić misję do końca, zapewne będzie musiała jeszcze nieraz uciec się do kłamstwa i zabójstw.

Sama nie miała jednak żadnych skrupułów czy wyrzutów sumienia. W jej sercu nie było miejsca na żal. Za dużo mieli na głowach, zbyt wielki trud ponieśli.

Opieka nad rannymi Crochan i naprawa obozu zajęły długie godziny, a Manon przez cały ten czas zerkąła w stronę mroźnego nieba.

Osiem poległych. Mogło być gorzej, znacznie gorzej, choć obiecała sobie, że nie zapomni o nich. Pozna ich imiona, by zapamiętać je na zawsze.

Przez całą noc pomagała Trzynastce wciągać zabite wywerny oraz Żelaznozębne na sąsiednią grań. Ziemia była zbyt twarda, by je pochować, a ognie ściągnęłyby uwagę z daleka, więc postanowiono zagrzebać trupy w śniegu. Nie miała odwagi poprosić Doriana, by pomógł im swoją magią. Widziała jego spojrzenie. Miała przeczucie, że król o wszystkim wie.

Upuściła zeszywniałego trupa Żółtonogiej z już posiniałymi ustami i lodem w jasnych włosach.

Obok niej Asterin dowlokła inną krępą wiedźmę za nogi i bezceremonialnie zostawiła ją na śniegu, ale Manon zwlekała. Wpatrywała się w martwe twarze. Wszak je też poświęciła.

Obie strony konfliktu. Oba jej rody. Wszystkie miały jeszcze krwawić i wiele, zbyt wiele z nich miało oddać życie.

Czy Glennis powitałaby je przyjaźnie? Może tak, ale inne Crochan nie wydawały się aż tak skłonne do okazywania życzliwości. Manon po prostu nie miała czasu na to, by przekonać Crochan do siebie rozmową. Wybrała więc jedyną znaną sobie metodę – bitwę.

Wcześniej tego dnia wskoczyła na Abraxosa, wybrała się tam, gdzie często przelatywały patrole Żelaznozębnych, i zaczęła, aż silny,

północny wiatr zanieś jej zapach na południe. Reszta była już tylko kwestią czasu.

– Znałaś je? – spytała Asterin, widząc, jak Manon wpatruje się w ciało zabitej wojowniczkii.

Kawałek dalej wywerny machały skrzydłami, by wzbudzić śnieżną kurzawę i zakryć trupy warstwą bieli.

– Nie – odparła Manon. – Nie znałam.

Gdy wróciły do obozu Crochan, nastał już świt. Oczy wiedźm w czerwonych płaszczach, które jeszcze nie tak dawno buchały ogniem na ich widok, teraz już tylko czujnie za nimi podążały. Nie wszystkie też pochwyciły za broń, gdy Czarnodziobe skierowały się ku dziurze, w której płonęło największe ognisko, umiejscowione w samym sercu obozu. Palenisko Glennis.

Staruszka stała przed nim i ogrzewała sękatę, zakrwawioną dłoń. Obok siedział Dorian, który uniósł głowę i nawiązał z Manon kontakt wzrokowy. W jego szafirowych oczach wyczytała potępienie.

Kiedy indziej. Kiedy indziej o tym porozmawiają.

Manon zatrzymała się kilka kroków przed Glennis. Trzynastka stała szeregiem za nią i przyglądała się czujnie pięciu stojącym naokoło namiotom oraz kotłowi, który bulgotał nad ogniem. Za nimi Crochan wciąż jeszcze przywracały obóz do stanu sprzed ataku i zajmowały się rannymi, ale nie spuszczały z nich oczu.

– Zjedzcie coś. – Glennis wskazała kocioł, z którego bił zapach przypominający potrawkę z koziego mięsa.

Manon nie trzeba było dwa razy powtarzać. Ujęła jedną z glinianych miseczek, stojących przed paleniskiem. Kosztując jedzenie nieznajomych bądź wrogów, też można było zademonstrować zaufanie. Wiedźma przełknęła kilka kęsów, a Dorian poszedł w jej ślady. Gdy oboje jedli, Glennis usiadła na kamieniu i westchnęła.

– Od pięciuset lat żadna Żelaznozębna nie zasiadła do posiłku wraz z Crochan ani nie wymieniła słów pokoju, z wyjątkiem, być może, twoich rodziców.

– Pewnie tak – rzekła łagodnie Manon i przerwała jedzenie.

Usta staruszki drgnęły. Uśmiechnęła się, choć musiała być

wykończona po nieprzespanej nocy i ciężkiej bitwie.

– Byłam babką twego ojca – wyjaśniła w końcu. – Urodziłam twego dziadka, który związał się z królową Crochan. Ta zaś umarła, rodząc twego ojca.

Trudności z zajściem w ciążę oraz niebezpieczne, nierzadko śmiertelnie groźne porody więdźmy odziedziczyły po Fae. Bogini o Trzech Twarzach zapewniała w ten sposób równowagę na świecie i ratowała go przed rosnącymi tłumami nieśmiertelnych, którzy pochłonęliby jego surowce.

Manon rozejrzała się po spustoszonej, odbudowywanym obozie.

Staruszka odczytała pytanie w jej oczach.

– Nasi mężczyźni pozostali w domach, tam, gdzie są bezpieczni. Ten obóz to tylko placówka, gdzie prowadzimy interesy.

Crochan zawsze rodziły więcej chłopców niż Żelaznozębne. Przyswoiły sobie również typowy dla Fae zwyczaj łączenia się w pary. Czasem przyczyną była prawdziwa więź, czasem była to jedynie więź duchowa. Manon zawsze wydawało się to dziwne i zbędne.

– Twa matka nigdy nie wróciła, a twój ojciec został poproszony, by stworzył parę z inną, młodą więdźmą. Był już ostatnim, który nosił w sobie królewską krew, sama rozumiesz, i gdyby twa matka nie przeżyła twego porodu, linia skończyłaby się na nim. Nie miał pojęcia, co się z wami stało. Nie wiedział, czy nadal żyjecie, czy może umarłyście. Nie wiedział nawet, gdzie was szukać. Zgodził się więc wypełnić swój obowiązek. Zgodził się pomóc swemu ginącemu narodowi. – Prababka uśmiechnęła się ze smutkiem. – Tristan był kochany przez wszystkich, którzy go poznali.

Tristan. A więc miał na imię Tristan. Czy jej babka wiedziała choć tyle, zanim go zabiła?

– Starannie wybrano dla niego młodą więdźmę, ale nigdy jej nie pokochał. Nie mógł, bo to twoja matka była jego prawdziwą towarzyszką życia, pieśnią jego duszy. Mimo to wypełnił swój obowiązek i na świat przyszła Rhiannon.

Manon napięła mięśnie. Jeśli matka Rhiannon była gdzieś w pobliżu...

Staruszka znów odczytała pytanie z jej twarzy.

– Została zamordowana przez Żółtonogą na rzecznych równinach w Melisande. Lata temu.

Manon poczuła iskierkę wstydu, gdy jej serce zalała ulga. Cieszyła się, że może uniknąć konfrontacji i nie musi błagać o wybaczenie.

Dorian odłożył łyżkę. Cóż za zwykły, normalny gest jak na człowieka, który rozsadził wywerne od środka.

– Jak to możliwe, że królewska linia Crochan w ogóle przetrwała? Wedle legend zostałyście wytepione – zapytał.

Prababka odpowiedziała kolejnym smutnym uśmiechem.

– Możesz za to podziękować mojej matce. Najmłodsza córka Rhiannon Crochan urodziła dziecko podczas oblężenia Wiedźmiego Miasta. Nasze armie padły i tylko mury chroniły nas przed legionami Żelaznozębnych. Wiele spośród jej dzieci i wnucząt padło w walce, a jej towarzysz życia został przybity włócznią do murów miejskich. Rhiannon nakazała wówczas ogłosić heroldom, że jej córka powiła martwe niemowlę, by Żelaznozębne nigdy się nie dowiedziały, że jedna z Crochan nadal żyje. Tej samej nocy, zanim Rhiannon rozpoczęła trzydniową batalię z Najwyższymi Wiedźmami Żelaznozębnych, moja matka wymknęła się z miasta na miotle, wywoząc niemowlę. – Glennis przełknęła ślinę. – Rhiannon była jej serdeczną przyjaciółką, niemalże siostrą. Moja matka chciała zostać i walczyć do samego końca, ale została poproszona o przysługę. Miała ją oddać swemu narodowi. Naszemu narodowi. Aż do dnia swej śmierci moja matka wierzyła, że Rhiannon wydała walkę Najwyższym Wiedźmom Żelaznozębnych, by ściągnąć na siebie ich uwagę. By pomóc ostatniej potomkini swego rodu wyrwać się na wolność, podczas gdy uwaga Żelaznozębnych skupiona była na czymś innym.

Manon nie miała pojęcia, co powiedzieć. Nie umiała wysłować tego, co się w niej kotłowało.

– Niebawem się przekonasz – ciągnęła Glennis – że masz w tym obozie kuzynki.

Asterin zeszywniała, słysząc te słowa, Edda i Briar również. Wszak były krewniaczkami i bez wątpienia nie chciały się dzielić pokrewieństwem z nikim spoza rodu Czarnodziobych.

– Bronwen – staruszka wskazała ciemnowłosą przywódczynię sabatu z miotłą obwiązaną złotym drutem, która przyglądała się

Manon i Trzynastce z cieni za ogniskiem – jest również moją prawnuczką. To twoja najbliższa kuzynka.

Na twarzy Bronwen nie było ani cienia życzliwości, przez co Manon również nie zwracała sobie głowy przyjaznym uśmiechem.

– Były z Rhiannon niczym siostry – mruknęła Glennis.

Manon z najwyższym trudem powstrzymała się od dotknięcia czerwonej szarfy, którą przewiązała warkocz. Ciszę, ku jej ogromnej uldze, przerwał Dorian.

– Mieliśmy ważny powód, by was odnaleźć.

Glennis znów rozgrzała dłonie.

– Zapewne chcielibyście poprosić nas, byśmy wzięły udział w wojnie.

Spojrzenie Manon nie zmiękło.

– Tak. Was i wszystkie Crochan rozproszone na świecie.

Jedna z wiedźm skryta w cieniach parsknęła śmiechem.

– To ci propozycja!

Inne zawtórowały jej chichotem. W błękitnych oczach Glennis nie było żadnych emocji.

– Nie zebrałyśmy armii od upadku Wiedźmiego Miasta. Niewykлучzone, że to trudniejsze zadanie, niż sądzisz.

– A gdyby to wasza królowa wezwała was do walki? – spytał Dorian.

Śnieg zaskrzypiał pod krokami zbliżającej się Bronwen. Oczy wiedźmy skrzyły się.

– Nie odpowiadaj na to pytanie, Glennis.

Manon była zaskoczona tak wielkim brakiem szacunku w stosunku do starszej, ale Bronwen skierowała na nią wzrok.

– Nie jesteś naszą królową bez względu na to, co sugerowałaby twoja krew. Bez względu na tę małą potyczkę. Nigdy, przenigdy nie stawimy się na twój rozkaz.

– Zło z Morath znalazło was – rzekła spokojnie Manon. Spodziewała się podobnej reakcji. – I wkrótce znów was odnajdzie. Może za kilka

miesiący, może za rok. Nie wiem kiedy, ale wiem, że do tego dojdzie, a wtedy nie będziecie już miały szans na zwycięstwo. – Przyciskała ręce do ciała, walcząc z pokusą, by uwolnić żelazne szpony. – W Terrasenie zbierają się armie wielu królestw. Dołączcie do nich.

– Pięćset lat temu Terrasen nie przybył nam z pomocą – odezwała się inna wiedźma, podchodząc bliżej. Była to owa piękna brunetka, która już wcześniej zabrała głos. Jej miotła przewiązana była srebrnym drutem. – Nie widzę powodu, dla którego miałybyśmy teraz zawracać sobie głowę ratowaniem ich z opresji.

– A ja brałam was za bandę zadufanych w sobie, świętobliwych altruistek! – parsknęła Manon.

Młoda wiedźma najeżyła się, ale Glennis uniosła pomarszczoną dłoń. Nie powstrzymało to jednak Bronwen, która omiotła Manon spojrzeniem i warknęła:

– Nie jesteś naszą królową. Nigdy nie polecimy za tobą do walki.

Obie Crochan odwróciły się i odeszły, kipiąc ze złości. Pozostałe je przepuściły.

Glennis skrzywiła się lekko.

– Niebawem się przekonasz, że w naszym rodzie płynie wiele gorącej krwi.

To było bezwzględne.

To, co Manon zrobiła tej nocy... To, że ściągnęła im Żelaznozębne na głowy... Nie, Dorian nie znajdował innego słowa niż bezwzględność.

Zostawił Manon z prababką, a sam udał się na poszukiwanie pajęczycy. Zastał ją tam, gdzie ją pozostawił. Powróciła już do ludzkiego ciała i kuciała teraz w cieniu jednego ze skrajnych namiotów, rozczochrana i zawinięta w płaszcz Crochan. Najwyraźniej któraś z wiedźm ulitowała się nad nią. Biedna Crochan nie zdawała sobie sprawy z tego, że głód w oczach Cyrene nie miał żadnego związku z zapachem potrawy w kotle.

– Skąd się bierze twa zmiennokształtność? – spytał Dorian, stanąwszy przed nią. – Z wnętrza ciebie?

Zmiennokształtna pajęczycza spojrzała na niego, a potem wstała. Ktoś obdarował ją również znoszoną, brązową tuniką oraz spodniami i butami.

- Urządziłeś wielki pokaz magii. – Uśmiechnęła się, pokazując rzędy malutkich, ostrych zębów. – Zostałbyś doprawdy wspaniałym królem. Nikt by ci nie dorównał.

Dorian nie zamierzał zwierzać jej się z faktu, że nie miał całkowitej pewności, jakim królem chciałby zostać, o ile oczywiście dożyje chwili, gdy będzie mógł zasiąść na tronie. Póki co pewien był tylko tego, że nie chce absolutnie w niczym przypominać ojca.

Na pozór rozluźniony, powtórzył pytanie:

- Skąd się bierze twa zmiennokształtność?

Cyrene przechyliła głowę, jakby czegoś nasłuchiwała.

- Dziwnie się poczułam, śmiertelny królu, gdy w chwili powrotu magii odkryłam w sobie nowe miejsce. Gdy odkryłam, że coś nowego się we mnie zakorzeniło. – Jej drobna dłoń nakryła brzuch tuż nad pępkiem. – Tu się kryje małe ziarenko mocy. Wystarczy, że pomyślę, kim chcę zostać, a przemiana rozpoczyna się właśnie tu. Stąd pochodzi ciepło. – Pajęczycza znów spojrzała na niego. – Jeśli chcesz się w coś zmienić, królu bez korony, to się zmień. Na tym polega cały sekret. Stań się tym, kim chcesz.

Opanował odruch wywrócenia oczami, choć rękojęść Damaris rozgrzała się w jego dłoni. „Stań się tym, kim chcesz”. Łatwiej powiedzieć, niż zrobić, zwłaszcza gdy ciąży komuś korona.

Dorian oparł dłoń na brzuchu, choć miał na sobie kilka warstw odzieży oraz płaszcz. Wyczuł jednakże tylko zarysy mięśni.

- W ten właśnie sposób inicjujesz przemianę? Najpierw myślisz o tym, czym chcesz się stać?

- Są pewne ograniczenia. Muszę mieć wyraźny obraz w głowie. W przeciwnym razie nic mi się nie uda.

- Nie możesz więc przeistoczyć się w coś, czego jeszcze nie widziałas.

- Mogę opracować pewne cechy jak kolor oczu, budowę ciała czy włosy, ale na pewno nie samą istotę – odparła pajęczycza, a jej usta ozdobił ohydny uśmiech. – Sięgnij po tę swą cudowną magię! Zmień

te swoje piękne oczy! No zmień ich kolor!

Pajęczycza prowokowała go, a Dorian, choć czuł się jak idiota, podjął próbę. Pomyślał o brązowych oczach. Przypomniał sobie spojrzenie Chaola, roziskrzone po zaciętej walce treningowej, bynajmniej nie to, z jakim jego przyjaciel popłynął na południowy kontynent. Czy udało mu się odzyskać zdrowie? Czy wraz z Nesryn zdołali przekonać kagana, by wysłał im pomoc? W jaki sposób Chaol w ogóle ma się dowiedzieć, gdzie go szukać po tym, jak rozrzuciono ich wszystkich na cztery wiatry?

- Zbyt dużo myślisz, młody królu.

- Lepiej za dużo niż za mało – mruknął.

Damaris znów się rozgrzał. Dorian mógłby przysiąc, że oręż poczuł rozbawienie.

- Nie myśl aż tyle o kolorze oczu. – Cyrene zachichotała. – Masz się go spodziewać! Domagać!

- A jak ty się tego nauczyłaś?

- Ta moc jest we mnie – odparła pajęczycza wprost. – Słuchałam jej i tyle.

Dorian wypuścił strużkę magii, która pomknęła ku pajęczycy. Cyrene napięła mięśnie, ale magia musnęła ją tylko, łagodna i ciekawska niczym kot. Była to surowa magia, pierwotna, którą mógł formować wedle własnego uznania.

Pchnął ją ku pajęczycy. Nakazał jej odnaleźć owo źródło magii i poznać jego naturę. Nauczyć się go.

- Co ty robisz? – szepnęła Cyrene, przestępując nerwowo z nogi na nogę.

Magia oplotła ją, a wtedy Dorian poczuł smak każdego ohydneho i pełnego nienawiści roku z jej egzystencji. Chwilę później moc przyniosła mu jej zapach, a wówczas Dorianowi zaschło w ustach, a do gardła podeszła mu żółć. Wiedział, że nigdy nie zapomni tej woni, tej obmierzłości. Wiedział, że po wsze czasy będzie nosić na szyi pamiątkę po niej.

Miał przed sobą Valga. Pajęczycza była Valgiem. Co więcej, urodziła się nim, a nie została opętana.

Dorian zachował obojętny wyraz twarzy. Udawał brak zainteresowania, choć jego magia odnalazła już ów jaśniejący, piękny okruch mocy.

Skradzionej mocy. Wszak Valgowie kradli wszystko, na co mieli ochotę.

Krew huczała mu tępo w uszach, gdy wpatrywał się w jej drobne ciało i zwykłą, przeciętną twarz.

– Jakoś nie wspominasz już o zemście, która kazała ci odbyć wędrówkę przez cały kontynent – rzekł.

Ciemne oczy Cyrene ponownie stały się bezdennymi jamami.

– Och, nie zapomniałam o niczym.

Damaris nadal był ciepły. Czekał.

Dorian pozwolił, by kojące, ciepłe strużki jego magii oplotły ziarno mocy, uwięzione w czarnym piekle pajęczego ciała. Nie interesowało go wcale, w jaki sposób wielkie pająki stały się Valgami, jak dotarły do ich świata i po co w nim zostały. Karmiły się marzeniami, życiem i radością. Czerpały z nich rozkosz.

Ziarno zmiennokształtności zamigotało w jego dłoniach, jakby było wdzięczne za ciepły, życzliwy dotyk. Ludzki dotyk.

Jego ojciec pozwalał tym istotom, by zdobywały wpływy i rządziły. To one zamordowały Sorschę.

– Mogę zawrzeć z tobą układ – szepnęła Cyrene. – Gdy nadejdzie odpowiednia chwila, dopilnuję, by nie stała ci się krzywda.

Damaris ostygł jak lód.

Dorian spojrział Cyrene w oczy i cofnął swą magię. Mógłby przysiąc, że ziarno zmiennokształtności chciało pomknąć wraz z nią. Próbowало go uprosić, by go nie porzucił.

Uśmiechnął się do pajęczycy, a ta odpowiedziała tym samym.

Wówczas Dorian uderzył.

Niewidzialne ręce młodego króla oplotły jej szyję i szarpnęły, a jego magia wbiła się w jej brzuch, gdzie krył się okruch skradzionej mocy, by szczelnie go opleść. Trzymał go ostrożnie niczym delikatne piskłę i studiował go wnikliwie, aż miał wrażenie, że obca magia wzdycha

z ulgą i ulatuje na wietrze, wreszcie wolna. Pajęczycza umarła chwilę później i osunęła się na ziemię.

Dorian bez namysłu spopielił jej ciało. Nikt nie przyszedł, by zapytać o smród, który uniósł się znad popiołów, czy o ciemną plamę, która pozostała na ziemi.

Valg. Być może Cyrene właśnie pokazała mu sposób na wślizgnięcie się do Morath, ale mimo to nadal stał i spoglądał na ciemną plamę na stopionym śniegu. Wypuścił Damaris, który ucichł niechętnie.

Dorian wiedział, że znajdzie drogę do Morath, kiedy tylko opanuje sztukę zmiany postaci.

Pajęczycza i cały jej rodzaj mogą spłonąć w piekle.

Serce Doriana nadal biło szybko, gdy godzinę później leżał na jednym z dwóch posłań w namiocie tak niewielkim, że nie można było się w nim nawet wyprostować.

Manon wślizgnęła się do środka zaraz po tym, jak strząsnął ze stóp buty i naciągnął na siebie ciężkie, wełniane koce. Pachniały końmi i sianem i równie dobrze mogły być porwane prosto ze stajni, ale Dorian wcale to nie obchodziło. Grunt, że były ciepłe.

Manon rozejrzała się po ciasnym wnętrzu.

– Trzyście to nieparzysta liczba – powiedziała, jakby chciała się usprawiedliwić. – Zawsze miałam namiot dla siebie.

– Przykro mi, że ci to odebrałem.

Wiedźma obrzuciła go rozbawionym spojrzeniem, po czym usiadła na własnym posłaniu i zaczęła rozsznurowywać buty. Naraz znieruchomiła i rozchyliła nozdrza. Powoli obróciła głowę i spojrzała na niego.

– Co ty zrobiłeś?

Dorian wytrzymał jej spojrzenie.

– Każde z nas zrobiło dziś to, co musiało – odparł.

Manon pociągnęła nosem raz jeszcze.

– Zabiłeś tę pajęczycę.

W jej głosie nie było osądu czy nagany, a jedynie ciekawość.

– Stanowiła zagrożenie – przyznał.

„A do tego była pieprzonym Valgiem” – dodał w myślach.

– Mogła cię zabić! – W oczach Manon pojawiło się ostrzeżenie, na co Dorian uśmiechnął się lekko.

– Nie. Nie miała szans.

Wytrzymał kolejne, badawcze spojrzenie wiedźmy.

– Nie chcesz jakoś skomentować moich... cóż, moich decyzji?

– Moi przyjaciele walczą i zapewne giną gdzieś na północy – odparł Dorian. – Nie mamy tygodni, by zjednać sobie Crochan.

Tak właśnie brzmiała brutalna prawda. By Crochan nie pozabijały ich na wstępie, musieli przekroczyć pewną linię. Być może podejmowanie bezwzględnych decyzji stanowiło część ciężaru związanego z noszeniem korony.

Dorian postanowił, że nie zdradzi jej sekretu dopóty, dopóki ona sama nie zechce, by wyszedł na jaw.

– Czyli oszczędzisz mi smętnych gadek o moralności i sprawiedliwości?

– To wojna – odparł Dorian. – Nie ma już czasu na takie rzeczy.

A gdyby jego wieczna dusza miała być ceną za powstrzymanie tak wielkiego rozlewu krwi, nie miałoby to wielkiego znaczenia, prawda? W końcu splamił się już nieraz i nie było sposobu, by to cofnąć. Gdyby więc miał przekroczyć kolejną granicę po to, by uchronić innych przed krzywdą, był gotów to zrobić.

I nadal nie miał pojęcia, jakim królem go to czyniło.

Manon mruknęła, uznawszy to za satysfakcjonującą odpowiedź.

– Wiesz sporo o dworskich intrygach – powiedziała, a jej zwinne palce na powrót zaczęły migotać wśród wiązań butów. – Jak ty byś to... rozegrał? Mam na myśli moją sytuację z Crochan.

Dorian wsunął dłonie pod głowę.

– Problem polega na tym, że one trzymają wszystkie karty, a ty potrzebujesz Crochan o wiele bardziej niż one ciebie. Tobie pozostała raptem jedna karta – twe dziedzictwo – choć Crochan wydają się nawet to odrzucać pomimo twego zwycięstwa w potyczce

z Żółtonogimi. Cóż więc zrobić, by stało się to dla nich ważne? W jaki sposób udowodnisz im, że naprawdę potrzebują swej ostatniej żyjącej królowej? – Zamyślił się. – Dobrym argumentem byłby pokój między waszymi narodami, ale ty... – Skrzywił się. – Cóż, nie jesteś już uważana za dziedziczkę. Możesz jedynie negocjować układy między nimi a Trzynastką, nie zaś między nimi a Żelaznozębnymi. Nie byłby to żaden prawdziwy traktat pokojowy.

Manon w końcu zdjęła buty i położyła się na posłaniu. Naciągnęła na siebie koce i wbiła wzrok w niski sufit namiotu.

– Nauczyli cię tego w twoim szklanym zamku?

– Tak – odparł. Zanim go rozbił w drobny mak.

Manon ułożyła się na boku i wsparła głowę na dłoni. Jej warkocz rozwiązał się i białe włosy rozsypały się na twarzy.

– Nie mógłbyś wykorzystać swej magii, by je po prostu zmusić do posłuszeństwa, co?

Dorian parsknął śmiechem.

– Nie. Nie sądzę.

– Maeve wniknęła do umysłu księcia Rowana i nakłoniła go, by wziął sobie niewłaściwą kobietę.

– Ja nawet nie wiem, na czym polega moc Maeve – odparł Dorian, krzywiąc się. Nie miał pojęcia, co królowa Fae zrobiła Rowanowi i co teraz robiła królowej Terrasenu. – I nie jestem przekonany, czy chcę zacząć eksperymentować na potencjalnych sojusznikach.

Manon wypuściła powietrze przez nos.

– Moje szkolenie również nie zahaczało o takie rzeczy.

Dorian nie był tym wcale zaskoczony.

– Chcesz poznać moją szczerą opinię?

Złociste oczy wiedźmy przeszywały go na wylot. Skinęła lekko głową.

– Dowiedz się, czego im naprawdę potrzeba, i wykorzystaj to. Co skłoniłoby je, by uznały w tobie królową i wyruszyły na wojnę pod twymi rozkazami? Dzisiejsze starcie przełamało lody, ale do pełnej akceptacji jeszcze daleko. Może Glennis ci pomoże.

- Mogłabym się do niej zwrócić, ale nie wiem, czy warto ryzykować.

- Nie ufasz jej.

- A niby czemu powinnam?

- To twoja prababka. I nie kazała cię stracić na miejscu.

- Moja babka jednak skrupułów nie miała – rzekła Manon. Na jej twarzy nie było emocji, ale odruchowo zacisnęła dłonie w pięści.

- Aelin chciała, by kapitan Rolfe i jego ludzie wyszli z ukrycia i rozpoczęli zbieranie myceniańskiej floty – zaczął Dorian. – Dowiedziała się, że ci powrócą do Terrasenu dopiero, gdy pojawi się morski smok, jeden z ich dawno niewidzianych sojuszników. Ukuła więc całą intrygę: sprowokowała niewielką flotyllę Valgów do ataku na Zatokę Czaszek w chwili, gdy miasto było stosunkowo bezbronne, a podczas bitwy zademonstrowała morskiego smoka, który przybył im na pomoc.

- Stała za tym ta zmiennokształtna? – spytała Manon. Gdy Dorian kiwnął głową, zadała kolejne pytanie: – I Mycenianie to kupili?

- Bez wahania – rzekł Dorian. – Jak widzisz, Aelin odkryła, w jaki sposób nakłonić Mycenian, by ją poparli. Co trzeba zrobić, by Crochan stanęły po twojej stronie?

Manon odwróciła się na plecy, płynnie jak tancerka. Przez moment bawiła się splecionym na nowo warkoczem, przewiązany czerwona szarfą.

- Rano spytam Ghislaine.

- Nie sądzę, by to wiedziała.

Złote oczy wiedźmy znów zwróciły się na niego.

- Naprawdę uważasz, że powinnam porozmawiać z Glennis?

- Tak. I myślę, że ci pomoże.

- Dlaczego?

Dorian zadał sobie w myślach pytanie, czy wiedźmy z Trzynastki są w stanie dostrzec ów przeblysłk niechęci do samej siebie, który czasem przemykał przez jej twarz.

- Jej matka z ochotą porzuciła swe miasto, rodaków i królową, by

móc ocalić królewską krew. Twój ród. Myślę, że opowiedziała ci dzisiaj tę historię, byś wiedziała, że jest gotowa postąpić tak samo.

– To czemu nie powiedziała tego wprost?

– Ponieważ, jeśli sama jeszcze tego nie zauważyłaś, pomimo wygranej z Żelaznozębnyimi nie jesteś najbardziej popularną osobą w tym obozie. Glennis dobrze wie, jak to rozegrać, a ty musisz nauczyć się grać wedle zasad, które ci proponuje. Najpierw dowiedz się, co one w ogóle tu robią, a potem zaplanuj kolejny krok.

Manon zacisnęła usta, a potem się rozluźniła.

– Twoi nauczyciele wykonali dobrą robotę.

– Wychowywałem się w cieniu tyrańca nawiedzanego przez demona, co najwyraźniej miało swoje dobre strony – odparł obojętnym głosem Dorian, choć w jego sercu narastał gniew.

Spojrzenie Manon omiotło jasną pręgę na jego szyi. Król niemalże czuł jej wzrok niczym widmowy dotyk.

– Nadal go nienawidzisz.

– A może być inaczej? – Dorian uniósł brew.

Księżycowe włosy wiedźmy migotały w nikłym świetle.

– Powiedziałeś mi, że był człowiekiem. Że w głębi serca pozostał człowiekiem i próbował cię chronić, najlepiej, jak umiał. A mimo to go nienawidzisz.

– Wybacz, ale moim skromnym zdaniem jego metody „chronienia” mnie były nie do przyjęcia.

– Ale to nie człowiek zabił twą uzdrowicielkę, a demon!

– To bez znaczenia. – Dorian zacisnął zęby.

– Naprawdę? – Manon zmarszczyła brwi. – Większość ludzi wytrzymuje zaledwie kilka miesięcy nawiedzenia przez Valga. Sam ledwie to wytrzymałeś.

Dorian o mało nie wzdrygnął się, gdy usłyszał jej wypowiedziane bez ogródek słowa.

– On wytrzymał kilka dekad.

Młody król zniósł jej spojrzenie.

- Jeśli próbujesz przedstawić mego ojca jako szlachetnego bohatera, marnujesz tylko swój czas. – Zastanawiał się, czy nie zakończyć tej rozmowy w tym momencie, ale zapytał:

- Gdyby ktoś ci powiedział, że twoja babka jest w gruncie rzeczy dobrą osobą i tak naprawdę nie chciała zabić twoich rodziców i tylu innych, że została właściwie zmuszona do zamordowania twej własnej siostry, udałoby ci się w to uwierzyć? Przebaczyłabyś jej?

Manon zerknęła na swój brzuch. Na bliznę ukrytą pod skórzanym kaftanem. Dorian szykował się już na ciętą ripostę, ale wiedźma rzekła jedynie:

- Mam już dość gadania.

„Świetnie. Bo ja też”.

- A może jest coś innego, czym byś się chętnie zajęła, wiedźmiatko?
- Głos Doriana nagle ochrypl. Wiedział, że Manon słyszy przyspieszone bicie jego serca.

Nie odpowiedziała. Zamiast tego wpełzła na niego, a jej włosy opadły, by niczym kurtyna zasłonić go przed światem.

- Powiedziałam, że nie chcę więcej gadać – szepnęła.

Zbliżyła usta do jego szyi i przejechała zębami wzdłuż białej pręgi. Dorian jęknął cicho i przesunął nieco uda, przyciskając ją mocniej do siebie. Oddech Manon przyspieszył w odpowiedzi, na co młodzieniec przesunął dłoń wzdłuż jej boku.

- No to zrób coś, bym się uciszył – mruknął.

Jego dłoń zamknęła się na pośladku wiedźmy, podczas gdy ta skubała go zębami po szyi i policzku. Nie pokazała mu swoich żelaznych kłów, ale lada chwila mogła je uwolnić. Perspektywa wisiała nad nim niczym wspaniały miecz na cienkim sznurku.

Tylko przy niej nie musiał niczego tłumaczyć. Tylko przy niej nie musiał być królem. Tylko przy niej nie spodziewał się osądu za wszystkie swe błędy. Manon nie miała zamiaru wytykać mu, kogo zawiódł i co jeszcze będzie musiał zrobić.

Nie. Z nią czekała go tylko rozkosz i całkowite zapomnienie.

Dłoń Manon odnalazła sprzączkę jego pasa. Dorian sięgnął do jej ubrania. Przez dłuższą chwilę żadne z nich nie odzywało się ani

słowem. Nie musieli.

Była to upojna noc i Manon dwukrotnie odnalazła spełnienie, ale nie stłumiło to napięcia, które poczuła w środku, gdy po nastaniu szarego, ponurego świtu udała się do wielkiego namiotu Glennis.

Król nadal spał, zawinięty w ich wspólne koce, choć nie pozwoliła, by ją objął. Odwróciła się do niego plecami i zamknęła oczy, a jemu to najwyraźniej nie przeszkadzało. Był senny i w pełni zaspokojony po tym, jak wiedźma ujeżdżała go do chwili, gdy oboje osiągnęli szczyt rozkoszy. Szybko zasnął. Ale Manon nawet nie myślała o śnie – leżała i zastanawiała się, w jaki sposób ma rozmawiać z Glennis. Może należało zabrać Dorianą? Tak, on z pewnością wiedział, jak prowadzić podobne gierki. Jak myśleć niczym król.

Ale zabił tę pajęczycę jak prawdziwa wiedźma, bez najmniejszego śladu litości. Manon wiedziała, że nie powinno jej to ucieszyć aż tak bardzo. Wiedziała, że nigdy nie odzyska swej dumy i na zawsze straci prawo, by nazywać się wiedźmą, jeśli pozwoli, by wykonywał jej obowiązki za nią.

I tak oto bez słowa wepchnęła się do namiotu Glennis.

– Muszę z tobą porozmawiać – rzekła.

Zastała staruszkę, gdy ta zakładała płaszcz przed niewielkim lustrem z brązu.

– Przed śniadaniem? Tę pochopność na pewno odziedziczyłaś po ojcu. Tristan zawsze miał w zwyczaju wpadać do mojego namiotu z najrozmaitszymi pilnymi sprawami. Z trudem udawało mi się go namówić, by usiadł i zjadł ze spokojem.

Manon odrzuciła tę informację od siebie. Żelaznozębne nie miały ojców, a jedynie matki i ich matki. Zawsze tak było i tego zamierzała się trzymać, choć coraz trudniej było jej znosić pokusę pytania o ojca. Chciała wiedzieć, jak poznał Lothian Czarnodziobą i co skłoniło go do porzucenia starej nienawiści.

– Co będzie potrzebne... Czego potrzebuję, by Crochan stanęły po mojej stronie i poleciały na wojnę?

Glennis poprawiła płaszcz na ramionach.

– Tylko królowa Crochan może rozniecić Ogień Wojny, czym

wezwie wszystkie więdźmy znad ich palenisk.

– Ogień Wojny? – Manon zamruęła w odpowiedzi.

Glennis ruchem podbródka wskazała jej wejście do namiotu, za którym pónał ogień wykopany w dziurze.

– Kaęda rodzina Crochan ma swe palenisko, które przenosi ze sobą do kaędeę nowego domu czy obozu. Płomień nigdy nie gaśnie. Ogień w moim palenisku pónie od czasów, gdy mieszkałyśmy w mieście Crochan, gdy sam Brannon Galathynius podarował Rhiannon iskrę pónącego wiecznie ognia. Moja matka, gdy uciekała z niemowlęciem z oblężonej twierdzy, zabrała go w szklanej kuli pod połą płaszcz a pónał on później w palenisku kaędej Crochan z królewskiego rodu.

– A co zrobiłyście, gdy magia znikła na dziesięć lat?

– Nasze wizjonerki przewidziały, że do tego dojdzie, a ogień wówczas zagaśnie. Zapaliłyśmy wtedy od niego wiele innych, zwykłych ognisk i cierpliwie je podsycalyśmy. Gdy magia znikła, ogień w istocie zgaśł, a kiedy powróciła, pojawił się znów w tym samym palenisku, gdzie go ostatni raz widziano. – Prababka zwróciła się ku niej. – Kiedy królowa Crochan wzywa swój lud do wojny, płomień zostaje pobrany z królewskiego paleniska i przekazany do wszystkich innych. Może to zrobić jednakże tylko królowa Crochan.

– Czyli wystarczy, że rozniosę płomień wśród Crochan, a na moje rozkazy stawi się cała armia?

Glennis się roześmiała.

– Nie. Najpierw musisz zostać uznana za królową.

– A co muszę zrobić w tej sprawie? – Manon zgrzytnęła zębami.

– Do tego to już chyba sama dojdiesz, co?

Manon sięgnęła po ostatnie rezerwy siły woli, by powstrzymać odruch wysunięcia żelaznych kłów.

– Co wy tu właściwie robicie?

– Nie powiedziałam ci wczoraj? – Glennis uniosła brwi.

Manon złapała się na tym, że tupie stopą w ziemię. Stara więdźma zauważyła jej zniecierpliwienie i parsknęła śmiechem.

– Zmierzamy do Eyllwe.

- Eyllwe? – spytała zaskoczona Manon. – Jeśli przyszło wam do głowy, by uciec przed tą wojną, pragnę cię powiadomić, że tam też dotarła.

Eyllwe od dawna znosiło gniew Adarlanu. Podczas jej niekończących się spotkań z Erawanem, ten naciskał na to, by w Eyllwe zawsze panował chaos.

- Wiemy. – Glennis pokiwała głową. – Ale słyszałyśmy od naszych sióstr z południa, że pojawiło się tam zagrożenie. Zmierzamy tam, by połączyć się z hufcami, którym udało się przetrwać, i razem stawić czoła koszmarom wysyłanym przez Morath.

Na południe. Nie na północ, do Terrasenu.

- Erawan być może wysyła tam swych sługusów, by was rozdzielić – rzekła Manon. – Byście nie przyszły z pomocą Terrasenowi. Odgadł, iż będę próbowała zjednoczyć Crochan. Tymczasem Eyllwe jest już stracone! Lećcie z nami na północ.

Staruszka pokręciła głową.

- Niewykluczone, że masz rację, jednak dałyśmy słowo. Lecimy do Eyllwe.

16.

Gdy o zmroku armia dotarła do drugiego obozu, Darrow czekał już w siodle na szczycie wzgórza. Wojownicy maszerowali przez cały dzień, bezustannie atakowani przez śnieżycę i ostre wiatry. Aedion, który również jechał konno, oderwał się od czoła kolumny i pognął po zamrzniętym śniegu ku wiekowemu lordowi. Dłonią w rękawicy wskazał wojowników za sobą.

– Jesteśmy. Jak kazałeś.

Darrow nawet nie zerknął na Aediona. Przyglądał się wojownikom, którzy stawiali namioty. Było to ciężkie, wyczerpujące zadanie po całodziennym marszu i bitwie, ale Aedion wiedział, że przynajmniej tej nocy będą spać dobrze, a on sam sprzeciwi się, gdy padnie decyzja o kolejnym ruchu. Dołoży wszelkich starań, by odpoczęli, może nawet dwa dni.

– Jakie straty? – spytał Darrow.

– Niecałe pięć setek.

– Dobrze.

Aedion najeżył się, słysząc pochwałę. Przecież to nie była armia Darrowa ani nawet Aediona.

– Cóż takiego się stało, co wymagało od nas takiego pośpiechu? – zapytał.

– Chciałem omówić z tobą tę bitwę. Usłyszeć wszystko, czego się dowiedziałeś.

Aedion zacisnął zęby.

– A więc napiszę dla ciebie raport – rzucił i ujął wodze, by zawrócić konia do obozu. – Moi ludzie potrzebują schronienia.

Darrow pokiwał głową, jakby nieświadom tego, na jak wielki wysiłek skazał terraseńską armię.

– Spotkamy się o świcie. Przekaż wiadomość pozostałym lordom.

– Sam się tym zajmij. Masz posłańców.

Darrow zmierzył go chłodnym spojrzeniem.

– Przekaż to pozostałym lordom – powtórzył i otaksował Aediona od zbryzganych błotem butów aż po przetłuszczone włosy. – I odpocznij.

Ashryver nie zawracał sobie głowy uprzejmościami. Zawrócił konia i popędził go do galopu, a ten – silne, dumne zwierzę, które dzielnie mu służyło – pognał bez wahania przez śnieg. Aedion zmrużył powieki, gdy ciężki od śniegu wiatr zaczął go smagać po twarzy. Musieli wznieść jakieś schronienie, i to szybko. O świcie miał udać się na spotkanie z Darrowem wraz z innymi lordami.

I z Aelin.

Przez noc obóz otuliła gruba warstwa śniegu, tłumiąc ogniska i zmuszając żołnierzy do spania ramię w ramię, by nie utracić ciepła. Lysandra, choć przeistoczyła się w widmowego lamparta i skuliła się przy koszu z żarem, drżała z zimna. Zerwała się na długo przed świtem tylko z tego powodu, że dalszy wypoczynek nie miał już żadnego sensu.

Co więcej, spotkanie z Darrowem miało się zacząć lada moment.

Ruszyła w stronę wielkiego namiotu wojennego Darrowa wraz z Ansel z Briarcliff, obie zakutane w futra. Na szczęście poranek był niezwykle mroźny, przez co rozmowa między nimi ograniczyła się do minimum. Jaki sens ma wymiana zdań, gdy powietrze jest tak zimne, że zęby zaczynają boleć?

Tuż przed nimi do namiotu weszli srebrnowłosi dostojnicy Fae. Książę Endymion powitał ją skinieniem głowy.

Nie, nie ją. On się przywitał z Aelin. Miał ją za żonę swego kuzyna, a do tego królową. Nigdy wcześniej nie czuł zapachu Aelin, stąd woń zmiennokształtnej nie budziła jego zdziwienia.

„Dzięki bogom” – pomyślała Lysandra.

Namiot był niemalże pełen. Lordowie, książęta i dowódcy przyglądali się przypiętej do ściany mapie kontynentu, na której szpilkami zaznaczono pozycje poszczególnych armii. Tak wiele z nich zgromadziło się na południu. Zbyt wiele. Skutecznie blokowały pomoc jakichkolwiek sojuszników za liniami Morath.

- O, wreszcie się zjawiała – skomentował ktoś chłodno.

Lysandra uśmiechnęła się leniwie i stanęła na środku namiotu, pozostawiając Ansel przy wejściu.

- Słyszałam, że ominęło mnie sporo zabawy. Postanowiłam więc wrócić czym prędzej, bo jak tak dalej pójdzie, nie będę już miała szansy na zabicie żadnego Valga.

Rozległo się kilka chichotów, ale Darrow nawet się nie uśmiechnął.

- Nie przypominam sobie, by zaproszono cię na to spotkanie, Wasza Wysokość.

- Ja ją zaprosiłem – rzekł Aedion. – Skoro z praktycznego punktu widzenia Aelin służy w Zgubie, wyniosłem ją do rangi zastępcy dowódcy.

Lysandra zadała sobie w myślach pytanie, czy ktoś jeszcze dostrzegł ledwie zauważalny grymas bólu na twarzy Aediona. Bólu i obrzydzenia, wywołanego widokiem fałszywej królowej, paradującej wśród nich.

- Przykro mi, że cię rozczarowuję – zaszcebiotała do Darrowa.

Ten odwrócił się ku mapie. Do namiotu w międzyczasie weszli Sol a Ravi. Pierwszy uklonił się Aelin z szacunkiem, a drugi uśmiechnął się do niej szeroko. Lysandra mrugnęła do nich i zwróciła się do mapy.

- Po wczorajszym zwycięstwie generała Ashryvera – zaczął Darrow – myślę, że powinniśmy rozstawić nasze oddziały na Theralis i zacząć przygotowywać Orynth na oblężenie.

Starsi lordowie – Sloane, Gunnar i Ironwood – mruknęli z aprobatą, ale Aedion pokręcił głową, bez wątpienia przewidziawszy, że usłyszy coś podobnego.

- W ten sposób damy sygnał Erawanowi, że się wycofujemy – rzekł.
- Co więcej, znajdziemy się jeszcze dalej od wszelkich potencjalnych sojuszników na południu.

- Orynth – odezwał się lord Gunnar, starszy od Darrowa, jeszcze bardziej siwy i dwakroć od niego chciwszy – ma mury, które wytrzymają ostrzał katapult.

- Jeśli Morath ściągnie te wieżmce – wtrącił Ren Allsbrook –

zawałą się nawet mury Orynthu.

– Najpierw musimy przekonać się na własne oczy, co to właściwie jest – sprzeciwił się Darrow. – Bo jak dotąd dysponujemy tylko zeznaniami wrogów.

– Wrogów, którzy stanęli po naszej stronie – wtrąciła Aelin, czyli Lysandra. Darrow spojrział na nią z niesmakiem. – Manon Czarnodzioba nie kłamała, a jej Trzynastka walczyła z Morath u naszego boku.

Fae oraz Ansel potwierdzili jej słowa.

– Przeciwno Maeve – zadrwił lord Sloane, chudy mężczyzna z zaciętą twarzą i haczykowatym nosem. – Walczyliście przeciwko Maeve, a nie Erawanowi. Czy z podobną skwapliwością stawiałyby czoła własnym rodaczkom? Wiedźmy są lojalne do przesady i podstępne niczym lisy. Manon Czarnodzioba wraz ze swą kliką mogły was wodzić za nos i nakarmić fałszywymi informacjami.

– Manon Czarnodzioba zwróciła się przeciwko własnej babce, Najwyższej Wiedźmie Klanu Czarnodziobych. – Głos Aediona przeszedł w niebezpieczny warkot. – Nie sądzę, by żelazne odłamki w jej ranie można było uznać za elementy intrygi.

– Pozwól, że powtórzę – odezwał się Sloane. – Wiedźmy są podstępne i zdolne do wszystkiego.

– Wiedźmie wieże istnieją naprawdę – odezwała się Lysandra chłodnym, nieporuszonym głosem Aelin. – Nie będę marnować czasu na udowadnianie tego faktu. Nie narażę też Orynthu na tak wielkie niebezpieczeństwo.

– A co z miastami na pograniczu? – spytał prowokująco Darrow.

– Chcę znaleźć sposób na zniszczenie wież, nim te znajdą się na nizinach – wycedziła Lysandra, modląc się w myślach, by Aedion miał już jakiś plan.

– Zapewne sięgniesz po ogień, którym się tak chętnie popisujesz – zadrwił Darrow.

Nim Lysandra zdołała odpowiedzieć kolejnym aroganckim kłamstwem, odezwała się Ansel:

– Erawan lubuje się w rozmaitych sztuczках, które mają wzbudzić lęk wśród jego wrogów. Niech się martwi, dlaczego Aelin nie sięgnęła

jeszcze po żadną ze swoich. Niech się zastanawia, czy przypadkiem nie gromadzi mocy w innym celu. – Mrugnęła do Lysandry łobuzersko. – Mam nadzieję, że urządzisz nam niezłe widowisko.

Lysandra odpowiedziała krzywym uśmiechem.

– Och, nie pożałujesz.

Poczuła na sobie ciężki wzrok Aediona, a w nim dobrze ukryty ból oraz niepokój. Mimo to generał rzekł tylko:

– Bitwa pod Eldrys miała na celu jedynie przerzedzić nasze wojska. Mieliśmy też zwątpić w mądrość przywódców Morath, którzy przysłali do nas tylko szeregowych żołnierzy. Erawan chce, byśmy przestali się z nim liczyć. Jeśli przesuniemy się pod granice, pochód jego armii spowolnią wzgórza. To nasze ziemie i znamy je, a on nie. Możemy wykorzystać ten atut.

– A jeśli przejdzie przez Dębową Puszcę? – Lord Gunnar wskazał drogę mijającą Endovier. – Co wtedy?

– Te tereny znamy równie dobrze – zabrał głos Ren Allsbrook. – Dębowa Puszcza nie kocha Erawana ani jego żołnierzy. Pozostaje wierna Brannonowi i jego dziedzicom.

Zerknął na nią przy tych słowach. Jego spojrzenie było chłodne, ale dodające nieco otuchy. Lysandra w odpowiedzi uśmiechnęła się do młodego lorda, ale ten zignorował ją i zwrócił się do mapy.

– Jeśli ruszymy ku granicy – odezwał się Darrow – ryzykujemy całkowitą klęskę. Perranth, Orynth i każde inne miasto królestwa zostanie rzucone na łaskę Erawana.

– Oba rozwiązania mają swoje zalety. – Książę Endymion podszedł bliżej. Był najstarszym uczestnikiem narady, choć nie wyglądał na kogoś, kto ma więcej niż dwadzieścia osiem lat. – Wasza armia jest za mała, by podzielić ją na pół. Bez względu na to, czy pošlemy ją na północ, czy na południe, musi pójść cała.

– Ja jestem za południem – powiedziała księżniczka Sellene, kuzynka Endymiona i Rowana.

Lysandra widziała, że jest zaintrygowana Aelin, ale jak dotąd nie podeszła bliżej, jakby się bała budować więź w sytuacji, gdy wojna może lada chwila ją zburzyć. Lysandra nieraz się zastanawiała, co w długim życiu Sellene sprawiło, że stała się ona osobą poważną,

czujną i nieufną, a do tego pozbawioną wyniosłości.

– W razie potrzeby znajdziecie tam wiele dróg ucieczki.

Podeszła bliżej. Jej srebrny warkocz połyskiwał wśród fałd ciężkiego, szmaragdowego płaszcza. Opaloną dłonią wskazała południe Terrasenu.

– W Oryncie będziecie przyparci do gór – dodała.

– Znamy wiele sekretnych przejść przez góry – oznajmił nieporuszony lord Sloane. – Wielu spośród naszych rodaków skorzystało z nich dziesięć lat temu.

Dyskusja trwała jeszcze długo. Pojawiały się coraz to nowe argumenty, co rusz podnoszono głos, aż Darrow zarządził głosowanie, w którym mogło wziąć udział jedynie sześciu lordów Terrasenu. Najwidoczniej uznał ich za oficjalnych dowódców tej armii.

Dwóch spośród ich grona, Sol i Ren, głosowało za przesunięciem wojsk na granice. Czterech – Darrow, Sloane, Gunnar i Ironwood – optowało za powrotem do Orynthu.

Gdy zapadła cisza, Darrow oznajmił:

– Jeśli naszym sojusznikom ów plan nie przypadł do gustu, mogą w każdej chwili wyjechać. Nie będziemy mieli do was żadnych pretensji.

Lysandra o mało nie podskoczyła na te słowa, a Aedion warknął, choć w jego oczach błysnął niepokój, ale wtedy wystąpił pogodny zazwyczaj książę Galan, który pomimo wielkiego męstwa, jakim wykazał się zarówno na morzu, jak i na lądzie, dotąd milczał i tylko bacznie przysłuchiwał się rozmowie. Spojrzał na Aelin, a jego oczy – ich oczy – skrzyły się.

– Bylibyśmy doprawdy kiepskimi sojusznikami – powiedział z ciężkim wendlyńskim akcentem – gdybyśmy porzucili naszych przyjaciół w chwili, gdy ci podejmują decyzje sprzeczne z naszymi postanowieniami. Obiecaliśmy wam pomoc podczas wojny. Wendlyn nie odwróci się od was.

W postaci Darrowa dało się wyczuć napięcie, wywołane nie tyle samymi słowami Galana, ile tym, że skierował je do Aelin. Lysandra pochyliła głowę w odpowiedzi i ułożyła dłoń na sercu.

Książę Endymion uniósł podbródek.

- Ja zaś złożyłem przysięgę memu kuzynowi, a twemu małżonkowi - rzekł, co wywołało poruszenie wśród wszystkich lordów. Skoro Aelin nie była ich królową, nie uznawali również jego tytułu. - Nie sądzę, by powitano nas życzliwie w Doranelle, a więc chciałbym móc myśleć, że jeśli wszystko pójdzie dobrze, Terrasen stanie się naszym nowym domem.

Aelin na pewno by się na to zgodziła.

- Jesteście tu mile widziani. Wszyscy. Na jak długo zechcecie.

- Nie masz prawa wygłaszać takich deklaracji! - warknął lord Gunnar, ale nikt na to nie zareagował.

Ilias z Milczących Zabójców uklonił się w milczeniu, co oznaczało, że zgadza się pozostać, a Ansel z Briarcliff mrugnęła do Aelin i powiedziała:

- Przebyłam niezły szmat drogi, by pomóc ci rozsmarować tego drania po ziemi. Nie widzę powodu, dla którego miałabym teraz wracać do domu.

Lysandra nie udawała wdzięczności ani wzruszenia, gdy ukloniła się sojusznikom, zebranych przez jej królową. Wówczas do namiotu wszedł wysoki, ciemnowłosy młodzieniec, który omiół zebranych spojrzeniem szarych oczu. Otworzył je szerzej, zaskoczony widokiem Aelin, a potem zerknął na Aediona, jakby szukał potwierdzenia. Zauważył zarówno złociste włosy, jak i oczy Ashryverów, po czym pobladł.

- O co chodzi, Nox? - warknął Darrow.

Posłaniec wyprostował się i podbiegł do lorda, by wyszeptać mu coś do ucha.

- Wezwij go - odparł starzec.

Nox wyszedł, poruszając się z wdziękiem pomimo wzrostu. Do środka wszedł nieco niższy człowiek o bladej karnacji.

Darrow wyciągnął rękę po list.

- Masz wiadomość z Eldrys?

Lysandra wyczuła obcego w tej samej chwili co Aedion. Na ułamek sekundy przed tym, jak ten uśmiechnął się i rzekł:

- Erawan przesyła pozdrowienia.

I cisnął podmuchem czarnego wiatru prosto w nią.

Lysandra zrobiła unik, ale nie była na tyle szybka, by uskoczyć przed podmuchem obcej mocy, która rozorała jej ramię.

Padła na ziemię i przetoczyła się, tak jak nauczył ją Arobynn. Aedion jednakże w sekundę znalazł się przed nią i dobył miecza, by bronić swej królowej. Błysnęło światło i powiało chłodem – bez wątpienia do walki włączyli się Enda i Sellene – a posłaniec z Morath wylądował na kolanach. Jego ciemna moc odbijała się od niewidzialnej bariery, uformowanej z lodowatego wiatru.

Wszyscy cofnęli się bez słowa, załśniły dobywane miecze. Ilias i Ansel zbliżali się już do powalonego przybysza, celując w niego ostrzami. Oboje przybrali identyczne postawy, co było najlepszym dowodem na to, że szkolili ich ten sam mistrz, pod tym samym prążącym słońcem, ale nawet na siebie nie spojrzeli.

Ren, Sol i Ravi – młody, dopiero rodzący się dwór – otoczyli Lysandrę w ciele Aelin, gotowi walczyć na śmierć i życie o swą królową. Starsi lordowie, potykając się, stłoczyli się za stołem, a ich pomarszczone twarze powlekła bladość. Galan Ashryver jako jedyny skoczył ku wejściu, bez wątpienia chcąc odciąć drogę zabójcy, gdyby ten zamierzał rzucić się do ucieczki. Było to śmiałe posunięcie i raczej niemądre, zważywszy na to, kto klęczał w sercu namiotu.

– Nikt nie wyczuł tego Valga? – zapytał ostro Aedion, po czym złapał Lysandrę za zdrowe ramię i podniósł ją jednym szarpnięciem.

Obcy nie nosił naszyjnika, nie miał też żadnego pierścienia na nagich, bladych palcach. Lysandrze przewróciło się w żołądku, gdy zacisnęła dłoń na pulsującej bólem ranie na ramieniu. Wiedziała, co biło w piersi zatrzymanego mężczyzny – serce z żelaza i Kamienia Wyrda.

Posłaniec zaśmiał się.

– Uciekajcie do zamku – wysyczał. – My...

Naraz wciągnął powietrze nosem i spojrział prosto na Lysandrę, na krew spływającą po jej lewej ręce i wnিকającą w znoszoną, błękitną

tunikę Aelin. Otworzył szerzej oczy, jednocześnie zaskoczony i zachwycony. Jego usta bezgłośnie wypowiedziały słowo: „zmiennokształtna”.

– Zabijcie go! – rozkazała Lysandra srebrnowłosym Fae. Jej serce biło jak młot.

Nikt nie ośmielił się powiedzieć jej, by spaliła go sama.

Endymion uniósł dłoń i człowiek opętany przez Valga zaczął się krztusić. Jego źrenice wnet uciekły w tył głowy, a w ciało wstąpiła śmierć, ale najwyraźniej dzięki możliwościom dawanym przez obsydianowe naszyjniki zdołał przekazać Erawanowi wiadomość, która mogła ich zgubić.

Aelin Galathynius nie było wśród buntowników.

– Dość już tego! – warknął Aedion, a na jego twarzy pojawił się prawdziwy lęk, gdy i on uzmysłowił sobie, co posłaniec właśnie przekazał swemu panu. Miecz Orynthu błysnął, buchnęła czarna krew, a głowa mężczyzny padła na pokrytą dywanami ziemię.

Zapadła cisza. Lysandra, dysząc ciężko, uniosła dłoń i spojrzała na ranę. Nie była głęboka, ale mogła jej przeszkadzać przez parę godzin.

Ansel z Briarcliff wsunęła do pochwy miecz zwieńczony wilczym łbem i złapała Lysandrę za rękę. Odrzuciła rude włosy i przyjrzała się ranie, a potem spojrzała na trupa.

– Paskudne małe dranie, co?

Aelin z pewnością znalazłaby jakąś buńczuczną ripostę, która wywołałaby śmiech wśród zebranych, ale Lysandra nie mogła nic wymyślić. Pokiwała jedynie głową, wpatrując się w ciemną plamę na dywanie. Fae krzywili się z każdym oddechem.

– Posprzątajcie ten bałagan – odezwał się Darrow, nie kierując swych słów do nikogo. Jego dłonie lekko drżały.

Stojący przy wejściu Nox wpatrywał się w bezgłowego Valga. Jego szare oczy odnalazły wzrok Lysandry, po czym były złodziej pochylił głowę.

– Nie miał pierścienia – wymamrotał.

Aedion ujął skraj obrusa, który narzucono na stół z przekąskami, i wytarł miecz.

– Bo go nie potrzebował – rzekł.

Erawan wiedział, że Aelin nie było wśród nich. Że jej miejsce zajęła zmiennokształtna.

Aedion szedł przez obóz, a Lysandra, wciąż pod postacią Aelin, deptała mu po piętach.

– Wiem – rzucił przez ramię, po raz pierwszy w życiu ignorując wojowników, którzy oddawali mu salut.

Lysandra mimo wszystko nadal szła za nim.

– Co teraz pocniemy? – spytała.

Aedion zatrzymał się dopiero we własnym namiocie. Nadal czuł smród tego Valga, a przed oczami widział bicz mroku, mknący ku Lysandrze. Nadal słyszał jej okrzyk bólu. Emocje szalały w jego sercu, z wyciem szukając drogi ujścia.

Lysandra weszła w ślad za nim do namiotu.

– Co teraz pocniemy? – powtórzyła.

– Zacznijmy może od tego, że upewnimy się, iż w obozie nie ma żadnych innych „posłańców” – warknął Aedion, krążąc niespokojnie.

Książęta Fae już przekazali rozkaz dalej i rozesłali swoich najlepszych zwiadowców.

– On wie – szepnęła.

Aedion odwrócił się ku niej. Ujrzał, że Lysandra – nie jego kuzynka, choć był dziś świadkiem bardzo przekonującego przedstawienia, lepszego niż zazwyczaj – drży.

– On wie, czym jestem.

Aedion potarł twarz.

– I chyba wie, że zmierzamy do Orynthu. I dokładnie tego chce.

Opadła na pryczę, jakby kolana nie mogły już utrzymać jej ciężaru. Przez moment pokusa, by usiąść obok niej i przyciągnąć ją do siebie, była tak silna, że Aedion niemal jej uległ. W powietrzu rozchodził się zapach jej krwi, któremu towarzyszyła typowa dla niej woń, osobliwa, mająca wiele obliczy. Niczym prawdziwa dłoń przesunęła się zmysłowo po jego skórze, co spotęgowało jego wściekłość do tego

stopnia, iż gotów był zabić pierwszego mężczyznę, który wejdzie do namiotu.

– Erawana ta wiadomość może zaniepokoić – rzekł, gdy odzyskał panowanie nad sobą. – Może zacząć się zastanawiać, dlaczego jej tu nie ma i czy nie planuje czegoś, co go zaboli. Może go to skłonić do odsłonięcia kart.

– Bądź do uderzenia na nas pełnymi siłami, póki jesteśmy słabi.

– Zobaczymy.

– Orynth czeka rzeź – szepnęła Lysandra i skuliła się pod brzemieniem tej świadomości. Była nie tylko kobietą, którą los cisnął w sam środek konfliktu, ale również kobietą odgrywającą rolę innej. Mogła udawać, ale do pewnego momentu. Bo nie miała mocy, które mogły powstrzymać maszerujące na północ hordy. Mimo to nadal była gotowa dźwigać swe brzemie, dla Aelin i dla tego królestwa.

Tak, okłamała go, ale nadal chciała dźwigać ten ciężar na swoich barkach.

Aedion usiadł ciężko obok niej i wbił wzrok w ściany.

– Nie udamy się do Orynthu – rzekł.

Uniosła głowę. Nie z powodu tego, co powiedział, ale przez to, jak blisko usiadł.

– A dokąd?

Aedion przyjrzał się swej zbroi, wyczyszczonej i naoliwionej, zawieszanej na manekinie po drugiej stronie namiotu.

– Sol i Ravi poprowadzą część swych sił w stronę wybrzeża, żebyśmy ponownie nie zostali zaatakowani od morza. Spotkają się tam z resztą floty Wendlyn, choć Galan i jego ludzie pozostaną z nami. Ruszymy jako jedna armia w stronę granicy.

– Lordowie głosowali przeciwko takiemu rozwiązaniu – rzekła Lysandra.

„Starzy głupcy!” – pomyślała.

Tymczasem Aedion balansował na skraju zdrady przez całą dekadę i uczynił z tego swoistą sztukę. Teraz uśmiechnął się lekko i oznajmił:

– Zostaw to mnie.

Zguba była lojalna tylko wobec Aelin Galathynius, podobnie jak pozostali sojusznicy, a także oddziały Rena Allsbrooka oraz Raviego i Sola z Surii.

Wszystko wskazywało na to, że Nox Owen również był gotów dochować Aelin wierności.

Tymczasem to właśnie Lysandra, a nie Aedion, umożliwiła im ucieczkę.

Wracała do swego namiotu – do namiotu Aelin, bardziej nadającego się dla zwykłego oficera niż dla królowej – gdy zrównał się z nią Nox. Szedł bezszelestnie, z gracją. Widać było, że został znakomicie wyszkolony i przypuszczalnie był groźniejszym przeciwnikiem, niż powszechnie sądzono.

– A więc Erawan wie, że nie jesteś Aelin.

Lysandra odwróciła głowę ku niemu.

– Co? – warknęła, by zyskać nieco na czasie. Czyżby Aedion zaryzykował i zdradził mu prawdę?

Nox uśmiechnął się lekko.

– Domyśliłem się, gdy ujrzałem zaskoczenie na twarzy tego demona.

– Mylisz się.

– Doprawdy? A może w ogóle już mnie nie pamiętasz?

Lysandra zrobiła wszystko, co było w jej mocy, by spojrzeć na złodzieja-posłańca z góry, choć ten był od niej o wiele wyższy. Aelin nigdy jej nie wspomniała o człowieku zwanym się Nox Owen.

– A czemu miałabym pamiętać jednego z lokajów Darrowa?

– Daruj sobie. Celaena Sardothien wydawała się nieco bardziej rozbawiona, gdy rąbała ludzi na plasterki.

A więc wiedział, kim była Aelin i co robiła wcześniej.

Lysandra nie odezwała się ani słowem i nadal szła w stronę namiotu. Gdyby powiedziała o tym Aedionowi, jak szybko ów Nox znalazłby się w mogile pod zamarzniętą ziemią?

– Twój sekret jest bezpieczny – mruknął Nox. – Celaena,

a właściwie Aelin, była moją przyjaciółką. Mam nadzieję, że nadal nią jest.

– Skąd ją znasz? – Lysandra postanowiła, że nie ujawni nic poza swoją rolą w tej intrydze.

– Współzawodniczyliśmy w turnieju w szklanym zamku – parsknął Nox. – Dopiero dziś się zorientowałem, że Celaena i Aelin to jedna osoba. Na bogów, minister Joval wysłał mnie, bym szpiegował dla buntowników. Po raz pierwszy w życiu wyjechałem z Perranthu i nie mając o niczym pojęcia, rozpocząłem trening z moją własną królową! – Zaśmiał się cicho, zaskoczony i zdumiony. – Od wielu lat pracuję dla buntowników, robiłem to nawet jako złodziej. Chcieli, bym był ich człowiekiem w zamku i spróbował rozgryźć plany króla. Donosiłem im o wszystkich dziwnych wydarzeniach, aż stało się to zbyt niebezpieczne. Aż Cel... Aelin kazała mi uciekać. Posłuchałem jej i wróciłem tu. Po śmierci Jovala, który padł wiosną w potyczce z bandą buntowników niedaleko granicy, wpadłem w oko Darrowowi, który uczynił mnie swoim szpiegiem i posłańcem. I tak oto trafiłem tutaj. – Zerknął na nią, wciąż zaskoczony. – Jestem do twojej dyspozycji, choć ty... Choć nie jesteś nią. – Przechylił głowę. – Kim właściwie jesteś?

– Aelin.

– No dobra. – Nox uśmiechnął się lekko.

Lysandra zatrzymała się przed niewielkim namiotem królowej, wciśniętym między namioty Rena a Aediona.

– Ile będzie mnie kosztowało twoje milczenie? A może Darrow wie już o wszystkim?

– A po co miałbym mu mówić? Nie od dziś służę Terrasenowi i rodowi Galathyniusów.

– Ludzie mogliby uznać, że Darrow, zważywszy na swe układy z Orlonem, może mieć roszczenia co do tronu.

– Dziś zrozumiałem, że zabójczyni, którą kiedyś darzyłem przyjaźnią, to tak naprawdę królowa, którą uważałem za martwą. Myślę, że bogowie popychają mnie w określonym kierunku, nie sądzisz?

Lysandra zawahała się przy wejściu. Ze środka wabiło ją rozkoszne

ciepło.

- A gdybym ci powiedziała, że potrzebujemy twojej pomocy? I że jeśli się zgodzisz, możesz zostać okrzyknięty zdrajcą?

Nox uklonił się.

- Odparłbym, że jestem winien mojej przyjaciółce Celaenie przysługę za to, że ostrzegła mnie w szklanym zamku, bym w porę mógł ujść z życiem.

Lysandra nie miała pojęcia, dlaczego mu od razu zaufała, ale przecucia co do mężczyzn od pewnego czasu jej nie zawodziły. Szczerość Noxa Owena nie była udawana. Młodzieniec nie kłamał. Była pewna, że to kolejny sojusznik, którego pozyskała Aelin, choć tym razem nieświadomie. Wiedziała też, że Aedion zgodzi się na jej pomysł, nawet jeśli nadal czuł do niej nienawiść.

Pochyliła się więc ku Noxowi i wyszeptała:

- Posłuchaj mnie uważnie.

Zadanie zostało wykonane cicho i bez śladu, a każdy element skomplikowanej intrygi zadziałał idealnie, jakby sami bogowie im pomogli.

Podczas obiadu lordowie Darrow, Sloane, Gunnar i Ironwood raczyli się winem, które Nox Owen ofiarował im w ramach przeprosin za to, że wpuścił do namiotu Valga. Wino zostało wcześniej zaprawione trucizną, silną na tyle, by uśpić całą czwórkę na długo.

- Nawet ryk niedźwiedzia nie wyrwałby tego dziada ze snu! – oznajmiła Ansel, która stanęła nad pryczą Gunnara, ujęła jego bezwładne ramię i je wypuściła.

Ten nawet nie drgnął, a Lysandra, która wkradła się do namiotu pod postacią polnej myszy, uznała to za wystarczający dowód.

Przyboczni czterech lordów również spali smacznie tej nocy dzięki flaszkom wina, rozdawanym przy ich ogniskach nakazem Galana, Iliasa, Rena i Raviego.

Gdy obudzili się o świcie następnego dnia, ujrzeli jedynie śnieżycę.

Obóz znikł, a armia wraz z nim.

18.

Nikt w Anielle ani też w twierdzy z szarego kamienia, wznoszącej się na południe od miasta, nie ogłosił krzykiem alarmu, gdy z nieba opadł ruk i usiadł na blankach. Jeden ze strażników skoczył w głąb ciemnego korytarza, a pozostali dobyli broni i wymierzili ją w Chaola i Yrene, ześlizgujących się z potężnego ptaka.

Zimno otwartego oceanu było doprawdy błahostką w porównaniu z lodowatymi wichrami, nadciągającymi od ściany gór, u stóp których znajdowało się miasto, bądź przejmującym chłodem bijącym od ogromnego Srebrnego Jeziora, tak płaskiego, iż przywodziło na myśl wielkie lustro pod szarym niebem.

Yrene była pewna, że układ ulic Anielle był Chaolowi znany równie dobrze jak własne ciało, a dzięki urywkom wspomnień, które dojrzała w jego duszy, oraz temu, co jej mówił przez ostatnie miesiące, wiedziała, że szare dachówki zostały wycięte z kamieni wydobywanych w kamieniołomach na południu, a drewno na ściany pozyskiwano z Dębowej Puszczy, wyrastającej na skraju równiny na południe od jeziora. Z masywnego, wijącego się łańcucha Kłów odłączyło się, przypominające ramię, niższe, najeżone ostrymi szczytami pasmo, które docierało do miasta oraz jeziora. Na jałowych zboczach wspierała się twierdza rodu Westfall, pnąca się w górę poziom po poziomie. Jej najniższa brama otwierała się na śnieżną równinę, a bramy na wyższych poziomach łączyły się z miastem, ciągnącym się po lewej stronie. Wysokie mury oraz liczne bramy i poziomy świadczyły o tym, że twierdza powstała po to, by wytrzymać długotrwały napór wroga. W istocie, szare kamienie nosiły blizny po niejednym zwycięsko przetrzymanym oblężeniu, jakby sama forteca była równie trwała i niezniszczalna jak otaczające ją góry.

Twierdza Anielle była budzącym grozę, nieznającym litości, potężnym miejscem. Chaol opowiadał, że nie wzniesiono jej z myślą o pięknie czy przyjemnościach. Na jej murach nie łopotwały barwne proporce, a wiatr nie niósł tu zapachów przypraw. Czuć było tylko chłód i wilgoć.

Yrene wiedziała, że z najwyższych, pokrytych porostami wież można było śledzić każdy ruch na jeziorze i równinie, w mieście i w lesie, a nawet na zboczach Kłów. Ileż godzin jej mąż spędził na wieży, patrząc ku Rifthold i marząc o tym, by opuścić to zimne, mroczne miejsce?

Chaol stał blisko Yrene. Trzymając głowę wysoko, oznajmił tuzinowi strażników z nagimi mieczami, iż jest lordem Chaolem Westfallem i chce się zobaczyć z ojcem. Natychmiast. Nigdy dotąd nie słyszała, by przemawiał takim głosem. Słyszała w nim inny rodzaj autorytetu. To był głos lorda.

To zaś oznaczało, że ona jest damą, nawet jeśli lot zmusił ją do rezygnacji z sukni na rzecz skórzanego stroju, a jej zaplecione w warkocze włosy były teraz tak splątane, że będzie potrzebowała długich godzin, by doprowadzić je do porządku.

W milczeniu czekali na murach. Chaol nakrył jej rękę dłonią w rękawiczce. Wiatr targał futrem kołnierza jego ciężkiego, grubego płaszcza. Twarz nie zdradzała nic poza ponurą determinacją, ale dłoń zaciśnięta na jej palcach... Wiedziała, czym był dla niego powrót do domu. Wiedziała, że nigdy nie zapomni chwili, gdy ojciec zrzucił go z kamiennych schodów. Do dziś Chaol nosił na głowie bliznę, która była pamiątką po tym upadku. Był wtedy tylko dzieckiem. Jego ojciec zepchnął ze schodów chłopca i zmusił go, by pokonał pieszo drogę do Rifthold.

Yrene wątpiła, by przy bliższym poznaniu jej teść zrobił na niej lepsze wrażenie, tym bardziej że naraz pojawił się wychudły człowiek w szarej tunice i rzekł:

- Tędy.

Żadnego tytułu, żadnych uprzejmości ani słów powitania.

Yrene zacisnęła dłoń, oplecioną wokół palców Chaola. Przybyli, by ostrzec mieszkańców tego miasta, a nie łajdaka, który pozostawił głębokie blizny na duszy jej męża. Ci ludzie zasługiwali na to, by ocalono im życie.

Yrene powtarzała sobie te fakty, gdy weszli do mrocznego wnętrza twierdzy. Wysoki, wąski korytarz nie prezentował się wcale lepiej niż to, co ujrzała na zewnątrz. Smukłe okna, umieszczone wysoko nad podłogą, nie wpuszczały wiele światła, a przerdzewiały kosze

z ogniem rzucały na ściany migotliwe cienie. Tu i ówdzie wisały wyświechtane, stare gobeliny. Nie powitały ich żadne odgłosy. Yrene nie słyszała muzyki, śmiechu czy rozmów, dobiegających z wnętrza zamku.

Czy ta zimna, wilgotna, pełna przeciągów twierdza naprawdę była domem Chaola? W porównaniu z pałacem kagana była istną rudera, która nie nadawała się nawet na gniazdowisko ruków.

Chaol bez wątpienia odczytał niepokój na jej twarzy, gdyż mruknął cicho, by nie usłyszał ich przewodnik:

– Mój ojciec nie widzi sensu w wydawaniu pieniędzy na naprawy czy usprawnienia. Dopóki coś się nie zawali, dopóty nie jest zepsute.

Yrene próbowała się uśmiechnąć, słysząc, jak Chaol próbuje żartować. Zrobiła to dla niego, choć z każdym kolejnym krokiem po korytarzu burza emocji w jej sercu przybierała na sile. W końcu ich milczący przewodnik zatrzymał się przed podwójnymi drzwiami z dębowego drewna, równie starymi i przegniłymi jak sama twierdza, po czym zapukał.

– Wejść.

Yrene wyczuła drzenie, które przeszło ciało Chaola, gdy usłyszeli zimny, wyrachowany ton głosu. Drzwi uchylły się i ujrzała ciemną salę z rzędami kolumn. Jej półmrok przeszływały pasma rozmytego światła.

Wyglądało na to, że na inne powitanie nie mają co liczyć, bo mężczyzna siedzący na honorowym miejscu przy długim, drewnianym stole, mogącym pomieścić i czterdziestu biesiadników, nawet się nie podniósł.

Ich kroki niosły się echem. Ogromny kominek po lewej stronie, w którym szalały wściekle płomienie, nie był w stanie przegnać panującego tu niepodzielnie zimna. Na ławie przed lordem Anielle stał puchar, wypełniony najwyraźniej winem, a obok niego leżały resztki wieczornego posiłku. Przy mężczyźnie nie było jego żony ani drugiego syna. Ale twarz... Yrene wiedziała, że za kilka dekad Chaol tak właśnie będzie wyglądał. Czy raczej tak by wyglądał, gdyby stał się człowiekiem równie zimnym i bezdusznym.

Nie miała pojęcia, jak Chaol zdołał pochylić głowę i się uklonić.

- Witaj, ojciec – rzekł.

Do chwili, gdy znalazł się tu z Yrene, Chaol nigdy nie wstydził się fortecy. Nigdy dotąd nie zdawał sobie sprawy z tego, jak bardzo wymagała napraw i jak bardzo była zaniedbana. Na samą myśl o żonie, pełnej światła i ciepła, w tym ponurym miejscu miał ochotę odwrócić się, wskoczyć na rękę i uciec na wybrzeże.

Patrząc na tkwiącego wśród resztek wieczerzy ojca, który nawet nie powstał na ich powitanie, poczuł, jak wzbiera w nim gniew.

Podbity futrem płaszcz ojca spływał na podłogę. Ileż to razy Chaol widział, jak mężczyzna zasiadał u szczytu tego stołu, przy którym ongiś goszczono najzaciewniejszych lordów i wojowników Adarlanu? Teraz sala była pusta. Przypominała skorupę bez życia.

- A więc chodzisz. – Ojciec omiół go spojrzeniem od stóp do głów. Uważnie przyjrzał się ręce Chaola, nadal zaciśniętej na dłoni Yrene, a ten postanowił, że lada moment przedstawi mu prawdę, ale robi to w chwili, gdy ta zaboli ojca najbardziej. – Ponoć do niedawna nie byłeś nawet w stanie poruszyć palcami u nóg.

- Zawdzięczam to tej kobiecie – rzekł Chaol.

Yrene wpatrywała się w jego ojca z wrogością, jakiej nigdy dotąd u niej nie widział, zupełnie jakby chciała sprawić, by jego organy wewnętrzne zgniły.

Chaol nabrał odwagi i dodał:

- To moja żona. Lady Yrene Towers Westfall.

Twarz ojca na krótką chwilę rozjaśniło zaskoczenie. Na bardzo krótką chwilę.

- A więc to uzdrowicielka – rzekł zadumany, przyglądając się Yrene z intensywnością, od której Chaol nabrał ochoty, by coś rozwalić. – Nigdy nie słyszałem, by Towers byli szlacheckim rodem.

Co za beznadziejny łajdak.

Yrene uniosła wyżej podbródek.

- Zapewne masz rację, panie, ale moi przodkowie byli zacnymi ludźmi i nie mam powodu, by się za nich wstydzić.

- Przynajmniej umie zwracać się z szacunkiem – oznajmił lord Westfall i upił łyk wina.

Chaol zacisnął dłonie tak mocno, że skóra rękawiczki zaskrzypiała.

- Lepiej niż ta druga. Ta bezczelna zabójczyni.

Yrene wiedziała o wszystkim. Znała całą historię i wiedziała, czyj list nosi w naszyjniku, ale nie załagodziło to ciosu, tym bardziej że stary lord dodał:

- Która, jak się okazało, jest królową Terrasenu. – Roześmiał się bez wesołości. – Niezłą zdobycz byś złowił, synu, gdybyś zdołał ją zatrzymać przy sobie.

- Yrene jest najwybitniejszą uzdrowicielką w swoim pokoleniu – odparł Chaol z zabójczym spokojem. – A to więcej niż jakakolwiek korona.

Zwłaszcza podczas tej wojny.

- Nie zawracaj sobie głowy udowadnianiem mu mojej wartości – odparła Yrene. Nadal wbijała lodowate spojrzenie w starego lorda Westfalla. – Znam doskonale swoje możliwości i nie potrzeba mi jego błogosławieństwa.

Każde słowo zostało wypowiedziane z pełną powagą.

Ojciec Chaola ponownie obrzucił ją wyniosłym spojrzeniem, w którym na moment błysnęła ciekawość.

Gdyby zapytano Chaola, choćby chwilę temu, jak jego zdaniem będzie wyglądać to spotkanie, nie przyszłoby mu nawet do głowy, że Yrene nie da się zastraszyć ojcu i za każdym razem znajdzie ripostę na jego zgryźliwe uwagi.

Starzec rozparł się.

- Nie przybyłeś tu chyba po to, by wreszcie wypełnić daną mi obietnicę, co?

- Ta obietnica została złamana i za to przepraszam – zdołał wykrztusić Chaol.

Yrene najeżyła się, ale nim zdążyła powiedzieć mężowi, by darował sobie pokorny ton, ten podjął wypowiedź:

- Przybyliśmy, by cię ostrzec.

Ojciec uniósł brew.

– Morath już ruszył siły, tyle wiem. Podjąłem środki ostrożności i przeniosłem twą ukochaną matkę oraz brata w góry.

– Morath w istocie się ruszył – odparł Chaol, usiłując zdusić w sobie rozczarowanie na wieść, że nie spotka się z tymi, których najbardziej chciał zobaczyć. – I zmierza tutaj.

Jego ojciec po raz pierwszy znieruchomiał.

– Dziesięć tysięcy zbrojnych – dodał Chaol. – Zmierzają, by zniszczyć miasto.

Mógłby przysiąc, że ojciec pobladł.

– Jesteś tego pewien? – zapytał.

– Płynąłem na okręcie należącym do armady kagana, dysponującej między innymi legionem ruków. Takie wiadomości przynieśli ich zwiadowcy. *Rukhin* zresztą zmierzają już tu z odsieczą, ale armia lądowa, składająca się z żołnierzy Darghanów, dotrze dopiero za jakiś tydzień. – Zrobił krok do przodu. – Musisz zebrać swe siły i przygotować miasto do obrony. Natychmiast!

Jego ojciec jednakże obrócił winem w pucharze, ze zmarszczonymi brwiami przyglądając się zawartości.

– Nie ma tu żadnych wojsk – powiedział. – A już na pewno nie tyle, by w jakikolwiek sposób zagrozić dziesięciu tysiącom wojów.

– A więc rozpocznij ewakuację. Przesuń tyle ludzi, ile się da, do twierdzy i przygotuj się do odparcia oblężenia!

– O ile pamięć mnie nie myli, to ja jestem lordem Anielle. Ty bez skrupów odwróciłeś się od swego dziedzictwa. Dwukrotnie.

– Masz Terrina.

– On woli księgi. Czemu niby odesłałem go z twą matką, jakby był niemowlęciem? – parsknął ojciec. – A więc przybyłeś, by krwawić za Anielle? Wreszcie, co?

– Nie odzywaj się do niego w ten sposób – rzekła Yrene z niebezpiecznym chłodem.

Stary lord zignorował ją, ale wtedy dziewczyna zbliżyła się znów do Chaola.

- Jestem dziedziczką Najwyższej Uzdrawicielki z Torre Cesme. Na rozkaz twego syna przybyłam na kontynent, na którym przyszedł na świat, by pomóc w wysiłku wojennym. Stoję na czele dwóch setek uzdrawicielek z Torre. Twój syn przez ostatnich kilka miesięcy wykuwał sojusz z kaganatem, dzięki czemu wszystkie jego armie żeglują teraz na ten kontynent, by ocalić twój lud. Siedzisz w tej żalostnej twierdzy i obrzucasz go obelgami, a nie masz bladego pojęcia, że Chaol dokonał tego, czemu nie podołałby nikt inny, i jeśli twoje miasto przetrwa, będzie to jego zasługa, a nie twoja.

Stary lord zamrugał. Powoli.

Chaol ze wszystkich sił powstrzymał się przed przygarnięciem Yrene do piersi i ucałowaniem jej. Miał tego zwrócić się do ojca:

- Przygotuj się na oblężenie. W przeciwnym razie wody Srebrnego Jeziora znów poczerwienieją za sprawą bestii Erawana.

- Znam historię tego miasta równie dobrze jak ty.

Chaol miał ochotę zakończyć rozmowę w tym miejscu, ale mimo to zapytał:

- Czy to dlatego nie pokłoniłeś się Erawanowi?

- Królowi marionetce również nie zadeklarowałem lojalności – odparł starzec i zaczął skubać jedzenie.

- Marionetce? A więc wiedziałeś? Wiedziałeś, że stary król został opętany przez Valgów?

Ojciec zacisnął palce na skórce czerstwego chleba, co stanowiło jedyny dowód jego zaskoczenia.

- Nie. Wiedziałem tylko, że tworzy wszędzie oddziały, które nie do końca wydawały się czymś... Cóż, czymś naturalnym. Bez względu na to, co o mnie myślisz, nie jestem królewskim chłopcem na posyłki. – Ponownie opuścił rękę. – Próbowałem cię stamtąd wyciągnąć, ale oczywiście moje starania doprowadziły do tego, że jeszcze bardziej zbliżyłeś się do niebezpieczeństwa.

- Po co zwracałeś sobie głowę?

- To, co powiedziałem w Rifthold, było prawdą od początku do końca. Twój brat Terrin to nie wojownik. Nie ma duszy wojownika. Byłem już podówczas świadom tego, co powstawało w Morath i na Elfiej Przełęczy. Chciałem, by mój najstarszy syn wrócił do Anielle

i podniósł miecz, gdy sam padnę. I oto wracasz, ale w chwili, gdy cień Morath otoczył nas już zewsząd.

– Nie zewsząd. – Chaol wskazał gestem Białe Kły, ledwie widoczne przez wysokie okna. – Podobno Erawan przez ostatnie miesiące nękał i wyniszczał dzikie plemiona Kłów. Jeśli brakuje ci żołnierzy, możesz wezwać ich na pomoc.

Jego ojciec zacisnął mocno usta.

– To na wpół dzicy nomadzi, którzy uwielbiają mordować naszych rodaków.

– Tak jak my lubiliśmy zabijać ich. Niech Erawan nas zjednoczy!

– A co mam im zaoferować? Przecież te góry należą do nas od czasu, gdy na tronie zasiadał Gavin Havilliard.

– Daj im cholerny księżyc, jeśli to miałyby ich przekonać! – mruknęła Yrene.

– Jesteś w stanie składać takie obietnice jako dziedziczka Najwyższej Uzdrowicielki? – Stary lord uśmiechnął się krzywo.

– Uważaj na to, co mówisz – warknął Chaol.

Jego ojciec zignorował również i te słowa.

– Miałbym oddać dzikim plemionom z gór choćby skrawek ziem Anielle? Miałbym ich prosić o pomoc? Już wolałbym, by zatknięto moją głowę na włóczni.

– Mam nadzieję, że twoi poddani zgodzą się z tym pomysłem – rzekła Yrene.

Starzec znów zaśmiał się bez wesołości.

– Chyba lubię cię bardziej od tej królowej zabójczyni. Być może dobrze zrobiłeś, Chaolu, że wzięłeś sobie żonę z pospólstwa. Może dzięki temu ród odzyska krzepę.

Młody lord poczuł, jak krew huczy mu za uszami, ale Yrene tylko się uśmiechnęła.

– Jesteś dokładnie taki, jak sobie ciebie wyobrażałam – powiedziała, a stary lord pochylił głowę.

– Przygotuj miasto i twierdzę do obrony – wycodził Chaol przez zaciśnięte zęby. – Albo zasłużysz sobie na każde nieszczęście, które

szykuje ci los.

Kwadrans później, gdy weszli do niewielkiej, choć ciepłej komnaty przydzielonej im jako sypialnia, Chaol czuł, że Yrene nadal drży. Komnata była jednym z nielicznych przytulnych miejsc w twierdzy. Większość przestrzeni zajmowało łóżko oraz stolik z lekko przerdzewiałą misą, obok której stał dzban z parującą wodą.

Nie tak powinno się podejmować lordowskiego syna. Chaol ze wszystkich sił próbował odepchnąć poczucie wstydu.

– Nie zapominaj, że zostałem wydziedziczony – rzekł, oparłszy się o zamknięte drzwi. Bagaż zrzucił na podłogę. – To komnata przeznaczona dla gości.

– Jestem pewna, że ojciec wybrał ją specjalnie dla ciebie.

– Nie ma co do tego wątpliwości.

– Jest gorszy, niż opowiadałeś – warknęła Yrene.

Chaol obdarzył ją lekkim, znużonym uśmiechem.

– Za to ty byłaś wspaniała.

„Więcej niż wspaniała” – pomyślał.

Przynajmniej ojciec zgodził się rozpocząć ewakuację ludzi mieszkających na obrzeżach miasta. Gdy dwójka przybyszów dotarła do przydzielonej im komnaty, w zamku zawrzało. Jeśli stary lord potrzebował pomocy w planowaniu czegokolwiek, nie dał tego po sobie poznać, a Chaol uznał, że jutro przekona się na własne oczy, co jego ojciec wymyślił. Teraz jednakże, po niemal dwóch dniach lotu w mroźnej aurze, potrzebował tylko odpoczynku. A jego żona, choć dzielna i nieustraszona, także musiała odespać trudy, bez względu na to, czy chciała się do tego przyznać, czy też nie.

Chaol odepchnął się więc od drzwi i podszedł do Yrene, która krążyła niespokojnie przed łóżkiem.

– Przykro mi z powodu tego, co od niego usłyszałaś – rzekł.

Machnęła ręką.

- To mnie jest przykro, że musiałeś znosić tego człowieka tak długo. Ja ledwie wytrzymałam tę rozmowę.

Choć groził im straszny los, a Anielle nadal władał straszliwy łajdak, patrząc na wybuch Yrene, Chaol poczuł, jak coś rozgrzewa mu serce do tego stopnia, że złapał żonę za rękę i musnął kciukiem obrączkę.

- Szkoda, że zamiast ojca nie poznałaś mojej matki – powiedział cicho.

Zaciekłość w jej oczach przygasła.

- Też tego żałuję – rzekła i uśmiechnęła się. – Choć jestem zaskoczona, że twój ojciec dba o nich na tyle, że odesłał ich w bezpieczne miejsce, gdy tylko pojawiły się plotki o zagrożeniu.

- Oni są dla niego jak część inwentarza. Nie zdziwiłbym się, gdyby odesłał ich z lwią częścią skarbcza.

Yrene rozejrzała się dookoła z powątpiewaniem.

- Anielle to jedna z najbogatszych prowincji Adarlanu, choć wygląd twierdzy na to nie wskazuje. – Chaol ucałował kłykcie żony oraz obrączkę. – W katakumbach znajdują się komnaty pełne bogactw. Złoto, klejnoty, zbroje... Ponoć ojciec zgromadził tam skarby godne króla.

Yrene mruknęła z podziwem i rzekła:

- Mogłam powiedzieć Sartaqowi i Nesryn, by zabrali więcej niż pięćdziesiąt uzdrowicieli.

Ustalono, że Hafiza pojedzie z armią lądową, a Eretia, jej zastępczyni, poleci na ruku, by dowodzić grupą.

- Damy sobie radę z tym, co mamy. Nie sądzę, by jeszcze godzinę temu w tym mieście była choć jedna uzdrowicielka władająca magią.

Yrene przełknęła ślinę.

- Czy ta twierdza zdoła wytrzymać oblężenie, nim dotrze tu armia lądowa? Mam wrażenie, że nie wytrzymałaby kolejnej zimy nawet bez wrogiej armii pod murami.

- Cóż, forteca Anielle stoi od ponad tysiąca lat. Wytrzymała atak drugiej armii Erawana, choć tej udało się splądrować miasto. Trzecią też zniesie.

- Dokąd udadzą się ewakuowani ludzie? Przecież góry toną już w śniegu.

- Miejscowi znają drogę przez przełęcze. Nie są bezpieczne, ale jeśli uchodźcy będą się trzymać blisko siebie i wezmą odpowiednio dużo zapasów, zdołają przedostać się na Pustkowie.

Gdyby udali się na północ, wpadliby w śmiertelną pułapkę, bo Elfią Przełęcz nadal kontrolowały wiedźmy, a z kolei idąc na południe, dotarliby za blisko Morath. Wschód również odpadał, gdyż to stamtąd nadciągała wroga armia.

- Mogą się też ukryć w Dębowej Puszczy, niedaleko podnóża Kłów.
- Chaol pokręcił głową. - O tej porze roku nie ma wielu dogodnych rozwiązań.

- Spora część ludzi zginie po drodze – szepnęła Yrene.

- Ale w górach i tak mają większe szanse niż tutaj – odpowiedział Chaol, równie cicho. Mówili o ludziach, którzy nadal byli jego poddanymi i okazywali mu życzliwość, nawet jeśli jego ojciec nie miał jej w sobie za grosz. - Dopilnuję, by ojciec posłał z nimi żołnierzy, którzy są zbyt starzy, by walczyć. Oni na pewno pamiętają drogę.

- O ile dobrze kojarzę, pochodzę z pospólstwa – oznajmiła Yrene, a Chaol zachichotał. - Czekaając na przybycie naszych sił, mogłabym więc zająć się tymi, którzy zechcą zostać i zostaną wpuszczeni do twierdzy. Mogłabym znaleźć dla nich kwatery, zorganizować zapasy, poszukać innych uzdrowicielek, które być może mają dostęp do potrzebnych nam ziół i innych składników. Trzeba przygotować opatrunki...

Chaol pokiwał głową, czując dumę, która wypełniła mu pierś. Yrene w istocie nie pochodziła ze szlacheckiego rodu, ale mówiła i działała jak prawdziwa lady Westfall. Bardziej zasługiwała na ten tytuł niż jakakolwiek inna poznana przez niego dama dworu.

- A więc przygotujmy się na wojnę, mężu – rzekła Yrene, której oczy przepełniły smutek i zgroza.

I dopiero wtedy, widząc w niej okrucieństwo strachu nie o siebie, ale przed tym, z czym niebawem przyjdzie im się zetrzeć, Chaol wziął ją w ramiona, przytulił i położył na łóżku.

- Wojna może zacząć do jutra – powiedział i ją pocałował.

O świcie przybyły ruki.

Było ich tyle, że przesłoniły rozmazane słońce, a niebo przepełnił łoskot skrzydeł i szelest piór. Tym razem rozległy się krzyki mieszkańców Anielle, jakże ciche w porównaniu do wrzasków, które miały rozbrzmieć, gdy pojawi się wroga armia.

Ogromne ptaki wylądowały na obfitującej w gorące źródła równinie między południową ścianą fortecy a brzegiem jeziora. Od dawna nie wznoszono tam żadnych zabudowań, gdyż co roku miejsce to zalewały powodzie, ale kilku zawziętych gospodarzy nadal próbowało coś wyhodować na trudnej do uprawy glebie. Swego czasu równina była dnem jeziora, aż postawiono tamę, przegradzającą Zachodnie Wodospady w Białych Kłach. Ryczące kaskady zamieniły się w spokojne strugi, zasilające jezioro. Od wieków przodkowie Chaola zastanawiali się, czy nie zerwać tamy i ponownie nie uwolnić szalejących rzek, tym bardziej że budowane w dawnych czasach kuźnie ustąpiły już miejsca wodnym młynom, które można było bez trudu przenieść gdzieś indziej.

Niemniej usunięcie tamy spowodowałoby ogromne zniszczenia, nawet gdyby zaangażowano do pomocy wszystkich czarodziejów władających magią ognia. Cała równina w okamgnieniu zostałaby zalana. Spływająca z gór fala pochłonęłaby wszystko na swej drodze aż po skraj Dębowej Puszczy. Pod wodą znalazłaby się zarówno część miasta, jak i najniższy poziom twierdzy, który wychodził na samą równinę.

Tak więc oto tama pozostała, a trawa na równinie rosła bez przeszkód.

Ruki lądowały w równych szeregach, a Chaol i Yrene przyglądali się im z murów w towarzystwie wartowników, którzy zbiegli się wokół nich. *Rukhin* bez ociągania przystąpili do rozkładania obozowisk z wykorzystaniem wszystkich zasobów, jakie byli w stanie przewieźć na grzbietach ptaków. Uzdrowicielki miały dołączyć później, choć kilka z nich zamierzało pozostać w obozie do przybycia legionów Morath.

Dwa ciemne kształty przemknęły nad fortecą i wylądowały na skraju muru, rozpraszając zaskoczonych zbrojnych. Byli to Nesryn i Sartaq, obok których osiadł niewielki sokół. Falkan Ennar.

Nesryn zeskoczyła płynnie z ruka, choć jej twarz była ponura jak przedsiónek królestwa Hellasa.

– Siły Morath są trzy dni drogi stąd. Może cztery – wysapała.

Sartaq stanął obok niej.

– My trzymaliśmy się wysoko, poza zasięgiem wzroku, ale Falkan podleciał bliżej.

Zmiennokształtny siedział obok Salkhiego nadal pod postacią ptaka.

– Co ujrzałeś? – Yrene podeszła bliżej.

Nesryn pokręciła głową. Jej złocistobrązowa cera była zauważalnie bledsza.

– Valgowie i ludzie. Ale przemieszczają się szybko i robią nieprzyjemne wrażenie.

Chaol powstrzymał grymas.

– A więdźmy?

– Żadnych. – Sartaq przyglądził dłonią zaplecione w warkocz włosy.

– Choć mogą nadlecieć z Elfiej Przełęczu po przybyciu armii lądowej.

– Módlmy się, by tego nie zrobiły – powiedziała Yrene, wpatrując się w armię ruków.

Tysiąc ogromnych ptaków. Wydawały się być darem od bogów, niebywale licznym i potężnym, ale gdy wpatrywała się w nie, zgromadzone na równinie, uświadomiła sobie, że one również mogą zostać zmiecione przez wichry wojny.

Czy znasz opowieść o królowej, która wędrowała między światami?

Aelin, która zasiadała na utkanym z mchu kobiercu na starożytnej polanie i jedną ręką bawiła się rosnącymi wszędzie dookoła białymi kwiatkami, pokręciła głową. Między gałęziami ogromnych dębów, które splatały się nad nimi, migotały gwiazdy, które sprawiały wrażenie, jakby zostały pochwycone przez drzewa. Za nimi wznosił się księżyc w pełni, który zalewał las srebrnym blaskiem, na tyle jasnym, że rozpędzał ciemności. Ciepłe, letnie powietrze przynosiło zewsząd ciche śpiewy.

– To smutna historia – rzekła jej ciotka, a kącik jej umalowanych na czerwono ust uniósł się nieco. Siedziała wsparta o wielki głaz, jak zwykle podczas ich lekcji. Jak zwykle też ciszę nocy wzbogacały długie, kojące śpiewy. – I stara – dodała.

– Nie jestem już za duża na bajki? – Aelin uniosła brew.

Przecież trzy dni temu obchodziła uroczyście dwudzieste urodziny na polanie leżącej niedaleko stąd. Miała wrażenie, że na przyjęcie przybyła połowa Doranelle, a mimo to jej towarzysz życia znalazł jakiś sposób, by wyciągnąć ją z tłumu bawiących się i zaprowadzić do samotnego jeziora w sercu lasu. Wciąż robiło jej się ciepło na sercu, gdy wspominała kąpiel w opromienionej blaskiem księżyca wodzie. Wciąż myślała o uczuciach, które wzbudził w niej Rowan. O tym, jak ją czcił i ubóstwiał w rozgrzanym od słońca jeziorze.

„Towarzysz życia”.

To określenie nadal było dla niej zaskoczeniem. Równie wielkim była chwila pod koniec wiosny, gdy stanęła przed tronem ciotki, ujrzała go i uświadomiła sobie, że wszystko wie. A miesiące zalotów, które nastąpiły później... Aelin zarumieniła się na samo wspomnienie. To, co miało miejsce w leśnym jeziorze, stanowiło ich kulminację. Wyzwolenie. Ślady, które Rowan pozostawił na jej szyi, stanowiły najlepszy tego dowód. Z nadejściem jesieni miała wrócić do Terrasenu, jednak już nie sama.

– Nikt nie jest za duży ani za stary na bajki. – Ciotka uśmiechnęła

się szerzej. – Zresztą sama po części należysz do świata baśni i myślę, że powinnaś być nimi zainteresowana.

– No dobra, ciociu. – Aelin odpowiedziała uśmiechem i ukloniła się lekko. – Chętnie posłucham.

Słowo „ciociu” nie było do końca precyzyjne, gdyż rozdzielały je pokolenia i tysiąclecia, ale królowa sama podsunęła Aelin ten zwrot.

Usiadła teraz wygodniej.

– Dawno temu, gdy świat był jeszcze młody i nie było ludzkich królestw, gdy powierzchni ziem nie plugawiły żadne wojny, urodziła się młoda królowa.

Aelin założyła nogę na nogę i przechyliła głowę.

– Nie miała pojęcia, że jest królową. Wśród jej pobratymców władza nie była dziedziczona, lecz wrodzona. Dziewczyna dorastała, a jej moc potężniała wraz z nią, aż doszła do wniosku, że zamieszkiwana przez nią kraina jest za mała jak na jej rozrastającą się potęgę. Zbyt mroczna, zimna i ponura. Jej dary przypominały inne, znane wśród jej rodaków, ale były o wiele silniejsze, a jej magia stanowiła o wiele groźniejszą, bardziej złożoną broń. Lud młodej królowej zdawał sobie z tego sprawę i uznał jej władzę.

Wnet opowieści o jej darach rozeszły się po świecie i zjawili się trzej królowie, by prosić ją o rękę. By stworzyć sojusz między ich tronami. Młoda królowa z początku uznała to za ciekawą odmianę i wyzwanie, o którym zawsze marzyła. Trzej królowie byli braćmi, a każdy władał ogromną, przerażającą mocą. Dziewczyna wybrała najstarszego spośród nich, nie dlatego, że władał szczególną potęgą czy też zdobył jej serce urodą, ale dlatego, że dysponował niezliczonymi wprost bibliotekami. Młoda królowa pożyła wiedzy, a nie samego króla.

„Dziwna opowieść” – uznała Aelin i uniosła lekko brwi, ale ciotka ciągnęła:

– I tak oto wzięli ślub, a małe królestwo owej dziewczyny połączyło się z dominium jej męża. Przez jakiś czas królowa cieszyła się zarówno z męża, jak i z wiedzy, do której otrzymała dostęp. Jej mąż oraz jego dwaj bracia byli zdobywcami i spędzali sporo czasu na dalekich wyprawach, w trakcie których podbijali nowe tereny, po czym dołączali je do swego wspólnego władztwa. Królowa nie miała

nic przeciwko, gdyż to dawało jej czas na zdobywanie wiedzy. Nie zdawała sobie jednak sprawy z tego, na co natrafi w bibliotekach męża. Znalazła w niej mądrość ze światów, które już dawno temu obróciły się w pył. Odkryła, że poza jej ponurym, mrocznym władztwem, jeden obok drugiego, istnieją jeszcze inne światy, ale nieświadome swego istnienia. Światy, gdzie słońce nie było niewyraźną kulą pośród popielnych chmur, ale złocistym potokiem światła. Światy, gdzie istniała zieleń. Nigdy nie słyszała o takim kolorze. Zieleń. O błękitcie również nie miała pojęcia i nie potrafiła wyobrazić sobie nieba w takim kolorze.

– Cóż za żałosna egzystencja. – Aelin zmarszczyła brwi.

Maeve pokiwała głową z ponurą miną.

– Trudno się z tym nie zgodzić. Im dłużej królowa czytała o innych światach, opisanych przez dawno zmarłych podróżników, tym bardziej pragnęła je odwiedzić. Chciała dowiedzieć się, czym jest dotyk słońca na skórze. Chciała usłyszeć poranny świergot wróbli i krzyk mew znad morza. Ba, nie wiedziała nawet, czym jest morze. Nie potrafiła sobie wyobrazić bezkresnego bezmiaru wód, obdarzonego zmiennymi nastrojami i kryjącego w sobie prawdziwe głębiny. We własnym świecie widziała jedynie płytkie, zabagnione jeziora i na wpół wyschnięte strumienie. I tak oto, gdy jej mąż oraz dwaj bracia wyruszyli na kolejną wojnę, młoda królowa zaczęła się zastanawiać, jak odnaleźć drogę do jednego z tych światów. W jaki sposób opuścić swą ojczyznę.

– Czy to w ogóle możliwe? – spytała Aelin. Miała osobliwe wrażenie, jakby ta opowieść była w rzeczy samej prawdziwa, ale doszła do wniosku, że najprawdopodobniej słyszała całkiem podobną od mamy bądź od Marion.

– Okazało się, że tak. – Maeve pokiwała głową. – Ten, kto pozna język samego istnienia i tworzenia, może na moment otworzyć przejście między światami. Było to surowo zakazane, na długo nim jej mąż i bracia przyszli na świat. Gdy ostatni z podróżujących między światami umarł, przejścia, z których korzystali, zostały zapieczętowane, a sposoby ich używania uległy zapomnieniu. Tak przynajmniej sądzono. Młoda królowa jednakże, myszkując w osobistej bibliotece męża, natrafiła na prastare zaklęcia. Rozpoczęła od drobnych eksperymentów. Najpierw otworzyła przejście do królestwa odpoczynku, gdzie odnalazła jednego ze starożytnych

podróżników i zapytała go, jak należy prawidłowo przeprowadzać owe rytuały. – Maeve uśmiechnęła się znacząco. – Podróżnik odmówił, a więc królowa sama zaczęła się uczyć. Otwierała i zamykała przejścia dawno zatrzęsnięte bądź zapomniane. Zagłębiała coraz głębiej do innych tworów Kosmosu. Jej własny świat wydawał jej się teraz klatką. Miała już dość wojen swego męża oraz okrucieństwa, które było jego drugą naturą. Gdy jej mąż udał się na kolejną wyprawę, królowa zebrała swe najbliższe dwórki i służące, po czym otworzyła portal i opuściła świat, w którym się urodziła.

– Tak po prostu? – zdziwiła się Aelin. – Opuściła go i tyle? Na zawsze?

– To tak naprawdę nigdy nie był jej świat. Urodziła się po to, by władać innymi.

– Dokąd się udała?

Maeve uśmiechnęła się szerzej.

– Do pięknego, wspaniałego świata, w którym nie było wojen ani mroku. Do miejsca jakże innego od tego, w którym się wychowywała. Tam też została królową. Zdołała się ukryć w innym ciele, by nikt jej nie rozpoznał, i nawet jej mąż nie zdołał jej odnaleźć.

– A znalazł ją?

– Nie, choć próbował. Dowiedział się, co zrobiła, i wraz z braćmi nauczył się tej sztuki. Niszczyli świat za światem, szukając uciekinierki, a gdy dotarli do tego, w którym zamieszkała królowa, nie rozpoznali jej. Nie mieli pojęcia, że tym, kto stawiał im zaciekle opór, jest ich zbieg. Udało jej się odnieść zwycięstwo i przegnać dwóch braci do własnego świata. Pozostał jednak trzeci, którego moc została niemalże zniszczona. Schronił się on w głębi ziemi, a zwycięska królowa poświęciła wiele, wiele lat, by przygotować się na jego powrót. Szykowała swój lud na kolejną wojnę, bo wiedziała, że trzej królowie posiadli wiedzę przekraczającą jej własną. Potrafili bowiem utworzyć stałą Bramę między światami a stworzyli trzy pasujące do niej Klucze. Ten, kto je trzyma, włada wszystkimi światami i dzierży moc wieczności. Królowa zapagnęła je znaleźć, by przegnać swoich wrogów, by odesłać najmłodszego z braci męża do ojczyzny. By chronić swój nowy, cudowny świat. Pragnęła tylko żyć w pokoju, wolna od prześladowających ją cieni przeszłości.

Wspomnienie stawało się coraz bardziej natarczywe. Aelin czuła teraz, jakby przed wyjściem z własnej komnaty zapomniała zdmuchnąć świecę.

– I odnalazła te Klucze? – spytała.

Uśmiech Maeve posmutniał.

– A jak sądzisz, Aelin?

Dziewczyna się zastanowiła. Wiele spośród ich rozmów i lekcji na tej polanie zawierało zagadki, które miała rozgryźć sama. Kryły w sobie mądrość, która miała przyjść jej z pomocą, gdy kiedyś zasiądzie na tronie, mając Rowana u boku.

A wtedy, jakby na jej życzenie, nad polaną poniósł się zapach sosny i śniegu. Załopotwały skrzydła i jej towarzysz pod postacią jastrzębia osiadł na gałęzi dębu. Jej księżę wojownik.

Uśmiechnęła się do niego jak zawsze, gdy przybywał, by odprowadzić ją do komnat w pałacu nad rzeką. To właśnie podczas tych wędrówek z lasu do owianego mgłami miasta zaczęła go lepiej poznawać, aż w końcu go pokochała. Niczego i nikogo nie kochała tak jak jego.

Znów zwróciła się ku ciotce.

– Królowa była sprytna, mądra i ambitna – powiedziała Aelin. – Myślę, że byłaby w stanie zrealizować każde swe marzenie, nawet znaleźć Klucze.

– Tak myślisz? A mimo to nie udało się jej ich znaleźć.

– Gdzie się podziały?

Spojrzenie ciemnych oczu Maeve wiązało jej wzrok.

– A jak sądzisz?

Aelin otworzyła oczy.

– Sądzę, że...

Zamrugnęła. Urwała.

Uśmiech Maeve powrócił, łagodny i życzliwy. Taki jak zawsze.

– Jak myślisz, Aelin? Gdzie się podziały Klucze?

Raz jeszcze otworzyła usta i raz jeszcze się zawahała. Miała

wrażenie, że ktoś szarpnął za niewidzialny łańcuch, którym ją spętano. Żeby nie powiedziała ani słowa. Łańcuch? Łańcuch... Spojrzała na nadgarstki, jakby się spodziewała zobaczyć obejmujące kajdan. Nigdy dotąd nie czuła ciężaru kajdan na skórze, ale mimo to przez dłuższą chwilę wpatrywała się w skórę na nadgarstkach, przekonana, że przed chwilą widziała na niej blizny. Nie, musiało się jej zdawać. Teraz skóra była gładka, opalona.

- Gdyby świat stanął na skraju zagłady, gdyby tych trzech straszliwych królów ponownie mu zagroziło, gdzie byś szukała tych Kluczy?

Aelin spojrzała na ciotkę.

Inny świat. Istniał inny świat. W innym świecie, przypominającym teraz fragment snu, na jej nadgarstku znajdowała się blizna. Wszędzie nosiła blizny.

A jej towarzysz, siedzący na gałęzi... W tamtym świecie miał tatuaż na twarzy, szyi i ramieniu, opowiadający smutną, okrutną historię. Opowieść o utracie. O krzywdzie wyrządzonej przez Mroczną Królową...

- Gdzie są ukryte Klucze, Aelin?

Na twarzy Maeve nadal widniał ów kojący, życzliwy uśmiech, a mimo to...

Mimo to...

- Nie – szepnęła Aelin.

W spojrzeniu jej ciotki prześlizgnęło się coś nieprzyjemnego.

- Co to miało oznaczać? – spytała.

To nie było jej życie. To miejsce, owe cudowne miesiące, nauka w Doranelle, poznanie towarzysza życia...

Krew, piasek i rozbijające się z hukiem fale.

- Nie. – Jej głos przetoczył się nad spokojną polaną niczym uderzenie pioruna. Aelin odsłoniła zęby i zacisnęła palce na mchu.

Maeve zaśmiała się cicho. Rowan zatrzepotał skrzydłami, sfrunął z gałęzi i osiadł na uniesionym ramieniu królowej. Nawet nie zdołał stawić oporu, gdy ta oplótła jego gardło szczupłymi, białymi dłońmi i skręciła mu kark.

Aelin wrzasnęła. Krzyczała, darła paznokciami swą pierś, usiłowała złapać rozszarpywaną więź...

Aelin zerwała się z ołtarza. Każdy fragment jej zmaltretowanego, poranionego ciała eksplodował bólem.

Stojąca nad nią Maeve uśmiechała się.

– Spodobała ci się ta wizja, czyż nie?

To nie była prawda! To był fałsz! Rowan przecież żył! Żył i... Aelin spróbowała poruszyć ramieniem, ale natychmiast przeszła ją błyskawica bólu. Znow chciała wrzasnąć, lecz z jej ust wydobył się jedynie ochryply skrzek. Była równie zniszczona jak jej ręka.

Spojrzała na nią z wysiłkiem. Nie była w stanie zliczyć lśniących fragmentów kości, które przebijały skórę. Krew, poszarpana skóra i...

Nie było blizn po kajdanach. Ani śladu.

A więc w tym świecie, w tym miejscu również ich nie było.

Kolejna iluzja. Kolejny sen, w którym się znalazła...

Wrzasnęła ponownie. Wrzeszczała, patrząc na strzaskane ramie i skórę bez śladów blizn. Wrzeszczała, słysząc echo rozrywanej więzi.

– Wiesz, co mnie najbardziej boli, Aelin? – Głos Maeve był łagodny i ciepły niczym głos kochanki. – To, że w całej tej historii uważasz mnie za tę złą.

Aelin szlochała przez zęby, próbując bezskutecznie poruszyć ramieniem. A potem drugim. Rozejrzała się po komnacie, ni to prawdziwej, ni to nierealnej.

Naprawili jej skrzynię. Przyspawali nową płytę żelaza w nadwreżonym przez nią miejscu. Z boków i na spodzie też pojawiły się wzmocnienia, przez co do środka wpadało teraz mniej powietrza. Spędzała niekończące się godziny w upale tak dusznym, iż z ulgą powitała chwilę, kiedy wreszcie przykuto ją do ołtarza.

Bez względu na to, gdzie to się zdarzyło. I czy w ogóle.

– Nie wątpię, że twój towarzysz, Elena czy nawet sam Brannon wypełnili ci głowę kłamstwami o tym, co zrobię z tymi Kluczami. – Maeve musnęła dłonią kamienny skraj ołtarza, zbryzgany krwią. –

Powiedziałam ci prawdę. Ja naprawdę lubię ten świat. Nie mam zamiaru go niszczyć. Chcę go tylko naprawić. Wyobraź sobie królestwo, w którym nie ma głodu ani bólu. Czy nie o to walczą twoje oddziały? Nie zależy wam wszystkim na lepszym świecie?

Jej słowa były szyderstwem. Kpiną z tego, co Aelin obiecała tak wielu ludziom. Z tego, co obiecała Terrasenowi i wciąż nie dotrzymała słowa.

Skuta łańcuchami dziewczyna próbowała zachować bezruch, gdyż każde, najdrobniejsze nawet drgnięcie wywoływało nawałnicę bólu w połamanych ramionach. Próbowała ze wszystkich sił ignorować napór na skórę od środka. Po jej kościach oraz w głowie rozlewało się bowiem narastające napięcie, odrobinę mocniejsze z każdym upływającym dniem.

Maeve westchnęła cicho.

– Wiem, co o mnie myślisz, Niosąca Ogień. Wiem, do jakich wniosków doszłaś. Niestety, istnieją tajemnice, którymi nie wolno się dzielić, nawet gdy w grę wchodzi Klucze.

Napięcie przybierało na sile i powoli tłumilo ból.

Maeve nakryła dłonią jej zakryty maską policzek.

– Królowo, Która Została Obiecana, chcę cię wybawić od ofiary, do której pchnęła cię własna zawziętość i krnąbrność. – Zaśmiała się cicho. – Ba, pozwoliłabym ci nawet zatrzymać Rowana. Oboje zamieszkalibyście tu razem, a my we dwie zabrałybyśmy się do ratowania świata.

Aelin wiedziała, że to kłamstwa. Wiedziała o tym, ale nie potrafiła sobie przypomnieć, gdzie kończy się prawda, a zaczyna fałsz. Nie pamiętała, czy jej towarzysz życia należał przed nią do jakiejś innej. A może to również było częścią koszmarnego snu?

Na bogów, to napięcie w jej ciele, w jej krwi...

„Nie masz prawa się poddać”.

– Czujesz to, nieprawdaż? – ciągnęła Maeve. – Nawet teraz. Całe twoje ciało chce, byś powiedziała „tak”.

Aelin otworzyła oczy. W jej spojrzeniu zapewne zamigotało zdumienie, gdyż Maeve uśmiechnęła się i dodała:

- Wiesz, co robi z czarodziejką uwięzienie w żelaznej skrzyni? Z początku tego nie czujesz, ale w miarę upływu czasu twoja magia zacznie domagać się uwolnienia. Odczuwane przez ciebie napięcie to twa moc, która woła, krzyczy, błaga cię, byś się wyzwoliła z tych łańcuchów i uwolniła magię. Sama krew krzyczy, byś mnie posłuchała.

Aelin czuła, że to prawda. Bynajmniej nie słowa Maeve o poddaniu się, ale te dotyczące potężniejszego napięcia. Miała wrażenie, że czeka ją ból przewyższający wszelkie cierpienia towarzyszące przepaleniu. Czuła raz coś podobnego, gdy wniknęła w głąb swej mocy, dalej niż kiedykolwiek wcześniej, ale tym razem czekała ją o wiele gorsza tortura.

- Wyjeżdżam na kilka dni – ciągnęła Maeve.

Aelin znieruchomiała.

Maeve pokręciła głowę, parodiując rozczarowanie.

- Twoje postępy nie są tak szybkie, jak tego oczekiwałam, Aelin.

Fenrys po drugiej stronie komnaty warknął ostrzegawczo, choć Maeve nawet na niego nie spojrzała.

- Dotarła do mnie wieść o tym, że nasz wspólny wróg znów został dostrzeżony na wybrzeżu. Kilka dni drogi stąd, niedaleko południowej granicy pochwycono księcia Valgów, który miał ze sobą kilka naszyjników, bez wątpienia przeznaczonych dla moich poddanych. Być może nawet dla mnie.

„Nie... Nie!”.

Maeve musnęła dłonią szyję Aelin, jakby i tam znajdował się już naszyjnik.

- Udam się więc, by ów prezent odebrać i przekonać się, co sługa Erawana ma na ten temat do powiedzenia. Księżniczkę Valgów, z którą zetknęłam się podczas pierwszej wojny, rozszarpałam na strzępy – dodała cicho. – Nie oczekuję więc większych trudności z wniknięciem do jego umysłu. Ba, noszę się z zamiarem wyrwania go spod władzy Erawana i roztoczenia nad nim kontroli, a jego naszyjnik otrzymasz ty.

„Nie!” – słowo to zamieniało się w coraz głośniejszy, przeraźliwie wywrzaskiwany refren.

– Nie mam pojęcia, dlaczego dopiero teraz na to wpadłam – zastanawiała się Maeve.

„Nie!”.

Królowa szturchnęła strzaskany nadgarstek Aelin, a ta zdusiła wrzask.

– Pomyśl o tym. Po moim powrocie omówimy raz jeszcze moją propozycję. Może narastające napięcie sprawi, że przejrzysz na oczy.

Naszyjnik. Maeve zamierzała przejąć naszyjnik z Kamienia Wyrda...

Królowa odwróciła się, a jej czarna szata zafurkotała. Przekroczyła próg, a sowa sfrunęła i osiadła na jej ramieniu.

– Jestem przekonana, że Cairn zadba o to, byś się nie nudziła podczas mojej nieobecności.

Nie miała pojęcia, jak długo leżała na ołtarzu po tym, jak uzdrowiciele wtłoczyli do środka słodki dym. Założyli jej metalowe rękawice.

Napięcie narastało z każdą godziną i czuła je nawet w ciężkim, wywołanym narkotykami śnie. Zupełnie jakby teraz, gdy już wiedziała, czym jest, nie dało się go zignorować. Ani zdusić.

Co zresztą niebawem, gdy Maeve nałoży jej naszyjnik, miało stać się najmniej istotnym z jej problemów.

Fenrys siedział pod ścianą. W jego ślepiach lśniła troska.

„Wszystko w porządku?” – zamrugał.

„Nie” – odparła.

Nie, było coraz gorzej. Najwidoczniej Maeve czekała na moment, gdy Aelin zacznie odczuwać nowe napięcie, o wiele gorszą torturę niż wszystko, co mógł jej zafundować Cairn. Zaś z naszyjnikiem, który zamierzała osobiście odebrać...

Aelin nie chciała nawet o tym myśleć. Czekano ją zniewolenie o wiele gorsze niż dotychczas, takie, które nie pozwoli jej uciec czy podjąć walki. Królowa nie zamierzała jej złamać. Ona chciała ją zetrzeć i zniszczyć. Chciała wyrwać jej moc i mądrość. Chciała uwięzić ją w jej własnym ciele i zmusić do słuchania, jak własnym głosem zdradzi miejsce ukrycia Kluczy Wyrda. Jak składa jej przysięgę

krwi. Jak całkiem się jej podporządkowuje.

Fenrys zamrugał czterokrotnie.

„Jestem tu, przy tobie”.

Odpowiedziała tym samym.

Jej moc poderwała się i zaszumiała, szukając drogi ujścia, wypełniając przestrzeń między oddechami a kośćmi. Nie była w stanie jej nigdzie pomieścić, nie umiała zrobić niczego, by jej ulżyć.

„Nie masz prawa się poddać”.

Skupiła się na tych słowach. Na głosie swej matki.

Być może magia pożre ją od środka przed powrotem Maeve.

Nie miała pojęcia, jak to wytrzyma. Czekają ją dobrych kilka dni, podczas gdy nawet już kilka godzin wydawało się nie do zniesienia. Jak mogła temu ulżyć choćby na chwilę? Jak?

Odepchnęła myśli, które wślizgnęły jej się do głowy. Nie dbała o to, czy należą do niej, czy do Maeve.

Fenrys raz za razem przekazywał jej ten sam komunikat:

„Jestem tu, przy tobie”.

Aelin zamknęła oczy, modląc się o zapomnienie.

– Wstawaj! – warknął ktoś drwiąco. Nie po raz pierwszy.

Cairn stał nad nią, a jego pełną nienawiści twarz zniekształcał uśmiech. W jego oczach jaśniała dzikość.

Aelin znieruchomiała, gdy zaczął odpinać jej łańcuchy. Do środka wpadli strażnicy. Fenrys warknął.

Napięcie przypominało istotę, która wila się i prześlizgiwała pod jej skórą, a w głowie rozbudzała dziki łomot. Ból był gorszy od tego, który zadawał jej Cairn swą bronią, pobrzękującą teraz u jego boku.

– Maeve kazała cię przenieść – rzekł, a dziki blask wzmógł się, gdy podniósł ją i zaniósł do skrzyni.

Wrzucił ją do środka z takim impetem, że łańcuchy zagrzechotały o jej czaszkę i kości. Oczy Aelin zaszyły łzami. Chciała się poderwać, ale wieko opadło z łoskotem. Osaczyła ją ciemność, gorąca i duszna,

siostra tej, która dojrzewiała pod jej skórą.

– Skoro Morath znów się zapuszcza na nasze wybrzeża, Maeve życzy sobie, by nie groziło ci żadne niebezpieczeństwo do czasu jej powrotu – wycedził Cairn z ironią.

Strażnicy stęknęli, podnosząc skrzynię. Aelin przygryzła wargę, gdyż ruch znów obudził ból.

– Osobiście w dupie mam to, co ci zrobi po tym, jak ci założy ten naszyjnik, ale do tego czasu... Do tej chwili będę cię miał dla siebie, prawda? To już chyba nasza ostatnia okazja do zabawy, zanim w twoim ciele pojawi się nowy przyjaciel.

W jej żołądku wezbrała zgroza, która na moment ulżyła napięciu. Przenoszono ją w inne miejsce. Kiedyś ostrzegła przed podobną sytuacją pewną młodą uzdrowicielkę. Powiedziała jej, że jeśli napastnik zechce ją gdzieś zaciągnąć, oznacza to, że najprawdopodobniej zamierza ją zabić, a więc powinna zrobić wszystko, by po raz ostatni z desperacją stawić mu czoła.

Tamtej dziewczynie z pewnością nie groziła przybliżająca się z każdym dniem perspektywa założenia na szyję naszyjnika z Kamienia Wyrda.

Ale Cairn na pewno jej nie zabije. Nie, Maeve potrzebowała jej żywej.

Aelin skupiła się na oddychaniu. Wdech, wydech. Wdech, wydech.

Nie powstrzymało to jednak oleistego, dokuczliwego strachu, który opanował jej ciało i obudził drżenie.

– A ty masz do nas dołączyć, Fenrysie – dodał ze śmiechem Cairn, gdy ruszyli po schodach, a ciało Aelin ocierało się o ściany skrzyni. – Nie chcę, byś przegapił choć chwilę.

21.

Rowan znał każdy z uczęszczanych oraz ukrytych traktów prowadzących do Doranelle, zarówno do bogatego królestwa, jak i ogromnego miasta, po którym państwo przejęło nazwę. Gavriel i Lorcan również je znali.

Poprzedniej nocy sprzedali konie, czym zajęła się Elide, bo wojownicy Fae byli zbyt rozpoznawalni. Nawet gdyby nie zwrócono uwagi na ich twarze, z pewnością ktoś zarejestrowałby obecność ich magii, a wówczas ich tożsamość przestałaby być tajemnicą.

W przeciwieństwie do północnej granicy z Wendlyn południowej nie strzegły wilki, ale mimo to czwórka wędrowców zachowywała wielką ostrożność i poruszała się tylko po na wpół zapomnianych ścieżkach.

A gdy od samego miasta dzieliło ich zaledwie kilka dni drogi, zastawili na Maeve pułapkę. Rowan doskonale wiedział, że istnieje jedna rzecz, której królowa nie zdoła się oprzeć – naszyjniki z Kamienia Wyrda.

Aelin jeszcze się trzymała. Wiedział o tym i wyczuwał to. Wiedział też, iż zapewne doprowadza to Maeve do szaleństwa, a więc uznał, że królową przypuszczalnie skusi możliwość przejęcia naszyjników, tym bardziej że wrodzona arogancja nakaże jej myśleć, iż byłaby w stanie zapanować nad demonem i wyrwać go spod kontroli Erawana. Tak, królowa z pewnością nie przepuści takiej okazji.

Zaczęli więc od plotek, rozsiewanych przez Elide w tawernach, na targowiskach oraz w innych miejscach, gdzie działali szpiedzy Maeve. Dziewczyna opowiadała o garnizonie Fae, który pojmał księcia Valgów i znalazł przy nim jakieś dziwne naszyjniki. Zdarzyło się to rzekomo w jakimś odległym forcie.

Rowan nie zawracał sobie głowy modlitwą o to, by królowa padła ofiarą ich fortelu. Żeby nie wysłała kogoś zaufanego, by przejął naszyjniki w jej imieniu. Wiedział, że podejmują wielkie ryzyko i mogą się srodze rozczarować, ale innego podstępu wymyślić nie mogli.

Gdy wspięli się na strome, ciągnące się od południa wzgórze, z których wreszcie roztoczył się widok na otulone nocą miasto, serce Rowana waliło jak młotem. Nie potrafili maskować się tak dobrze jak Maeve, ale teraz, gdy z królową nie łączyła ich przysięga krwi, byli w stanie ukryć swoją obecność, choć nie było to łatwe. Królowa miała oczy wszędzie, a jej macki sięgały każdego zakamarka.

Zdyszani, pięli się na najwyższe spośród porośniętych lasem wzgórz. Istniały inne drogi do miasta, ale żadna nie pozwalała rozejrzeć się w terenie, a Rowan nie chciał ryzykować zwiadu pod postacią ptaka. Trzeba było się liczyć z tym, że bystrookie patrole na pewno spostrzegą jastrzębia z białym ogonem, nawet w środku nocy.

Do szczytu zostało jeszcze kilkanaście metrów. Rowan wspinał się wytrwale, a pozostali byli tuż za nim.

Ona tu była. Przebywała tu przez cały czas. Gdyby przybyli od razu do Doranelle... Nie, nie chciał o tym myśleć.

Wnet znalazł się na szczycie wzgórza. Kamienne miasto, opromienione blaskiem księżyca, zalane było bielą mgieł nadpływających z rzek i wodospadów. Elide zatrzymała się, zasapana, i westchnęła z zachwytem.

- Ja... Chyba spodziewałam się czegoś takiego jak Morath – szepnęła.

Uśpione, spokojne miasto leżało w sercu dorzecza. Pomimo późnej pory nadal paliły się tam latarnie, a Rowan wiedział, że na niektórych placach wciąż gra muzyka.

Patrzył na swój dom. Czy raczej były dom. Czy nadal mógł nazywać jego mieszkańców rodakami, skoro poślubił królową obcego państwa? Po tym, jak zabił tak wielu spośród nich u brzegów Eyllwe? Nie szukał wzrokiem czarnych proporców żałobnych, które zwisały z okien wielu domów.

Wiedział, że Lorcan i Gavriel również starają się ich nie liczyć. Wszak znali tych ludzi od wieków, żyli wśród nich, nazywali ich przyjaciółmi.

Ale czy ktokolwiek z nich wiedział, kogo przetrzymywano w samym sercu miasta? Czy ktoś słyszał jej wrzaski?

- To ten pałac – rzekł Gavriel do Elide i wskazał zbiorowisko kopuł

i innych pięknych budowli na wschodzie miasta, niedaleko ogromnego wodospadu.

Nie odzywając się ani słowem, wpatrywali się w budynek z kolumnami na froncie, gdzie znajdowały się prywatne komnaty królowej oraz ich własne apartamenty. W oknach nie było żadnych świateł.

– To niczego nie dowodzi – oznajmił Lorcan. – Nie wiemy, czy Maeve wyjechała i czy Aelin nadal tam jest.

Rowan wsłuchiwał się w wiatr i szukał w nim zapachu, ale niczego nie odkrył.

– Musimy więc zapaść się do miasta.

– A jedyna droga prowadzi przez te mosty? – Elide, marszcząc brwi, wskazała bliźniacze kamienne przeprawy na południu i północy Doranelle, otwarte i widoczne z odległości wielu kilometrów.

– Tak – wykrztusił Lorcan przez ściśnięte gardło.

Rzeka była zbyt szeroka i zbyt dzika, by pokonać ją wpraw, a jeśli istniały inne sposoby, by się przedostać na drugą stronę, Rowan nie miał o nich pojęcia.

– Powinniśmy okrążyć je szerokim łukiem – rzekł Lorcan wpatrzony w miasto w sercu równiny.

Na północy wyrastał łańcuch zalesionych wzgórz, który kończył się gdzieś u stóp Gór Kambryjskich. Na zachodzie ciągnęły się pola uprawne, daleko, aż po brzeg morza. Na wschodzie zaś, za wodospadami, trawiaste równiny ustępowały miejsca prastarym borom, za którymi również wyrastały góry.

Góry Rowana. Te, które niegdyś nazywał domem. Gdzie stał jego górski dom, póki nie spłonął. Gdzie pochował Lyrię i gdzie sam kiedyś spodziewał się spocząć.

– Musimy również przemyśleć drogę odwrotu – rzekł, choć już się nad tym zastanawiał.

Nie było wątpliwości, że Maeve pchnie za nimi swoich najlepszych wojowników.

Swego czasu sam znalazłby się w ich gronie. Wysyłano go, by tropił i zabijał Fae, którzy stali się zbyt wielkimi potworami nawet jak na

oczekiwania Maeve, wykolejeńcami, których nic nie trzymało już przy życiu. Szkolił też tych, którzy mieli go teraz ścigać. Pokazał im tajne ścieżki i miejsca, w których Fae lubili się kryć.

Nie sądził, że kiedyś ta wiedza zostanie wykorzystana przeciwko niemu.

– Powinniśmy odpocząć jeden dzień – powiedział Lorcan.

Rowan smagnął go chłodnym spojrzeniem.

– Nie mamy tyle – oznajmił.

Przecież gdzieś tam była Aelin. W tym mieście. Wiedział to, czuł to. Nurzał się we własnej mocy od dwóch dni i szykował się na rzeź, którą rozpęta, i ucieczkę, która ich później czeka. Z trudem panował nad nagromadzoną magią i nie miał najmniejszej ochoty zwlekać.

– Jeśli nie ułożymy dobrego planu, wszyscy za to zapłacimy. Twoja towarzyszka życia również – rzekł Lorcan.

Jego były dowódca także był na skraju wytrzymałości. Nawet Gavriel, na pozór spokojny i opanowany, chodził to w jedną, to w drugą stronę. Wszyscy pobrali całą moc, jaką mieli do dyspozycji.

Mimo to racja była po stronie Lorcana i na jego miejscu Rowan powiedziałby to samo.

Gavriel wskazał grupę skał, wyrastających ze zbocza wzgórza.

– Tam nikt nas nie zauważy. Prześpijmy się tam, a jutro ułożymy plan działania. Pora odpocząć.

Pomysł wydawał się Rowanowi czymś absolutnie niedorzecznym. Miał spać ze świadomością, że Aelin znajduje się ledwie kilka kilometrów dalej? Wytężył słuch, jakby spodziewał się, że wiatr przyniesie jej krzyki, ale po chwili poddał się i szepnął:

– W porządku.

Nie musiał nawet mówić, że rozpalanie ognia to zbyt duże ryzyko. Noc była chłodna, ale nie zimna. Nie groziła im śmierć z przemarznięcia.

Zbocze opadało ostro. Rowan rozpoczął schodzenie w dół, pomagając przy tym Elide. Dłoń ludzkiej dziewczyny lekko drżała, ale w żaden sposób nie dała po sobie poznać, że się boi. Rowan zszedł jeszcze kawałek, aż znalazł miejsce, w którym mógł się odwrócić

i pomóc jej zejść.

– Nie musisz wchodzić z nami do miasta. Obmyślimy drogę ucieczki i spotkamy się potem.

Elide nie odpowiedziała. Rowan spojrział na nią i uświadomił sobie, że dziewczyna nie patrzy na niego, ale na miasto przed nimi. Oczywiście miała szeroko otwarte z przerażenia, jej zapach również pulsował trwogą.

Lorcan przypadł do nich w okamgnieniu. Jego dłoń wylądowała na ramieniu Elide.

– Co się...

Rowan odwrócił się gwałtownie w stronę miasta i naraz uświadomił sobie, że szczyt wzgórza był granicą, nie tyle miasta, ile iluzji. Pięknej, sielankowej iluzji, która zmyliłaby każdego zwiadowcę, który zakradłby się w okolicę. Miasto ze wszystkich stron, nawet od wschodu, otaczało bowiem ogromne obozowisko.

Wokół Doranelle zebrała się wielka armia.

– Wezwła większość swoich sił – szepnął Gavriel. Wiatr smagał jego twarz kosmykami włosów.

Rowan przeliczył ogniska, które pokrywały ciemną ziemię niczym kobierzec gwiazd. Nigdy dotąd nie widział tak wielkiej armii Fae. Siły, które on i członkowie jego drużyny prowadzili do boju, były o wiele szczuplejsze.

Aelin mogła się znajdować dosłownie wszędzie, zarówno w obozie, jak i w samym mieście. Będą musieli wykazać się wielkim sprytem, ba, wręcz przebiegłością, a jeśli Maeve nie padła ofiarą ich fortelu...

– Ściągnęła całą armię, by nas powstrzymać? – spytała Elide.

Lorcan zerknął na Rowana. W jego ciemnych oczach błysnęło ostrzeżenie.

– Albo by zatrzymać Aelin.

Rowan przyjrzał się obozowisku. Mieszkańcy Doranelle rzadko widywali oddziały zbrojne, jeśli nie liczyć wojowników, którzy czasami zagładali do miasta. Co sądzili o tak wielkiej armii?

– W mieście mamy sojuszników – podsunął pomysł Gavriel. – Możemy spróbować się z nimi skontaktować. Niewykluczone, iż

dowiemy się, gdzie przebywa Maeve i po co zebrała taką armię. Może ktoś wie też coś o Aelin.

Wuj Rowana, Ellys, głowa rodu, pozostał w Doranelle po odpłynięciu armady Maeve. Był twardym, mądrym mężczyzną, a do tego lojalnym. Wyszkolił Endę na swoje podobieństwo, dzięki czemu wyrósł na bystrego, sprytnego dworzanina. Gdy tylko miał okazję, dzielił się swoimi naukami z Rowanem. To on udzielił mu pierwszej lekcji władania mieczem. Rowan dorastał w domostwie wuja, które było dlań jedynym domem do czasu, gdy osiedlił się w górach. Ale komu Ellys dochowa teraz wierności? Maeve czy własnemu rodowi, zwłaszcza w obliczu ich zdrady w Eyllwe?

Należało się liczyć również z tym, że jego wuj mógł już nie żyć. Wszak Maeve mogła go ukarać za zdradę reszty kuzynów, których Rowan ubłagał, by mu pomogli. Ellys, próbując na powrót wkupić się w łaski Maeve po zdradzie całego rodu, mógł wydać ich królowej, nim odnajdą Aelin.

Oprócz Ellysa mogli jeszcze liczyć na kilku innych, ale...

– Maeve jest w stanie wniknąć do umysłu każdego człowieka – rzekł Rowan. – Przypuszczalnie wie, na kogo moglibyśmy liczyć, i już zajęła się każdym naszym potencjalnym sojusznikiem. – Zacisnął dłoń na rękojeści Goldryna i przez moment czerpał z tego otuchę. – Nie będziemy ryzykować.

Lorcan burknął z aprobatą.

– Ale Maeve nie zna mnie – odezwała się Elide. – A jeśli nawet, to ledwie mnie kojarzy. Nikt mnie tu nie rozpozna, zwłaszcza jeśli... jeśli zmienię nieco wygląd. Tak jak wtedy, gdy rozprowadzałam te kłamstwa o księciu Valgów. Mogę jutro rano wślizgnąć się do miasta i rozeznać się w sytuacji.

– Nie. – Odpowiedź Lorcana była niczym cios nożem w ciemnościach.

– Nie wydajesz mi rozkazów – odparła Elide chłodnym, niewzruszonym tonem. – Nie należysz nawet do tego samego dworu co ja. – Odwróciła się ku Rowanowi, który jak najbardziej do niego należał. Co więcej, zajmował wyższą pozycję.

Fae ze wszystkich sił powstrzymał odruch cofnięcia się, ale przypomniał sobie, że to Aelin nałożyła na niego to brzemie.

– Ona nie zna tego miasta! – syknął Lorcan. – Nie zna rozkładu ulic, nie wie, jak sobie poradzić ze strażą...

– A więc nauczymy ją – przerwał mu Gavriel. – I to jeszcze dziś. Przekażemy jej wszystko, co wiemy.

– Jeśli Maeve nadal przebywa w Doranelle, wywęszy ją! – Lorcan odsłonił zęby.

– A właśnie że nie! – odparła Elide.

– Znalazła cię na plaży! – warknął Lorcan.

Elide uniosła podbródek.

– Idę jutro do Doranelle.

– I co masz zamiar tam robić? Popytać, czy ktoś nie widział Aelin Galathynius, przechadzającej się po ulicach? A może spróbujesz wprosić się do Maeve na podwieczorek?

Elide nie pozwoliła odebrać sobie pewności siebie.

– Będę szukać Cairna.

Mężczyźni znieruchomieli. Rowan miał wrażenie, że się przesłyszał, ale Elide wpatrywała się w nich ze spokojem.

– Przecież młoda, śmiertelna kobieta może rozpytywać o mężczyznę Fae, który ją uwiódł.

Lorcan pobladł jak księżyc nad nimi.

– Elide...

Nie odpowiedziała.

Lorcan odwrócił się ku Rowanowi.

– Sami przeprowadzimy zwiad. Istnieje...

– Jeśli znajdziemy Cairna, znajdziemy Aelin – przerwała mu Elide, patrząc na Rowana. – Dowiemy się wówczas, czy Maeve jest w Doranelle.

W jej oczach nie było już lęku. W zapachu również.

Rowan skinął głową, ignorując fakt, że Lorcan zeszytywniał.

– Pomyślnych łowów, pani.

Zaśnieżone równiny Terrasenu ciągnęły się daleko na południe, aż po łagodne wzgórza na horyzoncie. Minionego lata Lysandra przemierzyła je wraz z przyjaciółmi i królową. Patrzyła, jak Aelin wspina się na jedno z nich i zbliża się do ociosanego granitowego głazu, wyrastającego z jego szczytu. Wyznaczał on granicę między Adarlanem a Terrasenem. Wystarczyło, by zrobiła jeden krok, a już znalazła się w domu.

Być może czyniło to z Lysandry naiwniaczkę, ale nie sądziła, że ujrzy te wzgórza ponownie w samym środku wojny. Nigdy by też nie odgadła, iż pod postacią ptaka będzie przeprowadzać zwiad dla wielotysięcznej armii.

Kwestię wyjaśnienia nagłego zniknięcia Aelin pozostawiła Aedionowi, a sama pomknęła, by rozeznac się w terenie i sprawdzić, gdzie będą mogli zatrzymać siły Morath. Inni zwiadowcy Fae, którzy posiadli umiejętność przeistaczania się w ptaki, udali się z podobnym zadaniem na zachód i wschód.

Srebrzyste skrzydła sokoła złapały ostry wiatr i Lysandra mknęła z prędkością, która przeszywała jej ciało dreszczami ekstazy. Po ciele widmowego lamparta forma sokoła była jej ulubioną. Ciało tego ptaka, lekkie, zwinne, zabójczo niebezpieczne, było wręcz stworzone do tego, by mknąć na wietrze i dopadać zdobyczy.

Śnieg przestał padać, ale niebo nadal było szare i chmury nie przepuszczały ani odrobiny niosącego ciepło blasku słonecznego. Nie przejmowała się jednak chłodem, bo chroniły ją przed nim warstwy piór.

Leciała nad bezludnymi ziemiemi, połykając kilometr za kilometrem. Mijane wioski okazywały się puste, gdyż ich mieszkańcy zbiegli już na północ. Lysandra modliła się, by znaleźli bezpieczne schronienie przed śniegami, by ci obdarzeni mocą zdołali umknąć sieciom zarzucanym przez Morath. Pamiętała, że gdzieś tu mieszkała dziewczynka, która została pobłogosławiona potężnym darem kontrolowania wody. Czy wraz ze swą rodziną zdołała umknąć za

grube mury Orynthu?

Lysandra pochwyciła kolejny wiatr i wzleciała wyżej, by ujrzeć dalszy krajobraz. Pierwsze wzgórza, przypominające fale światła i cienia, przemykały właśnie pod nią. Przeczynała, że przechodząca tędy armia nie będzie miała łatwego zadania, ale Zguba walczyła już w tych okolicach. Bez wątpienia oficerowie i tropiciele znali biegnące tędy ścieżki, choć te znikły pod zaspami.

Północny wiatr zawył i przybrał na sile, jakby chciał wybić jej z głowy lot na południe. Jakby ją prosił, by porzuciła ten zamysł.

Wtedy dostrzegła wzgórza zwieńczone głazami, co było starożytnym sposobem na podkreślanie granic. Przemknęła nad nimi i poleciała dalej, nie bacząc na to, że zapadł zmrok. Gdy chłód uniemożliwił dalszy lot, usiadła na jakimś drzewie i zdrzemnęła się, by podjąć zwiad następnego dnia o świcie.

I znów pomknęła na południe, ku rozmazanemu, pustemu horyzontowi.

Aż ten zaczął się zmieniać. Aż Lysandra uświadomiła sobie, co się na nim znajduje, i o mało nie spadła na ziemię.

Ren nauczył ją sztuki szacowania liczebności armii, ale traciła rachubę za każdym razem, gdy próbowała zliczyć równe szeregi wojska, maszerujące po północnych równinach Adarlanu. Prosto ku linii wzgórz, ciągnącej się wzdłuż granicy obu państw. Tysiące. Pięć, dziesięć, może piętnaście, może więcej. Liczyła raz za razem, ale co chwila się myliła. Dwadzieścia? Trzydzieści?

Wzniosła się jeszcze wyżej, gdyż nad maszerującą armią unosiły się skrzydlate ilkeny, uważnie kontrolujące całą okolicę.

Czterdzieści. Pięćdziesiąt...

Pięćdziesiąt tysięcy zbrojnych, strzeżonych przez latające ilkeny.

Wśród maszerujących żołnierzy jechało konno pięciu młodych mężczyzn o pięknych twarzach, którzy nosili czarne naszyjniki nad zbrojami. Każdy z nich dowodził legionem. Książęta Valgów.

Lysandra przeliczyła armię ponownie. A potem raz jeszcze.

Pięćdziesiąt tysięcy żołnierzy przeciwko dwudziestu pięciu tysiącom, które udało im się zgromadzić.

Jeden z ilkenów dostrzegł ją i wzbił się ku górze. Lysandra skrzyła ostro i ruszyła na północ, bijąc skrzydłami jak szalona.

Dwie armie spotkały się na pokrytych śniegiem równinach Terrasenu. Głównodowodzący siłami Terrasenu nakazał swoim wojskom czekać na hordy Erawana, by te wyczerpały siły, przedzierając się przez wzgórza. Posłał ku nim oddział zabójców z zadaniem wykańczania maruderów i tych, którzy zabłądzili wśród wzniesień.

Nie powróciło ich wielu.

Mroczna moc książąt Valgów pomknęła naprzód, niszcząc wszystko na swej drodze, a mimo to Niosąca Ogień nie pojawiła się, by spalić ich na popiół. Jechała u boku kuzyna, a nie zrobiła nic.

Ilkeny opadły na obozowisko obrońców Terrasenu, siejąc chaos i zgrozę, rozszarpując żołnierzy szponami ociekającymi od jadu, po czym znów pomknęły ku niebu. Wyrywały starożytne kamienie graniczne z porośniętych trawą wzniesień na granicy Terrasenu.

Wtedy armia Morath, po której właściwie nie było widać znużenia, obojętna na śnieżycę i niemalże równie liczna jak wcześniej, pokonała ostatnie wzgórza i runęła w dół niczym czarna fala rozlewająca się po ziemi.

Żołnierze Erawana pędzili prosto na włócznie i tarcze Zguby, a magia wojowników Fae zablokowała moc książąt Valgów. Nie zdołała jednak powstrzymać ilkenów, które przemknęły przez barierę równie łatwo, jakby była pajęczyną rozpiętą w drzwiach. Ich trucizna wręcz topiła magię Fae, a potem ilkeny wylądowały i przebiły się przez obronę.

Nawet zmiennokształtna, która przybrała postać wywerny z kolcami jadowymi, nie zdołała ich wszystkich wygubić. Nawet generał ze starożytnym mieczem i zwinnością Fae nie był w stanie rozrąbywać im karków należycie szybko.

W chaosie bitwy nikt nie zauważył, że nie pojawiła się Niosąca Ogień. Najmniejszy spośród jej promyków nie zabłysł wśród pełnej wrzasków nocy.

Po ilkenach na obrońców Terrasenu runęła piechota i wnet armia zaczęła się kruszyć.

Jako pierwsza padła prawa flanka. Któryś z książąt Valgów uwolnił swą moc, siejąc śmierć i zniszczenie. Powstrzymał go dopiero Ilias z Milczących Zabójców, który przemknął się za liniami wroga i odrąbał mu głowę.

Centrum, którego broniła Zguba, wytrzymało, ale wojownicy ustępowali krok po kroku pod naporem szponów, kłów, mieczy i włóczni. Wrogów było tylu, że Fae nie byli w stanie odpowiednio szybko wyszarpywać im powietrza z płuc. Ich magia wspierała wojowników w boju, ale nie mogła powstrzymać Morath na długo.

Bestie Erawana spychały ich na północ przez cały dzień.

Potem przez noc.

I kolejny dzień.

Pod wieczór drugiego dnia walk nawet szyk Zguby wreszcie się ugiął.

Morath jednakże nie zwalniał.

Elide nigdy nie widziała takiego miejsca jak Doranelle.

Zwano je Miastem Rzek. Dziewczyna nie miała pojęcia, że można wznieść całe miasto między brzegami wielu z nich, w miejscu, gdzie ciekі łączą się i zlewają, ale starannie zamaskowała swój podziw i z obojętną miną szła po krętych, czystych ulicach.

Drugim spośród jej towarzyszy, którego usiłowała utrzymać w ryzach, był lęk. Fae dysponowali znakomitym węchem, dzięki któremu mogli wykrywać rozmaite emocje. Odrobina strachu mogła uwiarygodnić jej historię, ale zbyt wiele mogło przypieczętować jej los.

Doranelle przypominało jej raj. Z okien zwisały różowe i niebieskie kwiaty, a między uliczkami wiły się kanały, którymi podróżowały jasne, długie łodzie. Elide nigdy nie widziała tylu Fae i nawet do głowy jej nie przyszło, iż będą zachowywać się całkiem normalnie. A przynajmniej tak normalnie, jak to było w ich przypadku możliwe – ich zwinność, długie kły i spiczaste uszy co chwila przypominały jej, gdzie tak naprawdę się znalazła. Na ulicach co rusz mijały ją zwierzęta, tak rozmaite, że wnet straciła rachubę. Wszyscy zajęci byli zwykłymi sprawami, kupując świeży chleb, dzbany z oliwą czy też połacie płótna w jaskrawych kolorach.

Elide ani na moment nie zapominała jednak o Maeve, która rządziła tym miejscem z pałacu, wznoszącego się na wschodzie miasta. Rowan zaś opowiedział jej, że miasto zostało wzniesione z kamienia, aby uniemożliwić Brannonowi czy któremuś z jego potomków spalenie go do gołej ziemi.

Dziewczyna z każdym krokiem utykała coraz bardziej, gdyż oddalała się od magii Gavriela. Pozostawiła swoich towarzyszy na wzgórzach, gdzie spędzili noc. O świcie Lorcan próbował raz jeszcze wybić jej z głowy wyprawę do miasta. Elide jednakże przetrząsnęła ich bagaże i odnalazła to, czego potrzebowała – jagody ubierane poprzedniego dnia przez Gavriela, zapasowy pasek i ciemnozieloną pelerynę Rowana, pomiętą białą koszulę Lorcana oraz lusterko, przy

którym się golił.

Nie powiedziała nic, gdy znalazła białe paski materiału na spodzie plecaka Lorcana. Był przygotowany na jej kolejne krwawienie. Nie była w stanie dobrać odpowiednich słów i wiedziała, że coś pęknie jej w sercu, gdy zacznie o tym myśleć.

Rozluźniła ramiona, choć na jej twarzy nadal widać było napięcie. Zatrzymała się na skraju niewielkiego placu, na którym pluskała wesoło fontanna. Wokół uwijali się kupcy i klienci, rozprawiający wesoło w blasku porannego słońca. Dziewczyna stała w cieniu, rzuconym przez prowadzącą na skwer łukowatą bramę, wsparta plecami o kolumnę. Wyciągnęła lusterko z kieszeni płaszcza, pilnując się, by nie trącić ukrytych tam licznych noży.

Zmarszczyła brwi, wpatrując się w swe odbicie. O świcie rozgniotła jagody i starannie obwiodła oczy ich sokami, dzięki czemu wyglądała teraz, jakby płakała od tygodni. Wrażenie potęgowała jeszcze wynędzniała, wychudła twarz. Tak naprawdę wcale nie chciała oglądać swego odbicia w lustrze – interesował ją placik za nią. Gdyby zaczęła się po prostu rozglądać, mogłaby przyciągnąć czyjąś uwagę, ale teraz przypominała jedynie zwykłą dziewczynę, która martwi się o swój wygląd. Przyglądając kilka kosmyków włosów, rozejrzała się uważnie.

Widziała dwie sąsiadujące ze sobą tawerny, sądząc po rozstawionych przed nimi beczkach służących jako stoły i porozkładanych na nich brudnych naczyniach. Jedna z tawern odwiedzana była głównie przez mężczyzn, wśród których wielu nosiło stroje wojowników. Elide widziała już trzy podobne place, ale jak dotąd była to pierwsza tawerna preferowana przez żołnierzy.

Idealnie.

Przyglądziła włosy, schowała lusterko i zwróciła się w stronę placu, unosząc podbródek. Wyglądała teraz jak dziewczyna, która usiłuje odnaleźć w sobie resztki godności. Niech widzą w niej to, co chcą zobaczyć. Niech gapią się na białą koszulę, którą założyła zamiast skózanego stroju wiedzów, oraz na pelerynę ściągniętą w tali paskiem. Niech widzą w niej włóczkę z daleka, dziewczynę, która nie ma pojęcia, jak należy się ubierać w tym wspaniałym, dbającym o pozory mieście.

Podeszła do pięciu mężczyzn i dwóch kobiet Fae, którzy rozsiedli

się przed tawerną, szukając wzrokiem tego, który mówił najwięcej i śmiał się najgłośniej, tego, do którego pozostali zwracali się najczęściej. Jedna z kobiet nie była wojowniczką – miała na sobie kobiece spodnie i błękitną tunikę, która idealnie podkreślała jej kuszące kształty. Tą, na którą pozostali zerkali w poszukiwaniu potwierdzenia i aprobaty, była druga spośród nich, barczysta kobieta o krótko przyciętych włosach. Nosila elementy pancerza na ramionach i nadgarstkach, o wiele lepszej jakości od tych, które mieli na sobie mężczyźni. Była więc ich dowódcą.

Elide zatrzymała się kilka kroków przed nimi i zacisnęła dłoń na pelerynie w miejscu, gdzie znajdowało się serce. Druga jej ręka bawiła się złotym pierścieniem, który, choć był dla Elide bezcennym dziedzictwem rodzowym, innym mógł się zdawać zaledwie pamiątką po kochanku. Przygryzając wargę, obrzuciła niepewnym spojrzeniem żołnierzy oraz tawernę, po czym pociągnęła nosem.

Kobieta w błękitcie zauważyła ją jako pierwsza.

Nie było wątpliwości co do tego, że Elide miała przed sobą prawdziwą piękność. Jej ciemne włosy, splecione w połyskliwy warkocz, spływały po plecach, a złotobrazowa skóra zdawała się mienić wewnętrznym światłem. W oczach połyskiwała życzliwość oraz troska.

Elide uznała tę troskę za zaproszenie i ukloniła się.

– Ja... ja przepraszam, że przeszkadzam... – wykrztusiła.

Jąkanie się zawsze wytrącało ludzi z równowagi, przez co jak ostatni głupcy zapominali o czujności i myśleli tylko o tym, by się wymknąć.

– Czy coś się stało? – spytała Fae lekko zachrypniętym, kuszącym głosem.

Elide zawsze wyobrażała sobie, że w ten sposób mówią wielkie piękności, które uczyniły z głosu lep na mężczyzn. Uśmiechy niektórych spośród jej towarzyszy wskazywały na to, że ich zdążyła już objąć swym czarem.

Dziewczyna przygryzła wargę.

– Ja... eee... no... szukam kogoś. Powiedział, że tu będzie, ale... – Zerknęła na wojowników, znów bawiąc się pierścieniem. – Z-z-

zobaczyłam wasze mundury i po-o-omyślałam, że... że może go znacie.

Wesołość zgasła, a w spojrzeniach zebranych pojawiła się czujność. Piękna Fae w błękitcie spoglądała na nią ze współczuciem, wywołanym przez jąkanie bądź inne spostrzeżenia. Wszak miała przed sobą młodą dziewczynę, która najwyraźniej nadaremnie szukała ukochanego.

– Jak się nazywa? – spytała druga, wyższa kobieta, być może jej siostra, gdyż miała równie ciemną skórę i czarne włosy.

Elide z trudem przełknęła ślinę.

– Prze-e-epraszam, że przeszkadzam – wyjąkała. – Ale wyglądacie na tak m-m-miłych...

Jeden z wojowników mruknął coś o następnej kolejce i wstał. Dwóch innych udało się z nim. Pozostali również mieli na to ochotę, ale zatrzymało ich ostre spojrzenie dowódcy.

– Nie przeszkadzasz. – Piękność machnęła wypielegnowaną dłonią. Była równie drobna jak Elide, ale nosiła się z gracją królowej. – Miałabyś ochotę coś zjeść bądź wypić?

Rozmówcę łatwo było ująć pochlebstwem, bez względu na to, czy miał szpiczaste uszy, czy też okrągłe.

Elide podeszła bliżej.

– Nie, dziękuję. Nie chcę was k-k-kłopotać.

Kobieta rozchyliła lekko nozdrza, gdy Elide znalazła się w zasięgu jej ręki. Bez wątpienia wyczuła długie tygodnie na szlaku, choć nie powiedziała ani słowa, a zamiast tego uważnie przyjrzała się twarzy Elide.

– Jak się nazywa twój towarzysz? – spytała oficer. Jej szorstki głos był przeciwieństwem tego, którym posługiwała się jej siostra.

– Cairn – szepnęła Elide. – Ma na imię Cairn.

Jeden z mężczyzn zaklął, a drugi przyjrzał się dziewczynie od stóp do głów. Kobiety znieruchomiały.

– On s-s-służy k-k-królowej. – Pełen nadziei wzrok Elide przeskakiwał z twarzy na twarz. – Znacie go?

– Znamy – powiedziała oficer z ponurym obliczem. – Jesteś... eee...

Jesteś jego kochanką?

Elide przywołała w pamięci wszystkie krępujące momenty z podróży z trójką mężczyzn – jej krwawienie, tłumaczenie, iż musi się załatwić – by wywołać rumieniec na policzkach.

– Muszę z nim porozmawiać – wykrztusiła. Miejsce pobytu Maeve zamierzała ustalić później.

– Jak masz na imię, dziecko? – spytała piękność nieco zbyt cicho.

– Finnula – skłamała Elide. Tak się nazywała jej piastunka.

– Posłuchaj dobrej rady – rzekł przeciągle jeden z mężczyzn i upił łyk piwa. – Jeśli uwolniłaś się od Cairna, nie szukaj go już.

Oficer smagneła go spojrzeniem.

– Cairna łączy przysięga krwi z naszą królową – napomniała go.

– Co w żaden sposób nie zmienia tego, że jest podłym gnojkiem – odparł wojownik.

Kobieta warknęła tak sugestywnie, że mężczyzna odszedł od stołu, by zamówić kolejne piwo.

Elide skuliła się.

– A więc go znacie? – wyszeptała.

– Miałaś się tu z nim spotkać? – spytała piękność.

Elide pokiwała głową, na co obie kobiety spojrzały po sobie.

– Nie wiemy, gdzie on teraz jest – rzekła oficer.

Kłamstwo. Elide dostrzegła spojrzenia wymienione przez siostry i wyczytała w nich decyzję, by nic jej nie mówić. Nie wiedziała, czy powodem była ochota, by pomóc zwykłej śmiertelniczce, czy też lojalność wobec samego Cairna, a być może nawet wobec wszystkich Fae, którzy grzali łóżka ludzkich kobiet, a potem zapominali o konsekwencjach. Sam Lorcan był owocem takiego związku, porzuconym później na łaskę ulicy.

Na samą myśl o tym Elide miała ochotę zgrzytnąć zębami, ale powstrzymała się.

„Nie okazuj złości – uczyła ją Finnula. – Bądź mądra”.

Postanowiła, że skorzysta z tej rady. Przy następnej tawernie nie

będzie już robić z siebie tak żalostnego widowiska. Nie będzie udawać porzuconej kochanki, która być może nosi dziecko Cairna.

Bo wiedziała już, że będzie musiała udać się do innej tawerny. Jeśli zaś uzyska jakąś odpowiedź, poszuka kolejnego miejsca, by ją potwierdzić.

– A czy... czy w-w-wasza królowa przebywa w mieście? – spytała płaczącym, błagalnym głosem, który drażnił nawet ją samą. – Po-owiedział, że podróżuje u jej boku, a więc jeśli... jeśli jej nie ma...

– Jej Wysokość nie przebywa w mieście – odezwała się wojowniczką ostrym głosem, co oznaczało, że jej cierpliwość się kończy. Elide zgarbiła się, udając rozczarowanie. – I powtórzę to, co ci już powiedziałam. Nie mam pojęcia, gdzie przebywa Cairn.

Maeve nie było w Doranelle. Przynajmniej to udało się jej ustalić. Nie wiedziała, czy przypisać to ich fortelowi, czy być może zwykłemu szczęściu, ale nie miało to znaczenia. Natomiast Cairn...

Cóż, od tych kobiet nie mogła dowiedzieć się już nic więcej.

– Dzie-dzie-dziękuję – wyjąkała, pochylając głowę.

Wycofała się, zanim któraś z kobiet zdołała powiedzieć choć słowo, a potem stanęła przy fontannie, udając, że czeka. Pięć minut, piętnaście... Zegar nad placykiem wybił godzinę. Elide wiedziała, że Fae nadal nie spuszcza jej z oczu. Udając załamana, wręcz zdruzgotana, opuściła plac przez drugą bramę. Z pochyloną głową minęła kilka przecznic, nie zastanawiając się, dokąd zmierza, aż wślizgnęła się na niewielkie podwórko, a tam odetchnęła.

Maeve nie było w Doranelle. Ile czasu mieli?

Musiała znaleźć Cairna, i to jak najszybciej, a więc kolejny pokaz musiał przynieść efekt. Trzeba porzucić płaczącą pozę. Być może nałożyła zbyt wiele czerwieni na twarz?

Wyciągnęła lusterko i przetarła małym palcem czerwoną plamę pod oczami. Niewiele to dało, a więc zwilżyła palec i ponowiła próbę, tym razem z nieco większym powodzeniem. Już miała powtórzyć zabieg, gdy w lusterku pochwyciła jakiś ruch.

Odwróciła się, ale było już za późno. Ciemnowłosa piękność z tawerny stała za nią.

Lorcanowi nigdy dotąd czas nie płynął tak powoli.

Przyglądał się południowej części armii, zmianom wart oraz głównym arteriom wśród namiotów, ale jednocześnie nie spuszczał wzroku z miasta. Jego miasta. Czy też byłego miasta.

Nigdy dotąd, nawet w dzieciństwie, spędzonym wśród cieni Doranelle, nie przyszło mu do głowy, że miasto to kiedyś stanie się twierdzą wroga. Że Maeve, choć chłostała go i karała za każde nieposłuszeństwo bądź zgoła dla zabawy, stanie się dlań wrogiem równie wielkim jak Erawan. A posłanie Elide prosto w jej paszczę... Nadal nie wiedział, dlaczego się na to zgodził.

Gdyby została złapana, nigdy by się o tym nie dowiedział. Wszak nie dysponowała żadną mocą, jeśli nie liczyć bogini na jej ramieniu i owej niezwykłej umiejętności schodzenia innym z oczu. Nie byłoby więc rozbłysku, nie byłoby sygnału, który by mu zdradził, że Elide znalazła się w niebezpieczeństwie.

Nie protestował jednak. Z zapartym tchem patrzył, jak przemierza most, niezatrzymywana przez strażę na obu końcach. Maeve nie pozwalała ludziom i pół-Fae mieszkać w obrębie Doranelle, jeśli nie udowodnili swojej wartości, ale zezwalała na krótkie wizyty.

Potem udał się na zwiad. Wiedział, że Biały Cierń przydzielił mu południowy kraniec armii wroga, bo Elide miała opuścić miasto właśnie przez południowy most. O ile zdoła je opuścić.

Rowan przyglądał się zachodniej i północnej części armii, a Gavriel zajął miejsce nad wschodnim obozowiskiem, nad basenem wokół wodospadów.

Słońce powoli opadało w kierunku odległego morza, gdy powrócili do swego niewielkiego obozu.

- Macie coś? – zagrzmał Rowan.

- Ani śladu Elide. – Lorcan pokręcił głową. – Niczego nie widziałem. Zmiany wart mają miejsce regularnie, ale da się przez nie przeniknąć. W promieniu dziesięciu kilometrów od obozu rozlokowano obserwatorów na drzewach.

Znał niektórych spośród nich. Dowodził nimi. Czyżby teraz byli jego wrogami?

Gavriel zmienił postać i oparł się o głaz, równie zmęczony jak

pozostali.

– Wschodniej części armii strzegą powietrzne patrole, a warty sięgają aż do skraju lasu.

Rowan wsparł się na pniu wysokiej sosny i założył ramiona na piersi.

– Jakie ptaki widziałeś?

– Głównie drapieżne – odpowiedział Lew.

Innymi słowy, znakomicie wyszkoleni żołnierze, którzy zawsze byli najlepszymi zwiadowcami.

– Nie rozpoznałem nikogo z twego rodu – dodał Gavriel.

Co oznaczało, że albo wszyscy przebywali teraz w Terrasenie, albo zostali zamknięci przez Maeve. Rowan potarł dłonią szczękę.

– Obóz po zachodniej stronie miasta również jest dobrze strzeżony. Ten od północy nieco słabiej, ale wyręczają ich wilki na przełęczach.

Nie było sensu rozprawiać o celach, dla których Maeve zgromadziła tę armię, ani też o kierunku, w którym miała się udać. Nie chcieli rozmawiać o tym, czy porażka Maeve u brzegów Eyllwe mogłaby ją pchnąć w kierunku sojuszu z Morath, w wyniku czego ta armia miałaby pomóc w zniszczeniu Terrasenu.

Lorcan omiół wzrokiem porośnięte lasem zbocze i wyteżył słuch w nadziei, iż wychwyci trzask pękających gałęzek bądź szuranie liści.

„Pół godziny” – obiecał sobie. Odczeka pół godziny i ruszy w dół.

Zmusił się, by wysłuchać Rowana i Gavriela, wyluszczających strategię przeniknięcia do każdego z obozów oraz ucieczki z nich. Zmusił się też do udziału w rozmowie. Wspólnie naradzali się nad możliwymi sposobami dostania się do Doranelle i opuszczenia miasta bez ściągania na siebie całej armii. Armii, którą niegdyś dowodzili. Nikt nie zająknął się o tym ani słowem, ale Gavriel wciąż zerkał na swoje tatuaże. Ilu wojownikom Fae będą musieli odebrać życie, zanim się przebiją? Ilu z nich padnie od ich własnych mieczy?

Słońce zbliżało się do horyzontu. Lorcan zerwał się i chodził teraz to w jedną, to w drugą stronę.

Za długo. To wszystko za długo już trwało.

Pozostali również umilkli. Wpatrywali się w leżące w dole miasto. Czekali.

Dłonie Lorcana nagle przeszył dreszcz i z całej siły zacisnął je w pięści. Pięć minut. Rusza za pięć minut i niech szlag trafi Aelin Galathynius oraz ich plan. Aelin szkolono, by wytrzymywała tortury, a Elide... Doskonale pamiętał blizny pozostawione przez kajdany. Widział jej okaleczoną kostkę i stopę. Zniosła już o wiele za dużo cierpienia, o wiele za dużo grozy. Nie mógł pozwolić na to, by przytrafiło się jej jeszcze coś złego...

Nagle rozległ się trzask gałązki. Lorcan błyskawicznie złapał za miecz, Rowan jedną ręką poderwał topór, a drugą pochwycił nóż, Gavriel również dobył broni. Potem usłyszeli umówiony gwizd, a wtedy kolana Lorcana ugięły się, jakby nie były już w stanie wytrzymywać jego ciężaru, i wojownik opadł na głaz. Gavriel odpowiedział cichym gwizdem, za co Lorcan był mu głęboko wdzięczny. Nie miał pojęcia, czy pozostała mu choć odrobina tchu.

Elide pojawiła się chwilę później, zdyszana, z policzkami zaróżowionymi w chłodnym, nocnym powietrzu.

– Co się stało? – spytał Biały Cierń.

Lorcan przyjrzał się jej twarzy i sylwetce. Wszystko było w porządku. Nie widział żadnych obrażeń. Nikt jej nie ścigał.

Elide spojrzała mu w oczy, niepewnie, czujnie.

– Spotkałam kogoś – odparła.

Patrząc na piękną Fae, która stała przed nią w ciemnym zaułku, Elide uznała, że czeka ją śmierć. Lub w najlepszym przypadku zostanie wydana Maeve.

Poprzysięgła sobie w głębi duszy, że zrobi wszystko, co w jej mocy, by znieść niechybne tortury i utrzymać kryjówkę towarzyszy w tajemnicy, nawet jeśli rozszarpia jej ciało na strzępy.

Kobieta uniosła delikatną dłoń.

– Chcę tylko porozmawiać. Na osobności.

Wskazała jej metalową wiatę, osłaniającą wejście do kamienicy, znajdujące się kilkanaście kroków dalej. Mogły się tam ukryć przed

ciekawskimi spojrzeniami zarówno z ziemi, jak i z powietrza.

Nieznajoma ruszyła w tym kierunku, a Elide podążyła za nią, na wszelki wypadek zacisnąwszy dłoń na rękojeści ukrytego w kieszeni noża. Fae, która na pierwszy rzut oka nie nosiła żadnej broni, niespiesznie szła przodem, ale gdy zatrzymały się w cieniu wiaty, raz jeszcze uniosła dłoń. Między jej palcami zatańczyły złociste płomienie.

Elide cofnęła się, ale ogień znikł równie szybko, jak się pojawił.

– Mam na imię Essar – powiedziała cicho nieznajoma. – Jestem przyjaciółką... Cóż, myślę, że przyjaciółką twoich przyjaciół.

Elide nie odpowiedziała.

– Cairn to potwór. – Essar zbliżyła się o krok. – Trzymaj się od niego z daleka.

– Muszę go odnaleźć.

– Znakomicie odegrałaś rolę odtrąconej przez niego kochanki. Na pewno wiesz coś o nim. O tym, czym się zajmuje.

– Jeśli wiesz, gdzie on jest, powiedz mi, proszę! – Elide była gotowa błagać.

Essar omiotła ją wzrokiem, a potem rzekła:

– Do wczoraj był w mieście. Potem udał się do wschodniego obozu.
– Wskazała kciukiem kierunek. – I nadal tam przebywa.

– Skąd wiesz?

– Bo nie terroryzuje klientów każdego przyzwoitego lokalu w tym mieście, upijając się i obzerając za pieniądze, które dostał od Maeve za złożenie przysięgi krwi.

Elide zamrugnęła. Miała nadzieję, że niektórzy Fae mogą być niechętni Maeve, zwłaszcza po bitwie w Eyllwe, ale nie spodziewała się tak nieskrywanej wrogości.

– Wiem to również od mojej siostry – dodała Essar. – Tej oficer, z którą rozmawiałeś. Widziała go dziś rano w obozie. Uśmiechał się jak kot.

– A dlaczego mam ci niby uwierzyć?

– Bo masz na sobie koszulę Lorcana i płaszcz Rowana. Jeśli sama mi nie wierzysz, przekazaj im, od kogo się tego dowiedziałeś, a oni

z pewnością mi uwierzą.

Elide przechyliła głowę na bok.

– Swego czasu łączyło mnie coś z Lorcanem – powiedziała cicho Essar.

Znajdowali się w samym środku wojny i przebyli tysiące kilometrów, by odnaleźć swą królową, a mimo to Elide poczuła ucisk w żołądku. Kochanka Lorcana. Ta delikatna piękność o zmysłowym głosie była kiedyś kochanką Lorcana.

– Muszę wracać, bo za moment moi towarzysze zaczną się zastanawiać, co się ze mną stało. Przekaż swoim przyjaciółom, kogo spotkałaś. Powiedz im, co usłyszałaś ode mnie. Jeśli szukają Cairna, zastaną go tam, w obozie, choć nie wiem, w którym miejscu dokładnie.

Essar cofnęła się o krok.

– I nie rozpytuj o Cairna po innych tawernach – dodała. – Nie jest otaczany wielkim szacunkiem, nawet wśród żołnierzy, a ci, którzy stanowią jego najbliższe otoczenie... Cóż, nie chcesz ściągać na siebie ich uwagi.

Essar chciała się odwrócić, ale Elide wypaliła:

– Dokąd udała się Maeve?

Kobieta spojrzała przez ramię. Otworzyła szerzej oczy.

– Ona więzi Aelin Dziki Ogień – szepnęła.

Elide nie powiedziała ani słowa, ale Essar dodała szeptem:

– A więc to była ona. Ta fala magii, którą poczuliśmy tamtej nocy...

Zbliżyła się do Elide i złapała ją za rękę.

– Nie wiem, dokąd udała się Maeve kilka dni temu. Nie ogłosiła swojej woli, nikogo też ze sobą nie wzięła. Często jej służę i jestem proszona, by... Nieważne zresztą. Ważne jest to, że Maeve tu nie ma. Nie mam jednak pojęcia, kiedy powróci.

Elide zalała ulga tak wielka, iż o mało nie osunęła się na ziemię. Wyglądało na to, że bogowie jeszcze ich nie porzucili. Niemniej jeśli Maeve zabrała Aelin do owego fortu, którego nazwę powtarzali, rozprawdzając kłamstwa o złapanym księciu Valgów...

Elide złapała Essar za dłonie. Były ciepłe i suche.

– Czy twoja siostra wie, gdzie dokładnie przebywa Cairn w tym obozie?

Rozmawiały jeszcze przez kilka długich chwil. Z minut zrobiła się godzina, aż Essar odeszła, by powrócić z Dresendą, swą siostrą. W ciemnym zaułku powstał plan działania.

Elide przedstawiła Rowanowi, Lorcanowi i Gavrielowi całą opowieść. Oszołomieni mężczyźni milczeli przez dłuższą chwilę.

– Tuż przed świtem – powtórzyła Elide. – Dresenda powiedziała, że tuż przed świtem straż pilnujące wschodniego obozu nie przykładają się już do obowiązków. Obiecała też, że znajdzie im wtedy coś do roboty. To nasza jedyna furtka.

Rowan wpatrywał się w drzewa, jakby mógł stąd ujrzeć rozkład namiotów w obozie i zaplanować wejście i wyjście.

– Nie potwierdziła jednak, że Aelin jest trzymana w namiocie Cairna – ostrzegł ich Gavriel. – Niewykluczone, że Maeve zabrała ją ze sobą.

– Musimy zaryzykować – rzekł Rowan.

Elide spojrzała na Lorcana, który milczał od dłuższego czasu. Nie odzywał się, choć pomoc przysłała ze strony jego byłej kochanki, być może zesłanej przez samą Anneith, a na pewno zaintrygowanej wonią ubrań Elide.

– Myślisz, że możemy jej zaufać? – Dziewczyna zwróciła się do Lorcana, choć znała odpowiedź.

Fae przeniósł na nią spojrzenie ciemnych oczu.

– Tak, choć nie widzę powodu, dla którego miałyby się tak poświęcać.

– Ma dobre serce, a to wystarczy – rzekł Rowan. – Essar odwiedziła wiosną Mistward – wyjaśnił, widząc uniesione brwi Elide. – Spotkała się z Aelin. – Smagnął spojrzeniem Lorcana i dodał: – I poprosiła mnie, bym ci przekazał pozdrowienia.

Elide nie odkryła w Essar ani krzty cynizmu, ale musiała przyznać, iż była nie lada piękną, a do tego kobietą mądrą i wrażliwą. A Lorcan najwyraźniej ją porzucił.

- Jeśli mamy ruszyć na wschodni obóz – przerwał im Gavriel – musimy szybko ułożyć plan i zająć pozycje. Przecież to kilka kilometrów stąd.

Rowan spojrział w stronę odległego obozowiska.

- Jeśli się zastanawiasz, czy nie polecieć tam pod postacią ptaka – warknął Lorcan – to znaczy, że jesteś głupi i zasługujesz na to, co prędzej czy później twa własna głupota na ciebie ściągnie.

Rowan obnażył kły, ale Lorcan mówił dalej:

- Wchodzimy tam wszyscy. I wszyscy wychodzimy.

Elide skinęła głową, zgadzając się z nim po raz pierwszy, na co Lorcan niemalże zeszywniał z zaskoczenia.

Rowan doszedł do tego samego wniosku, gdyż ukucnął i wbił nóż w porośniętą mchem ziemię.

- Oto namiot Cairna – rzekł, a potem sięgnął po szyszkę. – To zaś będzie południowe wejście do obozu.

Rozpoczęli planowanie.

Rowan rozstał się z resztą grupy godzinę temu, rozesławszy wszystkich na pozycje. Plan ostatecznie wyglądał inaczej – nie wchodzili wszyscy.

Rowan miał przeniknąć do wschodniego obozu przez wejście znajdujące się na południu. Gavriel i Lorcan mieli czekać na jego sygnał przy wschodnim wejściu, ukryci w lesie rosnącym za łagodnymi, trawiastymi wzgórzami. Uzgodnili, że gdy Biały Cierń wypuści magiczny rozbłysk, obaj rozpętają piekło, co ściągnie uwagę żołnierzy. Rowan będzie miał wówczas sposobność, by skoczyć po Aelin. Elide miała na nich czekać w lesie albo uciekać, jeśli wszystko źle się potoczy.

Protestowała, ale nawet Gavriel zwrócił jej uwagę na to, że jest śmiertelniczką i nie potrafi walczyć. To, czego dokonała tego dnia... Rowan nie był w stanie wyrazić swej wdzięczności za jej poświęcenie.

Ufał Essar, nieoczekiwanej sojuszniczce, którą pozyskała dla nich Elide. Kobieta nigdy nie przepadała za Maeve i mówiła wprost, iż nie służy jej z ochotą ani dumą. Niemniej do świtu brakowało jeszcze

paru godzin i tyle rzeczy mogło się zwrócić przeciwko nim...

Maeve nie było w Doranelle. Przynajmniej to jedno się udało.

Rowan czuwał na stromych wzgórzach nad południowym wejściem do obozu. Bez trudu przemknął między strażnikami przyczajonymi na drzewach, tym bardziej że wywołany przez niego wiatr rozwiął jego zapach.

Na trawiastej równinie rozciągał się migoczący setkami ognisk obóz wojskowy.

Musiała tam gdzieś być. Aelin na pewno tam była.

Pokonali tak długą drogę i dotarli tak blisko. Nigdy by sobie nie wybaczył, gdyby to właśnie za ich sprawą Maeve zabrała Aelin z Doranelle.

Rowan odepchnął ponurą myśl od siebie. Więź łącząca go z Aelin pozostawała ciemna i uśpiona. Nie wyczuwał jej bliskości.

Essar nie miała pojęcia, że Aelin jest trzymana w niewoli, a uświadomiło jej to dopiero spotkanie z Elide. Kto jeszcze o tym nie wiedział? Jak dobrze Maeve ją ukryła?

Jeśli Aelin nie było w obozie, dorwą przynajmniej Cairna i wyciągną co nieco od niego. Poczestują go tym, co sam serwuje innym...

Rowan odepchnął od siebie również tę myśl. Nie chciał rozmyślać nad tym, co jej robiono.

Zastanowi się nad tym jutro, gdy ujrzy Cairna. Gdy odpłaci mu za każdą chwilę jej cierpienia.

Gwiazdy nad jego głową błyszczały jasno i choć Mała jak dotąd ukazała mu się tylko raz, i przypuszczalnie była jedynie osobliwą, potężną istotą z innego świata, pomodlił się do niej.

Za pierwszym razem poprosił Małą, by chroniła Aelin przed Maeve, gdy wchodzili do Doranelle, by ją prowadziła i użyczyła jej sił, by pozwoliła jej wyjść stąd żywą. Błagał ją, by pozwoliła mu pozostać z Aelin, kobietą, którą kochał. Bogini nie wydawała się bardziej zauważalna od słonecznego promienia o świcie, ale mimo to poczuł, jak się do niego uśmiecha.

Dziś, choć towarzyszyły mu jedynie zimne gwiazdy, zwrócił się do

niej raz jeszcze.

Podmuch wiatru posłał jego modlitwę ku gwiazdom i wąskiemu księżycowi, który zalewał obóz, rzekę i góry srebrnym blaskiem.

Wyrąbywał sobie drogę przez świat. Nie był w stanie spamiętać, ile razy ruszał na wojnę i jak często z niej wracał. Mimo to, mimo wściekłości, rozpacz i lodu, które władały jego sercem, zdołał odnaleźć Aelin. Każdy horyzont, na który spoglądał, każda góra, którą widział, i każdy ocean, który budził w nim myśl, co się kryje dalej, były nią. Przez stulecia nie potrafił ani też nie chciał odpocząć, bo czekał. Wszystko, z czym się spotykał, było Aelin, cichym wezwaniem więzi miłosnej, nawet jeśli jeszcze jej nie czuł.

We dwoje szli tą mroczną ścieżką z powrotem ku światłu. Nie chciał, by jego droga skończyła się tutaj.

Crochan ją ignorowały. Nie zwracały też uwagi na Trzynastkę. Tu i ówdzie rozległo się wprawdzie kilka wyszczanych obelg, ale wystarczyło spojrzenie Manon, by żadna z wiedźm nie odważyła się podnieść zaciśniętej pięści.

Crochan pozostały w obozie przez tydzień, zajmując się swymi rannymi, więc Manon i pozostałe tkwiły tam wraz z nimi, ignorowane i znienawidzone.

– Co to za miejsce? – Manon zwróciła się do Glennis, polerującej drąg swej obwiązanej złotym drutem miotły. Dwie inne Crochan leżały na płaszczu nieopodal. Wiedźma o statusie Glennis, zajmująca się zwykłymi czynnościami, była doprawdy osobliwym widokiem.

– To obóz z dawnych czasów. Jeden z najstarszych, jakie mamy. – Sękaty palec Glennis przesuwający się zwinnie po drągu. – Każde z siedmiu Wielkich Palenisk ma tu swój ogień, a oprócz tego jest też wiele innych.

W istocie w obozowisku płonęło o wiele więcej ognisk.

– Zaczęłyśmy się tu zbierać po wojnie – ciągnęła stara wiedźma. – Tutaj też rozpoczyna się rytuał przejścia w dorosłość dla naszych młodszych wiedźm. Wysyłamy je w dzicz, uzbrojone jedynie w noże i miotły, gdzie mają przetrwać kilka tygodni, a same czekamy na nie tutaj.

– Wiesz, na czym polega nasz rytuał inicjacji? – spytała cicho Manon.

Twarz Glennis ściągnęło napięcie.

– Wiem. Wszystkie to wiemy.

Do którego paleniska należała wiedźma, którą Manon zabiła, gdy ukończyła szesnaście lat? Co zrobiła jej babka z sercem Crochan, które przywiozła do Twierdzy Czarnodziobych, ubrana w czerwony płaszcz będący jej trofeum? Zdusiła te pytania w sobie i zagadnęła:

– Kiedy ruszacie do Eyllwe?

– Jutro. Najciężej ranne spośród nas doszły do siebie na tyle, by mogły ruszyć w podróż bądź... Cóż, bądź przetrwać tu samotnie.

Manon poczuła ucisk w żołądku, ale odepchnęła od siebie żal. Wtedy Glennis podała jej miotłę obwiązaną zwykłym drutem.

– Polecisz z nami na południe?

Manon ujęła miotłę i przesunęła dłonią po gładkim drewnie. Wiatr szeptał jej do ucha o ostrych, zdradliwych prądach, które śmigały między szczytami. Wraz z Trzynastką podjęły decyzję już kilka dni temu. Skoro Crochan leciały na południe, im również przypadał ten sam kierunek, nawet jeśli każdy mijający dzień przybliżał śmierć jej przyjaciół na północy.

– Polecimy z wami – powiedziała Manon.

Glennis pokiwała głową.

– Ta miotła należy do ciemnowłosej więdźmy o imieniu Karsyn – powiedziała i ruchem głowy wskazała namioty za plecami Manon. – Pełni straż przy waszych wywernach.

Dorian uznał, że nie potrzebuje miejsca do ćwiczeń. I całe szczęście, bo w obozie Crochan nie można było liczyć na żadną prywatność. Na zewnątrz obozu również, bo każdy jego krok śledziły bystrookie wartowniczkę. Z tego właśnie powodu siedział przy palenisku Glennis w towarzystwie rudowłosej Vesty, która na wpeł drzemała z nudów.

– Mam wrażenie, że cała ta sztuka zmiany postaci to jakaś koszmarna strata czasu – burknęła, ziewając po raz dziesiąty w ciągu godziny. Białą dłonią wskazała zaimprovizowany ring, gdzie Trzynastka szkolila swe ciała i instynkty. – A mógłbyś poćwiczyć z Lin – dodała.

– Właśnie widziałem, jak Lin o mało nie wbiła kopniakiem zębów Imogen prosto w jej gardło. Wybacz, ale nie mam specjalnej ochoty stawać naprzeciwko niej.

Vesta uniosła ciemną brew.

– Czyli nie będziesz się pysznił i nadymał jak typowy mężczyzna?

– Chciałbym, by moje zęby pozostały tam, gdzie są – westchnął Dorian. – A poza tym próbuję się skupić.

Żadna z wiedźm, nawet Manon, nie wypytywała go, dlaczego trenował z takim zacięciem. Wspomniawszy przelotnie jakiś tydzień temu, że po wymianie zdań z pajęczycą zaczął się zastanawiać, czy aby jego surowa magia nie mogłaby mu pomóc w zmianie postaci. Wiedźmy były zainteresowane tylko Crochan oraz wyprawą do Eyllwe, która mogła rozpocząć się lada dzień.

Nie docierały do niego żadne wieści o formowaniu się armii Crochan, ale gdyby dzięki nim siły Morath przesunęły się nieco bardziej na południe, by się z nimi rozprawić, gdyby wiedźmy przyciągnęły uwagę Erawana w chwili, gdy Dorian zapuścił się do warowni króla Valgów, uznałyby to za sprzyjającą okoliczność.

Podzielił się już z Manon i Glennis wszystkim, co wiedział o Eyllwe i rządzącej nią rodzinie, rodzicach Nehemii oraz jej dwóch młodszych braciach. Armia adarlańska parokrotnie zdziesiątkowała siły Eyllwe, a więc nie było większych nadziei, że ta kraina zatrzyma Morath, ale gdyby zebrali choć kilka tysięcy zbrojnych i ruszyli na północ, byłby to nieoczekiwany uśmiech losu dla ich przyjaciół. Być może pomogłoby im przeżyć tę wojnę, a nic innego się nie liczyło.

Dorian zamknął oczy, a Vesta zamilkła. Uczestniczyła w jego próbach od kilku dni, gdy tylko pozwalały jej na to loty zwiadowcze i treningi z resztą Trzynastki, i wypatrywała jakichkolwiek sukcesów. Czekala, aż Dorian zmieni kolor włosów, skóry czy oczu, ale nic takiego nie nastąpiło.

Jego magia zaledwie dotknęła skradzionej mocy zmienności i ledwie ją poznała, nim Dorian zabił pajęczycę. Teraz musiał przekonać własną magię, by stała się taka jak moc pajęczycy. Nie miał pojęcia, czy ktokolwiek władający surową magią kiedykolwiek tego dokonał.

„Stań się tym, kim chcesz” – powiedziała mu Cyrene.

Dorian chciał stać się nikim.

Mimo to bez przerwy wnikał w swe wnętrze, w każdy jego pusty zakątek, w każdą szczelinę. Wiedział, że wystarczy, jeśli będzie to robił dość długo, a zdoła opanować sztukę zmieniania postaci. Wówczas wślizgnie się do Morath i znajdzie trzeci Klucz, a potem poświęci siebie – wszystko, czym jest i czym był – dla Zamka i Bramy.

A wtedy wszystko dobiegnie końca, zarówno dla Erawana, jak i dla

niego.

Nawet gdyby na tronie miał zasiąść Hollin, który również został spłodzony przez człowieka nawiedzonego przez Valga. Czy demon przekazał jego bratu jakieś cechy? Hollin miał paskudne usposobienie. Czy był człowiekiem?

Na pewno nie zabił własnego ojca. Nie zniszczył zamku. Nie pozwolił, by Sorscha zginęła.

Dorian nie miał odwagi zadać tych pytań Damaris. Nie był pewien, czy chce słyszeć, jak miecz odsłania przed nim prawdę o nim samym.

Spoglądał więc w głąb siebie, tam, gdzie płynęła jego magia, gdzie stawała się ogniem, wodą, lodem i wiatrem. Wywierał na nią nacisk ze wszystkich sił, ale pomimo wszelkich wysiłków, bez względu na to, jak intensywnie wyobrażał sobie brązowe włosy, jaśniejszą skórę czy piegi, nic się nie działo.

Manon zrozumiała aluzję i przyjęła propozycję, a wraz z nią trzy miotły dla innych wiedźm.

Nie, sam lot do Eyllwe nie wystarczy. Będzie musiała dowiedzieć się jak najwięcej o każdej z nich.

Asterin, która przyglądała się rozmowie, siedząc po przeciwnej stronie ogniska, podniosła się i zrównała z Manon, biorąc od niej pozostałe dwie miotły.

– Całkiem zapomniałam, że one lubią drewno sekwoi – powiedziała, przyglądając się drągom. – O wiele łatwiej je formować niż żelazne drzewo.

Manon nadal dobrze pamiętała ból dłoni po tym, jak wyciosała pierwszą miotłę z kłody żelaznego drzewa znalezionej w głębi Dębowej Puszczy. Pierwsze dwie próby skończyły się pęknięciem drąga i do trzeciej podeszła z większą ostrożnością. Trzy próby, każda dla jednego z obliczy Bogini.

Miała wówczas trzynaście lat i upłynęło dopiero kilka tygodni od jej pierwszego krwawienia, co uwolniło w niej nową moc, która zdawała się wzywać ją ku niebu, która przepływała przez jej ramiona i wnikała w miotłę. Każde przesunięcie struga i każde uderzenie młotka przekształcało kloc niemalże niezniszczalnego drewna w miotłę

i jednocześnie przekazywało doń moc młodej wiedźmy.

– Gdzie zostawiłaś własną? – spytała Manon.

– Gdzieś w twierdzy Czarnodziobych. – Asterin wzruszyła ramionami.

Manon pokiwała głową. Jej własna leżała porzucona z tyłu szafy w siedzibie jej babki. Wrzuciła ją tam po zniknięciu magii, bez której miotły mogły już służyć tylko do sprzątanía.

– Już ich chyba nie odzyskamy – rzekła Asterin.

– Nie ma mowy. – Manon spojrzała na nią. – Jutro ruszamy z Crochan do Eyllwe na spotkanie z zastępami ludzi, które tam na nie czekają.

Asterin zacisnęła usta.

– Może przekonamy ich wszystkich, zarówno Crochan, jak i oddziały z Eyllwe, by ruszyli na północ.

Może. Jeśli dopisze im szczęście. Jeśli nie zmarnują zbyt wiele czasu, gdy Erawan będzie rozbijał Północ w pył.

Dotarły do pierwszej z wiedźm, wskazanych przez Glennis. Asterin nie powiedziała ani słowa, gdy Manon gestem nakazała jej podać Crochan miotłę. Ta zmarszczyła nos z obrzydzeniem i ujęła miotłę dwoma palcami.

– Teraz będę musiała ją porządnie wyczyścić – rzekła.

Asterin obdarzyła ją krzywym uśmiechem, który oznaczał, że z wielką prędkością zbliżają się problemy. Manon pospiesznie trąciła swą zastępczynię i razem udały się na poszukiwanie pozostałych.

– Naprawdę myślisz, że to warte zachodu? – mruknęła Asterin po tym, jak druga, a następnie trzecia wiedźma również powitały je szyderstwami. – Odgrywanie służących wobec tych rozpieszczonych księżniczek?

– Mam nadzieję – odpowiedziała równie cicho Manon, gdy podchodziły do Karsyn.

Ciemnowłosa Crochan wpatrywała się w wywerny.

Asterin odkaszlnęła, a Crochan odwróciła się ku nowo przybyłym. Jej twarz o oliwkowej cerze stężała na ich widok, wiedźma jednak nie

syknęła ani nie powitała ich drwiną. Asterin, przeświadczona o tym, że misja dobiegła końca, odwróciła się, ale Manon powiedziała:

– To nie to samo co miotły. Wywerny są szybsze i bardziej niebezpieczne, ale trzeba je karmić i poić.

W zielonych oczach Karsyn dostrzegła czujność, ale też zaciekawienie. Zerknęła raz jeszcze na wywerny, wtulone w siebie dla ochrony przed zimnem. Błękitna klacz Asterin opierała się o bok Abraxosa, który nakrył ją skrzydłem.

– To dzieło Erawana – ciągnęła Manon. – Nie wiemy, w jaki sposób je stworzył, ale najprawdopodobniej sięgnął po jakąś prastarą metodę i powołał je do życia tak jak przed wiekami. – Wywern w Adarlanie nikt bowiem nie widział od setek lat. – Zamierzał wyhodować horde bezmyślnych zabójców, ale niektóre spośród nich okazały się inne – dodała Manon.

Asterin nie odzywała się ani słowem.

– Twoja przypomina bardziej psa niż cokolwiek innego – rzekła w końcu Karsyn.

„To nie zniewaga – napomniała się Manon. – Przecież Crochan trzymały dla zabawy psy i ubóstwiały je, zupełnie jak ludzie”.

– Ma na imię Abraxos – rzekła. – I jest... no, inny.

– Tworzy parę z tą niebieską?

– Że co? – Asterin aż podskoczyła.

Crochan wskazała na błękitną klacz, wtuloną w Abraxosa.

– Jest od niej mniejszy, ale okazuje jej wiele uczucia. Trąca ją nosem, gdy nikt nie patrzy.

Manon wymieniła spojrzenia z Asterin. Ich wierzchowce nieustannie ze sobą flirtowały, ale żeby spółkować...

– Ciekawe – wykrztusiła Manon.

– Nie wiedziałyście, że one robią takie rzeczy? – Karsyn zmarszczyła brwi.

– Wiedziałyśmy, że są rozmnażane – wykrztusiła Asterin. – Ale jak dotąd nie widziałyśmy, by robiły to z własnego wyboru.

– Z miłości – powiedziała Crochan, a Manon niemalże wywróciła

oczami. – Bo te potwory, choć stworzył je władca mroku, są zdolne do miłości.

Manon uznała to za bzdurę, ale mimo to w słowach Karsyn musiało tkwić ziarnko prawdy.

– Jak masz na imię? – zapytała, choć już знаła odpowiedź.

Wtedy w oczach Karsyn błysnęła czujność, jakby nagle przypomniała sobie, z kim rozmawia i że inne wiedźmy mogą to zauważyć.

– Dzięki za miotłę – rzuciła, po czym odmaszerowała między namioty.

Cóż, przynajmniej jedna Crochan chciała z nimi porozmawiać. Być może podczas podróży do Eyllwe stworzy się więcej podobnych okoliczności, nawet jeśli każda mijająca godzina będzie jej ciążyła coraz bardziej.

„Pędź na północ! – śpiewał jej wiatr dzień i noc. – I spiesz się, Czarnodzioba”.

Po odejściu Karsyn Asterin stała jeszcze chwilę i wpatrywała się w Abraxosa i Narene, drapiąc się po głowie.

– Naprawdę myślisz, że one... no... spółkują?

Abraxos uniósł głowę, która spoczywała na grzbiecie Narene, i spojrzał na nie, jakby chciał powiedzieć: „Dopiero teraz się zorientowałyście?”.

– Na co mam patrzeć? – spytała Manon, mrużąc złociste oczy. Siedziała obok Doriana w ich ciasnym namiocie, a na zewnątrz wiał wiatr.

– Na moje tęczęwki – odparł król. – Powiedz mi, czy zmieniają kolor.

– Naprawdę aż tak bardzo zależy ci, by nauczyć się zmiany postaci? – warknęła wiedźma.

– Wystarczy, jeśli będziesz patrzeć – mruknął Dorian i sięgnął po swą magię.

„Brązowe. Zmieniają się z niebieskich w brązowe”.

Kłamca. Doszedł do wniosku, że ukrywając przed Manon swe prawdziwe zamiary, stawał się kłamcą i nie potrzebował wcale Damaris, by to wiedzieć. Liczył się jednak z tym, że Manon zabroni mu wyprawy do Morath.

Ba, istniała o wiele gorsza ewentualność. Manon mogła chcieć udać się tam z nim!

Wiedźma zmierzyła go spojrzeniem, po którym ktoś, kto jej nie znał, rzuciłby się do ucieczki.

– Nadal są niebieskie.

Na bogów, ależ ona była piękna. Dorian zadał sobie pytanie, kiedy takie myśli przestaną sprawiać wrażenie zdrady. Nabrał tchu, by skupić się ponownie, ignorując szepty obu Kluczy w kieszeni kurtki.

– Powiedz mi, czy zauważasz jakiegokolwiek zmiany.

– Czy ta sztuka jest tak odmienna od twojej magii?

Dorian wyprostował się i wsparł na cofniętych w tył rękach, szukając słów, które mogłyby to wyjaśnić.

– Nie przypomina to innych rodzajów magii, które po prostu płyną w krwi i potrzebują zaledwie krótkiej, urwanej myśli, by przekształcić płomień w lód – powiedział.

Manon przyglądała mu się z lekko przechyloną głową. Zauważył podobne zachowanie u wyvern, na ogół tuż przed tym, zanim zdecydują się pożreć w całości kozę.

– A który żywioł lubisz najbardziej?

Nie zdarzało się, by zadawała mu osobiste pytania, choć przez ostatni tydzień spędzili mnóstwo czasu, kotłując się wśród koców w ich niewielkim, ciepłym namiocie.

Nigdy nie miał takiej kobiety jak ona, a czasami przychodziło mu do głowy, iż Manon być może nigdy nie miała takiego mężczyzny jak on. Widział, że często odnajdywała rozkosz w chwilach, gdy on przejmował kontrolę, a jej ciało wiło się pod nim.

Niemniej spędzone wspólnie długie godziny nie wytworzyły między nimi intymności. Stanowiły jedynie błogosławioną chwilę zapomnienia. Wmówił sobie, że cieszy się z tego, choć wiedział, że nie skończy się to dobrze dla żadnego z nich.

- Najbardziej lubię lód – przyznał po chwili, uświadomiwszy sobie, że cisza się przeciąga. – To pierwszy żywioł, który uwolniłem. Nie wiem dlaczego.

- Nie jesteś zimnym człowiekiem.

- To profesjonalna opinia? – Dorian uniósł brew.

- Bywa, że ogarnia cię wściekłość. – Manon wpatrywała się w niego. – Zwłaszcza, gdy twoi przyjaciele znajdują się w niebezpieczeństwie. Ale nie masz zimnego serca. Widziałam niejednego zimnego mężczyznę. Nie jesteś taki jak oni.

- Ty też nie – rzekł cicho.

Nie powinien był tego mówić.

Manon zeszywniała i uniosła podbródek.

- Liczę sobie sto siedemnaście lat – powiedziała bez emocji. – Większość życia upłynęła mi na zabijaniu. Nie próbuj sam siebie przekonywać, że wydarzenia ostatnich kilku miesięcy są w stanie to wymazać.

- Wmawiaj sobie to dalej – mruknął Dorian. Wątpił, żeby ktokolwiek wcześniej rozmawiał z wiedźmą tak śmiało. Cieszył się z tego, że jemu uszło to na sucho i nie poczuł jej kłów na swym gardle.

- Jesteś głupcem! – warknęła mu prosto w twarz. – Jesteś głupcem, jeśli wierzysz w to, że moje królewskie pochodzenie w jakikolwiek sposób umniejsza fakt, iż zabiłam dziesiątki Crochan.

- Fakt pozostanie faktem. Znaczenie ma tylko to, jak go wykorzystasz.

Podobnie odezwała się do niego Aelin po tym, jak uwolniono go z naszyjnika. Wolał nie zastanawiać się nad tym, czy niebawem znów nie poczuje zimnego dotyku Kamienia Wyrda na swej szyi.

- Nie jestem Crochan o miękkim sercu i nigdy nią nie będę, nawet gdy przywdzieję ich koronę z gwiazd.

Przez ostatnie dni bez przerwy słyszała, jak Crochan szepczą na ten temat. Wiedźmy w czerwonych płaszczach zastanawiały się, czy uda się ją wreszcie odnaleźć. Korona z gwiazd Rhiannon Crochan została skradziona przez Babę Żółtonogą, zanim królowa wyzionęła ducha,

ale co się z nią stało po tym, jak Aelin zabiła Matronę, Dorian nie miał bladego pojęcia. Jeśli pozostała w którymś z wozów owej osobliwej trupy cyrkowej, mogła być teraz wszędzie. Mogła zostać sprzedana na pniu za garstkę złota.

– Jeśli Crochan oczekują, że stanę się kimś takim, nim wesprą nas w wojnie – ciągnęła Manon – jutro pozwolę im lecieć do Eyllwe bez nas.

– Czy okazywanie uczuć i troski naprawdę jest takie złe? – spytał Dorian, choć bogowie jedni wiedzieli, jak bardzo sam tego próbował.

– Ja nie wiem, jak to się robi! – warknęła Manon w odpowiedzi.

Śmieszne słowa. A do tego kompletne kłamstwo. Dorian nie miał pojęcia, co go do tego skłania – może duże prawdopodobieństwo, że w Morath znów założą mu naszyjnik, a może świadomość, iż sam jest królem, który porzucił królestwo na pastwę wroga – ale odezwał się ponownie:

– Potrafisz się troszczyć o innych i sama dobrze o tym wiesz. To dlatego właśnie tak bardzo się wszystkiego boisz.

W jej złotych oczach pojawiła się wściekłość, ale nie odezwała się ani słowem.

– Troska czy inne uczucia nie czynią cię słabą – dodał.

– To dlaczego sam nie skorzystasz z własnej rady?

– Ja umiem się troszczyć – warknął Dorian, którego gniew dorównywał już emocjom wiedźmy. Nagle uznał, że najwyższy czas, by wszystko to trafił szlag. Że pora zerwać smycz, którą sam sobie nałożył. Że pora uwolnić się od wszelkich ograniczeń. – Zależy mi bardziej, niż powinno. Nawet na tobie mi zależy!

Kolejna rzecz, której nie należało mówić na głos.

Manon podniosła się, choć niewielki namiot nie pozwalał jej wyprostować się w pełni.

– A więc jesteś głupcem.

Naciągnęła buty i wyszła w mroźną noc.

„Nawet na tobie mi zależy!”.

Manon skrzywiła się i zmieniła pozycję, wciśnięta między Asterin a Sorrel. Do świtu i wylotu pozostało jeszcze kilka godzin, a potem czekała je długa droga do Eyllwe oraz oddziałów, które sprzymierzyły się z Crochan.

„Troska czy inne uczucia nie czynią cię słabą”.

Król był głupcem. Niemądrym jak mały chłopiec. Jakie on miał pojęcie o świecie? O czymkolwiek?

„Czy okazywanie uczuć i troski naprawdę jest takie złe?”.

Nie wiedziała. Nie chciała tego wiedzieć.

Świt miał nadejść lada chwila, gdy wtuliło się w niego ciepłe ciało.

– Trójce wiedźm ciasno jest w namiocie, prawda? – powiedział w ciemność.

– Nie wróciłam dlatego, że się z tobą zgadzam. – Manon narzuciła na siebie koc.

Dorian uśmiechnął się lekko i znów zapadł w sen, a jego magia ogrzewała ich oboje.

Gdy się przebudził, miał wrażenie, że opór w jego piersi nieco zelżał.

Potem zauważył, że Manon wpatruje się w niego bacznie. Usiadł, ziewnął i przeciągnął się tak, jak tylko pozwalał na to namiot.

– O co chodzi? – spytał, widząc, że wiedźma nadal marszczy brwi.

Naciągnęła buty, a potem narzuciła sobie pelerynę na ramiona.

– Twoje oczy są brązowe – rzekła.

Dorian dotknął dłonią twarzy, ale Manon już wyszła. Wyjrzał w ślad za nią. Wiedźmy zwijały obozowisko.

Miał wrażenie, że magia krąży żywiej po jego ciele, zupełnie jakby ona również pozbyła się wewnętrznych ograniczeń, które Dorian poluźnił nieco w nocy, otwierając się przed Manon. Miał wrażenie, że osiągnął w ten sposób swoistą wolność.

Słońce dopiero zaczynało wstawać, gdy wiedźmy rozpoczęły długi lot do Eyllwe.

Cairn pozwolił jej gnąć przez jakiś czas w żelaznej skrzyni.

Było nieco ciszej. Nie słyszała już niekończącego się huku rzeki. Nie dokuczało jej nic oprócz napięcia, które przybierało na sile z każdą minutą, bez litości. Wzbierało pod jej skórą i w jej głowie. Nie mogła się go pozbyć i czuła je nawet w chwilach, gdy traciła przytomność.

Żelazo nadal wdzierało się w jej ciało, a pod nią gromadziły się kałuże. Godzina mijała za godziną. Maeve mogła już wracać z naszyjnikiem dla niej.

Nie pamiętała, kiedy ostatnio podano jej coś do jedzenia.

Znów odpłynęła w mrok, gdzie jeszcze raz opowiedziała sobie historię. Tę jedną, jedyną opowieść o tym, kim i czym była, o tym, co będzie zagrażać światu, gdy ulegnie dusznej, ciasnej trumnie i coraz silniejszemu napięciu.

Choć jej historia przestawała mieć znaczenie. Jak szybko Valg uwięziony w naszyjniku pokona jej opór i przekaże Maeve wszystko, czego królowa będzie chciała się dowiedzieć? Jak szybko przebije się przez jej pamięć, by odnaleźć największe sekrety?

Cairn miał niebawem znów rozpocząć swe tortury, po czym jak zwykle przybędą uzdrowiciele i napełnią trumnę słodkim dymem, co czynili od miesiący czy nawet lat. Nie miała pojęcia, jak długo tu siedzi.

Niemniej raz udało jej się dostrzec coś między ich sylwetkami. Zarzucaną płócienną płachtę, sitowie pokryte plecionymi dywanami między stopami w sandałach, kosze z żarem.

Namiot. Przebywała w namiocie. Z zewnątrz dobiegały szmery rozmów, stosunkowo odległych, ale na tyle wyraźnych, by jej zmysły Fae zdołały zarejestrować zarówno jej własną mowę, jak i język Fae. Ktoś narzekał na kiepskie warunki w obozie.

To był obóz wojenny. Pełen Fae.

Cairn coś mówił o miejscu, w którym nie będzie jej grozić

niebezpieczeństwo. A więc to Maeve chciała, by znalazła się tutaj. Tu miała być strzeżona przed siłami Morath do czasu, gdy królowa założy jej na szyję zimny naszyjnik z Kamienia Wyrda.

Szybko jednakże ogarnęła ją niepamięć, a gdy wybudziła się z mroku, wymyta i wolna od bólu, wiedziała, że Cairn lada moment wkroczy do akcji. Płótno namiotu tylko czekało, aż padną nań pierwsze krople krwi wielkiego, przerażającego finału wieńczącego jego pracę. Tym razem Cairnowi nie zależało już ani na wyciągnięciu z niej jakichkolwiek informacji, ani na triumfie Maeve. Chciał zadać jej ból wyłącznie dla własnej satysfakcji.

Aelin też była gotowa.

Tym razem nie przykuli jej łańcuchami do ołtarza, ale do metalowego stołu, znajdującego się w centrum wielkiego namiotu. Z tego, co zdołała zauważyć, Cairn zgromadził w nim wszelkie wygody, które mogły mu się kojarzyć z domem. Wysoka komoda, stojąca przy płóciennej ścianie, z pewnością nie kryła ubrań.

Fenrys leżał obok mebla z łbem opartym na łapach i spał. Wreszcie udało mu się zasnąć. Spowijała go aura żalu, od którego matowiało mu futro i gasł blask w oczach.

Obok stołu, na którym leżała, stał inny, a na nim trzy przykryte płótnem przedmioty oraz pasmo czarnego aksamitu, na którym niewątpliwie Cairn miał zamiar ułożyć swoje instrumenty. Tak jak kupiec rozkłada swoje najcenniejsze klejnoty.

Przy drugim stole stały dwa krzesła zwrócone ku sobie, a przy nich wielki żelazny kosz wypełniony po brzegi skwierczącymi kłodami. Kłęby dymu unosiły się ku górze, ku niewielkiej dziurze wyciętej w suficie namiotu. Przez nią zaś widać było...

Aelin zadrżały usta na widok nocnego nieba, a na nim dwóch drobniutkich ogników. Gwiazdy, tylko dwie, ale wciąż gwiazdy. Niebo zaś nie było czarne jak w środku nocy, ale z wolna szarzało. Czyli zbliżał się świt. Skoro gasły już gwiazdy, pozostała jakaś godzina. Może uda jej się doczekać blasku słońca.

Naraz Fenrys otworzył ślepią i podniósł łeb, strzygąc uszami. Aelin zaczęła rytmicznie oddychać, by narzucić sobie równowagę. Do środka wszedł Cairn. Spoza uniesionej klapy do namiotu na moment wdarł się blask ognisk. I nic poza tym.

- Odpoczęłaś sobie?

Aelin nie odpowiedziała.

Cairn musnął dłonią krawędź metalowego stołu.

- Zastanawiałem się, co z tobą począć, wiesz? Jak tu się nacieszyć ostatnimi wspólnymi chwilami.

Przez namiot przetoczył się głuchy warkot Fenrysa. Cairn zerwał płótno z mniejszego stołu, odsłaniając metalowe misy stojące na niskich trójnogach, wyładowane po brzegi szczapami drewna. Aelin zeszywniała, gdy Cairn zdjął jedną z mis i umieścił obok nogi stołu, do którego ją przywiązano. Drugą postawił pod samym środkiem stołu, by znalazła się pod plecami Aelin, a trzecią umieścił pod jej głową.

- Już bawiliśmy się w ten sposób z twoimi rękami. - Cairn wyprostował się.

Aelin zaczęła się trząść i szarpać za łańcuchy, które trzymały jej ramiona nad głową. Uśmiech oprawcy stawał się coraz szerszy.

- Przekonajmy się, jak twoje całe ciało reaguje na płomień bez twego zabawnego, niezwykłego daru. Może okaże się, że palisz się tak jak wszyscy.

Aelin szarpała się bezsilnie. Jej stopy ślizgały się po wciąż chłodnym metalu.

„Nie tak, nie w ten sposób...”.

Cairn sięgnął do kieszeni i wydobyl krzesiwo. Nie chodziło mu o to, by złamać jej ciało. On chciał złamać ją samą. Splugawić płomień, który tak pokochała. Zniszczyć tę część jej duszy, która śpiewała. Miał zamiar topić jej skórę i kości, aż Aelin zacznie się bać ognia, aż go znienawidzi, tak jak nienawidziła uzdrowicieli, którzy przychodzili raz za razem, by naprawiać jej ciało, by ukrywać to, co było prawdziwe, przed tym, co stanowiło sen.

Fenrys nie przestawał warczeć.

- Możesz sobie powrzeszczeć, jeśli sprawi ci to przyjemność - rzekł łagodnie Cairn.

Stół lada chwila miał się rozpalić do czerwoności, a jej nozdrza miał wypełnić smród płonącego ciała. Aelin wiedziała, że nie będzie mogła

tego powstrzymać, że zacznie szlochać z bólu, a gdy gorąco rozgrzewanego stołu przedrze się przez jej skórę i wniknie w kości...

Napór w jej ciele oraz w głowie nagle zelżał. Przestał mieć znaczenie, gdy Cairn wyciągnął z kieszeni zawiniątko i ułożył je na czarnym aksamicie. Dostrzegła obrys wąskich narzędzi.

– Może być i tak, że podgrzewanie stołu nam się znudzi – powiedział mężczyzna, poklepując zawiniątko. – Wtedy będę chciał sprawdzić, jak głęboko wnikają poparzenia.

W jego dłoni błysnął krzemień. Aelin poczuła, jak żółć podchodzi jej do gardła.

Wówczas zaczęła się kruszyć. Ta, którą była teraz i w przeszłości, topniała jak lód. Tak jak jej ciało miało wnet stopić się na tym stole.

Los rozdał karty po raz ostatni. Była gotowa wziąć udział w grze.

Na jej języku zrodziło się słowo.

„Błagam”.

Usiłowała je zdławić. Zdusić. Powstrzymać.

Cairn uklęknął z krzemieniem przy misie.

„Nie masz prawa się poddać”.

„Nie masz prawa się poddać”.

„Nie masz prawa się poddać”.

– Zaczekaj – wychrypiała.

Cairn zamarł, a potem się podniósł.

– Co?

Aelin drżała i oddychała chrapliwie.

– Zaczekaj.

Cairn założył ramiona na piersi.

– Czyżbyś wreszcie miała coś do powiedzenia?

Bez względu na to, co obiecałaby jemu czy Maeve, i tak rozpalilby ogień w tych misach, a Maeve długo nie usłyszałaby o tym, że się poddała. Aelin z wysiłkiem spojrzała mu w oczy. Dłonie w rękawicach zacisnęły się na żelaznym blacie.

Ostatnia szansa.

Ujrzała gwiazdy na niebie. Nie spodziewała się, że kiedykolwiek otrzyma tak cudowny dar, o wiele większy od klejnotów, szat i dzieł sztuki, które gromadziła w Rifthold. Ostatni dar, o ile dobrze rozegra nadciągającą partię. Jeśli dobrze wykorzysta rozdane karty.

Miała szansę zakończyć to wszystko, zanim Maeve założy jej naszyjnik z Kamienia Wyrda.

Zbliżał się świt, a gwiazdy gasły jedna po drugiej.

Rowan czaił się przy południowym wejściu, a zgromadzona przez niego moc dudniła.

Namiot Cairna znajdował się w samym centrum obozu. Dwa kilometry dalej.

Czekał na zmianę warty, by móc wyszarpnąć powietrze z płuc strażników. By potraktować w ten sam sposób każdego wojownika, który znajdzie się na jego drodze. Ilu z nich znał? Ilu szkolił? W głębi duszy modlił się o to, by było ich niewielu. By, jeśli go rozpoznają, okazali na tyle przytomności umysłu, by uciec. Bo on nie miał zamiaru się zatrzymywać.

Uwolnił topór. W drugiej dłoni błysnął nóż. Już kilka godzin temu – a może dni lub miesięcy? – zawładnął nim spokój zabójcy. Pozostało raptem parę minut.

Sześciu strażników przy wejściu do obozu drgnęło. Rowan wiedział, że ich towarzysze na drzewach, nieświadomi jak dotąd jego obecności, zauważą śmierć kolegów na ziemi. Na pewno zauważą też jego, gdy zerwie się do biegu.

Zastanawiał się, czy nie przemienić się w ptaka, ale nad obozem przez całą noc unosiły się powietrzne patrole. Istniała spora szansa, że któryś z ptaków go zaatakuje, a walka powietrzna oraz jednoczesne odpieranie ataków zwykłych i magicznych z ziemi mogło go zbyt wiele kosztować. Zdecydował się więc na ostrą, brutalną szarżę w kierunku wnętrza obozu, a potem ucieczkę z Cairnem bądź Aelin.

Cairn musiał przeżyć. Rowan musiał wynieść go żywego i donieść do miejsca, gdzie będą mogli wyciągnąć z niego wszystkie odpowiedzi.

„Idź – ponaglił go cichy głos. – No, idź już”.

Siostra Essar kazała mu poczekać do świtu, gdy straż będzie najmniej czujna. Gdy za jej sprawą niektórzy wartownicy nie stawiają się na czas na miejscu.

„Idź!” – nalegał głos, ciepły, ale natarczywy. Pchał go w kierunku obozu.

Rowan obnażył kły. Oddychał coraz bardziej chrapliwie. Lorcan i Gavriel będą czekać na sygnał, gdy on wedrze się w głąb.

„Teraz, książę”.

Znał ten głos i czuł już jego ciepło. A skoro sama Pani Światła szeptała mu do ucha...

Rowan nie zastanawiał się nad niczym. Nie wściekał się na boginię, która ponaglała go do działania, a jednocześnie z ochotą poświęciłaby jego ukochaną dla Zamka. Napiął mięśnie, a ogień w jego żyłach zamienił się w lód.

Spokój. Precyzja. Śmierć.

Nie mógł zmarnować ani jednego ciosu, ani jednego magicznego ataku.

Wezwał moc i pchnął ją w stronę wejścia.

Wartownicy złapali się za gardła, a osłaniające ich słabe tarcze zafalowały. Rowan rozniósł je bez namysłu, a potem wyszarpnął Fae powietrze z płuc i krwi. Padli uderzenie serca później.

– Alarm! – zakrzyknęli wartownicy na drzewach. – Alarm!

Rowan jednakże już wbiegł do obozu, a krzyki wojowników urwały się wpół, gdy i oni zwiśli martwi z drzew, na próżno próbując nabrać tchu.

Niebo powoli szarzało. Nadciągał świt.

Lorcan, który stał na skraju lasu ciągnącego się wzdłuż wschodniej ściany obozu, oddzielony od niej trzema kilometrami trawiastych wzgórz, wsłuchiwał się w ciszę panującą wśród wrogów. Gavriel, już pod postacią górskiego lwa, miotał się między drzewami i czekał na sygnał.

Lorcan ze wszystkich sił powstrzymywał się, by nie spoglądać w głąb lasu, choć i tak z tego miejsca nie był w stanie jej dojrzeć. Rozstali się z Elide kilka kilometrów stąd, na leśnej polanie. Gdyby coś poszło nie tak, miała uciekać w stronę wzgórz, a potem w góry, gdzie grasowały drapieżniki o wiele bardziej niebezpieczne od Fae.

Nie powiedziała mu ani słowa na pożegnanie, choć życzyła im wszystkim powodzenia. Lorcan zresztą i tak nie był w stanie znaleźć odpowiednich słów, a więc odszedł, nie odwracając się za siebie.

Teraz spoglądał za nią i modlił się, by nie zaczęła ich szukać, jeśli nie wróca.

Gavriel zamarł i zastrzygł uszami. Lorcan zeszywniał. Część jego mocy przebudziła się i zamigotała. Gdzieś szalała śmierć.

- Za wcześnie! – oznajmił.

Nie było śladu sygnału Białego Ciernia. Nic.

Gavriel położył po sobie uszy. Zaburzenia mocy, wywołane śmiercią, nadal przemykały obok nich.

Aelin przeknęła ślinę raz. Potem jeszcze raz. I ponownie.

Leżąc na metalowym stole, wpatrywała się w Cairna z niepewnością i lękiem, a ten czekał na odpowiedź. W końcu wykrztusiła:

– Jak się czujesz, Cairn, kiedy już zakończysz swe tortury i uświadomisz sobie, że dalej jesteś niczym?

– Wygląda na to, że wciąż zostało w tobie trochę ognia. – Oprawca się uśmiechnął. – Dobrze!

Aelin uśmiechnęła się pod maską.

– Otrzymałeś przysięgę krwi ze względu na mnie. Dla mnie. Beze mnie jesteś niczym. I wkrótce znów powrócisz do tego stanu. Będziesz niczym lub, z tego, co słyszałam, jeszcze mniej niż niczym.

Dłoń Cairna zacisnęła się na krzemieniu.

– No, mów dalej, zdiro. Zobaczemy, do czego cię to doprowadzi.

Z ust Aelin wyrwał się ochryply śmiech.

– Strażnicy rozmawiają, gdy już sobie pójdziesz, wiesz? Zapominają, że jestem Fae, że dobrze ich słyszę.

Cairn milczał.

– Zgadzą się ze mną w przynajmniej jednej kwestii. Jesteś słabym tchórzem. Musisz wiązać swe ofiary, zanim wyrządzisz im krzywdę. Dopiero wtedy czujesz się jak mężczyzna.

Aelin wbiła wzrok między jego nogi.

– Bo w tradycyjny sposób swojej męskości nie udowodnisz.

Cairn zadrżał.

– Życzysz sobie, bym ci udowodnił, jak bardzo się mylisz?

Aelin znów się roześmiała, chłodno i wyniośle, po czym skierowała wzrok w stronę sufitu i jaśniejącego nieba. Jeśli dobrze to rozegra, będzie to ostatnia rzecz, którą zobaczy. Zawiodła, ale przecież jest jeszcze ktoś, kto może ją zastąpić. Jej śmierć oznacza również śmierć

Doriana, bo kiedy jej zabraknie, nienawistni bogowie zaczną się domagać jego życia za wykucie Zamka. Przywykła już do nienawiści wobec siebie, którą czuła za każdym razem, gdy uświadamiała sobie ten fakt, ale przecież zawiodła tylu ludzi, zawiodła całe Terrasen. Właściwie to nie była już w stanie bardziej siebie nienawidzić. Zresztą ta udręka miała się niebawem zakończyć.

– Och, wiem, że w tej kwestii raczej mnie nie zachwycisz, Cairn – wycedziła, wpatrzona w niebo. – Nie jesteś prawdziwym mężczyzną. Bez czyjegoś wrzasku nigdy nie doczekasz się wzrodu, prawda?

Nie odpowiedział. Uśmiechnęła się lekko.

– Tak właśnie myślałam. Miałam do czynienia z wieloma takimi jak ty w Gildii Zabójców. Wszyscy jesteście tacy sami.

Rozległo się głuchoe warknięcie, na co Aelin zachichotała i zmieniła ułożenie, jakby szukała wygodnej pozycji.

– No dalej, Cairn. Pokaż, jaki jesteś straszny!

Fenrys zaskomlał ostrzegawczo.

Czekała i czekała, nadal uśmiechając się lekceważąco, nadal rozluźniając mięśnie. Naraz ogromna pięść uderzyła ją w brzuch. Cios, na tyle potężny, że aż się wygięła, wybił jej powietrze z płuc. Kolejny, tym razem w żebra, wyrwał z niej ochryply krzyk. Fenrys zaszczekał. Szczęknęły zamki kajdan. Jej ucho omiótł gorący oddech Cairna, który poderwał ją ze stołu.

– Wiążą mnie co prawda rozkazy Maeve, ale chętnie się przekonam, dziuro, czy po tym będziesz jeszcze miała ochotę rozmawiać.

Skute kajdanami nogi nie były w stanie utrzymać jej ciężaru. Cairn złapał ją za włosy i rąbnął jej twarzą w skraj metalowego stołu. Ekspłodowały oślepiające ją gwiazdy, przeszył ją ból, chrupnęła kość. Zatoczyła się i opadła.

Fenrys szczekał jak szalony. Cairn znów do niej przypadł i szarpnął ją za włosy tak mocno, że aż oczy jej załzawiły. Potem krzyknęła ponownie, gdy powlókł ją w stronę płonącego kosza z żarem. Postawił ją szarpnięciem za włosy i pchnął twarz w masce naprzód.

– Zobaczymy, w którym momencie skończy ci się ochota na żarty.

Natychmiast uderzył w nią żar. Płomienie tańczyły tuż przy jej skórze. Och, na bogów, jak gorąco, jak gorąco... Maskę rozgrzewała

się na jej twarzy, a wraz z nią łańcuchy. Nagle Aelin zapomniała o swoim planie i szarpnęła w tył, desperacko szukając choć odrobiny chłodniejszego powietrza, ale Cairn trzymał ją mocno. Mimo stawianego przez dziewczynę oporu nadal wpychał ją w płomienie.

– Poparzę ci gębę do tego stopnia, że stopi się z maską i nawet uzdrowiciele ci już nie pomogą – wyszeptał jej do ucha.

Mięśnie Aelin drżały, słabły, maska rozgrzewała się, gorąco wgryzało się w jej skórę.

Cairn pchnął ją jeszcze dalej. Wtedy Aelin cofnęła lekko stopę, prosto między jego rozstawione szeroko nogi.

Teraz. To musiało nastąpić teraz.

– Podobno kiedyś umiałaś pluć ogniem – wysyczał oprawca.

Pozwoliła, by pchnął ją jeszcze dalej. Pozwoliła, by choć na moment zapomniał o równowadze... Wtedy zaatakowała. Uderzyła nie w górę, ale w tył, zahaczając stopą o jego kostkę. Cairn zachwiał się, a wtedy Aelin odwróciła się i pchnęła go barkiem w pierś. Mężczyzna runął na ziemię.

Aelin rzuciła się do ucieczki. Cóż, przynajmniej spróbowała. Jej nogi krępowały łańcuchy, przez co ledwo była w stanie chodzić, ale mimo to ruszyła naprzód, zataczając się i wiedząc, że jej oprawca już się odwraca, już się podnosi...

„Uciekaj...”.

Dłonie Cairna zacisnęły się na jej łydkach i szarpnęły. Aelin przewróciła się, a jej zęby zadzwoniły w zderzeniu z maską. Spomiędzy warg popłynęła krew.

Nagle oprawca znalazł się nad nią i zasypał ją gradem ciosów, które spadały na jej głowę, szyję, klatkę piersiową. Nie była w stanie ich blokować, gdyż po tak długiej niewoli, mimo starań uzdrowicieli, jej mięśnie były zbyt słabe. Nie mogła również go przewrócić, choć próbowała.

Naraz Cairn wyciągnął rękę w tył, próbując namacać rozgrzany, żelazny pogrzebacz. Aelin szarpnęła się, by wyrzucić ramiona w górę i opleść mu szyję łańcuchami, ale te były zamocowane do obejm przy bokach i na plecach.

Fenrys szczeakał i warczał. Cairn nadal nie mógł złapać pogrzebacza,

aż odwrócił się, by poszukać go wzrokiem. Na ułamek sekundy spuścił ją z oczu.

Aelin bez wahania poderwała się i rąbnęła głową w żelaznej masce prosto w bok głowy Cairna. Gdy odrzuciło go w tył, znów się zerwała i runęła w stronę wyjścia z namiotu.

Cairn był bardziej spętany ograniczeniami Maeve, niż sądziła. Nie był w stanie jej zabić, a ona nie mogła go już bardziej sprowokować...

Ledwie się podniosła, gdy znów pochwyciły ją dłonie mężczyzny. Ze wszystkich sił pchnął ją na komodę. Zderzyła się z nią z trzaskiem, który przeszył całe jej ciało. Coś w jej boku pękło. Krzyknęła i osunęła się na ziemię.

Fenrys widział, jak jego brat bliźniak wbija sobie nóż w serce. Patrzył, jak Connall wykrwawia się na posadzce i kona, a potem został zmuszony, by uklęknąć przed Maeve na tych właśnie zakrwawionych kafelkach i jej usługiwać. Przez dwa miesiące siedział w kamiennej komnacie i przyglądał się temu, co robiono z ciałem i duszą młodej królowej. Nie był w stanie jej pomóc, gdy wrzeszczała bez końca. Nigdy nie przestawał słyszeć jej wrzasków.

Niemniej do reszty zniszczył go dopiero dźwięk, który wyrwał się z ust Aelin, gdy Cairn pchnął ją na komodę, gdzie wcześniej poukładał swoje narzędzia, cichy jęk, który wydała z siebie, gdy runęła na podłogę. Cichutki. Pozbawiony nadziei.

Nigdy, przenigdy nie słyszał czegoś takiego z jej ust.

Cairn dźwignął się i wytarł zakrwawiony, złamany nos.

Aelin Galathynius poruszyła się, próbując podnieść się na rękach, na co Fae wyjął rozżarzony pogrzebacz z kosza. Wycelował nim w nią jak mieczem.

Fenrys napał na niewidzialne więzi, gdy Aelin spojrzała na niego – tam, gdzie siedział od dwóch przeklętych dni, przy ścianie namiotu. W jej oczach błysnęła rozpacz. Prawdziwa rozpacz, bez okrucha nadziei. Rozpacz, która była prośbą o śmierć. Rozpacz, która odbierała siły i ochotę do walki.

Zamrugła do niego czterokrotnie:

„Jestem tu, przy tobie”.

Fenrys zrozumiał prawdziwe znaczenie komunikatu. Była to ostatnia wiadomość. Jeszcze nie przed śmiercią, ale przed ostatecznym poddaniem się, po którym już nigdy nie miała się podnieść. Przed powrotem Maeve z naszyjnikiem.

Cairn obrócił pogrzebaczem w dłoniach. Rozżarzony czubek zasyczał.

A Fenrys nie mógł na to pozwolić.

Nie mógł. Jego dusza została rozerwana na strzępy tym, co przeżył i co musiał oglądać. Przysięga krwi trzymała go w miejscu, mroczny łańcuch wiązał mu duszę, a mimo to nie mógł na to pozwolić. Nie mógł dopuścić, by Aelin ostatecznie się poddała.

Naparł na mroczną więź łączącą go z królową. Wył i wrzeszczał, choć z jego zaciśniętych szczęk nie dobywał się żaden odgłos. Napierał, pchał, szarpał, ale potwierdzony mocą przysięgi rozkaz zmuszał go do posłuszeństwa. Nakazywał mu siedzieć nieruchomo i się przyglądać.

Stawił mu czoła. Jemu i samej przysiędze krwi.

Straszliwy ból przeszył go na wskroś, ale zdusił go, odepchnął w chwili, gdy Cairn wycelował dymiącym pogrzebaczem w młodą królową o sercu z dzikiego ognia.

Nie mógł na to pozwolić.

Mężczyzna i wojownik w duszy Fenrysa miotał się i szarpał, a on sam ryknął na mroczną więź, wpił się w nią, zaczął szarpać i gryźć, mobilizując cały swój upór i zajadłość. Niech go zabije, niech go zniszczy. Nie będzie już służył. Ani przez uderzenie serca dłużej.

Nie będzie posłuszny.

Nie będzie słuchał.

I wtedy Fenrys powoli podniósł się na nogi.

Aelin leżała zdyszana, bez sił, porażona bólem. Wytężała mięśnie, by unieść głowę i oderwać pierś od ziemi.

Ale patrzyła nie na Cairna oraz jego pogrzebacz.

Wpatrywała się w Fenrysa, który się podnosił. Jego ciało

przeszywały spazmy bólu, a pysk wykrzywiła wściekłość.

Nawet Cairn się zatrzymał. Patrzył na białego wilka.

– Siadaj – rozkazał.

Fenrys warknął głucho, złowieszczo. Nadal się podnosił.

Cairn wycelował w niego pogrzebaczem.

– Siadaj! To rozkaz twej królowej.

Fenrys drżał na całym ciele. Zjeżył sierść, dygotał, ale stał.

Stał.

Pomimo rozkazów Cairna. Pomimo mocy przysięgi krwi.

– Wstawaj – dobiegło z oddali.

– Leż! – ryknął Cairn.

Fenrys miotał łbem na prawo i lewo, jego ciało szarpało niewidzialne łańcuchy, zmagalo się z niewidocznymi nakazami przysięgi. Jego ciemne ślepiea pochwyciły wzrok Cairna. Z jednego z nozdrzy wilka ciekła krew.

„To go zabije. Zerwanie przysięgi krwi zabije go na pewno! Najpierw zniszczy mu duszę, a potem ciało...” – pomyślała Aelin.

Mimo to Fenrys wysunął jedną łapę i wbił pazury w ziemię.

Cairn pobladł. Nie wierzył własnym oczom.

Wilk spojrzał na Aelin. Nie potrzebował już szyfru, by przekazać wiadomość, gdyż dziewczyna odczytała ją natychmiast. Był to zarówno rozkaz, jak i prośba.

„Uciekaj”.

Cairn również ją odczytał.

– Ze strzaskanym kręgosłupem nie zrobi ani kroku! – syknął i zamierzył się, by rąbnąć Aelin pogrzebaczem w plecy.

Fenrys zaryczał i skoczył.

W tej chwili zerwał resztki krępującej go przysięgi.

Wilk i Fae z rykiem przetoczyli się po dywanach, pogrążeni we wściekłej walce. Fenrys usiłował dosięgnąć kłami gardła Cairna, przygniatając go swym ogromnym ciałem, ale oprawca Aelin zdołał unieść nogę i odrzucić go kopnięciem.

Aelin dźwignęła się, zmuszając swe nogi do posłuszeństwa, i uklękła obok komody. Fenrys uderzył w bok metalowego stołu, ale błyskawicznie zerwał się i skoczył znów na Cairna.

Skądś dobiegł cichy syk. Aelin dostrzegła pogrzebacz leżący niedaleko, po prawej stronie. Przesunęła stopę ku niemu tak, by rozżarzony koniec pogrzebacza zetknął się z ogniwami łańcucha krępującego jej kostki. Te powoli zaczęły się rozgrzewać.

Wilk i Fae zwarli się ponownie. Błysnęły kły i zęby, smagnęły pazury, tłukły pięści...

Zerwanie przysięgi krwi miało go zabić. Patrzyła na ostatnie oddechy, ostatnie uderzenia serca Fenrysa.

– Oskubię twe kości z futra – wydyszał Cairn.

Fenrys oddychał ciężko. Spomiędzy jego kłów ciekła krew, ale nie spuszczał wzroku z Cairna. Ostrożnie stawiał łapę za łapą, okrążając przeciwnika. Obaj szukali sposobności, by zadać śmiertelny cios.

Ogniwa łańcucha zaczynały się czerwienić. Niebo nad jej głową szarzało. Fenrys i Cairn nadal się okrążali.

Cairn bez wątpienia wiedział o konsekwencjach zerwania przysięgi krwi. Czekał, aż Fenrysowi skończą się siły. Wiedział, że wystarczy jeszcze chwila cierpliwości, a wilk padnie trupem.

Fenrys również o tym wiedział.

Skoczył na Cairna, chcąc złapać go kłami za gardło. Zwieńczonymi pazurami łapami chlasnął go po łydkach.

Aelin złapała pogrzebacz, rozstawiła szeroko nogi i szarpnęła nim ku górze. Narzędzie zatrzymało się na rozgrzanych ogniwach, ale dziewczyna nie poddawała się, szarpała, targała, dobywała ostatnich

sił. Cairn i Fenrys toczyli się po dywanach, a Aelin zacisnęła zęby i szarpnęła raz jeszcze. Z jej ust wyrwał się głuchy ryk.

Łańcuch pękł.

Niczego więcej nie potrzebowała.

Z trudem dźwignęła się na równe nogi, ale zatrzymała się. Fenrys, przyciśnięty przez Cairna do ziemi, pochwycił jej spojrzenie. W warknięciu wilka kryło się ostrzeżenie, ale także rozkaz.

„Uciekaj!”.

Cairn obrócił głowę ku niej. Zauważył zerwany łańcuch.

– Ty...

Wtedy Fenrys zacisnął kły na jego ramieniu. Oprawca wrzasnął, wyprężył się, złapał Fenrysa za grzbiet. Wilk raz jeszcze na nią spojrzał. Nie puszczał Cairna, choć ten uderzył nim o krawędź stołu z takim impetem, że kości wilka trzasnęły.

„Uciekaj!”.

Aelin nie wahała się dłużej. Skoczyła ku wejściu i wybiegła w poranek.

Do centrum obozu został niecały kilometr.

Żołnierze zachowywali się tak, jak przewidział to Rowan, a on siał wśród nich śmierć.

Drapieżne ptaki nurkowały ku niemu i atakowały go falami wiatru i lodu. Rozbijał ich magię falami własnej mocy, a same ptaki rozrzucił na boki.

Zza namiotów wypadła na niego grupa wojowników. Niektórzy rozpoznali go i rzucili się do ucieczki, głównie jego byli podkomendni, ale też wielu innych. Pozostali podjęli jednak walkę. Rowan porozbijał im tarcze, powyrywał powietrze z płuc, najbliższych ściał ciosami topora.

Był już blisko, tak blisko namiotu. Lada moment chciał dać znać Lorcanowi i Gavrielowi. Musiał znaleźć się tak blisko, by zamieszanie na skraju obozowiska mogło osłonić jego ucieczkę.

Do ataku runął kolejny oddział. Rowan zmiótł ulewę

wypuszczonych strzał, a potem samych łuczników, po których pozostał jedynie grad okrwawionych drzazg.

Aelin biegła.

Oslabiona, zeszywniała potykała się na trawie. Dłonie, wciąż skute łańcuchami, krępowały jej ruchy, ale mimo to uciekała. Było jej obojętne, w którym kierunku biegnie, byleby nie w stronę mgieł nad rzeką.

Wschodziło słońce, a obóz wroga... Za sobą zauważyła jakiś ruch, usłyszała krzyki, ale zignorowała to. Pędziła ku słońcu, jakby miała przed sobą samą Małę, która otwierała ramiona na powitanie.

Wąskie otwory w masce nie pozwalały jej zaczerpnąć pełnego oddechu, ale mimo to biegła. Mijała namioty i wojowników, którzy odwracali za nią głowy, chyba zaskoczeni. W dłoniach krytych ciężkimi rękawicami zaciskała pogrzebacz. Nie chciała odwracać głowy, nie chciała wiedzieć, skąd dobiegają krzyki i co to za zamieszanie. Nie chciała wiedzieć, czy to sam Cairn nie szaleje za jej plecami.

Ale wtedy usłyszała wykrzyczane rozkazy.

I szelest stóp z tyłu na trawie. Poruszenie przed nią wśród zaalarmowanych krzykami Fae. Jej bose stopy bolały coraz bardziej, błagały, by się zatrzymała, ale Aelin nadal pędziła na wschód, ku drzewom i górom, ku wschodzącemu nad nimi słońcu.

A kiedy na jej drodze stanęli pierwsi żołnierze i krzykiem zaczęli się domagać, by się zatrzymała, Aelin wycelowała w nich pogrzebacz. I pędziła dalej.

Lorcanowi śpiewała śmierć.

Drapieżne ptaki nurkowały ku środkowi obozu, co oznaczało, że Biały Cień był blisko namiotu Cairna. Lada moment mieli otrzymać od niego sygnał.

Uspokoiłi oddechy i przywołali moce, które dudniły teraz, falując i potężniejąc. Śmierć jednakże przywoływała ich z innego miejsca.

Była bliżej. I przemieszczała się szybko.

Lorcan spojrział na jaśniejące niebo i pierwszy szereg namiotów. Na strzeżone wejście.

– Ktoś biegnie ku nam – mruknął do Gavriela. – Choć Biały Cierń jest nadal gdzieś dalej.

Fenrys. Albo Connall. Może też siostra Essar, której Lorcan nigdy nie polubił, co jednak był w stanie jej wybaczyć. Chyba, żeby ich teraz zdradziła.

Wskazał namioty na północ od bramy.

– Zaatakujesz tam. Bądź gotów.

Gavriel popędził na wskazaną pozycję, gotów, by zaatakować niespostrzeżenie i wesprzeć szarżującego na wprost Lorcana.

Śmierć mieniła się i migotała. Biały Cierń był niemalże w sercu obozu, a owa moc, mknąca na wschód...

Niech szlag trafi czekanie.

Lorcan wyrwał się spod osłony drzew. Jego mroczna moc zawirowała, gotowa powitać każdego, kto wybiegnie pomiędzy namiotów. Uwolnił miecz i spojrział na niebo, obóz i cały świat. Śmierć migotała, a wschodzące słońce złociło się na falujących trawach i zamieniało rosę w parę.

Nic. Nie odbierał żadnych wskazówek co do tego, czym bądź kim...

Rozpędzony wojownik znalazł się w pierwszej z kotlinek, które ciągnęły się wzdłuż obozu, gdy niespodziewanie pojawiła się Aelin Galathynius.

Lorcan nie spodziewał się, że na jej widok zacznie szlochać. Że nie zniesie psychicznie widoku zakrzepłej krwi na jej skórze i krótkiej, białej koszuli oraz jej włosów, dłuższych niż ostatnim razem, przyklejonych potem i krwią do twarzy. Kolana ugięły się pod nim i nawet magia na chwilę zadrżała, gdy patrzył na jej desperacką, dziką ucieczkę w stronę skraju obozu.

Zewsząd biegli ku niej żołnierze.

Lorcan ocknął się i rozesłał swą moc na wszystkie strony. Nie szukał jej, ale Białego Ciernia, który nadal szarżował ku środkowi obozu.

„Ona tu jest! Tu jest! Tu jest!” – przekazał.

Był jednak zbyt daleko. Porośnięte trawą wzgórki między nimi wydawały się teraz bezkresne.

O wiele ważniejsi byli wojownicy, którzy w dziesięciu znaleźli się na drodze Aelin. Jeden z nich wznosił miecz i opuszczał go ciosem, który mógłby rozłupać czaszkę na pół.

Głupiec, nie miał pojęcia, z kim i z czym się mierzy.

Nie miał naprzeciwko siebie plującej ogniem królowej, którą zakuto w żelazo, ale wyszkoloną zabójczynię, która wykonała lekki zwód i poderwała ramiona. Ostrze opadło nie tam, gdzie zaplanował to wojownik, ale tam, gdzie ona sobie tego życzyła – dokładnie na środek łańcucha wiążącego jej dłonie. Ułamek sekundy później miecz mężczyzny znalazł się w jej rękach, a potem z jego gardła trysnęła krew.

Aelin zawirowała i wpadła na pozostałych żołnierzy, zagrządzających jej drogę do wolności. Pędzący ku niej Lorcan nie mógł uwierzyć własnym oczom.

Uderzała z niebywałą prędkością. Zdobyty miecz raził przeciwników, nim ci zdążyli się zorientować, a królowa wiała się i wirowała, z łatwością unikając wrogich ciosów. W jej dłoni znalazł się sztylet i chwilę później walka dobiegła końca.

Na jej drodze do wolności stało jedynie sześciu wartowników strzegących bramy. Wyciągali broń, kiedy Lorcan pchnął w nich falę zabójczej mocy, która posłała ich na kolana, a potem skrzyła im karki.

Aelin bez wahania przemknęła obok ich skracających się, więdnących ciał. Biegła prosto ku wzgórzom i łąkom. Ku Lorcanowi, który zmierzał w jej stronę i nie przestawał nadawać sygnału:

„Do mnie! Do mnie!”.

Nie wiedział, czy Aelin rozpoznała go, czy odczytała sygnał, ale dalej mknęła ku niemu.

Była cała i chyba nic się jej nie stało, ale wydawała się niebywale chuda, a nogi ledwie ją utrzymywały.

Dzieliły ich pagórki i niecki o stromych zboczach. Lorcan zaklął, gdy uświadomił sobie, że Aelin nie da rady. W takim stanie nie

pokona tyłu przeszkód.

Mimo to podołała.

Znikła w pierwszej niecce. Magia Lorcana pulsowała, wysyłając sygnały zarówno do niej, jak i do Białego Ciernia, a Aelin pokazała się chwilę później, biegnąc po zboczu ku niemu. Widział już, że opada z sił, a skrajne wyczerpanie z wolna bierze nad nią górę.

Gdzieś zabrzączały cięciwy i ku niebu pomknął deszcz strzał, wycelowanych prosto w nią. Lorcan odtrącił je falą mocy, ale strzały nadal nadlatywały. Tym razem były to pojedyncze pociski, wystrzeliwane z tyłu kierunków jednocześnie, że Lorcan nie był w stanie wyśledzić samych łuczników. Nie było wątpliwości, że to najlepsi strzelcy Maeve.

„Musi zacząć biec zygzakiem!” – przemknęło mu przez głowę.

Aelin, jakby czytała mu w myślach, już manewrowała, utrudniając celowanie. Uskakiwała to w prawo, to w lewo, nie przestając piąć się po pagórkach. Biegła coraz wolniej, ale zbliżała się do niego z każdym krokiem. Pozostało niecałe sto metrów...

Jakaś strzała pomknęła prosto na jej plecy, ale Aelin uskoczyła w bok, straciła równowagę i padła w trawę. Podniosła się w okamgnieniu, nadal ściskając broń, i znów rzuciła się do ucieczki.

Któryś z wrogich włóczników wypuścił kolejną strzałę. Lorcan odtrącił ją na bok, ale wtedy wyrosła ściana z migotliwego złota.

Z północy nadciągał Gavriel, który wielkimi susami przeskakiwał nierówności terenu. Aelin znikła w kolejnej niecce, a gdy się z niej wyłoniła, u jej boku pędził Lew, osłaniając ją złocistą tarczą. Musiał rozciągnąć ją szeroko, gdyż jego moc nie mogła się zbliżyć do żelaznej maski, łańcuchów oplatających jej ciało czy rękawic.

Z obozu wybiegali żołnierze. Lorcan powitał ich falą czarnego wiatru, która siała wśród nich śmierć. Ci, którzy zdołali się przez nią przebić, natrafiali na nieprzeniknioną barierę, zagradzającą im drogę na wzgórze za obozem. Rozciągnął ją najdalej, jak mógł. Wszak ci żołnierze nadal byli jego rodakami. Kiedyś służyli pod jego rozkazami. Był zdecydowany ocalić tyłu, ilu się dało, przed sobą samym.

Aelin potykała się. Lorcan oczyścił ostatnie ze wzniesień, które ich dzieliły.

Otworzył usta, by krzyknąć – choć nie miał pojęcia, co chce przekazać – gdy błękit nieba przeciął ostry, wściekły krzyk jastrzębia.

Szloch, który w odpowiedzi wyrwał się z ust Aelin, niemalże złamał Lorcanowi serce.

Nadal biegła ku zbawczym cieniom lasu, a Lorcan i Gavriel otaczali ją teraz z obu stron i za każdym razem, gdy się potykała, gdy jej nazbyt wychudzone nogi ustępowały pod jej ciężarem, Lorcan łapał ją i włókł za sobą.

Rowan opadł z nieba, szybki niczym spadająca gwiazda. Zrównał się z nimi w chwili, gdy wbiegli między pierwsze drzewa, i zmienił postać. Uciekinierzy zatrzymali się, a Aelin osunęła się na mech i igliwie.

Biały Cierń przypadł do niej błyskawicznie. Jego dłonie badały żelazną maskę, łańcuchy, zakrzepłą krew, poznaczoną skaleczeniami skórę. Aelin zaszlochała raz jeszcze, a potem jęknęła cicho:

– Fenrys...

Minęła chwila, nim Lorcan pojał, o co jej chodziło. Patrzył, jak Aelin unosi dłoń i wskazuje obóz za nimi, jakby zabrakło jej sił, by się wysłowić, po czym znów wychrypiała:

– Fenrys...

W jej głosie kryła się prośba. Zakrwawiona prośba złamanej, zniszczonej kobiety.

Przecież Fenrys pozostał z Cairnem w obozie. Aelin nadal wskazywała kierunek, szlochając.

Rowan odwrócił się od niej.

Furia w jego oczach była w stanie pochłonąć cały świat. Zapowiadała zniszczenie, które uwolnić może tylko męczyzna mszczący się za krzywdy ukochanej. Jego kły rozbłysły, ale gdy zwrócił się do Lorcana, jego głos był śmiertelnie spokojny.

– Zabierz ją na polanę – rzekł, a potem skinął na Gavriela. – A ty chodź ze mną.

Raz jeszcze spojrział na Aelin. Jego lodowata wściekłość pognała razem z wiatrem, gdy księżę i Lew ruszyli w stronę ogarniętego chaosem, zakrwawionego obozu.

W obozie panowało zamieszanie, przez co łatwiej było się tam wślizgnąć. Rowan przypuścił szturm na zachodni skraj obozowiska, rozszarpując ciała i namioty, czym ściągnął uwagę wszystkich Fae, którzy miotali się między centrum obozu a jego wschodnim krańcem. Oczyścił sobie w ten sposób drogę do namiotu, ku któremu biegł, gdy zaalarmował go sygnał Lorcana.

Sygnał, którym Fae przekazał mu, że ją znaleźli. Lub, co było bliższe prawdzie, to ona odnalazła ich.

Gdy Rowan wreszcie ją ujrzał, najpierw z nieba, a potem z bliska, gdy leżała na ziemi, gdy poczuł krew, zarówno jej własną, jak i innych, gdy ujrzał łańcuchy i żelazną maskę, gdy usłyszał szloch Aelin na jego widok, gdy wyczuł rozpacz i przerażenie w zapachu ukochanej, eksplodowała w nim furia, która nie pozostawiała miejsca na litość czy współczucie.

Wraz z Gavrielem wyminęli ostatnie namioty i pędzili już ku temu, który znajdował się w samym środku, otoczony szerokim pasmem zielonej trawy, zupełnie jakby nikt nie mógł znieść sąsiedztwa Cairna.

Aelin towarzyszył Fenrys.

Ze środka namiotu dobiegała cisza, co być może oznaczało, że wilk już nie żył.

Gavriel przybrał postać Fae i złapał za nóż. Rowan nakazał mu wzrokiem ciszę i pchnął do środka podmuch wiatru. Ten zaśpiewał mu o dwóch żywych istotach. Obu rannych. W powietrzu niósł się zapach krwi.

Rowan nie potrzebował dalszej zachęty.

Cisi niczym wiatr wśród traw, wślizgnęli się do środka. Biały Cierń nie wiedział, na co ma patrzeć – na leżące na ziemi postaci czy też na żelazną trumnę pośrodku. Tę skrzynię, w której ją trzymano.

Wyglądało na to, że musieli ją wzmocnić, bo do wieka przyspawano nieudolnie żelazną sztabę.

Jaka mała ta skrzynia... Jaka wąska...

Powietrze w namiocie przesycone było zapachem jej strachu oraz krwi, bijącym ze środka skrzyni.

Obok niej stał metalowy stół, a pod nim...

Rowan zarejestrował trzy nierozpalone kosze z drewnem oraz wystające ze stołu pierścienie do mocowania łańcuchów na wysokości głowy i kostek. Potem przeniósł wzrok na zakrwawionego, ale wciąż żywego Cairna. Przy Fenrysie klęczał już Gavriel, który wsączał jaśniejącą, złocistą moc w poszarpane futro. Biały wilk nie odzyskał przytomności, ale jego oddech się uspokoił. Dobry znak.

– Uzdrów go – odezwał się Rowan złowieszczo cichym głosem.

Lew uniósł głowę i przekonał się, że Biały Cierń spogląda nie na wilka, ale na Cairna. Ciało oprawcy było poszarpane, tu i ówdzie brakowało kawałków mięsa, a wypukłość na czole zdradzała, który cios odebrał mu przytomność. Rowan odniósł wrażenie, że Fenrys uderzył głową Cairna o krawędź metalowego stołu, a potem sam padł bez sił, być może nie od ran na ciele, ale...

Rowan znieruchomiał. Co tu się stało? Do czego tu doszło, skoro wilk dokonał rzeczy niemożliwej, by móc ocalić Aelin? W brązowych oczach Gavriela błysnęła czujność.

– Jego – dodał Rowan, wskazując Cairna.

Brakowało już czasu na to, co chciał zrobić. Czego potrzebował.

Niektóre z szuflad komody zostały otwarte podczas walki. W środku połyskiwały jakieś wypolerowane narzędzia. Kilka innych, zawiniętych w czarny aksamit, leżało nieopodal metalowego stołu.

Jej krew śpiewała o bólu, rozpacz i skrajnym przerażeniu. Jej krew. Jego Ognistego Serca.

Zamigotała magia Gavriela. Nad Cairnem rozlało się złociste światło.

Rowan przejrzał instrumenty oprawcy, zarówno na stoliku, jak i w komodzie, i po namyśle wybrał cienki nóż – narzędzie uzdrowiciela do nacięć i wyskrobywania martwej tkanki.

Cairn jęknął, odzyskując przytomność. Nim się przebudził, był już przykuty do stołu. Zamrugnął i spojrzął na narzędzie w wytatuowanej

dłoni Rowana, a potem inne, nadal ułożone na aksamicie, i zaczął się miotać, choć łańcuchy trzymały mocno.

Potem zauważył lodowatą furię w oczach Rowana i zrozumiał, co ten zamierza zrobić. Z przodu jego spodni rozlała się ciemna plama.

Rowan otoczył namiot lodowatym wiatrem, który wytłumił wszelkie dźwięki, i przystąpił do pracy.

Odgłosy bitwy niosły się daleko, na całe kilometry. Elide, ukryta wśród wzgórz porośniętych prastarym lasem, czekała od wielu godzin. Z początku trzęsa się z zimna wśród mroku nocy i patrzyła, jak czerń przeradza się w szarość, a szarość w błękit. Wtedy eksplodował zgiełk.

Chodziła po porośniętej mchem polanie, klucząc między omszałymi głazami, rozrzuconymi wśród drzew, to znów kulila się w dudniącej ciszy pod którymś z gigantycznych pni i próbowała być jak najmniejsza, jak najcichsza. Gavriel przysięgał, że żadne złowrogie stworzenie nie miało na tyle odwagi, by zakradać się tak blisko Doranelle, ale Elide nie chciała ryzykować. Czekala więc na polanie, jak jej kazano. Czekala na nich. Bądź na sygnał, iż wszystko wzięło w łeb, by mogła sama spróbować coś zrobić. Postanowiła, że w tej sytuacji odnajdzie Essar i...

„Nie, nigdy do tego nie dojdzie – powtórzyła z naciskiem w myślach. – Nigdy. Nie ma takiej możliwości”.

Poranne słońce zaczynało już rozgrzewać cienie, w których się skryła, gdy wreszcie ich ujrzała.

Najpierw ujrzała, a dopiero potem usłyszała, gdyż poruszali się z gracją nieśmiertelnych wojowników, a więc niemalże bezszelestnie. Oddech uwiązał jej w piersi, gdy spomiędzy dwóch porośniętych mchem głazów wyłonił się Lorcan, wpatrzony w nią. A za nim szła, zataczając się...

Elide nie wiedziała, co zrobić z rękami. Nie miała pojęcia, co począć, co powiedzieć, gdy Aelin brnęła ku niej, potykając się o kamienie i korzenie, grzechocząc łańcuchami i brocząc krwią, nie tylko własną, ale również obcych.

Była wychudzona, a jej złociste włosy wydawały się dłuższe, o wiele za długie. Opadały jej aż po pępek, brudne, pokryte zakrzepłą krwią, jakby przebiegła przez krwawy deszcz.

Elide nie widziała Rowana ani Gavriela, ale na obliczu Lorcana nie dojrzała rozpaczy. Widziała tylko niepokój, gdy rozglądał się w poszukiwaniu pościgu.

Aelin zatrzymała się na skraju polany. Miała bose stopy, a pod krótką, cienką sukienką nie widać było żadnych poważniejszych ran. Jej oczy, przesłonięte żelazną maską, były jednak półprzytomne.

– Tu na nich zaczekamy – rzekł Lorcan.

Aelin, jakby jej ciało nie do końca należało już do niej, uniosła dłonie w rękawicach. Z jej nadgarstków zwisały połówki przerąbanego łańcucha, podobne wisały u jej kostek. Szarpnęła za jedną z metalowych rękawic, ale ta nawet nie drgnęła. Zmagała się z nią, ale bez skutku.

– Ściągnij to – odezwała się cicho, ochrypłym głosem.

Elide nie miała pojęcia, do kogo Aelin się zwraca, ale nim zdołała pokonać polanę, Lorcan ujął nadgarstek królowej i przyjrzał się zamkowi rękawicy. Skrzywił się lekko, co oznaczało, że nie będzie łatwo się ich pozbyć.

Elide podeszła bliżej, utykając mocniej, bo magia Gavriela była zajęta czymś innym. Zauważyła, że zamki żelaznych rękawic umieszczono na wysokości nadgarstków, tuż nad pierwszym ogniwem łańcucha. Oba miały niewielkie otwory na klucze. Przeniosła ciężar ciała na zdrową nogę i wychyliła się, by sprawdzić, w jaki sposób przymocowano maskę do głowy Aelin. Ten zamek jednakże wydawał się jeszcze bardziej skomplikowany, a łańcuchy okazały się stare i grube.

Lorcan wsunął do zamka rękawicy czubek wąskiego sztyletu i zaczął gmerać nim w środku, próbując poruszyć mechanizm.

– Ściągnijcie to! – wycharczała królowa, a porośnięte mchem drzewa pochłonęły jej słowa.

– Próbuję! – odparł Lorcan, mało uprzejmie, ale bez zwyczajowego chłodu.

Czubek ostrza zgrzytał o coś w środku, ale bez skutku.

– Zdejmij to! – Królowa zaczęła się trząść.

– Ja...

Aelin wyrwała mu sztylet z dłoni. Zazgrzytał metal, gdy wbiła ostrze w głąb zamka. Sztylet zadrżał.

– Chcę się tego pozbyć! – wyszeptała, wykrzywiając usta

i odsłaniając zęby. – Pozbyć!

Lorcan chciał jej odebrać sztylet, ale ona się odsunęła.

– To skomplikowany mechanizm! – warknął. – Potrzeba nam specjalisty!

Aelin jednakże, sapiąc przez zaciśnięte zęby, dalej dłużyła w zamku, aż po polanie poniósł się trzask. Zamek bynajmniej nie ustąpił. Dziewczyna wyciągnęła sztylet z ułamanym końcem, a z samego zamka wypadł kawałek metalu, który znikł wśród mchów.

Aelin wbiła wzrok w złamane ostrze i w okruch metalu między jej bosymi, poranionymi stopami. Upuściła broń i zaczęła szarpać za łańcuchy, za rękawice, za maskę.

– Zdejmijcie mi to! – błagała, ciągnąc ze wszystkich sił. – Zdejmijcie!

Elide wyciągnęła rękę, chcąc powstrzymać królową, nim ta zacznie zrywać sobie skórę, ale Aelin poderwała się i odbiegła dalej, zataczając się. Padła na kolana, pochyliła się i zaczęła szarpać samą maskę, która nawet nie drgnęła.

Elide spojrzała na Lorcana, który jak sparaliżowany wpatrywał się w klęczącą Aelin. Jej oddech przerywał rozdzierający szloch.

To była jego sprawka. On do tego doprowadził.

Elide zrobiła krok ku Aelin.

Z rękawic królowej ściekała krew, gdyż podrapała się nimi po policzkach i szyi, gdy usiłowała zerwać maskę.

– Zdejmijcie je! – Jej prośba zamieniła się w dziki wrzask. – Zdejmijcie! Zdejmijcie!

Wrzeszczała bez opamiętania, aż jej krzyk przeszedł w niekontrolowany szloch, który poniósł się daleko po prastarym lesie. Nie powiedziała nic innego. Nie zaklinała bogów, nie wzywała przodków, a jedynie bez końca błagała o zdjęcie maski.

– Zdejmijcie, zdejmijcie, zdejmijcie.

Między drzewami coś się poruszyło. Lorcan nie sięgnął po broń, co oznaczało, że nadciąga przyjaciel. Ulga Elide wyparowała jednak błyskawicznie, gdy niespodziewanie pojawili się Rowan i Gavriel, dźwigający ogromnego, białego wilka. Tego samego, który swego

czasu zacisnął kły na ramieniu Elide i poszarpał jej ciało do kości.

Fenrys.

Był nieprzytomny, a z jego zakrwawionego pyska zwisał język. Rowan, ledwie znalazł się na polanie, odłożył ciało towarzysza i przypadł do Aelin. Był zbryzgany krwią, ale poruszał się równie zwinnie jak zawsze, co zdradziło Elide, iż sam nie odniósł żadnych ran. Nie chciała wiedzieć, skąd wzięły się bryzgi krwi na jego szyi i twarzy.

Aelin nadal szarpała za maskę. Sprawiała wrażenie, jakby nie zauważała obecności księcia bądź nie dbała o nią. A przecież wreszcie się znaleźli. Miała przed sobą swego męża. Ukochanego. Towarzysza.

- Aelin.

- Zdejmijcie to! Zdejmijcie to! Zdejmijcie to!

Jej wrzaski były nie do zniesienia, o wiele gorsze niż owego pamiętnego dnia na plaży w Eyllwe.

Gavriel stanął obok Elide. Jego złocista skóra pobladła, gdy spojrzał na szalejącą królową.

Rowan powoli uklęknął obok niej.

- Aelin...

Zwróciła głowę ku koronom drzew i zaniosła się szlochem. Świeża krew spływała z jej skaleczeń i mieszała się z tą, która już pokrywała jej ciało.

Rowan wyciągnął ku niej dłoń, która lekko drżała. Była to jedyna oznaka bólu, który wedle Elide z całą pewnością przeszywał jego ciało. Powoli, ostrożnie ułożył dłonie na jej nadgarstkach, równie delikatnie zacisnął na nich palce. Zatrzymał dzikie, niekontrolowane drapanie.

Ciałem Aelin wstrząsał szloch.

- Zdejmijcie to! Zdejmijcie to!

W spojrzeniu Rowana błysnęły panika, ból oraz tęsknota.

- Zajmę się tym. Ale musisz usiąść nieruchomo, Ogniste Serce. Na chwilę.

- Zdejmijcie to, zdejmijcie, zdejmijcie...

Szloch słabł i powoli przeradzał się w coś krwawego, zduszonego. Kciuki Rowana musnęły skórę nad jej nadgarstkami i żelaznymi kajdanami. Drzenie ciała Aelin powoli ustawało.

Chwilę później, gdy Rowan powstał i stanął za królową, Elide uświadomiła sobie, że nic nie ustało. Drgawki Aelin zostały tylko opanowane i skierowane do wewnątrz. Jej spięte ciało przeszywały spazmy, ale stała nieruchomo, gdy Rowan oglądał zamek. Na obliczu księcia pojawił się jednak wstrząs, a potem przerażenie i smutek. Emocje natychmiast znikły, po czym Rowan przywołał pozostałych wojowników.

Gavriel i Lorcan podeszli bliżej powolnym krokiem. Fenrys nadal leżał nieruchomo, jego futro było pokryte plamami schnącej krwi.

Elide zaś stanęła w miejscu, które jeszcze przed chwilą zajmował Rowan. Aelin zacisnęła powieki, jakby musiała wyżyć całą siłę woli, by choć jeszcze chwilę utrzymać bezruch i pozwolić im się obejrzeć. Elide nie mówiła więc nic. Czekwała w milczeniu na sposobność, by się przydać.

Rowan studiował zamek z tyłu głowy dziewczyny z ponurą miną na zbryzganej krwią twarzy. Rozchylił lekko nozdrza.

„Wściekłość – odkryła Elide. – I frustracja”.

– Nigdy dotąd nie widziałem takiego zamka – mruknął Gavriel.

Aelin znów zaczęła się trząść. Elide ułożyła dłoń na jej kolanie, odartym do krwi, brudnym od błota i trawy. Przeczuwała, że królowa ją odepchnie, ale ona zaciskała mocno powieki i utrzymywała rytm chrapliwego oddechu.

Rowan złapał jeden z łańcuchów przytrzymujących maskę i skinał na Lorcana.

– Chwyć go tam.

Lorcan w milczeniu złapał za łańcuch w innym miejscu. Byli gotowi go rozerwać, jeśli będzie taka potrzeba.

Elide wstrzymała oddech, gdy obaj mężczyźni napięli mięśnie, by rozerwać łańcuch. Naparli ze wszystkich sił, aż ramiona zaczęły im drżeć, ale nic to nie dało.

Podjęli drugą próbę. Aelin wstrzymała oddech. Elide zacisnęła dłoń na kolanie królowej.

– Jakoś udało jej się przerwać łańcuchy na kostkach i nadgarstkach – zauważył Gavriel. – A więc nie są niezniszczalne.

Łańcuchy, które trzymały maskę na miejscu, znajdowały się jednak za blisko głowy, by cios mieczem wchodził w rachubę. Być może maska została też wykonana z mocniejszego żelaza.

Rowan i Lorcan ze stęknieniem naporli na łańcuchy, ale niewiele to dało, więc zarzucili wysiłki, dysząc lekko. Na ich dłoniach pozostały czerwone pręgi.

Sięgnęli też po magię, by rozbić żelazne okowy.

Na polanie zapadła cisza. Nie mogli dłużej zwlekać, ale ucieczka z Aelin w łańcuchach, kiedy ta była gotowa zrobić wszystko, by się od nich uwolnić...

Naraz otworzyła oczy.

Były puste. Całkowicie martwe. Patrzyła na nich jak wojownik pogodzony z porażką.

– A może trzeba kluczem? – wypaliła Elide, gotowa zrobić wszystko, by przegnać tę pustkę. – Widziałas, jak posługują się kluczem?

Aelin mrugnęła dwa razy. Jakby to coś znaczyło.

Rowan i Lorcan zdwoili wysiłki, ale spojrzenie królowej padło na mech i na kamienie. Zmarszczyła lekko brwi, jakby zastanawiała się nad odpowiedzią. Jej usta, ledwie widoczne przez wąską szczelinę w masce, poruszyły się lekko, formując słowo.

„Klucz”.

– Nie mamy ich – powiedziała Elide, odgadując myśli Aelin. – Wzięli je Manon i Dorian.

– Cicho bądź! – syknął Lorcan, nie mając na myśli tonu głosu Elide, ale wagę informacji.

Rowan warknął, szarpiąc ponownie, ale Aelin wyciągnęła rękę w stronę mchu i nakreśliła jakiś kształt.

– Co to? – Elide pochylila się, gdy królowa powtórzyła gest. Jej twarz nadal pozostawała nieprzenikniona.

Mężczyźni zamarli. Aelin znów nakreśliła jakiś symbol.

– To Znak Wyrda – powiedział cicho Rowan. – Symbol otwarcia.

Milcząca Aelin wyrysowała znak raz jeszcze, jakby nikogo przy niej nie było.

– Działają na żelazo? – spytał Gavriel, przyglądając się palcowi Aelin.

– Otworzyła za jego pomocą żelazne drzwi do królewskiej biblioteki Adarlanu – mruknął Rowan. – Ale potrzebowała... – Nie dokończył. Zamiast tego podniósł złamany nóż, który Aelin wyrzuciła na ziemię, i przejechał nim po swej dłoni. Uklęknął przed nią i wyciągnął ku niej rękę. – Pokaż mi, Ogniste Serce. Pokaż mi raz jeszcze. – Stuknął w obejmę na jej kostce.

Milcząca, zeszywniała Aelin pochyliła się do przodu. Powąchała krew zbierającą się na jego dłoni. Jej nozdrza rozchyliły się lekko. Uniosła głowę i spojrzała Rowanowi w oczy, jakby zapach krwi krył w sobie jakieś pytanie.

– Jestem twoim towarzyszem życia – szepnął Rowan, jakby to była odpowiedź, której szukała.

A miłość w jego oczach, łamiący się głos, drżenie zakrwawionej ręki... Elide poczuła ucisk w gardle.

Aelin wpatrywała się w krew gromadzącą się na dłoni księcia. Rękawica zgrzytnęła cicho, gdy zacisnęła dłoń, jakby i to było odpowiedzią.

– Nie jest w stanie tego zrobić z żelazem – powiedziała Elide. – Jeśli ma je na sobie. Żelazo blokuje magię w jej krwi.

Aelin mrugnęła raz.

– To dlatego ci to nałożyła, prawda? – szepnęła Elide, czując ból w sercu. – By mieć pewność, że nie zdołasz nakreślić własną krwią Znaków Wyrda i zrzucić kajdan...

Jakby samo żelazo nie wystarczyło...

Aelin znów mrugnęła. Jej twarz nadal była pusta i zimna. Zmęczona.

Rowan zacisnął zęby, ale zanurzył palec we własnej krwi i podsunął jej dłoń.

– Pokaż mi, Ogniste Serce – powtórzył.

Elide mogłaby przysiąc, że zadrżał i to bynajmniej nie ze strachu, gdy zakuta w stal dłoń Aelin zacisnęła się na jego palcach. Kilkomina oszczędnymi ruchami poprowadziła jego palec tak, by nakreślił symbol na jej kostce. Błysnęło zielone światło i... szczęknął otwierający się zamek. Kajdany osunęły się na mech.

Lorcan zaklął.

Rowan znów podał Aelin swą dłoń. Okowy na drugiej kostce ustąpiły przed Znakiem Wyrda. W ślad za nimi poszły kajdany na nadgarstkach, a potem na mech zsunęły się zarazem piękne, jak i okropne rękawice.

Aelin uniosła wolne już dłonie ku twarzy. Dotknęła zamka z tyłu głowy, ale zawahała się.

- Ja się tym zajmę - powiedział Rowan tym samym głosem, cichym i pełnym miłości. Stał za nią, a Elide spojrzała na straszliwą maskę, na której wyrzeźbiono słońca oraz płomienie.

Znów rozbłysło światło, szczęknął metal i maska zsunęła się na ziemię.

Jej twarz była blada, niewyobrażalnie blada. Wszystkie ślady opalenizny znikły bez śladu. Widać było na niej pustkę. Pustkę oraz obojętność.

I nieufność.

Elide stała nieruchomo, chcąc, by królowa jej się przyjrzała. Wojownicy stanęli przed nią, a Aelin patrzyła na każdego po kolei. Gavriel pochylił głowę. Lorcan obrzucił ją mrocznym, nieodgadnionym spojrzeniem. A Rowan...

Rowan oddychał z trudem i przęłykał ślinę.

- Aelin?

Owo imię wydawało się być kolejnym uwalniającym zaklęciem, nie tyle samą królową, którą Elide знаła właściwie od tak niedawna, ale kryjącą się w niej moc. Drgnęła, gdy niespodziewanie eksplodowała złocista, oślepiająca magia, która spaliła koszulę Aelin na popiół.

Lorcan odciągnął Elide, a ona nie sprzeciwiła się, choć fala gorąca szybko znikła, a sama magia skurczyła się i uformowała aureę wokół królowej, migotliwą drugą skórę. Aelin zaś klęczała, płonąć, i nie mówiła ani słowa.

Płomienie migotały, ale mech i korzenie nie zajmowały się ogniem. Nawet nie parowały. Długie włosy Aelin częściowo zakrywały jej nagość, ale Elide zdążyła się przypatrzeć jej obrażeniom.

Zauważyła tylko sińce na żebrach. Poza nimi nie było nic.

Ani śladu blizn.

Znikły nawet te, które Elide zapamiętała z czasów przed porwaniem Aelin, zupełnie jakby ktoś wytarł je do czysta.

Odebrano jej blizny. Maeve zabrała je wszystkie.

Rowan zaczynał się domyślać, co tam się stało. Kiedy ujrzał gładką skórę w miejscu, gdzie Aelin nosiła pamiątki po niewoli w Endovier i ślady po biczu Cairna, zaczął już coś podejrzewać, ale gdy zobaczył, jak klęczała, odziana jedynie w płomienie... Nie widział żadnych blizn. Znikły przywodzące na myśl naszyjnik ślady pozostawione przez Babę Żółtonogą. Wyparowały blizny po kajdanach z Endovier i po złamaniu ręki, które zafundował jej Arobynn Hamel.

Aelin wpatrywała się w swoje odsłonięte wreszcie dłonie, jakby i ona uzmysławiała sobie, czego brakuje.

Zniknęły również blizny na jej rękach. Ta, która upamiętniała chwilę, gdy zostali *carranam*. Ta, która była pamiątką po przysiędze złożonej Nehemii.

Zupełnie jakby nigdy ich tam nie było.

Uzdrowiciele byli w stanie usunąć wszelkie blizny, ale przypuszczalnie powodem, dla którego znikły bez śladu ze wszystkich miejsc, po których wodził kiedyś dłońmi i ustami, było to, że...

Że Aelin otrzymała nową skórę. Wszędzie z wyjątkiem twarzy, gdyż Maeve i jej słudzy nie byli na pewno na tyle głupi, by zdejmować jej maskę.

Teraz, gdy zakrzepła krew spłonęła do szczytu, Rowan nie miał już wątpliwości. Niemal każdy centymetr jej ciała został pokryty nową skórą, nietkniętą niczym świeży śnieg. Najwidoczniej oprawcy musieli zastąpić czymś to, co zniszczyli. Musieli ją uzdrowić, by móc na nowo zacząć tortury.

Gavriel i Elide podeszli do leżącego na ziemi Fenrysa. Sztuka leczenia, po którą sięgał Lew na polach bitewnych, najwyraźniej nie wystarczyła, by pomóc wilkowi na długo.

- Nie zostało mu wiele czasu - rzekł Gavriel, nie kierując słów do nikogo.

Fenrys zerwał przysięgę krwi. Rozszarpał ją samą siłą woli i wkrótce miał za to zapłacić, gdy jego siła życiowa zgaśnie bez reszty.

Aelin oderwała wreszcie spojrzenie od swoich dłoni i zaskakująco gładkiej skóry, po czym przeniosła je na leżącego po drugiej stronie polany wilka.

Zamrugła dwukrotnie, a potem podniosła się powoli, najwyraźniej obojętna na swą nagość bądź jej nieświadoma. Zrobiła niepewny krok.

Rowan przypadł do niej, tak blisko, jak pozwoliły mu na to płomienie. Mógłby się przebić przez jej ogień – mógłby zasłonić się lodem lub usunąć powietrze, które karmiło płomienie – ale na samą myśl o tym, iż miałyby przekroczyć tę umowną linię, gdy tak wiele zostało Aelin skradzione... Wciąż nie chciał myśleć o nieufności w jej oczach, gdy patrzyła na niego i pozostałych. Jakby nadal nie wierzyła w to, co widzi. Jakby nie ufała swoim zmysłom.

Aelin zdołała zrobić kolejny krok.

Rowan spojrział na jej szyję. Znikły nawet ślady po jego ugryzieniu.

Otoczona płomieniami Aelin podeszła do Fenrysa. Biały wilk nawet nie drgnął.

Na twarzy królowej pojawił się smutek. Smutek oraz wdzięczność.

Gavriel i Elide cofnęli się o krok. Nie kierował nimi lęk. Chcieli dać Aelin nieco miejsca na pożegnanie.

Musieli uciekać. Od obozu dzieliły ich jedynie kilometry i każda chwila zwłoki była głupotą. Mogli ponieść Fenrysa, nim ten odejdzie, ale...

Rowan nie potrafił zmusić się do tego, by otworzyć usta i powiedzieć Aelin, że nie mają czasu na długie pożegnania. Że zostało im zaledwie parę minut, po czym muszą uciekać. W myślach postanowił jednak, że jeśli odnajdzie ich jakiś zwiadowca, nie pozwoli mu, by jej przerwał.

Gavriel i Lorcan najwyraźniej myśleli o tym samym. Ich spojrzenia spotkały się, na co Rowan ruchem głowy wskazał im zachodni skraj polany. Obaj zakradli się w tym kierunku.

Aelin uklękła przy Fenrysie, a jej płomienie otoczyły ich oboje. Ogień po chwili ustąpił miejsca czerwono-złotej aurze, która stopiłaby ciało każdego śmiałka, gotowego ją pokonać. Migotała

i falowała niczym ogromny bąbel miedzianego powietrza, ale Rowan widział, jak Aelin wodzi dłonią po poranionym boku wilka.

Gavriel zaleczył większość jego ran, ale sierść nadal plamiła krew. Dłoń Aelin delikatnie, łagodnie wodziła po jego ciele. Szeptala coś, ale zbyt cicho, by Rowan zdołał rozpoznać słowa.

Fenrys powoli, z wysiłkiem otworzył oko. Błyszczało bólem oraz czymś, co przypominało radość i ulgę na widok jej uwolnionej twarzy. Rowan dostrzegł też w jego spojrzeniu wyczerpanie tak ogromne, że odejście wydawała się powitalnym uściskiem i pocałunkiem samej Silby, bogini łagodnej śmierci.

Aelin znów przemówiła, a bariera pochłonęła jej słowa. Rowan nie widział łez, a jedynie ów smutek. Oraz jasność.

Patrzył na twarz królowej. Prawdziwej władczynie, która ujęła ogromną łapę i odsunęła futro, by odsłonić ogromny pazur. Przesunęła nim po swoim nagim przedramieniu, rozdzierając skórę. Ze skaleczenia popłynęła krew.

Rowanowi oddech uwiązł w piersi. Gavriel i Lorcan, którzy zajęli pozycje na skraju polany, odwrócili się gwałtownie. Aelin przemówiła ponownie, a Fenrys zamrugął raz, co królowa uznała za wystarczającą odpowiedź.

– Na bogów – szepnął Lorcan, gdy Aelin podsunęła krwawiące przedramię pod pysk wilka. – Na wszystkich przeklętych bogów...

Nie istniała inna, większa nagroda za lojalność i poświęcenie Fenrysa. Nie było też innego sposobu, by zatrzymać nadciągającą śmierć.

Tylko to. Tylko przysięga krwi.

Fenrys zdołał unieść łeb, by wychłęptać nieco krwi z rany Aelin i milcząc, złożył jej przysięgę kilkoma mrugnięciami. Rowan, który przyglądał się tej scenie, poczuł nieznośny ucisk w klatce piersiowej.

Zerwanie przysięgi krwi danej jednej królowej rozszarpało duszę Fenrysa i spowodowało wyciek siły życiowej. Złożenie przysięgi krwi innej mogło pomóc zagoić się jakże straszliwym ranom. Starożytna magia wiązała gasnące życie Fenrysa z życiem Aelin. Wilk zdołał polizać trzykrotnie ranę, po czym znów ułożył głowę na mchu i zamknął oczy.

Aelin skuliła się obok niego. Płomienie objęły ich oboje.

Rowan nie mógł nawet drgnąć. Nikt z nich nie był w stanie się poruszyć.

Wtedy Aelin wypowiedziała krótkie, ostre słowo.

Fenrys ani drgnął.

Królowa powtórzyła je z nieporuszoną twarzą.

„Żyj”.

A więc chciała wykorzystać przysięgę krwi, by kazać mu pozostać po tej stronie.

Mimo to Fenrys nadal ani drgnął.

Elide, stojąca po drugiej stronie ściany ognia i gorąca, nakryła dłonią usta. Jej oczy lśniły jasno. Ona również odczytała słowo z warg Aelin.

Królowa przemówiła po raz trzeci. Jej zęby błysnęły, gdy wydała Fenrynowi swój pierwszy rozkaz.

„Żyj!”.

Rowan zapomniał o oddychaniu. Czekali. Mijały długie minuty.

Wtedy Fenrys powoli, z wysiłkiem rozchylił powieki. Aelin patrzyła mu w oczy. Na jej twarzy widać było tylko surową powagę.

Fenrys drgnął. Poruszył łapami, napiął mięśnie i wstał.

– Nie wierzę – szepnął Lorcan. – Nie...

Fenrys stał jednak przed ich klęczącą królową. Pochylił łeb, a potem podkulił obie łapy, jedną po drugiej. Składał ukłon.

Przez twarz Aelin przemknął cień uśmiechu, ale znikł, nim zdążył zakwitnąć na jej wargach. Królowa nadal klęczała, choć Fenrys przeniósł już spojrzenie na pozostałych. W jego ciemnych oczach błyszczały zaskoczenie oraz ulga. Nawiązał kontakt wzrokowy z Rowanem, a ten uśmiechnął się lekko i pochylił głowę.

– Witaj na dworze, szczeniaku – powiedział ochryplym głosem.

Przez wilczy pysk przemknęły nieskrywane emocje, po czym Fenrys odwrócił się ku Aelin. Ta wpatrywała się w nicość. Wilk tracił jej ramię kudłatym łbem, na co dziewczyna bezwiednie przeczesła mu

futro dłonią. Rowan znów poczuł ucisk na sercu.

Maeve wdarła się do jego umysłu, by w nim namieszać. Co zrobiła z nią? Jaką krzywdę wyrządziła Aelin?

– Musimy ruszać – odezwał się Gavriel równie ochryłym głosem jak Rowan przed chwilą. Nie spuszczał wzroku z Fenrysa, który stał dumny, czujny przy Aelin. – Musimy oddalić się od obozu i znaleźć jakieś miejsce na nocleg.

A wtedy będą musieli się zastanowić, jak i kiedy opuścić to królestwo. Najlepiej byłoby się udać w stronę lasów i gór, gdzie niełatwo będzie ich wykryć i bez trudu znajdą jaskinie, w których będą mogli się schować.

Fenrys zwrócił nienawistne spojrzenie na Lorcana. Pamiętał o jego winie. Pamiętał o zemście. Mimo to tylko zdawkowo kiwnął mu łbem.

Elide sięgnęła po jeden z plecaków stojących pod drzewem.

– Które? – spytała.

Rowan jednakże nie zdążył jej odpowiedzieć, bowiem wokół polany zaczęły wyrastać postaci, bezszelestne niczym upiory, jakby nie przybyły, a po prostu wyłoniły się z cieni wśród zarośli. Rowan dostrzegł drobne ciała i twarze, niektóre blade, inne ciemne, jeszcze inne pokryte łuskami. Przybysze woleli nie wyłaniać się z półmroku lasu, więc widać było jedynie ich patykowate kończyny oraz wielkie, niemrugające oczy.

– Mali Ludzie – szepnęła Elide.

Elide nie widziała ani śladu Małych Ludzi od dni przed upadkiem Terrasenu. Potem zdarzało się, że usłyszała jakiś szelest czy zauważyła kątem oka jakiś ruch w cieniach prastarej Dębowej Puszczy, ale nigdy dotąd nie widziała ich aż tylu. Nigdy też nie pojawili się tak otwarcie.

Cóż, a przynajmniej na tyle otwarcie, na ile było ich stać.

Pół tuzina Małych Ludzi kryło się za korzeniami, głazami i krzakami. Żaden z Fae nawet nie drgnął, choć Fenrys nastroszył uszy.

Elide wciąż nie mogła przestać myśleć o cudzie, który właśnie ujrzała. Wyrwany z objęć śmierci Fenrys był wykończony, ale jego

ślepiea lśniły równie intensywnie jak oczy Małych Ludzi.

Aelin jednakże ledwie na nich zerknęła.

Błada, chudziutka ręka wysunęła się zza porośniętego mchem głazu i zgięła się parokrotnie, jakby niewidzialny przybysz próbował ich przywołać.

– Chcesz, byśmy poszli za tobą? – spytał Rowan chropawym głosem.

Ręka powtórzyła gest.

– Oni znają ten las lepiej od nas – mruknął Gavriel.

– A ufasz im? – spytał Lorcan.

Rowan spojrzał na Aelin.

– Już raz ocalili jej życie – odparł. Miał na myśli noc, kiedy zabójcy Erawana powrócili po nią. – Jestem pewien, że zrobią to ponownie.

Niewidoczni i bezszelestni, przemykali wśród drzew, skał i strumieni prastarego lasu. Rowan trzymał się krok za Aelin i Fenrysem, Gavriel i Elide podążali na czele, a Lorcan strzegł tyłów. Prowadzili ich nadal Mali Ludzie.

Aelin jak dotąd nie odezwała się ani słowem i nie zrobiła nic poza tym, że podniosła się, gdy usłyszała, że czas wyruszyć w drogę. Rowan oddał jej swój płaszcz, a Aelin rozchyliła ściany złocistej bariery, by go przejąć i narzucić na swe nagie ciało. Szła niestrudzenie naprzód, ściągając poły okrycia na piersi, mimo bosych stóp niestrudzenie pokonując kilometr za kilometrem. Jeśli stąpanie po kamieniach i korzeniach sprawiało jej ból, nie dała tego po sobie poznać. Fenrys nadal szedł obok niej w bąblu ognia, przez co przypominali dwa duchy z przeszłości.

Obraz z dawnych lat, przedstawiający królową oraz wilka, wędrujących wśród drzew.

Uciekinierzy niewiele się odzywali. Szli cierpliwie za przewodnikami, aż łagodne zbocza wzgórz zaczęły się stawać coraz bardziej strome, głazy potężniejsze, a w skałach i pniach drzew pojawiły się pęknięcia.

– To ślady po starożytnych wojnach między leśnymi duchami –

szepnął Gavriel do Elide, gdy spostrzegł, że dziewczyna marszczy brwi, wpatrując się w zbocze zasłane przewróconymi pniami i pokruszonymi kamieniami. – Niektóre z nich dalej się toczą, niedostrzegalne dla nikogo poza mieszkańcami tego królestwa.

Rowan nigdy dotąd nie widział nikogo z rasy eterycznych istot o wiele starszych i bardziej tajemniczych nawet od Małych Ludzi, ale w swoim górskim domu, znajdującym się wysoko na zboczach łańcucha, ku któremu zmierzali, podczas ciemnych, bezksiężycowych nocy czasami słyszał łoskot skał czy trzask drzew, choć powietrzem nie poruszał najłżejszy nawet podmuch wiatru.

Byli tak blisko górskiego domu, który zbudował. Dzielilo ich od niego raptem trzydzieści kilometrów. Chciał tam kiedyś zabrać Aelin, choć z samego domu nie pozostało wiele poza popiołami. Pragnął tylko pokazać jej miejsce, gdzie dom kiedyś stał i gdzie pochował Lyrię. Jego niedoszła towarzyska życia przecież wciąż tam spoczywała.

A jego prawdziwa... Szła niestrudzenie między drzewami. Jak upiór.

Nadal podążali za wskazaniem Małych Ludzi, którzy przyzywali ich zza drzew, głązów i zarośli, po czym znikali. Inni pojawiali się za plecami Lorcana i maskowali ich ślady prostymi czarami i zręcznymi dłońmi.

Rowan modlił się, by udało im się znaleźć miejsce na nocleg. Miejsce, gdzie Aelin mogłaby odpocząć i gdzie mogliby się ukryć przed oczami Maeve, w razie gdyby uświadomiła już sobie, że została oszukana.

Kierowali się na wschód, oddalając się od wybrzeża. Rowan nie miał śmiałości zwrócić im uwagi na to, że musieli odnaleźć port. Postanowił, że przekona się, dokąd Mali Ludzie ich dziś zaprowadzą, a potem obmyśli plan powrotu na kontynent.

Niemniej gdy istoty doprowadziły ich przed gigantyczny, pęknięty głąz, a potem nawołujące ich drobne ramiona wyłoniły się z dzielącej go szczeliny, Rowan złapał się na tym, że ogarnia go niepewność. Istota mieszkająca w jeziorze pod Łysą Górą była niewielkim zagrożeniem w porównaniu z potworami, które wciąż grasowały w ciemnych, zapomnianych miejscach.

Mali Ludzie nie przestawali ich nawoływać.

– To może być pułapka – rzekł Lorcan, który wyrósł u jego boku.

Elide i Gavriel szli zdecydowanie naprzód, a Aelin i Fenrys podążali za nimi. Rowan porzucił więc wątpliwości i udał się w ślad za Aelin. Wszak poprzysiągł, że będzie to czynił do końca życia.

Wejście do jaskini było wąskie, ale wkrótce zaczęło się rozszerzać. Aelin rozpedziła mrok i zalała przestrzeń blaskiem, który zapłonął na czarnych ścianach, niemniej niedługo potem nawet jej jasność przestała wystarczać. Weszli bowiem do podziemnej sali tak ogromnej, że jej sufit nikł w mroku.

Rowan znieruchomiał, ale nie ze względu na rozmiary pomieszczenia. W ścianie wydrążono bowiem niewielkie zakamarki i komnaty. Niektóre zostały zaopatrzone w posłania, w innych ułożono sterty odzieży, w jeszcze innych zebrano jedzenie. Nieopodal jednego z wejść płonęło niewielkie ognisko, a za nim połyskiwała woda w kamiennym korycie, bez wątpienia przyniesiona z pobliskiego strumienia.

W głębi jaskini Rowan dostrzegł brzeg wielkiego, ciągnącego się w mrok jeziora. Wiedział, że pod tymi górami znajdowały się setki podziemnych rzek i jezior, a jaskinie prowadziły tak daleko, że nawet Fae nie mieli odwagi, by je badać.

Wszystko wskazywało na to, że tę pieczarę Mali Ludzie przejęli na własne potrzeby. Co więcej, udekorowali ściany brzoźowymi gałęziami oraz niewielkimi wieńcami. Między liśćmi migotały drobne, błękitne ogniki.

„Magia. Stara, dziwaczna magia – pomyślał Rowan. – Te ogniki wyglądają, jakby zdjęto je z nocnego nieba”.

Elide rozglądała się dookoła z podziwem i oszołomieniem, ale wojownicy Fae otaksowali przestrzeń praktycznym, uważnym wzrokiem. Wyglądało na to, że jedynym wejściem było to, którym dostali się do środka, a jezioro było zbyt wielkie, by móc dostrzec, co znajdowało się po drugiej stronie.

Aelin szła bezszelestnie ku jednej z migotliwych ścian. W jej zachowaniu brakowało typowej dla niej czujności. Nie rozglądała się w poszukiwaniu wyjść, pułapek i broni. Sprawiała wrażenie, jakby znalazła się w transie, jakby pogrążyła się w bezdennym oceanie

znajdującym się we własnym wnętrzu. Nie zatrzymywała się, aż stanęła przed udekorowaną ścianą. Rowan zauważył, że wśród gałęzi kryli się kolejni Mali Ludzie.

Fenrys stanął kilka kroków za Aelin, jakby chciał dać jej odrobinę prywatności.

Rowan wyczuł, że Lorcan, Elide i Gavriel kierują się do skalnych komnat, by przyrzeć się zgromadzonym tam dobrom, ale sam stał i wpatrywał się w ukochaną, stojącą przed migotliwą, żywą ścianą. Na jej twarzy nie było widać emocji, a w ciele brakowało napięcia.

Mimo to pochyliła głowę przed Małymi Ludźmi, ukrytymi wśród liści i gałęzi. Jej usta poruszyły się. Coś mówiła. Krótkie, urywane słowa.

Nigdy dotąd nie słyszał, by Mali Ludzie z kimkolwiek rozmawiali. Mimo to widział teraz, jak jego królowa, żona, towarzyszka życia toczy z nimi cichą rozmowę. W końcu Aelin odwróciła się. Jej twarz nadal była pusta, a oczy równie chłodne jak wody jeziora. Ruszyła w stronę ogniska z Fenrysem u boku.

A więc byli bezpieczni. Mali Ludzie najwyraźniej zapewnili ją, że jaskinia była bezpiecznym miejscem, skoro Aelin, nadal otoczona swą płonąca sferą, podeszła do ognia. Pozostali, zajęci przeglądaniem strojów i sprzętu, zamarli na moment, ale królowa, nie zwracając na nikogo uwagi, wybrała sobie miejsce na kamiennym podłożu, ułożyła się i zamknęła oczy.

Dorian miał brązowe oczy przez trzy dni, zanim wpadł na to, w jaki sposób przywrócić im dawny kolor. Asterin i Vesta nabijały się z niego bez litości podczas podróży wzdłuż Kłów i z udawaną rozpaczą udawały tęsknotę za „oczami jak niezapominajki”, a kiedy szafirowy odcień powrócił, westchnęły z ulgą ku niebu.

Jego magia potrafiła bez trudu przeskakiwać z żywiołu w żywioł, ale umiejętność zmiany postaci wydawała się zależeć od całkowicie innych procesów. Odnalazł ją w tej części swej natury, która od zawsze budziła w nim marzenia o wolności i niezależności, która nakłaniała go, by poszedł za wezwaniem Temis, Bogini Dzikich Istot, i wyrwał się na świat. We wczesnej młodości, gdy był jedynie beztroskim księciem z głową pełną ideałów, nie marzył o niczym innym.

I to właśnie nakazywała mu nowa magia.

„Odpuść – mówiła mu. – Zapomnij o tym, kim i czym się stałeś od czasu, gdy zdjęto ci naszyjnik. Przemień się w coś nowego, coś innego”.

Łatwo mu przyszło to zrozumieć, ale z wprowadzeniem w życie było nieco trudniej. Po tym, jak przywrócił oczom poprzedni kolor, nie był już w stanie przeprowadzić żadnych innych zmian. Nawet nie udało mu się sprawić, by jego oczy znów stały się brązowe.

Crochan i Trzynastka zrobiły sobie przerwę w cieniu ogromnych, bezlistnych drzew Dębowej Puszczy, na szczęście wolnej od śniegu. Następnego dnia miały dotrzeć na miejsce zbiórki. Tydzień później niż obiecały przywódcom wojennym z Eyllwe.

Dorian usiadł na powalonym przez wiatry, porośniętym mchem pniu, pogryzając kawałek suszonego, króliczego mięsa, które stanowiło jego obiad.

– Głowa mnie boli od samego patrzenia na twoje wysiłki – powiedziała Glennis, siedząca po drugiej stronie polany.

Wiedźmy Trzynastki przycupnęły to tu, to tam, obserwowane

uważnie przez Manon. Crochan zasiadały między nimi. Nie odzywały się, ale przynajmniej się ich nie wystrzegały.

Dorian jednakże gorzko tego pożałował, bo teraz wszystkie na niego spojrzały. Opuścił rękę z mięsem i ukłonił się lekko starszszce.

– Myślę, że mnie głowa boli za nas oboje.

– A w co tak naprawdę chcesz się zmienić? Lub w kogo?

W kogoś zupełnie innego. W przeciwieństwo tego, kim był. W przeciwieństwo człowieka, który przez całe lata nie dostrzegał obecności Sorschy, a na koniec przyniósł jej tylko śmierć. Chętnie by się uwolnił od mężczyzny, którym był, gdyby tylko magia mu na to pozwoliła.

– W nic – odparł. Wiele wiedźm, zniechęconych jego nieciekawą odpowiedzią, powróciło do skromnego posiłku. – Chcę się po prostu przekonać, czy to możliwe. Czy ktoś, kto włada taką magią jak ja, jest w stanie zmienić choćby drobne cechy.

Nie było to do końca kłamstwem. Manon jednakże zmarszczyła brwi, jakby usłyszała zagadkę, której nie mogła rozgryźć.

– Ale gdyby ci się udało – naciskała Glennis – to kim byś chciał się stać?

Nie wiedział. Nie był w stanie przywołać żadnej konkretnej wizji. Widział tylko ciemność, a Damaris u jego boku również nie był w stanie podpowiedzieć mu rozwiązania. Dorian spojrzał w głąb siebie i wyczuł morze magii, które przewalało się w jego wnętrzu. Delikatnymi, niewidzialnymi dłońmi zbadał jego kształt, a potem podążył do wciąż złamanego serca.

„Kim byś chciał się stać?”

Tam odkrył niewielką skazę, przypominającą ziarno magii skradzionej przez Cyrene, węzeł splątanych nici w tkaninie, który mógłby przetkać i uformować tak, by zaczął coś przypominać. Najpierw jednak musiał znaleźć w sobie więcej odwagi.

„Kim byś chciał się stać?” – zwrócił się do nieskończonej tkaniny w sobie.

Niech nici i węzły utworzą jakiś kształt w jego głowie. Niech stworzą wizję. Powoli, zaczynając od drobnych szczegółów.

– Twe oczy stały się zielone, królu – oznajmiła Glennis.

Dorian zamarł z bijącym mocno sercem. Pozostałe wiedźmy przerwały jedzenie, niektóre rozchyliły usta, jeszcze inne pochyliły się, by lepiej się przyjrzeć. Dorian jednakże pchnął jeszcze więcej magii w niewykończony kobierzec i zaczął dodawać szczegóły.

– Och, złociste włosy zupełnie do ciebie nie pasują. – Asterin skrzywiła się. – Wyglądasz, jakbyś cierpiał na jakąś chorobę.

Kim chciał zostać? Kimkolwiek, byleby nie sobą. Kimkolwiek, byleby nie tym, czym się stał.

Odpowiedź, której udzielił sobie w duchu, wytrąciła mu magiczne wrzeciono z niewidzialnej ręki. Wiedział, że gdyby teraz na siebie spojrział, ujrzałby swoje ciemne włosy i szafirowe oczy. Asterin westchnęła z ulgą.

Manon uśmiechnęła się jednak ponuro, jakby usłyszała jego niewypowiedzianą odpowiedź. I ją zrozumiała.

Nastała noc. Ogniska Crochan trzaskały pod płataniną bezlistnych gałęzi, kiedy Glennis zapytała:

– Czy któraś z was widziała kiedyś Pustkowiec?

Wiedźmy Trzynastki zamruwały i odwróciły się ku staruszce. Zazwyczaj nie zwracała się do nich wszystkich razem wziętych, a już na pewno nie z tak osobistymi pytaniami.

Ale liczyło się to, że przynajmniej do nich przemówiła. Po trzech dniach wspólnej podróży Crochan były wobec Manon równie nieufne jak w górach. Odzywały się do niej i czasami jadały wspólnie posiłki przy palenisku Glennis, ale ich rozmowy trudno było nazwać ożywionymi.

– Nie – odpowiedziała Asterin za cały sabat. – Żadna z nas nigdy tam nie była, choć ja spędziłam trochę czasu w lesie po drugiej stronie gór. Nie podeszłam jednak bliżej.

W jej czarnych, nakrapianych złotymi plamkami oczach błysnął smutek, co świadczyło o tym, że nie była to cała historia. W istocie, Sorrel, Vesta, a nawet Manon zerknęły na nią z żalem.

– A czemu pytasz? – Manon zwróciła się do Glennis, jedynej

Crochan przy tym palenisku.

- Z ciekawości - odparła staruszka. - Bo żadna z nas też tam jak dotąd nie zajrzała. Nie mamy odwagi.

- Nas się boicie? - Złote włosy Asterin opadły, gdy przysunęła się do ognia. Przewiązała je rzemieniem znalezionym w obozie. Co prawda nie był to czarny rzemień, noszony przez nią przez całe minione stulecie, ale znajomy widok sprawił Manon przyjemność. Przynajmniej to jedno się nie zmieniło.

- Boimy się własnej reakcji na widok tego, co pozostało z naszego ongiś wielkiego miasta i z naszych ziem.

- Mówią, że nie ma tam nic prócz gruzów - mruknęła Manon.

- A odbudowałybyście je, gdyby los dał wam szansę? - spytała Glennis. - Odbudowałybyście je dla siebie?

- Nigdy nie rozmawialiśmy o tym, do czego byśmy się wzięły, gdybyśmy mogły wrócić do domu - powiedziała Asterin.

- Dobrze byłoby mieć plan. - Glennis się zamyśliła. - Plan to potężna broń. - Jej błękitne oczy spoczęły na Manon. - Plan, który uwzględniłby nie tylko Crochan, ale też twoje rodaczki.

Dorian pokiwał głową, choć nie uczestniczył w rozmowie.

Co Trzynastka, Żelaznozębne oraz Crochan chciały osiągnąć i zbudować jako naród?

Manon otworzyła usta, ale wtedy w kręgu światła pojawiły się Cienie. Twarze obu wiedźm były ściągnięte, poważne. Pozostałe poderwały się w okamgnieniu.

- Dotarliśmy w okolice miejsca zbiórki - wysapała Edda.

Manon przygotowała się na najgorsze. Po obozie rozszedł się cień mocy, co było jedynym sygnałem, że Dorian utworzył wokół nich niemalże nieprzeniknioną zasłonę.

- Cuchnie tam śmiercią - dokończyła Briar.

Spóźniły się.

I to nie o godzinę czy dzień. Sądząc po stanie trupów na usłanej liśćmi polanie, położonej trzydzieści kilometrów dalej na południe, tydzień opóźnienia kosztował wojska Eyllwe wszystko. Żołdacy Morath nie zawracali sobie głowy zbieraniem trupów, które pozostawili tam, gdzie leżały. Wśród nich znajdowało się kilka Crochan w czerwonych płaszczach, które wezwały swe siostry z północy na pomoc. Smród gnijących ciał był tak intensywny, że oczy rozglądającej się po pobojowisku Manon aż łzawiły.

To była jej wina.

To ona doprowadziła do tej masakry. Gdyby nie opóźniła Crochan sprowokowaną potyczką, nie doszłoby do niej.

Spojrzała na Doriana, który stał na skraju polany, zasłaniając nos łokciem, i od razu odgadła, że on również doszedł do tych wniosków. Mówiło o tym jego ostre spojrzenie.

– Niektórym udało się uciec – oznajmiła Edda z ponurą miną. – Ale tylko garstce.

– Pozwolili im na to – odezwała się Bronwen na tyle głośno, by wszyscy ją usłyszeli. – Chcą, by ocalali siali strach.

Manon przyglądała się pniom ogromnych dębów, strzaskanym równie łatwo jak ciała zalegające na ziemi. Oczywisty dowód na to, kto stał za masakrą.

Kolejny dowód na jej winę.

– Czy jakakolwiek armia śmiertelników może mieć nadzieję na przetrwanie ataku powietrznego legionu Żelaznozębnych? – spytała Bronwen zimnym głosem. – Zwłaszcza jeśli ten został wyszkolony przez jakże zdolną Przywódczynię Skrzydła!

– Radzę ostrożnie dobierać słowa – ostrzegła ją Asterin.

Niemniej Una, piękna, brązowowłosa kuzynka Manon z rodu Crochan, pochwyciła miotłę obwiązaną srebrnym drutem i oznajmiła:

- Ty je wyszkoliłaś. Wy wszystkie! Wy szkoliłyście wiedźmy, które stoją za tą masakrą! - Wskazała gnijące trupy, ich rozszarpane gardła i rozwłócone ciała, mówiące o tym, że atakującym nie zależało na zadawaniu szybkiej śmierci. Wcale a wcale. - Chcecie, byśmy o tym zapomniały?

Zapadła cisza. Nawet Asterin zamilkła. Glennis też nic nie mówiła.

Dłonie Manon nagle osłabły. Stały się jej obce, a schowane, żelazne pazury wydawały się kruche. To jej wina. Jej odpowiedzialność. Żołnierze na tej polanie, w większości śmiertelnicy, byli dla niej niczym, a mimo to... Spoglądała na trupa jakiejś kobiety, który został rozpruty od pępka po mostek. Jej brązowe, niewidzące oczy wpatrywały się w potrzaskane, pokaleczone konary drzew.

- Mogę spalić te zwłoki - odezwał się Dorian.

Kim była ta poległa wojowniczką? Dla kogo walczyła? Kto w jej życiu był na tyle ważny, że postanowiła chwycić za broń?

- Powinniśmy ostrzec króla i królową Eyllwe - mówiła Bronwen. - Trzeba ostrzec ich synów. Niech się dobrze ukryją, bo Morath nie ma w zwyczaju brać jeńców.

Manon nie mogła oderwać wzroku od trupa zmasakrowanej kobiety. Patrzyła na to, co kiedyś sprawiało jej rozkosz. Co siała wszędzie, dokąd się udała, i nigdy nie czuła z tego powodu ani odrobiny wyrzutów sumienia. Zależało jej tylko na tym, by jej czyny spotkały się z aprobatą babki. By zyskały uznanie innych Żelaznozębnych.

Tak oto zostaną zapamiętane, a ona na ich czele. Będzie koronowanym jeźdźcem Erawana - jego Przywódczynią Skrzydła.

- Nie pal ich - odezwała się.

Na polanie zapadła cisza.

Manon opadła na kolana, wysunęła żelazne szpony i zaczęła kopać. Asterin, ściągnawszy rękawice, poszła w jej ślady, a po niej Sorrel, Vesta i reszta Trzynastki. Zimna, zmarznięta ziemia nie ustępowała łatwo. Raniła Manon w palce, a korzenie i kamienie drapały jej skórę.

Karsyn, wiedźma, której Manon zaniósła miotłę, również uklękła, ale Przywódczyni Skrzydła uniosła brudną, już zakrwawioną dłoń.

Crochan zamarła.

- Tylko Trzynastka – rzekła Manon. – My ich pochowamy.

Crochan wpatrywały się w nią z zaskoczeniem, ale Czarnodzioba powróciła do rozrywania prastarej ziemi.

- Wszystkich – dodała.

Manon i reszta Trzynastki klęczały w przesiąkniętej krwią ziemi przez kilka godzin, pochłonięte kopaniem grobu. Dorian w tym czasie pomagał Bronwen i Glennis w pisaniu listów do rodziny królewskiej Eyllwe, w których ostrzegali przed niebezpieczeństwem. Na tym się skończyło. Nie prosili o pomoc czy o świeże oddziały.

Wysłane z listami Crochan powróciły przed świtem. Ich kuzynki z południa, które wezwały je na pomoc, dotarły na polanę już po bitwie. Nie były w stanie ocalić ludzkich oddziałów ani garstki swoich sióstr, które do nich dołączyły. Udały się więc do Banjali, gdzie ich cztery sabaty wspierały teraz królową i króla Eyllwe.

Nie żeby ci naprawdę potrzebowali wsparcia wiedźm. Inna wysłanniczka Crochan powróciła z wiadomością od samego króla. Utrata oddziałów na polanie była dotkliwym ciosem, ale królestwo nie miało zamiaru się poddawać. Inne oddziały powstańcze, choć nieduże, nadal stawiały Morath opór. Miały zamiar kontynuować wojnę na południu, na ile wystarczy im sił.

Dorian dostrzegł jednakże dodatkowe znaczenie ukryte między wierszami – Eyllwe nie było w stanie w żaden sposób przyjść z pomocą Terrasenowi. Zresztą już wystarczająco długo znosiło niedolę. Pora, by inni udźwignęli ciężar walki z Morath.

Dorian zastanawiał się, czy Manon była świadoma spojrzeń Crochan. W tych bowiem, w miejsce nienawiści, pojawiła się odrobina szacunku. Trzynastka wspólnymi siłami wykopała ogromny grób, nie prosząc nawet wyvern, by odgarniały ziemię.

Słońce wstało, a potem zaczęło zachodzić. Wielki grób zaczynał przybierać odpowiedni kształt. Był już wystarczająco duży, by pomieścić każdego poległego.

Dorian czuł, że musi ruszać do Morath. I to szybko, zanim dojdzie do kolejnej masakry. Zanim trzeba będzie kopać następny zbiorowy grób. Nie mógł już znieść tej myśli, która ciążyła mu bardziej niż

perspektywa otrzymania kolejnego naszyjnika.

Wymknął się, gdy nastąpiła ciemna noc. Odnalazł pustą polanę, nakreślił Znaki i wbił w ziemię Damaris, zboczony jego własną krwią.

Tym razem nie musiał długo czekać.

Niemniej to nie Gavin materializował się, migocząc w nocnym powietrzu. Dorian zebrał magię, gotów do błyskawicznego kontrataku, ale wnet rozpoznał coraz wyraźniejszą postać. Była to Kaltain Rompier z rozpuszczonymi, czarnymi włosami, odziana w onyksową szatę. Na jej twarzy widniał smutny uśmiech.

Dorian zapomniał języka w gębie, ale jego magia nadal kłębiła się wokół niego, a niewidzialne ręce były gotowe, by łamać kości.

Choć – co uświadomił sobie po chwili – w Kaltain Rompier nie było już życia.

Mimo to widmowa piękność nadal unosiła smukłą dłoń, a zwiewna szata i jedwabiste włosy powiewały na niewidocznym wietrze.

– Nie chcę cię skrzywdzić – rzekła.

– Nie wzywałem ciebie – wykrztusił Dorian, co było jedyną rzeczą, jaka przyszła mu teraz do głowy.

Ciemne oczy Kaltain przesunęły się na Damaris, który sterczał spomiędzy Znaków Wyrda.

– Naprawdę?

Nie chciał zastanawiać się nad tym, dlaczego czy w jaki sposób miecz wezwał ją, a nie Gavina. Nie miał pojęcia, czy miecz dysponuje własną wolą, czy też może bóg, który go pobłogosławił, doprowadził do tego spotkania, by objawić przed nim jakąś ważną prawdę.

– Myślałem, że zniszczono cię w Morath – wychrypiał.

– Tak – odparła. Nigdy dotąd nie widział u niej takiej łagodności na twarzy. – Na wiele sposobów.

Manon i Elide opowiedziały mu o tym, przez co przeszła i co dla nich zrobiła. Dorian pochylił głowę.

– Przykro mi.

– Dlaczego?

– Dlatego, że nie widziałem cię takiej, jaką powinienem cię ujrzeć – wypalił, a jego słowa, tłumione od chwili, gdy poznał prawdę na Kamiennych Bagnach w Eyllwe, uwolniły się. – Dlatego, że nie wiedziałem, dokąd cię zabierają. Dlatego, że nie pomogłem ci, gdy miałem ku temu sposobność.

– A miałaś taką sposobność? – Pytanie zostało zadane spokojnym głosem, ale Dorian mógłby przysiąc, że ton Kaltain stał się nieco ostrzejszy.

Otworzył usta, by zaprzeczyć, ale cofnął się nieco w czasie i przypomniał sobie, kim był, zanim założono mu naszyjnik. Zanim poznał Sorschę.

– Wiedziałem, że przebywasz w zamkowym lochu. Nie przeszkadzało mi to, że gnijesz w niewoli. A potem Perrington, czyli Erawan, zabrał cię do Morath, a ja nie poświęciłem temu nawet jednej myśli. – Czuł ogarniający go wstyd. – Przykro mi – powtórzył.

Jako następca tronu niezbyt dbał o swe królestwo czy też poddanych. Gavin się nie mylił.

Kontury Kaltain zamigotały.

– Wiesz o tym, że nie jestem całkiem bez winy, prawda?

– Tego, co ci robiono w Morath, w żadnym wypadku nie można nazwać twoją winą.

– To prawda – zgodziła się, a przez jej twarz przemknął cień. – Ale sama zdecydowałam o tym, by zeszłej jesieni udać się do Rifthold, podążając za własną ambicją. Cóż, za koroną. Niektórych wyborów żałuję, nie ukrywam.

Spojrzenie Doriana prześlizgnęło się na jej odsłonięte przedramię. Nawet po śmierci widać było na nim bliznę.

– Ocaliłaś moich przyjaciół – powiedział i uklęknął przed nią. – Oddałaś wszystko, by ich uratować, i odebrałaś Erawanowi Klucz Wyrda. – Sam zrobiłby to samo, gdyby przyszło mu przeżyć koszmar Morath. – Jestem twoim dłużnikiem – dodał.

Kaltain spojrzała na klęczącego króla.

– Sama nigdy nie miałam przyjaciół. Nie takich jak ty. Zawsze zazdrościłam tobie i Aelin.

Dorian uniósł głowę.

– Wiesz, kim ona jest?

Przez twarz Kaltain znów przemknął uśmiech.

– Śmierć ma swoje zalety.

– Czy... – Dorian nie mógł się powstrzymać przed zadaniem kolejnego pytania. – Czy tam jest lepiej? Znalazłaś spokój?

– Nie wolno mi tego wyjawić – odparła cicho zjawa, choć w jej oczach błysnęło zrozumienie. – Nie wolno mi też powiedzieć, kto przebywa tu wraz ze mną.

Król pokiwał głową, walcząc z uciskiem w piersi, a potem z narastającym rozczarowaniem. Mimo to przechylił lekko głowę.

– A kto ci tego zabrania?

Dwunastu bogów, którzy utknęli w Erilei, z pewnością nie władało innymi królestwami.

Kaltain wydeła lekko usta.

– Tego nie wolno mi mówić – oznajmiła, a gdy Dorian znów otworzył usta, przerwała mu bezceremonialnie: – Istnieją inne siły. Inne ponad tymi, które znamy i których możemy dotknąć.

Dorian zerknął na Damaris.

– Inni bogowie? – spytał.

Milczenie Kaltain było wystarczającą odpowiedzią, ale Dorian odepchnął tę wizję od siebie.

„Kiedy indziej się nad tym zastanowię” – pomyślał.

– Nie przyszłoby mi nawet do głowy, by cię wezwać – przyznał. – A ty przecież znasz największe koszmary Morath. Nie zdawałem sobie sprawy, że... – Urwał i podniósł się.

– Że zostało ze mnie choć tyle, by było co wzywać? – dokończyła za niego a Dorian się skrzywił. – Cóż, Klucz wchłonął bardzo dużo, ale nie wszystko.

– Czy trzeci Klucz rzeczywiście znajduje się w Morath?

Kaltain z powagą pokiwała głową. Jej ciało migotało i szybko gasło.

– Choć nie wiem, gdzie się znajduje. Nie byłam... Nie byłam jeszcze

gotowa, by przyjąć drugi, nim przejęłam sprawy we własne ręce. – Przejechała szczupłą dłonią po czarnej bliźnie, wijącej się wzdłuż jej ramienia.

Dorian nigdy tak naprawdę z nią nie rozmawiał. Co najwyżej obrzucił ją przelotnym spojrzeniem lub uśmiechnął się krzywo podczas uprzejmej rozmowy. A mimo to stała teraz przed nim, kobieta, która zniszczyła jedną trzecią Morath i pożarła księcia Valgów samą siłą woli.

– Jak ty tego dokonałaś? – szepnął. – Jak wyrwałaś się spod jego władzy?

Musiał to wiedzieć. Skoro sam zamierzał zstąpić do piekła, skąd najprawdopodobniej miał wyjść z kolejnym naszyjnikiem, musiał poznać jej sekret.

Kaltain obrzuciła spojrzeniem jego szyję, po czym spojrzała mu w oczy.

– Bo z furją stawiałam mu opór. Bo nie wydawało mi się, bym sobie na taki naszyjnik zasłużyła.

Jej słowa uderzyły w niego z siłą pięści.

– Wyrysowałeś Znaki wezwania z jakiegoś powodu. – Kaltain przejęła inicjatywę. – Czego właściwie chciałeś się dowiedzieć?

Dorian zapamiętał prawdę, którą Kaltain cisnęła w niego. Miał wrażenie, że uniosła lustro, w którym pokazała mu wszystko to, kim był kiedyś i kim stał się potem. Nie był prawdziwym księciem. Nie był nim w sercu, nie pokazywał tego czynami. Próbował zasłużyć sobie na to miano, ale za późno. Tak, o wiele za późno przeszedł do działania, a jako król wcale nie radził sobie lepiej. Tym bardziej że kierując się gniewem i winą, wyrzekł się Adarlanu i szczerze zwątpił w to, czy królestwo powinno się ratować.

Wielki błąd. Jak mógł pomyśleć, że królestwo nie zasługuje na ratunek?

– Czy jestem gotów, by udać się do Morath? – zapytał w końcu.

Kto jak kto, ale ona będzie to wiedzieć. Widziała rzeczy o wiele straszniejsze od tego, co przypadło w udziale Manon i Elide.

Kaltain zerknęła na Damaris.

- Znasz odpowiedź.

- Nie będziesz próbowała mnie przekonać, bym tam nie szedł?

Kaltain zacisnęła tylko mocno usta, a jej czarna szata zaczęła się zlewać z mrokiem nocy.

- Wiesz, co cię tam czeka. To nie ja będę decydować o tym, czy jesteś gotów tam wejść, czy nie.

Dorianowi zaschło w ustach.

- Wszystko, co słyszałeś o Morath, to prawda – ciągnęła Kaltain. – A mimo to zastaniesz to miejsce stokroć gorszym, niż możesz sobie wyobrazić. Trzymaj się twierdzy. To siedziba Erawana i przypuszczalnie jedyne miejsce, gdzie zechce trzymać Klucz.

Dorian pokiwał głową. Serce zaczęło mu walić.

- Tak uczynię.

Zrobiła krok ku niemu, ale zatrzymała się, gdy jej sylwetka zafalowała jeszcze bardziej.

- Nie zwlekaj za długo. Nie przyciągaj jego uwagi. Erawan jest arogancki i w pełni skupiony na sobie. Nie będzie zwracał sobie głowy tym, co pełza po jego korytarzach. Spiesz się.

Jego dłonie zadrżały, ale zacisnął je w pięści.

- Jeśli nadarzy się okazja, by go zabić, czy mam z niej skorzystać?

- Nie. – Kaltain pokręciła głową. – Nie wyszedłbyś z tego żywy. Erawan ma komnatę w głębi twierdzy... Tam trzyma naszyjniki i tam cię zaprowadzi, jeśli cię złapie.

Dorian się wyprostował.

- Ja...

- Idź do Morath, jak zaplanowałeś. Odzyskaj Klucz i uciekaj. W przeciwnym razie znów założą ci naszyjnik.

- Ja ledwie potrafię zmieniać kształt! – Dorian przełknął ślinę.

Kaltain uśmiechnęła się lekko i rozplynęła się w blasku księżyca.

- Doprawdy? – dobiegło go pytanie.

Po czym znikły ostatnie ślady.

Dorian wpatrywał się w miejsce, w którym przed chwilą stała – tam, gdzie widniały przed momentem Znaki Wyrda. Jedyнным elementem całego rytuału pozostał Damaris, świadek prawdy, którą postanowił mu przedstawić. Dorian odszukał więc ów splot w swej magii, miejsce, gdzie surowa moc znikła i pojawiała się na jego życzenie.

„Odpuść – szeptała magia zmiennokształtności. – Zapomnij o wszystkim. Zapomnij o murze, który wzniosłeś w chwili, gdy księżę Valgów zabrał ci ciało. Spójrz w głąb siebie. Na siebie”.

„Kim byś chciał się stać?”.

– Kimś godnym moich przyjaciół – powiedział w cichą noc. – Królem godnym swego królestwa.

Przez sekundę widział oczami wyobraźni śnieżnobiałe włosy i złociste oczy.

– Kimś szczęśliwym – szepnął i zacisnął dłoń na rękocyści Damaris.

„Niech szlag trafi lęk, który mnie nie opuszcza” – pomyślał.

Starożytny miecz rozgrzał się w jego ręce. Było to przyjazne ciepło, które popłynęło przez jego palce i nadgarstek, i dalej, aż dotarło do tego miejsca w duszy, gdzie mieszkały wszystkie prawdy, gdzie budził się najostrzejszy ból.

Wtedy świat zaczął rosnać i rozszerzać się, drzewa wystrzeliły w górę, a ziemia przybliżyła się gwałtownie. Dorian chciał dotknąć twarzy, ale odkrył, że nie ma rąk, a zamiast nich z jego ciała wyrastają skrzydła czarne niczym sadza. Równie ciemny dziób zamiast ust nie pozwalał mu na wypowiedzenie żadnych słów.

Był krukiem. Kru...

Za jego plecami ktoś gwałtownie wciągnął powietrze. Obrócił się pospiesznie ku drzewom, co w tej postaci przyszło mu o wiele łatwiej, i ujrzał Manon, stojącą w cieniu dębu. Opierała brudne, pokrwawione dłonie o pień i wpatrywała się w niego.

W jego przemianę.

Dorian próbował odszukać ową nić mocy, która utrzymywała go w tym osobliwym, lekkim ciele. Nagle świat się zachwiał, a on rósł, rósł, aż znów znalazł się w swoim ludzkim ciele. Zimny, nieruchomy Damaris leżał u jego stóp, a ubranie jakimś cudem pozostało

nietknięte, może dzięki temu, że przemianę zawdzięczał surowej magii, a nie mocy zmiennokształtności.

Manon odchyliła wargę i odsłoniła zęby. Jej złote oczy lśniły jak ogniki.

- Kiedy dokładnie miałeś zamiar powiedzieć mi, że chcesz odzyskać trzeci Klucz Wyrda?

Musimy wykonać odwrót! – wysapał Galan Ashryver do Aediona, gdy obaj stanęli przy namiocie z wodą na tyłach swej armii. Następca tronu Wendlyn był zbryzgany od stóp do głów czarną i czerwoną krwią.

Mieli za sobą trzy dni zacieklej walki na śniegu i mroźnym wietrze, trzy dni oddawania terenu kilometr po kilometrze. Aedion co chwila zmieniał żołnierzy na czele formacji, ale ci, którym udało się zaznać choć chwilę snu, wracali do walki na coraz cięższych nogach.

Sam walczył w pierwszej linii jeszcze chwilę temu, ale Kyllian nakazał mu się wycofać na tyły, a nawet posunął się do tego, że posłał go tam ostrym pchnięciem. Żołnierze Zguby rozstąpili się i Aedion dotarł pod namiot, przy którym Galan łapczywie gasił pragnienie. Oliwkowa skóra księcia była blada, a z oczu, którymi wodził za biegającymi lub człapiącymi żołnierzami, znikł blask.

– Jeśli rzucimy się do odwrotu, pogonią nas aż po Orynth – wychrypiał Aedion. Gardło paliło go z każdym wypowiedzianym słowem.

Nigdy dotąd nie widział tak wielkiej armii, nawet na Theralis lata temu.

Galan wręczył Aedionowi swój bukłak, a ten zaczął pić.

– Nie porzucę cię, kuzynie, nigdy, bez względu na to, czym to się skończy, ale nie damy dłużej rady. Nie możemy walczyć przez kolejną noc.

Aedion zdawał sobie z tego sprawę. Uświadomił sobie to, gdy po zapadnięciu ciemności walki nie ustały, a ludzie zaczęli pytać, dlaczego Aelin Dziki Ogień nie spali ich wrogów. Dlaczego przynajmniej nie oświetli im pola bitwy. Dlaczego znów znikła.

Lysandra przeistoczyła się w wywernę, by walczyć z ilkenami, ale została zmuszona do wycofania się i skrycia na tyłach. Wywerna doskonale sobie radziła z powietrznymi bestiami, ale była też dobrym celem dla łuczników i włóczników Morath.

Przed nimi rozlegały się wrzaski i szczęk oręża, zbyt blisko, o wiele za blisko. Nawet magia Fae zaczęła gasnąć, a ich wojownicy cofali się. Tam, gdzie ustępowali, pojawiali się Milczący Zabójcy, którzy z oszalamiającą zwinnością rozpruwali zarówno Valgów, jak i ilkeny. Tych jednakże wciąż było zbyt wiele, a posiłków Ansel z Briarcliff jak dotąd nie było widać.

„Jeszcze trochę – obiecała im rudowłosa królowa z obcą dla siebie powagą ledwie kilka godzin temu. Jej przyboczny hufiec topniał w zastraszającym tempie. – Reszta mojej armii wkrótce tu będzie”.

Przez zgiełek bitwy przedarło się głucho warczenie. Widmowy lampart nawet się nie zatrzymał, gnając ku armii przeciwnika.

Aedion również musiał tam wracać. Musiał coś zjeść i ruszyć do walki. Kyllian mógł utrzymywać porządek jeszcze długo, ale to Aedion był tu księciem, a skoro Aelin nigdzie nie było, to on musiał dowodzić oporem. To on musiał zatrzymać swym męstwem pękające szeregi.

– Rzeka Lanis. Perranth – mruknął, patrząc na Iliasa, który na czele Milczących Zabójców zestrzeliwał ilkeny z nieba. Strzały najpierw szatkowały im skrzydła, a gdy potwory spadały na ziemię, sprawnie odrąbywano im głowy. W przeciwnym razie ilkeny wracały do życia i dobrze pamiętały, kto próbował je zabić. Obrońcy Terrasenu własną krwią zapłacili za początkowe błędy. – Jeśli cofniemy się na północ – ciągnął Aedion – dotrzemy do Perranthu i przekroczymy rzekę, zmusimy ich, by zrobili to samo. Wówczas możemy ich przetrzebić.

– Jest tam jakiś most? – spytał Galan.

Jego twarz pociemniała, gdy jeden z dwóch ocalałych księząt Valgów pchnął falę mrocznej mocy. Ludzie umierali jak dzikie kwiaty na mrozie. Odpowiedzią był podmuch lodowatego wiatru Sellene, Endymiona czy któregoś spośród ich licznych kuzynów.

– Niewielki. Ale rzeka jest zamrznięta. Możemy ją przekroczyć, a potem stopić lód.

– Z Aelin by się udało – powiedział Galan ostrożnie, z powątpiewaniem.

Aedion wskazał Fae, zmagających się z mocą księcia Valgów.

– Skoro mogą stworzyć lód, z pewnością zdołają też zamienić go w wodę. Dokładnie pod stopami armii Morath.

Turkusowe oczy Galana zamigotały. Trudno było powiedzieć, czy spodobał mu się plan, czy może wyrażał rozczarowanie, że to nie Aelin zajmie się tym zadaniem.

– Morath może nas przejrzeć.

– Nie mamy wyboru.

Z Perranthu mieliby dostęp do większych zasobów, być może wsparłyby ich świeże oddziały z miasta, ale sam odwrót...

Aedion przyjrzał się liniom, które jedna po drugiej ulegały nieprzyjacielowi, spojrzął na żołnierzy, którzy ledwie trzymali się na nogach.

Odwrót oznaczał nadzieję. Dalsza walka równała się zagładzie.

Wiedział, że jeśli będą nadal stawiać opór Morath, zostaną zgładzeni i o dalszym oporze nie będzie już mowy. Tu, na południowych równinach, znikną resztki nadziei na zwycięstwo.

Nie było żadnej gwarancji, że Rowan i pozostali odnajdą Aelin. Nie mogli liczyć na to, że Dorian i Manon zdołają odzyskać trzeci Klucz Wyrda, a potem przekazać go jego królowej, o ile ta oczywiście zdoła się uwolnić i odnaleźć ich w tym chaosie. Nie było pewności, czy wesprą ich jakiegokolwiek Crochan.

Ich flota została za bardzo rozrzucona wzdłuż wybrzeża Terrasenu, by móc się na cokolwiek przydać, a jedynymi możliwymi posiłkami, na które mogli liczyć, były oddziały Ansel z Briarcliff, o ile kości żołnierzy rudowłosej królowej nie zostały już ogryzione do czysta po zasadzce Morath. Nie mieli wyboru – musieli wytrwać do ich przybycia.

Bo Rolfe i Mycenianie... Nie mogli liczyć na ich powrót. Jak dotąd nie było o nich żadnych wieści.

– Wydaj rozkaz do odwrotu. – Aedion zwrócił się do księcia. – I przekaz Endymionowi i Sellene, że będziemy potrzebować ich mocy, gdy tylko ruszymy.

Fae musieli bowiem stworzyć potężną, nieprzeniknioną barierę, która pozwoli im odskoczyć od Morath na tyle kilometrów, ile się da.

Galan skinął głową, nałożył zakrwawiony hełm na swe ciemne włosy i odszedł w stronę kotłującej się masy żołnierzy.

Odwrót. Tak szybko... Tyle lat trenował, tyle lat się poświęcał, tyle lat walczył i dowodził, a wszystko skończyło się odwrotem. Czy w ogóle uda im się dotrzeć do Perranthu?

Dyscyplina i porządek, z jakim armia maszerowała na południe, przepadły całkiem podczas pospiesznego odwrotu na północ. Oddziały Fae strzegły ich tyłów – magiczne bariery chwiały się i uginały, ale wytrzymały napór. Zatrzymały wroga na wzgórzach, dzięki czemu ucieczka do Perranthu stała się możliwa.

Utykający, wyczerpani żołnierze złorzeczyli, a Lysandra, wędrująca między nimi pod postacią konia, słuchała. Pozwoliła wspiąć się na swój grzbiet pewnemu młodemu wojownikowi, gdy zauważyła, jak wnętrzości wylewają mu się z dziur w poprutej zbroi. Przez kilka długich kilometrów jego gorąca krew ogrzewała jej boki, aż ciepła strużka ustała. Zamarzła.

Ranny również przegrał walkę z mrozem.

Nie miała serca go zrzucić. Nie potrafiłaby strząsnąć jego ciała pod nogi innych piechurów, a zresztą i tak przymarzył do jej grzbietu. Każdy kolejny krok był wielkim wysiłkiem woli, choć jej rany goiły się o wiele szybciej od ran innych żołnierzy. Wielu spośród nich padło podczas marszu do Perranthu. Niektórzy zostali podniesieni przez towarzyszy bądź obcych ludzi, inni już się nie podnieśli.

Ich opór nie miał pęknąć tak szybko.

Pierwszej nocy udało im się zdrzemnąć na kilka godzin, ale mimo to niezadowolenie żołnierzy rosło z każdym pokonanym kilometrem dzielącym ich od Perranthu.

„Gdzie się podziała królowa? Gdzie jest jej ogień?” – powtarzali.

Nie potrafiła walczyć tak jak Aelin. Jej umiejętności nikogo by nie przekonały, a do tego nie wystarczały, by przeżyć tak zaciekłą bitwę. Co więcej, gdyby dostrzeżono Niosącą Ogień walczącą bez płomieni... Cóż, być może zaczęliby się domyślać.

„Znowu uciekła. Znowu!”.

Drugiej nocy dwóch Milczących Zabójców zauważyło martwego żołnierza, wciąż siedzącego na grzbiecie Lysandry. Bez słowa przynieśli gorącą wodę, by rozpuścić zamarznąłą krew, a potem ją

obmyć. Przemieniona w klacz Lysandra nie miała pojęcia, w jaki sposób im podziękować. Nie umiała też zapytać, czy wiedzieli, kim jest, ale Zabójcy traktowali ją z uprzejmością.

Nikt nie próbował zatrzymać samotnego konia, włączącego się po prowizorycznym obozowisku. Niektórzy żołnierze wzniesli namioty, a inni spali przy ogniskach, przykryci płaszczami i kurtkami.

Dzwoniło jej w uszach od chwili, gdy po raz pierwszy rozległ się szcęk oreża.

Nie miała pojęcia, jak znalazła jego namiot, ale nagle uświadomiła sobie, że stoi przed nim. Poły były odrzucone, a w środku Aedionowi towarzyszyli Galan, Ansel i Ren.

Lord Allsbrook uniósł lekko brwi, gdy trąciła łbem sufit.

Racja. Przecież nadal była koniem.

Ren ruszył ku niej. Ślaniał się na nogach, zmagając się ze straszliwym zmęczeniem. Lysandra odnalazła w sobie nić mocy, po której mogła powrócić do ludzkiej postaci. Wniknęła w mieniące się światło, skurczyła się i po chwili znów była sobą.

Pozostała czwórka patrzyła bez słowa na jej transformację. Magia odebrała Lysandrze resztki sił i odzyskawszy swoje ciało, osunęła się na kolana, na zasłaną sianem podłogę. Nie czuła nawet chłodu na skórze.

Ansel przypadła do niej i narzuciła jej płaszcz na ramiona.

– Gdzieś ty była, do cholery?

Nawet Królowa Pustkowi była biała z wysiłku, a jej czerwone niczym wino włosy, brudne i zakrwawione, lepiły jej się do skóry.

Lysandra nie była w stanie odpowiedzieć. Mogła jedynie klęczeć, ściskając poły płaszcz.

– Ruszamy godzinę przed świtem – rzekł Aedion. Jego słowa wyraźnie wyznaczyły koniec rozmowy.

Ansel i Galan skinęli, po czym wyszli. Ren mruknął, nim udał się w ślad za nimi:

– Znajdę ci coś do jedzenia, pani.

Byli sami. Słoma zaszeleściła pod butami Aediona, gdy podszedł

bliżej i uklęknął przed nią. Na jego twarzy nie było ani cienia współczucia, ani odrobiny ciepła czy życzliwości. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w nią, aż wysyczał:

– Twój plan był do dupy!

Milczała. Wbrew sobie pochyliła się.

– Twój plan był do dupy – szeptał Aedion, a jego oczy lśniły. – Jak ty w ogóle mogłaś poważnie się na to, by stać się nią? By przywdziać jej skórę i uznać, że ujdzie ci to na sucho? Jak mogłaś zapomnieć o tym, że twoi wojownicy będą czekać, aż spalisz ich wrogów na popiół? Jak możesz teraz uciekać i pojawiać się pod postacią zwierzęcia?

– Nie zwalaj na mnie winy za ten odwrót – wychrypiała. Były to pierwsze słowa wypowiedziane przez nią od wielu dni.

– Pozwoliłaś Aelin umrzeć, a nas skazałaś na śmierć. Na to, by pocięto nas na krwawe strzępy. Nikomu o tym nie powiedziałyście. Nie podzieliłyście się swym planem z nikim, kto mógłby wam wyjaśnić realia wojny. Zapomnieliście, że do zwycięstwa potrzebna jest przeklęta Niosąca Ogień, a nie jakaś niewyszkolona w walce, bezużyteczna zmiennokształtna!

Jego słowa niczym ciosy trafiały prosto w jej znużone serce.

– My...

– Skoro tak bardzo chciałaś dać Aelin umrzeć, powinnaś najpierw pozwolić jej spalić hordy Erawana!

– Nie powstrzymałoby to Maeve, która na pewno by ją złapała!

– Gdybyście się z nami naradziły, ułożylibyśmy inny plan. Postąpilibyśmy inaczej, tak by nie znaleźcie się w takim położeniu! Niech cię szlag!

Lysandra wbiła wzrok w zabłoconą słomę.

– A więc wyrzuć mnie ze swojej armii.

– Wszystko zepsułaś. – Słowa Aediona były zimniejsze od wichrów wiejących na zewnątrz. – Obie wszystko zepsułyście.

Lysandra zamknęła oczy.

Zaszeleściła słoma. Wiedziała, że się podniósł, bo jego kolejne słowa

przemknęły już obok jej ucha.

– Wynoś się z mojego namiotu.

Nie miała pewności, czy jest w stanie zmusić swe ciało do choćby jednego ruchu, mimo że bardzo tego chciała. Musiała się ruszyć.

Powinna mu się odpłacić pięknym za nadobne. Powinna naskoczyć na niego, wyładować na nim swą wściekłość, strach i rozpacz.

Otworzyła oczy i spojrzała na niego, na furję zakłęta w jego obliczu, na nienawiść. Zdołała powstać, choć jej ciało zdrzało z bólu. Zdołała nawet spojrzeć mu w oczy, choć on powtórzył chłodno:

– Wynoś się.

Nie miała butów, a jej jedynym okryciem był płaszcz Ansel. Aedion spojrzał na jej bose stopy i chyba również sobie to uświadomił, ale wcale się tym faktem nie przejął. Lysandra pokiwała więc głową, szczerzej opatuliła się płaszczem i wyszła na mróz.

– Gdzie ona jest? – spytał Ren, trzymając w jednej ręce kubek z czymś, co pachniało jak wodnista zupa, a w drugiej kawałek chleba. Rozglądał się po namiocie, jakby spodziewał się, że dostrzeże ją w jakimś kącie.

Aedion wpatrywał się w ostatnie jakże cenne szczapy, tłące się w koszu. Nie odpowiedział.

– Co ty zrobiłeś? – szepnął Ren.

Wszystko dobiegało końca. Klęska była im pisana od chwili, gdy Maeve wprowadziła Aelin. Odkąd królowa i zmiennokształtna zawarły swój tajny pakt.

Tak więc jego słowa nie miały już znaczenia. Nie dbał o to, czy potraktował ją sprawiedliwie, czy powiedział prawdę.

Był zbyt zmęczony, by poczuć wstyd z powodu tego, że zrzucił na nią winę za porażkę, która za kilka dni czekała na nich pod murami Perranthu.

Żałował, że nie strzeliła go w głowę. Że nie nawrzeszczała na niego.

Żałował, że pozwoliła mu wyładować gniew, a potem wyszła boso na śnieg.

Obiecał, że ocali Terrasen. Że utrzyma szyk i zatrzyma wroga, co czynił zresztą od lat. Mimo to w najbardziej decydującej chwili, gdy przyszło mu walczyć z Morath, uległ i poniósł klęskę.

Wiedział, że musi znaleźć siłę do dalszej walki, że musi skrzyknąć ludzi. Ale... ale musiał się przespać.

Nie zauważył, kiedy Ren wyszedł, bez wątpienia szukając zmiennokształtnej, w której zdążył się zadurzyć.

Aedion wiedział, że musi wezwać oficerów Zguby i zapytać, jak ich zdaniem mają poradzić sobie z tą klęską.

Ale nie mógł.

Mógł jedynie siedzieć i patrzeć w ogień, co czynił przez całą noc.

Nie ufała temu światu. Nie ufała temu snowi. Nie ufała towarzyszom, którzy ją tu doprowadzili. Nie ufała księciu wojownikowi z oczami zielonymi jak igliwie, który pachniał Terrasenem.

Nie, jemu nie miała odwagi uwierzyć. Nie chodziło bynajmniej o to, co do niej mówił, ale o to, że w ogóle tu był. Nie wierzyła w to, że zdjął jej maskę i kajdany. Przecież w innych snach one również znikwały. W snach, które okazywały się kłamstwem.

Ale Mali Ludzie zapewniali ją, że to nie urojenia, że to wszystko jest prawdą. Dowiedziała się też od nich, że to miejsce jest bezpieczne i że powinna odpocząć, a oni się o nią zatroszczą.

A to okrutne, nieubłagane napięcie w jej żyłach na szczęście zelzało. Mogła już myśleć, oddychała swobodnie i potrafiła działać świadomie. Uwolniła tyle mocy, na ile się odważyła, ale nie całą. Z pewnością nie całą.

Spała więc. W innych wizjach i urojeniach też to robiła. Ba, zdarzało się, że żyła w nich przez długie dni i tygodnie, które nagle rozmywały się niczym ślad stóp na piasku.

Niemniej gdy otworzyła oczy, nadal widziała wokół siebie jaskinię, w której było ciemniej. Dudniąca w niej moc weszła głębiej i zapadła w drzemkę. Ból żeber również przygasł, a skaleczenie na przedramieniu zaleczyło się, choć strup pozostał. Był to jedyny ślad na jej skórze.

Aelin dotknęła go palcem i w odpowiedzi poczuła tępy ból. A jej palec... Potarła nim o kciuk, zaskoczona jego gładkością. Miała wrażenie, że muska szkło.

Żadnych zgrubień, żadnych stwardnień. Nie odnalazła ich ani na palcach, ani na dłoniach. Były całkowicie puste, oczyszczone ze śladów, jakie pozostawiło szkolenie, a po nim rok w Endovier. Przynajmniej został jej świeży strup i tętniący pod nim łagodny ból.

Skulona na skalnym podłożu, rozejrzała się po jaskini.

Biały wilk leżał obok niej i chrapał cicho. Nadal otaczała ich sfera

przejrzystych płomieni, która powoli łagodziła napięcie w jej ciele, ale proces nie dobiegł jeszcze końca.

Aelin przełknęła ślinę i poczuła w ustach popiół. Jej magia przebudziła się w odpowiedzi.

Dziewczyna wciągnęła powietrze.

„Nie, nie tutaj. Jeszcze nie – szepnęła płomieniom. – Jeszcze nie”.

Ogień wokół niej rozjarzył się i przybrał na sile, przesłaniając jaskinię. Aelin zacisnęła zęby.

„Jeszcze nie – powtórzyła obietnicę. – Poczekamy do chwili, gdy będzie to bezpieczne. Gdy znajdziemy się daleko od nich”.

Magia naparła na jej kości, ale Aelin zignorowała to. Stłumiła nacisk.

Ściana płomieni wokół niej skurczyła się, choć nie bez protestów, i znów stała się przejrzysta. Aelin ujrzała przez nią naturalny basenik wypełniony wodą oraz postaci jej pogrążonych we śnie towarzyszy. Książę wojownik spał zaledwie kilka kroków od jej bariery, wciśnięty w niewielką wnękę w ścianie jaskini. Wydawał się wyczerpany do cna, a mimo to nie rozstawał się z bronią. U pasa nadal miał miecz, którego rubin płonął w blasku ognia.

Znała ten miecz. Był to starożytny oręż, wykuty w tej krainie przed śmiertelną wojną.

Kiedyś był to jej miecz. Zgrubienia na dłoni idealnie pasowały do jego rękojeści. Książę wojownik, który go nosił, znalazł go dla niej w jaskini podobnej do tej, pełnej reliktyw przeszłości i pamiątek po bohaterach, którzy już dawno temu opuścili ten świat.

Przyjrzała się tatuazowi, który wił się po jego twarzy i szyi, aż nikł pod ciemnym ubraniem.

„Jestem twoim towarzyszem życia”.

Chciała mu uwierzyć, ale ten sen, ta iluzja, którą Maeve dla niej utkała...

Nie, to nie iluzja. On naprawdę przybył. Po nią.

Rowan.

Rowan Biały Cierń. Teraz Rowan Biały Cierń Galathynius, jej mąż.

Jej towarzysz życia.

Wyszeptała jego imię.

Przybył po nią. Jej Rowan.

Podniosła się cicho, tak zwinnie, że nawet biały wilk się nie przebudził. Jej dłoń nadal zaciskała się na materiale płaszcza, który pachniał śniegiem i sosnami. To był jego płaszcz. Zapach Rowana wniknął głęboko we włókna.

Wstała. Jej nogi były już o wiele silniejsze. Pojedynczą myślą rozciągnęła promień bariery i zrobiła kilka kroków ku śpiącemu księciu.

Patrzyła na jego twarz, przystojną, ale nieubłąganą.

Otworzył oczy i spojrzał na nią, jakby doskonale wiedział, gdzie jej szukać nawet we śnie. W zielonych oczach pojawiło się niewypowiedziane pytanie.

„Aelin?”

Zignorowała je. Nie była na razie w stanie otworzyć niemego kanału komunikacji między nimi. Skupiła się na oglądaniu jego potężnego ciała. Nie mogła uwierzyć w to, jakim był silnym mężczyzną. Łagodny podmuch zimnego wiatru otarł się o jej ognistą barierę, jakby powtarzał pytanie sprzed chwili.

Jej magia zajaśniała w odpowiedzi, a przez ciało Aelin przeszła fala mocy, zupełnie jakby odnalazła lustrzane odbicie samej siebie w tym świecie, jakby usłyszała głos śpiewający tę samą melodię.

Podczas jej urojonych wizji nigdy do tego nie doszło. Nigdy dotąd jej ogień nie buchnął żywiej w reakcji na bliskość Rowana.

Był tu. Był prawdziwy. I przybył po nią.

Płomień stopniał i pozostawił po sobie chłodne powietrze jaskini. Nie, nie stopniał, a raczej wniknął w jej głąb, gdzie skulił się niczym ogromna bestia, czekająca, aż ktoś ją znów przywoła.

Rowan. Książę Rowan.

Usiadł powoli i znieruchomiał.

Wiedział. Nim zawładnęły nią ciemność i zapomnienie, powiedział jej to.

„Jestem twoim towarzyszem życia”.

A więc opowiedzieli mu o wszystkim. Ich kompani. Elide, Lorcan i Gavriel. Byli na tamtej plaży, gdy wszystko trafił szlag.

Jej magia buchnęła, na co Aelin poruszyła ramionami, chcąc, by znów usnęła, choćby jeszcze na moment.

Ona naprawdę dotarła w to miejsce. Oboje tu byli.

Co mogła mu teraz powiedzieć? Jak mogła mu cokolwiek wytłumaczyć i cokolwiek naprawić? Jak mogła mu wynagrodzić to, że został tak okrutnie wykorzystany i wycierpiał aż tyle ze względu na nią?

Wyczuła na nim krew. Tak wiele krwi, która wniknęła w jego ciemne ubranie. Smugi na szyi i palcach sugerowały, że próbował ją zmyć. Odkryła w niej osobliwy zapach.

Znała ten zapach. Wiedziała, do kogo należał.

Wyprostowała się, zeszywniała. Wciągnęła ostro powietrze przez zaciśnięte mocno zęby, a potem wypuściła je ze świstem. Próbowwała zignorować zapach krwi Cairna i odepchnąć wspomnienie tego, co jej robił. Jej magia miotła się i wyła.

– Żyje? – spytała z trudem księcia, który pachniał domem.

W jego oczach błysnęła zimna wściekłość.

– Nie.

Nie żył. Cairn był martwy. Napięcie w jej ciele nieco zelzało, a płomień również się cofnął.

– W jaki sposób zginął?

Na ciemniejącej twarzy Rowana nie było ani odrobiny wyrzutów sumienia.

– W Mistward powiedziałaś mi, że jeśli kiedykolwiek podniosę na ciebie bicz, obłupisz mnie żywcem ze skóry. – Nie odwracał od niej wzroku, a mówił cicho, ze śmiertelnym spokojem. – Pomyślałem więc, że Cairna powinien spotkać ten sam los. A gdy już zakończyłem pracę, pozwoliłem sobie odrąbać mu głowę, a na końcu spaliłem ciało. – Urwał, po czym odezwał się niepewnie: – Przykro mi, że odebrałem ci szansę. Pewnie sama chciałybyś to zrobić.

Nie było jej stać na zaskoczenie. Nie potrafiła się zdziwić brutalnością zemsty, jaką mu wymierzył, bo upłynęła dłuższa chwila, nim zrozumiała, co właściwie usłyszała. Nim jej płuca na powrót zaczęły pracować.

- Mogłem go tu przywlec, byś sama mogła go zabić – ciągnął Rowan, uważnie przyglądając się jej twarzy. – Ale ryzyko byłoby zbyt duże. Z tych samych względów nie mogłem też pozostawić go przy życiu.

Aelin uniosła dłonie. Przez moment studiowała pustą skórę, wolną od wszelkich znamion i blizn.

To było dzieło Cairna. Rozorał jej ciało do tego stopnia, że musieli ją łątać i sklejać. Zatarli w ten sposób wszystkie ślady po tym, kim i czym była, wszystkie ślady po tym, co widziała i co przeżyła.

Opuściła ręce.

- Cieszę się – odparła szczerze.

Ciałem Rowana wstrząsnął dreszcz. Pochylił lekko głowę.

- Czy ty... – Najwyraźniej nie wiedział, po jakie słowa sięgnąć. – Czy mogę cię objąć?

Aelin wstrząsnęło czyste, niczym nieskażone pragnienie w jego głosie, ale cofnęła się.

- Ja...

Rozejrzała się dookoła, nie chcąc widzieć tego, jak Rowanowi niespodziewanie zwilgotniały oczy. Jej wzrok zatrzymał się na jeziorze, gładkim i płaskim niczym powierzchnia czarnego lustra.

- Ja muszę się wykapać – powiedziała ochryplym, nieswoim głosem, choć jej ciało, z wyłączeniem brudnych stóp, było czyste. – Muszę to zmyć – dodała.

W oczach Rowana pojawiło się zrozumienie. Wytatuowaną dłonią wskazał skalne koryto.

- Tam leży kilka zapasowych ręczników – powiedział. Przeczesał dłonią srebrne włosy, dłuższe, niż gdy je widziała po raz ostatni – a przynajmniej w tym świecie – po czym dodał: – Nie wiem, jak to w ogóle możliwe, ale ci Mali Ludzie w jakiś sposób zdobyli trochę twoich starych ubrań z Mistward i przynieśli je tu.

Jego słowa na powrót stały się odległe i rozpuściły się na jej języku. Magia Aelin zagrzmiała, naparła na jej krew, mocno oplotła jej kości.

„Uwolnij! – zawyla. – Uwolnij!”.

„Niebawem” – obiecała.

„Teraz!”.

Moc miotała się. Dłonie Aelin drżały, a palce zaciskały się, jakby w ten sposób mogła zatrzymać magię. Odwróciła się, kierując się nie w stronę koryta, ale samego jeziora. Powietrze drgnęło wokół niej, co zdradziło dziewczynie, że Rowan podąża za nią.

– Woda jest lodowata, Aelin! – ostrzegł ją, wiedząc, co zamierza.

Zrzuciła płaszcz na czarne kamienie i wkroczyła do wody.

Zasyczała para, która natychmiast otoczyła ją kłębiącymi się oparami. Aelin szła przed siebie, rozkoszując się zimnem wody, które nie było w stanie przebić jej ciepła. Toń była czysta, choć opadające stromo dno zasnuwał mrok. Aelin zanurzyła głowę i zanurkowała.

Woda była cicha. Witaa ją chłodem i spokojem.

Aelin poluźniła więc barierę, choć tylko odrobinę. Buchnęły płomienie, natychmiast pochłonięte przez lodowatą wodę. Napięcie naraz osłabło, a ona poczuła spokój, w którym pojawiły się pierwsze myśli.

Płynęła pod wodą, ku ciemnościom. Z każdym kolejnym wyrzutem ramion czuła, że znów jest sobą. A raczej tym, co z niej pozostało.

Była Aelin. Aelin Ashryver Białą Cierń Galathynius. Była królową Terrasenu.

Kolejne fale magii usiłowały się uwolnić, ale dziewczyna trzymała już moc pod kontrolą. Nie wszystko naraz. Nie tak szybko.

Została pojmana przez Maeve. Była torturowana przez nią i przez Cairna, jej przybocznego. Zdołała jednak uciec, a potem odnalazł ją jej towarzysz życia. Znalazł ją tak, jak się wcześniej znaleźli, pomimo wieków rzezi, śmierci i wojen.

Miała na imię Aelin i wreszcie wróciła do rzeczywistości. Wreszcie była wolna od iluzji.

Aelin.

Wypłynęła daleko na jezioro, a Rowan podążał za nią po skalnej półce, ciągnącej się wzdłuż brzegu. Znów zanurkowała. Opadała coraz niżej. Szukała dna, ale bezskutecznie. Palce u nóg bez końca przebijały wodę, celując ku zimnym ciemnościom.

Prastara, lodowata woda gasiła płomień i koła jej zmęczenie. Wyciągała z niej i rozmywała wszystko, co złe. Studziła jej ogień, studziła żar, aż uformowała z niej kobietę.

Kobietę, a także rozżarzone do czerwoności ostrze w głębinach jeziora.

Aelin. Była Aelin.

Jezioro wypływało z ciemnego, zimnego serca gór i nigdy nie zaznało blasku słońca. Wystarczyłoby kilka minut, by jego wody zabiły najtwardszego wojownika Fae.

A mimo to Aelin pływała w nim, jakby była to zaledwie opromieniona słońcem leśna sadzawka. Co chwila zatrzymywała się i odrzucała głowę do tyłu, myjąc włosy.

Rowan wcześniej nie zdawał sobie sprawy z tego, jaka była rozpalona. Zrozumiał to dopiero, gdy weszła do lodowatej wody, a wokół niej uniosły się kłęby pary.

W ciszy zanurkowała. Jezioro było tak przejrzyste, że Rowan widział każdy jej ruch pod powierzchnią wody. Jej ciało zdawało się lekko mienić, jakby zimna woda zerwała jej skórę i odsłoniła gorejącą duszę, ale emanacja przygasała z każdym oddechem, nabieranym na powierzchni przed kolejnym zanurzeniem się.

Dlaczego nie chciała, by jej dotknął? Czy ze względu na płonące w niej piekło? A może po prostu chciała najpierw splukać z siebie plugawe wspomnienia po Cairnie? Możliwe, że jedno i drugie. Przynajmniej zaczęła się odzywać, a jej oczy błysnęły przytomniej.

Nadal widział ten przytomny błysk, gdy stanęła na płyciźnie. Jej emanacja była już ledwie widoczna, gdy spojrzała na Rowana, stojącego na skalnym występie wchodzącym w toń jeziora.

– Mógłbyś do mnie dołączyć – powiedziała w końcu.

W jej słowach nie było ciepła, ale wykrył w nich zaproszenie – nie do tego, by rozkoszować się jej ciałem tak, jak tego pragnął, ale raczej

do tego, by być tam z nią.

- Moja magia... – odezwał się, próbując opanować drżenie własnego głosu, spojrzenie Aelin sprawiło bowiem, że o mało nie ugięły się pod nim kolana – ...raczej mnie nie ogrzeje, gdy wejdę do tej wody. – Ale chciał tego. Bogowie, jakże marzył, by tam wskoczyć! – To starożytne jezioro. Lepiej wyłaź, zanim coś się tobą zainteresuje – dodał.

Nie posłuchała go oczywiście. Zanurzyła się i powoli, leniwie położyła się na plecach, nie odrywając od niego wzroku. Jego spojrzenie było poważne i przezorne.

- Nie uległam – rzekła cicho, a Rowan miał wrażenie, że zaraz pęknie mu serce. – Niczego im nie powiedziałam.

Nie chciała się chwalić. Pragnęła jedynie powiadomić jego, swego małżonka, jak wygląda ich sytuacja na wojnie i co wiedzą ich wrogowie.

- Wiedziałem, że cię nie złamię – zdołał wykrztusić.

- Ona... ona próbowała mnie przekonać, że to wszystko jest jedynie złym snem. Gdy Cairn kończył tortury, próbowała się wkraść do mego umysłu. Czasem robiła to również w trakcie jego roboty. Sama zresztą nie wiem. – Rozejrzała się po jaskini, jakby była w stanie dojrzeć świat za nią. – Tworzyła iluzje tak realne, że... – Urwała i zanurzyła głowę pod wodę. Być może potrzebowała chłodu jeziora, by usłyszeć wewnętrzny głos, a może potrzebowała się od niego odgradzić, by móc wypowiedzieć te słowa. Wynurzyła się po chwili i odgarnęła włosy do tyłu. – Tak realne jak to – rzekła.

Nie chciał tego wiedzieć, ale mimo to spytał:

- Jakie iluzje?

Milczała przez dłuższą chwilę.

- To już bez znaczenia.

Było za wcześnie, by próbować się tego dowiedzieć. O ile kiedykolwiek nastąpi dobry moment.

Wtedy spytała cicho:

- Ile czasu upłynęło?

Rowan szkolił swe ciało i umysł od trzystu lat, a mimo to nie miał

pewności, czy udało mu się ukryć ból i rozpacz, gdy rzekł:

– Dwa miesiące, trzy dni i siedem godzin.

Aelin zacisnęła usta. Nie miał pojęcia, co ją poruszyło bardziej – ilość czasu spędzonego w niewoli czy może fakt, że Rowan zliczył go co do godziny.

Przeczesała palcami włosy, których pasma unosiły się na wodzie. Po ponad dwóch miesiącach nie powinny być aż tak długie.

– Leczyli mnie po każdej... sesji. Wkrótce nie wiedziałam, czy naprawdę wyrządzono mi krzywdę, czy tylko nakarmiono mnie kolejną iluzją. Nie wiedziałam, co jest prawdą, a co nie.

Po usunięciu blizn Maeve mogła bez większego trudu wmówić jej, że nic z jej przeszłości nie wydarzyło się naprawdę.

– Ale uzdrowiciele nie pamiętali, jak długie miałam włosy. A może Maeve chciała jeszcze spotęgować moje oszołomienie, a więc otrzymałam inne, o wiele dłuższe. – Jej oczy na moment pociemniały. Przypuszczalnie przypomniawszy sobie, dlaczego w ogóle musiano je odtworzyć.

– Mogę je przyciąć, by były tak długie jak w chwili naszego rozstania – rzekł Rowan niemalże gardłowym głosem.

– Nie – odparła Aelin. Woda wokół niej zafalowała. – Chcę, żeby takie pozostały. Chcę pamiętać. – Chciała pamiętać krzywdy, które jej wyrządzono. Ale też to, co przetrwała i co chroniła.

Rowan dołożył wszelkich starań, by Cairn pozostał przytomny, gdy zadawał mu jakże wyrafinowaną śmierć, i wciąż pamiętał jego wrzaski, ale mimo to żałował, że mężczyzna już nie żyje. Marzył tylko o tym, by torturować go dłużej. A kiedy dopadnie Maeve...

Nie. Maeve nie należała do niego. On zabił Cairna i powinno mu to wystarczyć. To Aelin zasługiwała na to, by odebrać życie Maeve.

Nawet jeśli dziewczyna, wciąż pływająca w jeziorze, nie myślała o zemście. Nie było w niej ani śladu płonącej wściekłości, która dodawała jej sił.

Nie winił jej. Wiedział, że potrzeba czasu i odległości, by zaleczyć rany serca, o ile w ogóle okaże się to możliwe. Obiecał sobie jednak, że spróbuje jej pomóc we wszystkim, w czym będzie mógł, i nigdy nie przestanie jej kochać z całego serca, nawet jeśli Aelin już nigdy nie

będzie tą, którą była kiedyś.

Dziewczyna znów zanurzyła głowę, a kiedy wypłynęła, powiedziała:

– Maeve chciała mi założyć naszyjnik Valgów. Wyjechała z Doranelle, by go przywieźć.

Rowan wyczuł woń odradzającego się lęku i odruchowo zrobił krok w stronę brzegu.

– To dlatego ja... Dlatego uciekłam. Przeniosła mnie do obozu wojskowego, gdzie miałam być lepiej pilnowana, a ja...

Słowa uwięzły jej w gardle, ale spojrzała mu w oczy. Pozwoliła, by odczytał słowa, których nie umiała wypowiedzieć: „A ja wcale nie miałam zamiaru uciekać”.

– Nie, Ogniste Serce – szepnął i pokręcił głową, czując, jak przepelnia go zgroza. – Nie... nie było żadnych naszyjników.

Aelin zamrugła i przechyliła lekko głowę.

– Czyli to też był sen?

Serce znów go zabolalo, gdy szukał odpowiednich słów, a potem je wypowiedział:

– Nie, wieść o nich pojawiła się naprawdę, ale... ale była kłamstwem. Kłamstwem, które rozprowadziliśmy. Nie pojawili się żadni Valgowie, nie znaleziono żadnych naszyjników. Chcieliśmy jedynie wyciągnąć Maeve z Doranelle, jak najdalej od ciebie.

Przez moment słycać było tylko cichy plusk wody.

– Czyli nie było naszyjnika?

Rowan opadł na kolana i pokręcił głową.

– Ja... Aelin, gdybym wiedział, do czego Maeve zechce wykorzystać naszyjnik i co ty postanowisz, gdy się o tym dowiesz...

Mógł ją stracić. Mogła się rozstać z życiem, nie za sprawą Maeve, bogów czy Zamka, ale jego własnych, cholernych wyborów. Za sprawą kłamstw, które rozsiewał.

Aelin znów zniknęła pod powierzchnią. Tym razem pogrążyła się w wodzie tak głęboko, że podwodny rozbłysk ognia wydawał się nikłym refleksem, lecz fala światła w niemej erupcji rozeszła się po ciemnych wodach jeziora, oświetliła kamienie i wilgotny sufit nad ich

głowami.

Jego oddech stał się chrapliwy, ale Aelin ponownie ruszyła ku powierzchni. Wokół jej ciała rozchodziły się strugi światła, lecz przygasły, gdy znów się wynurzyła.

- Przepraszam cię – wykrztusił.

Aelin przechyliła głowę.

- Nie masz mnie za co przepraszać.

Miał, a jakże. Przecież spotęgował jej zgrozę, jej rozpacz. Gdyby nie...

- Gdybyś nie zaintrygował Maeve swoim fortem, a ona nie zdradziła swoich zamiarów przede mną, nie toczylibyśmy tej rozmowy – rzekła.

Rowan ze wszystkich sił powstrzymywał ucisk w żołądku. Pragnął tylko przygarnąć ją do piersi i błagać o wybaczenie.

- Co z resztą? – spytała Aelin.

Nie miała o niczym pojęcia. Nie wiedziała, jak, gdzie i dlaczego się rozstali. Opowiedział jej więc o wszystkim, najspokojniej i najzwięźlej jak umiał, a gdy skończył, Aelin milczała przez kilka długich minut.

Wpatrywała się w ciemność. Jedynym słyszalnym odgłosem był cichy plusk wody. Jej ciało niemalże utraciło resztki świeżej emanacji.

Naraz odwróciła się ku niemu.

- Maeve powiedziała, że wraz z resztą przebywasz na północy, że zostałeś zauważony przez jej szpiegów. Czy to również był twój fortel?

Rowan pokręcił głową.

- Nie. Wygląda na to, że Lysandra wykonała dobrą robotę.

- Nie miałam co do tego wątpliwości. – Aelin przełknęła ślinę.

Zabrzmiało to niemalże jak przyznanie się do winy, więc Rowan dodał pospiesznie:

- Powiedziałem ci kiedyś, że nawet jeśli rozdzieli nas śmierć, rozszarpię na strzępy każdy świat, aż cię znajdę. – Uśmiechnął się krzywo i dodał: – Naprawdę sądziłaś, że to mnie powstrzyma?

Aelin zacisnęła mocno usta. Ból wreszcie pojawił się w jej oczach.

- Miałeś ratować Terrasen – powiedziała.

- Zważywszy na to, że słońce nadal świeci, rzekłbym, że Erawan jeszcze nie wygrał. Ocalimy Terrasen razem.

Nie chciał nawet myśleć o tym, ile zniszczenie Erawana będzie ich kosztowało. Aelin również nie kwapiła się, by znów podejmować ten temat.

- Powinieneś był wrócić do Terrasenu. Kraj cię potrzebuje.

- Ja potrzebuję cię bardziej! – Rowan nie próbował maskować brutalnej szczerości w swoim głosie. – Terrasen zresztą również potrzebuje ciebie. Nie Lysandry, która cię udaje, ale ciebie!

Aelin skinęła lekko głową.

- Maeve zebrała armię. Nie wydaje mi się, by jej jedynym zadaniem miało być pilnowanie mnie podczas jej nieobecności – rzekła.

Rowan uznał, że zastanowi się nad tym kiedy indziej.

- Być może chciała jedynie wzmocnić obronę, na wypadek gdyby Erawan pokonał morze.

- Naprawdę myślisz, że o to właśnie jej chodzi?

- Nie – przyznał.

Jeśli Maeve chciała przerzucić tę armię do Terrasenu, jeśli chciała się połączyć z Erawanem bądź po prostu stać się kolejną siłą, która uczestniczy w niszczeniu jej ojczyzny w chwili, gdy jej obrońcy są najsłabsi, musieli się spieszyć. Musieli wracać, i to jak najszybciej. W oczach Rowana błysnęła zgroza. Dobrze wiedział, o czym myśli jego ukochana.

Aelin znów przełknęła ślinę.

- Jestem taka zmęczona, Rowanie... – szepnęła.

Znajomy ból w piersi znów się odezwał.

- Wiem, Ogniste Serce – odparł.

Otworzył usta, by powiedzieć coś więcej, by nakłonić ją do wyjścia na brzeg, gdzie mógłby przynajmniej ją przytulić, skoro jego słowa nie niosły wcale pociechy, ale wtedy ujrzał coś nowego. Z mroku wyłoniła się starożytna, rzeźbiona łódź.

- Wracaj tu! – warknął.

Łódź nie dryfowała. Ona była ciągnięta! Rowan wypatrzył dwa ciemne kształty, przemykające pod powierzchnią. Aelin bez wahania ruszyła w stronę brzegu, ale ruchy jej ramion były miarowe, spokojne. Nie wzdrygnęła się przed przyjęciem pomocy – chwyciła go za dłoń i już stała na skale, a Rowan otulał ją płaszczem. Łódź zaś przepłynęła obok nich.

Ciągnące ją istoty przypominały czarne węgorze rozmiarów dorosłego człowieka, których płetwy wiły się niczym mahoniowe treny. Rowan dostrzegł ich mlecznobiałe oczy. Istoty były ślepe.

Holowana przez nie płaskodenna łódź, która mogłaby pomieścić piętnastu wojowników Fae, zatrzymała się przy brzegu. W ciemnościach pojawiły się drobne postaci ich gospodarzy, którzy sprawnie przywiązali łódź do pobliskiego stalagmitu.

Lorcan i Gavriel zapewne usłyszeli ciche polecenie, które Rowan rzucił do Aelin, gdyż zjawili się natychmiast z wyciągniętymi mieczami. Za nimi stanęli Elide z Fenrysem, który wciąż pozostawał w postaci wilka.

– Mamy wsiąść do tego czegoś i popłynąć w głąb jaskini? – mruknął Lorcan.

Aelin odwróciła się ku nim. Z jej włosów ściekała woda. Wystarczyłaby jedna myśl, by jej ciało wyschło, ale nie przyszło jej to do głowy.

– Przecież jesteśmy ścigani.

– Doskonale o tym wiemy – odgryzł się Lorcan.

Gdyby nie to, że Aelin pozwoliła mu położyć dłoń na swym ramieniu, Rowan wrzuciłby pół-Fae do wody.

Na twarzy dziewczyny widniały jednak powaga i nieporuszony spokój.

– Jedyna droga do morza prowadzi przez te jaskinie – rzekła.

Myśl wydawała się niedorzeczna. Od morza dzieliły ich setki kilometrów, a do tego nie było żadnych doniesień o tym, jakoby system podziemnych wód w jakikolwiek sposób łączył się z oceanem. Gdyby to okazało się prawdą, wodny szlak musiałby iść stąd na północ, a potem skręcać na zachód pod masywem Gór Kambryjskich, by dotrzeć do wybrzeży.

- I to niby oni ci to zdradzili, tak? – Twarz Lorcana zdawała się wykuta z kamienia.

- Uważaj na to, co mówisz – warknął Rowan, a Fenrys zjeżył sierść i obnażył kły.

- Tak – odparła po prostu Aelin, a jej podbródek nawet nie drgnął.
- Na powierzchni roi się od żołnierzy i zwiadowców. Najbezpieczniej będzie przemknąć pod nimi.

- Ja udam się z Aelin – oznajmiła Elide i smagneła Lorcana zimnym spojrzeniem. – Możesz spróbować szczęścia na powierzchni, jeśli masz wątpliwości.

Lorcan zacisnął zęby, a Rowan poczuł przez moment satysfakcję, widząc, jak drobna pani Perranthu kilkoma słowami zbija z tropu zaprawionego weterana.

- Dobrze byłoby zastanowić się nad potencjalnym zagrożeniem! – warknął Lorcan.

- Nie ma na to czasu! – wtrącił się Rowan, nim Elide zdołała wygłosić ripostę. – Musimy ruszać w drogę!

Gavriel podszedł do przycumowanej łodzi i przyjrzał się workom z zapasami, ułożonym na deskach pokładu.

- A jak znajdziemy drogę? – spytał.

- Nie będziemy sami – odparła Aelin.

- A jeśli Mali Ludzie nas porzucą? – spytał Lorcan.

Aelin obrzuciła go niewzruszonym spojrzeniem.

- Wtedy będziesz chyba musiał znaleźć jakieś nowe rozwiązanie.

Rowan wyczuł w jej spokojnych słowach niewyraźną jeszcze iskierkę budzącego się temperamentu.

Nie było już o czym rozmawiać, a ich skromny dobytek można było zebrać w kilka chwil, więc mężczyźni zaczęli oglądać łódź, dając tym samym Aelin chwilę na przebranie się przy ognisku. Gdy pojawiła się w butach, spodniach i koszuli, na którą narzuciła płaszcz – w stroju z Mistward! – Rowan znów poczuł ucisk w sercu.

Nie była już naga, zbiegłą uciekinierką, ale jej twarzy wciąż nie rozpromieniały niepowstrzymana dzikość, radość życia i złośliwość.

Reszta ich grupy czekała już w łodzi. Siedzieli na ławkach, wbudowanych w wysokie burty. Fenrys i Elide trzymali się jak najdalej od Lorcana, a Gavriel tkwił między nimi niczym złocista, znużona statua, oddzielająca dwa wrogie światy.

Czekający na brzegu Rowan podał dłoń nadchodzącej Aelin. Ta wydawała się poruszać ostrożnie, jakby wciąż nie mogła się nadziwić temu, że jej ruchów nie hamuje ciężar kajdan.

– Dlaczego? – odezwał się zamyślony Lorcan, bardziej do siebie niż do innych. – Dlaczego robią dla nas aż tyle?

Odpowiedź otrzymał chwilę później.

Aelin zatrzymała się kilka kroków przed łodzią z dłonią wyciągniętą w stronę Rowana. Odwróciła się ku jaskini, skąd Mali Ludzie przyglądali się jej spoza gałęzi brzoź, kamieni i stalagmitów. Powoli złożyła im głęboki ukłon.

Rowan mógłby przysiąc, iż małe głowy pochyliły się w odpowiedzi.

Dwie szczupłe, szare rączki wyrosły z nad pobliskiego głazu. Trzymały coś migotliwego, co ułożyły na kamieniu.

Rowan znieruchomiał. Patrzył na koronę ze srebra, pereł i diamentów, uformowaną na podobieństwo uniesionych skrzydeł łabędzia.

– To korona Mab! – szepnął Gavriel.

Fenrys odwrócił głowę ku ciemnościom, po czym otulił się ogonem.

Aelin postąpiła chwiejnie ku koronie.

– Ona... Ona wpadła do rzeki – powiedziała.

Rowan nie chciał wiedzieć, w jakich okolicznościach Aelin się na nią natknęła i była świadkiem tego, że korona przepadła. Maeve nieustannie pilnowała koron obu swych sióstr i wystawiała je na pokaz w sali tronowej jedynie na okazje państwowe. Utrzymywała, że chce w ten sposób upamiętnić swe siostry, Rowan jednak zastanawiał się czasami, czy nie chciała aby przypomnieć, że przetrwała je obie i zatrzymała tron dla siebie.

Szarawa ręka wysunęła się z za głazu i trąciła koronę w wymownym geście.

„No, bierz”.

– Chcesz wiedzieć dlaczego? – Gavriel zapytał cicho Lorcana, patrząc, jak Aelin idzie w stronę głazu. Na jej twarzy widać było powagę oraz nabożny szacunek. – Bo ona jest nie tylko potomkinią Brannona, ale również Mab.

Maeve w drwinach nazywała ją zagubionym pomiotem praprababki, ale geny Aelin okazały się silne. Odziedziczyła po przodkini nie tylko potęgę, ale też nieśmiertelność.

Palce Aelin zacisnęły się na koronie i uniosły ją delikatnie. Korona zaśniła w jej dłoniach niczym żywy blask księżyca.

„Krew mojej siostry Mab jest mocna” – powiedziała Maeve owego dnia na plaży, jeśli wierzyć słowom Elide. W istocie, wszystko na to wskazywało.

Aelin jednakże nawet nie pomyślała o tym, by założyć koronę na głowę. Ruszyła w stronę łodzi, tym razem spokojniejszym krokiem. Rowan ujął dłoń ukochanej, odpychając myśli o nieznośnej gładkości jej skóry, i pomógł jej wejść na pokład, a potem odcumował łódź i sam wskoczył do środka.

– Co czyni ją również ich królową – dokończył Gavriel z wielkim szacunkiem.

Aelin spojrzała mu w oczy i się uśmiechnęła.

– Tak – odrzekła.

Korona niemalże jaśniała w jej dłoniach, gdy łódź rozpoczęła wędrówkę przez mrok.

Ile czasu upłynie, nim dotrzemy do wybrzeża? – Szept Elide odbił się echem od podziemnych skał, wydrążonych przez rzekę.

W chwili gdy łódź pozostawiła za sobą blask ogniska na brzegu i wniknęła w mrok jeziora, tak nieprzenikniony, iż nie mogła nawet ujrzeć własnych uniesionych dłoni, Elide zawładnął strach. Nie mogła sobie wyobrazić uwięzienia w takich ciemnościach na całe godziny, dnie, a być może nawet dłużej...

Czy tak właśnie Aelin czuła się w tej żelaznej trumnie? Nic w jej zachowaniu nie wskazywało na to, by ciemności robiły na niej jakiegokolwiek wrażenie. Najwyraźniej nie miała też zamiaru opromieniać im drogi. Nie rozżarzyła nawet węgielka.

Ale okazało się, że Mali Ludzie i na to byli przygotowani. Jak tylko łódź zanurzyła się w mroku, w latarni zawieszanej nad zakrzywionym ku górze dziobem zapłonęło błękitne światło.

Nie było to prawdziwe światło, nie była to nawet magia, lecz małe robaczki, które jaśniały błękitem, jakby każdy z nich połknął serce małej gwiazdy. Zostały zebrane w latarni, której światło płynęło po ścianach tunelu. Łagodne, kojące, przynajmniej dla niej.

Fae zachowywali czujność, a ich oczy błyszczały jak u zwierząt. Nieustannie rozglądali się wokół, a łódź, ciągnięta przez osobliwe, węzowate stworzenia, powoli sunęła naprzód.

– Nie rozwijamy wielkiej prędkości – odezwał się Rowan, który wraz z Aelin siedział na rufie.

Fenrys drzemał tuż przy stopach królowej.

Łódź była na tyle duża, że każdy z nich mógł się wygodnie położyć między ławkami. Starczyłoby też miejsca, by zebrali się na dziobie i pożywili serami i owocami.

– Poza tym nie wiemy, jak biegnie ów trakt. Przypuszczam, że podróż potrwa kilka dni – dodał Rowan.

– Podróż pieszo potrwałaby trzy tygodnie – wyjaśnił Gavriel. Jego

złote włosy błyszcząły w blasku latarni. – Może dłużej.

Elide bawiła się pierścieniem na palcu, obracając go bez końca. Wolałaby iść pieszo przez miesiąc, niż tkwić w tych mrocznych, dusznych, podziemnych tunelach.

Nie mieli jednak wyboru. Nie słyszała ostrzegawczego szeptu Anneith, która nie odezwała się do niej ani razu od chwili, gdy weszli na pokład, a Aelin otrzymała starożytną koronę Fae, jej dziedzictwo.

Królowa wepchnęła ją bezceremonialnie do jednego z plecaków, jakby była to tylko zapasowa pochwa na miecz. Nie zadawali jej pytań, a ona nie odzywała się ani słowem, siedząc na rufie łodzi i wpatrując się w gładką skórę swej dłoni, od czasu do czasu zerkając również na czarną wodę wokół siebie. Elide nie chciała wiedzieć, co Aelin spodziewała się w niej ujrzeć poza własnym, falującym obliczem. Okolicę zamieszkiwało zbyt wiele starożytnych, plugawych bestii, by można było je zliczyć, a większość nie okazywała śmiertelnikom życzliwości.

Elide oparła się o bagaże i zerknęła w lewo, gdzie przy burcie siedział Lorcan. Był bliżej niej niż przez ostatnich parę tygodni.

Wyczuł jej wzrok. Omiótł ją spojrzeniem czarnych oczu.

Ona zaś pozwoliła sobie patrzeć na niego przez kilka długich uderzeń serca.

Lorcan pełzł po plaży za Maeve, by ocalić Aelin. Odnalazł ją też podczas jej ucieczki. Dał im znać, że się wyrwała. Czy to zmazywało jego winy? Czy mogła teraz zapomnieć o tym, że wezwał Maeve?

Nawet jeśli królowa Fae zastawiła pułapkę, nawet jeśli nie wiedział, jaki los chciała zgotować Aelin, czy to równoważyło podjętą przez niego decyzję o jej przywołaniu?

Gdy po raz ostatni rozmawiali jako przyjaciele, wciąż znajdowali się na pokładzie statku, zaledwie kilka godzin przed przybyciem floty Maeve. Powiedział jej, że muszą porozmawiać, a ona założyła, że Lorcan ma na myśli ich przyszłość, że myśli o nich. Ale może chciał po prostu zwierzyć się z tego, co zrobił. Z tego, że zbyt wcześnie wypełnił swe zobowiązania wobec królowej. Elide przestała obracać pierścieniem.

Zrobił to dla niej. Wiedziała o tym. Wezwał armadę Maeve, bo

wierzył, że zostaną zniszczeni przez flotę z Melisande. Zrobił to dla niej, tak jak dla niej opuścił osłaniającą ich barierę tamtego dnia, kiedy Fenrys wyszarpnął kawałek jej ramienia. Opuścił osłonę, by skorzystać z leczniczych mocy Gavriela.

Zerknęła na królową, która siedziała w milczeniu za ich plecami. Nie było w niej widać szalejącego ognia, brakowało krzywego, zuchwałego uśmiechu, którym witała każdego, kto stawał jej na drodze. Dwa miesiące z sadystą. Z sadystą i sadystką. Za coś takiego trzeba było zapłacić wysoką cenę.

Ta cisza, która doskwierała nie tylko Aelin, ale również im wszystkim, była jego winą. Być może nie do końca, ale na pewno częściowo.

Lorcan zacisnął mocno usta, jakby umiał odczytać jej myśli. Elide zaś spoglądała przed siebie, na sufit tunelu, który znajdował się teraz tak nisko, iż mogłaby go dotknąć, gdyby wstała. Robiło się coraz ciśniej.

- To pewnie przesmyk łączący dwie większe jaskinie - mruknął Lorcan, jakby mógł dojrzeć lęk na jej twarzy albo wyczuć jego zapach.

Elide nie zaszczyciła go odpowiedzią, ale nie mogła opanować przeblysku wdzięczności.

Płynęli przez prastarą, milczącą ciemność. Żadne z nich przez długi, długi czas nie powiedziało ani słowa.

A więc naszyjnik nie istniał naprawdę.

Ale armia zebrana przez Maeve była jak najbardziej prawdziwa, a Dorian wraz z Manon szukali trzeciego Klucza. Jeśli Dorian zdoła odebrać go Erawanowi, jeśli zdoła odnaleźć miejsce, w którym król Valgów go trzyma, jeśli znajdzie się w posiadaniu wszystkich trzech...

Plusk wody o burty łodzi od dłuższego czasu był jedynym słyszany przez nią odgłosem.

Gavriel czuwał na dziobie, a Lorcan z mocno zaciśniętymi zębami rozglądał się wokół z prawej burty. Fenrys i Elide drzemali. Dziewczyna oparła głowę o bok wilka, a jej atramentowoczarne włosy rozsypały się na sierści białej niczym najczystszy śnieg.

Aelin zerknęła na Rowana, który siedział obok niej, ale jej nie

dotykał. Zacisnęła dłonie na kolanach. Wyczuła jego mrugnięcie w ciemnościach. Wiedziała, że czuwa, że śledzi każdy jej ruch.

Wdychała jego zapach, wchłaniała jego siłę.

Dorian i Manon mogli być wszędzie, a ich odnalezienie póki co graniczyło z cudem. Wiedziała, że ich ścieżki pewnego dnia mogą się przeciąć, ale równie dobrze może do tego nie dojść. Gdyby zaś udało mu się odnaleźć trzeci Klucz i oddać go jej, gotowa była zapłacić każdą cenę, zrobić wszystko, czego zażądata bogowie.

Ale jeśli Dorian będzie chciał zakończyć wszystko samemu i własnoręcznie wykuć Zamek... Jej serce ścisnął lęk. Młody król Adarlanu miał wielką moc. Równie wielką jak ona sama, a być może większą, ale Zamek miał być jej ofiarą. To jej krew miała zbawić ich wszystkich. Na samą myśl o tym, że to Dorian miałby zabrać się do Zamka...

Ale mogłaby mu na to pozwolić. Ba, musiała to zrobić. Erawan bez wątpienia cisnął swe armie na Terrasen, a siły Maeve z pewnością również były już gotowe, by upuścić morze terraseńskiej krwi. Mogła dać swoje przyzwolenie na to, by to Dorian zakończył sprawę. Przecież mu ufała.

Choć wiedziała, że pewnie nigdy by sobie tego nie wybaczyła.

To miał być jej dług. To ona miała go spłacić. Być może karą za to niepowodzenie będzie konieczność spędzenia reszty życia z samą sobą. Konieczność pamiętania tego, co jej robiono przez ostatnich kilka miesięcy.

Czerń podziemnej rzeki napierała na nią zewsząd. Oplatała ją ramionami i zaciskała je ze wszystkich sił.

Jakże była odmienna od mroku żelaznej skrzyni. Od ciemności, którą odnalazła w głębi siebie. Tej ciemności, z której nie potrafiła się wyrwać.

Jej moc ocknęła się i przebudziła. Aelin przełknęła ślinę. Nie chciała przyjmować tego do wiadomości. Nie chciała jej słuchać.

Nie mogła. Jeszcze nie teraz. Jeszcze nie była gotowa.

Widziała twarz Rowana, gdy opowiadała o tym, do czego popchnął ją jego fortel. Zauważyła spojrzenia jej towarzyszy, przepełnione współczuciem i lękiem. Nie mogli pogodzić się z tym, co jej zrobiono

i czym się stała.

Otrzymała nowe ciało. Obce, nowe ciało. Zupełnie jakby wyrwano ją z jednego i wepchnięto w inne. Nie próbowała jeszcze transformacji w ludzką postać. Nie widziała sensu.

Łódź sunęła przez ciemność, a Aelin milczała. Czuła na sobie ciężar spojrzeń. Czuła ich lęk. Wiedziała, że zastanawiają się, do jakiego stopnia została zniszczona.

„Nie masz prawa się poddać”.

Wiedziała, że naprawdę to usłyszała. Te słowa wypowiedział głos jej matki i nikogo innego. Zawzięła się więc. Postanowiła, że nigdy się nie ugnie. Nie podda się, odepchnie od siebie wszystko, co jej zrobiono.

Nie podda się. Zrobi to dla swoich towarzyszy, by przepędzić ich rozpacz, by odegnać ich strach.

Z desperacją usiłowała dogrzebać się do tej Aelin, którą była wcześniej. Próbowała sobie przypomnieć swój zawadiacki chód, krzywy uśmiech i zuchwałe mrugnięcia. Walczyła z plamą na swej duszy i próbowała ją zignorować. Ta podróż przez mrok była dobrą sposobnością, by poskładać się do kupy. Choćby po to, by robić przekonujące wrażenie.

Nawet jeśli w jej sercu nadal mieszkała popękana ciemność, nawet jeśli prowadzenie rozmowy nadal przychodziło jej z trudem, pokaże im tą, którą chcieli zobaczyć.

Pokaże im niezłomną Niosącą Ogień.

Aelin Dziki Ogień.

Pokaże to kłamstwo również całemu światu. Zrobi wszystko, by w nie uwierzono.

Może któregoś dnia uwierzy w to również sama.

Dni żeglugi upływały im niemalże w ciszy.

Jeśli wierzyć zmysłom Rowana i Gavriela, byli w drodze od trzech dni. Być może Lew miał ze sobą kieszonkowy zegarek. Aelin zresztą było wszystko jedno.

Przez cały czas zastanawiała się nad tym, ile zostało zrobione i co miała przed sobą. Bywało, że ryk jej magii zagłuszał wszelkie myśli. Bywało, że moc zapadała w sen. Aelin nie zwracała na to uwagi.

Żeglowali przez mrok po rzece tak czarnej, że równie dobrze mogliby przemierzać królestwo Hellasa.

Pod koniec czwartego dnia żeglugi Rowan mruknął:

– Wkraczamy na terytorium upiorów kurhanowych.

Siedzący na dziobie Gavriel odwrócił się ku niemu.

– Skąd wiesz? – zapytał.

Leżący obok Fenrys zastrzygł uszami.

Aelin nie pytała, dlaczego Fae nadal pozostaje w ciele wilka. W końcu jej też nikt nie zapytał, dlaczego nie rezygnuje z postaci Fae. Przypuszczała jednak, że wojownik woli ciało wilka, bo gdyby powrócił do postaci Fae, być może zaczęłyby mówić. Może zaczęłyby odpowiadać na pytania, których nie należało jeszcze zadawać. A może po prostu zaczęłyby wrzeszczeć, bo na pewno nie zapomniał tego, co się stało z Connallem.

Rowan wskazał wytatuowanym palcem niszę w skalnej ścianie. Jej zakamarki zalewały cienie, ale gdy światło błękitnej pochodni napłynęło bliżej, na ziemi zamigotało złoto. Starożytne złoto.

– Co to takiego? – szepnęła Elide. – Czym jest upiór kurhanowy?

– To istoty złożone z myśli i zła – odparł Lorcan, który rozglądał się z dłonią opartą na mieczu. – Pożądamy złota i skarbów, przez co wnikają do starożytnych grobowców królów i królowych, by tam zamieszkać. Nienawidzą wszelkich odmian światła, a więc miejmy nadzieję, że nasza latarnia ich powstrzyma.

Elide wzdrygnęła się. Aelin miała ochotę zrobić to samo, ale zamiast tego zebrała się na odwagę i spytała Rowana:

– Czy to takie same istoty jak te, które spotkaliśmy już kiedyś wśród kurhanów?

Rowan wyprostował się, a jego oczy zalśniły, jakby zaintrygowało go pytanie lub sam fakt, że Aelin wreszcie się odezwała. Nie odstępował jej ani na chwilę. Trwał przy niej w milczeniu, niewzruszenie. Nie oddalał się od niej, nawet gdy zapadała w sen. Nadal jej nie dotykał, ale nie przestawał przy niej trwać. Na tyle blisko, by zapach śniegu i sosen pomagał jej zasnąć.

Teraz oparł dłoń o burzę.

– W Wendlyn jest wiele grobowców zamieszkałych przez upiory, ale między Doranelle a Górą Kambryjską nie ma innych poza tymi, które odwiedziliśmy. Z tego, co wiem, rzecz jasna – poprawił się. – Nie miałem pojęcia, że grobowce zostały wykute tak głęboko.

– Upiory musiały się tu jakoś dostać, po czym wejścia do grobowców przypuszczalnie zapieczętowano – dodał Gavriel, który przyglądał się większej wnęce, która ukazała się po prawej stronie. Po chwili mieli już pewność, że było to wejście do suchej jaskini.

– Zatrzymajcie łódź – odezwała się Aelin.

Zapadła cisza. Nawet Rowan nie wiedział, co rzec.

Aelin wskazała wąską półkę skalną przy wejściu do jaskini.

– Zatrzymajcie łódź! – powtórzyła.

– Nie wiem, czy to w ogóle możliwe – mruknęła Elide.

W istocie, przez ostatnie dni zmuszone były załatwiać swoje potrzeby do wiadra, a mężczyźni podejmowali wówczas sztuczną rozmowę, by zagłuszyć wszelkie dźwięki. Teraz jednakże łódź skręciła w stronę wejścia do jaskini i zaczęła wytracać prędkość. Fenrys podniósł się, węsząc, a Rowan i Lorcan przypadli do burty, by w odpowiednim momencie wyciągnąć ręce i zamortyzować zderzenie ze skałą.

Aelin nie czekała na to, aż łódź przestanie się kołysać. Złapała latarnię i wskoczyła na brzeg, wygładzony nurtem rzeki.

Rowan zaklął i skoczył za nią.

- Zostańcie tu! – warknął do reszty.

Aelin, nie przejmując się tym, kto posłuchał, a kto nie, zagłębiła się w tunel.

Królowa nieraz okazywała beztroskę, zanim popadła w niewolę, ale teraz wyglądało na to, że tortury Cairna i Maeve pozbawiły ją resztek zdrowego rozsądku.

Lorcan zachował jednak ten wniosek dla siebie. Pozostał na łodzi z Elide, a Fenrys i Gavriel podążyli za Rowanem i Aelin. Przez chwilę ich obecność wskazywał gasnący w oddali błękitny poblask na ścianach. Ognia nie było. Od chwili wejścia do jaskini Aelin nie stworzyła nawet promyka.

Elide siedziała nieruchomo przy lewej burcie, wsparta o jej wygiętą krawędź. Przez ostatnich kilka minut nie powiedziała ani słowa. Wpatrywała się w tunel, w którym na powrót zapadły ciemności.

- Upiory nie są groźne dla kogoś, kto włada magią – powiedział Lorcan.

Dziewczyna obrzuciła go spojrzeniem ciemnych oczu.

- Cóż, ja niczym nie władam, a więc, jeśli pozwolisz, zachowam czujność.

Kiedyś wyznała mu, że w rodzie Lochan magia jest silna, ale ona nigdy nie znalazła w sobie żadnych jej śladów. On zaś nigdy jej nie powiedział, że zawsze uważał jej inteligencję za potężną odmianę magii, którą dodatkowo wspierały podszepty Anneith.

- Nie upiorami zresztą się przejmuję – dodała Elide.

Lorcan ocenił wzrokiem płynącą cicho rzekę i jaskinie wokół nich, po czym rzekł:

- Upłynie jeszcze trochę czasu, zanim dojdzie do siebie.

Elide wpatrywała się w niego z potępieniem w oczach. Lorcan oparł przedramiona na kolanach.

- Odbiliśmy ją. Aelin jest już z nami. Czego więcej chcesz?

„Ode mnie” – dodał w myślach.

Elide wyprostowała się.

- Nie chcę niczego – odparła.

„Od ciebie”.

Lorcan zacisnął zęby. Nadeszła pora, by wreszcie wszystko wyłuszczyć.

- Jak długo jeszcze mam pokutować?

- A co? Zaczynasz się tym nudzić?

Lorcan warknął. Elide wpatrywała się w niego.

- Nie zdawałam sobie zresztą sprawy z tego, że pokutujesz.

- Ale jestem tu, prawda?

- Dla kogo? Dla Rowana? Dla Aelin?

- Dla nich obojga. I dla ciebie.

Proszę. Powiedział to.

Choć ciemności rozpraszał jedynie błękitny poblask latarni, dostrzegł róż, który rozlał się po policzkach dziewczyny. Mimo to Elide zacisnęła mocno usta.

- Powiedziałam ci prawdę na plaży. Nie chcę od ciebie niczego.

- A więc wystarczy jeden błąd, by stać się twoim wrogiem na wieczność?

- Aelin jest moją królową, a ty wezwałeś Maeve. Powiedziałeś jej, gdzie znajdują się Klucze. Stałeś nieruchomo, gdy oni... gdy oni robili jej to wszystko...

- Nie masz pojęcia, czym jest przysięga krwi. Nie masz bladego pojęcia, Elide.

- Fenrys ją zerwał. Znalazł sposób.

- I gdyby Aelin nie zaproponowała mu kolejnej, umarłby – odparł Lorcan, po czym parsknął cichym, ponurym śmiechem. – Być może tego właśnie byś chciała.

Elide zignorowała jego ostatni komentarz.

- Nawet nie próbowałeś!

- Próbowałem – warknął. – Walczyłem ze wszystkich sił, ale nie wystarczyło. Gdyby Maeve kazała mi poderżnąć ci gardło, zrobiłbym

to. Gdybym zaś znalazł jakiś sposób, by zerwać przysięgę, umarłbym, a ona mogłaby cię potem zabić albo wziąć do niewoli. Wtedy na plaży myślałem tylko o jednym. Zależało mi tylko na tym, by Maeve zapomniała o tobie, by nic ci się nie stało...

- Ja nie jestem ważna! Nie przejmowałam się tym, co mogłoby się ze mną stać na tej plaży!

- Ale ja tak! - Jego donośny głos odbił się echem od wody i skał. Lorcan odruchowo ściszył głos. Przecież mógł przyciągnąć uwagę stworzeń o wiele gorszych od upiorów. - Zrobiłbym dla ciebie wszystko tamtego pamiętnego dnia. Dla twej królowej również.

Elide pokręciła głową i odwróciła wzrok. Wolą patrzeć gdziekolwiek, byleby nie na niego.

I tyle mu przyszło z otwarcia drzwi do tego miejsca w duszy, do którego nikt dotąd nie zaglądał. Do miejsca, w którym upchnął cały swój bałagan i całą pustkę, nieustannie nawołujące go do tego, by naprawił wszystko, co zepsuł.

- Możesz mnie nie cierpieć z całego serca, jeśli chcesz - rzekł, przeklinając w myślach swój ochryply głos. - Jakoś to przeżyję.

W jej oczach błysnął ból.

- W porządku - powiedziała cicho, nieśmiało.

Nigdy w życiu nie znienawidził niczego tak jak tego jej kruchego głosu. Nienawidził siebie za to, że doprowadził do tej sytuacji, ale dotarł właśnie do granicy. Niżej upaść już nie chciał.

Powiedział, co miał do powiedzenia. Jeśli Elide chciała się go wyrzec na zawsze, będzie musiał znaleźć sposób, by to uszanować i nauczyć się z tym żyć.

Jakoś.

Tunel wznosił się przez chwilę, po czym wyrównywał się i prowadził dalej w głąb skał. Rowan szybko doszedł do wniosku, że nierówno wyciosane ściany z pewnością były dziełem śmiertelników. Być może królowie i lordowie sprzed wieków topili swych zmarłych w podziemnej rzece, po czym zamykali nad nimi grobowce na powierzchni ziemi. Pamięć o tym osobliwym pochówku znikła zaś wraz z ich królestwami.

Słaby poblask latarni trzymanej przez Aelin zalewał tunel błękitem. Rowan szybko dogonił ukochaną i szedł teraz u jej boku. Z drugiej strony osłaniał ją Fenrys, a za nimi szedł Gavriel.

Rowan nie chwycił za miecz. Stal nie przydawała się na wiele w walce z upiorami, które można było zniszczyć jedynie magią.

Nie miał pojęcia, dlaczego Aelin chciała się tu zatrzymać. Mógł się tego tylko domyślać.

Wnet dotarli do niewielkiej jaskini, gdzie przywitał ich blask złota. Przy sarkofagu, stojącym w samym sercu pomieszczenia, czaił się cień w postrzępionych, czarnych szatach.

Rowan warknął ostrzegawczo, ale Aelin nie zaatakowała. Zaciśnęła rękę, ale nawet nie drgnęła. Upiór zasyczał, a królowa nadal wpatrywała się w niego, nieruchomo i w milczeniu.

Zupełnie jakby nie mogła bądź nie chciała sięgnąć po moc.

Rowan przegnał ból z piersi i pchnął podmuchem lodowego wiatru. Upiór wrzasnął i znikł.

Aelin jeszcze przez chwilę wpatrywała się w miejsce, gdzie czaiła się istota, a potem zerknęła na niego. W jej oczach błysnęła wdzięczność.

Rowan skinął lekko głową, jakby chciał powiedzieć: „Nie przejmuj się”.

Aelin odwróciła się jednak, przerywając ich niemą rozmowę, i zaczęła się rozglądać.

Czas. Wiedział, że jego Ogniste Serce potrzebuje czasu, by dojść do siebie, nawet jeśli będzie udawać, że jest inaczej.

Sam więc również zaczął się rozglądać. Za sarkofagiem oraz skarbcem ujrzał zwieńczone łukiem przejście do innej komnaty.

– Nie mamy czasu na szukanie wyjścia – mruknął. – Poza tym jaskinie są bezpieczniejsze od powierzchni.

– Nie szukam wyjścia – odparła Aelin spokojnym, nieporuszoną głosem. Pochyliła się i nabrała garść monet, na których wybito twarz zapomnianego króla. – Szukam sposobu na sfinansowanie dalszej podróży. I bogowie wiedzą czego jeszcze.

Rowan uniósł brew. Aelin wzruszyła ramionami i wsunęła złoto do

kieszeni płaszcz.

– Mam wrażenie, że twoja sakiewka pobrzękuje żałośnie cicho, i pomyślałam sobie, że jesteśmy splukani. Chyba że się mylę.

Cierpkie drwiny, przebłyski kwaśnego humoru... Dawła z siebie wszystko. Dla niego, może dla innych, może dla siebie samej próbowała być taka jak kiedyś.

Nie mógł nie podjąć gry. Pochylił lekko głowę.

– Cóż, niczego nie potrzeba nam tak bardzo jak porządnego zastrzyku gotówki. Kufry świecą pustkami.

– Wiecie, że to należy do zmarłych, co? – Gavriel odkaszlnął.

Aelin upchnęła w kieszeni kolejną garść złota i zaczęła krążyć po skarbcu.

– Zmarli nie muszą płacić za przejazd czy konie.

Rowan uśmiechnął się krzywo do Lwa.

– Słyszałeś wolę pani.

Tam, gdzie Fenrys obwąchiwał kufer z diamentami, błysnęło światło i naraz w miejscu wilka pojawił się mężczyzna. Jego znoszone, szare ubranie wydawało się nietknięte i na pewno robiło lepsze wrażenie niż pustka w oczach.

Aelin zatrzymała się. Fenrys przełknął ślinę, jakby próbował sobie przypomnieć sztukę budowania zdań, po czym oznajmił ochryple:

– Potrzeba nam więcej kieszeni. – I wymownie poklepał się po ubraniu.

Aelin uśmiechnęła się do niego krzywo i mrugnęła trzykrotnie. Fae w odpowiedzi mrugnął raz.

„To kod – pomyślał Rowan. – Najwidoczniej opracowali jakiś system komunikacji po tym, jak kazano mu pozostać w postaci wilka”.

Aelin, nadal się uśmiechając, podeszła do złotowłosego wojownika o ciemnej, pobladłej nieco skórze i rozłożyła ramiona, jakby kazała mu zdecydować, czy życzy sobie kontaktu cielesnego i czy zdoła go wytrzymać.

Rowan pozostawił jej podobną decyzję do podjęcia.

Z ust Fenrysa wyrwało się ciche westchnienie. Objął Aelin, a jego

ciało przeszedł lekki dreszcz. Rowan nie widział jej twarzy, ale dostrzegł dłonie, które wpiły się w kurtkę Fenrysa tak mocno, że kłykcie aż pobielwały.

To był dobry znak, a właściwie mały cud, że któreś z nich miało ochotę na kontakt cielesny. Rowan musiał przypomnieć sobie o tym, przez co oboje przeszli, bo widok objętych Aelin i Fenrysa obudził w jego twardej, męskiej duszy napięcie. Kiedyś Aelin wyzwalała go od terytorialnych łajdaków. Robił wszystko, by nie zasłużyć sobie na to określenie.

– Dziękuję – odezwała się Aelin cichutkim, kruchym głosem, który tylko pogłębił ból w sercu Rowana.

Fenrys nie odpowiedział, ale na jego twarzy pojawiła się udręka. Rowan zrozumiał, że podziękowania niewiele mu dadzą.

Odsunęli się od siebie, a wtedy Fenrys położył dłoń na jej policzku.

– Gdy będziesz gotowa, możemy porozmawiać.

Porozmawiać o tym, przez co przeszli. Odsłonić pełnię tego, co się wydarzyło.

Aelin pokiwała głową i wypuściła powietrze z płuc.

– Ty również możesz na to liczyć.

Powróciła do upychania złota po kieszeniach, ale zerknęła jeszcze na Fenrysa, który stał ze ściągniętą twarzą.

– Zaofiarowałam ci przysięgę krwi, by ocalić ci życie – powiedziała.

– Ale jeśli tego nie chcesz, Fenrysie, ja... Możemy poszukać jakichś sposobów, by cię uwolnić i...

– Chcę tego – przerwał jej Fenrys poważnym głosem, bez śladu kpiny czy zuchwalstwa. Zerknął na Rowana i pochylił głowę. – Jako wielki zaszczyt poczytuję sobie szansę służenia temu dworowi. Oraz tobie – dodał, spoglądając na Aelin.

Ta zbyła go machnięciem dłoni, choć Rowan dostrzegł błysk łez w jej oczach, gdy pochyliła się, by powrócić do zbierania złota. Chcąc dać jej chwilę na osobności, podszedł do Fenrysa i zacisnął dłoń na jego ramieniu.

– Dobrze, że wróciłeś... – powiedział. – Bracie – dodał niepewnie.

Bo właśnie braćmi być powinni. Rowan nigdy dotąd niczego

takiego nie czuł, ale po tym, co Fenrys zrobił dla Aelin... Tak, zrozumiał, że od tej pory tak będzie traktował Fae, nawet jeśli jego własny brat...

Ciemne oczy Fenrysa zamigotały.

– Ona zabiła Connalla. Zmusiła go, by dźgnął się nożem w serce.

Naszyjnik z pereł i rubinów wyslizgnął się Gavrielowi z rąk.

Temperatura w komnacie na moment podskoczyła, po czym gwałtownie opadła. Nie było przy tym żadnych płomieni, nie zamigotał żar, zupełnie jakby magia Aelin buchnęła, ale została natychmiast powstrzymana. Ona sama nie przestawała napychać sobie kieszeni złotem i klejnotami.

„A więc ona również była świadkiem tej rzezi” – uzmysłowił sobie Rowan.

Gavriel, bezszelestnie pomimo kieszeni wypchanych bogactwem, podszedł do Fenrysa i zacisnął dłoń na jego drugim ramieniu.

– Dopilnujemy, by za to zapłaciła – rzekł.

Lew nigdy dotąd nie wypowiedział takich słów, a już na pewno nie pod adresem ich byłej królowej. W jego brązowych oczach płonęła furia. Wściekłość podsycana smutkiem i rozpaczą.

Fenrys nabrał tchu, by odzyskać kontrolę nad sobą, i cofnął się. Rozpacz z powodu straty mieszała się na jego twarzy z czymś, czego Rowan nie umiał nazwać, ale nie był to dobry moment, by o to pytać.

Wypchali kieszenie taką ilością złota, jaką byli w stanie unieść, a Fenrys ściągnął nawet kurtkę, by stworzyć prowizoryczny plecak. Gdy stała się tak ciężka, że lada chwila mogły puścić szwy, w milczeniu ruszył korytarzem z powrotem. Za nim udał się Gavriel, który wciąż krzywił się na myśl o bezwstydnym grabieży.

Aelin jednakże szukała dalej i w przeciwieństwie do pozostałych wybierała kosztowności uważniej, w czym bez wątpienia pomagało jej niemałe doświadczenie w jubilerstwie. Bogowie dobrze wiedzieli, iż sama swego czasu posiadała taki majątek, że bez trudu mogła ocenić, które klejnoty zyskają największą wartość na rynku.

– Pora wracać – powiedział Rowan. Jego własne kieszenie były bliskie pęknięcia i tak ciężkie, że z trudem się poruszał.

Aelin podniosła się znad zardzewiałej, metalowej skrzyni, w której myszkowała, i podeszła do czekającego nieruchomo Rowana. Trzymała coś w zaciśniętej dłoni, którą rozchyliła dopiero, gdy stanęła tuż przed nim.

Leżały na niej dwa złote pierścienie.

– Nie znam zwyczajów Fae – rzekła. W masywniejszy pierścień wprawiono elegancko oszlifowany rubin, a mniejszy był ozdobiony migoczącym, prostokątnym szmaragdem wielkości jej paznokcia. – Ale ludzie na pamiątkę ślubu wymieniają się pierścieniami.

Jej palce lekko drżały. Wisiało między nimi zbyt wiele niewypowiedzianych słów, ale nie była to odpowiednia pora ani na tę rozmowę, ani też na gojenie ran. Musieli przecież jak najszybciej ruszać w drogę. Ale ta propozycja, którą właśnie mu złożyła, dowód, że nadal pragnęła tej więzi między nimi...

– Zakładam, że ów szmaragd jest dla mnie – powiedział z lekkim uśmiechem.

Aelin parsknęła cicho, co było dlań równie cenne jak znalezione przez nią klejnoty. Ujęła jego dłoń i wsunęła mu pierścień z rubinem na palec, a on przywołał resztki silnej woli, by nie zadrzeć z ulgi i nie paść przed nią na kolana. Pierścień pasował idealnie. Bez wątpienia został wykuty dla króla leżącego pod tym kurhanem.

Rowan ujął dłoń żony i nałożył jej na palec pierścień ze szmaragdem.

– Zawsze razem – szepnął. – Bez względu na to, co nas czeka.

W oczach Aelin błysnęło srebro.

– Zawsze razem – powtórzyła.

Te słowa były dla nich świętsze od słów przysięgi ślubnej, którą złożyli na pokładzie statku. Byli gotowi wspólnie wyruszyć w powrotną drogę od ciemności żelaznej trumny. Byli gotowi zmierzyć się z tym, co czekało na nich w Terrasenie. Byli gotowi drwić z przysiąg, złożonych bogom w dawnych czasach.

Musnął kciukiem wierzch jej dłoni.

– Zrobię ci jeszcze raz ten tatuaż – mruknął.

Aelin przełknęła ślinę, ale pokiwała głową.

– I chętnie dodam jeszcze jeden – dorzucił. – Dla mnie i dla ciebie.

Uniosła brwi, na co Rowan ścisnął tylko jej dłoń.

„Nic ci nie powiem. Będziesz musiała jeszcze poczekać, księżniczko”.

Odpowiedziała mu cieniem uśmiechu, ale tym razem nie przerwała ich cichej rozmowy.

„Typowe”.

Otworzył usta, by zadać jej pytanie, które dręczyło go od kilku dni. Chciał się dowiedzieć, czy wreszcie wolno mu będzie ją pocałować, ale Aelin wyswobodziła dłoń. Przyjrzała się pierścieniowi migoczącemu na jej palcu, po czym obróciła rękę i zacisnęła usta.

– Pora wrócić do treningów – rzekła, nie widząc na swej dłoni ani jednego zgrubienia. – I do dawnej krzepy – dodała, przyglądając się swoim wiotkim ramionom. W jej słowach pojawiło się lekkie drzenie, ale zacisnęła dłonie w pięści i uśmiechnęła się, patrząc na swe stare ubranie z Mistward. – Będzie jak za dawnych czasów.

Dawała z siebie wszystko. Próbowwała odtworzyć swą dawną zuchowatość, a więc Rowan dołączył do gry, obiecując sobie w myślach, iż będzie to robił do chwili, gdy Aelin nie będzie już musiała niczego udawać. Uśmiechnął się krzywo i rzekł:

– Jak za dawnych czasów. – Wyszedł za nią z grobowca i skierował się ku czarnej rzece. – Ale tym razem nie pozwolę ci się tak wysypiać – dodał.

Mógłby przysiąc, że w korytarzu zrobiło się goręcej. Aelin szła jednak przed siebie.

Kiedy indziej. Do tej rozmowy i wszystkich innych niedokończonych spraw powrócą kiedy indziej.

Wyglądało na to, że królowa i jej małżonek potrzebowali chwili na osobności. Elide była jednak bardziej zaskoczona tym, że Fenrys powrócił do swej przystojnej, męskiej postaci niż złotem, które przynieśli wraz z Gavrielem.

Lorcan roześmiał się cicho na widok skarbów, które obaj wojownicy upchnęli do plecaków. Dla większości ludzi na świecie taki majątek byłby spełnieniem wszystkich marzeń.

- Przynajmniej myśli przyszłościowo – mruknął.

Fenrys, który klęczał przed swoim plecakiem z dłońmi pełnymi złota, migoczącego jak jego włosy, nagle znieruchomiał. W jego spojrzeniu nie było ani odrobiny ciepła.

- Znaleźliśmy się w tym położeniu wyłącznie dzięki tobie – powiedział.

Elide spięła się, Lorcan zeszywniał, a Gavriel przerwał pakowanie i odruchowo oparł dłoń na rękojęści sztyletu.

Ciemnowłosy wojownik pochylił tylko głowę.

- Właśnie mi o tym przypominano – rzekł, nie patrząc jednak na Elide.

Fenrys odsłonił kły.

- Gdy będzie już po wszystkim – wysyczał – utniemy sobie małą pogawędkę o tym, co zrobiłeś.

Paskudny uśmiech Lorcana przywodził na myśl cięcie sztyletem.

- Cała przyjemność będzie po mojej stronie – odparł.

Elide wiedziała, że nie ma w tym żadnej przesady. Lorcan był gotów przyjąć każde wyzwanie ze strony Fenrysa i rozpętać krwawy, przerażający konflikt.

Gavriel westchnął i spojrzał w oczy Elide. Oboje wiedzieli, że nikt i nic nie zdoła ich od tego odwieść. Mimo to dziewczyna nabrała tchu i już chciała oznajmić, że walka w obrębie ich niewielkiej grupy, bez

względu na powody, nie przyniesie nikomu żadnej pociechy, gdy z tunelu wyszli Aelin i Rowan.

U boku królowej wisiał znów Goldryn, bez wątpienia oddany jej przez księcia. Migotliwy rubin w jego rękojeści, podskakujący z każdym ruchem uda Aelin, w błękitnej poświacie latarni przypominał ametyst.

Ledwie zeszli do łodzi, gdy z tunelu dobiegł cichy syk.

Rowan i Gavriel błyskawicznie odepchnęli łódź od brzegu, a ciągnące ją wodne stworzenia natychmiast ruszyły przed siebie, z każdą chwilą zwiększając odległość między łodzią a brzegiem. Błysnęły ostrza, a nieśmiertelni wojownicy zamarli niczym sama śmierć.

Aelin nie dożyła jednak Goldryna. Nie uniosła płonącej dłoni. Z kamienną twarzą stała obok Elide.

Syk przybrał na sile. Cieniste, pokryte strupami dłonie obmacywały wejście do tunelu, ale cofnęły się, gdy padło na nie światło.

- Ktoś się chyba zdenerwował z powodu skarbu – mruknął Fenrys.

- Pora więc go napomnieć – oznajmiła Aelin.

Elide mogłaby przysiąc, że złoto w oczach królowej rozjarzyło się mocniej. Dostrzegła w nich rozbłysk światła, które po chwili zgasło.

Lodowaty wiatr runął ku wejściu do tunelu. Syk ucichł.

Elide zadrżała i szepnęła:

- Nie sądzę, bym kiedyś zatęskniła za tą okolicą.

Fenrys zaśmiał się nisko, zmysłowo, choć jego oczy nadal ziały chłodem.

- Zgadzam się z tobą, moja pani – rzekł.

Płynęli przez mrok przez kolejny dzień, a potem następny. Wciąż nie było ani śladu morza.

Aelin była pogrążona w ciężkim, pozbawionym majaków śnie, gdy na jej ramieniu nagle zacisnęła się mocna dłoń.

- Spójrz! – odezwał się Rowan, muskając oddechem jej ucho.

Otworzyła oczy i ujrzała blade światło.

„To nie ocean” – uświadomiła sobie, siadając.

Wokół niej budzili się pozostali, wyrwani ze snu głosem Rowana.

Nad ich głowami jaśniały drobne błękitne światełka, lgnące do skalnego sufitu niczym gwiazdy do nieboskłonu. Patrzyli na świetliki, podobne do tych w latarni. Były ich tysiące, a dzięki odbiciu w czarnej wodzie wydawały się niezliczone. Gwiazdy otaczały ich zarówno z góry, jak i z dołu.

Kątem oka Aelin ujrzała, jak Elide przyciska dłoń do piersi.

Jaskinia stała się morzem gwiazd.

Piękno. Na świecie nadal znajdowało się mnóstwo piękna. Gwiazdy dalej się mieniły, nawet głęboko pod powierzchnią ziemi.

Aelin wdychała chłodne powietrze jaskini, wdychała błękitny blask. Pozwalała, by przepłynął przez jej ciało.

Przysięgała, że wstrząśnie gwiazdami. Sporo już zrobiła, by tego dokonać, ale wciąż pozostawało mnóstwo pracy. Musieli się spieszyć. Ilu ludzi wpadło już w szpony Morath? Ilu cierpiało?

Świat nadal był pełen piękna, a ona była gotowa o nie walczyć. Ba, musiała o nie walczyć!

We krwi i w kościach słyszała ciągły szum. Moc, którą wciąż spychała w głąb siebie, nie dawała o sobie zapomnieć.

Będzie walczyć. Po raz ostatni ruszy do walki.

Po to właśnie uciekła. Będzie trenować i ani na moment nie przestanie myśleć o tych, którzy nadal przeciwstawiają się Morath i Maeve. Nie zawaha się. Nie zatrzyma.

Dobrze wykorzysta swój czas. W każdy możliwy sposób.

Szmaragd na pierścieniu ślubnym zajaśniał własnym ogniem.

Po co wzmacniała więź łączącą ją z Rowanem, gdy przeznaczony był jej ołtarz ofiarny? Trudno o większy egoizm, ale mimo to wysiadła z łodzi, by znaleźć dla nich pierścienie. Na to, że może zabrać więcej złota na przyszłe cele, wpadła później. Niemniej skoro nie miała już żadnych blizn i nic nie wskazywało na to, gdzie przebywała, kim była i jaką przysięgę złożyła, potrzebowała choć jednego dowodu.

Mogłaby przysiąc, że gwiazdy nad jej głową śpiewały. Pieśń niebiańskiego chóru płynęła przez jaskinie z prądem rzeki przez ostatnie kilometry dzielące ich od morza.

Wroga armia przybyła nie po trzech ani czterech, ale po pięciu dniach.

Zdaniem Nesryn było to zarówno błogosławieństwo, jak i pech. Cieszyła się z tego, że mieli więcej czasu na przygotowania, a ruki mogły przetransportować najbardziej bezbronnych mieszkańców Anielle do smaganego śnieżycami obozu za Kłami, ale przeklinała to, że w międzyczasie w fortecy załagał się lęk, zwłaszcza wśród tych, którzy nie mogli bądź nie chcieli opuścić miasta.

Tak czy owak, po zachodzie słońca czwartego dnia widzieli już czarne szeregi wrogiej armii, maszerujące traktem wyrąbanym przez Dębową Puszcę.

O świcie piątego dnia wrogowie znaleźli się na równinie niedaleko jeziora.

Nesryn siedziała na grzbiecie Salkhiego na jednej z wieżyczek twierdzy. Obok niej siedział Arcas z Borte na grzbiecie.

– Jak na armię demonów maszerują wolniej od matki mojej *ehj* – parsknęła Borte.

– Armię muszą ciągnąć tabory, a ta dodatkowo musi przekroczyć rzekę i przebić się przez las – wyjaśniła jej Nesryn.

– Zadają sobie sporo trudu jak na tak małe miasto – stwierdziła Borte.

W istocie, Anielle nie zrobiło wielkiego wrażenia na jeźdźcach rúk, tym bardziej że przed opuszczeniem ojczyzny spędzili trochę czasu w Antice.

– Jeśli ocalimy to miasto i zajmiemy Elfią Przełęcz na północy, będziemy w stanie zabezpieczyć sobie szlak na północ. To paskudne miejsce, ale jest dla nas ważne.

– Kraina rzeczywiście jest przepiękna – powiedziała Borte, wpatrzona w jezioro migoczące w blasku zimowego słońca. Z najbliższego gorącego źródła buchała ku niebu para. – Ale ta

zabudowa... – Skrzywiła się.

– Trudno zaprzeczyć. – Nesryn zachichotała.

Przez chwilę wpatrywały się w nadciągającą wrogą armię. Ludzie na dole biegali po ulicach, niekończących się schodach i murach twierdzy.

– Jestem zaskoczona, że Sartaq pozwala swej przyszłej cesarzowej ruszać do walki – powiedziała chytrze Borte, która nie dawała dziewczynie spokoju od kilku tygodni.

– A gdzie Yeran? – Nesryn zmarszczyła brwi.

Borte pokazała jej język, na moment zapominając o groźnej sytuacji.

– Jeśli o mnie chodzi, może sobie spłonąć w piekle.

Stosunki między parą narzeczonych, choć zostawili daleko za sobą ojczyście ziemie i dawne animozje, bynajmniej się nie poprawiły, choć Nesryn czasami myślała, że to tylko element gry, toczony przez nich od lat. Udawali wzajemną pogardę, choć nie było wątpliwości, że każde z nich jest gotowe rozszarpać na kawałki tego, kto zagrozi jego partnerowi.

Nesryn uniosła brwi, a Borte skrzyżowała ramiona. Wiatr unosił jej bliźniacze warkocze.

– Sprowadza właśnie dwie ostatnie uzdrowicielki do twierdzy – rzekła.

W istocie, z równiny podnosił się właśnie czarny ruk.

– Nie macie ochoty wziąć ślubu przed bitwą?

– A niby czemu? – Borte wzdrygnęła się.

– Byś doczekała się przynajmniej nocy poślubnej. – Nesryn się uśmiechnęła.

Borte parsknęła śmiechem.

– A kto powiedział, że już jej nie miałam?

Nesryn rozdziawiła usta, ale Borte pochyliła tylko głowę i cmoknęła na Arcasa. Ruk z jeźdźcem na grzbiecie zerwał się do lotu.

Nesryn odprowadzała ją wzrokiem do chwili, gdy Borte wylądowała na ziemi, wymijając lecącego Yerana w śmiałym, niemal bezczelnym manewrze, który inni mogliby poczytać za ogromną zniewagę.

Ciemny ruk Yerana wykrzyczał swe oburzenie, a Nesryn uśmiechnęła się, przekonana, że Yeran zrobił dokładnie to samo, choć przewoził dwie uzdrowicielki. Jej uśmiech zgasł jednak momentalnie, gdy przeniosła wzrok na maszerującą armię, zbliżającą się z każdą chwilą. Patrzyła na niezniszczalną, obojętną na zmęczenie masę stali i śmierci.

Rozłożą obozowisko czy zaatakują od razu, jeszcze o zmierzchu? Czy oblężenie zakończy się wnet brutalną rzezią, czy też okaże się długie i wyczerpujące? Nesryn widziała już ich tabory. Wróg był przygotowany, by pozostać pod murami Anielle na tyle długo, aby móc zrównać miasto z ziemią.

I zabić każdego, kto przeżyje szturm.

Rytmiczne walenie w kotły rozpoczęło się o zachodzie słońca.

Yrene stała na najwyższym piętrze twierdzy i liczyła pochodnie migoczące w mroku. Ze wszystkich sił starała się utrzymać zawartość żołądka. Powtarzała sobie, że to, co właśnie zjadła, niczym się nie różniło od jej wcześniejszych posiłków tego dnia. Tych, które udało się jej wchłonąć bez torsji.

Wzdłuż murów kłębili się żołnierze i zwykli gapie, którzy jak jeden mąż przyglądali się armii na skraju równiny i w milczeniu słuchali niekończących się uderzeń, rytmicznych, nieustających i napełniających grozą. Miały na celu wstrząsnąć ich odwagą. Złamać wolę walki.

Yrene wiedziała, że najeźdźcy będą tłukli w bębny przez całą noc, nie pozwalając im odpocząć i napełniając ich serca strachem przed nadciągającym świtem.

Twierdza była pełna ludzi. Posłania ciągnęły się wzdłuż każdego korytarza.

Wraz z Chaolem odstąpili swą komnatę młodemu małżeństwu, którego trójka dzieci była zbyt mała, by odbyć podróż na Pustkowie, nawet na grzbiecie ruków. Przy takim mrozie maleństwa siniały z zimna już po paru minutach.

Yrene przesunęła dłonią po blankach sięgających jej do talii. Grube, stare kamienie. Błagała je w myślach, by wytrzymały.

Tymczasem oblegająca ich armia miała katapulty. Przy śniadaniu Yrene słyszała najnowszy raport Falkana i wiedziała, że na otaczających ich równinach zalega mnóstwo głazów pochodzących z czasów, gdy tereny te były jeszcze dnem jeziora. Morath miał więc sporo amunicji.

Mając jego ostrzeżenia w pamięci, Yrene przez cały dzień przenosiła rodziny uciekinierów, które koczowały w twierdzy od strony jeziora oraz te, które spały zbyt blisko okien i zewnętrznych murów. Wyrzucała sobie, że nie pomyślała o tym wcześniej, ale przez ostatnich pięć dni była całkowicie pochłonięta sprowadzaniem uchodźców do twierdzy i po prostu nie przeszło jej przez myśl, że wróg może zacząć ciskać im głazy na głowy.

Przemieściła również leki, bandaże oraz inne zasoby do wewnętrznej komnaty, która uległaby zniszczeniu dopiero, gdy zawaliłaby się cała twierdza. Uzdrowicielki z Torre zabrały z pokładów okrętów tyle, ile były w stanie, ale po przybyciu na miejsce od razu przystąpiły do wytwarzania kolejnych maści i eliksirów. Nie były to wyrafinowane produkty, ale Eretia popędzała je bez litości, powtarzając, że specyfiki mają działać. Po prostu działać.

Wszystko było już gotowe. Bardziej przygotowani być nie mogli.

Yrene stała więc na murach i słuchała odległych uderzeń w kotły.

Chaol powtarzał sobie, że nie była to jego ostatnia noc z żoną, ale wykorzystał ją najlepiej, jak umiał. Oboje odpoczęli, nabrali sił i zerwali się na kilka godzin przed świtem.

W twierdzy panowała już bieżanina. Ściany odbijały echo zgrzytu pazurów i kłapaniec dziobów niespokojnych rąk, które rozsiadły się na murach i wieżach.

Nadal walono w kotły. Niestrudzenie, jak przez całą noc.

Chaol ucałował Yrene na do widzenia. Miał wrażenie, że ta chce mu coś jeszcze powiedzieć, ale zamiast tego wołała się w niego wtulić i trwać tak przez długą, cenną minutę, nim się rozstali.

„Przecież się jeszcze zobaczymy” – obiecał sam sobie i popędził na mury, gdzie o świcie miał się spotkać z Sartaqiem, Nesryn oraz ojcem.

Księżę oraz Nesryn jeszcze nie przybyli, ale ojciec był już na miejscu. Przywdział zbroję, której Chaol nie widział od czasów dzieciństwa. Od chwili, gdy ojciec wyjechał z Anielle, by służyć jego władcy. By podbijać ten kontynent.

Nadal na niego pasowała, choć metal był poszczerbiony i powyginany. Nie była to najświetniejsza zbroja z rodzinnego arsenału, ale na pewno najmocniejsza. Do boku ojciec przytroczył miecz, a o blanki opierała się tarcza. Stojący dookoła wojownicy udawali, że na nich nie patrzą, ale ich szeroko otwarte ze strachu oczy łowiły każdy ich ruch.

Z oddali nadciągała pieśń bębnow.

Chaol stanął przy ojcu. Na ciemną tunikę nałożył naramienniki i nagołenniki. Do pleców przytroczył laskę z żelaznego drzewa, na wypadek gdyby magia Yrene zaczęła słabnąć. W korytarzu czekał na niego fotel na kółkach, gdyż liczył się z tym, że żona wyczerpie całą swą moc.

Wczoraj przedstawił swą szczególną sytuację ojcu, ale ten nie skomentował jej ani słowem. Nie dał po sobie poznać nawet, czy dobrze go zrozumiał.

– Gdy poprzednio oblegali Anielle, również walili w bębny wielkimi kośćmi – odezwał się ojciec. W jego głosie nie było śladu drżenia. – Jeśli wierzyć legendzie, tłukli w nie przez trzy dni i trzy noce, nim ruszyli do szturm, doprowadzając ludzi do oblędu ze strachu i znużenia, a gdy wreszcie ruszyli do ataku, nie było komu stawić im czoła. Wojownicy Erawana rozszarpali obrońców na strzępy.

– Nie było wówczas ruków – rzekł Chaol.

– Zobaczymy, jak długo wytrzymają.

Chaol zacisnął zęby.

– Jeśli nie znajdziesz w sobie nadziei, twoi ludzie również długo nie wytrzymają.

Ojciec wpatrywał się w armię, z każdą minutą potężniejszą na równinie.

– Twoja matka wyjechała – odezwał się.

Chaol nie był w stanie ukryć szoku. Ojciec zacisnął dłonie na kamiennym murze.

- Wzięła Terrina i wyjechała. Nie wiem nawet dokąd. Gdy tylko uświadomiliśmy sobie, że otaczają nas wrogowie, zabrała swe dwórki oraz ich rodziny, po czym wyjechała w środku nocy. Jedyne twój brat pozostawił list.

Jego matka po tym, przez co przeszła, co znosiła w tym piekielnym domu, wreszcie go opuściła. Zrobiła to, by ocalić drugiego syna, który był dla niej obietnicą przyszłości.

- Co napisał Terrin?

Ojciec przesunął dłonią po kamieniu.

- To bez znaczenia.

Nie, jego słowa z pewnością miały znaczenie, ale nie był to dobry moment, by próbować wyciągnąć je z ojca. W jego twarzy nie było widać strachu, a jedynie zimną rezygnację.

- Jeśli nie staniesz dziś na czele tych ludzi – warknął Chaol – ja to zrobię.

Stary lord spojrzał wreszcie na syna z poważną twarzą.

- Twoja żona jest w ciąży – oznajmił.

Szok Chaola był porównywalny z uderzeniem pięścią w twarz.

„Yrene... Naprawdę?”.

- Może i jest uzdolnioną uzdrowicielką, ale kłamać nie potrafi. Nie zauważyłeś, jak często trzyma rękę na brzuchu? Jak blednie podczas posiłków?

Jakże zwyczajne, łagodne słowa. Można by wręcz pomyśleć, że ojciec wcale nie wyszarpuje mu ziemi spod stóp.

Chaol otworzył usta, napiął mięśnie. Nie miał pojęcia, czy wrzeszczeć na ojca, czy może biec do Yrene, ale w tej samej chwili walenie w bębny ustało.

Wroga armia ruszyła do ataku.

Manon oraz reszta Trzynastki pochowały wszystkich żołnierzy zmasakrowanych przez Żelaznozębne. Ich poszarpane, pokrwawione dłonie pulsowały wściekłym bólem, o plecach nawet nie wspominając, ale dopięły swego.

Gdy ostatecznie uklepały ziemię nad grobem, Manon ujrzała Bronwen, która stała na skraju polany i przyglądała im się. Reszta Crochan zajęta była rozbijaniem obozowiska. Wiedźmy Trzynastki przeszły, kuśtykając, obok Manon. Ghislaine, wedle słów Vesty, została zaproszona do paleniska wiedźmy, która podobnie jak ona interesowała się wiedzą i historią. Za plecami Manon czaiła się Asterin, nie spuszczając oka z kuzynki.

– O co ci chodzi? – spytała Manon bez ogródek.

Wiedziała, że powinna się zdobyć na uprzejmość i dyplomatyczny ton, ale nie była w stanie się do tego zmusić.

Bronwen przełknęła ślinę, jakby miała trudności z artykułowaniem słów.

– Ty i twój sabat postąpiliście szlachetnie – rzekła.

– A ty w to wątpiłaś?

– Nie sądziłam, że Żelaznozębne w ogóle zwracają uwagę na ludzkie życie.

Nie знаła nawet połowy prawdy.

– Moja babka przekazała mi, że nie jestem już Żelaznozębną – odparła po prostu Manon. – A więc to, co one robią i na co zwracają uwagę, w żaden sposób mnie nie ogranicza. – Szła w kierunku drzew, za którymi znikła Trzynastka, gdy Bronwen zrównała się z nią. – Poza tym choć tyle mogliśmy dla nich zrobić – przyznała.

– W rzeczy samej. – Bronwen spojrzała na nią z ukosa.

Manon obrzuciła ją spojrzeniem.

– Dobra z ciebie przywódczyni – rzekła.

- Żelaznozębne od dawna dają nam wiele powodów, byśmy wzmacniały dyscyplinę.

Manon znów poczuła w sercu coś na kształt wstydu. Zaczęła się zastanawiać, czy kiedyś zdoła się do tego przyzwycząić.

- Pewnie tak.

Bronwen nie odpowiedziała. Bez słowa odbiła w kierunku małych ognisk, a Manon, która udała się na poszukiwanie paleniska Glennis, zauważyła, że Crochan wodzą za nią wzrokiem. Niektóre się kłaniały. Inne pozdrowiały ją skinieniem głowy, jeszcze inne uśmiechały się ponuro. Manon upewniła się, że pozostałe wiedźmy zadbały o swe dłonie, po czym zrozumiała, że wcale nie chce siadać. Nie chce pozwolić na to, by dopadło ją znużenie po tym dniu.

Crochan przy każdym ognisku klóciły się cicho, czy powinny lecieć dalej na południe, czy też wracać do domu. Skoro były już na terytorium Eyllwe, cóż im pozostawało? Manon nie słuchała ich zaciekłych dyskusji, a Glennis najwyraźniej pozwalała każdemu z siedmiu głównych palenisk podjąć własną decyzję.

Manon nie interesowało, co postanowią. Nie chciała nawet prosić, by udały się na północ.

Asterin podeszła do niej i podała jej kawałek suszonego królika. Wiedźmy z Trzynastki jadły, a Crochan debatowały. Wiatr zawodził przenikliwie wśród drzew.

- Dokąd ruszamy o świcie? - spytała Asterin. - Lecimy z nimi czy wracamy na północ?

Innymi słowy, czy nadal próbowały je sobie zjednać, czy może dawały sobie z tym spokój.

Manon przyjrzała się swoim pokrwawionym, obolałym dłoniom i brudnym, żelaznym szponom.

- Jestem Crochan - rzekła. - Oraz Żelaznozębną. - Zacisnęła dłonie, próbując pokonać ich sztywność. - Żelaznozębne to moje siostry bez względu na to, co ogłosiła moja babka. To moje rodaczki, zarówno Błękitnokrwiste, jak i Żółtonogie oraz Czarnodziobe. - I była gotowa znieść brzemień tego, co stworzyła. Na zawsze.

Asterin milczała, choć Manon wiedziała, że jej słucha. Wiedziała też, że Trzynastka przerwała jedzenie, by nie pominąć ani słowa.

– Chcę je sprowadzić do domu. – Manon zwróciła się do nich i do wiatru, który wiał aż po Pustkowia. – Chcę dać dom im wszystkim, zanim zrobi się za późno. Zanim staną się kimś, kto nie zasługuje na ojczyznę.

– A więc co zrobimy? – spytała Asterin cichym, ale mocnym głosem.

Manon dokończyła kawałek mięsa i pociągnęła łyk wody z bukłaka. Przeczuwała, że odpowiedź zabrzmi inaczej, niż sugerowała to Asterin. Wcale nie należało wybrać jednej ze stron. Nie, nigdy nie chodziło o to, by wybierać między Crochan a Żelaznozębnyymi.

– Jeśli Crochan nie zechcą zebrać dla mnie armii, znajdę inną. Już wyszkoloną.

– Nie możesz udać się do Morath – szepnęła Asterin. – Nie możesz zbliżyć się nawet na sto kilometrów do Morath! Armia Żelaznozębnych może być już poza naszym zasięgiem. Nasze rodaczki pewnie już nigdy nie wezmą pod uwagę sojuszu z tobą.

– Nie myślę nawet o Morath. – Manon wsunęła zmarzniętą dłoń do kieszeni. – Chcę się wybrać na Elfią Przełęcz i spotkać się z wiedźmami dowodzonymi przez Petrah Błękitnokrwistą. Chcę je poprosić, by stanęły po naszej stronie.

Asterin i pozostałe wiedźmy milczały, najwyraźniej wstrząśnięte. Manon uznała, że da im nieco czasu, by zastanowiły się nad jej decyzją, a sama skręciła między drzewa, gdzie wyczuła zapach Doriana.

Tam też zobaczyła, jak młody król rozmawia z duchem Kaltain Rompier, która po śmierci wydawała się zdrowa i w pełni władz umysłowych, uwolniona wreszcie od okrutnej tortury. Manon zamarła, wstrząśnięta.

Potem usłyszała, jak Dorian mówi o planach wniknięcia do Morath. Do Morath, gdzie trzymany był trzeci i ostatni Klucz Wyrda. Wiedział o tym, a nie powiedział jej ani słowa.

Kaltain rozmyśla się w nocy, a Dorian zmienił się w pięknego, dumnego kruka. A więc nie trenował dla zabicia czasu. Nie, on realizował plan.

– Kiedy dokładnie miałeś zamiar powiadomić mnie o tym, że chcesz

odzyskać trzeci Klucz Wyrda? – warknęła.

Dorian zamrugał, ale natychmiast odzyskał spokój i panowanie nad sobą.

– Niebawem.

– Po tym, jak odleciś pod postacią kruka czy wywerny prosto do gniazda Erawana?

Powietrze na polanie gwałtownie stygło.

– A jakie to ma znaczenie, czy powiedziałbym ci dziś, czy też kilka tygodni temu?

Manon wiedziała, że na jej twarzy nie ma ani cienia życzliwości, ani odrobiny ciepła. Wpatrywała się w niego z miną Czarnodziobej.

– Morath to samobójstwo. Erawan odnajdzie cię bez względu na to, jaką postać przybierzesz. I skończysz z naszymi.

– Nie mamy innego wyboru.

– Uzgodniliśmy coś. – Manon zrobiła krok w jego stronę. – Wspólnie ustaliliśmy, że szukanie Kluczy nie stanowi już dla nas priorytetu...

– Wiedziałem, że nie ma co się z tobą kłócić w tej sprawie. – Oczy Doriany płonęły błękitnym ogniem. – Moje decyzje nie wpłyną w żaden sposób na twoje. Zbierz Crochan, leć na północ, do Terrasenu. Moja droga wiedzie do Morath. Zawsze tak było.

– Jak to możliwe, że patrzyłeś na Kaltain i nie widziałeś tego, co cię czeka? – Manon uniosła ramię i pokazała mu miejsce, w którym kobieta nosiła bliznę. – Przecież Erawan cię dopadnie. Nie możesz się tam udać.

– Przegramy tę wojnę, jeśli tego nie zrobię! – warknął. – Jak to możliwe, że w ogóle ci na tym nie zależy!

– Mylisz się! – zasyczała. – Nie chcę przegrać tej wojny. Boję się tego, że nie uda mi się skrzyknąć Crochan. Boję się, że wejdiesz do Morath i nigdy stamtąd nie wyjdiesz. Nie pogodzę się z tym.

Dorian jedynie zamrugał. Manon splunęła na mech.

– Chcesz mi może jeszcze raz wytłumaczyć, że troszczenie się o drugą osobę nie jest niczym złym? Cóż, oto, co wynika z takiej

troski.

– To dlatego właśnie niczego nie powiedziałem – szepnęła.

Serce Manon znów zaczęło bić jak szalone. Puls rozchodził się po całym jej ciele, choć słowa były zimne jak lód.

– Chcesz udać się do Morath? – Podeszła bliżej, a Dorian nie cofnął się nawet o krok. – A więc udowodnij to. Pokaż mi, że jesteś gotowy.

– Nie muszę ci niczego udowadniać, wiedźmiątko.

Manon obdarzyła go okrutnym, krzywym uśmiechem.

– A więc może udowodnij to sam sobie. Sprawdź się.

Oszukał ją. Okłamał. A myślała, że nie ma przed nią żadnych sekretów. Nie wiedziała, dlaczego miała teraz ochotę rozszarpać na strzępy wszystko wokół siebie.

– O świcie lecimy do Elfiej Przełęczy – ciągnęła. Dorian chciał jej przerwać, ale nie pozwoliła mu na to. – Leć z nami. Przyda nam się szpieg, który będzie w stanie wślizgnąć się do środka i przedstawić nam potem sytuację. – Szum w jej głowie był tak głośny, że ledwie słyszała własne słowa. – Przekonajmy się, czy w takiej sytuacji również potrafisz zdobyć się na zmianę postaci, książątko.

Zmusiła się, by wytrzymać jego spojrzenie. By wypowiedzieć te słowa tak, by zawisły między nimi.

– W porządku – rzekł Dorian i zawrócił w stronę obozu. – Ale znajdź sobie inny namiot na tę noc.

Dotarli do morza pod osłoną ciemności. Jego bliskość zdradził im słonawy zapach, który wkradł się do jaskini, potem coraz wyższe fale, a na końcu huk przyboju.

Maeve zapewne miała oczy w różnych miejscach, ale bez wątpienia nie były one skierowane na wejście do jaskini, które otwierało się w zatoczce gdzieś na zachodnim brzegu Wendlyn. Bez wątpienia nie wodziły też za łodzią, która dobiła do piaszczystego brzegu, a potem zawróciła i zniknęła z powrotem w jaskini, nim ktokolwiek zdołał podziękować istotom, które holowały ją bez wytchnienia.

Aelin odprowadziła łódź wzrokiem do chwili, gdy ta rozplynęła się w mroku. Nie chciała wpatrywać się w czysty piasek pod podeszwami butów. Pozostali naradzali się, w którym miejscu wybrzeża się znaleźli.

Po kilku godzinach wędrówki na północ po ziemiach Wendlyn mieli już odpowiedź – byli w pobliżu jakiegoś portu. Pływy morskie im sprzyjały, a sakiewki były ciężkie od złota zabranego upiorowi, a więc Rowan i Lorcan nie powinni mieć trudności ze znalezieniem odpowiedniego statku. Po tym, jak flota Wendlyn popłynęła z odsieczą do Terrasenu, zniesiono poprzednie zasady bezpieczeństwa dotyczące żeglugi na kontynent. Nie było już konieczności przesiadania się ze statku na statek. Władcą Adarlanu nie był już zwykły tyran, ale król Valgów z powietrznym legionem.

Łatwiej było też przekazywać wiadomości. Aelin napisała list do Aediona i Lysandry, ale czy miał szansę dotrzeć na miejsce przed ich przybyciem, to zależało tylko od bogów, którzy uparli się, by bawić się we władców marionetek. Być może nie zawracali już sobie nią głowy, ale jej miejsce mógł zająć Dorian, który szukał przecież trzeciego Klucza.

Aelin uznała, że nie będzie teraz nad tym rozmyślać.

Statek okazał się czymś niewiele lepszym od zwykłej krypy, bo wszystkie potężniejsze jednostki zostały zarekwirowane na potrzeby wojny, ale wyglądało na to, że podoła trwającemu tygodnie rejsowi.

Na widok złota kapitan oddał swą kajutę Aelin i Rowanowi. Jeśli wiedział, kim są, nie dał tego po sobie poznać.

Aelin zresztą było to obojętne. Liczyło się tylko to, by wyruszyli jeszcze z wieczornym pływem. Magia Rowana wypchnęła ich pospiesznie na opromienione blaskiem księżyca morze.

Jak najdalej od Maeve. Jak najdalej od jej armii.

Jak najdalej od prawdy, którą Aelin być może dostrzegła owego dnia w sali tronowej Maeve, nim jej czarna krew na powrót stała się czerwona.

Nikomu o tym nie powiedziała. Nie wiedziała przecież, czy naprawdę ujrzała czarną krew, czy była to tylko halucynacja. Niewykluczone, że znalazła się wówczas w kolejnej iluzji albo jakiś jej fragment wtopił się we wspomnienie o śmierci Connalla.

„Wrócę kiedyś do tego” – pomyślała, stojąc na dziobie statku. Pozostali już dawno spali pod pokładem, a w jej pobliżu trwał jedynie Rowan, który siedział na grocie i rozglądał się w poszukiwaniu śladów pościgu.

Jak dotąd udawało im się umknąć Maeve i na razie nie zdołała ich namierzyć. Mieli jeszcze trochę czasu w zapasie, aż rozniesie się wieść o obcych w małym porcie i o fortunie, którą zapłacili, by znaleźć się w rozdartym wojną piekle. Zanim wysłane przez Aelin listy dotrą na miejsce.

Przynajmniej Maeve wciąż nie wiedziała, gdzie znajdują się Klucze Wyrda. Tej przewagi jeszcze nie stracili.

Choć Aelin podejrzewała, że królowa może przeprowadzić swą flotę przez morze, by ich dopaść, bądź po prostu wziąć udział w zniszczeniu Terrasenu.

Moc Aelin drgnęła, w jej krwi huczała burza. Zacisnęła zęby i zignorowała zew.

Wszystko zależało od tego, czy uda im się dotrzeć na kontynent przed Maeve i jej siłami. Lub od tego, czy Erawan nie zniszczy zbyt wielkich połaci świata.

Aelin wsłuchiwała się w morski wiatr. Pozwoliła, by wniknął w jej skórę i włosy, by zmył z niej chociaż mrok jaskiń, skoro ciemności minionych miesięcy całkiem nie dało się wymazać. Pozwoliła, by

uspokoił jej ogień i zredukował go do szemrzącego, drzemiącego żaru.

Czekały ich niekończące się tygodnie żeglugi, nawet mimo magicznej pomocy Rowana.

Postanowiła, że wykorzysta każdy dzień na ćwiczenia z mieczem, sztyletem i łukiem, aż na jej dłoniach znów pojawią się pęcherze, a po nich zgrubienia i odciski. Aż pod jej skórą znów pojawią się mięśnie.

Odbuduje osobę, którą kiedyś była.

Być może po raz ostatni, może tylko na chwilę, ale dokona tego. Choćby dla Terrasenu.

Rowan sfrunął z masztu i przybrał na pokładzie ludzką postać. Spojrzał na morze, czarne niczym sama noc.

– Powinnaś odpocząć – rzekł.

Aelin zerknęła na niego.

– Nie jestem zmęczona – odparła. Nie było to kłamstwo. W każdym razie nie do końca. – Chcesz poćwiczyć?

Rowan zmarszczył brwi.

– Trening może poczekać do jutra.

– Może też zacząć się już dziś – zripostowała Aelin i bez trudu zniosła przenikliwe, dominujące spojrzenie Rowana.

– Kilka godzin nas nie zbawi, Aelin.

– Każdy dzień ma znaczenie.

W wojnie z Erawanem nawet dzień treningu się liczył.

Rowan zacisnął szczęki.

– To prawda – przyznał w końcu. – Ale mimo to zaczniemy dopiero jutro. Bo najpierw chciałbym z tobą omówić... Cóż, pewne kwestie.

W jego jasnych, niemalże zwierzęcych oczach wyczytała ciąg dalszy zdania: „Dotyczące mnie i ciebie”.

Zaschło jej w ustach, ale skinęła głową.

W milczeniu zeszli do swej wielkiej kajuty, której jedyną ozdobą był rząd okien, wychodzących na kotłujące się morze za rufą. Miejsce to niczym nie zasługiwało na miano królewskiej komnaty. Nie było to też luksusowe lokum, na które mogła sobie pozwolić jako zabójczyni

Adarlanu.

Na szczęście łóżko wbudowane w ścianę kajuty wydawało się czyste, a pościele nieskazitelnie białe. Aelin podeszła jednak do biurka z drewna dębowego, przytwierdzonego do podłogi, i oparła się o nie, a Rowan zamknął drzwi. Wpatrywali się w siebie w nikłym świetle lampy.

Przetrwała tortury Maeve i Cairna, przeżyła Endovier i setki innych koszmarów. Przecież nie powinna po tym wszystkim bać się rozmowy z nim. Powinna wykonać pierwszy krok ku odbudowie siebie samej.

Wiedziała, że Rowan słyszy, jak tłucze jej się serce. Przełknęła ślinę.

– Elide i Lorcan przekazali ci wszystko, co... co zostało powiedziane na plaży.

Fae skinął głową. W jego oczach pojawiła się czujność.

– Wszystko, co powiedziała Maeve.

Znów skinął głową. Aelin wzięła się w garść.

– Że jestem... że jesteśmy sobie pisani. Że jesteśmy towarzyszami życia.

Czujność ustąpiła miejsca zrozumieniu oraz czemuś, co przypominało ulgę.

– Tak.

– Jestem twą towarzyszką życia – powiedziała Aelin, czując potrzebę wymówienia tych słów na głos. – A ty jesteś moim towarzyszem.

Rowan ruszył ku niej, ale zatrzymał się kilka kroków przed biurkiem, o które się opierała.

– I co chcesz przez to powiedzieć, Aelin? – spytał cicho, szorstkim głosem.

– Czy wiesz, że... – Aelin potarła twarz. – Wiesz, co ona zrobiła tobie i... – Nie mogła wypowiedzieć tego imienia. Lyrii. – Właśnie z tego powodu.

– Wiem, jak najbardziej.

– No i?

– Co chcesz ode mnie usłyszeć?

Aelin odepchnęła się od biurka.

– Chcę, byś mi powiedział, co o tym myślisz. Bo może...

– Bo może co?

– Bo może sobie tego nie życzysz. Może żałujesz.

– A dlaczego miałbym tak myśleć?

Aelin pokręciła głową. Nie była w stanie odpowiedzieć i tylko wbiła wzrok w morze za oknem.

Rowan sprawiał wrażenie, jakby chciał skrócić dystans między nimi, ale nawet nie drgnął.

– Aelin – odezwał się ochryplym głosem. – Aelin.

Dziewczyna spojrzała na niego, słysząc ból w jego głosie.

– Czy wiesz, czego żałuję? – Rowan rozpostarł dłonie, jedną czystą, a drugą wytatuowaną. – Żałuję, że mi nie powiedziałaś, gdy sobie wszystko uświadomiłaś. Tak, bardzo tego żałuję.

Aelin przełknęła ból.

– Nie chciałam wyrządzić ci krzywdy.

– W jaki sposób świadomość, że znam prawdę, z której zdawałem sobie już sprawę, miałyby wyrządzić mi krzywdę? Prawdę, którą miałem nadzieję usłyszeć?

– Nie rozumiałam tego. Nie wiedziałam, jak to w ogóle możliwe. Sądziłam, że może... że może udało ci się znaleźć dwie towarzyski życia, ale... – Odetchnęła. – Chyba przede wszystkim nie chciałam przysparzać ci trosk.

Jego oczy złagodniały.

– Czy żałuję, że Lyria została wciągnięta w to wszystko? Że zginęła na skutek gierk Maeve? Że zginęło też nasze nienarodzone dziecko? Tak, żałuję tego. Pragnąłbym, żeby to się nigdy nie wydarzyło. – Do końca życia będzie nosił tatuaż na pamiątkę tej tragedii. – Ale nic z tych rzeczy nie było twoją winą. Zawsze będę dźwigał w sobie ciężar tego wspomnienia, zawsze będę pamiętał, że to ja porzuciłem Lyrię dla wojen i chwały i dałem się wykorzystać Maeve.

– Ale Maeve chciała cię omotać, by dotrzeć do mnie.

– Był to jej wybór, a nie twój – odparł Rowan.

Aelin przesunęła dłoń wzdłuż sfatygowanej krawędzi biurka.

– W iluzjach, które tkła dla mnie, często powracała do jednego motywu. – Mówiła z trudem. Zmusiła się też, by spojrzeć na niego. – Stworzyła dla mnie iluzję, która wydawała się tak realna, że prawie mogłam poczuć zapach wiatru od Jelenich Rogów.

– Co ci w niej pokazywała? – spytał Rowan niemalże bezgłośnie.

Aelin musiała przełknąć ślinę, nim zdołała odpowiedzieć.

– Pokazała mi, jak mógłby wyglądać świat, gdyby nie było Erawana. Gdyby Elena pokonała go i wygnała. Gdyby nigdy nie było Lyrii, gdybyś nie musiał znosić tyle bólu i rozpacz. Pokazała mi Terrasen taki, jakim byłby dziś, z moim ojcem na tronie, ze szczęśliwym dzieciństwem i... – Jej warga zadrżała. – W tej wizji po moich dwudziestych urodzinach przybyłeś do Terrasenu z delegacją Fae, by rozwiązać konflikt między moją matką a Maeve. Spojrzeliśmy na siebie w sali tronowej mojego ojca i już wiedzieliśmy. – Nie walczyła ze łzami. – Chciałam uwierzyć, że to prawdziwy świat, a to, co nas otacza, to koszmar, z którego się przebudziłam. Chciałam ze wszystkich sił uwierzyć w to, że istnieje miejsce, w którym oboje nigdy nie dowiedzieliśmy się, czym są cierpienie i strata, gdzie wystarczyło na siebie spojrzeć, by wiedzieć, że jesteśmy sobie pisani. Maeve powiedziała mi, że może coś takiego stworzyć. Gdybym oddała jej Klucze, urzeczywistniłaby to marzenie. – Starła niesforną łzę. – Stworzyła również sny, w których zginąłeś. W których zostałeś zabity przez Erawana i mogłam cię pomścić jedynie po tym, jak oddam jej Klucze. Niemniej wszystkie te wizje sprawiły... Przestałam być dla niej użyteczna po tym, jak powiedziała, że odszedłeś. Nie mogła mnie skłonić, bym zaczęła mówić, a nawet myśleć, ale w wizjach, w których się spotykaliśmy, gdzie wszystko wyglądało tak, jak powinno... Wtedy niewiele brakowało.

Aelin usłyszała, jak Rowan przełyka ślinę.

– Co cię powstrzymało? – zapytał.

Znów otarła twarz.

– Mężczyzną, w którym się zakochałam, byłeś ty. To ty równie dobrze jak ja wiedziałeś, czym jest ból. Ty mnie przeprowadziłeś przez cierpienie i doprowadziłeś do światła. Maeve tego nie pojęła. Nie zrozumiała, że nawet jeśli stworzy ów idealny świat, nie będzie w nim

mnie bez ciebie. Ja zaś nigdy nie zamienię cię na nic.

Wyciągnął rękę. Powoli, zapraszająco.

Aelin ułożyła w jego dłoni swoją własną. Jego twarde palce zacisnęły się na niej.

– Chciałem być z tobą – szepnął, zamykając oczy. – Przez długie miesiące, nawet wtedy w Wendlyn, zastanawiałem się, czemu nie jesteś moją towarzyszką życia. Gryzło mnie to nieustannie. Dziwiłem się sobie, ale wrażenie pozostawało. – Otworzył oczy, które płonęły jak zielony ogień. – Przez cały ten czas pragnąłem, byś była to ty.

Aelin opuściła wzrok, ale Rowan ujął jej podbródek między kciuk oraz palec wskazujący i uniósł jej głowę.

– Wiem, że jesteś zmęczona, Ogniste Serce. Wiem, że nikt nie byłby w stanie znieść ciężaru, który dźwigasz. – Ujął jej dłoń i przyłożył sobie do piersi. – Ale wszystkiemu stawimy czoła razem. Erawanowi, Zamkowi, wszystkiemu, co nam zagraża. Uczynimy to razem, a kiedy będzie już po wszystkim, a ty dokonasz Przemiany, czeka nas tysiąc lat razem. Albo i więcej.

Aelin westchnęła cicho.

– Elena powiedziała, że Zamek wymaga...

– Razem – powtórzył Rowan. – Jeśli ceną jest twoja śmierć, zapłacimy ją wspólnie. Jak jedna dusza w dwóch ciałach.

Serce bolało ją tak bardzo, że mało nie pękło.

– Terrasen potrzebuje króla.

– Nie mam zamiaru rządzić Terrasem bez ciebie. Aedion może wziąć wszystko na siebie.

Wpatrywała się uważnie w jego oblicze. Nie żartował. Każde słowo wypowiedział zupełnie poważnie.

Odsunął jej włosy z twarzy, drugą dłonią nadal przyciskając jej rękę do swej piersi. Jego serce biło rytmicznie, niezmiennie.

– Gdyby przedstawiono mi całą kolekcję idealnych iluzji do wyboru, ja również wolałbym być z tobą.

Prawda zawarta w jego słowach odbiła się echem od owej niezniszczalnej więzi między ich duszami i zmusiła Aelin, by uniosła

głowę ku niemu. Rowan nadal nawet nie drgnął.

- Dlaczego mnie nie pocałujesz? – Zmarszczyła brwi.
- Przyszło mi do głowy, że najpierw warto by było cię zapytać.
- Jak dotąd nigdy się tym nie przejmowałeś.
- Teraz jednak wolałbym mieć pewność, że... że jesteś gotowa.

Po Cairnie i Maeve. Po całych miesiącach, kiedy nie mogła zdecydować absolutnie o niczym. Aelin uśmiechnęła się, choć wiedziała, co Rowan ma na myśli.

- Jestem gotowa na twój pocałunek, książę.

Zaśmiał się ponuro i mruknął:

- Dzięki bogom. – I pochylił się ku niej.

Jego pocałunek był delikatny, lekki. Pozwalał jej zdecydować, czym ma się skończyć. Przekazywał jej kontrolę, a ona ją przejęła.

Zarzuciła mu ramiona na szyję i przywarła do niego, czując, jak dłonie Rowana wędrują po jej plecach. Mimo to ich pocałunek pozostawał lekki i ulotny, słodki, badawczy. Całowałby ją tak przez całą noc, gdyby tego pragnęła.

Towarzysz życia.

Był jej towarzyszem życia, a ona wreszcie mogła go tak nazywać, pozwoliła mu nim być...

Naraz coś w niej pękło. Wpiła się w jego dolną wargę i drasnęła ją kłębem, a on również poczuł, jak przełamuje jakąś barierę.

Z głuchym warknięciem porwał ją w ramiona i nie przerywając pocałunku, zaniósł do łóżka i delikatnie na nim położył. W bok poleciały ich buty, kurtki, spodnie i koszule. Jego siła oraz ciepło wlewały się w jej nagą skórę.

Nie mogła się nim nacieszyć. Nie mogła się nasycić jego ciałem, nawet gdy jego usta dotarły do miejsca, gdzie niegdyś znajdowały się blizny po naznaczeniu. Nawet gdy zszedł niżej, czcząc jej piersi, a ona wyginała się z rozkoszy przy każdym ruchu jego języka. Nawet gdy uklęknął między jej nogami, rozsunał je i smakował ją, aż zaczęła się wić.

Niemniej dzikość w niej zamarła, gdy Rowan znalazł się nad nią

i spojrzął jej w oczy.

– Jesteś moją towarzyszką życia – niemalże wywarczał.

Musnął ją przyrodzeniem, na co Aelin przesunęła się, by ułatwić mu wejście, ale Rowan się zatrzymał. Wstrzymywał się z tym, czego pragnęła, póki nie usłyszał tego, na co czekał.

Aelin odchyliła głowę i odsłoniła przed nim szyję.

– Jesteś moim towarzyszem życia – szepnęła ledwie słyszalnym głosem. – A ja jestem twoją towarzyszką życia.

Rowan wbił się w nią potężnym pchnięciem i jednocześnie wgryzł się w jej szyję. Aelin krzyknęła, a jej ciało już przeszło spełnienie, ale wtedy Rowan zaczął się poruszać, wciąż nie uwalniając zębów. Jęczała z każdym pchnięciem jego bioder. Same rozmiary jego męskości dostarczały jej rozkoszy, którą nie była w stanie się nacieszyć.

Przeorała paznokciami jego muskularne plecy. Potem jej dłonie zeszyły niżej, by mogła poczuć każde potężne pchnięcie.

Wtem Rowan puścił jej szyję, a ona wpiła się w jego usta. Czowała na języku żelazisty posmak własnej krwi.

Jej pocałunek doprowadził go do szaleństwa. Uniósł jej biodra, by wejść głębiej, mocniej. Dla Aelin wszystko stało się obojętne. Świat mógłby teraz płonąć i w ogóle by jej to nie obeszło. Jego zresztą również.

– Razem, Aelin – obiecał, a ruchy ich ciał dopowiedziały jej resztę słów.

Razem stawiają czoła niebezpieczeństwu. Razem znajdą sposób, aby zwyciężyć i przetrwać.

Spełnienie wezbrało w niej raz jeszcze, niczym migotliwa jasność, a kiedy się urwało, Aelin zatopiła kły w szyi Rowana. Oznaczyła go tak jak on ją. Jego krew, pachnąca wiatrem, wypełniła usta i duszę dziewczyny, a Rowan ryknął, gdy i on osiągnął szczyt.

Leżeli przez kilka minut, spleceni w uścisku.

„Razem znajdziemy sposób”.

Ich oddechy oraz rozszalałe morze powtarzały te słowa.

„Razem”.

Lorcanowi przypadła ostatnia warta, dzięki której mógł obejrzeć wschód słońca nad odległym już horyzontem. Czy jeszcze kiedyś tam dotrze? Czy jeszcze ujrzy Wendlyn, Doranelle czy którykolwiek z krajów na wschodzie?

Być może nie, skoro żeglowali na zachód, a nieśmiertelna armia Maeve przypuszczalnie już deptała im po piętach. Być może wszystkie wschody słońca, które mieli przed sobą, były już policzone.

Pozostali wychodzili na pokład, by przekonać się, co przyniósł poranek.

„Nic – pomyślał Lorcan, stojąc na dziobie. – Woda, słońce i mnóstwo niczego”.

Fenrys zauważył go i obnażył kły. Lorcan uśmiechnął się drwiąco.

Bez wątpienia czekała ich walka. Nie mógł się jej doczekać. Wiedział, że to starcie i kły Fenrysa na jego skórze bez wątpienia przyniosą ulgę napięciu drzemiacemu w jego kościach. Uznał jednak, że nie zabije wilka. Fenrys będzie próbował odebrać mu życie, ale Lorcan nie pragnął jego śmierci. Nie po tym, co ten przeszedł i co zdołał osiągnąć.

Spod pokładu wyszła Elide z włosami zaplecionymi w warkocze. Wyglądała, jakby wstała parę godzin przed świtem. Ledwie na niego spojrzała, choć doskonale wiedziała, w którym miejscu stoi. Lorcan odepchnął od siebie ukłucie żalu.

Wtedy wypatrzyła go Aelin. Oczy królowej jaśniały o wiele intensywniej niż ostatnio, a w jej krokach znów pojawiła się zawadiackość. Rękawy koszuli podwinęła do łokci, a włosy zaplotła w warkocz. Do pasa przytroczyła Goldryna oraz długi nóż. Była gotowa do treningu, a energia, która od niej biła, świadczyła, że nie może się go doczekać.

Lorcan zbiegł po niskich schodach i spotkał się z nią w połowie drogi. Tuż za Aelin pojawił się Biały Cierń, również przygotowany do treningu. W jego oczach błysnęła czujność. Nie miał pojęcia, co

strzeliło Lorcanowi do głowy.

Młoda królowa skrzyżowała ramiona.

– Chcesz płynąć z nami do Terrasenu? – spytała.

Było to całkiem niepotrzebne pytanie, zważywszy na to, że właśnie nastał świt, a oni znajdowali się na środku morza.

– Tak.

– A więc masz również zamiar wesprzeć nas w walce?

– Z całą pewnością nie mam zamiaru siedzieć i rozkoszować się pogodą.

W jej złotych oczach błysnęło rozbawienie, choć twarz pozostała poważna.

– A więc powiem ci teraz, jak to będzie wyglądało.

Lorcan spodziewał się długiej listy rozkazów i wymogów, ale królowa wpatrywała się w niego bez słowa. Rozbawienie w jej oczach ustąpiło miejsca błyskowi stali.

– Byłeś zastępcą dowódcy wojsk Maeve – powiedziała, na co Elide odwróciła się ku nim. – Sytuacja się odmieniła i straciłeś swą rangę. W moim odczuciu jesteś teraz jedynie potężnym Fae, co do którego nie mam pewności. Nie wiem, komu tak naprawdę sprzyjasz, tym bardziej że armia Maeve przypuszczalnie właśnie rusza do inwazji na kontynent. Nie mogę więc pozwolić na to, byś dotarł do mojej ojczyzny bądź choćby podróżował z nami, bo w każdej chwili możesz zacząć sprzedawać informacje, by wrócić do łask Maeve. Dobrze myślę?

Otworzył usta. Nie podobał mu się jej wyniosły ton, ale Aelin nie dała mu dojść do słowa.

– Mam więc dla ciebie propozycję, Lorcanie Salvaterre. Złóż mi przysięgę krwi, a pozwolę ci się udać, dokąd tylko będziesz chciał.

Fenrys zaklął za jej plecami, ale Lorcan ledwie to usłyszał. Wszystko zagłuszył wściekły szum w jego głowie.

– A co dokładnie będę z tego miał? – wykrztusił.

Spojrzenie Aelin przesunęło się i odnalazło Elide, która przyglądała im się z szeroko otwartymi ustami. Gdy królowa z powrotem

przeniosła wzrok na Lorcana, jej wyniosłą, arogancką minę załagodziła nutka współczucia.

– Będziesz mógł przekroczyć granice Terrasenu – rzekła. – To, gdzie w obrębie mego królestwa postanowisz zamieszkać, będzie już zależało od ciebie.

A tak naprawdę to od ciemnowłosej dziewczyny wpatrzonej w nich.

– A jeśli się nie zgodzę? – Lorcan zdobył się na odwagę.

– Nie pozwolę ci postawić stopy w Terrasenie. Nie będziesz też mógł kontynuować podróży z nami. To wielkie ryzyko w chwili, gdy nie mamy wszystkich Kluczy, a za naszymi plecami nadciąga armia Maeve. – Współczucie w jej spojrzeniu nie topniało. – Nie mam do ciebie tyle zaufania, by pozwolić ci wesprzeć nas w jakikolwiek inny sposób.

– Ale mimo to pozwolisz mi złożyć przysięgę krwi?

– Niczego od ciebie nie chcę, a ty nie chcesz niczego ode mnie. Jedyne rozkazy, jakie ode mnie usłyszysz, nie będą się w niczym różnić od tych, które usłyszałby każdy inny obywatel Terrasenu. Będziesz musiał chronić i bronić królestwa oraz jego ludu. Jeśli o mnie chodzi, możesz sobie zamieszkać w chacie w górach.

Nie żartowała. Jeśli Lorcan złoży jej przysięgę krwi i obieca, że nigdy nie skrzywdzi królestwa, Aelin obdaruje go wolnością. Jeśli zaś odmówi, nigdy już nie ujrzy Elide.

– Nie mam wyboru – powiedziała cicho królowa, tak by nie usłyszał jej nikt inny. – Nie mogę narażać Terrasenu na niebezpieczeństwo. – Wyciągnęła ku niemu rękę. – Ale nie chcę pozbawić cię tego, co najważniejsze.

– Nie zdajesz sobie chyba sprawy z tego, że pewne rozwiązania nie wchodzą już w rachubę.

Przez jej twarz znów przemknął cień uśmiechu, gdy zerknęła przez ramię na Elide.

– Myślę, że się mylisz – rzekła. Jej turkusowe oczy aż lśniły, gdy na niego spojrzała. Na jej twarzy zaś malowała się mądrość, której nigdy dotąd nie widział. Patrzył teraz na twarz królowej. – Uwierz mi, Lorcanie.

Przegnał nadzieję, obcą i niepożądaną, która zalała mu serce.

– Ale ani Terrasen, ani *ona* nie przeżyją tej wojny bez twojej pomocy.

Nawet gdyby stojąca przed nim królowa poświęciła swe nieśmiertelne życie, by wykuć Zamek i powstrzymać Erawana, Lorcan nadal będzie obowiązywać przysięga krwi, nakazująca mu bronić królestwa.

– Wybór należy do ciebie – powiedziała po prostu.

Choć było to niemądre, Lorcan pozwolił sobie spojrzeć na Elide. Dziewczyna trzymała rękę na gardle. Jej ciemne oczy były szeroko otwarte.

To, czy nadal miała dla niego dom w Perrancie, nie miało znaczenia. Liczyło się to, że Aelin Galathynius przedstawiła mu jasną propozycję. Dysponował wielką mocą, a jego lojalność była niejasna, przez co nie mogła pozwolić mu na to, by towarzyszył jej z własnej woli. Nie mógł wkroczyć do jej ojczyzny na własne życzenie. Była gotowa nie wpuścić go do królestwa nawet w obliczu nadciągających hord Erawana, by móc uniknąć innego zagrożenia, czającego się za plecami – Maeve.

Elide zaś miała nie przeżyć tej wojny, gdyby wszyscy zginęli.

Lorcan nie chciał się zgodzić na taki obrót wydarzeń. Być może przejawiał tym samym wielką głupotę, ale po prostu nie mógł na to pozwolić. Za nic w świecie nie dopuściłby do tego, by *bestie* Erawana czy też jej wuj Vernon spróbowali ją dopaść.

Głupiec z niego. Stary, niepoprawny głupiec.

Niemniej bóg na jego ramieniu nie kazał mu walczyć ani uciekać. Wybór należał tylko do niego. Zastanawiał się, co sądzi o tym bogini, która szeptała do ucha Elide. Ciekawiło go, co ona sama na to powie. Pokonał wszelkie opory i rzekł do Aelin:

– W porządku.

– Niech bogowie mają nas w opiece – mruknął Fenrys.

Aelin wykrzywiła usta w lekkim uśmiechu, w którym kryło się zarówno rozbawienie, jak i nieco okrucieństwa, a potem spojrzała na Białego Wilka i rzekła:

– Zdajesz sobie sprawę z tego, że teraz będziesz musiał zostawić go przy życiu? – Uniosła brew. – Żadnych pojedynków na śmierć i życie. Żadnej zemsty. Podołasz temu?

Lorcan najeżył się, gdy Fenrys obrzucił go ostrym spojrzeniem, i odpowiedział mu wzrokiem pełnym wyniosłości. Zawarł w nim tyle poczucia przewagi, na ile mógł się zdobyć.

Wzrok Fenrysa kipiał z wściekłości. Jego furia nie równała się tej, którą mógł wyzwolić Lorcan, ale przypominała, że Biały Wilk z Doranelle również potrafi ugryźć. I to śmiertelnie.

Fenrys zwrócił się do królowej.

– Czy zmienisz zdanie, jeśli ci przypomnę, że to łajdak i podły drań?

Lorcan warknął, ale Aelin parsknęła.

– A czyż nie za to go kochamy?

Uśmiech, którym obdarzyła Lorcan, zdradził mu, że pamięta każdy szczegół ich pierwszego spotkania w Rifthold, kiedy to pchnął ją twarzą na ceglany mur.

– Będziemy go zapraszać do Orynthu jedynie na święta – rzekła do Fenrysa.

– By mógł je zepsuć? – Fenrys skrzywił się. – Ja lubię dobrze się bawić. Nie mam ochoty gapić się na kogoś, kto ziejie nienawiścią do świata.

„Na bogów” – pomyślał Lorcan. Spojrzał na Rowana, ale książkę z uwagą przyglądał się swej królowej, jakby dokładnie wiedział, jaka burza szalała pod jej skórą.

Aelin machnęła dłonią.

– Dobra już, dobra. Umówmy się, że nie będziesz próbował go zabić za to, co się wydarzyło w Eyllwe, a w zamian za to nie będziemy go nigdzie zapraszać.

W jej uśmiechu kryła się czysta złośliwość.

„A więc w to się pakuję – pomyślał Lorcan. – W tę trąbę powietrzną...w to...”.

Nie znał dobrego określenia. Nie sądził, by pięć stuleci życia i walk przygotowało go na tę chwilę.

Aelin wyciągnęła rękę.

– Znasz zasady czy może jesteś za stary, by wszystko pamiętać?

Lorcan spojrział na nią ze złością i ukląkł, a potem sięgnął po

sztylet.

Głupiec. Ależ z niego głupiec.

Jego ręce lekko drżały, gdy podawał królowej nóż. Ta zważyła ostrze w dłoni. Na jej palcu widniał złoty pierścień z nieprzyzwoicie wielkim szmaragdem. Pierścień ślubny, przypuszczalnie pochodzący ze skarbcza upiora. Spojrzał na Białego Ciernia i na jego palcu również dostrzegł wielki pierścień, choć z rubinem. Nad kołnierzem jego kurtki zauważył zaś dwie świeże blizny.

Identyczne widział na szyi królowej.

– Już się napatrzyłeś? – spytała go chłodno Aelin.

Skrzywił się. Królowa potrafiła okazać lekceważenie nawet na wstępie do świętego rytuału.

– Mów.

Znów się lekko skrzywiła.

– Czy przysięgasz, Lorcanie Salvaterre, na swą krew i wieczną duszę, że dochowasz mi wierności, mej koronie oraz Terrasenowi aż po kres swego życia?

Lorcan zamrugął. Gdy składał przysięgę Maeve, ta zadała mu wiele pytań w Starej Mowie, ale mimo to rzekł:

– Tak. Przysięgam.

Aelin przejechała ostrzem sztyletu po przedramieniu. Krew błysnęła jasno niczym rubin w rękojeści jej miecza.

– A więc pij.

Gdyby chciał się wycofać, właśnie otrzymał ostatnią szansę, ale spojrzał raz jeszcze na Elide i ujrzał nadzieję, która rozpromieniła jej twarz. Ujął więc ramię królowej i zlizął jej krew. Smak jaśminu, werbeny cytrynowej i żaru znad ogniska wypełnił mu usta, a potem duszę. Coś w nim płonęło, osadzało się, rozrastało. Wyczuł w sobie odrobinę ciepła, zupełnie jakby cząstka szalejącej magii królowej spoczęła w jego duszy.

Chwiejąc się lekko na nogach, wypuścił jej rękę.

– Witaj na dworze – rzekła Aelin. – A oto twój pierwszy i jedyny rozkaz. Chroń Terrasen i jego lud.

Komenda zapadła mu głęboko w serce i również zapłonęła.

Następnie królowa obróciła się na pięcie i odeszła. Nie, ona podeszła prosto do Elide.

Lorcan nadal się chwiał. Wyglądało na to, że potrzebował chwili, by dojść do siebie, i mógł jedynie patrzeć, gdy Aelin powiedziała do Elide:

– Tobie nie proponuję przysięgi krwi.

Choć sam właśnie ją złożył, Lorcan zapragnął nagle pochwycić królową i cisnąć ją za burtę za ból, jaki jej słowa wywołały na twarzy Elide. Lady Perranthu uniosła jednak wyżej głowę.

– Dlaczego? – zapytała.

Aelin ujęła jej dłoń z łagodnością, która ostudziła emocje Lorcana.

– Bo gdy odzyskam tron po powrocie do Terrasenu, nie możesz być ze mną związana.

Elide zmarszczyła brwi.

– Przecież Perranth to drugi najpotężniejszy ród Terrasenu – wyjaśniła Aelin. – Czterech lordów stamtąd uznało, że nie nadają się, by przejąć władzę. Muszę zebrać większość po swej stronie, by go odzyskać.

– Jeśli będę połączona z tobą przysięgą krwi, ważność mojego głosu zostanie podważona – dokończyła za nią Elide.

Aelin pokiwała głową i puściła jej dłoń, by odwrócić się ku reszcie. W blasku wschodzącego słońca wyglądała, jakby była skąpana w złocie.

– Do Terrasenu pozostały nam jeszcze dwa tygodnie żeglugi, o ile nie pojawią się zimowe burze. Wykorzystamy ten czas na układanie planów i treningi.

– Jakich planów? – Fenrys podszedł bliżej.

Był członkiem tego dworu. Dworu Lorcana. Ich trzech znów zostało ze sobą związanych, ale z drugiej strony nigdy dotąd nie cieszyli się większą wolnością. Lorcan już zaczął się zastanawiać, dlaczego Aelin nie zaproponowała przysięgi krwi Gavrielowi, ale ta znów zaczęła mówić:

- Moja misja nie zostanie zakończona bez Kluczy. Zakładam, że ich nowi właściciele w końcu do mnie dotrą, jeśli odnajdą trzeci Klucz, a nie będą chcieli kończyć wszystkiego samodzielnie. – Spojrzała na Rowana, który pokiwał głową, jakby już to ustalili. – Zamiast tracić czas i przemierzać cały kontynent w ich poszukiwaniu, udamy się bezpośrednio do Terrasenu, tym bardziej że Maeve również się tam wybiera. Skoro zaś nie mam jeszcze prawa dowodzić z tronu, stanę na czele mego ludu na polu bitwy.

Chciała walczyć. Królowa – jego własna królowa – chciała walczyć z Morath! I z Maeve, gdyby zrealizował się najgorszy scenariusz. Po tym wszystkim zaś chciała za nich umrzeć.

- A więc do Terrasenu – rzekł Fenrys.

- Do Terrasenu – powtórzyła Elide.

Aelin spojrzała na zachód, w stronę królestwa, które jako jedyne stało na drodze podbojom Erawana. W stronę nowego domu Lorcana. Patrzyła, jakby już widziała hordy władcy ciemności, przedzierające się przez granicę, i nieśmiertelne zastępy Maeve, czające się za ich plecami. Armie, którymi Lorcan i jego towarzysze kiedyś dowodzili.

Potem stanęła na śródkręciu, płosząc marynarzy, wyciągnęła miecz oraz sztylet i spojrzała na Białego Ciernia, rzucając mu w milczeniu wyzwanie.

Księżę w odpowiedzi wyciągnął własny miecz oraz topór. Ugiął kolana w postawie obronnej. Aelin chciała odzyskać sprawność. Na razie nie ukazała ani przebłysku swej mocy, choć jej oczy płonęły.

Obniżyła broń.

- Za Terrasen – powiedziała w końcu.

I rozpoczęła trening.

Dorian rozpoczął od drobnych przemian.

Najpierw zmienił oczy na czarne. Atramentowoczarne, jak u Valgów. Potem jego skóra stała się biała niczym śnieg, jakby nigdy nie widziała blasku słońca. Włosy pozostawił czarne, ale zdołał uczynić nos bardziej garbatym, a usta węższymi.

Nie była to pełna przemiana, jedynie częściowa. Scalił nowe elementy z resztą ciała podczas długiego, cichego lotu wzdłuż łańcucha Kłów.

Nie powiedział Manon, że to zadanie również było przypuszczalnie samobójcze. Zresztą od rozmowy na leśnej polanie praktycznie nie zamienili ani słowa.

Trzynastka wyleciała o świcie, zaraz po tym, jak Manon opowiedziała Glennis i reszcie Crochan, co zamierza zrobić. Przy odrobinie szczęścia wiedźmy mogły dotrzeć do Elfiej Przełęczy i wrócić stamtąd do ukrytego obozu wśród szczytów Kłów w ciągu czterech dni.

Poprosiła Crochan, by poczekały tam na nią. Poprosiła, by okazały jej choć tyle zaufania.

Zgodziły się. Być może przyczyną był zbiorowy grób, wykopany przez Trzynastkę, ale tak czy owak zgodziły się, choć niechętnie i z ociąganiem.

Dorian leciał wraz z Asterin i wykorzystywał każdą godzinę lotu przez mroźne przestworza na powolne przekształcanie swego ciała.

„Skoro tak bardzo chcesz się dostać do Morath – syknęła doń Manon przed wylotem – zobaczmy, czy będziesz w stanie tego dokonać”.

Czekał go sprawdzian. Uparł się jednakże, że dołoży wszelkich starań, by wypaść w nim jak najlepiej, choćby po to, by cisnąć jej sukces w twarz.

Manon wiedziała o pewnym niepozornym przesmyku, którym

wywerny dostawały się do Północnego Kła, przewożąc ludzkich służących, których pech rzucił w to miejsce. Asterin i Manon rozstały się z resztą sabatu wśród gór. Czuwały przez parę godzin, by mieć pewność, że w okolicy nie ma żadnych obserwatorów czy zwiadowców, po czym odleciały na klaczy Asterin. Abraxos warczał i szarpał za wodze, ale Sorrel mocno go trzymała.

Dwa gigantyczne szczyty, wyrastające nad Przełęczą, rosły z każdym pokonywanym kilometrem. Nadlatując od południa, Dorian nie mógł się nadziwić ich ogromowi.

Każdy z nich mógłby stać się bazą dla całej powietrznej armii. W każdym można było hodować i trenować legiony.

To właśnie zbudował jego ojciec wraz z Erawanem. Tym właśnie stał się Adarlan.

Po niebie nie krążyły żadne wywerny, ale ich ryki i wrzaski niosły się echem po przełęczy, gdy szedł w kierunku ogromnych wrót wkomponowanych w zbocze góry. Za sobą prowadził na łańcuchu błękitną klacz Asterin.

Sprawiał wrażenie zwykłego tresera, który sprowadzał swego wierzchowca z powietrznej wycieczki. Strażnicy przy bramie, zwykli śmiertelnicy, nawet na niego nie spojrzeli, gdy wyszedł zza skał.

Jego dłonie pociły się w rękawiczkach. Modlił się, by przemiana się utrzymała.

Wiedział, że nie zorientuje się, jeśli powróci do zwykłego wyglądu, ale pocieszał się tym, że mało kto w tych stronach mógłby rozpoznać jego prawdziwą twarz. Na wypadek gdyby nowa umiejętność miała go zawieść, dobierał kolory zbliżone do jego naturalnych.

Narene parsknęła, szarpiąc za łańcuch. Nie chciała zbliżyć się do wrót.

Nie winił jej. Bijący od góry smród sprawiał, że kolana się pod nim uginały.

Przez wiele lat uodparniał się na zapach perfum dworzan jego matki, od którego aż kręciło się w głowie.

„Kiedy to było? – pomyślał. – Jak odległy wydaje się teraz ten świat, ten pałac pełen perfum, koronek i muzyki. Ciekawe, czy gdyby nie wybuch wojny, Erawan nadal pozwalałby mu istnieć? Ciekawe,

czy gdyby mu się kłaniali, Perrington nadal uchodziłby za Perringtona i rządził jako śmiertelny król?”.

Jego nogi płonęły bólem po wielu godzinach pieszej wędrówki. Manon i Asterin czaiły się w pobliżu, ukryte wśród śniegu i skał. Bez wątplenia śledziły każdy jego krok.

Rozstanie z Manon było krótkie i oschłe. Położył oba Klucze Wyrda na jej wyciągniętej dłoni. Amulet Orynthu brzęknął cicho o jej żelazne szpony. Nie był głupcem. Nie miał zamiaru zabierać ich do wnętrza twierdzy Erawana.

„Dla ciebie to raczej nie priorytet – powiedział. – Ale bez nich nie wygramy”.

Manon zmrużyła oczy i wsunęła Klucze do kieszeni. Wydawała się nie przejmować tym, że trzyma w kieszeni artefakty o mocy zdolnej równać królestwa z ziemią.

„Pomyślałeś sobie pewnie, że wyrzucę je jak śmieci?” – warknęła.

Asterin nagle zainteresowała się śniegiem między butami.

Dorian wzruszył ramionami i odpiął miecz, zdecydowanie zbyt zacny jak na broń zwykłego tresera wyvern. Jego również oddał Manon. Jego jedyną bronią miał pozostać sztylet u pasa i magia w żyłach.

„Jeśli nie wrócę – powiedział, gdy wiedźma przytracała broń do pasa – Klucze muszą trafić do Terrasenu”.

Było to jedyne miejsce, które przychodziło mu do głowy, nawet jeśli nie było tam Aelin.

„Ale wrócisz” – odparła Manon, co przypominało bardziej groźbę niż cokolwiek innego.

„A tęskniłabyś, gdybym nie zdołał?” – Dorian uśmiechnął się ironicznie.

Manon nie odpowiedziała. Nie miał pojęcia, dlaczego spodziewał się jakiejś reakcji.

Nie zrobił jednak nawet kroku, gdy Asterin złapała go za ramię.

„Włącz tam i wyłącz najszybciej, jak się da – ostrzegła go. – I uważaj na Narene”.

W upstrzonych złotem czarnych oczach zastępczyni błysnął niepokój.

Dorian pochylił głowę.

„Będę jej strzegł z narażeniem życia” – obiecał, po czym podszedł do wywerny i złapał ją za zwisające wodze, ale zdążył dostrzec wdzięczność w oczach Asterin.

I to, że Manon odwróciła już spojrzenie.

Miał sobie za złe, że się z nią związał. Wyszedł na głupca. Powinien był to przewidzieć.

Zbliżał się do strażników. Dostrzegał już ich twarze. Przybrał pozę znudzonego, zmęczonego tresera. Czekał, aż ktoś go zatrzyma i zacznie przepytować, ale nic takiego się nie wydarzyło. Po prostu go przepuścili, równie zmęczeni i znudzeni jak on. I przemarznięci.

Asterin przedstawiła mu rozkład pomieszczeń Północnego Kła oraz Omegi, dzięki czemu wiedział, że należy skrócić w lewo po wejściu do głównego korytarza. Zewsząd dobiegały ryki i stęknienia wywern, a smród niemalże go dławił.

Odnalazł stajnie dokładnie tam, gdzie wskazała mu je Asterin. Błękitna klacz cierpliwie pozwoliła mu na to, by luźno przywiązał jej łańcuchy do pierścienia w ścianie. Dorian poklepał ją po szyi i ruszył naprzód, by się przekonać, co jeszcze kryje przed nim Elfia Przełęcz.

Manon nie pamiętała, czy czas kiedykolwiek dłużył się jej tak bardzo.

„To przez napięcie – wmawiała sobie. – Z powodu tego, co mam zrobić”.

Nie była wcale zaskoczona tym, że Abraxos znalazł ją w ciągu godziny. Jego wodze zostały porozrywane w walce, którą bez wątpienia stoczył z Sorrel i wygrał. Teraz czekał w milczeniu u boku swej pani, w pełni skupiony na bramie, za którą znikli Dorian oraz Narene.

Czas włókł się niemiłosiernie. Miecz króla ciążył jej u boku. Manon przeklinała samą siebie za to, że musiała udowodniać – sobie i Dorianowi – że nie pozwoliła mu udać się do Morath wyłącznie z praktycznych względów. Przecież Erawana nie było na Elfiej Przełęczy. Tu było bezpieczniej.

Nieco bezpieczniej. Ale jeśli w twierdzy przebywały Matrony...

Po to właśnie się tam udał. Miał sprawdzić, czy Petrah naprawdę dowodzi siłami zgromadzonymi na Przełęczy i ile Żelaznozębnych jej towarzyszy.

Nie był szkolonym szpiegiem, ale wyrósł na dworze, na którym stroje i uśmiechy stanowiły broń. Umiał wtapiać się w tłum, umiał podsłuchiwać. Wiedział, jak sprawić, by ludzie ujrzeli to, co chcieli zobaczyć.

Manon posłała Elide w głąb lochów Morath i do tej pory życzyła sobie, by ją Ciemność za to pokarała. Wysłanie króla Adarlanu na Elfią Przełęcz niewiele się od tego różniło.

Oddech uwiązał jej w gardle, gdy Abraxos zeszywniał, wpatrzony w niebo, zupełnie jakby usłyszał coś, czego ona nie mogła słyszeć.

Radość w ślepiach wierzchowca powiedziała wiedźmie prawdę.

Chwilę później ujrzała Narene, która leniwie płynęła w ich stronę z ciemnowłosym, bladym jeźdźcem na grzbiecie. Cóż, trzeba było to przyznać Dorianowi, że naprawdę opanował sztukę częściowej przemiany. Jego twarz nadal była nie do poznania.

Asterin podbiegła do swej klaczy i nawet Manon zamrugła, gdy jej zastępczyni opłótła szyję wywerny ramionami. Przytuliła ją mocno, a ta oparła głowę o plecy Asterin i prychnęła.

Dorian ześlizgnął się z siodła, porzucając wodze.

– No i? – spytała ostro Manon.

Jego oczy, czarne jak u Valgów, rozbłysły.

Nawet nie próbowała mu tłumaczyć, że kolana jej się trzęsły i że nadal były słabe, gdy oddawała mu miecz i oba Klucze. Jej szpony otarły się o jego dłoń w rękawiczce.

Oczy Doriany znów zajaśniały jak szafiry, a skóra zaśniła złotem.

– Matron nie ma na miejscu – oznajmił. – Przebywa tam tylko Petrah Błękitnokrwista i około trzysta Żelaznozębnych ze wszystkich trzech klanów. – Jego usta wykrzywił okrutny uśmiech, zimny niczym szczyty wokół nich. – Droga wolna, Wasza Wysokość.

Patrole wokół Elfiej Przełęczy dostrzegły ich z odległości wielu kilometrów, ale Trzynastka nadal miała prawo lądować w Omedze.

Manon pozostawiła Doriana na niewielkiej polance, na której zebrał się cały sabat. Miał na nie czekać przez cały dzień, a gdyby nie wróciły, mógł zrobić, co sobie życzył. Gdyby naprawdę był aż tak lekkomyślny, mógł nawet rzucić się w objęcia Erawana.

Nie było żadnych pożegnań.

Manon usiłowała panować nad rytmem uderzeń serca, gdy Abraxos wylądował w ogromnej jaskini, która prowadziła do Omegi. Była świadoma wszystkich wrogich spojrzeń, które zewsząd ją ścigały.

– Chcę rozmawiać z Petrah Błękitnokrwistą – oznajmiła głośno.

– Tak właśnie myślałam – odpowiedział jej młody głos.

Dziedziczka Błękitnokrwistych przeszła przez najbliższe drzwi. Jej włosy spinała żelazna opaska, a błękitne szaty powiewały na wietrze.

Manon pochyliła głowę.

– Zwołaj tu swoje podkomendne – rzekła.

Manon nie myślała długo nad tym, co chce powiedzieć.

Jednakże gdy w sali zgromadziło się ponad trzysta Żelaznozębnych, z których część dopiero co wróciła z patroli, zaczęła się zastanawiać, że może powinna była to przemyśleć. Zebrane przyglądały się jej i reszcie Trzynastki z uwagą i niechęcią.

Miały przed sobą pohańbioną Przywódczynię Skrzydła, swą upadłą Dziedziczkę.

Gdy wszystkie wiedźmy były już na miejscu, Petrah, nadal stojąca w wejściu, oznajmiła:

– Ocaliłaś mi życie, Czarnodzioba, a więc jestem ci winna audiencję.

Manon z trudem przełknęła ślinę, bo zaschło jej w gardle. Z grzbietu Abraxosa widziała każde poruszenie tłumu, każdą dłoń zaciśniętą na mieczu, każdą parę szeroko otwartych oczu.

– Nie muszę się chyba przedstawiać – powiedziała w końcu – bo każda z was słyszała już o mnie wszystko.

- Zdzira z Crochan – parsknęła któraś.

Manon spojrzała na Czarnodziobe, ponure, zastygłe jak kamienne rzeźby, podczas gdy inne aż kipiały nienawiścią. To do nich przemawiała i dla nich tu przybyła.

- Przez całe moje życie – rzekła lekko drżącym głosem – karmiono mnie kłamstwami.

- Nie musimy słuchać tych bzdur – parsknęła inna wojowniczką.

Asterin warknęła, a więdźmy ucichły. Nawet pohańbione, więdźmy Trzynastki były zabójczo niebezpieczne.

- Kłamstwami odnośnie do tego, kim i czym jesteźmy – ciągnęła Manon. – Mówiono nam, że jesteźmy potworami i powinniźmy być z tego dumne. – Musnęła palcem strzęp czerwonego materiału, którym związała warkocz. – Ale to nieprawda. Wmówiono nam to. Zrobiono z nas potwory. Zrobiono – powtórzyła. – Podczas gdy mogliźmy być czymś znacznie więcej.

Zapadła cisza, co Manon potraktowała jako zachętę.

- Moja babka nie ma zamiaru poprzestać na odbiciu Pustkowi. Ona chce nimi władać jako Najwyższa Królowa. Jako wasza jedyna królowa.

Rozległ się szmer cichych rozmów. Wyjawienie prywatnych planów Matrony było wszak zdradą.

- Nie będzie już Błękitnokrwistych ani Żółtonogich tak jak dotychczas. Moja babka chce przejąć broń, którą tu zbudowałyście, i wykorzystać Czarnodziobe, by zmusić was do uległości. Jeśli nie padniecie przed nią na kolana, zostanieie zgładzone. – Manon odetchnęła. Potem raz jeszcze. – Od pięciuset lat nie liczy się dla nas nic poza agresją i rozlewem krwi. Tak będzie dalej przez kolejne pięćset lat.

- Kłamiesz! – wrzasnęła jakaś więdźma. – Walczymy dla chwały!

Naraz Asterin drgnęła. Rozpięła skórzaną kurtkę i podniosła białą koszulę. Stanęła w strzemionach, by pokazać naznaczony okrutnymi bliznami brzuch.

- Ona nie kłamie – oświadczyła.

Blizny układały się w słowo „nieczysta”, które miało pozostać tam

po kres jej życia.

– Ile spośród was – wykrzyknęła Asterin – też zostało tak naznaczone przez waszą Matronę? Przez przywódczynię sabatu? Ile spośród was urodziło martwe wiedźmiątka, które zostały spalone, zanim mogłyście je chociaż przytulić?

Cisza niespodziewanie zmieniła swoją naturę. Manon widziała, jak niektóre wiedźmy zaczynają się trząść. Zerknęła na Trzynastkę i ujrzała łzy w oczach Ghislaine, wpatrzonej w zamię na brzuchu Asterin. Ujrzała łzy w oczach tych wszystkich wiedźm, które nie miały o niczym pojęcia.

I to przez te łzy, których Manon nigdy nie widziała, zwróciła się na powrót ku siostram.

– Zginiecie podczas tej wojny lub po niej. I nigdy już nie ujrzycie naszej ojczyzny.

– Czego ty chcesz, Czarnodzioba? – spytała Petrah.

– Ruszcie z nami – szepnęła Manon. – Lećcie z nami! Walczcie z Morath! Z tymi, którzy stoją na drodze do waszej ojczyzny! Do waszej przyszłości!

Znów rozległy się szmery. Manon nie ustawała.

– Zbudujmy sojusz Żelaznozębnych i Crochan, być może po to, by wreszcie przełamać klątwę!

Znów zapadła cisza, napięta, głęboka, niczym ta, po której następuje burza. Asterin nie opuszczała koszuli.

– To od was zależy, co ukształtuje przyszłość naszego ludu – mówiła Manon do wszystkich wiedźm, do wszystkich Czarnodziobych, które mogły niebawem wylecieć na wojnę i nigdy nie wrócić. – Ale jedno mogę wam powiedzieć. – Jej ręce drżały tak mocno, że zacisnęła je w pięści, a te oparła na biodrach. – Istnieje inny, lepszy świat. A ja go widziałam.

Nawet Trzynastka spoglądała teraz na nią.

– Byłam świadkiem tego, że ludzie, wiedźmy i Fae potrafią żyć w pokoju. I nie jest to wcale słabość. Nie, w tym kryje się siła. Spotkałam królów i królowe, którzy darzą swe królestwa i swych poddanych miłością tak wielką, że zgoła zapominają o sobie. Którzy kierując się tą miłością, nawet w obliczu przeważających sił wroga

dokonują niezwykłych czynów. – Uniosła głowę. – Jesteście moimi rodaczkami. Bez względu na to, co twierdzi moja babka, jesteście moim ludem i na zawsze nim pozostaniecie. Jeśli jednak dojdzie co do czego, nie zawaham się wyciągnąć przeciwko wam broni, by zapewnić przyszłość tym, którzy nie mogą sobie jej samodzielnie wywalczyć. Zbyt długo żerujemy na słabych, zbyt długo czerpiemy z tego radość. Pora, byśmy stały się lepsze od naszych przodkiń. – Z podobnymi słowami zwróciła się do Trzynastki kilka godzin temu. – Istnieje inny, lepszy świat – powtórzyła. – I będę o niego walczyć. – Obróciła Abraxosa ku przepaści. – A wy? – spytała.

Skinęła głową Petrah, a ta odpowiedziała jej podobnym gestem. Jej oczy błyszczały.

„A więc wydostaniemy się stąd bez szwanku” – pomyślała Manon i trąciła Abraxosa, który skoczył ku niebu. Pozostałe wywerny Trzynastki ruszyły za nim.

Manon nie była już dzieckiem wojny.

Była dzieckiem pokoju.

Jak mam cię dziś pokroić, Aelin? – spytał Cairn.

Czuła jego gorący oddech na uchu. Nóż oprawcy ześlizgiwał się po jej nagim udzie.

Nie. Nie, to na pewno nie był sen. Ucieczka, Rowan, statek płynący do Terrasenu...

Cairn wbił czubek sztyletu nad jej kolanem. Aelin zacisnęła zęby, wpatrując się w strużkę krwi ciekącą po skórze. Po chwili Cairn zaczął obracać ostrzem, wbijając je z każdym ruchem coraz głębiej.

Robił to już tak często... Na całym jej ciele. Zatrzymywał się dopiero na kości, gdy Aelin wrzeszczała rozdzierająco.

Sen. Iluzja. A więc ucieczka od niego i od Maeve również była iluzją.

Czy naprawdę wszystko zdradziła? Czy powiedziała, gdzie ukryto Klucze?

Nie była w stanie powstrzymać szlochu, który wyrwał się z jej ust.

– Tyle lat ćwiczeń i treningów i nadal jesteś płaczącą beksą? – odezwał się chłodny, dystyngowany głos.

Nie, to niemożliwe. Arobynn stojący po drugiej stronie ołtarza na pewno nie był prawdziwy, choć na takiego wyglądał. Jego rude włosy lśniły, a ubranie wydawało się być w nienagannym porządku.

Były mistrz uśmiechnął się do niej lekko.

– Nawet Sam znosił to lepiej.

Cairn raz jeszcze obrócił nóż i przeciął mięsień. Aelin wygięła się, a jej wrzask odbił się echem. Z oddali dobiegło warczenie Fenrysa.

– Mogłabyś się wydostać z tych łańcuchów, gdybyś się postarała. – Arobynn zmarszczył brwi z niesmakiem. – Gdybyś naprawdę dała z siebie wszystko.

Nie, nie mogła, a wszystko to było snem, iluzją, kłamstwem...

- Pozwalasz na to, by cię trzymano w niewoli. – Arobynn zachichotał. – Bo gdy cię uwolnią... Cóż... Będziesz musiała złożyć się w ofierze niczym owieczka przeznaczona na rzeź.

Miotła się i szarpała, chcąc przerwać torturę Cairna. Nie słyszała jego szyderstw, a jedynie słowa Króla Zabójców, który stanął obok niej, niezauważony przez oprawcę.

- W głębi duszy masz nadzieję, że przetrzymają cię tu na tyle długo, by młody król Adarlanu mógł zapłacić cenę. W głębi duszy wiesz, że chowasz się tu, by on przetał ci szlak. – Arobynn oparł się o ołtarz, czyszcząc paznokcie sztyletem. – W głębi duszy wiesz, że to nie w porządku, że bogowie wybrali ciebie. Że Elena wybrała ciebie zamiast niego. Fakt, dzięki niej mogliście urodzić się i żyć, ale mimo to zostałaś wybrana, by zapłacić cenę. Za nią i za innych bogów. – Arobynn musnął jej twarz długim palcem. – Widzisz już, przed jakim losem próbowałem cię uratować przez te lata? Widzisz, czego mogłabyś uniknąć, gdybyś pozostała Celaeną i pracowała ze mną? – Uśmiechnął się. – Widzisz to, Aelin? Rozumiesz?

Nie mogła odpowiedzieć. Nie miała głosu.

Cairn natrafił na kość i...

Aelin zerwała się i zacisnęła dłonie na udzie.

Nie obciążały jej żadne łańcuchy. Nie dusiła jej maska. Nie było sztyletu, wgrzyzającego się w jej ciało.

Czuła zapach zatęchłej pościeli, a gdzieś nad nią, zamiast dzikich wrzasków, sennie pokrzykiwały ptaki. Oddychając ciężko, potarła ręką twarz.

Książę, który spał obok niej, przesuwał dłonią po jej plecach, by ją uspokoić.

Za niewielkim okienkiem podupadłej gospody gdzieś blisko granicy Fenharrow i Adarlanu unosiły się gęste kłęby mgły.

Sen. To był tylko sen.

Obróciła się i opuściła stopy na przetarty dywanik, rozścielony na nierównej, drewnianej podłodze.

- Do świtu brakuje jeszcze godziny – rzekł Rowan.

Mimo to Aelin sięgnęła po koszulę.

- Zacznę więc rozgrzewkę – oznajmiła.

Przyszło jej do głowy, by się przebiec, czego nie robiła od wielu tygodni.

Rowan usiadł. Jak zwykle nic nie uszło jego uwadze.

- Trening może poczekać, Aelin.

Ćwiczyli od kilku tygodni, równie ostro i bez litości jak w Mistward.

Aelin zapięła spodnie, a potem przytroczyła pas z mieczem.

- Nie, nie może.

Aelin uskoczyła na bok, a ostrze Rowana musnęło jej głowę, ścinając kilka włosów z jej warkocza. Zamrugła, zdyszana, i ledwie wzniosła Goldryna na czas, by sparować kolejny atak. Siła uderzenia rozeszła się po jej dłoni i wniknęła w parzące odciski.

Nowe odciski na nowym ciele. Po trzech tygodniach na morzu jej dłonie ledwie zdążyły stwardnieć. Trzy tygodnie ćwiczeń z mieczem i łukiem, a jej dłonie wciąż były miękkie.

Aelin stęknęła i przykucnęła, aż uda ją zapiekły, gotowa do skoku.

Rowan jednakże znieruchomiał na pylistym podwórzu przed gospodą, a dłonie trzymające topór i miecz opadły. W rodzącym się świetle dnia gospoda mogłaby nawet uchodzić za przyjemną. Znad pobliskiego wybrzeża nadciągały podmuchy wiatru, które trącały ostatnie liście na zgarbionej jabłonce na środku dziedzińca.

Burza nadciągająca z północy zmusiła zeszłej nocy ich okręt do zawinięcia do portu. Po wielu dniach na morzu nikt nie miał nic przeciwko, by spędzić kilka godzin na lądzie. Chcieli się też dowiedzieć, co się wydarzyło podczas ich nieobecności.

Odpowiedź była prosta. Nadciągnęła wojna.

Starzejący się gospodarz wiedział tylko tyle, że walki trwały wszędzie. Nie potrafił określić, gdzie dokładnie doszło do zmagania. Statki nie zatrzymywały się już w tym porcie, a wielkie okręty wojenne mijały go szerokim łukiem. Gospodarz nie wiedział nawet,

czy były wrogie, czy też należały do sojuszników. Wyglądało na to, że nie wiedział zupełnie nic. Łącznie z tym, jak należy gotować i sprzątać.

Jeśli chcieli w miarę szybko dostać się do Terrasenu, musieli jutro bądź pojutrze wyruszyć w drogę. Wedle ich kapitana na północy szalało zbyt wiele sztormów, by zaryzykować rejs bezpośrednio na miejsce. Utrzymywał, że o tej porze roku bezpieczniej było dotrzeć do wybrzeży kontynentu, a potem ruszyć na północ, choć dzięki tej decyzji wylądowali gdzieś na granicy Fenharrow i Adarlanu, a Rifthold leżało nadal kilka dni drogi przed nimi.

Kiedy Rowan wciąż nie podejmował walki, Aelin skrzywiła się.

– Co?

Nie było to pytanie, a raczej żądanie. Spojrzenie Rowana było niewzruszone od chwili, gdy powróciła z biegu po mglistych polach i zastała go wspartego o pień jabłoni.

– Dość na dziś.

– Ledwie zaczęliśmy! – sprzeciwiła się i uniosła ostrze.

Rowan nie podnosił własnego.

– Prawie nie spałaś w nocy.

– Miałam złe sny – odparła.

Złe sny, mało powiedziane. Zadarła podbródek i uśmiechnęła się beczelnie.

– A może już nie wytrzymujesz mojego tempa, co?

Dorobiła się pęcherzy, ale też przynajmniej przybrała na wadze. Pod skórą jej ramion na powrót prześlizgiwały się już mięśnie, a chude nogi stały się znów smukłe i silne.

Rowan nie odpowiedział na jej żart.

– Chodźmy na śniadanie.

– Po wczorajszym obiedzie jakoś mnie nie ciągnie do kolejnego posiłku – odparła.

W żaden sposób nie zdradziła swoich zamiarów – po prostu runęła na niego, tnąc wysoko Goldrynem i nisko sztyletem. Rowan bez wysiłku uniknął jej ciosów. Zwarli się, odskoczyli od siebie i znów

zwarli.

Jego kły błysnęły.

– Musisz jeść.

– Muszę ćwiczyć.

Aelin nie mogła się opanować, musiała być czymś zajęta, musiała być w ruchu. Bez względu na to, ile razy zamachnęła się mieczem, nadal czuła kajdany między nogami, a gdy siadała, by odpocząć, odzywała się jej magia. Przypominała jej, że czeka.

Zacisnęła zęby i znów rzuciła się do ataku.

Rowan odbijał każdy cios. Aelin wiedziała, że jej uderzenia stają się coraz bardziej niedbałe. Wiedziała, że Rowan po prostu pozwala jej nacierać, choć mógłby przerwać ich starcie już wielokrotnie.

Nie mogła się zatrzymać. Wokół trwała wojna, ludzie umierali, a ona była zamknięta w tej przeklętej skrzyni, torturowana, spętana, pozbawiona możliwości zrobienia czegokolwiek...

Wtedy Rowan przystąpił do kontrataku. Uderzył tak szybko, że nawet nie widziała jego ciosu, ale o jej porażce zdecydowało coś innego. Wojownik umiejętnie podłożył jej nogę i królowa runęła w pył podwórza. Jej kolana eksplodowały bólem, a sztylet wypadł z ręki.

– Wygrałem – sapnął Rowan. – Idziemy na śniadanie.

Aelin spojrzała na niego wściekle.

– Jeszcze jedna runda.

– Po śniadaniu. – Wojownik schował miecz.

Aelin warknęła, na co Rowan odpowiedział tym samym.

– Nie bądź głupia – powiedział. – Te mięśnie zaczną niebawem zanikać, jeśli przestaniesz się odpowiednio odżywiać. Musisz jeść. A jeśli nadal będziesz chciała trenować po śniadaniu, poćwiczę z tobą.

– Podał jej wytatuowaną dłoń. – Choć coś mi mówi, że zwrócisz zawartość żołądka.

Powodem mógł być zarówno wysiłek, jak i podejrzana kuchnia gospodarza.

– Ludzie umierają – odparła Aelin. – W Terrasenie... Wszędzie tylko śmierć, Rowanie.

– W niczym im nie pomożesz, jeśli przestaniesz jeść.

Skrzywiła się, ale Rowan podjął wątek, nim powiedziała choć słowo:

– Wiem, że ludzie umierają. Pomożemy im, ale musisz nabrać sił, inaczej nie będziesz w stanie.

Wszystko to była prawdą. Rowan mówił prawdę, a mimo to widziała ich, słyszała tych konających, przerażonych nieszczęśników, których krzyki jakże często brzmiały tak jak jej własne.

Rowan poruszył palcami wyciągniętej dłoni.

„Idziemy?” – zapytał w milczeniu.

Aelin zrobiła paskudną minę i złapała go za rękę, pozwalając, by szarpnięciem postawił ją na nogi.

„Ależ ty jesteś uparty”.

Otoczył ręką jej ramiona.

„To chyba najmiłsza rzecz, jaką kiedykolwiek o mnie powiedziałaś”.

Elide powstrzymała grymas na widok stojącej przed nią miski parującej, szarawej owsianki, tym bardziej że gospodarz przyglądał im się z cieni za kontuarem. Dziewczyna, siedząca przy jednym z okrągłych stołów na starej, wydeptanej podłodze, dostrzegła spojrzenie Gavriela, który powoli zanurzył łyżkę we własnej porcji i równie powoli ją podniósł.

Otworzyła szerzej oczy. Lew wsunął łyżkę do ust.

Słyszała, jak przęłyka. Patrzyła, jak z trudem powstrzymuje odruch wzdrygnięcia się. Opanowała uśmiech, widząc czystą udękę w jego brązowych oczach. Aelin i Rowan kończyli podobną bitwę, gdy kilka minut temu zeszła do głównej izby. Królowa życzyła jej powodzenia, zanim udała się na podwórze.

Podrywała się, jak tylko kończyła posiłek, a poza posiłkami Elide widziała ją w pozycji siedzącej tylko podczas udzielanych przez nią całej grupie lekcji Znaków Wyrda, które wymógł na niej Rowan. Książę przypominał im, że jeden ze Znaków uwolnił Aelin z łańcuchów. Co więcej, Znaki mogły też im pomóc w walce z ilkenami, gdyby te okazały się odporne na ich magię.

Znaki były dziwne. Obce i trudne. Elide nie potrafiła czytać we własnej mowie, nie podejmowała też prób nauczenia się alfabetu od wielu lat i nie sądziła, by wkrótce przytrafiła się dogodna ku temu okazja. Ale gdyby znajomość tych Znaków mogła w jakiś sposób pomóc jej towarzyszącej... Cóż, mogła podjąć próbę. I dawała z siebie wszystko, dzięki czemu nauczyła się już kilku.

Gavriel ośmielił się wziąć kolejny łyżeczek owsianki do ust, a potem obdarzył gospodarza oszczędnym uśmiechem. Ten wydawał się tak uszczęśliwiony, że Elide ujęła własną łyżkę i również przełknęła łyżeczek. Owsianka była jałowa i nieco słona – czyżby zamiast cukru mężczyzna dodał do niej soli? – ale przynajmniej okazała się ciepła.

Gavriel spojrzał jej w oczy, a Elide ponownie powstrzymała wesołość.

Bardziej wyczuła, niż ujrzała Lorcana wchodzącego do izby. Gospodarz natychmiast znalazł sobie jakieś zajęcie. Mężczyzna nie wydawał się zaskoczony na widok pięciorga Fae, którzy zeszłej nocy zawitali do jego przybytku, a więc jego zniknięcie na widok Lorcana wytłumaczyć należało wściekłą miną, którą pół-Fae doprowadził do perfekcji.

W rzeczy samej Lorcan spojrzał raz na Elide i Gavriela, po czym wyszedł. Przez ostatnie tygodnie właściwie nie rozmawiali, a dziewczyna nie wiedziała, czym ma to tłumaczyć.

Lorcan był częścią dworu, jej dworu. Na zawsze.

Stosunki między nim a Aelin również się nie poprawiły i jedynymi członkami ich grupy, którzy rozmawiali z Lorcanem, byli Rowan i Gavriel. Fenrys, choć obiecał Aelin, że nie będzie z Lorcanem walczył, na ogół go ignorował, a Elide... Cóż, trzymała się na uboczu tak skutecznie, że wojownik nawet jej nie zauważał.

Dobrze. Bardzo dobrze. Choć czasami łapała się na tym, że otwierała usta, by się do niego odezwać. Przyglądała mu się, gdy słuchał wykładów Aelin o Znakach Wyrda. Patrzyła, gdy z nią ćwiczył. Ich wspólne sesje były jedynymi okazjami, kiedy nie skakali sobie do gardeł.

Aelin została im zwrócona. Dochodziła do siebie najlepiej, jak umiała.

Elide nie czuła smaku kolejnej łyżki owsianki. Gavriel, na szczęście,

nic nie powiedział.

Anneith także się nie odzywała. Elide nie słyszała najcichszego nawet szeptu.

Tak było lepiej. Woląca słuchać siebie samej. Dobrze by było, gdyby i Lorcan trzymał się z daleka.

Zjadła resztę w milczeniu.

Rowan się nie pomylił. Aelin o mało nie zwymiotowała po śniadaniu. Po zaledwie pięciu minutach ćwiczeń musiała przerwać, bo nieszczęsna owsianka podeszła jej do gardła.

Książę parsknął śmiechem, gdy zacisnęła dłoń na ustach, a potem zamienił się w ptaka i poleciał na wybrzeże, by naradzić się z kapitanem co do dalszego rejsu.

Aelin patrzyła, jak znika w chmurach, rozciągając ramiona. Miał rację, a jakże. Na temat odpoczynku również.

Jeśli ktoś z pozostałych wiedział, co nie pozwalało jej usiedzieć w spokoju, nie dał tego po sobie poznać.

Aelin wsunęła Goldryna do pochwy i wypuściła powietrze z płuc. Jej moc rozbrzmiała gdzieś głęboko. Zacisnęła pięści.

Przed oczami mignęła jej zimna, blada twarz Maeve. Jej magia ucichła.

Drżąc na całym ciele, wypuściła kolejny oddech i uspokoiła dłonie, po czym ruszyła ku bramie, za którą ciągnęła się długa, pylista droga. Pola wydawały się jałowe. Mało imponująca, zapomniana kraina. Podczas przebieżki wśród porannych mgieł nie zauważyła niczego oprócz kilku wróbli, myszkujących wśród wyschniętych, zmarzniętych traw.

Fenrys siedział pod postacią wilka na skraju najbliższego pola i wpatrywał się w dal. Znajdował się dokładnie tam, gdzie widziała go podczas biegu o świcie.

Pozwoliła, by usłyszał, jak podchodzi. Jego uszy drgnęły. Zmienił postać i oparł się o na wpół zgniłe deski płotu okalającego pole.

– Kogo wkurzyłeś, że przypadła ci najgorsza warta? – spytała Aelin i otarła pot z czoła.

– A uwierzyłabyś, gdybym ci powiedział, że sam się zgłosiłem? – parsknął Fenrys i przeczesał dłonią włosy.

Aelin uniosła brew, na co Biały Wilk wzruszył ramionami. Wbił wzrok w pole, na skraju którego nadal unosiły się mgły.

– Nie śpię ostatnio najlepiej – rzekł i zerknął na nią z ukosa. – I chyba nie ja jeden.

Aelin skubnęła odcisk na prawej dłoni i syknęła.

– Moglibyśmy założyć tajne stowarzyszenie ludzi, którzy kiepsko śpią.

– Chętnie do niego wstąpię, chyba że zaprosisz Lorcanę.

– Daj już temu spokój! – Aelin parsknęła śmiechem.

– Powiedziałem, że dam. – Twarz Fenrysa skamieniała.

– Ale najwyraźniej jeszcze nie odpuściłeś.

– Obiecuję, że odpuszczę, jeśli przestaniesz się wykańczać o świcie.

– Nie wykańczam się. Rowan ma na mnie oko.

– Gdyby nie on, już dawno czołgałabyś się, zamiast chodzić.

To prawda. Aelin zacisnęła obolałe dłonie w pięści i wsunęła je do kieszeni. Fenrys nie powiedział ani słowa. Nie spytał, dlaczego nie rozgrzewa magią dłoni. Lub powietrza wokół nich.

Spojrzał na nią i mrugnął trzykrotnie:

„Wszystko w porządku?”.

Szary świat przeszył krzyk mewy. Aelin odpowiedziała dwoma mrugnięciami.

„Nie”.

Więcej wyznać nie mogła. Spojrzała na niego i tym razem to ona mrugnęła trzykrotnie.

Fenrys odpowiedział dwoma.

Pewnie. Nic nie było w porządku, przynajmniej dla nich dwojga. Ba, i tak już mogło pozostać. Jeśli inni o tym wiedzieli, nie dawali tego po sobie poznać.

Żadne z nich nie skomentowało ani słowem tego, że Fenrys nigdy

dotąd nie sięgnął po swoją magię, by przenieść się z miejsca na miejsce. Na morzu nie miało to co prawda wielkiego sensu, ale nie korzystał z tej mocy podczas walki.

Być może jego magia umarła wraz z Connallem. Być może obaj władali takim samym darem i Fenrys nie mógł się zmusić, by po niego sięgnąć.

Aelin nie miała odwagi spojrzeć w głąb siebie, gdzie szalało wzburzone morze. Nie mogła.

Stali razem na skraju pola, a słońce wznosiło się, wypalając mgły.

Minęła długa minuta, nim Aelin spytała:

– Pamiętasz smak krwi Maeve, gdy składałeś przysięgę krwi?

Fenrys zmarszczył złociste brwi.

– Smakowała jak krew. Krew kogoś potężnego. Czemu pytasz?

Aelin potrząsnęła głową. Kolejny sen. Kolejna halucynacja.

– Być może depcze nam po piętach wraz ze swą armią. Ja tylko... próbuję to zrozumieć. Ja, znaczy się.

– Chcesz ją zabić.

Owsianka raz jeszcze przewróciła się jej w żołądku, ale Aelin wzruszyła ramionami, choć na języku poczuła smak popiołu.

– Wolałbyś sam to zrobić?

– Nie sędzę, bym to przeżył – wycedził Fenrys przez zęby. – Ty masz więcej powodów niż ja, by odebrać jej życie.

– Moim zdaniem mamy ten sam powód.

Jego ciemne oczy prześlizgnęły się po jej twarzy.

– Connall był kimś lepszym niż... niż gdy go zobaczyłaś. Zanim spotkał go koniec.

Aelin ścisnęła jego rękę.

– Wiem.

Znikły ostatnie mgły.

– Chcesz, bym ci o tym opowiedział? – spytał cicho Fenrys.

Nie miał na myśli swego brata.

Aelin pokręciła głową.

– Wiem tyle, ile trzeba – rzekła i spojrzała na swe zziębnięte, poznaczone odciskami dłonie. – Tyle, ile trzeba.

Fenrys naraz zeszywniał i złapał za miecz. Powodem nie były jej słowa, ale Rowan, który niespodziewanie wypadł z chmur i pomknął ku nim z wielką prędkością.

Przeistoczył się w Fae półtora metra nad ziemią i wylądował z gracją drapieżnika. Kilkoma susami pokonał dystans między nimi.

– Co? – warknęła Aelin i zaraz z brzękiem wyswobodziła Goldryna.

Jej mąż wskazał niebo.

I to, co po nim leciało.

Głaz z łoskotem wyrzwał o kamienny mur. Yrene oparła dłoń o drżącą ścianę twierdzy Westfallów. Wieża wyraźnie się zachwiała, a po korytarzu poniosły się krzyki i lamenty. Niektórzy ludzie przypadali do swych najbliższych i zasłaniali ich własnymi ciałami przed spadającym gruzem.

Ledwie nastał świt, a bitwa już wrzała.

Yrene przyłgnęła do ściany. Jej serce biło mocno, ale skupiła się na liczeniu oddechów, dopóki drzenie nie ustało. Naliczyła trzy. Podczas poprzedniego natarcia doliczyła do sześciu.

Pięć dni. Minęło już pięć dni niekończącego się koszmaru, w którym jedynie najciemniejsze godziny nocy oferowały jakąkolwiek ulgę.

Widziała Chaola zaledwie parę razy. Zdążył ją pocałować, objąć i znów gdzieś popędził. Przy pierwszym spotkaniu miał ranę na skroni, którą zaleczyła w okamgnieniu. Przy kolejnym opierał się ciężko na lasce, zbryzgany krwią, która nie należała do niego. Czarną krwią, od której zrobiło jej się niedobrze.

Valgowie. Tam byli Valgowie, którzy zakazali ludzkie ciała. Zbyt wiele, by zdołała je uzdrowić.

Nie, tym zajmie się po bitwie. Jeśli ją przeżyją.

Ranni i umierający zaczęli napływać o wiele za szybko. Eretia urządziła szpital w głównej sali twierdzy i to właśnie tam Yrene spędzała większość swego czasu. Tam też się udała po przebudzeniu, przespawszy zaledwie kilka godzin.

Wieża przestała drzeć.

– Ruki odpierają szturm – powiedziała Yrene głośno, nie kierując swych słów do nikogo konkretnego. – Morath prowadzi ostrzał z katapult dlatego, że armia nie jest w stanie wdrzeć się na mury.

Jej słowa były tylko częściowo prawdą, ale rodzinom skulonym na korytarzu, tulącym się do siebie i ściskającym swój skromny dobytek,

przyniosły najwyraźniej ulgę.

Ruki w istocie zniszczyły już wiele katapult, ale wróg zachował jeszcze kilka z machin. Wystarczająco dużo, by nękać miasto i twierdzę. Co więcej, ruki faktycznie odpierały napór wroga, ale Yrene nie wiedziała, jak długo wytrzymają.

Nie chciała też wiedzieć, ilu *rukhin* już padło. Widziała jeźdźców znoszonych do wielkiej sali i odgadła, że będzie ich nazbyt wielu. Eretia zarządziła, by ranne ruki gromadziły się na jednym z mniejszych dziedzińców, i przydzieliła im pięć uzdrowicielek, ale ponoć panował tam już niewiarygodny ścisk.

Yrene spieszyła naprzód, uważając, by nie potknąć się o kawałki gruzu. Poprzedniego dnia o mało nie skreśliła karku o jakąś strąconą belkę. Usłyszała jęki rannych na długo, zanim wpadła do wielkiej sali, a gdy pchnęła drzwi, ujrzała rzędy żołnierzy zarówno z Anielle, jak i kaganatu. Łóżek już dawno zabrakło i wielu leżało na posłaniach ułożonych na podłodze, niekiedy improwizowanych z koców i płaszczy.

Brakowało wszystkiego. Zasobów. Leków. Bandaży. Uzdrowicielek. Powinni byli zabrać więcej z głównej armii.

Yrene podwinęła rękawy i skierowała się ku misce, w której myły ręce. Dzieci z kilku rodzin, które schroniły się w twierdzy, zajmowały się wylewaniem brudnej wody i donoszeniem świeżej, już zagotowanej, co kilka minut. Wynosiły również miski z nieczystościami.

Z początku Yrene miała co do tego obiekcje. Nie chciała, by dzieci przyglądały się cierpieniu, ale nie było komu wykonywać tej pracy. Nikt inny aż tak bardzo nie kwapił się do pomocy.

Władca Anielle był wielkim łajdakiem, jego poddani jednak okazali się odważnymi, szlachetnymi ludźmi. Jej mąż odziedziczył o wiele więcej po nich niż po swym nienawistnym ojcu.

Yrene dokładnie umyła ręce, choć zrobiła to już przed zejściem do szpitala, i pomachała nimi w powietrzu, by wyschły. Szkoda było ręczników na ich wycieranie.

Choć zdążyła się przespać, odzyskała jedynie część swej magii. Wiedziała, że jeśli spojrzy na mury, zobaczy Chaola wspierającego się na lasce, może dosiadającego rumaka, na którym zainstalowano

specjalne siodło. Gdy widziała go poprzedniego dnia po południu, przez zaledwie chwilę, utykał o wiele bardziej niż wcześniej. Nie narzekał jednak. Nie poprosił jej, by przestała szafować mocą. Był gotów walczyć bez względu na wszystko – wsparty o laskę, siedząc na krześle bądź w siodle.

Eretia spotkała się z Yrene w połowie sali. Ciemna skóra uzdrowicielki lśniła potem.

– Właśnie niosą tu jeźdźca ruków – rzekła. – Ma gardło poszarpane szponami, ale nadal oddycha.

Yrene powstrzymała dreszcz.

– Szpony były zatrute?

Jakże wiele bestii Valgów walczyło zatrutymi jadami kłami i szponami.

– Zwiadowca, który przybiegł z informacją, nie był tego pewien.

Yrene wyjęła instrumenty medyczne z sakwy i rozejrzała się w poszukiwaniu miejsca, gdzie mogłaby się zająć wnoszoną ofiarą. Sala była zatłoczona, ale dostrzegła trochę wolnej przestrzeni przy miskach, gdzie właśnie myła dłonie.

„Wystarczy” – pomyślała, a głośno powiedziała:

– Zaczekam przy drzwiach!

Ruszyła w stronę wejścia, ale Eretia pochwyciła ją za ramię. Jej długie, cienkie palce wbiły się łagodnie w skórę uzdrowicielki.

– Odpoczęłaś choć trochę? – spytała.

– A ty? – odcięła się Yrene.

Eretia wciąż pracowała przy rannych, gdy półprzytomna ze zmęczenia Yrene poczłapała do siebie, by wyrwać kilka godzin snu. Wyglądało na to, że Eretia wróciła do szpitala na długo przed Yrene albo w ogóle stąd nie wychodziła.

Kobieta zmrużyła brązowe oczy.

– W przeciwieństwie do ciebie nie muszę dbać o to, by się nie zaharować.

Yrene odgadła, iż Eretii nie chodziło o więź między jej ciałem a ciałem Chaola.

- Wiem, na ile mnie stać – odparła sztywno.

Eretia obrzuciła znaczącym spojrzeniem wciąż płaski brzuch dziewczyny.

- Wiele kobiet w ogóle nie podejmowałyby ryzyka.

Yrene zamarła.

- Dostrzegasz jakieś zagrożenie?

- Nie, ale każda ciąża, zwłaszcza w pierwszym trymestrze, jest bardzo wyczerpująca nawet bez koszmarów wojny czy zużywania całej mocy do cna.

Yrene trawiła jej słowa przez chwilę.

- Od kiedy wiesz? – spytała.

- Od kilku tygodni. Moja moc to wyczuła.

- Nie mówiłam jeszcze Chaolowi. – Yrene przełknęła ślinę.

- Moim zdaniem trudno o lepszą chwilę niż teraz. – Starsza uzdrowicielka wskazała ściany twierdzy, drżące po kolejnym uderzeniu.

Yrene dobrze o tym wiedziała i od jakiegoś czasu szukała sposobności, by mu powiedzieć, ale nie chciała mu dokładać kolejnego ciężaru. Nie chciała, by zaczął się jeszcze zamartwiać o życie, które rosło pod jej sercem. Nie chciała powiększać lęku o nią, z którym Chaol zapewne zmagał się przez cały czas.

A gdyby się dowiedział, że jeśli zginie, wraz z nim zgaśnie nie jedno życie, ale dwa... Nie, Yrene nie mogła się zmusić do wyznania mu prawdy. Jeszcze nie. Być może wychodziła na egoistkę, być może zachowywała się jak idiotka, ale po prostu nie mogła. Nawet mimo tego, że płakała z radości, gdy jeszcze na statku, nad miską do mycia, odkryła, że jej cykl spóźnia się o wiele dni. Minęła dłuższa chwila, nim uświadomiła sobie, czym jest ciąża podczas wojny. Zrozumiała, że urodzi dziecko w samym środku straszliwych zmagania lub blisko jeszcze bardziej przerażającego punktu kulminacyjnego.

Obiecała sobie, że zrobi wszystko, co w jej mocy, by jej dziecko nie urodziło się w świecie mroku.

- Powiem mu, gdy będzie naprawdę odpowiedni moment – odparła nieco zbyt ostro.

Wtedy otwarły się wrota do sali i rozległy się krzyki:

– Ranny! Przejdźcie dla rannego!

Eretia zmarszczyła brwi, ale wraz z Yrene ruszyła na spotkanie kilku mieszczan z Anielle, niosących zakrwawione nosze i leżącego na nich, walczącego o życie jeźdźca.

Chaol dowodził obroną z dolnego muru twierdzy. Koń, na którym siedział, przeniósł ciężar ciała z nogi na nogę, ale nie okazywał strachu. Nie był tak zacnym koniem jak Farasha, ale z pewnością odważnym i spokojnym. Prędko przyzwyczał się do specyficznego siodła Chaola, a jemu nie chodziło o nic więcej.

Dobrze wiedział, że o chodzeniu nie było już mowy. Napięcie w kręgosłupie mówiło mu, że choć dzień dopiero się budził, Yrene już ciężko pracowała. Na szczęście z końskiego grzbietu również można było walczyć i dowodzić.

Armia Erawana, zbyt potężna, by był w stanie objąć ją wzrokiem, ruszała do kolejnego, całodziennego szturm.

Ruki wzbily się w powietrze, unikając strzał i ciskanych włóczni, po czym rzuciły się do lotu nurkowego, rozszarpując i roztrzając wrogów, a z ich grzbietów siali spustoszenie jeźdźcy. Natarcia były precyzyjne i starannie zaplanowane przez Sartaqa i Nesryn.

Niemniej po pięciu dniach walk nawet potężne ruki opadały już z sił, a wieże oblężnicze Morath, które jakże łatwo było im rozbijać na początku, znów sunęły ku murom.

– Przygotuj ludzi na odparcie szturm. – Chaol zwrócił się do kapitana o poważnej twarzy, który stał obok niego.

Ten wykrzyknął rozkaz do żołnierzy, stojących w szeregach uszykowanych przez Chaola przed świtem.

Przez ostatnie dwa dni kilka zgraj żołdaków Morath zdołało zarzucić liny z hakami na mury i przystawić do nich drabiny. Do twierdzy wdarł się rój przeciwników, ale Chaol skoczył do kontrataku. Ludzie z Anielle nie mieli pewności, jak walczyć z nawiedzonymi przez demony ludźmi, którzy chcieli ich zabić, ale bez wahania posłuchali ostrych rozkazów i ruszyli do walki. Szybko wycięli napastników, przewrócili drabiny i przecięli liny.

Jednakże nadciągające wieże oblężnicze... Z nimi nie było się łatwo uporać, nie mówiąc już o żołnierzach, którzy niebawem mieli przebiec po metalowym moście i wdrzeć się na mury.

Za nim, kilka poziomów wyżej, stał jego ojciec. Chaol widział, jak przekazał ręką sygnał do odwrotu, wykorzystując system latarni, pokazany im przez Sartaqa. Liczył na to, że podniebnym jeźdźcom uda się zniszczyć wieże.

Ruki przypuszczały jednak atak na głębokie tyły armii Morath, gdzie szli dowódcy, utrzymujący porządek w sztykach Valgów. Pomysł wyszedł zeszłej nocy od Nesryn – zamiast atakować niekończące się szeregi żołnierzy, można było przecież pozabijać tych, którzy wydawali rozkazy, aby w ten sposób zasiać chaos i panikę. Pierwsza wieża oblężnicza była coraz bliżej, ciągnięta po ziemi przez przykute łańcuchami wywerny o przyciętych skrzydłach. Jęk metalu niósł się aż na mury. Żołnierze już ustawili się w dwa bliźniacze szeregi, gotowi wdrzeć się po schodach na górę.

Czekał ich krwawy dzień.

Koń Chaola znów przestąpił z nogi na nogę. Jeździec poklepał dłonią w rękawicy osłonięty pancerzem kark wierzchowca. Wrzawa naokoło zagłuszyła brzęk stali.

– Cierpliwości, przyjacielu.

Daleko poza zasięgiem łuczników przeładowywano katapultę. Ostatni gwałt wyrzucono z niej jakieś pół godziny temu. Chaol schował się za sklepieniem przejścia, modląc się, by wieża, w którą trafił, wytrzymała uderzenie. Modląc się, by nie było tam Yrene.

Przez ostatnie dni, wypełnione znużeniem i rozlewem krwi, nie widział jej prawie wcale. Nie miał okazji, by przekazać jej, że wie o wszystkim. By powiedzieć o tym, co czuje. Musiał się zadowolić mocnym, choć krótkim pocałunkiem, a potem znów popędził tam, gdzie go potrzebowano.

Wyciągnął miecz. Świeżo wypolerowany metal zgrzytnął, wychodząc z pochwy. Palce drugiej ręki zacisnęły się na uchwyty tarczy, lekkiej i niedużej, preferowanej przez jeźdźców ręków w gwałtownych, podniebnych starciach. Uprząż trzymająca go w siodle wydawała się stabilna, a zapięcia trzymały mocno.

Żołnierze na murach z niepokojem wpatrywali się w nadciągającą

wieżę i usiłowali nie myśleć o koszmarach, które kryły się w środku.

– Oni kiedyś byli zwykłymi ludźmi – huknął Chaol. Jego głos poniósł się ponad wrzawę bitewną. – I wciąż umierają jak zwykli ludzie.

Kilku żołnierzy odwróciło się ku niemu. Ich miecze przestały drżeć.

– A wy jesteście ludem z Anielle! – ciągnął Chaol, wskazując wroga mieczem. – Niech się przekonają, co to oznacza!

Wieża oblężnicza uderzyła w ścianę warowni. Metalowy most opadł z łoskotem, miażdżąc blanki pod sobą.

Umysł Chaola ostygł. Uspokoił się. Odepchnął wszystkie myśli poza najważniejszymi.

Gdzieś w tej twierdzy przebywała jego żona. I spodziewała się ich dziecka.

Nie miał najmniejszego zamiaru jej zawieść.

Wieża oblężnicza dotarła do murów. Ze środka wybiegali żołnierze i wdzierali się do starożytnego zamku.

Nesryn, choć znajdowała się daleko, widziała zamieszanie na murach. Wypatrzyła Chaola na siwym koniu, walczącego w bitewnym zgiełku.

Wzniosła się nad armię, próbującą dosięgnąć ich strzałami i włóczniami, po czym odpadła na lewo. Lecące za nią ruki wykonały ten sam manewr.

Po przeciwnej stronie Borte i Yeran, którzy prowadzili drugą grupę jeźdźców, odbili w prawo. Obie eskadry zanurkowały, by przeorać tyły wroga. W tej samej chwili Sartaq, który prowadził trzecią formację, zaatakował z innego kierunku.

Załatwili dwóch dowódców, ale pozostało jeszcze trzech. Żaden z nich nie był księciem, za co winni byli wdzięczność zarówno miejscowym bogom, jak i wszystkim trzydziestu sześciu bóstwom kaganatu, ale nadal byli Valgami. Po krytych pancerzem piórach Salkhiego – i każdego innego ruka w armii – spływała już czarna krew. Zeszłej nocy Nesryn spędziła sporo czasu, próbując ją zmyć, podobnie jak pozostali jeźdźcy. Nikt nie chciał, by zakrzepła na

piórach krew ograniczyła zwinność ich rumaków.

Nesryn naciągnęła strzałę i wybrała cel. Ponownie.

Dowódca Valgów ostatnim razem uniknął jej pocisku, ale jego szczęście miało się właśnie skończyć.

Salkhi leciał nisko. Strzały odbijały się od jego pancerza, skór i grubych piór. Nesryn o mało nie zwymiotowała, gdy trafiono go po raz pierwszy kilka dni temu. Wieczność temu, zdawałoby się. Co noc musiała wyciągać groty z jego ciała, jakby były cierniami kolczastej rośliny. W tym samym czasie Sartaq chodził między ogniskami i pocieszał tych, których wierzchowce nie miały tyle szczęścia. Bywało też, że łagodził żal ruków, które straciły jeźdźców. Na jednym z wozów ułożono już wysoki stos *sulde*, które oczekiwała ostatnia podróż do ojczyzny i wbiecie w jałowe zbocza Arundina.

Gdy Salkhi znalazł się już na tyle nisko, by móc zrywać Valgów z siodeł i rozszarpywać ich w powietrzu na strzępy, Nesryn posłała strzałę w dowódcę. Nie widziała, czy trafiła.

Niespodziewanie bowiem przez wrzawę przebił się ryk rogu.

Ruki zakrzyknęły, a wszyscy zwrócili głowy na wschód, ku morzu.

Tam, gdzie na wschodnią, bezbronną flankę armii Morath pędziły kawaleria Darghanów oraz oddziały piechoty. Armię kagana prowadziła sama Hasar na grzbiecie swego Muniqi.

Dwie armie, jedna ciemna, a druga złocista, zwarły się na równinie przed starożytnym miastem.

Ich krwawe, brutalne starcie ciągnęło się przez cały, szary dzień, ale armie Morath nie uległy. Nesryn i pozostali *rukhin*, kierowani przez Sartaqą i rozkazy Hasar, co rusz przegrupowywali się na tyłach za świeżo przybyłą armią, ale Valgowie nie ustawali w boju. Armia Morath niczym ocean ciemności nadal rozlewała się między wojskami kagana a murami obleżonej twierdzy.

Gdy zapadła noc i zrobiło się zbyt ciemno na walkę nawet dla Valgów, armia kagana wycofała się, by przystąpić go kolejnego natarcia o świcie.

Nesryn z Yrene i Chaolem, wyczerpanymi i zakrwawionymi, przeleciała z bezpiecznej już twierdzy na naradę wojenną z dziećmi

kagana. Zewsząd słycać było jęki i wrzaski rannych żołnierzy, którym z pomocą podążyły Hafiza i pozostałe uzdrowicielki, spiesząc się, nim noc ustąpi miejsca kolejnym walkom.

Bez trudu dotarli do namiotu wojennego księżniczki Hasar, gdzie wszyscy zgromadzili się nad mapą Anielle. Dyskusja na temat dalszych posunięć trwała jednak zaledwie kilka minut, gdyż przerwało ją pojawienie się kogoś nowego.

Kogoś, kogo Chaol najmniej spodziewał się zobaczyć.

Na horyzoncie pojawił się Perranth – miasto wzniesione z ciemnego kamienia, leżące między błękitnym jeziorem a niewielkim łańcuchem górskim, który nosił tę samą nazwę.

Broniący okolicy zamek piał się ku niebu obok ogromnego szczytu wyrastającego na granicy miasta, a jego wąskie wieże mogły wysokością rywalizować z tymi, które wieńczyły zamek w Oryncie. Potężnych murów broniących miasta, które zostały zniszczone przez armię Adarlanu, nigdy nie odbudowano, a miasto przekroczyło już wytyczoną przez nie linię. Budynki wyrastały na polach za skutą lodem rzeką Lanis, wijącą się między jeziorem i odległym morzem.

To właśnie tam Aedion postanowił stawić wrogowi opór.

Lód wytrzymał ciężar przechodzącej armii, po czym książę generał przeorganizował ich uszczuplone siły.

Fae z rodu Białego Ciernia oraz ich wojownicy byli bliscy przepalenia, a ich magia ledwie osiągała moc podmuchu wiatru. Ich bariery powstrzymywały jednak armię Morath przez cały dzień.

Ludzie wykorzystali ten czas na odpoczynek. Rąbali drzewa i rozbierali szopy, by móc rozpaść wielkie ogniska i ogrzać się choć trochę. Aedion wysłał Noxa Owena do Perranthu, jego rodzinnego miasta, by się przekonał, czy jego mieszkańcy nie chcieliby zasilić ich uszczuplonych szeregów.

Ochotników nie było wielu. Nox przyprowadził zaledwie kilka setek ludzi, wśród których na próżno byłoby szukać doświadczonych wojowników. Nie było między nimi ani jednego czarodzieja.

Na szczęście mieli jakąś broń, choć na ogół starą i zardzewiałą, a także zapasy strzał. Vernon Lochan dołożył wszelkich starań, by rozbroić swych podwładnych. Bał się bowiem, że dojdzie do powstania, gdy ci dowiedzą się o prawdziwej dziedzicze rodu, przetrzymywanej w niewoli w najwyższej wieży zamku. Wiele wskazywało na to, że lud Perranthu i tak miał już dość swego marionetkowego władcy. Choć nie mogli wesprzeć armii Aediona w walce, wspomogli ich na inne sposoby. Obdarowali wymęczonych

wojowników wozami koców i jedzenia. Przysłali też swych uzdrowicieli, którzy, choć żaden nie władał magią, zajęli się opatrywaniem rannych. Tych, którzy nie byli już w stanie walczyć, wywieziono do miasta.

Niestety, ciepły koc i gorący posiłek nie były w stanie zwiększyć liczebności armii ani też powstrzymać wojsk Morath.

Aedion nie przestawał więc planować wraz z oficerami swego legionu. Kolejna bitwa miała niebagatelne znaczenie. Liczył się każdy centymetr terenu, każdy miecz, każdy żołnierz.

Nie widział się z Lysandrą. Rzekoma Aelin również się nie pojawiła. Żołnierze szeptali między sobą, że królowa ich opuściła.

Aedion dołożył wszelkich starań, by położyć kres gadaniu. Warknął, że królowa próbuje ratować im tyłki na własne sposoby i gdyby zechciała, by Erawan o wszystkim się dowiedział, z pewnością podzieliłaby się tą informacją, tym bardziej że ma w armii samych plotkarzy.

Wyciszyło to szemranie, ale tylko na chwilę. Dla ludzi liczyło się to, że Aelin nie przybyła, by ich bronić. Pozostawiła ich na rzeź.

Aedion w głębi duszy zgadzał się z nimi. Zastanawiał się, czy nie należałoby zapomnieć o trzecim Kluczu i wykorzystać dwa posiadane, by zmieść wrogie armie, zamiast niszczyć najpotężniejszą broń celem wykucia Zamka.

Niech to szlag, rozplakałby się z radości nawet na widok Doriana Havilliarda, który również dysponował wielką mocą. Król zmiatał ilkeny z nieba i łamał im karki, nawet ich nie dotykając. Złożyłby mu przysięgę na wierność, gdyby ten przybył, by ich uratować.

Armia Morath dogoniła ich w południe. Jej ogrom rozlał się po horyzoncie na podobieństwo burzy, która zmierzała, by pochłonąć miasto.

Generał ostrzegł lud Perranthu przed tym, co ich czeka. Poradził im, by uciekli do Dębowej Puszczy, jeśli są w stanie. Zamknięcie się w zamku na niewiele im się zda, gdyż ten nie był przygotowany na długie oblężenie. Sam zastanawiał się nad tym, czy jakoś nie wykorzystać go podczas bitwy, ale musieli oprzeć swą nadzieję na zamarznątej rzece. Aedion nie mógł pozwolić na to, by zapędzono ich do pułapki, w której czekała ich tylko powolna śmierć.

Znikąd nie mogli się spodziewać pomocy. Rolfe nie dawał znaku życia, Galan poniósł straty, jego flota została rozproszona wzdłuż wybrzeża, a o reszcie sił Ansel nie było wieści.

Odepchnął te fakty jak najdalej od siebie. Z poważną miną jechał konno wzdłuż pierwszych szeregów, dokonując inspekcji. W mroźnym powietrzu unosił się zapach strachu, wodzące za nim oczy błyszczały przerażeniem.

Żołnierze Zguby zaczęli tłuc mieczami o tarcze. Równy rytm uderzeń zagłuszał tupot stóp nadciągających żołdaków Morath.

Aedion nie szukał wzrokiem zmiennokształtnej w szeregach. Nad masami wrogich wojsk unosiły się ilkeny i przypuszczał, że Lysandra w pierwszej kolejności rzuci się na nie.

Wstrzymał konia w samym środku armii. Skuta lodem rzeka Lanis niemalże niknęła pod zwałami śniegu, który spadł zeszłej nocy, ale żołnierze Morath byli świadomi jej istnienia. Książęta Valgów dokładnie zapoznali się z rzeźbą terenu. Co więcej, z pewnością wiedzieli też wszystko o nim, znali jego fortele i możliwości. Przeczuwał, że przyjdzie mu się spotkać na polu walki z którymś z nich, być może ze wszystkimi. To nie mogło się dobrze skończyć.

Nie miał jednak nic przeciwko temu, pod warunkiem że podejmą próbę przekroczenia rzeki. Endymion i Sellene, jedyni Fae, którym pozostało odrobinę mocy, stali tuż za pierwszymi szeregami Zguby.

Czuł spojrzenia swych ludzi między łopatkami i na potylicy chronionej hełmem. Nie przygotował dla nich żadnej mowy. Żadna mowa nie była w stanie uchronić dziś ludzi przed śmiercią.

Wyciągnął więc miecz Orynthu, uniósł tarczę i dołączył do rytmu wybijanego przez Zgubę. Cały swój upór i całą wściekłość włożył w uderzenia starożytnego miecza o pogiętą, metalową tarczę. Tarczę Rhoe.

Nigdy nie powiedział o tym Aelin. Chciał zaczekać z tym do powrotu do Orynthu. Dopiero wtedy pragnął jej wyjawić, że tarcza, którą nosił i której nigdy nie zgubił, kiedyś należała do jej ojca. A przed nim do wielu innych dzielnych wojowników.

Nie miała imienia i nawet Rhoe nie wiedział, jak bardzo jest stara. Była jedyną rzeczą, którą Aedion zabrał z komnaty Rhoe, gdy dopadły go wieści o wymordowaniu jego rodziny, a później nikomu nie

wyjawił, skąd ją ma. Nie chciał, by wiadano.

Nawet Darrow jej nie rozpoznał. Nikt nie zwracał uwagi na zwykłą, prostą tarczę na plecach Aediona, która przypominała mu, co utracił i czego będzie bronił do ostatniego oddechu.

Żołnierze sojusznicznych oddziałów podchwycili rytm. Tymczasem armia Morath zbliżyła się już do brzegu rzeki. Chrapliwe rozkazy dwóch konnych książąt Valgów pchnęły pierwszą linię piechoty na lód, a ilkeny czekały pośrodku formacji, aż obrońcy zaczną opadać z sił.

Ren Allsbrook i ocaleli łucznicy kryli się za szeregami piechoty, biorąc skrzydlate bestie na cel.

Aedion i pozostali bez końca tłukli mieczami o tarcze.

Armia Morath wlewała się na lód.

Aedion utrzymywał rytm. Ich wróg jak dotąd nie zdawał sobie sprawy, że czyniony przez nich hałas ma jeszcze jeden cel.

Brzęk oręża zagłuszał odgłos pękania lodu.

Armia wroga dotarła niemalże na środek nurtu.

Enda i Sellene nie potrzebowali żadnych rozkazów. Nad lodem przemknął wiatr, który nagle zawrócił i uderzył prosto między rozszerzające się szczeliny. Kolejne podmuchy rozepchnęły wielkie kawałki kry, po czym zaczęły je rozbijać na mniejsze.

W jednej chwili ogromna, maszerująca ku nim armia Morath pogrążyła się w falach rzeki. Powietrze wypełniły ryki, wrzaski i wściekły plusk wody.

Ilkeny wystrzeliły ku niebu, by łapać żołnierzy tonących pod ciężarem zbroi.

Ren Allsbrook czekał jednakże w gotowości. Wykrzyknął rozkaz i łucznicy jak jeden mąż posłali strzały w bezbronne, widoczne ilkeny. Pociski rozrywały im skrzydła i potwory bezwładnie spadały do wody, po czym tonęły, tu i ówdzie wciągane przez rozpaczliwie miotających się tonących.

Książęta Valgów jednocześnie unieśli dłonie, jakby dzielili ten sam umysł. Reszta armii zatrzymała się na brzegu i patrzyła, jak ich bracia toną, a Endymion i Sellene rozrywają lód, by ten znów nie zamarznął.

Aedion odważył się uśmiechnąć.

Spojrzał na obu książąt, którzy uśmiechali się do niego z przeciwnego brzegu. Jeden z nich uniósł dłoń i musnął czarny naszyjnik. Obiecywał mu, co go spotka.

Aedion ukłonił im się szyderczo, zachęcając do działania.

„Proszę bardzo” – mówiło jego spojrzenie.

Z Fae wreszcie uszła moc, a nad tonącymi ludźmi natychmiast powstała warstwa lodu, więząc ich na zawsze w ciemnych głębinach.

Książęta Valgów dmuchnęli czarnym wiatrem, a ich podwładni, jakby nic się nie stało, ruszyli przed siebie, ignorując pięści, walące w lód od spodu.

Aedion podjechał do Kylliana i Elgana, którzy czekali na swych wierzchowcach za pierwszym szeregiem wojska. Dwa tysiące wrogów pograżyło się w rzece, by nigdy z niej nie wyjść. Dwa tysiące. Ledwie garstka.

Aedion nie wiedział, co powiedzieć swoim oficerom, ludziom, którzy znali go przez większość życia, być może lepiej niż ktokolwiek inny na świecie. Oni również milczeli.

Gdy hordy Morath dotarły wreszcie na ich brzeg, unosząc miecze błyszczące w szarości dnia, Aedion ryknął i rzucił się do szarży.

Ilkeny wiedziały już, że ich przeciwnika wspiera istota zmiennokształtna, która lubi zmieniać się w wywernę. Lysandra zdała sobie z tego sprawę, gdy rzuciła się do ataku na trzy spośród nich.

Trzy inne już czekały, kryjąc się w zastępach maszerującej hordy. Klasyczna pułapka.

Zdołała rozbić dwóm łby najeżonym kolcami ogonem, ale atakujące zewsząd łapy z zatrutymi kolcami zmusiły ją do ucieczki. Pociągnęła za sobą skrzydlate bestie ku liniom własnej armii, gdzie wnet znalazły się w zasięgu łuczników Rena.

Ci zdołali je zestrzelić dosłownie w ostatniej chwili. Groty podziurawiły bestiom skrzydła, co pozwoliło Lysandrze zawrócić i rozszarpać im karki. Cielska ilkenów runęły ku ziemi, a Lysandra pomknęła w ślad za nimi, przeobrażając się tuż przed wylądowaniem.

Już pod postacią widmowego lamparta rzuciła się na wrogich wojowników, napierających na mur tarcz Terrasenu.

Szkolenie bojowe Zguby nie przydawało się na wiele w walce przeciwko tak ogromnej przewadze. Nie wspierali ich już Fae ani Milczący Zabójcy, nie pomagały miecze nielicznych już wojowników Galana i Ansel.

Dlatego Lysandra szalała. Szarpała, cięła, rozrywała, nie ustając, choć czarna zółć przepalała jej gardło. Śnieg pod jej łapami zamienił się w błoto. Piętrzyły się trupy, a ludzie i Valgowie wrzeszczeli.

– Trzymać prawą flankę! – wrzeszczał Aedion.

Zerknęła w tamtym kierunku. Ilkeny skupiły swe uderzenia na tym odcinku, siejąc śmierć i truciznę.

Naraz dobiegł kolejny rozkaz księcia:

– Lewa flank! Trzymać lewą!

Aedion przesunął część żołnierzy Zguby, by wzmocnić chwiejące się fragmenty, ale to nie wystarczyło. Ilkeny wdzierały się w głąb kawalerii. Konie rżały przeraźliwie, gdy zatrute szpony wyszarpywały im wnętrzności, a jeźdźcy ginęli, przygniecenii ich ciężarem.

Aedion galopował wzdłuż lewej flanki, prowadząc garść ludzi.

Lysandra przedzierała się przez gąszcz wrogów. Strzały śmigają w powietrzu z obu stron.

Morath nadal napierał. Coraz mocniej i mocniej, spychając Zgubę niczym kłodę przegradzającą ścieżkę. Lysandrze płonęły płuca, bolały ją nogi, ale nie przestawała walczyć. Czowała, że jeśli napór nie osłabnie, ich armia pójdzie w rozsypkę przed zachodem słońca. Inni też najwyraźniej sobie to uświadamiali. Wystarczyło spojrzeć na tysiące demonów, czekających w równych szeregach, by włączyć się do walki.

Niektórzy żołnierze wycofywali się już z pierwszej linii. Inni zostawiali tarcze i rzucali się do ucieczki, a wróg wykorzystał sposobność i niczym fala wdzierająca się na brzeg uderzył w pierwsze szeregi, prosto w centrum, które nie zachwiało się jak dotąd ani razu. Przebił się przez nich.

Zapanował chaos.

Ryk Aediona zdawał się dobiegać z samego serca piekła.

– Wzmocnić środek!

Rozkaz przeszedł bez echa.

Szyk Zguby kruszył się i łamał. Ansel wrzeszczała na uciekających wojowników, by wracali do walki, Galan czynił to samo. Ren usiłował powstrzymać łuczników, ale ci też porzucali już stanowiska.

Lysandra rozerwała łydki jednemu z żołdaków wroga, a potem gardło innemu. Nikt z żołnierzy Terrasenu nie dotrzymywał jej kroku, by odrąbywać poległym głowy.

Nikt.

Koniec. Nastął koniec.

Aedion wyzwał ją od bezużytecznych.

Lysandra spojrzała na ilkeny, uczujące wśród trupów na prawej flance, i już wiedziała, co należy zrobić.

Aedion wyobrażał sobie, że zginą na polu bitwy, walcząc ramię w ramię aż do samego końca. Nie przyszło mu nawet do głowy, że śmierć czeka ich podczas rozpaczliwej ucieczki.

Podczas ostatniego, decydującego uderzenia, które pokonało nawet opór Zguby, został zepchnięty daleko za pierwszy szereg. Wnet uświadomił sobie, że lada moment ich klęska zostanie przypieczętowana.

Z tyłów wciąż nadlatywały strzały, co oznaczało, że Renowi udało się zapanować nad uciekającymi łucznikami, choćby po to, by osłonić odwrót.

Nie był to zorganizowany marsz na północ. Nie, żołnierze biegli przed siebie, rozpychając się. Haniebny koniec, niegodny opowieści, niegodny jego królestwa.

„Nie pójdę w ich ślady – pomyślał. – Będę walczył, póki mnie nie ubiją”.

Mijały go tysiące uciekających, przerażonych ludzi, a siły Morath już podjęły pościg. Książęta Valgów uśmiechali się, oczekując pewnej uczt.

Koniec. Koniec dopadł ich na bezimiennej równinie niedaleko Perranthu.

Wtedy wśród pękających szeregów rozległ się krzyk. Biegący zatrzymywali się i odwracali głowy. Aedion przebił jakiegoś wroga i wtedy dotarło do niego, co właśnie usłyszał.

– Królowa powróciła! Królowa walczy w pierwszym szeregu!

Przez jedno uderzenie serca jak ostatni głupiec rozglądał się po niebie w poszukiwaniu rozbłysku ognia, ale niczego nie dostrzegł. Wtedy zawładnął nim strach, o wiele większy niż kiedykolwiek wcześniej.

– Królowa walczy na prawej flance!

„Lysandra...”.

Lysandra przeistoczyła się w Aelin.

Aedion odwrócił się ku nieistniejącej już prawej flance. W tej samej chwili złotowłosa królowa w pożyczonej zbroi, uzbrojona w miecz i tarczę, stanęła naprzeciwko dwóch ilkenów.

„Nie...”.

Słowo to uderzyło w niego z siłą obucha młota, mocniej niż kiedykolwiek wcześniej. Rzucił się do biegu, przepychając się wśród swoich ludzi. Biegł w stronę prawego skrzydła, które nagle znalazło się zbyt daleko. Ku zmiennokształtnej stojącej przed ilkenami, uzbrojonej jedynie w miecz i tarczę.

„Nie”.

Odpychał ludzi. Śnieg zmieszany z błotem lepił mu się do butów, spowalniał jego kroki. Ilkeny zbliżyły się do królowej, rozkoszując się tą chwilą.

Ale żołnierze zwalniali i przestawali uciekać. Niektórzy nawet na nowo utworzyli szeregi, tym bardziej że znów poniosły się krzyki:

– Królowa wróciła! Walczy na pierwszej linii!

A więc to nią kierowało. Z tego względu przybrała bezbronne ludzkie ciało.

„Nie”.

Ilkeny górowały nad nią. Ich potworne, okaleczone twarze deformowały upiorne uśmiechy.

Był za daleko. Był, cholera, nadal za daleko, by...

Jeden z ilkenów zamachnął się długim, pazurzastym ramieniem. Lysandra wrzasnęła, gdy zatrute szpony rozorały jej udo. Krzyk przebił zgiełk bitwy.

Padła, zasłaniając się tarczą.

Biegnący Aedion odwołał wszystko.

W okamgnieniu wyrzekł się wszystkiego, co kiedykolwiek jej zarzucił, wyparł się każdej chwili gniewu. Przedzierał się między swoimi ludźmi, nie mogąc oddychać, nie mogąc myśleć.

Odwołał wszystko. Niczego nie mówił na poważnie. Niczego.

Lysandra próbowała się podnieść i stanąć na rannej nodze. Ilkeny

zanosły się śmiechem.

– Proszę! – ryknął Aedion, choć jego krzyk utonął wśród wrzasków umierających. – Błagam!

Gotów był teraz na każdy układ, zgodziłby się nawet oddać duszę najmroczniejszemu z bogów, jeśli ten by ją ocalił.

Niczego nie mówił na poważnie. Odszczekiwał wszystkie swe słowa, wszystkie zarzuty.

Wyzwał ją od bezużytecznych. Wyrzucił nagą na śnieg.

Nie chciał tego.

Biegł, szlochając, a Lysandra usiłowała się podnieść, wspierając się na tarczy. Ludzie tłoczyli się dookoła, chcąc ujrzeć to, co robi Niosąca Ogień. Chcąc zobaczyć, jak spali ilkeny.

Nie było tam jednak nic do oglądania. Zupełnie nic poza jej śmiercią.

Mimo to Lysandra podnosiła się. Złociste włosy Aelin przesłoniły jej twarz, gdy uniosła tarczę i wycelowała mieczem w ilkeny.

– Królowa wróciła! Królowa walczy sama!

Ludzie zawracali, cofali się, zwierali szyki. Lysandra, uparta, zawzięta, wściekła, celowała mieczem w ilkeny.

Gotowa na nadciągającą śmierć.

Była na nią gotowa od samego początku. Gdy przystała na plan Aelin, wiedziała, że musi do tego dojść.

Wystarczyłaby chwila, by zmienić się w wywernę. Wówczas zniszczyłaby ilkeny bez trudu, ale mimo to nadal trwała w ciele Aelin. Nadal trzymała miecz, teraz swą jedyną broń.

Jej domem było Terrasen. Jej królową była Aelin.

Lysandra gotowa była umrzeć, byle powstrzymać odwrót tej armii. Byle zatrzymać paniczną ucieczkę żołnierzy. Byle skrzyknąć ich po raz ostatni.

Krew z jej rany na nodze wnikała w śnieg. Ilkeny węszyły przez chwilę i znów parsknęły śmiechem. Wiedziały już, co mieszka pod jej skórą. Wiedziały, że nie mają do czynienia z prawdziwą królową.

Ta jednakże stała niewzruszenie. Nie cofnęła się nawet o krok przed

nadciągającymi potworami.

Za Terrasen. Za Aelin.

Aedion cofał wszystko. Błagał w myślach o wybaczenie.

Wciąż miał do przebycia jakieś trzydzieści metrów, gdy ilkeny zaatakowały.

Krzyknął, gdy ten po lewej zamachnął się szponami, a jego towarzysz po prawej skoczył prosto na Lysandrę, jakby chciał przewrócić ją na śnieg. Zmiennokształtna odbiła pazury tarczą, a potem z głośnym rykiem cięła ku górze.

Rozpruła ciało potwora od pępka po mostek.

Buchnęła czarna krew, a ilken wrzasnął tak głośno, że Aedionowi zabręczało w uszach. Potwór potknął się i runął na ziemię, ściskając łapami brzegi rany.

Dziesięć metrów. Przestrzeń między nimi oczyściła się. Aedion przyspieszył.

Ilken, którego odrzuciła tarczą, zerwał się i wykorzystując chwilę nieuwagi Lysandry, runął ku jej nogom. Dziewczyna obróciła się ku niemu i znów zaczęła się cofać, zasłaniając się tarczą, a wówczas Aedion cisnął Mieczem Orynthu ze wszystkich sił, jakie pozostały mu w ramieniu.

Ociekające jadem szpony musnęły jej nogę w chwili, gdy miecz wbił się potworowi w czaszkę.

Lysandra padła na śnieg, krzycząc z bólu. Aedion przypadł do niej, podniósł ją, wyszarpnął miecz z głowy ilkena i rąbnął go po muskularnym karku, raz, drugi, trzeci. Łeb potwora odtoczył się w śnieg i błoto.

Żołdacy Morath, którzy zatrzymali się, by przypatrzeć się walce, spojrzeli na królową i jej generała, po czym rzucili się do natarcia.

W tej samej chwili zderzyli się z desperackim natarciem obrońców Terrasenu, którzy z okrzykami bojowymi przeszli do kontrataku.

Aedion na pół niósł, na pół włókł zmiennokształtną na tyły, za odradzające się szeregi żołnierzy, którzy zwierali szyki wokół swej królowej. Musiał oczyścić jej rany z trucizny, musiał natychmiast odnaleźć uzdrowiciela, który był w stanie tego dokonać. Zostało

zaledwie kilka minut, nim jad dotrze do serca... Lysandra potknęła się z jękiem.

Aedion zawiesił tarczę na plecach i zarzucił sobie dziewczynę na ramię. Zerknął przy tym na jej skaleczenie i dostrzegł rozerwaną, zaczerwienioną skórę, ale ani odrobiny zielonkawej mazi. Może jednak bogowie wysłuchali jego modlitw. Może tak właśnie wyglądała ich definicja miłosierdzia – jad ilkena stracił swą moc, zanim wniknął do rany. Mimo to Lysandra z każdą chwilą traciła coraz więcej krwi...

Aedion przycisnął dłoń do rany, by zatamować krwotok. Lysandra znów jęknęła.

General rozejrzał się w poszukiwaniu kogoś z białą opaską na hełmie, tradycyjnym znakiem uzdrowiciela, ale wśród zwierających szyki żołnierzy nikogo takiego nie dostrzegł. Nikogo. Zwrócił się w stronę pierwszych szeregów. Może gdzieś tam był jakiś wojownik Fae, któremu została odrobina magii...

Naraz zatrzymał się jak wryty, gdy dostrzegł coś nowego na horyzoncie.

Żelaznozębne.

Kilka tuzinów wieźm na wywernach.

Te jednak, miast szybować wśród obłoków, szły po ziemi i ciągnęły za sobą ogromną, kamienną wieżę.

Nie była to bynajmniej zwykła wieża obłąnicza. Konstrukcja wyrastała z platformy, zasłoniętej przez nachylenie terenu i wlekące ją wywerny, a pięła się na trzydzieści metrów ku niebu. W powietrzu eskortowało ją kilkanaście innych wywern. Wykonano ją z ciemnego kamienia – bez wątplenia Kamienia Wyrda – a na każdym poziomie znajdowały się wąskie okienka. Aedion pamiętał słowa Manon Czarnodziobej i znał przeznaczenie tych machin. Okienka służyły do miotania mocą, wzbudzoną przez rzędy luster znajdujących się w środku. Dzięki nim wieża mogła prowadzić ogień w każdym kierunku.

Wieżmy potrzebowały jedynie źródła mocy dla zwierciadeł, by te pchnęły śmiertcionośny ładunek na świat.

„Och, na bogów...”

– Odwrót! – wrzasnął Aedion, choć jego ludzie nadal się

przegrupowywali. – Odwrót!

Obdarzony wzrokiem Fae, widział już najwyższe piętro wieży, gdzie okienka były szerzej otwarte. Dostrzegł przez nie wiedźmy w czarnych szatach, które zgromadziły się wokół zakrzywionego zwierciadła, skierowanego do wnętrza wieży. Odwrócił się i rzucił się do biegu, niosąc zmiennokształtną.

– Odwrót!

Żołnierze dostrzegli już to co on. Trudno było powiedzieć, czy zdawali sobie sprawę, iż nie jest to zwykła wieża oblężnicza, ale zrozumieli jego rozkaz. Co więcej, widzieli, jak biegnie z Aelin na ramieniu.

Manon nie знаła zasięgu wieży, ale nigdzie dookoła nie było żadnej kryjówki. Żadnych zagłębień, gdzie Aedion mógłby schronić się wraz z Lysandrą i modlić się, by impet przeszedł nad nimi. Widział jedynie śnieg i przerażonych ludzi.

– Odwrót! – zdierał sobie gardło.

Spojrzał przez ramię. Wiedźmy na szczycie wieży rozstały się, by przepuścić niewielką postać w czarnych szatach i z rozwianymi włosami. Naraz wokół niej zaczęło się gromadzić czarne światło. Uniosła ręce ku niebu. Jej moc gęstniała.

Uwolnienie.

Manon Czarnodzioba opisała im ten proces i Aedion wiedział, że to jedyna forma mocy, jaką dysponowały Żelaznozębne. Potrafiły wyzwolić moc swej mrocznej bogini w jednym straszliwym wybuchu, który niszczył wszystko wokół nich razem z samą wiedźmą.

Ciemna moc przybierała na sile i tworzyła wokół wiedźmy samobójczynie nieczystą, gęstą aurę, aż ta podeszła do skraju schodów, prowadzących w dół wieży.

Aedion nie przestawał biec. Nie miał wyboru. Musiał.

Wiedźma zeskoczyła w dół, ku rzędom luster znajdujących się na ścianach wieży, po czym uwolniła pełnię mocy.

Świat zadrżał.

Aedion cisnął Lysandrę w śnieg oraz błoto i nakrył ją własnym ciałem, jakby w ten sposób mógł ją ocalić przez ryczącym żywiołem,

który wiedźmia wieża posłała prosto w jego armię. Wystarczyło jedno uderzenie serca, by ciemne światło zamieniło cztery tysiące żołnierzy lewej flanki w popiół i pocięty metal.

Siły kagana zadały armii Morath cios tak potężny, że umilkły kotły.

Nie świadczyło to jeszcze o całkowitej klęsce wroga, ale wystarczyło, by w krokach ciężko utykającego Chaola pojawiła się lekkość, gdy wchodził do wielkiego namiotu wojennego księżniczki Hasar. Jej *sulde* była wbita w ziemię, a wiatr znad jeziora unosił przywiązaną do niej kité dereszowatego końskiego włosia. Obok w zimnym błocie tkwiła włócznia Sartaqa, a dalej, obok broni następcy tronu...

Wsparty na lasce Chaol zatrzymał się i przyjrzał hebanowej włóczni udekorowanej atramentowoczarным włosiem, wciąż lśniącem pomimo wieku. Tradycja miała źródło w zwyczajach Darghanów – oręż nie reprezentował żadnego z książąt, którzy znajdowali się w środku, ale tego, komu służyli.

„Jasne włosie na czas pokoju, a ciemne na czas wojny”.

Chaol nie zdawał sobie sprawy z tego, że kagan wręczył swemu następcy czarną włócznię na czas kampanii.

Yrene, której strój również był zbryzgany krwią, zatrzymała się obok męża. Podróżowali z armią kagana przez wiele tygodni, ale dowód tak wielkiego zobowiązania do wojny na ich kontynencie odebrał im dech. Ta włócznia patronowała stuleciom podbojów i była niemalże święta.

„Nie – poprawił się w myślach Chaol. – Ona jest święta”.

Położył dłoń na plecach Yrene i wprowadził ją do bogato zdobionego namiotu. Choć Hasar przywiodła siły kagana dosłownie w ostatnim momencie, jakoś zdołała wznieść swój królewski namiot.

Chaol wsparł ubłoconą laskę na deskach drewnianego podestu, zacisnął zęby i z trudem pokonał stopień. Nawet miękkie dywany, którymi wyścielono deski, nie załagodziły bólu, który przeszył jego nogi i plecy.

Zatrzymał się, ciężko wsparty na lasce i oddychał przez moment, zbierając siły do kolejnego kroku. Brudna od krwi twarz Yrene

spoważniała.

– Znajdźmy ci jakieś krzesło – mruknęła, a Chaol pokiwał głową. Marzył o tym, by spocząć, choćby na kilka minut.

Nesryn, która weszła za nimi i najwyraźniej usłyszała sugestię Yrene, podeszła do biurka, przy którym stali Sartaq i Hasar, i przyniosła dla niego rzeźbione, drewniane krzesło. Skinął jej głową i usiadł z ulgą.

– Wybacz, złotej kanapy nie mamy – zadrwiła Hasar, a na twarzy Yrene obok plam zaschniętej krwi wykwitnął rumieniec. Machnięciem ręki zbyła komentarz przyjaciółki.

Kanapa, którą Chaol zabrał ze sobą z południowego kontynentu – ta sama, na której leczyła jego uraz, a on zdobył jej serce – nadal znajdowała się na pokładzie statku. Oboje postanowili, że będzie to pierwszy mebel w domu, który Chaol zbuduje dla swej żony. Dla dziecka, które nosiła.

Yrene stanęła przy jego krześle, a Chaol ujął jej szczupłą dłoń. Spletli palce, brudne i zakrwawione, ale nie przeszkadzało mu to. Jej zresztą też nie, sądząc po sile, z jaką je zacisnęła.

– Przewyższamy żołdaków Morath liczebnie – rzekł Sartaq, chroniąc ich przed kolejnymi kpunami siostry. – Ale trzeba się dobrze zastanowić nad tym, jak rozdzielić ich siły, by dostać się do miasta. Nie stać nas na wielkie straty.

Prawdziwa wojna wciąż bowiem na nich czekała, zupełnie jakby okropne dni oblężenia i rozlewu krwi były zaledwie preludium.

– Mądrze mówisz – stwierdziła Hasar.

Sartaq skrzywił się lekko.

– A wszystko mogło się skończyć zupełnie inaczej – rzekł. Widząc uniesione brwi Chaola i Hasar, dodał: – Przybywasz w porę, siostro. Poważnie zastanawiałem się już nad rozbiciem tamy i zalaniem równiny.

– Naprawdę? – Chaol drgnął.

Książę potarł szyję.

– Tak, choć wiem, że to desperacki manewr.

W istocie. Uwolniona w ten sposób fala pochłonęłaby część miasta,

równinę, gorące źródła i wielkie połacie terenu za nimi. Każda armia stojąca na jej drodze zostałaby zmieciona. Wody mogłyby dotrzeć nawet do oddziałów kagana, zmierzających na odsiecz twierdzy.

- No to cieszymy się, że do tego nie doszło – powiedziała Yrene, która również pobladła na myśl o zniszczeniu. Nie mogła wprost uwierzyć w to, jak niewiele dzieliło ich od kataklizmu.

Sartaq w szczerych słowach przekazał swej siostrze, że choć został mianowany następcą tronu, byłby w stanie popełnić błąd, a więc powinni uważnie przemyśleć każdy plan, nawet jeśli na pierwszy rzut oka będzie wydawał się prosty. Hasar najwyraźniej pojęła przekaz, gdyż pokiwała głową.

Ktoś odkaszlnął na progu namiotu. Odwrócili się i ujrzeli jednego z dowódców Darghanów, zaciskającego włócznie w zbryzganej błotem dłoni.

- Ktoś chce się z wami zobaczyć, szlachetni – wymamrotał.

Żadne z dzieci kagana nie zapytało o imię przybysza. Gestem nakazali kapitanowi, by go wprowadził.

Chwilę później Chaol był wdzięczny losowi, że siedzi.

- Na bogów – szepnęła Nesryn.

Chaol w duchu zgodził się, że trudno by znaleźć lepsze słowa na powitanie Aelin Galathynius, Rowana Białego Ciernia oraz kilku innych, którzy weszli do namiotu. Byli brudni od błota, a jasne, zaplecione w warkocz włosy królowej Terrasenu były dłuższe niż podczas ich ostatniego spotkania. Jej oczy zaś... Spojrzenie nadal pozostawało ogniste, ale kryło się w nim coś nowego. Starszego. Znużonego.

Zerwał się na równe nogi.

- Myślałem, że jesteś w Terrasenie! – wypalił.

Wszak potwierdzały to wszystkie raporty wywiadu! Tymczasem Aelin stała przed nim, a za nią nie było żadnej armii. Towarzyszyło jej natomiast trzech innych Fae, równie potężnych i dobrze zbudowanych jak Rowan, oraz drobna, ciemnowłosa kobieta, która pochodziła z rasy ludzi.

Aelin jednakże widziała tylko jego. Patrzyła nań bez końca, a w namiocie zapadła cisza. Po policzkach królowej spływały łzy.

„Nie przez to, że tu dotarłem – uświadomił sobie Chaol, gdy ujął laskę i zrobił krok ku niej. – A przez to, że stoję. I chodzę”.

Młoda królowa wybuchnęła urywanym śmiechem radości i zarzuciła mu ramiona na szyję. Chaola natychmiast przeszła kolejna fala bólu, ale zniósł ją mężnie i objął Aelin mocno. Wszelkie pytania, jakie chciał jej zadać, natychmiast umknęły.

Gdy odsunęli się od siebie, Aelin drżała na całym ciele.

– Wiedziałam – wyszeptała. Spojrzała na jego nogi i znów na niego.
– Wiedziałam, że ci się uda.

– Sam tego nie dokonałem – odparł chrapliwym głosem, po czym przelknął ślinę, wypuścił Aelin i wyciągnął rękę za siebie. Wskazywał stojącą tam kobietę, która zacisnęła dłoń na naszyjniku. Nie miał pojęcia, czy Aelin ją pamięta i czy to spotkanie wiele lat temu miało dla niej jakiegokolwiek znaczenie, ale mimo to gestem zaprosił Yrene, by podeszła bliżej. – Aelin, pozwól, że ci przedstawię...

– Yrene Towers – szepnęła królowa, gdy uzdrowicielka stanęła u boku Chaola.

Obie kobiety wpatrywały się w siebie. Usta Yrene drżały, gdy otworzyła wisiorek i drżącymi rękami wydobyła z niego kawałek papieru, po czym podała go królowej. Dłonie Aelin również lekko dygotały, gdy go ujęła.

– Dziękuję – szepnęła Yrene.

Chaol pomyślał, że w tej sytuacji trudno było powiedzieć coś więcej.

Aelin rozwinęła kartkę i odczytała napisane przez siebie słowa. Patrzyła na zagięcia, powstałe na skutek wielokrotnego otwierania i zamykania listu przez ostatnie lata.

– Udałam się do Torre – powiedziała łamiącym się głosem Yrene. – Wzięłam pieniądze, które mi zostawiłaś, i udałam się do Torre. Tam doszłam do pozycji dziedziczki Najwyższej Uzdrowicielki, a teraz powróciłam, by zrobić wszystko, co mogę. A lekcje samoobrony, których udzieliłaś mi tamtej nocy, przekazałam każdej uzdrowicielce, którą poznałam. Nie zmarnowałam niczego. Ani miedziaka. Ani minuty życia, które mi kupiłaś. – Po twarzy Yrene toczyły się łzy. – Niczego nie zmarnowałam.

Aelin zamknęła oczy, uśmiechając się przez własne łzy, a gdy znów rozchyliła powieki, ujęła drżące dłonie Yrene.

– Pora, bym teraz ja ci podziękowała.

Potem jej wzrok padł na obrączkę na palcu Yrene, a gdy spojrzała na Chaola, na jej twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

– Już nie Yrene Towers – rzekł cicho mężczyzna – ale Yrene Westfall.

Aelin parsknęła radosnym śmiechem, a Rowan stanął u jej boku.

Yrene zadarła głowę, nie mogąc się nadziwić jego potężnym rozmiarom, i zaniemówiła na widok jego ostro zakończonych uszu, tatuaży i nieco wydłużonych kłów.

– A więc pozwól, lady Westfall, że przedstawię cię mojemu mężowi. Oto ksiązę Rowan Biały Cierń Galathynius.

Na palcu królowej w istocie widniał pierścień ślubny ze szmaragdem, ubrudzonym nieco od błota, ale wciąż lśniącym. Rowan nosił pierścień z rubinem.

– Mój towarzysz życia – dodała Aelin i zamrugła do niego zalotnie.

Ksiązę wywrócił oczami, ale widać było, że nie może powstrzymać uśmiechu. Z szacunkiem uklonił się Yrene.

Ta odpowiedziała podobnym gestem, na co Aelin parsknęła:

– Nawet o tym nie myśl. Poprzewracasz mu tylko w tym jego nieśmiertelnym łbie.

Yrene zarumieniła się lekko.

Aelin spoważniała i pokazała jej podaną sobie kartkę.

– Mogę to zachować? – Naraz dostrzegła naszyjnik. – Chyba, że trzymasz go tam i...

– Nie. – Yrene zamknęła dłonie wokół palców królowej, trzymających list. – Ta kartka należy do ciebie. Od zawsze. To skrawek twej odwagi, który pomógł mi odnaleźć moją własną.

Aelin potrząsnęła głową, jakby chciała zaprzeczyć, ale uzdrowicielka mocniej zacisnęła własne dłonie na jej rękach.

– Napisane przez ciebie słowa natchnęły mnie odwagą. Dodawały mi sił podczas każdego pokonywanego kilometra, każdej godziny

nauki czy pracy. I za to też ci dziękuję.

Aelin z trudem przełknęła ślinę, a Chaol wykorzystał sposobność, by znów usiąść. Jego plecy zareagowały przyjemnym mrowieniem.

– Jest tu ktoś jeszcze, kto pomógł w sprowadzeniu tej armii – zwrócił się do królowej i wskazał uśmiechniętą Nesryn. – To, że pod Anielle dotarła armia, a nieba strzegą ruki, zawdzięczać należy jej w tym samym stopniu co mnie.

Oczy Aelin zaiskrzyły się. Obie kobiety objęły się mocno.

– Chcę usłyszeć całą opowieść – rzekła Aelin. – Co do słowa.

Nesryn uśmiechnęła się szerzej.

– I tak też będzie, ale nie teraz.

Aelin zacisnęła dłoń na jej ramieniu i odwróciła się do Hasar i Sartaqa, którzy nadal stali przy biurku. Choć oboje byli brudni od błota, robili równie szlachetne wrażenie jak sama królowa.

– A Dorian? – odezwał się Chaol. – Co z nim?

– Nie ma go z nami – odparł Rowan i spojrzał na obu członków rodziny kagana.

– Towarzyszy Manon – powiedziała Aelin po prostu. Chaol nie wiedział, czy ta wiadomość miała mu przynieść ulgę. – Szukają czegoś ważnego.

„Kluczy. Na bogów...”.

Aelin pokiwała głową.

„Później – uznał Chaol. – Później będę się zastanawiał nad tym, gdzie przebywa Dorian”.

Aelin znów pokiwała głową. Tak, na dłuższą opowieść czas przyjdzie później.

– Pozwól, że przedstawię ci księżniczkę Hasar i księcia Sartaqa – odezwała się Nesryn.

Aelin złożyła im głęboki ukłon.

– Jestem wam winna dozgonną wdzięczność – rzekła iście królewskim głosem.

Jeśli widok kłaniającej się królowej wzbudził zaskoczenie Sartaqa

i Hasar, ukryli to starannie i odpowiedzieli, kłaniając się z dworską kurtuazją.

– Mój ojciec pozostał w kaganacie, by pilnować naszej ojczyzny wraz z naszym bratem Arghunem i siostrą Duvą – rzekł Sartaq. – Ale nasz drugi brat Kashin płynie tu z resztą armii. Wyruszył niecałe dwa tygodnie po nas.

Aelin zerknęła na Chaola, a ten pokiwał głową. Coś błysnęło w oczach królowej, po czym uniosła głowę i spojrzała na Hasar.

– Otrzymałaś mój list? – spytała.

Miała na myśli ten wysłany wiele miesięcy temu, w którym prosiła o pomoc, a w zamian obiecywała tylko lepszy świat. Hasar skubnęła paznokiec.

– Być może. Dostaję o wiele za dużo listów od innych księżniczek i trudno mi je później spamiętać, a co dopiero na nie odpowiedzieć.

Aelin uśmiechnęła się, jakby we dwie władały językiem, którego nikt inny nie rozumiał, szczególnym szyfrem przeznaczonym dla dwóch równie dumnych i aroganckich kobiet. Królowa skinęła na swoich towarzyszy.

– Chciałabym przedstawić moich przybocznych. Oto lord Gavriel z Doranelle.

Ciemnooki, złotowłosy wojownik złożył ukłon. Jego dłonie i szyję pokrywały tatuaże. Poruszał się z wdziękiem.

– Można rzec, że to mój wuj – dodała Aelin i uśmiechnęła się lekko do Gavriela, a widząc zmarszczone brwi Chaola, dodała: – Gavriel jest ojcem Aediona.

– Cóż, to wyjaśnia parę kwestii – mruknęła Nesryn.

Włosy, szeroka twarz. Tak, wiele rzeczy się zgadzało, choć Aedion wydawał się uformowany z czystego ognia, a Gavriel z kamienia. W istocie, jego mina była poważna, gdy rzekł:

– Jestem niezmiernie dumny z Aediona.

Przez twarz Aelin przemknęły rozmaite emocje, ale wtedy wskazała kolejnego ze swoich towarzyszy.

Chaol, patrząc na rysy jakby wyciosane z granitu, ciemne oczy i usta niezdolne do uśmiechu, uznał, iż nie jest to ktoś, z kim chciałby

mieć na pieńku.

– Oto Lorcan Salvaterre, niegdyś z Doranelle, a teraz zaprzysiężony członek mego dworu. – Jakby samo wyznanie nie było szokujące, Aelin mrugnęła do ponurego mężczyzny, który skrzywił się gorzko. – Wciąż się dopasowuje do nowej roli w życiu – szepnęła głośno, co wywołało chichot Yrene.

Lorcan Salvaterre. Chaol nie poznał go tej wiosny w Rifthold, ale wiele o nim słyszał. Wiedział, że to najbardziej zaufany dowódca Maeve, znakomity wojownik i jeden z jej najbardziej lojalnych przybocznych. Wiedział też, że nienawidził Aelin i chciał ją zabić. Jak do tego doszło? Co się stało, że Aelin trafiła tu, a nie do Terrasenu?

– Ty też masz nam ciekawą historię do opowiedzenia – stwierdził.

– To prawda. – Oczy Aelin pociemniały, a Rowan położył dłoń na dolnej części jej pleców.

„Zły sygnał – pomyślał Chaol. – Wydarzyło się coś okropnego”.

Otaksował królową wzrokiem w poszukiwaniu jakichkolwiek śladów tego, co zaszło, i zauważył niezwykłą gładkość skóry na jej szyi. Brakowało blizn zarówno tam, jak i na jej rękach i dłoniach.

– Później – powiedziała cicho, po czym wyprostowała się i wskazała kolejnego złotowłosego mężczyznę, który podszedł bliżej. Był piękny i nie istniał doprawdy inny sposób, by go opisać. – Oto Fenrys – zaczęła. – Hmm, chyba nie znam twego nazwiska.

Ten mrugnął do niej łobuzersko.

– Księżycowy Promień.

– Na pewno nie! – syknęła Aelin, powstrzymując wybuch śmiechu.

– Złożyłem ci przysięgę krwi! – Fenrys położył dłoń na sercu. – Czy mógłbym cię okłamać?

Kolejny zaprzysiężony Fae na jej dworze. Sartaq zaklął we własnej mowie, jakby słyszał kiedyś o całej trójce.

Aelin podziękowała Fenrysowi wulgarnym gestem, który wywołał chichot Hasar, po czym zwróciła się do niej i do Sartaqa:

– Dopiero co nauczyłam ich podstawowych manier, ale nie sądzę, by już nadawali się do pokazania ludziom.

Nawet Sartaq się uśmiechnął, ale wówczas Aelin wskazała im swą ostatnią towarzyszkę – drobną, delikatną, ciemnowłosą kobietę.

- A oto jedyny cywilizowany członek mego dworu, lady Elide Lochan z Perranthu.

Perranth. Zimą Chaol przeglądał genealogie szlacheckich rodów z Terrasenu, z których wiele zostało po prostu skreślonych, jeśli wszystkich ich członków wybito podczas podboju dziesięć lat temu. Imię Elide znajdowało się wśród nich. Patrzył więc na kolejną terraseńską arystokratkę, która zdołała umknąć przed rzeźnikami z Adarlanu.

Ciemnowłosa piękność, utykając, zrobiła krok naprzód i dygnęła przed Hasar i Sartaqiem. Miała wysokie buty, które maskowały ewentualną ranę, ale spojrzenie Yrene natychmiast omiotło jej kostkę.

- Poznanie was to dla mnie wielki zaszczyt – powiedziała Elide cichym, ale pewnym głosem. W jej ciemnych oczach kryły się bystrość oraz spryt. Wyglądała na taką, która jest w stanie przejrzeć każdego na wylot.

Aelin zatarła dłonie.

- Dobra, a więc to mamy już za sobą – oznajmiła i podeszła do biurka, na którym rozłożono mapy. – Może więc porozmawiajmy o tym, dokąd się wszyscy wybieriecie, jak już rozpieprzyjemy tę zgraję w drobny mak.

Rowan rozmawiał z kapitanem ich statku, gdy w pobliżu przeleciał ręk.

Mgła nad morzem była tak gęsta, że ogromny ptak o mało nie zderzył się z okrętem. Okazało się, że był to zwiadowca, wysłany z armady nadciągającej z południa. Na statkach pozostawiono jedynie szkieletowe załogi, ale zwiadowca nie został wtajemniczony w plany dowództwa. Wiedział tylko tyle, że armia kagana szła do Anielle, a decyzje co do tego, czy później udadzą się do Rifthold, czy może do Eyllwe, jeszcze nie zapadły.

Aelin postanowiła więc, że pomoże im w ich podjęciu. Dołoży wszelkich starań, by po obronie Anielle wojownicy kagana udali się na północ, do Terrasenu. Tylko tam. Była gotowa zrobić wszystko, by ich do tego przekonać, nawet jeśli wyprawa do Anielle oznaczała, że dotrą do Terrasenu później.

Po namyśle doszła do wniosku, iż lepiej dotrzeć za późno, lecz z armią za plecami, niż w porę, ale samotnie.

Mimo to teraz, gdy stała w namiocie wojennym syna i córki kagana, nadal nie mogła uwierzyć w to, ilu ludzi kagan wysłał im na pomoc. A, jeśli wierzyć księciu Sartaqowi, ponoć reszta posiłków wciąż zmierzała ku nim.

Po dotarciu do obozu kluczyli wśród rozstawionych w rzędach namiotów oraz grupek żołnierzy, zarówno piechociarzy, jak i owianych sławą kawalerzystów, słynnych Darghanów ze stepów kaganatu. Ludu, który zajął dla siebie cały kontynent i zrodził matkę Hasar i Sartaqa.

Ujrzeni też ruki. Nawet ponury, niewzruszony Lorcan zaklął z podziwem na widok potężnych, pięknych ptaków w zdobnych pancerzach. Już zwiadowca zrobił na nich wrażenie, ale widok całej armii wzbudził nieklamany zachwyt.

Aelin zerknęła na Rowana i pojęła, że już obmyślał plan.

Przeniosła spojrzenie na Sartaqa i Hasar, uśmiechnęła się do nich

i spytała od niechcienia:

– A dokąd zamierzaliście udać się po tym wszystkim?

Księżniczka Hasar, równie przenikliwa jak Rowan, odwzajemniła uśmiech, ostry, lecz piękny.

– Bez wątpienia nosisz się z zamiarem uruchomienia jakiejś intrygi, by przekonać nas do wyruszenia do Terrasenu?

W powietrzu dało się wyczuć napięcie, ale Aelin parsknęła:

– Uruchomienia? A kto ci powiedział, że siedziałam z założonymi rękami? Może moja intryga rozwija się już w najlepsze?

– Niech bogowie mają nas w opiece – mruknął Chaol.

Rowan podzielał jego zdanie.

Hasar otworzyła usta, ale wtrącił się książę Sartaq:

– O tym, dokąd wyruszymy w dalszej kolejności, podejmiemy decyzję po zabezpieczeniu Anielle.

Na obliczu księcia malowały się powaga i ostrożność, ale na pewno nie było ono chłodne. Aelin od razu uznała, że go lubi, a polubiła go jeszcze bardziej, gdy wyszło na jaw, że niedawno został mianowany spadkobiercą kagana. Co więcej, wiele wskazywało na to, że jego żoną zostanie Nesryn.

Pewności nie było, bo ku rozbawieniu Aelin sama Nesryn bynajmniej nie kwapiła się, by zasiąść na tronie najpotężniejszego mocarstwa świata.

Niespodziewanie odezwała się Elide:

– Czyli myślicie o tym, by nie iść do Terrasenu?

Aelin znieruchomiła i zacisnęła dłonie w pięści.

– Naszym pierwotnym planem był marsz na północ – odezwał się ostrożnie książę Sartaq – ale być może istnieją inne miejsca, takie jak Anielle, które potrzebują naszej pomocy.

– Terrasen potrzebuje jej z pewnością – rzekł Rowan, który przyglądał się nowym sojusznikom i starym przyjaciółom z ogromnym spokojem.

– A mimo to Terrasen wcale o nią nie poprosił – odparła Hasar, całkiem nieporuszona wrogimi spojrzeniami wojowników Fae.

Aelin, pisząc do niej list miesiąc temu, miała wielką nadzieję, że księżniczka okaże się dokładnie taką osobą, na jaką teraz patrzyła.

Chaol odkaslnął, chcąc zabrać głos.

Na bogów, Chaol znów chodził! I wziął za żonę Yrene Towers, która go uzdrowiła!

Nić w wielkim kobiercu. Takie właśnie wrażenie odniosła Aelin lata temu, gdy zostawiła Yrene złoto przed opuszczeniem Innish. Wydawało się jej, że pociąga za nić w kobiercu i sprawdza, jak daleko sięgnie rozprucie.

Dotarło najwyraźniej aż na południowy kontynent, skąd przeznaczenie przysłało jej armię sojuszników i uzdrowionego, szczęśliwego przyjaciela. Cóż, na tyle szczęśliwego, na ile było to teraz w ogóle możliwe.

Aelin nawiązała kontakt wzrokowy z Chaolem.

– Skup się na wygraniu tej bitwy – rzekł i skinął lekko głową. Wiedziała, że mężczyzna widzi ogień płonący w jej oczach i rozumie go. – Potem zadecydujemy co dalej.

Księżniczka Hasar uśmiechnęła się do niej.

– I spróbuj nam zaimponować.

W namiocie znów pojawiło się napięcie. Aelin wytrzymała spojrzenie księżniczki i uśmiechnęła się lekko w milczeniu.

Nesryn przestąpiła z nogi na nogę, zupełnie jakby wiedziała, co taka cisza oznacza.

– Jak mocne są mury twierdzy? – zwrócił się z pytaniem do Chaola Gavriel, ostrożnie próbując sprowadzić rozmowę na inne tory.

Mężczyzna potarł szczękę.

– Wytrzymały już niejedno oblężenie – rzekł – ale Morath bombarduje je od paru dni. Same mury są mocne, jednak jeszcze kilka celnych pocisków z katapult i może się zawalić któraś z wież.

– Wróg się przedarł? – Rowan założył ramiona na piersi.

– Tak – odparł ponuro Chaol. – Wdarli się przez wieżę oblężniczą. Ruki nie zdołały przybyć na czas, by ją obalić.

Nesryn wzdrygnęła się, ale Sartaq bynajmniej nie pośpieszył

z przeprosinami.

– Udało się odeprzeć wroga, ale zginęło wielu naszych. Mam na myśli żołnierzy z Anielle.

Aelin wpatrywała się w mapę, zapomniawszy na moment o starciu z księżniczką o ostrym spojrzeniu, tak bardzo przypominającą ją samą.

– A więc jak to rozegramy? Przebijemy się przez ich linie czy rozbijemy ich kawałek po kawałku?

Nesryn wbiła palec w jeden punkt na mapie. Srebrne Jezioro.

– A może zepchniemy ich do samego brzegu? – zaproponowała.

Hasar zamruczała pod nosem, w jednej chwili zapominając o drwinach.

– Ten, kto dowodzi siłami Morath, nie postąpił najmądrzej, wybierając miejsce na obóz. Kierowała nim zapewne ochota na jak najszybsze złupienie miasta. Nie przyszło mu do głowy, że mogą zostać stratowani przez Darghanów czy rozszarpani przez ruki.

Aelin zerknęła na Rowana i przekonała się, że ten już się w nią wpatruje.

„Przekonamy ich, by udali się do Terrasenu” – przekazał jej bez słów.

Chaol pochylił się, choć jego obolały kręgosłup zaprotestował, i przesunął palcem wzdłuż zachodniego brzegu.

– Ta część jeziora to niestety płycizna, która ciągnie się przez kilkaset metrów. Armia wroga będzie mogła bez przeszkód cofnąć się w głąb i pociągnąć nas za sobą.

– Kilka godzin w tej wodzie doprowadzi ich do zguby – sprzeciwiła się Yrene, zaciskając mocno usta. – Z wychłodzeniem nie ma żartów. Ba, przy tym wietrze godziny mogą zamienić się w minuty.

– Pod warunkiem, że Valgom to w ogóle przeszkadza – rzekła Hasar. – Trudniej ich zabić niż zwykłych ludzi, a przecież waszym zdaniem pochodzą z krainy ciemności i mrozów.

A więc ich nowi sojusznicy wiedzieli co nieco o wrogu.

– Możemy wepchnąć ich w toń i przekonać się, że nie robi to na

nich wrażenia. Co gorsza, wystawimy wówczas nasze własne siły na działanie wrogich żywiołów. – Księżniczka wskazała mury twierdzy. – Sugerowałabym raczej zepchnąć ich na umocnienia Anielle i zgnieść na miazgę.

Aelin była gotowa się z nią zgodzić.

Lorcan otworzył usta, bez wątpienia chcąc powiedzieć coś mało przyjemnego, gdy na zewnątrz rozległy się pospieszne kroki w błocie. Zafurkotała odrzucana poła namiotu, a do środka wdarła się młoda, piękna kobieta z dwoma ciemnymi warkoczami.

– Nigdy nie uwierzycie...

Zamarła na widok Aelin i Fae. Otworzyła szeroko usta.

Nesryn zachichotała.

– Borte, poznaj...

Przerwały jej kroki kolejnego biegnącego, cięższe i wolniejsze. Do środka wtargnął młody człowiek o skórze bledszej od Sartaqa i Hasar.

– Wrócili! – wydyszał, wpatrując się w Nesryn. – Od kilku dni miałem wrażenie, że coś czuję, że zauważam zmiany, ale dziś znienacka wszystkie wrócili!

Nesryn przechyliła głowę. Jej ciemne włosy zsunęły się po opancerzonym ramieniu.

– Kim...

Borte ścisnęła ramię mężczyzny.

– To Falkan, Nesryn. Falkan!

Księżę Sartaq stanął u boku Nesryn. Poruszał się z wdziękiem Fae.

– Jak to możliwe? – spytał.

Młody mężczyzna odwrócił się jednakże ku Aelin i zmrużył oczy, jakby próbował sobie przypomnieć, skąd ją zna. Po chwili rzekł:

– Zabójcy z targowiska w Xandrii.

Aelin uniosła brew.

– Mam nadzieję, że ten koń, którego wówczas skradłam, nie należał do ciebie.

Fenrys zakaszłał. Aelin spojrzała na niego z zawadiackim

uśmiechem.

Spojrzenie młodzieńca omiotło jej twarz, a potem wylądowało na ogromnym szmaragdzie na jej palcu. Potem na jeszcze większym rubinie w rękojeści Goldryna.

– Siedzimy i jemy obiad przy ognisku – opowiadała Borte – gdy nagle Falkan łapie się za brzuch, jakby chciał obrzygać nas wszystkich...

Falkan smagnął ją wściekłym spojrzeniem.

– ...a potem podnosi się i ma młodą twarz. Ni z tego, ni z owego jest młody!

– Zawsze byłem młody! – mruknął Falkan. – Tylko na to nie wyglądałem. – Jego szare oczy odnalazły Aelin. – Podarowałem ci kawałek pajęczego jedwabiu.

Na jedno uderzenie serca przeszłość zlała się z teraźniejszością.

– Przypominam sobie – szepnęła Aelin. – Jesteś tym kupcem. – Spotkała go na Czerwonej Pustyni, ale wyglądał wówczas na starszego o jakieś dwadzieścia lat. – Sprzedałeś swą młodość pająkowi.

– Wy się znacie? – Nesryn otworzyła szeroko usta.

– Nici przeznaczenia splatają się w osobliwy sposób – rzekł Falkan, a potem uśmiechnął się do Aelin. – Nigdy nie poznałem twego imienia.

Hasar, stojąca po drugiej stronie biurka, zachichotała.

– Znasz je doskonale, zmiennokształtny.

Nim Falkan zdołał się zorientować, do rozmowy włączył się Fenrys.

– Zmiennokształtny? – spytał, robiąc krok do przodu.

– A do tego wuj Lysandry – uzupełniła Nesryn.

Aelin opadła na krzesło obok Chaola.

Rowan położył jej dłoń na ramieniu, a gdy uniosła głowę, ujrzała, że jej mąż z trudem powstrzymuje śmiech.

– Można wiedzieć, co cię tak rozbawiło? – syknęła.

– To, że choć raz przeznaczenie tak kopnęło cię w tyłek, że musisz usiąść. – Rowan uśmiechnął się.

Pokazała mu język. Borte uśmiechnęła się szeroko, a Aelin mrugnęła do niej.

– Znacie moją bratanicę – odezwał się Falkan.

Jego brat musiał być o wiele starszy, skoro spłodził Lysandrę. Królowa nie dostrzegła w twarzy Falkana niczego, co przypominałoby jej przyjaciółkę, ale przecież ona sama zapomniała już, jak wyglądała przed pierwszą przemianą.

– Lysandra to moja przyjaciółka i pani na Caraverre – rzekła Aelin.
– Nie ma jej z nami – dodała, widząc pełne nadziei spojrzenie Falkana rzucone w stronę wyjścia z namiotu. – Przebywa na północy.

Borte w międzyczasie powróciła do przyglądania się wojownikom Fae. Nie interesowała jej jednakże ich uroda, ale rozmiary, spiczaste uszy, broń oraz dłuższe kły. Aelin zauważyła spojrzenia dziewczyny i odezwała się do niej konspiracyjnym szeptem:

– Zanim rzucisz któremuś jakiś przysmak, każ mu zrobić sztuczkę.

Lorcan spojrzał na nią gniewnie, ale Fenrys rozbłysnął i przeistoczył się w ogromnego, białego wilka. Hasar zaklęła, a Sartaq cofnął się o krok, ale Borte się rozpromieniła.

– A więc naprawdę jesteście wszyscy Fae!

Gavriel, który ani na moment nie zapominał o dworskich manierach, uklonił się nisko. Lorcan, który nie pamiętał o nich nigdy, założył ramiona na piersi.

– Tak, rzeczywiście nimi jesteśmy – odparł Rowan z uśmiechem.

Borte odwróciła się ku Aelin.

– A ty jesteś Aelin Galathynius – rzekła. – Wyglądasz dokładnie tak, jak mówiła Nesryn.

Królowa uśmiechnęła się do Nesryn, która ujęła Sartaqą pod ramię.

– Mam nadzieję, że powtórzyłaś im tylko same potworności na mój temat.

– Wybrałam te najgorsze – odparła łuczniczka z pozorną obojętnością, choć kąci jej ust drgnęły.

– To królowa – szepnął Falkan i padł na kolana.

– Nam jakoś nie okazał takiej czci! – Hasar parsknęła śmiechem.

– Bo kazałaś mu zamienić się w szczura i zwiewać! – Sartaq uniósł brwi.

Aelin ujęła Falkana pod łokieć i pomogła mu się podnieść.

– Nie mogę chyba pozwolić na to, by wuj mojej przyjaciółki klęczał na ziemi, prawda? – rzekła.

– Mówiłaś, że jesteś zabójczynią! – Falkan wpatrywał się w nią oczami otwartymi tak szeroko, że białka jego oczu połyskiwały. – Skradłaś konie władcy Xandrii...

– Tak, tak. – Aelin machnęła dłonią. – To długa historia, a my jesteśmy w połowie narady wojennej, a więc...

– Mam spadać? – dokończył za nią Falkan.

Aelin parsknęła śmiechem, ale spojrzała na Nesryn i Sartaq.

– Falkan stał się naszym szpiegiem – wyjaśniła łuczniczka. – Uczestniczy w naradach.

Aelin skinęła głową i zerknęła na zmiennokształtnego.

– Dobrze. Wygląda na to, że nie musiałam jednak zabijać dla ciebie tego pająka.

Uwaga była wygłoszona żartobliwym tonem, ale Falkan napiął mięśnie. Spojrzał na Nesryn, Sartaq i w końcu na Borte, wpatrzoną w Fae.

– Czy oni wiedzą? – spytał.

Aelin odniosła wrażenie, że chyba musi ponownie usiąść. Chaol poklepał krzesło obok siebie, czym wywołał chichot rozbawienia Yrene.

Królowa skorzystała z zaproszenia, a Rowan stanął za nią, kładąc dłonie na jej ramionach. Kciukiem musnął jej kark, a potem dotknął nim znamion, które pozostały po jego kłach.

Dotyk Fae jak zwykle sprawił, że mięśnie Aelin rozluźniły się, ale wciąż oddychała szybko, z trudem. Czekwała na wyjaśnienia.

Słowa Nesryn wcale nie przyniosły jej ulgi.

– Te pająki to Valgowie – rzekła.

Zapadła cisza.

- Natknęliśmy się na ich pobratymców, *kharankui*, zamieszkujących Łańcuch Dagul. Wdarli się do naszego świata przez tymczasową szczelinę między królestwami i pozostali, by strzec przejścia, jeśli kiedyś znów się pojawi.

- To nie może skończyć się dobrze – burknął Fenrys.

Elide mruknęła, zgadzając się z nim.

- One karmią się marzeniami, pragnieniami, życiem – mówił Falkan, oparłszy dłoń na sercu. – Tak jak Valgowie, zgodnie z tym, co opowiadają moi przyjaciele.

Aelin widziała, jak księżęta Valgów wysysają z ludzi młodość i energię życiową do ostatniej kropli, pozostawiając jedynie wyschnięte zwłoki, więc nie zdziwiło jej to, że pająki dysponowały podobną umiejętnością.

- Jakie ma to znaczenie dla tej wojny? – spytał Rowan, nie przestając gładzić kciukami karku Aelin.

- Ja bym raczej zapytał, czy pająki staną po stronie Erawana – odezwał się Lorcan z kamienną twarzą.

- One nie służą Erawanowi – powiedziała cicho Nesryn.

I w tym momencie Aelin zrozumiała. Odczytała prawdę ze spojrzenia Chaola, w którym pojawiły się współczucie oraz lęk. W głębi serca domyśliła się wszystkiego.

- Czarne pająki, *kharankui* – dokończyła Nesryn – służą królowej Valgów. Jedynej królowej Valgów. One służą Maeve.

Rowan zacisnął mocniej dłonie na ramionach Aelin, gdy docierało do niej znaczenie wypowiedzianych właśnie słów. Zrobiło jej się zimno.

– Maeve to królowa Valgów? – szepnął.

Aelin nie powiedziała nic. Nie mogła znaleźć odpowiednich słów. Jej moc kotłowała się, ale ona nawet tego nie czuła.

– Tak. – Nesryn z powagą kiwnęła głową. – *Kharankui* opowiedzieli nam całą historię.

Po czym powtórzyła im to, co usłyszała od czarnych pajaków. O tym, jak Maeve odkryła bramę prowadzącą do tego świata i umknęła tu przed swym mężem Orcusem, starszym bratem Erawana. O tym jak Erawan, Orcus i Mantyx rozszarpywali świat za światem, by w końcu ją znaleźć, a zatrzymali ich dopiero Fae pod dowództwem samej Maeve, której królowie Valgów nie rozpoznali. Opowiedziała im o życiu, jakie stworzyła dla siebie Mroczna Królowa. O umysłach Fae, do których się wdarła, by przekonać ich, że kiedyś istniały trzy królowe, a nie dwie. Przekonała do tego również Mab i Moreę, dwie Siostry-Królowe, które rządziły Doranelle, oraz samego Brannona.

– Zdaniem pajaków – ciągnęła Nesryn – nawet Brannon o niczym nie wiedział. Co więcej, nadal nie zdaje sobie z tego sprawy, choć od dawna przebywa w krainie umarłych. Rozumiecie już, jak głęboko Maeve wdarła się do jego umysłu i świadomości nas wszystkich? Zamieniła się w prawdziwą królową.

Słowa raziły Aelin niczym ciskane kamienie.

Twarz Elide była blada jak sama śmierć.

– Ale ona lęka się uzdrowicieli – odezwała się i ruchem głowy wskazała Yrene. – Sama mówiłaś, że trzyma sowę, uwięzionego uzdrowiciela Fae, na wypadek gdyby Valgowie ją odkryli.

Wówczas Nesryn podzieliła się drugą opowieścią, do której Chaol i Yrene dodali kilka słów. Otóż Valgowie byli pasożytami, a Yrene była w stanie wypędzać ich z ciał, którymi zawładnęli. Udała jej się ta sztuka z księżniczką Duvą. Uzdrowicielka przegnała z jej ciała

księżniczkę Valgów. Być może udałoby się powtórzyć ten sukces w przypadku wielu innych osób noszących pierścienie i naszyjniki.

Aelin rozsiadła się na krześle i oparła głowę o potężne ciało Rowana. Jego dłonie drżały lekko pod naporem świadomości tego, co tak naprawdę wdarło się do jego umysłu i skąd brała się moc Maeve. Już wiedział, jakim sposobem potrafiła opierać się śmierci i wpływowi czasu, dlaczego przeżyła wszystkich. Dlaczego jej mocą była ciemność.

– To dlatego Maeve obawia się ognia. – Sartaq wskazał ruchem głowy Aelin. – Dlatego tak bardzo boi się ciebie.

I dlatego tak bardzo chciała ją złamać. Być może pragnęła ją uwięzić, tak jak owego uzdrowiciela w ciele sowy.

– Wydawało mi się... – odezwała się w końcu Aelin. – Udało mi się ją raz skaleczyć. – Cicha, prastara ciemność napierała na nią, ciągnęła ją w dół, coraz głębiej, coraz dalej. – Widziałam, jak krwawi. Jej krew była czarna. Potem zmieniła się w czerwoną. – Odetchnęła i wydobyła się z owej ciszy oraz ciemności, które próbowały ją pożreć. Zmusiła się, by usiąść prosto i spojrzeć na Fenrysa. – Powiedziałeś, że jej krew smakowała zwyczajnie, gdy składałeś jej przysięgę.

Biały wilk powrócił do ciała Fae. Jego brązowawa skóra była popielata, a w ciemnych oczach migotał lęk.

– Bo tak było.

– Ja też nie zauważyłem żadnych różnic – warknął Rowan.

– Iluzja – domyślił się Gavriel. – Podobnie jak jej ciało.

Nesryn pokiwała głową.

– Z tego, co mówiły pająki, wydaje się bardzo możliwe, iż bez trudu udałoby się jej przekonać was, że jej krew wygląda i smakuje jak krew Fae.

Fenrys odkaszlnął, jakby zbierało mu się na wymioty. Aelin czuła się podobnie.

Naraz nawiedziło ją wspomnienie, które wcale nie było wspomnieniem. O letnich nocach spędzonych na leśnej polanie i lekcjach, których udzielała jej wówczas Maeve. Opowieść o królowej, która wędrowała między światami. O królowej, która była niezadowolona ze swego ojczyznoświatu i znalazła sposób, by go opuścić, wykorzystując wiedzę podróżników sprzed wieków.

Podróżników po różnych światach.

A więc Maeve o wszystkim jej powiedziała. Przedstawiła wypaczoną, stroniczą wersję wydarzeń, ale mimo to podzieliła się nią. Dlaczego? Po co miałyby to robić? Czy zależało jej na tym, by zjednać sobie Aelin? A może chciała wzbudzić w niej wątpliwości?

– Ale przecież Maeve nienawidzi królów Valgów – odezwała się Elide, a Aelin, choć pogrzyżała się w mętnych, odległych wspomnieniach, ujrzała błysk inteligencji w oczach towarzyszki. – Ukrywa się od tak dawna i nie ma raczej możliwości, by teraz się z nimi sprzysięgła.

– Opuściła Doranelle zwabiona szansą na przejęcie naszyjnika Valga – rzekł ponuro Fenrys. – Wydawała się przekonana, że potrafi zawładnąć kryjącym się w nim księciem.

Wszak nie dość, że dysponowała wielką mocą, to jeszcze była królową demonów.

Aelin zmusiła się do wzięcia kolejnego oddechu. A potem jeszcze jednego. Zaciśnęła dłonie jak na niewidzialnej broni.

Lorcan nie powiedział ani słowa. Stał nieruchomo, blady i milczący, jakby również zapomniał o swym ciele.

– Nie znamy jej planów – rzekła Nesryn. – *Kharankui* nie widziały jej od tysiącleci, a słyszały jedynie szepty przynoszone przez pomniejszych pająki. Mimo to nadal ją czczą i czekają na jej powrót.

Chaol spojrział badawczo na Aelin. W jego wzroku czało się pytanie.

– Byłam jej więźniem przez dwa miesiące – wyznała cicho królowa.

W namiocie zapadła całkowita cisza, po czym Aelin rozpoczęła opowieść. Wyjaśniła, dlaczego nie znajdowała się w Terrasenie, kto dowodził obroną kraju i dokąd udali się Dorian i Manon. Pod koniec przeknęła ślinę i znów wsparła się o ciało Rowana.

– Maeve chciała, bym jej wyjawiała lokalizację dwóch Kluczy Wyrda. Chciała, bym je jej oddała, ale zdołałam je przekazać komuś zaufanemu, zanim mnie porwała i zabrała do Doranelle. Chciała podporządkować mnie swojej woli. Sądziłam, iż pragnie mnie wykorzystać do podbicia świata, ale być może zależało jej na tym, bym stała się jej tarczą przeciwko Valgom.

Słowa padały jedno po drugim, ciężkie i ostre.

– Byłam jej więźniem jeszcze miesiąc temu – dodała, skinieniem głowy wskazując członków swego dworu. – Zdołałam się uwolnić, a wówczas znaleźli mnie przyjaciele.

Znów zapadła cisza. Nikt nie wiedział, co powiedzieć, a Aelin wcale ich za to nie winiła.

Jako pierwsza odezwała się Hasar.

– Zróbmy więc wszystko, by ta zdzira zapłaciła nam również za to – syknęła.

Aelin spojrzała w ciemne, ponure oczy księżniczki.

– Otóż to – oznajmiła. – Niech zapłaci.

Prawda uderzyła w Rowana niczym cios młotem.

Maeve była Valgiem.

Była królową Valgów, która porzuciła swego męża. Ten w pościgu za nią najechał już raz na ten świat, a teraz, jeśli Chaol się nie mylił, pragnął uczynić to ponownie, o ile Erawan zdoła otworzyć Bramę Wyrda.

Rowan wiedział, że jego drużyna – a raczej to, co z niej zostało – przeżyła głęboki wstrząs. On sam też popadł w odrętwienie. Kobieta, której służyli i której się kłaniali, była... Valgiem.

Jej oszustwo było tak precyzyjne, że nie wyczuli nawet obcego smaku w jej krwi.

Fenrys wyglądał, jakby chciał wypróżnić zawartość swego żołądka na podłogę namiotu. Dla niego prawda okazała się najbardziej potworna.

Twarz Lorcana była zimna i pusta. Gavriel pocierał szczękę, a w jego oczach tańczyła zgroza.

Rowan wypuścił dech z piersi.

Królowa Valgów.

Oto, kto uwięził jego Ogniste Serce. Oto moc, która chciała się wedrzeć do jej umysłu, a wcześniej zawładnęła umysłem Rowana. Ba, wszystkimi innymi umysłami w całym Doranelle, skoro potrafiła

nawet sprawić, by jej krew wyglądała i smakowała zwyczajnie.

Czuł, jak w Aelin narasta napięcie, jak rozpętuje się w niej burza, która zaczynała już wibrować w jego dłoniach, zaciśniętych na ramionach żony. Mimo to nie pojawił się ani jeden płomień. Od tygodni, bez względu na to, jak ciężko trenowali, nie pojawił się nawet żar. Zdarzało się, że dostrzegał lśnienie rubinu w rękojeści trzymanego przez nią Goldryna, ale na tym się kończyło.

Nie było płomieni nawet wtedy, gdy splatali się w miłosnym uścisku, a jego zęby odnajdowały ślad na jej szyi.

Elide wpatrywała się w pogrążonych w milczeniu zebranych, aż w końcu zwróciła się do książąt z południa:

– Może powinniśmy obmyśleć plan na jutrzejszą bitwę?

„A tym samym zyskać trochę czasu – pomyślał Rowan – i jutro wieczorem ponownie spróbować pojąć ten cały bałagan”.

Chaol pokiwał głową.

– Przywieźliśmy kufer pełen książek – zwrócił się do Aelin. – Z Torre. Są pełne Znaków Wyrda.

Królowa nawet nie mrugnęła. Chaol ciągnął:

– Jeśli przeżyjemy tę bitwę, wszystkie są twoje. Może znajdziesz w nich coś, co nam pomoże.

W walce z Erawanem, w walce z Maeve, w starciu ze straszliwym losem pisany jego towarzysze życia.

Aelin pokiwała jedynie głową z nieobecną miną.

Rowan zmusił się więc do odepchnięcia szoku, obrzydzenia i strachu, żeby móc skupić się na układaniu strategii. Wyglądało na to, że może liczyć jedynie na Gavriela, gdyż Fenrys nawet nie drgnął, a Lorcan wpatrywał się w nicość.

Aelin siedziała nieruchomo. Coś w niej skwierczało. Buchało. Przewalało się.

Plan ułożono szybko i skutecznie. Ustalono, że powrócą z Chaolem i Yrene do twierdzy, by pomóc jutro w walce, a siły kaganatu miały przypuścić atak z obozu. Nesryn i Sartaq uderzali z powietrza, a księżniczka Hasar miała stanąć na czele piechoty i kawalerii.

Rowan zwrócił już uwagę na Darghanów w drodze do namiotu Hasar i szybko stwierdził, że jeźdźcy zasługują na swoją sławę. Byli to znakomicie wyszkoleni wojownicy na świetnych koniach, noszący mocne pancerze, wysokie hełmy i długie włócznie. Westchnął z ulgą na widok ich umiejętności, być może po raz ostatni podczas tej wojny.

Oczywiście pozostawała jeszcze kwestia ich decyzji. Hasar i Sartaq wszak wciąż nie zdecydowali, dokąd poprowadzą swą armię po bitwie. Nie dziwił im się – przecież wiele innych krain padło ofiarą Morath – ale był gotów zrobić wszystko, by udali się na północ. Do Terrasenu.

Najpierw jednak musieli przetrwać następny dzień. Jutro mieli bowiem rozgnieść legion Morath o mury Anielle, a on sam oraz Chaol oświadczyli, że poprowadzą kontratak z wnętrza twierdzy.

Aelin nie zgłosiła się do niczego. Przez cały czas robiła wrażenie, jakby ich nie słyszała.

Gdy wszystkie szczegóły zostały już ustalone i opracowano również plan alarmowy, na wypadek gdyby wszystko poszło nie tak, Nesryn oświadczyła:

– Znajdę jakieś ruki, które zabiorą was do twierdzy.

Wtedy Aelin wybiegła w mroźną noc i popędziła przed siebie. Rowan ledwie mógł za nią nadążyć.

Nie zostawiała za sobą żaru, pod jej butami nie syczało błoto. Nie było żadnego ognia ani nawet jednej iskry. Zupełnie jakby Maeve zdmuchnęła ten płomień. Jakby rozbudziła w niej lęk przed nim. Jakby nauczyła ją nienawidzić swej mocy.

Aelin przebiegła między rozstawionymi schludnie namiotami, minęła konie i ich opancerzonych jeźdźców, żołnierzy piechoty skupionych wokół ognisk, jeźdźców ruków oraz ich cudowne ptaki, które wzbudzały u Rowana niewysłowiony podziw. Niebawem dotarła na wschodni skraj obozowiska, gdzie rozpościerała się równina, szeroka i rozległa po ciasnocie obozu, i biegła dalej, aż dotarła do strumienia, który przekroczyli kilka godzin temu. Woda niemalże zamarzała na całej szerokości, ale lód pękł pod ciężarem butów królowej. Łamał się i odsłaniał czarną wodę, upstrzoną srebrzystym blaskiem gwiazd.

Wtedy Aelin padła na kolana i zaczęła pić.

Piła i piła bez końca, nabierając wodę dłońmi i przystawiając je do ust. Woda była z pewnością tak zimna, że aż paliła, ale Aelin piła jeszcze długo, aż oparła ręce o kolana i rzekła:

– Nie dam rady.

Rowan opadł na jedno kolano. Bariera, którą otoczył Aelin po drodze, zatrzymywała zimno i wiatr otwartej równiny.

– Ja... ja nie dam... – wyjąkała, po czym nabrała tchu, drżąc na całym ciele, i zasłoniła twarz mokrymi dłońmi.

Rowan delikatnie ujął jej nadgarstki i opuścił jej ręce.

– Nie jesteś w tym sama – rzekł.

Piękne oczy Aelin wypełniły zgroza oraz udręka tak zniewalające, że Rowan niemalże poczuł ból w sercu.

– Dotąd nie wiem, czy mieliśmy jakiegokolwiek szanse w starciu z Erewanem, ale jak mamy walczyć jednocześnie z nim i z Maeve? Przecież ona również zebrała armię i zapewne prowadzi ją teraz do Terrasenu. Jeśli zaś Erawan wezwie swoich dwóch braci, jeśli powrócą pozostali królowie...

– Do tego potrzebuje pozostałych dwóch Kluczy, a ich nie ma.

Aelin zacisnęła pięści i wbiła paznokcie w dłonie tak mocno, że w powietrzu rozszedł się zapach krwi.

– Powinnam była zacząć ich szukać, i to natychmiast. Przybycie tu było błędem. Wielkim błędem.

– Teraz to zadanie Doriana, a nie twoje. On nie zawiedzie.

– To moje zadanie! Zawsze było moje!

– Podjęliśmy decyzję, że przybędziemy tutaj, i póki co trzymamy się planu – warknął Rowan, nawet nie siląc się na to, by opanować emocje. – Jeśli Maeve w istocie ruszy na czele swej armii do Terrasenu, otrzymamy dowód na to, że słusznie postąpiliśmy, przybywając w to miejsce. Będziemy bowiem musieli przekonać Sartaqą i Hasar, by udali się na północ. To nasza jedyna szansa na zwycięstwo.

Aelin przeczesła dłonią włosy. Strużki krwi zmieszały się ze złotymi kosmykami.

– Nie wygram z nimi. Nie pokonam króla i królowej Valgów. – Jej głos przeszedł w ochrypy skrzek. – Oni już wygrali.

– Nie, nieprawda! – warknął Rowan i choć nienawidził każdego słowa, które miał wypowiedzieć, dodał: – A ty opierałaś się woli Maeve przez dwa miesiące, nie dysponując żadną magią do ochrony! Przez dwa bite miesiące królowa Valgów próbowała wdrzeć ci się do głowy, Aelin. Przez dwa miesiące chciała cię złamać!

– I udało jej się. – Aelin zadrżała na całym ciele.

Rowan był gotów na te słowa.

– Pod koniec pragnęłam umrzeć, jeszcze zanim zagroziła, że założy mi naszyjnik – szeptała dziewczyna. – I nawet teraz czuję, że wyrwała ze mnie coś ważnego. Jakąś esencję. Mam wrażenie, że leżę na dnie morza, a to, kim jestem, a raczej kim byłam, znajduje się na powierzchni. Ja zaś nigdy już tam nie dotrę.

Nie wiedział, co powiedzieć. Znów łagodnie ujął jej dłonie.

– Dałeś się nabrać na mój arogancki ton? Na dumny krok? – spytała łamiącym się głosem. – A pozostali? Bo robię, co mogę. Daję z siebie, cholera, wszystko, by przekonać samą siebie, że to wszystko dzieje się naprawdę. Że wystarczy tylko jeszcze przez jakiś czas poudawać tą, którą kiedyś byłam.

Na tyle, by udało się wykuć Zamek, a potem umrzeć.

– Wiem, Aelin – powiedział cicho. Ani na moment nie dał się nabrać na jej mrugnięcia i krzywe uśmieški.

Szloch żony sprawił, że coś w nim pękło.

– Nie czuję już siebie. Jakby to coś zgasło. Jakby zostało mi wyrwane. To jej sprawka, jej i Cairna.

Wciągnęła gwałtownie powietrze. Rowan objął ją ramionami i posadził sobie na kolanach.

– Jestem taka zmęczona – szlochała. – Jestem taka, taka zmęczona, Rowan.

– Wiem – rzekł i pogładził ją po włosach. – Wiem.

Nie było nic innego do powiedzenia. Tulił ją do chwili, gdy jej płacz ustał i znieruchomiała, wtulona w jego pierś.

- Nie wiem, co począć – szepnęła.

- Trzeba walczyć – odparł Rowan. – Po prostu walczyć. Wspólnie. Aż opadniemy z sił.

Aelin wyprostowała się, ale nie wstała z jego kolan. Wpatrywała się w jego twarz z pustą, obojętną miną, która go niszczyła.

Położył dłoń na jej klatce piersiowej, tuż nad gorącym sercem.

- Ogniste Serce – powiedział, jakby ją wzywał i zarazem rzucał jej wyzwanie.

Aelin nakryła jego rękę dłonią. Była ciepła pomimo chłodu nocy, jakby jej ogień nie do końca zgasł. Uniosła głowę i spojrzała na gwiazdy, szukając wzrokiem Władcy Północy, który nadal pełnił wartę.

- Będziemy walczyć – szepnęła.

Aelin znalazła Fenrysa przy niewielkim ognisku, wpatzonego w trzaskające płomienie. Usiadła na kłodzie drewna obok niego, nadal drżąca i wstrząśnięta, ale... ale sól łez załagodziła nieco jej ból i uciszyła lęk. Rowan pomógł jej dojść do siebie i nadal nie spuszczał z niej oczu, stojąc wśród cieni za ogniskiem.

Fenrys uniósł głowę. Jego oczy były równie puste jak jej, była tego pewna.

- Jeśli zechcesz o tym pogadać – odezwała się nadal ochrypłym głosem – jestem tu.

Pokiwał głową i zacisnął mocno usta.

- Dzięki – rzekł.

W obozie szykowano się już do wymarszu, ale Aelin przysunęła się do Fae i przez kilka długich minut siedzieli razem w milczeniu. Minęły ich dwie uzdrowicielki, rozpoznawalne dzięki białym opaskom na ramionach, niosące naręcze bandaży.

Aelin napięła mięśnie i skupiła się na własnym oddechu.

Fenrys zorientował się, na kogo spogląda.

- Byli przerażeni, wiesz? – powiedział cicho. – Ci uzdrowiciele, których wzywała, by cię... naprawili.

Dwie kobiety znikły za namiotem. Aelin zacisnęła pięści.

– Ale robili, co do nich należało.

– Nie mieli wyboru.

Spojrzała w jego ciemne oczy. Fenrys zacisnął usta.

– Nikt by cię nie zostawił w takim stanie. Nikt.

Zakrwawiona, zdruzgotana, popalona. Aelin zacisnęła dłoń na rękojeści miecza, ale nic jej to nie dało.

– Na swój sposób opierali się jej – ciągnął Fenrys. – Bywało, że kazała im przywrócić ci przytomność, ale oni utrzymywali, że to niemożliwe, że pogrzyłaś się nazbyt w nieświadomości. Ja jednak wiedziałem, Maeve chyba również, że to oni wprowadzili cię w ten stan. Na tak długo, jak się dało. By zdobyć dla ciebie trochę czasu.

– Ukarala ich? – Aelin przełknęła ślinę.

– Nie wiem. Zawsze przychodzili inni.

Pewnie to zrobiła. Pewnie rozszarpała im umysły za to, że się jej sprzeciwili. Aelin znów zacisnęła dłoń na mieczu.

Była bezradna. Tak jak tysiące innych tu, w Terrasenie, na całym kontynencie.

Rękojeść Goldryna rozgrzała się.

Nie będzie już bezradna. Nigdy. Do końca czasu, który był jej przeznaczony.

Gavriel stanął obok Rowana. Spojrzał na królową oraz Fenrysa, po czym mruknął:

– Nie takich wieści się spodziewaliśmy.

Rowan przymknął na moment oczy.

– Nie. Zupełnie nie takich.

Gavriel oparł dłoń na ramieniu towarzysza.

– Choć to niewiele zmienia – rzekł.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Służyliśmy jej. Była... Cóż, nie była tym, kim jest Aelin. Kim

powinna być królowa. O tym wiedzieliśmy na długo przed tym, jak poznaliśmy prawdę. Jeśli Maeve chce powrócić do tego, kim naprawdę jest, i sprzymierzyć się z Morath, cóż, to zmienia postać rzeczy, ale przeszłość tak czy owak mamy definitywnie za sobą. Ten czas w naszym życiu dobiegł końca, Rowanie. To, czy Maeve jest Valgiem, czy też paskudną wiedźmą, nie wpływa na to, co się wydarzyło.

- Świadomość, że królowa Valgów próbowała zniewolić moją towarzyszkę życia, a nawet jej się to prawie udało, wpływa na wiele rzeczy.

- Ale wiemy, czego Maeve się boi i dlaczego tak jest – sprzeciwił się Gavriel. Jego brązowe oczy zabłyśły. – Ona obawia się ognia oraz uzdrowicieli. Gdy przybędzie tu ze swą armią, nie będziemy bezbronni.

Miał rację i Rowan przeklął się w myślach za to, że sam wcześniej na to nie wpadł. Niespodziewanie w jego głowie pojawiła się inna refleksja.

- Jej armia składa się przecież z Fae – rzekł.

- Jej flota również była obsadzona naszymi rodakami – dodał ostrożnie Gavriel.

Rowan przeczesał dłonią włosy.

- Dasz sobie z tym radę? Będiesz umiał walczyć z naszymi braćmi i siostrami? Zabijać ich?

- A ty? – spytał Gavriel.

Rowan nie odpowiedział.

- Dlaczego Aelin nie zaoferowała mi przysięgi krwi? – spytał Gavriel po chwili.

Nie zapytał o to przez parę tygodni i Rowan nie miał pojęcia, dlaczego przyszło mu to do głowy teraz, ale powiedział mu prawdę.

- Bo chce, by Aedion złożył ją jako pierwszy. Gdyby zaproponowała ją najpierw tobie... Ujmijmy to tak, że Aedionowi przysługuje pierwszeństwo.

- Bo może być i tak, że Aedion nie będzie chciał żyć w tym samym królestwie co ja – domyślił się Gavriel.

- Chce, by Aedion wiedział, że jego potrzeby są dla niej ważniejsze od jej własnych.

Gavriel pochylił głowę.

- Zgodziłbym się, gdyby złożyła mi tę propozycję.

- Wiem. – Rowan poklepał starego przyjaciela po plecach. – I ona też to wie.

Lew spojrzał na północ.

- Sądzisz, że... Nie mamy pojęcia, co się teraz dzieje w Terrasenie.

- Gdyby Terrasen padł, a Aedion wraz z nim, wiedzielibyśmy o tym. Ludzie by wiedzieli.

Gavriel potarł pierś.

- Walczyliśmy na niejednej wojnie. On również. Uczestniczył w bitwie jako dziecko, niech to szlag! – Przez twarz Lwa przemknęła furia, jak zawsze gdy myślał o tym, do czego los zmusił Aediona. Przed czym on sam nie zdołał go uchronić. – Ale mimo to z każdym kolejnym dniem bez wieści narasta we mnie strach. Boję się każdego kolejnego posłańca.

Rowan nigdy nie doświadczył tego rodzaju lęku, jakże odmiennego od obawy o swą towarzyszkę życia, swą królową. Gavriel był ojcem, który bał się o dziecko.

Nie spojrzał na Aelin, nie pozwolił sobie na to. Nie chciał pamiętać snów, które nawiedzały go podczas poszukiwań. Snów, w których widział rodzinę. Tę, którą mieli stworzyć.

- Musimy przekonać syna i córkę kagana, by po tej bitwie ruszyli na północ – rzekł cicho Gavriel.

Rowan pokiwał głową.

- Jeśli uda nam się rozbić jutro tę armię i przekonać ich, że Terrasen to jedyna sensowna opcja, ruszymy na północ niebawem. Będziesz walczył u boku Aediona jeszcze przed Yulemas.

Gavriel zacisnął pięści. Tatuaze rozciągnęły mu się na kłykcach.

- Jeśli pozwoli mi na ten zaszczyt.

Rowan postanowił w duchu, że zmusi Aediona do tego, ale powiedział jedynie:

- Ściągnij Elide i Lorcana. Ruki są gotowe do odlotu.

51.

Lorcan włóczył się na skraju obozowiska ruków, ale nie zwracał uwagi ani na wspaniałe ptaki, ani na ich jeźdźców w pancerzach, szykujących się na odpoczynek. Wiedział, że kilku spośród nich na sen będzie musiało jeszcze poczekać, gdyż przed nimi był lot ku twierdzy górującej nad równiną. Musieli zanieść zarówno ich, jak i nieco zapasów.

Czuł w sobie obojętność. Nie cieszył się na to, że za moment ruszy w niebiosa na grzbiecie jednego z tych cudownych stworzeń. Nie przejmował się też tym, że jutro rzucą wyzwanie całej mrocznej armii.

Nie był w stanie zliczyć bitew i wojen, w których brał udział. Starcie, które czekało ich następnego dnia, niewiele się różniło od pozostałych, z tym wyjątkiem, że będzie zabijał demony, a nie ludzi czy Fae.

Demony najwyraźniej podobne do jego byłej królowej.

Oddał się jej w całości. Poświęcił się jej, pragnął jej lub przynajmniej wierzył, że tak jest. Maeve jednakże go wyśmiała. Nie wiedział, co to oznacza. Nie wiedział, co to mówi o niej i o nim samym.

Sądził, iż jego mrok, dar Hellasa, przyciąga go do niej, czyni ich sobie podobnymi, że dzięki niemu pasują do siebie. A może Hellas nie chciał, by składał Maeve przysięgę wierności? Może zależało mu na tym, by Lorcan znalazł się na tyle blisko niej, by móc ją zabić?

Znad odległego jeziora nadleciał lodowaty wiatr, ale Lorcan nawet nie pomyślał o tym, by zasłonić się płaszczem. Odwrócił się w stronę podmuchu, by wchłonąć jego zimno. Jakby w ten sposób mógł przegnać prawdę.

– Odlatujemy! – Cichy głos Elide przebił się przez ryczącą ciszę jego myśli. – Ruki są gotowe – dodała.

Na jej twarzy nie widział lęku ani współczucia. Czarne włosy Elide ozłocił blask pochodni i ogni obozowych. Drobną dziewczyną z Perranthu przyjęła poruszające wieści najlepiej z ich grupy, zupełnie

jakby przyszła na świat na polu bitwy.

– Nie wiedziałem – rzekł z trudem.

Odgadła, o co mu chodzi.

– Mamy teraz ważniejsze sprawy na głowie – odparła.

Lorcan zrobił krok ku niej.

– Nie miałem pojęcia – rzekł.

Elide przechyliła głowę do tyłu, by przyjrzeć się jego twarzy. Zaciśnięła usta, a w jej szczęce zadrżał jakiś mięsień.

– Chcesz, żebym cię za to rozgrzeszyła czy co?

– Służyłem jej przez prawie pięćset lat. Pięć stuleci! I doszedłem jedynie do tego, że jest zimna i nieśmiertelna.

– Dla mnie brzmi to jak definicja Valga.

Lorcan odsłonił kły.

– Wygląda na to, że nawet żyjąc długie eony przy niej, niczego bym się nie domyślił, moja pani.

– Nie wiem, dlaczego jesteś tak wstrząśnięty. Wiedziałeś, że jest zimna i nieśmiertelna, a mimo to ją kochałeś, a więc zaakceptowałeś wszelkie zło w niej. Jakie znaczenie ma dla ciebie teraz to, jak ją nazywamy?

– Nie kochałem jej.

– Tak się zachowywałeś.

– Po co do tego wracasz, Elide? – warknął Lorcan. – Czemu akurat o tym nie chcesz zapomnieć?

– Bo próbuję zrozumieć. Próbuję zrozumieć, jak mogłeś pokochać potwora.

– Dlaczego?

Zrobił krok ku niej, ale Elide się nie cofnęła. Zamiast tego jej oczy zabłyśły.

– Bo wówczas może zrozumieć, dlaczego zrobiłam to samo – syknęła. Jej głos zadrżał, gdy wypowiadała ostatnie słowa.

Lorcan znieruchomiał, usiłując je zrozumieć. Nigdy dotąd nie

słyszał, by ktoś, ktokolwiek...

– Czy to jakaś choroba? – spytała Elide. – Czy w tobie jest coś niezdrowego? Zepsutego?

– Elide – wychrypiał i ośmielił się wyciągnąć ku niej rękę, ale dziewczyna cofnęła się poza jego zasięg.

– Jeśli sądzisz, że przysięga krwi, którą złożyłeś Aelin, ma dla nas jakiegokolwiek znaczenie, jesteś w wielkim błędzie. Ciebie czeka wieczne życie, a ja jestem śmiertelniczką. Nie zapominajmy również i o tym drobiazgu.

Lorcan niemalże się cofnął, słysząc te słowa, kryjące w sobie okropną prawdę. Miał pięćset lat. Powinien się odwrócić i odejść. Nie powinien się tym wcale przejmować. Powinien zapomnieć, a mimo to warknął:

– Zazdrościsz. Tak naprawdę to zżera cię zazdrość.

Elide parsknęła śmiechem, którego nigdy u niej nie słyszał, ostrym i okrutnym.

– Zazdrościsz? A niby czego? Demona, któremu służyłeś? – Wyprostowała się i przypominała teraz fale, która wzbiera, zanim uderzy o brzeg. – Choć po części masz rację. Zazdrościsz Maeve, że udało się jej ciebie pozbyć.

Jej słowa uderzały w niego z siłą huraganu i Lorcan nienawidził tej świadomości. Nienawidził tego, że w starciach z Elide nie potrafił się bronić.

– Przepraszam – rzekł. – Za wszystko, Elide. – Proszę, powiedział to. Głośno, wyraźnie, w jej przytomności. – Przepraszam – powtórzył.

Na twarzy Elide nie było jednakże ani śladu ciepła.

– Mam to gdzieś – powiedziała i zawróciła. – To, czy wrócisz jutro cały z bitwy, również mnie nie obchodzi.

Zazdrość... Elide nie mogła uwierzyć w to, co właśnie usłyszała. Miała zazdrościć Maeve tego, że Lorcan przez całe stulecia darzył ją uczuciem? Utykając, szła w kierunku czekających rąk i zaciskała szczęki z taką mocą, że rozbolały ją zęby.

Dotarła już do pierwszego z osiodłanych ptaków, gdy usłyszała za

sobą czyjś głos:

- Trzeba było go zignorować.

Zatrzymała się i ujrzała za sobą Gavriela.

- Słucham?

Zazwyczaj ciepłe oblicze Lwa było tym razem poważne. Widniała na nim dezaprobata.

- Równie dobrze mogłaś go skopać jak psa.

Elide nigdy wcześniej nie zwróciła się do Gavriela ostrym słowem, ale tym razem rzekła:

- Nie wiem, dlaczego uważasz, że to twoja sprawa.

- Dotąd nie słyszałem, by Lorcan przeproszał za cokolwiek. Nie przeprosił nawet Maeve, gdy ta wychłostała go za popełniony błąd.

- I to niby wystarczy, by zasłużył sobie na moje wybaczenie?

- Nie. Ale musisz sobie wreszcie uzmysłwić, że złożył przysięgę krwi Aelin dla ciebie. Dla nikogo innego. Zrobił to, by pozostać blisko ciebie, choć doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że jesteś śmiertelniczką.

Ptaki wierciły się i szeleściły skrzydłami, nie mogąc się doczekać lotu.

Elide miała tę świadomość. Zrozumiała to w chwili, gdy Lorcan uklęknął przed Aelin, ale mijał tydzień za tygodniem, a ona nadal nie wiedziała, co z tą pewnością zrobić. Nie miała pojęcia, co począć z tęsknotą za rozmową z nim i wspólnym działaniem, tak jak kiedyś. Nienawidziła się za to. Nienawidziła się za to, że nie potrafi dłużej podsycać swego gniewu.

To dlatego odszukała go tego wieczoru. Nie po to, by ukarać jego, ale siebie. By przypomnieć sobie, komu Lorcan sprzedał ich królową i jak bardzo się pomyliła.

A ostatnie słowa, które do niego powiedziała... Cóż, były kłamstwem. Ohydny, paskudny kłamstwem.

Elide raz jeszcze odwróciła się do Gavriela.

- Ja nie... - zaczęła.

Lew jednakże już odszedł. Niebawem wzbili się w powietrze,

w stronę chłodu i morza ciemności, za którym wznosił się starożytny zamek, ale wtedy Elide odkryła, że nawet ów mądry głos, który szeptał do niej przez całe życie, ucichł zupełnie.

Nesryn stała przy Salkhim, wspierając dłoń na pierzastym boku swego wierzchowca, i wpatrywała się w grupkę dwudziestu ruków, wzbijających się ku niebu. Ptaki zabierały nie tylko Aelin Galathynius wraz z dworem oraz Chaola i Yrene, ale także kilka uzdrowicielek, zapasy medyczne oraz parę koni, którym zasłonięto oczy i wprowadzono je do drewnianych klatek. Wśród nich znajdował się koń Chaola, Farasha.

- Szkoda, że nie mogę polecieć tam z nimi – westchnęła Borte, drapiąc bok Arcasa. – Chciałabym walczyć u boku Fae.

Nesryn spojrzała na nią z rozbawieniem.

- Już niebawem będziesz miała ku temu okazję, jeśli wyruszymy do Terrasenu.

Gdzieś w pobliżu jakiś mężczyzna parsknął z pogardą.

- Idź podsłuchiwać kogoś innego, Yeran – warknęła Borte do narzeczonego, ale dowódca Berlad odparł:

- Jesteś znakomitym, doświadczonym jeźdźcem, a mimo to wzdychasz do Fae jak głupi podłotek.

Borte przewróciła oczami.

- Poczekaj, aż nauczą mnie swoich metod walki. Podczas kolejnego Zgromadzenia zmiotę cię z mapy, a potem poproszę, byś powtórzył to zdanie.

Przystojny dowódca Berlad odwrócił się i odszedł szybkim krokiem w stronę swego wierzchowca. Nesryn pochyliła głowę, by ukryć uśmiech, nagle niezwykle pochłonięta rozczesywaniem brązowych piór Salkhiego.

- Będziesz wówczas moją żoną! – zawołał Yeran, zakładając ramiona na piersi. – Nie pamiętasz swoich ustaleń z moją Matką Przy Palenisku? Nie wypada zabijać własnego męża podczas Zgromadzenia!

Borte uśmiechnęła się z jadowitą słodyczą.

- No to będę musiała cię zabić kiedy indziej.

Yeran uśmiechnął się złośliwie.

- No dobrze. A więc kiedy indziej – obiecał jej.

Nesryn nie przeoczyła błysku w oczach młodego mężczyzny ani też tego, jak Borte przygryzła lekko wargę, a jej oddech przyspieszył. Yeran podszedł bliżej i szepnął dziewczynie do ucha coś, co sprawiło, że szeroko otworzyła oczy. Jej narzeczony zawrócił i ruszył w stronę ruka, krocząc z zuchwałą arogancją, na co Borte gwałtownie się zarumieniła i powróciła do czyszczenia piór swego wierzchowca.

- Nie pytaj – mruknęła.

Nesryn uniosła obie dłonie.

- Gdzieżbym śmiała.

Rumieniec Borte utrzymywał się jeszcze przez chwilę, a jej dłonie przesuwają się niemalże nerwowo, chaotycznie.

Rozległy się lekkie, zwinne kroki na śniegu. Nesryn odgadła, do kogo należą, jeszcze nim pozostali *rukhin* wyprostowali się na baczność – nie dlatego, że Sartaq był księciem i następcą tronu, ale dlatego, że był dowódcą wszystkich jeźdźców ruków.

Księżę machnął dłonią, widząc dowody szacunku, po czym spojrzał na nocne niebo i wznoszące się ruki, osłonięte mocną barierą Rowana Białego Ciernia. Stał przy Nesryn, a wtedy Borte poklepała Arcasa, wrzuciła szczotkę do juków i odeszła w noc.

„Bynajmniej nie po to, by dać nam chwilę” – uświadomiła sobie Nesryn. Niedługo potem bowiem także Yeran odstąpił od własnego wierzchowca i niby przypadkowo ruszył w ślad za narzeczoną. Ta obejrzała się za siebie, a w jej wzroku kryło się coś więcej niż tylko rozdrażnienie.

- Przynajmniej już bardziej wiadomo, o co im chodzi – zażartował Sartaq.

- Ja tam dalej niczego nie rozumiem – parsknęła Nesryn i znów przejechała szczotką po piórach Salkhiego.

- Jeźdźcy, których namioty sąsiadują z namiotem Borte, nie mają już złudzeń.

Nesryn uniosła brwi, ale się uśmiechnęła.

- To dobrze. Mam na myśli ich dwoje, a nie jeźdźców, rzecz jasna.

- Wojna wywiera dziwny wpływ na ludzi. Sprawia, że wszystko staje się pilniejsze.

Sartaq musnął dłonią tył jej głowy i wplótł palce w jej włosy, a potem przysunął usta do jej ucha.

- Chodźmy do łóżka – rzekł.

W ciele łuczniczki zapłonął ogień.

- Jutro czeka nas bitwa. Znów.

- Po dniu siania śmierci i zniszczenia mam ochotę cię objąć – rzekł książę i raz jeszcze obdarzył ją tym uśmiechem, któremu nie umiała się oprzeć, tym bardziej że dodał: – A potem robić z tobą inne rzeczy.

Nesryn podwinęła palce u nóg w butach.

- A więc pomóż mi doczyścić Salkhiego.

Książę sięgnął po porzuconą przez Borte szczotkę z taką skwapliwością, że Nesryn parsknęła śmiechem.

Crochan powróciły do obozu wśród Klów i teraz czekały.

Manon zsiadła z wywerny, a za nią pozostałe wiedźmy Trzynastki. Coś przewracało się jej w żołądku, gdy krok po kroku zbliżała się do ogniska Glennis. Pasek czerwonej tkaniny, którym zawiązała warkocz, ciążył jej niczym kamień młyński i sprawiał, że wiedźma pochylała głowę coraz niżej. Tuż przed ogniskiem staruszki zrównała się z nią Bronwen. W ruchach idących za Manon Asterin i Sorrel pojawiło się napięcie, ale żadna nie zareagowała, tym bardziej że Crochan spytała:

– Co się stało?

Manon zerknęła spode łba na kuzynkę.

– Poprosiłam je, by rozważyły, po której stronie stoją w tej wojnie.

Bronwen zmarszczyła brwi, wpatrzona w niebo, jakby się spodziewała, że ujrzy nadciągające w ślad za nimi Żelaznozębne.

– I?

– I myślę, że wnet się przekonamy.

– Myślałam, że poleciałas tam, by je skrzyknąć i poprowadzić.

– Poleciałam tam – odparła Manon, odsłaniając zęby – by skłonić je do refleksji nad tym, kim chcą być.

– Nie wiedziałam, że Żelaznozębne są do tego zdolne.

– Dobrze się zastanów nad doborem słów – warknęła Asterin.

Bronwen obrzuciła ją szyderczym spojrzeniem, rzuconym przez ramię, a potem zwróciła się do Manon.

– I mimo to pozwoliły ci wyjść stamtąd żywą? – zapytała.

– Jak widzisz.

– Będą walczyć? Zwrócą się przeciwko Morath i innym Żelaznozębnym?

– Nie wiem – odparła Manon zgodnie z prawdą. Nie miała bowiem pojęcia.

Bronwen nie odzywała się przez kilka kolejnych kroków, aż stwierdziła:

- A więc niepotrzebnie się łudziłyśmy.

Manon nie znalazła na to odpowiedzi i Crochan odeszła, zignorowana przez resztę Trzynastki.

Glennis szturchała żar w palenisku. Święty ogień, który nie potrzebował drewna, płonął jasno w samym środku. Był to dar od Brannona i cząsteczka duszy królowej Terrasenu.

- Musimy ruszać jutro wczesnym rankiem – oznajmiła Glennis. – Decyzja zapadła. Mamy powrócić do naszych rodzinnych palenisk.

Manon usiadła na kamieniu najbliżej staruszki. Reszta Trzynastki zajmowała się przygotowywaniem posiłku, a Dorian pozostał przy wywnach. Kilka minut temu wiedźma widziała parę Crochan, które do niego podeszły. Nie miała pojęcia, co je przyciągnęło – uroda króla czy może ciekawość. Nie sądziła, by w najbliższej przyszłości miała jeszcze dzielić z nim łożę, zwłaszcza jeśli będzie się upierał przy wyprawie do Morath. Nadal nie podobał jej się ten pomysł.

- Myślisz, że Żelaznozębne mogą się zmienić? – zwróciła się do Glennis.

- To ty powinnaś odpowiedzieć na to pytanie.

Stara Crochan miała rację, ale Manon raczej nie podobały się wyciągnięte przez siebie wnioski.

- A Rhiannon? Co ona sądziła? Myślała, że możemy się zmienić? – „Że ja mogę się zmienić?” – dodała w myślach ze smutkiem.

Spojrzenie Glennis złagodniało. Błysnął w nim smutek, gdy sięgnęła po kolejną szczapę.

- Twoja przyrodnia siostra była na wiele sposobów twoim przeciwieństwem. W wielu rzeczach przypominała też twego ojca. Była osobą otwartą, szczerą i zawsze mówiła o swoich uczuciach, nie zwracając uwagi na konsekwencje. Niektórzy nazwaliby ją lekkomyślną i wybuchową. Nigdy byś się tego nie domyśliła z postawy moich sióstr – Glennis uśmiechnęła się lekko – ale znalazłabyś tu teraz wiele takich, które swego czasu nie bardzo za nią przepadały. Które nie życzyły sobie, by prawila im o zaletach twego kalekiego, wypaczonego plemienia. Które nie chciały słuchać o innym,

lepszym rozwiązaniu i o wspólnym życiu w pokoju. Rhiannon codziennie głośno opowiadała o zjednoczeniu Wiedźmiego Królestwa każdemu, kto chciał słuchać. Codziennie mówiła o przyszłości, w której nie będziemy już się musiały ukrywać i uciekać. Wiele spośród nas nazywało ją idiotką, zwłaszcza gdy wyruszyła, by cię znaleźć. Chciała się bowiem przekonać, czy się z nią zgodzisz, choć ślad krwi, który za sobą pozostawiłaś, stanowił właściwie wyraźną odpowiedź.

A więc zginęła za swe marzenie. Za szansę stworzenia lepszej przyszłości. I to Manon ją zabiła.

– Czy Rhiannon uważała, że Żelaznozębne mogą się zmienić? – ciągnęła Glennis. – Możliwe, że była jedyną spośród Crochan, która tak myślała, ale wierzyła w to całą duszą i całym sercem.

Wyschnięta skóra na jej szyi poruszyła się, gdy staruszka przełknęła ślinę.

– Wierzyła w to, że we dwie możecie wspólnie rządzić Wiedźmim Królestwem. Ty przewodziłabyś Żelaznozębnym, a ona Crochan. Razem odbudowałybyście to, co zniszczono wieki temu.

– A teraz pozostałam tylko ja.

– Tak, tylko ty. – Spojrzenie Glennis stało się ostre, nieubłagane. – Jesteś łączniczką między naszymi plemionami.

Manon przyjęła talerz z jedzeniem, podany jej przez Asterin. Zastępczyni usiadła obok niej.

– Żelaznozębne się zmieniają – oznajmiła. – Zobaczycie.

Sorrel burknęła, siadając na sąsiednim kamieniu. Widać było, że nie zgadza się z Manon, ale Asterin skwitowała jej minę wulgarnym gestem.

– Zmienią się. Przysięgam.

Glennis uśmiechnęła się lekko, ale Manon bez słowa zajęła się jedzeniem.

Kilka miesięcy temu mówiła Elide o nadziei, ale być może nie było już nadziei dla nikogo.

Dorian stał przy wywernach i odpowiadał na pytania Crochan, które

nie chciały wypytywać Trzynastki o zajścia na Elfiej Przełęczy bądź wręcz bały się o to zapytać.

– Nie – odpowiadał. – Nie zbiera się tam żadna armia. Nie, nikt ich nie śledził. Tak, Manon rozmawiała z Żelaznozębnymi i poprosiła je o wsparcie. Tak, wyleciały stamtąd całe i zdrowe. Tak, Manon przemawiała jako przedstawicielka obu plemion.

Przynajmniej tyle dowiedział się od Asterin podczas długiego lotu powrotnego. Z samą Manon o najbliższej przyszłości rozmawiać nie chciał. Przynajmniej na razie. Kiedy zaś Asterin zamilkła, Dorian pograżył się w rozmyślaniach. Próbował przemyśleć wszystko, co widział na Elfiej Przełęczy, każdy wijący się korytarz, każdą komnatę i każdą jamę cuchnącą bólem i strachem.

Wszystko to wzniesli jego ojciec do spólki z Erawanem. Oto, jakie królestwo odziedziczył.

Klucze Wyrda drgnęły i zaczęły szeptać. Dorian zignorował je i musnął dłonią rękojęść Damaris. Złoto pozostawało ciepłe pomimo dotkliwego zimna.

Damaris był mieczem prawdy, zgadza się, ale także pamiątką tego, czym kiedyś był Adarlan. Tego, czym to królestwo jeszcze mogło się stać.

Jeśli on się nie potknie. Jeśli nie zwątpi w siebie. A nie zostało mu już wiele czasu.

Był w stanie wszystko naprawić. Wszystko.

Damaris rozgrzał się, potwierdzając jego słowa i przynosząc mu ciche pocieszenie.

Dorian opuścił grupkę Crochan i podążył w stronę niewielkiego występu skalnego, ciągnącego się nad głęboką, usłaną kamieniami i śniegiem przepaścią. Wszędzie dookoła widział nieprzyjazne góry, ale jego wzrok skierował się na południowy wschód, gdzie daleko, daleko stąd znajdował się Morath.

Owej nocy w lesie w Eyllwe zdołał zamienić się w kruka. Pozostawało przyswoić sztukę latania. Sięgnął więc w głąb siebie i odnalazł falę surowej mocy. Buchnęło ciepło, jęknęły kości, świat się powiększył.

Dorian rozchylił dziób i zaskrzeczał, a potem rozłożył skrzydła

czarne niczym sadza i zaczął ćwiczyć.

Ktoś rozniecił ogień w jej udzie.

Nie była to Aelin, bo Aelin znikła, zamknięta w żelaznym sarkofagu i zabrana za morze. Ktoś jednak przepalił się przez jej ciało aż do kości.

Nie miała pojęcia, na czym leży – na łóżku, a może na pryczy? – ale wystarczył najdrobniejszy ruch, by jej ciało przeszył straszliwy ból.

Lysandra z trudem otworzyła oczy. Z jej wyschniętego gardła wyrwał się ochryply jęk.

– Spokojnie – odezwał się głuchy głos.

Znała go. Znała ten zapach, przywodzący na myśl czystą wodę z potoku i świeżą trawę. Aedion.

Oczy ją piekły, ale z trudem odwróciła głowę w kierunku głosu.

Jego lśniąca włosy opadały bezładnie, pokryte zaschniętą krwią. A turkusowe, przekrwione oczy były całkowicie pozbawione blasku.

Znajdowali się w prostym namiocie, w którym jedynym źródłem światła była latarnia, kołysząca się na ostrym wietrze, który wdzierał się przez szczeliny w tkaninie. Przykryto ją wieloma kocami, podczas gdy on sam siedział na odwróconym wiadrze, nadal w zbroi, bez płaszcza.

Lysandra odkleiła język od podniebienia i wsłuchała się w odgłosy dobiegające spoza namiotu.

Chaos. Krzyki. Wrzaski.

– Oddaliśmy Perranth – powiedział ochryplym głosem Aedion. – Uciekamy od dwóch dni. Za trzy dni dotrzemy do Orynthu.

Lysandra zmarszczyła lekko brwi. Czyżby była nieprzytomna aż tak długo?

– Musieliśmy cię ułożyć na wozie z innymi rannymi. Dziś po raz pierwszy odważyliśmy się zatrzymać. – Jego grdyka poruszyła się powoli, w górę i w dół. – Od południa nadeszła burza, która trochę

zatrzymała Morath.

Lysandra próbowała przełknąć ślinę, by zwalczyć suchość w gardle. Jej ostatnim wspomnieniem była walka z ilkenami, gdy niespodziewanie zdała sobie sprawę z ograniczeń ciała śmiertelnika. Nawet w ciele Aelin, która z buńczucznością przemierzała świat, wydawała się nikłą i słabą istotą przy tych potworach. Potem przypomniała sobie szpony rozdierające jej nogę i swój celny cios, którym zabiła jednego z ilkenów.

– Zatrzymałaś odwrót armii – powiedział Aedion. – Przegraliśmy bitwę, ale nie uciekliśmy w hańbie.

Lysandra zdołała wyciągnąć dłoń spod koców i spróbowała pochwycić dzban z wodą, stojący przy łóżku. Aedion zerwał się błyskawicznie i napełnił jej kubek.

Jej palce zacisnęły się wokół naczynia, a wtedy zauważyła, że są innego kształtu. Innego koloru. Patrzyła na własne ręce. Własne dłonie.

– Przeszłaś przemianę – oznajmił Aedion, widząc zaskoczenie w jej szeroko otwartych oczach. – W chwili, gdy uzdrowiciel zszywał ci nogę. Myślę, że to przez ból. Wróciłaś do tego ciała.

Przeszyła ją paraliżująca zgroza.

– Ilu ludzi widziało? – wykrztusiła swe pierwsze słowa, szorstkie i suche jak papier ścierny.

– Nie przejmuj się tym.

Lysandra wypła wodę.

– Czyli wszyscy wiedzą?

Aedion pokiwał głową z powagą.

– Co im powiedziałaś? O Aelin?

– Że uczestniczy w ważnej operacji z Rowanem i innymi. Tak tajnej, że nie ośmielamy się o tym rozmawiać.

– A żołnierze?

– Nie przejmuj się tym – powtórzył, ale Lysandra dostrzegła ból i wysiłek na jego twarzy. Walczący zebrali się wokół swej królowej tylko po to, by się przekonać, że jest iluzją. Że nadal nie mieli po swej

stronie mocy Niosącej Ogień. Że nie osłoni ich podczas odwrotu.

- Przepraszam – szepnęła.

Aedion wyjął pusty kubek z jej rąk i ujął jej dłoń.

- To ja przepraszam, Lysandro. Za wszystko. – Jego grdyka znów się uniosła i opadła. – Kiedy ujrzałem ilkeny... Kiedy zobaczyłem, jak stajesz naprzeciwko nich...

„Bezużyteczna. Kłamliwa suka”. Słowa, którymi cisnął w nią w gniewie, odepchnęły jej ból i skupiły jej uwagę.

- Zrobiłaś to dla Terrasenu – powiedział Aedion ciszej. – Dla Aelin. Na bogów, byłaś gotowa zginąć za nią!

- Byłam. – Słowa Lysandry okazały się zimne niczym stal.

Aedion zamrugał, gdy cofnęła rękę. Noga nadal pulsowała bólem, ale dziewczyna zdołała usiąść i spojrzeć mu w oczy.

- Byłam poniżana i upokarzana na setki sposobów przez wiele lat – powiedziała głosem, który drżał bynajmniej nie ze strachu, ale od narastającej fali, zalewającej wszystko w jej duszy, płonącej równie intensywnie jak jej rana. – Ale nigdy nie poczułam się tak upokorzona jak wtedy, kiedy wyrzuciłeś mnie na śnieg. Kiedy nazwałeś mnie kłamliwą suką przed naszymi przyjaciółmi i sojusznikami. Nigdy. – Nienawidziła łez wściekłości, które zapiekły ją w oczy. – Zmuszono mnie raz, bym pełzała przed mężczyznami. Na bogów, mam wrażenie, że przez ostanie miesiące pełzam przed tobą. Doprawdy niewiele brakowało! I co? Musiałam prawie zginąć, byś zrozumiał, jakim jesteś draniem? Musiałam prawie zginąć, byś znów ujrzał we mnie człowieka?

Aedion nie skrywał żalu w oczach. Lysandra przez całe życie doskonaliła sztukę rozgryzania mężczyzn i wiedziała, że nie udawał niczego. Ból na jego twarzy był autentyczny. Nie cofało to jednak czasu. Nie wymazywało tego, co zostało powiedziane i zrobione.

Położyła dłoń na piersi, tuż nad rozszarpanym w strzępy sercem.

- Chciałam, byś to był ty – powiedziała. – Po Wesleyu i tym wszystkim... Chciałam, byś to był ty. To, o co prosiła mnie Aelin, nie miało na nic wpływu. To, o co ona mnie prosiła, ani przez moment nie stanowiło dla mnie ciężaru, bo i tak chciałam, byś to był ty. – Nie ocierała łez, które spływały jej po policzkach. – A ty wyrzuciłeś mnie

na śnieg.

Aedion osunął się na kolana. Sięgnął po jej dłoń.

– Nigdy nie przestanę tego żałować. Lysandro. Ja nigdy nie zapomnę ani sekundy, nigdy nie przestanę nienawidzić siebie za to. I jest mi tak...

– Przestań. – Odtrąciła jego dłoń. – Nie klękaj. I nie zawracaj sobie już mną głowy. – Wskazała mu wejście do namiotu. – Nie mam ci już nic do powiedzenia. Ty również nie możesz powiedzieć mi nic, co chciałabym usłyszeć.

Przez twarz Aediona znów przemknął ból, ale Lysandra ukryła wszelkie emocje. Nie dała po sobie poznać, co poczuła, gdy podniósł się i jęknął, jakby w jego potężnym ciele obudził się jakiś nieokreślony ból. Przez kilka uderzeń serca po prostu mierzył ją wzrokiem.

A potem rzekł:

– Pamiętam każdą obietnicę, jaką ci złożyłem na plaży w Zatoce Czaszek. I dotrzymam słowa.

Po czym wyszedł.

Większa część życia upłynęła Aedionowi na nienawidzeniu się za rozmaite rzeczy, które robił, ale widok łez na twarzy Lysandry, łez, które sam wywołał... Nigdy dotąd nie czuł się aż tak wielkim lajdakiem.

Ledwie słyszał żołnierzy wokół siebie, wściekłych i rozdrażnionych śnieżycą, która wdzierała się między wznoszone pospiesznie namioty. Ilu rannych umrze tej nocy?

Już nadużył swego stanowiska, zapewniając Lysandrze opiekę najlepszych uzdrowicieli, jacy im pozostali, ale nie na wiele się to zdało, gdyż ci nie władali magią. Obrażenia Lysandry wprawdzie zasklepiały się szybciej niż u przeciętnego człowieka, ale i tak trzeba było zaszyć jej ranę na nodze, a potem co kilka godzin zmieniać bandaż. Rana na szczęście goiła się na tyle dobrze, że najprawdopodobniej nie groziło jej zakażenie.

Wielu innych rannych nie miało tyle szczęścia. Ich rany gniły, a zatruta krew roznosiła śmierć w ciałach. Co rano w śniegu pozostawiano kolejnych zmarłych, gdyż zamarznięta ziemia nie

pozwalala na kopanie grobów, a nie było czasu, by palić trupy.

Żołnierze szemrali i nazywali zwłoki strawą dla potworów Erawana. Mówili między sobą, że równie dobrze mogliby zaproponować wrogowi pożywny obiad.

Aedion nie pozwalał na podobną gadaninę. Nie pozwalał nikomu wyrzekać na ucieczkę i porażkę. Po rozbiciu obozowiska przydzielił jednej trzeciej wojowników, nie wyłączając żołnierzy Zguby, najrozmaitsze zadania, by nie mieli czasu ani sił na marudzenie.

Teraz skierował się do własnej kwatery, stojącej na zewnątrz kręgu namiotów szpitalnych. W jednym z nich spoczywała ranna Lysandra. Chcąc przydzielić jej osobne miejsce do spania, Aedion również musiał nadużyć stanowiska.

Był już prawie przy swoim niewielkim namiocie – wznoszenie potężnych namiotów wojennych traciło sens w sytuacji, gdy już za kilka godzin mieli ruszać w dalszą drogę – kiedy nagle dostrzegł kilka postaci, skulonych przy ogniu. Zwolnił i zatrzymał się.

Ren podniósł się. Na jego zasłoniętej kapturem twarzy znać było napięcie, ale dopiero na widok człowieka, który siedział obok Allsbrooka, w duszy Aediona rozpętała się burza.

– Witaj, Darrow – powiedział. – Dałbym głowę, że dotarłeś już do Orynthu.

Zakuty w futra lord nie uśmiechnął się.

– Przybyłem, by osobiście przekazać wiadomość, bo wygląda na to, że mój najbardziej zaufany kurier ma problem z dochowaniem wierności.

A więc ten stary łajdak wiedział o wszystkim, w tym również o tym, że Lysandra udaje Aelin. I o roli, jaką Nox Owen odegrał w wyjęciu armii spod jego kontroli.

– Dobra – rzekł. – Mów, co masz do powiedzenia.

Ren napiął mięśnie, ale nie rzekł ani słowa.

Cienkie usta Darrowa wykrzywiły się w okrutnym uśmiechu.

– Za twój lekkomyślny bunt, za zlekceważenie woli zwierzchników i samowolne przerzucenie armii, za całkowitą porażkę na granicy oraz utratę Perranthu zostajesz pozbawiony rangi.

Aedion ledwie słyszał jego słowa.

– Możesz się teraz uważać za zwykłego żołnierza Zguby, jeśli cię zechcą. Jeśli zaś chodzi o tę oszustkę, którą wykorzystywałeś w swoim teatrzyku... – Darrow spojrział z drwiną w kierunku namiotów uzdrowicieli, na co Aedion warknął. – Jeżeli jeszcze raz zostanie przyłapaną na udawaniu księżniczki Aelin, nie będziemy mieli innego wyboru, jak tylko skazać ją na śmierć.

Aedion miał ochotę rozszarpać mu gardło, gdy usłyszał słowo „księżniczka”. Miast tego wycedził:

– Tylko spróbuj.

– To ty spróbuj nas powstrzymać.

Aedion uśmiechnął się krzywo.

– Nie mam na myśli siebie. Po prostu współczuję każdemu, kto spróbuje skrzywdzić tak potężną zmiennokształtną.

Darrow zignorował jego słowa i wyciągnął rękę.

– Poproszę Miecz Orynthu – rzekł.

– Chyba oszalałeś, Darrow. – Ren drgnął.

Aedion wybałuszył oczy, ale starzec ciągnął:

– Miecz należy do prawdziwego generała Terrasenu, do jego księcia dowódcy. Ty zostałeś już pozbawiony tego tytułu, a więc miecz powróci do Orynthu i tam będzie przechowywany do czasu wyboru nowego generała.

– Ten miecz znajduje się w naszym posiadaniu, Darrow, wyłącznie dzięki Aedionowi – warknął Ren. – Gdyby go nie odzyskał, nadal rdzewiałby w adarlańskim skarbcu.

– Zawsze będziemy do niego żywili wdzięczność. Przynajmniej z tego powodu.

Głowę Aediona wypełnił głuchy ryk. Darrow nie cofał ręki. Mężczyzna przypuszczał, że zasłużył sobie na to. Za swe klęski na polach bitew. Za to, że nie zdołał obronić kraju, powierzonego mu przez Aelin. Za krzywdę, którą wyrządził zmiennokształtnej, kochającej go od chwili, gdy wdarła się między żołnierzy Valgów w kanałach pod Rifthold. Odpiął więc starożytny miecz od pasa i ignorując oburzone syknięcie Rena, rzucił go Darrowowi.

Brak znajomego ciężaru u boku sprawił, że niemalże się zatoczył.

Starzec wpatrywał się w miecz przez moment, a nawet musnął palcem kościaną rękojeść. Nawet taki łajdak jak on nie był w stanie ukryć zachwyty.

– Miecz Orynthu to tylko kawałek metalu i kości – rzekł Aedion. – I nigdy nie był niczym więcej. Liczy się to, co miecz wyzwala w tym, kto go dzierży. To prawdziwe serce Terrasenu.

– Poeta z ciebie, Aedionie – oznajmił Darrow, po czym odwrócił się na pięcie i skierował ku eskorcie, czekającej na niego poza granicami obozu. – Od tej chwili nowym dowódcą Zguby jest Kyllian. Zgłoś się do niego po rozkazy.

Roztańczony śnieg przesłonił starego lorda po raptem kilku krokach.

– Prędeż mnie szlag trafi, niż pogodzę się z tym, że straciłeś rangę generalską – warknął Ren.

– To wola lordów Terrasenu i trzeba się z nią zgodzić.

– Dlaczego nie chcesz z tym walczyć? – Oczy Rena rozbłysły. – Właśnie oddałeś im miecz, który...

– W dupie to mam. – Aedion nie miał nawet ochoty maskować wyczerpania, rozczarowania i gniewu. – Niech weźmie sobie armię i miecz. Ja mam to w dupie.

Niepowstrzymywany przez Rena Aedion zniknął w namiocie i nie wyłonił się z niego aż do świtu.

Lordowie Terrasenu odebrali generałowi Ashryverowi jego miecz.

Wieść niosła się od ogniska do ogniska, zataczając coraz szersze kręgi.

Młody żołnierz był nowicjuszem w Zgubie. Przyjęto go w szeregi legionu dopiero tego lata, co poczytywał za wielki zaszczyt, choć nadciągała wojna, a jego rodzina pożegnała go gorzkimi łzami.

Walka u boku księcia Aediona w obronie Terrasenu okazała się jednak warta wyrzeczeń i wynagrodziła mu rozstanie. Nie żałował, że zostawił za sobą córkę gospodarza, dziewczynę o słodkiej buzi, od której nie miał jak dotąd okazji dostać nic więcej poza całusem.

Nie żałował swej decyzji, aż do tej pory.

Przyjaciele, których poznał podczas wspólnych ćwiczeń i walk, leżeli już martwi, a skulony nad zbyt małym ogniskiem żołnierz był ostatnim z grona rekrutów, którzy na początku lata aż palili się, by zmierzyć się z Valgami.

Teraz, w samym sercu zimy, żołnierz wyzywał się od głupców. O ile w ogóle chciało mu się otwierać usta. Słowa stały się czymś niepotrzebnym, zgoła obcym. Równie obcym jak jego przemarznięte ciało, którego nie sposób było rozgrzać, choć spał najbliżej ognia, jak tylko się odważył, jeśli krzyki rannych i umierających pozwoliły mu choć zmrużyć oko. O ile zdołał choć na moment zapomnieć o tym, co podążało po ich śladach.

Nikt nie mógł ich ocalić. Nikt nie mógł przyjść z pomocą. Królowa, w którą wierzyli, okazała się kłamstwem. Intrygą zmiennokształtnej. Żołnierz nie miał pojęcia, gdzie walczyła Aelin Galathynius i co uznała za ważniejsze od ich losu.

Mroźna noc osaczała go coraz ciasniej, grożąc, iż pochłonie niewielki ogień, przy którym się skulił. Przysunął się do płomieni, drżąc z zimna pod cienkim, znoszonym płaszczem. Każde skaleczenie, każdy siniec tętniły teraz bólem, ale żołnierz nie miał zamiaru porzucić tej armii. Tu i ówdzie szemrano o ucieczce, ale on nie mógł zbiec, nawet po tym, jak książę Aedion stracił tytuł, a królowa zaginęła.

Złożył wszak przysięgę, że będzie bronił Terrasenu oraz swej rodziny, i chciał wytrwać.

Choć wiedział, że nigdy już nie ujrzy rodziny.

Śnieg nadal padał, gdy znów ruszyli w drogę, i nie ustawał przez kolejne dwa dni, ścigając ich kilometr za kilometrem na północ.

Dekret Darrowa nie spotkał się z aprobatą. Kyllian nie miał najmniejszego zamiaru podejmować żadnych decyzji bez zgody Aediona. Nie chciał przywdziać zbroi stosownej do swojej nowej rangi i nie rozbijał namiotu wojennego.

Aedion wiedział, że dawno zasłużył sobie na tę lojalność, tak jak Zguba zasłużyła na jego dozgonną wierność, ale mimo to nie

przestawał tego przeklinać i miał nadzieję, że Kyllian przejmie pełne dowodzenie.

Rana na nodze Lysandry pozwalała jej już na jazdę konną, ale Aedion widywał ją rzadko. Na ogół trzymała się Rena. We dwoje jechali za uzdrowicielami, na wypadek gdyby szwy na ranie puściły. Bywało, że zmiennokształtna go zauważała, a wówczas wpatrywała się w niego wzrokiem tak nienawistnym, że robiło mu się niedobrze.

Trzeciego dnia dogonili ich zwiadowcy z meldunkiem, że Morath szybko nadrabia utracony dystans. Aedion wiedział, czym to się skończy. Widział to w każdym powłóczącym kroku i każdej ściągniętej głodem twarzy.

Do Orynthu mieli jeszcze pół dnia drogi. Gdyby teren był łatwiejszy, mieliby szansę dotrzeć za jego starożytne mury, ale między nimi a bramami leżała rzeka Florine, zbyt szeroka, by przebyć ją bez łodzi. Najbliższy most znajdował się zaś za daleko na południe, by ryzykować.

O tej porze roku trzeba było liczyć się z tym, że rzeka jeszcze nie zamarzała. Co więcej, rzeki tak szerokie i głębokie rzadko całkiem zamarzały. Istniało ryzyko, że łódź się pod nimi załamie.

Były jeszcze inne drogi do Orynthu. Mogli się udać prosto na północ, wniknąć pomiędzy Jelenie Rogi, zatoczyć łuk po górskich szlakach i skręcić na południe w stronę miasta leżącego u stóp wzniesień. Niestety każda godzina zwłoki sprawiała, że Morath zyskiwał coraz więcej terenu.

Aedion podążał obok Kylliana, gdy nadszedł Elgan. Jego koń wydmuchiwał kłęby ciepłej pary, rozchodzącej się wśród śnieżycy.

- Rzeka leży dziesięć kilometrów stąd - powiedział. - Musimy podjąć decyzję.

Musieli zdecydować, czy idą do mostu na południu, czy może kierują się na północ, co wiązało się z wielkim opóźnieniem. Ren, widząc, że się naradzają, podjechał bliżej.

Kyllian czekał na rozkaz. Aedion uniósł brew.

- Ty tu teraz dowodzisz - rzekł.

- Nie pieprz - warknął Kyllian.

Aedion odwrócił się do Elgana.

- Wiadomo coś o lodzie? – zapytał.

- Ani słowa o lodzie czy o moście. – Elgan pokręcił głową.

Przed nimi wirowały niekończące się płatki śniegu. Aedion nie ośmielił się spojrzeć za plecy zgarbionych, wlokących się ludzi, a Ren bezszelestnie powrócił na miejsce obok Lysandry.

Naraz rozległ się łopot skrzydeł i ku chmurom wystrzelił sokół, który nie mógł zgiąć jednej nogi.

- Naprzód – powiedział Aedion.

Lysandra wróciła po godzinie. Chciała rozmawiać tylko z Renem i to on po chwili podjechał do Aediona, jadącego w towarzystwie Kylliana i Elgana. Twarz młodego lorda była blada.

- Nie ma lodu na Florine – rzekł. – A zwiadowcy Morath zniszczyli już most na południu.

- Zaganiają nas na północ – mruknął Elgan.

- A dopadną nas jutro rano. – Ren pokiwał głową.

Nie mieli już czasu, by spróbować podejść do Orynthu od północy, a z leżącą kilka kilometrów dalej, wciąż niezamarzniętą, za to lodowato zimną Florine i nadrabiającą dystans armią Morath znaleźli się w śmiertelnej pułapce.

Chaol podał jabłko Farashy. Piękna czarna klacz wciąż wydawała się niespokojna po locie, jakiego nigdy dotąd nie przeżyła. Wydawać by się zresztą mogło, że nawet konia samego Hellasa przeraziłaby taka przeprawa. Chaol uznał, że każdy rozsądny człowiek byłby mocno wyprowadzony z równowagi tym, że przez dłuższą chwilę wisiał w powietrzu wiele metrów nad ziemią.

– Ktoś inny mógł to dla ciebie zrobić – powiedziała Yrene, która stała oparta o ścianę stajni i uważnie przyglądała się utykającemu mężowi. – Ty powinieneś odpoczywać.

Chaol pokręcił głową.

– Farasha nie ma pojęcia, co się wokół niej dzieje. Chcę ją trochę uspokoić przed snem.

„I przed jutrzejszą bitwą – dodał w myślach. – Pierwszą prawdziwą szansą na ocalenie Anielle”.

Wciąż próbował poukładać sobie w głowie wszystko, co wydarzyło się podczas jego nieobecności. Myślał o bitwach oraz porażkach. O tym, dokąd udał się Dorian wraz z Manon i Trzynastką. Pozostało mu modlić się o to, by jego przyjaciel odniósł sukces, oraz o to, by nie brał na siebie misji wykucia Zamka.

Potrzebując chwili do namysłu, pozostawił Aelin i resztę gości w Wielkiej Sali, by znaleźli tam coś do jedzenia, a sam natychmiast udał się do Farashy. Powodowała nim głównie troska o bezpieczeństwo ludzi znajdujących się w pobliżu jego rumaka, gdyż ledwie zdjęto Farashy kaptur, a już próbowała ugryźć jakiegoś żołnierza. Nawet kaptur nie ukrył przed nią tego, co się wydarzyło po tym, jak wprowadzono ją do klatki i przywiązano do szczebli.

Na szczęście nie odgryzła mu dłoni przed pierwszym skubnięciem jabłka i Chaol modlił się, by wybaczyła mu niebezpieczny lot. Zastanawiał się, czy klacz wiedziała o tym, że chciał zejść do niej, choć bolały go plecy i potrzebował laski.

Musnął dłonią jej czarną sierść, a potem poklepał ją po mocnej szyi.

– Gotowa, by strasować jutro paru żołdaków Valgów, droga przyjaciółko?

Farasha parsknęła i zerknęła na niego, jakby chciała spytać: „A ty?”.

Chaol uśmiechnął się, a Yrene roześmiała się cicho.

– Powinam chyba wracać do sali – powiedziała. – Ktoś może potrzebować pomocy.

Mimo to nawet nie drgnęła. Spojrzała mężowi w oczy nad silnym karkiem konia, a ten obszedł ostrożnie rumaka, wciąż pamiętając o jego zębach.

– Ja wiem – powiedział cicho.

– O czym? – Yrene uniosła głowę.

Chaol splótł ich palce, a potem ułożył ich dłonie na wciąż płaskim brzuchu żony.

– Och – wyrwało się zaskoczonej Yrene. – Ja... W jaki sposób?

Serce Chaola biło mocno.

– A więc to prawda.

Yrene wpatrywała się w niego złocistymi oczami.

– A chcesz, by to była prawda?

Chaol musnął dłonią jej policzek.

– Bardziej, niż kiedykolwiek sądziłem.

W odpowiedzi Yrene obdarzyła go uśmiechem tak szerokim i pięknym, że serce mało mu nie pękło.

– To prawda – szepnęła.

– Jak długo?

– Prawie dwa miesiące.

Spojrzał na jej brzuch, który wkrótce miał nabrzmieć, kryjąc rosnące dziecko. Ich własne dziecko.

– Zakładam, że nie powiedziałaś mi o niczym, bym się nie martwił?

– Coś w tym stylu. – Yrene przygryzła wargę.

– Myślałaś, że nie zwrócę uwagi na to, że człapiasz jak kaczką

z rozdętym brzuchem? – parsknął Chaol.

– Nie będę człapać jak kaczka! – Yrene pacnęła go w ramię.

Mężczyzna roześmiał się i przytulił ją do piersi.

– Chciałem powiedzieć, że będziesz prześlicznie człapać!

Czuł, jak jej śmiech odbija się echem w jego ciele. Pocałował ją w czubek głowy, a potem w skroń.

– Będziemy mieć dziecko – szepnął, wtulony w jej włosy.

Yrene otoczyła go ramionami.

– Będziemy mieć dziecko – powtórzyła. – A skąd właściwie wiesz?

– Od ojca – burknął Chaol – który najwyraźniej jest lepszym obserwatorem ode mnie.

Poczuł, jak przechodzi ją dreszcz.

– Nie gniewasz się, że ci nie powiedziałam?

– Nie. Miło by było usłyszeć to najpierw od ciebie, ale rozumiem, dlaczego wolałaś na razie zachować to w tajemnicy. Choć to głupie jak diabli – dodał i skubnął ją w ucho.

Yrene szturchnęła go łokciem w żebra, a Chaol znów parsknął śmiechem. Śmiał się, choć codziennie ruszał do bitwy i na widok każdego kolejnego przeciwnika przeszywał go lęk o to, że popełni straszliwy błąd. Że ulegnie, a wówczas zginą wszyscy troje. Objął ją mocniej, a Yrene oparła głowę o jego pierś.

– Będziesz wspaniałym ojcem – powiedziała cicho. – Najwspanialszym, jaki kiedykolwiek stąpał po ziemi.

– Cóż za pochwała! I to z ust kobiety, która jeszcze kilka miesięcy temu chciała mnie wyrzucić z okna na najwyższym piętrze Torre.

– Żadnej uzdrowicielki nie stać na tak nieprofesjonalne zachowanie.

Chaol uśmiechnął się szeroko i wciągnął w płuca jej zapach, po czym odchylił głowę i musnął wargami jej usta.

– Trudno mi wyrazić, Yrene, jak bardzo mnie cieszy, że mogę się z tobą dzielić tą chwilą. Powiedz tylko słowo, a spełnię każde twoje życzenie.

Górna warga Yrene drgnęła.

- Niebezpieczna obietnica.

Ale Chaol musnął kciukiem jej obrączkę.

- Będę musiał szybko wygrać tę wojnę, by do lata zbudować nasz dom.

- Szlachetny powód, by rozbić Erawana.

Chaol ukradł jej kolejny pocałunek.

- Nie masz pojęcia, jak bardzo chciałbym zacząć spełniać wszystkie twoje rozkazy – szepnął, muskając jej usta – ale muszę się zająć jeszcze jedną sprawą, nim znajdziemy się w łóżku.

Yrene uniosła brwi.

- Muszę przedstawić Aelin mojemu ojcu, i to szybko, zanim wpadną na siebie.

Starego lorda Anielle nie było w pobliżu Wielkiej Sali, gdy Chaol i pozostali przybyli do fortecy, a potem Chaol był zbyt zajęty Farashą, by zająć się poszukiwaniami ojca.

Yrene przeszył dreszcz, choć w jej oczach błysnęło rozbawienie.

- Nie masz nic przeciwko, bym dołączyła? I może przyniosła jakieś przekąski?

Chaol otoczył ramieniem jej barki i przed wyjściem ze stajni poklepał Farashę na pożegnanie. Utykał pomimo laski, a jego nogi z każdym krokiem przeszywał ból, ale nie przejmował się tym. Nic, nawet ta cholerna wojna, nie miało znaczenia przy kobiecie, którą właśnie prowadził.

Przy przyszłości, którą mieli razem zbudować.

Rozmowa Chaola z Yrene miała wzruszający przebieg, ale spotkanie Aelin Galathynius z lordem Anielle odbyło się w zgoła odmiennej atmosferze. Yrene nie miała okazji przynieść przekąsek, bo dostrzegli starego lorda, gdy tylko oboje dotarli do Wielkiej Sali. Kipiąc gniewem, szedł w kierunku komnaty, w której Aelin i jej towarzysze jedli kolację.

- Ojczy! – Chaol zrównał się ze starcem.

Yrene nie powiedziała ani słowa, ale nie spuszczała wzroku z męża.

Była przekonana, że skoro tak utykał, plecy musiały mu dokuczać jak nigdy wcześniej, tym bardziej że ona wciąż jeszcze nie odzyskała swej magii. Nie miała pojęcia, gdzie jej mąż pozostawił fotel na kółkach i czy mebel nie został już przypadkiem zmiażdżony przez spadający gruz. Modliła się, by do tego nie doszło.

– Królowa Terrasenu przybywa do mego zamku, a ty nie raczysz mnie powiadomić? – warknął starzec.

– Nie była to najważniejsza sprawa pod słońcem – oznajmił Chaol, który zatrzymał się przed drzwiami prowadzącymi do niewielkiej komnaty przeznaczonej dla królowej, po czym zapukał.

Słyszając burknięcie, które dobiegło ze środka, pchnął drzwi i wsunął przez nie głowę.

– Mój ojciec chciałby się z tobą zobaczyć – rzekł.

Zapadła cisza, a potem zaszeleściło czyjeś ubranie i rozległy się kroki. Yrene cofnęła się, gdy w progu pojawiła się Aelin Galathynius. Zdążyła już umyć twarz i dłonie, ale jej ubranie nadal było brudne. Obok niej stał ów potężny, srebrnowłosy wojownik Fae, który przedstawił się jako Rowan Biały Cierń. O przeciwległą ścianę opierała się lady Elide, która ułożyła przy sobie tacę z jedzeniem, a na podłodze zalegał ogromny biały wilk, obserwujący wszystko spod na wpół przymkniętych powiek.

Jego przemiana była dla Yrene wstrząsem. Z zaskoczeniem przyswoiła fakt, że Fae to potężna, starożytna rasa, która nadal jest silnie związana z lasem. Królowa najwyraźniej również była z nimi spowinowacana, gdyż spomiędzy jej rozpuszczonych włosów wystawały lekko spiczaste uszy.

W komnacie nie widać było złotowłosego Gavriela oraz przerażającego Lorcana. Dzięki Silbie przynajmniej za to.

Wychodząc na korytarz, Aelin pozostawiła drzwi otwarte. Towarzyszył jej Rowan, choć dwoje członków jej dworu nawet się nie podniosło. Wydawali się wręcz znudzeni.

– Jestem – mruknęła królowa.

Ojciec Chaola spojrział na wojownika Fae, a potem przeniósł wzrok na syna.

– Zakładam, że poznali się w Wendlyn. Po tym, jak ją tam wysłałeś.

Yrene spięła się, słysząc drwinę w głosie starca.

„Co za łajdak. Przeklęty łajdak”.

– Tak, tak, niech ci będzie, że masz rację. – Aelin cmoknęła. – Choć nie sędzę, by twój syn naprawdę tego żałował, co?

Przeniosła spojrzenie na Yrene, a ta opanowała wzdrygnięcie. Turkusowo-złociste oczy królowej wydawały się nieco inne niż owej nocy w Innish. Brakowało w nich ognia, choć nadal kryły się w nich spryt i przenikliwość. Były inne? Cóż, przecież obie się zmieniły. Nie były już tymi samymi dziewczynami co kiedyś.

Na usta królowej wypłynął krzywy uśmiech.

– Myślę, że dokonał świetnego wyboru – dodała i spojrzała na wojownika Fae. – Yrene przynajmniej nie wydaje się należeć do kobiet, które ściągają z człowieka koc i chrapią do ucha przez całą noc.

Yrene odkaszlnęła zażenowana, ale księżę Rowan jedynie się uśmiechnął.

– Nie mam nic przeciwko twemu chrapaniu – rzekł łagodnie.

Usta Aelin drgnęły, gdy zwróciła się ku ojcu Chaola. Rozbawienie Yrene zgasło, gdy ujrzała w twarzy starca lodowatą, nieprzejednaną surowość. Chaol wydawał się napięty jak cięciwa łuku.

– Nie marnuj czasu na drwiny – dodała Aelin. – Jestem głodna i zmęczona. Nie skończy się to dla ciebie dobrze.

– To moja twierdza.

Aelin demonstracyjnie rozejrzała się po ścianach, podłogach i sufitach.

– Naprawdę?

Yrene pochyliła głowę, by ukryć uśmiech. Chaol również.

– Mam nadzieję, że nie masz zamiaru robić nam trudności? – dodała Aelin wyzywająco.

Yrene miała wrażenie, że dziewczyna właśnie nakreśliła linię na piasku. Zabrakło jej tchu w płucach.

– O ile dobrze pamiętam, nie jesteś chyba królową Adarlanu? – spytał stary lord bez ogródek.

- Nie, ale twój syn został Królewskim Namiestnikiem, a więc przewyższył cię rangą – rzekła Aelin i uśmiechnęła się do Chaola z jadowitą słodyczą. – Czyżbyś zapomniał mu o tym powiedzieć?

Yrene i Aelin na pewno nie były już tymi samymi dziewczętami co w Innish, ale w duszy królowej nadal mieszkał dziki ogień. Ogień przesycony nutą szaleństwa.

- Uznałem, że powiem, gdy nadejdzie odpowiedni moment. – Chaol wzruszył ramionami.

Ojciec smagnął go ponurym spojrzeniem, ale wtedy odezwał się książę Rowan:

- Przygotowałeś i broniłeś swoich poddanych z podziwu godnym męstwem. Nie chcemy umniejszać twoich zasług.

- A ja nie potrzebuję aprobaty ze strony dzikusów Fae – zadrwił lord Anielle.

Aelin klepnęła Rowana po ramieniu.

- Dzikus. Niezłe. Podoba mi się. Lepsze niż „ptaszysko”, prawda?

Yrene nie miała pojęcia, o czym mówi królowa, ale na wszelki wypadek powstrzymała wesołość. Aelin zaś złożyła przed starcem parodię ukłonu.

- Pora niestety zakończyć tę czarującą rozmowę, bo chciałabym wrócić do kolacji. Spotkamy się jutro na murach. Życzę miłego gnicia w piekle.

Następnie odwróciła się i pociągnęła męża za sobą do komnaty. W ostatniej chwili zatrzymała się i spojrzała przez ramię na Chaola i Yrene. Jej oczy rozbłysły, a na twarzy pojawił się szeroki uśmiech, tym razem pełen ciepła i radości.

- Gratulacje! – rzekła.

Yrene nie miała pojęcia, skąd się dowiedziała, ale Fae dysponowali niezwykle czułym węchem. Odpowiedziała uśmiechem i pochyliła głowę, a potem Aelin zatrzasnęła drzwi przed nosem lorda Anielle.

Chaol spojrzał na ojca, po mistrzowsku kryjąc rozbawienie.

- No i zobaczyłeś ją.

Starzec odszedł bez słowa, aż dygocząc z wściekłości i upokorzenia.

Yrene dawno nie widziała czegoś, co sprawiłoby jej taką satysfakcję.

Uśmiech Chaola zdradzał, że on również.

– Cóż za okropny człowiek. – Elide skończyła udko kurczaka, a drugie podała Fenryswi, który powrócił do ciała mężczyzny. Wgryzł się w kąsek z pomrukiem zadowolenia. – Współczuję lordowi Chaolowi.

Aelin, która oparła się o ścianę i wyciągnęła przed siebie obolałe nogi, skończyła jeść udko, a potem złapała pajdę ciemnego chleba.

– Współczuję Chaolowi, jego matce i bratu. Współczuję każdemu, kto ma do czynienia z tym dziadem.

Rowan, który siedział przy jedynym oknie komnaty, przyglądając się armii, obozującej u stóp twierdzy, parsknął:

– Rzadko cię widuję w takim stanie jak dziś.

Aelin zasalutowała mu grubą pajdą owsianego chleba.

– Każdy, kto przerywa mi posiłek, robi to na własne ryzyko.

Rowan przewrócił oczami, ale uśmiechnął się, tak jak wtedy, gdy wraz z Aelin wykryli nowy akcent w zapachu Yrene. Zmianę oznaczającą dziecko.

Aelin bardzo się ucieszyła. Chaol zasłużył sobie na taką radość najbardziej ze wszystkich znanych jej ludzi. Tak jak jej własny towarzysz życia.

Nie zdobyła się jednak na to, by rozwinąć tę myśl. Dokończyła swoją pajdę chleba, podeszła do okna i oparła się o parapet obok Rowana, a ten objął ją lekko, niemalże od niechcienia.

Żadne z nich nie wspominało o Maeve.

Elide i Fenrys jedli w milczeniu, dając im tyle prywatności, ile to było możliwe w niewielkiej komnacie, którą przyszło im dzielić. Spać mieli na posłaniach rozłożonych na podłodze. Wyglądało na to, że lord Anielle nie ceni sobie luksusów i nie zwykł zapewniać swoim gościom podstawowych wygód, jak gorąca kąpiel czy chociażby łóżka.

– Ludzie są przerażeni – rzekł Rowan, spoglądając na niższe poziomy budynku. – Czuć to wyraźnie.

– Bronią tej twierdzy od kilku dni. Wiedzą, co czeka ich o świcie.

Rowan zacisnął zęby.

– Ich strach to dowód na to, że nie ufają naszym sojusznikom. Nie wierzą w to, że armia kagana przybyła, by naprawdę ich ocalić, a przez to będą walczyć niemrawo, bez energii. Takie przeświadczenie stworzy zupełnie niepotrzebną słabość.

– Może powinieneś powiedzieć o tym Chaolowi – rzekła Aelin. – Mógłby ich zmotywować porządną mową.

– Coś mi mówi, że Chaol wygłosił już niejedną taką mowę. A ten rodzaj strachu zatruwa duszę.

– A więc co możemy z tym zrobić?

– Nie wiem. – Rowan pokręcił głową.

Aelin wyczuła jednak, że jej towarzysz doskonale zna odpowiedź na to pytanie. Miała wrażenie, że chciał powiedzieć coś innego, ale powstrzymała go obecność reszty bądź inna wątpliwość. Nie dociekała. Siedziała nieruchomo i wpatrywała się to w mury, po których przechadzały się patrole lorda Anielle, to znów w dal, gdzie ciągnęła się wroga armia. Z ciemności dobiegały przerażające wrzaski, co wystarczyło, by po jej plecach spłynął dreszcz lęku.

– Jak się ma bitwa na lądzie do bitwy morskiej? Jest łatwiejsza? Gorsza? – Aelin spojrzała na wytatuowaną twarz męża.

Starcie w Zatoce Czaszek było bowiem stosunkowo krótkie, a walka z ilkenami na Kamiennych Bagnach bardziej przypominała eksterminację niż cokolwiek innego. Obie bitwy nijak się miały do tego, co czekało ich jutro, czy do tego, co jej przyjaciele przeżyli na Wąskim Morzu.

Rowan zastanowił się, a potem rzekł:

– Zarówno na lądzie, jak i na morzu panuje ogromne zamieszanie, ale innego typu.

– Ja wolę walczyć na lądzie – burknął Fenrys.

– Bo nikt nie przepada za zapachem mokrego psa? – rzuciła Aelin przez ramię.

– Dokładnie! – Fenrys się roześmiał.

Przynajmniej okazywał wesołość. Kąciki ust Rowana również drgnęły, ale jego oczy pozostały chłodne. Nadal wpatrywał się we

wrogą armię.

– Jutro czeka nas niezła rzeź – rzekł. – Mamy jednak dobry plan.

Byli już na murach z Chaolem i próbowali przygotować się na wszelkie desperackie manewry, na które mogłaby się zdobyć otoczona, zgnieciona armia Morath. Elide postanowiła, że dołączy do Yrene i innych uzdrowicielek, zajmujących się rannymi w Wielkiej Sali. Aelin nie miała pojęcia, jakie pozycje zajmą Lorcan i Gavriel. Obaj znikli zaraz po przybyciu do Anielle – pierwszy z nich zapewne pograżył się w rozmyślaniach, a drugi przypuszczalnie pełnił straż – ale liczyła na to, że zjawią się, by wesprzeć ich w walce.

Niespodziewanie pojawił się Gavriel, jakby przyzwany jej myślami.

– obrońcy wydają się stosunkowo cisi – powiedział w ramach powitania, a potem bezceremonialnie usiadł na podłodze obok Fenrysa i przyciągnął do siebie misę z udkami kurczaka. – Ale ludzie się boją. Kilka dni oblężenia odcisnęło już na nich swe piętno.

Rowan pokiwał głową. Nie chciało mu się tłumaczyć Lwu, że przed momentem doszedł do identycznych wniosków.

– Jutro będziemy musieli zrobić wszystko, by pokonać ich lęk.

W rzeczy samej.

– A ja zastanawiałam się nad czymś innym – odezwała się Elide, nie kierując swych słów do nikogo spośród nich. – Skoro Maeve to intruz, kto obejmie władzę nad Doranelle, gdy ona zostanie przegnana wraz z innymi Valgami?

– Albo spalona na wiór – mruknął Fenrys.

Aelin w innej sytuacji uśmiechnęłaby się ponuro, ale pytanie Elide dało jej do myślenia.

Gavriel powoli odłożył udko.

Dłoń Rowana zsunęła się z ramion żony. Jego oczy, zielone niczym sosnowe igliwie, były szeroko otwarte.

– Ty – powiedział.

– Przecież są inni z linii Mab. – Aelin zamrugęła. – Galan czy Aedion...

– Tron przechodzi po kądzieli. Dziedziczą go tylko kobiety – rzekł

Rowan. – Bądź tak być powinno. Jesteś jedyną kobietą, w której żyłach płynie czysta krew Mab.

– A twój ród, Rowanie? – odezwał się Gavriel. – Ktoś z twego rodu może domagać się prawa do połowy tronu Mory.

– Postawiłbym na Sellene – odparł Rowan. Krew Mory w jego żyłach była tak rozrzedzona, że nie łączyło go z nią nic poza tytułem książęcym. Choć w przeszłości Rowan i Aelin mieli wspólnych przodków, Aelin była bliżej spokrewniona z Elide, a może również z Chaolem, niż z własnym mężem.

– No to niech sobie bierze, co chce. – Dziewczyna otrzepała dłonie z niewidzialnego kurzu. – Doranelle jest jej.

Już dawno postanowiła, że więcej nie postawi w tym mieście nogi, bez względu na to, czy Maeve wciąż będzie żyła, czy też nie. Nie miała pewności, czy wychodzi w ten sposób na tchórza, a magii nie ośmielała się o to spytać.

– Mali Ludzie dobrze wiedzieli, kim jesteś – zamyślił się Fenrys, pocierając szczękę.

Mali Ludzie od zawsze ją uznawali. Ludkowie ocalili jej życie dziesięć lat wcześniej, a potem znowu kilka tygodni temu. Znali ją, rozpoznawali i zostawiali jej dary. Kiedyś myślała, że szanują ją jako dziedziczkę Brannona, a nie...

– Królowa Fae Zachodu – szepnął Gavriel.

Zapadła cisza.

– To prawdziwy tytuł? – spytała opryskliwie Aelin.

– Od dzisiaj – mruknął Fenrys.

Aelin smagnęła go spojrzeniem.

– A Sellene zostanie Królową Fae Wschodu – zadumał się Rowan.

Nikt nie odzywał się przez dobrą minutę, aż Aelin spojrział na sufit i westchnęła ponownie.

– Znacie jeszcze jakieś inne fajne tytuły? – spytała.

Nie padła żadna odpowiedź, a Aelin robiła wszystko, by nie myśleć o odpowiedzialności, którą taki tytuł na nią nakładał. Próbowwała nie myśleć o żadnych implikacjach. Wyglądało bowiem na to, że oprócz

sprawowania opieki nad Małymi Ludźmi na kontynencie wraz ze swą drużyną mogła stworzyć ojczyznę dla wszystkich Fae, którzy mieli ochotę wśród nich zamieszkać. Dla wszystkich Fae, którzy przeżyli rzeź dziesięć lat temu i teraz pragnęliby powrócić.

Ech, piękne, ale nierealne marzenie. Pewnie i tak nie doczeka chwili, kiedy się ziści.

- Królowa Fae Zachodu – powtórzyła, smakując te słowa, a w myślach zapytała się, jak długo jeszcze będzie można ją tak nazywać.

Ciężka cisza w komnacie dowodziła, że jej towarzysze myśleli o tym samym. Ból, wściekłość i determinacja w oczach Rowana wskazywały na to, że rozważał, jak wybawić ją od ołtarza ofiarnego.

Później. Później będzie się tym martwić. Najpierw musieli przeżyć jutro.

Za czarną bramą ciągnęła się wieczność.

Ale nie dla niej. Nie, ona nie miała szansy na wejście do świata zmarłych.

Bogowie zbudowali inną trumnę, tym razem z owego czarnego, migotliwego kamienia, którego jej ogień nie mógł stopić. Nie mógł przebić. Uciec zeń zaś można było tylko w jeden sposób – należało stać się nim. Należało wtopić się w niego, tak jak piana morska wtapia się w piasek na plaży.

Każdy kolejny oddech był płytszy od poprzedniego. W tej trumnie nie było dziur.

Wiedziała, że obok leży druga skrzynia, bo słyszała stłumione wrzaski uwięzionej w niej osoby.

Dwie księżniczki, jedna złota, a druga srebrna. Jedna młoda, a druga prastara. Obie stanowiły cenę zamknięcia bramy do wieczności.

Powietrze miało się wkrótce skończyć. Już zmarnowała go wystarczająco dużo, gdy jak szalona drapała o kamień. Połamane paznokcie pulsowały bólem.

Krzyki tamtej cichły.

Powinna pogodzić się ze swym losem. Tylko wtedy wieko mogło się otworzyć.

Powietrze było takie gorące, takie cenne. Nie mogła się wydostać, nie mogła się wydostać...

Aelin zerwała się ze snu. W komnacie panował mrok, jej towarzysze spali mocno.

Świeże powietrze. Gwiazdy widoczne w wąskim okienku. Nie ma trumny z Kamienia Wyrda. Nie ma bramy gotowej pochłonąć ją w całości. Aelin jednakże wiedziała, że ci ohydni bogowie nadal na nią patrzyli. Patrzyli i czekali.

Była dla nich ofiarą. I niczym więcej.

Poczuła wzbierające mdłości, ale zignorowała je, podobnie jak drżenie całego ciała oraz wzbierający w niej ogień.

Obróciła się i wtuliła w mocne, ciepłe ciało Rowana. Wrzaski Eleny nadal rozbrzmiewały jej w uszach.

Nie, już nigdy nie będzie bezradna.

Funkcjonowanie w kobiecym ciele nie do końca wyglądało tak, jak Dorian się tego spodziewał. Sposób chodzenia, poruszania nogami i biodrami był dlań obcy, zaskakująco wprost obcy. Jeśli którakolwiek z Crochan zauważyła młodą wiedźmę, która chodziła wśród nich w kółko, kucając, a potem rozprostowując nogi, nie dały tego po sobie poznać, całkiem pochłonięte zwijaniem obozu.

Osobnym problemem był biust. Dorian nie miał pojęcia, że posiadanie piersi jest tak kłopotliwe! Nie było to wrażenie niemiłe, ale choć upłynęło kilka godzin, nadal nie mógł przyzwyczaić się do ich niewielkiego ciężaru, który miał wpływ na równowagę, ani do tego, że bez przerwy trącał je rękami.

Dołożył wszelkich starań, by transformacja nie okazała się dużym wysiłkiem. Poprzedniego dnia wybrał sobie młodą Crochan, nowicjuszkę, która nie była przez cały czas potrzebna i niezbyt rzucała się w oczy, i przyglądał się jej intensywnie, przez co pewnie uznała go za zboreźnika.

Dziś rano przekonał się, że nadal doskonale pamięta rysy jej twarzy i budowę ciała. Udał się więc na skraj obozu i po prostu wywołał przemianę.

Cóż, nie było to aż takie proste. Przemiana nie była przyjemnym doświadczeniem, zwłaszcza gdy czuł, jak przekształcają się jego kości, skóra czaszki mrowi, porastając falami brązowych włosów, a nos przybiera nowy, delikatny kształt.

Przez kilka długich minut wpatrywał się w siebie bez słowa. Oglądał swe delikatne dłonie i węższe nadgarstki. Nie mógł uwierzyć, ile siły kryło się w tych drobnych kościach. Poklepał się delikatnie między nogami, by stwierdzić, że i tam zaszły zmiany.

Przebywał w tej postaci od dwóch godzin, ucząc się ruchów kobiecego ciała. Było to całkowicie inne doświadczenie od lotu kruka i jego zmagania z wiatrem. Wydawało mu się, że wie o kobietach wszystko. Wiedział, co trzeba zrobić, by kobieta mruczała z podniecenia. Korciło go, by znaleźć jakiś namiot i przekonać się na

własnej skórze, jak odczuwa się pewne rzeczy, ale ostudził własną pokusę. Nie był to odpowiedni moment. Cały obóz szykował się do wylotu.

Trzynastka nie zdecydowała jeszcze, dokąd się uda. Czarnodziobe nie zostały zaproszone do wspólnej podróży z Crochan do ich rodzinnych palenisk. Nawet Glennis się nimi nie zainteresowała.

Żadna z wiedźm jednakże nawet na niego nie spojrzała, gdy krzątały się wokół. Żadna go nie rozpoznała.

Pochłonięty ćwiczeniami Dorian zatoczył kolejne koło, gdy pojawiła się Manon z powiewającymi, srebrnymi włosami. Zatrzymał się, udając przezorną, ostrożną wojowniczkę Crochan, i patrzył, jak wiedźma idzie szybkim krokiem przez śnieg i błoto niczym ostrze przecinające świat.

Naraz zatrzymała się. Odwróciła się powoli, rozchylając nozdrza, i omiotła go spojrzeniem złocistych oczu. Ściągnęła brwi, na co Dorian odpowiedział jej leniwym uśmiechem.

Manon podeszła bliżej.

– Dziwię się, że się jeszcze nie obmacujesz.

– A może mam to już za sobą, co?

Przywódczyni Trzynastki obrzuciła go kolejnym taksującym spojrzeniem.

– Nie mogłeś wybrać jakiejś ładniejszej?

Dorian zmarszczył brwi i obejrzał własne ciało.

– Myślę, że jest wystarczająco ładna.

– Czy to oznacza, że niebawem wybierasz się do Morath? – Manon zacisnęła usta.

– Czy ja coś takiego powiedziałem? – odparł Dorian, nie kryjąc rozdrażnienia.

Manon podeszła krok bliżej i błysnęła obnażonymi kłami. W tym ciele był trochę niższy od niej. Nachyliła się nad nim i warknęła:

– Mamy wystarczająco dużo ważnych spraw na głowie, książatko!

Dorian odepchnął osobliwą ekscytację, którą wywołała jej bliskość.

– Nie stoję wam chyba na drodze, co?

Manon otworzyła usta, ale natychmiast je zamknęła. Dorian roześmiał się cicho i odwrócił się, by odejść, gdy na jego ramieniu zacisnęła się dłoń zwieńczona żelaznymi szponami. Z zaskoczeniem stwierdził, że w tym cieple dłoń Manon wydaje mu się wielka. Nie była już smukłą, drobną, acz śmiertelnie niebezpieczną dłonią, do której przywykł.

Złote oczy wiedźmy rozbliły.

– Jeśli szukasz kobiety o wrażliwym sercu, która będzie się użalać nad twoim ciężkim życiem i będzie próbować odwieść cię od trudnych decyzji, to wylądowałeś w niewłaściwym łóżku.

– Nie jestem teraz w niczym łóżku.

Od ich rozmowy w Eyllwe nawet nie zajrzał do jej namiotu.

Manon ani drgnęła, słysząc jego ripostę.

– Twoje zdanie nie ma dla mnie znaczenia – rzekła.

– To co tu robisz?

Znów otworzyła i zamknęła usta, po czym warknęła:

– Przekształć się.

Dorian uśmiechnął się ponownie.

– Nie masz przypadkiem czegoś ważniejszego do zrobienia, Wasza Wysokość?

Przez moment był przekonany, że wiedźma zaraz uwolni te długie, żelazne kły i rozszarpie mu gardło. W zasadzie nie miałby nic przeciwko temu i nawet posunął się do tego, że musnął jej policzek widmową dłonią.

– Myślisz, że nie wiem, dlaczego nie chcesz, bym wybrał się do Morath?

Mógłby przysiąc, że zadrżała. Mógłby przysiąc, iż odruchowo odchyliła lekko głowę, jakby chciała nacieszyć się magicznym dotykiem. Widmowe palce Doriana wodziły teraz po jej szyi i muskały jej kości obojczykowe.

– Każ mi zostać – powiedział. W jego słowach nie było ciepła ani życzliwości. – Każ mi zostać z tobą, jeśli tego pragniesz.

Widmowe dłonie wysunęły pazury i drapały jej skórę.

Manon przełknęła ślinę.

– Nie powiesz tego, co?

Jej oddech stał się chrapliwy. Dorian nie przestawał pieścić skóry jej szyi, którą tak często smakował.

– A wiesz czemu?

Nie odpowiedziała, a wtedy Dorian wbił widmowy szpon nieco głębiej. Znów przełknęła ślinę, ale widać było, że nie powoduje nią strach.

Młody król podszedł bliżej i odchylił głowę, by spojrzeć jej w oczy.

– Ja wiem czemu – mruknął. – Może jesteś ode mnie starsza i na pewno potrafisz zadawać śmierć na tysiące sposobów, ale w głębi serca się boisz. Nie masz pojęcia, jak poprosić mnie o to, bym został, bo nie chcesz przyznać, że tego pragniesz. Bo boisz się przyznać do tego. Tak, boisz się. Boisz się siebie samej. Nic nie napędza ci większego stracha od ciebie samej.

Przez dłuższą chwilę Manon wpatrywała się w niego bez słowa, aż warknęła:

– Brednie wygadujesz!

I odeszła.

Dorian roześmiał się cicho. Odchodząca Manon zeszywniała na moment, ale się nie odwróciła.

Lęk. Lęk przed przyznaniem się do przywiązania. Do uczuć.

Cóż za absurd.

Choć być może kryło się w tym trochę prawdy.

Manon uznała jednak, że to nie jest jej problem. Przynajmniej nie w tej chwili.

Szła szybkim krokiem wśród wędzmi składających namioty i chowających ogień z każdego paleniska. Trzynastka krzątała się przy wywernach i układała zapasy w jukach.

Niektóre Crochan marszczyły brwi na jej widok. Nie powodował nimi gniew, ale raczej rozczarowanie. Niezadowolenie. Zupełnie jakby sądziły, że ich rozstanie to kiepski pomysł.

Manon zgadzała się z nimi, ale nie powiedziała tego na głos. Gdyby Trzynastka chciała podążyć za Crochan, te znalazłyby na pewno jakiś sposób, by je zgubić. Sięgnęłyby po swą moc, by spowolnić wywerny i uciec.

Ona zresztą nie zamierzała poniżać siebie ani reszty Trzynastki. Nie miała zamiaru dopuścić do tego, by Trzynastka stała się sforą psów ścigających pana. Bardzo potrzebowały ich pomocy, którą zresztą Manon obiecała sojusznikom, ale wiedźma nie miała ochoty na dalsze upokorzenia.

Zatrzymała się przy namiocie Glennis, jedynym, gdzie nadal płonął ogień. Płomień, który nie miał nigdy zgasnąć. Płomień, który na zawsze miał jej przypominać o obietnicy złożonej królowej Terrasenu. Pojedynczy, samotny płomień walczący z chłodem.

Manon podrapała się po twarzy i usiadła na jednym z głazów ułożonych wokół paleniska. Czyjaś dłoń opadła na jej ramię, drobna i ciepła. Nie odtrąciła jej, nie miała siły.

– Wylatujemy za kilka minut – powiedziała Glennis. – Chciałam się pożegnać.

Manon spojrzała na staruszkę.

– Udanej podróży – rzekła.

Nie miała pojęcia, co jeszcze może powiedzieć. Winą za swą porażkę nie mogła obarczyć ani Glennis, ani nikogo innego poza sobą.

„Boisz się”.

Taka była prawda. Próbowwała zdobyć zaufanie Crochan, ale nie dała z siebie wszystkiego. Nie podzieliła się z nimi tym, co naprawdę miało znaczenie. Nie pokazała pełni krzywd, które jej wyrządzono. Nie pokazała im tego, jak odcisnęła się na niej świadomość, iż miała siostrę, którą zabiła. Nie rozumiała zresztą tej świadomości i nigdy dotąd nie chciała się w nią zagłębiać.

„Boisz się”.

Tak, to prawda. Bała się wszystkiego.

– Niech wasza ścieżka prowadzi was bezpiecznie przez chaos wojny – Glennis zsunęła dłoń z jej ramienia – i doprowadzi was do domu.

Manon nie chciało się tłumaczyć staruszce, że zarówno ona, jak

i Trzynastka nie miały już domu.

Glennis spojrzała raz jeszcze ku niebu i westchnęła. A potem ściągnęła siwe brwi i rozszerzyła nozdrza.

Manon skoczyła na równe nogi.

– Uciekajcie – szepnęła Glennis. – Uciekajcie!

Manon wyciągnęła Tnącego Wiatr. Nawet nie drgnęła.

– Co się dzieje?

– Są tu!

Manon nie miała pojęcia, jak Glennis wyczuła ów zapach na wietrze, ale nie interesowało jej to.

Z chmur wypadły trzy wywerny, które pomknęły ku ich obozowisku.

Znała te bestie równie dobrze jak trzy dosiadające je wiedźmy, których widok wywołał paniczne zamieszanie w obozie Crochan.

Trzy Matrony Żelaznozębnych odnalazły je i przybyły zakończyć to, co Manon rozpoczęła pewnego pamiętnego dnia w Morath.

Trzy Najwyższe Wiedźmy przybyły same.

Nie uspokoiło to bynajmniej Crochan, które w pośpiechu wzbijały się do lotu. Kilka z nich dygotało ze strachu, najwyraźniej rozpoznając nowo przybyłe.

Manon zacisnęła mocniej dłoń na Tnącym Wiatr, by opanować lekkie drżenie. Trzy wiedźmy wylądowały na skraju paleniska Glennis. Ich wywerny tratowały i miażdżyły namioty.

Asterin i Sorrel znalazły się natychmiast obok Manon.

– Cienie są już na niebie. – Szept jej zastępczyni przedarł się przez trzask rozpruwanych namiotów. – Nie widzą żadnego innego oddziału.

– Przybyły bez swoich sabatów?

– Tak. Nigdzie też nie ma Iskry i Petrah.

Manon przełknęła ślinę. A więc Matrony naprawdę przybyły samotnie. Pozostawiły resztę armii wiedźm i odnalazły je bądź wytropiły.

Manon uświadomiła sobie, że to ona mogła je tu ściągnąć, ale odegnała tę myśl. Ciche warknięcia zgromadzonych wokół Crochan, na ogół pod adresem Manon, były wyraźnym dowodem na to, co o tym sądziły.

Wywerny wreszcie znieruchomiały i oplotły swe ciała długimi ogonami. Lśniące od trucizny kolce zaległy na śniegu, w każdej chwili gotowe zadawać śmierć.

Rozległy się pospieszne kroki, a potem ktoś wyhamował przy Manon. Wiedźmę owionął zapach Doriana.

– Czy to...

– Tak – powiedziała cicho. Jej serce biło mocno, gdy Matrony zsiadały z wierzchowców.

Żadna z nich nawet nie uniosła rąk na znak, że przybyły

porozmawiać. Zamiast tego podeszły bliżej paleniska, gdzie wciąż płonął bezcenny ogień.

– Nie mieszajcie się w to – rzekła Manon do Doriana, Sorrel i Asterin, po czym wyszła Matronom na spotkanie.

To nie była bitwa króla Adarlanu, bez względu na to, jaka moc drzemała w jego żyłach.

W pomarszczonych dłoniach Glennis znalazł się już miecz. Staruszka wydawała się równie sędziwa jak Matrona Żółtonogich, a mimo to stała dumnie wyprostowana, wpatrzona w zbliżające się Żelaznozębne.

– Dawno się nie widziałyśmy, Glennis – oznajmiła Cresseida Błękitnokrwista o oczach równie zimnych jak korona z żelaznymi kolcami, wdzierająca się w jej poznaczone piegami czoło.

Manon zorientowała się jednak, że Glennis nie patrzy ani na Matronę Błękitnokrwistych, ani nawet na przywódczynię Czarnodziobych, strojną w czarne, powiewające na wietrze szaty, która spoglądała z drwiną na wnuczkę. Nie, jej pełna uwaga skupiona była na Matronie Żółtonogich, zgarbionej, ziejącej nienawiścią.

Glennis spoglądała na koronę z gwiazd, wieńczącą siwe, rzadniejące włosy staruchy.

Miecz w dłoniach Crochan drżał lekko. W chwili, gdy Manon uświadomiła sobie prawdę, u boku starej Crochan pojawiła się Bronwen, która szepnęła:

– To korona Rhiannon.

Noszona przez Matronę Żółtonogich, by zadrwić z Crochan. By je opluć i upokorzyć. W uszach Manon rozległ się głuchy ryk.

– W dziwnym towarzystwie się ostatnio obracasz, wnuczko – powiedziała babka Manon i odrzuciła warkocz czarnych, srebrzących się włosów.

Zaplotła włosy. Trudno o lepszy znak, z jakimi przybyła intencjami. Wiedźmy zaplatały włosy przed bitwą. Gdy szykowały się do mordów i siania zniszczenia.

Manon czuła na sobie spojrzenia całej trójki Matron, ale jako pierwsza odezwała się Glennis.

- Czego tu chcecie? – zapytała ochryplym głosem, którego Manon nigdy dotąd nie słyszała.

Matrona Czarnodziobych uśmiechnęła się, odsłaniając pordzewiałe, żelazne zęby, prawdziwy dowód jej wieku.

- Popeliłaś poważny błąd, Manon Siostróbójczyni, gdy podjęłaś próbę zwrócenia naszych sióstr przeciwko nam. Gdy zaczęłaś rozsiewać kłamstwa co do naszych planów. Ba, moich planów!

Manon uniosła wysoko podbródek.

- Mówiłam tylko prawdę. I chyba cię to przeraziło, skoro zebrałaś pozostałe dwie Matrony, by mnie znaleźć i udowodnić, że jesteś niewinna i wcale nie spiskowałaś przeciwko nim.

Dwie Matrony nawet nie drgnęły, co oznaczało, że szpony jej babki weszły głęboko. Albo po prostu było im wszystko jedno.

- Przybyłyśmy – wyszczała Cresseida, jakże odmienna od swej córki, która udzieliła Manon głosu – by raz na zawsze wyrwać cierń z naszych boków.

Czy Petrah została ukarana za to, że pozwoliła Manon opuścić Omegę? Czy dziedziczka Błękitnokrwistych wciąż żyła? Cresseida wrzeszczała z przerażeniem godnym prawdziwej matki, gdy Petrah leciała w przepaść na spotkanie śmierci. Czy ta miłość, jakże dziwna i obca, nadal istniała? A może przegnały ją obowiązki wspólne ze starożytną nienawiścią? Na samą myśl o tym Manon napięła mięśnie.

- Przybyłyście ze względu na zagrożenie, które stanowimy – rzekła.

„Ze względu na zagrożenie, jakie wy stanowicie dla tego potwora, którego zwiecie moją babką” – dodała w myślach.

- Przybyłyście, bo się boicie – ciągnęła, unosząc lekko Tnącego Wiatr. Stała za Glennis. – Przybyłyście – mówiła dalej – bo nie macie żadnej mocy poza tą, którą my wam dajemy. I nagle poczułyście przerażenie, że zaraz wam ją zabierzemy. – Obróciła miecz i skierowała go klingą ku ziemi, by wyrysować linię w śniegu. – To dlatego, ze względu na ten strach, przybyłyście same. By inne nie zobaczyły, do czego jesteśmy zdolne. By nie zetknęły się z prawdą, którą zawsze próbowaliście ukryć.

- Posłuchaj sama siebie. – Jej babka wydeła usta. – Gadasz jak natchniona Crochan.

Manon zignorowała ją i wycelowała mieczem w Matronę Żółtonogich.

– A to nie jest twoja korona – warknęła.

Przez twarz Cresseidy przemknęło coś na kształt wahania, ale Żółtonoga wycelowała w Manon żelaznymi szponami, tak długimi, że aż zakrzywiały się ku dołowi.

– No to chodź tu, zdrajczyń! Chodź tu i zabierz ją sobie!

Manon zrobiła krok nad linią wyrysowaną na śniegu.

Nikt nie odezwał się ani słowem i wiedźma zadała sobie w myślach pytanie, czy nadal oddychały. Przegrała walkę z babką. Zdołała ująć z życiem, ale zawdzięczała to tylko uśmiechowi losu. Zresztą wówczas była gotowa na śmierć.

Uniosła Tnącego Wiatr wyżej. Jej serce tłuło się z wściekłością.

Dziś było inaczej. Nie miała zamiaru wpaść w objęcia Ciemności.

Ale Matrony na nic innego nie zasługiwały.

– Skądś znam ten scenariusz – wycedziła jej babka i rozstawiła nogi w pozycji do ataku. Pozostałe Matrony poszły w jej ślady. – Prawda? Ostatnia Królowa Crochan, która usiłuje stawić czoła naszej trójce.

Manon uwolniła żelazne kły, a potem machnęła dłonią i wysunęła szpony.

– Różnica polega na tym, że tym razem nie macie naprzeciwko tylko Królowej Crochan.

W błękitnych oczach Cresseidy pojawiła się wątpliwość, jakby uświadomiła sobie coś, o czym pozostałe Matrony nie miały pojęcia.

Tak, bowiem Manon dysponowała jeszcze jedną bronią i Błękitnokrwista zastanawiała się właśnie, czy przybycie tu nie było wielkim błędem.

Błędem, przez który stracą to, co chciały ochronić.

Błędem, przez który przegrają wojnę.

Błędem, który będzie kosztował je życie.

Cresseida zauważyła, jak rytmicznie oddycha Manon. Ujrzała blask przekonania w jej oczach i brak strachu w sercu.

Przywódczyni Trzynastki zrobiła jeszcze jeden krok, po czym uśmiechnęła się do Błękitnokrwistej, jakby chciała przytaknąć. Jakby chciała powiedzieć: „Tak, właśnie tak jest”.

– Nie zabiłaś mnie, gdy miałaś ku temu okazję. – Manon zwróciła się do babki. – Nie sądzę, by teraz ci się to udało.

– Zaraz się przekonamy! – wysyczała babka i rzuciła się do szarży.

Manon była gotowa.

Poderwała Tnącego Wiatr i zablokowała dwa pierwsze uderzenia, po czym uniknęła trzeciego. Odwróciła się w prawo, by odeprzeć natarcie Żelaznozębnej, która poruszała się z niewiarygodną prędkością. Jej stopy wydawały się niemalże przemykać nad śniegiem. Cięła Manon w odsłonięty bok, ale ona zdołała odbić jej klingę i posłać ją w tył.

Wtedy na Manon rzuciła się Cresseida.

Błękitnokrwista, w przeciwieństwie do pozostałych Matron, nie była doświadczoną wojowniczką. Spędziła zbyt wiele lat na odczytywaniu przyszłości ze zwierzęcych wnętrzności i wpatrywaniu się w gwiazdy w poszukiwaniu odpowiedzi na zagadki stawiane przez Boginię o Trzech Twarzach.

Manon uchyliła się w lewo i bez trudu wyszła poza zasięg żelaznych szponów Cresseidy, a potem rąbnęła ją w nos łokciem. Cresseida zatoczyła się, na co pozostałe dwie Matrony rzuciły się do kontrataku.

Ależ były szybkie. Wszystkie trzy natarcia nastąpiły w ciągu raptem kilku mrugnięć oka. Manon zdołała zachować równowagę i zauważyła, że jedna z Matron niebezpiecznie odsłoniła bok.

Nie była już załamana, rozbitą Przywódczynią Skrzydła, nieznającą swego miejsca. Nie wstydziła się już prawdy, którą miała przed sobą. Nie bała się.

Babka prowadziła atak. Jej uderzenia były najbardziej zabójcze i to ona pierwsza zadała jej ból. Żelazne szpony rozorały Manon ramię.

Ona jednak zasłoniła się mieczem, raz i drugi. Brzęk stali zderzającej się z żelazem niósł się echem po ośnieżonych górach.

Nie, wcale się już nie bała.

Dorian nigdy dotąd nie widział takiej walki. Nigdy dotąd nie był świadkiem starcia tak szybkiego i zabójczego.

Nigdy nie widział, by ktoś poruszał się tak jak Manon, która przypominała wir stali i żelaza. Miała przeciwko sobie wielką przewagę, zbyt wielką, tym bardziej że po starciu z zaledwie jedną z Matron miesiące temu cudem uniknęła śmierci.

Nacieraly, ale Manon robiła sprawne uniki bądź odbijała wrogie ostrza. Sama nie zadawała wielu ciosów, a raczej skupiała się na utrzymaniu Matron na dystans.

One również nie wyprowadzały wielu ciosów.

Magia Doriana wiła się, szukając ujścia, aż kipiąc, by powstrzymać walkę. Manon jednakże kazała im trzymać się od tego z daleka, a młody król nie miał zamiaru zlekceważyć jej nakazu.

Dookoła widział Crochan, przerażone zarówno toczącą się przed nimi walką, jak i faktem, że zostały odnalezione przez trzy Matrony. Glennis jednakże nie drżała, a stojąca przy niej Bronwen aż kipiała z ochoty, by wmieszać się do walki.

Manon i trzy Najwyższe Wiedźmy odskoczyły od siebie, zdyszane. Po ramieniu Manon spływała błękitna krew, ciała trzech Matron znaczyły drobne skaleczenia. Mimo to Czarnodzioba nadal stała po przeciwnej stronie nakreślonej przez siebie linii. Nie cofnęła się.

Ciemnowłosa wiedźma w obszernych, czarnych szatach splunęła błękitną krwią w śnieg. Była babką Manon.

– Żałosna. Jesteś równie żałosna jak twoja matka. – Spojrzała z drwiną na Glennis. – I twój ojciec.

Głuchy ryk Manon przetoczył się po górach, na co jej babka zareagowała pogardliwym, ochrypłym śmiechem.

– To wszystko, na co cię stać? Będiesz warczeć jak pies i machać mieczem jak jakiś ludzki śmieć? Wykończymy cię, wnuczko. Zameczymy. Lepiej uklęknij już teraz i przynajmniej zgiń z honorem.

Manon wysunęła za siebie rękę i rozstawiła palce, jakby czekała, aż ktoś coś wsunie w jej dłoń. Nie spuszczała przy tym Matron z oczu.

Dorian sięgnął po Damaris, ale Bronwen zareagowała pierwsza. Słońce i śnieg błysnęły w klindze rzuconego miecza.

Palce Manon zacisnęły się na rękojeści. Ostrze ze świstem przecięło powietrze, gdy wiedźma ponownie zwróciła się ku trzem Matronom.

– Rhiannon Crochan broniła bram przez trzy dni i trzy noce. Do końca nie uklękła przed wami – oznajmiła i uśmiechnęła się krzywo. – Myślę, że pójdę w jej ślady.

Dorian mógłby przysiąc, że święty płomień zapłonął jaśniej. Był niemalże pewien, że Glennis wciągnęła ostro powietrze, a w ślad za nią każda Crochan.

Manon ugięła lekko kolana i uniosła oba miecze.

– Zakończmy więc to, co się rozpoczęło wtedy.

Obie klingi zamigotały, gdy rzuciła się do ataku. Jej babka cofała się krok za krokiem, a pozostałe dwie Matrony nie były w stanie przebić się przez jej obronę.

Nie było już wiedźmy, która pragnęła śmierci. Nie było wiedźmy, która wściekała się na prawdę, rwącą jej serce i duszę na strzępy. W jej miejsce pojawił się ktoś, kogo Dorian jeszcze nie widział, kobieta, która walczyła, jakby jej ciało utkano z wiatru, bez wytchnienia odpierając ataki trzech Matron. Królowa dwóch narodów.

Matrona Żółtonogich przypuściła wściekłe natarcie, którym zmusiła Manon do cofnięcia się o krok, a potem o kolejny. Jej klingi odbijały wściekły nawał ciosów, po czym Manon się zatrzymała. Żółtonoga nie działała nic więcej. Nie była w stanie, bo Manon walczyła z przekonaniem w sercu i bez cienia strachu w oczach. Była nie do powstrzymania.

Mimo to przeciwniczka zepchnęła ją tak blisko linii, że Manon dotknęła jej piętami. Pozostałe dwie Matrony cofnęły się nieco, jakby chciały na własne oczy przekonać się, czym skończy się to starcie.

Żółtonoga, choć wydawała się zgarbioną staruszką, teraz przeobraziła się w uosobienie koszmarów. Była o wiele potężniejsza od Baby Żółtonogiej. Stopami ledwie muskała ziemię, a jej zakrzywione, żelazne szpony wyszarpywały krew, gdzie tylko mogły.

Miecze Manon parowały cios za ciosem, ale ona sama jakoś nie przechodziła do kontrataku, choć Dorian dostrzegł kilka sposobności. Lewe ramię i bok młodszej wiedźmy już krwawiły, ale nie ustępowała. Była murem, którego Żółtonoga nie mogła przebić. Starucha warczała

i charczała, przypuszczając atak za atakiem i pogrążając się w coraz większym szale.

Dorian w ostatniej chwili dostrzegł pułapkę, którą zastawiła na nią Manon. Dostrzegł odsłoniętą lewą stronę niczym przynętę na srebrnym talerzu.

Owładnięta furją Żółtonoga nie zastanawiała się ani przez moment. Rzuciła się naprzód z wyciągniętymi szponami.

Manon zaś czekała.

Twarz pochłoniętej furją Żółtonogiej rozjaśnił tryumf. Szykowała się, by zadać łatwy cios, który przypieczętuje zwycięstwo i wydrze Manon serce.

Matrona Czarnodziobych warknęła ostrzegawczo, ale Manon już działała. Gdy zakrzywione szpony Żółtonogiej przedarły się przez skórzany strój przeciwniczki, ta wykonała piruet i spuściła klingę Tnącego Wiatr na odsłonięty kark Matrony.

Śnieg obryzgała błękitna krew.

Tym razem Dorian nie odwrócił wzroku, gdy po ziemi potoczyła się odrąbana głowa. Tym razem wpatrywał się w ciało w brązowej szacie, które osunęło się na ziemię.

Dwie pozostałe Matrony zatrzymały się. Żadna z Crochan nawet nie szepnęła, gdy Manon spojrzała bez litości na bezgłowego trupa Żółtonogiej. Dorian miał wrażenie, że wszyscy przestali oddychać, gdy wiedźma wbiła miecz Bronwen w lodowatą ziemię i pochyliła się, by zdjąć koronę z gwiazd z odrąbanej głowy.

Nigdy dotąd nie widział takiej korony.

Miał wrażenie, że składa się z dziewięciu gwiazd, które zerwano z nieba i osadzono na prostej, srebrnej opasce. Rozmigotana, wydawała się żyć własnym życiem. Światło korony tańczyło po jej twarzy, gdy Manon uniosła ją wysoko i nałożyła na rozpuszczone włosy.

Nawet górski wiatr ucichł.

Mimo to widmowy podmuch poruszył kosmykami włosów Manon, gdy korona zajaśniała. Białe gwiazdy zapłonęły fioletem i czerwienią, jakby uśpione przez długie stulecia wreszcie przebudziły się do życia.

Ów widmowy podmuch odsunął włosy Manon na bok. Srebrne kosmyki nadal muskały jej twarz.

Stojące wokół Doriana wiedźmy Trzynastki przytknęły dwa palce do czoła, oddając Manon cześć.

Ich królowa wpatrywała się w dwie ocalałe Najwyższe Wiedźmy.

Nowa Królowa Crochan.

Święty ogień skakał i tańczył niczym podczas radosnego powitania.

Wiedźma podniosła miecz Bronwen, a potem ujęła również Tnącego Wiatr. Spojrzała na Matronę Błękitnokrwistych, która naraz wydała się niewiele starsza od samej Manon.

– Odleć – rzekła.

Błękitnokrwista zamrugała. W jej szeroko otwartych oczach widać było tylko zgrozę.

Manon wskazała wywerny i dodała:

– Przekaż swej córce, że wszystkie długi między nami zostały uregulowane i że sama może zdecydować, co z tobą począć. Weź swą wywernę i zjeżdżaj stąd.

Babka Manon najeżyła się i błysnęła żelaznymi zębami, chcąc zatrzymać Błękitnokrwistą własnym rozkazem, ale ta już biegła w stronę wywerny. Została oszczędzona przez Królową Crochan, gdyż jej córka pozwoliła Manon przemówić do Żelaznozębnych.

Kilka sekund później Matrona Błękitnokrwistych była już na niebie, a wywerna Żółtonogiej poleciała za nią. Babka Manon została sama naprzeciwko wnuczki, opromienionej blaskiem korony i wznoszącej dwa miecze.

Manon w istocie jaśniała, jakby blask gwiazd korony wypełnił jej ciało. Oszalała pięknem i potęgą, zdawała się nie mieć sobie równych w całym wszechświecie, ani teraz, ani kiedykolwiek w przeszłości.

Powoli, jakby syciła się każdym krokiem, ruszyła w stronę babki.

Uśmiechnęła się lekko, idąc ku niej.

Przepływało przez nią ciepłe, roztańczone światło, równie

niezlomne jak odwaga oraz zdecydowanie, które szalały w jej sercu przez ostatnich kilka minut.

Nie ugięła się. Nie ulękła.

Korona była lekka, jakby stworzono ją ze światła księżyca, ale jej radosna siła układała się w pieśń, głośną i odważną, bynajmniej nie cichnącą w obliczu ostatniej Najwyższej Wiedźmy.

Manon się nie zatrzymywała.

Najpierw wyrzuciła miecz Bronwen, a potem, kilka kroków później, Tnącego Wiatr.

Uzbrojona w żelazne szpony i kły stanęła w odległości raptem pięciu kroków od babki.

Spojrzała na nią i ujrzała jedynie pełen nienawiści, żywy ochłap.

Nigdy dotąd nie zdawała sobie sprawy z tego, że babka była o wiele niższa od niej. Nigdy dotąd nie zauważyła tego, jak wąskie miała ramiona i jak bardzo zwiędła przez długie lata nienawiści i furii.

Uśmiech Manon stawał się coraz szerszy. Mogłaby przysiąc, że czuje obecność dwóch osób przy sobie. Wiedziała, że gdyby się odwróciła, nie ujrzałyby nikogo. Wiedziała też, iż nikt inny by ich nie zobaczył ani nie wyczuł. Dwie niewidzialne osoby stały za swą córką, rzucającą wyzwanie wiedźmie, która ich zniszczyła.

Jej babka splunęła na ziemię i obnażyła zardzewiałe kły.

Ta śmierć jednakże... Cóż, Manon nie zasługiwała na to, by odebrać życie swej babce. Prawo to nie przysługiwało również jej rodzicom, których duchy czuwały przy niej, którzy nie opuścili jej, choć rozdzieliła ich śmierć.

Manon spojrzała za siebie i odszukała wzrokiem swą zastępczynię, stojącą przy Dorianie. Po policzkach Asterin spływały łzy dumy i ulgi.

Skinęła na nią pazurzastą dłonią.

Naraz zaskrzypiał śnieg. Manon zawirowała, gotowa do sparowania ataku Matrony, ale nie padł żaden cios. Babka Czarnodzioba rzuciła się do ucieczki ku swej wywernie.

Wśród Crochan pojawiło się napięcie. Lęk błyskawicznie ustępował wściekłości, gdy patrzyły, jak Matrona wspina się na siodło, ale Manon uniosła rękę.

– Dajcie jej odejść.

Matrona strzeliła wodzami. Jej wywerna machnęła skrzydłami, posyłając ku nim fale cuchnącego powietrza, a chwilę później znalazła się już w górze.

Manon patrzyła na wznoszącą się wywernę. Jej babka nie obejrzała się ani razu. Gdy znikła na niebie i jedyną pamiątką po niespodziewanym ataku były już tylko plamy niebieskiej krwi oraz bezgłowe ciało, Manon odwróciła się ku Crochan. Te wpatrywały się w nią szeroko otwartymi oczami, ale żadna nawet nie drgnęła.

Wiedźmy Trzynastki wraz z Dorianem nadal stały nieopodal.

Manon podniosła oba miecze. Wsunęła Tnącego Wiatr do pochwy na plecach i ruszyła ku Glennis i Bronwen. Bez słowa oddała miecz młodszej Crochan i skinęła głową w podzięcie, a potem zdjęła koronę z gwiazd i wręczyła ją Glennis.

– To należy do ciebie – powiedziała cicho.

Wśród Crochan zapanowało poruszenie. Rozległy się szmery.

Glennis ujęła koronę, a gwiazdy przygasły. Na twarzy staruszki pojawił się lekki uśmiech.

– Nie – odparła. – Najwyraźniej nie.

Manon stała nieruchomo, gdy Glennis ujęła koronę i umieściła ją ponownie na jej głowie. Następnie uklękła przed nią w śniegu.

– To, co zostało skradzione, jest już odzyskane, a to, co przypadło, wróciło do domu. Oto Manon Crochan, Królowa Wiedźm.

Manon mężnie zniosła drżenie kolan. Z nieporuszoną miną wytrzymała również to, że wszystkie Crochan z Bronwen na czele opadły na jedno kolano. Dorian uśmiechnął się do niej z radością. Nigdy dotąd nie wydawał się jej równie wolny i szczęśliwy.

A potem uklękły wiedźmy Trzynastki. Znów pochyliły głowy i przytknęły palce do czoł. Ich twarze rozjaśniała dzika duma.

– Królowa Wiedźm! – oznajmiły Crochan i Czarnodziobe jednym głosem.

Jako jeden naród.

Na godzinę przed świtem w twierdzy i na równinie przed jej murami rozpoczęło się poruszenie.

Rowan ledwie zmrużył oko tej nocy. Leżał u boku Aelin i słuchał jej oddechu. To, że pozostali członkowie ich grupy spali jak zabici, najlepiej świadczyło o ich wyczerpaniu.

Lorcan jak dotąd nie odnalazł ich komnaty. Rowan był gotów się założyć, że po prostu nie chciał ich znaleźć.

To nie strach nie pozwolił mu zaznać snu. Uczestniczył już w wielu wojnach i nigdy jakoś nie miał problemów z zapadnięciem w sen, ale tym razem uniemożliwił to rozpędzony umysł, który co rusz przeskakiwał od jednej myśli do drugiej.

Widział ogrom armii obozującej na zewnątrz murów. Wiedział, że byli to głównie Valgowie i ludzie służący Erawanowi oraz inne plugawe istoty, ale nie było wśród nich żadnych ilkenów, Ogarów Wyrda ani wiedźm. Aelin mogła zmieść tę zgraję jeszcze przed wschodem słońca. Kilka eksplozji jej mocy i po armii Erawana nie byłoby śladu. Mimo to podczas narady zeszłej nocy nawet tego nie zaproponowała.

Rowan widział nadzieję, lśniąca w oczach mieszkańców twierdzy, widział nabożny zachwyt mijanych dzieci.

„Niosąca Ogień – szeptali. – Aelin Dziki Ogień”.

Jak szybko zniknie ów podziw? Jak szybko upadnie nadzieja, gdy ludzie nie ujrzą nawet iskry? Kiedy sercami wojowników zawładnie lęk, gdy królowa Terrasenu nie spali legionów Morath?

Rowan nie był w stanie zadać jej tego pytania. Zmuszał się do tego i wrzeszczał na siebie w myślach, kiedy nawet ich dziki trening nie był w stanie rozniecić najmniejszego promyka.

Nie potrafił jednak się przemóc. Nie mógł zapytać, dlaczego nie mogła ani nie chciała sięgnąć po swą moc. Nie mógł zapytać, dlaczego nie poczuli ani nie ujrzeli jej przez pierwsze tygodnie wolności. Nie mógł zapytać, co zrobili Maeve i Cairn, by zaczęła bać się swej magii

lub nienawidzić jej do tego stopnia, by nie chcieć po nią sięgnąć.

Nie mogąc już dłużej wytrzymać lęku i troski, które gryzły go bez chwili przerwy, wymknął się z komnaty na korytarz, gdzie ogarnęła go wrzawa przygotowań do bitwy.

Za nim otworzyły się drzwi i rozległy się kroki doganiającego go mężczyzny. Rowan poczuł znajomy zapach.

- Oni ją palili – rzekł Fenrys.

Rowan spojrział na niego spode łba.

- Co?

Fenrys skinął mijającej ich uzdrowicielce.

- A właściwie robił to Cairn, który wypełniał rozkazy Maeve.

- Czemu mi to mówisz?

Fenrys nie powinien się mieszać w te sprawy bez względu na to, co zrobił dla Aelin. Nie, ta sprawa dotyczyła tylko jego samego oraz jego towarzyski życia. Nikogo więcej.

Fenrys uśmiechnął się szeroko, choć w jego oczach nie było wesołości.

- Wpatrywałeś się w nią przez pół nocy. Miałeś ten dylemat wypisany na twarzy, Rowanie. Patrzyłeś na nią i zadawałeś sobie pytanie, dlaczego po prostu nie spali tej armii w cholerę.

Rowan skierował się do ustawionego w korytarzu koryta, przy którym kilku żołnierzy i uzdrowicieli obmywało twarze, próbując pozbyć się senności bądź napięcia.

- Założyli jej żelazne rękawice – ciągnął Fenrys. – A Cairn pewnego razu rozgrzał je nad koszem z ogniem. I... – Urwał, nie mogąc znaleźć odpowiednich słów.

Rowan z trudem oddychał.

- Minęło sześć tygodni, nim uzdrowiciele naprawili to, co Cairn zrobił z jej nadgarstkami i dłońmi, a kiedy się przebudziła, nie ujrzała nic poza gładką, zaleczoną skórą. Nie miała pojęcia, co się stało. Nie wiedziała, co było iluzją, a co wydarzyło się naprawdę.

Rowan sięgnął po jeden z dzbanów, bez przerwy napełnianych przez dzieci, i wylał sobie jego zawartość na głowę. Lodowato zimna

woda wniknęła w jego skórę i zagłuszyła na moment ryk w uszach.

– Cairn zrobił wiele podobnych rzeczy – ciągnął Fenrys, ujawniając inny dzban. Wylał nieco wody na dłonie i wtarł ją w twarz.

Ręce Rowana drżały, gdy wpatrywał się w spływające strugi.

– Ale ślady, które pozostawiłeś jej na szyi... – Fenrys znów wytarł twarz. – Bez względu na to, co jej robiono, nie znikają. Przetrwały dłużej niż jakakolwiek inna blizna.

Niemniej jej szyja była gładka, gdy ją znaleźli.

Fenrys, jakby odczytał tę myśl, dodał:

– Znikły dopiero po ostatniej wizycie uzdrowicieli. Tuż przed jej ucieczką. Tuż po tym, jak Maeve powiedziała jej, że wróciłeś do Terrasenu.

Te słowa okazały się mocniejsze od ciosu pięścią. A więc ślady po ugryzieniu znikły dopiero, gdy Aelin straciła nadzieję, że ją uratuje. Do tego czasu nawet najlepsi uzdrowiciele świata nie mogli ich usunąć.

Rowan wytarł twarz w rękaw kurtki.

– Czemu mi to mówisz? – powtórzył.

Fenrys podniósł się znad koryta i wytarł twarz równie bezceremonialnie.

– Byś przestał się zastanawiać, co się wydarzyło. Skup się dziś na czymś innym.

Obaj ruszyli w stronę sali, gdzie wydawano skąpe śniadanie.

– I poczekaj, aż będzie gotowa, by sama ci o tym powiedzieć.

– Ona jest moją towarzyszką życia – warknął Rowan. – Myślisz, że tego nie wiem?

„Byłbym mu wdzięczny, gdyby wpychał swój nos w sprawy kogoś innego” – pomyślał.

Fenrys jednakże uniósł dłonie.

– Potrafisz być całkiem brutalny, jeśli ci na czymś zależy.

– Nigdy bym jej nie zmusił do wyznania mi prawdy, gdyby nie była na to gotowa – odparł Rowan.

Trzymali się tego układu od początku i po części z tego powodu się w niej zakochał.

Powinien był się domyślić wszystkiego jeszcze w Mistward, kiedy zwierzał się jej z sekretów, których wcześniej nikomu innemu nie wyjawiał. Kiedy czuł, że chce jej o wszystkim opowiedzieć. Tak, przedstawiał jej fragmenty, urywki całej prawdy, ale chciał, by je знаła. Aelin zaś pragnęła wszystkiego wysłuchać. Wszystkiego.

Zastali Aelin i Elide już przy stole. Z ponurymi minami zajadały chleb z serem i zagryzały to suszonymi owocami. Nigdzie nie było śladu Gavriela ani Lorcana.

Rowan stanął za plecami Aelin i wycisnął pocałunek na jej szyi – tam, gdzie znajdowały się nowe ślady po ugryzieniu. Te, którymi podpisał się na jej skórze i zaznaczył swoje terytorium.

Dziewczyna mruknęła i podała mu kawałek chleba, który zanurzyła w resztkach jedzenia na swoim talerzu. Rowan zjadł go z ochotą. Pajda była gruba i smaczna.

– Kiedy wychodziłem, nadal spałaś, a mimo to na śniadanie dotarłaś jako pierwsza. – Uśmiechnął się i wycisnął kolejny pocałunek na jej szyi. – Czemu mnie to nie dziwi?

Siedząca obok Aelin Elide parsknęła śmiechem, nakładając sobie nową porcję na talerz.

Cała czwórka zjadła śniadanie pospiesznie, napełniła bukłaki w fontannie na wewnętrznym dziedzińcu i zaczęła szukać pancerzy. Na górnych poziomach nie znaleźli nic, co by się nadawało do założenia, a więc schodzili coraz niżej, aż natrafili na zamknięte pomieszczenie.

– Otwieramy czy zostanie to odebrane jako brak kultury? – zastanowiła się Aelin, spoglądając na drewniane drzwi.

Rowan pchnął strugę swej mocy i rozbił zamek w drzazgi.

– Wygląda na to, że było już otwarte, kiedy tu przyszliśmy – mruknął.

Aelin obdarzyła go zawadiackim uśmiechem, a Fenrys wyciągnął pochodnię z obejmy na kamiennej ścianie wąskiego korytarza, by rozświetlić ciemności w pomieszczeniu.

– Cóż, teraz wiemy, czemu twierdza jest w tak gównianym stanie –

rzekła królowa, rozglądając się po wnętrzu. – Miłościwy pan trzyma tu całe swoje złoto i inne zabawki.

Aelin i Rowan mieli tę samą definicję zabawek – królowa wskazywała pancerze, miecze, włócznie i buławy z dawnych lat.

– Czemu nie rozdał tego wojownikom? – Elide zmarszczyła brwi, wskazując stojaki z mieczami i sztyletami.

– Bo to dziedzictwo rodowe – rzekł Fenrys, który przyglądał się rękojeści miecza. – Stara broń, ale nadal dobra. Naprawdę dobra – dodał, wyciągając ostrze z pochwy. Zerknął na Rowana. – To zostało wykute przez asteriońskich kowali.

– W innej epoce – zadumał się Rowan, wpatrując się z zachwytem w ostrze bez najmniejszej skazy. – Kiedy Fae nie budzili jeszcze takiego lęku.

– I tak po prostu to weźmiemy? Nawet bez zgody Chaola? – Elide przygryzła wargę.

Aelin zachichotała.

– Powiedzmy, że jesteśmy mieczami do wynajęcia, a w tej sytuacji należy nas jakoś opłacić.

Uniosła okrągłą, złocistą tarczę, której brzegi ozdobiono pięknym motywem fal. Sądząc po precyzji wykonania, osłona również wyszła z kuźni asteriońskich, a wykonano ją zapewne dla lorda Anielle.

– A więc weźmiemy to, co jaśnie pan jest nam winien za dzisiejszą bitwę, i oszczędzimy mu fadygi schodzenia na dół – dodała.

„Na bogów, ależ ja ją kocham” – pomyślał Rowan.

– Niczego nie powiem, jeśli i ty zachowasz to w tajemnicy, pani. – Fenrys mrugnął do Elide.

Ta zarumieniła się i machnęła ręką.

– Dobra już, dobra. Pobierzcie swój żołd.

Rowan i Fenrys zaczęli więc przeszukiwać komnatę. Żadnemu z nich nie udało się dopasować zbroi, ale znaleźli elementy chroniące ramiona, przedramiona i uda. Rowan właśnie kończył mocowanie sprzączek na nogach, gdy odezwał się Fenrys:

– Powinniśmy zabrać trochę tego dla Gavriela i Lorcana.

W istocie. Rowan rozejrzył się raz jeszcze i zaczął dobierać miecze, sztylety i fragmenty zbroi, które mogłyby pasować na Lorcana, a Fenrys wybierał sprzęt dla Gavriela.

– Twoje usługi najwidoczniej wiele kosztują – mruknęła Elide. Nawet ona przytroczyła sobie kilka sztyletów do pasa.

– Muszę jakoś finansować swoje kosztowne zachcianki, prawda? – wycedziła Aelin i zważyła w dłoni jakiś sztylet.

Sama nie założyła żadnej zbroi, a gdy Rowan obrzucił ją badawczym spojrzeniem, zadarła tylko podbródek.

– Idźcie na górę i poszukajcie Lorcana oraz Gavriela. Niebawem was odnajdę.

Jej twarz znów stała się nieprzenikniona. Być może potrzebowała chwili na osobności przed bitwą. Rowan spróbował odnaleźć jakąś odpowiedź w jej spojrzeniu, ale Aelin odwróciła się już ku tarczy, którą zarezerwowała dla siebie, jakby podziwiała jej piękno.

Rowan i Fenrys ruszyli na górę, a Elide poszła za nimi, pomagając im dźwigać łup. Nikt ich nie zatrzymywał, czemu nie należało się dziwić. Niebo już szarzało, a żołnierze zajmowali pozycje na murach. Rowan i Fenrys nie mieli zresztą długiej drogi do pokonania. Ich stanowiska znajdowały się na niższym poziomie, gdzie mogły zjawić się tarany, gdyby dowódców Morath ogarnęła desperacja.

Chaol pojawił się na poziomie nad nimi. Dosiadał wspaniałego, czarnego rumaka, którego nozdrza otaczały kłęby pary. Rowan pozdrowił go uniesioną dłonią, a Chaol odpowiedział na salut, nie spuszczając wzroku z armii przeciwnika.

Zaplanowano, że wojska kagana uderzą jako pierwsze i zaczną spychać Morath ku twierdzy.

– Zawsze zapominam, jak bardzo nienawidzę tej chwili – mruknął Fenrys. – Nie ma gorszej rzeczy od czekania na początek bitwy.

Rowan potwierdził jego słowa burknięciem.

Nadszedł Gavriel, za którym podążał Lorcan, przypominający chmurę burzową. Rowan wręczył mu sprzęt.

– Upominek od władcy Anielle – powiedział.

W spojrzeniu Lorcana pojawiła się rezerwa, oznaczająca, że rozgryzł

skierowaną ku niemu drwinę, ale bez słowa zaczął przypinać pancerz. Gavriel poszedł w jego ślady. Jeśli otaczający ich żołnierze bądź sam Chaol rozpoznali broń, nie dali tego po sobie poznać.

Szare niebo w oddali jaśniało coraz bardziej. Siły Morath drgnęły, ale ich dowódcy już widzieli, że złota armia kagana zajęła pozycję do ataku.

Niespodziewanie skądś dobiegł wyzywający krzyk samotnego ruka i kaganat ruszył do natarcia.

Piechota maszerowała w idealnym, najeżonym włóczniami szyku, a stykające się krawędziami tarcze utworzyły szczelny mur. Obie flanki formacji chroniła kawaleria Darghanów, przywodząca na myśl uśpiony żywioł, w każdej chwili gotowy uwolnić swą furję i rozpocząć spychanie żołdaków Morath. Nad nimi unosiły się ruki, których jeźdźcy już nakładali strzały na cięciwy.

– Gotuj się! – wykrzyknął Chaol do obrońców twierdzy.

Ludzie wiercili się, szczekała broń, a w nozdrza Rowana wgrzyzał się smród lęku.

Ten dzień miał o wszystkim zdecydować. Dziś mieli się dowiedzieć, czy pozostała jeszcze jakaś nadzieja.

W świetle rodzącego się dnia widać było dwie wieże oblężnicze, ciągnięte ku twierdzy. Były o wiele bliżej niż w nocy, kiedy Rowan przeleciał nad nimi. Wyglądało na to, że Morath również nie spał.

Ruki powróciły do armii kagana, by wziąć udział w ostatecznym natarciu.

– Mamy zaledwie kilka minut, zanim pierwsza wieża dotrze do muru – zauważył Gavriel.

Rowan rozejrzał się po murach. Wśród oczekujących żołnierzy nie dostrzegł ani śladu Aelin.

– Może przestałaby się już mizdrzyć i wreszcie tu przyszła – burknął Lorcan.

Rowan warknął ostrzegawczo.

Łoskot stóp opancerzonych wojowników i zgrzyt zwierających się tarcz był im znany równie dobrze jak biesiadne pieśni. Piechota Morath zmierzała ku murom, uzbrojona we włócznie, a żołnierze

w ostatnich szeregach formacji odwracali się, gotowi w każdej chwili stawić czoła kontratakującej armii kagana.

W głębi szeregów hufca Hasar zaryczał róg. Pomknęły strzały. Zbici w masę żołnierze Morath nawet nie spojrzeli na to, co się działo w tylnych szeregach.

- Niosą drabiny! – Fenrys wskazał ruchem głowy zamieszenie wśród oddziałów wroga. Szeregi rozstępowały się przed niesionymi w pośpiechu długimi drabinami z żelaza.

- A więc chcą rozstrzygnąć wszystko jednym szturmem – oznajmił cicho Lorcan. Wszyscy czterej baczyli, by nie usłyszał ich nikt z obrońców twierdzy. – Będą chcieli się wedrzeć do twierdzy, zanim kaganat ich zmiażdży.

- Łucznicy! – zagrział Chaol.

Za ich plecami skrzypnęły napinane cięciwy. Fenrys również zdjął łuk i nałożył strzałę, ale Rowan i pozostali nawet nie drgnęli. Nie widzieli sensu w marnowaniu pocisków na zwykłych żołdaków, przeczuwając, że umiejętności łucznicze przydadzą się dziś jeszcze nieraz, przypuszczalnie w o wiele bardziej dramatycznych okolicznościach.

Niemniej dobrze by było, by obrońcy twierdzy ujrzeli choć jednego spośród nich, jak powala żołnierzy. Dobry popis umiejętności łuczniczych mógł podnieść morale, a Fenrys, który strzelał równie dobrze jak Rowan, z czym ten ostatni musiał się pogodzić, idealnie się do tego nadawał.

- Postaraj się – mruknął Biały Cierń, patrząc, jak towarzysz mierzy w jednego z żołdaków niosących drabinę.

- Pilnuj własnego nosa – odburknął Fenrys. Wycelowawszy, czekał na rozkaz Chaola.

Rowan uznał, że jeśli Aelin zaraz nie zjawi się na murach, będzie musiał z nich zejść, by ją odnaleźć. Cóż ją powstrzymywało, do jasnej cholery?

Lorcan wyciągnął swój prastary miecz, którym powalał przeciwników w wojnach o wiele dłuższych od tej, szalejących w odległych królestwach.

- Gdy wieża dotrze do murów, wróg ruszy na bramy – oznajmił

i spojrzął w dół na bramę, strzeżoną przez niewielki oddział.

Metalowe skrzydła wsparto pniami ściętych drzew, ale gdyby do środka twierdzy wdarło się wielu wrogów, mogliby usunąć pnie i rozrąbać ciężkie zamki. Wówczas napierające na bramy hordy miałyby otwartą drogę do wnętrza twierdzy.

– Nie pozwolimy im na to – oznajmił Rowan, mierząc wzrokiem ogromną wieżę, która przybliżała się z każdą chwilą. Za nią mrowiły się tłumy wojowników, gotowych do wdarcia się na mury po schodach we wnętrzu maszyny. – Chaol rozbił już inne wieże bez naszej pomocy. Damy sobie radę.

– Salwa! – Ryk Chaola odbił się echem od kamieni.

Zaświstały wznoszące się strzały, które niczym plaga szarańczy opadły na maszerujących wrogów. Grot Fenrysa odnalazł cel z zabójczą precyzją.

Uderzenie serca później poszybowwała kolejna chmara pocisków. Padł drugi żołnierz dźwigający drabinę.

„Do cholery, gdzie podziewa się Aelin?”

Ulewa strzał nie zatrzymała Morath. Maszerujący napastnicy stąpali po ciałach. Rowan czuł na swojej skórze pulsujące fale ludzkiego strachu. Jego drużyna musiała więc przeprowadzić błyskawiczny, celny atak, by wesprzeć morale.

Wieża przybliżała się. Rowan zerknął na towarzyszy i razem popędzili tam, gdzie machina miała zetknąć się z murem. Prowadzący wieżę oficer wybrał miejsce przy schodach wiodących do bramy. Dobry zamysł.

Niektórzy z mijanych żołnierzy modlili się. Ich drżące słowa rozpływały się w zimnym powietrzu świtu.

– Skup się lepiej na walce, a nie na wzywaniu bogów! – Lorcan rzucił do jednego z nich.

Rowan smagnął towarzysza spojrzeniem, ale żołnierz posłusznie umilkł, patrząc na Fae w oszołomieniu.

Chaol wydał rozkaz do kolejnej salwy. Fenrys wypuścił strzałę w biegu, zgoła nie mierząc.

Mimo to na murach niosły się słowa modlitwy. Ostrza mieczy

drżały.

Wokół Chaola stali murem zawzięci, gotowi na wszystko żołnierze, ale tu, na tym poziomie, wszędzie było widać blade twarze i wytrzeszczone oczy.

– Pora chyba na jakąś inspirującą mowę – wycedził Fenrys przez zaciśnięte zęby i wypuścił kolejną strzałę. – Bo lada moment ci ludzie zaczną szczać po nogach.

Została im zaledwie minuta. Ogromna wieża była tuż-tuż.

– To ty masz tu piękną bużkę – odciął się Lorcan. – Z nas wszystkich najlepiej się nadajesz.

– Za późno na mowy – wtrącił się Rowan, nim Fenrys zdołał odpowiedzieć. – Lepiej pokażmy im, na co nas stać.

Zajęli stanowiska na murach, tuż naprzeciwko mostu, który miał się nad nimi wyłonić. Rowan wyciągnął miecz i kciukiem uwolnił topór. Gavriel stanął po jego prawicy, trzymając dwa identyczne ostrza, które wyszarpnął z pochew na plecach. Lorcan strzegł lewicy, a Fenrys pilnował tyłów, gotów rozprawić się z każdym, kto przemknie na mury.

Śmiertelnicy zgromadzili się wokół nich. Bramy wreszcie zadygotały od uderzenia Morath.

Rowan uspokoił oddech i przywołał swą magię, by zacząć wyrywać powietrze z płuc napastników. Kilku pierwszych chciał powalić ciosami miecza, by pokazać obrońcom, jakie to łatwe w chwili, gdy wroga ogarnia rozpacz, a zwycięstwo jest blisko. Potem miała przyjść pora na magię.

Wieża oblężnicza jęknęła, zatrzymując się. Mur, z którym się zderzyła, aż zadygotał.

– Na bogów – szepnął Fenrys.

Nie miał wcale na myśli mostu, który opadł przed nimi, ani hord żołdactwa, które zamajaczyły we wnętrzu wieży. Jego wzrok skierował się na postać, która wyłoniła się z łukowatego przejścia za nimi.

Rowan nie wiedział, gdzie patrzeć – na wybiegających z wieży i rzucających się do ataku Valgów czy też na Aelin.

Czy raczej na królową Terrasenu.

Znalazła w skarbcu pancerz, piękny, wykonany z jasnego metalu, który lśnił niczym letni wschód słońca. Na splecione w warkocz włosy nałożyła mocny diadem, pełniący rolę hełmu, bez wątpienia wykuty w odległych czasach dla dawno nieżyjącej już damy.

Korona na czas wojny, korona zakładana do bitwy. Noszona na czele armii.

Na jej twarzy nie było lęku, gdy uniosła tarczę i zamachnęła się Goldrynem na pierwszego wojownika Morath, który rzucił się na nią.

Szybkie pchnięcie ku górze rozpruło żołdaka od pępka po podbródek.

Trysnęła czarna krew, ale Aelin już skoczyła naprzód. Wiła się niczym strumień opływający skałę. Rowan ruszył naprzód, rozrąbując wroga za wrogiem, ale ani na moment nie spuszczał jej z oczu.

Aelin odepchnęła nadbiegającego przeciwnika tarczą, wykorzystając sekundę, by pchnąć innego, po czym przeszła klingą pierwszego. Potem zrobiła to ponownie, i jeszcze raz. Przez cały czas zmierzała w stronę wieży oblężniczej, szalona, niepowstrzymana.

„Uwolniona” – pomyślał Rowan.

– Królowa! – krzyтели żołnierze. – Królowa przybyła!

Aelin skoczyła na trzech kolejnych Valgów i rozprawiła się z nimi w okamgnieniu, a potem zwróciła się w kierunku szeroko rozwartej paszczy wieży, stając na drodze wrogim hordom. Każda minuta treningu na statku i na szlaku, każdy nowy odcisk, każde zgrubienie na dłoni – wszystko służyło właśnie tej chwili. Odbudowywała swe siły po to, by znów stanąć do walki.

– Królowa przybyła!

Goldryn uderzał niechybnie, a tarcza wydawała się przedłużeniem jej ramienia. Aelin jaśniała niczym słońce, które pojawiło się teraz nad armią kagana. Bez wahania stawiała czoła każdemu wojownikowi na swej drodze i pozostawiała za sobą kolejne trupy, pięć, dziesięć, i więcej... Nie zatrzymywała się, parła, unikała i znów wznosiła miecz, rozpychała się i wirowała. Czarna krew tryskała na boki, a na jej twarzy zastygła ponura, złowieszcza maska niezniszczalności.

– Królowa! Za królową!

Rowan przebijał się ku Aelin, a po murach niosło się wezwanie. Obrońcy Anielle skoczyli na pomoc królowej Terrasenu, a Rowan zrozumiał, że jego żona nie potrzebuje ani promyka, by zainspirować ludzi. Że czekała na sposobność, by pokazać wszystkim, ile jest w stanie osiągnąć bez magii, bez swej boskiej mocy.

Nigdy dotąd nie widział równie wspaniałego widoku. Walczył w wielu krajach, toczył wiele bitew, ale jak dotąd jeszcze nie widział niczego tak cudownego, tak niezwykłego jak Aelin, która samotnie powstrzymuje napór Valgów, przebijających się z wieży oblężniczej.

Wokół nich jaśniał świt. Rowan wyrzucił z siebie okrzyk bojowy i wdarł się w głąb armii Morath.

Ta pierwsza bitwa miała nadać ton całej kampanii. Miała też przekazać komunikat, ale nie Morath.

„Spróbuj nam zaimponować” – powiedziała Hasar.

Aelin podjęła wyzwanie. Wybrała dla siebie jasną, mieniącą się złotem zbroję i koronę bitewną, a z uwolnieniem swej furii zaczęła do świtu – do chwili, gdy wieża uderzyła w mury twierdzy.

Musiała podtrzymać w ludzi ducha, przegnać strach, który rozlewał się w ich oczach. Musiała pokazać potomkom kagana, na co ją stać, do czego jest zdolna. Nie mogła im grozić. Musiała wysłać przekaz, który zostanie zapamiętany.

Nie była bezradną księżniczką. Nigdy nią nie była.

Goldryn śpiewał z każdym uderzeniem, a jej umysł był chłodny i ostry niczym jego ostrze. W okamgnieniu dokonywała oceny nadbiegających wrogów oraz ich uzbrojenia, po czym rozprawiała się z nimi bez litości. Skądś wiedziała, że u jej jednego boku walczy Rowan, a drugiego chronią Gavriel z Fenrysem.

Była również świadoma tego, że śmiertelnicy także pochwycili za broń i bez strachu wmieszali się do walki. Stawiali opór aż do tej chwili i będą to robić nadal. Przeżyją.

A rodzina królewska kagana ujrzy to na własne oczy.

Nad zgiełkiem bitwy poniósł się łoskot kopyt. Pojawił się Chaol, który na Farashy wbił się w tłum żołnierzy Morath.

- Za lordem Chaolem! Za królową!

Oboje pozostawili Rifthold daleko za sobą. Daleko z tyłu pozostali zabójczyni i kapitan.

Armia za murem wypuściła chmurę strzał, ale fala lodowatego wiatru zamieniła pocisku w drzazgi na długo, nim któryś trafił w cel.

Jakiś ciemny cień przemknął obok Aelin. W wejściu do wieży wyrósł Lorcan, który wymachiwał mieczem z taką prędkością, że królowa ledwie mogła za nim nadążyć. Pół-Fae przebił się przez napastników na metalowym moście i zniknął we wnętrzu wieży, jakby chciał dotrzeć po schodach w dół na samo pole bitwy.

Z dołu dobiegł głośny łoskot, co oznaczało, że Morath ściągnął pierwszy taran.

Aelin uśmiechnęła się ponuro. Zniszczy ich wszystkich. Potem Erawana. A na końcu dopadnie Maeve.

Z przeciwnego kierunku nadciągała armia kagana, zyskując teren krok po kroku.

Nie była bezradna. Nie była bezsilna. I nigdy już nie będzie.

Śmierć przerodziła się w pieśń w jej krwi, każdy krok stał się tańcem. Napór przeciwników z głębi wieży zelżał, jakby Lorcan w istocie przebijał się po piętrach w dół. Ci, którzy zdołali się przedostać, padali z jej ręki bądź natrafiali na miecz Rowana. Gdzieś mignęło złoto – to Gavriel również wyrąbywał sobie drogę do wnętrza wieży. Bliźniacze miecze w jego dłoniach zamieniły się w trąbę powietrzną.

Nie miała pojęcia, co Lew i Lorcan zamierzają zrobić, gdy dotrą na sam dół. Nie wiedziała, w jaki sposób chcą zniszczyć wieżę, ale nie myślała o tym. Znalazła się bowiem w świecie, którym rządziły śmierć, ruch, oddech i krew. W świecie wolności.

Śmierć była jej klątwą, jej darem i jej przyjacielem od wielu długich lat. Cieszyła się, że znów może się z nią spotkać w blasku złocistego, porannego słońca.

Elide nie weszła nawet na mury, a mimo to już miała nadzieję, że nigdy więcej nie przyjdzie jej brać udziału w żadnej wojnie.

Patrzyła bowiem na rany wynoszonych żołnierzy i nie miała pojęcia, jakim cudem uzdrowiciele zachowują taki spokój. W jaki sposób Yrene Westfall mogła pracować w takim skupieniu nad opatrywaniem wrzeszczącego wniebogłosy mężczyzny, któremu wnętrzości wypływały przez ranę brzucha.

Twierdzą raz na jakiś czas wstrząsały potężne uderzenia. Elide cieszyła się z tego, że nie wie, skąd pochodzą, i nienawidziła się za to. Jednocześnie umierała z niepokoju o swoich przyjaciół, ale pocieszała się myślą, że skoro armia kagana jest tak blisko, ich koszmar może niedługo dobiec końca.

Eretia, uzdrowicielka o ciemnej skórze i ostrym spojrzeniu, twierdziła, że koniec bitwy nastąpi za wiele godzin. Wypowiedziała te słowa tuż po tym, jak Elide zwymiotowała na widok rannego ze złamaną kością piszczelową która przebiła mu skórę.

„Jeszcze wiele godzin przed nami! – zadrwiła. – A więc lepiej skończ już rzygać i wracaj do roboty”.

Elide nie mogła jednak wiele zdziałać. W rodzie Lochan krążyła wprawdzie wielka moc, ale ona nie dysponowała żadnymi magicznymi umiejętnościami poza zdolnością do odczytywania ludzkich emocji i kłamstw. Pomagała jednakże uzdrowicielkom przytrzymywać szamoczących się, oszalałych z bólu mężczyzn. Przynosiła bandaże, gorącą wodę oraz wszelkie maści i zioła, o które uzdrowicielki spokojnie prosiły.

Żadna z nich nie krzyczała. Gdy któryś z opatrywanych wrzeszczał zbyt głośno, podnosiły tylko głosy, by je usłyszano. Zewsząd opromieniała je magia.

Słońce dopiero co wzniosło się ponad horyzont, sądząc po ilości światła wpadającego przez umieszczone wysoko okna Wielkiej Sali, a już pojawiło się tyłu rannych. Było ich tak wielu, a wciąż przynoszono kolejnych. Elide uwijała się najszybciej, jak mogła.

Kostka dokuczała jej coraz bardziej, ale ból był zgoła niczym w porównaniu z cierpieniami, które znosili ranni wojownicy, i z tym, co działo się na murach.

Nie pozwalała sobie na myśli o przyjaciółach. Nie chciała myśleć o Lorcanie, który nie przyszedł do ich komnaty poprzedniego wieczoru i nie próbował ich znaleźć rano. Zupełnie jakby nie chciał przebywać blisko niej. Jakby wziął każde wygłoszone przez nią nienawistne słowo prosto do serca.

Elide pomagała więc uzdrowicielkom o spokojnych oczach i bez końca przytrzymywała płaczących, wrzeszczących mężczyzn.

Farasha nie bała się żołnierzy Morath, którzy przedarli się na mury. Nie wystraszyła się tych, którzy wylali się z drugiej wieży obleźniczej, ani innych, wdzierających się po drabinach. Nie, jego cudowny rumak traktował ich i roztrącał. Okazywał wielką odwagę i złośliwość, tak jak Chaol przewidywał.

„Zabawne, że jej imię oznacza «motyl»” – przemknęło mu przez głowę, gdy Farasha deptała ciała Valgów.

Gdyby nie to, że z trudem nabierał tchu, zapewne by się uśmiechnął. Gdyby nie to, że dookoła ginęli jego ludzie, parsknąłby zapewne śmiechem. Niemiej Morath ciskał się o bramy i mury z furją, której nikt dotąd nie widział. Być może napastnicy wiedzieli, kto przybył do Anielle, i uparli się, by wszystkich pozabijać.

Aelin i Rowan walczyli zwróceniem do siebie plecami, a Fenrys przebijał się po murze, by dotrzeć do Chaola i pomóc mu w odparciu natarcia z drugiej wieży.

Chaol uderzał z furją, choć zaczynał już odczuwać znużenie. Wszak walczył od dwóch godzin. Po drugiej stronie morza wrogich wojowników widział hufce Darghanów, które wraz z oddziałami *rukhin* miażdżyły i zapędzały masy żołdactwa ku murom twierdzy.

Nic jednakże nie wskazywało na to, by Morath kwapił się do poddania. Valgowie byli w pełni oddani sianiu śmierci i zniszczenia. Zależało im tylko na tym, by wdrzeć się do twierdzy i przed śmiercią zabić tylu obrońców, ilu się da.

Dzierżąc zakrwawioną, pogiętą tarczę, Chaol uderzał bez litości,

a jego rumak szalał niczym demon. Gdzieś w tej twierdzy kryła się jego żona. Nie zawiedzie jej.

Nesryn zbyt szybko odkryła, że skończyły się jej strzały.

Morath nie rzucał się do ucieczki, choć miał przeciwko sobie potężne oddziały piechoty i jazdy. Napierali więc powoli, zostawiając za sobą równinę zasłaną ciałami w czarnych strojach oraz w złotych pancerzach. Wciąż padało więcej Valgów niż ich towarzyszy broni, ale serce jej krwawiło na widok tyłu ofiar. Nie mogła patrzeć na wspaniałe rumaki Darghanów, które biegały bez jeźdźców lub same padały pod ciosami wroga.

Rukhin również ponosili straty, ale nie tak liczne. Teraz uwaga Valgów skupiała się na armii walczącej na ziemi.

Sartaq dowodził centrum, a Nesryn, prowadząca lewą flankę, nie spuszczała z oczu jego i Kadary. Co rusz zerkala też na prawo, gdzie walką kierowali Borte i Yeran. Na samym skraju prawej flanki uwijał się też Falkan pod postacią ruka. Łuczniczka nie miała pewności, czy sobie tego nie wyobraża, ale miała wrażenie, że zmiennokształtny walczył ze zdwojonymi siłami, jakby odzyskane lata dodały mu energii.

Trąciła Salkhiego i runęli do kolejnego natarcia, a jej *rukhin* poszli w ślad za nią. Na spotkanie pomknęły im strzały i włócznie, a niektórzy żołnierze Morath rzucili się do ucieczki. Salkhi i Nesryn wznieśli się do lotu zbryzgani świeżą czarną juchą.

Nad ich głowami krążyły patrole zwiadowcze, składające się z par ruków. Ich zadaniem było monitorowanie przebiegu bitwy. Gdy Nesryn ścierała czarną juchę z twarzy, jeden ze zwiadowców zanurkował w stronę Sartaqa.

Ten odbił w bok uderzenie serca później.

Nesryn wiedziała, że oberwie się jej za to, ale wrzasnęła do swego zastępcy, by przejął jej obowiązki, a sama pomknęła w ślad za księciem.

– Wracaj do oddziału! – krzyknął Sartaq przez wiatr. Jego skóra była niezwykle blada.

– Co się dzieje?! – wrzasnęła Nesryn.

Salkhi mocniej uderzył skrzydłami, równając się z rukiem księcia. Sartaq wyciągnął rękę i wskazał ścianę gór za jeziorem i miastem.

Pokazywał jej tamę, o której wspominał niedawno podczas rozmowy. Tamę, która wstrzymywała wody mogące zniszczyć armię Morath.

Sytuacja robiła się coraz klarowniejsza z każdym uderzeniem skrzydeł Salkhiego. Nesryn wiedziała już, co sprawiło, że Sartaq gnał jak szaleniec.

Oddział żołdaków Morath, zamiast odpoczywać, wykorzystał tę noc, by prześlizgnąć się przez porzucone miasto, a potem wspiąć się po wzgórzach aż pod samą tamę. A teraz, za pomocą taranów oraz bezwzględności sprytu, usiłowali ją rozbić.

Salkhi był coraz bliżej. Nesryn sięgnęła po strzałę, ale jej palce zacisnęły się na powietrzu. Jej kołczan był wszak pusty.

Sartaqowi zostały dwie strzały. Wypuścił obie w liczący ponad trzydzieści osób oddział wroga, tłukący taranem w konstrukcję tamy. – w kamień wzmocniony żelazem i drewnem, stary i kruchy. Wystarczyłoby kilka pęknięć, by tama rozpadła się w drobny mak. A wówczas nagromadzone za nią wody rzeki i górnego jeziora uwolniłyby swą furję i runęły ku równinie.

Morath nie dbał o własne straty. Dowódcy wrogiej armii wiedzieli, że tego dnia pisana im jest klęska, ale nie mieli zamiaru pozwolić, by armia kagana zeszła z pola bitwy zwycięsko.

Obie strzały Sartaqa trafiły do celu, ale dwóch zabitych to za mało, by reszta upuściła taran. Znowu cofnęli ogromny pień i pchnęli go z całej siły do przodu.

Zadudniło, gdy taran wyrznął w drewniany element zapory.

Nesryn i Sartaq przelecieli tak blisko, że ujrzeli wzmocnienie czubka tarana, wykonane z grubego żelaza i zaopatrzone w kolce. Salkhi i Kadara w pewnością mogłyby wyrwać taran z rąk żołnierzy i...

Rozległ się metaliczny brzdęk, a wraz z nim wykrzyczane ostrzeżenie Sartaqa.

Salkhi wykonał odruchowy unik, najwyraźniej dostrzegłszy wielki, żelazny bełt przed Nesryn. Wystrzelono go z ogromnej kuszy, którą

wciągnięto tu wraz z taranem dla obrony przed rukami.

Bełt przeszedł bokiem i wbił się w skałę.

Przebiłby Salkhiego na wylot.

Nesryn zrobiło się zimno. Wystrzeliła ku górze i oceniła wzrokiem żołnierzy zgromadzonych wokół tarana.

„Nurkujemy z dwóch różnych kierunków – przekazał jej gestem Sartaq. – Kluczemy i spotkamy się w środku”.

Wicher wył jej w uszach, ale ściągnęła wodze i Salkhi runął w dół, zataczając szeroki łuk. Nieopodal Kadara przeprowadzała identyczny manewr.

– Najszybciej, jak możesz! – krzyknęła Nesryn do ruka.

Salkhi i Kadara, opadające ku tamie i żołnierzom, zbliżały się i przemykały obok siebie, po czym znów leciały ku sobie, kreśląc w powietrzu skomplikowany wzór, utrudniając pracę ukrytym łucznikom. Kolejny żelazny bełt niemalże musnął głowę Sartaqa.

Taran uderzył ponownie w drewniany element.

Tym razem odpowiedział mu głośny trzask, przechodzący w niski jęk, jakby jakaś bestia budziła się z długiego snu.

Kolejny żelazny bełt chybił. Nesryn i Sartaq znów przemknęli obok siebie, tak szybko, że aż im oczy łzawiły. Wiatr śpiewał głosami rannych i umierających.

Byli już nad ziemią. Wyciągnięte szpony Salkhiego pochwyciły kuszę i rozszarpały ją na kawałki, a zaraz potem poniosły się wrzaski żołnierzy, których ruk nie miał zamiaru oszczędzić.

Ci, którzy trzymali taran, zdołali uderzyć w tamę raz jeszcze, po czym spadł na nich Sartaq na Kadarze. Impet uderzenia posłał kilku ludzi w powietrze. Niektórzy uderzyli w tamę, inni spadli na ziemię w strzępach.

Kadara złapała taran i cisnęła go o pobliską skałę z taką siłą, że pień pękł na pół. Obie części spadły na ziemię i odtoczyły się.

Nesryn, której serce waliło jak młotem, zawróciła Salkhiego, by przyjrzeć się tamie. Sartaq zrobił to samo.

To, co ujrzeli, sprawiło, że skierowali się ku twierdzy i popędzili tak

szybko, jak tylko wiatr mógł ich ponieść.

Lorcan przebijał się przez ciasne, mroczne wnętrza wieży obleźniczej, masakrując po drodze Valgów. Gdy znalazł się na samym dole, dołączył do niego Gavriel i we dwóch stawili opór nieprzeliczonej chmarze przeciwników, próbujących się wedrzeć do środka. Zatrzymali całą falę natarcia, choć kilku śmiazków zdołało się prześlizgnąć. Białe Cierń i królowa z przyjemnością się nimi zajmą.

Lorcan stracił rachubę czasu. Nie wiedział, jak długo wraz z Gavrielem bronili wejścia do wieży. Nie wiedział też, ile czasu potrzebują ich sojusznicy na górze, by przewrócić machinę. Magia nie mogła się tu na nic przydać, gdyż przeklęta konstrukcja została wykonana z żelaza. Drabiny zresztą również, zupełnie jakby Morath przewidział ich obecność.

Tylko przeciągły jęk i zgrzyt metalu ostrzegły ich przed tym, że wieża właśnie się przewraca. Obaj wyskoczyli na zewnątrz i uświadomili sobie, że znaleźli się w samym środku hordy przeciwników.

Na murach pojawili się lord Chaol, Fenrys i dziesiątki łuczników, którzy zaczęli ostrzeliwać żołdaków biegnących w stronę Lorcana i Gavriela. Fae jednakże wybrali już dla siebie kolejny cel – taran, który nadal tłukł w słabnące wrota. Osłaniany przez łuczników na murach, zaczęli się przebijać ku niemu, a potem, gdy dotarli na miejsce, urządzili rzeź wśród trzymających go żołdaków. Ścinali jednego po drugim, aż sam taran runął z łoskotem na ziemię i zniknął w biegnącej ku nim ciżbie siepaczy Morath.

Lorcan nadal oddychał równo i miarowo. Niczym żywioł siał śmierć wśród napastników, a wokół niego piętrzyły się stosy trupów.

Wystarczyło, że utrzymają bramę do czasu nadejścia sił kagana.

Z góry nadciągnął szybki, gwałtowny wiatr, który przyspieszył taniec śmierci i wyszarpnął powietrze z płuc nadbiegających Valgów, choć o ile Lorcan dobrze pamiętał, Białe Cierń walczył w innym miejscu.

Znów stracił rachubę czasu. Rejestrował tylko to, że słońce powoli pięło się w górę po niebie.

Widział też, że armia kagana, krok za krokiem, zajmuje pole bitwy. Ruki odtrącały już drabiny oblężnicze od murów, a skądś dobiegały wrzaski lorda Chaola, skierowane do niego i do Gavriela:

– Władźcie na górę! Na górę, do cholery!

Gavriel dostrzegł jakąś drabinę wolną od żołdactwa Morath, trzymaną przez obrońców tylko dla nich, i zaczął się wspinać.

Ale siły kagana były już blisko. Lorcan poczuł trącenie w ramię, które kazało mu walczyć, a nie uciekać.

I posłuchał. Nie odwrócił się nawet, by krzyknąć do Gavriela, będącego już w połowie drogi na górę. Po prostu skoczył w sam środek bitwy.

Urodził się, by walczyć, bez względu na to, której królowej służył, czy pochodziła z rasy Fae, Valgów czy ludzi. Po to się szkolił, po to trenował. O tym śpiewała mu dusza.

Parł więc ku nadciągającym siłom kagana, które budziły już popłoch wśród wrogów. Niektórzy z Valgów padali trupem, zgaszeni jego magią, innym życie odbierał miecz.

Jeszcze trochę. Niebawem zapanują nad polem bitwy, a wówczas pieśń w jego krwi ucichnie. Coś w jego duszy nie chciało, by do tego doszło, choć ciałem zawładnęło już znużenie.

Cóż mu bowiem pozostanie, gdy bitwa dobiegnie końca?

Nic. Elide wyłożyła mu to wyraźnie. Kochała go, ale nienawidziła się za to.

I tak na nią nie zasługiwał.

Elide zasługiwała na życie w szczęściu i pokoju, a on nie wiedział, co to oznacza. Wydawało mu się, że zaczyna to pojmować podczas miesięcy ich wspólnej wędrówki, ale potem wszystko trafił szlag. Przynajmniej wiedział teraz, że takie życie nie było mu pisane.

Ale ta bitwa, ta pieśń śmierci dookoła... Tak, to rozumiał.

Tym się potrafił nacieszyć.

Złote hełmy armii kagana były już wyraźnie widoczne, dostrzegał też łby ich dzielnych, niepowstrzymanych koni. W żadnym królestwie śmiertelników nie widział wspanialszych rumaków. Wśród Fae zresztą również nieczęsto zdarzały się im podobne.

Posłuszny pieśni śmierci w swojej krwi, Lorcan opuścił tarczę. Nie chciał, by walka była taka łatwa. Chciał czuć każde uderzenie, chciał widzieć, jak ciosy jego miecza wysysają życie z wroga.

Nie interesowało go, czym to wszystko się skończy. I tak nikt nie dbał o to, czy wróci do twierdzy, czy też nie. Bez wahania rzucił się ku dziesięciu żołnierzom, biegnącym ku niemu.

Może zasługiwał na to, co się wydarzyło. Zasługiwał na to przez te swe żalosne przemyślenia czy wypływające z arogancji opuszczenie bariery ochronnej.

Płynnie i szybko rozprawiał się z jednym żołnierzem za drugim. Z szerokim uśmiechem, choć na ustach czuł obrzydliwy smak ich juchy, posyłał wrogów do królestwa ich mrocznego stwórcy, gdy nagle za jego plecami błysnęła stal. Lorcan zawirował, wznosząc miecz, ale spóźnił się. Miecz Valga wystrzelił ku górze.

Lorcan zaryczał, gdy wrogie ostrze wbiło mu się w plecy. Nie miał tam zbroi. W całej twierdzy nie było pancerzy, które pasowałyby na potężnych Fae.

Żołnierz zamierzył się ponownie. Widać było, że przewyższa umiejętnościami innych. Być może ten mężczyzna był doskonałym wojownikiem, nim demon przejął jego ciało.

Lorcan ledwie zdołał wznieść swój miecz, gdy przeciwnik pchnął go własnym w brzuch.

Fae wypuścił oręż i runął na ziemię. Jego twarz ugrzęzła w lepkim, lodowatym błocie, jakby ziemia chciała pochłonąć go całego i wciągnąć w mroczne głębiny królestwa Hellasa, gdzie było jego miejsce.

Ziemia zatrzęsła się pod kopytami, w powietrzu śmignęły strzały.

Potem rozległ się ryk. I nastąpiła ciemność.

Armia kagana nie brała jeńców.

Kilku żołnierzy Morath próbowało uciec do miasta. Rowan, który stał obok Aelin na murach obronnych, widział, jak ruki wyłapują ich bez litości.

W jego uszach wciąż rozbrzmiewał bitewny zgiełk. Nadal oddychał ciężko, chrapliwie, podobnie jak Aelin. Pod brudną, poplamioną odzieżą czuł mrowiące swędzenie, co oznaczało, że drobne rany i skaleczenia zaczynały się już goić. Poważniejsza rana na nodze będzie jednak potrzebowała więcej czasu, by się zabiścić.

Wojownicy kagana dokładali wszelkich starań, by spośród ich wrogów nie przeżył nikt. Miecze i włócznie rozbłyskiwały w popołudniowym świetle, wznosząc się i opadając, by odrąbać głowy od ciał. Rowan doskonale pamiętał chaos i zamieszanie panujące podczas starć, ale to – oszołomienie i znużenie po wszystkim – całkiem mu umknęło.

Na pole bitwy wyszły uzdrowicielki, których białe proporce odcinały się ostro od morza czerni i złota. Ranni, którzy potrzebowali szybkiej pomocy, byli podrywani przez ruki i zanoszeni prosto do ogarniętej chaosem Wielkiej Sali.

Rowan stał bez ruchu na mokrych od krwi murach, otoczony sojusznikami i towarzyszami. Bez słowa podał Aelin bukłak. Ta pociągnęła tego i przekazała go Fenrysowi.

Wyzwolenie. Tym była bitwa dla jego towarzyszeki.

– Niewielkie straty – mówiła księżniczka Hasar, opierając dłoń na jednym z nielicznych fragmentów muru, który nie został zbryzgany czerwoną ani czarną krwią. – Najbardziej oberwało się piechocie, ale Darghanowie wyszli z tego niemalże bez szwanku.

Rowan pokiwał głową. Imponujące. Ba, nawet bardziej niż imponujące. Armia kagana okazała się doskonale skoordynowaną formacją, która szła przez równinę niczym żniwiarze tnący żyto. Gdyby nie taniec śmierci, chętnie by przystanął, by popatrzeć na ich

skuteczność.

Księżniczka zwróciła się do Chaola, który z ponurą miną siedział w fotelu na kółkach.

– A u was?

Chaol zerknął na ojca, który spoglądał na pole bitwy z założonymi ramionami.

– Wielu – powiedział, nie patrząc na nich. – I nie wracajmy do tego tematu.

W oczach starego łajdaka błysnął ból. Nie powiedział nic więcej.

Chaol uśmiechnął się do Hasar przepraszająco i mocniej zacisnął dłonie na poręczach fotela. Żołnierze z Anielle dawali z siebie wszystko, ale nie byli karnym, przeszkolonym hufcem. Chaol zdążył już wyjaśnić Rowanowi, że wielu spośród tych, którzy przeżyli, zdobywało doświadczenie wojenne podczas starć z dzikimi góralami wśród Klów. Niejeden z poległych doświadczenia nie miał wcale.

Hasar w końcu spojrzała na Aelin.

– Słyszałam, że urządziłaś dziś niezłe przedstawienie.

Rowan przygotował się na najgorsze.

Aelin odwróciła się od pobojuwiska i pochyliła głowę.

– Wygląda na to, że ty też.

W istocie, piękne szaty Hasar zostały zbryzgane czarną krwią. Na grzbiecie swego Muniqi walczyła w największym ścisku i konno dotarła pod bramy Anielle. Mimo to nie wygłosiła żadnego komentarza.

W oczach Aelin pojawiła się irytacja, silna, ale ledwie widoczna. Nie odezwała się jednak ani słowem i nawet nie próbowała wypytywać księżniczki o kolejne kroki. Znów spojrzała na pole bitwy, przygryzając wargę.

Nie oszczędzała się podczas walki, a zatrzymywała się dopiero, gdy nie widziała już żadnych Valgów do zabicia. Odkąd z murów znikli ostatni przeciwnicy, nie odzywała się. Zachowywała dystans, niemalże obojętność, jakby wciąż wydostawała się z owej świątyni spokoju i wyrachowania, w której jej umysł krył się podczas walki. Nie chciało jej się nawet zdjąć zbroi. Nadal nosiła bitewną koronę, zbryzganą

krwią.

Wystarczyło, by stary lord rzucił okiem na zbroje, które nosili, by natychmiast posiniał ze złości, ale wtedy Chaol podjechał do niego na fotelu i warknął coś tak cicho, że nawet Rowan tego nie dosłyszał. Starzec odwrócił się, jakby i on uznał, że póki co mieli o wiele ważniejsze problemy na głowie.

Problemy, przez które jego towarzyszka życia nie przestawała przygryzać wargi. Ciągłe zastanawiała się nad tym, kiedy przybędzie książę Kashin i czy armia kagana w istocie uda się na północ. I czy to, czego dokonali dzisiaj, wystarczy, by ich sobie zjednać.

Na niebie pojawiły się dwa punkciki, które wnet przeobraziły się w Kadarę i Salkhiego. Oba ruki gnały ku twierdzy z niemalże niewyobrażalną prędkością.

Ludzie uskakiwali z drogi, gdy ogromne ptaki lądowały na blankach. Sartaq i Nesryn ześlizgnęli się z sodeł i podbiegli do zebranych.

– Mamy problem! – oznajmiła pobladła Nesryn.

Usta Sartaka były wręcz sine, a w ich zapachu dawało się wyczuć strach. Koła fotela Chaola z pluskiem pokonały kałużę krwi.

– Co się dzieje? – Aelin wyprostowała się, a Gavriel i Fenrys znieruchomieli.

Nesryn pokazała ścianę gór za miastem.

– Pod koniec bitwy przechwyciliśmy grupę żołnierzy Morath, którzy próbowali rozbić tamę.

Rowan zaklął, Chaol również się nie powstrzymał.

– Rozumiem, że dzięki wam nie udało im się? – Aelin wpatrywała się w widoczną z zamku tamę, która wstrzymywała gniewne wody górnego jeziora oraz rzeki.

– Częściowo – rzekł Sartaq. W jego szczęce drżał jakiś mięsień. – Ale zdołali już wyrządzić sporo szkód.

– Mów, o co chodzi – syknęła Hasar.

Ciemne oczy Sartaka rozbłysły.

– Musimy ewakuować naszą armię z równiny. I to natychmiast.

- Pęknie? – spytał ostro ojciec Chaola.

- To więcej niż prawdopodobne. – Nesryn skrzywiła się.

- I to lada moment. – Sartaq wskazał armię kagana na równinie. – Musimy ich stąd zabrać!

- Ale przed powodzią nie ma ucieczki – powiedział ojciec Chaola. – Fale rozleją się na wiele kilometrów, a twierdza nie pomieści was wszystkich!

Rowan doszedł do identycznych wniosków. Twierdza, mimo swego korzystnego położenia, nie była w stanie udzielić schronienia tak wielkiej armii ani nawet jej części. Co gorsza, nigdzie nie było innego miejsca, które mogłoby stawić czoła rozhukanej fali lodowatej wody, która miała zejść z gór, niszcząc wszystko na swej drodze.

Hasar wbiła płonące spojrzenie w Chaola.

- Gdzie mają uciekać? – spytała.

- Wezwijcie ruki! – rzekł ten. – Niech zbierają ludzi i zanoszą ich na tę górę!

Wskazał szczyt, o który opierała się twierdza.

- A co z tymi, którzy nie dobiegną do ruków? – naciskała księżniczka. Na jej zawziętej twarzy pojawiło się coś na kształt paniki.

Serce Rowana waliło jak młotem. Wygrali bitwę, ale ostatnie słowo i tak należało do ich wroga.

Morath nie miał zamiaru pozwolić żołnierzom kagana ujść cało z równiny.

Pragnął zniszczyć całą armię – ich ostatnią nadzieję – jednym, prostym, brutalnym ciosem.

- Czyżby od samego początku to była pułapka? – Chaol potarł szczękę. – Erawan wiedział, że ściągam tę armię na pomoc... Czyżby wybrał Anielle do tego celu? Wiedział, że nadejdę, i postanowił rozbić tamę, by zniszczyć nas wszystkich?

- Później sobie to przemyślisz – powiedziała Aelin, równie poważna jak Rowan. Rozejrzała się po równinie. – Każcie im uciekać. Jeśli nie będą w stanie dopaść ruka, niech po prostu wieją. Ci, którzy dotrą na skraj Dębowej Puszczy, mogą wspiąć się na drzewa.

Nie dodała, że tak wysoka fala może je zatopić bądź przewrócić.

– Da się jakoś naprawić te pęknięcia? – spytał Gavriel.

– Sprawdziliśmy – powiedział Sartaq i przełknął ślinę. – Morath wiedział, gdzie uderzyć.

– A co z twoją magią? – Fenrys zwrócił się do Rowana. – Dasz radę jakoś zamrozić tę rzekę?

Rowan już się nad tym zastanawiał, ale pokręcił głową.

– Jest zbyt głęboka, a prąd nazbyt silny.

Być może zdołałby tego dokonać z pomocą całego rodu, ale Enda, Sellene i reszta jego krewniaków przebywali na północy.

– Otwórzmy bramy – powiedział cicho Chaol. – Kto zdoła, niech ucieka do twierdzy. Reszta niech biegnie do lasu.

Rowan przechwycił spojrzenie Aelin. Ręce królowej zaczęły drżeć.

„To nie może skończyć się tutaj” – wydawała się mówić. W jej oczach zajaśniała panika.

Rowan ujął jej dłonie i ścisnął, ale wiedział, że nie ma takiej prawdy bądź takiego kłamstwa, które mogłoby przegnać jej lęk.

Bądź uratować armię na równinie.

Elide zastała swoich przyjaciół oraz ich sojuszników nie w komnacie narad, ale na murach. Stali tam w grupce, obojętni na stosy trupów wokół. Każdy krok na zbryzganych czarną i czerwoną krwią kamieniach przeszywał ją lękiem i obrzydzeniem. Brnęła naprzód, próbując nie patrzeć na niewidzące oczy poległych żołnierzy.

Została wysłana przez Yrene, by sprawdzić, co się dzieje z Chaolem. Nie mogła odmówić prośbie zdyszanej, przestraszonej żony, która nie widziała swego męża od początku bitwy. Zresztą po kilku godzinach pomagania uzdrowicielkom Elide oddałaby wiele, by uciec z sali cuchnącej krwią i odchodami.

Pierwszy haust świeżego powietrza przyniósł jej ulgę, ale ta szybko minęła na widok zbryzganych krwią murów, pobladłych twarzy jej towarzyszy i ich pełnych napięcia słów. Wszyscy spoglądali na góry za pobjowiskiem.

Coś poszło nie tak. Zdecydowanie nie tak.

Pole bitwy ciągnęło się daleko. Wśród ciał uwijały się uzdrowicielki, których pozycję wskazywały białe proporce. Elide zamarła na widok morza trupów.

„Aż tylu...”.

Dotarła do Chaola w chwili, gdy Nesryn Faliq wskoczyła na grzbiet swego wspaniałego ruka i pomknęła ku armii na równinie. Nie, ku innym rukom!

Położyła dłoń na ramieniu lorda, odciągając jego uwagę od odlatującej łuczniczki. Był brudny od zaschniętej krwi, ale brązowe oczy miał przytomne.

I pełne przerażenia.

Elide w jednej chwili zapomniała wszystko, co Yrene chciała mu przekazać.

– Co się dzieje? – spytała.

Odpowiedziała jej Aelin w zakrwawionej, osobliwej zbroi z dawnych czasów.

– Tama zaraz pęknie. – Jej głos był ochrypły. – A woda zmiecie wszystko na równinie.

„Na bogów, och, na bogów...”.

Elide zerknęła na pozostałych i natychmiast poznała odpowiedź na kolejne pytanie.

„Nic. Nic nie da się zrobić”.

Ruki wzbijały się ku niebu i leciały, bijąc ciężko skrzydłami. Na grzbietach i w szponach niosły żołnierzy.

– Czy ktoś ostrzegł uzdrowicielki? – Elide wskazała białe proporce, powiewające daleko na równinie. – Ktoś powiadomił Najwyższą Uzdrowicielkę?

Wedle słów Yrene Hafiza wyszła wraz z innymi.

Odpowiedziała jej cisza, aż księżę Sartaq zaklął we własnym języku i popędził ku swemu złocistemu rumakowi. Chwilę później mknął już nad polem bitwy, krzycząc co sił. Kadara co rusz obniżała lot i wzbijała się z kolejną drobną postacią w szponach. Łapała tyle

uzdrowicielek, ile była w stanie.

Na równinie żołnierze rzucili się biegiem ku twierdzy, trując martwych i rannych. Niosły się wśród nich komendy w mowie z południowego kontynentu.

– Co jeszcze? – spytała ostro Elide. – Co jeszcze możemy zrobić?

Aelin, Rowan, Fenrys i Gavriel wpatrywali się w pobojowisko, patrząc na uwijające się ruki. Księżniczka Hasar miotała się nerwowo, a Chaol rozmawiał po cichu z ojcem o tym, gdzie pomieszczą wszystkich uciekinierów. Tych, którzy ujdą z życiem.

Elide spojrzał na nich raz jeszcze. Na wszystkich.

A potem zapytała cicho:

– Gdzie jest Lorcan?

Nikt się nie odwrócił.

– Gdzie jest Lorcan? – powtórzyła głośniej.

Gavriel spojrzał na nią z zaskoczeniem.

– On... Wybiegł między walczących. Widziałem go jeszcze, na moment zanim dotarły wojska kagana.

– No to gdzie jest? – Głos Elide zadrzał.

Teraz odwrócił się ku niej Fenrys, a po nim Rowan i Aelin.

– Gdzie jest Lorcan? – szlochała lady Perranthu.

Cisza i oszołomienie w ich spojrzeniach zdradziły jej, że nikt nawet nie zadał sobie takiego pytania.

Odwróciła się ku bezkresnemu pobojowisku. Żołnierze uciekali co sił w nogach, a wielu rannych pozostało tam, gdzie padli. Tyle trupów. Taka masa trupów...

– Gdzie?

Nikt jej nie odpowiedział. Wskazała pole bitewne i warknęła do Gavriela:

– Gdzie widziałeś, jak spotyka się z wojskami kagana?

– Niemalże po drugiej stronie – odparł z trudem Gavriel. – Ja... Potem już go nie widziałem.

- Jasna cholera – warknął Fenrys.

Rowan zwrócił się do niego:

- Skorzystaj ze swej magii! Skocz tam, znajdź go i wróć z nim!

Pierś Elide zalała ulga, ale wtedy Fenrys rzekł:

- Nie mogę.

- Ani razu podczas bitwy nie skorzystałeś z magii! – naskoczył nań Rowan. – Masz do dyspozycji pełną moc! To dla ciebie pestka, Fenrysie!

Choć twarz Fenrysa pokrywała zakrzepła krew, widać było, że pobladł. Spojrzał przeproszająco na Elide.

- Naprawdę nie mogę.

Na murach zapadła cisza.

- Nie możesz czy nie chcesz? – warknął Rowan i wycelował zakrwawionym palcem w pobjowisko. – Chcesz, by zginął, co? Dlaczego? Przecież Aelin mu wybaczyła! – Tatuaze na jego obliczu zmarszczyły się, gdy warknął ponownie: – Ocal go!

Fenrys przełknął ślinę, ale odezwała się Aelin:

- Daj spokój, Rowanie.

Rowan warknął również i na nią, na co Aelin odpowiedziała jeszcze głośniejszym parsknięciem:

- Powiedziałam ci, byś dał spokój!

Elide widziała, że oboje przez moment toczą jakąś bezgłośną rozmowę, a nadzieja, która zapłonęła w jej sercu, zgasła natychmiast, gdy Rowan ustąpił. Spojrzał na Fenrysa i przeproszająco skinął głową. Fenrys z kolei, który wyglądał, jakby lada moment miał zwrócić zawartość żołądka, znów spojrzał na pobjowisko.

Elide cofnęła się o krok. Potem o kolejny.

Lorcan nie mógł zginąć.

Wiedziałyby, gdyby zginął. Poczwałyby to w sercu i w duszy, gdyby odszedł na dobre.

Był tam gdzieś. Był gdzieś w tej armii, być może został ranny, być może wykrawiał się właśnie na śmierć...

Nikt nie zatrzymywał Elide, gdy pognąła na dół. Utykała mocno, a jej nogę z każdym krokiem przeszywał ostry ból. Najszybciej, jak się dało, dotarła do schodów prowadzących na najniższy poziom i wpadła w panujące tam zamieszanie.

Kiedyś, wiele miesięcy temu, złożyła Lorcanowi obietnicę.

Obiecała mu, że zawsze go znajdzie.

Żołnierze i uzdrowiciele wbiegali w górę po schodach, odpychając Elide na bok. Ich krzyki, odbijające się echem od kamiennych ścian, były niemalże ogłuszające. Szlochająca dziewczyna przedzierała się w dół.

„Zawsze cię znajdę”.

Popychała spieszących, ogarniętych rozpaczą ludzi, odsuwała ich łokciami, wrzeszczała na nich. Przebijała się coraz dalej, ku bramom, ciągle ku bramom. Rozwrzeszczany potok ludzki zdawał się nie mieć końca. Bywało, że pociągnięto ją w górę, ale ona zawsze zdołała się uwolnić i znów ruszyć w dół. Nikt nawet na nią nie spojrział. Wszyscy pchali, napierali, dusili i w pewnym momencie, gdy znów pchnięto ją w górę, nabrała tchu i ryknęła:

– Przejście dla królowej!

Nikt jej nie usłyszał, a więc podjęła drugą próbę. Przepęłniła swój głos autorytetem, krzyknęła tak jak mężczyźni Fae, gdy pragną zastraszyć przeciwników:

– Przejście dla królowej!

Tym razem ludzie rozstąpili się i cofnęli pod ściany. Elide prześlizgnęła się przez powstałą szczelinę i powtórzyła swój rozkaz, a potem jeszcze raz. Jej kostka wyła z bólu z każdym kolejnym krokiem, ale dopięła swego. Dotarła na najniższy poziom, na którym roило się od uciekinierów, napływających przez otwarte bramy. Za nimi widać było pobojuwisko ciągnące się aż po horyzont, a wojownicy, uzdrowiciele i ludzie niosący rannych piełi się w górę po wszystkich możliwych schodach.

Elide z trudem zrobiła pięć kroków, dzielących ją od bramy, a tam uświadomiła sobie, że nigdy temu nie podoła. Pokonanie całego pola bitewnego i odnalezienie Lorcana na bezkresnej równinie, nim tama pęknie i wszystko zostanie zalane, graniczyło z cudem.

On żył.

Na pewno żył.

„Zawsze cię znajdę”.

Elide rozejrzała się dookoła, a potem popatrzyła na niebo w poszukiwaniu ruka, który mógłby ją zabrać, ale wielkie ptaki lądowały na wyższych poziomach, gdzie tłoczyli się żołnierze i uzdrowicielki. Niektóre ruki zostawiały niesionych ludzi bezpośrednio na górze. Tu, na najniższym poziomie, nie mogła liczyć na to, że ktokolwiek choćby usłyszy jej wołanie o pomoc.

Nawet żaden z żołnierzy się nie zatrzymał.

Wtedy Elide zauważyła konie, wyprowadzane ze stajni przez zaniepokojonych stajennych. Prowadzone po zatłoczonych rampach zwierzęta rżały i wierzgały, jakby udzielała im się panika.

Jakaś czarna klacz zarżała przenikliwie i stanęła dęba, po czym zamierzyła się kopytami na stajennego. Był to rumak lorda Chaola. Parobek wrzasnął i zatoczył się, mało nie wypuszczając wodzy z ręki. Koń tłukł kopytami w rampę, położywszy po sobie uszy.

Elide nie zastanawiała się dwa razy. Bez wahania podążyła w stronę stajni i rozhukanego konia.

– Ja się nią zajmę – powiedziała do stajennego, który nadal cofał się przed na poły oszalałym rumakiem.

– Powodzenia! – wrzasnął blady parobek i rzucił jej wodze, a potem uciekł.

Klacz – Elide przypomniała sobie, że ma na imię Farasha – szarpnęła tak mocno, że dziewczyna o mało nie padła na kamienie. W ostatniej chwili szeroko rozstawiła nogi i ignorując ból, wytrzymała napór.

– Potrzebuję twojej pomocy, wojowniczo o zajadłym sercu – powiedziała do klaczy. Spojrzała w jej ciemne, gniewne oczy. – Potrzebuję cię – powtórzyła, a jej głos załamał się. – Proszę.

A wtedy, na bogów, koń się uspokoił. Zamrugął.

Mijały ich dziesiątki koni oraz stajennych, ale Elide trzymała Faraszę mocno. Czekala, aż zwierzę opuści głowę, jakby wyrażało zgodę.

Lord Chaol miał długie nogi, dzięki czemu Elide bez trudu dosięgnęła dopasowanych do niego strzemion. Zaciśnęła zęby, żeby nie krzyknąć z bólu, gdy ciężar ciała na moment oparł się na chromej kostce, ale dźwignęła się w górę i rozsiadła na wspaniałym siodle Farashy. Mogła być wdzięczna losowi, że stajenni nie zdołali jeszcze rozsiodłać koni po bitwie. Po obu stronach siodła znajdowały się szyny, które zapewne utrzymywały lorda Chaola w pionie, ale Elide odpięła je bez wahania. Musiała się pozbyć wszystkiego, co mogło ją spowolnić.

W końcu złapała za wodze.

– Pędź, Farasho! – zawołała. – Na pobojuwisko!

Rumak zarżał i popędził przed siebie, roztrącając chaos. Żołnierze uciekali przed rozpędzonym wierzchowcem, a Elide nie miała czasu, by kogokolwiek przeproszać. Niepowstrzymana, pognęła ku bramom.

I już była na równinie.

Rowan wiedział, że jego magia tylko opóźni to, co musiało nastąpić. Zastanawiał się, czy nie polecieć do tamy, aby przekonać się, czy nie jest w stanie choć na jakiś czas powstrzymać konstrukcji przed rozpadem. Wiedział jednak, że siły żywiołu nagromadzonego po drugiej stronie nie da się opanować.

Żołnierze i uzdrowiciele pędzili w stronę twierdzy, a ruki wychwytywały tych, którzy mogli stać się pierwszymi ofiarami nadciągającej fali. Ewakuacja przebiegała powoli, o wiele za wolno. Rowan nie miał pojęcia, kiedy tama ustąpi, a mimo to wiedział, że nie zdążą.

Czy Lorcan znajdował się wśród biegnących? A może zdołał wleźć na ruka?

– Moc – odezwał się cicho Fenrys, zaciskając dłonie na lepkim od krwi murze – nie była moją własnością. Dzieliłem ją z Connallem.

– Wiem – odparł Rowan. Wiedział też, że nie powinien był domagać się niczego tak stanowczo. – Przepraszam.

Fenrys pokiwał głową.

– Nie pogodziłem się jeszcze z jego śmiercią i coś mnie powstrzymuje przed sięgnięciem po moc. Ja... ja nie wiem, czy jeszcze jestem w stanie z niej korzystać. I naprawdę mi przykro.

Rowan poklepał go po ramieniu.

„Kolejna rzecz, za którą Maeve nam zapłaci” – pomyślał, a głośno dodał:

– I tak pewnie trudno byłoby go znaleźć.

– Może być wszędzie. – Fenrys zacisnął zęby.

– Mógł nie przeżyć – mruknęła księżniczka Hasar.

– Albo zostać ranny – wtrącił Chaol, który podjechał na swoim fotelu do blanek, by przyjrzeć się pobojuwisku i odległej tamie.

Stojąca kilka kroków za nim Aelin również spoglądała w tamtym

kierunku. Ostry wiatr wyrwał z jej warkocza kilka kosmyków brudnych od zakrzepłej krwi. Powiewały ku góróm, z których lada moment miało nadciągnąć zniszczenie.

Nic nie mówiła. Milczała od chwili, gdy Nesryn i Sartaq przynieśli złe wieści. Rowan uświadomił sobie, że przeżywa własny koszmar, polegający na tym, że nie może nikomu pomóc – musi bezsilnie patrzeć, jak inni cierpią. Żadne słowa nie mogły jej przynieść ulgi, żadne słowa nie mogły tego naprawić. Nic nie mogło tego zatrzymać.

– Mogę spróbować go wytropić – zaproponował Gavriel.

Rowan strząsnął z siebie nadciągającą zgrozę.

– Ja polecę nad pobojuwisko. Postaram się go znaleźć i dam wam znać, a...

– Nie zawracaj sobie głowy – odezwała się księżniczka Hasar. Rowan już miał na nią warknąć, gdy ujrzał, że dziewczyna wskazuje pole bitwy. – Już was wyprzedziła.

Fae odwrócił się gwałtownie, a za nim reszta.

– Tylko nie to – szepnął Fenrys.

Przez pobojuwisko mknęła Elide na czarnym koniu.

– Farasha... – mruknął Chaol.

– Zginie! – Gavriel napiął mięśnie, jakby chciał zeskoczyć z muru i pognać w ślad za Elide. – Przecież ona...

Farasha przeskakiwała nad trupami i kluczyła z wdziękiem między rannymi, a Elide obracała się w siodle to w jedną, to w drugą stronę. Rowan widział, jak co rusz otwiera usta i wykrzykuje jedno słowo, jedno imię, bez przerwy.

Lorcan.

– Jeśli ktokolwiek za nią popędzi – ostrzegła ich Hasar – również zginie!

Słowa księżniczki przeczyły wszystkim jego instynktom, przeczyły stuleciom wspólnych ćwiczeń i walk z Lorcanem, ale Rowan wiedział, że Hasar ma rację. Lepiej było stracić jednego wojownika niż kilku, tym bardziej że wojna jeszcze się nie skończyła i potrzebował ich wszystkich. Lorcan zresztą na pewno by się zgodził z jego decyzją. Przecież sam nauczył Rowana dokonywać wyborów.

Aelin milczała, jakby znów zapadła się w głąb siebie, i wpatrywała się w pole bitwy.

Patrzyła na drobnego jeźdźca, który gnał przed siebie na potężnym rumaku.

Farasha przypominała burzę, ale nawet nie próbowała strącić Elide, uczepionej jej grzbietu, gdy mknęły jak wichry przez usłane trupami pole.

– Lorcan!

Jej wołanie ginęło wśród świstu wiatru, krzyków uciekających żołnierzy oraz wrzasków krążących w górze ruków.

– Lorcan!

Nie przestawała się rozglądać w poszukiwaniu wojownika o ciemnych włosach i surowej twarzy, ale trupów było wiele, tak wiele... Pola śmierci zdawały się ciągnąć w nieskończoność. Farasha z wdziękiem przeskakiwała nad zwałami ciał i ostro skręcała, a Elide rozglądała się i rozglądała bez końca.

Mijali ją konni Darghanowie. Niektórzy mknęli ku twierdzy, inni w stronę odległego lasu widocznego na horyzoncie. Farasha przemykała między nimi, próbując gryźć konie, które znalazły się za blisko.

– Lorcan!

Jakże słaby wydawał się jej głos, jakże mizerny.

Tama nadal trzymała.

„Zawsze cię znajdę”.

Jak mogła powiedzieć mu coś tak głupiego, tak nienawistnego... Czy to ona była temu wszystkiemu winna? Czy to ona ściągnęła na niego ten los? Czyżby ubłagała jakiegoś boga, by go pokarał?

Wszystkie jej słowa roztopiły się, gdy zrozumiała, że nie ma go na murze. Nie tylko słowa, ale też kilka ostatnich miesięcy.

Farasha mknęła naprzód. Jej czarna grzywa powiewała na wietrze.

Tama musiała wytrzymać. Musiała. Wytrzyma do chwili, gdy Elide sprowadzi Lorcana z powrotem do twierdzy. Nie zatrzymywała się

więc, nie spoglądała ku czyhającej na nią zgubie, która lada moment mogła się uwolnić.

Jechała. Naprzód i naprzód.

Siedzący na murze Chaol nie wiedział, na co patrzeć: na tamę, na ludzi uciekających przed zagładą czy na młodą lady Perranthu, mknącą przez pobojuwisko na jego rumaku. Na jego ramię opadła ciepła dłoń. Bez odwracania się wiedział, że była to Yrene.

- Właśnie dowiedziałam się o tamie. Wysłałam Elide, by sprawdziła, czy nic ci... – Urwała, gdy zauważyła samotnego jeźdźcę przedzierającego się w przeciwnym kierunku niż uciekające masy żołnierzy. – Niech Silba ma ją w opiece – szepnęła.

- Lorcan gdzieś zaginął – dodał Chaol tytułem wyjaśnienia.

Fae byli napięci jak cięciwy łuku. Młoda kobieta zaś pędziła przed siebie. Szanse na znalezienie Lorcana były znikome, a tama mogła pęknąć w każdej chwili.

Mimo to Elide nadal ścigała się ze śmiercią.

- Co za głupia dziewczyna – szepnęła Hasar. – Fakt, że takiej odwagi nie widuje się na co dzień, ale dalej twierdzą, że jest głupia.

Aelin nie powiedziała nic. W jej oczach pojawiła się mgła, jakby znów wycofała się w głąb siebie, bo zrozumiała, że resztką nadziei zaraz zniknie, a wraz z nią jej przyjaciele.

- Nad Lorcanem czuwa Hellas – mruknął Fenrys. – A Anneith, jego małżonka, sprawuje pieczę nad Elide. Może jakoś się znajdą.

- Koń Hellasa – powiedział Chaol.

Wszyscy odwrócili się ku niemu, odrywając wzrok od pola bitwy. Chaol pokręcił głową i wskazał czarną klacz.

- Nazywam Farashę koniem Hellasa i to od chwili, gdy po raz pierwszy ją ujrzałem.

Zupełnie jakby nie sprowadził tu tego konia dla siebie, ale dla tego, co działo się poza murami Anielle. Dla desperackiego pościgu przez niekończące się pobojuwisko.

Yrene zacisnęła dłoń, jakby i ona to rozumiała.

Nad ich odcinkiem murów zapadła cisza. Nie zostało już nic do powiedzenia.

- Lorcan! – Głos Elide się załamał. Nie była w stanie zliczyć, ile razy wykrzyknęła jego imię.

Wciąż go nie odnalazła. Nie było po nim ani śladu.

Kierowała się w stronę jeziora. Bliżej tamy. Lorcan na pewno walczyłby w pobliżu, bo tam łatwiej było się bronić.

Ciała zlewały się. Tylu Valgów, tylu zabitych Valgów. Niektórzy wyciągali ku niej blade dłonie, jakby chcieli ją złapać, rozszarpać, błagać o pomoc. Klacz jednakże tratowała ich bez litości, wbijała ich w błoto. Z trzaskiem pękały kości i kruszyły się czaszki.

Na pewno gdzieś tu był. Musiał gdzieś tu być. Może był ranny, ale żył, na pewno żył.

Była tego pewna.

Szara tafla jeziora ciągnęła się nieopodal, cicha i spokojna, jakby drwiła sobie z ludzi, gotowa w każdej chwili eksplodować furia.

- Lorcan!

Znajdowały się już mniej więcej w samym środku pola bitwy. Elide powściągnęła pęd Farashy, by móc stanąć w strzemionach. Przygryzła wargę, gdy znów eksplodował ból w kostce.

Nigdy dotąd nie czuła się taka mała, taka pozbawiona znaczenia. Zwykły pyłek pośród przekłętego morza trupów.

Opadła na siodło i piętami popędziła konia ku migotliwej szarej tafli. Na pewno gdzieś tam był.

Klacz znów się rozpędziła. Jej płuca pracowały jak potężne miechy.

Naprzód, naprzód. Czarne zbroje, złote zbroje, krew, śnieg i błoto. Tama nadal trzymała.

Zaraz...

Elide szarpnęła za wodze, by wyhamować rozpędzonego rumaka.

Niedaleko brzegu jeziora dostrzegła dziesiątki zabitych wojowników Morath, a wśród nich ani jednego trupa w złotym pancerzu. Żołnierze kagana byli doskonale wyszkoleni i uzbrojeni, ale

nawet oni padali z rąk nieprzyjaciół. Ginęli o wiele rzadziej od wrogów, ale przecież ginęli i Elide co krok widziała złote pancerze.

Tam jednakże nie było żadnego, a z trupów nie sterczały włócznie czy strzały, co tłumaczyłoby liczebność ofiar.

Patrzyła na szlak ułożony z trupów Valgów, wijący się naprzód. Bez wahania ruszyła wzdłuż niego. Przyglądała się każdej twarzy, zerkając pod każdy hełm, a w jej ustach zrobiło się sucho. Szlak śmierci i zniszczenia ciągnął się daleko.

Tyle trupów... Ależ on pozostawił za sobą spustoszenie.

Zbliżała się już do końca wyrąbanego przezeń szlaku, gdzie zaczynały się pojawiać złote pancerze. Jej oddech stał się chrapliwy.

Nic. Zatrzymała Faraszę. Gavriel powiedział, że widział go dokładnie tu. Czyżby przebił się za linię sojuszników? A może uciekł z pola walki? Niewykluczone, że dotarł już do twierdzy bądź był w Dębowej Puszczy, a ona pokonała tę drogę na marne.

– Lorcan! – krzyczała tak głośno, że zaczynała się dziwić, iż jej gardło nie zaczęło jeszcze krwawić. – Lorcan!

Tama trwała. Który z jej oddechów okaże się ostatnim?

– Lorcan!

Zza jej pleców dobiegł jęk bólu.

Elide odwróciła się w siodle i spojrzała raz jeszcze na trupy za sobą. Spod szczególnie wysokiego stosu wyłoniła się dłoń, szeroka i opalona, która wsparła się na pancerzu zabitego żołnierza i ześlizgnęła się z niego. Zaledwie kilkanaście kroków od niej.

Zapłakana dziewczyna w okamgnieniu zawróciła konia, który wyhamował nieopodal zakrwawionej ręki. Kopyta klaczy ociekały krwią poległych. Elida zeskoczyła z siodła i zaczęła odrzucać ciała na bok, stękając pod ich ciężarem. Wrogie ostrza i krawędzie pancerzy kaleczyły jej dłonie, ale wkrótce ręka stała się ramieniem, a potem pojawiło się drugie. Bez wątpienia był to Lorcan, który zaczął odsuwać trupy od spodu.

W końcu odepchnął przygniatające go ciało i Elide ujrzła go w całej okazałości.

Na widok jego obrażeń o mało nie padła na kolana. Jego krew

spływała zewsząd, a rana pozostawała otwarta, nie zaleczyła się, jak to zwykle bywało w przypadku Fae. Z pewnością sięgnął po całą swą moc, by zasklepić ją choć trochę, i tylko dlatego jeszcze żył.

Nie powiedziała tego jednak. Ograniczyła się do:

– Tama zaraz pęknie.

Błada twarz Lorcana zbryzgana była krwią, a ciemne oczy zmętniały od cierpienia. Elide rozstawiła szeroko nogi, zdusiła jęk własnego bólu i złapała go pod pachy.

– Musimy cię stąd wydostać.

Pół-Fae oddychał płytko, a w płucach mu rzeziło. Był ciężki jak kamień i równie trudny do przeniesienia jak sama twierdza.

– Lorcan – błagała go łamiącym się głosem. – Musimy cię stąd wydostać!

Przesunął nieco nogi i jęknął rozdzierająco. Nigdy dotąd nie słyszała, by jęczał. Nigdy nie widziała, by nie mógł wstać.

– Wstawaj! Wstawaj!

Jego dłonie zacisnęły się na jej talii i Elide tym razem nie zdołała powstrzymać okrzyku bólu, gdy kości jej stopy i kostki zgrzytnęły o siebie. Lorcan zawahał się i puścił ją, nawet nie uklękawszy.

– Dalej! – błagała go. – Wstawaj!

Przesunął spojrzenie ciemnych oczu na konia.

Farasha podeszła bliżej, przestępując niepewnie nad trupami. Nie drgnęła, gdy Lorcan złapał jedną ręką za popręg, drugą wsparł na ramieniu Elide i zaczął się podnosić. Powoli, bardzo powoli. Jego oddech stał się chrapliwy, a z rany brzucha pociekła świeża krew, która rozlała się po tej zakrzepniętej już na spodniach i kurtce. Elide dostrzegła po chwili krew po lewej stronie pleców. Ze środka sterczała kość.

„Och, na bogów...”

Pochyliła się, by Lorcan mógł zarzucić jej ramię na plecy. Jej uda płonęły, kostka wyła z bólu, ale mimo to napała w górę. Wojownik również napiął mięśnie, a Farasha stała nieruchomo. Lorcan jęknął ponownie i zadrżał na całym ciele.

– Nie przerywaj! – syknęła Elide. – Nie waż się poddawać!

Oddech Lorcana znów stał się płytki, ale zdołał stanąć na równych nogach. Zsunął rękę z pleców Elide i złapał łęk siodła, by przywrzeć do niego. Ciężko dyszał, a z rany na plecach pociekła mu świeża krew. Jazda powrotna zapowiadała się koszmarnie, ale nie mieli wyboru. Żadnego.

– A teraz do góry – warknęła Elide, starannie maskując własny strach i rozpacz. – Właź na siodło!

Lorcan oparł czoło o ciemny bok Farashy. Zachwiał się i Elide objęła go mocno ramieniem.

– Nie zginąłeś, do cholery! – warknęła. – I nadal żyjesz. Oboje wciąż żyjemy, a więc wspinaj się na siodło!

Lorcan nie zareagował. Stał wsparty o konia i oddychał z trudem, aż Elide znów się odezwała:

– Obiecałam, że zawsze cię znajdę. Obiecałam to tobie, a ty obiecałeś to mnie. Przybyłam właśnie z tego powodu. Jestem tu z tego powodu. Przyjechałam po ciebie, rozumiesz? I jeśli nie wejdziemy na tego konia teraz, w tej właśnie chwili, nie mamy szans na przeżycie, bo ta cholerna tama nie poczeka!

Lorcan sapał ciężko przez moment, i jeszcze przez chwilę, aż wreszcie zacisnął zęby, wpił dłonie w siodło z taką mocą, że aż kłykcie mu pobieleły, i zdołał unieść nogę na tyle, by wsunąć stopę w strzemię.

Prawdziwy test wciąż był jednak przed nim. Musiał się odbić i przerzucić drugą nogę nad grzbietem klaczy. Elide ustawiła się za nim, uważając, by dłonią nie urazić potwornego cięcia przez plecy. Jej stopa aż po kostkę ugrzęzła w marznącym błocie. Nie odważyła się choćby spojrzeć na tamę. Jeszcze nie.

– Właź! – Jej rozkaz przebił się przez krzyki uciekających żołnierzy.
– Właź na to cholerne siodło!

Lorcan ani drgnął, a jego ciało dygotało.

– Właź w tej chwili! – wrzasnęła Elide i pchnęła go ku górze.

Ryk Lorcana rozbrzmiał w jej uszach. Siodło jęknęło pod jego ciężarem, a z ran trysnęła świeża krew, ale poderwał się w górę, na koński grzbiet.

Elide napierała z całych sił, by mu pomóc. Coś pękło w jej kostce, po czym zalał ją ból tak straszliwy, że zapomniała o oddychaniu, a świat naokoło się rozmazał. Potknęła się, zatoczyła, wypuściła go, ale Lorcan już siedział w siodle. Pochylił się nad końskim karkiem i objął dłonią brzuch. Kosmyki jego włosów muskały kark Farashy.

Elide zacisnęła zęby, by zdusić ból. Wyprostowała się i rozejrzała.

Przed nią pojawiło się długie, zakrwawione ramię. Lorcan chciał pomóc jej się wspiąć, ale zignorowała go. Udało jej się wepchnąć go na siodło Farashy i nie miała zamiaru doprowadzić do tego, by teraz z niego zleciał.

Cofnęła się nieco.

Ze wszelkich sił dławiąc ból, przebiegła parę kroków, by wskoczyć na siodło.

Uderzyła brzuchem o lęk, co wybiło jej powietrze z płuc, ale na szczęście Lorcan złapał ją za tył kurtki. Jego ramię, silne jak dawniej, wciągnęło ją niemalże na swe kolana, po czym Lorcan stęknął z bólu, gdy Elide się wyprostowała.

Ale udało jej się. Siedziała na koniu i ujęła wodze, a Lorcan otoczył ramionami jej talię. Ogromne ciało rannego wojownika wsparło się o jej plecy.

Wreszcie odważyła się spojrzeć na tamę. Nadlatywał stamtąd ruk, którego jeździec gorączkowo wymachiwał złotym proporcem.

Zostało naprawdę niewiele czasu.

Jeszcze chwila.

– Wracajmy do twierdzy, przyjaciółko! – zawołała Elide do konia i trąciła jego boki piętami. – Szybciej niż wiatr!

Farasha posłuchała wezwania i runęła naprzód, aż dziewczyna odchyliła się w tył i napała na Lorcana. Wojownik jęknął z bólu, ale utrzymał się w siodle pomimo równego rytmu walących w ziemię kopyt.

– Szybciej! Szybciej! – krzyczała Elide, kierując rumaka ku twierdzy i górze, o którą budowla się wspierała.

Nigdy dotąd nic nie wydawało jej się bardziej odległe.

Forteca była tak daleko, że nie widziała nawet, czy brama nadal

była otwarta. Czy ktokolwiek na nią czekał.

- Nie zamykajcie... Nie zamykajcie...

Każde potężne uderzenie kopyt Farashy, mknącej przez bezkresną równinę nad zwałami trupów, powtarzało cichą modlitwę Elide.

- Nie zamykajcie bram!

61.

Cierpienie rozbrzmiewało pieśnią w krwi, kościach i oddechu Lorcana, a każdy krok klaczy i każdy jej skok nad stosami trupów tylko je potęgowały. Pieśń nie miała końca i nie było przed nią ucieczki. Lorcan mógł jedynie trzymać się siodła i walczyć o zachowanie przytomności.

Mógł jedynie otaczać Elide ramieniem.

Przybyła po niego. W jakiś sposób odnalazła go na bezkresnym polu bitwy.

Jego imię w jej ustach było wezwaniem, któremu nie mógł odmówić, nawet w chwili, gdy śmierć brała go już w łagodne objęcia, kładąc pod ciałami tych, których powalił, gdy czekała na jego ostatni oddech.

A teraz, gdy gnali w stronę nazbyt odległej fortecy, daleko za plecami uciekających żołnierzy, zaczął się zastanawiać, czy te minuty naprawdę nie są ostatnimi w jego życiu. Oraz w jej.

Przybyła po niego.

Lorcan zdołał spojrzeć na tamę po prawej stronie. Na ruka, którego jeździec dawał sygnały, że piekło rozpęta się lada chwila.

Nie wiedział, jak doszło do osłabienia zapory, ale nie dbał już o to.

Farasha przeskoczyła nad kolejnym stosem trupów. Lorcan nie powstrzymał jęku bólu, gdy z jego obu ran znów popłynęła ciepła krew.

Elide popędzała konia, trzymając się możliwie najprostszej drogi do twierdzy. Nie mogli liczyć na żadnego ruka. Nie, Lorcan już wyczerpał swe szczęście na długi czas. Wszak przeżył mimo straszliwych ran, a potem został odnaleziony, co zakrawało na cud. Co więcej, swą mocą nie był w stanie zatrzymać powodzi.

Rozpędzona Farasha minęła ostatnie szeregi uciekającej piechoty. Brama nadal była otwarta.

– Szybciej! Szybciej, Farasho! – Elide nie ukrywała przerażenia ani

rozpaczy w głosie.

Po tym, jak tama pęknie, rozpedzone wody ogarną ich w niecałą minutę.

Przybyła po niego. Ocaliła go.

Świat ucichł. Cierpienie w jego ciele rozplynęło się i stało się czymś mniej ważnym. Lorcan otoczył Elide ramieniem, przysunął usta do jej ucha i szepnął:

– Musisz mnie zostawić.

Z najwyższym trudem wyartykułował każde słowo, ale Elide nie odrywała wzroku od twierdzy.

– Nie.

Otoczyła go łagodna cisza, która przegnała oszołomienie wywołane bitwą i bólem.

– Musisz. Musisz, Elide. Jestem za ciężki. Beze mnie koń pobiegnie szybciej i zdołasz dotrzeć do twierdzy.

– Nie.

Wyczuł zapach soli w jej łzach.

Musnął ustami jej wilgotny policzek, ignorując ryczący ból ciała. Koń gnał naprzód, jakby chciał prześcignąć samą śmierć.

– Kocham cię – szepnął Elide do ucha. – Kocham cię, odkąd pochwyciłaś topór, by zabić ilkena.

Wiatr porywał jej łzy.

– I będę przy tobie... – Głos mu się załamał, ale zmusił się, by wypowiedzieć te słowa, by podzielić się z nią prawdą, którą miał w sercu. – I będę przy tobie zawsze.

Nie bał się tego, co mogłoby się stać, gdyby spadł z konia. W ogóle się tego nie bał, jeśli dzięki temu Elide szybciej dotarłaby do twierdzy.

Pocałował ją raz jeszcze i pozwolił sobie wciągnąć w nozdrza jej zapach.

– Kocham cię – powtórzył i zaczął puszczać jej talię.

Elide zacisnęła dłoń na jego przedramieniu i wbiła mu paznokcie w skórę, równie zaciekle jak ruk.

- Nie.

W jej głosie nie było łez. Słyszał tylko chłodną stal.

- Nie – powtórzyła głosem prawdziwej lady Perranthu.

Lorcan próbował poruszyć ramieniem, ale nie mógł strząsnąć jej dłoni. Gdyby teraz spadł z konia, pociągnąłby ją za sobą.

Razem. Razem prześcigną śmierć albo razem zginą.

- Elide...

Ale dziewczyna raz jeszcze wbiła pięty w końskie boki i wrzasnęła:

- Leć, Farasho! Leć!

I, na bogów, klacz przyspieszyła.

Zupełnie jakby ten spośród bogów, który ją stworzył, wypełnił jej płuca własnym oddechem. Mknęła teraz szybciej niż wiatr. Szybciej niż śmierć.

Dogoniła ostatnie szeregi uciekającej kawalerii Darghanów i dalej pędziła ku bramom. Jej potężne serce biło mocno, choć Lorcan słyszał, iż niewiele brakuje, by pękło.

Do bram zostało trochę ponad kilometr, gdy światem wstrząsnął przeciągły, dudniący łoskot, który odbił się echem od jeziora i gór.

Nie pozostało nic, co mógłby jeszcze zrobić. Nawet ich dzielnego, niezłomnego rumaka nie było już stać na więcej.

Tama pękła.

W chwili, gdy zapora pękła, Rowan zaczął się modlić za tych, którzy wciąż znajdowali się na równinie, za armię, która właśnie miała zostać zmieciona.

Stojąca kilka kroków za nim Yrene również szeptała własne modlitwy, kierowane do Silby, bogini łagodnej śmierci.

„Niech umierają łatwo, bez bólu...”.

Nadciągała ściana wody, wysoka niczym góra, która kierowała się w stronę miasta i równiny, niosąc ze sobą wściekłość tysiąca lat uwięzienia.

- Nie uda im się – syknął Fenrys, wpatrzony w Lorcaną i Elide. Byli

blisko, ale fala nadciągała z ogromną prędkością.

Rowan nie potrafił się ruszyć. Zmusił się do tego, by stać i przyglądać się ostatniej ucieczce lady Perranthu i swego byłego dowódcy. Niczego więcej nie mógł im dać. Patrzył na ich śmierć, by opowiedzieć o niej wszystkim, których napotka. By nie zostali zapomniani.

Huk nadciągającej fali robił się ogłuszający, choć ta znajdowała się jeszcze w odległości kilku kilometrów.

Elide i Lorcan nie poddawali się, Farasha wyprzedzała konia za koniem.

Ale czy sama twierdza oprze się fali? Rowan zebrał się na odwagę i przyjrzał się murom. Musiał mieć pewność, czy nie trzeba przenieść Aelin i pozostałych gdzieś wyżej.

Wtedy odkrył, że Aelin już przy nim nie ma.

Nie widział jej nigdzie na murach.

Jego serce na moment przestało bić, tym bardziej że w tej samej chwili z nieba opadł rudobrzędy Arcas, ręk Borte, który trzymał w szponach złotowłosą kobietę.

Aelin. Aelin była...

Arcas przemknął nad równiną i rozchylił szpony. Aelin padła na ziemię, przetoczyła się i zerwała.

Znajdowała się teraz prosto na drodze fali.

– Och, na bogów – szepnął Fenrys, który również ją dostrzegł.

Wszyscy ją widzieli.

Królowa stała na równinie, a niekończąca się ściana wody pędziła prosto na nią.

Kamienie, z których zbudowano twierdzę, zaczęły dygotać. Rowan wyciągnął rękę, by się o coś oprzeć. Nigdy w życiu nie czuł takiego strachu jak w chwili, gdy Aelin wyrzuciła ręce ponad głowę.

Wokół niej wystrzelił słup ognia, który uniósł jej włosy.

Fala ryczała, gotowa pochłonąć zarówno ją, jak i uciekającą armię.

Nagle Rowan uzmysłowił sobie, że dygotanie kamieni nie zostało wywołane przez nadciągającą falę.

W ziemi wokół Aelin pojawiały się bowiem szczeliny, rozszerzające się, biegnące zygzakami.

– Gorące źródła – szepnął Chaol. – Dolina jest pełna podziemnych żył, wnikałych w głąb ziemi!

Prosto do jej płonącego serca.

Twierdza zadygotała, tym razem mocniej.

Kolumna ognia wstąpiła z powrotem w Aelin, a ta wyciągnęła przed siebie rękę z zaciśniętą pięścią.

Jakby to mogło zatrzymać nadciągającą powódź.

Wtedy wszystko zrozumiał. Jako jej towarzysz życia i jako *carranam* pojął wszystko.

– Trzy miesiące – szepnął.

Pozostali znieruchomieli.

– Trzy miesiące – powtórzył. Kolana mu drżały. – Od trzech miesięcy zanurzała się w swej mocy.

Każdego dnia niewoli u Maeve, choć zakuto ją w żelazo, pogrążała się i pogrążała, i bynajmniej nie przestała od dnia, kiedy ją uwolnili. To dlatego nie sięgała po swą moc. Chciała zgromadzić jej pełnię. Nie na Zamek ani na Erawana, ale po to, by zadać Maeve śmiertelny cios.

Kilka tygodni wystarczyłoby, by jej magia osiągnęła prawdziwie niszczycielską moc. A po trzech miesiącach...

„Na bogów... Jasna cholera, na bogów!”

A kiedy jej ogień zderzy się ze ścianą wody...

– Padnij! – ryknął, próbując zagłuszyć huk fali. – Padnij!

Jego towarzysze natychmiast padli na ziemię, podobnie jak wszyscy w zasięgu głosu. Rowan zaś zanurzył się we własnej mocy, szybko i gwałtownie, zbierając to, co mu pozostało.

Elide i Lorcan wciąż byli za daleko od bram. Tysiące żołnierzy nadal znajdowało się zbyt daleko, a fala cały czas wzbierała.

Aelin otworzyła dłoń.

Eksplodował ogień.

Niebieski ogień. Szalejąca dusza płomienia.

Sztormowa fala płomieni.

Ściana ognia, wyższa od nadciągającej fali, buchnęła od dziewczyny i rozszerzyła się gwałtownie.

Oba żywioły zderzyły się ze sobą. Tam, gdzie mur ognia zderzył się z murem wody, gdzie tysiąc lat niewoli spotkało się z trzema miesiącami uwięzienia, świat dosłownie eksplodował.

Wrząca para, tak gorąca, że mogłaby topić ciała, strzeliła naokoło. Rowan z rykiem posłał resztę swej mocy ku jej kłębowi. Powstał lodowaty wiatr, który zepchnął parę w stronę jeziora i gór.

Wody nadciągały i rozbijały się o ścianę płomieni, która nawet nie drgnęła.

Moc, która miała zadać Maeve śmiertelny cios, roztrwoniona po to, by ocalić armię, która mogła uratować Terrasen.

Rowan zacisnął zęby, próbując wykrzesać z siebie jak najwięcej mocy. Czuł, że lada moment osiągnie przepalenie, a tymczasem fala ognia uderzała bez końca o ścianę wody.

Nie widział, czy Elide i Lorcanowi udało się dotrzeć do twierdzy. Nie miał pojęcia, czy inni uciekinierzy na równinie zdołali zbiec, czy może zatrzymali się, by wpatrywać się w niecodzienne zjawisko.

– Ta moc to żadne błogosławieństwo – oznajmiła księżniczka Hasar, stojąca za nim.

– Powtórz to swoim żołnierzom – warknął Fenrys.

– Nie o to mi chodziło – odcięła się Hasar, na twarzy której pojawił się nabożny zachwyt.

Rowan oparł się o mury. Oddychał z trudem, ale nadal robił wszystko, by odegnać kłęby zabójczej pary od uciekającej armii. Jego wiatr studził je i odpędzał.

Poczuł, jak wspierają go mocne dłonie. Fenrys i Gavriel podtrzymywali go z obu stron.

Minęła minuta. Potem druga.

Fala zaczęła słabnąć, ale ogień nadal płonął.

W głowie mu huczało, w ustach czuł suchość.

Fala kurczyła się, a szalejące wody cichły. Wnet ryk przerodził się

w plusk, a fale zamieniły się w wiry, gdy woda zaczęła wsiąkać w szczeliny.

Wówczas i płomień zaczęły się kurczyć, maleć, aż w ślad za znikającymi strumieniami wstąpiły w grunt.

Pod Rowanem ugięły się kolana, ale nadal słał podmuchy wiatru, by wystudzić i uspokoić kłęby wrzącej pary. Te, już niegroźne, rozpląwały się po równinie, aż zasłoniły stojącą w samym centrum królową.

Zapadła cisza, całkowita cisza.

Wśród oparów mgły migotał ogień, z początku błękitny, ale po chwili już złoty i czerwony, pulsujący, tętniący.

Rowan splunął krwią na blanki. Miał wrażenie, że z każdym wciągniętym haustem powietrza do jego gardła dostają się okruchy szkła.

Jaśniejący ogień przygasł i zamienił się w wąski słup ognia, co rusz przesłaniany pasmami mgły.

Nie, nie żaden słup ognia. To była sylwetka Aelin, która jaśniała niczym rozżarzony pręt. Jakby tak bardzo oddała się ogniu, że sama się nim stała.

– Niosąca Ogień – szepnął ktoś na murach.

Mgła falowała i przesuwała się, zamieniając Aelin w ogniste widmo.

Cisza na murach przepelniona była nabożnym zachwytem i szacunkiem.

Łagodny podmuch z północy rozgonił pasma mgieł i oto ukazała się Aelin. Promieniowała wewnętrznym, złocistym światłem, a pasma jej włosów unosiły się na widmowym wietrze.

– Dziedziczka Mali – szepnęła Yrene.

Elide i Lorcan zatrzymali się na równinie. Wiatr rozganiał dryfującą mgłę i odsłaniał krainę za plecami Aelin.

Tam, gdzie jeszcze przed momentem wznosiła się potężna, zabójcza fala, gdzie sunęła ku nim śmierć, nie było już nic.

Przez trzy miesiące śpiewała ciemnościom i płomieniom, a one

odpowiadały pieśnią.

Przez trzy miesiące zanurzała się tak głęboko w studnię swej mocy, że dotarła do niezbadanych wcześniej głębin. Podczas gdy Maeve i Cairn niszczyli jej ciało, ona drażyła. Ani na moment nie zdradziła się z tym, dokąd dotarła i co gromadziła dzień za dniem.

Szykowała się do śmiertelnego ciosu. Jednego jedyne, który zmiotłby Mroczną Królową na zawsze z powierzchni ziemi.

Trzymała tę moc w ryzach nawet po tym, jak uwolniła się z kajdan. Robiła wszystko, by utrzymać ją pod kontrolą, choć kosztowało ją to mnóstwo wysiłku. Czasami zwykła rozmowa pozwalała jej o tym zapomnieć. Kiedy indziej musiała udawać zuchwałość i buńczuczność, by przestać o niej myśleć.

Niemniej gdy ujrzała nadciągającą falę, gdy patrzyła na Elide i Lorcana, którzy decydują się zginąć razem, i na armię, która mogłaby ocalić Terrasen, nie wahała się ani chwili dłużej. Wyczuła obecność ognia, który drzemał pod tym miastem, i zrozumiała, że przybyli tu z jednego powodu. Ona przybyła tu z jednego powodu. Jednego jedyne powodu.

Spomiędzy ruin tamy wypływała rzeka, ale drobna i niegroźna, wijąca się w stronę jeziora.

Nic ponadto.

Aelin uniosła jaśniejącą dłoń, a jej ciało wreszcie wypełniła błogosławiona, chłodna pustka. Blask zaczął powoli przygasać, począwszy od jej palców.

Czuła się tak, jakby jej ciało zostało wykute na nowo. Jakby na powrót stała się Aelin.

Świat znów stał się wyraźny, czysty, przejrzysty, jakby odzyskała umiejętność widzenia i oddychania.

Powoli, powolutku złocisty blask wnikał w jej skórę i kości. W kobietę, którą kiedyś była.

Jastrząb o białym ogonie już mknął ku niebu.

Gdy resztki blasku rozplynęły się i wniknęły w ziemię pomiędzy jej palcami u nóg, Aelin osunęła się na kolana, a potem, otoczona niebywałą ciszą, ułożyła się na boku i zwinęła się w kłębek.

Wydawało jej się, że silne, znane jej ramiona podnoszą ją i układają na pokrytym piórami grzbiecie. Że wzbija się ku niebu, a ostatnie pasma mgły rozplywają się w popołudniowym słońcu.

Potem nastąpiła słodka ciemność.

Crochan nie umknęły na wszystkie strony świata.

Wspólnie z Trzynastką poleciały na południowy zachód, ku najdalszym obszarom Klów, do innego tajnego obozu, skoro poprzedni został już odkryty. Znalazły się wówczas jeszcze dalej od Terrasenu, ale przynajmniej bliżej Morath.

„Marna pociecha” – uznał Dorian, gdy wiedźmy wyszukały bezpieczne miejsce na nocleg. Wywerny mogły lecieć dalej, ale Crochan na miotłach nie były w stanie kontynuować podróży. Lecieli, aż ciemność zaczęła ich niemalże oślepić, a wylądowali dopiero, gdy Cienie wraz z Crochan uznały, że to dobry pomysł.

Obozowiska pilnowały wartowniczeki, zarówno na niebie, jak i na ziemi. Gdyby któraś z dwóch wciąż żywych Matron chciała się zemścić za upokarzającą porażkę, zaatakowałyby właśnie teraz. Crochan wraz z Asterin zostawiły dziesiątki mylących tropów, ale tylko czas miał pokazać, czy udało im się uciec.

Noc była tak mroźna, że wiedźmy zdecydowały się rozstawić namioty, a wywerny wtuliły się w siebie pod skalnym nawisem. Rozsądek nakazywał powstrzymać się od palenia ognisk, ale zimno mogło okazać się zabójcze i Glennis wyjęła święty płomień ze szklanej kuli, i rozpałała ogień. Inne poszły w jej ślady i choć obóz oraz ognie maskowały iluzje, Dorian nie mógł zapomnieć, że Matrony Żelaznozębnych odnalazły ich bez trudu.

Nie rozmawiali jeszcze o kolejnych krokach. Nie rozmawiali o tym, czy się rozstaną, czy może będą działać razem. Manon zaś nie prosiła Crochan o wsparcie, nie nalegała na utworzenie sojuszu wojennego, nie domagała się, by jej powiedziano, dokąd lecą. Najważniejszą rzeczą tego ranka była ucieczka z obozu.

„Jutro jednakże – pomyślał Dorian, gdy wślizgiwał się pod koce swego posłania, wpatrzony we własny ogień – będziemy zmuszeni do kilku konfrontacji”.

Młody król był wykończony, choć rozgrzewała go jego własna magia. Oparł głowę o sakwę, którą wykorzystywał w charakterze

poduszki, i zamknął oczy. Sen już niemalże nadchodził, gdy do jego namiotu wdarła się na moment fala zimna. Od razu odgadł, kto go odwiedził, i wcale nie był zdziwiony, gdy po otwarciu oczu ujrzał Manon, która opłótła ramionami kolana.

Wiedźma wpatrywała się w półmrok jego namiotu, odpędzony przez srebrzysty blask gwiazd na jej czole.

– Nie musisz jej nosić przez cały czas – rzekł. – Wolno nam je zdejmować.

Jej złociste oczy przesunęły się na niego.

– Nigdy jakoś nie widziałam, byś ty sam nosił koronę.

– Przez ostatnich kilka miesięcy raczej rzadko miałem dostęp do królewskich insygniów – odparł Dorian i usiadł. – Poza tym nie cierpię ich nosić. Wrzynają mi się w skronie.

– Ta nie jest aż tak ciężka. – Manon uśmiechnęła się lekko.

– Pewnie nie, skoro wydaje się zrobiona z czystego światła – rzekł, choć wiedział, że korona będzie jej ciążyć na inne sposoby.

– A więc rozmawiasz ze mną – powiedziała wiedźma, nie bawiąc się w subtelne zmiany tematu.

– Zdarzało się to przecież w przeszłości.

– Czy to dlatego, że teraz jestem królową?

– Wczoraj też nią byłaś.

Manon zmrużyła złociste oczy. Wpatrywała się w niego, szukając odpowiedzi, które spodziewała się usłyszeć, a Dorian nie przeszkadzał jej w tym. Sam patrzył na nią intensywnie. Po chwili oddech Manon się uspokoił, a w jej postawie wyczuwał rozluźnienie.

– Myślałam, że jej ucieczka sprawi mi większą satysfakcję – rzekła. Miała na myśli swą babkę. – Co czułeś, gdy zabijałeś ojca?

– Wściekłość. Nienawiść. – Dorian nie wzdrygnął się przed ohydną prawdą w swych słowach.

Manon przygryzła dolną wargę w jakże u niej rzadkim, milczącym geście przyznania się do wątpliwości. Nie było widać ani śladu jej żelaznych zębów.

– Myślisz, że powinnam była ją zabić?

Dorian zastanowił się.

– Wielu tak by właśnie powiedziało, ale tak wielkie upokorzenie może osłabić ją i Żelaznozębne bardziej niż śmierć. Zabijając ją, mogłabyś ściągnąć na siebie zemstę wszystkich Żelaznozębnych.

– Zabiłam Matronę Żółtonogich.

– Tak, zabiłaś ją. Jednocześnie oszczędziłaś Błękitnokrwistą i zmusiłaś Czarnodziobą do ucieczki. To wywoła demoralizujący efekt. Gdybyś zabiła je wszystkie albo tylko twą babkę i Żółtonogą, ich śmierć mogłaby zostać uznana za szlachetną ofiarę wszystkich Żelaznozębnych.

Manon pokiwała głową. Jej złociste oczy znów wpatrywały się w niego z nadludzką intensywnością.

– Przykro mi – powiedziała. – Za to, co usłyszałeś ode mnie, gdy dowiedziałam się o twoich planach wyprawy do Morath.

Tak go to zaskoczyło, że jego jedyną reakcją było kilkakrotne mrugnięcie oraz sarkastyczna odpowiedź:

– Wygląda na to, że za dużo czasu spędzasz z jakże miłymi Crochan, Manon.

Wiedźma odpowiedziała półuśmiechem.

– Nie rób sobie ze mnie żartów. Mam nadzieję, że nigdy nie będę tak nudna jak one.

Rozbawienie Doriana szybko wyparowało.

– Przyjmuję twe przeprosiny – rzekł i wytrzymał jej spojrzenie. Chciał, by wyczytała prawdę z jego oczu.

Manon zrozumiała milczącą odpowiedź, która była zarazem wyjaśnieniem trapiącej ją kwestii. Zamrugła parokrotnie.

– A więc opuszczasz nas – szepnęła. – Jutro.

– Tak. – Dorian nie miał już ochoty kłamać.

Nadszedł czas. Manon stawiała czoła babce i swemu przeznaczeniu. Teraz nadeszła pora na niego i Dorian nie potrzebował ciepła Damaris, by mieć co do tego pewność.

– W jaki sposób?

– Wy, wiedźmy, macie miotły i wywerny. Ja nauczyłem się

wypuszczać własne skrzydła.

Przez chwilę Manon milczała, po czym opuściła kolana i obróciła się, by spojrzeć na niego.

– Morath to śmiertelna pułapka – rzekła.

– Wiem.

– Ja... My nie możemy tam z tobą polecieć.

– Wiem.

Mógłby przysiąc, że w jej oczach pojawił się lęk, ale nie zaczęła się wściekać, nie zaczęła na niego wrzeszczeć, a nawet nie warknęła. Spytała jedynie cicho:

– Nie boisz się lecieć tam sam?

– Oczywiście, że się boję. Bałby się każdy, kto ma dobrze poukładane w głowie. Ale sądzę, że moja misja jest ważniejsza od lęku.

W oczach wiedźmy błysnął gniew. Napięła mięśnie, ale zaraz wszystko znikło i Dorian po raz drugi ujrzał twarz królowej. Spokojną, mądrą, nieco smutną, ale też przytomną, przenikliwą. Zerknęła na jego posłanie, a potem znów spojrzała w jego oczy.

– A gdybym cię poprosiła, byś został?

To pytanie również go zaskoczyło. Dokładnie przemyślał odpowiedź.

– Potrzebowałbym chyba bardzo przekonującego powodu.

Manon zaczęła odpinać sprzączki i guziki skórzanego stroju.

– Bo ja nie chcę, byś odchodził – szepnęła.

Jego serce waliło mocno, gdy patrzył, jak powoli odsłania swą jedwabistą skórę, przy czym jej ruchy nie miały w sobie nic uwodzicielskiego. Dorian czuł, jakby Manon przedstawiała mu ofertę.

Jej dłonie zaczęły drżeć. Wówczas Dorian poderwał się i pomógł jej ściągnąć buty, a potem odpiąć pas z mieczem. Rozpiął też jej kurtkę, ale nie rozchyłał jej, choć widział już obły zarys jej piersi. Opadały i unosiły się w nierównym tempie, które stało się jeszcze bardziej chaotyczne, gdy wiedźma pochwyciła klapy jego kurtki i zaczęła ją zdejmować.

Dorian nie przeszkadzał jej. Przyglądał się, jak zdejmuje mu kurtkę, a potem koszulę. Na zewnątrz wył wiatr.

A gdy klęczeli naprzeciwko siebie, nadzy do pasa, Manon, która nadal miała na głowie koronę z gwiazdami, powiedziała cicho:

– Moglibyśmy stworzyć sojusz. Sojusz Adarlanu z Crochan i tymi spośród Żelaznozębnych, które będą chciały za mną podążyć.

Dorian uświadomił sobie, że właśnie usłyszał odpowiedź na prośbę o bardzo przekonujący powód, by pozostać.

Ujęła jego dłoń. Spletli palce, co było najbardziej intymnym gestem w ciągu ich znajomości. Manon jeszcze nigdy nie pokazała mu się tak bezbronna.

– Sojusz – powtórzyła i przelknęła ślinę. – Między tobą a mną.

W jej złocistych oczach również widział ofertę.

Ślub. Najsilniejszy, najbardziej niezniszczalny sposób na połączenie dwóch narodów.

– Nie chcesz tego – odparł równie cicho Dorian. – Nie pozwolisz, by jakikolwiek mężczyzna cię usidlił.

Patrzył na piękną twarz Manon i widział, że się z nim zgadza, ale mimo to pokręciła głową, a blask gwiazd zatańczył na jej włosach.

– Crochan nie zaproponowały, że polecą na wojnę. Nie ośmieliłam się jeszcze poprosić o to. Ale gdybym miała za sobą całą potęgę Adarlanu, może dałyby się przekonać.

Jeśli nie przekonał ich dzisiejszy tryumf Manon, nic nie było już w stanie zmienić ich decyzji. Nawet to, że ich królowa poświęca wolność, którą z takim trudem wywalczyła.

Zaskoczyło go jednakże to, że w ogóle wzięła takie rozwiązanie pod rozwagę. Owinął wokół palca kosmyk srebrzystych włosów. Przez krótką chwilę rozkoszował się jej zapachem.

Byłaby jego żoną. Jego królową. Już byli sobie równi, odpowiadali sobie, na wiele sposobów stanowili swe zwierciadlane odbicie. Gdyby się związali, cały świat by się o tym dowiedział.

Ujrzał też kraty klatki, które każdego dnia zbliżałyby się do niej coraz bardziej, aż całkiem by ją złamały bądź zmieniły w kogoś innego. W kogoś, kogo oboje nie chcieliby znać.

– Miałbym cię poślubić, byśmy oboje mogli wesprzeć Terrasen w tej wojnie?

– Aelin jest gotowa zginąć, by zakończyć ten konflikt. Dlaczego ona jedna miałaby się poświęcić?

Manon nie miała pojęcia, że właśnie udzieliła mu najważniejszej odpowiedzi. Poświęcenie.

Druga dłoń Doriana zaczęła odpinać guziki jej spodni, z którymi uporał się kilkoma zręcznymi ruchami. Odsłonił długą, grubą bliznę, ciągnącą się po jej brzuchu.

Czy okazałby tyle samo skrupułów, gdyby to on, a nie Manon, stanął dziś naprzeciwko jej babki?

Z całą pewnością nie.

Musnął palcem jej bliznę, a potem zaczął przesuwać go w górę. Patrzył, jak skóra Manon ugina się lekko i marszczy pod jego dotykiem, aż zatrzymał palec na wysokości serca. Potem nakrył je dłonią. Wypukłość jej piersi narastała i opadała z każdym drżącym oddechem.

– Miałaś rację – powiedziała cicho. – Boję się. – Położyła jego dłoń na swojej. – Boję się, że udasz się do Morath i powrócisz jako ktoś, kogo nie znam. Ktoś, kogo będę musiała zabić.

– Wiem – odparł. Te same lęki prześladowały jego samego.

Zacisnęła mocniej dłoń na jego ręce i przycisnęła ją do siebie, jakby chciała na zawsze odcisnąć jej kształt na swym rozpędzonym sercu.

– Zostałbyś, gdybyśmy zawarli sojusz?

Dorian słyszał każde niewypowiedziane słowo. Musnął więc wargami jej usta, a Manon jęknęła cicho. Potem pocałował ją mocniej, a ich języki się spotkały, głodne, poszukujące. Naraz dłonie wiedźmy wbiły się w jego włosy i oboje poderwali się z kolan. Ich ciała zwały się.

Manon znów jęknęła, a jej dłonie zsunęły się na pierś młodego króla, a potem niżej, na jego spodnie. Gładziła go przez materiał, a Dorian westchnął, nie przerywając pocałunku.

Czas przestał mieć znaczenie. Liczyła się tylko Manon, żywe ostrze w jego ramionach. Ich spodnie dołączyły do koszul i kurtek na ziemi,

a wnet Dorian leżał już na wiedźmie na swym pościeliu.

Wówczas wiedźma dotknęła migotliwej korony, by ją zdjąć, ale powstrzymał ją widmowym dotykiem.

– Nie – warknął niemalże gardłowo. – Zostaw ją.

Jej oczy nabrały koloru roztopionego złota. Powieki opadły niżej, gdy wiała się, odchylając głowę do tyłu.

Dorianowi zrobiło się sucho w ustach, gdy patrzył na piękno, które mogło go zniszczyć. Instykt ryczał na niego, kazał mu ją brać, zagarnąć dla siebie. I bynajmniej nie chodziło o jej ciało, ale o ofertę, którą od niej usłyszał. Propozycję sojuszu.

O mało co nie powiedział: „Tak”.

O mały włos nie popełniłby grzechu egoizmu i chciwości. Tak bardzo jej pożądał, że o mało się nie zgodził. O mało nie powiedział, że chętnie przystanie na to, by została jego królową. By już nigdy nie musiał się z tym żegnać, by ta wspaniała, zaciekła, wojownicza wiedźma mogła pozostać u jego boku na zawsze.

Manon wbiła palce w jego ramiona, a Dorian uniósł się nad nią i odnalazł jej usta, by zmiażdżyć je pocałunkiem, a ona poruszyła biodrami i pochłonęła jego męskość. Jedwab jej rozgrzanej skóry sprawił, że Dorian zapomniał o obozie dookoła nich i królestwach, których miał strzec.

Zapomniał też o widmowym dotyku. Chciał ją dla siebie. Chciał, by ich ciała się stykały.

Na każde jego pchnięcie Manon odpowiadała własnym ruchem. Przysuwała się bliżej, jakby wysuwała żądania. „Zostań” – zdradzał każdy jej oddech.

Dorian uniósł wyżej jedną z jej nóg, a sam przybliżył się do niej. Aż jęknął z rozkoszy, ale Manon uciszyła go namiętym pocałunkiem. Wpiła dłoń w jego pośladki, by napierał mocniej, głębiej.

Dorian dał jej to, czego chciała. Czego sam pragnął. A potem znów i jeszcze raz.

Jakby ta chwila mogła trwać wiecznie.

Gdy wreszcie odsunęli się od siebie, Manon była równie zdyszana jak

Dorian. Ledwie mogła poruszyć nogami. Leżała i wpatrywała się w sufit namiotu. Młody król, równie wyczerpany jak ona, nawet się nie odzywał.

Bo cóż było więcej do powiedzenia.

Przedstawiła mu to, czego chciała. Przekazała mu tyle prawdy, ile ośmieliła się wypowiedzieć na głos, po czym wstąpiły w nią spokój i nasycenie, a z nimi przejrzystość myśli, jakiej nie doznawała od dawna.

Szafirowe oczy nadal wpatrywały się w jej twarz. Manon odwróciła się ku Dorianowi. Powoli zdjęła koronę i odłożyła ją na bok, a potem narzuciła na nich koc.

Nawet nie drgnął, gdy przysunęła się do niego i wtuliła w jego muskularne ciało. Dorian objął ją ramieniem i przyciągnął mocno do siebie. Grzana ciepłem jego ramion, wsłuchiwała się w oddech młodego króla do momentu, gdy ogarnął ją sen.

O świcie obudził ją chłód.

Rzuciła okiem na puste miejsce obok siebie, gdzie jeszcze kilka godzin temu zasnął Dorian. Zauważyła, że znikło trochę zapasów oraz prastary miecz.

Młody król odszedł do Morath. I zabrał ze sobą dwa Klucze Wyrda.

Wśród oddziałów zapanowała panika, ale Aedion i Kyllian utrzymali dyscyplinę i ruszyli w stronę brzegów Florine.

Ucieczka na północ nie miała sensu, tym bardziej że znów rozległo się bicie w bębny. Łomot przybliżał się z każdą chwilą, w miarę jak Aedion ustawiał swoje siły w szyku bojowym. Zbroja wydawała mu się ciężka niczym z kamienia, a brak starożytnego miecza u boku doskwierał mu jak fantomowa kończyzna. Naraz dostrzegł Rena, który przypinał sobie kołczan.

– Chcę, byś zrobił coś dla mnie – rzekł.

Młody lord Allsbrook nawet na niego nie spojrzał.

– Tylko nie każ mi uciekać.

– Nigdy.

Znajdowali się jakże blisko Theralis i Aedion nie miałby nic przeciwko temu, by wreszcie zginąć tam, gdzie dziesięć lat temu poległo całe Terrasen. By jego krew wsiąkała w tę samą ziemię, która niegdyś piła krew członków dworu, tak bardzo przezeń ukochanego.

– Chcę, byś wezwał pomoc.

Ren spojrzał na niego. Jego pokryta bliznami twarz była chudsza niż tydzień temu. Kiedy któryś z nich po raz ostatni jadł porządny posiłek? Kiedy przespali całą noc? Aedion nie wiedział nawet, gdzie była Lysandra ani jakie ciało przybrała. Nie szukał jej zeszłej nocy, a ona trzymała się od niego z daleka.

– Jestem teraz nikim – ciągnął. Szeregi wojowników Zguby oraz Fae, a także tych, którzy przybyli z Pustkowi, Wendlyn i Czerwonej Pustyni, rozstępowały się przed nim. – Ale ty nadal jesteś lordem Allsbrookiem. Wyślij posłańców. Wyślij Noxa Owena. Roześlij ich na wszystkie strony, wszędzie, dokąd będą w stanie dotrzeć. Powiedz im, by błagali, jeśli będzie trzeba, ale niech powtarzają, że Terrasen wzywa na pomoc.

Tylko Aelin oraz Darrow i jego rada mieli do tego prawo, ale

Aedion nie dbał o to.

Ren zatrzymał się i zdymisjonowany generał stanął wraz z nim, doskonale zdając sobie sprawę z tego, że wielu żołnierzy usłyszało jego słowa, tym bardziej że część spośród nich stanowili obdarzeni bystrym słuchem Fae. Endymion i Sellene stali na czele lewej flanki z poważnymi, znużonymi twarzami. Stracili ojczyznę, a teraz walczyli o nową, o ile zdołają przeżyć. Co pomyśli sobie jego ojciec na wieść o tym, że jego syn wreszcie ruszył do walki u boku rodaków?

– Czy ktoś przybędzie? – spytał Ren, również świadom słuchających go ludzi. Świadom ponurych, zaciętych twarzy tych, którzy wytrwali u ich boku pomimo śmierci deptającej im po piętach.

Aedion nałożył sobie hełm na głowę. Metal był boleśnie zimny.

– Dziesięć lat temu nikt nie przybył. Ale może teraz ktoś się pofatyguje – rzekł.

Ren uściśnął mu ramię i przyciągnął go blisko do siebie.

– Być może nie będzie już wówczas czego bronić, Aedionie.

– Tak czy owak, roześlij posłańców – odparł ksiązę i ruchem głowy wskazał szeregi, które właśnie przemierzyli. Ilias polerował swe ostrza wśród grupki zabójców jego ojca, nie odrywając wzroku od wrogów przed sobą. Szykowali się, by po raz ostatni stawić czoła przeciwnikowi na tej śnieżnej równinie, jakże daleko od gorącej pustyni. – Twierdzisz, że nadal jestem twoim generałem? Dobrze, a więc oto mój ostatni rozkaz. Wezwij pomoc.

W szczęce Rena drgnął jakiś mięsień, ale rzekł:

– Załatwione.

Po czym odszedł. Nie zawracali sobie głowy pożegnaniami. Nie było sensu.

Aedion ruszył w stronę pierwszego szeregu, gdzie dwóch żołnierzy Zguby zrobiło dla niego miejsce. Uniósł tarczę, która idealnie wpasowała się w utworzony przez nich mur żelaza. Tam, gdzie Morath miał przypuścić najsilniejsze uderzenie.

Śnieżyca zawirowała, zasłaniając wszystko, co znajdowało się w odległości stu kroków.

Bębny biły coraz głośniejsze i wkrótce ziemia zadrżała pod stopami

maszerujących wojowników.

Resztki armii Terrasenu były gotowe do ostatniego boju na bezimiennej równinie u brzegów Florine. Jak do tego doszło?

Aedion wyciągnął miecz. Wojownicy poszli w jego ślady. Nad ich szeregami poniósł się zgrzyt setek kling, który przebił się przez wyjący wiatr.

Czarna kolumna wojowników Morath wyłoniła się ze śnieżycy, a za nią kolejne. Jak daleko znajdowała się wieża wiedźm? Kiedy uwolni swą moc?

Aedion modlił się, by zabijała szybko i jak najbardziej bezboleśnie. By jego żołnierze nie zdołali poznać, czym jest strach, nim zostaną zamienieni w popiół.

Wojownicy Zguby tym razem nie tłukli mieczami o tarcze. Słysząc było jedynie tupot stóp Morath oraz bębny.

Gdyby posłuchali Darrowa i udali się do Orynthu, zdążyliby. Mieliby czas, by dotrzeć do mostu czy też wrócić do stolicy północnym traktem. Odpowiedzialność za tę klęskę i śmierć wszystkich tych ludzi spoczywała tylko i wyłącznie na barkach Aediona.

Jakiś ruch przykuł jego uwagę. Między księciem Galanem a jednym z jego ocalałych żołnierzy pojawił się wielki, futrzany łeb. Widmowy lampart.

Zielone ślepie spojrzały na niego – puste, pozbawione energii.

Aedion odwrócił głowę jako pierwszy. Czuł się źle i bez świadomości, że Lysandra tu jest. I że bez wątpienia zostanie tu do samego końca.

Modlił się, by zginął jako pierwszy i nie musiał patrzeć na jej śmierć.

Wróg był już tak blisko, że Ren rzucił pierwszy rozkaz łucznikom. Pomknęły strzały, które znikły w śnieżycy. Morath odpowiedział salwą tak gęstą, że ta przesłoniła blask mętnego słońca. Aedion przykucnął i zasłonił się tarczą. Każda wbijająca się w nią strzała przesyłała wibracje przez jego ciało. Zewsząd rozlegały się głuche stęknięcia i wrzaski, a gdy strzały przestały nadlatywać, wielu wojowników już nie powstało.

Wtedy okazało się, że obok strzał nadleciały również inne pociski. Na śniegu zaległy głowy. Ludzkie głowy, niektóre nadal w hełmach z ryczącym wilkiem. Znakiem Ansel z Briarcliff.

Tyle zostało z reszty armii, którą im obiecała. Z armii, na którą czekali.

Wojownicy z Briarcliff zapewne natknęli się na oddziały Morath i zostali starci w pył.

Niektórzy z obrońców Terrasenu już sobie uświadomili, do czego doszło. Rozległy się szmery, a potem głośnie okrzyki, ponad które wybił się pełen żalości kobiecy szloch. Zamglone, szeroko otwarte oczy głowy, która wylądowała niedaleko jego butów, wpatrywały się w niebo. Usta poległego zastygły rozwarte w okrzyku przerażenia.

Ilu z tych ludzi Ansel znała? Ilu pośród poległych było jej przyjaciółmi?

Nie był to jednak dobry moment, by przekazać młodej królowej wyrazy współczucia, tym bardziej że oboje nie mieli większych szans na przeżycie tego dnia. Niebawem na mury Orynthu mogły polecieć ich własne głowy.

Ren rozkazał wypuścić kolejną salwę, która wydała się żałośnie nieliczna w porównaniu z salwą Morath, niczym niewielki deszczyk przy wścieklej ulewie. Wiele grotów trafiło do celu i niejeden z żołnierzy w czarnej zbroi padł bez życia na ziemię, ale ich miejsca natychmiast zajmowali ci, którzy maszerowali za nimi, jak trybiki w ogromnej maszynie.

– Walczymy razem! – huknął Aedion, usiłując nie patrzeć na rozrzucone wokół głowy. – I razem giniemy!

Zza szeregów wroga dobiegł głuchy ryk rogu i Morath ruszył do szarży.

Aedion uniósł wysoko tarczę i rozstawił szeroko nogi, jakby mogło mu to pomóc powstrzymać falę, ciągnącą się aż po horyzont. Liczył oddechy, bo wiedział, że nie zostało mu ich wiele.

Wzdłuż szeregów poniósł się ryk widmowego lamparta, który rzucał wyzwanie nadciągającej armii.

Piętnaście metrów. Łucznikom Rena kończyły się strzały.
Dwanaście. Dziesięć.

Miecz w dłoni Aediona nie mógł się równać ze starożytnym ostrzem, które nosił z taką dumą, ale na pewno zrobi z niego dobry użytek.

Pięć metrów. Trzy.

Aedion wciągnął powietrze w płuca. Widział już czarne, bezdenne oczy wojowników Morath, połyskujące pod hełmami. Nadbiegający wznosili miecze i włócznie...

Naraz nad lewą flanką przemknął ryczący ogień.

Nad *jego* lewą flanką.

Aedion nie ośmielił się oderwać oczu od nadciągających wrogów, ale kilku spośród nich zerknęło tam, gdzie buchnął ogień. Bez wahania wskoczył między nich i w okamgnieniu zarąbał ich wszystkich, a potem zgładził ich zaskoczonych towarzyszy, którzy zwrócili się ku kolejnej strudze płomieni.

„To Aelin. Aelin...”.

Żołnierze za jego plecami krzyczeli z ulgą i tryumfem.

– Zamknijcie lukę! – wrzasnął do wojowników sąsiadujących z nim w szyku, po czym cofnął się, by zobaczyć, kto przyszedł im z pomocą.

To nie Aelin uwolniła ogień nad lewą flanką. To nie ona wyłoniła się ze śnieżycy.

Na Florine unosiły się okręty, przypominające widma wśród zamieci. Niektóre wywiesiły proporce ich połączonej floty, ale z masztów wielu, tak wielu, że Aedion nie był w stanie ich zliczyć, zwisały błękitne bandery z zielonym morskim smokiem.

Patrzył na flotę Rolfe’a. Na Mycenian.

Nigdzie nie było śladu prastarych morskich smoków, które ongiś walczyły wraz z nimi. Miast nich Aedion dostrzegł ludzkich wojowników z chustami zasłaniającymi usta, którzy maszerowali po śniegu ze znajomo wyglądającymi machinami.

Ogniste lance!

Od rzeki dobiegł ryk rogu, na co ogniste lance plunęły strumieniami białego ognia, które niczym uwolniona moc piekła wgryzły się w szeregi Morath. Niczym smoki ziejące płomieniami na wroga. Ich ogień topił ciała i zbroje, palił demony, które bały się światła i gorąca.

Mycenie szli niczym chłopi koszący żyto przed nadciągającą zimą. Ich lance pluły nieprzerwanie ogniem, aż niosący je żołnierze uformowali szeregi przed formacją Aediona.

Siły Morath rzuciły się do ucieczki.

Żołdacy uciekali na łeb na szyję, a ich ostrzegawcze wrzaski przebijały się przez ryk płomieni.

– Niosąca Ogień ich uzbroiła! – krzyczeli. – Jej moc znów płonie!

Głupcy nie zdawali sobie sprawy z tego, że nie mieli przeciwko sobie żadnej magii, a jedynie złe wyczucie czasu i sporo pecha.

Naraz rozległ się znajomy głos.

– Szybko! Na pokłady, szybko! – krzyczał Rolfe.

Okręty zbliżały się do nich. Wiele z nich opuściło trapy, a do brzegu docierały łodzie.

– Na brzeg! – Aedion nie tracił ani chwili.

Żołnierze również się nie wahali i puścili się biegiem w kierunku oczekującej ich armady. Wskakiwali do każdej łodzi, która mogła ich pomieścić. Odwrót był chaotyczny i bezwładny, ale Aedion nie przejmował się tym. Jedynie bogowie wiedzieli, kiedy Morath się przegrupuje, i nie wolno było tracić ani chwili.

Sam trwał w pierwszym szeregu i osłaniał odwrót, by nikt nie został pominięty. Wspierał go książę Galan wraz z ogromnym, ryczącym kotem, a obok nich trwała wojownicza z rudymi, powiewającymi na wietrze włosami. Ansel z Briarcliff nadal mierzyła mieczem we wrogów, a po jej piegowatych policzkach płynęły łzy. Głowy jej ludzi leżały rozrzucone na śniegu wokół niej.

Szereg ludzi Rolfe'a wciąż wspierał ich salwami płomieni, dając wszystkim czas na ucieczkę.

Sekunda upływała za sekundą, łodzie wypełniały się ludźmi, a ich armia powoli opuszczała brzeg rzeki. Szalupy, przetransportowawszy niedobitków na okręty, zawracały po kolejnych. Wielu Fae zmieniło postać i na szarym niebie krążyły liczne drapieżniki.

Kiedy na brzeg zostało już tylko kilka łodzi, a między nimi piękna galera o maszcie rzeźbionym na podobieństwo atakującego morskiego smoka, stojący przy sterze Rolfe huknął:

- Odwrót! Wynosimy się stąd!

Uzbrojeni w ogniste lance Mycenianie zawrócili i popędzili w stronę brzegu. Lysandra i Ansel pognały w ślad za nimi, a Aedion biegł jako ostatni. Kosztowało go to sporo wysiłku, ale wkrótce jego buty zadudniły na trapie okrętu Rolfe'a, który umiejętnie wykorzystał rzeczne głębiny i podszedł niemalże do samego brzegu. Galan, Ansel i Lysandra dotarli na pokład przed nim, a załoga Rolfe'a usunęła trap zaraz po tym, jak Aedion zeskoczył na pokład. Mycenianie w łodziach wiosłowali jak szaleni. Nie pozostawili za sobą nikogo oprócz poległych.

Błysnęło światło. Aedion odwrócił się w stronę rufy i ujrzał, jak Lysandra przeistacza się z powrotem w kobietę, nagą jak w dniu narodzin.

Rolfe okazał wielką klasę, bo sprawnie opanował zaskoczenie, gdy dziewczyna rzuciła mu się w ramiona, a potem otulił ją własnym płaszczem, nim odwzajemnił uścisk.

Zdyszany Aedion przypadł do nich. Od ulgi kręciło mu się w głowie. Miał wrażenie, że zaraz zwymiotuje na deski pokładu.

Rolfe puścił Lysandrę, oddając jej płaszcz, którym ta otuliła się od stóp do głów.

- Wydawało mi się, że nie wzgardzicie niewielką pomocą – rzekł zamiast słów powitania.

Aedion uściskał żeglarza, a potem wskazał ruchem głowy jego dłonie w rękawiczkach.

- Zakładam, że jesteśmy winni wdzięczność twojej magicznej mapie?

- Okazało się, że przydaje się do czegoś więcej niż tylko grabież. – Rolfe uśmiechnął się. – Natrafiliśmy na Ravięgo i Sola z Surii niedaleko północnej granicy – przyznał. – Przekazali nam, że być może znaleźliście się w opałach, i przysłali nas tu. – Przechesał dłonią włosy. – Strzegą wybrzeża wraz z resztą waszej floty. Jeśli Morath ich zaatakuje, nie będą mieli większych szans. Nie omieszkałem zwrócić im na to uwagę, ale i tak przysłali mnie tutaj. – Zacisnął usta, poważniejąc. – A więc jestem.

Aedion dopiero teraz zwrócił uwagę na pozostałe jednostki, zmierzające w stronę drugiego brzegu Florine.

- Dziękuję ci – szepnął.

„I niech bogowie wynagrodzą Solowi i Raviemu” – pomyślał.

Rolfe potrząsnął głową, wpatrzony w masy uciekających wojowników Morath.

- Zaskoczyliśmy ich, ale to nie powstrzyma ich na długo.

Lysandra podeszła bliżej Rolfe'a. Powiał ostry, zimowy wiatr i Aedion powstrzymał dreszcz niepokoju na widok jej bosych stóp i odsłoniętych ramion.

- Musimy jedynie dostać się do Orynthu. Przegrupujemy się za murami stolicy.

- Nie przewiozę całej waszej armii do Orynthu. – Rolfe wskazał im tłumy żołnierzy wysadzanych na przeciwnym brzegu. – Ale mogę zabrać tam was, gdybyście chcieli zawczasu rozpocząć przygotowania.

- Przez moment wpatrywał się w brzeg, jakby kogoś szukał. – Nie ma jej tam, prawda? – zapytał.

- Nie. – Lysandra pokręciła głową.

- Damy sobie radę – powiedział Rolfe z opanowaniem godnym prawdziwego kapitana.

Jego zielone niczym morze oczy skierowały się ku Ansel z Briarcliff, która stała przy relingu i wpatrywała się w równinę usłaną odciętymi głowami. Nikt nie powiedział ani słowa, gdy młoda królowa z brzękiem zbroi osunęła się na kolana i pochyliła czoło.

- Przekażę naszym ludziom rozkaz wymarszu do stolicy – mruknął Aedion. – A potem popłyniemy tam z tobą.

- Ja to zrobię – powiedziała Lysandra, nie patrząc na niego. Pożyczony płaszcz spłynął na pokład, a dziewczyna przeistoczyła się w sokoła i pomknęła w stronę Kylliana, wysiadającego właśnie z łodzi na brzegu. Zamienili kilka słów, po czym Kyllian odwrócił się ku Aedionowi i uniósł rękę na pożegnanie.

Aedion odpowiedział identycznym gestem, a Lysandra znów zmieniła się w ptaka. Kiedy wylądowała na pokładzie galery i powróciła do ludzkiego ciała, poderwała porzucony płaszcz i podeszła do Ansel. W milczeniu położyła dłoń na naramienniku królowej. Ta nawet nie uniosła głowy.

- Ile macie tych lanc? – Aedion zwrócił się do Rolfe’a.

Władca Piratów oderwał wzrok od Ansel i przeniósł go na ciemną, oddalającą się masę. Zacisnął mocno usta.

- Na pewno nie tyle, byście dzięki nim przetrwali oblężenie.

Poza tym nawet ogniste lance nie na wiele miały się zdać, gdy wiedzmię wieże staną pod murami Orynthu.

Choć upłynęło kilka godzin, Yrene nie przestawała się trząść.

Wciąż rozpamiętywała kataklizm, którego cudem uniknęli. Wciąż myślała o ludziach, którzy zginęli przed pojawieniem się fali. O potędzie królowej na równinie. O potędzie księcia, który przegnał kłęby wrzącej pary, które mogły ugotować żywcem każdego, kto znalazłby się w pobliżu.

W chaosie, który później zapanował, Yrene powróciła do potrzebujących. Okiełznanie zamieszania było zadaniem dowódców armii, a jej miejscem był szpital w Wielkiej Sali. Wiele uzdrowicielek powróciło na pobożowisko w poszukiwaniu rannych.

Wszyscy ludzie, bez względu na to, czy znajdowali się w twierdzy, na równinie, czy też latali wśród chmur na rukach, co chwilę spoglądali na dziurę, ziejącą między dwoma szczytami górskimi. Na zalane, opuszczone miasto i na wyraźnie wytyczoną granicę między życiem a śmiercią. Większość miasta Anielle została zniszczona przez wielką wodę, z której pozostał niewielki strumień, spływający w kierunku Srebrnego Jeziora.

Widok ten uświadamiał im wszystkim, do czego by doszło, gdyby nie Aelin Galathynius.

Yrene klęczała nad wojowniczką *rukhin*, która oberwała mieczem przez pierś. Wyciągnęła okrwawione, jaśniejące dłonie. Czysta, jasna magia wlała się w ciało kobiety, naprawiając porwane mięśnie oraz skórę. Utrata krwi była spora, ale życiu wojownicy nie groziło już niebezpieczeństwo i Yrene nie musiała przeznaczać większej ilości mocy na odnowienie jej zapasów.

Niebawem będzie musiała odpocząć, choć przez kilka godzin.

Poproszono ją, by zbadała stan zdrowia królowej, która została zabrana z równiny przez Nesryn, a potem zaniesiona do osobnej komnaty przez księcia Rowana. Dłonie Yrene nadal drżały, gdy unosiła je nad ciałem nieprzytomnej Aelin.

Nie widziała żadnych widocznych śladów obrażeń poza kilkoma już

gojącymi się zadraśnięciami, które królowa wyniosła z bitwy. Można było odnieść wrażenie, że spogląda na zwykłą, zmęczoną, pogrążoną we śnie kobietę.

We krwi której kryła się moc równa boskiej.

Następnie Yrene zbadała księcia Rowana, który wydawał się być w o wiele gorszej formie. Wzdłuż jego uda ciągnęła się spora rana. Wojownik jednakże lekceważąco machnął dłonią i powiedział, że znalazł się niebezpiecznie blisko przepalenia i po prostu musiał trochę odpocząć. Yrene pozostawiła ich więc, by zająć się kolejnym Fae.

Obrażenia, jakie odniósł Lorcan, nie mieściły się jej w głowie. Musiała wezwać Hafizę, by pomogła w ich opatrywaniu, a ponadto użyczyła jej nieco swej mocy, gdyż magia Yrene była na wyczerpaniu. Nieprzytomny, poraniony wojownik, który na domiar złego spadł jeszcze z Farashy, gdy wraz z Elide wjechał do twierdzy, nawet nie drgnął, gdy zajmowały się nim obie uzdrowicielki.

Wszystko to miało miejsce zaledwie kilka godzin temu, choć dla Yrene równie dobrze mogło się to wydarzyć wczoraj.

Tak, musiała odpocząć.

Ruszyła w stronę beczki z wodą ustawionej w korytarzu, gdyż w ustach czuła wielką suchość. Musiała się napić, coś zjeść i może położyć się na chwilę. Potem znów będzie gotowa do działania.

Na zewnątrz rozległa się czysta, wyraźna pieśń rogu.

Wszyscy znieruchomieli, a potem pospiesznie rzucili się do okien. Yrene znalazła miejsce dla siebie, by móc wyjrzeć na pobojuwisko, a wtedy uśmiechnęła się szeroko.

Równiną nadciągała bowiem druga część armii kagana, a na czele jechał sam książę Kashin.

„Dzięki bogom” – pomyślała.

Po Wielkiej Sali poniosły się westchnienia ulgi i szepty radości. Z twierdzy odpowiedział przybyszom inny róg.

„A więc Aelin ocaliła dziś nie jedną armię, a dwie – uświadomiła sobie Yrene, która znów zwróciła się ku beczce. – Gdyby ta fala dotarła do Kashina...”.

Dopisało im tego dnia wielkie szczęście. Pytanie brzmiało, jak długo

mogą jeszcze na nie liczyć. I czy nie opuści ich podczas długiego, wyczerpującego marszu na północ, ku samym murom Orynthu.

Lorcan jęknął cicho, wyłaniając się z ciepłych, ciężkich objęć ciemności.

- Ty to dopiero masz szczęście, draniu jeden.

„Dopiero co wyrwałem się ze szponów śmierci, a już muszę wysłuchiwać Fenrysa?” – przemknęło mu przez głowę.

Z trudem otworzył jedno oko i uświadomił sobie, że leży na pryczy w niewielkiej komnacie. Przestrzeń rozświetlała samotna świeca, której blask odbijał się w złocistych włosach Fenrysa, siedzącego na drewnianym krześle przy nogach łóżka. Wojownik błysnął zębami w lekkim uśmiechu.

- Leżysz nieprzytomny prawie cały dzień. Ciągnęliśmy słomki o to, kto ma przy tobie siedzieć, i mnie się trafiła najkrótsza.

Kłamstwo. Lorcan nie miał pojęcia, co kierowało Fenrysem, że chciał się tu znaleźć.

Lorcan poruszył się lekko, ale ku swemu zaskoczeniu nie odczuwał bólu poza tępym pulsowaniem na plecach oraz na brzuchu. Zdołał wznieść lekko głowę i zrzucić ciężki koc, którym go nakryto. Tam, gdzie wcześniej mógł dostrzec swe wnętrzności, teraz widział jedynie grubą, czerwoną bliznę.

Jego głowa opadła ciężko na poduszkę.

- Elide – wychrypiał.

Ostatnią rzeczą, którą pamiętał, była potworna moc, uwolniona przez Aelin Galathynius, a potem brama, przez którą przemknęli.

- Pomaga przy rannych w Wielkiej Sali – odparł Fenrys i wyciągnął przed siebie nogi.

Lorcan zamknął oczy, naraz wolny od napięcia.

- Cóż, skoro żyjesz... – zaczął Fenrys, ale Lorcan znów zapadł w sen.

Przebudził się później. Może upłynęły godziny, może dni. Nie miał

pojęcia. Świecek nadal płonęła na parapecie, choć niewiele już z niej zostało. Wyglądało na to, że spał jednak kilka godzin, a nie dni. Chyba że pograżył się we śnie na tak długo, że świeczkę zastąpiono inną.

Nie miało to jednak dla niego znaczenia, bo w nikłym blasku płomienia ujrzał delikatną kobietę, która siedziała na krześle Fenrysa, ale ułożyła górną część ciała w nogach pryczy i zasnęła. Głowę otoczyła ramionami, z których jedno leżało wyciągnięte na kocu.

Jakby próbowała złapać jego dłoń.

Elide.

Jej ciemne włosy rozsypały się na kocu oraz jego nogach, przesłaniając część twarzy dziewczyny.

Lorcan, krzywiąc się z powodu nieustępliwego bólu, wyciągnął rękę, by dotknąć jej palców. Były chłodne, a ich końce okazały się o wiele drobniejsze od jego własnych. Nagle uciekły od niego, odruchowo zaciśnięte w pięść, a Elide wciągnęła ostro powietrze i przebudziła się.

Podniosła się i skrzywiła, próbując rozruszać zeszywniały kark. Lorcan rozkoszował się każdym jej ruchem.

Jej oczy odnalazły go natychmiast.

Znieruchomiała, gdy zauważyła, że jest przytomny i wpatruje się w nią. W jego spojrzeniu krył się podziw wobec kobiety, która przejechała przez piekło, by go znaleźć...

Była zmęczona, ba, wręcz wyczerpana, ale trzymała głowę wysoko.

Lorcan nie umiał znaleźć słów. I tak powiedział jej wszystko na grzbiecie tego konia.

– Jak się czujesz? – spytała go Elide.

Był obolały. Wyczerpany. Ale gdy patrzył na nią, siedzącą przy jego pośłaniu...

– Żywy – powiedział i naprawdę tak właśnie myślał.

Twarz Elide pozostała nieprzenikniona, choć jej wzrok omiótł ciało wojownika. Koc zsunął się i odsłonił większą część jego torsu, ale rana na brzuchu pozostawała zakryta. Lorcan nigdy dotąd nie czuł się tak bardzo nagi.

Pod jej przenikliwym spojrzeniem trudno mu było utrzymać rytm oddechu.

– Yrene powiedziała, że zginąłbyś, gdyby nie zajęto się tobą w porę.

– Zginąłbym – odparł chrapliwym głosem – gdybyś nie wdarła się do piekła, by mnie znaleźć.

Elide spojrzała mu w oczy.

– Złożyłam ci obietnicę.

– Niby tak.

Czyżby na jej bladych policzkach pojawił się cień rumieńca? Mimo to nie straciła rezonu.

– Powiedziałeś mi kilka ciekawych rzeczy.

Lorcan spróbował usiąść, ale jego ciało zaprotestowało falą przenikliwego bólu.

– Yrene powiedziała, że rany są zaleczone, ale będzie jeszcze bolało przez jakiś czas – wyjaśniła Elide.

Lorcan zacisnął zęby, ignorując boleść, która ostro przegryzła się przez jego plecy i brzuch. Zdołał dźwignąć się na łokcie, co i tak uznał za wielki postęp.

– Dawno nie zostałem tak poważnie ranny. Całkiem zapomniałem, jakie to niekomfortowe – rzekł.

Przez usta Elide przemknął lekki uśmiech.

Serce Fae przestało na moment bić. Nie uśmiechnęła się do niego od wielu, wielu miesięcy. Od owego dnia na okręcie, kiedy kołysali się na hamakach, a on dotknął jej dłoni.

Uśmiech Elide znikł po chwili, ale policzki nadal wydawały się zaróżowione.

– Powiedziałeś to na poważnie? Wiesz, o czym mówię.

Wytrzymał jej wzrok. Pozwolił, by wielki mur w jego duszy runął w gruzy. Dla niej. Tylko dla niej. Dla tej sprytnej, małej kłamczuchy, która prześlizgnęła się przez wszystkie systemy obronne, którymi się otoczył. Dla tej, która odebrała mu niewzruszone jak dotąd panowanie nad sobą.

Pozwolił, by to ujrzała. By zobaczyła wszystko, jak nikt przed nią.

- Tak.

Zacisnęła usta, ale nie było w tym niechęci.

- Na poważnie – dodał Lorcan cicho.

Serce biło mu tak szybko, że bardzo się dziwił, dlaczego tego nie słyszy.

- Powiedziałem te słowa na poważnie i będę je powtarzał do dnia, kiedy odejdę z tego świata.

Powstrzymał oddech, gdy Elide łagodnie ujęła jego dłoń, a potem splotła własne palce z jego.

- Kocham cię – szepnęła.

Lorcan cieszył się, że leży, bo te słowa mogłyby go posłać na kolana. Nawet teraz miał wielką ochotę, by paść jej do stóp i pokłonić się, gdyż niepodzielnie władała jego starym, podstępny sercem.

- Kocham cię – ciągnęła – od dnia, kiedy obroniłeś mnie przed Vernonem i ilkenami.

Blask w jej oczach odbierał mu dech.

- A gdy usłyszałam, że jesteś gdzieś na polu bitwy, jedyną rzeczą, której zapragnęłam, było móc ci to powiedzieć. Bo nic innego się dla mnie nie liczyło.

Kiedyś prychnąłby. Zachnąłby się. Uznałby, że istnieją inne, o wiele ważniejsze sprawy, zwłaszcza na tej wojnie. A mimo to gdy poczuł dotyk ręki Elide, uświadomił sobie, że nie zna niczego cenniejszego. Musnął kciukiem wierzch jej dłoni.

- Przepraszam, Elide. Za wszystko.

- Wiem – odparła cicho. W jej oczach nie było już żalu i bólu. Lorcan widział w nich tylko czysty, niewzruszony spokój. Patrzył na oblicze potężnej damy, którą powoli się stawała, damy, która będzie kiedyś władać Perranthem, korzystając zarówno z mądrości, jak i współczucia.

Wpatrywali się w siebie, a minuty rozciągały się w błogosławioną wieczność, aż Elide uwolniła swe dłonie i wstała.

- Muszę wracać i pomóc Yrene – powiedziała.

Lorcan złapał jej dłoń.

- Zostań.

- Wybieram się tylko do Wielkiej Sali. – Elide uniosła ciemną brew.

Lorcan ponownie musnął kciukiem jej dłoń.

- Zostań – szepnął.

Przez jedno uderzenie serca był przekonany, że powie: „nie”. Był gotów się z tym pogodzić. Był gotów uznać te kilka minut w jej obecności za wspaniały dar, na który właściwie nie zasługiwał.

Ale wtedy Elide usiadła na skraju jego pryczy, tuż obok jego ramienia, i przeczesała dłonią jego włosy. Zamknął oczy i rozkoszował się jej dotykiem. Z jego ust wyrwało się ciche, głuchoe mruknięcie. Elide westchnęła cicho z zachwytem – a może było to coś więcej – i znów pogładziła go po głowie.

- Powiedz to – szepnęła, nie uwalniając palców z jego włosów. – Powtórz.

Lorcan rozchylił powieki i natrafił na jej wzrok.

- Kocham cię.

Elide przełknęła z trudem ślinę, a Lorcan zacisnął zęby i usiadł. Dawno nie był tak blisko dziewczyny i całkiem zapomniał, jak bardzo nad nią górował. Dziwne, że na końskim grzbiecie Elide wydawała się siłą natury, zaciekłą burzą. Jego koc zsunął się niebezpiecznie nisko, aż do pasa, ale nie podnosił go. Nie przeoczył tego, że dziewczyna zerknęła w dół. Nie mógł nie zauważyć, jak powoli przesunęła spojrzenie po jego torsie. Niemalże czuł jej wzrok, jak prześlizguje się po każdym jego mięśniu, każdej jego bliźnie.

Westchnął cicho, gdy wciąż na niego patrzyła. Jej spojrzenie prosiło o rzeczy, których bez wątpienia nie był teraz w stanie jej dać. O rzeczy, na które ona też nie była gotowa, bez względu na to, co sobie deklarowali.

Jego postanowienie zadrżało jednak w posadach, gdy Elide musnęła jego nową bliznę lekko drżącym palcem.

- Yrene mówi, że może już nigdy się jej nie pozbędziesz – powiedziała i cofnęła dłoń, za co Lorcan podziękował jej w myślach.

- A więc będzie to moja najcenniejsza blizna.

Fenrys zapewne pękłby ze śmiechu, gdyby to usłyszał, ale Lorcan

wcale o to nie dbał. Niech ich wszystkich szlag trafi.

Usta Elide ozdobił kolejny lekki uśmiech, a Lorcan zacisnął dłonie na kocu, by nie porwać jej, nie przydusić do siebie i nie skosztować tego uśmiechu, by nie czcić go własnymi ustami. Ale nie mógł... Czuł, że między nimi pojawiło się coś nowego, coś drżącego i delikatnego. Za nic w świecie nie chciał tego zniszczyć.

Elide, dzięki bogom, nie miała takich zmartwień. Ani trochę. Bez skrupułów uniosła dłoń do jego policzka i musnęła go kciukiem. Każdy oddech był teraz dla niego próbą sił.

Siedział całkowicie nieruchomo, gdy przysunęła usta do jego warg i musnęła je lekko, a potem odsunęła się.

– Odpoczywaj, Lorcanie. Będę przy tobie, gdy się obudzisz.

Był gotów dać jej wszystko, o co by poprosiła. Absolutnie wszystko.

Ów delikatny, piękny pocałunek wstrząsnął nim tak bardzo, że nie umiał wykrztusić z siebie ani słowa. Po prostu się położył.

Elide uśmiechnęła się, widząc dowód tak wielkiego posłuszeństwa, po czym pochyliła się ponownie, jakby nie mogła zapanować nad sobą.

Tym razem pocałunek był dłuższy. Usta dziewczyny dotknęły warg Lorcana i wodziły po nich, a ten, czując delikatny nacisk, odpowiedział. Jej smak był wprost zniewalający i groził, że rozerwie go na strzępy, a subtelne muśnięcia jej języka uwolniły kolejny jęk rozkoszy. Pozwalał jej jednak, by go badała, powoli, ostrożnie, słodko i dawał jej wszystko, czego chciała.

A gdy jej pocałunek stał się bardziej natarczywy, a oddech chrapliwy, niespokojny, Lorcan delikatnie objął dłonią jej szyję. Elide rozchyliła usta jeszcze bardziej, a Fae miał wrażenie, że zaraz wyskoczy z własnej skóry. Przesunął dłoń wzdłuż jej pleców, rozkoszując się ciepłem niezniszczalnego ciała lady Perranthu, wciąż zakrytego warstwami odzieży. Dziewczyna wygięła się i znów westchnęła głośno, jakby jej apetyt na Lorcana nie miał granic.

Lorcan jednakże zmusił się, by oderwać usta. Niemalże przemocą cofnął swą dłoń. Oddychając tym samym oddechem, wyszeptał w jej wargi:

– Później. Idź, pomóż innym.

Ciemne oczy, skrzące pożądaniem, wpatrywały się w niego. Lorcan poprawił koc.

– Idź, pomóż innym – powtórzył. – Będę tu, gdy zachce ci się spać.

Niewypowiedziana prośba zawisła w powietrzu. Elide odsunęła się i spojrzała na niego ponownie.

– Spać. Mam na myśli tylko sen – powiedział, nie próbując nawet ukryć namiętności w spojrzeniu. – Na razie.

Aż będzie gotowa. Aż mu powie, aż mu pokaże, że chce dzielić z nim wszystko.

Póki co chciał, by tu była. By spała przy nim i pozwoliła mu się strzec. By mógł się o nią troszczyć tak jak ona o niego.

Elide wstała zarumieniona. Jej dłonie drżały, bynajmniej nie ze strachu, ale z wysiłku, by nie rzucić się na niego. Lorcan zresztą odczuwał to samo. Nie mógł się doczekać tego, jak zacznie doprowadzać ją do szaleństwa. Kiedy zacznie powoli uczyć ją wszystkiego, co wiedział o przyjemności i pożądaniu. Nie wątpił, że od niej też się wiele nauczy.

Elide najwyraźniej wyczytała to z jego spojrzenia, bo poczerwieniała jeszcze bardziej.

– A więc do zobaczenia – powiedziała i pokusztykała do drzwi.

Lorcan oplótł jej kostkę wiązką swej mocy. Jej krok stał się równy.

– Brakowało mi tego – rzekła Elide z ręką na klamce i skinęła głową z wdzięcznością, a gdy wyszła na korytarz, usłyszał inne, niewypowiedziane słowa:

„I ciebie mi brakowało”.

Pozwolił sobie na uśmiech, co nie zdarzało mu się często.

Dorian udał się do Morath.

Odleciał na własnych skrzydłach. Zapewne wybrał jakiegoś niewielkiego, zwykłego ptaka, na którego nawet wiedźmy z Trzynastki nie zwróciłyby uwagi.

Manon stała na skraju obozowiska i patrzyła na wschód.

Skrzypnięcie śniegu zdradziło jej obecność Asterin.

– Zniknął, co?

Manon pokiwała głową, nie mogąc odnaleźć odpowiednich słów. Zaoferowała mu wszystko i sądziła, że chciał przyjąć jej dar. Ba, wydawało jej się, że się zgodził, zwłaszcza zważywszy na to, co się stało później.

A jednak się pomyliła. Po prostu się z nią żegnał. Było to tylko ostatnie zbliżenie przed jego wyprawą prosto w szpony śmierci. Nie chciał ograniczać jej wolności. Nie chciał przyjąć tego, co mu dawała. Zupełnie jakby znał ją lepiej od niej samej.

– Lecimy za nim?

W blasku rodzącego się dnia w obozie widać już było zamieszanie. Dziś. Dziś zbierze się na odwagę i poprosi Crochan, by za nią podążyły. Czy posłuchają?

Ale lot do Morath, gdzie zostałyby rozpoznane z daleka, byłby wyprawą prosto do piekła.

Słońce wstawało, piękne, okrągłe i złociste niczym pojedyncza nuta pieśni wypełniającej cały świat.

Manon otworzyła usta.

– Terrasen wzywa na pomoc!

Głos młodej Crochan poniósł się po całym obozie. Manon i Asterin obróciły się błyskawicznie, a pozostałe poszły w ślad za nimi. Nowo przybyła wiedźma biegła w stronę namiotu Glennis i wyhamowała z trudem, gdy staruszka wyłoniła się spomiędzy kłap. Młoda Crochan,

bez wątpienia zwiadowczyni, była zdyszana i rozczochrana od wiatru.

– Terrasen wzywa na pomoc! – wysapała i oparła dłonie na kolanach, z trudem łapiąc kolejne hausty powietrza. – Morath rozbił ich na granicy, potem pod Perranthem, a teraz naciera na Orynth. Za tydzień miasto będzie w ich rękach.

Manon nie spodziewała się aż tak złych wieści, choć tak naprawdę potrzebowała ich. Czekala na nie.

Wiedźmy Trzynastki podeszły bliżej, a Bronwen trzymała się krok za nimi. Manon wstrzymała oddech, gdy Glennis wbiła wzrok w nieśmiertelny płomień, tańczący w wykopanej dziurze ledwie kilka kroków dalej. Ogień Wojny.

Potem zwróciła się ku Manon.

– Co zadecydujesz, Królowo Wiedźm?

W jej słowach kryło się wyzwanie.

Manon zadarła głowę i wyobraziła sobie obie rozpościerające się przed nią ścieżki. Jedna prowadziła na wschód, do Morath. Druga na północ, ku bitwom w Terrasenie. Rozwiązanie usłyszała w pieśni wiatru.

– Odpowiem na wezwanie Terrasenu – rzekła.

Asterin stanęła u jej boku i zmierzyła Crochan nieustraszonym spojrzeniem.

– I ja również – oznajmiła.

– Jak i my wszystkie. – Sorrel zajęła miejsce po prawicy Manon.

Ta zaś czekała, bojąc się przyznać do tego, co zaczęło płonąć w jej sercu.

Wystąpiła Bronwen z ciemnymi włosami, unoszącymi się na chłodnym wietrze.

– Wiedźmy z paleniska Vanora polecą na północ.

– Podobnie postąpią Silian! – Inna Crochan wyprostowała się z dumą.

Przywódczynie pozostałych pięciu Wielkich Palenisk również wyraziły swe poparcie, a wtedy Glennis zwróciła się do Manon:

– Dawno, dawno temu Rhiannon Crochan jechała do boju u boku

króla Brannona. Skoro odrodziła się jej dziedziczka, pora przekuć na nowo stare sojusze. – Wskazała wieczny płomień. – Rozpal Ogień Wojny, Królowo Wiedźm, i skrzyknij swą armię!

Serce Manon biło tak szybko i tak dziko, że wyczuwała jego łomot we własnych dłoniach. Mimo to podniosła gałąź brzoźową, leżącą na stercie chrustu. Nikt nie odezwał się ani słowem, gdy wsunęła ją w płomień. Czerwone, złote i błękitne języki skoczyły i zaczęły pożerać drewno, a Manon zaczekała, aż ogień rozpali się na dobre, i wzniosła gałąź nad głowę. Nawet zimowy wiatr nie miał odwagi zgasić płomienia.

Tłum Crochan rozstał się i utworzył korytarz prowadzący ku ognisku Bronwen. Ta już czekała w asyście swego sabatu.

Każdy krok Manon był niczym uderzenie w bęben wojenny, niczym odpowiedź na zadane dawno temu pytanie. Bronwen wpatrywała się w nią szeroko otwartymi oczami.

– Twa królowa wzywa cię na wojnę – rzekła Manon i wsunęła gałąź w płomień w ognisku Bronwen.

Te skoczyły wysoko, jasne i roztańczone. Bronwen ujęła własną szczapę, długą, zapaloną przy końcu.

– Wiedzmy z paleniska Vanora polecą z tobą – odparła.

Manon podeszła wówczas do kolejnego paleniska, gdzie również wsunęła swą gałąź ze świętym ogniem między płomień, które buchnęły jasno.

– Twa królowa wzywa cię na wojnę – oznajmiła głosem wyraźnym i czystym jak blask wstającego dnia. – Vanora odpowiedziały na wezwanie. A wy?

– Wiedzmy z paleniska Redbriar polecą z tobą – odparła przywódczyni klanu i zapaliła własną pochodnię.

Manon obchodziła zaś pozostałe paleniska, aż wszystkie siedem przyjęły wezwanie.

Dopiero wtedy młoda zwiadowczyni z ostatniego klanu złapała płonąca pochodnię, wsiadła na miotłę i pomknęła ku niebu. Leciała, by odszukać kolejny klan i opowiedzieć o wezwaniu. Manon, Trzynastka oraz Crochan odprowadziły ją spojrzeniami, aż znikła na niebie. Wówczas królowa w myślach pomodliła się o to, by święty

ogień, niesiony przez młodą wysłanniczkę, nie zgasł podczas długich, niebezpiecznych kilometrów podniebnej podróży.

Aż na pola bitewne Terrasenu.

Ogień Wojny wędrował od paleniska do paleniska. Przemierzał zasypane śniegiem przełęcze, łopotał wśród gęstych lasów, zasłonięty koronami drzew przed oczami latających drapieźców. Płonął podczas długich, mroźnych nocy, nieustannie atakowany przez wyjący wiatr, usiłujący go zdusić bez śladu.

Wiatr nie miał jednak szans z płomieniem królowej, więc ten wędrował od paleniska do paleniska.

Trafiał do odległych wsi, gdzie ludzie rozbiegali się z wrzaskiem na widok młodej wiedźmy, która lądowała na miotle i wymachiwała pochodnią. Dawała jednak znak nie im, a nielicznym kobietom, które nie rzuciły się do ucieczki. Które ruszyły ku młodej wiedźmie, gdy ta zawołała:

– Wasza królowa wzywa was na wojnę! Czy posłuchacie wyzwania?!

Pospiesznie wyciągano czerwone płaszcze z kufrów na strychach, łapano za miotły, zapomniane pod łózkami, w szafach, w kątach, niektóre związane szpagatem, inne złotym czy srebrnym drutem. Z kryjówek między deskami podłóg i na stryszkach z sianem wyjmowano miecze, stare i piękne. Ich klingi błyszczały równie intensywnie jak w dniu, kiedy je wykuwano w mieście, dawno leżącym w ruinie.

– Wiedźmy! – szeptali ludzie, a mężowie wpatrywali się z niedowierzaniem w swe żony, które dosiadały mioteł i ulatywały ku niebu, łopocząc czerwonymi płaszciami. – Przez cały ten czas mieszkały wśród nas wiedźmy.

Wysłanniczki docierały do kolejnych osad, gdzie paleniska nigdy nie gasły. Z każdej osady wylatywała następna wiedźma, by odnaleźć bastion swego ludu.

– Wiedźmy mieszkają wśród nas! Wiedźmy lecą na wojnę!

Fala lecących na północ wiedźm w czerwonych płaszcach, z mieczami przytroczonymi do pleców, rosła z każdą chwilą.

Kolejne bez słowa wyjaśnienia żegnały się z rodzinami, całowały śpiące dzieci i w ślad za resztą ulatywały ku gwiazdom.

Wezwanie biegło po ciemniejącym niebie, nieskończone, równie potężne jak wieczny płomień, przekazywany z paleniska do paleniska.

– Lećmy! Lećmy! – krzyczały wiedźmy. – Do królowej! Na wojnę!

Crochan leciały zewsząd, nie bacząc na śnieg, burze i niebezpieczeństwa.

Aelin przebudził zapach sosen i śniegu. Od razu wiedziała, że jest w domu. Nie w Terrasenie – jeszcze nie – ale dopóki miała przy sobie Rowana, dopóty w pewnym sensie zawsze była w domu.

Czuła jego równy oddech przy prawym uchu. Spał mocno, głęboko, a twarde, silne ramię, które zarzucił na jej talię, napełniało ją ciepłem. Po suficie pełzało srebrzyste światło. Ranek. Albo zachmurzony dzień.

Z korytarzy dobiegały strzępy odgłosów, które powoli analizowała i składała w całość, zupełnie jakby były to okruchy zbitego lustra, w którym ujrzałaby odbicie świata.

Wyglądało na to, że od bitwy upłynęły już trzy dni, a pod Anielle dotarła druga część armii z południa, dowodzona przez księcia Kashina, trzeciego syna kagana.

Ta informacja rozpędziła jej senność. Dotknęła lekko ramienia Rowana, chcąc się przekonać, jak głęboki jest jego sen. Spali tu od trzech dni i odzyskiwali siły, całkowicie nieświadomi tego, co się działo na świecie. Był to niebezpieczny czas dla każdego, kto władał magią, ale za nadmierne korzystanie z mocy należało zapłacić.

Wychwyciła jeszcze jeden szczegół. Ich drzwi strzegł Gavriel, który przybrał postać lwa. Ludzie cichli na jego widok i przyspieszali kroku, nie mając pojęcia, że Fae słyszy ich wszystkie szeptki. Łącznie z tymi o „tym dziwnym, przerażającym kocie”.

Aelin musnęła palcem szew wzdłuż rękawa Rowana, wyczuwając potężne mięśnie pod materiałem. Czuła w sobie lekkość, a wśród jej myśli wreszcie zapanował ład. Miała wrażenie, że właśnie wciągnęła pierwszy haust mroźnego, porannego powietrza.

Przez trzy doby ani razu nie dopadł jej żaden koszmar, co przyniosło jej ulgę.

Przełknęła ślinę. Miała wyschnięte gardło. Przypomniała sobie swoje dylematy na temat tego, co było prawdziwe, a co Maeve wszczepiła jej do umysłu. Czy natura bólu miała jakieś znaczenie? Czy liczyło się to, czy był on prawdziwy, czy wyimaginowany?

Wyrwała się. Uciekła od Maeve i Cairna. Kiedy indziej zajmie się łątaniem ran w swej duszy. Póki co cieszyła się z tego, że odzyskała jasność myśli, choć wcale nie zamierzała uwolnić swej mocy tu, w tym miejscu.

Przesunęła spojrzenie na Rowana. Sen rozmył rysy jego surowej twarzy i wydawał się teraz łagodniejszy, bardziej urodziwy. A także czysty. Znikła gdzie zakrzepła krew, która pokrywała ich twarze. Zapewne ktoś ich obmył, gdy spali.

Rowan otworzył nagle oczy, być może rozbudzony jej spojrzeniem, być może dotknięciem dłoni. Obejrzał ją od stóp do głów i uznał, że wszystko jest w porządku, a wtedy wpatrzył się w jej oczy.

– Zrobiłaś to na pokaz – mruknął.

– Sam też urządziłeś nam niezłe przedstawienie, książę. – Aelin poklepała go po ramieniu.

Tatuaż na jego twarzy zmarszczył się nieco, gdy Rowan uśmiechnął się do żony.

– Czy ten pokaz był już twoją ostatnią niespodzianką? – zapytał. – A może czekają nas kolejne?

Aelin nie miała pewności, czy to dobry moment, by podzielić się prawdą.

„Może” – powiedziała w myślach.

Rowan usiadł. Koc zsunął się z niego.

„Opowiedz mi coś o naturze owej niespodzianki. Czy to coś, po czym serce przestanie mi bić?”.

Aelin parsknęła i wsparła głowę na pięści, palcem drugiej dłoni kreśląc bohomazy na kocu.

– Wysłałam list. Jeszcze z portu w Wendlyn.

– Do Aediona. – Rowan pokiwał głową.

– Do Aediona – odparła Aelin szeptem, by nie usłyszał jej Gavriel, pilnujący drzwi. – I do twego wuja. Oraz do Essar.

– Po co? – Rowan uniósł brwi.

– Wyjaśniłam im, że w istocie byłam więziona przez Maeve, która podzieliła się ze mną kilkoma dość nikczemnymi planami.

Książę znieruchomiał.

– Co chcesz w ten sposób uzyskać?

Aelin usiadła i skubnęła paznokiec.

– Chciałam ich przekonać, by porzucili jej armię, podnieśli w Doranelle bunt i stracili Maeve z tronu. Takie tam drobiazgi.

Rowan potarł twarz, nie spuszczać oczu z żony.

– I myślisz, że listem można tego dokonać?

– Dobrze sformułowałam treść.

– A które spośród jej nikczemnych planów im wyjawiaś?

– Napisałam o tym, że Maeve pragnie zawładnąć światem, nie ma żadnych skrupułów, by poświęcić życie wielu Fae dla swoich planów, i jest zafascynowana wszystkim, co się wiąże z Valgami – odparła Aelin i przelknęła ślinę. – Mogłam też wspomnieć, że przypuszczalnie sama jest Valgiem.

Rowan drgnął.

– Domyślałam się tego. – Aelin wzruszyła ramionami. – Zresztą najlepsze kłamstwa to te, które są przemieszane z prawdą.

– Sugestia, że Maeve jest Valgiem, byłaby stosunkowo osobliwym kłamstwem, nawet jak na ciebie. Nawet, gdyby okazało się to prawdą.

– Zobaczymy, czy cokolwiek z tego wyjdzie. – Aelin machnęła dłonią.

– Jeśli rzeczywiście się jej przeciwstawia... – Rowan pokręcił głową i zaśmiał się cicho. – Cóż, znów się do nas uśmiechnie szczęście.

– I to jedyna pochwała za moje mistrzowskie kłamstwa i intrygi?

Rowan trącił ją w nos.

– Jeśli armia Maeve nigdy się nie pojawi, wszyscy będziemy cię wychwalać do końca świata. Póki co trzeba się jednak przygotować na jej przybycie, bo założę się, że już tu zmierza. – Widząc zmarszczkę na jej czole, dodał: – Essar nie sprawuje większej władzy, a mój wuj nie lubi ryzykować. Nie to co Enda i Sellene. Obalenie Maeve... Cóż, to monumentalne, śmiertelnie niebezpieczne zadanie i oboje zdają sobie z tego sprawę.

Aelin poczuła skurcz żołądka.

- Zrobią, co będą chcieli. Ja jedynie przedstawiłam fakty.

Które opisała ostrożnie i uzupełniła domysłami i półprawdami. Doskonale wiedziała, że szanse na reakcję są niewielkie.

- A poza próbami obalenia Maeve? – Rowan uśmiechnął się. – Kryjesz jeszcze jakieś tajemnice, o których powinienem wiedzieć?

Jej uśmiech przygasł, gdy ułożyła się na łóżku. Rowan wyciągnął się obok niej.

- Nie ma już ani jednej – rzekła, a widząc jego uniesione brwi, dodała: – Przysięgam na mój tron. Nie ma już nic.

Rozbawienie w jego oczach przygasło.

- Nie wiem, czy mam się z tego cieszyć.

- Wiesz wszystko to co ja. Karty są na stole, co do jednej.

Armie, Zamek, wszystko.

- Udałoby ci się to raz jeszcze? – spytał. – Wiesz, chodzi mi o zebranie tak wielkiej ilości mocy?

- Nie wiem. Chyba nie. Udało się dlatego, że magia została uwięziona. Żelazem.

Przez twarz Rowana przemknął cień. Przewrócił się na bok i wsparł głowę na łokciu.

- Nigdy czegoś takiego nie widziałem.

- I już nie ujrzysz. – Aelin była przekonana, że mówi prawdę.

- Jeśli trzeba przejść przez taki koszmar, by zgromadzić tyle mocy, pozostaje mi się z tego cieszyć.

Aelin przesunęła dłoń po potężnych mięśniach jego uda, aż natrafiła na rozdarcie spodni tuż nad kolanem.

- Łączy nas więź, a mimo to nie poczułam, gdy cię raniono – powiedziała, muskając palcami nową bliznę. Nowe trofeum. Uniosła głowę i natrafiła na jego badawcze spojrzenie.

„Czyżby Maeve jakoś udało się przerwać więź w tym miejscu? Zniszczyć jej część?”

- Nie – szepnął Rowan i odsunął jej włosy z czoła. – Zrozumiałem, że więź przenosi jedynie ból najpoważniejszych ran.

Dotknęła miejsca na ramieniu męża, gdzie kiedyś wbiła się strzała Asterin Czarnodziobej. Zrozumiała wtedy, kim Rowan naprawdę dla niej był.

– To dlatego nie wiedziałem, co się z tobą dzieje na plaży – ciągnął Rowan ochrypłym głosem. – Bo chłosta, choć brutalna i bolesna, nie zagrażała twemu życiu.

Aelin skrzywiła się.

– Jeśli chcesz mi zaraz powiedzieć, że czujesz się z tego powodu winny...

– Oboje zmagamy się z własnymi koszmarami. Wiele rzeczy wydarzyło się przez ostatnie miesiące.

Zerknęła na niego i zrozumiała, że Rowan doskonale wie, co rzuca się cieniem na jej duszę.

Był jedynym, który widział wszystko, czym Aelin była, i nie uciekł. Królowa nabrała więc odwagi i rzekła:

– Ten ogień był przeznaczony dla Maeve.

– Wiem – odparł Rowan. To jedno słowo, choć proste i krótkie, najlepiej pokazywało zrozumienie między nimi.

– Chciałam go wykorzystać, by wszystko naprawić – westchnęła Aelin. – By było lepiej. Chciałam wszystko wymazać...

Miała na myśli każde wspomnienie, każdy koszmar, każde kłamstwo.

– One znikną, Aelin. Potrzeba czasu. Trzeba się z nimi zmierzyć, trzeba je przeżyć...

– Ja nie mam czasu.

Rowan zacisnął mocno zęby.

– Jeszcze się okaże.

Nie miała ochoty na kłótnie.

– Chcę, by to wszystko już się skończyło – przyznała.

Rowan znieruchomiał, ale nic nie mówił. Dawał jej przestrzeń, pozwalał myśleć, mówić.

– Chcę mieć to już za sobą – powiedziała ochrypłym głosem. – Tę

wojnę, bogów, Bramę Wyrda, Zamek. Wszystko. – Potarła skronie, próbując odepchnąć brzemię, którego żaden ogień nie mógł oczyścić.
– Chcę dotrzeć do Terrasenu i stoczyć wszystkie bitwy, a potem chcę, by wszystko dobiegło końca.

Marzyła o tym od chwili, gdy poznała prawdziwą cenę wykucia nowego Zamka. Pragnęła końca po każdym z uderzeń bicia Cairna i po tym, co robił później. Bez względu na to, co się miało wydarzyć i jakie to mogło mieć konsekwencje, pragnęła, by wszystko się już skończyło. Nie miała pojęcia, co inni by sobie pomyśleli, gdyby poznali prawdę.

Rowan milczał przez długą chwilę, a potem oznajmił:

– A więc dołożymy wszelkich starań, by armia kagana ruszyła na północ. Wrócimy do Terrasenu i zmiażdżymy zastępy Erawana. – Ujął jej dłoń, uniósł do ust i ucałował obie. – A potem zobaczymy, co można zrobić z tym przeklętym Zamkiem.

Każde jego słowo, każdy oddech emanował niewzruszoną siłą woli. Aelin czuła, że musi jej wystarczyć dla nich obojga. Zapamiętała wszystkie jego słowa i każdą obietnicę, a potem uniosła dłoń, która zatrzymała się między nimi.

Przywołała magię – ową kroplę, którą odziedziczyła po matce, a ta po Mab. Na jej dłoni, poznaczonej odbudowywanymi powoli zgrubieniami i odciskami, pojawiła się niewielka kula wody. Łagodna, chłodna moc wnikała w jej ciało, wygładzała postrzępione odłamki jej duszy i usypiała je śpiewem. Na tym polegał dar jej matki.

„Nie masz prawa się poddać”.

Czy Zamek odbierze jej również to? Tę najcenniejszą część jej mocy?

Aelin odepchnęła te myśli. Skupiła się i zacisnęła zęby, po czym nakazała kuli się obracać.

Ta ledwie zadrżała.

– Królowa Fae Zachodu – prychnęła Aelin. – Jasne.

– Ćwicz, ćwicz! – Rowan parsknął cichym śmiechem. – Za jakies marne tysiąc lat będziesz mogła zrobić z tym coś imponującego.

Aelin uderzyła go w ramię. Kropla wody wsiąkła w rękaw jego koszuli.

- Przy takim podejściu cud, że w ogóle się czegoś od ciebie nauczyłam. – Strzepnęła wilgoć z prawej dłoni prosto w jego twarz.

Rowan znów trącił ją w nos.

- Droga księżniczko, zapominasz, że ja zapisuję wszystkie paskudne rzeczy, które od ciebie słyszę.

Aelin podkuliła palce u nóg i wsunęła dłonie w jego włosy, rozkoszując się jedwabistością kosmyków.

- A w jaki sposób przyjdzie mi zapłacić za tę konkretną zniewagę?

Mogłaby przysiąc, że słyszy ciche, oddalające się kroki wielkiego kota po drugiej stronie drzwi. Rowan uśmiechnął się, jakby i on wyczuł zniknięcie Gavriela. Oparł dłoń na jej brzuchu i musnął ustami jej policzek.

- Istnieje wiele sposobów.

Aelin jęknęła cicho. Rowan przycisnął dłoń mocniej, a wtedy królowa zrozumiała, że trzydniowy sen oznacza również pełen pęcherz. Skrzywiła się i zerwała na równe nogi. Zachwiała się, a Rowan natychmiast przypadł, by ją podeprzeć.

- Zanim pożresz mnie żywcem – oznajmiła – muszę znaleźć łazienkę.

Rowan roześmiał się i pochylił, by podnieść pas z mieczem. Leżał równo przy ścianie, tuż obok jej pasa. Tylko Gavriel był w stanie ułożyć oba tak starannie.

- Ta potrzeba przebija to, co sam zaplanowałem.

Ludzie wpatrywali się w nich na korytarzach. Inni szeptali, gdy przechodzili.

- Patrzcie, królowa i jej małżonek. Ciekawe, gdzie byli przez te trzy dni?

- Podobno udali się w góry i sprowadzili dzikich ludzi.

- A ja słyszałem, że otaczali twierdzą czarami chroniącymi przed Morath.

Rowan nadal się uśmiechał, gdy Aelin wyłoniła się z toalety dla kobiet.

- Widzisz? – Zrównała się z nim. Ani myślała, by wracać do komnaty i dać się pożyć. Jej celem był korytarz, w którym rozstawiono jedzenie. – Zaczynasz lubić rozgłos.

Rowan uniósł brew.

- Chodzę po tym świecie od trzystu lat. Myślisz, że po raz pierwszy słyszę szepty za swoimi plecami?

Aelin przewróciła oczami, ale jej mąż się zaśmiał.

- To, co teraz gadają, jest o wiele lepsze od: „Patrz, to ten łajdak o sercu z lodu” czy: „Słyszałem, że zabił człowieka nogą od stołu”.

- Ale przecież ty naprawdę zabiłeś kiedyś człowieka nogą od stołu.

Rowan uśmiechnął się szerzej.

- A poza tym jesteś łajdakiem o sercu z lodu – dodała.

- Nigdy nie twierdziłem, że te szepty to kłamstwa – zachnął się Rowan.

Aelin wsunęła rękę pod jego ramię.

- Mam ochotę sama rozpuścić kilka plotek na twój temat. Takich prawdziwie groteskowych.

Rowan jęknął.

- Aż strach mnie obleciał na myśl o tym, co ty byłabyś w stanie wymyślić.

Mijała ich właśnie grupka żołnierzy.

- Naprawdę poleciałeś na pobojuwisko, by dziobać trupy? – Aelin wyszeptała ochryple, udając zaskoczenie. Jej głos odbił się echem od kamiennych ścian. – Żeby im oczy wyżerać?

Jeden z żołnierzy potknął się. Inni odwrócili ku nim głowy.

- Wielkie dzięki. – Rowan uszczypnął ją w ramię.

- Nie ma sprawy. – Aelin ukłoniła się lekko.

Nie przestawała się uśmiechać, gdy dotarli do stołu z jedzeniem. Było już południe, ale zdołali jeszcze coś dla siebie znaleźć. Usiedli z talerzami na zakurzonych, na pół zapomnianych schodach. Przez moment poczuli się jak w Mistward, kiedy siedzieli ramię w ramię w kuchni i słuchali opowieści Emrysa.

Choć teraz, odstawivszy talerz na podłogę, Aelin bez skrępowania mogła otoczyć szyję Rowana ramionami i pocałować go w usta.

„Nie, wcale nie tęsknię za Mistward” – pomyślała i rozsiadła mu się na kolanach. Niepomna tego, że byli na schodach, po których lada chwila mógł ktoś zejść, całowała go bez opamiętania. Przerwali, zdyszani, patrząc na siebie błyszczącymi oczami, nim Aelin uznała, że ściągnięcie Rowanowi spodni w tym miejscu nie byłoby wcale złym pomysłem, a jego dłoń, dyskretnie i leniwie masująca to przekłete miejsce między jej udami, powinna znaleźć się głębiej.

Szczerze powiedziawszy, gdy wyruszyli na poszukiwanie swych towarzyszy, Aelin nadal się zastanawiała, czy nie zaciągnąć Rowana do najbliższej szafy. Jego skrzyjący się wzrok wskazywał, że myśli o tym samym.

Niemniej nawet pożądanie, rozgrzewające jej krew, wystygło, gdy dotarli do starożytnej komnaty niemalże na szczycie twierdzy i spojrzeli na zebranych tam ludzi i Fae. W sali znajdowali się Fenrys, Gavriel, Chaol i przybysze z południa. Nigdzie nie widzieli Elide oraz Lorcana, ale niestety obecny był stary lord Anielle.

Starzec obrzucił ich pochmurnym spojrzeniem, na co Aelin uśmiechnęła się do niego kpiąco i podeszła do stołu.

Nesryn, Sartaqowi i Hasar towarzyszył wysoki, barczysty mężczyzna, przystojny i emanujący energią oraz zniecierpliwieniem. Jego brązowe oczy lśniły życzliwością, a uśmiech był przyjazny. Aelin natychmiast go polubiła.

– Oto Kashin, nasz brat. – Hasar machnęła ręką, nie podnosząc głowy znad mapy.

Książę uklonił się z wdziękiem. Aelin i Rowan odpowiedzieli tym samym.

– To dla nas zaszczyt – rzekła Aelin. – Dziękuję ci za przybycie.

– Powinnaś za to podziękować memu ojcu oraz Yrene – odparł Kashin, który posługiwał się jej mową ojczystą równie biegle jak jego rodzeństwo.

W istocie, miała wielki dług wobec uzdrowicielki.

Bystre oczy Nesryn omiotły królową od stóp do głów.

– Dobrze się czujesz? – spytała.

– Musiałam trochę odpocząć, a on... – Aelin spojrzała na Rowana. – On jest już w takim wieku, że musi regularnie zażywać drzemki.

Sartaq zakaszlał i pochylił się nad mapą, ale Fenrys parsknął śmiechem.

– Widzę, że znów jesteś sobą – oznajmił.

Aelin zerknęła na wyprostowanego lorda Anielle i uśmiechnęła się drwiąco.

– Zobaczymy, jak długo to potrwa.

Tamten nie zareagował.

Rowan wskazał rozłożone na stole mapy i zwrócił się do potomków kagana.

– Zdecydowaliście, dokąd teraz wyruszycie? – zapytał.

Nikt z zewnątrz nie domyśliłby się, że od tego zwykłego, zadanego spokojnym tonem pytania zależy przyszłość Terrasenu.

Hasar otworzyła usta, ale wyprzedził ją Sartaq.

– Na północ – rzekł. – Udamy się z wami na północ, choćby po to, by odplacić się wam za ocalenie naszej armii.

Aelin próbowała zamaskować wielką ulgę.

– A schodząc na ziemię – podjęła Hasar, po której nie było widać żadnej wdzięczności – zwiadowcy Kashina potwierdzili, że Morath rzeczywiście skupia swą uwagę na Terrasenie. Udamy się więc tam.

Aelin naraz pożałowała, że przed chwilą zjadła aż tyle.

– Jest bardzo źle?

Nesryn pokręciła głową i odpowiedziała za Kashina:

– Szczegółów nie znamy. Wiemy tyle, że zauważono kilka zmierzających na północ hord, które pozostawiły po sobie pas wypalanej ziemi.

Aelin zacisnęła pięści, powstrzymując ochotę, by zacząć pocierać dłońmi twarz.

– Mam nadzieję, że dasz radę raz jeszcze wezwać tę swoją moc – oznajmił ojciec Chaola.

W oczach królowej błysnęła cząstka jej magii.

- Dzięki za zbroję – zaszczebiotała.

- Uznajmy, że to dar koronacyjny. Nieco przedwczesny – odpowiedział lord Anielle z drwiącym uśmiechem.

Sartaq odkaslnął.

- Jeśli doszliście już wszyscy do siebie, powinniśmy ruszyć w drogę najszybciej, jak się da – rzekł.

Tym razem Hasar nie protestowała.

- Chcecie iść wzdłuż gór? – Rowan spojrział na mapę. – W tej sytuacji musielibyśmy przejść tuż przed Elfią Przełęczą, co oznacza kolejną bitwę.

- A więc wyciągnijmy ich stamtąd – rzekła Hasar. – Stoczmy tę bitwę, ale na naszych zasadach. Spróbujmy ich skłonić, by wyprowadzili swe siły z Przełęczy, a sami jednocześnie zaatakujmy ich od tyłu!

- Adarlan kontroluje całą rzekę Avery – powiedział Chaol i wyrysował palcem niewidzialną linię przecinającą cały kraj, poczynawszy od Rifthold. – Chcąc udać się na północ, będziemy musieli i tak ją przekroczyć. Osobiście wolę walczyć na Przełęczy niż w samym sercu Dębowej Puszczy. Ruki zapewnią nam osłonę powietrzną, co wśród drzew już się nie uda.

Rowan pokiwał głową.

- Jeśli chcemy uderzyć na Morath w miejscu, gdzie się takiego ataku najmniej spodziewają, będziemy musieli przerzucić większość armii w góry. To trudny teren. Trzeba będzie ostrożnie wybrać szlak.

Stary lord burknął coś pod nosem. Aelin uniosła brwi, ale odezwał się Chaol:

- Po bitwie wysłałem emisariuszy w góry, by nawiązali kontakt z górskimi plemionami. Chciałem się dowiedzieć, czy tubylcy znają jakieś sekretne szlaki wiodące przez góry.

„Skontaktował się z odwiecznymi wrogami jego stolicy” – pomyślała Aelin, a głośno spytała:

- No i?

- Znają. Ale ich pomoc będzie kosztować.

- Prędej trupem padnę, niż dam im to, czego chcą – warknął lord Anielle.

- Niech no zgadnę – rzekła Aelin. – Chodzi im o ziemię?

Chaol pokiwał głową. Napięcie panujące w komnacie nagle stało się wytłumaczalne. Aelin, tupiąc cicho nogą, zmierzyła lorda Anielle wzrokiem.

- A ty nie chcesz oddać im choćby skrawka? – spytała.

Ten odpowiedział wrogim spojrzeniem.

- Najwyraźniej nie – mruknął Fenrys.

Aelin wzruszyła ramionami i zwróciła się do Chaola.

- Dobrze, a więc wszystko postanowione.

- Co niby jest postanowione? – wychrypiał stary lord.

Aelin, zignorowawszy go, mruknęła do przyjaciela.

- Jesteś jednak namiestnikiem króla Adarlanu i przewyższasz ojca pozycją. Masz prawo działać w imieniu Doriana. – Wskazała mapę i dodała: – Te ziemie może należą do Anielle, ale całość wchodzi w skład Adarlanu. Działaj. Dokonaj wymiany z góralami.

- Ty... – Starzec się poderwał.

- Ruszamy na północ – oznajmiła Aelin. – A ty nie będziesz stał nam na drodze. – Złoto jej oczu znów buchnęło ogniem. – To ja powstrzymałam falę. Jeśli chcesz mi odplacić za przysługę, uznaj sojusz z góralami.

- Ta fala zniszczyła połowę mojego miasta – syknął starzec.

Fenrys zaśmiał się z niedowierzaniem, a Rowan warknął cicho.

- Ależ z ciebie łajdak – parsknął Chaol, patrząc na ojca.

- Bacz na słowa, chłopcze! – odciął się tamten.

- Już rozumiem, czemu się stąd wyniosłeś. – Aelin zwróciła się do Chaola i pokiwała ze współczuciem głową.

Mężczyzna skrzywił się lekko i znów pochylił się nad mapą.

- Jeśli uda nam się pokonać Elfią Przełęcz, będziemy mogli ruszyć prosto na północ – rzekł.

„Mijając po drodze Endovier” – pomyślała Aelin. W istocie, kopalnie znajdowały się niemalże na ich szlaku. Królowa poczuła ucisk w żołądku, a Rowan, jakby czytał w jej myślach, musnął jej dłoń.

– Musimy szybko zdecydować – oznajmił Sartaq. – Znajdujemy się teraz między Morath a Elfią Przełęczą. Erawan w każdej chwili może posłać hordy, które nas zniszczą.

– Czy Yrene już kończy? – Hasar zwróciła się do Chaola.

Ten ułożył łokieć na oparciu fotela.

– Jest ich nadal zbyt wielu. To potrwa jeszcze długie tygodnie.

– Tyłu rannych? – spytał Rowan.

– Nie chodzi o rannych. – Chaol pokręcił głową i zacisnął szczęki. – A o Valgów.

– Yrene leczy Valgów? – Aelin zmarszczyła brwi.

– Można rzec, że tak. – Hasar uśmiechnęła się szeroko.

Aelin machnęła dłonią.

– Mogę to zobaczyć?

Zastali Yrene nie w twierdzy, a w namiocie na skraju poboju. Pochylała się nad mężczyznę, który bezskutecznie miotał się na pryczy, gdyż jego nadgarstki i kostki zostały przymocowane łańcuchami do żelaznych pierścieni wbitych w ziemię.

Aelin spojrzała na łańcuchy i musiała przełknąć ślinę. Rowan oparł dłoń na jej plecach, a Fenrys podszedł bliżej.

Yrene zamarła. Jej dłonie jaśniały białym światłem. Kilka kroków dalej czuwała Borte z nagim mieczem.

– Coś się stało? – spytała Yrene. Poświata wokół jej dłoni przygasła, a mężczyzna opadł bez sił, gdy uzdrowicielka powstrzymała atak na uwięzionego w nim demona.

Chaol podjechał bliżej.

– Aelin i jej dwór chcieliby ujrzeć demonstrację twoich możliwości. O ile nie masz nic przeciwko.

Yrene przyglądała włosy, wymykające się z warkocza.

– Nie sądzę, by było na co patrzeć. To walka umysłów.

– Uderzasz prosto w demony? – spytał Fenrys z niemałym podziwem.

– To wstrętne, tchórzliwe kanalie. – Yrene złożyła ramiona na piersi i spojrzała ze wzgardą na człowieka przymocowanego do pryczy. – Żalodne bydlęta – dodała.

Słowa skierowane były do demona w ludzkim ciele. Mężczyzna przebudził się i zasyczał. Yrene uśmiechnęła się tylko, na co demon zaskomlał.

Aelin zamrugła, nie wiedząc, czy ma się śmiać, czy może paść na kolana.

– Pokaż mi to wszystko. Rób, co do ciebie należy, ale chcę wszystko widzieć.

Uzdrowicielka ułożyła jaśniejące dłonie na piersi mężczyzny, który zaczął wrzeszczeć bez opamiętania. Zmarszczyła brwi i ciężko dyszała, ale krzyki nie ustawały.

– Mało ekscytujące, kiedy są związani, no nie? – odezwała się Borte.

Sartaq spojrzał na nią z irytacją, jakby nie po raz pierwszy odbywali tę rozmowę.

– Mogę cię przydzielić do wywożenia gnoju, jeśli chcesz!

Borte przewróciła oczami, ale popatrzyła na Aelin ze szczerością, którą tylko ona potrafiła docenić.

– Masz może dla mnie jakieś zadanie? – zapytała.

– Jeszcze nie. – Aelin wyszczerzyła zęby. – Ale może niebawem.

Borte odpowiedziała uśmiechem.

– Proszę, proszę, uwolnij mnie od tej męki.

Aelin spojrzała na uzdrowicielkę jaśniejącą od magii.

– Ilu już dzisiaj uzdrowiła?

– Dziesięciu – burknęła Borte.

– Ilu jest w stanie uwolnić w ciągu jednego dnia? – Aelin zwróciła się do Chaola.

- Góra piętnastu. Niektóre demony wymagają więcej zachodu od pozostałych, a więc ostatnio idzie jej wolniej.

Aelin usiłowała oszacować, ilu Valgów umknęło śmierci.

- A co z tymi, którzy zostali uleczeni? Co z nimi robicie? - dociekała

- Przesłuchujemy ich. - Chaol zmarszczył brwi. - Chcemy się dowiedzieć, skąd pochodzą, kim byli i jak zostali zakazani, a także komu są lojalni.

- I wierzycie im? - spytał Fenrys.

Hasar poklepała się po rękojeści swego pysznego miecza.

- Nasi przesłuchujący mają wielkie doświadczenie w ustalaniu prawdy.

Aelin zignorowała mdłości.

- A więc ich uwalniacie - odezwał się Gavriel, milczący od kilku minut. - A potem torturujecie.

- To wojna - odparła po prostu Hasar. - A poza tym nie okaleczamy ich. Nie stać nas jednak na ryzyko. Nie możemy ich wypuszczać, bo za plecami wyrośnie nam nowa armia.

- Niektórzy z nich z własnej woli przystąpili do Erawana - rzekł cicho Chaol. - Niektórzy z własnej woli przyjęli pierścień. Yrene potrafi szybko dojść do tego, kto tego pragnął, a kto nie. Nie próbuje więc nawet ratować tych, którzy z radością klękali przed Erawanem. Próbuje ocalić tylko tych, którzy okazali się głupcami lub zostali wcieleni do armii wbrew swej woli.

- Część spośród nich chce dla nas walczyć - dodał Sartaq. - Ci, którzy przejdą weryfikację, mogą zacząć ćwiczyć z naszą piechotą. Nie ma ich wielu, ale zawsze to coś.

Świetnie, świetnie, świetnie.

Naraz Yrene jęknęła, a jej światło błysnęło tak intensywnie, że Aelin zmrużyła oczy. Mężczyzna na pryczy zakaszłał, wygiął się i rzygnął czarną, cuchnącą mazią. Borte skrzywiła się i zamachała dłonią, by odpędzić smród. Z ust mężczyzny buchnął ciemny dym.

Yrene się zatoczyła. Chaol uniósł rękę, by ją podtrzymać, ale uzdrowicielka jedynie wsparła się na jego barku i przyłożyła dłoń do

unoszącej się szybko piersi.

Aelin dała jej chwilę na nabranie oddechu. Była właśnie świadkiem niezwykłego wyczynu, tym bardziej że dokonywała go kobieta w ciąży. Pokręciła głową z niedowierzaniem.

- Demon nie chciał ustąpić – powiedziała Yrene, nie kierując swych słów do nikogo z obecnych.

- Ale znikł? – spytała Aelin.

Yrene wskazała mężczyznę na pryczy, który otwierał właśnie oczy, brązowe, a nie czarne, i patrzył ku niebu.

- Dziękuję – rzekł ochrypłym głosem, ale ludzkim, całkiem ludzkim.

Rowan szedł w ślad za Aelin po poboju, kierując się w stronę brzegu Srebrnego Jeziora. Królowa zatrzymywała się parokrotnie, by podnieść jakąś godną uwagi broń, ale nie było tego wiele.

Byli sami. Gavriel uczył się od Yrene sztuki wypędzania Valgów, Fenrys udał się z Chaolem na spotkanie wysłanników dzikich plemion, a Sartaq, Hasar i Kashin zajęli się swą armią.

Ustalili, że jeśli pogoda się utrzyma, wyruszą na północ za dwa dni.

„Dzięki bogom” – pomyślał Rowan, choć bogowie byli ostatnimi istotami na świecie, którym miał ochotę za cokolwiek dziękować.

Aelin zatrzymała się przy skalistym brzegu i spojrzała na tafle gładką niczym lustro, upstrzoną głazami i zwałami gruzu. Oparła dłoń na rękojeści Goldryna. Między jej palcami tańczyły płomienie.

– Uleczenie wszystkich ludzi zakażonych przez Valgów zajmie lata – powiedziała.

– Jednak każdy z nich miał rodzinę czy przyjaciół, którzy chcieliby, byśmy podjęli próbę.

– Wiem.

Chłodny wiatr wiejący ku północy smagnął jej twarz i rozsypał włosy.

– Po co tu przyszliśmy? – spytał.

Aelin nie mogła się otrząsnąć z zadumy od chwili wyjścia z namiotu.

– Czy Yrene mogłaby uzdrowić również Erawana i Maeve? Nie wiem, co o tym myśleć.

– Skąd Erawan ma ciało? Stworzył je czy skradł? A Maeve? – Rowan pokręcił głową. – Z nimi sytuacja może przedstawiać się zupełnie inaczej.

– Nie wiem, jak i czy w ogóle mogłabym poprosić Yrene o coś takiego. – Aelin przełknęła ślinę. – Nie wspominając już o Chaolu. Nie

chęć, by Yrene w ogóle znalazła się w pobliżu Maeve czy Erawana. Nie, to niemożliwe.

Rowan również nie byłby w stanie czegoś takiego założyć. Z tysiąca powodów.

– Ale czy nie popełniam błędu, przedkładając bezpieczeństwo Yrene nad los całego świata? – zastanawiała się na głos Aelin, oglądając jeden z wrogich sztyletów, które zebrała, znakomite ostrze, a więc pewnie skradzione. – Jej talent to przecież jedna z największych broni, jaką mamy do dyspozycji. Czy nie wychodzimy na głupców, nie chcąc z niej skorzystać?

Rowan wiedział, że to nie on powinien decydować o takich sprawach, ale mógł przecież udzielić jej rady.

– A będziesz umiała żyć w zgodzie ze sobą, jeśli coś stałoby się Yrene bądź jej nienarodzonemu dziecku?

– Nie, ale jeśli jej się uda, reszta świata będzie mogła żyć w spokoju. Dam sobie radę z poczuciem winy.

– A jeśli nie namówisz Yrene, by spróbowała ich zniszczyć, a Erawan i Maeve odniosą zwycięstwo... Co wtedy?

– Zawsze mamy jeszcze Zamek. I mnie.

Rowan westchnął. Rozumiał już, dlaczego Aelin chciała się znaleźć z dala od reszty. Dlaczego chciała się przejść.

– Yrene to dla ciebie promyk nadziei. Ba, nie tylko dla ciebie, ale też dla nas. Być może dzięki niej ty lub Dorian wcale nie będziecie musieli wykuwać Zamka.

– Bogowie tego chcą.

– Niech ich szlag trafi.

Aelin wyrzuciła sztylet.

– Nienawidzę tego. Z całego serca.

Rowan otoczył ją ramieniem. Niczego więcej nie mógł jej teraz dać.

Chciała, by to wszystko dobiegło końca, a on był gotów zrobić co trzeba, by do tego doszło.

Wsparła głowę o jego pierś. We dwoje wpatrywali się w zimne jezioro, nie mówiąc ani słowa.

– Pozwoliłbyś na to, gdybym to ja była Yrene? Gdybym nosiła nasze dziecko?

Rowan ze wszystkich sił próbował odepchnąć wspomnienie swej wizji, w której ciężarna Aelin stała otoczona grupką dzieci, ale nie zdołał.

– A od kiedy to ja ci *pozwalam* na cokolwiek?

– Wiesz, o co mi chodzi. – Aelin machnęła dłonią.

Rowan zastanowił się.

– Nie. Nie zniósłbym tego, nawet gdyby nasz świat miał się przez to rozpaść.

Niemniej gdyby Aelin stanęła przed koniecznością wykucia Zamka, zapewne musiałyby podjąć tę decyzję. Musnął palcami znamiona, które pozostawił na jej szyi.

– Powiedziałem ci kiedyś, że miłość to słabość. Byłoby o wiele łatwiej, gdybyśmy się nienawidzili.

Aelin parsknęła.

– Poczekaj parę tygodni. Coś czuję, że na górskim szlaku z tą armią szybko przestaniemy być szanującymi się sojusznikami.

Rowan ucałował czubek jej głowy.

– Niech bogowie mają nas w opiece.

Ale Aelin odsunęła się od niego, gdy usłyszała te słowa. Zmarszczywszy brwi, spojrzała na obozującą armię.

– Co znowu? – spytał.

– Chcę przejrzeć te księgi ze Znakami Wyrda, które przywieźli Chaol i Yrene.

– Co to znaczy? – Aelin zwróciła się do Borte, stukając palcem w linijkę tekstu w *halha*, języku używanym na południowym kontynencie.

Rukhin, siedząca wraz z nią przy biurku w namiocie wojennym księcia Sartaqa, pochyliła się nad dopisaną ręcznie uwagą obok długiej kolumny Znaków Wyrda.

– Skuteczny czar. Wspomaga rozwój grządek roślin.

Siedzący po drugiej stronie biurka Rowan parsknął głośno. Również miał przed sobą otwartą księgę, ale robił postępy o wiele wolniej od Aelin.

Większość tomów została napisana w całości Znakami Wyrda, ale liczne zapiski na marginesach skłoniły Aelin, by poprosić o pomoc młodą *rukhin*.

Borte, która miała już serdecznie dość asystowania Yrene, skwapliwie zrzuciła ten obowiązek na barki swego skwaszonego narzeczonego i dołączyła do królowej i jej męża, siedzących w namiocie.

We trójkę ślęczeli nad księgami z zakazanej biblioteki Hafizy w Torre, ale choć upłynęły dwie godziny, jak dotąd nie natrafili na żadną istotną informację.

Aelin spojrzała na płócienny dach namiotu i westchnęła. Cieszyła się, że Sartaq zabrał księgi ze sobą, ale była już znużona i skomplikowane rzędy symboli na pożółkłych stronicach zaczęły się ze sobą zlewać.

Rowan wyprostował się.

– Tu jest coś o otwieraniu – rzekł i podsunął jej księgę. – Nie znam pozostałych symboli, ale ten tu oznacza „otwierać”.

Aelin spędziła wiele godzin, ucząc Rowana i pozostałych sztuki odczytywania na pół zapomnianych znaków, ale jej uczniowie wciąż byli dalecy od perfekcji. Na szczęście jej towarzysz życia pamiętał większość Znaków, zupełnie jakby zapuściły korzenie w jego umyśle.

Aelin uważnie przyjrzała się rzędowi symboli.

– Nie tego szukamy – oznajmiła i skubnęła dolną wargę. – To czar otwierający przejścia między różnymi miejscami w tym świecie.

– Coś takiego, co robi Maeve? – spytała Borte.

– Tak, ale na bliski dystans. – Aelin wzruszyła ramionami. – Raczej jak to, co robi Fenrys.

Bądź robił, nim Maeve zniszczyła jego talent.

Borte uśmiechnęła się krzywo.

- To do czego ma to służyć?

- Nie wiem. - Aelin oddała księgę Rowanowi. - Może do zabawiania ludzi na przyjęciach?

Borte zaśmiała się i rozsiadła na krześle, bawiąc się końcem długiego warkocza.

- Myślicie, że istnieje czar, dzięki któremu można zamknąć Bramę Wyrda w inny sposób? - spytała cichym szeptem.

Rowan smagnął ją ostrzegawczym spojrzeniem, ale Borte machnęła tylko dłonią.

„Nie - pomyślała Aelin. - Gdyby coś takiego istniało, Elena by mi powiedziała. Albo Brannon”.

Musnęła palcem suchą, prastarą stronicę. Symbole rozmazywały się jej przed oczami.

- Warto posprawdzać, prawda?

Rowan już pochylił się nad księgą. Wiedziała, że będzie tu siedział jeszcze długo, a jeśli niczego nie znajdą, przejrzy każdą księgę raz jeszcze, by nabrać pewności.

Inny plan. Inne rozwiązanie. Dla niej, dla Doriana. Dla tego z nich, które zapłaci cenę, by wykuć Zamek i zamknąć Bramę. Ech, byli zdesperowanymi głupcami, skoro nadal mieli nadzieję.

Mijały godziny, a stosy ksiąg kurczyły się. Dołączył do nich Fenrys, poważny jak rzadko kiedy. Przeglądali księgi wspólnie, ale nie znaleźli niczego.

Gdy w kufrze Sartaqa nie zostało już nic, Borte zaczęła sennie kiwać głową, a Rowan przechadzać się po namiocie. Aelin wyświadczyła wszystkim przysługę i zarządziła powrót do twierdzy.

„Warto było to sprawdzić” - powtarzała sobie, nawet jeśli ciężar na jej sercu mówił coś innego.

Chaol zastał ojca w jego osobistej komnacie. Starzec kipiał furją.

- Nie wolno ci oddać ani akra naszych ziem tym dzikusom! - wysyczał, gdy jego syn wjechał na swym fotelu do środka i zamknął za sobą drzwi.

– Mogę i zrobię to – odparł Chaol, założywszy ramiona na piersi. Nawet nie silił się na pojednawczy ton.

Ojciec zerwał się na równe nogi i oparł dłonie na blacie biurka.

– Chcesz plunąć na życie wszystkich ludzi z Anielle, którzy walczyli i ginęli, by te dzikusy nie wyszarpnęły nam ziem swymi brudnymi łapskami?

– Jeśli oddanie im niewielkiego skrawka naszej krainy doprowadzi do tego, że w przyszłości mężczyźni i kobiety z Anielle nie będą musieli o nic walczyć i nie będą mieli za co ginąć, moim zdaniem nasi przodkowie nie powinni mieć nic przeciwko.

– To prymitywne dzikusy, nieledwie zwierzęta!

Chaol westchnął ciężko. A więc na to skazał go Dorian? Na całe życie użerania się z lordami i pomniejszych władkami takimi jak jego ojciec? O ile przetrwają. O ile przeżyje sam Dorian. Świadomość ta natychmiast podsunęła Chaolowi odpowiedź.

– Ta wojna nie oszczędza nikogo, a większość z nas ponosi ofiary o wiele większe niż kilka kilometrów terenu. Bądź wdzięczny, że to wszystko, o co cię prosimy.

– A co powiesz na małe negocjacje? – zadrwił starzec.

Chaol wywrócił oczami i skrzywił fotel, by opuścić komnatę. Kątem oka ujrzał, jak ojciec unosi kawałek papieru.

– Nie chcesz się dowiedzieć, co napisał twój brat?

– Na pewno nie napisał niczego, przez co chciałbym zmienić plany wojenne – odparł Chaol.

Mimo to jego ojciec rozłożył kartkę i przeczytał:

– „Mam nadzieję, że Anielle spłonie aż po fundamenty, a ty razem z nim”. To wszystko. – Starzec uśmiechnął się nienawistnie. – Wiesz już, co mój dziedzic sądzi o mojej twierdzy. Jeśli on nie będzie chciał o nią dbać, to co się z nią stanie bez ciebie?

Kolejna próba wzbudzenia w nim poczucia winy.

– Rzekłbym, że stosunek Terrina do Anielle jest ściśle związany z jego uczuciami do ciebie – odparł Chaol.

Stary lord znów opadł na krzesło.

– Chcę, byś wiedział, jaki los czeka Anielle, jeśli nie zdołasz obronić tego miejsca. Jestem gotów do negocjacji, chłopcze. – Zachichotał i dodał: – Choć dobrze wiem, że potrafisz się trzymać swego z uporem godnym głupca.

Chaol przyjął cios bez mrugnięcia okiem.

– Jestem bogatym człowiekiem. Nie masz niczego, czego bym potrzebował.

– Niczego? – Ojciec wskazał kufer przy oknie. – A co powiesz na coś cenniejszego od złota?

Chaol nie odezwał się. Starzec podniósł się więc, wyjął klucz z kieszeni i wsunął go do zamka, a potem odrzucił ciężkie wieko. Chaol podjechał bliżej i zajrzał do środka.

Listy. Cała skrzynia wypełniona była listami, na których eleganckim charakterem pisma wypisano jego imię.

– Odkryła tę skrzynię tuż przed tym, jak dowiedzieliśmy się o nadciągającej armii Morath. – Uśmiech ojca był zimny i drwiący. – Oczywiście powinienem był je spalić, ale coś skłoniło mnie, by je zachować. Chyba na ten właśnie moment.

Wszystkie listy zostały własnoręcznie napisane przez jego matkę. Do niego.

– Od jak dawna je trzymasz? – zapytał cicho Chaol.

– Od chwili, gdy nas opuściłeś. – Starzec nie przestawał się drwiąco uśmiechać.

A więc lata. Dziesiątki, setki listów od matki. Przez cały ten czas był przekonany, że matka nie chce z nim rozmawiać, że uległa woli ojca.

– Chciałeś, by wierzyła, że nie odpisuję. – Chaol z zaskoczeniem odkrył, że jego głos pozostaje spokojny. – Nigdy ich nie wysłałeś i chciałeś, by sądziła, że są mi obojętne.

Ojciec zamknął kufer i obrócił klucz w zamku.

– Na to by wyglądało.

– Dlaczego? – spytał Chaol. Nie liczyło się teraz żadne inne pytanie.

Ojciec zmarszczył brwi.

– Nie mogłem chyba pozwolić na to, byś porzucił swe dziedzictwo

bez kary, prawda?

Chaol zacisnął dłonie na oparciach fotela, by się nie zerwać i nie zmiążyć starcowi gardła.

– I myślisz, że pokazując mi kufer pełen listów od matki, skłonisz mnie do negocjacji?

– Jesteś sentymentalnym człowiekiem – parsknął stary lord. – To, jak się obchodzisz ze swoją żoną, tylko to potwierdza. Myślę, że potargujesz się trochę choćby po to, by móc je przeczytać.

Chaol wpatrywał się w niego. Zamrugał raz, jakby w nadziei, że uciszy w ten sposób ryk w głowie i w sercu.

Matka nigdy o nim nie zapomniała. Nigdy nie przestała do niego pisać. Uśmiechnął się lekko.

– Zatrzymaj te listy – powiedział i zawrócił fotel ku drzwiom. – Porzuciła cię, a więc innego kontaktu z nią już mieć nie będziesz.

Otworzył drzwi komnaty i raz jeszcze spojrzął przez ramię. Jego ojciec stał nadal przy kufrze, sztywny jak miecz.

– Nie negocjuję z łajdakami – dodał Chaol z uśmiechem, wyjeżdżając na korytarz. – I nie widzę powodu, bym miał zmienić tę zasadę.

Chaol przekazał dzikim ludziom z Kłów niewielką część ziem południowego Anielle. Jego ojciec szalał z wściekłości i nie chciał się zgodzić na wymianę, ale nikt nie zwracał na niego uwagi, ku nieskończonemu rozbawieniu Aelin.

Dwa dni później niewielka grupa brodatych górali przybyła tam, gdzie jeszcze niedawno wznosiła się tama, by poprowadzić ich przez góry. Każdy z nich prowadził kudłatego kuca. Na masywne sylwetki narzucili ciężkie futra, ale z bronią bynajmniej się nie kryli. Topory, miecze i noże połyskiwały w szarym świetle. Aelin wiedziała, że Cain pochodził z ich ludu, ale postanowiła nie dzielić się tą informacją podczas pierwszego spotkania. Chaol na wszelki wypadek również nie obnosił się z tym, że to on zabił Caina.

Wszystko to miało miejsce w innym życiu. W innym świecie.

Aelin, która dosiadała użyczonego jej przez Hasar rumaka Muniqi,

jechała na czele hufca. Po lewej miała Chaola na Farashy, a po prawej Rowana na własnym Muniqi. Ich towarzysze rozproszyli się po całej armii. Lorcan, który wydobrzeł na tyle, by móc jechać konno, nie rozstawał się z Elide.

Za nimi zaś wiała się armia kagana.

A przynajmniej jej część. Połowa ruków i kawalerii Darghanów ruszyła pod sztandarem Kashina ku wschodniej części gór, by wciągnąć siły z Elfiej Przełęczy do otwartej bitwy. Oddziały prowadzone przez Aelin miały zaś prześlizgnąć się przez tylne drzwi.

Kłły leżały przysypane śniegiem, a szare chmury groziły kolejną śnieżycą, ale *rukhin* i górale uważali, że jeszcze przez jakiś czas nie grozi im naprawdę zła pogoda. Do Elfiej Przełęczy pozostało jakieś pięć dni drogi przez góry. Armia Kashina, idąca wzdłuż rzeki, potrzebowała trzech.

Aelin zwróciła głowę ku chłodnemu niebu, gdy rozpoczęły się niekończące się serpentyny. Ruki były w stanie przenieść sporą część cięższego ekwipunku, ale wspinaczka górskimi szlakami okazała się pierwszym testem dla piechurów i kawalerii.

Żołnierze kagana jednakże pokonywali już wszelkie rodzaje terenu. Przemierzali góry, pustynie i morza. Nic nie było w stanie wzbudzić w nich lęku.

Aelin uznała, że ona również nie będzie się bać. Aż do końca czasu, który jej pozostał.

Ruszali do ostatniego uderzenia, na północ. Uśmiechnęła się ponuro, patrząc na wyniosłe góry i ciągnącą się za nimi armię.

Zmierzali wreszcie do Terrasenu, a Aelin wróciła już do pełni sił, co uznała za wystarczający powód, by uwolnić część swej mocy. Niektórzy spośród podążających za nimi chorążych zaczęli szeptać z zaskoczeniem, ale Rowan jedynie się uśmiechnął.

W jego uśmiechu jaśniała niezniszczalna nadzieja i żelazna determinacja, które rozbłysły również w sercu Aelin. Królowa Terrasenu otoczyła się więc złocistymi płomieniami, wiedząc, że z pewnością zostaną one zauważone z najdalszych szeregów armii oraz z miasta i murów twierdzy.

Niczym pochodnia jaśniejąca wśród cieni gór i mroku sił, z którymi

przyjdzie im się zmierzyć, Aelin oświetliła im drogę na północ.

Część druga. Bogowie i Bramy

Czarne wieże Morath wyrastały nad dymiącymi kuźniami i obozowiskami wojsk niczym miecze wzniesione ku niebu. Mierzyły ku płynącym nisko chmurom, niektóre połamane i poszczerbione, inne nadal dumne i wyprostowane. Na twierdzy po wsze czasy odcisnęło się piętno ostatniego aktu wściekłości Kaltain Rompier.

Dorian rozłożył szeroko skrzydła w kolorze sadzy i pochwycił wiatr, który cuchnął żelazem i śmiercią. Podczas długich dni wędrówki nauczył się korzystać z prądów powietrznych i choć większość drogi pokonał jako śmigły jastrząb, tego ranka przeistoczył się w zwykłą wronę.

Roje czarnych ptaków okręzały Morath, a ich krakanie niosło się po całej dolinie podobnie jak brzęk młotów walących w kowadła. Mimo że na północy rozpętało się piekło, wokół twierdzy nadal obozowały tysiące żołnierzy i wiedźm.

Dorian, podobnie jak inne wrony, mijał wywerny szerokim łukiem. Leciał tuż nad ziemią, podczas gdy kolejne sabaty ruszały na zwiad lub ćwiczenia. Tyle Żelaznozębnych... A wszystkie czekały w gotowości.

Okrężył najwyższe z wież Morath. Przyglądał się twierdzy, wojskom obozującym w dolinie, wywernom w wysokich gniazdowiskach. Miał wrażenie, że waga tego, co ukrył wśród skał kilkanaście kilometrów dalej na północ, rosła z każdym uderzeniem skrzydeł. Przybycie do Morath z Kluczami byłoby szaleństwem, a więc zagrzebał je w okruchach łupków. Nie ośmielił się nawet oznaczyć miejsca, w którym je schował. Mógł się jedynie modlić o to, by nie przyciągnęło ono uwagi Erawana.

Z małych drzwi z boku wieży wyłoniły się dwie praczki i ruszyły schodami na górę, niosąc naręcze prania. Szły z pochylonymi głowami, jakby chciały zignorować armię, która przepływała dołem, bądź wywerny, których wrzaski odbijały się od czarnej skały.

„O, drzwi. Tam są drzwi!”

Dorian podleciał ku nim. Ze wszystkich sił usiłował uspokoić bicie

serca i zdusić swój zapach, by nie przyciągnąć niczyjej uwagi. Żadna z przelatujących w górze Żelaznozębnych nie poświęciła jednak ani chwili wronie, która nie śmierdziała jak wrona. A owe dwie praczki, pnące się po schodach, nie wrzasnęły głośno, gdy wylądował na kamiennej balustradzie i zręcznie złożył skrzydła.

Jeden skok i był już na stopniach.

Jego mięśnie i kości zapłonęły, gdy przeszedł kolejną przemianę. Świat nagle się zmniejszył i stał się o wiele bardziej zabójczy.

I jeszcze mniej świadomy jego obecności.

Wąsy Doriana zadrżały, po czym zastrzygł wielkimi uszami. Ryk wyvern przeszył jego drobne, włochate ciało. Zacisnął zęby, wielkie, prawie za duże jak na tak mały pyszczek. Smród niemalże odbierał mu przytomność, a wyczuć mógł teraz praktycznie wszystko. Świeżą woń prania. Ostrą woń rosołu z dziczyzny, która wniknęła w ubranie praczek. Nigdy wcześniej nawet nie przyszło mu do głowy, że mysz może dysponować tak niezwykłymi zmysłami. Nawet szybując jako jastrząb, nie mógł się pochwalić taką czujnością i świadomością otaczającej go rzeczywistości.

Świat był śmiertelnie niebezpiecznym miejscem. Nic dziwnego, że myszy potrzebowały tak ostrych zmysłów, by przetrwać.

Dorian pozwolił sobie na jeszcze jeden oddech, a potem prześlizgnął się pod drzwiami.

I już był w środku Morath.

Dysponował teraz o wiele ostrzejszymi zmysłami, ale nie na wiele się to przydało. Nie zdawał sobie bowiem sprawy z tego, jak przerażającym miejscem są schody dla kogoś, kto nie porusza się na ludzkich nogach.

Trzymał się cieni i wciskał się w zakurzone kąty, gdy tylko dostrzegł kolejną parę idących stóp. Niekiedy widział zwykłe buty, ale zdarzały się też opancerzone bądź dziurawe, pocerowane, znoszone. Każdy mijający go człowiek był blady i robił przygnębiające wrażenie.

Dzięki bogom nie widział żadnych wiedźm. Nie było też książąt Valgów ani zwykłych żołdaków i na pewno ani śladu Erawana.

Wieża, do której się wślizgnął, była przeznaczona dla służby. Dorian

dowiedział się o niej z opowieści Manon, która precyzyjnie przedstawiła topografię Morath Aelin. Wsłuchany w jej słowa młody król zbudował sobie w myślach mapę twierdzy, którą potwierdził niedawno w trakcie kilkugodzinnego zwiadu powietrznego.

Miał zamiar rozpocząć od wieży Erawana, a gdyby okazało się, że król Valgów znajduje się na miejscu... Cóż, na pewno się zawczasu zorientuje i ustali, czy pomimo ostrzeżeń Kaltain będzie mógł odpłacić się Erawanowi za całe wyrządzone przezeń zło.

Zdyszany Dorian dotarł na dół krętych schodów. Owinął się długim ogonem i zajrzał do ciemnego korytarza, który zaczynał się w tym miejscu. Wiedział, iż będzie musiał przemierzyć cały poziom twierdzy, potem wspiąć się po kolejnych schodach, skręcić w następny korytarz i jeśli dopisze mu szczęście, dotrze do wieży Erawana.

Manon nigdy tam nie wpuszczono. Nie miała pojęcia, co się tam znajduje. Wiedziała tylko tyle, że wejście do wieży było przez cały czas strzeżone przez Valgów. Dobre miejsce na rozpoczęcie polowania.

Nastroszył uszy. Nikt się nie zbliżał. Na szczęście nie było też żadnych kotów.

Skręcił w korytarz i ruszył biegiem wzdłuż miejsca, gdzie ściana spotykała się z podłogą. Jego szarawe futerko zlewało się z kamieniem.

Na końcu korytarza stał wartownik, zapatrzony w nicość. Dorianowi wydał się wielki jak góra.

Niemal dotarł do niego oraz do skrzyżowania, którego ten strzegł, gdy wyczuł jakieś osobliwe poruszenie, po którym zapadła cisza.

Strażnik również się wyprostował i zerknął przez wąskie okno za sobą.

Dorian zatrzymał się i wtulił w cienie.

Nic. Żadnych krzyków i wrzasków, ale...

Wartownik wrócił na stanowisko i rozejrzał się uważnie po korytarzu. Dorian trwał nieruchomo i czekał w napięciu. Czyżby odkryli jego obecność? Czyżby właśnie ktoś wszczął alarm?

Na pewno przeniknięcie do wnętrza nie było takie łatwe, jak się wydawało. Erawan bez wątpienia zastawił pułapki, które ostrzegały

go przed pojawieniem się wroga.

Zza rogu dobiegł go odgłos lekkich kroków spieszącego się człowieka. Strażnik odwrócił się ku nim.

- Co się dzieje? - spytał ostro.

Zbliżający się sługa nawet nie zwolnił.

- A któż to może wiedzieć? Po towarzystwie, w którym przyszło nam się obracać, można się spodziewać wszystkiego. Ja w każdym razie wolę stąd spływać - rzucił i minął wartownika.

A więc przed czymś uciekał...

Dorian poruszył wąsami, węsząc. Nie wyczuł niczego.

Czekanie w korytarzu nie mogło się skończyć niczym dobrym, ale skok w ciemność w sytuacji, gdy nie wiedział, co się dzieje, również nie był mądrym rozwiązaniem.

Istniało jednakże miejsce, w którym mógł się czegoś dowiedzieć. Miejsce, gdzie ludzie zawsze plotkowali, nawet w Morath.

Dorian zawrócił więc i zbiegł po kolejnych schodach, choć jego drobne nóżki ledwie mogły podolać trudom tak wyczerpującej wędrówki. Kierował się ku kuchniom, skąd były ciepło i blask wielkiego ognia.

Lady Elide pracowała tam kiedyś i opowiadała, że do służby zwerbowano zwykłych ludzi, a nie Valgów. Zwykłych ludzi, którzy bez wątpienia będą rozmawiać o tym, co się dzieje w twierdzy. Tak samo było w Rifthold.

Kilku służących i kucharzy stało i wpatrywało się w schody, które rozpoczynały się po drugiej stronie ogromnej, przypominającej pieczarę kuchni. Towarzyszył im smukły, zielonooki pręgowany kot.

Dorian skulił się, ale zwierzę nie zainteresowało się nim. Uwaga kota również była skupiona na schodach, podobnie jak ludzi.

Rozległy się pospieszne, ciche kroki. Po schodach zbiegły dwie kobiety z pustymi tacami na jedzenie. Obie były blade i roztrzęsione.

Mężczyzna, który wyglądał na szefa kuchni, podszedł bliżej i zapytał:

- Widziałyście coś?

Jedna z nich pokręciła głową.

- Dzięki bogom, nie zastałyśmy ich w sali narad.

Jej towarzyszka trzęsącymi się rękami odstawiła tacę.

- Ale wkrótce tam przyjdą – rzekła.

- Macie szczęście, że uciekłyście, zanim przyszli – odezwał się ktoś.

- Jeszcze stałybyście się częścią obiadu.

Shczęście, doprawdy. Dorian czuł jeszcze przez moment, ale po tym, jak dwie kobiety dotarły bezpiecznie do kuchni, praca wróciła do normy. Sala narad... Manon opisywała miejsce, w którym Erawan zwykł odbywać spotkania. A skoro się tam teraz kierował...

Dorian wyobraził sobie mapę twierdzy, wyrysowaną wedle wskazówek Manon. Tylko głupiec z własnej woli udałby się tam, gdzie przebywał Erawan. Tylko głupiec podjąłby takie ryzyko. Może w gruncie rzeczy zależało mu na śmierci. Może był głupcem. Bez względu na powody Dorian chciał go zobaczyć. Musiał go zobaczyć. Musiał ujrzeć zwyrodnialca, który zniszczył aż tak wiele. Który chciał pożreć ich świat.

Musiał spojrzeć na kreaturę, która kazała go zniewolić i zamordować Sorschę. Liczył na to, że dopisze mu szczęście i zdoła zabić Erawana.

Mógłby pozostać w tej formie i zaatakować mocą, ale poczułby o wiele większą satysfakcję, gdyby powrócił do ludzkiego ciała, wyrwał Damaris z pochwy i wykonał śmiertelne pchnięcie. Gdyby Erawan ujrział blade pasmo wokół jego gardła i zrozumiał, kto zadaje mu śmierć. By pojął, kogo nie zdołał złamać.

Wówczas Dorian odnalazłby Klucz.

Przywołana z pamięci mapa dobrze mu służyła, ale o wiele lepszym przewodnikiem okazała się cisza.

Korytarze wyludniały się. Powietrze stało się ciężkie, zimne, jakby przepojone zepsuciem Erawana.

Przed otwartymi drzwiami nie było żadnych strażników. Nikt więc nie patrzył na postać w kapturze, która weszła do środka, powiewając połami czarnej peleryny.

Dorian przyspieszył i wślizgnął się w ślad za przybyszem. Drzwi

zamknęły się tuż za nim. Magia młodego króla narosła, nabrzmiała, ale ten zmusił ją, by się uspokoiła, by zwinęła się niczym zmija gotowa do uderzenia. Był gotów pchnąć nią w Erawana, a potem przeistoczyć się i porwać za Damaris.

Nowo przybyły znieruchomiał, płaszcz zafalował. Dorian smyrnął w kierunku szczeliny między drzwiami i podłogą.

Komnata nie wyróżniała się niczym szczególnym, nie licząc stojącego na środku stołu z czarnego szkła. I siedzącego przy nim złotowłosego, złotoookiego mężczyzny.

Manon nie kłamała. Erawan w istocie zrezygnował z ciała Perringtona i wybrał sobie inne, ładniejsze. Gdy podniósł się na powitanie nieznanego, Dorian ujrzał, że dalej lubował się w wykwintnych strojach – miał na sobie idealnie skrojoną szarą kurtkę i pasujące do niej spodnie. Nie miał przy sobie żadnej broni. Nie miał przy sobie Klucza Wyrda.

Jednakże Dorian czuł bijącą od niego moc. Czuł jego zepsucie. Dobrze pamiętał identyczną moc w sobie, powoli trawiącą jego duszę. W jego żyłach zatrzeszczał lód. Szybko. Musiał działać szybko. Musiał uderzyć teraz!

– Cóż za nieoczekiwany zaszczyt. – Głos Erawana był jednocześnie młody i stary. Gestem wskazał gościowi tacę z owocami i mięsnymi przekąskami. – Poczęstujesz się?

Magia Dorigana zadrżała, gdy spod czarnej peleryny wyłoniły się dwie smukłe dłonie, blade niczym księżyc, i odsunęły kaptur.

Kobieta nie była piękna, nie w klasyczny sposób, ale jej atramentowoczarne włosy, ciemne oczy i czerwone usta robiły wstrząsające, wręcz hipnotyczne wrażenie.

Jej usta rozchyliły się nieco, odsłaniając zęby białe jak kość.

Po grzbiecie Dorigana spłynął zimny dreszcz, gdy spomiędzy jej włosów wyłoniły się delikatne, lekko spiczaste uszy. Fae. Kobieta była Fae.

Zdjęła płaszcz, odsłaniając powłóczystą, ciemnofioletową szatę, po czym usiadła naprzeciwko Erawana. W jej pełnych gracji ruchach nie było cienia wahania czy lęku.

– A więc wiesz, dlaczego przybyłam – rzekła.

Erawan uśmiechnął się i napełnił winem puchar dla niej, a potem dla siebie.

Wszelkie myśli o skrytobójczym ataku umknęły z głowy Dorigana, gdy król Valgów zapytał:

- A czy istnieje jakikolwiek inny powód, dla którego chciałabyś odwiedzić Morath, Maeve?

W Oryncie nie było takiej ciszy od dnia, kiedy Aedion wraz z resztkami terraseńskiego dworu udał się na równinę Theralis, choć nawet wtedy na ulicach starożytnego miasta, wzniesionego między ujściem rzeki Florine, podnóżem Jelenich Rogów i skrajem Dębowej Puszczy, rozbrzmiewał szum.

Białe mury wciąż jeszcze lśniły.

Teraz, gdy Aedion, Lysandra oraz ich sojusznicy wkraczali do miasta przez ogromne, metalowe wrota zachodniej bramy, mury wydawały się poplamione i szarawe, równie ponure jak niebo. Wciąż były jednak grube prawie na dwa metry, a składały się z głazów tak ogromnych, że żaden człowiek nie byłby w stanie ich podnieść. Wedle legendy Brannon zatrudnił do tej pracy olbrzymów z Jelenich Rogów.

Aedion oddałby wszystko, by ci dawno zapomnieni olbrzymi trafili z powrotem do Orynthu. By z gór za miastem zjechało starożytne Wilcze Plemię, a z nimi zaginieni Fae z Terrasenu. By wszystkie stare mity i legendy wyłoniły się z mroków czasu, tak jak Rolfe i jego Mycenianie.

Wiedział jednak, że ich szczęście już się wyczerpało.

Jego towarzysze również zdawali sobie z tego sprawę. Nawet Ansel z Briarcliff milczała jak Ilias i jego zabójcy. Szła zgarbiona, z pochyloną głową od chwili, gdy ich szeregi obrzucono głowami jej ludzi. Jej czerwone niczym wino włosy zmatowiały, a kroki stały się ciężkie. Aedion wiedział, z jakim koszmarem się boryka. Rozumiał poczucie winy, które ją gryzło. Żałował, że nie ma czasu, by w jakikolwiek sensowny sposób pocieszyć młodą królową, ale ten obowiązek najwyraźniej wziął na siebie Ilias, który jechał obok niej, nie odstępując jej ani na moment.

Miasto leżało u stóp wyniosłego, niemalże mitycznego zamku, wspartego na masywnej skale. Zamku, który piął się tak wysoko ku niebu, że jego najwyższe wieżyczki zdawały się przebijać chmury. Ongiś jaśniał wewnętrznym światłem. Po jego ogrzanych słońcem ścianach pięły się róże i winorośl, a na dziedzińcach i w korytarzach

rozbrzmiewał plusk tysiąca fontann. Ongiś z owych niemożebnie wysokich wież zwisały dumne proporce, strzegące gór, lasów, rzeki i równiny Theralis.

Potem zamek stał się mauzoleum.

Nikt się nie odzywał, gdy przybysze pięli się po stromych, krętych ulicach. Ludzie o ponurych twarzach stali i przyglądali się im bądź spieszyli, by szykować się do oblężenia.

Bo nie było przed nim ucieczki. Za ich plecami wyrastały góry, na zachodzie rozpościerała się Dębowa Puszcza, a od południa nadciągała wroga armia. Owszem, mogli uciekać na wschód, przez równiny, ale dokąd? Do Surii, gdzie zostaliby odnalezieni w okamgnieniu? Na pustkowia za górami, gdzie panowały zimy tak srogie, że żaden śmiertelnik nie zdołałby ich przeżyć? Mieszkańcy Orynthu byli uwięzieni, tak jak ich armia.

Aedion wiedział, że powinien się wyprostować. Że powinien szeroko się uśmiechnąć do tych ludzi – jego rodaków! – i dać im choć cień nadziei, ale nie potrafił. Nie mógł przestać myśleć o tym, jak wielu z nich straciło rodziny i przyjaciół w bitwie nad rzeką oraz podczas poprzedzających ją tygodni walki. Ilu nadal modliło się o to, by w kolumnie zmierzającej do miasta odnaleźć swych bliskich.

To on ponosił winę. To na jego barkach spoczywał ciężar tej tragedii. Przez jego wybór armia znalazła się w tym miejscu. Przez jego decyzję tylu ludzi zostało w śniegu, przez niego zwłoki wytyczyły szlak od południowej granicy aż po Florine.

Biały zamek górował nad nimi, potężniejszy z każdym pokonanym wzgórzem. Przynajmniej mogli tu liczyć na przewagę terenu.

Przynajmniej na tyle.

Oczekiwali ich Darrow i pozostali lordowie.

Znajdowali się nie w sali tronowej, ale w przestronnej sali narad po przeciwnej stronie pałacu. Kiedy Aedion odwiedził to miejsce po raz ostatni, spotkaniu przewodniczył nadęty gnojek z Adarlanu, tytułujący się wicekrólem Terrasenu.

Wszystko wskazywało na to, że ów człowiek zabrał wszystkie kosztowności, wytworne stroje, krzesła i nawet obrazy, po czym

czmychnął, gdy tylko pojawiła się wieść o śmierci króla.

Do sali przyniesiono stół do pracy, który otoczono rozpadającymi się krzesłami, zebranymi z różnych komnat. Zasiadali na nich Darrow, Sloane, Gunnar oraz Ironwood, a obok nich, ku jego zaskoczeniu, znajdował się Murtaugh.

Powstali na widok Aediona i jego towarzyszy, nie z szacunku dla zdegradowanego generała, ale dla towarzyszących mu koronowanych głów.

Przez całą drogę po ciemnym, ponurym zamku Ansel z Briarcliff rozglądała się uważnie. Teraz otaksowała wzrokiem ubogie wnętrza i gwizdnęła cicho.

– Nie żartowaliście, gdy opowiadaliście, że Adarlan obrabował was do szczytu.

Były to jej pierwsze słowa od wielu godzin, a nawet dni.

– Co do miedziaka – burknął Aedion i zatrzymał się przed stołem.

– A gdzie Kyllian? – spytał Darrow.

Aedion uśmiechnął się do niego, choć jego oczy pozostały śmiertelnie poważne.

Ren napiął mięśnie, odczytawszy w nich ostrzeżenie.

– Poprosił mnie, bym ruszył przodem, podczas gdy on doprowadzi armię do stolicy.

Było to kłamstwo.

Darrow przewrócił oczami, a potem przeniósł wzrok na Rolfe'a, który również rozglądał się z dezaprobatą po ubogim zamku.

– Rozumiem, że tobie zawdzięczamy ratunek w ostatniej chwili?

Rolfe przeniósł na niego spojrzenie oczu zielonych niczym morska toń.

– Owszem, zawdzięczacie.

Darrow zasiadł, a pozostali lordowie poszli w jego ślady.

– A kim jesteś?

– Kapitan Rolfe – odparł płynnie pirat. – Dowódca Floty Jej Królewskiej Mości oraz dziedzic Mycenian.

Pozostali lordowie się wyprostowali.

– Mycenianie zniknęli w dawnych czasach – odezwał się Sloane, ale zauważył miecz u boku Rolfe’a z rękojeścią zwieńczoną łbem morskiego smoka. Bez wątpienia widział też flotę, która płynęła po wodach Florine.

– Zniknęli, ale nie wyginęli – odparł Rolfe. – Przybyliśmy, by spłacić stary dług.

Darrow potarł czoło. Stary dług... Lord w istocie wyglądał na swój wiek, gdy wsparł się o krawędź stołu.

– Cóż, musimy być za to wdzięczni bogom.

– Bogom? – odezwała się Lysandra, kipiąc ze złości. – To Aelin jesteście winni wdzięczność za ich sprowadzenie!

Starzec zmrużył oczy, a gniew narastający w sercu Aediona przeobraził się w pragnienie, by kogoś zamordować. Niemniej jednak Darrow odpowiedział zmęczonym, ciężkim głosem:

– Nikogo już dziś nie udajesz, moja pani?

Ostatnie słowa wypowiedział z ironią. Lysandra jednakże wskazała Rolfe’a, a potem Ansel i Galana. Następnie podeszła do okna i pokazała mu Fae oraz Milczących Zabójców, zajmujących się swoimi rannymi na dziedzińcu zamkowym.

– Oni wszyscy przybyli tu dzięki Aelin – rzekła. – Dzięki niej, a nie tobie! Zanim więc parskniesz wzgardliwie i oznajmisz, że nie ma czegoś takiego jak Flota Jej Królewskiej Mości, chciałam cię zapewnić, że taka flota istnieje! A ty nie masz z nią żadnego związku.

Darrow westchnął ciężko i znów potarł skronie.

– Proszę wyjść z tej komnaty – oznajmił.

– Po moim trupie! – warknął Aedion.

– Czeka na ciebie ktoś, kogo będziesz chciała ujrzeć, moja pani – wtrącił Murtaugh.

Lysandra uniosła brwi, a stary Allsbrook się skrzywił.

– Nie chciałem ryzykować i zostawiać jej w naszej siedzibie. Evangeline przebywa w północnej wieży, w byłej sypialni mojej wnuczki. Widziała z okna, że nadjeżdżacie, i z trudem udało mi się

przekonać ją, by zaczekała.

Słowa Murtaugha były uprzejmym, sprytnym sposobem na rozpędzenie narastającej burzy. Aedion zastanawiał się, czy poprosić Lysandrę, by została w sali, ale zmiennokształtna już szła ku drzwiom, powiewając włosami.

– Walczyła w pierwszej linii w każdej bitwie – oznajmił, gdy wyszła. – O mało nie zginęła od ran. Jakoś nie widziałem, by którykolwiek z was również się pofatygował, by podnieść miecz.

Starzy arystokraci skrzywili się z niesmakiem, ale jedynie Darrow drgnął, jakby słowa Aediona ugodziły go do żywego.

– Nielatwo jest być człowiekiem zbyt starym do walki – rzekł cicho – w czasach, gdy giną młodszy, Aedionie. – Jego wzrok padł na zwykły, bezimienny miecz u boku byłego generała. – Wcale nie jest łatwo – dodał.

Aedion chciał zaproponować, by Darrow wypytał zabitych, czy mieli podobne dylematy, ale uprzedził go książę Galan, który odkaszlnął i spytał:

– Jak wyglądają przygotowania do oblężenia?

Lordom Terrasenu niezbyt podobał się fakt, że oto ktoś ich przepytuje, ale w końcu jeden po drugim zaczęli opowiadać.

Godzinę później, gdy przybysze udali się do swych komnat, a potem do łaźni i jadalni na gorący posiłek, Aedion złapał się na tym, że podąża za jej zapachem.

Poszła nie do północnej wieży, ale do sali tronowej.

Ogromne wrota z dębowego drewna były popękane, a dwa wyrzeźbione na nich stojące dęba jelenie patrzyły na niego z góry. Płomień jaśniejący między ich dumnymi rogami pokryto swego czasu złotym filigranem, ale w ciągu ostatnich dziesięciu lat ktoś go zdrapał, kierując się złośliwością bądź okazją do zarobienia paru groszy.

Aedion wślizgnął się do środka. Ogromna sala z kolumnami przypominała mu widmo starego przyjaciela.

Ileż to razy uskarżał się na to, że musi odziać się w pyszne szaty

i tkwić obok tronów przy końcu sali? Ileż to razy widział, jak Aelin drzemie podczas niekończących się dworskich ceremonii?

Proporce ze wszystkich ziem Terrasenu spływały wówczas z sufitu, a podłoga z jasnego marmuru była tak wypolerowana, że mógł się w niej przejrzeć. Na podwyższeniu wznosił się tron, zbudowany ze zrzucanych poroży nieśmiertelnych jeleni z Dębowej Puszczy.

Jelenie zostały wymordowane, a tron spalono po klęsce na Theralis. Król Adarlanu wydał ten rozkaz jeszcze z pola bitwy.

Lysandra stała przed pustym podwyższeniem. Wpatrywała się w marmur, jakby widziała królewski mebel z przeszłości i kilka mniejszych, stojących obok niego.

– Nie zdawałam sobie sprawy z tego, że Adarlan doprowadził to miejsce do takiego upadku – powiedziała, wyczuwając jego zapach bądź rozpoznając sposób chodzenia.

– Ale kości tego miejsca nadal pozostają nietknięte – odparł Aedion.
– Choć nie wiem na jak długo.

Lysandra przeniosła na niego spojrzenie zielonych oczu, mętnych ze smutku i wyczerpania.

– W głębi duszy – powiedziała cicho – miałam nadzieję, że kiedyś ujrzę, jak tu zasiada. – Wskazała podwyższenie, na którym niegdyś stał tron. – W głębi duszy sądziłam, że jakoś nam się uda. Pomimo Morath, Zamka i innych przeciwności...

W jej twarzy nie było nadziei.

Może dlatego chciała z nim porozmawiać.

– Ja też tak myślałem – odparł cicho Aedion, choć jego słowa rozeszły się echem po wielkim, pustym pomieszczeniu. – Też tak myślałem.

Królowa Fae przybyła do Morath.

Dorian uspokoił rozszalałe serce, a potem wyciszył oddech. Maeve upiła łyk wina.

– A więc nie wiesz, kim jestem – powiedziała królowa Fae, wpatrzona w króla Valgów.

Ten zamarł z wzniesionym pucharkiem.

– Czyżbyś nie była Maeve, królową Doranelle?

Aelin... Czy Maeve sprowadziła tu Aelin? Czyżby chciała ją sprzedać Erawanowi? Na bogów, na bogów...

Maeve odchyliła głowę i parsknęła śmiechem.

– Minęło zaledwie kilka tysiącleci, a ty już nie pamiętasz, jak wygląda twa bratowa?

Dorian cieszył się, że jest mały, cichutki i niezauważalny. W przeciwnym razie pewnie zachwiałby się na nogach.

Erawan znieruchomiał.

– To ty.

– Ja. – Maeve uśmiechnęła się tryumfalnie.

Złote oczy omiotły królową Fae.

– W skórze Fae. Od tyłu stuleci...

– Jestem rozczarowana, że się nie połapałeś.

Doriana omiotła fala mocy Erawana, jakże podobnej do oleistej, mrocznej magii księcia Valgów.

– Czy ty w ogóle wiesz, co ty... – zaczął król Valgów, ale zamilkł i wyprostował się. – Chyba muszę ci podziękować – podjął, opanowawszy emocje. – Gdybyś nie zdradziła mego brata, nigdy nie odkryłbym tego cudownego miejsca i nie zyskałbym okazji, by je podbić. – Upił łyk wina. – Ale pytanie pozostaje. Po co tu przybyłaś? Po co teraz ujawniłaś swą tożsamość, mój prastary wrogu?

– Nigdy nie byłam twoim wrogiem – odparła Maeve nieporuszonym głosem. – Ale twoi bracia stali się moimi.

– A mimo to wyszłaś za Orcusa, choć dobrze wiedziałaś, jaki jest.

– Może powinnam była poślubić ciebie, gdy złożyłeś mi propozycję – rzekła Maeve i obdarzyła króla Valgów parodią wstydliwego uśmiechu. – Ale byłam wówczas młoda i łatwo mnie było wprowadzić w błąd.

Erawan zaśmiał się cicho. Dorianowi przewróciło się w żołądku.

– Śmiem twierdzić, że nigdy nie dawałaś się łatwo oszukać – rzekł mężczyzna. – I co teraz?

Gdyby Dorianowi udało się uwolnić Aelin, może we dwoje zdołaliby pokonać królową i króla Valgów...

– I co teraz? – spytała Maeve. – Ty gotujesz się, by zalać swą armią cały kontynent, a ja z chęcią ci w tym pomogę.

Erawan ułożył kostkę na kolanie.

– Powtórzę pytanie. Dlaczego?

Maeve gładziła palcami powierzchnię pucharku.

– Zostałam zdradzona przez własny lud. Tyle zrobiłam, by ich ochronić, by zapewnić im bezpieczeństwo, a oni powstali przeciwko mnie. Zebrana przeze mnie armia odmówiła wymarszu. Moja szlachta i moi służący nie chcą przede mną uklęknąć. Nie jestem już królową Doranelle.

– Chyba domyślam się, kto może za tym stać.

W pomieszczeniu zamigotała ciemność, straszliwa i chłodna.

– Uwięziłam Aelin Dziki Ogień. Miałam nadzieję, że zdołam ją tu przywieźć, gdy już będzie... cóż, gdy będzie gotowa. Niemniej jednak strażnik, któremu ją powierzyłam, popełnił ogromny błąd. Sama zresztą muszę przyznać, że zostałam oszukana. Aelin znów odzyskała wolność i w pierwszej kolejności rozesłała listy do najważniejszych osobistości w Doranelle. Przypuszczam, że dotarła już na ten kontynent.

Dorian poczuł wielką ulgę.

– Jest w Anielle. – Erawan machnął dłonią. – I beztrwoni

swą moc.

Oczy Maeve zajaśniały.

– Odebrała mi tron i królestwo! Skradła mi najbardziej zaufanych wojowników. Mogłam zachować neutralną pozycję podczas tej wojny, mogłam zaoferować jej całe moje miłosierdzie, ale straciła tę szansę bezpowrotnie w chwili, gdy uciekła wraz ze swoim towarzyszem życia.

A więc odnaleźli ją. Jakoś ją odnaleźli. A Anielle... Czy mógł mieć nadzieję, że Chaol też tam jest? Dorian miał ochotę wrzasnąć z radości, ale Maeve ciągnęła:

– Jeśli Aelin Galathynius przeżyje starcie z tobą, zaczniesz szukać mnie. Nie mam zamiaru jej na to pozwolić.

Erawan uśmiechnął się szerzej.

– A więc chcesz się ze mną sprzymierzyć – rzekł.

– Tylko zjednoczeni jesteśmy w stanie doprowadzić do ostatecznego upadku rodu Brannona.

– Czemu więc jej nie zabiłaś, gdy miałaś ją w swoich rękach?

– A ty byś tak zrobił, bracie? Nie spróbowałbyś jej przeciągnąć na swoją stronę?

Milczenie Erawana było najlepszym potwierdzeniem jej domysłów.

– Odśloniłaś przede mną wiele tajemnic, siostrze. Spodziewasz się, że chętnie uwierzę ci we wszystko?

– Przewidziałam to. – Usta Maeve wykrzywiły się lekko. – Nie zostało mi nic poza moją mocą.

Erawan nie odzywał się, jakby był doskonale świadom tego, że królowa wciąga go do własnego tańca. Maeve wyciągnęła jasną niczym księżyc dłoń w kierunku środka komnaty.

– Jest jednak jeszcze ktoś, kogo chętnie wprowadzę do gry, o ile będziesz zainteresowany.

Machnęła smukłymi palcami i naraz pojawiła się dziura.

Dorian zamarł, a potem wtulił się głębiej w cienie i kurz. Nawet nie próbował powstrzymać drżenia całego ciała, gdy w głębi magicznej dziury pojawił się koszmar, który mógł zostać stworzony jedynie przez

prawdziwy mrok.

– Całkiem zapomniałem, że opanowałaś tę umiejętność – rzekł Erawan. Jego złociste oczy rozbłysły na widok istoty, która wyłoniła się z portalu i pokłoniła im, kłapiąc szczypcami. Był to ogromny, czarny pająk. – Zapomniałem też, że te istoty nadal chcą ci służyć – dodał.

– Gdy Fae mnie wygnali – powiedziała Maeve, uśmiechając się lekko do ogromnego pająka – powróciłam do tych, którzy zawsze pozostawali lojalni wobec mnie.

– Stygijskie pająki rządzą się już same – sprzeciwił się Erawan. – Twoja lista sojuszników mocno się skróciła.

– To nie są stygijskie pająki. – Maeve pokręciła głową. Jej ciemne włosy rozbłysły.

W głębi portalu Dorian widział poszarpane, szare skały, a za nimi góry.

– To *kharankui*, jak zwą je ludzie z południowego kontynentu. Moje najwierniejsze służebnice.

Serce Doriana biło jak szalone, gdy pająk uklonił się ponownie.

Na twarzy Erawana pojawiło się znudzenie.

– A po co mi one? – spytał i wskazał ręką piekielny krajobraz za oknem. – Stworzyłem całe armie, które są mi wierne. Nie potrzebuję kilkuset pajaków!

Maeve nawet nie drgnęła.

– Moje służebnice są bardzo pomysłowe, a ich sieci sięgają daleko. Opowiadają mi o tym, co się dzieje na świecie. Opowiedziały mi o... kolejnej fazie twego wielkiego planu.

Dorian skupił uwagę.

Erawan zeszywniał.

– Księżniczki Valgów potrzebują ciał, a tobie jakoś nie udało się zapewnić im ciał wystarczająco potężnych. Wiem, że zaszczepiłeś jedną z nich do ciała pewnej księżniczki z kaganatu, ale ta pozbyła się demonicy i znów włada własnym ciałem.

Księżniczki Valgów. Południowy kontynent. Chaol...

- Słucham – powiedział Erawan.

Maeve wskazała pająka, nadal kłaniającego się w portalu prowadzącym na południowy kontynent, otwartym równie łatwo jak okno.

- Po co szukać ludzkich ciał dla sześciu pozostałych księżniczek, skoro mógłbyś dać im ciała o wiele potężniejsze? I posłuszniejsze?

Złote oczy Erawana zerknęły na pająka.

- Pozwoliłybyście na to? – zapytał wprost.

Pająk zaklekotał szczypcami. Okropne oczy zamigotały.

- Każda sposobność, by udowodnić naszą lojalność wobec królowej, to dla nas zaszczyt – odpowiedział.

Maeve uśmiechnęła się do pająka, a Dorian zadrżał.

- Nieśmiertelne, potężne ciała – mruknęła kusząco Maeve do króla Valgów. – Mają wiele wrodzonych darów. Wyobraź sobie tylko, jak spodobają się księżniczkom. W połączeniu z moimi służebnicami staną się czymś o wiele wspanialszym!

„Tak – pomyślał Dorian. – Niewyobrażalnym koszmarem”.

Erawan nie odezwał się ani słowem.

Maeve zamachała palcami, a portal z pajakiem znikł. Królowa wstała, wdzięcznie niczym cień.

- Pozwolę, byś zastanowił się nad tym sojuszem, jeśli sobie tego życzysz. *Kharankui* wypełnią moją wolę i z radością pomaszerują pod twoim sztandarem.

- A co mam powiedzieć memu bratu, gdy znów go zobaczę?

Maeve przechyliła lekko głowę.

- A chcesz się z nim zobaczyć?

- A po co niby od tak dawna buduję swe armie? Jak myślisz, po co przygotowuję ten świat, jak nie po to, by powitać moich braci? By zrobić na nich wrażenie tym, co tu osiągnąłem.

Erawan był gotów ściągnąć pozostałych królów Valgów na Erileę, jeśli będzie miał sposobność. Jeśli zaś temu podoła...

Maeve wpatrywała się w siedzącego króla.

– Przekaż Orcusowi, że mam już dość czekania na to, by wrócił do domu ze swoich podbojów. – Uśmiechnęła się niczym pajęczycą i dodała: – Wolałabym do niego dołączyć.

Erawan zamrugał, co było u niego jedynym objawem zaskoczenia. Machnął wypielegnowaną dłonią, a drzwi otworzyły się pod naporem widmowego wiatru.

– Zastanowię się nad tym, siostró. Zuchwałość, która nakazała ci mnie odwiedzić, jest doprawdy godna podziwu, a więc chciałbym cię tu gościć do chwili, gdy podejmę decyzję.

W korytarzu pojawiło się dwóch strażników. Dorian skulił się, napinając mięśnie.

– Ci tu odprowadzą cię do twojej komnaty.

Dorian wiedział, że nie może przebywać w pomieszczeniu zbyt długo, bo zostanie wykryty. Co więcej, nie wyczuł nigdzie Klucza. Później. Podejmie poszukiwania później. Zastanowi się też nad tym, jak najlepiej zabić króla, o ile znajdzie w sobie tyle głupoty, by podjąć próbę. Na razie...

Maeve zebrała swój płaszcz. Dorian smyrgnął na zewnątrz i znów znikł wśród cieni. Królowa Fae wyszła z komnaty, a dwaj strażnicy poprowadzili ją korytarzem ku krętym schodom, znikającym w sąsiedniej wieży. Dorian pomknął za nią. Komnata, w której znalazła się królowa, była wyposażona w meble z polerowanego, dębowego drewna i wypraną pościel, ani chybi pochodzące z czasów, gdy twierdza była ludzką fortecą, a nie siedzibą koszmarów.

Gdy zamknęły się drzwi, Maeve oparła się o szafę i westchnęła:

– Chcesz się kryć w tej żalösnej formie przez cały dzień?

Dorian runął ku szparze między drzwiami i podłogą. W tej samej chwili stopa w czarnym trzewiku przygniotła jego ogon. Ciało przeszył mu ból, ale stopa ani drgnęła. Jego magia buchnęła, jednak natychmiast otoczył ją czarny wiatr i zaczął dusić.

Królowa Fae uśmiechnęła się zimno.

– Kiepski z ciebie szpieg, królu Adarlanu.

Magia Doriana szalała, miotła się i ryczała, więziona przez mroczną moc. Gdyby mógł zmienić się w wywernę i oderwać Maeve głowę...

Ta jednakże tylko uśmiechnęła się, znużona i rozbawiona, po czym zdjęła trzewik z jego nieszczęsnego ogona, a następnie zwolniła magiczną barierę.

Dorian zadrżał, gdy mroczna, gnijąca moc musnęła pazurami jego magię, otarła się o jej migotliwe, surowe wnętrze i znikła. Z trudem powstrzymał się od zwymiotowania. Z jeszcze większym trudem powstrzymał odruch dotknięcia jasnej pręgi na szyi, by się upewnić, że nie ma na niej naszyjnika.

Na czerwonych ustach Maeve nadal widniał uśmiech. Jego własna magia dygotała, wciąż rozpamiętując kontakt z mocą królowej. Wiedział, że potrafi ona włamywać się do umysłów i rozdzierać je na strzępy. Wiedział, że ma przed sobą prawdziwego przeciwnika, kogoś, kto wymaga całkowicie innego podejścia. Podejścia głupca. Podejścia dworzanina.

Powrócił więc do ludzkiej sylwetki, a gdy stanął przed obliczem królowej, jej uśmiech stał się jeszcze szerszy.

– Aleś ty przystojny – oznajmiła.

Dorian uklonił się z gracją, jednak nie ośmielił się nawet sięgnąć po Damaris.

– Skąd wiedziałaś?

– Poznałam ciebie, twój zapach oraz twą moc we wspomnieniach Aelin. – Maeve przechyliła lekko głowę. – Choć mój szpieg nie wspomniał o twoim zainteresowaniu zmiennokształtnością.

Cyrene. Przeszyło go przerażenie.

Maeve podeszła do ławki stojącej przed łóżkiem i zasiadła na niej iście po królewsku, jakby to był tron.

– Nie zastanowił cię fakt, że Matrony wiedziały, gdzie was szukać?

– Cyrene była z nami przez zaledwie jeden dzień – wykrztusił.

- Naprawdę uważasz, że tak wysoko w górach nie ma innych pajaków? Wszystkie mi służą! Wystarczyło, by Cyrene szepnęła raz, a inne pająki natychmiast odnalazły mnie, a potem Żelaznozębne.

Maeve przesunęła dłonią po swej szacie.

- Nie wiem jeszcze, czy Erawan dowie się o twoich darach. Zanim zabiłeś Cyrene, ta zdołała mnie poinformować, że jesteś... cóż, inny.

Ani przez moment nie żałował, że ją zabił.

- Ale to nie ma znaczenia. Cyrene nie żyje, a ty jesteś daleko od miękkich ramion Manon Czarnodziobej.

Dorian oparł dłoń na rękojeści Damaris. Maeve spojrzała na stare ostrze i uśmiechnęła się jadowniczo.

- Wygląda na to, że królowa Terrasenu nauczyła się dzielić. Spory ma skarbczyk, nieprawdaż?

Dorian drgnął. Jeśli Maeve wiedziała o wszystkim, co posiadała Aelin...

- O tym też wiem – odparła Maeve. Jej ciemne oczy nie miały dna. Damaris ogrzewał dłoń młodego króla. – I wiem też, że Cyrene nie odgadła prawdy o Kluczach. – Przyjrzała mu się uważnie. – Gdzie one są, Dorianie Havilliard?

Coś śliskiego, zarazem ostrego prześlizgnęło się po jego umyśle, jakby próbowało dostać się do środka. Magia Doriana ryknęła i w mentalne szpony uderzyła lodowa nawałnica, która odtrąciła intruza.

Maeve zachichotała. Dorian zamrugnął i przekonał się, że wszystko w komnacie pokrywa warstwa szronu.

- Dość dramatyczna metoda, ale skuteczna.

Dorian uśmiechnął się krzywo.

- Myślisz, że jestem na tyle głupi, by wpuścić cię między swoje myśli? – Zaciskając jedną dłoń na mieczu, wsunął drugą do kieszeni, by powstrzymać jej drżenie. – Albo powiem ci, gdzie zostały ukryte Klucze?

- Warto było spróbować – oznajmiła Maeve.

- Czemu nie zaczniesz wołać na alarm? – odpowiedział Dorian.

Maeve rozparła się i przyjrzała mu się uważnie.

– Chcesz tego co ja, a ma to Erawan. Czy nie czyni to z nas sojuszników?

– Chyba oszalałaś, jeśli myślisz, że kiedykolwiek oddam ci Klucze.

– Oszalałam? A co z nimi zrobisz, Dorianie? Zniszczysz je?

– A ty, co zamierzasz z nimi zrobić? Podbić świat?

– Och, nie! – Maeve się roześmiała. – Nie lubię banalnych, zwyczajnych scenariuszy. Dołożyłabym wszelkich starań, by Erawan i jego bracia nigdy nie powrócili.

Damaris nadal grzał go w dłoń. Maeve mówiła prawdę. Przynajmniej częściowo.

– Bez zażenowania przyznajesz, że zamierzasz zdradzić Erawana?

– A jak myślisz, po co tu przybyłam? – spytała Maeve. – Po tym, jak wygnali mnie moi poddani, doszłam do wniosku, że prędzej czy później dotrzesz do Morath.

Ciepło miecza nie słabło. Mimo to Dorian spytał:

– Nie sądzisz chyba, że ci uwierzę, iż dotarłaś tu po to, by zdobyć moją lojalność. Nie po tym, jak widziałem, że chcesz zaoferować swe pająki Erawanowi.

Nie chciał nawet wiedzieć, do czego są zdolne księżniczki Valgów i dlaczego Erawan jak dotąd nie chciał ich uwolnić.

– To niewielka ofiara z mojej strony, konieczna, by zdobyć jego zaufanie.

Damaris pozostawał ciepły.

– Tak naprawdę to niewiele nas różni, a ja, dzięki twej przyjaźni, nie mam już nic do stracenia.

Prawda, prawda, wszystko prawda.

I wtedy nagle odkrył lukę, której tak bardzo potrzebował.

Nadal zasłaniając swój umysł ścianą lodu, uwolnił magię, by ta oszacowała możliwości przeciwniczki, a sam zsunął dłoń z rękojeści miecza. Chciał, by Maeve odniosła wrażenie, że jego nieufność powoli maleje.

- Aelin osiągnęła mistrzostwo w niszczeniu innych królestw dla ratowania własnego.

- Oraz w zmuszaniu innych, by płacili jej długi.

Dorian znieruchomiał, choć jego magia nadal przyglądała się ostrożnie ciemnej mocy królowej.

- Czyż nie po to tu jesteś? – ciągnęła Maeve. – Czyż nie chcesz złożyć się w ofierze, by Aelin nie musiała tego robić? – Cmoknęła cicho. – Cóż za niepotrzebna strata. Dlaczego któreś z was miałyby teraz płacić cenę za głupotę Eleny?

- Prawda.

Miecz nadal był ciepły.

- Czy mogę ci powiedzieć, co wyjawiała mi Aelin w chwilach, gdy mogłam sięgnąć do jej umysłu?

Tym razem Dorian nie ośmielił się dotknąć broni.

- Więziłaś ją! – warknął. – Nie chcę słyszeć o tym ani słowa!

Maeve zarzuciła kaskadę włosów za ramię, nucąc cicho.

- Aelin cieszy się, że padło na ciebie – powiedziała po prostu. – Ma nadzieję, że sama spóźni się odrobinę z powrotem. Że uda ci się wypełnić zadanie i tym samym oszczędzić jej okropnego losu.

- Ma męża oraz królestwo. Wcale jej nie winię – parsknął Dorian. Ostry ton jego głosu nie był wcale do końca udawany.

- Nie? A ty nie masz przypadkiem własnego królestwa, którym również należałoby się zająć? Nie mniej potężnego i szlachetnego od Terrasenu?

Dorian nie odpowiedział, na co Maeve stwierdziła:

- Aelin przebywa na wolności od kilku tygodni, a mimo to nawet nie próbowała cię odnaleźć.

- Ten kontynent nie należy do najmniejszych.

Maeve uśmiechnęła się znacząco.

- Ale mogłaby cię znaleźć, gdyby jej zależało. Mimo to udała się do Anielle.

Dorian doskonale rozumiał grę, w którą grała wygnana królowa.

Jego magia wysunęła się nieco. Wyraźnie wyczuwał szczelinę.

Moc Maeve w tej samej chwili spróbowała wdrzeć się tą samą drogą, ale ledwie przekroczyła próg, Dorian zacisnął zęby i znów wypchnął ją z własnego umysłu. Mur lodu zderzył się z wolą królowej.

– Jeśli chcesz, bym się z tobą sprzymierzył, wybrałaś doprawdy imponujący sposób, by to pokazać. Niech cię szlag!

Maeve zaśmiała się cicho.

– A winisz mnie o to, że próbuję?

Dorian nie odpowiedział. Wpatrywał się w nią przez chwilę, udając, że się zastanawia. Przywołał całe swe dworskie obycie i doświadczenie, by zamaskować wszelkie emocje na twarzy.

– Myślisz, że zdrada przyjaciół przyjdzie mi tak łatwo?

– Czy to zdrada? – zadumała się Maeve. – Z tego, co ja widzę, rozmawiamy o innym rozwiązaniu problemu, który dotyczy nas wszystkich. Rozwiązaniu, w którym ani ty, ani Aelin Galathynius nie zapłacicie ostatecznej ceny. Od samego początku chciałam, by nie stała się ofiarą nieczułych, obojętnych na wszystko bogów.

– Ci bogowie to potężne istoty.

– A więc gdzie teraz są? – Maeve wskazała gestem komnatę i całą twierdzę.

Odpowiedziała jej cisza.

– Boją się. Mnie. Erawana. Kluczy – wyjaśniła królowa z uśmiechem godnym zmił. – Ciebie też. Ciebie i Aelin Niosącej Ogień. Władacie mocą tak wielką, że moglibyście odesłać ich do domów. Bądź w nicość.

Nie odpowiedział. Wiedział, że królowa ma częściowo rację.

– Czemu więc się im nie sprzeciwić? Dlaczego miałbyś chcieć poddać się ich woli? Czy oni kiedykolwiek zrobili cokolwiek dla ciebie?

Przed oczami młodego króla przemknęła twarz Sorschy, na której zastygł ból.

– Nie ma innego sposobu, by to zakończyć – powiedział w końcu.

– Klucze mogłyby to zakończyć.

Wiedział, że Maeve zależało na tym, by nimi zawładnąć. Bynajmniej nie chciała ich wykorzystać do zapieczętowania Bramy.

– Te Klucze mają wielką moc – ciągnęła Maeve. – Mogłyby zniszczyć Erawana i wygnać bogów do ich świata. – Przechyliła głowę i dodała: – A do tego otworzyć kolejne wrota do królestw pokoju i równowagi.

„Do tej, która bez wątplenia będzie tam czekać” – pomyślał.

Mroczna, drapieżna moc, która osaczała jego umysł, rozplynęła się i cofnęła do swej pani.

Aelin już raz tego dokonała. Otworzyła owe wrota, by ujrzeć Nehemię. Było to więc możliwe, a jego spotkania z Gavinem i Kaltain tylko to potwierdzały.

– A co, jeśli nie sprzymierzysz się tylko ze mną – spytał w końcu – ale z całym Adarlanem?

Maeve nie odpowiedziała, jakby propozycja ją zaskoczyła.

– Byłby to sojusz o wiele większy niż tylko nas dwoje szukających Kluczy – ciągnął Dorian, wzruszywszy ramionami. – Nie masz własnego królestwa i bez wątplenia marzy ci się kolejne. Może więc użyczysz swoich mocy Adarlanowi? Może ściągniesz swe pająki, by służyły mnie?

– Jeszcze chwilę temu nie posiadałeś się ze złości, że uwięziłam twą przyjaciółkę.

– I nadal jestem wściekły, ale nie na tyle dumny, by od razu odrzucić tę możliwość. Marzy ci się królestwo? A więc dołącz do mnie. Sprzymierz się ze mną, pomóż mi pozbawić Erawana tego, czego oboje pragniemy, a ja uczynię cię moją królową. Będziesz władać o wiele większymi ziemiami, a moi ludzie nie powstaną przeciwko tobie. Będzie to dla ciebie nowy początek, jak sądzę.

Maeve nie odzywała się przez chwilę. Dorian oparł się o drzwi w pozie dworskiej nonszalancji.

– Pewnie uważasz, że próbuję cię oszukać. Cóż, może tak jest.

– A Manon Czarnodzioba? Co z obietnicami, które ona od ciebie usłyszała?

– Nie obiecywałem jej nic, co miałoby związek z moim tronem,

a zresztą ona i tak nie chciałaby słyszeć o niczym takim. – Nie krył goryczy w głosie. – Wszak wiele małżeństw zbudowano na o wiele słabszych fundamentach.

– Jeśli utworzymy prawdziwy sojusz, Aelin Dziki Ogień może cię uznać za wroga.

– Aelin nie będzie chciała pozbyć się sojusznika. Odkryje też, że nie jest jedyną, która może uratować świat. Być może nawet mi podziękuje, jeśli mówisz prawdę i faktycznie nie ma ochoty na złożenie z siebie ofiary.

Czerwone usta Maeve wygięły się w uśmiechu.

– Jesteś młody i bezczelny – rzekła.

Dorian uklonił się nisko.

– A także niebywale przystojny i skory do oddania własnego tronu w geście dobrej woli.

– Mogłabym cię sprzedać Erawanowi choćby teraz, a on hojnie by mnie wynagrodził.

– Wynagrodziłby cię, tak... Jak psa, który przynosi mu ustrzelonego bązanta! – Dorian się zaśmiał, a jego oczy rozbłysły. – Nie zapomnij, że to ty zaproponowałaś sojusz między nami, nie ja. Zastanów się dobrze, Maeve. Chcesz rządzić czy klęczeć? – Poklepał się dłonią po jasnym paśmie na szyi. – Ja już raz uklęknąłem i doszedłem do wniosku, że nie chcę już tego robić. Ani dla Erawana, ani dla Aelin czy kogokolwiek innego. – Znów wzruszył ramionami. – Kobieta, którą kochałem, nie żyje. Moje królestwo rozpadło się. Cóż więcej mam do stracenia? – Pozwolił, by na jego twarzy odbił się chłód lodu, który nosił w pustym sercu. – Ja mam wielką ochotę rozpocząć tę grę. A ty?

Maeve umilkła, a jej widmowe dłonie uniosły się powoli ku zakamarkom jego umysłu.

Pozwolił jej ujrzeć prawdę, której szukała. Wytrzymał jej badawczy dotyk.

W końcu Maeve wypuściła powietrze przez nos.

– Przybyłeś do Morath po Klucz, a opuścisz twierdzę z narzeczoną.

O mało nie westchnął z ulgą.

- Zabiorę zarówno ciebie, jak i Klucz. I to szybko.
 - A jak chcesz odnaleźć to, czego szukamy?
- Dorian uśmiechnął się do królowej Valgów.
- Pozostaw to mnie.

Kilka godzin później Dorian pod postacią kruka zasiadł na szczycie najwyższej wieży Morath. Wpatrywał się w obozowiska armii na dnie doliny. Mroźny wiatr znad okolicznych szczytów mierzwił jego pióra.

Wrzaski i powarkiwanie wreszcie umilkły, jakby nawet dozorczy podziemi Morath pracowali w stałych godzinach. Myśl ta rozbawiłaby go, gdyby nie wiedział, co się odbywało w podziemiach. Kogo w nich łamano i co tam hodowano.

Trafił tam jego kuzyn Roland. Dorian był tego pewien, choć nikt nigdy tego nie potwierdził. Czy udało mu się przeżyć ingerencję księcia Valgów, czy może stał się posiłkiem dla któregoś z koszmarów, który tam żył?

Dorian uniósł głowę i rozejrzał się po niebie. Księżyc jaśniał zasłonięty chmurami. Widać było jedynie wąskie strużki srebrnego światła, które najwyraźniej usiłowały się ukryć przed czujnym wzrokiem strażników Morath.

Rozpoczął naprawdę niebezpieczną grę.

Czy Gavin miał teraz na niego oko z miejsca, do którego trafił po śmierci? Czy dowiedział się już może, z jakim potworem Dorian połączył właśnie siły?

Młody król nie odważył się go na razie wzywać. Erawan znajdował się za blisko, tak blisko, że Dorian w każdej chwili mógł go zaatakować. Może powinien był spróbować. Może wykazał się wielką głupotą, że tego nie zrobił. Może też popełnił błąd, przybywając tutaj, przed czym przestrzegała go Kaltain. Naraził jednak misję na niepowodzenie. Erawan na pewno miał dla niego odłożony naszyjnik.

Dorian zerknął na sąsiednią wieżę, gdzie spała Maeve. Niebezpieczna gra, doprawdy niebezpieczna.

Kolejna mroczna wieża wznosząca się za tą, którą przydzielono gościowi, wydawała się tętnić mocą. Komnata narad nadal była

oświetlona, a po korytarzach uwijali się ludzie z pochodniami.

Wiedział, że to najgłupsze, co może zrobić, mimo to złapał się na tym, że wzbija się w mroźne powietrze, a po chwili ląduje na parapecie. Podskoczył do popękanego okna. Uchylił szybką dziobem i wyteżył słuch.

– Jestem tu od tylu miesięcy, a on teraz odrzuca me rady! – mówił wysoki, chudy mężczyzna, który oddalał się od sali narad, zmierzając ku kończącym korytarz drzwiom, strzeżonym przez wartowników o pustych twarzach. Dwóch niższych mężczyzn usiłowało za nim nadążyć.

– Erawanem kierują doprawdy tajemnicze powody, lordzie Vernonie, ale nie robi niczego w sposób nieprzemyślany. Musimy zaufać jego osądowi.

Dorian zamarł. Vernon Lochan. Wuj Elide.

Jego magia buchnęła i szybę zaszklili lód. Młody król raz jeszcze spojrzął w ślad za wysokim mężczyzną, który szedł szybkim krokiem. Poły czarnej, podbitej futrem peleryny unosiły się nad ziemią.

– Ufam jego osądom od dawna, choć coraz więcej mnie to kosztuje – warknął Vernon.

Lord i jego doradcy minęli drzwi i znikli za rogiem, a ich głosy powoli przycichły. Dorian rozejrzał się po pustym korytarzu. Spojrzął na drzwi do sali narad, nadal uchylone.

Nie zawahał się. Nawet nie przemyślał ponownie planu, który wskoczył mu do głowy. Czekał.

Erawan wyłonił się godzinę później.

Serce Doriana tłukło się jak szalone, ale stał spokojnie w korytarzu, wyprostowany, z dłońmi splecionymi z tyłu, tak jak pokazał się strażnikom po przemianie i wyjściu zza rogu.

Król Valgów przyjrzał mu się raz i zacisnął usta.

– Wydawało mi się, że odesłałem cię już na spoczynek, Vernonie – rzekł, zbliżając się do niego.

Dorian pochylił głowę i uspokoił swój oddech. Jego magia drgnęła i cofnęła się w panice, ale zdusił ją i upchnął tam, gdzie władca

Valgów nie był w stanie jej wyczuć.

Tak jak wcześniej nie wyczuł Doriana. Być może surowa magia wymazywała rozpoznawalne zapachy.

– Powróciłem do mych komnat, panie, ale uświadomiłem sobie, że mam pytanie niecierpiące zwłoki.

Modlił się, by Erawan nie dostrzegł różnicy w ubiorze oraz miecza, który usiłował zasłonić płaszczem. Modlił się, by uznał, że Vernon powrócił po przebraniu się. Modlił się, by jego sposób mówienia niewiele się różnił od tego, jak odzywał się lord Perranthu. Mówił tak, jak przystało na płaszczącego się, słabego człowieka, gotowego sprzedać własną bratanicę królowi demonów.

– O co chodzi? – Erawan szedł w stronę korytarza prowadzącego do własnej wieży, koszmar skryty w pięknym ciele.

„Atakuj! Uderzaj! Zabij go!”.

Mimo to Dorian wiedział, że nie przybył tu po to. Nie, wcale nie.

– Dlaczego? – spytał cicho, nie podnosząc głowy.

Erawan skierował nań złociste, jaśniejące oczy. Oczy Manon.

– Dlaczego co?

– Mógłbyś zawładnąć wieloma innymi krainami, a mimo to upodobałaś sobie tę. Jest to dla nas wielki zaszczyt, ale od dawna zastanawiam się, co jest przyczyną.

Erawan zmrużył oczy, a Dorian nadal udawał pokornego sługę, który zdobył się na odwagę, by podzielić się ze swym panem nurtującą go kwestią. A może Vernon już o to pytał?

Idiotyczne ryzyko. Jeśli Erawan zauważył miecz...

– Wraz z braćmi zamierzałem podbić ten świat, by dodać go do innych, którymi już władaliśmy. – Blask pochodni odbijał się w złocistych włosach Erawana. Szedł przed siebie, a Dorian usiłował za nim nadążyć, przeświadczony, że gdy mężczyzna dotrze do drzwi, rozmowa dobiegnie końca. – Natrafiliśmy jednak na zaskakujący opór i zostaliśmy przegnani. Nie pozostało mi nic innego, jak tylko odpłacić temu światu za cios, jaki nam wymierzył. Uczynię go dokładnie takim, jaka jest nasza ojczyzna, by uczić moich braci i przygotować go na ich przybycie.

Dorian przypomniał sobie niekończące się lekcje na temat wysokich rodów sąsiednich królestw.

– Ja również dobrze wiem, czym jest rywalizacja między braćmi – rzekł i uśmiechnął się do władcy głupkowato.

– Ty swego brata zabiłeś. – Erawan nudził się już rozmową. – Ja swoich darzę wielką miłością.

Pomysł był śmiechu wart.

Do drzwi pozostała jeszcze połowa drogi.

– A więc naprawdę wyróżniesz wszystkich, którzy tu mieszkają?

– Tych, którzy nie uklękną przede mną.

Maeve przynajmniej chciała zachować ich świat. Zawładnąć nim, ale go zachować.

– Otrzymają pierścienie i naszyjniki czy może pisana im jest czysta śmierć?

Erawan zerknął nań z ukosa.

– Nigdy jakoś nie przejmowałeś się losem swych rodaków. Nie interesowała cię nawet twoja bratanica, choć okazała się porażką.

Dorian udał, że się kuli, i pochylił głowę jeszcze niżej.

– Raz jeszcze przepraszam za to, panie. To sprytna i podła dziewczyna.

– I to chyba bardzo, skoro wystarczyła jej jedna konfrontacja, by cię przerazić.

Dorian znów się uklonił.

– Wyruszę, by ją odnaleźć, jeśli tego sobie życzysz, panie.

– Jestem świadom, że nie posiada już tego, czego szukam. Ciebie obciążam winą za tę stratę.

Miał na myśli Klucz Wyrda, który Elide dostała od Kaltain i zabrała ze sobą.

Dorian zadał sobie w myślach pytanie, czy Vernon naprawdę schodził Erawanowi z oczu przez długie miesiące i unikał tej rozmowy. Znów udał dreszcz.

– Powiedz mi, panie, jak to naprawić, a zrobię to.

Erawan zatrzymał się, a Dorianowi zaschło w ustach. Jego magia wezbrała, gotowa do użycia, ale młodzieniec zmusił się, by spojrzeć królowi w oczy. Spojrzeć w oczy bestii, która doprowadziła do takich zniszczeń.

– Twoja linia okazała się dla mnie bezużyteczna, Vernonie – odezwał się Erawan nazbyt cichym głosem. – Czyżbym miał znaleźć dla ciebie inne zastosowanie w Morath?

Dorian doskonale wiedział, o czym Erawan mówi. Uniósł dłonie w błagalnym geście.

– Jestem twoim sługą, panie.

Erawan wpatrywał się w niego przez dłuższą chwilę, po czym rzekł:

– Odejdź.

Dorian się wyprostował.

Erawan zrobił jeszcze kilka kroków w stronę wieży. Pilnujący drzwi strażnicy o pustych twarzach rozstąpili się.

– Naprawdę ich nienawidzisz? – wypalił Dorian.

Erawan obrócił się ku niemu.

– Ludzi. Aelin Galathynius. Dorianą Havilliarda. Wszystkich. Naprawdę ich nienawidzisz?

„Dlaczego skazujesz nas na takie cierpienia?” – dodał w myślach.

Złote oczy Erawana zamigotały.

– Przeszkadzają mi w połączeniu się z braćmi – rzekł. – Nie pozwolę, by ktoś stanął mi na drodze.

– Ale przecież musi być inny sposób, byś do nich powrócił. Bez tak wielkiej wojny.

Erawan omiótł go spojrzeniem. Dorian robił wszystko, by Erawan nie pochwycił jego zapachu. Modlił się w duchu, by emocje nie odebrały mu władzy nad zmiennokształtnością.

– A gdzie w tym zabawa? – spytał władca Valgów i odwrócił się w stronę korytarza.

– Czy były król Adarlanu też o to pytał? – wyrwało się Dorianowi.

Erawan znów zamarł.

- Nie był aż tak wiernym sługą, jak sądzisz. I zobacz tylko, do czego go to doprowadziło.

- Opierał ci się.

- Nigdy się nie ugiął. A przynajmniej nie do końca.

Dorian był tak zaskoczony, że aż otworzył usta, ale Erawan znów ruszył przed siebie.

- Zadajesz wiele pytań, Vernonie – rzucił, nie oglądając się. – Zbyt wiele. Nużą mnie.

Dorian uklonił się, choć Erawan był do niego zwrócony tyłem. Król Valgów otworzył drzwi i zagłębił się w ciemny, pozbawiony światła korytarz, po czym z hukiem zatrzasnął drzwi za sobą.

Rozległo się dziwne, nieprzyjemne bicie zegara, oznajmiające północ. Dorian zawrócił i ruszył naprzód korytarzem, odnajdując inną drogę do komnat Maeve. Gdy znalazł się w ciemnym kącie, pospiesznie przeistoczył się w mysz i pomknął po podłodze przed siebie. Mysi wzrok pozwolił mu bezbłędnie odnaleźć drogę w ciemności.

Gdy wślizgnął się do środka, z ognia płonącego w kominku pozostał tylko żar.

- Jesteś głupcem – oznajmiła leżąca na łóżku Maeve, ledwie widoczna w mroku.

Dorian wrócił do własnego ciała.

- Dlaczego tak myślisz?

- Wiem, dlaczego zniknąłeś i czego szukałeś. – Jej głos wił się przez mrok. – Głupcem jesteś.

Nie odpowiedział, a więc spytała:

- Chciałeś go zabić?

- Nie wiem.

- Nie przeżyłbyś konfrontacji z nim – powiedziała obojętnie.

Dorian nie musiał dotykać Damaris, by wiedzieć, że królowa nie kłamie.

- Założyłby ci kolejny naszyjnik.

- Wiem – odparł. Może powinien się dowiedzieć, gdzie król Valgów trzyma je wszystkie, i zniszczyć kryjówkę.

- Sojusz między nami nie zadziała, jeśli będziesz się wymykał i działał jak lekkomyślny chłoptaş – syknęła Maeve.

- Wiem – odparł, choć to słowo zabrzmiało pusto.

Maeve westchnęła, gdy nie powiedział już nic więcej.

- Czy chociaż dowiedziałeś się tego, czego chciaeś?

Dorian ułożył się przed ogniem i wsunął sobie ramię pod głowę.

- Nie.

Z pewnej odległości Elfia Przełęcz wcale nie wyglądała jak złowroga baza powietrznych legionów Morath.

Nesryn stwierdziła również, że nic nie wskazuje na to, by od lat hodowano tam wywerny, i doszła do wniosku, że to właśnie brak jakichkolwiek oczywistych śladów bytności króla Valgów przyczynił się do tego, iż miejsce aż tak długo pozostawało tajemnicą.

Choć była już blisko ogromnych, bliźniaczych szczytów – Północnego Kła i Omegi, które osłaniały bazę i jednocześnie oddzielały Białe Kły od Gór Ruhnn, ledwie mogła dostrzec budowle wkomponowane w zbocza. Nieco przypominały jej gniazdowisko Eridun, ale z drugiej strony nie miały z nim wiele wspólnego. Góra Eridun była pełna ruchu, a budowle wzniesione na Przełęczy, połączone kamiennym mostem niedaleko szczytu, milczały. Były zimne i przygnębiające.

Śnieg niemalże oślepił Nesryn, ale Salkhi zbliżał się do szczytów, zachowując odpowiedni pułap. Z północy nadlatywała Borte na Arcasie, przypominając zaledwie ciemny cień wśród rozszalałej bieli.

Daleko za nimi, na dnie doliny za Przełęczą, stała połowa ich armii z rękami, czekając na powrót Nesryn, Borte oraz pozostałych zwiadowców. Pokonali rzekę pod osłoną ciemności zeszłej nocy, a ci, których nie mogły przenieść ruki, dotarli na drugi brzeg na łodziach.

Pozycja armii była dość ryzykowna. Na jej tyłach płynęła rzeka Avery, która odcinała drogę ewentualnej ucieczki. Była częściowo zamrznięta, ale nie na tyle, by móc zaryzykować przejście po lodzie. Gdyby bitwa potoczyła się nie po myśli Sartaqa, jego armia nie miałaby dokąd się wycofać.

Nesryn trąciła Salkhiego i otoczyła Północny Kieł od południa. Śnieżycą w dole na moment odsłoniła coś, co łuczniczka uznała za tylne wejście do wykutej we wnętrzu góry fortecy. Nie było ani śladu wartowników czy wywern.

Być może wszyscy schronili się w środku ze względu na pogodę.

Zerknęła na południe, ku Kłom, ale nie mogła stąd dostrzec drugiej części ich armii, która przedzierała się przez góry, by wyjść na Przełęcz przez zachodnie wejście. Ich droga była o wiele bardziej niebezpieczna i zdradliwa.

Niemniej jednak gdyby udało im się zgrać nadejście, gdyby zdołali wypchnąć wojska z Przełęczy na równinę przed nadejściem reszty armii z zachodu, mogliby ją po prostu zmiażdżyć niczym w imadle, i to bez konieczności sięgnięcia po moc Aelin Galathynius, jej męża oraz dworu.

Salkhi okrążył z dala Północny Kieł. Nesryn widziała, jak Borte robi zwiad wokół Omegi. Nigdzie nie było ani śladu wroga.

Po chwili Nesryn i Borte raz jeszcze przeleciały przez Elfią Przełęcz, tym razem ryzykując nawet przelot między szczytami, ale nadal nie widziały nikogo.

Jakby wróg rozpląnął się w powietrzu.

Białe Kły były bezlitosnym miejscem.

Dzicy górale, którzy służyli im za przewodników, pomogli im unikać największych niebezpieczeństw. Wiedzieli, które przełęcze mogą być zasypane śniegiem, które mogła pokryć niebezpieczna warstwa lodu, a które były zbyt szerokie, by można się było na nich ukryć przed oczami podniebnego obserwatora. Choć prowadzili przez góry całą armię, Chaol nie mógł się nadziwić prędkości, z jaką brnęli naprzód. Po zaledwie trzech dniach pokonali same góry i wyszli na płaską, owianą śnieżycą zachodnią równinę.

Nigdy dotąd nie odwiedził tych ziem, choć z formalnego punktu widzenia należały do niego. Oficjalna granica Adarlanu biegła wzdłuż równin ciągnących się za Kłami. Dalej rozpościerały się bezimienne terytoria Pustkowi. Chaol miał jednak wrażenie, że już znalazł się na Pustkowiach, osobliwie cichych i rozległych, biegnących daleko, aż po horyzont.

Nawet opanowani wojownicy z kaganatu nie przyglądali się długo Pustkowiom podczas drogi na północ. Yrene w nocy tuliła się do niego mocniej i szeptała o dziwnej atmosferze oraz głuchej ciszy tej krainy.

„Zupełnie jakby ta kraina nie umiała śpiewać” – powtórzyła

parokrotnie, drżąc przy tym.

„To właśnie tam Erawan powinien zbudować swoje imperium – myślał Chaol podczas drogi na północ wzdłuż pozostających po prawej Kłów. – Cholera, oddalibyśmy mu je nawet wtedy, gdyby tylko zbudował swą fortecę w głębi lądu i tam pozostał”.

– Do Przełęczy dotrzemy nazajutrz – odezwał się do Chaola Kai, jeden z dzikich ludzi, podczas niebywale słonecznego poranka. – Dziś wieczorem rozbijemy obóz na południe od Północnego Kła, a jutro rano wkroczymy na samą Przełęcz.

Istniał jeszcze jeden powód – poza nowymi ziemiami – dla którego górale sprzymierzyli się z armią Chaola. Wiedźmy mordowały ich pobratymców przez całą wiosnę. Z części klanów i obozów pozostały jedynie krwawe strzępy. Inne obozowiska zostały spalone do gołej ziemi, a nieliczni ocaleli szeptali z przerażeniem o ciemnowłosej kobiecie władającej nieczystą mocą. Chaol był gotów się założyć, że chodziło im o Kaltain, ale nie podzielił się z góralami wieścią, że to zagrożenie zostało już wyeliminowane. Bądź dokonało aktu samospalenia.

Zresztą nie miało to większego znaczenia. Od wyruszenia z Anielle do ich armii dołączyło około dwustu górali, których jedynym celem była zemsta na wiedźmach i Morath. Chaol zataił przed nimi fakt, iż blisko rok temu sam zabił jednego z ich rodaków.

Zważywszy na to, ile się wydarzyło po śmierci Caina, którego zgładził pod koniec jego pojedynku z Aelin, równie dobrze można by uznać, że od tamtego czasu minęła cała dekada. Do Yulemas pozostało jeszcze kilka tygodni, o ile przeżyją na tyle długo, by móc obchodzić to święto.

Brodaty góral towarzyszący Chaolowi, człowiek niski i szczupły, nadrabiał braki fizyczne byстрыm umysłem i przenikliwym spojrzeniem.

– Czy jest tu jakieś miejsce, w którym mogłaby się dziś schronić cała armia? – spytał Westfall.

Kai pokręcił głową.

– Nie tak blisko. Dziś podejmiemy największe ryzyko.

Chaol zerknął na wozy uzdrowicielek, gdzie Yrene zajmowała się

żołnierzami, którzy zachorowali bądź odnieśli rany podczas podróży. Nie widział jej od chwili przebudzenia, ale wiedział, że nie przestaje się zajmować potrzebującymi. Z każdym kilometrem czuł coraz większy ból kręgosłupa.

– Pozostaje nam modlitwa – rzekł i spojrzał na coraz wyraźniejsze góry przed nimi.

– Bogowie nie odwiedzają często tych stron – odparł Kai, po czym dołączył do grupy rodaków.

Obok Chaola zatrzymał się jakiś koń. Aelin zakutana w podbity futrem płaszcz trzymała dłoń na rękojeści Goldryna. Za nią jechał Gavriel, a obok niej Fenrys. Pierwszy z nich nie spuszczał wzroku z zachodnich równin, a drugi wpatrywał się w szczyty po prawej. Obaj złotowłosi Fae milczeli, gdy Aelin odprowadziła wzrokiem Kaia, marszcząc lekko brwi.

– Z jego skłonnością do dramaturgii miałby otwartą drogę na największe sceny teatralne Rifthold – oznajmiła.

– Wielka pochwała jak na ciebie.

Aelin mrugnęła do niego i poklepała zwieńczoną rubinem rękojeść Goldryna. Szlachetny kamień zdawał się jaśnieć w odpowiedzi.

– Z daleka rozpoznam bratnią duszę – dodała.

Choć niebawem czekała ich bitwa, Chaol roześmiał się wesoło.

– Rowan i jego drużyna od kilku dni zbierają moc – odezwała się Aelin chwilę później i ruchem głowy wskazała Fenrysa i Gavriela, a potem Rowana na czele kolumny. Srebrne włosy księcia Fae jaśniały niczym słońce odbijające się od śniegu. – Ja również. Dopilnujemy, by nikt nie skrzywdził dziś tej armii. – Spojrzała znacząco na wozy uzdrowicielek. – Niektórym miejscom poświęcimy szczególną uwagę.

Chaol skinął z wdzięcznością. Dzięki mocy Aelin i jej towarzyszy nadciągająca bitwa mogła się okazać o wiele, wiele łatwiejsza. Wywerny nie będą nawet w stanie tknąć ich wojsk, skoro Aelin może je palić na niebie, a Rowan łamać im skrzydła podmuchami wiatru albo wydzierać im powietrze z płuc. Poza tym Chaol widział Gavriela i Fenrysa walczących w obronie Anielle i wiedział, że nawet bez potężnej magii są śmiertelnie groźnymi przeciwnikami. A Lorcan...

Chaol nie spojrzał przez ramię na pół-Fae, jadącego w towarzystwie

Elide. Nie miałby najmniejszej ochoty na starcie z kimś, kto władał tak mroczną mocą.

Aelin skinęła Chaolowi i dołączyła do Rowana. Rubin w jej mieczu jaśniał niczym małe słońce. Fenrys podążył za nią, strzegąc swej królowej nawet wśród sojuszników, ale Gavriel pozostał w tyle, jadąc obok Farashy. Czarna klacz zmierzyła jego wałacha wzrokiem, ale na szczęście nie próbowała go gryźć.

Lew uśmiechnął się lekko.

– Nie miałem jeszcze okazji ci pogratulować.

Chaol nie spodziewał się usłyszeć od niego takich słów. Poza naradami wojennymi nie mieli jak dotąd okazji porozmawiać. Pochylił głowę.

– Dziękuję.

Gavriel spojrzał na góry i śnieg, i na odległą północ.

– Nie miałem takiej szansy jak ty. Nie było mi dane być przy moim synu od początku i przyglądać się, jak dorasta.

Chaol często myślał o życiu, które dojrzewa w łonie Yrene, i o dziecku, które razem wychowają. Myślał o tym, czego Gavriel nie doświadczył.

– Przykro mi.

Nie istniały inne słowa, po które można by sięgnąć w tej sytuacji.

Gavriel pokręcił głową. W jego brązowych oczach błysnęły szmaragdowe plamki, gdy spoglądał na oślepiające słońce.

– Nie powiedziałem ci tego po to, byś mi współczuł. – Lew spoglądał na niego, a Chaol nagle poczuł ciężar stuleci doświadczeń Fae. – Chciałem tylko przekazać ci coś, co być może sam już wiesz. Ciesz się każdą chwilą ojcostwa.

– Tak – odparł Chaol. W głębi duszy wiedział, że jeśli przetrwa tę wojnę, nie zmarnuje ani jednej sekundy.

Gavriel uniósł wodze, jakby chciał dołączyć do towarzyszy, ale Chaol odezwał się:

– Coś mi mówi, że Aedion nie okazał ci wielu względów, gdy pojawiłeś się w jego życiu.

Gavriel ściągnął poważną twarz.

– Miał ku temu powody.

I choć Aedion był synem Gavriela, Chaol rzekł:

– Jestem pewien, że sam dobrze to wiesz, ale Aedion jest wprost niemożliwie uparty i impulsywny.

Wskazał ruchem głowy Aelin, która jechała na czele i właśnie powiedziała coś, po czym Rowan zachichotał, a Fenrys parsknął śmiechem.

– Na dobrą sprawę Aelin i Aedion mogliby być bliźniętami.

Gavriel nie przerywał mu, co zdradziło Chaolowi, że dobrze odczytał ból w jego oczach.

– Zdarza się, że oboje mówią jedno, ale myślą zupełnie coś innego, a potem będą się tego wypierać do śmierci – dodał i pokręcił głową. – Daj Aedionowi więcej czasu. Jestem pewien, że gdy dotrzemy do Orynthu, będzie się cieszył z twego przybycia bardziej, niż da po sobie poznać.

– Przywożę mu królową oraz armię. Ucieszyłby się nawet ze spotkania ze znienawidzonym wrogiem, gdyby ten tyle dla niego zrobił – rzekł Lew. Na jego opalanej twarzy pojawiła się troska, bynajmniej niezwiązana z obawą o przebieg ich spotkania, ale spowodowana świadomością niebezpieczeństw, z jakimi Aedion mógł się mierzyć na Północy.

Chaol się zamyślił.

– Mój ojciec to łajdak – rzekł cicho. – Istnieje w moim życiu od chwili poczęcia, a mimo to nigdy nie przyszło mu nawet do głowy, by zadać sobie te same pytania co ty. Nigdy się mną na tyle nie przejął. Nigdy się o mnie nie martwił. Na tym polega różnica.

– O ile Aedion zdecyduje się mi wybaczyć.

– Wybaczy – rzekł Chaol i postanowił, że zmusi go do tego.

– Skąd ta pewność?

Chaol dobrze przemyślał swoje słowa, po czym spojrzał w bystre, przenikliwe oczy Gavriela.

– Bo jesteś jego ojcem – rzekł. – I bez względu na to, co was dzieli,

Aedion zawsze będzie chciał ci wybaczyć. – Urwał, bo naraz przypomniał sobie swój własny, głęboko skrywany wstyd. Emocje, które walczyły w nim mimo tego, co zrobił jego ojciec. Nawet po tym, jak pokazał mu kufer pełen listów. – Aedion uświadomił sobie na własny sposób, że udałeś się na ratunek Aelin nie dla niej czy dla Rowana, ale dla niego. I że maszerujesz z tą armią również dla niego.

Lew spoglądał na północ. Jego oczy błyszczały.

– Mam nadzieję, że się nie mylisz – rzekł.

Nie próbował zaprzeczać, co oznaczało, że w istocie jak dotąd robił wszystko dla Aediona. Że maszerował na północ, na dno piekła, również dla swego syna.

Fae już popędził konia, gdy Chaol powiedział jeszcze jedno:

– Żałuję, że to nie ty jesteś moim ojcem.

W oczach Gavriela błysnęło zaskoczenie, a potem coś innego, znacznie głębszego. Grdyka przesunęła się pod wytatuowaną skórą.

– Dziękuję. Być może na tym polega nasza dola. Żaden z nas nie ma takiego ojca, jakiego by chciał mieć, ale wciąż ma nadzieję, że ci okażą się lepsi, zacniejsi, godniejsi, mimo wszystkich wad.

Chaol wstrzymał się od wyznania wojownikowi, że trudno o lepszego kandydata na ojca niż on sam.

– Spróbuję być godnym mego syna – szepnął Gavriel.

Chaol chciał już powiedzieć, że to Aedion powinien spróbować stać się godnym swego ojca, ale wtedy na niebie pojawiły się dwa kształty, ciemne, wielkie i przemieszczające się szybko.

Chaol pochwycił łuk przytroczone do siodła. Żołnierze zaczęli krzyczeć, a Gavriel już nakładał strzałę na cięciwę, gdy rozległ się krzyk Rowana:

– Nie strzelać!

Zadudniły kopyta rumaków Aelin i jej męża.

– To Nesryn i Borte – oznajmił Rowan.

Kilka minut później obie kobiety ześlizgnęły się po pokrytych szronem piórach swych rumaków.

– Jest bardzo źle? – spytała Aelin, do której dołączyli Fenrys,

Lorcan i Elide.

– To bez sensu. – Borte się skrzywiła. – Wszystko jest bez sensu.

Chaol już chciał jej powiedzieć, by mówiła do rzeczy, gdy głos zabrała Nesryn:

– Trzykrotnie przemierzyliśmy Przełęcz i nawet wylądowałyśmy w Omedze. Jest pusta.

– Pusta? – spytał Chaol. – Nikogo? Ani żywej duszy?

Wojownicy Fae spojrzeli po sobie.

– Kilka pieców dalej płonie, a więc ktoś tam musi być – odparła Borte – jednak nie widziałyśmy ani jednej wiedźmy, ani jednej wywerny. Nie wiem, kto tam pozostał, ale wygląda na to, że nikt poza dozorcami i trenerami.

Elfia Przełęcz była pusta. Legion Żelaznozębnych znikł.

Rowan spojrział na szczyt.

– Musimy więc sprawdzić, co oni wiedzą.

Nesryn uśmiechnęła się ponuro.

– Ludzie Sartaqa już się tym zajęli.

Dorian przemierzał Morath w setkach ciał i kształtów. Bywało, że przemykał korytarzami na cichych łapkach kota, bywało, że brnął naprzód jako karaluch lub zwiślał z belek pod postacią nietoperza, ale większość czasu spędził na nasłuchiwaniu. Na poszukiwaniach.

Erawan nadal nie zdawał sobie sprawy z jego obecności. Być może natura surowej magii w istocie zapewniała Dorianowi swoistą anonimowość, a Maeve rozpoznała go tylko dlatego, że wyłuskała kilka szczegółów na jego temat ze wspomnień Aelin.

W nocy Dorian powracał do komnaty Maeve, gdzie we dwoje analizowali wszystko, co ujrzał. Królowa nie wyjawiała mu, co robiła za dnia, by Erawan nie zwrócił uwagi na niewielką, ustawicznie zmieniającą kształt istotę, która przemykała po korytarzach jego twierdzy.

Sprowadziła jednak pająki. Dorian słyszał przerażone szepty służby o portalu, który otworzył się na moment w katakumbach i wpuścił sześć potworów. Przy użyciu jakiejś niewyobrażalnej, potwornej magii w ciała bestii weszły księżniczki Valgów.

Dorian nie wiedział, czy powinien cieszyć się z tego, że nie natknął się jeszcze na te hybrydy. Widział natomiast wychudzone ciała, niemalże zewłoki, które czasami wleczono korytarzami.

– To obiad! – syczeli ciągnący je żołnierze do przerażonych służących.

Te ofiary miały zaspokoić bezdenne głód. Przygotować pajęcze księżniczki do bitwy.

Jaką funkcję miały pełnić? Cóż miały uczynić z jego przyjaciółmi na północy? Dorian wciąż pamiętał to, co Maeve powiedziała Erawanowi. Księżniczki Valgów były trzymane tutaj w związku z drugą fazą jego tajemniczego planu. Być może miały dopilnować, by jego przyjaciele wyginęli co do jednego.

Podobne wnioski dodawały mu sił i pomagały się skupić. Pchały go do kolejnych poszukiwań, choć instynkt i zdrowy rozsądek

nakazywały mu uciekać. Nie chciał jednak tego zrobić. Nie umiał. Nie bez Klucza.

Czasami wydawało mu się, że go wyczuwa. Że wychwytuje jego przerażającą, nieziemską obecność.

Pędził wówczas za jego przeklętą mocą po schodach i prastarych korytarzach, ale tam witały go jedynie cienie i pył. Czasami trafiał do wieży Erawana, gdzie zatrzymywały go żelazne drzwi i posterunek straży. Tak, prywatna wieża mrocznego władcy była jak dotąd jednym z nielicznych miejsc, których nie miał odwagi przeszukać.

Na szczęście istniały jeszcze inne opcje.

Tego dnia Dorian przemienił się w muchę. Wychwyił smród z podziemnych komnat na długo przedtem, nim sfrunął w dół wzdłuż krętych schodów i ujrzał ciemny korytarz, który w tej postaci wydał mu się przeogromny. Podczas poszukiwań za dnia ciało muchy było najbezpieczniejszą formą. Kuchenny kot miał już polowanie za sobą, a Żelaznozębne uwijały się wokół twierdzy, najwyraźniej szykując się do drogi na północ.

Dorian szukał Klucza od świtu, podczas gdy Maeve zajmowała czymś Erawana w katakumbach po zachodniej stronie fortecy – tam, gdzie księżniczki Valgów testowały swe nowe ciała.

Nigdy nie zabrnął tak głęboko w trzewia twierdzy. Nigdy nie dotarł za piwnice i lochy, a przejście odkrył tylko dzięki zapachowi przenikającemu przez drzwi, wychwyconemu za sprawą fenomenalnego zmysłu węchu u muchy. Mijał te drzwi wielokrotnie podczas poprzednich, bezowocnych poszukiwań i jak dotąd zawsze sądził, że kryje się za nimi zwykły składzik. Aż do dziś.

Dorian dotarł na sam dół i niemalże stracił przytomność, gdy smród uderzył w niego z pełną mocą. W tej postaci był dlań tysiąckroć bardziej intensywny, tysiąckroć gorszy.

Smród śmierci, zgnilizny, nienawiści i rozpaczy. Zapach, który zostawiali jedynie Valgowie.

Za nic nie mógł go zapomnieć. Za nic.

„Zawróć – szepnął jakiś głos w jego głowie. – Natychmiast zawracaj!”.

Dolny korytarz oświetlony był jedynie kilkoma pochodniami

osadzonymi w zardzewiałych, żelaznych uchwytach. Nie było tam żadnych strażników, nawet przy samotnych, żelaznych drzwiach przy samym końcu.

Smród pulsował wzdłuż korytarza. Ewidentnie dobiegał zza tych drzwi. Wzywał. Kusił.

Czy Erawan mógłby pozostawić Klucz w miejscu, którego nikt nie strzegł? Dorian pchnął swą moc naprzód w poszukiwaniu ukrytych pułapek.

Magia niczego nie wykryła, ale gdy dotarła do żelaznych drzwi, cofnęła się gwałtownie i umknęła doń z powrotem.

Żelazne drzwi były pocięte, podrapane i na pewno liczyły sobie setki lat. Wzdłuż ich krawędzi zamontowano dziewięć zamków, każdy bardziej skomplikowany od poprzedniego. Dziewięć starożytnych, dziwacznych zamków.

Nie zawahał się. Skierował się ku niewielkiej szczelinie między kamiennym progiem a samymi drzwiami, po czym zamienił się w drobnego komara, niewiele większego od pyłku kurzu. Przeleciał pod drzwiami, usiłując nie zwracać uwagi na smród oraz pulsowanie krwi.

Minęła dłuższa chwila, zanim zrozumiał, na co patrzy. Co zgromadzono w wyciętej w skale komnacie, opromienionej niewielką, rozkołysaną latarnią, emanującą zielonym światłem. Nie był to płomień z tego świata. Jego blask przesuwiał się po stercie kawałków czarnego kamienia ułożonych w centrum komnaty – szczątkach sarkofagu.

Wszędzie dookoła na półkach wyrąbanych w samej skale połyskiwały naszyjniki z Kamienia Wyrda.

Jedynie instynkt owada sprawił, że Dorian nie spadł na ziemię i nadal krążył po komnacie.

„Rumowisko w sercu komnaty to przecież grobowiec Erawana – pomyślał. – To tu uwięzili go Elena i Gavin, a potem wzniesli nad nim twierdzę”.

To tu się zaczął cały ten bałagan. To tu wiele stuleci później jego ojciec oraz Perrington zakradli się za młodu i wykorzystali Klucz

Wyrda, by otworzyć zarówno komnatę, jak i sarkofag. Nieświadomie uwolnili Erawana, który przejął ciało księcia, a jego ojciec...

Serce Doriana biło jak szalone, gdy rozglądał się po komnacie. Jego spojrzenie prześlizgiwało się po naszyjnikach. Erawan nie potrzebował żadnego z nich, by zawładnąć jego ojcem, gdyż ten nie miał magii we krwi.

Mimo to Erawan rzekł, że ojciec nie ukorzył się przed nim, a w każdym razie nie całkiem; że walczył z nim przez długie dekady.

Dorian nie dopuszczał do siebie tej myśli przez ostatni tydzień. Nie zastanawiał się nad tym, czy ostatnie słowa jego ojca na szczycie szklanego zamku były prawdą. Nie wracał myślą do tego, jak go zabił, choć ojciec nie miał nawet naszyjnika, który by to uzasadniał.

Krążył po komnacie, a w głowie mu dudniło. Naszyjniki ociekały nieczystym smrodem, który rozlewał się po otoczeniu, pulsując w tym samym rytmie co jego krew. Wydawały się spać. Czekać.

Czy w każdym z nich czaił się książę? A może te naszyjniki czekały dopiero na wypełnienie?

Kaltain ostrzegła go przed tym miejscem. Powiedziała, że jeśli zostanie pochwycony, Erawan zawlecze go właśnie tu. Dlaczego król Valgów wybrał to miejsce, by składować naszyjniki? Być może uznawał je za swe sanktuarium, jeśli coś takiego w ogóle miało dla niego znaczenie. Być może przychodził tu i przyglądał się szczątkom swego więzienia, a potem obiecywał sobie, że już nigdy więcej nie da się uwięzić i że założy naszyjniki tym, którzy spróbują ponownie zamknąć go w sarkofagu.

Magia Doriana miotła się, niecierpliwa i przerażona. Czy znajdował się tu naszyjnik przeznaczony dla niego? Albo dla Aelin?

Latał wokół komnaty. Nigdzie nie było ani śladu Klucza.

Dobrze pamiętał wrażenie, które towarzyszyło zetknięciu z naszyjnikiem. Dobrze pamiętał lodowate ukąszenie Kamienia Wyrda.

Kaltain podjęła walkę i zniszczyła demona w jego wnętrzu.

Dorian nadal czuł na piersi twarde kolano ojca, wgniatające go w marmurową podłogę nieistniejącego już zamku. Nadal czuł śliskość naszyjnika, zamykającego się na jego szyi. Nadal widział bezwładną dłoń Sorschy, gdy próbował dotknąć jej po raz ostatni.

Komnata wirowała wokół niego. Krew pulsowała.

Cóż z niego za księżę? Cóż z niego za król?

Naszyjniki sięgały po niego niewidzialnymi, pazurzastymi łapami.

Nie był w niczym od nich lepszy. Nauczył się rozkoszować tym, co księżę Valgów mu pokazywał. Własnymi rękami rozszarpał wielu dobrych ludzi i pozwolił demonowi sycić się swą nienawiścią i furią.

Komnata wirowała coraz szybciej i wciągała go głęboko w odmęty.

Nie był człowiekiem. Nie całkiem w każdym razie. Może nie chciał nim być. Może pragnął pozostać w innej formie na zawsze, może poddałby się...

Przez pomieszczenie przemknął ciemny wiatr, który pochwycił go i wepchnął sobie do paszczy. Dorian miotał się i wrzeszczał bezgłośnie.

Nie pozwoli się złapać. Nie w ten sposób. Nie po raz kolejny...

Wiatr odciągnął go jednak od naszyjników, przewlókł pod drzwiami i wepchnął w bladą dłoń. Ciemne, bezdenne oczy spojrzały na niego. Ogromne czerwone usta rozchyliły się, ukazując zęby białe jak kość.

- Głupi chłopak – syknęła Maeve.

Jej słowa były niczym uderzenie pioruna. Dyszał ciężko, a jego drobne ciało drżało od jednego końca skrzydeł po drugi. Wystarczyło, by Maeve zacisnęła dłoń, i już byłoby po nim. Przygotował się na wszystko.

Ale Maeve nie zacisnęła dłoni. Odwróciła się od zamkniętej komnaty i ruszyła przed siebie.

- To, co tam wyczułeś, jest powodem, dla którego opuściłam ich świat – rzekła. Wpatrywała się przed siebie, a jej twarz powlókł cień.

- Czułam ten smród codziennie. Bez chwili przerwy.

Dorian uklęknął na podłodze w komnacie Maeve i zwrócił zawartość żołądka do drewnianego wiadra. Siedząca przy ogniu królowa przyglądała się temu z okrutnym rozbawieniem na czerwonych ustach.

- Widziałeś już koszmary w lochach i jakoś nic ci nie było –

powiedziała, gdy zwymiotował ponownie. W jej oczach zalśniło niewypowiedziane pytanie: „Dlaczego dzisiaj?”.

Dorian uniósł głowę i wytarł usta rękawem.

– Te naszyjniki... – stęknął i musnął szyję dłonią. – Nie spodziewałem się, że zrobią na mnie takie wrażenie, że ich widok tak na mnie podziała.

– Wykazałeś się wielką nieostrożnością. Nie powinieneś był tam wchodzić.

– Czy udałoby mi się stamtąd wyjść, gdybyś mnie nie znalazła? – spytał. Nie chciał wiedzieć, jak tego dokonała, skąd wiedziała, że znalazł się w niebezpieczeństwie. Bez wątpienia śledziła go swą mocą.

– Naszyjnik jest niegroźny dopóty, dopóki nie znajdzie się na ludzkim ciele. Niemniej jednak to miejsce jest pełne nienawiści i cierpienia. Wspomnienia o tym są wyryte w kamieniach. – Maeve spojrzała na swoje długie paznokcie. – To one cię pochwyciły, a ty na to pozwoliłeś.

Czy Kaltain nie powiedziała niemalże tego samego?

– Zostałem zaskoczony.

Maeve mruknęła cicho, dobrze zdając sobie sprawę z jego kłamstwa. Mimo to rzekła:

– Naszyjniki to jedno z jego największych dokonań. Pozostali bracia nie byli na tyle zdolni, by wymyślić coś takiego. Ale Erawan... Tak, on zawsze miał głowę pełną pomysłów. – Rozparła się na krześle i założyła nogę na nogę. – Lecz nabrał przez to arogancji. To, że pozwolił ci zostać w Rifthold z ojcem, miał ściągnąć cię tu, stanowi tego najlepszy dowód. Uważał, iż będzie mógł kontrolować was dwóch na odległość. Gdyby był bardziej przezorny, sprowadziłby cię do Morath natychmiast i rozpoczął nad tobą pracę.

Znów przemknęły mu przed oczami naszyjniki, które sączyły swój zatruty, tłusty zapach do świata, które go wabiły, wzywały... Ponownie go zemdliło.

Maeve parsknęła śmiechem.

Młody król poczuł się, jakby ktoś przeorał mu plecy szponami, ale przebudziło to jego temperament. Opanował się i odwrócił ku niej.

- Oddałaś te pająki jego księżniczkom, choć wiedziałaś, co będą musiały znosić. Wiedziałaś, że również zostaną uwięzione, choć w inny sposób!

„Jak mogłaś tego dokonać, wiedząc, jaki to koszmar?” – dokończył w myślach.

Maeve umilkła na moment, a przez jej twarz przemknęło coś na kształt żalu.

- Zrobiłam to tylko dlatego, że musiałam udowodnić swą lojalność – rzekła i spojrzała na Damaris. – Nie chcesz tego sprawdzić?

Dorian nie dotknął złoconej rękocyści.

- A mam?

Maeve cmoknęła.

- Jesteś inny od większości ludzi. Zastanawiam się, czy jakiś Valg nie wziął przypadkiem udziału w spłodzeniu ciebie.

Dorian się skulił. Nie zdobył się jeszcze na odwagę, by spytać o to Damaris, choć chciał wiedzieć, czy jest człowiekiem. I czy ma to jakieś znaczenie.

- Dlaczego? – spytał, wskazując twierdzę dookoła nich. – Dlaczego Erawan robi to wszystko?

Minął tydzień, odkąd zadał mu to pytanie osobiście, ale nadal chciał poznać odpowiedź. Ba, musiał ją poznać.

- Ponieważ może. Ponieważ takie rzeczy sprawiają mi przyjemność.

- Dziwne, bo z twoich słów wywnioskowałem, że jest najłagodniejszym z trójki braci.

- Bo tak jest. – Maeve musnęła ręką gardło. – Orcus i Mantyx nauczyli go wszystkiego, co wie. Jeśli tu powrócą, wszystko, czego Erawan dokonał w tych górach, okaże się niczym w porównaniu z tym, co oni są w stanie zrobić.

Przynajmniej tego ostrzeżenia Kaltain posłuchał. Jak dotąd nie ośmielił się zapaść do jaskiń za doliną, do znajdujących się tam kamiennych ołtarzy i potworności, które Erawan na nich tworzył.

- Nie miałaś żadnych dzieci? – spytał. – Z Orcusem?

- Czy mój przyszły mąż naprawdę chce to wiedzieć?

Dorian przeniósł ciężar ciała na pięty.

- Chcę zrozumieć mego wroga.

Maeve się zastanowiła.

- Nie pozwoliłam memu ciału, by dojrzało. By było gotowe do rodzenia dzieci. Był to mój pierwszy mały bunt wymierzony przeciwko Orcusowi.

- Czy księżęta i księżniczki Valgów są potomstwem innych królów?

- Niektórzy tak, inni nie. Jak dotąd nie pojawił się żaden godny dziedzic, choć ktoś może wiedzieć, co się wydarzyło w ich świecie przez ostatnie tysiąclecia.

W ich świecie. Nie w jej.

- Księżęta wezwani przez Erawana nie byli szczególnie potężni. Nie tak jak on i jego bracia – ciągnęła Maeve. – Jestem pewna, że go to bezgranicznie irytuje.

- To dlatego sprowadził księżniczki?

Wygnaną królową skinęła głową.

- Kobiety są najbardziej niebezpieczne, ale o wiele trudniej je utrzymać w nowym ciele.

Dorian miał wrażenie, że biała smuga wokół gardła zaczyna go palić, ale tym razem powstrzymał torsje.

- Dlaczego opuściłaś swój świat?

Maeve zamruwała, zaskoczona.

- O co chodzi? – spytał.

Przechyliła lekko głowę.

- Od dawna, bardzo dawna nie rozmawiałam z kimś, kto wie, kim naprawdę jestem. Z kimś, kto również jest sobą. Z kimś, kogo umysł nie został w żaden sposób zmieniony.

- A z Aelin?

W jej smukłej szczęce zadrżał jakiś mięsień.

- Wprawdzie nie byłam w stanie całkowicie przeniknąć do jej

umysłu, ale udało mi się jednak przekonać Aelin Dziki Ogień, by zobaczyła to i owo.

– Dlaczego uwięziłaś ją i poddałaś torturom? – zapytał Dorian, w prostych słowach zawierając w pytaniu to, co wydarzyło się w Eyllwe i później.

– Bo nigdy by się nie zgodziła ze mną pracować. I nigdy nie ochroniłaby mnie przed Erawanem i Valgami.

– Jesteś przecież silna. Nie możesz się sama obronić? Nie możesz wykorzystać tych pajaków?

– Ja i moi pobratymcy obawiamy się tylko niektórych darów. Mój, niestety, do nich nie należy – odparła Maeve, bawiąc się kosmykiem czarnych włosów. – Zazwyczaj trzymam przy sobie Fae, która włada mocą działającą na Valgów. Inną od tej, którą posiada Aelin Galathynius.

Nie sprecyzowała, o jakie moce chodzi, co było wyraźnym sygnałem dla Doriana, by nie marnował czasu na pytania.

– Dawno temu złożyła mi przysięgę krwi i od tej pory rzadko się ze mną rozstawiała, ale nie odważyłam się sprowadzić jej do Morath. Erawan raczej by nie uwierzył, że przybyłam w dobrych zamiarach. – Nawinęła kosmyk włosów na palec. – Widzisz więc, że jestem równie bezbronna wobec Erawana jak ty.

Dorian nie wierzył jej, ale w końcu podniósł się i podszedł do stołu, gdzie rozstawiono jedzenie i napitki. Jak na zamek króla demonów i środek zimy, wybór był imponujący. Młodzieniec nalał sobie wody i wypił duszkiem.

– Czy to prawdziwa forma Erawana? – spytał.

– Mniej więcej. Nie jesteśmy tacy jak ludzie oraz Fae. Nasze dusze mają własne kształty, do których można dopasować ciała. Upiększyć je nimi niczym biżuterią. Forma, w jakiej widzisz Erawana, zawsze była jego ulubionym strojem.

– A jak wyglądają wasze dusze?

– Nie spodobałyby ci się.

Dorian powstrzymał dreszcz.

– Przypuszczam, że z tego powodu nas również można nazwać

zmiennokształtnymi – Maeve się zamyśliła.

Dorian usiadł na krześle obok niej. Spał jak dotąd na podłodze przed ogniem, co chwila budząc się i zerkając na królową, śpiącą w łóżu z baldachimem. Ta jednakże nawet nie próbowała go skrzywdzić. Ani razu.

– Czujesz się bardziej Valgiem czy Fae?

– Jestem tym, czym jestem – odparła, a Dorian przez ułamek sekundy mógł dostrzec w jej oczach doświadczenie wielu eonów.

– A kim chcesz być? – spytał ostrożnie.

– Na pewno nie kimś takim jak Erawan czy jego bracia. Nigdy tego nie chciałam.

– To mało precyzyjna odpowiedź.

– A wiesz może, kim i czym sam chcesz być? – Słowa Maeve były zarówno wyzwaniem, jak i autentycznym pytaniem.

– Próbuję to ustalić – odparł. Dziwnie było prowadzić tę rozmowę. Wybawiając ich oboje od konieczności ciągnięcia jej, Dorian potarł skórę twarzy i rzekł: – Klucz jest w jego wieży. Nie mam co do tego wątpliwości.

Maeve zacisnęła usta.

– Nie ma sposobu, by się do niej wedrzeć – ciągnął Dorian. – Wejście jest silnie strzeżone, a ja obleciałem wieżę parokrotnie z zewnątrz i wiem, że nie ma tam żadnych okien czy nawet szczelin, by móc się wślizgnąć do środka. – Wytrzymał jej niehumaniczne spojrzenie. – Musimy się tam dostać choćby po to, by mieć pewność, że się nie mylę – dodał.

Maeve raz trzymała wszystkie Klucze i wiedziała, jakie towarzyszą temu odczucia. Była wówczas tak blisko...

– I rozumiem, że chcesz, bym to ja tego dokonała?

Dorian skrzyżował ramiona.

– Nie znam nikogo innego, kogo Erawan wpuściłby do środka.

Jedynym dowodem na zaskoczenie Maeve było pojedyncze mrugnięcie powiek.

– Miałabym uwieść i zdradzić króla... Klasyczna sztuczka, jak to

wy, ludzie, powiadacie.

– Czy Erawan pozwoli się uwieść komukolwiek?

Mógłby przysiąc, że przez błądą twarz Maeve przemknęło obrzydzenie, nim powiedziała:

– Pozwoli.

Nie tracili czasu. Nie zwlekali.

I nawet Dorian nie zdołał odwrócić wzroku, gdy Maeve machnęła dłonią i jej fioletowa szata rozplynęła się, by ustąpić miejsca powłóczystej, przejrzystej czarnej sukni, którą obszyto złotą nicią, umiejętnie zakrywając te części ciała, które miał ujrzyć dopiero ten, kto zdjąłby suknię. Gdy Maeve odwróciła się od lustra, jej twarz była poważna.

– Nie spodoba ci się to, co niebawem ujrzysz – oznajmiła. Zarzuciła na ramiona płaszcz, który zasłonił jej piękne ciało i kuszącą suknię, po czym wyszła.

Dorian zaś zamienił się w niewielkiego, szybkiego owada i poleciał za nią przez korytarze, ku wieży Erawana.

Wcisnął się w szczelinę w murze, gdy Maeve rzekła do stojącego przed drzwiami Valga:

– Wiesz, kim jestem. Powiedz mu, że przyszedłam.

Mógłby przysiąc, że jej dłonie lekko zadrżały. Jeden z wartowników, który nigdy dotąd nawet nie mrugnął, odwrócił się do drzwi, zastukał raz i wszedł do środka. Wyszedł po chwili i bez słowa powrócił na stanowisko.

Maeve czekała cierpliwie, aż w środku rozległy się niespieszne kroki. Gdy drzwi rozchyliły się ponownie, z komnaty buchnęły cuchnący wiatr i wirująca ciemność, przerażające do tego stopnia, że Dorian mało nie rzucił się do ucieczki. Erawan, mimo późnej pory nadal w ubraniu, uniósł brwi.

– Mamy się spotkać jutro, siostró – rzekł.

Maeve zrobiła krok ku niemu.

– Nie przybyłam, by rozmawiać o wojnie.

Erawan znieruchomiał, a potem powiedział do strażników:

– Zostawcie nas.

Strażnicy pilnujący wejścia do wieży Erawana odeszli.

- Hm... Czy to oznacza, że jestem mile widzianym gościem? – spytała Maeve, wpatrując się w stojącego na progu króla. Rozluźniła poły płaszcza, który odsłonił jej przejrzystą suknię.

Erawan otaksował wzrokiem każdy centymetr ciała królowej, a potem spojrzał w jej twarz.

- Pewnie wyparłaś się tej wiedzy, ale jesteś żoną mego brata.

Dorian zamrugnął, słysząc te słowa. Czyżby demonem w męskim ciele kierował honor?

- Nie muszę nią być – mruknęła Maeve, a wtedy Dorian zrozumiał jej ostrzeżenie.

Wystarczyło, by pokręciła głową, a gęste czarne włosy stały się złociste. Księżycowobiała skóra pociemniała, powleczone lekka opalenizną, ostre rysy twarzy złagodniały, a ciemne oczy stały się turkusowo-złote.

- Możemy tak to rozegrać, jeśli chcesz.

Nawet mówiła takim samym głosem jak Aelin.

Oczy Erawana zajaśniały. Jego pierś unosiła się i opadała w nierównym rytmie.

- Podoba ci się? – Maeve uśmiechnęła się lekko, tak jak tylko królowa Terrasenu miała w zwyczaju.

Przyglądający się scenie Dorian poczuł obrzydzenie i lęk. Wiedział, że to, co widzi w oczach Erawana, nie było prawdziwym pożądaniem. Władca Morath pragnął tylko zawładnąć Aelin, chciał zadawać jej ból.

Wówczas wygląd Maeve znów zaczął się zmieniać. Włosy stały się białe, a turkusowe oczy ponownie zapłonęły złotem.

Dorian poczuł obezwładniającą, lodowatą wściekłość, gdy przed Erawanem stanęła Manon.

- A może interesuje cię to ciało, niewyobrazalnie wprost piękne? –

spytała Maeve i z uśmiechem spojrzała po sobie. – Czy to ją chciałeś wziąć za żonę po zakończeniu wojny? A może miała być jedynie twą klaczą rozplodową?

Erawan rozchylił nozdrza. Dorian skupił się na oddychaniu, na kamiennych ścianach, na czymkolwiek, byle tylko powstrzymać magię, która wezbrała na widok pożądania w oczach Erawana. Ale jeśli w ten sposób Maeve zdoła się dostać do wnętrza wieży...

Erawan zamrugał i jego pożądanie zgasło.

– Jesteś żoną mego brata – oznajmił. – Bez względu na to, którą skórę wdziejesz. Jeśli potrzebujesz rozładować napięcie, przyślę ci kogoś do komnaty.

Potem zatrzasnął drzwi i nie wyszedł ponownie.

Następnego dnia rano Maeve zabrała Doriana na spotkanie. Król siedział w jej kieszeni pod postacią myszy polnej i nasłuchiwał.

– Po tym zamieszaniu zeszłej nocy – mówił Erawan – odprawiłaś człowieka, którego ci przysłałem.

W istocie, niecały kwadrans po powrocie Maeve do jej wieży, ktoś zastukał do drzwi komnaty. Na progu stał przystojny, chłodny młodzieniec o pustej, obojętnej twarzy. Nie był księciem, lecz jedynie zniewolonym człowiekiem, gdyż nosił zwykły pierścień. Maeve odesłała go, choć nie przez litość.

Nie, Dorian wiedział, że uczyniła to tylko i wyłącznie ze względu na jego obecność. Sama mu o tym powiedziała przed zaśnięciem.

– Miałam nadzieję na wino, a nie na rozwodnione piwo – rzekła teraz.

Erawan zachichotał. Zaszleścił papier.

– Zastanawiałem się nad kolejnymi szczegółami tego sojuszu, siostró – ciągnął. Nazywał ją tak z czystej złośliwości, by przypomnieć jej, jak została odrzucona. – I zastanawiałem się, co jeszcze możesz do niego wnieść. W końcu masz do zdobycia o wiele więcej ode mnie, a sześć pajaków to za mało, nawet jeśli ich ciała odpowiadają księżniczkom.

Dorian wyteżył słuch, czekając na odpowiedź Maeve.

– A więc czego sobie życzysz, bracie? – odezwała się cicho. Nigdy nie słyszał takiego napięcia w jej głosie.

– Sprowadź resztę *kharankui*. Otwórz portal i ściągnij je tutaj.

– Nie wszystkie będą tak gotowe, by przyjąć Valgów.

– Zależy mi nie na ciałach, ale na żołnierzach. Nie mam zamiaru ryzykować. Nie będzie drugiej fazy.

Dorianowi zrobiło się niedobrze.

– Sam wiesz, że istnieje spora szansa, że pomimo tego wszystkiego, pomimo moich *kharankui*, możesz przegrać konfrontację z Aelin Galathynius. – Maeve urwała na moment. – To, co się wydarzyło pod Anielle, potwierdziło twoje najgorsze obawy. Słyszałam, do czego tam doszło. Słyszałam o mocy, którą uwolniła, by powstrzymać falę – szepnęła. – To na mnie szykowała tę potęgę. Ja miałam tym oberwać. Co będzie, jeśli zgromadzi ją ponownie? Co będzie, jak uwolni ją przeciwko tobie, powiedzmy na polu bitwy, bracie? Uda ci się to przetrwać?

– Dlatego właśnie powinnaś jak najszybciej udać się na północ wraz ze swymi pajakami – odparł krótko Erawan.

– Być może – zripostowała Maeve. – Ale nie zapominaj, że razem jesteśmy w stanie zwyciężyć. Bez pajaków i księżniczek. Nawet Aelin Galathynius nie będzie mogła przeciwstawić się nam obojgu. Możemy ruszyć na północ i zetrzeć ją z powierzchni ziemi. Wolałabym zatrzymać pajaki na inną okoliczność. Na inne królestwa.

Nie chciała ich poświęcić, jakby żywiła jakiś sentyment wobec istot, które pozostały lojalne wobec niej przez tysiąclecia.

– Poza tym – ciągnęła – może i wiesz sporo o przechodzeniu między światami, ale nie wiesz wszystkiego.

Wsunęła rękę do kieszeni, a Dorian znieruchomiał, gdy musnęła go palcami po grzbiecie, jakby napominała go, by słuchał uważnie.

– I rozumiem, że poznam całą prawdę dopiero po tym, jak oboje wygramy tę wojnę? – powiedział w końcu Erawan.

– Tak, choć jestem skłonna urządzić dla ciebie pokaz. Jutro, jak się przygotuję. – Znów zapadła przerażająca cisza. – Oni są zbyt silni, zbyt potężni, bym mogła otworzyć portal, przez który byliby w stanie przejść – dodała Maeve. – Moja magia uległaby zbyt wielkiej

destabilizacji, gdybym spróbowała przeciągnąć na ten świat wszystko, czym oni są. Ale mogę ci ich pokazać, choćby na moment. Mogę ci pokazać twoich braci, Orcusa i Mantyxa.

Darrow i pozostali lordowie Terrasenu na szczęście nie zmarnowali ostatnich kilku miesięcy i Orynth był dobrze przygotowany na oblężenie, które zbliżało się z każdą chwilą. Zorganizowano zapasy żywności, broń i środki medyczne, przygotowano plany rozłokowania ludzi, którzy schronią się w zamku, oraz wzmocniono najsłabsze odcinki murów. Aedion nie znalazł wielu uchybień.

Mimo to po kiepsko przespanej nocy w swojej dawnej komnacie na zamku, która teraz wydała mu się miejscem okropnym, zimnym i obcym, zerwał się o świcie i wspiał się na jedną z niższych wież. Na tej wysokości wiatr był o wiele dzikszy i zimniejszy.

Przez jego pieśń przedarły się spokojne kroki.

– Zauważyłem cię w drodze na śniadanie – powiedział Ren zamiast słów powitania.

Komnaty dworu Allsbrooków znajdowały się w sąsiedniej wieży. Gdy obaj byli dziećmi, Aedion i Ren spędzili całe lato na opracowywaniu systemu komunikacji między komnatami, w którym ważną rolę odgrywały latarnie. Było to jednocześnie ostatnie lato ich przyjaźni, bo ojciec Rena zaczął sobie uświadamiać, że przysięga krwi przypadnie raczej Aedionowi. Wówczas rozpoczęła się rywalizacja między nimi.

Jednego lata kroku bez siebie nie robili i dokazywali jak szaleni, a następne wypełniło im niekończące się współzawodnictwo – od wyścigów po dziedzińcach, przez spychanie się ze schodów, na bójkach w Wielkiej Sali kończąc. Rhoe próbował rozładować sytuację, ale nie należał do szczególnie utalentowanych kłamców i nie potrafił powiedzieć ojcu Rena, że to nie Aedion ma złożyć przysięgę krwi. Pod koniec lata nawet on sam zaczął odwracać głowę, gdy chłopcy znów rzucali się sobie do gardeł.

Na szczęście dziś nie miało to już żadnego znaczenia.

Czy jego rodzony ojciec, Gavriel, popierałby taką rywalizację? Aedion przypuszczał, że to również nie miało większego znaczenia,

ale przez chwilę próbował sobie wyobrazić, jak Lew nadzoruje jego szkolenie. Jak uczy go walki razem z Rhoe. Wiedział, że Gavriel próbowałby znaleźć sposób, by wyciszyć współzawodnictwo, tak jak utrzymywał spokój i równowagę w drużynie Rowana. Na jakiego człowieka by wyrósł, gdyby Lew był obecny w jego życiu? Zapewne Fae zniknęłyby, wyrznięty wraz z resztą dworu, jednak... cóż, przynajmniej byłby przy nim.

Na co mu były te rozważania? Był tym, kim był, a Rhoe zastąpił mu ojca we wszystkich sferach, które miały znaczenie, nawet jeśli zdarzały się takie chwile, gdy Aedion spoglądał na niego, Evalin i Aelin i nadal czuł się jak gość, a nie domownik.

Odepchnął od siebie te myśli. Miał wrażenie, że powrót do zamku całkiem go otumanił. Czuł się, jakby wciągnięto go do świata duchów.

– Na twoim miejscu nie oczekiwałbym, że Darrow ugości nas jak za dawnych czasów – rzekł, choć nie zależało mu na frykasach. Jadł, bo domagało się tego jego ciało. Jadł, bo z tego brała się jego siła, a wiedział, że będzie jej potrzebował.

Ren rozejrzył się po mieście, a potem wbił wzrok w równinę Theralis i wciąż pusty horyzont.

– Przygotuję dziś łuczników. Upewnię się też, że żołnierze przy bramach wiedzą, jak wylewać gotujący się olej.

– A ty to wiesz? – Aedion uniósł brew.

– A co tu wiedzieć? – Ren parsknął. – Przechylasz wielki kocioł, wylewasz zawartość za mur i po wszystkim.

Oczywiście sama procedura wymagała więcej umiejętności, ale przy odrobinie szczęścia powinno się udać. Przynajmniej Darrow zadbał o to, by mieli co wylewać na wroga. Aedion modlił się o to, by w ogóle mieli okazję sięgnąć po konwencjonalne metody walki. Morath dysponował przecież wiedźmimi wieżami, co oznaczało, że twierdza mogła legnąć w gruzach na długo, nim wróg dotrze do którejś z dwóch bram Orynthu.

– Przydałby się nam piekielny ogień – mruknął Ren. – Tak, tym udałoby nam się utrzymać wieże z dala od murów.

„To prawda – pomyślał Aedion. – A przy tym stopilibyśmy wszystkich naokoło”.

Już otworzył usta, by się zgodzić, gdy nagle zmarszczył brwi. Wbił wzrok w dal.

- No, mówże – rzekł Ren. – Co ci przyszło do głowy?

Aedion popchnął go w kierunku wejścia do wieży.

- Musimy pogadać z Rolfe'em – oznajmił.

Nie chodziło mu bynajmniej o wykorzystanie piekielnego ognia przy północnej i południowej bramie. Wcale nie.

Zaczekali do zmroku, by szpiedzy Morath nie byli już w stanie dostrzec niewielkiej grupy, która wymknęła się na równinę Theralis. Odziani w czerń, pokonywali kilometr za kilometrem teren, który niebawem miał znów skąpać się we krwi. Gdy dotarli do punktów wyznaczonych przez Aediona i Rena z murów fortecy, ten pierwszy wznosił dłoń.

Ilias dał znak i Milczący Zabójcy rozproszyli się dookoła, z legendarną zwinnością wnikając w ciemność. Towarzyszyli im Mycenianie, taszczący ciężkie ładunki, ale jako pierwsza do pracy przystąpiła zmiennokształtna. Zamieniwszy się w ogromnego borsuka, większego od konia, wgryzła się w zamarznąłą ziemię wielkimi, pazurzystymi łapami.

Wkrótce w powietrzu rozszedł się zapach jej krwi, ale Lysandra nie przerywała, a gdy ukończyła pierwszą dziurę, zabrała się do rycia następnej. Milczący Zabójcy wraz z Mycenianami zaczęli szykować pułapkę, którą potem przykryli ziemią.

Wokół nich zawodziły bezlitosne wiatry, ale pracowali przez całą noc, nie marnując ani minuty, a po ukończeniu zadania powrócili do miasta, nadal niewidzialni dla szpiegów.

Armia Morath pojawiła się na horyzoncie dzień później. Z najwyższych wież i pomostów zamku dało się liczyć następujące po sobie szeregi.

Lysandra wraz z Evangeline dołączyły do grupki dowódców na jednym z najwyższych odcinków. Posiniaczone, obolałe dłonie zmiennokształtnej nadal bolały ją po nocnej pracy, choć zostały opatrzone i zabandażowane.

– Piętnaście tysięcy – oznajmiła Ansel z Briarcliff po wyłonieniu się kolejnego szeregu. – Nie, dwadzieścia!

– Chyba zabrali każdego, kto mógł unieść miecz – mruknął książę Galan. – Morath musi być wyludniony.

Evangeline zadrżała, nie całkiem z zimna, a Lysandra mocniej ją przytuliła. Darrow i reszta lordów Terrasenu naradzali się nad czymś przyciszonymi głosami kilkanaście kroków dalej. Naraz, jakby wyczuł jej uwagę, Darrow zerknął na Lysandrę, a potem na pobladłą, drżącą Evangeline. Nie powiedział ani słowa, a Lysandra, nie siląc się na uprzejme miny, odwróciła się ku towarzyszom.

– Trzydzieści – rzekła Ansel.

– Umiemy liczyć – warknął Rolfe.

– Naprawdę umiesz? – Ansel uniosła brew w kolorze wina.

Mimo ogromu maszerującej na nich armii Lysandra uśmiechnęła się lekko, a Rolfe przewrócił oczami i powrócił do obserwacji.

– Będą tu najwcześniej o świcie – stwierdził Aedion z ponurą twarzą.

Lysandra nie zdecydowała jeszcze, jaką formę przybierze i gdzie będzie walczyć. Jeśli wrogom pozostały jakieś ilkeny, z pewnością przeistoczy się w wywernę, ale jeśli będzie potrzebna podczas walki na ziemi... Nie podjęła jeszcze decyzji. Nikt zresztą niczego od niej nie oczekiwał, a możliwość pomocy – na prośbę Aediona – podczas przeprowadzania sekretnego planu powitała z ulgą, tak rzadką podczas długich dni wypełnionych lękiem oczekiwania.

Teraz żałowała, że oczekiwanie dobiegło końca. Wolałaby miotać się nerwowo przez całe tygodnie, byle nie musieć mierzyć się z tym, co się do nich zbliżało.

– Pięćdziesiąt tysięcy – powiedziała Ansel i spojrzała krzywo na Rolfe'a.

Lysandra przełknęła z trudem ślinę. Evangeline wtuliła twarz w jej bok.

A potem ujrzeli trzy wieżmiej wieże.

Pojawiły się w szarym porannym świetle niczym ogromne lance sterczące prosto z horyzontu. Brnęły naprzód w równych odstępach

wraz z armią, która nadciągała kolejnymi szeregami. Nawet Ansel przestała je liczyć.

- Nie wiedziałam, że to będzie aż tak straszne – szepnęła Evangeline i wsunęła ręce pod ciężki płaszcz Lysandry. – I takie paskudne.

Zmiennokształtna wycisnęła pocałunek na czubku złocistorudej głowy.

- Nie stanie ci się żadna krzywda – rzekła.

- Nie boję się o siebie – powiedziała Evangeline. – Ale o moich przyjaciół.

W jej zielono-żółtych oczach w istocie lśniły łzy przerażenia. Lysandra otarła jedną z nich, a potem przeniosła spojrzenie na zbliżające się ku nim wieźmie wieże. Nie miała pojęcia, w jaki sposób pocieszyć dziewczynkę.

- Jeszcze chwila – mruknął Aedion, a Lysandra spojrzała na zaśnieżoną równinę. Na postaci, które wyłoniły się spod zasp, ubrane w biel.

Żołnierze nałożyli na ciężki płonące strzały. Pierwsze szeregi Morath były już bardzo blisko.

Stojący nieco dalej Murtaugh zacisnął dłonie na starożytnych kamieniach murów, gdy jedna z postaci w bieli – bez wątplenia Ren – dała rozkaz do otwarcia ognia. Płonące strzały pomknęły w górę i opadły łukiem. Żołdacy Morath zasłonili się tarczami.

Żaden z nich nawet nie spojrzał pod nogi.

Wieżmy otaczające wieże również.

Łucznikami byli Milczący Zabójcy, przez co strzały trafiły w ziemię dokładnie tam, gdzie miały trafić – w rowy łączące się z wykopanymi jamami. Dokładnie w chwili, gdy mijały ich wieźmie wieże.

Oślepiające błyski rozerwały czarne morze nieprzyjaciół, po czym rozległ się potworny huk.

Na głowy żołnierzy Morath posypał się grad kamieni. Wszyscy odwrócili się w kierunku zamieszania, co wykorzystali Ren, Ilias i Milczący Zabójcy, którzy popędzili ku białym koniom skrytym za zaspami.

Gdy rozwiął się dym, po murach poniosło się westchnienie ulgi.

Dwie wieże znajdowały się dokładnie nad zamaskowanymi jamami, wypełnionymi chemicznymi substancjami wykorzystywanymi w ognistych lancach Rolfe'a i czekającymi tylko na iskrę. Obie wieżmie wieże uległy całkowitemu zniszczeniu, ciągnące je wywerny zostały rozerwane na strzepy, a otaczający je żołnierze – zmiażdżeni przez spadające kamienie.

Trzecia jednakże przetrwała, gdyż znajdująca się przy niej jama eksplodowała zbyt wcześnie. Jedna z ciągnących ją wywern została przygnieciona gruzem i przypuszczalnie zginęła bądź została ranna, a sama wieża się zatrzymała.

Nad szeregami wroga poniosł się niski, złowieszczy ryk rogu. Armia również stanęła.

- Dzięki cholernym bogom. – Rolfe opuścił głowę.

Aedion nie odrywał jednak wzroku od jeźdźców, którzy galopowali w stronę bram. Musiał mieć pewność, że wszyscy wrócą bezpiecznie.

- Na jak długo ich to zatrzyma? – spytała Evangeline.

Wszyscy łącznie z Darrowem odwrócili się ku dziewczynce, ale nikt nie znał odpowiedzi. Nikt nie umiał nawet jej okłamać.

Znów zwrócili się ku armii zebranej na równinie, widocznej teraz aż po ostatni szereg.

- Sto tysięcy – rzekła Ansel cicho.

Czy to w ogóle możliwe? Czy można pokazać inny świat? – spytał Dorian Maeve, gdy znów znaleźli się w swej komnacie.

Królowa opadła na krzesło. Wydawała się nieobecna.

– Tak. Przy wykorzystaniu luster.

Dorian uniósł brew.

– Widziałeś na własne oczy potęgę wiedźmich luster. Widziałeś, co takie lustro zrobiło z Aelin Galathynius oraz Manon Czarnodziobą. Kto twoim zdaniem nauczył wiedźmy, jak korzystać z takich mocy? Na pewno nie Fae. – Maeve zaśmiała się cicho. – A jak twoim zdaniem mogłam widzieć tak odległe wydarzenia? Jak mogłam słyszeć głosy moich szpiegów, działających z dala od Doranelle? Istnieją lustra, dzięki którym można szpiegować. Inne pozwalają na podróże, jeszcze inne umożliwiają zabijanie. Nawet teraz Erawan wykorzystuje je dla swych korzyści, wysługując się Żelaznozębnyimi.

Dorian wiedział, że ma na myśli wiedźmie wieże.

Maeve, królowa bez korony, rozsiadła się wygodniej.

– Mogę mu pokazać to, co chce zobaczyć – rzekła.

Młodzieniec rozchylił usta, a potem zastanowił się nad jej słowami.

– A więc to będzie iluzja? Wcale nie chcesz mu pokazać Orcusa i Mantyxa?

Maeve smagneła go chłodnym spojrzeniem.

– Zajmę go kuglarską sztuczką, podczas której ty będziesz mógł wślizgnąć się do wieży.

– Nie potrafię tam wejść.

– Posiadłam umiejętność podróżowania między światami – powiedziała Maeve. – Przemieszczałam się między wszechświatami. Myślisz, że trudno mi będzie przeniknąć z jednego pomieszczenia do drugiego?

– Coś jednak nie pozwoliło ci dotrzeć do Terrasenu przez wszystkie

te lata.

Maeve zacisnęła zęby.

– Brannon Galathynius znał moje możliwości i rozstawił wzdłuż granic królestwa runiczne symbole, które uniemożliwiły mi przeniknięcie do środka.

– Żebyś nie mogła przenieść tam armii Erawana?

– To niemożliwe. Armie są zbyt liczne i nie jestem w stanie utrzymać portalu tak długo.

– Erawan wie o twoich mocach. Zapewne zabezpieczył tę komnatę tak, byś nie mogła z nich skorzystać.

– Tak, a ja powoli rozgryzam jego zabezpieczenia. Nie jest tak utalentowanym mistrzem magii, jak mu się wydaje – odparła Maeve i uśmiechnęła się tryumfalnie.

Mimo to Dorian zapytał:

– A czemu od tego nie zaczęłaś?

– Bo jeszcze nie zdecydowałam, czy warto po to sięgnąć. Bo Erawan wcześniej nie próbował mnie zmusić, bym ściągnęła tu swe służebnice i wykorzystała je w charakterze zwykłej piechoty.

– Zależy ci na tych pająkach.

Maeve na moment przymknęła powieki.

– Przekonasz się, Wasza Królewska Mość, że lojalny przyjaciel to rzadkość. Nielatwo mi przychodzi je poświęcić.

– Ale oddałaś sześć z nich tym księżniczkom.

– I będę o tym pamiętać po kres moich dni. – W oczach Mrocznej Królowej zatańczyły skrywane emocje. – Zgodziły się bez oporów. Powtarzam sobie to za każdym razem, gdy spoglądam na nie i nie dostrzegam w nich istot, które znałam. One chciały mi pomóc. – Spojrzała mu w oczy. – Nie wszyscy Valgowie są źli.

– Ale Erawan jest.

– Tak – powiedziała Maeve, a jej oczy pociemniały. – On i jego bracia są najgorsi ze swego rodzaju, a rządzić potrafią jedynie za pomocą strachu i bólu. Rozkoszują się tym.

– A ty nie?

Maeve nawinęła atramentowoczarny kosmyk na palec. Nie odpowiedziała.

„Świetnie” – pomyślał Dorian.

– A więc przenikniesz przez zabezpieczenia Erawana i otworzysz dla mnie portal, a ja wślizgnę się do środka, gdy ty odwrócisz jego uwagę iluzją z jego braćmi w rolach głównych – rzekł i zmarszczył czoło. – Ale gdy tylko znajdę Klucz, Erawan zrozumie, że go oszukaliśmy. Będziemy musieli szybko uciekać.

Maeve wykrzywiła usta.

– Uciekniemy. Udamy się tam, gdzie trzymasz pozostałe dwa Klucze.

Twarz Doriana była całkowicie nieporuszona.

– Jesteś pewna, że się nie zorientuje, że jest oszukiwany?

– Orcus to jego brat, ale także mój mąż. Iluzja będzie wierna.

Dorian się zastanowił.

– Kiedy zaczynamy? – spytał.

Zmierzch.

O zmierzchu Maeve miała się spotkać z Erawanem. Zmierzch wszak wytyczał granicę między światłem i ciemnością, wyznaczał chwilę, kiedy jedna siła ustępowała miejsca drugiej. Moment, gdy Maeve miała otworzyć dla Doriana portal z dalej położonej komnaty.

Zaszło słońce, czego młody król nie mógł widzieć, gdyż niebo nad Morath zasłaniały ponure chmury. Siedział i wpatrywał się w ścianę komnaty Maeve.

Wyszła ledwie kilka minut temu, zegnając się z nim jedynie przelotnym spojrzeniem.

Opracowali również szczegóły ich ucieczki. Wszystko powinno pójść zgodnie z planem.

Dorian przybrał na tę okazję szczególne ciało. Złociste włosy, złociste oczy... Jeśli teraz natknąłby się na niego ktokolwiek z wyjątkiem samego Erawana, to pomyślałby, że spotkał władcę Morath.

W jego sercu nie było już miejsca na strach czy wątpliwości. Nie myślał o naszyjnikach z Kamienia Wyrda skrytych pod fortecą, nie myślał o lochach ani komnatach przepełnionych strachem.

Ściana komnaty zaczęła mrocznieć.

Dorian się cofnął. Kamienie stawały się coraz ciemniejsze, aż zrobiły się czarne i...

I znikły.

Ze środka buchnął zapach śmierci, zgnilizny i nienawiści, o wiele bardziej trujący niż ten, który wdychał w grobowcu w podziemiach.

Dorian miał wrażenie, że zaraz ugną się pod nim kolana, ale wyciągnął Damaris, przywołał swą moc i uniósł lewą dłoń, którą otoczył blady blask. Ogień.

Zmówił w myślach modlitwę do któregośkolwiek boga, mającego ochotę go wysłuchać, i wkroczył do portalu.

Dorian nie wiedział, czego się spodziewać po sypialni króla Valgów, ale raczej nie wpadłby na to, że ujrzy tam kryte baldachimem łożo z rzeźbionego, czarnego drewna, umywalkę oraz biurko. Nie widział niczego niecodziennego. Nie było kufra ze zrabowaną, starożytną bronią rodową, nie było bulgoczących kotłów, ksiąg z czarami ani parskających bestii w kątach. Nie było tam też dodatkowych naszyjników z Kamienia Wyrda.

Zwykła sypialnia.

Rozejrzał się po okrągłym pomieszczeniu, a nawet zerknął na schody, które biegły w dół, ku żelaznym drzwiom i czekającym po drugiej stronie strażnikom. Żadnych kłap w podłodze, żadnych ukrytych drzwi.

Podszedł do szafy, gdzie znalazł jedynie sterty czystej odzieży. Nigdzie nie natrafił na nic niecodziennego. Nie znalazł też ukrytych schowków.

Ale wyczuwał nieziemską, przerażającą obecność. Czuł ją wszędzie dookoła...

Cichy odgłos sprawił, że błyskawicznie obrócił się wokół własnej osi.

Spojrzał na łóżko i uświadomił sobie, że nie zwrócił na nie wcześniej uwagi. Pośród obsydianowoczarnej pościeli leżało drobne, kruche ciało. Młoda kobieta o pustej i nieobecnej twarzy. Wpatrywała się w niego, jakby się właśnie przebudziła.

Była piękna i miała ciemne włosy. Nie liczyła sobie więcej niż dwadzieścia lat. Mogłaby być bliźniaczką Kaltain.

Żółć podeszła Dorianowi do gardła. Dziewczyna usiadła, a kołdra spłynęła z niej, odsłaniając nagie, wychudłe ciało, nazbyt szczupłe ramię i obrzydliwą, fioletową bliznę w pobliżu nadgarstka. Już wiedział, dlaczego czuł obecność Klucza w całej twierdzy. Wiedział, dlaczego Klucz przemieszczał się i znikał.

Klucz chodził w ślad za swym panem, potworem, który zniewolił

dziewczyne.

Na jej szyi widniał naszyjnik z czarnego kamienia.

Siedziała wśród pomiętej pościeli i wpatrywała się w niego. Jej wzrok był pusty, ale pełen bólu.

Nie miał pojęcia, co powiedzieć. W powietrzu zawisła głęboka cisza.

Kaltain zniszczyła księcia Valgów w sobie, ale Klucz Wyrda doprowadził ją do szaleństwa. Obdarzył ją ogromną mocą, ale rozszarpał jej umysł.

Dorian powoli, ostrożnie wykonał krok w kierunku łóżka.

– Nie śpisz – powiedział, naśladując ton króla Valgów. Wiedział, że dziewczyna ujrzała w nim swego władcę.

Był świadkiem eksperymentów Erawana i pamiętał, jakie koszmary kłębiły się w jego lochach. Mimo to owa dziewczyna, wychudzona, wycieńczona i posiniaczona, nosząca nieczysty artefakt pod skórą...

Ośmielił się wypuścić pasmo mocy ku niej. Jego magia zbliżyła się do ramienia niewolnicy i się cofnęła.

Tak, Klucz tam był.

Podszedł bliżej, modląc się, by dziewczyna nie spojrzała na portal na ścianie. Zadrzała lekko.

Powstrzymał nadciągające torsje. Skupił całą swą uwagę na niej i oznajmił chłodnym głosem:

– Podaj mi ramię.

Niewolnica omiotła jego twarz spojrzeniem brązowych oczu, ale wyciągnęła rękę.

O mało się nie zachwiał, gdy ujrzał gnijącą ranę, od której rozbiegły się czarne żyły. Klucz bez wątplenia sączył truciznę w jej ciało. Rana Kaltain zapewne wyglądała tak samo, na jej przedramieniu blizna była widoczna nawet po śmierci.

Wsunął miecz do pochwy i ujął ramię niewolnicy. Jej skóra była lodowato zimna.

– Połóż się – nakazał.

Zadrzała, ale spełniła jego wolę. Była gotowa na wszystko.

„Kaltain, na bogów... przez co ty przeszłaś...” – pomyślał i wyciągnął nóż, podarowany mu przez Sorrel. Przysunął go do rany. Wedle słów Manon Kaltain zrobiła to samo, by uwolnić swój Klucz.

Posłał cząstkę magii leczniczej w głąb ciała dziewczyny, by je znieczulić, załagodzić ból. Szarpnęła się, ale trzymał ją mocno. Niewolnica ostro wciągnęła powietrze, a jej ciało się wygięło. Dorian wykorzystał chwilowy bezruch i wbił nóż w jej ramię, szybko i zręcznie.

Magia lecznicza nadal działała, kojąc ból najlepiej, jak się dało. Wystarczyły trzy ruchy, by okrwawiony okruch znalazł się w dłoni młodego króla, pulsując zimną, obrzydliwą mocą.

Ostatni Klucz Wyrda.

Opuścił ramię dziewczyny, wsunął Klucz do kieszeni i odwrócił się w kierunku portalu.

Wtedy na jego nadgarstku zacisnęła się słaba, drżąca dłoń.

Odwrócił się błyskawicznie, łapiąc za Damaris, ale ujrzał tylko zapłakaną twarz niewolnicy.

– Zabij mnie – szepnęła.

Dorian zamrugał.

– Ty... ty go odepchnąłeś...

Miała na myśli mieszkającego w niej demona, co Dorian uświadomił sobie po chwili. Jego magia lecznicza w jakiś sposób...

– Zabij mnie – powtórzyła i zaczęła szlochać. – Proszę cię...

Damaris rozgrzewał się w jego dłoni. Mówiła prawdę. Naprawdę chciała umrzeć. Wpatrywał się w nią z przerażeniem.

– Ja... ja nie mogę.

Zaczęła szarpać za naszyjnik, jakby chciała go zerwać.

– Proszę – szlochała. – Błagam.

Nie miał na to czasu. Nie miał czasu, by teraz szukać sposobu na zdjęcie naszyjnika. Nie miał nawet pewności, czy w ogóle mu się to uda bez owego złotego pierścienia, który wykorzystała Aelin.

– Nie mogę.

W jej oczach pojawiły się rozpacz i cierpienie.

– Proszę – powtarzała. – Proszę.

Damaris pozostawał ciepły. Prawda. W jej błaganiu kryła się tylko prawda.

Ale on musiał uciekać. I to jak najszybciej! Nie mógł jej zabrać!

Wiedział, że owa istota w jej wnętrzu, choć odepchnięta jego magią, powróci i wyrzeczy Erawanowi, dokąd się udał. Opowie mu o tym, co ukradł.

Dziewczyna szlochała i szarpała naszyjnik.

– Proszę...

Czy zabicie jej byłoby aktem łaski? Czy pozostawienie jej żywej w komnacie Erawana byłoby gorszą zbrodnią? Porzucenie jej zniewolonej, zamieszkannej przez demona? Damaris nie odpowiedział na zadane w duchu pytania.

Dłoń Doriana zsunęła się z rękojeści miecza, gdy stał i wpatrywał się w płaczącą dziewczynę.

Manon zakończyłaby jej życie bez wahania. Uwolniłaby ją w jedyny możliwy sposób. Chaol zabrałby ją ze sobą i nawet nie pomyślał o konsekwencjach. Aelin... Nie miał pojęcia, co ona by zrobiła.

„Kim chcesz być?”

Nie był jednym z nich. Był... Był tylko i wyłącznie sobą. Człowiekiem, który wiedział, czym są ból i strata, ale poznał też przyjaźń i radość. Ból i strata nie złamały go do końca. A czy bez tych negatywnych przeżyć momenty szczęścia byłyby tak piękne? Czy bez nich walczyłyby tak zaciekle o to, by zło się nie powtórzyło?

„Kim chcesz być?”

Chciał zostać królem godnym swej korony. Królem, który pragnął odbudować wszystko, co zostało zniszczone, zarówno w sobie, jak i w swoim królestwie.

Dziewczyna płakała bez końca. Dłoń Doriana opadła na rękojeść Damaris.

Naraz rozległ się trzask pękających kości.

Płacz się urwał, a głowa dziewczyny opadła. Jej oczy zgasły.

Dorian odwrócił się. Na jego ustach zamarł okrzyk, gdy do komnaty wkroczyła Maeve.

– Uznaj to za dar ślubny, Wasza Królewska Mość – powiedziała, wykrzywając się. – Mam na myśli uwolnienie cię od tej decyzji.

Na widok jej uśmiechu i drapieżnego kroku magia Doriana nagle zgęstniała.

Maeve wskazała ruchem głowy jego kieszeń.

– Dobra robota – rzekła.

Jej mroczna magia skoczyła ku umysłowi młodzieńca.

Nie zdołał nawet pochwycić Damaris, nim został osaczony jej ciemną siecią.

Znajdował się w komnacie Erawana, a jednak tak nie było.

– Klucz, jeśli łaska – mruknęła do niego Maeve.

Dorian wsunął rękę do kieszeni i wymacał okruch.

– Potem odzyskamy pozostałe – dodała i wskazała mu portal, przez który oboje tu weszli.

Dorian bez słowa podążył za nią, wyjmując okruch z kieszeni.

– Obmyśliłam dla nas niezwykle rzeczy, Wasza Królewska Mość. Dla nas obojga. Mając Klucze, mogę cię uczynić wiecznie młodym, a twa moc, która nie ustępuje nawet przed magią Aelin Galathynius, osłoni nas przed każdym, kto będzie chciał ponownie wejść do tego świata.

Pojawili się z powrotem w komnacie Maeve, która zlikwidowała portal machnięciem dłoni.

– Szybko! – rozkazała mu. – Odlatujemy. Wywerna czeka.

Dorian zatrzymał się na środku komnaty.

– Nie sądzisz, że byłoby nieuprzejmie opuścić gošcinę bez choćby listu pożegnalnego?

Maeve odwróciła się, ale było już za późno.

Jej magia wbiła co prawda szpony głęboko w jego umysł, ale w tej samej chwili moc Doriana, rozgrzana do białości, skwiercząca, wdarła się w miejsce, które królowa nieświadomie odsłoniła, próbując go schwytać.

Pułapka w pułapce, którą zastawił w chwili, gdy ją ujrzał. Sztuczka była prosta. Wystarczyło przekształcić umysł tak, jak przekształcał ciało, by Maeve ujrzała w nim to, co chciała ujrzeć – zazdrość i niechęć do Aelin, desperację, naiwność oraz głupotę. Sprawił, by jego umysł przesiąknął tymi emocjami, doprowadził do tego, by się w nich zanurzyła. Za każdym razem, gdy Maeve się zbliżała, zwabiona jego słabościami, magia Doriana uważnie analizowała jej moc. Tak jak wcześniej przyglądała się cząstce zmiennokształtności w magii Cyrene,

tak teraz uczyła się sposobów, którymi posługiwała się Mroczna Królowa, by wkraść się do ludzkich umysłów.

Pozostało więc zaczekać, aż Maeve wykona pierwszy ruch. Aż zarzuci na niego sieć, by zniewolić go na zawsze.

– Ty...

Dorian uśmiechnął się, a Maeve zaniemówiła.

„Byłem kiedyś niewolnikiem – rzekł Dorian do ciemnej przepaści jej umysłu. – Nie sądzisz chyba, że pozwolę, by znów do tego doszło?”

Szarpnęła się, ale trzymał ją mocno.

„Uwolnij mnie!” – syknęła już nie głosem pięknej królowej, ale złowieszczej, zimnej istoty, wygłodniałej i pełnej nienawiści.

„Jesteś równie stara jak nasz świat, a mimo to uznałaś, że naprawdę przyjmę twą ofertę?”

Zaśmiał się i wypuścił strumień ognia, by ją poparzyć. W obu umysłach poniósł się cichy, niekończący się wrzask Maeve.

„Jestem zaskoczony, że wpadłaś w moją pułapkę”.

„Zabiję cię za to”.

„Być może cię uprzedzę”.

Jego ogień stał się żywą istotą, która opłótła się wokół jej bladego gardła. W prawdziwym świecie, gdzie istniały ich ciała.

„Zadałaś ból mojej przyjaciółce – rzekł Dorian ze śmiertelnym spokojem. – Nie będę miał większych skrupułów, by odebrać ci życie”.

„Takim królem chcesz być? Torturującym bezbronną kobietę?”

„Nie jesteś bezbronna! – Dorian się zaśmiał. – Gdybym mógł, zamknąłbym cię w żelaznej skrzyni na wieczność”.

Zerknął na noc za oknem. Musiał się pospieszyć, ale znalazł jeszcze czas, by powiedzieć bezgłośnie:

„Chcę być takim królem, który będzie twoim całkowitym przeciwieństwem”.

Uśmiechnął się i dodał:

„A moją królową może zostać tylko pewna wiedźma”.

Skala pod nimi nagle zadrżała z głuchym jękiem. Całe Morath zadrżało.

Maeve otworzyła oczy jeszcze szerzej.

Potem rozległ się łoskot głośniejszy od pioruna. Wieża się zachwiała.

Dorian znów się uśmiechnął.

„Nie sądzisz chyba, że spędziłem cały ten czas na samych tylko poszukiwaniach?”

Nie miał najmniejszego zamiaru pozwolić, by owa komnata z naszyjnikami istniała choć dzień dłużej. Postanowił więc, że zawali na nią całą fortecę.

Zadanie nie było szczególnie trudne. Wystarczyło pozostawić cząstki magii w postaci najzimniejszego lodu, by wgryzały się w szczeliny fundamentów twierdzy i przeżerały starożytne kamienie. Z każdym odwiedzionym przez niego zakątkiem sieć pęknięć rozciągała się coraz dalej i dalej, aż całe wschodnie skrzydło twierdzy opierało się już tylko na jego woli.

Aż do teraz. Wystarczyła jedna jego myśl, by magia wnikająca w szczeliny fundamentów twierdzy nagle się rozszerzyła, a Morath zaczęło się kruszyć.

Dorian, wciąż uśmiechając się do Maeve, wycofał się, nie przestając więzić jej umysłu. Wieża ponownie zadygotała.

Oddech Maeve uwiązał jej w płucach.

„Nie możesz mnie tu zostawić! On mnie znajdzie i mnie zniewoli”.

„Tak jak ty zniewoliłabyś mnie?”

Dorian zamienił się w kruka i zamachał skrzydłami.

Przez Morath znów przemknął głuchy zgrzyt, nad który wzniósł się ryk wściekłości, tak przeraźliwy i nieziemski, że Dorian przeszył przeraźliwy strach.

„Powiedz Erawanowi – rzucił już z parapetu – że zrobiłem to dla Adarlanu”.

Dla Sorschy, Kaltain i innych, zgładzonych przez króla Valgów. Dla samego Adarlanu, który później również padł jego ofiarą.

Niemniej jednak ruiny zawsze można było odbudować. Jeśli on tego nie uczyni, zastąpią go inni. Być może to, czego właśnie dokonał, będzie jego pierwszym i jedynym darem złożonym ojczyźnie, którą władał. Być może właśnie podarował królestwu szansę na odbudowę, jeśli zdoła przetrwać tę wojnę.

Korytarzami niosły się wrzaski. Dorian zapamiętał, gdzie mieszkają i pracują ludzcy służący. Korytarze, które mogłyby posłużyć im do ucieczki, były stabilne. Miały runąć dopiero po tym, jak uciekną ostatni z ludzi.

„Proszę – błagała go Maeve, która zachwiała się wraz z wieżą. – Proszę!”.

Powinien pozwolić na to, by Erawan ją znalazł. Powinien skazać ją na życie, które obmyśliła dla niego i dla Aelin.

Maeve skuliła się, nadal nie mogąc uwolnić swej mocy oraz swego umysłu. Czekwała z rozpaczą na mrocznego władcę, od którego tak bardzo próbowała umknąć. Bądź na to, że zostanie rozgnieciona przez fragmenty rozpadającej się fortecy.

Wiedział, że tego pożałuje, że powinien ją zabić. Ale nie mógł jej skazać na to, przez co sam przeszedł. Nie życzył takiego losu nikomu. Nawet jeśli przez to miał przegrać wojnę.

I nie sądził, by czyniło go to słabym. Nie, wcale nie.

Za oknem widział Żelaznozębne wzbijające się do lotu. Wrzask wyvern przebijał się przez rumor i zgrzyt rozpadającej się twierdzy. W dolinie żołnierze podrywali się i odwracali, by spojrzeć na górę wznoszącą się wysoko nad nimi. Na dygoczące wieże.

„Proszę” – powtórzyła Maeve.

Z podziemi dobiegł kolejny ryk gniewu Erawana, tym razem o wiele bliższy. Dorian wzbił się w ogarniętą szaleństwem noc.

Ścigał go niemy okrzyk rozpaczyny Mrocznej Królowej. Okrzyk gnał za nim aż ku szczytom wznoszącym się nad Morath oraz skalnemu występowi, gdzie ukrył pozostałe dwa Klucze Wyrda.

Ledwie pamiętał własne imię, gdy wsunął je do kieszeni. Władał teraz wszystkimi.

Wówczas sięgnął w głąb umysłu i przeciął więź łączącą go z Maeve.

Było to równie proste jak machnięcie nożem, a zrywając ich więź, odebrał też wygnanej królowej umiejętność przemieszczania się między miejscami. Nie będzie już mogła otwierać portali.

„Zapomnij o wędrowce między światami – oznajmił, gdy jego surowa magia przekształcała jej własną moc i zmieniała jej naturę. – Zainwestuj lepiej w parę dobrych butów”.

Wtedy wypuścił jej umysł.

Jedyną odpowiedzią był niekończący się okrzyk pełen nienawiści.

Dorian przeistoczył się w wywernę gotów udawać bestię, lecącą na północ z zapasami dla powietrznej armii Erawana. Nie wiedział, ile czasu mu jeszcze zostało, ale nadal mógł być królem Adarlanu. Nadal mógł próbować zetrzeć z powierzchni ziemi plugastwo, tak by królestwo odrodziło się i stało się tym, czym winno się stać.

Pochwycił bystry wiatr i pomknął przed siebie, a potem odwrócił się, by spojrzeć na górę i dolinę cuchnące śmiercią. Patrzył na miejsce, gdzie powstało tyle okropieństw, a potem uśmiechnął się i zawałił twierdzą do reszty.

Yrene nienawidziła Elfiej Przełęczy. Nienawidziła wrażeń ciasnoty między dwoma monstrualnymi szczytami, nienawidziła kości i odchodów wywern zalegających na skalistym dnie, nie cierpiała odoru, który bił z każdego otworu wydrążonego w górach.

Dobrze, że Przełęcz okazała się pusta, choć nie ustalili jeszcze, czy naprawdę było to błogosławieństwo.

Na przełęczy stały teraz dwie armie. Oddziały Hasar szykowały się już do powrotu przez Avery do Dębowej Puszczy, co miało zabrać im naprawdę dużo czasu, nawet jeśli ruki przeniosą im wozy i cięższe zapasy. Następnie Hasar zamierzała ruszyć na północ przez las po starożytnym szlaku biegnącym wzdłuż północnego dopływu Avery.

– Podaj mi ten nóż. – Yrene zwróciła się do lady Elide, wskazując ruchem podbródka swe instrumenty.

Jeździec Darghanów, ułożony na kocu na podłodze wozu, był nieprzytomny, a na jego czole perlił się zimny pot. Po bitwie pod Anielle nikt nie opatrzył mu rany na udzie. Gdy dziś rano spadł z konia, natychmiast przyniesiono go do uzdrowicielki.

Elide pewną dłonią wybrała cienki nóż i przekazała go Yrene.

– Czy to go nie obudzi? – spytała, gdy uzdrowicielka nachyliła się nad nieprzytomnym wojownikiem i przyjrzała się zakażonej ranie, wyglądającej na tyle paskudnie, że większość ludzi poczułaby mdłości.

– Moja magia utrzymuje go w głębokim śnie. – Yrene przechyliła nóż. – Pozostanie w nim, dopóki sama go nie obudzę.

W duchu pogratulowała Elide, która bez trudu powstrzymała odruch wymiotny, gdy Yrene zabrała się do oczyszczania rany z martwej, zakażonej tkanki.

– Dzięki bogom, infekcja nie weszła w krew – oznajmiła, gdy szmatkę leżącą obok pacjenta zasłały kawałki usuniętej tkanki. – Ale trzeba będzie sporządzić specjalny wywar, by mieć pewność.

– Nie możesz go oczyścić magią? – Elide wyrzuciła brudną szmatkę

do wiadra z odpadami i sięgnęła po następną.

– Mogę i zrobię to – odparła Yrene, walcząc z mdłościami po tym, jak smród rany wszedł głęboko w jej nozdrza. – Ale to może nie wystarczyć, jeśli infekcja naprawdę szykuje się do natarcia.

– Mówisz o chorobach, jakby były żywymi istotami.

– Bo do pewnego stopnia są – rzekła uzdrowicielka. – Mają własne sekrety, własne temperamenty. Czasem trzeba je przechytrzyć, tak jak przechytrzyłabyś wroga.

Ujęła lampę z lusterkami i manewrowała przez moment tak, by skierować strumień światła na zakażony fragment ciała. Nie widziała już niczego niepokojącego, więc odłożyła zarówno nóż, jak i latarnię.

– Nie było aż tak źle, jak się obawiałam – przyznała i wyciągnęła dłoń nad zakrwawioną raną.

Nagle narosło w niej ciepło i światło, przywodzące na myśl lato na zamarznętej górskiej przełęczy. Dłonie Yrene zajaśniały, a jej magia poprowadziła ją w głąb ciała rannego. Płynęła wzdłuż żył, mięśni i kości, naprawiając i zszywając, nasłuchując szalejącego bólu i narastającej gorączki. Łagodziła je, uspokajała. Leczyła.

Uzdrowicielka była lekko zdyszana, gdy skończyła, ale oddech rannego uspokoił się, a pot na jego czole wysechł.

– Niezwykłe – szepnęła Elide, wpatrując się w naraz gładką nogę wojownika.

Yrene odwróciła głowę i z wymiotowała do wiadra na odpadki.

Elide zerwała się na równe nogi, ale Yrene zatrzymała ją gestem jednej ręki, a drugą otarła usta.

– Świadomość, iż niedługo zostanę matką, jest doprawdy wspaniała, ale rzeczywistości pierwszych kilku miesięcy można parę rzeczy zarzucić.

Elide pokuśtykała do dzbanka z wodą pitną i napełniła kubek dla uzdrowicielki.

– Proszę. Mogę ci jeszcze coś przynieść? Czy... Czy mogłabyś uleczyć sama siebie, czy też potrzebujesz do tego kogoś innego?

Yrene wzięła łyk, który zmył z jej ust gorzki smak wymiocin.

– Wymioty to znak, że dziecko rośnie – odparła i nakryła dłonią brzuch. – To nie jest dolegliwość, którą można by leczyć, chyba że miałabym uzdrowicielkę przy sobie dzień i noc, łagodzącą każdą słabość.

– Jest tak źle? – Elide zmarszczyła brwi.

– Kiepski moment na silne nudności, wiem – westchnęła Yrene. – Najlepiej pomaga imbir, chociaż wolałabym go zachować dla żołnierzy cierpiących na problemy z żołądkiem. Mięta pieprzowa również nie jest zła. – Wskazała swą sakwę. – Mam tam suszone liście. Wrzucić ich trochę do kubka i zalej gorącą wodą. Zaraz mi się zrobi lepiej.

Nad koszem z żarem stojącym między nimi wisiał parujący czajnik, który co prawda wykorzystywano częściej do dezynfekcji instrumentów niż do robienia herbaty, ale Elide szybko zakrzętnęła się wokół wywaru. Yrene przyglądała się jej w milczeniu.

– Mogłabym wyleczyć ci nogę, wiesz?

Elide znieruchomiała z ręką wyciągniętą po czajnik.

– Naprawdę?

Yrene zaczekała do chwili, gdy lady Lochan poda jej filiżankę z parującym wywarem, a potem ruchem głowy wskazała jej buty.

– Możesz mi pokazać kostkę?

Elide zawahała się, ale usiadła na taborecie obok Yrene i ściągnęła najpierw but, a potem skarpetkę. Uzdrowicielka przyjrzała się uważnie bliznom oraz źle zrosniętym kościom. Elide już dawno temu opowiedziała jej, co się jej stało w nogę.

– Masz szczęście, że sama zdołałaś uniknąć zakażenia. – Yrene upiła łyk, ale uznała, że wywar jest jeszcze zbyt gorący, i odstawiła go na bok. Potem poprosiła Elide, by ułożyła stopę na jej udzie. Ostrożnie dotykała blizn i zniekształconych kości, a jej magia dokonywała własnych obserwacji.

Obrażenia Elide dużo mówiły o brutalności, z jaką je zadano, i Yrene poczuła dreszcz lęku i niedowierzania. Zacisnęła zęby na myśl o tym, jak młoda wówczas była Elide i jak niebywale bolesna musiała być zadana jej rana. Nie mogła zapomnieć, że to własny wuj zadał dziewczynie tyle cierpienia.

- Co się dzieje? – szepnęła Elide. – Co widzisz?

- Nic. To znaczy poza tym, co już sama wiesz.

Takie okrucieństwo. Tak straszliwe, niewybaczalne okrucieństwo... Yrene przywołała swą magię, ale nie zdejmowała dłoni z kostki dziewczyny.

- Takie obrażenia będą wymagały tygodni ciężkiej pracy. Myślę, że w tych okolicznościach żadna z nas nie może sobie na to pozwolić.

Elide pokiwała głową.

- Ale jeśli przeżyjemy tę wojnę, mogę ci pomóc, jeśli chcesz.

- Co będziesz musiała zrobić?

- Istnieją dwa sposoby – powiedziała Yrene i wpuściła nieco magii do nogi Elide, by załagodzić ból mięśni, zwłaszcza tam, gdzie kości ocierały się o siebie. Dziewczyna westchnęła. – Pierwszy sposób jest zarazem trudniejszy. Musiałabym całkowicie odbudować twą stopę i kostkę. Oznacza to, że trzeba by złamać kość, usunąć fragmenty, które zrosły się nieodpowiednio, a potem je odtworzyć. Przez jakiś czas nie będziesz mogła chodzić, a ból będzie nie do zniesienia, nawet mimo pomocy, której mogę ci udzielić. – Yrene nie widziała sensu owijać w bawełnę. – Aby dotrzeć do kości, naprawić je i złożyć, będę potrzebowała trzech tygodni, a potem upłynie przynajmniej miesiąc, zanim dojdiesz do siebie na tyle, by móc znów nauczyć się chodzić.

Elide pobladła, słuchając jej słów.

- A drugi sposób?

- Drugi sposób nie ma związku z leczeniem. Mogę ci przyrządzić maści, takie jak te, które dostawałaś od Lorcana, które pomogą ci w walce z bólem, ale muszę ci ostrzec, że ból nigdy całkiem nie odejdzie. Twe kości ocierają się o siebie tu oraz tu. – Delikatnie dotknęła miejsca w górnej kostce Elide, a potem innego przy palcach u nóg. – To zaś oznacza, że w twą stopę powoli wkrada się artretyzm. Z czasem artretyzm, czyli ból odczuwany podczas chodzenia, będzie się zwiększał. Istnieje spore ryzyko, że za kilka lat, może pięć, może dziesięć, któż może wiedzieć, nadejdzie moment, kiedy żadna maść ci już nie pomoże.

- A więc tak czy owak potrzebowałabym leczenia.

- To ty zadecydujesz, czy tego chcesz, czy nie. Ja jedynie chcę, byś

wiedziała, co cię czeka – rzekła Yrene i uśmiechnęła się do Elide.

Poklepała stopę dziewczyny, a ta ostrożnie opuściła ją na ziemię, po czym naciągnęła skarpetkę i nałożyła but. Jej ruchy były zwinne i oszczędne.

Yrene upiła łyk wywaru, który zdążył już ostygnąć. Po jej ciele rozeszła się energia mięty pieprzowej, która oczyściła jej myśli i uspokoiła burzę w żołądku.

– Nie wiem, czy jestem w stanie zmierzyć się ponownie z tak wielkim bólem – powiedziała Elide.

Yrene pokiwała głową.

– Z takim urazem będziesz musiała zmierzyć się z wieloma problemami w sobie – rzekła i uśmiechnęła się w kierunku wyjścia z wozu. – Wraz z moim mężem odbyliśmy taką podróż przez mękę.

– Ciężko było?

– Nieprawdopodobnie ciężko. Ale udało mu się. Nam się udało.

Elide zastanowiła się, a potem wzruszyła ramionami.

– Myślę, że najpierw musimy przeżyć tę wojnę. Jeśli się uda, wrócimy do tego tematu.

– I słusznie.

Elide spojrzała na sufit wozu i zmarszczyła lekko brwi.

– Ciekawe, czego się tam dowiedzieli.

Miała na myśli zabudowania Omegi i Północnego Kła, gdzie Chaol i reszta rozmawiali teraz z pozostałymi hodowcami i treserami wyvern. Yrene nie chciała nic wiedzieć o tym, jak przebiegały te rozmowy, a Chaol bynajmniej nie wtajemniczył jej w to, jak wyciągano z ludzi informacje.

– Mam nadzieję, że dowiedzą się czegoś, co uzasadni przybycie do tego okropnego miejsca – mruknęła uzdrowicielka i dopiła resztę wywaru. Im szybciej stąd odejdą, tym lepiej. Miała wrażenie, że bogowie śmieją się z niej. Właściwie z ich obojga.

Rozległo się pukanie do drzwi. Elide podskoczyła, by je otworzyć, i do środka wkroczyła Borte z nietypowo jak na nią poważną miną. Yrene przygotowała się na złe wieści, ale *rukhin* zwróciła się do Elide.

- Chodź ze mną – odezwała się, zdyszana.

Za jej plecami czekał Arcas, a na jego siodle przysiadł wróbel. Yrene uświadomiła sobie, iż to zapewne Falkan Ennar, który nie towarzyszy im dla przyjemności, ale stanowi dodatkową ochronę.

- Co się dzieje? – spytała Elide.

Borte przestąpiła z nogi na nogę, powodowana zdenerwowaniem bądź zniecierpliwieniem.

- Znaleźli kogoś w górach, i to ty masz zdecydować, co z nim począć.

Elide znieruchomiała.

- Kogo znaleziono? – spytała Yrene.

- Jej wuja. – Borte zacisnęła mocno usta.

Elide zastanawiała się, czy *rukhin* unikałaby jej aż do końca świata, gdyby zwymiotowała na grzbiecie Arcasa. W rzeczy samej, podczas krótkiego lotu w górę, na kamienny most łączący Omegę z Północnym Kłem, zajmowało ją tylko i wyłącznie powstrzymywanie zawartości żołądka.

- Ukrywał się w Północnym Kle – powiedziała jej Borte, zanim wciągnęła ją na siodło Arcasa. Falkan już pomknął w stronę przełęczy.
- Udawał zwykłego tresera, ale wydał go jeden z pozostałych. Królowa Aelin posłała po ciebie, gdy tylko go uwięziono. Twego wuja, a nie tamtego trenera, rzecz jasna.

Elide nie była w stanie odpowiedzieć, więc pokiwała tylko głową.

A więc Vernon był tutaj. Na Elfiej Przełęczy. Nie w Morath ze swoim panem, ale tu.

Gavriel i Fenrys czekali, gdy Arcas wylądował w ogromnym wejściu do Północnego Kła, przypominającym wielką paszczę. Wiszący w powietrzu smród znów wyzwolił u Elide fale nudności. Miała wrażenie, że to gnijące mięso i inne, jeszcze gorsze rzeczy, bez wątplenia Valgowie. Wydawało jej się, że rozróżnia również smród nienawiści, okrucieństwa i ciasnych, dusznych korytarzy.

Obaj Fae w milczeniu ruszyli obok niej. Nigdzie nie widziała Lorcana, Aelin ani swojego wuja.

W niektórych ciemnych korytarzach, przez które prowadzili ją Fenrys i Gavriel, leżeli martwi dozorczy, pokonani przez wdzierających się do środka *rukhin*. Ich rany nie broczyły czarną krwią, mimo to cuchnęły, jakby to miejsce zakaziło ich dusze.

– Są tam – rzekł Gavriel cichym, łagodnym głosem. – Jeszcze kawałek.

Ręce Elide zaczęły drżeć. Fenrys oparł jej dłoń na ramieniu.

– Został solidnie unieruchomiony – uspokoił ją.

Elide wiedziała, że nie uwięziono go tylko za pomocą lin i łańcuchów, lecz użyto ognia, lodu i pewnie nawet mrocznej mocy Lorcana, ale ta świadomość niewiele jej pomogła. Nadal drżała na całym ciele, a gdy skręcili za róg i ujrzała Aelin, Rowana i Lorcana stojących przed zamkniętymi drzwiami, wydała się sobie mała, nic nieznacząca i krucha. Kawałek dalej czekali Nesryn, Sartaq i lord Chaol. Pozwalali jej zdecydować, co począć z Vernonem Lochanem.

To ona, Elide, miała podjąć decyzję.

Na poważnej twarzy Lorcana zastygła lodowata wściekłość. Jego bezdenne, ciemne oczy wydawały się zamarznietymi jeziorami nocy.

– Nie musisz tam wchodzić – powiedział cicho.

– Sprowadziliśmy cię tu – Aelin również z trudem tłumiała gniew – byś mogła zdecydować, co z nim począć. Chcesz z nim porozmawiać, zanim sami to zrobimy?

Elide zerknęła na noże Rowana i Lorcana, a potem na kurczowo zaciśnięte pięści królowej i natychmiast odgadła, na czym będzie polegać ta rozmowa.

– Chcecie go torturować, by wyciągnąć z niego informacje? – spytała, bojąc się spojrzeć królowej w oczy.

– Zanim otrzyma to, co jesteśmy mu winni – warknął Lorcan.

Elide patrzyła to na mężczyznę, którego kochała, to na królową, której służyła. Zrobiła krok do przodu. Jej kalectwo jeszcze nigdy nie było tak widoczne.

– Czemu tu przebywa?

– Jeszcze nam tego nie wyjaśnił – rzekł Rowan. – I podejrzewa, że tu jesteś, chociaż mu tego nie powiedzieliśmy. – Zerknął na Lorcana. –

Decyzja należy do ciebie, pani.

– Ale zabijecie go tak czy owak?

– A tego sobie życzysz? – spytał Lorcan.

Kilka miesięcy temu poprosiła go o to, a on się zgodził. To było, jeszcze zanim Vernon i jego ilkeny próbowali ją porwać. Przed ową nocą, kiedy pragnęła śmierci, byle tylko nie wrócić z nim do Morath.

Spojrzała na drzwi. Nikt się nie odzywał, szanując jej prawo do namysłu.

– Chcę z nim porozmawiać, zanim podejmiemy decyzję o jego losie.

Jedyną odpowiedzią Lorcana był lekki ukłon, po czym otworzył przed nią drzwi. Zamigotały pochodnie, a Elide ujrzała pustą komnatę, w której jedynym meblem był stół przysunięty do ściany.

Na drewnianym krześle siedział jej wuj, zakuty w grube łańcuchy.

Jego zacny strój był mocno podniszczony, a ciemne włosy znajdowały się w nieładzie, jakby próbował stawiać opór przy pojmaniu. W istocie, opuchlizna nosa i krew, zalepiająca jedno z nozdrzy, świadczyły o tym, że mu go złamano.

Elide zerknęła na Lorcana i ujrzała krew na kłykciach.

Vernon wyprostował się, gdy dziewczyna podeszła bliżej. Lorcan i Aelin stali za nią. Drzwi zatrzasnęły się za ich plecami.

– We wspaniałym towarzystwie się obracasz, Elide – rzekł Vernon.

Ten głos... Nawet mimo złamanego nosa jego okropny, jedwabisty głos był niczym kwas przeżerający jej skórę. Mimo to Elide uniosła wysoko podbródek i wbiła wzrok w wuja.

– Czemu tu jesteś? – spytała.

– Najpierw napuszczasz na mnie to zwierzę – wycedził Vernon, patrząc na Lorcana – a potem przysyłasz dziewczę o słodkiej buzi, by wyciągnąć ze mnie odpowiedzi? – Uśmiechnął się do Aelin. – Cóż to za technika, Wasza Królewska Mość?

Aelin oparła się o kamienną ścianę i wsunęła dłonie w kieszenie. W jej twarzy nie było nic ludzkiego, ale Elide zauważyła, że jej dłonie drżą. Poruszała nimi bez przerwy, jakby przez cały czas usiłowała sobie uświadomić, że wcale nie zostały zwałtretowane, że nie są

zakute w kajdany.

Zaledwie kilka tygodni temu znajdowała się w takiej samej sytuacji co Vernon. Wyglądało na to, że trwa u boku Elide tylko dzięki sile woli. Tylko po to, by móc wyciągnąć z Vernona jakieś informacje.

Świadomość ta dodała dziewczynie sił.

– Twoje minuty są policzone. Proponuję, byś dobrze wykorzystał to, co ci zostało.

– Bezwzględna. – Vernon się uśmiechnął. – Wiedźmia krew w twoich żyłach okazuje się całkiem silna.

Nie mogła tego znieść. Nie mogła dłużej wytrzymać w tym samym pomieszczeniu co on. Nie mogła oddychać tym samym powietrzem co człowiek, który się uśmiechał podczas egzekucji jej ojca. Który się uśmiechał, trzymając ją przez dziesięć lat w wieży. Uśmiechał się, gdy dotykał Kaltain i robił z nią być może jeszcze gorsze rzeczy, a potem próbował sprzedać Elide Erawanowi na rozplód.

– Dlaczego? – spytała. Żadne inne pytanie nie miało jej zdaniem znaczenia. – Po co to wszystko?

– Skoro moje minuty są policzone – odparł Vernon – nie sądzę, by to, co ci powiem, miało jakiegokolwiek znaczenie. – Uśmiechnął się lekko. – Zrobiłem to wszystko dlatego, że mogłem – dodał, a Lorcan warknął głucho. – Bo mój brat, a twój ojciec, był nieznośnym, tępym bydlakiem, którego do sprawowania rządów upoważniało tylko to, że przyszedł na świat przede mną. Był brutalem i rzeźnikiem – parsknął, wpatrzony w Lorcana, a potem przeniósł wzrok na Elide. – Najwyraźniej odziedziczyłaś upodobania swojej matki. – Pokręcił głową z nienawiścią wymalowaną na twarzy. – Wielka szkoda. Marion była niezwykłą piękną. Wielka szkoda, że zginęła w obronie Jej Królewskiej Mości.

Przez komnatę przemknęła fala gorąca, ale twarz Aelin pozostała nieporuszona.

– Na pewno znalazłoby się dla niej miejsce w Perrancie, gdyby nie...

– Dość – powiedziała cichym, lecz stanowczym głosem Elide i zrobiła krok ku niemu. – A więc kierowała tobą zazdrość. Zazdrościłeś memu ojcu. Zazdrościłeś mu siły i zdolności. Zazdrościłeś

mu żony.

Vernon otworzył usta, ale Elide podniosła rękę.

– Nie skończyłam.

Mężczyzna zamrugął.

Elide wyprostowała się. Oddychała spokojnie, rytmicznie.

– Nie interesuje mnie to, dlaczego się tu znalazłeś. Nie obchodzi mnie to, co oni chcą z tobą zrobić. Chcę tylko, byś wiedział, że kiedy wyjdę z tej komnaty, już nigdy o tobie nie pomyślę. – Urwała na moment. – Twe imię zostanie wymazane z historii Perranthu, zniknie z Terrasenu, zniknie z Adarlanu. Nie pozostanie po tobie nawet wzmianka. Zostaniesz zapomniany.

Vernon pobladł lekko, a potem się uśmiechnął.

– Wymazane z historii Perranthu? Mówisz, jakbyś nie znała prawdy, lady Elide – rzekł, ironicznie akcentując słowo „lady”, po czym wychylił się najdalej, jak pozwalały na to łańcuchy. – Perranth wpadł w ręce Morath. Twoje miasto zostało splądrowane.

Jego słowa były niczym cios. Nawet Lorcan wciągnął powietrze. Vernon zaś rozparł się na krześle, zadowolony z siebie.

– Proszę bardzo, wymazuj mnie do woli. Z Perranthu zostały tylko gruzy, a więc dużo roboty mieć nie będziesz.

Perranth został zajęty przez Morath. Elide nie musiała nawet patrzeć przez ramię na Aelin, by wiedzieć, że jej oczy niemalże lśniły. Zła wiadomość. O wiele gorsza, niż sądzili. Musieli działać szybko i ruszyć na północ najszybciej, jak się dało.

Elide odwróciła się ku drzwiom. Lorcan podszedł, by je przed nią otworzyć.

– I to wszystko? – spytał Vernon.

Elide zatrzymała się i odwróciła powoli.

– A co jeszcze miałabym ci powiedzieć?

– Nie zapytałaś mnie o żadne szczegóły. – Vernon uśmiechnął się niczym żmija. – Nadal nie umiesz grać w tę grę, Elide.

Dziewczyna odpowiedziała mu uśmiechem.

– Nie ma już nic, co chciałabym od ciebie usłyszeć – rzekła

i zerknęła na Lorcana i Aelin. – Za to oni mają wiele pytań.

Twarz Vernona przybrała kolor zepsutego mleka.

– Chcesz mnie zostawić w ich rękach? Całkiem bezbronego?

– Ja również byłam bezbronna, gdy uznałeś, że nie pomożesz mi po złamaniu nogi – rzekła. W jej ciele rozlewał się spokój. – Byłam wówczas dzieckiem, a mimo to przetrwałam. Ty zaś jesteś dorosły. – Znów się uśmiechnęła. – Zobaczymy, czy tobie uda się przetrwać.

Nie ukrywała kalekiego, nierównego chodu, gdy wyszła na korytarz. Przechwyciła spojrzenie Lorcana, które jaśniało dumą.

Nie usłyszała ani jednego szeptu, który ją prowadził. Bynajmniej nie przez strach, ale... Może nie potrzebowała już Anneith, Pani Mądrych Rzeczy. Może bogini sama uznała, że nie jest już jej potrzebna.

I nigdy więcej nie będzie.

Aelin wiedziała, że wystarczy jedno słowo, by Lorcan rozszarpał Vernonowi gardło lub zaczął łamać mu kości. Lub być może obłupił go ze skóry, co Rowan zafundował Cairnowi.

Idąc za Elide, która wyszła z wysoko podniesionym podbródkiem, Aelin narzuciła sobie spokojny rytm oddychania. Szykowała się na to, co miało nastąpić. Wiedziała, że sobie poradzi. Że zdusi drżenie rąk i zignoruje zimny pot na plecach. Musiała dać sobie radę, jeśli chciała dowiedzieć się wszystkiego, co wiedzieć powinna.

Elide zatrzymała się w korytarzu. Gavriel, Rowan i Fenrys podeszli krok bliżej. Nigdzie nie było widać Nesryn, Chaola ani Sartaqa, ale wystarczyłby jeden okrzyk, by ściągnąć ich do tej gnijącej nory.

Na bogów, ależ to miejsce cuchnęło. Jakim złem buchało.

Przez całą minioną godzinę Aelin zastanawiała się, czy nie przybrać ludzkiej postaci, mając na celu ochronę swej poczytalności i zawartości żołądka. Wszak w ludzkim kształcie jej węch nie był aż tak czuły.

– Zróbcie z nim, co chcecie – powiedziała Elide, nie kierując twych słów do nikogo.

– Zależy ci na tym, by wyszedł stamtąd żywy? – spytał Lorcan z zabójczym spokojem.

Elide przyjrzała się mężczyźnie, któremu skradła serce.

– Nie.

„Dobrze” – chciała powiedzieć Aelin, jednak ugryzła się w język.

– Ale streszczaj się – dodała Elide.

Lorcan otworzył usta, by zaprotestować, ale dziewczyna pokręciła głową.

– Mój ojciec by sobie tego życzył.

Kaltain wymusiła kiedyś na Aelin obietnicę, że ukarze ich wszystkich. Vernon, z tego, co mówiła Elide, najprawdopodobniej znajdował się wysoko na liście Kaltain.

– Najpierw trzeba go przepytac – rzekł Rowan. – I dowiedziec się, co wie.

– A wiec zajmijcie się tym – powiedziala Elide. – Później zadajcie mu szybka śmierć.

– Szybka – zastanowil się Fenrys. – Ale nie bezbolesna?

Twarz Elide byla zimna, bezlitosna.

– Sami zdecydujcie.

Brutalny uśmiech Lorcana zdradzil Aelin wszystko. U jego boku byl snął topór, taki sam jak ten, który nosil Rowan.

Czula, jak poca się jej dłonie. Pociła się od chwili, gdy związali Vernona, odkąd po raz pierwszy ujrzała zelazne łańcuchy. Sięgnęła po swą magię – nie po szalejące płomienie, ale po kojącą, chłodną kroplę wody. Słuchala jej cichej pieśni i pozwalala, by przemywała jej ciało i duszę. I wtedy zrozumiala, co chce uczynić.

Lorcan zrobil krok w kierunku drzwi do komnaty, gdy Aelin stanęła mu na drodze.

– Torturami nic z niego nie wyciągniecie.

Nawet Elide zamrugala, słysząc jej słowa.

– Vernon lubi gierki, a wiec zagram z nim.

Oczy Rowana zamigotaly, jakby wyczuwal zapach potu na jej dłoniach, jakby wiedzial, że wyciąganie informacji tradycyjnym sposobem skonczyloby się dla niej co najwyzej zwymiotowaniem

z Północnego Kła.

- Z mojego doświadczenia wynika, że nic tak dobrze nie działa jak złamanie paru kości – sprzeciwił się Lorcan.

- Zobacz, co ci się uda z niego wyciągnąć – rzekł Rowan do Aelin.

Zaskoczony Lorcan odwrócił się i już otworzył usta, ale księżę warknął:

- To dobry moment, by ustalić, czego chcemy jako dwór. Jak chcemy działać. Czy postępujemy tak jak nasi wrogowie? Czy może mamy inne sposoby, by ich łamać?

Spojrzał jej w oczy. W jego oczach błysnęło zrozumienie.

Lorcan nadal wydawał się gotów do sprzeczki.

Aelin odepchnęła widmowy ból, zadawany jej przez kajdany, i równie wyimaginowany ciężar żelaznej maski na twarzy, po czym rzekła:

- Najpierw wypróbujemy mój sposób. Nadal możecie go zabić, ale najpierw dajcie mi działać. – A gdy Lorcan się nie sprzeciwił, dodała:
- Przyda mi się trochę piwa.

Aelin przesunęła kufel z zimnym piwem po blacie stołu, za którym siedział Vernon. Jego łańcuchy zostały poluzowane, by mógł używać dłoni.

Jeden fałszywy ruch i mogła go spalić.

W komnacie przy drzwiach stali jedynie Lew i Fenrys, a Rowan i Lorcan na rozkaz Aelin mieli czekać w korytarzu. Oczywiście sprzeciwiali się tej decyzji, ale królowa oznajmiła, że w środku tylko utrudnialiby jej zadanie.

Upiła łyk z własnego kufła i mruknęła:

- Dziwny to dzień, kiedy trzeba wygłosić pochwałę piwa uwarzonego przez wroga.

Vernon spojrzał na kufel ze zmarszczonymi brwiami.

- Nie jest zatrute – dodała Aelin. – To nie miałobysensu.

Vernon upił mały łyk.

- Rozumiem, że doszłaś do nowych wniosków. Myślisz sobie, że kufel piwa i rozmowa jak ze starym kumplem pomogą ci dostać wszystko, co chcesz.

- Chciałbyś się dowiedzieć, na czym polega druga opcja? – Aelin uśmiechnęła się lekko. – Bo ja na pewno nie.

- Metody mogą się różnić, ale wszystko i tak skończy się moją śmiercią.

- Opowiedz mi coś ciekawego, Vernon, a być może wyrok się zmieni.

Lord Lochan omiótł ją wzrokiem.

- Gdybym wiedział, że wyrośniesz na taką królową, być może nie ukląkłbym przed Adarlanem – rzekł i uśmiechnął się przebiegle. – Jakże różnisz się od rodziców. Czy twój ojciec kiedykolwiek kogoś torturował?

Aelin zignorowała zaczepkę. Upiła kolejny łyk i przepłukała usta, jakby mogła w ten sposób zmyć ohydę tego miejsca.

- Wielokrotnie próbowałeś zdobyć władzę, ale nigdy ci się nie udało. Nawet chciałeś ją ukraść Elide, a potem sprzedałeś się Erawanowi. Tymczasem Morath złupił Perranth i bez wątpienia wyruszył na Orynth. Ciebie zaś znaleźliśmy tutaj, gdy próbowałeś się ukryć. – Upiła kolejny łyk. – Można by pomyśleć, że wypadłeś z łask Erawana.

- Być może przeniósł mnie tu z ważnego powodu, Wasza Królewska Mość.

Aelin przebadala go już swą magią i wiedziała, że nie ma naszyjnika z Kamienia Wyrda.

- A ja myślę, że cię wyrzucił. – Rozparła się na krześle i założyła ramiona na piersi. – Myślę, że przestałeś być dla niego użyteczny, tym bardziej że nie zdołałeś odzyskać Elide. Erawan nie chciał pozbywać się sługusa, ale z drugiej strony nie życzył sobie, byś się szwendał wokół niego, więc wysłał cię tu. – Ruchem ręki wskazała górę. – Na cudowną Elfią Przełęcz.

- Wiosną jest tu naprawdę pięknie – rzekł Vernon.

Aelin się uśmiechnęła.

– Raz jeszcze powiem: opowiedz mi coś ciekawego, a może pożyczysz na tyle długo, by ją ujrzeć.

– Przysięgniesz? Na swój tron? Przysięgniesz, że mnie nie zabijesz?
– Zerknął na Fenrysa i Gavriela, którzy stali za królową z kamiennymi twarzami. – Ani któryś z twoich towarzyszy?

Aelin parsknęła.

– Miałam nadzieję, że nie poddasz się od razu. – Dopła piwo. – Ale dobrze. Przysięgam, że nikt z nas cię nie zabije, jeśli powiesz nam, co wiesz.

Fenrys drgnął. Nie omówili tego rozwiązania, a Vernonowi dokładnie na takim zapewnieniu zależało.

Pociągnął tęgi łyk z kufła i rzekł:

– Maeve przybyła do Morath.

Aelin poczuła ulgę, że siedzi, ale utrzymała znudzoną, obojętną twarz.

– By spotkać się z Erawanem? – spytała.

– By się z nim sprzymierzyć.

Komnata wirowała wokół niej. Nawet odrobinka magii jej matki nie pomogła wrócić jej do równowagi.

Było gorzej, niż sądziła. Nie wiedziała, że usłyszy od Vernona tak złe wieści.

– Przyproceedziła armię? – Jej chłodny, nieporuszony głos wydawał się dobiegać z daleka.

– Przybyła sama.

– Bez armii? Zupełnie sama?

Vernon znów pociągnął łyk.

– Nie widziałem żadnych wojsk do chwili, gdy Erawan w środku nocy wsadził mnie na wywerne i odesłał. Powiedział, że zadaję zbyt wiele pytań i że bardziej przydam się tutaj.

„A więc Erawan i Maeve musieli skądś wiedzieć, że dotrzemy tutaj – myślała Aelin. – I postawili nam Vernona na drodze, by opowiedział nam o tym wszystkim”.

– Zdradziła, gdzie znajduje się jej armia?

„Tylko nie w Terrasenie... Jeśli udała się do Terrasenu...”.

– Nic nie mówiła, ale odniosłem wrażenie, że jej siły znalazły się niedaleko wybrzeża, gdzie czekają na rozkaz wypłynięcia.

Aelin powstrzymała narastające nudności.

– A dowiedziałaś się, co Maeve i Erawan planują?

– Stawić ci czoła, jak sądzę.

Choć wiele ją to kosztowało, rozsiadła się na krześle ze znudzoną miną.

– Wiesz, gdzie Erawan trzyma trzeci Klucz Wyrda?

– A co to takiego?

Aelin doszła do wniosku, że Vernon nie udaje i naprawdę tego nie

wie.

– Okruch czarnego kamienia. Podobny do tego, który znalazł się w ramieniu Kaltain Rompier.

Vernon zamrugał.

– Ona również władała mocą ognia – rzekł. – Ogarnia mnie przerażenie na myśl, co się wydarzy, gdy Erawan umieści kamień w twoim ramieniu.

Zignorowała go.

– Mów do rzeczy.

Vernon skończył piwo.

– Nie wiem, czy miał jeszcze jakiś kamień poza tym, który umieścił w ramieniu Kaltain.

– Ma.

– A więc nic o nim nie wiem. Wiem tylko o tym, który skradła moja przebiegła mała bratanica.

Aelin powstrzymała ochotę, by zgrzytnąć zębami. A więc Maeve i Erawan zawarli sojusz, a Dorian i Manon znikli bez śladu z pozostałymi dwoma Kluczami.

Odepchnęła od siebie wrażenie, że ściany napierają na nią zewsząd. Zignorowała zimny pot na plecach.

– A dlaczego Maeve chciała połączyć siły z Erawanem?

– Nie uczestniczyłem w tej rozmowie. Erawan szybko mnie odesłał.

– W oczach Vernona błysnęło rozdrażnienie. – Ale Maeve w jakiś sposób zdobyła... cóż, pewien wpływ na Erawana.

– Co się stało z Żelaznozębnyimi, które stacjonowały na Przełęczy?

– Zostały wezwane na północ, do Terrasenu. Otrzymały rozkaz dołączenia do armii, która pokonała już obrońców na granicy, a potem pod Perranthem.

„Na bogów”.

Aelin przywołała całą siłę woli, by zdusić ryk w głowie.

– Na Orynth idzie sto tysięcy żołnierzy. – Vernon zachichotał. – Zatrzymasz taką masę tymi swoimi promykami?

Aelin zacisnęła dłoń na rękojeści Goldryna. Serce w jej piersi dudniło.

– Jak daleko są od miasta?

– W chwili, gdy odleciały Żelaznozębne, pozostało im jeszcze kilka dni marszu.

Aelin oszacowała dystans, rys terenu oraz rozmiary ich własnej armii. W najlepszym razie mieli przed sobą dwa tygodnie drogi, jeśli pogoda nie pokrzyżuje im planów. Dwa tygodnie przez gęste puszcze i wrogie terytorium.

Nigdy nie zdążą na czas.

– Czy Erawan i Maeve staną na czele armii?

– Tak mi się wydaje. Z nieznanym mi powodów nie dołączyli do pierwszej fali wojsk, ale udadzą się do Orynthu, by zmierzyć się tam z tobą.

Aelin poczuła suchość w ustach. Podniosła się.

– Nie chcesz zapytać, czy słyszałem o jakichś słabych punktach Erawana? – Vernon zmarszczył brwi. – Czy może o jakichś niespodziankach, które szykuje dla ciebie?

– Wiem wszystko, co muszę wiedzieć – oznajmiła Aelin i skinęła na Fenrysa oraz Gavriela.

Pierwszy z nich odepchnął się od ściany, by otworzyć przed nią drzwi, a drugi podszedł do więźnia, by znów zacisnąć mu więzy. Vernon został mocno przywiązany do krzesła.

– Nie rozwiążesz mnie? – zapytał. – Powiedziałem ci wszystko, co chciałaś wiedzieć.

Aelin wyszła na korytarz, a tam dostrzegła furję na twarzy Lorcana. Słyszał każde wypowiedziane przez nią słowo, łącznie z obietnicą, iż Vernon nie zostanie zabity. Królowa spojrzała przez ramię i uśmiechnęła się krzywo.

– Nie wspomniałam nic o zdjęciu ci kajdan.

Vernon znieruchomiał.

– Powiedziałam, że nie zabije cię nikt z nas. A przecież to nie nasza wina, że nie umiesz wydostać się z tych łańcuchów, prawda?

Z twarzy więźnia odpłynęła wszelka krew.

– Zakułeś w kajdany moją przyjaciółkę i więziłeś ją w wieży przez dziesięć lat – powiedziała cicho Aelin. – Zobaczmy, czy jej doświadczenia przypadną ci do gustu. – Jej uśmiech stał się naprawdę złośliwy. – Musimy teraz zająć się pozostałymi treserami i dozorcami, choć kiedy się z tym uporamy, nie sądzę, by któryś z nich pozostał tu, by cię karmić. Albo pić. Czy nawet usłyszeć twoje wrzaski. Nie sądzę, by udało ci się wytrzymać całe dziesięć lat. Dwa dni może? Trzy? Postawiłabym na trzy dni.

– Proszę – odezwał się Vernon, gdy Gavriel położył dłoń na klamce, by zamknąć znajdującego się w komnacie człowieka.

– Marion ocaliła mi życie. – Aelin przechwyciła jego spojrzenie. – A ty skwapliwie pokłoniłeś się mężczyźnie, który ją zabił. Być może nawet osobiście poinformowałeś króla Adarlanu, gdzie nas znaleźć. Wszystkich nas.

– Proszę! – wrzasnął Vernon.

– Trzeba było zachować ten kufel piwa na przyszłość – powiedziała Aelin i skinęła głową Gavrielowi.

Vernon zaczął wrzeszczeć, ale drzwi zostały zamknięte, a Aelin obróciła klucz w zamku. W korytarzu zapadła cisza.

Królowa spojrzała Elide prosto w jej szeroko otwarte oczy. Na twarzy Lorcana widniała dzika satysfakcja.

– To nie będzie szybka śmierć – oznajmiła Aelin i podała Elide klucz.

W powietrzu zawisło niewypowiedziane pytanie.

Vernon wrzeszczał, błagał ich, by wrócili i uwolnili go z kajdan. Młoda lady Perranthu przyjrzała się drzwiom i przez moment wsłuchiwała się w rozpaczliwe wrzaski uwięzionego za nimi człowieka. Przyjęła podany jej klucz i wsunęła go do kieszeni.

– Trzeba znaleźć jakiś lepszy sposób na zabezpieczenie tego pokoju – rzekła.

– Potwierdziły się nasze najgorsze obawy – powiedziała Aelin do Rowana.

Stali oparci o balustradę jednego z balkonów w Północnym Kle i spoglądali na armię zgromadzoną w dole przełęczy. Ich towarzysze, zamknawszy na zawsze dostęp do korytarzy, w których uwięziono Vernona, kierowali się właśnie ku ich oddziałom. Aelin wiedziała, że powinni do nich dołączyć, ale zapragnęła chwili wytchnienia.

Rowan położył jej dłoń na ramieniu.

– Stawimy im czoła razem. Zarówno Maeve, jak i Erawanowi.

– I stu tysiącom żołnierzy idących na Orynth?

– Razem, Ogniste Serce – powiedział cicho Rowan.

Na jego twarzy widziała zimne wyrachowanie i efekty setek lat doświadczeń. W oczach błyszczała niezniszczalna wiara w siebie.

Wsparła głowę o ramię swego towarzysza życia. Jej skroń dotknęła lekkiego naramiennika.

– Uda nam się? Zostanie z Orynthu coś, czego warto bronić?

Rowan odsunął jej włosy z twarzy.

– Spróbujemy. To jedyne, co możemy zrobić.

Były to słowa dowódcy, który od wieków wkraczał na pola bitew.

Ujął jej dłoń i wspólnie spojrzeli na armię zgromadzoną w dole, na okruch nadziei, który im dawała. Aelin zaś zadała sobie pytanie, czy postąpiła jak idiotka, gdy uwolniła całą moc, gromadzoną z trudem przez trzy miesiące. Może trzeba było poczekać na Maeve? Albo na nią i na Erawana? Bo nawet gdyby zaczęła zbierać moc teraz, nie byłaby już w stanie zgromadzić jej aż tyle.

– Nie zadręczaj się niepotrzebnymi rozważaniami – powiedział Rowan, który odczytał myśli z jej twarzy.

„Nie wiem, co począć” – rzekła bezgłośnie.

Rowan ucałował ją w czubek głowy.

„Razem” – powtórzył.

Wysłuchana w wycie wiatru, szalejącego wśród górskich szczytów, Aelin uświadomiła sobie, że być może jej towarzysz życia również nie ma pojęcia, co zrobić dalej.

81.

Sto tysięcy – szepnął Ren, rozgrzewając dłonie przed ryczącym ogniem w Wielkiej Sali.

Strzały łuczników Morath, szukających pomsty za zniszczenie wieźmich wież, zabiły dwóch spośród Milczących Zabójców, ale na szczęście straty nie okazały się większe.

Mimo to wieczorny posiłek przebiegł w ponurej atmosferze. Nikt nie był tak naprawdę głodny, zwłaszcza po tym, jak zapadły ciemności i zapłonęły ogniska, niezliczone niczym gwiazdy na niebie. Wkrótce wszyscy udali się na spoczynek, a Lysandra odprowadziła wciąż drżącą Evangeline do ich komnaty. W sali pozostał jedynie Aedion.

Tylko bogowie wiedzieli, co im przyniesie poranek.

Choć być może bogowie znów ich opuścili, skoro jedyna osoba, mogąca ich sprowadzić do domu, została zamknięta w żelaznej skrzyni? A może skupili całą swą uwagę na Dorianie Havilliardzie?

– I to już wszystko, prawda? – Ren westchnął ciężko. – Nie pozostał już nikt, kto mógłby nam przyjść z pomocą.

– Nie czeka nas piękny koniec – przyznał Aedion, wsparty o obramowanie kominka. – Zwłaszcza jak uruchomią tę trzecią wieżę.

Nie było już sposobu, by po raz kolejny zaskoczyć Morath.

– Powinieneś odpocząć – powiedział do młodego lorda.

– A ty?

Aedion wpatrywał się bez słowa w płomienie.

– Służba na tym dworze byłaby wielkim zaszczytem – rzekł Ren. – Służba z tobą.

Aedion zacisnął oczy i przełknął z trudem ślinę.

– W istocie – powiedział. – Byłaby.

Ren klepnął go w ramię i wstał. Echo jego cichnących kroków rozeszło się po sali.

Aedion siedział samotnie przed wielkim ogniem jeszcze przez kilka minut, po czym podniósł się i ruszył w stronę swej sypialni, zdecydowany choć na moment zamknąć oczy. Był już niemalże przy wejściu do wschodniej wieży, gdy ją zauważył.

Lysandra zatrzymała się. W rękach miała kubek z czymś, co wyglądało jak parujące mleko.

– To dla Evangeline – powiedziała. – Nie może zasnąć.

Dziewczynka drżała przez cały dzień, a przy stole sprawiała wrażenie, jakby miała lada moment zwymiotować.

– Mogę z nią porozmawiać? – spytał Aedion.

Lysandra otworzyła usta, jakby zamierzała się sprzeciwić, a on już chciał porzucić temat, gdy kobieta skinęła głową.

Nie mówiąc ani słowa, przeszli do południowej wieży, a potem ruszyli po schodach na górę, do dawnej komnaty Rose. To zapewne Ren się tym zajął. Drzwi były uchylone i na korytarz wylewała się strużka złocistego światła.

– Przyniosłam ci trochę mleka – oznajmiła Lysandra, odrobinę tylko zdyszana po wspinaczce. – Oraz przyprowadziłam towarzysza – dodała, gdy Aedion wszedł do przytulnej komnaty. Pomimo lat zaniedbań komnata Rose w zamku królewskim wydawała się nietknięta, czego nie można było powiedzieć o wielu innych pomieszczeniach.

Na widok Aediona Evangeline otworzyła szeroko oczy, a on uśmiechnął się do niej, siadając na skraju jej łóżka. Przyjęła kubek od Lysandry i zacisnęła na nim dłonie z taką siłą, że pobielaly jej kłykcie, po czym upiła łyk.

– Przed moją pierwszą bitwą – Aedion zwrócił się do dziecka – spędziłem całą noc w wychodku.

– Ty? – pisnęła Evangeline.

Aedion uśmiechnął się nieśmiało.

– Och, tak. Quinn, dawny kapitan gwardii, był o świcie zdziwiony, że w ogóle coś ze mnie zostało.

Aedion poczuł stary ból w sercu na wspomnienie dawnego mentora i przyjaciela, którego podziwiał z całego serca, a który stoczył swą

ostatnią bitwę na równinie przed tym samym miastem.

– Ależ to obrzydliwe. – Evangeline zaśmiała się cicho.

– Nie da się ukryć – oznajmił Aedion. Mógłby przysiąc, że Lysandra uśmiechnęła się lekko. – A więc jesteś już i tak o wiele odważniejsza ode mnie.

– Zwymiotowałam – przyznała szeptem Evangeline.

– Lepiej zwymiotować niż sfajdać się w gacie, skarbie – odparł Aedion konspiracyjnym szeptem.

Evangeline aż zatrzęsała się ze śmiechu. Musiała mocniej uchwycić kubek, by nie wylać mleka. Aedion uśmiechnął się do niej i zmierzwił jej rudozłote włosy.

– Bitwa nie będzie niczym miłym – powiedział, gdy Evangeline popijała mleko. – I pewnie nieraz przyjdzie ci zwymiotować. Ale przypomnij sobie wówczas, że twój strach oznacza, że masz coś, o co warto walczyć. Coś, na czym zależy ci tak bardzo, że przegrana to najgorsza rzecz, jaką możesz sobie wyobrazić. – Wskazał na oszronione okno. – Widziałaś tych łajdaków na równinie? Oni nie mają tego ani trochę. Na niczym im nie zależy. – Ujął jej dłoń i ścisnął ją lekko. – Nie mają nic, o co mogą chcieć walczyć. Są od nas o wiele liczniejsi, ale to my mamy coś, czego warto bronić, i dlatego właśnie umiemy pokonać nasz lęk. Potrafimy stawić im czoła i będziemy walczyć do samego końca. Dla naszych przyjaciół, dla naszych rodzin... – Z każdym zdaniem ścisnął rączkę małej. – Dla tych, których kochamy. – Odważył się spojrzeć na Lysandrę, której zielone oczy lśniły srebrem. – Dla tych, których kochamy, potrafimy się wznieść ponad strach. Pamiętaj o tym jutro. Nawet jeśli znów zachce ci się wymiotować albo spędzisz całą noc w wychodku. Pamiętaj o tym, że my mamy o co walczyć i że to zawsze zwycięży.

– Będę pamiętać. – Evangeline pokiwała głową.

Aedion raz jeszcze zmierzwił jej włosy, podszedł do drzwi i zatrzymał się na progu. Spojrzał w szmaragdowozielone oczy Lysandry.

– Straciłem własną rodzinę dziesięć lat temu. Jutro będę walczyć o nową, którą stworzyłem.

Nie tylko o Terrasen, dwór i lud, ale również o dwie dziewczyny

w tej komnacie.

„Ja też chciałem, byś to była ty”.

Niemalże wypowiedział te same słowa co ona kiedyś, zwłaszcza gdy dostrzegł, że w jej oczach pojawiły się tęsknota i smutek.

Ale zrezygnował i wymknął się z komnaty, zamykając za sobą drzwi.

Lysandra ledwie spała tej nocy. Za każdym razem, gdy zamykała oczy, widziała wyraz jego twarzy i słyszała jego słowa. Nie wierzył w to, że przeżyje tę bitwę. Nie wierzył w to, że komukolwiek się to uda.

Powinna była wybiec za nim. Powinna była popędzić w dół po schodach.

A mimo to ani drgnęła.

Nastał świt, a z nim nadszedł dzień, jasny i słoneczny, by mogli lepiej ocenić rozmiary wrogiej armii.

Lysandra zaplotła Evangeline warkocz. Dziewczynka była tego poranka spokojniejsza, miała wyraźniejszą minę, a idąc, unosiła wysoko podbródek, co było zasługą Aediona. Jego słowa z pewnością pomogły małej zapaść w sen.

W milczeniu zeszły do Wielkiej Sali na śniadanie, które mogło się okazać ich ostatnim. Tuż przed drzwiami doścignęło je zdanie wypowiedziane głosem starego człowieka:

– Chciałbym zamienić z tobą słowo.

Darrow stał w wejściu do komnaty, która wydawała się jego gabinetem, i gestem zapraszał je do środka.

– To nie potrwa długo – dodał, widząc niechęć na twarzy Lysandry.

Zmiennokształtna nie miała bowiem zamiaru już dłużej udawać uprzejmości w stosunku do mężczyzn, którzy jej zdaniem na to nie zasługiwali. Evangeline spojrzała na nią pytająco, na co Lysandra wskazała starca ruchem głowy.

– Dobrze, chodźmy – zdecydowała.

W gabinecie było ciasno od stosów książek, które piętrzyły się wzdłuż każdej ściany. Musiało być ich ponad tysiąc, a niektóre

rozpadały się ze starości.

– To ostatnie święte teksty z Wielkiej Biblioteki Orynthu – powiedział Darrow, kierując się w stronę biurka zasłanego papierami, stojącego przed wąskim, szklanym oknem. – To wszystko, co mistrzowie bibliotekarze zdołali ocalić dziesięć lat temu.

Tak niewiele. Wręcz ułamek tego, co wedle Aelin kiedyś kryły mury niemalże mitycznej biblioteki.

– Kazałem je tu sprowadzić po upadku króla – rzekł Darrow, sadowiąc się za biurkiem. – Cechował mnie optymizm godny głupca, jak sądzę.

Lysandra podeszła do jednego ze stosów i zerknęła na tytuł księgi leżącej na szczycie. Nie rozpoznała języka.

– To pozostałości ongiś wielkiej cywilizacji – rzekł ochrypłym głosem Darrow.

Osobliwa, ledwie zauważalna nuta w jego głosie sprawiła, że Lysandra odwróciła się ku niemu gwałtownie. Już otwierała usta, by spytać, o co mu właściwie chodzi, ale wtedy dostrzegła to, co leżało na biurku obok jego prawej dłoni.

Był to kryształowy czworobok, nie większy od karty do gry, w którym osadzono czerwonopomarańczowy kwiat, sprawiający wrażenie, jakby płonął.

– Królewski płomień – szepnęła i podeszła bliżej, nie mogąc się opanować.

Aelin i Aedion opowiadali jej o tym legendarnym kwiecie, który zakwitł na polach i w górach Terrasenu, gdy Brannon zszedł na brzegi tego kontynentu, jako dowód na to, że król wniósł ze sobą pokój. Od tamtej pory spotykano je rzadko, na tyle rzadko, że ich pojawienie się traktowano jako znak, iż kraj błogosławił nowego władcę na swym tronie. Że w państwie naprawdę zapanował pokój.

Wedle słów Aelin kwiat zamknięty teraz w kryształach na biurku Darrowa pojawił się podczas rządów Orlona. Orlona, który był miłością życia Darrowa.

– Po inwazji Adarlanu bibliotekarze łapali księgi – mówił Darrow, uśmiechając się ze smutkiem do kwiatu. – Ja zaś pochwyciłem to.

Korona, tron z poroży, wszystko uległo zniszczeniu. Pozostał tylko

ten jeden skarb, równie wspaniały jak każdy inny, ongiś należący do Galathyniusów.

– Jest bardzo piękny – powiedziała Evangeline, podchodząc do biurka. – Ale nieduży.

Lysandra mogłaby przysiąc, że przez usta starca przemknął uśmiech.

– Zgadza się – powiedział. – Dokładnie taki jak ty.

Lysandra nie spodziewała się, że jego głos nagle złagodnieje i pojawi się w nim tyle życzliwości. Nie spodziewała się też kolejnych słów.

– Bitwa rozpocznie się przed południem – odezwał się Darrow do Evangeline. – Czuję, że przyda mi się do pomocy ktoś bystry i szybki. Ktoś, kto będzie mógł nosić rozkazy do innych dowódców i dostarczać mi wszystkiego, czego będę potrzebować.

Evangeline przechyliła głowę.

– Chcesz, bym ci pomogła? – spytała.

– Rozumiem, że trenowałaś z prawdziwymi wojownikami podczas podróży?

Evangeline zerknęła pytająco na Lysandrę, a ta skinęła podopiecznej głową. Wszyscy pomagali dziewczynce w opanowaniu podstaw walki mieczem i strzelania z łuku.

Evangeline spojrzała na starego lorda.

– Mam nieco zdolności, ale nie jestem taka jak Aedion.

– Bo takich to w istocie jest niewiele – rzekł kwaśno Darrow. – Ale potrzeba mi kogoś, kto nie ma strachu w sercu i może się popisać pewną dłońią. Czy jesteś kimś takim?

Evangeline tym razem nie spojrzała już na Lysandrę.

– Jestem – oznajmiła i zadarła podbródek.

Darrow uśmiechnął się lekko.

– A więc biegnij do Wielkiej Sali i zjedz śniadanie, a kiedy tu wrócisz, będę miał dla ciebie zbroję.

Evangeline otworzyła szeroko oczy. Na wzmiankę o zbroi znikła z nich resztką lęku.

- Pędź – mruknęła do niej Lysandra. – Dogonię cię za minutę.
Evangeline wybiegła. Warkocz tańczył wraz z jej podskokami.

Upewniwszy się, że mała naprawdę znikła, zmiennokształtna zwróciła się do starca.

- Dlaczego? – zapytała.

- Rozumiem, że to pytanie jest równoznaczne ze zgodą na wciągnięcie twej podopiecznej do służby?

- Dlaczego?

Darrow ujął kryształ z królewskim płomieniem.

- Nox Owen na nic mi się już nie przyda, bo jego lojalność okazała się wątpliwa, a na domiar złego znikł bez śladu i bogowie jedni wiedzą, gdzie się podziewa. Przypuszczam, że to Aedion namówił go do tego. – Obrócił kryształ w swoich szczupłych palcach. – Ale są ważniejsze powody. Żadne dziecko nie powinno patrzeć na śmierć przyjaciół. Ważne zadania i poczucie własnej wagi lepiej się jej przysłużą niż zamknięcie w północnej wieży, gdzie będzie jej towarzyszył jedynie lęk, podsycany przez każdy potworny odgłos, przez każdą śmierć.

Lysandra nie uśmiechnęła się. Nie pochyliła głowy.

- I jesteś gotów to zrobić dla podopiecznej dziwki?

Darrow odłożył kryształ.

- Z tego, co wydarzyło się dziesięć lat temu, najbardziej pamiętam twarz dzieci. O wiele lepiej od twarzy Orlona. Gdy ujrzałem wczoraj buzię Evangeline... wyraz jej twarzy, gdy wpatrywała się w tę armię... Rozpoznałem tę samą rozpacz co wtedy. Pewnie uważasz mnie za króla łajdaków, jak by to ujął Aedion, ale nie jestem tak bezduszny, jak sądzisz. – Ruchem głowy wskazał otwarte drzwi. – Będę mieć na nią oko.

Lysandra nie wiedziała, co ma odpowiedzieć. Nie miała pojęcia, czy aby nie powinna jednak splunąć mu w twarz i powiedzieć, by go trafił szlag. Ale błysk w oczach Evangeline, radość, z jaką wybiegła... Misja. Darrow dawał jej zajęcie i oferował opiekę.

Odwróciła się i ruszyła w stronę wyjścia, pozostawiając za sobą cenną pamiątkę z przeszłości i równie cenne księgi, warte więcej od

złota, które stały się milczącymi, ponurymi towarzyszami Darrowa.

- Dziękuję – rzuciła.

Starzec w odpowiedzi machnął lekceważąco dłonią i powrócił do studiowania papierów na swym biurku, choć jego wzrok nie przesuwiał się wzdłuż rzędów liter.

Na murach miasta było tłoczno od żołnierzy, wpatrujących się z ponurymi minami w nadciągającą armię. Wiedźmia wieża nadal nie została podniesiona, dzięki bogom, ale nawet z tej odległości Aedion widział ludzi uwijających się przy naprawie uszkodzonego koła. Na szczęście bez nowej wywerny w miejsce tej, która zginęła poprzedniego dnia, wieża nie była w stanie ruszyć naprzód.

Mimo to nadchodzący dzień wcale nie miał okazać się przez to łatwiejszy. Nie, czekała ich ciężka przeprawa.

- Znajdą się w zasięgu strzału z łuku za jakąś godzinę – zameldował Elgan.

Mało kto dbał o rozkazy Darrowa. Wprawdzie Kyllian nadal piastował rangę generała, ale każdy meldunek powtarzano Aedionowi.

- Przypomnij łucznikom, by nie marnowali strzał i dobrze wybierali cele.

Żołnierzom Zguby nie trzeba było zwracać na to uwagi, a pozostali udowodnili już swe męstwo podczas bitew, ale słowo przypomnienia nie zaszkodziło.

Elgan udał się w stronę murów, które Ren oraz Fae uznali za najlepsze pozycje dla łuczników. Przy tak wielkiej przewadze liczebnej przeciwnika ich strzały mogły tylko przerzedzić szeregi nacierających, ale nikt nie miał zamiaru pozwolić wrogowi, by szarżował bez przeszkód. Byłoby to głupotą, która osłabiłaby morale obrońców.

- A to co? – mruknął Ren i wskazał coś na horyzoncie.

Miał doprawdy imponujący wzrok, bo wskazany przez niego punkcik był ledwie zauważalny nawet dla Aediona.

Minęło kilka uderzeń serca. Ciemna plamka zaczęła się rozciągać i nabierać kształtu na tle błękitnego nieba. Bez wątplenia zbliżała się

ku nim.

– Ilkeny? – Ren zmrużył oczy i osłonił je dłonią.

– Za duże na ilkeny – mruknął Aedion.

Nadciągała wielka ciemna masa. Coraz większa z każdą chwilą.

– Wywerny – oznajmił Aedion, sparaliżowany lękiem.

Powietrzny legion Żelaznozębnych wreszcie ruszył do walki.

– Na bogów – szepnął Ren.

Orynth mógł wytrzymać oblężenie wojsk lądowych przez kilka dni, a nawet tygodni, ale co mógł poradzić przeciwko tysiącowi Żelaznozębnych, które dosiadały wywern? Teraz wróg nie potrzebował już nawet tych piekielnych wież, by zniszczyć zamek, poszarpać mury, rozbić bramy i wpuścić do środka hordy Morath.

Żołnierze dostrzegali już nadciągające wywerny. Na murach okalających miasto i zamek rozlegały się krzyki.

Oblężenie nie miało nawet szansy przeistoczyć się w prawdziwe oblężenie.

Wszystko zakończy się już teraz. W kilka godzin.

Ktoś biegł ku niemu. Zdyszana Lysandra wyhamowała tuż przed nim.

– Gdzie mam lecieć? Co mam robić? Mów! – wysapała. Jej szmaragdowe oczy lśniły przerażeniem. Bezradnym przerażeniem i rozpaczą. – Mogę zmienić się w wywernę i próbować je zatrzymać...

– Leci na nas tysiąc Żelaznozębnych – rzekł Aedion pustym, chrapliwym głosem. Strach rozbudził w nim coś ostrego i niebezpiecznego, mimo to z trudem opanował odruch wyciągnięcia do niej ręki. – Żadne z nas nic na to nie poradzi.

Przecież kilka tuzinów Żelaznozębnych splądrowało Rifthold w ciągu kilku godzin, a ta horda...

Aedion skupił się na oddychaniu. Uniósł głowę, nagle uzmysłowiwszy sobie, że żołnierze zaczynają powoli opuszczać pozycje na murach.

Nie, to było nie do przyjęcia.

– Zostać na pozycjach! – ryknął. – Utrzymać szeregi! Nie cofać się!

Jego słowa zatrzymały tych, którzy wydawali się gotowi do ucieczki, ale nie mogły powstrzymać drzenia mieczy i rozchodzącego się smrodu lęku.

Aedion odwrócił się ku Lysandrze i Renowi.

– Niech Rolfe przeniesie ludzi z ognistymi lancami na najwyższe wieże i budynki. Może uda im się wypalić część wyvern z nieba.

Ren się zawahał.

– Leć! – warknął Aedion.

Allsbrook odwrócił się i popędził do Władcy Piratów, otoczonego myceniąńskimi żołnierzami.

– Niewiele to da, co? – spytała cicho Lysandra.

– Bierz Evangeline i uciekajcie stąd – odparł Aedion. – Na najniższym poziomie zamku jest wąski tunel, który wychodzi w góry. Łap ją i wynoście się.

– Po co? – Lysandra pokręciła głową. – Przecież Morath i tak nas znajdzie.

Pozostali dowódcy biegli zewsząd ku niemu. Znał ich od dawna, ale po raz pierwszy w życiu widział prawdziwy lęk błyszczący w oczach weteranów Zguby. W oczach Elgana.

Nie spuszczał jednak wzroku z Lysandry.

– Proszę, błagam. Błagam cię, Lysandro, byś stąd uciekła.

Ta zadarła głowę.

– Innych sojuszników nie prosisz, by uciekli.

– Bo spośród nich wszystkich kocham tylko ciebie.

Przez uderzenie serca wpatrywała się w niego i mrugała.

Potem maska opanowania na jej twarzy rozpadła się. Aedion wpatrywał się w nią, nie bojąc się słów, które wypowiedział. Bał się tylko ciemnej masy, która zbliżała się ku murom Orynthu nad głowami niekończącej się armii. Bał się tego, co ów legion może zrobić jej i Evangeline.

– Powinienem był ci to dawno powiedzieć – dodał łamiącym się głosem. – Bo wiem już od dawna. Tyle czasu minęło, tyle miesięcy. Powinienem ci to powtarzać każdego dnia. Każdego.

Lysandra zaczęła płakać. Uniósł rękę, by otrzeć jej łzy.

Oficerowie przypadli do niego, pobledli, zdyszani.

– Rozkazy, generale?

Nie miał nawet siły im przypominać, że wcale nie jest ich generałem. Za kilka godzin jego ranga oraz tytuł tak czy owak przestaną już mieć jakiegokolwiek znaczenie.

Lysandra jednakże go nie odstępowała. Nie zrobiła nawet kroku.

– Proszę – powtórzył.

W odpowiedzi splotła jedynie dłoń z jego palcami.

Serce Aediona o mało nie pękło, gdy zrozumiał jej odmowę. Gdy poczuł jej dłoń, drżącą i zimną, wczepioną w jego własną. Uścisnął ją mocno i nie puszczając, odwrócił się ku oficerom i dowódcom.

– Będziemy...

– Wywerny z północy!

Wywrzeszczane ostrzeżenie poniosło się po murach. Aedion i Lysandra odruchowo pochyłili głowy i odwrócili się ku potworom, które przypuściły atak na ich plecy. Od Jelenich Rogów pędziło trzynaście skrzydlatych bestii, które kierowały się prosto na mury miasta. Zarówno żołnierze, jak i zwykli mieszkańcy rozbiegali się z wrzaskami przerażenia.

Niespodziewanie promienie słońca padły na niewielką wywernę, która prowadziła atak. Jej skrzydła zalśniły niczym żywe srebro.

Aedion znał ją. Znał również białowłosą wiedźmę, która siedziała na jej grzbiecie.

– Nie strzelać! – ryknął.

Jego oficerowie powtórzyli rozkaz i wszystkie łuki, które wzniosły się ku niebu, naraz opadły.

– Czy to... – wyszeptała Lysandra. Jej dłoń wyśliznęła się spomiędzy palców Aediona, po czym zmiennokształtna zrobiła krok naprzód jak we śnie. – To...

Żołnierze nadal rozbiegali się, gdy Manon Czarnodzioba i wiedźmy Trzynastki lądowały na murach, tuż przed Aedionem i Lysandrą. Dowodząca nimi białowłosa nie była już tą samą wiedźmą, z którą

Aedion rozstał się na plaży w Eyllwe. Nie, w ponuro uśmiechniętej twarzy nie było już niczego z owej chłodnej, dziwnej istoty, którą zapamiętał. Osobliwa korona z gwiazd całkiem ją odmieniła.

Korona z gwiazd.

Dla ostatniej Królowej Crochan.

Naraz rozległo się chrapliwe sapanie. Aedion oderwał wzrok od Manon i ujrzał Darrowa, który wbiegał na mury miasta. Z oszołomieniem wpatrywał się w wiedźmę na wywernie i w Aediona.

– Nie poddamy się! – wykrztusił, doszedłszy zapewne do wniosku, że wiedźma przybyła, by domagać się kapitulacji.

Asterin Czarnodzioba, której błękitny rumak wylądował obok Manon, parsknęła cichym śmiechem.

– Przybyliśmy, by tego dopilnować, śmiertelniku – oznajmiła królowa z chłodnym rozbawieniem.

– To dlaczego twój pan przysłał cię na rozmowę? – wyszczał Darrow.

Asterin znów się roześmiała.

– Nie mamy żadnego pana – odparła Manon Czarnodzioba głosem godnym królowej. Jej złociste oczy błyszcząły. – Przybywamy, by uszanować wolę kogoś, kogo uważamy za przyjaciela i sojusznika.

Wśród wiedźm nie było Doriana, ale Aedion był zbyt wstrząśnięty, by pytać o cokolwiek.

– Przybyliśmy – oznajmiła Manon na tyle głośno, by usłyszeli ją wszyscy na murach miasta – by wypełnić obietnicę daną Aelin Galathynius. By walczyć o to, co nam obiecała.

– A co takiego wam obiecała? – spytał cicho Darrow.

– Lepszy świat. – Manon się uśmiechnęła.

Darrow cofnął się o krok, jakby nadal nie dowierzał temu, co widzi przed sobą. Jakby nie mógł pojąć, iż znalazły się wiedźmy gotowe rzucić wyzwanie ćmie, nadciągającej nad armią Morath.

Manon zaś wpatrywała się w Aediona. Nie przestawała się uśmiechać.

– Dawno temu Crochan walczyły u boku Terrasenu, by odwdziżyć

się królowi Fae, Brannonowi, który ofiarował nam ojczyznę. Przez wieki byliśmy waszymi najbliższymi sojusznikami i przyjaciółkami.

– Korona z gwiazd jaśniała nad jej głową. – Usłyszałyśmy wezwanie o pomoc.

Lysandra zaczęła płakać.

– I przybyłyśmy, by na nie odpowiedzieć.

– Ile was jest? – szepnął Aedion, rozglądając się po niebie i po górach.

– Ile? – Na twarzy Wiedźmiej Królowej jaśniały duma i zachwyt. W jej złotych oczach błysnęło srebro, gdy pokazała mu Jelenie Rogi. – Sam się przekonaj.

Naraz między szczytami pojawiły się pierwsze czerwone płaszcze, rozwiane na wietrze, a po chwili pokazały się kolejne, po nich następne, aż było ich tyle, że Aedion nie mógł ich zliczyć. Nie umiał policzyć mieczy, łuków czy też mioteł, prowadzonych prosto, bez wahania.

Tysiące, tysiące wiedźm opadało ku stolicy Terrasenu i przelatywało nad murami miasta niczym czerwony, łopoczący strumień, śledzony spojrzeniami oniemiałych obrońców. Wiedźmy leciały z dumą i pewnością siebie, nieporuszone widokiem wrogich sił, ciemniejących w oddali, aż jedna po drugiej zaczęły lądować na pustych murach zamku.

Zjawił się powietrzny legion, by stawić czoła Żelaznozębny.

Wreszcie powróciły Crochan.

Przybyła każda Crochan, która mogła dosięść miotły i pochwycić miecz.

Przez kilka dni wiedźmy mknęły na północ, trzymając się dolin górskich, a potem przeleciały nad Dębową Puszcą i wykonały obszerną pętlę, by uniknąć wykrycia przez Morath. Manon spojrzała na nadciągającą chmarę Crochan, które próbowały wylądować, gdzie tylko się dało na murach, i pokręciła głową z niedowierzaniem. Wciąż nie mieściło jej się w głowie, że się im udało.

A przybyły dosłownie w ostatniej chwili.

Im dalej docierały na północ, tym więcej Crochan dołączało do ich armii, zupełnie jakby noszona przez Manon korona z gwiazd była magnesem przyciągającym je zewsząd. Z każdym kilometrem pojawiały się nowe, które wypadały z chmur, spomiędzy szczytów, z puszczy. Manon widziała zarówno stare, jak i młode, zarówno te o mądrych oczach, jak i te o zarumienionych policzkach. Przybywały, przybywały, aż za Manon i Trzynastką zebrało się ich pięć tysięcy.

– Zatrzymali się – szepnęła stojąca obok Aediona zmiennokształtna, wskazując pole bitwy.

W istocie, odległe szeregi Morath zamarły. Całkiem znieruchomiały, jakby podwładnych Erawana ogarnął szok.

– Twoja babka jest z nimi – mruknęła Asterin do Manon.

– Wiem – odparła królowa i zwróciła się Aediona. – My zajmiemy się Żelaznozębnyimi.

Jego turkusowe oczy rozbliły, gdy wskazywał im równinę.

– Proszę bardzo – odparł. – Są wasze.

Manon uśmiechnęła się krzywo, a potem wskazała ruchem podbródka Trzynastkę.

– Będziemy na murach. Zostawię z wami moją przyboczną, gdybyście chcieli przekazać mi jakąś informację.

Skinęła na Vestę, która nawet nie drgnęła, gdy pozostałe wiedźmy

szturchnęły swoje wywerny i poderwały się do lotu. Manon spojrzała na ogromny pałac. Nigdy dotąd nie widziała tak wielkiej, imponującej budowli. Nawet szklany zamek w Rifthold nie zrobił na niej takiego wrażenia. Po chwili jednak przeniosła wzrok na starca, który syknął coś do niej, i uśmiechnęła się, pokazując mu wszystkie zęby.

– Proszę bardzo – powiedziała i strzeliła wodzami.

Abraxos wzniósł się ku niebu.

Morath się zatrzymał.

Wyglądało na to, że armia pospiesznie przebudowuje strategię, zaskoczona przybyciem Crochan, o których przecież sądzono, że niemalże całkiem wyginęły. Manon i jej legion zyskały więc chwilę na odpoczynek, choć królowa wiedziała, że czeka ją niespokojny sen. Gdy okazało się, że Morath nie kwapi się tego dnia do szturm, Królowa Wiedźm spotkała się z przywódcami śmiertelników na obiedzie, żeby rozeznaczyć się w sytuacji.

Pięć tysięcy Crochan to było za mało, by wygrać tę wojnę. Nawet tak wielka armia powietrzna nie była w stanie zatrzymać stu tysięcy żołnierzy, ale mogła odebrać panowanie w powietrzu Żelaznozębnym. Mogła im uniemożliwić wdarcie się za mury i wpuszczenie dzikich hord do wnętrza.

Na ile wystarczy obrońcom ten mały cud? Manon nie wiedziała i nie miała odwagi o to pytać, a nikt z przywódców śmiertelników również nie zadał tego pytania. Czy miasto było w stanie wytrzymać napór stu tysięcy żołnierzy tłukących w mury i bramy? Być może.

Los obrońców jednakże miał zostać przesądzony w chwili, gdy wiedźmia wieża znów stanie się funkcjonalna. Manon była pewna, że machina jest właśnie naprawiana i zaprzęgają do niej nową wywernę. Może to dlatego się zatrzymali – by przygotować wieżę i spalić Crochan na popiół.

Dopiero o świcie okaże się, co zdecydują Żelaznozębne.

Manon oraz Trzynastka wraz z Bronwen i Glennis przez kilka godzin organizowały Crochan i przydzielały poszczególnym oddziałom miejsca do natarcia w oparciu o to, co Manon pamiętała na temat formacji Żelaznozębnych.

Sama je stworzyła. Miała stanąć na ich czele.

Gdy wszystko zostało dopięte na ostatni guzik, a spotkania z przywódcami śmiertelników, poważnymi, ale dalekimi od paniki, dobiegły końca, Manon oraz Trzynastka udały się na spoczynek w wielkiej, wspólnej komnacie.

W ogromnym pomieszczeniu paliło się kilka świec, jednak nie było tam żadnych mebli, więc wiedźmy rozłożyły na podłodze własne posłania. Manon próbowała nie spoglądać na swoje leże i nie wdychać zapachu, który słabł z każdym przebytym kilometrem na północ. Nie miała odwagi zadać sobie w myślach pytania, gdzie znajdował się Dorian i co robił, bo gdyby zaczęła się nad tym poważnie zastanawiać, wskoczyłaby na Abraxosa i poleciała na południe, do Morath.

Siedziała na posłaniu w ciemnej komnacie wraz z wiedźmami Trzynastki zgromadzonymi naokoło niej i razem wsłuchiwały się w chaos panujący w zamku. Miejsce to przypominało grobowiec. Z każdego kąta spoglądały duchy przeszłości i wspomnienia dawnych bogactw.

Manon zastanawiała się, jaką funkcję pełniła niegdyś ich komnata. Czy odbywały się tu spotkania? Czy ktoś tu spał? A może pobierał nauki. Nie było żadnych wskazówek.

Oparła głowę o zimną, kamienną ścianę za sobą i ułożyła koronę przy butach.

Asterin jako pierwsza przerwała ciszę.

– Znamy ich każde możliwe posunięcie. Znamy ich broń. Podzieliliśmy się tą wiedzą z Crochan. Jestem pewna, że Matrony panikują.

Manon nigdy nie widziała swej babki panikującej, mimo to parsknęła ponurym śmiechem.

– Przekonamy się jutro – rzekła i przyjrzała się towarzyszkom. – Dotarliście ze mną bardzo daleko, ale jutro czeka nas pierwsza poważna bitwa z naszymi rodaczkami. Może się zdarzyć, że będziecie miały naprzeciwko siebie przyjaciółki, kochanki, krewne. – Przełknęła ślinę. – Nie będę was obwiniać, jeśli nie podołacie.

– Dotarliśmy tak daleko – powiedziała Sorrel – bo wszystkie jesteśmy gotowe na to, co ma nastąpić jutro.

Pozostałe wiedźmy pokiwały głowami, a Asterin dodała:

– Nie boimy się.

Nie, nie bały się. Manon sama mogła to stwierdzić, patrząc w ich błyszczące oczy.

– Spodziewałam się, że choć część wiedźm z Elfiej Przełęczy dołączy do nas – burknęła Vesta.

– Nie rozumiem tego, co im dajemy – rzekła Ghislaine.

A przynosiły im wolność. Wolność od Matron, które przekuwały je w narzędzia zniszczenia.

– Co za strata – burknęła Asterin.

Nawet zielonookie bliźniaczki demonice pokiwały głowami.

Znów zapadła cisza. Trzynastka z odwagą czekała na jutro, ale każda z wiedźm doskonale wiedziała, że nawet pięć tysięcy Crochan czeka ciężka przeprawa z legionem Żelaznozębnych i armią lądową.

– Wolałabym lecieć do boju z wami niż nawet z tysiącem Żelaznozębnych – powiedziała Manon, spoglądając każdej w oczy, a potem uśmiechnęła się lekko. – Jutro im pokażemy.

Wszystkie jej towarzyszki uśmiechały się teraz złowieszczo, z dziką odwagą. Jedna po drugiej z szacunkiem dotykały czoła dwoma palcami, a Manon odwzajemniła salut i pochyliła głowę.

– Jesteśmy Trzynastką – oznajmiła. – Póki nas Ciemność nie pochłonie.

Evangeline uznała, że nie chce już być paziem lorda Darrowa i woli zostać wiedźmą Crochan.

Jedna z przybyszek posunęła się do tego, że wręczyła wpatrującej się w nią szeroko otwartymi oczami dziewczynce zapasowy czerwony płaszcz, który obdarowana zarzuciła na barki i nie zdejmowała aż do chwili, gdy Lysandra ułożyła ją do snu.

– Jutro będę pomagać lordowi Darrowowi – obiecała Evangeline sennym głosem. – I Crochan też będę pomagać.

Lysandra uśmiechnęła się wówczas, choć nadal mieli przeciwko sobie ogromną przewagę. Manon Czarnodzioba – choć teraz pewnie

należało ją nazywać Manon Crochan – nie owijała w bawełnę. Crochan były w stanie zatrzymać Żelaznozębne lub nawet pokonać je, jeśli dopisze im szczęście, ale wciąż trzeba było uporać się z ogromną armią lądową. Wciąż należało obronić mury przed naporem wroga.

Lysandra położyła się na łóżku obok dziewczynki, ale nie mogła zasnąć – nie chciała zresztą spać. Wyszła z komnaty i zaczęła włóczyć się po korytarzach ogromnego, starego zamku. Wyobrażała sobie, jakim domem stałby się dla niej i dla Evangeline. Jaki dwór by tu powstał.

Być może nieświadomie podążyła za jego zapachem. Tak czy owak wcale nie była zaskoczona, gdy wkroczyła do Wielkiej Sali i zastała Aediona stojącego przed dogasającym ogniem.

Był tu sam i bez wątpienia nikt nie towarzyszył mu od dłuższej chwili.

Odwrócił się ku niej, ledwie przestąpiła próg. Śledził każdy jej krok.

„Innych sojuszników nie prosisz, by uciekli”.

„Bo spośród nich wszystkich kocham tylko ciebie”.

Te słowa zmieniały wszystko, a zarazem nic.

– Powinieneś spać.

Aedion uśmiechnął się do niej.

– Ty też.

Zapadła między nimi cisza. Stali i wpatrywali się w siebie, a Lysandra wiedziała, że mogłaby spędzić w ten sposób całą noc. Ba, spędziła tak wiele nocy pod inną postacią. Wpatrywała się w jego potężne ciało i oczy błyszczące nieugiętością.

– Myślałam, że wszyscy dziś zginiemy.

– Bo tak by się stało.

– Nadal jestem na ciebie wściekła – wyrzuciła z siebie. – Ale...

Uniósł brwi, a jego twarz pojaśniała, czego nie widziała od dawna.

– Ale?

Skrzywiła się.

– Ale przemyślę to, co mi powiedziałaś. I tyle.

Przez jego usta przemknął dobrze jej znany, krzywy uśmiech.

– Przemyślisz to?

Lysandra uniosła podbródek i spróbowała spojrzeć na niego z góry, co nie było łatwe, gdyż Aedion był od niej o wiele wyższy.

– Tak, zastanowię się nad tym. I podejmę decyzję.

– W sprawie tego, że cię kocham?

– Och – westchnęła Lysandra. Aedion dobrze wiedział, że jego bezczelna arogancja całkiem zbije ją z tropu. – Jeśli tak chcesz to nazywać.

– A istnieje inne określenie? – spytał i zrobił ku niej krok, pozwalając jej zdecydować, czy się na to zgadza. Nie miała nic przeciwko.

– Tylko... – Lysandra zacisnęła usta. – Tylko nie giń jutro. O nic więcej nie proszę.

– Byś miała więcej czasu do namysłu, co zrobić z moją deklaracją?

– Otóż to.

Uśmiech Aediona stał się drapieżny.

– A więc mogę cię o coś prosić?

– Nie sądzę, by twoja pozycja pozwalała ci na wygłaszanie próśb, ale dobrze.

Nadal uśmiechając się niczym wilk, pochylił się i szepnął jej do ucha:

– Jeśli nie zginę jutro, mogę cię pocałować pod koniec dnia?

Lysandra cofnęła się o krok, czując, że jej twarz płonie. Na bogów, przecież była wyszkoloną kurtyzaną. Doskonale wyszkoloną. Mimo to wystarczyła jego prosta prośba, by jej kolana zadrżały.

Opanowała się jednak i wyprostowała.

– Jeśli nie zginiesz jutro, Aedionie, porozmawiamy o tym. I zobaczymy, czym ta twoja prośba poskutkuje.

– A więc do jutra. – Wilczy uśmiech Aediona nie przygasł ani odrobinę.

Jutro czekało ich piekło, a może nawet zagłada, ale Lysandra nie

miała zamiaru pozwolić się pocałować. Nie teraz. Nie miała zamiaru składać mu takich obietnic.

Z mocno bijącym sercem wyszła z sali.

– Do jutra.

Dorian leciał bez końca. Przez dwa dni mknął na północ wzdłuż masywu Kłów, mając po prawej stronie Dębową Puszcę w zimowej szacie, nim wreszcie odważył się zatrzymać na odpoczynek.

Wybrał sobie polanę w gęstwinie starożytnej puszczy i wylądował, przebijając się przez gałęzie, co ledwie zauważył dzięki grubemu pancerzowi wywerny. Przeistoczył się zaraz po wylądowaniu na śniegu, a jego magia błyskawicznie roztopiła zamrznięty strumień, który przecinał polanę.

Padł na kolana i pił łapczywie, wielkimi haustami.

Zdobycie pożywienia okazało się łatwiejsze, niż sądził. Nie potrzebował wnyków ani strzał, by złapać chudego królika, który przyczał się w pobliżu. Nie potrzebował noża, by go obłupić ze skóry, ani różna, by go usmażyć.

Zaspokoiwszy pragnienie i pierwszy głód, Dorian spojrzał na niebo i przekonał się, że nikt za nim nie podąża. Wówczas raz jeszcze nakreślił na śniegu Znaki. Wiedział, że niedługo powinien znów wyruszyć w drogę, ale mógł zrobić sobie przerwę. Damaris najwyraźniej się z nim zgadzał, bo tym razem wezwał tego, z kim Dorian chciał rozmawiać.

W kręgu zakrwawionych Znaków Wyrda pojawił się Gavin, który w blasku porannego słońca wydawał się bledszy i bardziej ponury.

– A więc go znalazłeś – powiedział król z pradziejów zamiast słów powitania. – I pozostawiłeś Erawanowi niezły bałagan do posprzątania.

– To prawda. – Dorian położył dłoń na kieszeni kurtki, gdzie dudniła przerażająca moc. Musiał wyteńczyć całą siłę woli podczas szaleńczej ucieczki z Morath, by zignorować ich szepty. Wciąż drżał na całym ciele, czego bynajmniej nie zawdzięczał wyłącznie porannemu chładowi.

– To po co mnie wzywasz?

Dorian spojrzał mu w oczy z godnością, jak król królowi.

- Chciałem ci przekazać, że wypełniłem zadanie, byś mógł się pożegnać. Z Eleną, sam wiesz. Zanim Zamek zostanie wykuty.

Gavin znieruchomiał. Dorian nie uchylał się przed jego taksującym spojrzeniem, aż po chwili przybysz z przeszłości rzekł nieco ciszej:

- A więc z tobą również się żegnam.

Dorian pokiwał głową. Był gotów. Musiał być gotów, wszak nie było innego rozwiązania.

- Podjąłeś ostateczną decyzję? – spytał Gavin. – Naprawdę chcesz oddać siebie w ofierze?

- Aelin jest na północy – rzekł Dorian. – Gdy się spotkamy, pewnie razem podejmiemy decyzję.

Razem zadecydują, kto połączy trzy Klucze i zapłaci za to życiem.

- Ale – przyznał – mam nadzieję, że Aelin wymyśli coś innego. Coś, co pomoże również Elenie.

Przecież Aelin uciekła Maeve. Być może poszczęści jej się i znajdzie sposób na uniknięcie tego losu.

Widmowy wiatr trącił kosmyki długich włosów Gavina i przesłonił nimi jego twarz.

- Dziękuję – rzekł ochryple stary król – że w ogóle bierzesz to pod rozwagę. – W jego oczach błysnął jednak żal. Doskonale wiedział, że znalezienie alternatywnego rozwiązania graniczy z cudem.

- Przykro mi – rzekł Dorian. – Bo wiem, co się stanie z waszą dwójką, jeśli nam się poszczęści z Zamkiem.

Grdyka Gavina podjechała i opadła.

- Moja towarzyszka życia podjęła decyzję już dawno. W przeciwieństwie do mnie zawsze była gotowa stawić czoła konsekwencjom.

Sorscha również podjęła decyzję i pozostawała jej wierna. Co ciekawe, wspomnienie o niej nie zabolalo go. Wręcz przeciwnie, rozbłysło, jakby rzucało mu wyzwanie. Jakby mówiło: postaraj się. Dla niej, dla wielu innych, a wreszcie i dla siebie samego.

- Nie rozstawaj się z życiem tak łatwo – powiedział Gavin. – Przeżyłem z Eleną długie, dobre lata, dzięki czemu jestem gotów na

rozstanie. Tak, to było naprawdę dobre życie. Nic mu nie mogę zarzucić. – Przechylił głowę. – Życzę ci, byś mógł powiedzieć to samo o swoim.

Nim Dorian zdołał wyjawic, co słowa Gavina obudziły w jego sercu, ten spojrzal na niebo i zmarszczył ciemne brwi.

– Musisz ruszac w drogę – rzekł.

Powietrze naraz wypełnił łopot skrzydeł. Tysięcy skrzydeł.

Wyglądało na to, że stacjonujący w Morath legion Żelaznozębnych przegrupował się po zawaleniu się fortecy, po czym rozpoczął długą podróż na północ. Najwyraźniej wiedźmy nie mogły się doczekać, by zacząć rozrywać jego przyjaciół na strzępy.

Modlił się, by Maeve nie było z nimi. By nadal lizała rany z Erawanem w Morath do czasu, aż wymaszerują inne paskudztwa, łącznie z pajakami księżniczkami.

Choć lecąca armia obudziła w nim grozę, Dorian dotknął rękojeści Damaris i rzekł:

– Zajmę się Adarlanem. Nie wiem, ile pozostało mi czasu, ale go nie porzucę.

Miecz rozżarzył się ciepłem.

A Gavin, choć w oczy zajrzała mu zagłada, uśmiechnął się lekko.

– Wiem – odparł. – Zawszewiedziałem.

Damaris nadal promieniował ciepłem.

Dorian z trudem przełknął ślinę.

– Czy po zamknięciu Bramy Wyrda będę jeszcze w stanie otworzyć taki portal? – spytał.

„Czy będę mógł się z tobą zobaczyć i wysłuchać twoich rad?” – doprecyzował w myślach.

Gavin rozpływał się i nikał.

– Nie wiem – rzekł i dodał cicho: – Lecz mam taką nadzieję.

Dorian położył dłoń na sercu i uklonił się nisko.

Miał wrażenie, że król z przeszłości odpowiedział mu podobnym gestem, nim rozpłynął się wśród śniegu i promieni słońca.

Nikt nie zwrócił uwagi na samotną wywernę, która wyłoniła się z gęstwiny Dębowej Puszczy i pomknęła za powietrzną armią.

W ogołoconym arsenale zamkowym nie było już żadnych zbroi, a zresztą żadna z nich i tak by nie pasowała na wywerny.

Wszystko, co przetrwało okupację Adarlanu bądź zakupiono po jej zakończeniu, zostało już rozdane. Książę Aedion zaproponował co prawda, że miejscowi kowale przekują metalowe płyty, by uformować z nich napierśniki, ale Manon rzuciła okiem na drzwi, które miały zostać wykorzystane do tego celu, i od razu wiedziała, że okażą się zbyt ciężkie. W walce z Żelaznozębnyimi ich największym atutem miała być szybkość i zwinność.

Wiedźmy miały więc ruszyć do bitwy tak jak zawsze – uzbrojone we własne ostrza, żelazne zęby, szpony i spryt.

Manon stała na wielkim balkonie na najwyższej wieży Orynthu. Patrzyła na niekończącą się armię Morath i cieszyła się wschodem słońca, świadoma, iż może robi to po raz ostatni. Pozostałe wiedźmy, z których kilka również opierało się o balustradę, nie patrzyły jednak na słońce.

Nie, ich uwaga skupiała się wyłącznie na formacjach Morath, wśród których o świcie zapanowało poruszenie. Zerkały też na dwie Crochan, które stały przy Manon z miotłami w rękach i mieczami przytroczonymi do pleców.

Manon bynajmniej nie była zaskoczona, gdy wczesnym rankiem odwiedziła ją gotowa do bitwy Bronwen. Znieruchomiała dopiero, gdy dostrzegła dołączającą do nich Glennis. Staruszka zaplotła warkocz i przytroczyła miecz do boku.

Wszystkie szczegóły zostały omówione trzykrotnie poprzedniego dnia i odświeżone o świcie. Teraz, w blasku wstającego słońca, trzy wiedźmy stały i patrzyły w milczeniu na wroga.

Z dala, z głębi niekończących się szeregów Morath, dobiegł ryk rogu. Niczym bestia budząca się ze snu, zastępy wroga powoli ruszyły.

– Czas na nas – mruknęła Asterin, która również splotła włosy w warkocz i obwiązała czoło rzemieniem.

Wywerny Żelaznozębnych, ciężkie od pancerzy, wzbijały się do lotu, tłukąc mocno skrzydłami, aż zalały całe niebo. Było ich przynajmniej tysiąc, a Manon nie chciała nawet myśleć o tym, gdzie się podziewał legion z Elfiej Przełęczu. Przynajmniej na razie.

Armia Crochan, zgromadzona na wieżach zamku, na murach obronnych i dachach domów, wsiadała na miotły, czekając na sygnał do startu. Miała im go dać Bronwen, która przytoczyła do pasa rzeźbiony róg. Instrument był zbrązowiały ze starości i popękany w kilku miejscach, a wyryte na nim symbole niemalże zatarł upływ czasu.

Widząc spojrzenie Manon, Bronwen rzekła:

– To relikwiarz wyniesiony ze starego królestwa. Należał do Telyn Vanory, młodej, niedoświadczonej wojowniczkę, która w ostatnich dniach wojny walczyła niedaleko bramy, kiedy padła Rhiannon. Jestem jej potomkinią. – Musnęła dłonią róg i dodała: – Telyn zadała w niego, by ostrzec nasz lud. By przekazać im, że Rhiannon została zabita i trzeba uciekać z miasta. Chwilę później została wypatroszona przez Matronę Błękitnokrwistych, ale nasze rodaczki zyskały odpowiednio dużo czasu na ucieczkę. I przetrwały. – W ciemnych oczach Bronwen zadrżały łzy. – Poczytuję za wielki zaszczyt to, że mogę dziś zadać w ten róg. Już nie po to, by ostrzec nasz lud, ale by dać mu sygnał do ataku.

Żadna z wiedźm Trzynastki nie spojrzała nawet na Bronwen, ale Manon wiedziała, że jej towarzyszki słyszały każde słowo. Crochan zaś położyła dłoń na sercu, zasłoniętym skórzany napierśnikiem.

– Telyn jest tu dziś. W sercu każdej Crochan, która zdołała uciec, a potem dotrzeć aż tutaj. Każda z tych, które padły podczas wiedźmich wojen, jest tu, choć ich nie widzimy.

Manon pomyślała o owych dwóch obecnościach, które wyczuła podczas walki z Matronami, i wiedziała, że Bronwen mówi prawdę.

– To dla nich walczymy – ciągnęła Crochan, wpatrzona w nadciągającą armię. – I o naszą wspólną przyszłość.

– I o naszą wspólną przyszłość – powtórzyła Manon i spojrzała Trzynastce w oczy.

Żadna z wiedźm się nie uśmiechnęła, ale upór i zacięłość w ich oczach wystarczyły.

Wtedy Manon zwróciła się do Glennis.

– Naprawdę masz zamiar walczyć? – spytała.

Ta pokiwała głową, stanowcza i nieugięta.

– Pięćset lat temu moja matka dokonała wyboru. Porzuciła walkę u boku bliskich, by ocalić przyszłość królewskiej linii, i choć nigdy nie żałowała swej decyzji, wspomnienia nie dawały jej spokoju. A ja przez całe swe życie niosę ten sam ciężar – oznajmiła staruszka, po czym wskazała Asterin i Bronwen. – Żadna z nas nie ruszy dziś do walki sama. Każdej będzie towarzyszył ktoś niewidzialny.

Czarne, poznaczone złotymi plamkami oczy Asterin złagodniały.

– Tak – powiedziała, a jej dłoń opadła na brzuch. Nie po to, by dotknąć wypalonego tam okrutnego słowa i zasłonić wyrządzoną jej krzywdę, ale po to, by przywołać wspomnienie nieżywego wiedźmiątka, które babka Manon wrzuciła w ogień, nim Asterin zdołała je choć przytulić. By przywołać wspomnienie myśliwego, którego wbrew zwyczajom Żelaznozębnych pokochała do szaleństwa, a później haniebnie porzuciła, choć ten nigdy nie przestał jej wypatrywać, nawet jako sędziwy starzec.

Manon wiedziała, że jej zastępczyni będzie walczyć dla nich. Dla rodziny, którą straciła, by ta historia nigdy się nie powtórzyła.

Królowa chciała walczyć dokładnie o to samo.

– Powróciliśmy po pięciu stuleciach. – W głosie Glennis pobrzmiwała zaduma. Wstające słońce zalało białe mury Orynthu złotem. – I dziś Crochan ruszą do ostatecznej bitwy.

Jakby jej słowa stanowiły sygnał, Bronwen uniosła do ust róg Telyn Vanory i zadęła.

Większość ludzi uważała, że rzeka Florine spływa z Jelenich Rogów, omija Orynth od zachodu, a potem przecina równiny. Mało kto jednak wiedział, że starożytny król Fae mądrze zaprojektował swe miasto. Wydrążone kanały i podziemne strumienie nieustannie zaopatrywały stolicę w świeżą, górską wodę. Płynęły zaś dokładnie pod zamkiem.

Lysandra uniosła wysoko pochodnię i zajrzała do jednego z podziemnych cieków. Ciemna woda, tworząc wiry, mknęła przez kamienny tunel i wypływała poza mury miejskie. Oddech

zmiennokształtnej zamieniał się w kłęby pary.

– Opuśćcie kratę zaraz po tym, jak się wydostanę – zwróciła się do kilku towarzyszących jej żołnierzy Zguby.

Jedyną odpowiedzią było mruknięcie któregoś z nich.

Lysandra zmarszczyła brwi, patrząc na ciężką, metalową bramę przegradzającą podziemną rzekę. Tworzące ją pręty były równie grube jak jej przedramię. Propozycja przeprowadzenia tego ataku wyszła od lorda Murtaugha, który zaskoczył nawet Aediona znajomością podziemnych kanałów pod zamkiem i miastem.

Lysandra przygotowała się na skok do wody. Wiedziała, że ta okaże się zimna. Niebywale wprost zimna.

Armia Morath szła jednak do natarcia i jeśli zmiennokształtna w porę nie znajdzie się na pozycji, straci swą szansę.

– Niech cię bogowie strzegą – powiedział jeden z żołnierzy.

Lysandra uśmiechnęła się do niego z trudem.

– I was też.

Nie zastanawiała się dłużej i po prostu zeskoczyła z kamiennego chodnika.

Pogrzyła się w toni, nie dosięgając nogami dna. Zimno wyrwało jej powietrze z płuc, ale błyskawicznie zaczęła przemianę. Jej ciało znów wypełniło ciepło, w miarę jak przekształcały się kości, a skóra zanikała. Magia pulsowała, pochłaniając zasoby potrzebne do takiej transformacji, ta wkrótce dobiegła końca.

Jeden z żołnierzy zaklął nad powierzchnią wody. Być może kierował nim strach, być może podziw. Lysandrze było to obojętne.

Wynurzyła się, by nabrać tchu, po czym znów pogrzyła się w toni. Nawet w tej postaci zimno atakowało ją ze wszystkich stron, a woda wydawała się ciemna i mulista. Mimo to wyczuła nurt i ruszyła wraz z nim, by wydostać się ze starożytnego tunelu.

Już była poza murami. Wpływała do szerszej Florine, gdzie zimno stało się niemalże nie do wytrzymania. Na powierzchni unosiły się grube kawały kry, które zasłaniały ją przed wzrokiem przeciwnika.

Płynęła w dół rzeki, wzdłuż wschodniej flanki wojsk Morath, i czekała na sygnał.

Crochan wzbily się do lotu. Fala łopoczącej czerwieni przemknęła nad miastem i murami obronnymi.

Aedion, który stał w towarzystwie Rena na południowym odcinku murów, odchylił głowę i odprowadził wzrokiem wznoszące się wieżmy.

– Naprawdę myślisz, że dadzą sobie radę z tym czymś? – Allsbrook wskazał nadciągającą chmarę wywern.

– Myślę, że nie mamy wyboru. Musimy mieć nadzieję, że im się uda – odparł Aedion i ściągnął łuk z pleców. Ren uczynił to samo.

Na ten znak łucznicy na murach również pochwycili za łuki, a rozstawieni wśród nich Mycenianie wycelowali ogniste lance, wspierając je na blankach.

Morath maszerował. Nie będzie już żadnych opóźnień ani niespodzianek. Bitwa zaraz się rozpocznie.

Aedion zerknął na zakręt Florine i krę migoczącą w blasku porannego słońca. Zdusił lęk w sercu. Byli zbyt nieliczni i nazbyt zdesperowani, by miał prawo odebrać Lysandrze zadanie, którego się podjęła.

Zerknął przez ramię i przekonał się, że żołnierze Zguby wycelowali katapulty, a Fae księżęcej krwi szykowali się, by za pomocą resztek swej magii układać w nich kolejne głazy. Łucznicy Fae stali zaś w równych szeregach i czekali na rozkaz.

Aedion nałożył strzałę na cięciwę i odciągnął ją aż do ucha.

Wszyscy pozostali uczynili to samo.

– Zróbmy, co w naszej mocy, by o tej bitwie długo śpiewano – oznajmił Aedion.

Manon i Trzynastka wystrzeliły ku niebu. Armia Crochan sunęła pod nimi niczym czerwona fala mknąca na spotkanie morza czerni. W ten oto sposób zmuszały Żelaznozębne do podjęcia decyzji – walczyć z pradawnym wrogiem czy może z nowym?

Manon od początku chciała przeprowadzić ten test. Pragnęła się przekonać, ile Żelaznozębnych usłucha rozkazów i będzie lecieć naprzód, a ile wyrwie się z szyku, nie mogąc wytrzymać pokusy walki z Trzynastką. Ciekawiło ją też, jaką decyzję podejmą Matrony i dziedziczki prowadzące legion. Podzielią swe siły czy też rzucają je wszystkie na Crochan?

Trzynastka wzbijała się coraz wyżej, a obie armie leciały prosto na siebie.

Crochan bez wahania dobyły mieczy. Klingi błysnęły w słońcu, wycelowane w nadciągające wywerny.

Żelaznozębne nie trenowały walki z wrogiem zdolnym stawić im czoła, z wrogiem, który był mniejszy, szybszy, potrafił latać, a co najgorsze, uderzać w najsłabsze punkty – w same wiedźmy. Z tą myślą Crochan leciały do boju – by atakować nie wywerny, ale dosiadające je Żelaznozębne.

Aby tego dokonać, musiały jednak przemknąć wśród kłapiących paszcz, jadowitych, kolczastych ogonów i mknących w powietrzu strzał, a na koniec zmierzyć się z dosiadającymi wywern wiedźmami, które były wyszkolonymi wojowniczkami. Czekala je niełatwa, długa walka.

Trzynastka wzbila się tak wysoko, że powietrze zaczęło się rozrzedzać. Tak wysoko, że Manon ujrzała tyły nadciągającej armii Żelaznozębnych, a tam straszliwą wywerną Iskry Żółtonogiej, niemożliwą do pomylenia z jakąkolwiek inną.

Trzynastka rzucała jej wyzwanie. Manon dobrze wiedziała, że mimo odległości Iskra na pewno ją zauważyła.

Nigdzie nie widziała Petrah ani żadnej z dwóch pozostałych

Matron. Nie miała też pojęcia, kto przejął po starej Żółtonogiej godność Najwyższej Wiedźmy, ale nie interesowało jej to szczególnie. Być może babka przekonała Żółtonogie, by wstrzymały się z mianowaniem Iskry bądź innej kandydatki, żeby ułatwić sobie zdobycie tytułu królowej.

W chwili gdy Manon zakręciło się w głowie od wysokości, od głównego hufca odłączyło się około pięćdziesięciu wywern, które pomknęły w górę. Żelaznozębne pędziły ku nim, wyzwolone z dyscypliny powietrznego legionu, spragnione chwały i prawa do chełpienia się tym, że zabijając wiedźmy Trzynastki, doprowadziły do zwycięstwa.

Manon uśmiechnęła się lekko.

Dwie armie zderzyły się ze sobą.

Królowa odetchnęła i szarpnęła za wodze Abraxosa. Jej mężna wywerna rozrzuciła skrzydła i runęła do lotu nurkowego.

Świat się przechylił. Kątem oka Manon widziała, że pozostałe wiedźmy ruszyły do ataku w ślad za nią. Przebijały się przez chmury, lecąc ku majaczącemu w dole miastu i wznoszącemu się nad nim zamkowi. Ścierające się legiony rozmazały się od prędkości.

Gdy Żelaznozębne były już na tyle blisko, by Manon mogła wyróżnić wśród nich zarówno Żółtonogie, jak i Błękitnokrwiste, Abraxos skrzywił ostro, pochwycił jakiś prąd i runął w sam środek wrogiego hufca.

Trzynastka uformowała odpowiedni szyk i niczym taran przebiła się przez chmurę Żelaznozębnych.

Łuk Manon śpiewał, gdy puszczała strzałę za strzałą.

Coś w niej pękło, gdy ujrzała pierwszą eksplozję błękitnej krwi, ale nie przestała. Abraxos zaś wirował, rozszarpywał skrzydła, darł wrogie gardziele.

Bitwa się rozpoczęła.

Lysandra, choć skryta w falach rzeki, słyszała dudnienie maszerujących żołnierzy.

Ci zaś nie widzieli wielkiego, białego pyska, który co chwila

wynurzał się spośród kry, by zaczerpnąć tchu. Niebo bowiem pociemniało, gdy słońce przesłoniły Crochan, ścierające się z wyvernami.

Od czasu do czasu do wody spadały ciała wojowniczek z obu stron. Niektóre Crochan nadal żyły i miały się, próbując utrzymać się na powierzchni. Lysandra skrycie podpływała do nich i wynosiła je na przeciwny brzeg. Nie wiedziała, czy ją rozpoznały, a sama natychmiast wracała w głębiny.

Żelaznozębne, które spadły do wody, zaciągała na samo dno i przyszpilała do skał, choć za każdym razem musiała odwrócić przy tym głowę.

Jej pysk wynurzył się w chwili, gdy przez wrzawę bitewną przebił się ostry ryk rogu, który dobiegł do murów miasta. Nie było to ostrzeżenie, ale wyzwanie.

Lysandra zanurkowała aż po samo dno, a potem odbiła się i pomknęła ku powierzchni, zamiatając wodę za sobą potężnym ogonem. Wystrzeliła spośród fal i lodu, zatoczyła łuk w powietrzu i runęła prosto na wschodnią flankę Morath. Żołnierze wrzeszczeli z przerażenia, gdy w ich szeregach pojawił się tajfun zębów i kłów, młócający ogonem przestrzeń wokół siebie.

Wszędzie tam, gdzie pojawił się biały morski smok, bryzgała czarna krew.

Gdy żołnierze wroga opanowali swój strach na tyle, by wypuścić grad strzał i włócznie w opalizujące łuski wzmocnione pajęczym jedwabiem, smok odwrócił się i wskoczył do głębokiej rzeki, błyskawicznie znikając pod lodem. Pomknęły za nim kolejne włócznie, które pograżyły się w turkusowej wodzie, chybiając jedna po drugiej, ale zmiennokształtna już pospiesznie płynęła naprzód.

Ciało morskiego smoka – a może rzecznego? – nie zwalniało. Lysandra wyciskała z niego wszystkie siły, a potężne płuca potwora pracowały niczym miechy.

Przed nią pojawił się zakręt, dzięki czemu skok z wody na ląd przyszedł jej łatwiej.

Żołnierze wroga, których uwagę pochłonęła rzeź, urządzona w środku formacji, nawet na nią nie spojrzeli, gdy wtargnęła pomiędzy nich.

Cofając się, zdążyła zerknąć na mury miasta, od których odbijała się właśnie fala czerni. Wynurzały się z niej drabiny oblężnicze i wyfruwały roje strzał, a tu i ówdzie eksplodowały płomienie. Ułamek sekundy później znów pograżyła się w głębinach rzeki.

Z jej paszczy, kłów i pazurów ściekała czarna krew. Na lód nadal padał cień gromad walczących wiedźm.

Atakowała raz za razem i znów kryła się pod lodem. Wyskakiwała, siała zniszczenie i uciekała, destabilizując wschodnią flankę i zmuszając żołnierzy wroga do ucieczki i naporu na centrum. Turkusowe wody Florine stopniowo mąciły plamy czarnej i błękitnej krwi, ale Lysandra nie ustawała. Bez litości wygryzała coraz to nowe strzępy z cielska kolosa, który ruszył na Orynth.

Gorąco bijące od ognistych lanc niemalże poparzyło policzek Aediona i rozgrzało jego hełm tak bardzo, że miał ochotę go zerwać i odrzucić. Jego dyskomfort był jednak niewielką ceną, gdyż języki płomieni strącały Valgów usiłujących wspiąć się na mury miejskie. Na miejsce tych powalonych przez łuczników zjawiali się nowi, ale tam gdzie zionęły ogniste lance, pozostawały jedynie wypalona ziemia i stopione pancerze.

To jednak nie wystarczało. Nie, zupełnie nie.

Wysoko na niebie zwarły się Żelaznozębne z Crochan, których walka była tak zacięta, że wokół nich zawisła błękitna mgła. Aedion nie miał pojęcia, kto zdobywa przewagę. Trzynastka walczyła wraz z Crochan, a tam gdzie się pojawiały, z nieba spadały poszarpane wywerny, które miażdżyły żołnierzy Valgów.

Znów uniosły się żelazne drabiny, mierzac ku murom miasta. Buchnęły ogniste lance, które zamieniły pnących się po drabinach żołnierzy w poczerniałe trupy. W ślad za nimi od razu pieli się kolejni. Najwyraźniej sam lęk przed płomieniami nie wystarczał, by ich zniechęcić.

Aedion doskoczył do najbliższej drabiny. Słał strzałę za strzałą w podążających na górę żołdaków, a jego groty trafiały bez pudła w szczeliny zbroi. Inni łucznicy również dwoili się i troili, a żołnierze Zguby za nimi trwali w pozycjach bojowych, gotowi na pierwszych, którzy wdrapią się na mury.

Ogień najgęściej eksplodował wokół obu bram miejskich. To tam Aedion skupił znaczne siły Mycenian, by jak najlepiej osłonić dwa najwrażliwsze punkty miasta. Sama intensywność ognia zdradziła mu, że Morath w istocie naciera na bramy.

– Oszczędzać paliwo! – krzyknął Rolfe, co przeszło Aediona lękiem. Mimo to skupił się na drabinie. Uniósł łuk i z brzękiem cięciwy trafił kolejnego żołnierza. Potem następnego.

Kilkanaście kroków dalej Ren ostrzeliwał kolejną drabinę.

Aedion odważył się spojrzeć na wrogą armię. Morath zgromadził aż nadto wojska, by rozpocząć kontratak innego typu.

Cofnął się i popchnął jakiegoś łucznika na swe miejsce, a sam uniósł miecz, co było sygnałem dla żołnierzy przy katapultach.

– Teraz!

Zaskrzypiało drewno, jęknęły maszyny. Głazy wielkie niczym wozy drabiniaste pomknęły nad murami. Każdy z nich został uprzednio oblany ropą, która migotała w blasku słońca. Gdy wszystkie znalazły się w najwyższym punkcie lotu, łucznicy Fae posłali w ślad za nimi chmurę płonących strzał.

Pociski trafiły w mokre od ropy głazy, na moment przedtem, nim te uderzyły w ziemię. Płomienie błyskawicznie rozeszły się po ich powierzchni, wniknęły w wydrążone na rozkaz Aediona dziury i dotarły do upchniętych w środku materiałów wybuchowych, pobranych z cennych zapasów Rolfe'a.

Eksplozje rozsadziły głazy, które zasypały szeregi wroga płomieniami i gradem skalnych odłamków. Na widok rzezi, odsłoniętej przez unoszące się nad eksplozją dymy, żołnierze na murach zaczęli wiwatować. Tam gdzie spadły głazy, widać było popalone, zmiażdżone i rozszarpane ciała żołnierzy Valgów. Pociski ze wszystkich sześciu katapult wybiły szerokie kratery w armii Morath.

– Nowe pozycje! – ryknął Aedion.

Żołnierze już natarli na koła, by zmienić ustawienie katapult. Kilka sekund później maszyny mierzyły już w inne miejsce, a Fae za pomocą magii układali w łyżkach kolejne pociski z arsenału nagromadzonego przez Darrowa w ciągu kilku minionych tygodni.

Aedion nie miał zamiaru dać siłom Morath ani chwili na

otrząśnięcie się.

– Strzelać!

Raz jeszcze pomknęły głazy, a za nimi świsnęły płonące strzały.

Tym razem eksplozje na polu bitwy zatrzęsły murami miasta. Znów poniosły się wiwaty, ale Aedion dał Fae oraz obsłudze katapult znać, by wstrzymali się z kolejną salwą. Niech wróg myśli, że wyczerpali zapas pocisków.

Aedion ponownie zwrócił się ku drabinie. Valgowie już wdzierali się na mury.

Pierwszy z nich stracił życie, nim zdołał zeskoczyć na pomost, trafiony celnym ciosem czekającego nań żołnierza Zguby. Aedion ściągnął tarczę z pleców, porwał miecz i skoczył na kolejnych żołdaków.

Następnym wrogiem, który z łatwością pokonał blanki i wylądował na pomoście, nie był jednak zwykły żołnierz.

Aedion patrzył na twarz młodego mężczyzny, zimną niczym śmierć. Jego czarne oczy rozjaśnił nieczysty głód.

Na szyi miał ciasno zapięty czarny naszyjnik.

Nadszedł książę Valgów.

Skupcie się na drabinie! – warknął Aedion do żołnierzy, którzy cofnęli się z przestachem na widok przystojnego księcia demonów. Ten wkroczył na mury miejskie, jakby wchodził do salonu.

Nie miał zbroi, a na smukłe ciało narzucił jedynie czarną tunikę.

– Och, książę Aedion – oznajmił z uśmiechem i dobył miecza. – Czekaliśmy na ciebie.

Aedion uderzył.

Nie władał magią. Nie dysponował niczym, co mogłoby stawić czoła mrocznej mocy w krwi księcia demonów, ale zawsze mógł liczyć na swą niezwykłą prędkość oraz siłę. Wzniósł miecz – ów zwykły, bezimienny miecz – i zamarkował uderzenie. Książę dał się złapać w pułapkę i ciął z ukosa, ale Aedion przypadł już do niego i uderzył go w bok tarczą.

Spychał go nie ku drabinie, ale ku stojącemu nieopodal Mycencianinowi, który dzierżył ognistą lancę.

Ten niespodziewanie padł martwy.

Książę zachichotał i pchnął w Aediona strumieniem mrocznej mocy.

Generał zrobił unik i wzniósł tarczę, jakby w ten sposób mógł zatrzymać magiczne uderzenie. Ciemność uderzyła w metal i ramię Aediona przeszły wibracje, ale... ale na tym się skończyło. Nie było paraliżującego bólu odbierającego wolę życia.

Aedion odruchowo przeszedł do kontrataku i ciął z góry. Książę zdołał uskoczyć w bok, a potem szeroko otwartymi oczami spojrzał na tarczę i na przeciwnika.

– Przeklęty Fae – syknął.

Aedion nie miał pojęcia, co to oznaczało, ani też się tym nie przejmował. Przyjął kolejne magiczne uderzenie na swą tarczę, z trudem utrzymując równowagę na powalonym czarną i czerwoną krwią pomoście. Tamten Mycencianin nie żył, ale przy drabinie Rena musiał znajdować się następny...

Książę Valgów miotał w niego kolejnymi magicznymi pociskami. Aedion bez trudu przyjmował je na tarczę, a moc demona odbijała się od niej niczym struga wody padająca na kamień. I za każdym razem, gdy Valg pchał w niego mocą, młody Ashryver wznosił miecz do kolejnego ataku.

Stal zderzała się ze stalą, mrok zderzał się ze starożytnym metalem. Aedion miał dziwne wrażenie, że wszyscy dookoła, zarówno ludzie, jak i Valgowie, znieruchomieli, przyglądając się zaciekłemu pojedynkowi na murach.

Utrzymywał równowagę, tak jak uczyli go Rhoe, Quinn i Cal Lochan. Jak pokazywali mu wszyscy jego mentorzy i wojownicy, których podziwiał. Naraz uświadomił sobie, że szkolił się i zdobywał doświadczenie przez całe życie po to, by właśnie teraz stanąć w obronie murów Orynthu. Dla tego miasta i jego mieszkańców wznosił miecz, dla nich odpierał cios za ciosem.

Książę Valgów syczał z każdym kolejnym uderzeniem, jakby rozwścieczony tym, że jego moc nie może rozbić tarczy.

Tarczy Rhoe.

Nie było w niej magii, a sam Brannon nigdy jej nie nosił. Wykuł ją jednakże ktoś z długiej, nieprzerwanej linii królów i królowych, którzy pojawili się po nim, ludzi, którzy kochali to królestwo bardziej niż własne życie. Którzy jechali z tą tarczą do bitwy, na wojnę, by bronić Terrasenu.

I gdy Aedion z Valgiem toczyli swą walkę, a tarcza nie poddawała się mrocznej magii, generał doszedł do wniosku, iż kryje się w niej inny rodzaj mocy. Takiej, której Valgowie nie byli w stanie zrozumieć. Nie była to prawdziwa magia, nie taka, jaką władali Brannon i Aelin, ale coś równie silnego albo nawet silniejszego.

Coś, czego Valgowie nie potrafili złamać, bez względu na to, jak się starali.

Miecz Aediona znów świsnął, a książę Valgów zaryczał, gdy klinga wgrzyła się w jego ramię. Trysnęła czarna krew, a Aedion natychmiast wykorzystał okazję. Pchnął tarczą i jednocześnie dźgnął ostrzem miecza.

Niemniej jednak książę czekał na ten ruch. Wykorzystał własne ciało jako przynętę.

W chwili gdy Aedion runął prosto na niego, błyskawicznie wyszarpnął sztylet zza pasa i wepchnął go w szczelinę pancerza na wysokości pachy, szerszą teraz, gdy generał wyprowadził pchnięcie. Ostrze weszło głęboko, rozdzierając ciało, mięśnie i kości.

Buchnął oślepiający ból. Tylko dzięki swemu wyszkoleniu i wieloletniemu doświadczeniu Aedion oparł się odruchowi wypuszczenia miecza i zasłonięcia dłonią rany. Odskoczył, a ostrze wysunęło się z ciała.

Książę Valgów zachichotał. Wpatrzony w niego Aedion ledwie zdawał sobie sprawę z toczącej się naokoło walki, z krzyków, wrzasków i rozbłysków ognia. Książę uśmiechnął się, oglądając zakrwawione ostrze, a potem podniósł je do zmysłowych ust i przeciągnął po nim językiem. Zlizał krew Aediona do czysta.

- Wyśmienita – szepnął i aż zadrżał z rozkoszy.

Aedion cofnął się jeszcze o krok. Jego ramię płonęło bólem, a we wnętrzu pancerza ściekała krew.

Książę ruszył ku niemu.

Znów smagnął go mocą. Generał przyjął uderzenie na tarczę, ale tym razem padł na ziemię, przetoczył się i zatrzymał przed opancerzonymi stopami któregoś z żołnierzy Zguby. Oddychał z trudem.

Książę Valgów zatrzymał się nad nim.

- Nie mogę się doczekać chwili, gdy zacznę nad tobą ucztować.

Aedion wznosił tarczę, by zasłonić się przed kolejnym ciosem.

Książę znów uniósł sztylet do ust i przewrócił oczyma.

Które ułamek sekundy później otworzyły się szeroko, gdy w jego szyję – tuż nad naszyjnikiem – wbiła się strzała.

Książę zakrztusił się, zacharczał i odwrócił tam, skąd nadbiegł pocisk. I ujrzał stojącego za nim Rena Allsbrooka z ognistą lancą.

Młody lord nacisnął spust i uwolnił strugę ognia.

Aedion nachylił się i zasłonił tarczą, bojąc się, że płomienie pożrą również i jego.

Świat stał się mieszaniną światła i gorąca, a potem wszystko znikło.

Słyszeć było jedynie wrzawę bitewną i krzyki umierających.

Aedion zdołał opuścić tarczę.

Z księcia Valgów pozostała zaledwie kupka popiołów i czarny naszyjnik.

Ciężko dyszący generał dotknął rany.

– Już go miałem! – wycharczał.

Ren pokręcił głową, odwrócił się i uwolnił strumień ognia na najbliższego żołnierza Valgów. Krzyknął coś, ale Aedion nie dosłyszał słów. W głowie nagle mu się zakręciło, a ciałem zawładnął chłód, jakiego nigdy wcześniej nie doznał.

A potem nie było już nic.

Bitwa okazała się o wiele gorsza, niż Evangeline sobie to wyobrażała. Sam zgiełk bitewny przeszywał jej całe ciało i gdyby nie to, że musiała dostarczać wieści lordowi Darrowowi, stojącemu na jednym z najwyższych balkonów, zwinęłaby się pewnie w kłębek.

Zasapała się i zaschło jej w ustach, gdy dotarła na balkon, gdzie stał Darrow z dwoma innymi lordami Terrasenu.

– Wiadomość od Kylliana – wykrztusiła i dygnęła jak za każdym razem, gdy dostarczała kolejną informację.

Mury obronne nie były miejscem do okazywania dworskich manier i dobrze o tym wiedziała. Aelin bez wątpienia powiedziała to samo, ale dziewczynka nie mogła się powstrzymać. Dygała i kłaniała się, choć jej nogi drżały.

Posłaniec od Kylliana złapał ją u dołu schodów zamkowych i czekał teraz na odpowiedź lorda Darrowa. Bardziej do walczących się nie zbliżyła, choć tu też wcale nie czuła się komfortowo.

Oparła się o kamienną ścianę wieży i czekała, aż Darrow przeczyta list. Walka między Crochan i wywernami była tu o wiele lepiej widoczna, a świat poniżej rozmywał się. Evangeline wsparła ręce o lodowate kamienie, jakby mogła w ten sposób pobrać od nich magiczną siłę.

Choć zgiełk bitwy był ogłuszający, słyszała, jak Darrow zwrócił się do pozostałych lordów.

– Aedion został ranny.

Zrobiło jej się niedobrze.

– Nic mu nie jest? – spytała.

Pozostali lordowie zignorowali ją, ale Darrow spojrział na nią.

– Stracił przytomność. Przeniesiono go do budynku przy murach – rzekł. – Właśnie zajęli się nim uzdrowiciele. Zostanie przyniesiony do zamku, gdy tylko będzie w stanie znieść taką podróż.

Evangeline podeszła niepewnie do balustrady, jakby mogła z tej wysokości dostrzec ów budynek przy murach.

Nigdy nie miała ojca ani brata i nie podjęła jeszcze decyzji, kim Aedion mógłby dla niej być. Jeśli został ranny tak bardzo, że wymagało to przesłania wiadomości do lorda Darrowa... Zacisnęła dłoń na brzuchu, próbując opanować zółć palącą jej gardło.

Słyszała jakieś głosy, po czym poczuła czyjaś dłoń na ramieniu.

– Lord Gunnar przekaze moją odpowiedź – powiedział Darrow. – Ty zostań ze mną. Może będę miał dla ciebie zadanie.

Słowa brzmiały surowo, ale dotyk na ramieniu był delikatny.

Evangeline pokiwała głową. Było jej niedobrze i przepelniała ją rozpacz. Zaciskała dłonie na kamieniach, jakby w ten sposób mogła jakoś pomóc Aedionowi pozostać po tej stronie życia.

– Sloane, przynieś jej coś ciepłego do picia – rozkazał Darrow głosem nieznoszącym sprzeciwu.

Drugi z lordów odszedł. Evangeline nie miała pojęcia, ile czasu upłynęło do jego przybycia, ale w pewnym momencie Darrow wsunął jej w dłonie gorący kubek.

– Wypij to – polecił.

Upiła kilka łyków. To był rosół, chyba wołowy. Było jej to obojętne.

Jej przyjaciele byli na dole. Jej jedyna rodzina.

Toń rzeki raz na jakiś czas roztrącał wielki kształt, jedyny dowód na to, że Lysandra wciąż żyła.

O losie Aediona nie było wieści.

Evangeline została więc na wieży u boku milczącego Darrowa

i modliła się gorąco.

Armia kagana maszerowała najszybciej jak mogła, ale mimo to przemieszczała się powoli. Była zbyt wolna i zbyt wielka, by dotrzeć do Terrasenu na czas.

Przez ostatni tydzień Aelin błagała Dębową Puszcę, Małych Ludzi i Brannona o wybaczenie, gdy wypalała wśród drzew drogę na północ, ale dotarli dopiero w okolice Endovier. Granica znajdowała się kilka kilometrów dalej, ale droga do Orynthu, jeśli będą mieli szczęście, zabierze im jeszcze dziesięć dni. Gdyby Morath po przejściu Perranthu utrzymał tam liczny hufiec, ich marsz zakończyłby się katastrofą.

Uznali więc, że zamiast przeć ku nizinom, gdzie podróż byłaby szybsza, lepiej będzie wyminąć miasto i Góry Perranth od zachodu. Osłonięci przez Dębową Puszcę, mogliby zaskoczyć wojska Morath pod Orynthem.

O ile do tego czasu z Orynthu coś jeszcze zostanie. Nadal znajdowali się zbyt daleko, by jeźdźcy ruków mogli ruszyć na zwiad, a z północy nie nadjeżdżali żadni posłańcy. Nawet dzicy ludzie z Kłów, którzy pozostali z nimi i maszerowali do Orynthu, by pomścić swoich krewnych i współplemieńców, nie znali szybszych traktów.

Aelin próbowała o tym nie myśleć. Próbowała odepchnąć wszelkie myśli o Erawanie i Maeve oraz o tym, co być może planowali. Spodziewała się usłyszeć jakieś wieści w Endovier, pierwszej ludzkiej osadzie, która znajdowała się na ich szlaku od opuszczenia Elfiej Przełęczy.

O tym właściwie również nie chciała myśleć. O tym, że jutro bądź za dwa dni ujrzy szare góry, które kryły w sobie kopalnie soli.

Leżała na brzuchu na pryczy – rozstawienie wielkiego łoża dla niej i Rowana miało się z celem, gdyż za kilka godzin mieli ruszyć w dalszą drogę – i skrzywiła się, gdy jej plecy znów przeszły ostre pieczenie.

Jedynym odgłosem w namiocie był cichy brzęk instrumentów Rowana i skwierczenie szczap drewna w żelaznych koszach.

– Skończysz dzisiaj? – spytała, gdy zanurzył igłę w garnczku z atramentem.

– Jeśli przestaniesz gadać – odparł sucho.

Aelin parsknęła i uniosła się na łokciach, by spojrzeć na niego przez ramię. Nie widziała samego tatuażu, ale wiedziała, czym Rowan się zajmuje. Odtwarzał to, co wypisał na jej plecach tej wiosny – opowieści o ich ukochanych oraz ich śmierci, które ciągnęły się tam, gdzie kiedyś były blizny. Dokładnie tam, jakby wryły się w jego pamięć.

Doszedł do nich jednakże nowy tatuaż, który rozlewał się po jej łopatkach niczym para rozłożonych skrzydeł. Kryła się w nich historia ich obojga. Opowieść o Rowanie i Aelin.

Opowieść, którą rozpoczął smutek przemieszany z wściekłością, a zakończyło coś innego.

Aelin cieszyła się, że urwał ją w tym momencie. W chwili szczęścia.

Oparła podbródek na dłoniach.

– Wkrótce będziemy blisko Endovier – powiedziała.

Rowan wrócił do pracy, ale była pewna, że słyszy każde jej słowo i zastanawia się nad odpowiedzią.

– Co chcesz zrobić w tej sprawie? – zapytał.

Skrzywiła się, gdy igła ukłuła szczególnie wrażliwe miejsce blisko kręgosłupa.

– Chcę spalić Endovier po fundamenty. I rozbić góry na kawałki.

– Dobra. Pomogę ci.

Aelin uśmiechnęła się lekko.

– Oslawiony książę wojownik powstrzyma się od kazań, bym niepotrzebnie nie trwonila mocy?

– Oslawiony książę wojownik powie ci, byś panowała nad sobą, ale jeśli zniszczenie Endovier ma ci w czymś pomóc, nie odstąpi cię ani o krok.

Aelin zamilkła i pozwoliła Rowanowi pracować przez kilka minut w ciszy.

– Nie przypominam sobie, by ostatnim razem ten tatuaż zabrał ci aż

tyle czasu.

– Bo go ulepszyłem. I stosuję zupełnie inne ornamenty.

Aelin mruknęła i znów przez chwilę milczała, a Rowan pracował i ścierał krew, jeśli było to konieczne.

– Nie wiem, czy dam radę – szepnęła w końcu. – Nie wiem, czy w ogóle jestem w stanie spojrzeć na Endovier, nie mówiąc już o zniszczeniu tego miejsca.

– Mam się tym zająć? – spytał Rowan spokojnym głosem wojownika. Wiedziała, że zabrałby się do tego bez wahania. Gdyby go poprosiła, zamieniłby się w ptaka, poleciał tam i obrócił wszystko w gruzy.

– Nie – przyznała. – Nadzorcy i niewolnicy i tak już zbiegli. Nie ma co niszczyć, nie ma kogo ratować. Chcę to miejsce po prostu minąć i nigdy więcej o nim nie pomyśleć. Czy to czyni ze mnie tchórza?

– Moim zdaniem to cię czyni bardziej ludzką – rzekł po chwili Rowan. – Bądź bardziej Fae.

Aelin zmarszczyła brwi, wpatrując się w swe splecione pod brodą palce.

– Mam wrażenie, że ostatnio jestem bardziej Fae niż czymkolwiek innym. Nie pamiętam już, kiedy po raz ostatni jadłam posiłek w ludzkim ciele.

– To dobrze czy źle? – Jego dłoń nawet nie drgnęła.

– Nie wiem. W głębi duszy jestem człowiekiem. Ta cała gadanina o królowej Fae to bzdura. Moi rodzice byli ludźmi, podobnie jak ich rodzice i tak dalej. Nawet jeśli mam silną krew Mab, nadal jestem tylko człowiekiem, który może zmieniać się w Fae. Człowiekiem, który nosi ciało Fae.

Nie wspomniała nic o nieśmiertelnym życiu. Nie mogła. Wiedziała, co ich czeka.

– Z drugiej strony – sprzeciwił się Rowan – powiedziałbym, że jesteś człowiekiem z instynktami Fae, być może istotniejszymi i mocniejszymi od ludzkich.

Wyczuła jego uśmiezek.

– Jesteś terytorialna, lubisz dominować, masz skłonności do

agresji...

- W sztuce komplementowania kobiet nie masz sobie równych.

Śmiech Rowana był niczym podmuch ciepłego powietrza, który omiół jej kręgosłup.

- A czemu nie można być jednocześnie człowiekiem i Fae? – spytał.
- Po co w ogóle cokolwiek wybierać?

- Bo ludzie zawsze domagają się wyraźnej klasyfikacji.

- A od kiedy ciebie interesuje, czego ludzie się domagają?

- Prawda. – Aelin uśmiechnęła się lekko, a potem zacisnęła mocno zęby, gdy igła wkłuła się w skórę przy kręgosłupie. – Cieszę się, że tu jesteś – dodała. – Że ujrzę Endovier po raz pierwszy od dawna wraz z tobą.

Nie wiedziała, czy jest w stanie zmierzyć się z tą częścią swej przeszłości, z taką ilością bólu i cierpienia, skoro nie potrafiła myśleć o ostatnich kilku miesiącach.

Rowan przerwał pracę. Odrętwiający ból ustał, a potem jego usta musnęły jej skórę tuż nad miejscem, gdzie zaczynał się nowy tatuaż. Identyczny z tym, który wykonali na jego plecach Gavriel i Fenrys podczas kilku ostatnich nocnych postojów.

- Ja też się cieszę, że tu jestem, Ogniste Serce.

Na jak długo jeszcze mieli im pozwolić bogowie.

Elide opadła na pryczę i jęknęła cicho, po czym nachyliła się, by zdjąć buty. Miała za sobą cały dzień pomagania Yrene w jej wozie, co nie należało do łatwych zadań, i nie mogła się doczekać chwili, gdy wetrze cudowną maść od niej w kostkę i stopę. Praca była ciężka, ale przynajmniej pochłaniała jej uwagę na tyle, że nie myślała o Vernonie, o losie Perranthu, o tym, co czekało na nich pod murami Orynthu, i co mogli zrobić, by pokonać wroga.

Lorcan, zajęty obieraniem jabłka, spojrział na nią z pryczy obok.

- Powinnaś więcej odpoczywać.

Elide zbyła go machnięciem ręki i ściągnęła skarpetkę.

- Yrene jest w ciąży i wymiotuje co godzina. Jeśli ona nie

odpoczywa, ja również nie mam zamiaru.

– Nie jestem przekonany, czy Yrene aby na pewno jest do końca człowiekiem – odparł Lorcan szorstkim głosem, ale w jego oczach błysnęło rozbawienie.

Elide wyłowiła puszkę z maścią z kieszeni. Yrene powiedziała, że wykonano ją z eukaliptusa, choć Elide nigdy wcześniej o takiej roślinie nie słyszała. Podobał jej się natomiast zapach, ostry, ale kojący, a powąchawszy maść kilkakrotnie, odkryła, że do nieprzejrzystej, bladej mazi dodano lawendę, rozmaryn i coś jeszcze.

Zaszeleścił materiał i Lorcan znalazł się na kolanach przed nią. Ujął jej stopę, która niemalże niknęła w jego dłoniach.

– Pozwól mi się tym zająć – poprosił.

Elide była tak zaskoczona, że nie zaprotestowała, gdy wyjął puszkę z jej dłoni, i w milczeniu przyglądała się, jak zanurza w niej palce, a potem wciera maść w jej skórę. Kciukiem musnął miejsce, gdzie kość ocierała się o kość. Elide jęknęła, na co Lorcan powoli, ostrożnie, niemalże z nabożeństwem zaczął rozmasowywać bolesny punkt.

Te dłonie wyrąbywały sobie krwawe szlaki przez niejedno królestwo i wciąż nosiły po tym blade blizny, a mimo to ujmowały jej kostkę, jakby była drobnym, kruchym ptaszkiem, jakby była czymś... czymś świętym.

Nie dzielili łoża, gdyż prycze były na to za wąskie, a Elide po kolacji zasypiała ze zmęczenia, ale mieszkali we wspólnym namiocie. Lorcan bardzo – zdaniem Elide nawet za bardzo – dbał o to, by miała odpowiednio dużo prywatności podczas przebierania się i mycia.

W kącie namiotu parowała już woda w wannie, gorąca dzięki uprzejmości Aelin, która zresztą ku dozgonnej wdzięczności zarówno żołnierzy, jak i arystokratów ogrzewała wiele obozowych wanien.

Lorcan masował jej kostkę długimi pociągnięciami palców, po czym przeszedł do kreślenia na niej drobnych kręgów. Powoli, stopniowo usuwał z niej ból. Elide miała wrażenie, że gdyby sobie tego zażyczyła, robiłby to przez całą noc.

Tym razem jednak nawet nie myślała o śnie. Każde muśnięcie jego palców rozpałało coś w jej sercu, a gdy przejechał kciukiem wzdłuż grzbietu stopy, westchnęła cicho. Powodem nie był ból, ale...

Na jej policzki wystąpił rumieniec, który stał się gorętszy w chwili, gdy Lorcan zerknął na nią spod rzęs. W jego ciemnych oczach błysnęła figlarność.

Elide wpatrywała się w niego jeszcze przez moment, a potem pacnęła go po twardym jak skała ramieniu.

– Zrobiłeś to celowo!

Lorcan, nie przerywając kontaktu wzrokowego, powtórzył serię ruchów.

„Ależ to przyjemne...” – przeszło jej przez myśl, po czym opamiętała się i wyrwała kostkę z jego dłoni. Usiadła, zaciskając mocno uda.

Lorcan uśmiechnął się w odpowiedzi tak, że Elide podświadomie podkuliła palce u stóp.

Wojownik jednakże postanowił zmienić temat.

– Teraz bez wątpienia jesteś panią Perranthu.

Wiedziała to i nie przestawała o tym myśleć podczas niekończących się dni podróży.

– Naprawdę o tym chcesz teraz rozmawiać?

Jego palce nie przerywały niezwyklej, przywodzącej do grzechu pracy.

– Bo nie rozmawialiśmy o tym. O Vernonie.

– I co z tego? – Elide wysiliła się na nonszalancję, ale bez skutku.

Lorcan znów spojrział na nią spod gęstych rzęs. Dobrze wiedział, że próbuje uniknąć tematu.

Elide odetchnęła i wbiła wzrok w spiczasty dach namiotu.

– Czy jestem teraz kimś lepszym od Vernona? Wiesz, chodzi mi o to, w jaki sposób go ukarałam.

Przez pierwsze dwa dni nie przyszło jej nawet do głowy, by żałować tej decyzji, ale w miarę jak pokonywali kolejne kilometry, a ona uświadamiała sobie, że jej wuj pewnie nie żyje, zaczęła się nad tym wszystkim zastanawiać.

– Tylko ty możesz o tym zdecydować – rzekł Lorcan, ale przerwał masaż stopy. – Moim zdaniem zasłużył sobie na to.

Jego mroczna moc przetoczyła się z grzmotem po namiocie.

– Wiedziałam, że to powiesz.

Lorcan wzruszył ramionami, nie próbując niczego ukryć.

– Perranth podniesie się po najeździe Morath, sama wiesz – podjął.
– I po szkodach, które wyrządził tam Vernon.

Ta myśl ciążyła jej równie mocno z każdym pokonanym kilometrem drogi na północ. Nie chciała myśleć o tym, że poddani jej ojca i matki zostali zdziesiątkowani, że jej niania Finnula mogła się znaleźć wśród poległych, a jej lud mógł cierpieć.

– O ile odniesiemy zwycięstwo – powiedziała.

Lorcan powrócił do kojącego masażu.

– Perranth zostanie odbudowany – powiedział krótko. –
Dopilnujemy tego.

– Robiłeś to kiedyś? Odbudowałeś miasto?

– Nie – przyznał. Jego kciuki miarowymi ruchami wypędzały ból z jej kości. – Jak dotąd tylko je niszczyłem. – Spojrzał jej w oczy, szczerze i otwarcie. – Ale chciałbym spróbować. Z tobą.

Elide ujrzała w jego oczach jeszcze jedną propozycję. By zbudować nie tyle miasto, ile życie. Razem.

Na jej policzki znów wypłynął rumieniec.

– Tak – szepnęła. – Choć nie wiem, na jak długo.

Bo nawet gdyby wygrali wojnę, czekała ich kolejna przeszkoda, tym razem nie do pokonania – nieśmiertelność Lorcana.

Coś zamigotało w jego oczach, gdy usłyszał ciche słowa Elide.

Dziewczynie wydawało się, że Lorcan jej odpowie, ale on pochylił jedynie głowę. Po chwili zaczął zdejmować jej drugi but.

– Co ty robisz? – spytała szeptem.

Jego zwinne palce – na bogów, co za palce... – bez trudu rozsuptały jej sznurowadła.

– Powinnaś wymoczyć tę stopę. I w ogóle całą się wymoczyć. Już mówiłem, że za ciężko pracujesz.

– Mówiłeś, że powinnam więcej odpoczywać.

– Bo pracujesz zbyt ciężko – rzekł Lorcan i ruchem podbródka wskazał wannę. Zdjął jej but i pomógł jej wstać. – Pójdę poszukać czegoś do jedzenia.

– Już jadłam.

– Powinnaś jeść więcej.

A więc próbował dać jej nieco prywatności, zanim ona sama będzie musiała o to poprosić. Uwalniał ją od niezręczności, z którą wiązałyby się taka prośba.

Elide stanęła przed nim bosą i spojrzała w twarz niczym wyciosaną z granitu. Strząsnęła z ramion płaszcz, a potem kurtkę. Lorcan przełknął ślinę.

Wiedziała, że słyszy jej serce, bijące coraz szybciej, że wyczuwa zapach wszystkich emocji.

– Potrzebuję pomocy – powiedziała. – Z wejściem do wanny.

– Jakoś dotąd sobie radziłaś – odparł gardłowym głosem.

Elide przygryzła wargę. Czuła mrowienie w piersiach.

– Nie chcę się poślizgnąć.

Jego wzrok otaksował ciało dziewczyny, ale on sam nawet nie drgnął.

– Kąpiel to niebezpieczna czynność – rzekł.

Elide przemogła się i ruszyła w kierunku miedzianej wanny. Lorcan szedł kilka kroków za nią, dając jej nieco przestrzeni. Pozwalał jej, by o wszystkim zdecydowała.

Zatrzymała się przy wannie. Owionęły ją kłęby pary. Wyciągnęła rąbek koszuli spod spodni.

Lorcan nie spuszczał z niej oczu. Nie miała pewności, czy w ogóle oddycha.

Ale... Naraz jej dłonie zatrzymały się. Ogarnęła ją niepewność. Nie bała się jego, ale tego, co ma nastąpić. Nie знаła tej ścieżki. Nie znała tego rytuału.

– Pokaż mi, co mam robić – szepnęła.

– Doskonale ci idzie – wykrztusił Lorcan.

Ona jednakże obrzuciła go bezradnym spojrzeniem, więc wojownik podszedł bliżej. Ujął rąbek jej koszuli.

- Mogę? – spytał cicho.

- Tak – odparła szeptem Elide.

Lorcan nadal wpatrywał się w jej oczy, jakby próbował odczytać szczerłość wypowiedzianego przez nią słowa. Jakby chciał się przekonać, czy mówiła prawdę.

Powoli i ostrożnie zdjął jej koszulę. Chłodne powietrze owionęło jej skórę. Piersi Elide nadal owijał luźny pas materiału. Lorcan jednakże spojrzał po sobie.

- Powiedz mi, czego teraz chcesz – powiedział ochrypłym głosem.

Elide drżącą dłonią musnęła materiał zakrywający jej biust. Dłonie Lorcana również lekko zadygotały, gdy go zdejmował. Gdy uwalniał jej nagość.

Jego oczy stały się niemalże czarne, gdy wpatrywał się w piersi Elide i wsłuchiwał się w jej nierówny, chrapliwy oddech.

- Piękna – szepnął.

Elide uśmiechnęła się niepewnie, gdy słowo Lorcana dotarło do jej serca i dodało jej odwagi. Uniosła dłonie do jego kurtki i zaczęła odpinać najpierw ją, a potem koszulę. Po chwili klatka piersiowa Lorcana była już naga. Elide musnęła dłonią ciemne włosy na muskularnej piersi wojownika.

- Piękny – powtórzyła za nim.

Lorcan zadrzał, choć Elide nie miała pewności, co było powodem. Czyżby konieczność powściągnięcia żądz? A może inne emocje? Jego głuchy pomruk wlał się w jej ciało, gdy musnęła ustami jego pierś.

Lorcan uniósł dłonie do jej włosów i rozplótł jej warkocze.

- Zrobimy tylko to, co chcesz – powiedział. – I przerwiemy, kiedy będziesz tego chciała.

Mimo to Elide ośmieliła się spojrzeć w dół. Na wybrzuszenie w jego spodniach.

Zaschło jej w ustach.

- Ja... nie mam pojęcia, co teraz robię.

– Rób, co chcesz. Wszystko będzie w sam raz.

Elide uniosła głowę i przyjrzała się jego twarzy.

– W sam raz na co?

Kolejny półuśmieszek.

– By mnie zadowolić.

Parsknęła, słysząc arogancję w jego głosie, ale Lorcan musnął już jej szyję ustami i zamknął jej talię w ogromnych dłoniach. Kciukami dotknął jej żeber, nie odważył się posunąć wyżej.

Elide wygięła się, zelektryzowana dotykiem. Z jej ust wyrwał się cichy jęk, gdy usta Lorcana znalazły się za jej uchem. Potem jej wargi odnalazły usta wojownika, miękkie, a zarazem mocne.

Zarzuciła mu ręce na szyję, a on uniósł ją i zaniósł nie do wanny, ale na pryczę. Ich usta nie rozłączyły się ani na moment.

Dom. On i to coś między nimi. Tak wyglądał prawdziwy dom, którego nigdy nie miała. Dom, którym należało się nacieszyć, ile będą mogli.

Lorcan ułożył ją na pryczy. Ich oddechy były nierówne, chaotyczne. Fae zawahał się, nie wiedząc, co robić dalej, ale wtedy Elide pocałowała go ponownie i szepnęła:

– Pokaż mi wszystko.

I spełnił jej życzenie.

Ujrzała Bramę oraz skrzynię, ale nie wybrała żadnej z nich.

Stała w miejscu, które nie było miejscem, opleciona kłębamii mgły, i wpatrywała się w nie – w swoje wybory.

Ze skrzyni dobiegał głuchy łomot oraz stłumione kobiece wrzaski. Po ścianach Bramy, czarnej, wygiętej w łuk, prowadzącej do ciemności, spływała krew, wnikająca w ciemną skałę. Bo gdy Brama rozprawiła się z młodym królem, krew była wszystkim, co po nim zostało.

– Nie jesteś lepsza ode mnie – rzekł Cairn.

Odwróciła się. Spodziewała się ujrzeć swego dręczyciela wśród mgieł, ale zamiast tego dostrzegła dwunastu bezcielesnych, a mimo to

obecnych przybyszów, pradawnych, zimnych.

- Kłamca. Zdrajczyni. Tchórz – rzekł jeden.

Krew wsiąkała w kamień, jakby Brama pożarła go bez reszty. Tego, który poświęcił się za nią. Tego, któremu pozwoliła się zastąpić.

Łomot z wnętrza skrzyni nie ustawał.

- Skrzynia nigdy się nie otworzy – mówili.

Zamrugła i nagle znalazła się w jej wnętrzu. Kamień był przeraźliwie zimny, a powietrze ją dusiło. Znów zamrugła i już waliła w wieko. Po trzecim mrugnieniu miała na nadgarstkach kajdany, a na twarzy maskę...

Aelin przebudziła się i ujrzała ciemne, wygaszone kosze z żarem. Otaczał ją zapach sosny i śniegu, a na zewnątrz namiotu wiał wiatr, unosząc i nadymając płócienne ściany.

Była tak bardzo zmęczona.

Przez wiele godzin wpatrywała się w ciemność i nie zapadła już w sen.

Wędrowali przez Dębową Puszcę wzdłuż starożytnego traktu, który przecinał cały kontynent niczym wyschnięta żyła. Był on oczywiście zbyt wąski dla całej armii, przez co Aelin musiała go poszerzać swoim ogniem. Przez cały czas, pomimo ogromu puszczy, wyczuwała bliskość Endovier. Czowała obecność Gór Ruhnn, które wyrastały im na drodze niczym mur zagradzający horyzont.

Jechała blisko czoła armii i niewiele mówiła przez cały poranek, a potem popołudnie. Rowan jechał po jej lewicy, jakby własnym ciałem mógł ją zasłonić przed złowrogą atmosferą Endovier. Aelin cierpliwie słała kolejne płomienie, które topiły starożytne drzewa na ich drodze, a wiatr Rowana dusił dym, by nie zdołał ostrzec wroga.

Zakończył pracę nad tatuażem poprzedniej nocy, a potem pokazał jej owoc swoich wysiłków za pomocą niewielkiego lusterka. Pokazał jej tatuaż, który zrobił dla nich.

Aelin spojrzała tylko na skrzydła ciągnące się na jej plecach – skrzydła jastrzębia! – i ucałowała męża w usta. Całowała go do chwili,

gdy pozbyli się wszystkich ubrań, a ona pchnęła go na plecy i usiadła na nim okrakiem, nie zwracając sobie głowy żadnymi słowami. I tak nie potrafiłaby zresztą znaleźć tych właściwych.

Skaleczenia na jej plecach zagoiły się do rana, choć wzdłuż kręgosłupa pozostało kilka wrażliwych miejsc. W trakcie jazdy ku Endovier zauważyła, że przyzwyczajają się do niewidzialnej wagi atramentu w swej skórze. Tatuaż stał się jej częścią.

Wyrwała się. Przeżyła. Umknęła zarówno z Endovier, jak i z niewoli u Maeve.

Teraz musiała pędzić jak wiatr na północ, by ocalić swój lud, nim Morath zetrze go w pył. Nim Erawan i Maeve ją wyprzedzą.

Świadomość ta nie uwolniła jej od odruchu, by zerkać na zachód. By spoglądać ku miejscu, z którego uciekała bardzo długo, nawet gdy już fizycznie je opuściła.

Po przerwie na posiłek Aelin odkryła, że po jej prawicy jedzie milcząca Elide. Nigdy dotąd nie trzymała się na koniu tak prosto. Na jej policzkach nadal widniały rumieńce, a Aelin miała wrażenie, iż doskonale wie, skąd się wzięły. Wiedziała, że gdyby spojrzała teraz na Lorcana, dostrzegłaby na jego obliczu czysto męski uśmiech satysfakcji.

Pierwsze słowa Elide były jednak dalekie od tego, co można by usłyszeć od chorej z miłości dziewczyny.

– Nie sądziłam, że jeszcze kiedyś ujrzę Terrasen po tym, jak Vernon zabrał mnie z Perranthu.

Aelin zamrugła. Rumieniec na twarzy dziewczyny spłowieł, usta zacisnęły się mocno.

Z nich wszystkich tylko Elide widziała Morath. Żyła tam i przetrwała.

– Swego czasu też w to nie wierzyłam – rzekła Aelin.

– Kiedy? – zamyśliła się Elide. – Gdy byłaś zabójczynią czy niewolnicą?

– I jednym, i drugim – odparła Aelin. Nie wykluczała, że Elide zrównała się z nią, by skłonić ją do mówienia, ale wyjaśniła sama z siebie: – W Endovier cierpiałam na wiele sposobów, ale osobliwie dokuczała mi świadomość, że moja ojczyzna zaczyna się ledwie kilka

kilometrów dalej. I że nie ujrzę jej przed śmiercią.

W ciemnych oczach Elide błysnęło zrozumienie.

– A ja myślałam, że umrę w tej wieży i nikt nie będzie pamiętał o moim istnieniu.

Obie były jeńcami i niewolnicami. Obie zakuto w kajdany. Obie nosiły po nich blizny.

A przynajmniej Elide je nosiła. Aelin wciąż nie mogła pogodzić się z tym, że jej własne znikły. Nie sądziła, że będzie jej ich kiedykolwiek brakowało.

– Ale udało nam się – powiedziała.

Elide wyciągnęła rękę i zacisnęła ją na ramieniu królowej.

– Tak, udało się.

Mimo to Aelin marzyła, by wszystko już się skończyło. Pragnienie to było tak silne, że nawet oddychanie nie przychodziło jej tak łatwo jak kiedyś.

Jechali dalej. Gdy dostrzegła rozwidlenie, gdzie droga odbijała do samego Endovier, dobiegło ich ostrzegawcze wołanie *rukhin*, unoszących się między lasem a górami. Natychmiast wyciągnęła Goldryna. Rowan również chwycił za broń, a armia za nimi zatrzymała się. Żołnierze rozglądali się dookoła.

Znów rozległo się wołanie. W tej samej chwili po niebie przemknął ciemny kształt, tak wielki, że zakrył słońce nad koronami drzew.

„Wywerna!”.

Zaskrzypiały naciągane cięciwy, a w ślad za wywerną skoczyły ruki. Jeśli był to szpieg Żelaznozębnych...

Aelin zebrała magię. Wywerna zawróciła ku nim, ledwie widoczna wśród koron drzew.

Naraz rozbłysło światło, które odrzuciło *rukhin*, nie wyrządzając im krzywdy. Nie, nie światło! To był lód, który zamigotał i rozbłysnął, a potem zamienił się w płomienie.

Rowan również go rozpoznał.

– Nie strzelać! – huknął.

Wywerną, która wylądowała na skrzyżowaniu, nie był Abraxos. Nie

było też śladu Manon.

Światło rozbłysło ponownie i pojawił się Dorian Havilliard w brudnym, znoszonym stroju podróżnym.

Aelin rzuciła się ku niemu galopem, a za nią skoczyli Rowan, Elide i pozostali.

Dorian uniósł dłoń. Był poważny jak śmierć, choć otworzył szeroko oczy na widok królowej.

Wtedy Aelin wyczuła, co król Adarlanu miał ze sobą.

Klucze Wyrda.

Wszystkie trzy.

Ramię i żebra Aediona płonęły żywym ogniem, gorszym od rozdzierającego gorąca ognistych lanc, gorszym od każdego poziomu płonącego królestwa Hellasa.

Odzyskał przytomność, kiedy uzdrowicielka zaczęła nakładać pierwsze szwy. Zacisnął zęby na grubym rzemieniu i ryczał z bólu do chwili, gdy kobieta przerwała szycie. Wtedy zemdłał ponownie. Ocknął się kilka minut później, jeśli wierzyć żołnierzom, którzy mieli pilnować, by nie umarł, i odkrył, że ból nieco zelżał. Był jednak wciąż na tyle dokuczliwy, że wymachiwanie mieczem stało się prawie niemożliwe. Dziedzictwo Fae przyszło mu z pomocą – rany goiły się łatwiej niż w przypadku śmiertelników.

Natychmiast kazał sobie założyć zbroję i pokuśtykał w stronę muru. To, że nie umarł z upływu krwi i mógł przynajmniej próbować poruszać ramieniem, również zawdzięczał swemu pochodzeniu – krwi matki, owszem, ale przede wszystkim ojca.

Nie miał pojęcia, gdzie przebywa Gavriel i gdzie prowadzi poszukiwania Aelin, ale czasem zadawał sobie pytanie, czy w ogóle wie o tym, że Terrasenowi pisana jest zguba. I czy w ogóle się tym przejmuje.

Nie miało to znaczenia, choć w duchu żałował, że Lwa nie ma z nimi. Oczywiście Rowan i reszta również by się przydali, ale niewzruszony spokój Gavriela na pewno udzieliliby się reszcie obrońców. Ba, może nawet i jemu.

Aedion zacisnął zęby i chwiejąc się na nogach, piał się po zbryzganych krwią stopniach, przestępując nad ciałami ludzi i Valgów. Godzina. Rana wyłączyła go z boju na godzinę.

Nic się nie zmieniło. Valgowie nadal wdzierali się na mury i szturmowali południową oraz zachodnią bramę, lecz obrońcy Terrasenu wytrzymywali ich napór. Crochan wciąż toczyły zaciekle bój z Żelaznozębny, choć obie strony poniosły już lekkie straty. Odległa Trzynastka z furią rozszarpywała każdego, kto znalazł się na ich drodze, a przy rzece... Zaśnieżone brzegi znaczyła czerwona krew.

Zbyt wiele czerwonej krwi.

Potknął się. Na moment stracił rzekę z oczu, gdy zasłoniło go kilku żołnierzy, którzy powalili Valga wdzierającego się na mury. Aedion wyminął ich i ponownie spojrzął na zakrwawione brzegi rzeki, z trudem łapiąc dech.

I wtedy ją dostrzegł. Była znacznie bliżej murów miasta, niż mu się wydawało, biała na tle śniegu i lodu, wciąż walcząca. Po jej bokach ściekała krew, czerwona krew, ale nie uciekała do rzeki. Nie cofała się.

„Głupota! – chciał krzyknąć. – Niepotrzebna brawura! Przecież niespodziewane ataki z wody dawały o wiele lepsze rezultaty!”. Mimo to Lysandra nadal walczyła w miejscu, gdzie rzeka zakręcała za miastem. Jej ogon łamał kręgosłupy, ogromna paszcza kruszyła głowy. Aedion nagle zrozumiał, że coś jest nie w porządku. Że jej rany to mało, że Lysandra uświadomiła sobie coś, o czym obrońcy miasta nie mieli pojęcia, a teraz próbowała przyciągnąć ich uwagę.

Kręciło mu się w głowie, a ramię i klatka piersiowa łupały tęnym bólem, mimo to wyteżył wzrok.

Grupa żołnierzy rzuciła się na nią, ale Lysandra jednym machnięciem ogona strzaskała zarówno ich włócznie, jak i ciała. W tej samej chwili inna grupa przemknęła obok niej wzdłuż brzegu. Aedion zauważył, co nieśli, i zaklął.

Ciosem ogona Lysandra rozbiła jedną łódź, ale nie mogła dosięgnąć drugiej grupy, która niosła kolejny statek. Żołdacy w pośpiechu zrzucili łódź na lodowate wody rzeki. Lysandra skoczyła ku nim.

W tejże chwili została otoczona przez inną grupę, tak liczną, że musiała zwrócić się ku nim. Uciekinierzy na łodzi odbili od brzegu.

Aedion zauważył, dokąd kierowała się łódź, i zaczął wykrzykiwać rozkazy. W głowie kręciło mu się od każdego okrzyku.

Lysandra, która wyślizgnęła się z miasta tunelami, miała nad wrogiem element zaskoczenia, ale ujawniła napastnikom istnienie innej drogi. Takiej, która znajdowała się dokładnie pod ich stopami.

Gdyby dotarli do kraty, gdyby udało im się przedostać pod murami...

Walcząc z narastającym otępieniem, Aedion zaczął dawać sygnały –

najpierw do zmiennokształtnej, która z takim męstwem zatrzymywała wrogie siły, a potem do Trzynastki, krążącej niebezpiecznie wysoko na niebie. Błagał wiedźmy, by wróciły na ziemię i przechwyciły zakradających się sabotażystów, nim będzie za późno.

Wysoko na niebie świst wiatru zlewał się z krzykami rannych i umierających. Manon dostrzegła w dole sygnał generała – osobliwą kombinację świateł, którą pokazał jej poprzedniego dnia – wzywający je do natychmiastowego powrotu do miasta. Tylko ją i Trzynastkę.

Crochan zatrzymywały na razie falę Żelaznozębnych, ale wycofywać się teraz? Opuszczać je?

Księżę Aedion przekazał kolejny sygnał:

„Szybko!”.

Coś było nie tak. Bardzo nie tak.

„Rzeka – przekazywał. – Wróg”.

Manon spojrzała na ziemię i dostrzegła szalupę na wodzie. Natychmiast zrozumiała, co planuje Morath.

– Na mury! – krzyknęła do Trzynastki, wciąż formującej taran za nią, i pchnęła Abraxosa ku miastu. Szarpnęła go za wodze, by przeleciał wysoko nad starciem.

Ostrzegawczy krzyk Asterin rozległ się uderzenie serca za późno.

Znikąd wyłonił się ogromny byk, który z rykiem rzucił się na Abraxosa. Uderzył w niego, drąc i gryząc, a Manon natychmiast rozpoznała jeźdźca.

Iskra Żółtonoga uśmiechała się złowieszczo.

Świat przechylił się i zawirował, ale Abraxos, rycząc z bólu, zamachał skrzydłami i utrzymał się w powietrzu.

Chwilę później byk Iskry cofnął łeb i zacisnął kły na szyi małej wywerny.

Byk Iskry pochwycił Abraxosa za kark, ale mniejsza wywerna nadal utrzymywała się w powietrzu. Na widok potężnych szczęk, zaciśniętych na gardle Abraxosa, oraz strachu i bólu w jego ślepiach Manon zdrętwiała. Nie mogła oddychać. Nie mogła myśleć, przez kilka uderzeń serca całkiem sparaliżowana przerażeniem. Jakby zamarzła.

Abraxos. Abraxos... Jej wywerna.

On należał do niej, a ona do niego. Sama Ciemność splotła ich żywoty na zawsze.

Zapomniała o upływie czasu. Nie miała pojęcia, ile czasu upłynęło od ugryzienia do momentu, gdy znów się poruszyła. Może sekunda, może minuta...

Sięgnęła po strzałę ze swego niemalże pustego kołczanu. Ostry wiatr chciał wyrwać jej pocisk spomiędzy palców, ale zdołała nałożyć strzałę na cięciwę. Świat wirował, kręcił się, szalał, wiatr świstał i ryczał, ale naciągnęła cięciwę i wystrzeliła.

Byk Iskry wierzgnął, gdy grot wbił się tuż obok jego oka.

Niemniej jednak nie puszczał.

Nie pochwycił gardła Abraxosa na tyle mocno, by je rozerwać, ale gdyby jeszcze zacisnął szczęki, zacząłby go dusić...

Manon wypuściła kolejną strzałę. Wiatr zmienił kierunek i grot ugodził w szczękę potwora, ledwie zagnieżdżając się w grubej skórze.

Iskra śmiała się, patrząc na bezradną szarpaninę Abraxosa.

Manon rozejrzała się w poszukiwaniu kogokolwiek z Trzynastki, kogokolwiek, kto mógłby ich uratować.

Kto mógłby uratować jego.

Abraxosa, który był dla niej cenniejszy od czegokolwiek innego, za którego oddałaby się Bogini o Trzech Twarzach, gdyby ta na to pozwoliła. Wolałaby, żeby szczęki wywerny Iskry zacisnęły się na jej własnym gardle...

Niemniej jednak Trzynastka została rozproszona brutalnym kontratakami sabatu Żółtonogiej. Asterin pograżyła się w zacieklej walce z zastępczynią Iskry, a ich wywerny szczepiły się pazurami.

Manon zmierzyła dystans dzielący ją od byka Iskry. Oceniała wytrzymałość rzemiennych lejców. Mogłaby złapać je mocno, ześlizgnąć się w dół i przy odrobinie szczęścia chlasnąć byka po gardzieli, by go odpędzić... W tej samej chwili skrzydła Abraxosa zamarły, a jego ogon, którym dzielnie próbował uderzyć przeciwnika, zaczął zwalniać.

„Nie. Nie! Nie w ten sposób! Wszystko, tylko nie to!”

Manon zarzuciła łuk na plecy. Odrętwiałymi palcami grzebała przy paskach i sprzączkach siodła. Nie mogła się z tym pogodzić. Nie byłaby w stanie znieść jego śmierci, okraszonej bólem i strachem.

Nie słyszała własnego głosu, ale być może płakała. Być może wrzeszczała, gdy skrzydła Abraxosa znów zamarły. Była gotowa skoczyć prosto w ten przeklęty wiatr, zerwać tę sukę z siodła i poderżnąć jej wierzchowcowi gardło.

Abraxos zaczął spadać.

Nie, nie spadać. Usiłował zanurkować, znaleźć się jak najbliżej ziemi, ciągnąc za sobą wielkiego byka. By Manon nie spadła z wysoka. By zdołała przeżyć.

– Proszę! – Jej wrzask, skierowany do Iskry, niósł się nad polem bitwy. – Nie!

Była gotowa błagać, czołgać się przed nią, korzyć, jeśli miałyby to oszczędzić życie jej wywernie o sercu wojownika. Rumakowi, który ratował jej życie o wiele częściej niż ona jemu. Który ocalił ją w chwilach, gdy było to najważniejsze.

– Proszę! – wrzeszczała z całego serca, ze wszystkich sił, które drzemały w jej postrzępionej duszy.

Iskra tylko się zaśmiała, a byk nie puszczał szyi Abraxosa, choć ten przez cały czas usiłował ściągnąć ich bliżej ziemi.

Wiatr wyrywał łzy z oczu Manon, gdy odpięła ostatnie sprzączki. Obie wywerny dzieliła ogromna przepaść, ale wiedźma radziła sobie już w takich sytuacjach.

Zresztą na niczym jej już nie zależało. Zapomniała o Pustkowiach,

Crochan, Żelaznozębnych i koronie. Gdyby miało przy niej zabraknąć Abraxosa, wszystko to stawało się nieistotne.

Abraxos tłukł powietrze skrzydłami. Wytężał wszystkie siły, drżące w jego dzielnym, przepełnionym miłością sercu, by znaleźć się jak najniżej.

Manon zmierzyła dystans dzielący ją od boku byka, zerwała rękawice i uwolniła szpony, a potem podniosła się, przerzuciła nogę nad grzbietem wywerny i napięła mięśnie, szykując się do skoku.

– Kocham cię – szepnęła, dotykając grzbietu Abraxosa.

Nic innego się nie liczyło.

Abraxos szarpnął gwałtownie, jakby chciał ją powstrzymać, ale wiedźma wciągnęła powietrze, być może po raz ostatni i...

Wtem z nieba, szybciej niż gwiazda przecinająca nocny nieboskłon, spadł ryczący kształt, który uderzył w bok rumaka Iskry. Ten wypuścił szycę Abraxosa i wywerna wraz z wiedźmą runęła w dół.

Manon odruchowo złapała się mocno siodła i przywarła doń ze wszystkich sił, walcząc z usiłującym ich rozerwać wiatrem.

Z ran Abraxosa ciekła krew, ale już rozrzucił skrzydła, zamachał nimi i odbił w bok, by Manon zdołała wspiąć się na siodło i zamocować zabezpieczenia. Zakręciła ostro, by przekonać się na własne oczy, co się właściwie stało. Kto ich ocalił.

Nie była to ani Asterin, ani żadna wiedźma z Trzynastki.

Z pomocą przyszła jej Petrah Błękitnokrwista.

A za dziedziczką klanu nadciągały inne Żelaznozębne, które wypadały z wiszących wysoko chmur i wbijały się w powietrzny legion Morath. Były ich setki, wiele setek.

Petrah i Iskra oderwały się od siebie. Wywerna Błękitnokrwistej leciała ku Manon, a Abraxos usiłował utrzymać się w powietrzu.

Choć wiał wiatr, a dookoła szalała bitwa, Manon usłyszała Petrah, która powiedziała:

– Lepszy świat.

Manon nie wiedziała, co odpowiedzieć. Nie potrafiła znaleźć słów. Spojrzała więc tylko na mury miejskie i hordę żołdaków Morath

usiłującą się wedrzeć przez kraty przegradzające kanały.

– Mury... – wykrztusiła.

– Leć! – zawołała Petrah i spojrzała na Iskrę, która wstrzymała swojego rumaka w powietrzu i z oszołomieniem wpatrywała się w rozwój wydarzeń. Na jej oczach doszło bowiem do buntu tak ogromnego, tak niesłychanego, że wiele innych Żelaznozębnych wspierających Morath również zamarło z zaskoczenia.

Dziedziczka Błękitnokrwistych odsłoniła kły. Ich żelazo błysnęło w rozrzedzonym blasku słonecznym.

– Ona jest moja! – dodała, wpatrzona w Iskrę.

Manon zerkała to na miasto, to na Żółtonogą, która zawróciła ku nim, jakby nieświadoma tego, że we dwie mogły ją rozszarpać na strzępy.

– Leć! – warknęła Petrah, a gdy Manon znów się zawahała, dorzuciła: – Za Keelie.

Za wywerne, którą Petrah kiedyś kochała tak jak Manon Abraxosa. Która walczyła o życie Petrah po swój ostatni oddech, masakrowana przez byka Iskry.

– Niech Ciemności mają cię w opiece. – Manon skinęła jej głową.

Abraxos zaczął opadać w stronę murów. Bił skrzydłami nierówno, a jego oddech był płytki. Musiał odpocząć, musiał poczekać na uzdrowiciela...

Manon zerknęła za ramię w chwili, gdy Petrah wpadła na Iskrę. Obie dosiadające wywern dziedziczki runęły ku ziemi, szczipione w zacieklej, morderczej walce. Manon nie mogła odwrócić od nich wzroku, nawet gdyby chciała, tym bardziej że po chwili obie wywerny odskoczyły od siebie i zatoczyły ciasne kręgi ku górze, by znów się zetrzeć. Uderzyły ogony, chlasnęły szpony.

Iskra i Petrah wznosiły się coraz wyżej. Wywerny cięły się szponami, gryzły, wymachiwały pazurzastymi łapami, kłapały szczękami, nieprzerwanie wlatując ku niebu. Minęły Crochan walczące z Żelaznozębnymi i unosiły się ku chmurom w parodii tańca godowego wywern, w którego punkcie kulminacyjnym obie bestie splatały się i niczym jedna mknęły ku ziemi. Mijane Crochan zamierały, Żelaznozębne przestawały zadawać kolejne ciosy, nawet

żołnierze Morath na ziemi unosili głowy.

Obie dziedziczki mknęły coraz wyżej, a gdy dotarły na pułap, na którym nawet wywerny nie były już w stanie nabrać tchu, szepiły się i runęły w dół.

Manon spostrzegła pułapkę na moment przed Iskrą. Zrozumiała zamysł Petrah w chwili, gdy ta oderwała się od przeciwniczki i wyszarpnęła miecz, a jej wywerna zaczęła zataczać wokół byka Iskry ciasne kręgi, tak ciasne, że ten nie był w stanie rozłożyć skrzydeł, a gdy próbował, wywerna Petrah gryzła je bądź smagała ogonem, a sama dziedziczka cięła je mieczem.

Wtedy Iskra uświadomiła sobie swój błąd.

Na niewiele jej się to zdało, bo wciąż spadali, a Petrah nadal ich otaczała. Mknęli tak szybko, że Manon zadała sobie pytanie, czy dziedziczka Błękitnokrwistych nie szykowała się na tę chwilę od wielu miesięcy.

Czy nie przygotowywała się od dawna, by pomścić Keelie.

Cały świat zamarł w oczekiwaniu.

Petrah nadal osaczała Iskrę ze wszystkich stron. Krew wywerny Żółtonogiej strzelała ku górze, a sama bestia z każdym przebytym metrem wpadała w coraz większą panikę.

Wywerna Petrah jednakże również nie rozchylała skrzydeł. Dziedziczka ani myślała szarpnąć za wodze.

– Odbijaj – szepnęła Manon. – Uciekaj!

Petrah nie miała takiego zamiaru. Obie wywerny mknęły ku ziemi niczym ciemne gwiazdy spadające z nieba.

– Przestań! – warknęła Iskra.

Petrah ani drgnęła.

Przy tej prędkości nie mogły już łatwo od siebie odpaść, a lada moment Petrah straci ostatnią szansę i rozbije się na ziemi obok Iskry.

– Przestań! – Strach zamienił rozkaz Iskry w przeraźliwy wrzask.

Manon nie czuła dla niej żadnej litości. Absolutnie żadnej.

Ziemia przybliżała się szybko.

– Kazałam ci przestać, ty szalona suko!

Pięćdziesiąt metrów do ziemi. Trzydzieści. Manon nie mogła nabrać tchu.

Piętnaście.

I gdy ziemia zdawała się wybiegać im na spotkanie, wiatr przyniósł jedyne słowa, które Petrah wypowiedziała do Iskry Żółtonogiej:

– Za Keelie.

Wtedy jej wywerna rozrzuciła skrzydła i skręciła niebywale ostro. Manon nigdy nie widziała, by jakakolwiek wywerna wykonała tak nieprawdopodobny manewr. Końcem skrzydła musnęła oblodzoną ziemię, po czym wzbiła się na powrót w niebo.

Iskra i jej byk wyrznęły w ziemię z łoskotem, który rozszedł się echem po świecie.

I już się nie podniosły.

Abraxos jęknął z bólu. Manon obróciła się w siodle. Jej serce nadal biło wściekle.

Iskra nie żyła. Żółtonogie nie miały już dziedziczki. W innych okolicznościach zapewne nie posiadałaby się z radości, ale teraz pamiętała o kracie pod miastem, przez którą próbowali się przebić żołnierze Morath.

Smagneła Abraxosa wodzami i wywerna pomknęła ku murom miasta. Sorrel i Vesta w mig znalazły się przy niej, a z tyłu nadlatywała szybko Asterin. Leciały nisko pod zacieklą bitwą, w której nowo przybyłe wsparły Crochan walczące z Żelaznozębnymi. Kierowały się ku miejscu, gdzie rzeka omywała miasto.

Łódź dotarła tam pierwsza. Spomiędzy krat wyfrunęły strzały, co oznaczało, że obrońcy byli gotowi bronić twierdzy do upadłego.

Żołnierze Morath byli zaś tak skupieni na dotarciu do kraty, że spojrzeli za siebie dopiero, gdy broczącemu krwią Abraxosowi zostało zaledwie kilka metrów. Wpadł między wrogów, siejąc śmierć pazurami, ogonem i kłami, a Sorrel i Vesta zajęły się resztą. Łódź błyskawicznie poszła w drzazgi.

To jednak nie wystarczyło. Walka bynajmniej nie dobiegła jeszcze końca.

– Głazy! – szepnęła Manon i skierowała Abraxosa ku drugiemu

brzegowi.

Zrozumiał. Serce ją bolało, gdy zmuszała go do kolejnego wysiłku, ale wywerna pomknęła we wskazanym kierunku i wyszarpnęła jeden z mniejszych głazów z brzegu. Pozostałe wiedźmy natychmiast zrozumiały jej zamysł i błyskawicznie poszły w jej ślady.

Każde kolejne uderzenie skrzydłami było wolniejsze od poprzedniego. Z każdym pokonanym metrem tracił wysokość, ale doleciał na miejsce i spuścił kamień do wody, gdy do łodzi wsiadała kolejna grupa żołnierzy Morath. Pozostałe wiedźmy równie celnie zrzuciły swoje kamienie. Rozbryzgi poniosły się wysoko ku murom.

Wywerny zawróciły po kolejne głazy, a potem jeszcze raz. Każda następna wyprawa okazywała się wolniejsza od poprzedniej, ale wnet usypane jeden na drugim głazy wynurzyły się nad powierzchnię. Dostęp do kanału został zamknięty, a stos kamieni nie był przy tym na tyle wysoki, by pomóc żołnierzom Morath wspiąć się na mury.

Abraxos oddychał z trudem, a jego łeb opadał. Manon odwróciła się w siodle, by przekazać swej zastępczyni, że zadanie jest zakończone, ale ta już o wszystkim wiedziała.

– Wracaj tam! – ryknęła Asterin, wskazując mury miasta.

Manon nie marnowała czasu na kłótnie. Szarpnęła Abraxosa za wodze i przeleciała nad murami. Strugi krwi z ran wywerny obryzgały żołnierzy na umocnieniach. Wiedźma skierowała swego rumaka ku zamkowi, modląc się w duchu, by siły nie opuściły go wcześniej i by nie wyrznął w ulice Orynthu.

Doleciał, ale osłabł przy lądowaniu i uderzył w ścianę. Manon błyskawicznie uwolniła się z siodła, wykrzykując prośby o pomoc. Rana na szyi okazała się o wiele poważniejsza, niż sądziła, a mimo to Abraxos wciąż walczył dla niej. Wciąż pozostał na niebie.

Nakryła dłońmi rany po ugryzieniu. Krew wyciekała spod nich niczym woda z popękanej tamy.

– Pomoc już nadciąga – odezwała się ochryple. – Idą tu.

Trzynastka już wylądowała, a Sorrel biegła do zamku, bez wątplenia gotowa wywlec zeń jakiegoś uzdrowiciela, jeśli będzie musiała. Na szyi Abraxosa zacisnęło się jedenaście par rąk. Wszystkie tamowały upływ krwi, wszystkie usiłowały zatrzymać cenne życie.

Manon nie mogła na to patrzeć. Mogła jedynie przyciskać dłonie do ran, zamknąć powieki i modlić się do Ciemności, do Bogini o Trzech Twarzach.

Rozległy się pospieszne kroki. Sorrel przypadła do Manon i również zaczęła tamować krew, a obok niej pojawiła się starsza kobieta, która rozłożyła swe instrumenty. Przykazała wiedźmom, by nie przestawały uciskać ran.

Manon nie odezwała się ani słowem. I tak się nigdzie nie wybierała.

Pozostałe wiedźmy również, choć bitwa na ziemi i na niebie nadal trwała.

Lysandra ledwie oddychała. Każde kolejne uderzenie skrzydłami przychodziło jej z większym trudem, ale kierowała się tam, gdzie wylądowała Manon Czarnodzioba, a po niej jej sabat.

Sama również przeistoczyła się w wywernę, chcąc wykorzystać chaos wywołany atakiem zbuntowanych Żelaznozębnych i przemknąć w miarę niespostrzeżenie, ale wykorzystwała już zbyt wiele magii. Co więcej, walka całkiem ją wyczerpała i nie potrafiła już regenerować ran.

Wypatrzyła dwie postacie prowadzące wojownika o dobrze jej znanych, złotych włosach w górę po schodach zamkowych. Chwilę później osiadła ciężko na murze. Wiedźmy odwróciły się ku niej błyskawicznie, ale Lysandra zmusiła się do ostatniego wysiłku i powróciła do ludzkiej postaci. Zdążyła wciągnąć spodnie i koszulę, które zostawiła przy umocnieniach, a chwilę później na górę dotarł Ren Allsbrook, który wraz z jakimś żołnierzem podtrzymywał półprzytomnego Aediona. Był zboczony krwią.

Lysandra podbiegła ku nim, utykając. Starła się nie zwracać uwagi na głębokie, promieniejące bólem rany w lewej nodze i prawym ramieniu. Nieopodal uzdrowicielka ratowała życie rannego Abraxosa, a pokryta krwią Trzynastka stała na straży.

– Co się stało? – Lysandra zatrzymała się przed Aedionem, który zdołał podnieść głowę i uśmiechnąć się do niej ponuro.

– Książę Valgów – oznajmił Ren. Sam był zbryzgany krwią i blady z wyczerpania.

„Och, na bogów”.

– Żywy z tego nie wyszedł – wychrypiał Aedion.

– A ty powinienes teraz leżeć, głupi durniu! – warknął Ren. – Pozrywałeś szwy.

Lysandra ujęła twarz Aediona w obie dłonie.

– Zaprowadzę cię do uzdrowicieli...

– Jeden już mnie oglądał – burknął Aedion, który rozstawił szeroko nogi i próbował się wyprostować. – Przyprawdzili mnie tu, bym odpoczął.

Ostatnie słowo niemalże wypluł, jakby to był idiotyczny pomysł. Ren zdjął rękę Aediona ze swego ramienia i rzekł:

– Usiądź, zanim się przewrócisz i rozbijesz sobie łeb na kamieniach.

Lysandra była skłonna się z nim zgodzić.

– Wracam na mury – oznajmił młody Allsbrook.

– Poczekaj.

Ren odwrócił się ku niej, ale Lysandra nie odezwała się, dopóki żołnierz Zguby nie pomógł Aedionowi usiąść pod ścianą zamku.

– Poczekaj – powtórzyła, gdy Ren otworzył usta.

Serce waliło jej jak szalone, a w przelyku wzbierała żółć. Gwizdnęła, czym przyciągnęła uwagę Manon oraz Trzynastki. Przywołała wiedźmy machnięciem ręki, choć jej ramię eksplodowało bólem.

– Jesteś ranna – warknął Aedion.

Lysandra zignorowała go, wpatrzona w podchodzące bliżej, zbryzgane krwią wiedźmy.

– Co z Abraxosem? – spytała. – Będzie żył?

Królowa Wiedźm skinęła lekko głową, choć jej złociste oczy zmatowiały.

Lysandra nie była w stanie okazać ulgi. Nie przy wieściach, z którymi tak desperacko usiłowała tu dotrzeć. Przełknęła żółć stojącą jej w przelyku, a potem wskazała mroczne, zamglone pole bitwy.

– Uruchomili już wiedźmią wieżę, która ruszyła ku nam. Sama

widziałam. Na jej szczycie zgromadziły się wiedźmy.

Trzynastka zamilkła.

A potem, jakby w odpowiedzi, wieża eksplodowała.

Nie ku miastu, ale w stronę nieba. Rozległ się błysk, poniósł się huk głośniejszy od uderzenia pioruna i część nieba nagle opustoszała.

Tam, gdzie jeszcze przed chwilą zmagaly się ze sobą Żelaznozębne, gdzie uwijały się Crochan, nie było już nic poza pyłem.

Głos Lysandry załamał się, gdy wieża drgnęła i ruszyła. Tym razem w stronę Orynthu.

- Chcą rozwalić miasto na kawałki.

Zbryzgana krwią Abraxosa Manon wpatrywała się w pole bitwy. Patrzyła tam, gdzie po Żelaznozębnych i Crochan pozostała jedynie pustka. Gdzie dziesiątki wiedźm po prostu znikły.

Jej babka nie przesadzała, gdy mówiła o wiedźmich wieżach, ale zamiast Kaltain energii dostarczały teraz same wiedźmy. Młode Żelaznozębne, które dobrowolnie składały się w ofierze. Które zeskakiwały w głąb pokrytej lustrami wieży, gdzie przeprowadzały Uwolnienie.

Zazwyczaj Uwolnienie mogło zabić dwadzieścia, trzydzieści wiedźm w bezpośredniej bliskości, może więcej, gdyby wiedźma była starsza i potężniejsza, ale Uwolnienie spotęgowane mocą wiedźmich luster... Wystarczyłby jeden strumień mocy, a zamek nad ich głowami zamieniłby się w stertę gruzów. Wystarczyłyby dwa kolejne, by Orynth przemienił się w rumowisko.

Wokół wieży tłoczyły się Żelaznozębne, osłaniając ją przed Crochan oraz buntowniczkami. Kilka Crochan usiłowało przedrzeć się przez ich obronę, ale zostały po nich jedynie strzępy czerwonych płaszczy. Petrah, która dołączyła do swego sabatu, usiłowała przeprowadzić kontratak i rozbić wieżę na kawałki, ale została odparta przez rój Żelaznozębnych.

Wieża zbliżała się z każdą chwilą.

Za chwilę będą już w zasięgu. Za kilka minut wieża znajdzie się na tyle blisko, by bluzgiem nieczystej mocy dosięgnąć zamku. By na

zawsze zniszczyć ostatni przyczółek oporu. Na zawsze.

Nie będzie drugiej szansy. Nie będzie niedobitków.

Manon odwróciła się ku Asterin i powiedziała cicho:

– Potrzeba mi innej wywerny.

Zastępczyni wpatrywała się w nią bez słowa.

– Potrzeba mi innej wywerny – powtórzyła dobitnie Manon.

Abraxos nie był w stanie wzbić się do lotu. Ba, był wyłączony z akcji na wiele godzin, a nawet dni.

– Nikt nie przebije się przez te Żelaznozębne – wychrypiął Aedion Ashryver.

Manon obnażyła zęby.

– Ja dam radę – odezwała się i skinęła na zmiennokształtną. – Ty mnie poniesiesz.

– Nie – warknął Aedion.

Lysandra pokręciła głową ze smutkiem i rozpaczą w zielonych oczach.

– Nie jestem w stanie. Moja magia się wyczerpała. Gdybym miała choć godzinę...

– Zostały nam minuty – warknęła Manon i odwróciła się ostro ku Trzynastce. – Trenowałyśmy takie natarcia! Umiemy rozbijać szyk wroga. Przebijemy się i rozwalimy tę wieżę.

Wiedźmy spojrzały po sobie, jakby łączyła je jakaś cicha zmowa, po czym ruszyły ku swoim wierzchowcom. Sorrel ścisnęła ramię Manon i wspięła się na grzbiet swojej wywerny.

Przed Manon została Asterin.

Jej zastępczyni, kuzynka i przyjaciółka uśmiechnęła się, a jej oczy lśniły jak gwiazdy.

– Żyj, Manon.

Manon zamrugnęła.

Asterin uśmiechnęła się szerzej, ucałowała Manon w czoło i powtórzyła szeptem:

- Żyj.

Cios pięścią w brzuch zaskoczył ją całkowicie. Był tak mocny i celny, że wybił jej powietrze z płuc i posłał ją na kolana. Próbowwała się podnieść, walcząc o oddech, gdy Asterin podeszła do Narene i wskoczyła na jej grzbiet. Złapała za wodze.

- Sprowadź nasz lud do domu, Manon.

I wtedy królowa zrozumiała, co Trzynastka zamierza zrobić. Kolana się pod nią ugięły, a ciało zdjęła słabość.

- Nie – wychrypiała, raz jeszcze chcąc się poderwać.

Ale Asterin i reszta wspięły się już ku niebu.

Już uformowały szyk przypominający taran, który wykorzystywały z taką skutecznością. Już pomknęły w stronę pola bitwy oraz nadciągającej wieży.

Wciąż próbując nabrać tchu, Manon wdrapała się na blanki i rozejrzała za kimś, kto pomógłby jej wzbić się w powietrze. Miała nadzieję, że może zdoła skraść miotłę jakiejś Crochan, ale żadnej nie było w pobliżu. Żadnych Crochan, żadnych mioteł. Abraxos pozostawał nieprzytomny.

Zaraz zdała sobie sprawę z tego, że zmiennokształtna i książę Aedion podeszli do niej, za moment stanął obok niej również lord Ren. Wyczuwała ciszę, jaka spowiła zamek, miasto i mury.

Wszyscy patrzyli na nadciągającą wieżę. Na zbliżającą się zagładę.

I na pręcą ku niej Trzynastkę, ścigającą się nie tylko z wiatrem, ale i śmiercią.

Naprzeciw Trzynastki wyrosła setka Żelaznozębnych. Setka przeciwko dwunastu.

Na wieży, która była teraz tak blisko, że Manon widziała wewnątrz poziomu pod uniesioną na samej górze klapą, młoda wiedźma w czarnych szatach ruszyła w kierunku otworu.

Szła tam, gdzie wskazywała jej stojąca nieopodal babka Manon.

Trzynastka nieustraszenie pędziła w stronę nieprzyjaciela. Królowa wbijała palce w kamienie z taką furją, że jej żelazne szpony zaczęły kruszeć. Kręciła coraz szybciej głową, a coś w jej sercu zaczęło pękać.

I pękło ostatecznie, gdy Trzynastka wbiła się w blokadę Żelaznozębnych.

Manewr był przeprowadzony idealnie. Nigdy dotąd nie udało się tak perfekcyjnie. Śmiercionośna falanga przebijała się przez szeregi wrogich wiedźm, kierując się ku wieży.

Zostały im sekundy, nim młoda wiedźma wezwie swą moc, a Uwolnienie rozejdzie się falą ciemności.

Trzynastka przebijała się przez Żelaznozębne i rozszerzała szyk, spychając wroga na boki. Wiedźmy uformowały w ten sposób tunel prowadzący prosto do wieży. Wtedy z tylnych szeregów wysforowała się Asterin, która celowała w najwyższy poziom budowli.

Imogen padła pierwsza. Po niej Lin.

I Ghislaine, której wywerna została już osaczona przez wroga.

Za nią Thea i Kaya, razem jak zawsze.

I zielonookie demonice, śmiejące się w locie. Oba Cienie, Edda i Briar, które nie przestawały szyc z luków i wciąż trafiać.

Vesta z dzikim rykiem.

I na końcu Sorrel. Sorrel, która otworzyła drogę dla Asterin. A tej rozkazy zamieniły resztę Trzynastki w solidny mur, bez litości odbijający kontrataki Żelaznozębnych.

Młodą wiedźmę na wieży otoczył krąg czarnej emanacji. Do luku miała jeszcze jeden krok.

Lysandra i Aedion objęli się mocno, gotowi na śmierć, która miała nadejść za kilka uderzeń serca.

W utworzonej przez Trzynastkę wolnej przestrzeni pojawiła się Asterin, która mknęła niczym pocisk. Nie odwracając się ku walczącym desperacko siostram, pędziła prosto na wieżę.

Manon zaś mogła tylko patrzeć. Kręciła głową, jakby w ten sposób mogła powstrzymać to szaleństwo, i śledziła wzrokiem Asterin, która zrzuciła skórzany strój oraz koszulę, odpięła rzemienie i podniosła się w siodle ze sztyletem w dłoni.

Wtedy babka Manon odwróciła się od otworu, do którego miała wskoczyć młoda akolitka, by uwolnić zniszczenie.

Asterin cisnęła sztyletem.

Trafiła idealnie.

Ostrze wbiło się w plecy młodej wiedźmy, a ta padła na ziemię. Zaledwie o krok od krawędzi.

Wtedy Asterin wyszarpnęła dwa identyczne miecze z pochew przy pasie, a jej wywerna z rozpędu uderzyła w bok kamiennej wieży. Trzask pękających kości poniósł się echem po całym świecie.

Asterin jednakże odbiła się w porę i wylądowała na wieży z wzniesionymi mieczami. Pogruchotane ciało Narene osunęło się w dół.

Wtedy Manon zaczęła wrzeszczeć.

Był to wrzask bez słów, bez końca. Coś w jej sercu rozpadło się bez reszty.

Asterin wylądowała przy dziurze prowadzącej w głąb wieży i odwróciła się ku wiedźmom, które zewsząd skoczyły na nią. Jej ostrza mogły równie dobrze być utkane z mgły, gdyż wydawały się nie ważyć zgoła nic. Bez litości zabijała jedną przeciwniczkę po drugiej, napierając ku Matronie, tej, która swego czasu naznaczyła jej brzuch straszliwym słowem.

„Nieczysta”.

Wirując, obracając się, tnąc to tu, to tam, Asterin przebijała się ku babce Manon.

Najwyższa Wiedźma Klanu Czarnodziobych cofnęła się, kręcąc głową. Jej usta otwierały się i zamykały, jakby powtarzała szeptem: „Asterin, nie...”.

Ta jednak przypadła już do niej.

Zamiast mroku otoczyła ją jasność. Biała, czysta, skrząca się niczym blask słońca na śniegu.

Asterin, która rozpoczęła Uwolnienie, rozjarzyła się bielą.

Ranne wiedźmy Trzynastki, otaczające wieżę nierównym kręgiem, poszły w jej ślady.

Wszystkie promieniowały światłem.

Światłem, które popłynęło z ich dusz i walecznych serc. Wszystkie

płonęły bielą.

Asterin przewróciła Matronę Czarnodziobych, która w obliczu tak niezwykle jasności zdawała się ledwie mizernym cieniem. Strzępem nienawiści, urywkiem wspomnień.

Potem Asterin eksplodowała.

Po niej Trzynastka.

Wiedźmy przeprowadziły Uwolnienie, rozrywając wieżę na strzępy.

Manon osunęła się na kamienny bruk i przez długą, naprawdę długą chwilę nawet nie drgnęła. Nie słyszała tych, którzy do niej mówili, którzy dotykali jej ramienia. Nie czuła zimna.

Słońce wędrowało po niebie i chyliło się ku zachodowi.

Ułożyła się na ziemi i skuliła przy murze.

Gdy się przebudziła, nakrywało ją skrzydło, a nad jej głową świstał ciepły oddech drzemiącego Abraxosa. Zabrakło jej słów. Jakichkolwiek słów. Pozostała jedynie dzwoniąca cisza.

Podniosła się i odsunęła skrzydło, które ją przykrywało.

Nadchodził świt. Tam, gdzie niegdyś sterczała śmiercionośna wieża, otoczona nieprzebraną armią, pozostała jedynie spalona ziemia.

Manon uświadomiła sobie, że zapadła się w głąb siebie. Daleko i głęboko.

Miasto nadal stało. Mury również.

Trąciła Abraxosa dłonią. Przebudził się.

Nie mógł się wzbić w powietrze – jeszcze nie – a więc ruszyli piechotą. Zeszli po schodach na niższy poziom, potem przeszli przez bramę i wyłonili się na ulicach miasta. Manon wiedziała, że za nimi podążają inni, z każdą chwilą coraz liczniejsi, ale nie interesowało jej to zbyt. Nie odwracała głowy.

Zakrwawione ulice były zasłane gruzami, pozłożonymi przez promienie wschodzącego słońca.

Nie czuła jego ciepła na twarzy, gdy wyszli przez południową bramę na równinę okalającą Orynth. Ktoś otworzył przed nimi wrota, ale na to również nie zwróciła uwagi.

Idący przy niej Abraxos odrzucał na bok stosy trupów Valgów, by utworzyć dla niej ścieżkę. Dla niej i dla pozostałych, którzy podążali za nimi.

Było tak cicho. Zarówno w jej sercu, jak i na równinie.

Cicho i pusto.

Manon przemierzała zastygłe w bezruchu pole bitwy. Nie zatrzymywała się, nim dotarła do epicentrum wybuchu.

Z wieży nie zostało nic. Ani śladu. Stopiły się nawet kamienie, z których ją wzniesiono.

Nie było ani śladu po Trzynastce i ich dzielnych, szlachetnych wywernach.

Manon padła na kolana.

Wokół niej buchnął poruszony popiół, miękki i delikatny niczym śnieg, który przywierał do łez na jej twarzy. Abraxos leżał obok i otulał wiedźmę ogonem, gdy ta klęczała i szlochała bez końca.

Gdyby się odwróciła, ujrzałaby Glennis i Bronwen.

Zobaczyłaby Petrah Błękitnokrwistą.

Aediona Ashryvera, Lysandrę i Rena Allsbrooka.

Księcia Galana, kapitana Rolfe'a i Ansel z Briarcliff, Iliasa oraz Endymiona i Sellene.

Gdyby się odwróciła, ujrzałaby, że wszyscy trzymają małe, białe kwiatki. Zastanowiłaby się pewnie, skąd je wzięli w samym środku zimy.

Gdyby spojrzała, ujrzałaby ludzi zgromadzonych za nimi, tak wielu, że wypełnili całą przestrzeń aż po mury miejskie. Ujrzałaby ludzi stojących ramię w ramię z Crochan i Żelaznozębnyimi. Ujrzałaby wszystkich, którzy przyszli oddać hołd Trzynastce.

Ale Manon nie spojrzała za siebie. Nawet gdy przywódcy, którzy przybyli wraz z nią, zaczęli układać kwiaty na spalonej, zakrwawionej ziemi. Nawet gdy na popioły, na których złożono kwiaty, padły łzy żalu i wdzięczności.

Nikt się nie odzywał. Ludzie, którzy nadeszli po swych przywódcach, również milczeli. Niektórzy przynieśli kwiaty, ale większość trzymała małe kamyki, które miały zostać ułożone w miejscu wybuchu. Ci, którzy kamieni już nie znaleźli, zostawiali osobiste drobiazgi. Niebawem miejsce porażone eksplozją zostało zasłonięte, zupełnie jakby na polu krwi wyrósł ogród.

Glennis trwała przy niej do samego końca.

Gdy zostały już same na cichym poboju, prababka Manon położyła królowej dłoń na ramieniu i powiedziała cicho:

– Bądźcie mostem, bądźcie światłem w czasach, gdy żelazo zacznie się topić, a kwiaty będą rosły na polach zboczonych krwią. Pokażcie to krainie, a wówczas wróćcie do domu.

Manon nie usłyszała tych słów. Nie zwróciła uwagi nawet na to, że Glennis poszła z powrotem do miasta mającego za jej plecami.

Klęczała na poboju jeszcze długie godziny, z nieodłącznym Abraxosem u boku, jakby chciała pozostać z Trzynastką jak najdłużej, choćby jeszcze przez chwilę.

A daleko stąd, za zasypanymi śniegiem górami, na jałowej równinie przed ruinami ongiś wielkiego miasta zakwitł kwiat.

Dorian nie wierzył własnym oczom i miał szczerą nadzieję, że nie ulega halucynacjom.

Armia z obcych krain szła na północ. Armia, o której czytał jako dzieciak.

Patrzył na piechotę kagana, na kawalerię Darghanów, na legendarne ruki, dumne i wspaniałe, unoszące się nad nimi. Zbliżył się najbardziej jak mógł do czoła armii, zastanawiając się, kto z rodziny kagana nią dowodzi. Zastanawiał się też, czy towarzyszy im Chaol, i czy obecność tej niezwyklej armii oznacza, że misja jego przyjaciela mimo wszystko zakończyła się powodzeniem.

Wtedy wypatrzył go jakiś ruk.

Ogromny ptak ruszył za nim w pościg. Dorian zaczął dawać mu znaki w nadziei, że ten się zatrzyma, ale ruków pojawiało się coraz więcej. Wówczas młody król wylądował na rozwidleniu dróg.

I ujrzał ich. Ujrzał ją.

Aelin galopowała ku niemu, a obok niej Rowan, Elide i inni, którzy zdaniem Maeve zostali wysłani do Terrasenu.

A mimo to Aelin była tu, na czele armii kagana.

Jej uśmiech przygasł, gdy znalazła się bliżej. Jakby wyczuła, co zdobył.

– Gdzie Manon? – spytała krótko.

– W Terrasenie – szepnął Dorian, lekko zdyszany. – Pewnie z Crochan, jeśli wszystko poszło zgodnie z planem.

Aelin otworzyła usta i wybałuszyła oczy, ale wtedy pojawił się kolejny jeździec.

Świat ucichł.

Nadciągający jeździec wstrzymał konia. Towarzysząca mu piękna kobieta, którą Dorian mógł nazwać jedynie złocistą, zatrzymała się tuż za nim.

Młody król jednakże wpatrywał się tylko w mężczyznę. W jego dumną postawę, w sylwetkę emanującą autorytetem.

Chaol Westfall zeskoczył z siodła i przebiegł kilka ostatnich dzielących ich kroków, a wtedy król Adarlanu wybuchnął płaczem.

Chaol również nie krył łez ani nie próbował zapanować na drżeniem ciała, które nim zawładnęło, gdy zderzył się z Dorianem i zmiążdżył go w uścisku. Wokół nich nie było słyhać ani słowa, choć Chaol wiedział, że zgromadzili się obok nich wszyscy. Wiedział, że Yrene stoi tuż za nim i również płacze.

Ścisnął swego przyjaciela. Swego brata.

- Wiedziałem, że ci się uda – wykrztusił Dorian ochryplym głosem.
- Wiedziałem, że znajdziesz jakiś sposób. Na wszystko.

Na ściągnięcie sojuszników. Na pokonanie paraliżu.

Chaol ścisnął Dorianą jeszcze mocniej.

- Ty sam masz też niezłą historię do opowiedzenia.

Dorian odsunął się od niego z poważną twarzą, a Chaol uświadomił sobie, że opowieść przyjaciela być może nie będzie tak szczęśliwa jak jego. Nie miał pojęcia, jakie ponure wieści ich czekają, ale mimo to cofnął się i wskazał Yrene, która właśnie zsiadła z konia i ocierała łzy.

- Oto kobieta, która jest za to wszystko odpowiedzialna – rzekł i wskazał swe nogi, a potem armię. - Oto Yrene Towers, uzdrowicielka z Torre Cesme. Oraz moja żona.

Yrene ukloniła się, a Chaol mógłby przysiąc, że oczy Dorianą przyciemnił na moment smutek, ale chwilę później jego król ujął dłonie dziewczyny i pomógł jej powstać.

- Dziękuję ci – powiedział, choć w jego uśmiechu nadal błakał się smutek.

Yrene poczerwieniała.

- Tyle o tobie słyszałam, Wasza Wysokość.

Dorian mrugnął do niej, przez co choć przez chwilę przypominał człowieka, którym kiedyś był.

- Mam nadzieję, że same złe rzeczy.

Yrene roześmiała się, a radość na jej twarzy – radość, która była przeznaczona dla nich obu – sprawiła, że Chaol pokochał ją jeszcze mocniej.

– Zawsze chciałem mieć siostrę – rzekł Dorian i pochylił się, by ucałować Yrene w oba policzki. – Witaj w Adarlanie, moja pani.

Uśmiech Yrene złagodniał i nabrał głębi. Ułożyła dłoń na brzuchu.

– A więc zapewne ucieszysz się z tego, że wkrótce zostaniesz wujkiem.

Dorian odwrócił się ku Chaolowi, a ten pokiwał tylko głową. Nie był w stanie znaleźć słów, którymi mógłby przekazać to, co pojawiło się w jego sercu.

Uśmiech króla przygasł jednak, gdy spojrzał na Aelin, która stała oparta o drzewo w towarzystwie Rowana i Elide.

– Wiem – powiedziała, a Chaol był świadom, że wcale nie miała na myśli ciąży.

Dorian zamknął oczy, a Chaol ułożył dłoń na jego ramieniu, by choć w ten sposób pomóc w trudnym wyzwaniu, które czekało jego króla.

– Odzyskałem trzeci Klucz z Morath – rzekł.

Kolana Westfalla zadrżały. Yrene przypadła do niego i objęła go w tali.

Klucze Wyrda.

– I masz teraz wszystkie trzy? – spytał Chaol.

Dorian skinął głową.

Rowan spojrzał na pozostałych Fae, a ci w mig zrozumieli jego rozkaz i otoczyli ich grupkę tak, by nikt z żołnierzy kagana nie usłyszał ich rozmowy.

– Wkradłem się do Morath, by go odzyskać – rzekł Dorian.

– Na bogów – westchnęła Aelin, a Chaol zamrugął.

– Ale to okazało się tą łatwiejszą częścią zadania – dodał młody król.

Od czoła armii odłączyli się książęta z południowego kontynentu. Dorian uśmiechnął się do Nesryn i uklonił Hasar oraz Sartaqowi,

postanawiając odłożyć przedstawianie się na później. Spojrzał na Aelin i uzupełnił:

– Zastałem tam Maeve.

Aelin oparła dłoń na rękojeści Goldryna. Między jej palcami zamigotały płomienie, ale ogień zdawał się wsiąkać w broń. Rubin migotał.

– Wiem – powiedziała cicho.

Dorian uniósł brwi, na co Aelin pokręciła głową i dała mu znak, by mówił dalej. Lorcan, Fenrys i Gavriel wrócili.

– Maeve odkryła moją obecność i... – Dorian zaczął i naraz opowieść potoczyła się dalej.

Gdy skończył, Chaol cieszył się z tego, że Yrene nadal podtrzymuje go ramieniem. Otaczała ich pełna napięcia cisza.

Dorian zniszczył Morath.

– Nie sądzę – przyznał król – by Erawan i Maeve zginęli w gruzach. Myślę, że tylko ich rozwścieczyłem.

Oszołomiony Chaol wpatrywał się w przyjaciela z podziwem. Inni milczeli oniemiałi.

– Dobra robota – rzekł Lorcan, taksując króla wzrokiem. – Naprawdę dobra.

Aelin gwizdnęła cicho. Również była pod wrażeniem.

– Szkoda, że tego nie widziałam – stwierdziła, kręcąc głową, a potem spojrzała na Rowana. – A więc twój wuj oraz Essar wykonali swoje zadanie i wykopali Maeve za drzwi.

– Przecież powiedziałaś, że użyłaś mocnych słów – parsknął książę Fae. – Powinienem ci od razu uwierzyć.

Aelin złożyła ukłon. Chaol nie miał bladego pojęcia, o czym rozmawiają, ale Rowan dodał:

– A więc skoro Maeve nie może już być królową Fae, szuka dla siebie innego tronu.

– Co za suka – parsknął Fenrys.

Chaol był skłonny się z nim zgodzić.

– Nasze najgorsze obawy się potwierdziły. – Książę Sartaq spojrział na rodzeństwo. – Król i królowa Valgów połączyli swe siły. Czyli twój wuj się nie mylił – zwrócił się do Elide.

– Nie zapominajcie, że Maeve nie ma już armii – dodał Dorian. – Dysponuje tylko swą mocą.

– Niemniej jednak te pająki, które oddała księżniczkom, mogą okazać się wystarczającym koszmarem. – Nesryn wzdrygnęła się ze wstrętem.

Chaol zerknął na Yrene, kobietę, która kryła w swym ciele największą broń na Valgów.

– Kiedy opuściłeś Morath? – spytał Rowan.

– Trzy dni temu – powiedział Dorian.

Rowan zwrócił się ku Aelin, poblądłej, choć nadal wspartej o drzewo. Chaolowi przyszło do głowy, że po tym, co usłyszała, być może nie ufa już własnym kolanom.

– A więc przynajmniej wiemy, że Erawan nie dotarł jeszcze do Terrasenu.

– Ale puścił armię Żelaznozębnych przodem – oświadczył Dorian.

– Wiemy – rzekł Chaol. – Są już pod Orynthem.

Dorian pokręcił głową.

– To niemożliwe. Wyruszyły tuż po mnie. Jestem zaskoczony, że nie widzieliście ich, jak przelatywały nad Ruhnn.

Odpowiedziała mu cisza.

– A więc to, co poleciało na Orynth, to nie była jeszcze cała armia Żelaznozębnych – rzekła cicho Aelin. Zbyt cicho.

– W legionie, do którego dołączyłem, było ponad tysiąc wywern – rzekł Dorian. – Wiele z nich niosło żołnierzy Valgów.

Chaol zamknął oczy. Yrene objęła go mocniej, by pocieszyć go w ciszy.

– Od początku wiedzieliśmy, że *rukhin* będą mieli przeciwko sobie przewagę liczebną – rzekła Nesryn.

– Z Terrasenu nie zostanie nic, czego *rukhin* mogliby bronić. – Książę Kashin potarł szczękę. – Nawet jeśli Crochan dotarły tam przed

nami.

Królowa Terrasenu odepchnęła się wreszcie od drzewa.

– A więc mamy dwie możliwości – odezwała się głosem spokojnym i nieporuszonym pomimo straszliwych wieści. – Idziemy na północ najszybciej jak się da, by się przekonać, czy naprawdę nie ma już o co walczyć w Terrasenie. Sama jestem w stanie zniszczyć całkiem sporo tych wyvern.

– A druga opcja? – spytała księżniczka Hasar.

Twarz Aelin była surowa.

– Mamy trzy Klucze Wyrda oraz mnie. Mogę przerwać to wszystko w tej chwili albo przynajmniej wyeliminować Erawana z gry, zanim znajdzie nas, wykradnie Klucze i zawładnie tym światem oraz innymi.

Rowan pokręcił głową i otworzył usta, by coś powiedzieć, ale Aelin uniosła dłoń, co powstrzymało nawet jego.

– Ale nie będzie to wyłącznie moja decyzja.

Chaol uświadomił sobie wówczas, że stoi przed nim prawdziwa królowa, a nie zabójczyni, którą wywłókł z kopalni soli kilka kilometrów stąd, ani nie kobieta, z którą spędzał czas w Rifthold.

– Ja również mogę podjąć tę decyzję. – Dorian się wyprostował.

Aelin powoli, niezwykle powoli przesunęła na niego spojrzenie. Chaol przygotował się na najgorsze.

– Odzyskałeś trzeci Klucz. – Aelin zwróciła się do Doriana zabójczo cichym głosem. – Twój udział w tym wszystkim dobiegł końca.

– Chyba kpisz – odparł król, a jego szafirowe oczy rozbłysły. – W moich żyłach płynie ta sama krew i ten sam dług.

Chaol zacisnął pięści. Ze wszystkich sił powstrzymywał się, by nie otworzyć ust. Rowan najwidoczniej walczył z tą samą pokusą, wpatrzony w starcie obu władców.

Twarz Aelin pozostała nieporuszona, a jej spojrzenie było odległe, pełne zadumy.

– Tak bardzo pragniesz śmierci?

– A ty? – Dorian nie cofnął się ani o krok.

Na polanie zapadła całkowita cisza.

Naraz Aelin wzruszyła ramionami, zupełnie jakby zapomniała, że od tej rozmowy zależy los całych światów.

- Bez względu na to, kto włoży Klucze do Bramy, mowa jest o przyszłości nas wszystkich. Wszyscy więc powinniśmy podjąć tę decyzję. - Uniosła podbródek. - Co powiecie? Idziemy nadal na północ w nadziei, że dotrzemy do Orynthu na czas? A może niszczymy Klucze teraz i potem ruszamy dalej? - Urwała. - A raczej ruszacie dalej.

Jej ostatnie słowa były nie do zniesienia. Rowan drżał, nie wiadomo, czy ze zgrozy, czy dlatego, że nie mógł nad sobą zapanować.

- Chciałabym zdecydować o tym przez głosowanie - zakończyła Aelin spokojnie.

Głosowanie.

Rowan nigdy dotąd nie słyszał równie absurdalnej propozycji, choć w głębi duszy pęczniał z dumy, że jego towarzyszka życia uznała ten moment za początek nowego świata, którego nadejście obiecała. Świata, w którym cała władza należy nie do jednostek, ale do wielu ludzi.

Wszystko zaczynało się tu, od jej najważniejszej decyzji. Tej, która uruchomi jej okrutne przeznaczenie.

Uwadze Rowana nie uszło to, że stali na rozdrożu. Ani też to, że Dorian, Aelin i Chaol spotkali się akurat tutaj, zaledwie kilka kilometrów od kopalni soli, gdzie wszystko się rozpoczęło nieco ponad rok temu.

Dyskusja toczyła się dalej, ale wszelkie słowa w uszach Rowana zagłuszał potężny ryk. Wiedział, że powinien paść na kolana i dziękować Dorianowi za odzyskanie trzeciego Klucza, mimo to nienawidził go z całego serca.

Nienawidził losu, na który zostali skazani tysiąc lat temu. Nienawidził wyboru, przed którym go postawiono. Decyzji, którą musieli podjąć, choć tak długo walczyli i tyle już poświęcili.

- Mamy przeciwko sobie stutysięczną armię - mówił książę Kashin.
- Może większą. Liczba wrogów wcale się nie zmniejszy, gdy Brama

Wyrdra zostanie zamknięta. Potrzebujemy Niosącej Ogień, by ich przetrzebiła.

Księżniczka Hasar pokręciła głową.

– Ale istnieje możliwość, że po zniknięciu Erawana zniknie również cała armia. Wystarczy odciąć bestii głowę, a tułów zdechnie.

– Nie mamy jednak żadnej pewności – wycedził Chaol przez zaciśnięte zęby. – Usunięcie Erawana może nam pomóc, ale nie musi. Powstrzymanie tak wielkiej wrogiej armii, pełnej Valgów, którzy mieliby może ochotę zająć jego miejsce, mogłoby się wówczas okazać niemożliwe.

– No to może wykorzystajmy te Klucze – zaproponowała Nesryn. – Weźmy je na północ, zniszczmy tę armię i...

– Kluczami nie można się posługiwać w walce – przerwał jej Dorian. – Ich użycie ściągnęłoby śmierć na śmiałka. Nie mamy pewności, czy śmiertelnik jest w stanie wytrzymać taką moc.

Wskazał ruchem głowy Aelin, która stała w milczeniu, opanowana i spokojna, podczas gdy Rowan musiał wykorzystać całe swoje szkolenie, by nie wyrzucić z siebie zawartości żołądka.

– Samo wstawienie ich na powrót do Bramy pociągnie za sobą ostateczną ofiarę – dodał przez zaciśnięte gardło. – Ten, który się tego podejmie, już nie wróci.

Wiedział, że powinien się sprzeciwić, że powinien wywrzeszczyć swój protest.

– To ja powinienem to zrobić – stwierdził Dorian.

– Nie – wyrwało się Chaolowi i Aelin jednocześnie. Było to jej pierwsze słowo od rozpoczęcia debaty.

Wtedy odezwał się Fenrys.

– Wolałbyś, by moja królowa zginęła zamiast twego króla? – spytał zabójczo cichym głosem, wpatrzony w Chaola.

Ten zeszywniał.

– Nie chcę, by ktokolwiek z moich przyjaciół ginął. Nie chcę, by do tego doszło.

Nim Fenrys mógł wywarczyć odpowiedź, odezwała się Yrene:

- Czyli bogowie znikną po wykuciu Zamka i zamknięciu Bramy Wyrda, tak?

- A niech ich szlag – mruknął Fenrys.

Yrene zeszywniała, słysząc jego wzgardliwą odpowiedź, i położyła dłoń na sercu.

- Ale ja kocham Silbę. Z całego serca. Czy moja moc uzdrowicielska zniknie, gdy ona odejdzie z tego świata?

- Raczej nie – rzekł Dorian. – O czymś takim nigdy nie mówiono.

- A co z pozostałymi bogami tego świata? – Nesryn zmarszczyła brwi. – Co z trzydziestoma sześcioma bogami kaganatu? Przecież to również bogowie! Też zostaną wygnani z tego świata czy tylko wasza dwunastka?

- Może nasi bogowie są innej natury – zastanowiła się księżniczka Hasar.

- A nie mogą nam pomóc? – spytała Yrene. W jej złotych oczach połyskiwał smutek z powodu losu, na który skazano błogosławiącą jej boginię. – Nie mogą interweniować?

- Na tym świecie bez wątplenia działają jeszcze inne siły – rzekł Dorian i dotknął rękojeści Damaris. Wszak miecz Gavina został pobłogosławiony przez Boga Prawdy. – Ale myślę, że gdyby chciały nam w jakiś sposób pomóc, już by to zrobiły.

Aelin tupnęła.

- Oczekiwanie na boską interwencję to strata czasu. Poza tym to nie jest najważniejsza sprawa w tej chwili. – Wbiła w Doriana płonące spojrzenie. – Nie ma sensu również rozmawiać o tym, kto zapłaci cenę – dodała.

- Dlaczego? – warknął Rowan, nim zdążył ugryźć się w język.

Jego towarzyszka życia powoli odwróciła się ku niemu.

- Bo nie – wyrzuciła z siebie ostre, lodowate słowa, a potem smagnęła podobnym spojrzeniem króla Adarlanu, gdy tylko otworzył usta. – Bo nie – parsknęła.

Dorian ponownie otworzył usta, ale Rowan przechwycił jego spojrzenie na dłuższą chwilę i przekazał mu wzrokiem klarowny komunikat: „Później. Porozmawiamy o tym później”.

Jeśli Aelin przechwyciła ich bezgłośnie rozmowę i dostrzegła lekkie skinienie głowy Doriana, nie dała tego po sobie poznać.

– Nie mamy czasu na niekończące się dyskusje – oznajmiła.

Lorcan pokiwał głową.

– Teraz, gdy mamy wszystkie trzy Klucze, musimy się spieszyć. W każdej chwili może nas odnaleźć Erawan i wreszcie osiąść to, czego szuka. On albo Maeve – dodał, marszcząc brwi. – Mimo to jestem za tym, by ruszyć na północ. Dajmy Aelin szansę, by przeorała legiony Morath.

– Bądźcie obiektywni – warknęła królowa i rozejrzała się dookoła. – Udajcie choć raz, że mnie nie znacie. Udajcie, że jestem dla was nikim i niczym. Wyobraźcie sobie, że jestem bronią. Sięgacie po tę broń teraz czy później?

– Ale ty nie jesteś nikim – powiedziała cicho Elide. – Dla wielu, wielu ludzi...

– Klucze kiedyś muszą wrócić do Bramy – powiedziała Aelin zimno. – Nie ma wyboru. A ja zniknę wraz z nimi i to też nie podlega dyskusji. Musimy jedynie zdecydować, czy ma to nastąpić teraz, czy za kilka tygodni.

Rowan nie mógł już tego znieść.

– Nie.

Wszyscy znów zamarli.

– Nie będę czekać bezczynnie. – Aelin obnażyła kły.

– A więc schowajmy je – powiedział Rowan. – Erawan nie mógł ich znaleźć przez tysiące lat. Możemy powtórzyć tę sztuczkę, a Yrene – wskazał uzdrowicielkę – może własnoręcznie zniszczyć Erawana.

– Nie ma mowy! – warknęła Aelin. – Yrene spodziewa się dziecka...

– Dam radę. – Yrene puściła Chaola i zrobiła krok naprzód. – Jeśli istnieje jakiś sposób, na pewno podołam zadaniu. Może inne uzdrowicielki będą mogły mi pomóc...

– Tysiące Valgów tylko czekają, byś ich zabiła bądź uzdrowiła, lady Westfall – rzekła Aelin z tym samym chłodem. – A Erawan może cię rozszarpać na strzępy, zanim się do niego zbliżysz.

- Dlaczego tylko ty masz prawo oddać swe życie za sprawę? – spytała ostro Yrene.

- Ja nie noszę dziecka pod sercem.

Yrene zamruwała powoli.

- Być może Hafizie uda się...

- Nie mam zamiaru bawić się w żadne „być może” i „co by było, gdyby”. – Aelin odezwała się głosem, który Rowan rzadko słyszał. Głosem królowej. – Będziemy głosować i zrobimy to teraz. Opcje są dwie: wkładamy Klucze do Bramy od razu czy ruszamy do Terrasenu i robimy to, jeśli będziemy w stanie zatrzymać tę armię?

- Erawana można powstrzymać – nalegała Yrene, bynajmniej nieporuszona słowami królowej. Najwidoczniej za nic miała jej gniew. – Wiem, że to możliwe. Nawet bez Kluczy!

Rowan chciał jej uwierzyć. Nigdy dotąd nie chciał uwierzyć Yrene Westfall tak bardzo jak w tej chwili. Chaol, który zerkał na Dorianą, najwyraźniej podzielał jego zdanie.

Aelin jednakże skinęła na księżniczkę Hasar.

- Jak brzmi twoje zdanie?

Hasar zastanowiła się przez moment, wytrzymując spojrzenie Aelin.

- Teraz – powiedziała. – Jestem za tym, by zrobić to teraz.

- A ty? – Aelin zwróciła się do Doriany.

Młody król napiął mięśnie. Na jego twarzy nadal malowała się furia, której powodem była niedokończona debata. Mimo to rzekł:

- Teraz.

Rowan zamknął oczy. Ledwie słyszał słowa pozostałych, którzy jeden po drugim przedstawiali własne zdanie. Podszedł do drzew, by miał gdzie się skryć, gdyby jednak zebrało mu się na wymioty.

- Pora na ciebie, Rowanie – odezwała się Aelin. – Jesteś ostatni.

- Głosuję na nie. Nie róbmy tego. Nigdy tego nie róbmy.

Jej oczy były zimne, zamglone. Takie jak w Mistward.

- A więc decyzja zapadła – powiedział cicho Chaol. Ze smutkiem.

- O świcie Zamek zostanie wykuty, a Klucze wrócą do Bramy –

oznajmił Dorian.

Rowan nie mógł oderwać od niej wzroku. Była wszak powodem, dla którego oddychał.

- A twój głos, Aelin? – spytała cicho Elide.

Królowa oderwała wzrok od Rowana, a on nagle poczuł, jakby powiał lodowy wicher.

- To bez znaczenia – odparła.

Aelin nie wyjawiała nikomu, że gdy poprosiła wszystkich o głos, nie chodziło jej tylko o to, by zdecydowali o swoim losie jako przedstawiciele wolnych ludów tego świata. Nie przyznała, że do złożenia takiej propozycji popchnęło ją również tchórzostwo. Wolą, by ktoś inny wybrał za nią. By ktoś inny zdecydował o tym, dokąd się udadzą.

Tej nocy obozowali w Endovier. Kopalnie soli znajdowały się raptem pięć kilometrów dalej.

Rowan rozbił dla nich królewski namiot, a w środku rozstawił królewskie łóżce.

Aelin nie zjadła kolacji z innymi. Ledwie tknęła jedzenie, które Rowan postawił przed nią na stole. Nie ruszyła się z miejsca od paru godzin, ślęcząc nad bezużytecznymi księgami zapisanymi Znakami Wyrda. Potrawka z królika stygła obok.

– Nie godzę się na to – odezwał się Rowan, siedzący po drugiej stronie stołu.

– A ja tak. – Jej słowa były puste, martwe.

W jej oczach również nie było życia, a przed wschodem słońca życie miało opuścić także jej ciało. Aelin zatrzasnęła starożytny tom.

Od granicy z Terrasenem dzieliło ich raptem kilka dni. Może powinna się zgodzić na wykucie Zamka dopiero po dotarciu na ojczystą ziemię. Nie chciała tego robić przy Endovier, ale każdy upływający dzień potęgował ryzyko. Ogromne ryzyko.

– W całym swoim życiu nigdy nie zgodziłaś się na nic – warknął Rowan. Poderwał się i wsparł dłońmi o blat stołu. – I nagle przystajesz na coś takiego?

Aelin przełknęła ślinę, choć miała obolałe gardło. Spojrzała na księgi, które bezskutecznie przewertowała po raz trzeci.

– A co niby miałabym zrobić, Rowanie?

– Wyśmiać to wszystko! – Fae rąbnął pięścią w stół, aż podskoczyły

naczynia. – Niech szlag trafi wszystkie plany, proroctwa i przeznaczenie! Wydrwij to wszystko i ułóż własny plan! Własną przyszłość! Nie wolno ci na to przystawać!

– Przedstawiciele ludów Erilei wygłosili swoje zdanie!

– A niech szlag trafi ich wszystkich! – warknął. – Możesz stworzyć swój wolny świat dopiero po tej wojnie. Niech sobie głosują w sprawach własnych cholernych królów i królowych, jeśli mają ochotę.

– Nie chcę nosić tego ciężaru choćby przez jedną sekundę dłużej! – warknęła Aelin w odpowiedzi. – I tym bardziej nie chcę się później dowiedzieć, że popełniłam błąd, gdyż spóźniłam się z wyborem.

– A więc wolałabyś zagłosować przeciwko. Wolałabyś udać się do Terrasenu.

– A czy to ma jakiegokolwiek znaczenie? – Aelin zerwała się na równe nogi. – Głosowanie i tak zakończyło się inną decyzją. Gdyby wszyscy usłyszeli, że chcę udać się do Orynthu i stoczyć tam ostatnią bitwę, zaczęliby się wahać. Wpłynęłabym na ich wybór.

– Ale to ty masz tu zginąć. Moim zdaniem masz dużo do powiedzenia w tej sprawie.

Aelin odsłoniła kły.

– To moje przeznaczenie. Elena próbowała mnie od niego uwolnić i spójrz tylko, czym się to dla niej skończyło. Cała zgraja żądnych zemsty bogów pragnie rozszarpać jej wieczną duszę. Gdy Zamek zostanie wykuty, a ja zamknę Bramę, zniszczę nie tylko siebie.

– Elena miała tysiąc lat życia, najpierw w materialnym ciele, a potem jako duch. Wybacz, ale jakoś mi jej nie żal, kiedy pomyślę sobie, że ty miałaś okazję przeżyć raptem dwadzieścia lat.

– Przeżyłam tak długo tylko dzięki niej.

Nie miała jeszcze dwudziestu lat. Jej urodziny wypadały dopiero za kilka miesięcy, na wiosnę, której nadejścia już nie doczeka.

Rowan zaczął krążyć po namiocie. Dywan wygłuszał jego kroki.

– Cały ten bałagan jest również jej winą. Dlaczego niby miałabyś się z tym borykać sama?

– Bo to od początku było moim przeznaczeniem.

– Bzdura. Równie dobrze mogło przypaść Dorianowi. Jest gotów wziąć to na siebie.

Aelin zamrugła.

– Elena i Nehemia powiedziały inaczej, że Dorian nie jest jeszcze gotów.

– Dorian wszedł do Morath, oszukał Maeve, zdobył Klucz, wyrwał się stamtąd i jeszcze rozwalił fortecę. Moim zdaniem jest równie gotów jak ty.

– Nie pozwolę, by poświęcił się za mnie.

– Dlaczego?

– Bo to mój przyjaciel. Bo nie będę mogła żyć ze sobą, jeśli mu na to pozwolę.

– Powiedział, że jest gotów.

– On sam nie wie, czego chce. Dopiero co wyrwał się ze strasznych koszmarów, które sam przeżył.

– A ty nie? – zripostował Rowan, całkowicie nieporuszony jej słowami. – To dorosły mężczyzna. Potrafi sam dokonywać wyborów. My też powinniśmy móc to robić.

– To już postanowione. – Aelin odsłoniła zęby.

– A więc zrobimy to oboje. – Rowan założył ręce na piersi. – Razem. Jej serce przestało na moment bić.

– Nie wykujesz Zamka sama – ciągnął Fae.

– Nie. – Jej dłonie zaczęły drżeć. – To nie wchodzi w grę.

– A kto tak twierdzi?

– Ja. – Sama myśl o tym, że Rowan przestałby istnieć, odebrała jej dech. – Gdyby to było możliwe, Elena powiedziałyby mi o tym. Cenę ma zapłacić ktoś z mego rodu.

Rowan otworzył usta, ale dostrzegł prawdę na jej twarzy i w jej słowach. Potrząsnął głową.

– Obiecałem ci, że znajdziemy sposób, by spłacić ów dług razem.

Aelin spojrzała na zebrane księgi. Nie znaleźli w nich nic, zupełnie nic, co dawałoby choć cień nadziei.

- Nie ma alternatywy – rzekła i wbiła palce we włosy. – Ja przynajmniej żadnej nie widzę – poprawiła się.

Zabrakło jej asów ukrytych w rękawie.

- No to nie róbmy tego jutro – nalegał Rowan. – Zaczekajmy. Powiedzmy reszcie, że najpierw chcemy dotrzeć do Orynthu. Może w królewskiej bibliotece znajdziemy jakieś teksty...

- Mamy więc zignorować wyniki głosowania? Przecież oni wszyscy zdecydowali, Rowanie. Jutro będzie po wszystkim.

Te puste, ponure słowa obudziły w niej mdłości.

- Poszukam innego sposobu! – Głos Rowana zadrżał. – Znajdę inny sposób, Aelin...

- Nie ma innego sposobu! Nie rozumiesz? Wszystko to... – syknęła i rozrzuciła ramiona. – Wszystko to wydarzyło się po to, byście przeżyli. Byście mogli żyć dalej.

- Podczas gdy twoje życie będzie zapłatą? By odpokutować za niekończące się poczucie winy?

Aelin rąbnęła pięścią w stos starych tomów.

- Myślisz, że ja chcę umrzeć? Myślisz, że to dla mnie łatwe? Że cieszę się, patrząc na niebo i zastanawiając się, czy widzę je już po raz ostatni? Gdy patrzę na ciebie i myślę o tych latach, których nie będziemy mieć?

- Ja nie wiem, czego ty chcesz – warknął Rowan. – Skąd mam to wiedzieć, skoro zawsze taisz coś przede mną?

Jej serce waliło mocno.

- Ja chcę, by to wszystko już się zakończyło, w ten czy inny sposób – powiedziała, zaciskając mocno pięści. – Chcę mieć to już za sobą.

Rowan pokręcił głową.

- Wiem. I wiem, przez co przeszedłeś. Te miesiące w Doranelle były dla ciebie istnym piekłem, Aelin, ale nie możesz porzucać walki. Nie teraz.

Jej oczy płonęły.

- Wytrzymałam tak długo ze względu na to. By móc zakończyć zadanie. By wsunąć Klucze do Bramy. Gdy Cairn rozszarpywał mnie

na strzępy, gdy Maeve wydzierała ze mnie wszystko, co wiedziałam, tylko to jedno podtrzymywało mnie na duchu. Gdyby nie świadomość, że muszę doprowadzić do końca moje zadanie, dawno bym się rozpadła. – Jej oddech stał się ostrzejszy, nierówny. – A potem jak ostatnia idiotka zaczęłam wierzyć, że być może nie będę musiała tego długu spłacać, że być może ujrzę Orynth raz jeszcze, że może Dorian mnie wyręczy. – Splunęła na ziemię. – Kim ja się przez to stałam? Co we mnie siedzi? Wiesz, że na jego widok poczułam nieprzebraną grozę?

Rowan otworzył usta, by odpowiedzieć, ale przerwała mu drżącym głosem:

– Sądziłam, że uda mi się uciec przeznaczeniu, choć na chwilę, a gdy zaczęłam wierzyć, że się uda, bogowie przysłali Doriana, który stanął mi prosto na drodze. Powiedz mi, że to nie jest celowe działanie. Powiedz mi, że ci bogowie bądź jakiegokolwiek siły rządzące tym światem nie wrzeszczą teraz na mnie, że to ja powinnam wykuć Zamek.

Rowan wpatrywał się w nią długo. Oddychał ciężko.

– A co, jeśli te siły nie przysłały tu Doriana po to, byś uświadomiła sobie, że sama musisz spłacić dług?

– Nie rozumiem.

– A może oni was połączyli? Jeśli nie chcą wybierać jednego z was do wykonania zdania, ale chcą, byście podzielili się brzemieniem?

Nawet ogień w koszach na moment przestał trzaskać. Oczy Rowana jaśniały.

– Pamiętasz, jak zniszczyliście szklany zamek? Gdy chwyciliście się za ręce, wasza moc... Nigdy wcześniej nie widziałem czegoś takiego. Byliście w stanie scalić swe moce, stać się jednością. Skoro Zamek wymaga całej ciebie, dlaczego nie dać mu połowy? Połowy ciebie i połowy jego! Przecież oboje macie w sobie krew Mali.

Aelin powoli opadła na krzesło.

– Ja... Przecież nie wiem, czy to zadziała.

– Lepiej podjąć próbę niż stanąć z pochyloną głową przed pieńkiem katowskim.

– Ale jak ja mogę go o to poprosić? – warknęła Aelin.

- Możesz. Bo nie ty jedna nosisz to brzemię. Dorian wie o tym i pogodził się z tym. Poza tym alternatywą jest utrata ciebie. – Wściekłość zapłonęła w jego oczach i zadrzała w jego głosie. – Zastąpiłbym cię, gdybym mógł.

Serce Aelin pękło.

- Wiem.

Rowan padł na kolana przed nią, oplótł jej talię ramionami i położył głowę na jej kolanach.

- Nie zniosę tego, Aelin. Nie dam rady.

Wsunęła palce w jego włosy.

- Marzyło mi się tysiąc lat z tobą – powiedziała cicho. – Chciałam mieć z tobą dzieci. Chciałam udać się z tobą do krainy zmarłych.

Jej łzy wsiąkały w jego włosy. Rowan uniósł głowę.

- A więc walcz o to. Po raz ostatni rusz do walki. Walcz o przyszłość.

Wpatrywała się w niego. W życie, które ujrzała w jego twarzy. We wszystko, co miał jej do zaoferowania.

Wszystko, co mogło równie dobrze przypaść jej w udziale.

- Muszę cię o coś poprosić.

Głos Aelin wyrwał Doriana z niespokojnego snu. Młody król usiadł na pryczy. Cisza panująca w obozie zdradziła mu, że był środek nocy.

- Co się dzieje?

Za królową stał strzegący jej Rowan, który spoglądał na obozującą wśród drzew armię. Dorian pochwycił jego szmaragdowe spojrzenie i wychwycił w nim odpowiedź, której potrzebował.

Książę przybył z pomocą, tak jak mu obiecał.

Aelin przełknęła ślinę.

- Razem – powiedziała łamiącym się głosem. – Spróbujmy wykuć Zamek razem.

Dorian zrozumiał, o co jej chodzi, jeszcze zanim wyłożyła przed nim swój desperacki plan.

- Przepraszam, że w ogóle cię o to proszę – rzekła Aelin, przedstawivszy wszystkie szczegóły.

- A mnie jest przykro, że zupełnie o tym nie pomyślałem – odparł Dorian i usiadł, by naciągnąć buty.

Wówczas Rowan odwrócił się ku nim. Czekał na odpowiedź, której był już pewien.

- Tak – powiedział Dorian do nich obojga.

Aelin zamknęła oczy. Dorian nie miał pojęcia, czy powoduje nią ulga, czy też żal. Położył dłoń na jej ramieniu. Nie chciał wiedzieć, jaki bój stoczył z nią Rowan, by zmusić ją do podzielenia się odpowiedzialnością za ich wspólne przeznaczenie. By się zgodziła.

Aelin rozchyliła powieki. W jej oczach jaśniała ponura determinacja.

- Zrobimy to teraz – powiedziała ochrypłym głosem. – Nie chcę się z nikim żegnać.

Dorian pokiwał głową.

- Chcesz, by Chaol przy tym był? – zapytała.

W pierwszej chwili Dorian chciał się sprzeciwić. Chciał oszczędzić przyjacielowi kolejnych pożegnań. Wciąż pamiętał radość i spokój na jego twarzy.

Mimo to rzekł:

- Tak.

W czworo szli między drzewami. Żadne z nich nie odzywało się ani słowem. Kierowali się starym traktem ku kopalniom soli.

Było to jedyne miejsce, na które wartownicy nie zwracali uwagi.

Z każdym kolejnym krokiem Aelin czuła się coraz gorzej. Po jej plecach powoli spływał pot. Rowan trzymał ją za rękę i muskał ją kciukiem.

Miała stawić czoła przeznaczeniu akurat tu. W tym potwornym, martwym miejscu, w którym gościło tyle bólu i cierpienia. Odniosła wrażenie, że nigdy tak naprawdę stąd nie uciekła.

W ciemnościach góry, w których wydrążono kopalnie, wydawały się tylko cieniami, a wielki mur otaczający obóz śmierci był jedynie plamą czerni.

Wrota były otwarte. Jedno skrzydło wisiało na zawiasach. Być może wyłamali je uciekający niewolnicy.

Aelin mocniej ścisnęła dłoń Rowana, gdy przeszli przez bramę i znaleźli się na terenie kopalni. W samym jej środku nadal wznosiły się drewniane słupy, przy których ją chłostano. Pierwszego dnia niewoli, a potem jeszcze wielokrotnie.

Wejście do kopalni znajdowało się zaś w górze po lewej stronie. Wejście do pozbawionych światła korytarzy, do których ją wepchnięto.

W budynkach nadzorców nie było żadnych świateł. Wydawały się pustymi łupinami.

Aelin musiała przywołać całą siłę woli, by nie spoglądać na nadgarstki, gdzie kiedyś nosiła blizny po kajdanach. By nie zwracać uwagi na zimny pot spływający po plecach, teraz wolnych od blizn, pokrytych tylko tatuażem Rowana.

Miała wrażenie, że trafiła do miejsca ze snu. Z koszmaru utkanego przez Maeve.

Dostrzegając ironię sytuacji. Umknęła z niewoli już dwukrotnie tylko

po to, by w końcu wylądować tutaj. Jej wolność była tymczasowa, ulotna. Po prostu pożyczyła trochę czasu od losu.

Pozostawiła Goldryna w namiocie. Tam, dokąd zmierzali, miecz nie mógł się przydać.

– Nie sądziłem, że kiedyś jeszcze ujrzymy to miejsce – mruknął Dorian. – A już na pewno nie w takiej sytuacji.

Nie zwalniał jednak. Szedł pewnym krokiem, z ponurą twarzą, zaciskając dłoń na rękojeści miecza. Był gotów na spotkanie z losem. Z nieuniknionym bólem.

Nie, nie uciekła z niewoli. Ani na moment.

Zatrzymali się na samym środku dziedzińca. Elena opisała jej, w jaki sposób należy stworzyć Zamek i jak wsunąć Klucze do Bramy. Aelin wiedziała, że sam proces nie wymaga użycia wielkiej magii i nikomu w pobliżu nie będzie nic groziło, mimo to chciała znaleźć się na uboczu, z dala od wszystkich.

Twarz Chaola była blada w blasku księżyca.

– Co mamy robić? – spytał.

– Być tutaj – powiedziała po prostu Aelin. – To wystarczy.

Bez nich nie wytrzymałyby w tym okropnym miejscu ani chwili.

Przechwyciła badawcze spojrzenie Doriana i skinęła głową. Jakakolwiek zwłoka mijała się z celem. Dorian uściskał Chaola i zamienił z nim kilka słów, zbyt cicho, by mogła je usłyszeć.

Sama zajęła się rysowaniem na ziemi Znak Wyrda, który musiał być na tyle duży, by zmieściła się na nim wraz z Dorianem. Oprócz niego chciała wyrysować jeszcze drugi, tak by oba się ze sobą spletały. Otwarcie i Zamknięcie.

Nauczyła się ich na samym początku i wielokrotnie z nich korzystała.

– Żadnych słodkich pożegnań, księżniczko? – spytał Rowan, przyglądając się jej pracy.

– Wydają mi się dość teatralne. Zbyt teatralne – odparła Aelin. – Nawet jak na mnie.

Mimo to Rowan zatrzymał ją w połowie kreślenia drugiego

symbolu. Odchylił jej podbródek.

– Nawet gdy będziesz... gdy znajdziesz się tam – powiedział, a jego oczy, zielone niczym igły sosen, rozbłyły w świetle księżyca – ja będę z tobą. – Oparł dłoń na jej sercu. – Tu będę. Wraz z tobą.

Aelin ułożyła dłoń na jego piersi i wciągnęła jego zapach głęboko w płuca.

– Ja również będę z tobą. Zawsze.

Rowan ją pocałował.

– Kocham cię – szepnął w jej usta. – Wróć do mnie.

A potem cofnął się za niedokończone znaki.

Gdy zabrakło jego zapachu oraz ciepła, Aelin przepełnił chłód, ale nadal stała prosto. Nadal oddychała równo, rytmicznie, zapamiętując rysy jego twarzy.

Dorian wszedł na znaki. Oczy mu jaśniały.

– Domknij ostatni symbol, gdy skończymy – rzekła Aelin do Rowana.

Jej książkę, jej towarzysz życia pokiwał głową.

Dorian wyciągnął z kieszeni kurtki zawiniątko. Gdy je otworzył, ukazały się dwa odłamki czarnego kamienia oraz Amulet Orynthu. Aelin zrobiło się niedobrze, gdy jej ciało przeszła nieziemaska emanacja trzech artefaktów. Mimo to wzięła od niego amulet.

– Pomyślałem sobie, że może to ty chciałabyś go otworzyć – rzekł cicho król.

Tu, w samym środku miejsca, które przyniosło jej tyle cierpień, w miejscu, gdzie ledwie przeżyła i skąd tyle rzeczy wzięło swój początek.

Aelin zważyła starożytny amulet w dłoni i musnęła palcem złoty wzór wzdłuż jego krawędzi. Na moment znów znalazła się w owym przytulnym pokoju w posiadłości nad rzeką, a siedząca obok niej matka powierzała amulet pod jej opiekę.

Dotknęła Znaków Wyrda na rewersie, z których dowiedziała się o straszliwym losie, jaki był jej pisany.

„Narodzi się bezimienna, która zapłaci cenę”.

Lub bezimienny... Wszak Brannon miał więcej potomków, a Znaki Wyrda nie definiowały rodzaju gramatycznego, a więc również płci. Czemu z góry założyła, że zapis dotyczy tylko jej?

Symbole tkwiły na amulecie od wielu stuleci jako ostrzeżenie od Brannona i potwierdzenie, że jego potomka czeka ofiara.

Stary król był wściekły na bogów. Zawarł więc informację na wieczku i pozostawił wszystkie możliwe wskazówki, by jego potomkowie zrozumieli, co ich czeka. Jak mogliby oprzeć się swemu przeznaczeniu? Tylko ostatni głupiec mógł mieć na to nadzieję.

Aelin obróciła amulet i musnęła palcami nieśmiertelnego jelenia wygrawerowanego na awersie.

Pożyczony czas. To wszystko było pożyczonym czasem.

Złota pieczęć amuletu stopniała w jej dłoniach i z sykiem spadła na zmarzniętą ziemię, a wtedy Aelin przekreśliła wieczko.

Ze środka buchnął nieziemski odór trzeciego Klucza, który wabił ją, szeptał do niej w językach, które nie istniały w Erilei i nigdy nie miały tu trafić. Królowa bezceremonialnie ułożyła Klucz w wyciągniętej dłoni Doriana. Uderzył o dwa pozostałe z cichym brzękiem, który mógł się rozejść po całej wieczności i dotrzeć do wszystkich światów.

Dorian zadrzał, a Chaol i Rowan się wzdrygnęli. Aelin zaś złożyła medalion i wsunęła go sobie do kieszeni. Chciała mieć kawałek Terrasenu tam, dokąd się wybierali.

Po raz ostatni spojrzała Rowanowi w oczy i ujrzała w nich prośbę: „Wróć do mnie”.

Ją też chciała ze sobą zabrać. Zarówno te słowa, jak i jego twarz. Nawet jeśli Zamek zażąda od niej wszystkiego, to prośba i obraz pozostaną tylko dla niej. Na zawsze.

Przełknęła z trudem ślinę i przerwała kontakt wzrokowy z Rowanem. Przecięła swą dłoń, a następnie przecięła dłoń Dorianą.

Miała wrażenie, że gwiazdy naraz przybliżyły się do nich, a góry zajrzały im przez ramię. Wtedy uniosła nóż ponownie i rozcięła sobie skórę na ramieniu. Głęboko, mocno.

By otworzyć Bramę, musiała się nią stać.

Erawan rozpoczął proces zamieniania Kaltain Rompier w taką

właśnie Bramę. Wepchnął jej kamień w ramię nie po to, by go bezpiecznie przechowała, ale po to, by przygotować jej ciało na kolejne kamienie. By zmienić ją w żywą Bramę Wyrda, którą mógłby kontrolować.

Niemniej jednak jeden okruch w ciele praktycznie zniszczył Kaltain. Gdyby wsunęła do rany wszystkie trzy...

„Nazywam się Aelin Ashryver Galathynius i nie będę się bać. Nie będę się bać. Nie będę się bać”.

– Gotów? – szepnęła.

Dorian skinął głową.

Królowa po raz ostatni rzuciła okiem na gwiazdy oraz na Władcę Północy, strzegącego Terrasenu, który leżał zaledwie kilka kilometrów dalej, po czym ujęła okruchy spoczywające w wyciągniętej ręce Doriana. Ich zakrwawione dłonie połączyły się, a wtedy przeszła ich rycząca magia, wieczna i oślepiająca, która splotła ich ciała. W tej samej chwili Aelin wepchnęła wszystkie trzy Klucze do rany w ramieniu.

Rowan ruchem stopy dokończył znak na zamarznętej ziemi.

W tej samej chwili Aelin, trzymając rękę Doriana, przycisnęła dłoń do ramienia i wcisnęła trzy Klucze Wyrda do wnętrza swego ciała.

To musiało zadziałać. Przecież to z tego powodu ich ścieżki się przecięły, to dlatego Aelin i Dorian spotkali się po raz drugi w tym samym miejscu. Nie widział innego rozwiązania. Zresztą nie pozwoliłby jej przeprowadzić rytuału samej.

Nie oddychał. Stojący obok niego Chaol chyba też nie.

Aelin i Dorian czekali z uniesionymi wysoko głowami, choć wyczuwał trawiący ich lęk, a ich twarze nagle stały się puste. Nie było rozbłysku światła. Nie było eksplozji mocy.

Stali, trzymając się za ręce, i wpatrywali się w dal, ale ich oczom zabrakło blasku.

Ich oczy stały się puste, a ciała zeszytniały, jakby oboje zamarzli.

Wydawali się nieobecni.

Nadal ich widział, ale nieobecnych. Jakby ich ciała stały się jedynie pustymi naczyniami.

– Co się stało? – szepnął Chaol.

Dłoń Aelin, jeszcze przed chwilą zaciśnięta na ramieniu, opadła i zwisała bezwładnie, odsłaniając otwartą ranę i wepchnięte do niej okruchy czarnej skały.

Coś w sercu Rowana, coś skomplikowanego i niezwykle dlań ważnego, zaczęło się rozciągać. Coraz mocniej i mocniej.

Ich więź!

Zrobił krok naprzód, kładąc dłoń na piersi.

Nie! Więż wiła się, jakby zawładnął ją ból, jakby rządziło ją przerażenie. Rowan zatrzymał się z imieniem Aelin na ustach.

Padł na kolana, gdy trzy Klucze Wyrda w jej ramieniu rozplynęły się w jej krwi.

Niczym rosa w słońcu.

I wszystko rozpoczęło się ponownie. Tak jak kiedyś.

Początek, koniec i wieczność. Strumień światła i życia, który przepływał między nimi, łącząc dwie połowy rozciętego rodu.

Wszędzie kłębiła się mgła, która przesłoniła ziemię pod ich stopami. Być może była to iluzja, która miała przypomnieć ich ciałom, gdzie się znalazły. A stali w miejscu, które nie było miejscem, w komnacie pełnej drzwi. Nie byłaby w stanie ich zliczyć. Niektóre utkano z powietrza, inne ze szkła, płomieni, złota bądź światła.

Za nimi czekały na nich inne światy, ale Dorian i Aelin ani drgnęli. Stali na rozdrożu wszechrzeczy w ciałach, które nie należały do nich. Biła od nich moc, która scalała się i unosiła, tworząc kulę światła i stworzenia. Żaden jaśniejący okruch magii, który wnikał w rosnącą kulę, powoli przeistaczającą się w Zamek, nie miał już do nich wrócić ani się odrodzić.

Byli studnią, która schła na wieczność.

Z każdym oddechem wypływało z nich więcej mocy, zarówno tej, która tworzyła, jak i tej niszczącej.

Kula obracała się, a jej krawędzie zaczęły się zniekształcać, a potem kurczyć. Powoli formowała wybrany przez nich kształt. Przedmiot ze złota i srebra. Zamek, który na wieczność zamknie wszystkie drzwi.

Nadal wyzbywali się mocy, gdyż proces tworzenia Zamka żądał od nich coraz więcej.

Aż zaczęło boleć.

Była Aelin, a jednocześnie nią nie była.

Była Aelin, ale z drugiej strony była nieskończonością, była wszystkimi światami, była...

Była Aelin. Tylko Aelin.

Gdy wsunęła Klucze do rany w swym ciele, wniknęły do prawdziwej

Bramy Wyrda. Wystarczyłby jeden krok, jedna myśl, jedno życzenie, a mogliby wejść do dowolnego świata. Mogliby zrobić wszystko, czego by zapragnęli.

Za ich plecami nadal widniało zwieńczone łukiem przejście, z którego bił zapach śniegu i sosen.

Zamek formował się powoli. Światło przeistaczało się w metal. W srebro i złoto.

Dorian dyszał ciężko i zaciskał mocno zęby. Bez końca słał w stronę Zamka kolejne fale swej mocy, której już nigdy miał nie ujrzeć.

Towarzyszył temu ból. Ogromny ból, jakiego nigdy dotąd nie doznała.

Była Aelin. Była Aelin, a nie tymi rzeczami, które wcisnęła w swe ramię, nie tym niepojętym miejscem. Była Aelin, tylko Aelin, przybyła tu, by czegoś dokonać, przybyła tu, obiecawszy, że coś zrobi...

Walczyła z narastającą ochotą, by zacząć wrzeszczeć, gdy jej moc wypływała z ciała. Miała wrażenie, że coś obłupia ją ze skóry, dokładnie tak, jak robił to Cairn, rozkoszujący się każdym ciosem. Ale przecież zdołała przetrzymać jego tortury. Uwolniła się ze szponów Maeve. Przetrwiała ich oboje, by dotrzeć tu. By wykonać to zadanie.

Pomyliła się jednak.

Nie była w stanie tego znieść. Nie mogła wytrzymać świadomości straty oraz potężniejszego bólu. Z wolna ogarniało ją szaleństwo, w miarę, jak uświadamiała sobie nową prawdę.

Nie opuszczą już tego miejsca. Nie pozostanie z nich nic. Rozpłyną się niczym mgłą, która ich otaczała.

Dorian nigdy dotąd nie poznał takiego bólu. Miał wrażenie, że jego jestestwo rozszczepia się włókno po włóknie.

Elena powiedziała Aelin, że kształt Zamka nie jest istotny. Mógłby być ptakiem, mieczem lub nawet kwiatem, gdyż w tym miejscu nie miało to żadnego znaczenia. Ale ich umysły, kurczące się i wypalające, wybrały znajomy im kształt, ten, który miał dla nich największy sens. Oko Eleny powstało raz jeszcze.

Aelin zaczęła wrzeszczeć. Wniebogłosy, bez końca.

Jego magia umykała z owego świętego, idealnego miejsca w jego duszy.

Wiedział już, że stworzenie Zamka go zabije. Zarówno jego, jak i ją. A przecież przywiodła ich tu rozpaczliwa nadzieja, że oboje zdołają stąd wyjść.

Ale jeśli nie przestaną, jeśli tego nie przerwą, nie wyjdzie stąd żadne z nich. Próbował poruszyć głowę. Przekazać jej, by przestała.

Magia wyszarpywała się z niego falami, a Zamek pochłaniał ją w całości. Dorian nie potrafił tego powstrzymać. Wyczuwał w Zamku niemożliwy do zaspokojenia głód, który ich pożerał.

„Przerwijmy to!” – chciał krzyknąć. Chciał się wyrwać.

Aelin szlochała przez zaciśnięte zęby.

Wkrótce Zamek zabierze wszystko, a chwile ostatecznej destrukcji okażą się najbardziej brutalne, najbardziej bolesne.

Czy bogowie każą im się przyglądać, gdy sięgną po duszę Eleny?

Czy będzie miał choćby szansę i sposobność, by jej pomóc? Tak jak to obiecał Gavinowi? Chyba znał odpowiedź na to pytanie.

„Przerwij to”.

„Przerwij”.

– Przerwij!

Dorian usłyszał to słowo i przez ułamek sekundy nie rozpoznawał głosu, który je wypowiedział.

Aż zza jednych z owych niemożliwych, acz istniejących drzwi wyłonił się jakiś człowiek.

Człowiek, który wydawał się z krwi i kości, ale kontury jego sylwetki się rozmazywały.

Patrzył na swego ojca.

Patrzył na swego ojca. Ojca, którego widział po raz ostatni na moście szklanego zamku.

Na jego twarzy widniała życzliwość. Ludzka życzliwość.

I smutek. Nieprawdopodobny smutek pełen bólu.

Magia Dorigana zdrzała.

Nawet moc Aelin zwolniła nieco, zaskoczona. Jej strumień skurczył się do cienkiej strużki, nieprzerwanej i przynoszącej cierpienie.

– Przerwijcie – szepnął ojciec Dorigana i chwiejąc się, zrobił krok ku nim. Wpatrzony był w pasmo mocy, czystej i oślepiającej, która podsycala powstawanie Zamka.

– Tego nie da się przerwać – powiedziała Aelin.

Ojciec Dorigana pokręcił głową.

– Wiem. Nie da się powstrzymać tego, co raz się zaczęło.

„To naprawdę mój ojciec” – pomyślał Dorian, a głośno powiedział:

– Nie. Ciebie nie może tu być!

Mężczyzna spojrział na biodro młodzieńca, tam gdzie powinien być jego miecz.

– Nie wzywałeś mnie? – spytał.

Damaris. Przecież miał u boku Damaris, gdy wkraczał w krąg ze Znaków Wyrda.

W tym świecie, w tym wymiarze, nadal go posiadał.

Miecz najwyraźniej uznał, że Dorian powinien zmierzyć się z jeszcze jedną prawdą, nim nadejdzie jego kres.

– Nie – powtórzył Dorian.

Nic innego nie przychodziło mu do głowy, gdy spoglądał na człowieka, który wyrządził im wszystkim tyle niewysłowionych krzywd. Ojciec uniósł ręce w błagalnym geście.

– Mój chłopcze – szepnął.

Dorian naprawdę nie miał mu nic do powiedzenia. Nienawidził stojącego przed nim mężczyzny. Narastała w nim wściekłość na to, że znalazł się w tym miejscu i w tym momencie, na początku i na końcu wszystkiego.

Jego ojciec przeniósł wzrok na Aelin.

– Pozwól mi przejąć wasze zadanie. Dokończę je!

– Co? – wyrwało się Dorianowi.

– Nie zostałeś wybrany! – odparła Aelin, choć chłód w jej głosie zaczął się łamać.

– „Narodzi się bezimienny, który zapłaci cenę” – rzekł stary król.

Aelin znieruchomiała.

– „Narodzi się bezimienny, który zapłaci cenę” – powtórzył ojciec Dorian, cytując ostrzeżenie wypisane na rewersie Amuletu Orynthu.

– Mienisz się bezimienną, bo nosisz na czole znak bękarta, a mnie odmawiasz prawa do tego miana? – Spojrzał na nich oboje. – Jak się nazywam? – zapytał.

– To jakaś bzdura – wycedził Dorian przez zęby. – Nazywasz się...

W miejscu, gdzie powinno pojawić się imię, ziała pusta dziura.

– Ty... – wyszeptała Aelin. – Ty nazywasz się... Jak to możliwe, że nie masz imienia? Jak to możliwe, że go nie znamy?

Złość Dorian nagle przygasła, a ból, wywołany przez obcą siłę, wyrrywającą mu magię oraz duszę, nagle stał się mniej istotny, gdy jego ojciec powiedział:

– Erawan mi je odebrał. Wymazał je z historii i z ludzkiej pamięci. Rzucił starożytny, okrutny czar, tak potężny, że można go użyć jedynie raz. A wszystko po to, bym mógł stać się jego najwierniejszym sługą. Nawet ja sam nie pamiętam już mego imienia. Straciłem je na zawsze.

– Narodzi się bezimienny, który zapłaci cenę – szepnęła Aelin.

Dorian spojrział wówczas na człowieka, który był jego ojcem. Uważnie, badawczo.

– Mój chłopcze – szepnął ojciec ponownie. W jego oczach widać

było miłość, a także dumę i smutek.

Jego ojciec, który został opętany tak samo jak on, który próbował go ocalić, choć nie zdołał. Ojciec, któremu odebrano wszystko, ale nigdy nie pokłonił się Erawanowi. Nie do końca.

– Chcę cię nienawidzić – rzekł Dorian łamiącym się sercem.

– Wiem – odparł jego ojciec.

– Zniszczyłeś wszystko! – Dorian nie mógł powstrzymać łez, na co Aelin uścisnęła jeszcze mocniej jego dłoń.

– Przykro mi – szepnął jego ojciec. – Przykro mi z powodu tego, co się stało, Dorianie.

Nawet to, w jaki sposób ojciec wymówił jego imię, zdało mu się szczególne. Nigdy nie słyszał, by tak się do niego zwracał.

Zignorować go! Przegnać! Wtrącić do jakiegoś piekielnego świata! Tak, to właśnie powinien zrobić, ale...

Ale Dorian skądś wiedział, dla kogo tak naprawdę zniszczył Morath. Dla kogo pogrzebał tę przeklętą komnatę pełną naszyjników.

– Przykro mi – powtórzył ojciec.

Dorian nie potrzebował Damaris, by wiedzieć, że słyszy prawdę.

– Pozwól, bym spłacił ten dług. – Ojciec podszedł bliżej. – Pozwól mi. Czyż i w moich żyłach nie płynie krew Mali?

– Nie władasz magią – odezwała się Aelin. Jej oczy były pełne smutku. – Nie tak jak my.

Ojciec Dorianą spojrział na nią.

– Mam jej we krwi wystarczająco dużo, by pomóc.

Dorian zerknął przez ramię w stronę portalu prowadzącego do Erilei. Do domu.

– Pozwólmy mu – rzekł, a jego słowa nie zabrzmiały tak chłodno, jak sobie tego życzył. Było w nich tylko krańcowe zmęczenie.

– Nosłam się zresztą z podobnym zamiarem – zwróciła się Aelin cicho do starego króla.

– A więc nie będziesz już sama – odparł mężczyzna, a potem uśmiechnął się do Dorianą.

Młody król przez moment widział swego rodzica takiego, jakim mógł być. Jakim zawsze był, mimo tego, co mu wyznaczył los.

- Jestem wdzięczny, że mogłem cię ujrzeć. Po raz ostatni - powiedział mu ojciec.

Dorian nie mógł znaleźć żadnych słów.

Aelin odwróciła się ku niemu z twarzą mokrą od łez i rzekła:

- Jedno z nas musi rządzić.

Nim Dorian zrozumiał to, co miała na myśli, nim dotarło do niego, jaką umowę właśnie zawarła, Aelin uwolniła dłoń i wypchnęła go przez otwartą za jego plecami Bramę. Prosto do ich świata.

Wpadł w nią z dzikim rykiem.

Zanim pogrążona we mgle Brama Wyrda znikła, zdążył jeszcze zauważyć, jak Aelin ujmuje dłoń jego ojca.

Rowan nawet nie drgnął przez długie godziny. Obaj z Chaolem, który również stał nieruchomo, pełnili milczącą wartę przy Aelin i Dorianie, wpatrzonych w nicość. Noc minęła, a gwiazdy powoli gasły nad zimnym, przerażającym obozem.

Niespodziewanie Dorian wyprostował się, zaczerpnął gwałtownie tchu i padł na kolana.

Aelin nadal stała tam gdzie wcześniej. Nawet nie drgnęła, z tym wyjątkiem, że wypuściła dłoń Dorianą.

Serce Rowana przestało bić.

– Nie – wychrypiał młody król. Podniósł się i przypadł do dziewczyny. Usiłował złapać jej dłoń, na powrót do niej dołączyć, ale wtedy ujrzał, że rana na jej ręce się zagoiła. – Nie! – wrzasnął. – Nie!

Rowan wszystko wtedy zrozumiał. Już wiedział, do czego się posunęła.

Jej ostateczne oszustwo. Finalne kłamstwo.

– Co się stało? – zapytał Chaol, który pomógł Dorianowi się podnieść.

Młody król płakał. Odczepił swój starożytny miecz i odrzucił od siebie. Damaris z cichym stuknięciem padł na ziemię.

Rowan wpatrywał się w Aelin.

W swą towarzyszkę życia, która go okłamała. Jego oraz wszystkich pozostałych.

– Nasza dwójka nie wystarczyła. Mieliśmy za mało mocy. I Zamek by nas zniszczył – szlochał Dorian. – Ale Damaris jakoś zdołał wezwać mego ojca, a on... On zajął moje miejsce. Zaproponował, że zajmie moje miejsce, więc ona... – Zerwał się, by złapać Aelin za dłoń, ale nie stał już na Znakach Wyrda. Nie mógł do niej podejść. Ich moc otaczała królową nieprzeniknioną barierą.

Więź między Rowanem a Aelin rozciągała się i słabła.

- Chcą to zakończyć we dwoje – dodał Dorian, drżąc na całym ciele. Rowan ledwie go słyszał.

Powinien był się domyślić. Powinien był wiedzieć, że jeśli ich plan się nie uda, Aelin nigdy z własnej woli nie poświęci przyjaciela. Nawet w takiej sprawie. Nawet dla własnej przyszłości.

Wiedziała, że będzie ją próbował powstrzymać przed wykuciem Zamka, jeśli w ogóle wspomni mu o tej możliwości. Jeśli powie mu, co chce zrobić, gdy wszystko trafi szlag. Zgodziła się, by Dorian jej pomógł, tylko dlatego, że musiała jakoś dostać się do środka. Wypuściłaby jego dłoń, nawet gdyby nie pojawił się stary król.

Tylekroć powtarzała, że chce, by to wszystko dobiegło już końca. Powinien był słuchać.

Chaol mocno objął Dorianą, a młody król spojrzał na Rowana i szepnął ze smutkiem:

- Przykro mi.

Okłamała go.

Jego Ogniste Serce skłamała.

A teraz będzie musiał patrzeć na jej śmierć.

Stojąc ramię w ramię z wrogiem, Aelin pozwoliła, by jej magia znów popłynęła. Uwolniła ją wściekłym strumieniem.

Bezimienny król dysponował zaledwie ułamkiem tej mocy co Dorian, ale to wystarczyło. Miał jej dokładnie tyle, ile było trzeba.

Aelin nie chciała, by Dorian zginął podczas próby wykucia Zamka. Zależało jej jedynie na tym, by użył jej nieco swej mocy, a potem chciała wepchnąć go z powrotem do Erilei. By mogła dokończyć zadanie sama.

To była jej kara za dziesięć lat egoizmu. Dziesięć lat z dala od Terrasenu. Dziesięć lat ucieczki.

Ból przeistoczył się w otepiający ryk. Nawet stary król dyszał ciężko, zmagając się z cierpieniem.

Już niewiele brakowało. Już było widać złocone ornamenty materializującego się Zamka, ale potrzeba było jeszcze więcej mocy,

by związać wszystkie światy.

Wiedziała, że Rowan nigdy jej nie wybaczy.

Jej towarzysz życia nigdy o tym nie zapomni.

Chciała, by zostawił ją w spokoju. By pogodził się z jej decyzją. Nigdy by tego nie zrobiła, nigdy by nie dotarła w to miejsce, gdyby nie zaczął błagać jej o to, by porzuciła swą misję. Gdyby nie szlochał, tak jak ona chciała się rozplakać, gdy pocałowała go po raz ostatni.

„Wróć do mnie” – wyszeptał.

Wiedziała, że będzie czekał. Że będzie tam stał i czekał, aż przyjdzie po niego śmierć. Nigdy nie przestanie czekać na jej powrót.

Magia Aelin wyszarpywała się z niej z taką siłą, że dziewczyna krzyczała i chwiała się. Tylko silna dłoń króla powstrzymała ją przed upadkiem.

Zamek był już niemalże gotowy. Dwa nachodzące na siebie kręgi Oka przypominały już oryginał.

Jej magia się wiała. Błagała ją, by przestała. Ale Aelin nie mogła. Nie chciała.

– Jeszcze trochę – obiecał król.

Dziewczyna uświadomiła sobie, że się uśmiecha.

– Mam dla ciebie wiadomość – powiedział cicho. Jego moc z wolna odpływała i był coraz słabiej widoczny, ale nie przestawał się uśmiechać i nadal spoglądał na nią ze spokojem. – Twój rodzice są z ciebie bardzo dumni. Poprosili mnie, bym ci przekazał, że cię bardzo kochają. – Stał się już niemalże niewidoczny, a jego słowa były niewiele głośniejsze od szeptu wiatru. – Twój dług został już spłacony w wystarczającym stopniu, Ogniste Serce.

I znikł. Jego resztki spłynęły do Zamka i przestał istnieć.

Aelin ledwie czuła łzy na policzkach, gdy padła na kolana. Nadal oddawała swą magię, swą esencję, swe jestestwo.

„Nazywam się Aelin Ashryver Galath...”.

Z jej ust wyrwał się dławiący krzyk, gdy Zamek został uformowany do końca.

Został wykuty na nowo. Był równie prawdziwy i materialny jak jej

własne ciało.

A magia Aelin znikła bez reszty.

Ledwie mogła się poruszyć. Ledwie mogła myśleć.

Magia znikła. Tam, gdzie kiedyś tętniło światło i życie, nie było już nic.

Ani promyka. Pozostała jedynie kropla wody.

Aelin zasłoniła ją z rozpaczą, gdy nagle przez portal za nią weszło dwanaście postaci. Jedna po drugiej przenikały do tego miejsca wszystkich miejsc, do tego skrzyżowania wieczności.

– A więc już po wszystkim – odezwała się postać z wieloma twarzami, zbliżając się do Zamka, który wisiał w powietrzu. Machnęła widmową, zmieniającą kształt dłonią i Zamek poszybował ku Aelin. Wylądował na jej kolanach, złoty i migotliwy.

– Wezwij nam nasz świat, dziewczyno – rzekła postać z głosem przypominającym brzęk stali i krzyki. – I daj nam wreszcie wrócić do domu.

Nadszedł ostateczny moment. Teraz musiała ich odesłać i zamknąć Bramę. Była gotowa wykorzystać w tym celu ostatnią cząstkę siebie, ową jedyną kroplę, by sięgnąć po Zamek i zawrzeć Bramę na głucho. Potem miała zniknąć na zawsze.

„Dawno, dawno temu w pewnej krainie już dawno zrównanej z ziemią żyła sobie księżniczka, która bardzo kochała swe królestwo...”.

– Zrób to teraz – rozkazała jej postać z głosem przywodzącym na myśl huk fal. – Wystarczająco długo czekamy.

Aelin zdołała podnieść głowę i spojrzeć na migotliwe postacie. Na istoty z innego świata.

Wypatrzyła wśród nich jedną, która była wciśnięta w szereg, jakby trzymano ją przemocą...

Oczy Eleny były szeroko otwarte. Pełne bólu.

„Która bardzo kochała swe królestwo...”.

Jedna z istot zamachała widmową dłonią w kierunku Aelin.

– Dość już tego.

Aelin spojrzała na boginię, która przemówiła. Znała jej głos. Deanna.

Milcząc, mierzyła spojrzeniem jednego z przybyszów po drugim, aż odnalazła tę, która przypominała błyszczący świt. Tę, która miała serce z ognia.

Mala nie patrzyła na nią. Ani na Elenę, swą córkę.

Aelin odwróciła wzrok od Przynoszącej Światło i odezwała się głośno, nie kierując słów do nikogo w szczególności:

– Chciałabym zmienić warunki naszej umowy.

Bogowie i boginie znieruchomieli.

– Zmienić warunki umowy? – syknęła Deanna. – Ośmielasz się czegoś domagać?

– Mów – odezwała się ta, której głos był życzliwy i pełen miłości.

Przedmiot w jej ramieniu wił się. Aelin zmusiła go, by ukazał jej, czego chcieli bogowie.

Ujrzała portal do ich królestwa. Blask słoneczny nad zielonymi wzgórzami prawie ją oślepił. Bogowie odwrócili się. Kilku z nich westchnęło na ten widok, ale Aelin oznajmiła:

– Ustalmy coś, zanim wypełnicie waszą część umowy.

Wyartykułowanie każdego słowa sprawiało jej niemały ból, ale dojrzała do końca zdania. Bogowie zamarli, a Aelin spojrzała na Elenę i uśmiechnęła się lekko.

– Obiecaliście, że weźmiecie Erawana ze sobą. Że go zniszczycie – oznajmiła.

Bóg o twarzy przypominającej śmierć odwrócił się ku niej, jakby właśnie sobie przypomniawszy, że w istocie obiecali coś tak szokującego.

– Chciałabym coś zmienić – rzekła Aelin i z niemałym trudem uniosła ramię, dźwigające całą wieczność, by wskazać Elenę. – Chciałabym wymienić duszę Erawana za duszę Eleny.

Mala odwróciła się ku niej i wbiła w nią wzrok.

– Zostawcie Erawana w Erilei – oznajmiła Aelin pośród ciszy. – I zostawcie też Elenę. Niech jej dusza pozostanie w Zaświatach, wśród tych, których kocha.

– Aelin... – szepnęła Elena, a po jej policzkach spłynęły srebrne łzy.

Aelin uśmiechnęła się do królowej sprzed wieków.

– Dług został już spłacony w wystarczającym stopniu.

Chciała, by jej przyjaciele to omówili. Poprosiła ich o głosowanie w sprawie Bramy nie tylko po to, by zdjąć z siebie ciężar decyzji, ale też po to, by usłyszeć, że są w stanie samodzielnie pokonać Erawana. Że Yrene Towers ma szansę go zniszczyć. Chciała ich usłyszeć, by móc teraz zdecydować o życiu Eleny, zanim całkiem przypieczętuje ich los.

– Nie rób tego – błagała ją Elena, a potem odwróciła się ku zimnym, obojętnym bogom. – Nie zgadzajcie się na to!

– Zostawcie ją i odejdźcie – powiedziała Aelin.

– Aelin, proszę, proszę. – Elena płakała.

– To ty dałaś mi czas. Dałaś mi lata, bym mogła żyć. Pozwól, że odpłacę się tym samym.

Elena zasłoniła twarz i płakała. Bogowie zaś spoglądali po sobie przez chwilę, a potem Deanna ruszyła ku córce Mali. Szła z wdziękiem jelenia przemykającego przez las.

Aelin wypuściła powietrze z płuc i się pochyliła.

Nikt poza nią. Nie miała najmniejszego zamiaru zgodzić się na to, by poświęcony został jeszcze ktoś poza nią.

Deanna ujęła twarz Eleny w dłonie.

– Miałam nadzieję, że do tego dojdzie.

I zacisnęła ręce mocniej.

Mala buchnęła światłem, które było zarówno ostrzeżeniem, jak i okrzykiem bólu. Elena otworzyła szerzej oczy, a potem zaczęła pękać. Rozpadła się na tysiąc migotliwych kawałków, które zgasły, gdy spadły na ziemię.

Wrzask Aelin uwiązł jej w gardle. Nie była w stanie się podnieść. Deanna zaś wytarła widmowe dłonie i oznajmiła:

- Nie zawieramy umów ze śmiertelnikami. Już nie. Jeśli chcesz, zatrzymaj sobie Erawana.

Potem bogini przeszła przez Bramę do własnego świata.

Aelin wpatrywała się w miejsce, gdzie jeszcze przed kilkoma uderzeniami serca stała Elena.

Nie pozostało po niej nic.

Ani jeden migotliwy okruszek, który mogłaby posłać do Zaświatów, do jej towarzysza życia.

Zupełnie nic.

Więź między nimi rozpadała się.

Kłęczący, pochylony Rowan ciężko dyszał. Trzymał dłoń na piersi, gdy ich więź darła się na strzępy.

Trzymał się jej mocno, oplótł ją swą magią, wzmocnił swą duszą, jakby mógł w ten sposób pomóc Aelin, gdziekolwiek się znajdowała. Jakby mógł ją zatrzymać, by nie dotarła do miejsca, gdzie nie będzie mógł już za nią podążyć.

Nie godził się na to. Nie miał zamiaru przystawać na taki los. Nigdy.

Z wielkiej oddali dobiegały doń głosy Chaola i Doriana, którzy rozprawiali o czymś z ożywieniem. Nie interesowało go to.

Ich więź się darła i nie pozostawało mu nic innego, jak się jej trzymać.

Bogowie jeden po drugim przechodzili przez Bramę do własnego świata. Niektórzy obrzucali ją wzgardliwymi uśmiechami.

Nie mieli zamiaru zabrać ze sobą Erawana.

Nie chcieli zrobić dla niej niczego.

Aelin czuła pustkę. Jej dusza była rozszarpana na strzępy, a mimo to...

Mimo to...

Drapała spowitą mgłami ziemię, która nie była ziemią, a bogowie znikali. Aż pozostał tylko jeden. Jedna.

Słup światła i płomieni, jaśniejący pośród mgieł.

Mala zawahała się na progu jej świata.

Jakby sobie przypomniwała. Jakby naraz przypomniwała sobie Elenę i Brannona, jakby wiedziała, kto teraz przed nią klęczy. Krew z jej krwi. Ta, w której odrodziła się jej moc. Jej dziedziczka.

- Zamknij Bramę, Niosąca Ogień – powiedziała cicho Mala, ale się zawahała.

Z oddali napłynął głos innej kobiety. Kaltain.

„Dołóż wszelkich starań, by zostali ukarani. Wszyscy co do jednego!”.

„Tak się stanie” – złożyła jej wtedy obietnicę.

Okłamali ją. Zdradzili Elenę i Erileę, gdyż sami uznali się za zdradzonych. Ich zielony, opromieniony słonecznym blaskiem świat migotał w portalu.

Aelin podniosła się ze stęknieniem. Nie była owieczką prowadzoną na rzeź. Nie była ofiarą złożoną na ołtarzu większego dobra.

A poza tym miała jeszcze coś do powiedzenia.

Odpowiedziała wzrokiem na płonące spojrzenie Mali.

- Zrób to – powiedziała cicho bogini.

Aelin spojrzała ponad jej ramieniem na nieskazitelny, czysty świat, do którego bogowie od tak dawna chcieli powrócić. I uświadomiła sobie, że Mala wiedziała o wszystkim, bo ujrzała myśli w jej głowie.

- Nie chcesz mnie powstrzymać?

Mala wyciągnęła jedynie dłoń, na której leżała cząstka rozgrzanej do białości mocy. Upadła gwiazda.

- Weź to. Niech to będzie mój ostatni dar dla potomków.

Aelin mogła przysiąc, że bogini się uśmiechnęła.

- Za to, co chciałaś dla niej zrobić. Za to, że dla niej walczyłaś. Za nich wszystkich.

Aelin, chwiejąc się, zrobiła kilka kroków w kierunku bogini i mocy, którą ta jej podawała.

- Pamiętam – powiedziała cicho Mala, a jej słowa były jednocześnie radością, jak i bólem oraz miłością. – Pamiętam.

Aelin ujęła ową cząstkę mocy z jej dłoni. Patrzyła na wschód słońca zaklęty w jednym nasionku.

- Gdy będzie już po wszystkim, zamknij Bramę i pomyśl o domu. Znaki cię doprowadzą.

Aelin zamrugnęła, co było jedyną oznaką oszołomienia, na jaką było ją stać. Moc podarowana jej przez Malę zaczęła się bowiem rozszerzać, aż wypełniła całe jej ciało i połączyła potrzaskane fragmenty jej duszy. Wówczas bogini ponownie wyciągnęła dłoń, a wtedy pojawił się na niej obraz. Był to tatuaż znajdujący się na plecach Aelin. Ów nowy, przedstawiający rozłożone skrzydła, zawierający opowieść o niej i o Rowanie, wypisaną znakami Starej Mowy wśród piór.

Mala pstryknęła palcami i spomiędzy piór i słów uniosły się symbole.

Znaki Wyrda.

Rowan ukrył Znaki Wyrda w jej tatuażu. W całym tatuażu!

– To mapa do domu – powiedziała Mala, a symbole przygasły. – Do niego.

A więc podejrzewał. Domyślił się, że może do tego dojść. Poprosił ją, by nauczyła go Znaków, żeby mógł w tajemnicy przygotować dla niej drogę do domu.

Gdy Aelin spojrzała za siebie, na Bramę do własnego świata, miała wrażenie, iż je wyczuwa. Zupełnie jakby Znaki Wyrda, pozostawione przez Rowana na jej skórze, układały się w linię. W cumę łączącą ją z domem.

Linie ratunkową prowadzącą do wieczności.

Ostatni fortel.

Wtedy usłyszała inne słowa, które wypłynęły spomiędzy jej wspomnień, wypowiedziane kiedyś na dachu w Rifthold:

„A co poczniemy, gdy w istocie będziemy iść do przodu, a po drodze będziemy natrafiać na coraz więcej bólu i rozpacz?”.

„Wówczas trzeba będzie bardziej się postarać”.

Moc nadal nieprzerwanie wpływała w ciało Aelin. Uśmiechnęła się. To jeszcze nie koniec, a ona nie powiedziała ostatniego słowa.

Bogowie natomiast tak.

– Do lepszego świata – rzekła Mala i przeszła przez portal.

Do lepszego świata. Świata bez bogów. Bez władców losu. Świata

wolności.

Aelin podeszła do portalu prowadzącego do ojczyzny bogów. Ujrzała Małą, która szła po migotliwej trawie, przypominając jedynie kolumnę światła słonecznego.

Pani Światła zatrzymała się i uniosła rękę na pożegnanie.

Aelin uśmiechnęła się i ukloniła.

Bogowie, którzy szli już po odległych wzgórzach, również się zatrzymali.

Uśmiech Aelin nagle stał się ponury. Zagościły w nim złośliwość i gniew.

Nadal się uśmiechając, odnalazła świat, którego szukała, i pogrążyła się w jego wiecznej, okrutnej potędze.

Była już niewolnicą i była pionkiem, ale ten czas dobiegł końca. Nie będzie już ich zabawką. Nigdy.

Bogowie zaczęli krzyczeć i ruszyli ku niej biegiem, ale Aelin wyszarpnęła już dziurę w ich niebie. Jamę prowadzącą do świata, który widziała tylko raz, owej nocy w kamiennym zamku, kiedy przez przypadek otworzyła portal. Z ponurego, szarego bezmiaru poniósł się odległy, dziki skowyt.

Aelin otworzyła na oścież przejście do piekielnego wymiaru.

Nadal się uśmiechała, gdy zamknęła Bramę do świata bogów.

Ze środka dobiegały okrzyki oburzenia i grozy.

Musiała zrobić jeszcze jedną rzecz, jeśli chciała zamknąć Bramę na zawsze. Rozłożyła dłoń i przyjrzała się Zamkowi, który wykuła. Pozwoliła, by odpłynął ku zamglonej, wypełnionej drzwiami przestrzeni.

Nie bała się. Otworzyła drugą dłoń i uwolniła moc.

Ostatni dar Mali. Akt buntu i oporu.

Z dłoni buchnęła moc tysiąca eksplodujących słońc.

„Zamknij. Zabezpiecz. Zapieczętuj”.

Wyteżęła siłę woli, formując w umyśle rozkaz, i pchnęła w niego

moc. Mnóstwo mocy, która wnet utworzyła wezbraną rzekę, ale nie wyczerpała się całkowicie.

„Twój dług został już spłacony w wystarczającym stopniu”.

Mapa do domu. Mapa wytatuowana słowami wszechświatów miała ją doprowadzić do celu.

Jeszcze więcej mocy, jeszcze odrobinę. Ale nie wszystko.

Nie odda jej całej. Nie poświęci się. Nie podda.

Nie odbiorą jej tego ostatniego ziarna magii. Nie pozwoli na to.

Przez Zamek przepływało światło, które rozszczepiało się, jakby natrafiło na pryzmat. Poszczególne wiązki trafiały w każde kolejne drzwi.

Zamykały je, zatrzaskiwały, zaślepiały. Każde możliwe przejście przestawało istnieć.

Nie zniszczą jej. Nie pozwoli im na to.

„Wróc do mnie”.

Jeszcze trochę mocy.

Magia podarowana jej przez Małą płynęła z niej i wnikała w Zamek.

Nie wygrają.

Nie odbiorą jej wszystkiego.

Nie zawładną nią.

Nie zgadzała się na to.

Krzyczała teraz. Krzyczała i ryczała, by podkreślić swój opór, swą niezależność.

Strużka światła wystrzeliła ku Bramie za jej plecami i zaczęła ją zamykać.

Będzie żyć. Przetrwa, a ich niech trafi szlag.

Lepszy świat. Bez bogów i przeznaczenia.

Ich własny świat. Stworzony przez nich.

Aelin krzyczała i wrzeszczała, a jej krzyk niósł się po wszystkich światach.

Nie pokonają jej. Nie wydrą jej tego, co najcenniejsze – jej duszy.

„Dawno, dawno temu w pewnej krainie już dawno zrównanej z ziemią, żyła sobie księżniczka, która bardzo kochała swe królestwo...”.

Jej królestwo. Jej dom. Jej ojczyznę. Ujrzy je ponownie.

Jej walka nie dobiegła końca.

Brama za jej plecami powoli się zamykała.

Szansę miała niewielką. Wszak miała tego nie przeżyć. Nie była wystarczająco silna. Kto by pomyślał, że dotrze do tego momentu i nadal będzie oddychać?

Aelin nieświadomie ułożyła dłoń na piersi.

„Najważniejsze na świecie jest to, co mieszka w naszych sercach. Bez względu na to, dokąd się udasz, bez względu na to, jak daleko, przywiedzie cię do domu”.

Bez względu na to, gdzie była.

Bez względu na to, jak daleko dotarła.

Nawet gdyby zawędrowała poza granice znanych światów.

Aelin zacisnęła palce i przesunęła dłoń na bijące mocno serce.

„To przywiedzie cię do domu”.

Brama do Erilei była coraz bliżej.

Chodząca między światami. Wędrowiec.

Skoro inni potrafili tego dokonać, jej tym bardziej się uda. Musiała odnaleźć drogę do domu.

Nie była już Królową, Która Została Obiecana, ale Królową, Która Chodziła Między Światami.

Nie ulegnie w ciszy.

Nie bała się.

Wyszarpnęła więc część mocy podarowanej jej przez Małą, potęgę, która miała przywrócić równowagę, i cisnęła nią w stronę Zamka.

Ostatnią cząstkę.

A potem skoczyła przez Bramę.

Spadała i spadała.

Brama Wyrda zamykała się za nią, a ona wciąż jeszcze nie była w domu.

W miarę jak zatrzaskiwały się wrota, wszystkie światy zaczęły na siebie nachodzić, a ona spadała przez nie. Jeden, drugi, trzeci, następny, kolejne. Światy wody, światy lodu, światy ciemności. Przebijała się przez nie szybciej niż spadająca gwiazda, szybciej niż światło.

Dom.

Musiała odnaleźć dom.

Światy światła, światy wież sięgających nieba, światy ciszy.

Tyle ich było...

Istniało tyle światów, a każdy z nich był cudowny, bezcenny i doskonały. Aelin spadała i spadała, a serce jej pękało, gdy na nie patrzyła.

Dom. Droga do domu...

Po omacku szukała więzi w swej duszy, więzi wygrawerowanej na jej skórze.

„Wróć do mnie”.

Przelatywała przez coraz to kolejne światy.

Zbyt szybko.

Bała się, że gdy natrafi na swój własny, przemknie przez niego i nie zdoła wyhamować. Ale nie mogła zwolnić. Nie mogła się zatrzymać. Wirowała, obracała się, przenikała przez kolejne uniwersa.

„Najważniejsze na świecie jest to, co mieszka w naszych sercach. Bez względu na to, dokąd się udasz, bez względu na to, jak daleko, przywiedzie cię do domu”.

Aelin wrzasnęła. Fragment jej duszy zajaśniał niczym błyskawica na

niebie. Więż stała się silniejsza. Mocniejsza. Zaczęła ją ściągać.

Spadała za szybko. Musiała zwolnić...

Z desperacją zanurzyła się w resztki siebie, w to, co jej pozostało, wyszarpnęła z własnego wnętrza pozostałości mocy, by jakoś spowolnić upadek.

Przemknęła przez świat, gdzie ujrzała miasto otoczone zakrętem rzeki. Jego budowle były nieprawdopodobnie wysokie i migotały licznymi światłami. Potem przemknęła przez świat deszczu, wiatru i zieleni.

Wrzeszczała i próbowała zwolnić.

Przeleciała przez świat oceanów, w którym nie było ani skrawka lądu.

Była już blisko. Tak blisko domu, że niemalże czuła zapach sosny i śniegu. Jeśli nie zdoła się zatrzymać, jeśli go przegapi...

Przemknęła przez świat zaśnieżonych gór, wznoszących się pod jaśniejącymi gwiazdami. Przeleciała nad jednym ze szczytów, gdzie skrzydlaty mężczyzna stał obok kobiety w zaawansowanej ciąży i wpatrywał się w gwiazdy.

„To Fae – pomyślała. – Ale to wciąż nie mój świat”.

Wyciągnęła rękę, jakby chciała dać im sygnał, jakby mogli jej w jakikolwiek sposób pomóc, choć dla nich była tylko niewidzialną plamką mocy... Mknęła przez rozgwieżdżone niebo, gdy skrzydlaty mężczyzna, przystojny ponad miarę, niespodziewanie obrócił ku niej głowę i wznosił rękę, jakby chciał ją pozdrowić.

Uderzyła w nią wiązka ciemnej magii przypominająca łagodny wiatr podczas letniej nocy. Nie był to atak, lecz raczej próba spowolnienia jej upadku. Ściana, bariera, przez którą się przebiła, ale...

Ale zwolniła. Moc skrzydlatego mężczyzny wyhamowała jej szalony upadek.

Aelin znikła z jego świata bez najcichszego szeptu.

I nagle była na miejscu. Sosny i śnieg, wijące się pasmo górskie, bezmiar Dębowej Puszczy po prawej i Pustkowiec po lewej stronie. Świat wielu ludów, wielu istot.

Ujrzała ich wszystkich, znanych jej i obcych, walczących ze sobą i żyjących w pokoju, zamieszkujących wielkie miasta, jak i skrytych w głuszy. Ujrzała tylu ludzi. Ujrzała Erileę.

Rzuciła się ku nim. Pochwyciła więź i z wrzaskiem pomknęła wzdłuż niej. W dół.

Do domu.

Domu.

To jeszcze nie koniec. Nie powiedziała ostatniego słowa.

Ogromnym wysiłkiem woli zmusiła zarówno świat, jak i siebie do zatrzymania się. W tej samej chwili Brama Wyrda zatrzasnęła się z głuchym łoskotem, a wraz z nią wszystkie pozostałe drzwi.

A Aelin wskoczyła do własnego ciała.

Znaki Wyrda spłowiwały i wniknęły w skalisty grunt, gdy nad Endovier wstało słońce.

Rowan klęczał przed Aelin i szykował się na jej ostatni oddech. Liczył na to, że umierając, jakoś zdoła pociągnąć go za sobą. Wiedział, że jej koniec będzie oznaczał również jego śmierć. Wszak szedł zawsze wszędzie tam, gdzie ona.

Wtedy jednak poczuł coś. Wyczuł to, gdy słońce wzniosło się wyżej. Po postrzępionej, pękającej więzi przemknęło coś nowego.

Rozbłysk światła i ciepła, który zespolił pozrywane włókna.

Rowan przestał oddychać. Nie odważył się obudzić w sobie nadziei.

Nawet gdy Aelin osunęła się na kolana w miejscu, gdzie w nocy wyrysowała Znaki Wyrda.

Rowan czuwał. Pochwycił jej bezwładne ciało i usłyszał uderzenie serca, które rozbrzmiało w jego uszach i wniknęło do jego duszy. Patrzył na jej pierś, unoszącą się i opadającą.

I na jej powieki, które rozchyliły się powoli miękko.

Zapach łez Doriana i Chaola zastąpił woń soli Endovier, gdy Aelin spojrzała na Rowana i uśmiechnęła się.

Rowan przygarnął ją do piersi i szlochał w blasku rodzącego się dnia.

Naraz słaba dłoń przemknęła po jego plecach, tam gdzie znajdował się tatuaz, jakby próbowała z desperacką nadzieją odnaleźć symbole ukryte tam przez niego.

– Wróciłam – wychrypiała.

Jej ciało było ciepłe, a jednocześnie zimne. Czuła się w nim obco. Usiadła i stęknęła z bólu.

– Co tam się stało? – spytał Dorian, podtrzymywany w talii przez Chaola.

Aelin złączyła dłonie, nad którymi pojawił się drobny ognik.

Nic więcej.

Spojrzała na Rowana, a potem na Chaola i Dorianą, bladych i wymizerowanych w blasku świtu.

– Znikła – powiedziała cicho. – Moja moc.

Ognik otaczał jej dłonie, gdy nimi obracała.

– Pozostała mi tylko resztką żaru.

Milczeli.

Mimo to Aelin uśmiechnęła się. Brak wielkiej studni w jej duszy, brak kotłującego się morza ognia wcale jej nie przeszkadzał. Z daru Mali, dziękującej jej za próbę obrony Eleny, pozostało jeszcze trochę, ale w żaden sposób nie wykraczało to ponad przeciętność. Mimo to...

Sięgnęła w głąb i dotarła do pewnego miejsca w swej duszy. Przyłożyła dłoń do piersi i poczuła bijące serce.

Serce Fae. Taka była cena.

Oddała z siebie wszystko. Poświęciła swe życie. Ludzkie życie. Swą śmiertelność. Wszystko, co ludzkie, spłonęło na popiół, obróciło się w pył między światami.

Nie będzie już przemian. Pozostało jej tylko ciało Fae.

Powiedziała im o tym, a potem opowiedziała całą historię.

A gdy skończyła, nadal w objęciach Rowana, wyciągnęła dłoń raz jeszcze. Chciała ponownie ujrzeć to, co się na niej znajdowało.

Być może był to również ostatni dar Mali. Być może bogini również

zależało na tym, by zachować tę cząstkę Aelin, która pojawiła się teraz na jej dłoni. Ową kroplę wody.

Dar jej matki.

To właśnie Aelin próbowała ocalić do samego końca. Z tym nie chciała się rozstać do chwili, gdy ostatnie strzępy jej mocy zostaną wchłonięte przez Zamek i Bramę Wyrda.

Wyciągnęła drugą dłoń, na której zamigotał promyk.

Zwykły dar. Nic wielkiego. Nie była już Niosącą Ogień.

Ale nadal była Aelin.

Mocny kopniak Kylliana obudził Aediona przed świtem.

Generał jęknął i przeciągnął się na pryczy, rozstawionej we wciąż spowitej mrokiem Wielkiej Sali. Wokół spały setki innych żołnierzy, których ciężkie chrapanie było jedynym odgłosem w pomieszczeniu. Zmrużył brwi, patrząc na niewielką latarnię, którą trzymał przed nim Kyllian.

– Już czas – powiedział. W jego przekrwionych oczach czaiło się skrajne znużenie.

Wszyscy byli wyczerpani. Skrajnie wyczerpani.

Ale żyli. Minał tydzień od ofiary złożonej przez Trzynastkę, która odepchnęła siły Morath, a oni nadal żyli. Czyn wiedźm podarował im cały dzień wytchnienia. Raptem jeden dzień, po którym Morath znów ruszył na mury Orynthu.

Aedion zarzucił na ramiona ciężki futrzany płaszcz, którym nakrył się we śnie, i skrzywił się, gdy dotarł doń pulsujący ból lewego ramienia. Zawdzięczał tę ranę tylko swej niefrasobliwości – zapomniał na moment o konieczności zasłonięcia się tarczą, a wtedy drasnął go któryś z żołdaków Valgów.

Ale przynajmniej nie kuśtykał. Przynajmniej obrażenia zadane mu przez księcia Valgów zdążyły się zagoić.

Zarzucił więc tarczę na to samo ramię, przypiął miecz i ruszył w stronę wyjścia, stąpając ostrożnie, by nie nadepnąć na nikogo ze śpiących. Skinął głową na Kylliana, który podążył za nim ku murom miasta.

Po wyjściu z Wielkiej Sali Aedion skręcił jednak w lewo i skierował się ku północnej wieży.

Szedł przez mróz, otoczony ciszą, jakby zamek stał się grobowcem.

Zastukał lekko do drewnianych drzwi blisko szczytu wieży, a te natychmiast otworzyły się i zamknęły. Lysandra wyslizgnęła się na korytarz, nim Evangeline zdołała choćby poruszyć się w łóżku.

W migotliwym blasku świecy Aediona cienie na twarzy zmiennokształtnej, pozostawione przez nieustającą walkę od świtu do nocy, były głębsze i wyraźniejsze.

– Gotowa? – spytał cicho, odwracając się ku schodom.

To stało się ich nową tradycją – odprowadzał Lysandrę na noc, a potem witał się z nią wczesnym rankiem. Dla nich obojga były to jedyne jasne chwile podczas tych długich, przerażających dni. Czasami towarzyszyła im Evangeline, która z przejęciem opowiadała o wszystkich ważnych zadaniach, jakie wypełniała dla Darrowa. Czasami szli we dwoje, ciężko powłócząc nogami.

Lysandra milczała. Z każdym pokonanym stopniem jej chód tracił na wdzięczności.

– Śniadanie? – spytał Aedion, gdy byli już prawie na dole.

Skinęła głową. Jajka i zimne mięso ustąpiły miejsca owsiance i gorącemu rosółowi. Dwie noce temu po zakończeniu walk Lysandra odleciała pod postacią wywerny i powróciła godzinę później, dźwigając po jeleniu w każdej pazurzastej łapie.

Bezcenne mięso znikło o wiele za szybko.

Dotarli na sam dół. Aedion skręcił w kierunku sal, gdzie wydawano jedzenie, ale Lysandra zatrzymała go, kładąc mu rękę na ramieniu. Obrócił się ku niej w półmroku korytarza.

Zmiennokształtna, której piękną twarz szpeciło ogromne znużenie, otoczyła go tylko ramionami i przycisnęła policzek do jego piersi. Wsparła na nim cały ciężar ciała. Aedion odstawił świecę na pobliski parapet, po czym przytulił ją mocniej.

Niemalże zawisła na nim, jakby nie była już dłużej w stanie wytrzymać własnego zmęczenia. Oparł podbródek na jej głowie i zamknął oczy. Wdychał jej ciągle zmieniający się zapach. Ich serca biły mocno, gdy powolnymi, kojącymi ruchami przesuwał dłoń po jej kręgosłupie.

Nie sypiali razem. Nie było na to nawet miejsca. Stworzyli natomiast ten rytuał, który Lysandra zapoczątkowała owej nocy po samobójstwie Trzynastki. Zawsze zatrzymywała go w tym miejscu i przytulała przez długie minuty, aż ból i rozpacz cichły na tyle, że mogli ruszyć w dalszą drogę.

Odsunęła się nieco, ale nie wyzwoliła się do końca z jego ramion.

– Gotowy? – spytała.

– Kończą nam się strzały – powiedziała Petrah Błękitnokrwista do Manon w błękitnoszarej poświacie tuż przed świtem. Szły przez gniazdowisko zaimprovizowane na szczycie jednej z wież. – Może warto by któryś z mniej bitnych sabatów, trochę ich dla nas zrobił.

– Dobrze – odpowiedziała Manon i przyjrzała się obcym dla niej wywnom, które dzieliły przestrzeń z Abraxosem.

Jej rumak już się zbudził. Samotny i zziębnięty wpatrywał się w pole bitwy za murami miasta. W krąg wypalanej ziemi, której nawet śnieg nie zdołał do końca zasypać.

Sama Manon też wpatrywała się w ten krąg przez długie godziny. Nie była w stanie obojętnie go minąć nawet w środku najzacieklejszej bitwy.

Jej serce i ciało były puste.

Tylko ruch, tylko obowiązki i codzienna rutyna powstrzymywały ją przed zwinięciem się w kłębek w kącie gniazdowiska na wieki. Musiała się ruszać. Musiała, i tyle.

W przeciwnym razie przestałaby w ogóle funkcjonować.

Nie przejmowała się tym, czy inni to widzieli. Było jej to obojętne.

Zauważyła to na pewno Ansel z Briarcliff, która wypatrzyła ją w Wielkiej Sali ostatniego wieczoru. Rudowłosa wojowniczką usiadła obok niej. Jej uwadze nie uszło, że Manon nawet nie tknęła jedzenia.

– Przykro mi – powiedziała.

Wiedźma nadal wpatrywała się w talerz z niemalże nietkniętym posiłkiem. Młoda królowa rozejrzała się po sali, w której panowała poważna atmosfera.

– Straciłam większość moich żołnierzy – rzekła. Jej piegowata twarz pobladła. – Siepacze Morath wyróżnili ich przed twoim przybyciem.

Manon z trudem uniosła głowę i spojrzała na Ansel. Przechwyciła jej ciężkie spojrzenie. Zamrugła raz, co było jedynym potwierdzeniem, na jakie się zdobyła.

Ansel sięgnęła po pajdę chleba Manon, urwała z niej kawałek i ugryzła.

– Możemy się podzielić. Wiesz, mam na myśli Pustkowie. Jeśli przełamiesz klątwę.

Kilka wieźm siedzących dalej przy stole znieruchomiało, ale żadna nie spojrzała ku nim.

– Uszanuję stare granice Wieźmiego Królestwa – ciągnęła Ansel. – Ale resztę zatrzymam. – Powstała, biorąc chleb Manon. – Zastanów się nad tym, jeśli będziesz miała chwilę. – Po tych słowach odeszła zawiadackim krokiem ku grupce własnych żołnierzy.

Manon nie spojrzała nawet za nią, ale zapamiętała jej słowa i jej propozycję. Miała się podzielić ziemią. Miała odzyskać to, czym niegdyś władały, ale nie całe Pustkowie.

„Sprowadź nasz lud do domu, Manon”.

Ciągle słyszała echo tych słów.

– Mogłabyś też darować sobie dziś walkę – dodała Petrah i oparła dłoń na boku wierzchowca. – Mogłabyś wykorzystać ten dzień, by pomóc innym. By odpocząć.

Manon wpatrywała się w nią.

Choć poległy dwie Matrony oraz Iskra i wciąż nie było śladu po matce Petrah, Żelaznozębne utrzymały dyscyplinę i nadal przysparzały Manon, Petrah i Crochan mnóstwo kłopotów. Każdego dnia coraz mniej wieźm wracało do Orynthu.

– Nikt inny nie odpoczywa – powiedziała chłodno Manon.

– Ale każdej z nas udaje się przespać – rzekła Petrah i nawet nie mrugnęła, gdy Manon wbiła w nią ostry wzrok. – Myślisz, że nie widzę, jak każdej nocy leżysz z otwartymi szeroko oczami?

– Nie potrzebuję odpoczynku.

– Wyczerpanie może być równie groźne jak każda inna broń. Odpocznij dziś. Dołączysz do nas jutro.

Manon odsłoniła zęby.

– Od kiedy ty tu dowodzisz? – warknęła.

Petrah nawet nie pochyliła głowy.

- Walcz więc, jeśli sobie tego życzysz, ale nie zapominaj, że od ciebie zależy życie wielu ludzi i wiem. Jeśli zginiesz dlatego, że zmęczenie odebrało ci sprawność, wszyscy ucierpimy z tego powodu.

Była to mądra, rozsądna rada.

Mimo to Manon spojrzała na pole bitwy, na morze ciemności, które właśnie ukazało się jej oczom. Wiedziała, że za jakąś godzinę rozpocznie się walenie w kotły i na nowo rozlegnie się wrzawa bitewna.

Nie mogła teraz przerwać. Nie miała takiego zamiaru.

- Żadnego odpoczynku. – Manon odwróciła się, by odnaleźć Bronwen w części zajętej przez Crochan. Wiedziała, że przynajmniej ona jedna nie będzie miała tak idiotycznych pomysłów.

Choć była przekonana, że Glennis poparłaby Petrah.

Błękitnokrwista westchnęła, co tylko rozdrażniło Manon.

- A więc do zobaczenia na polu bitwy.

Okolo południa ryk i zgiełk bitewny zamieniały się w uszach Evangeline w odległy, niewyraźny szum. Choć wiał lodowaty wiatr, po plecach dziewczynki pod warstwami odzieży spływał zimny pot. Znowu biegła po schodach murów obronnych, niosąc wiadomość w ręku. Darrow i pozostali lordowie stali w tym samym miejscu, w którym stawali od dwóch tygodni, i wpatrywali się w pole bitwy.

Evangeline otrzymała wiadomość od pewnej Crochan, która wylądowała dosłownie na sekundę – jej nogi ledwie dotknęły ziemi. List od samej Bronwen.

Dziewczynka wiedziała już, że to dość dziwne, bo Żelaznozębne oraz Crochan rzadko kiedy miały coś do przekazania ludziom. To, że Crochan ją znalazła, że wiedziała, kim jest... W sercu Evangeline zamiast lęku zagościła duma. Tym szybciej pognęła po schodach, a potem po murze do lorda Darrowa.

Staremu lordowi towarzyszył Murtaugh, który widząc hamującą Evangeline, w porę wyciągnął rękę.

- Ostrożnie! – zawołał. – Lód potrafi być niebezpieczny!

Evangeline pokiwała głową, choć nie miała najmniejszej ochoty

zwracać uwagi na jego ostrzeżenia, nawet jeśli poprzedniego dnia poślizgnęła się i spadła ze schodów. Dobrze, że nikt tego nie widział, a zwłaszcza Lysandra. Gdyby zauważyła siniaka, który rozlał się na jej nodze, i podobnego na jej przedramieniu, zamknęłaby ją w wieży.

Lord Darrow przeczytał wiadomość i zmarszczył brwi.

- Bronwen przekazuje, że Crochan zauważyły wieżę oblężniczą, holowaną przez Morath ku zachodniemu murowi. Dotrze tu za jakąś godzinę, może dwie.

Evangeline spojrzała na chaos panujący na murach, gdzie z niezwykłą dzielnością walczyli Aedion, Ren i Zguba, a potem na niebo, gdzie wiemy toczyły własną bitwę i pod postacią wywerny walczyła również Lysandra. W istocie, z tej odległości można już było wypatrzyć ogromny, przesuwany się powoli kształt.

Zrobiło jej się niedobrze.

- Czy to... jedna z tych wiedźmich wież? – spytała.

- Nie, coś innego – burknął Darrow z typową dla niego szorstkością.
- Dzięki bogom.

- Ale to nadal śmiertelne niebezpieczeństwo – dodał Murtaugh. – Choć na inny sposób. – Stary Allsbrook zmarszczył brwi, patrząc na Darrowa. – Chyba lepiej zejść na dół – dodał.

Evangeline zamrugwała. Przecież żaden ze starszych lordów nie walczył na murach.

- Chcesz ich ostrzec? – spytał ostrożnie Darrow.

Murtaugh poklepał rękojeść swego miecza.

- Aedionowi i Renowi brakuje ludzi – rzekł. – Kyllianowi również, jeśli nadal wmawiasz sobie, że to on tu dowodzi. – Wpatrywał się dobitnie w Darrowa, który zeszywniał, słysząc jego słowa. – Obronię zachodni mur. I zajmę się tą wieżą. – Mrugnął do Evangeline i dodał:
- Przecież nie wszyscy możemy być dzielnymi posłańcami, prawda?

Dziewczynka zmusiła się do uśmiechu, choć poczuła narastający lęk.

- Czy... czy mam ostrzec Aediona, że tam pójdziesz?

- Sam mu to powiem – rzekł Murtaugh i zmierzwił jej włosy, przechodząc obok. – Uważaj na lodzie – przypomniał jej.

Darrow nie próbował nawet go zatrzymać, gdy Murtaugh ruszył po murze. Wydawał się jakże powolny, stary i kruchy, a mimo to trzymał wysoko głowę i nie garbił się.

Gdyby Evangeline mogła wybrać dla siebie dziadka, na pewno byłby to on.

Darrow patrzył w ślad za nim ze ściągniętą twarzą.

– Stary dureń – powiedział, gdy Murtaugh znikł, ale w jego oczach, gdy zwrócił się ku bitwie, błyszczała troska.

Już nie była człowiekiem.

Jej uszy, spiczaste już na zawsze, rejestrowały jej chrapliwy oddech, gdy szła w kierunku obozującej armii, podtrzymywana przez Rowana.

Nie wypuścił jej ani razu. Ani na chwilę od jej powrotu. Od momentu, gdy wróciła z wędrówki między światami.

Nadal je widziała. Nawet idąc w ciszy pod drzewami, gdzie mrok nocy ustępował szarawemu porankowi, widziała każdy ze światów, przez które się przebiła.

Może nigdy ich nie zapomni. Może ona jedna na tym świecie i na wszystkich innych wiedziała, co kryje się za niewidzialnymi ścianami, które je rozdzielały. Ile życia tam mieszkało. Ile miłości, ile nienawiści, ile woli przetrwania.

Tyle światów. Nie była w stanie ogarnąć ich umysłem. Czy już na zawsze będą się pojawiać w jej snach? Widziała je raptem przez moment, więc nie była w stanie ich zbadać. Czy więc tęsknota za nimi zagnieździła się już w jej duszy?

Konary Dębowej Puszczy krzyżowały się nad jej głową niczym pręty klatki. Tak jak jej ciało. Jak ten świat.

Odpędziła tę myśl. Żyła, a przecież powinna była zginąć. Nawet jeśli ludzka część jej natury uległa zagładzie i całkiem się roztopiła.

Widziała już skraj obozu. Spojrzała na swe dłonie. Były zimne. Kąsał je chłód.

Tak, została całkowicie odmieniona.

– Co im powiesz? – spytał Dorian, gdy zbliżali się do pierwszych *rukhin*.

Były to pierwsze słowa, które wypowiedział od chwili, kiedy rozpoczęli drogę powrotną.

– Prawdę – rzekła Aelin. Uznała, że to jedyne, co może zaproponować reszcie. – Przykro mi z powodu twego ojca – dodała po chwili.

Chłodny wiatr odganiał kosmyki włosów z czoła Doriana.

– Mnie również – powiedział, wsparłszy dłoń na rękojeści Damaris.

Idący u jego boku Chaol milczał, choć co chwila zerkał na swego króla. Strzegł go tak jak zawsze.

Minęli pierwsze ruki, które przyjrzały im się uważnie. Na skraju namiotów czekali Lorcan, Fenrys, Gavriel i Elide.

Chaol i Dorian mruknęli coś o tym, że trzeba ściągnąć pozostałych dowódców, i odeszli.

Aelin, trzymając się blisko Rowana, podeszła do członków swego dworu. Fenrys otaksował ją wzrokiem od stóp do głów i rozchylił nozdrza, by wciągnąć jej zapach. Zatoczył się lekko, a w jego oczach pojawiła się zgroza. Gavriel tylko pobladł.

– Udało ci się, prawda? – westchnęła z niedowierzaniem Elide.

Ale Lorcan zeszywniał, jakby wyczuł w niej zmianę.

– Ty... ty nie jesteś człowiekiem! – rzucił.

Rowan warknął ostrzegawczo.

Aelin spojrzała na nich, na towarzyszy, którzy tyle poświęcili i zdecydowali, że do niej dołączą. Przeznaczenie wciąż na nich czekało.

Osiągnęła sukces, a mimo to całkowicie zawiodła.

Erawan pozostał w Erilei. Jego armia nadal tu była, a oni nie mogli już liczyć na Niosącą Ogień, Klucze Wyrda czy pomoc bogów.

– Odeszli? – spytała cicho Elide.

Aelin pokiwała głową. Wyjaśni im wszystko później.

Bogobójczyni. Stała się bogobójczynią, choć wcale tego nie żałowała. Wcale a wcale.

– Czy ty... – Elide zwróciła się do Lorcana. – Czy ty czujesz się jakoś inaczej? – Miała na myśli brak bogów, którzy dotąd ich strzegli.

Lorcan uniósł głowę i spojrzał na drzewa, jakby próbował odnaleźć odpowiedź wśród ich splątanych gałęzi. Jakby szukał tam Hellasa.

– Nie – przyznał.

– Co to właściwie oznacza? – zastanowił się Gavriel, gdy pierwsze

promienie słońca ozłociły jego włosy. – Co to znaczy, że odeszli? Czy istnieje jakiś piekielny wymiar, gdzie opustoszał tron?

– Trochę za wcześnie na takie filozoficzne bzdety – rzekł Fenrys i uśmiechnął się do Aelin, choć jego uśmiech nie dotarł do oczu. Miał ochotę ją zbesztać. Nie za to, co zrobiła, ale za to, że im nie powiedziała. Mimo to nadal próbował obrócić wszystko w żart.

Tymczasem był skazany na zagładę. Ów cudowny, wilczy uśmiech mógł za kilka dni zniknąć na zawsze.

Ba, oni wszyscy mogli zginąć za kilka dni.

Przez nią.

Rowan wyczytał to w jej oczach i twarzy. Obejmujące ją ramię stwardniało.

– Poszukajmy innych.

Stojąc we wnętrzu jednego ze wspaniałych namiotów wojennych kagana, Dorian wyciągnął dłonie nad własnym ogniem i skrzywił się.

– Narada mogła pójść lepiej – rzekł.

Chaol siedział po drugiej stronie ognia z Yrene na kolanach i bawił się jej warkoczem.

– Trudno się sprzeciwić.

Yrene zmarszczyła brwi.

– Nie wiem, jak to możliwe, że po prostu nie odeszła i nie dała reszcie zgnić. Ja bym tak zrobiła.

– Zawsze liczyć się z potęgą poczucia winy, gdy sprawa dotyczy Aelin Galathynius – rzekł Dorian i westchnął. Wezwany przez niego ogień załopotał.

– Zamknęła Bramę Wyrda. – Yrene westchnęła i się skrzywiła. – Przynajmniej za to powinni być jej wdzięczni.

– Och, nie mam wątpliwości, że są. – Chaol również ściągnął brwi.

– Ale fakt pozostaje faktem. Aelin obiecała jedno, a zrobiła drugie.

W rzeczy samej. Dorian nie miał pojęcia, co myśleć o wyborze Aelin. Nie wiedział, co sądzić o tym, że postanowiła wymienić

Erawana na Elenę. Postawiła bogom nowy warunek, a ci ją zdradzili.

W odpowiedzi Aelin zniszczyła ich wszystkich.

– Jakie to dla niej typowe. – Dorian chciał zażartować, ale nie udało mu się. Miał wrażenie, że jeszcze nie do końca wyrwał się z owego miejsca nad miejscami, tym bardziej że on również poświęcił część siebie. Magia, która jeszcze wczoraj wydawała mu się bezkresna, teraz miała bardzo realne, wyraźne granice. Nadal władał sporą mocą, ale nie wydawało mu się, by za jej pomocą był w stanie kruszyć szklane zamki czy burzyć twierdze. Nie wiedział, czy ma czuć z tego powodu ulgę.

Tak czy owak wciąż posiadał więcej mocy niż Aelin, która spaliła wszystkie swoje zasoby. Pozostała jej jedynie drobna cząstka tego, co Mala podarowała jej, by zapieczętować Bramę i pokarać bogów, którzy zdradzili je obie.

Na samą myśl o tym nadal robiło mu się niedobrze, a na wspomnienie tego, jak Aelin postanowiła wyrzucić go z owego miejsca i nie miejsca, nadal zgrzytał zębami. Nie chodziło mu bynajmniej o jej wybór, ale to, że jego ojciec...

Nie, kiedy indziej przemyśli jego rolę w tym wszystkim. Albo nigdy.

Jego bezimienny ojciec, który odnalazł go pod koniec najtrudniejszej misji.

Chaol wcale o to nie pytał. Nie naciskał. Dorian wiedział, że jeśli kiedyś zechce o tym porozmawiać, jego przyjaciel będzie czekał.

– Aelin nie zabiła Erawana – powiedział Chaol. – Ale przynajmniej ten nie będzie mógł już sprowadzić swych braci. Lub wykorzystać Kluczy do zniszczenia nas wszystkich. Tego możemy być pewni.

Nie będzie już naszyjników. Nie ma już komnaty pod mroczną fortecą, w której kryło się ich więcej.

Yrene przeczesła dłońmi brązowe włosy Chaola, a Dorian na widok miłości, która przepływała swobodnie między nimi, spróbował zdusić ból w sercu.

Nie żywił do Chaola urazy z powodu jego szczęścia, mimo to ból w jego sercu budził się zawsze, gdy widział go z Yrene. Za każdym razem, gdy dostrzegał uzdrowicielki z Torre, żałował, że Sorscha nigdy do nich nie dotarła.

- A więc świat został tylko częściowo uratowany – powiedziała Yrene. – Lepsze to niż nic.

Dorian uśmiechnął się, słysząc jej słowa. Już uwielbiał żonę przyjaciela. Pewnie sam wziąłby z nią ślub, gdyby miał ku temu okazję, choć jego myśli ciągle umykały ku północy, ku złotoookiej wiedźmie, która tańczyła ze śmiercią i wcale się jej nie bała. Czy myślała czasem o nim? Czy zadawała sobie pytanie, co się stało z nim w Morath?

- Aelin i ja wciąż dysponujemy magią – rzekł. – Nie mamy jej tyle co kiedyś, ale trochę zostało. Nie jesteśmy całkowicie bezradni.

- Wystarczy jej, by rzucić wyzwanie Erawanowi? – W brązowych oczach Chaola pojawiła się ostrożność. – Oraz Maeve?

- Znajdziemy jakiś sposób – odparł młody król.

W duchu chciał się pomodlić, by okazało się to prawdą, ale przecież w tym świecie nie było się już do kogo modlić.

Elide zerknęła na Aelin, gdy kąpały się w namiocie królowej. Dzięki jej mocy woda przyniesiona do ich wanien pozostawała przyjemnie ciepła.

Aelin zapewne potrzebowała się odprężyć po okropnym spotkaniu z potomkami kagana, jakie miało miejsce po jej nieoczekiwanym powrocie.

Tryumfalnym powrocie, choć nie do końca.

Królowej udało się wyeliminować jedno zagrożenie, ale pozostawały jeszcze inne.

Dobrze ukrywała swe emocje, ale Elide trafnie odczytywała mowę jej ciała. Widziała, jak królowa siedzi całkowicie nieruchomo. Widziała, jak drapieźnie przechyla głowę.

Była tego świadkiem już rano. Patrzyła na całkowity bezruch Aelin, gdy ją przepytywano i krytykowano, gdy na nią krzyczano i jej wymyślano.

Królowa nie była tak cicha od chwili, gdy uciekła od Maeve, ale pochylała głowę nie z powodu traumy, ale poczucia winy. Zgrozy. Wstydu.

To Elide wyszła z propozycją zażycia gorącej kąpiel. Chciała w ten sposób dać księciu Rowanowi okazję, by mógł polecieć daleko w świat i rozładować choć część targających nim emocji. Aelin natomiast potrzebowała chwili, aby dojść do siebie. Zresztą Elide i tak planowała tego poranka kąpiel, choć wyobrażała sobie, że w sąsiedniej wannie znajdzie się ktoś inny.

Lorcan przypuszczalnie nie zdawał sobie sprawy z tego pomysłu. Ucałował ją tylko w skroń i odszedł, by wraz z Fenrysem i Gavrielem pomóc w szykowaniu armii do wymarszu na północ.

Aelin myślała swe długie włosy, spływające mokrymi kosmykami na jej ramiona. W blasku żaru z koszy tatuaże na jej plecach wydawały się falować niczym żywa, czarna rzeka.

– Nadal masz swą magię? – odezwała się nagle Elide.

Aelin obróciła ku niej spojrzenie turkusowych oczu.

– Woda jest ciepła, tak?

Elide parsknęła i musnęła powierzchnię.

– Tak.

– A więc chciałybyś się zapewne dowiedzieć, ile mi jej zostało.

– A wolno mi to wiedzieć?

– Nie kłamałam na naradzie – odparła Aelin głuchym głosem. Stała przed przybyszami z kaganatu i znosiła wszystko bez skrzywienia, zarówno pytania wykrzyczane przez Hasar, jak i każdy grymas niezadowolenia ze strony Sartaqa. – To jakby... – Uniosła ramiona i ułożyła jedną dłoń trzydzieści centymetrów nad drugą. – Kiedyś dno mej studni z magią znajdowało się tu. – Zamachała palcami dłoni na dole. – A teraz znajduje się tu. – Dolną dłoń od górnej dzieliło teraz pięć centymetrów.

– Sprawdziłaś to?

– Czuję to. – W jej turkusowych oczach, pomimo wszystkiego, czego dokonała, zalegały cienie. Elide dostrzegała też w nich powagę i niepokój. – Nigdy dotąd nie wyczuwałam w niej dna, a teraz nie muszę nawet długo szukać, by na nie trafić. – Zanurzyła namydloną głowę w wodzie, a potem zaczęła płukać włosy. – Nie robi wrażenia, co?

– Nigdy jakoś nie przejmowałam się tym, czy posiadasz magię, czy też nie.

– Dlaczego? Dla wszystkich innych było to niezwykle ważne – oznajmiła Aelin pustym głosem.

W istocie, gdy byli dziećmi, wielu obawiało się mocy, którą władała mała Aelin, i tego, na kogo wyrośnie.

– To nie magia czyni cię tym, kim jesteś – rzekła Elide.

– Nie? – Aelin oparła głowę o krawędź wanny. – A ja lubiłam moją magię. Kochałam ją.

– A co z ludzką częścią twego życia? – spytała Elide, choć wiedziała, że nie powinna zadawać takich pytań.

Aelin zerknęła na nią z ukosa.

– Czy w głębi serca nie jestem nadal wystarczająco ludzka? Nawet bez ludzkiego ciała? – zapytała.

Elide się zamyśliła.

– Myślę, że nikt inny poza tobą nie jest w stanie odpowiedzieć na to pytanie.

Aelin mruknęła i znów się zanurzyła. Gdy pojawiła się na powierzchni, Elide spytała:

– Boisz się? Boisz się bitwy z Erawanem?

Aelin opłotła ramionami kolana. Tatuaż na skórze jej pleców rozciągnął się. Milczała przez moment.

– Nie boję się dotrzeć na czas do Orynthu – powiedziała po chwili.
– Jeśli Erawan uzna za stosowne ściągnąć swe gnijące dupsko na pole bitwy, by ze mną walczyć, wtedy pomyślę, jak sobie dać z tym radę.

– A Maeve? Co będzie, jeśli Maeve przybędzie wraz z Erawanem?

Elide jednakże знаła odpowiedź na to pytanie. Wówczas zginą. Wszyscy.

Musiał istnieć jakiś sposób. Na pewno była jakaś metoda na pokonanie ich obojga. Elide przypuszczała, że Anneith już jej raczej nie pomoże. Nadszedł więc czas, by zacząć polegać na sobie, choć w chwilach takich jak ta wolałaby chyba mieć czyjeś wsparcie.

– Tyle pytań, pani Perranthu.

Elide zarumieniła się i sięgnęła po mydło, by wyszorować ramiona.

– Przepraszam.

– Wiesz już, dlaczego nie poprosiłam cię o złożenie przysięgi krwi?

– Twoi Fae nadal się z tym nie pogodzili i ciągle cię o to wypytują.

– Tak, ale podoba mi się, że nie jesteś ze mną związana. – Aelin cicho westchnęła. – Nie przygotowałam się na to.

– Na co?

– Na to, że przeżyję wykuwanie Zamka. Że wrócę. Że będę musiała naprawdę panować. I żyć. Wygląda na to, że znalazłam się na nieznanych mi wodach.

Elide zastanowiła się, a potem ściągnęła z palca złoty pierścień. Silby, a nie Mali.

– Proszę – powiedziała i podała go Aelin. Z jej ramienia ściekała woda z mydłem.

– Czemu mi to dajesz? – Królowa zamruwała.

– Bo z nas dwóch ty masz większe szanse na konfrontację z Erawanem czy Maeve.

Aelin nie wyciągała ręki.

– Wolałabym, byś to ty go zatrzymała.

– A ja chciałabym, by trafił do ciebie – upierała się Elide, nie uginając się pod wzrokiem królowej. – Nie poświęciłaś już zbyt wiele, Aelin? – spytała cicho. – Pozwól wreszcie, by któreś z nas zrobiło coś dla ciebie.

Aelin zerknęła na pierścień.

– Poniosłam porażkę. Chyba zdajesz sobie z tego sprawę, co?

– Wsunęłaś Klucze do Bramy. To nie porażka. Zresztą oddałabym ci ten pierścień, nawet gdyby nic ci się nie udało.

– Mam dług wobec twojej matki. Muszę dopilnować, byś przeżyła ten chaos.

Elide poczuła ucisk w piersi.

– Twój dług wobec mojej matki polega na czymś innym, Aelin. To ty masz przeżyć. – Przechyliła się i praktycznie wcisnęła jej pierścień

w twarz. – Weź go. Jeśli nie dla mnie, to przynajmniej dla niej.

Aelin spojrzała na pierścień, a potem wzięła go od Elide, która stłumiła westchnienie ulgi, gdy królowa wsunęła podarunek na palec.

– Dziękuję – szepnęła.

Elide Lochan chciała odpowiedzieć, gdy nagle poły namiotu uniosły się i do środka wpadł podmuch zimnego wiatru. Potem weszła Borte.

– Kąpiecie się, a mnie nie zaprosiłyście? – spytała, marszcząc brwi i spoglądając na królową z udawanym oburzeniem.

Kąciki ust Aelin drgnęły.

– Zawsze myślałam, że *rukhin* są zbyt twardzi na kąpiele.

– A widziałaś, jak bardzo nasi mężczyźni dbają o włosy? Czy nie sugeruje to obsesji na punkcie czystości? – Borte weszła do środka i opadła na stołek obok wanny królowej. To, że obie kąpiące się były całkowicie nagie, najwyraźniej wcale jej nie przeszkadzało.

Elide największym wysiłkiem woli powstrzymała odruch zakrycia swojej nagości. Dopóki przebywała w namiocie jedynie w towarzystwie Aelin, zasłaniały ją wysokie brzegi wanny, ale Borte usiadła nad nimi i nie było już ucieczki...

– Oto, co myślę – oznajmiła Borte i podrzuciła jeden ze swoich warkoczy. Aelin uśmiechnęła się lekko. – Hasar to marudna baba, a poza tym narzeka na zimno. Sartaq przywykł do takich warunków i nic mu nie przeszkadza. Kashin próbuje jak najlepiej rozładować sytuację, ponieważ jest miły aż do przesady, ale wszyscy oni są... Jak to ująć? Odrobinę zdenerwowani tym, że idziemy na przynajmniej stutysięczną armię, a Erawan nie został wyeliminowany z gry. Maeve zresztą też nie. Innymi słowy, są wściekli. Lubią cię, ale szlag ich trafił.

– Domyśliłam się tego – rzekła sucho Aelin – gdy Hasar nazwała mnie głupią krową.

Elide musiała się powstrzymać ze wszystkich sił, by nie skoczyć na księżniczkę. Głośny pomruk wszystkich Fae – nawet Lorcana, na bogów! – dowodził, że oni również znieśli to z trudem.

Borte jednakże machnęła z lekceważeniem dłonią.

– Hasar wyzywa wszystkich od głupich krów. Trafiłaś między

swoich.

Aelin znów się uśmiechnęła.

– Ale nie o tym chciałam rozmawiać. Chciałam pogadać o mnie i o tobie.

– Mój ulubiony temat. – Aelin zachichotała.

Borte wyszczerzyła zęby.

– Żyjesz. Udało ci się, dopięłaś swego, choć wszyscy sądziliśmy, że nie wyjdiesz z tego cała. – Dla podkreślenia wagi swych słów przeciągnęła dłońią po szyi.

Elide się wzdrygnęła.

– Sartaq pewnie będzie chciał, bym dowodziła jednym ze skrzydeł podczas bitwy, ale to już robiłam. I co więcej, dobrze mi szło. – Borte uśmiechnęła się jeszcze szerzej. – Teraz chcę dowodzić twoim skrzydłem.

– Ale ja nie mam niczego takiego.

– No to z kim ruszysz do bitwy?

– Jeszcze się nad tym nie zastanawiałam. – Aelin uniosła brew. – Bo ja też sądziłam, że nie wyjdę z tego cało.

– No to się zastanów. I wypatruj mnie nad sobą. Nie chcę po prostu, by bitwa okazała się nudna.

Tylko *rukhin* o ostrym, przenikliwym spojrzeniu marsz na sto tysięcy żołdaków mógłby się skojarzyć z czymś nudnym.

Nim Aelin zdołała powiedzieć cokolwiek, a Elide zadać pytanie, czy ruki poradzą sobie z wyvernami, Borte już wyszła. Elide przeniosła więc wzrok na znów poważną twarz królowej.

Ta ruchem głowy wskazała wejście do namiotu.

– Pada śnieg – stwierdziła.

– Pada od kilku dni praktycznie bez przerwy – rzekła Elide.

Niemalże słyszała, jak królowa przetyka ślinę.

– Ale to północny śnieg.

Burza uderzyła w ich obóz z taką gwałtownością, że Nesryn i Sartaq kazali rąkom schronić się na resztę dnia i noc. Wszyscy mieli wrażenie, że po przekroczeniu granicy Terrasenu kilka dni temu znaleźli się w krainie zimy.

– Idziemy dalej na północ – powiedział Kashin, który rozsiadł się przy ogniu w wielkim, pysznym namiocie Hasar.

– Jakby była inna opcja – parsknęła Hasar i upiła łyk grzanego wina. – Dotarliśmy tak daleko, to i do Orynthu też możemy dojść.

Nesryn, która siedziała na niskiej sofie z Sartakiem, wciąż zastanawiała się, cóż takiego właściwie robiła na tych spotkaniach. Wciąż nie mogła się nadziwić temu, że towarzyszy dostojnikom z krwi kagana, a sama zasiada u boku następcy tronu.

Cesarzowa. To słowo wydawało się wisieć nad nią przez cały czas. Towarzyszyło każdemu oddechowi, każdemu krokowi.

– Nasz lud walczył już przeciwko takiej przewadze – rzekł Sartaq. – Podaliśmy i tym razem.

Sartaq w istocie każdej nocy, zamiast kłaść się na spoczynek, czytał opowieści i dzienniki słynnych wojowników i przywódców kaganatu z dawnych czasów. Zabrał ze sobą cały kufer takich dzieł właśnie w tym celu. Powiedział jej, że dobrze znał większość z nich, ale nie zaszkodziło odświeżyć sobie pamięć.

Nesryn przyklasnęła temu w duchu. Sama była gotowa zrobić wszystko, by zyskać jakąkolwiek dodatkową szansę w walce z taką masą wrogów.

– Jeśli ta śnieżycyca się nie uspokoi – Hasar spojrzała w kierunku zasznurowanych ciasno kłap namiotu – z nikim nie będziemy musieli już walczyć. Ślubuję, że po powrocie do Antiki nie wybiorę się już w żadną podróż.

– A co z twoją żądzą przygód, siostrze? – Kashin uśmiechnął się lekko.

– Gwałtownie przygasa w tym zamrażającym piekle – burknęła Hasar.

Nesryn roześmiała się cicho, a Sartaq zarzucił jej rękę na ramię. Zwyczajny, beztroski gest.

– Nie cofamy się – powiedział. – Idziemy pod mury Orynthu.

Złożyliśmy obietnicę, a danego słowa nigdy nie łamiemy.

Nesryn zakochałaby się w nim już za samo to stwierdzenie. Pochyliła się ku niemu w milczeniu, rozkoszując się jego ciepłem, jakby w ten sposób chciała mu podziękować.

- A więc módlmy się – rzekł Kashin – by ta śnieżycą nie zatrzymała nas zbyt długo. Bo w przeciwnym razie z murów Orynthu może niewiele zostać.

Przygotowali dla niego niedużą komnatę niedaleko Wielkiej Sali i ustawili w niej tyle świec, ile można było poświęcić. Starożytne kamienie odbijały blask ich roztańczonych płomyków. Ułożyli go na stojącym na środku komnaty stole.

Lysandra stała w drzwiach i wpatrywała się w owinięte prześcieradłem ciało.

Ren klęczał przed nim z pochyloną głową. Nie drgnął od wielu godzin. Od chwili, gdy o zachodzie słońca dotarły doń wieści o tym, że Murtaugh poległ w walce.

Został ścięty, gdy próbował zatrzymać napór żołnierzy Valgów, którzy wdarli się na mury dzięki jednej ze swoich wież oblężniczych. Jego ciało zniesiono z umocnień w asyście wielu żołnierzy.

Nawet wysoko na niebie, gdzie zamieniona w wywernę Lysandra wraz z wiedźmami odparła właśnie kolejny atak Żelaznozębnych, słyhać było przeraźliwy krzyk Rena. Widziała, jak zbiega z murów i pędzi w stronę ciała niesionego po ulicach miasta.

Aedion przypadł do niego w kilka sekund. Złapał młodego, zalanego łzami lorda i niemalże poniósł go naprzód, choć sam ociekał krwią z nowych ran. Przyniósł go tu i pozostał wraz z nim. Nie odstąpił go ani o krok. Stał za Renem i przez cały ten czas trzymał mu dłoń na ramieniu.

Lysandra przyszła wraz z Evangeline. Tulila oszołomioną, zapłakaną dziewczynkę i stała tuż za nią, gdy ta podeszła do ciała Murtaugh'a i wycisnęła mu pocałunek na czole. Aedion dbał o to, by z ciała poległego nie zsunęło się prześcieradło. Nie chciał, by dziewczynka widziała jego rany.

Zmiennokształtna ruszyła za podopieczną do komnaty w chwili, gdy przybył Darrow i pozostali.

Nie zaszczyliła starego lorda ani jednym spojrzeniem. Zignorowała wszystkich, którzy nie mieli odwagi postąpić tak jak Murtaugh. Wszyscy mówili o tym, że skrzyknął obrońców zachodniego muru

i dzielnie nimi dowodził, aż wspólnymi siłami przewrócili wieżę. Odnieśli cenne, acz kosztowne zwycięstwo.

Lysandra pomogła Evangeline wykąpać się, przyniosła jej gorący posiłek i ułożyła ją do snu.

Gdy wróciła do komnaty, w której ułożono Murtaughę, zastała Rena wciąż klęczącego przed jego ciałem i Aediona trzymającego dłoń na ramieniu młodzieńca.

Dołączyła więc do czuwania, stojąc w drzwiach komnaty. Jej magia powoli się uzupełniała, a odniesione tego dnia rany zasklepiały. Aedion powiedział coś do Rena i cofnął dłoń. Lysandra pomyślała, że były to zapewne pierwsze jego słowa od wielu godzin.

Aedion odwrócił się ku niej i zamrugał. Wydawał się pusty w środku. Wypatroszony.

Był wyczerpany, zrozpaczony i dźwigał ciężar, którego ona nie potrafiła nawet pojąć. Nie potrafił już nawet chodzić ze zwykłą dla siebie gracją. Wyszedł na korytarz, powłócząc nogami. Lysandra wyszła za nim, obrzucając klęczącego Rena ostatnim spojrzeniem. Młody lord nadal pochylał głowę.

Otaczała go jakże straszna cisza.

Lysandra szła za Aedionem, który skierował się ku jadalni. O tej porze nie było już wiele jedzenia, ale wiedziała, że coś znajdzie. Dla nich obojga. Była gotowa udać się na polowanie, gdyby to było konieczne.

Otworzyła usta, by mu o tym powiedzieć, ale po twarzy generała spłynęły łzy, które pozostawiły kanaliki we krwi zaschniętej na skórze.

Lysandra zatrzymała się i objęła go czule.

Nie spojrzał jej w oczy, gdy otarła mu łzy z policzka. Potem z drugiego.

– Powinienem był walczyć na zachodnim murze – powiedział łamiącym się głosem.

Nie знаła słów, które mogłyby przynieść mu ulgę. Znów otarła jego łzy, których nie pokazałby nikomu innemu, które ronił tylko dlatego, że inni już spali.

Nadal nie patrzył jej w oczy, a więc ujęła jego twarz i uniosła

głowę.

Przez trwające wieczność uderzenie serca wpatrywali się w siebie. Nie mogła znieść owej czerni, owego żalu w jego oczach.

Wspięła się na palce i musnęła jego usta wargami. Był to cień pocałunku, obietnica życia, podczas gdy dookoła tańczyła śmierć.

Cofnęła się, ale uznała, że na twarzy Aediona nadal widnieje rozpacz. Pocałowała go więc ponownie, tym razem dłużej, i szepnęła:

– Był dobrym człowiekiem. Dzielnym i szlachetnym. Tak jak ty. – Pocałowała go po raz trzeci. – A gdy ta wojna się skończy, obojętnie jak, nadal będę przy tobie. Obojętnie, czy w tym życiu, czy też w kolejnym, Aedionie.

Generał zamknął oczy, jakby wciągał jej słowa w płuca niczym zapach. Jego pierś unosiła się i opadała, a rozłożyste ramiona drżały. Potem otworzył oczy, w których zapłonęły turkusowe płomienie, podsycane przez rozpacz, gniew i niezgodę na otaczającą ich śmierć.

Jednym ramieniem otoczył jej talię, drugą dłoń wsunął w jej włosy, po czym odchylił jej głowę, by wpić się w usta dziewczyny.

Pocałunek przeszył ją aż do szpiku kości. Zarzuciła mu ramiona na szyję i przytuliła go mocno. Byli sami w ciemnym, cichym korytarzu w zamczysku otoczonym przez śmierć czającą się na pobojuwisku i Lysandra całkowicie uległa jego ustom. Nie powstrzymała jęknięcia, gdy ich języki się spotkały.

Ów cichy odgłos uwolnił jego żądzę. Aedion obrócił ją i przyparł do muru. Lysandra wygięła ciało i wpiła się w niego, chcąc czuć go wszędzie, a on mruczał dziko, nie przerywając pocałunku. Dłoń na jej biodrze przesunęła się na udo, po czym Aedion dźwignął ją na wysokość swej talii i napał na nią, dokładnie tam, gdzie go potrzebowała.

Wówczas oderwał usta od jej warg i zaczął badać jej szyję, linię szczęki, ucho. Lysandra szeptała jego imię i gładziła go po muskularnych plecach, prężących się pod jej dotykiem.

Więcej, więcej, jeszcze więcej.

Więcej tego życia, więcej tego ognia, by spalić wszystkie cienie.

Więcej jego samego.

Lysandra oparła dłonie na jego piersi, łaknąc ciepła jego skóry. Aedion skubnął ją w ucho, musnął zębami skórę policzka i pochwycił usta w kolejnym potężnym pocałunku, który wydusił z niej jęknięcie.

W korytarzu rozległy się czyjeś kroki, a potem znaczące kasznięcie. Aedion znieruchomiał.

Cholera, chyba byli za głośno.

Nawet nie drgnął, choć Lysandra spuściła nogi, którymi oplatała jego talię. Wartownik przeszedł obok nich ze spuszczonego wzrokiem. Aedion wiódł za nim spojrzeniem, w którym nie było nic ludzkiego. Przypominał drapieżnika, który wreszcie odnalazł ofiarę.

Nie, nie ofiarę. Partnera. Towarzyszkę życia.

Gdy wartownik zniknął za murem, bez wątpienia spiesząc, by powiedzieć reszcie o tym, co właśnie przerwał, a Aedion pochylił się, by ją znów pocałować, Lysandra zatrzymała go, kładąc mu dłoń na ustach.

- Jutro – szepnęła.

Aedion warknął cicho, choć bez agresji.

- Jutro – powtórzyła Lysandra, po czym pocałowała go w policzek i wyslizgnęła się z jego objęć. – Przeżyj kolejny dzień, a... a podejmiemy temat.

Oddychał chrapliwie, a w jego oczach błysnęła czujność.

- Skąd to wszystko? Z litości? – spytał ponurym głosem.

Lysandra nakryła dłonią jego zarośnięty policzek i pocałowała go w usta. Chciała posmakować go raz jeszcze.

- Nie. To przez to, że mam dość tej śmierci wokół nas. I bardzo cię potrzebuję.

Aedion jęknął cicho, z bólem, przez co Lysandra pocałowała go ponownie. Musnęła nawet językiem krawędzie jego ust. Rozchylił dla niej wargi i znów połączyli się z namiętnością, a ich dłonie zaczęły po sobie błdzić. Dziewczyna jednakże ponownie zdołała się uwolnić.

- Jutro, Aedionie – szepnęła równie chrapliwie jak on.

- Strzał zostało na jakieś trzy dni, może cztery, jeśli będziemy

oszczędzać – rzekł lord Darrow, który z założonymi ramionami spoglądał na sprawozdania.

Manon wcale nie darzyła starca niechęcią, a nawet podziwiała go za żelazną kontrolę, jaką sprawował nad obrońcami, ale cowieczorne rady wojenne zaczynały ją nużyć, tym bardziej że podczas tych spotkań ich uszu dochodziły coraz bardziej ponure wieści.

Jeszcze wczoraj towarzyszył im lord Murtaugh.

Dziś w naradzie wziął udział jedynie jego syn, który siedział na krześle z podkrążonymi oczami. Przypominał żywego upiora.

– A co z jedzeniem? – zapytał Aedion z drugiej strony stołu. Generał również nie prezentował się najlepiej, jak zresztą wszyscy w sali, wyczerpani i bladzi.

– Zapasów mamy przynajmniej na miesiąc – rzekł Darrow. – Ale niewiele nam to da, jeśli nie będzie komu bronić murów.

– Paliwo do ognistych lanc właściwie się kończy – dodał kapitan Rolfe. – Będziemy mieli sporo szczęścia, jeśli uda się z nich skorzystać jeszcze jutro.

– A więc je też oszczędzajcie – rzekła Manon. – I strzelajcie jedynie do wysokich rangą Valgów, którzy zdołają wdrzeć się na mury.

Rolfe pokiwał głową. Kolejny człowiek, którego wiedźma darzyła niechętnym podziwem, choć jego cynizm mocno ją irytował.

Robiła wszystko, by nie patrzeć na zamknięte drzwi do sali, gdzie powinny stać Asterin i Sorrel, strzegąc jej.

Zamiast nich znajdowały się tam Petrah i Bronwen, nie jako jej zastępczynie, ale reprezentantki własnych frakcji.

– Powiedzmy, że strzał starczy na cztery dni. – Ansel z Briarcliff zmarszczyła brwi. – A paliwa do lanc na trzy, jeśli będziemy naprawdę oszczędzać. Co nam później pozostanie?

– Katapulty nadal działają – odpowiedziała srebrnowłosa wojowniczką Fae.

– Można za ich pomocą razić wroga w polu – rzekł książę Galan, który podobnie jak Aedion miał takie same oczy jak Aelin. – Nie nadają się do walki z bliska.

– Pozostaną więc miecze – rzekł Aedion ochryple. – I odwaga.

„Choć tej też zaczyna brakować” – pomyślała Manon, a głośno powiedziała:

– Utrzymamy Żelaznozębne z dala od miasta, ale na murach wam nie pomożemy.

W istocie walczyły przeciwko nieprzebranej ćmie, która wydawała się nie zmniejszać.

– Czyli to koniec? – spytała Ansel. – Za cztery, pięć dni ukłękniemy przed Morath?

– Będziemy walczyć do ostatniego człowieka – warknął Aedion. – Do ostatniego.

Nawet lord Darrow się nie sprzeciwił. Narada dobiegła końca i dowódcy zaczęli się rozchodzić.

Nie było już zresztą nad czym radzić. Za kilka dni wszyscy mieli stać się ucztą dla kruków.

Śnieżyca zatrzymała ich armię na dobre.

Pierwszego dnia szalała tak gwałtownie, że Rowan nie widział nic na odległość kilku kroków. Ruki nie mogły wzbić się do lotu i wysłano jedynie najtwardszych zwiadowców, oczywiście drogą lądową.

Armia utknęła więc po przebyciu raptem osiemdziesięciu kilometrów od granicy Terrasenu. Do Orynthu pozostał im tydzień marszu.

„Gdyby Aelin nadal władała pełną mocą... – myślał Rowan, siedząc w namiocie obok swej towarzyszki życia, żony i królowej, rozpartej na niskiej sofie. – Nie. O tym, co było kiedyś, trzeba już zapomnieć”.

Aelin w chwili obecnej dysponowała mocą porównywalną do tej, którą miała w Mistward, kiedy wciąż nie mogła uwolnić jej pełni. Nie było jej tak mało jak w chwili przybycia do Wendlyn, ale na pewno o wiele mniej niż wtedy, gdy otoczyła całe Doranelle płomieniami.

Nie było jej tyle, by mogła wyjść cało z pojedynku z Erawanem. I z Maeve.

Mniejsza z tym. Rowana niespecjalnie obchodziło, czy Aelin władała całą mocą pod słońcem, czy zgoła niczym. Nigdy nie miało to dla niego znaczenia.

Na zewnątrz zawył wiatr i namiot zadygotał.

– Zawsze jest tak źle? – spytał Fenrys, który spojrzał na drżące ściany namiotu, marszcząc przy tym brwi.

– Tak – odpowiedziały jednocześnie Elide i Aelin, po czym uśmiechnęły się do siebie.

Uśmiech na ustach Aelin był ostatnio wielką rzadkością. Elide spoważniała jednak szybko i powiedziała:

– Taka burza może potrwać kilka dni i stworzyć ogromne zaspę.

– Bardzo nas to spowolni, a to dopiero początek problemów – burknął Lorcan, nachylony nad koszem. – Jak tylko ruszymy w drogę, zaczną się odmrożenia.

– Stopię go tyle, ile zdołam. – Aelin również spoważniała.

Rowan wiedział, że da z siebie wszystko. Że doprowadzi się na skraj przepalenia, jeśli się uprze, ale razem, jeśli połączą swe moce, będą w stanie wytopić drogę dla całej armii i ogrzać ją przy tym.

– Mimo to dotrzemy pod Orynth wyczerpani – rzekł Gavriel i potarł szczękę.

Rowan od wielu dni widział, jak Lew wpatruje się w północ, gdzie jego syn walczył w obronie Orynthu. Bez wątpienia zastanawiał się, czy Aedion nadal żyje.

– Ci ludzie to weterani – rzekł sucho Fenrys. – Dadzą radę.

– A o drodze okrężnej nie ma co myśleć – dodał Lorcan. – To tylko spotęguje zmęczenie.

– Wedle ostatnich wieści – podjął Rowan – Morath przejął Perranth. Przez twarz Elide przemknął ból.

– Nie będziemy więc ryzykować i przechodzić blisko miasta. Istnieje bowiem ryzyko, że wdalibyśmy się w bitwę, która pociągnęłaby za sobą dalsze opóźnienia i zapewne również straty.

– Kilkanaście razy przyglądałem się mapom. – Gavriel spojrzał na arkusze rozłożone na stole. – Nie ma innej drogi do Orynthu, Rowanie. Musimy przejść w pobliżu Perranthu.

– Może nam się poszczęści i ta śnieżyca porazi całą północ – rzekł Fenrys. – I zamrozi dla nas część armii Morath.

Rowan nie wierzył, że zostało im aż tyle szczęścia. Miał raczej wrażenie, że ostatnie jego rezerwy znikły w chwili, gdy odzyskał siedzącą obok niego kobietę.

Aelin spojrzała na niego z powagą i zmęczeniem. Nie zdawał sobie sprawy z tego, jak ciężko musiało jej być. Wszak tyle poświęciła. Oddała swe człowieczeństwo i swą magię, ale wiedział, że utrata ludzkiej natury była dla niej większym ciosem. To przez to w jej oczach nadal widniały ból i niedowierzanie. Czuła się we własnym ciele jak ktoś obcy.

Zeszłej nocy Rowan spędził sporo czasu, odświeżając jej znajomość z niektórymi obszarami tego ciała. I własnego zresztą również. Trwało to długo, ale w końcu zaczęła się wić i płonąć w jego objęciach. Nie

powstrzymywał swych łez, a te padały i zamieniały się w parę w zetknięciu z jej skórą. W jej oczach również widział łyż jasnym srebrem w blasku świateł.

Mimo to dziś rano, gdy obudził ją pocałunkami w policzki i szyję, niepokój i zgroza w jej oczach powróciły. I nadal nie zniknęły.

Najpierw utraciła blizny. Potem śmiertelne, ludzkie ciało.

Dość. Dość już poświęciła. Wiedział jednak, że jest gotowa oddać jeszcze więcej.

Zwiadowca *rukhin* stanął przed namiotem i poprosił o widzenie z królową. Aelin cichym głosem nakazała mu wejść do środka, ale przybysz wsunął jedynie głowę. Była to kobieta w kapturze przysypanym śniegiem, który osiadł również na jej brwiach i powiekach. Otworzyła szeroko oczy i powiedziała:

– Wasza Królewska Mość... eee... Królewskie Moście! – poprawiła się, patrząc na niego.

Rowan nie miał ochoty jej poprawiać i tłumaczyć, że jest tylko i Książecą Mością i że to nie zmieni się nigdy, tym bardziej że zwiadowczynie wysapała:

– Musicie przyjść! – Jej oddech kłębił się wokół ust, a do namiotu wdzierały się podmuchy mroźnego powietrza. – Wszyscy!

Minęła dłuższa chwila, nim założyli ciepłe płaszcze i przygotowali się na śnieg oraz wiatr. W ślad za *rukhin* ruszyli przez zaspy, mijając zasypane do połowy namioty. Nawet wśród drzew próżno było szukać schronienia przed nawałnicą.

Wkrótce dotarli na skraj obozu, gdzie znów oślepił ich śnieg. Zwiadowczynie wyciągnęła rękę i powiedziała:

– Spójrzcie!

Idąca przy nim Aelin potknęła się. Wyciągnął rękę, by się nie przewróciła, ale wtedy uzmysłowił sobie, że jego żona wcale nie ma zamiaru upaść. Wychyliła się jedynie, jakby chciała rzucić się do biegu.

Wtedy zobaczył to samo co ona. Ujrzał tego, kto wyłonił się spomiędzy drzew.

Białe futro czyniło go niemalże niewidzialnym na tle śniegu

i zapewne całkiem by się z nim złął, gdyby nie złociste płomienie migoczące między dumnymi, wysokimi rogami.

Patrzył na Władcę Północy.

Wokół jego nóg i wszędzie dookoła roili się Mali Ludzie.

Aelin stała przez moment nieruchomo. Do jej rzęs przywierały płatki śniegu. Westchnęła cicho, gdy najbliższy z ludków uniósł dłoń i zaczął poruszać palcem, jakby chciał powiedzieć: „Chodź za mną”. Pozostali wpatrywali się w milczeniu w niezwykłego, dumnego jelenia, który wyszedł, by ich powitać.

By zaprowadzić królową Terrasenu do domu.

A wtedy wiatr zaczął szeptać, lecz nie tę pieśń, którą Rowan zazwyczaj słyszał. Nie, tym razem był to głos, który przemknął obok nich wszystkich. Głos, który wszyscy usłyszeli.

– Nad Orynth nadciąga zagłada, Dziedziczko Brannona! Pospiesz się!

Po plecach Rowana spłynął dreszcz, który nie miał nic wspólnego z mroźną aurą.

– Zatrzymała nas burza – bąknęła Aelin. Śnieżyca niemalże pochłonęła jej słowa.

– Pospiesz się! – odparł głos stary niczym drzewa i skały między nimi. – Pokażemy ci drogę! Przemkniesz szybko i niespostrzeżenie.

Aelin znieruchomiała.

– Już tyle razy mi pomogliście...

– A ty wycierpiałaś tyle poświęceń, Dziedziczko Brannona. My go pamiętamy i dobrze wiemy, że podjąłby te same decyzje co ty, gdyby miał taką sposobność. Dębowa Puszcza nigdy nie zapomni Brannona i jego Dziedziczki.

Aelin wyprostowała się i spojrzała na drzewa oraz niesione wiatrem tumany śniegu.

„Driady” – przypomniał sobie Rowan. Tego słowa właśnie szukał. Driady. Duchy drzew.

– Czego chcecie w zamian? – spytała Aelin donośniejszym głosem.

– Naprawdę musisz o to pytać? – mruknął Fenrys.

Rowan warknął na niego, ale Aelin znieruchomiała, czekając na odpowiedź. Na głos Dębowej Puszczy, Małych Ludzi i istot, które od zawsze o nich dbały.

– Lepszego świata – odparła w końcu driada. – Nawet dla nas.

W obozie rozpoczęły się gorączkowe przygotowania do pospiesznego wymarszu na północ. Aelin jednakże zaciągnęła Rowana do ich namiotu i pokazała mu stos ksiąg, które Chaol i Yrene ściągnęli z południowego kontynentu. Musnęła palcem ich grzbiety, szukając odpowiedniego tytułu.

– Co robisz? – spytał jej mąż.

Aelin, zignorowawszy pytanie, mruzczała do siebie przez moment, aż znalazła odpowiednią księgę i ją wyciągnęła. Przekartkowała ją ostrożnie, by nie uszkodzić starych stron.

– Może i jestem głupią krową – burknęła i pokazała Rowanowi stronę, której szukała – ale nadal trzymają się mnie dobre pomysły.

Oczy Rowana zaiskrzyły.

„Chcesz mnie wciągnąć do tej intrygi, księżniczko?”

Aelin uśmiechnęła się krzywo.

„Nie chciałabym, byś czuł się pominięty”.

Rowan przechylił głowę.

– A więc musimy się pospieszyć.

Wsłuchana w gwar armii szykującej się do wymarszu, Aelin skinęła głową i wzięła się do pracy.

Zdyszany Aedion oparł się o sfatygowane, poszczerbione mury miasta i spojrzał na wycofującą się armię Morath. Krople potu i krwi błyskawicznie zamarzały na jego ciele.

To, że najeźdźcy przerywali szturm o zmroku, wydawało się wręcz chorem dowcipem, a na pewno okrutną torturą. Przypominało to wręcz jakąś wyuzdaną uprzejmość, zupełnie jakby istoty, które zakaziły tylu ludzi, potrzebowały światła do życia.

Aedion jednakże doskonale wiedział, skąd się biorą takie rozkazy Erawana. Chciał zamęczyć ich regularnymi, codziennymi szturmami i zabić w nich ducha. Przywódcy armii ciemności nie zależało na zwycięstwie czy podboju, ale na ich całkowitym poddaniu. Chciał, aby błagali go, by wszystko zakończył i wreszcie nimi zawładnął.

Aedion zgrzytnął zębami i pokuśtykał w dół. Światło dnia szybko gasło, a temperatura spadała gwałtownie.

Pięć dni.

Szacowali, że amunicji wystarczy im na trzy lub cztery dni. Skończyła się dziś.

Mycenianka stojąca niedaleko na murze posłała strugę ognia w Valga próbującego się wspiąć po drabinie oblężniczej. Spaliła go, a po nim kilku następnych, którzy polecili na ziemię. Przy kobiecie stał Rolfe, równie zakrwawiony i spocony jak Aedion.

Dłoń w czarnej, pancernej rękawicy zacisnęła się na blankach obok Aediona, szukając dobrego punktu zaczepienia. Młodzieniec, nawet nie patrząc, rąbnął w nią krawędzią tarczy. Stęknienie bólu, a potem głośny, oddalający się wrzask były wystarczającym dowodem na to, że wróg spadł na ziemię.

Rolfe uśmiechnął się ponuro, gdy Aedion się zatrzymał. Zbroja ciążyła mu, jakby obwiesił się tysiącem kamieni. Nad ich głowami Crochan i Żelaznozębne niespiesznie przelatowały nad miastem. Czerwone płaszcze łopotały nad miotłami, błoniaste skrzydła powoli, nieregularnie tłukły powietrze. Aedion wpatrywał się w niebo do

chwili, gdy ujrzał samotną wywernę bez jeźdźca, której poszukiwał wzrokiem co wieczór.

Lysandra zauważyła go, odbiła w bok i zaczęła powoli opadać ku murom. Machała skrzydłami z wyraźnym trudem.

Tylu poległych. Z każdym dniem przybywało ich coraz więcej. Ilość zabitych ciążyła mu coraz bardziej. Nie był w stanie zrobić niczego, co mogłoby to naprawić.

– Łucznicy są właściwie wyłączeni z gry – powiedział do Rolfe'a. – Nie ma już strzał.

Lysandra zbliżała się, zboczona krwią własną oraz wrogów.

Pirat wskazał ruchem głowy Myceniankę, której ognista lanca nadal pluła ogniem, kaszląc przy tym i parskając. Lysandra wylądowała i powróciła do ludzkiej postaci w oślepiającym rozbłysku. Natychmiast wtuliła się w Aediona, który zasłonił ją tarczą. Jedynym pozdrowieniem był lekki, przelotny pocałunek. Czekał na to każdego wieczoru, bo nic innego już mu nie pozostało.

Czasami, gdy coś zjedli i opatrzyli obrażenia, Aedionowi udawało się dostać nieco więcej niż tylko pocałunek. Często nie chciało im się nawet myć przed znalezieniem dla siebie ustronnej alkowy. Wówczas nie było niczego poza nią. Niczego poza absolutną perfekcją jej ciała i jej cichymi westchnieniami, gdy lizał jej szyję, gdy jego dłonie eksplorowały każdy centymetr jej skóry. Pozwalał jej wyznaczyć tempo. Chciał, by pokazywała mu i mówiła, jak daleko chce zabrnąć. Do pełnego zbliżenia między nimi jednakże jeszcze nie doszło.

Oboje chcieli mieć coś, na co warto było czekać. Żadne z nich nie powiedziało tego na głos, ale oboje powzięli takie postanowienie.

Lysandra cuchnęła krwią Valgów, mimo to Aedion wycisnął kolejny pocałunek na jej skroni, nim znów spojrział na Rolfe'a.

Władca Piratów uśmiechnął się ponuro. Doskonale wiedział, że to były zapewne ich ostatnie dni. Może nawet ostatnie godziny.

Mycenianka wycelowała ponownie i ostatni z Valgów poleciał w ciemność. Pozostały z niego jedynie spalone kości i łopoczące strzępy ubrania.

– No i koniec – powiedział cicho Rolfe.

Minęła chwila, nim Aedion uświadomił sobie, że nie chodziło mu

wcale o ostatniego wrogiego żołnierza tego wieczoru.

Myceniarka odstawiła lancę z ciężkim metalicznym stuknięciem.

– Nie ma już paliwa – dodał Rolfe.

Nad Oryntem zapadła ciemność tak gęsta, że nawet ogień w zamku zdawały się kurczyć. Evangeline stała u boku milczącego Darrowa i wpatrywała się w zmęczonych żołnierzy, którzy schodzili z murów, i w równie znużone, lądujące wieżmy. Z oddali nadciągało już rytmiczne walenie w bębny.

Przypominało bicie serca, jakby wroga armia na równinie była ogromną bestią, szykującą się, by ich pożreć.

Na ogół wróg walił w bębny od wschodu do zachodu słońca, ale łoskot był zagłuszany przez zgiełk bitwy. To, że zaczynali ponownie po zachodzie słońca...

Evangeline zrobiło się niedobrze.

– Jutro będzie po wszystkim – rzekł lord Sloane. – Albo pojutrze.

Dziewczynka wiedziała, że nie mówi o zwycięstwie.

Darrow nie powiedział nic. Lord Sloane klepnął go w ramię i wszedł do środka.

– Co się wydarzy jutro bądź pojutrze? – Evangeline odważyła się spytać Darrowa.

Starzec spojrzał na miasto oraz na pole bitwy zasłonięte przerażającą ciemnością.

– Istnieją dwie opcje – powiedział ochrypłym głosem. – Poddamy się Erawanowi, który zamieni nas w niewolników, albo będziemy walczyć do ostatniej kropli krwi.

Były to ostre, szorstkie słowa, ale Evangeline poczuła ulgę, że Darrow nie owija w bawełnę i nie traktuje jej jak dziecko.

– A kto zadecyduje o tym, co zrobimy?

Szare oczy Darrowa skierowały się na dziewczynkę.

– To zadanie spadnie na nas, lordów Terrasenu.

Evangeline pokiwała głową. Zamigotały budzące się do życia

wrogie ogniska. Płomienie zdawały się powtarzać ponurą pieśń bębnow.

– A co ty byś postanowiła? – spytał ją ostrożnie starzec.

Evangeline zastanowiła się. Nikt nigdy dotąd nie zadał jej tego pytania.

– Najbardziej ze wszystkich rzeczy na świecie chciałabym mieszkać w Caraverre – przyznała. Wiedziała, że Darrow nie uznał praw Lysandry do tych ziem ani nawet ich nowej nazwy, ale nie miało to już chyba znaczenia. – Murtaugh pokazał mi tę krainę. Pokazał mi rzeki, góry, lasy i wzgórza... – W sercu dziewczynki obudził się ból. – Widziałam też ogrody przy domu. Ech, chciałabym je ujrzeć na wiosnę. – Poczula ucisk w gardle. – Chciałabym, aby to miejsce stało się moim domem. Chciałabym, aby cały Terrasen stał się moim domem.

Darrow nie powiedział ani słowa. Evangeline oparła drobne rączki na kamieniach blanek i spojrzała na zachód, jakby była w stanie dojrzeć ziemie Allsbrooków i niewielką krainę leżącą w ich cieniu. Caraverre.

– Tym zawsze był dla mnie Terrasen – ciągnęła dziewczynka, bardziej do siebie niż do niego. – Odkąd Aelin uwolniła Lysandrę i zaproponowała jej, by dołączyła do jej dworu, Terrasen zawsze kojarzył mi się z domem. Z miejscem, gdzie nie wpuszcza się ludzi, którzy chcą nas skrzywdzić. Gdzie każdy, bez względu na to, skąd przybył i kim jest, może żyć w pokoju. Gdzie wiosną zakwita ogród, a latem pływa się w rzece. Nigdy czegoś takiego nie miałam. Domu, rzecz jasna. Chodzi mi o dom. I bardzo bym chciała, by Caraverre i Terrasen stały się moim domem. – Przygryzła wargę. – Wybrałabym więc walkę. Do samego końca. Za mój nowy dom. Tak, wybieram walkę.

Darrow milczał tak długo, że aż spojrzała na niego.

Nigdy dotąd nie widziała takiego smutku w jego oczach, jakby naraz poczuł ciężar wszystkich swych lat. Minęła dłuższa chwila, po czym rzekł:

– Chodź ze mną.

Ruszyła w ślad za starym lordem i wnet wniknęli do ciepłego wnętrza zamku. Szli wijącymi się korytarzami aż do Wielkiej Sali,

gdzie przygotowano skąpą wieczerzę. Jedną z ich ostatnich.

Nikt nawet nie podniósł głowy, gdy weszli do środka. Szli wzdłuż długich stołów, zajętych przez wyczerpanych, rannych żołnierzy. Darrow nie odzywał się do nikogo, aż dotarł do kolejki czekającej na wydanie posiłku i podszedł do objętych Aediona i Lysandry. Tak jak powinno być od samego początku między nimi.

Aedion, wyczuwając bliskość Darrowa, odwrócił się. Wydawał się znużony.

Wiedział więc. Wiedział, że jutro bądź pojutrze ich los się rozstrzygnie.

Lysandra uśmiechnęła się do Evangeline, a ta zrozumiała, że ona również nie ma już złudzeń i w ostatniej chwili będzie próbowała ją stąd wyciągnąć, nawet jeśli Evangeline nigdy się na to nie zgodzi.

Darrow odpiął miecz i wyciągnął go ku Aedionowi.

Na widok oręża w sali zapanowała nabożna cisza. Był to wszak Miecz Orynthu.

Darrow trzymał go w wyciągniętej dłoni. Wykonana ze starej kości głowica lśniła.

– Terrasen jest twoim domem – rzekł.

Wynędniała twarz Aediona nawet nie drgnęła.

– To mój dom od chwili, gdy tu dotarłem.

– Wiem – rzekł Darrow, wpatrując się w miecz. – I broniłeś go o wiele dzielniej, niż można by oczekiwać od każdego, kto się tu urodził. Złożyłeś swej ojczyźnie wielką ofiarę, o wiele większą, niż ktokolwiek ośmieliłby się prosić. Walczyłeś bez słowa skargi, bez chwili strachu, z podziwu godną szlachetnością. – Podał mu miecz. – Wybacz więc dumnemu starcowi, który chciał robić to samo co ty.

Aedion wysunął ramię, którym otaczał talię Lysandry, i ujął miecz.

– Służba temu królestwu to dla mnie największy zaszczyt – odparł.

– Wiem – powtórzył Darrow i zerknął na Evangeline, a potem przeniósł wzrok na Lysandrę. – Ktoś bardzo mądry powiedział mi przed chwilą, że Terrasen to nie tylko miejsce, ale ideał. Dom dla tych, którzy wędrują po świecie. Dla wszystkich, którzy szukają miejsca, gdzie zostaną powitani z otwartymi ramionami. – Pochylił

głowę ku Lysandrze. – Oficjalnie uznaję Caraverre i wszystkie należące doń ziemie, a także ciebie jako jego panią.

Lysandra ujęła dłoń Evangeline i ścisnęła ją mocno.

– Za niezachwianą odwagę, okazywaną w obliczu chmar wroga u naszych bram, i za wszystko, co zrobiłaś dla obrony tego miasta oraz tego królestwa, Caraverre zostaje uznane i przyznane tobie na zawsze. – Lord Darrow spojrział na Aediona i dodał: – Po tobie Caraverre odziedziczą twoi potomkowie, a potem ich dzieci.

– Moją dziedziczką jest Evangeline – powiedziała ochryple Lysandra i oparła ciepłą dłoń na ramieniu dziewczynki.

Darrow uśmiechnął się lekko.

– To też wiem, ale chciałem powiedzieć jeszcze jedno, gdyż być może to nasza ostatnia noc. – Pochylił głowę ku Evangeline. – Nigdy nie doczekałem się własnych dzieci ani żadnych nie adoptowałem. Byłbym więc zaszczycony, gdybym mógł uczynić tak mądrą i dzielną młodą damę moją dziedziczką.

Zapadła absolutna cisza. Ludzie wpatrywali się w scenę z oszołomieniem.

Evangeline zamruła raz i drugi, a Darrow podjął:

– Chciałbym ruszyć do walki ze świadomością, że w piersi Evangeline będzie biło serce moich ziem i całego królestwa. Że choć wokół zbierają się cienie, Terrasen zawsze będzie istniał w duszach tych, którzy rozumieją jego ducha. Których nigdy nie trzeba było uczyć, czym on jest. Których uosabiają jego najlepsze cechy. – Ukłonił się przed Lysandrą. – Jeśli się zgodzisz.

„Miałabym się stać jego spadkobierczynią? I damą?” – pomyślała zdumiona Evangeline i ścisnęła dłoń Darrowa.

Lord odpowiedział tym samym.

– Ja... – Lysandra zamruła, po czym zwróciła się ku dziewczynce. – Coś mi mówi, że nie ja tu podejmuję decyzję, prawda?

Evangeline uśmiechnęła się więc do Darrowa.

– Bardzo bym się cieszyła – powiedziała.

Walono w bębny przez całą noc.

Manon nie miała pojęcia, jakie kolejne koszmary zwiastuje złowieszczy rytm.

Siedziała obok Abraxosa w gniazdowisku i wraz z nim wpatrywała się w bezkresne morze czerni.

Wkrótce będzie już po wszystkim. Rozpacziwa nadzieja na przybycie Aelin Galathynius gasła.

Czy ktokolwiek zdoła uciec po tym, jak wróg przebije się przez mury miasta? A jeśli tak, to dokąd się udadzą? Czy uda się jeszcze powstrzymać Erawana, gdy jego cień padnie na Orynth?

Dorian... Dorian mógłby tego dokonać. Gdyby posiadał Klucze. Gdyby przeżył.

Równie dobrze mógł już nie żyć. Bądź iść na nich w szeregach Morath z czarnym naszyjnikiem.

Manon oparła głowę o ciepły, skórzasty bok Abraxosa. Nie doprowadzi swych sióstr do domu. Nie sprowadzi ich na Pustkowie.

Jutro. Coś w starych kościach mówiło jej, że mury Orynthu ostatecznie padną jutro. Nie pozostało im już nic poza mieczami i własnym uporem. Nic innego nie broniło ich już przed niekończącymi się szeregami wroga.

Abraxos przesunął skrzydło, by zasłonić ją przed wiatrem.

– Chciałabym je zobaczyć – powiedziała cicho Manon. – Pustkowie. Choć raz.

Abraxos prychnął i trącił ją lekko pyskiem. Poglądziła go dłonią.

Choć zewsząd otaczała ich ciemność, czająca się na polu bitwy, nagle sobie je wyobraziła. Łagodne wzgórza, pokryte soczystą zielenią, spływającą aż do szarego, rozhukanego morza. Błyszczące miasto na brzegach i wiedźmy, wzbijające się do lotu na miotłach bądź wywernach. Słyszała śmiech wiedźmiątek na ulicach i brzmienie dawno zapomnianej muzyki jej ludu, unoszące się na wietrze. Widziała rozległą, otwartą przestrzeń, bujną i zawsze zieloną.

– Tak bardzo chciałabym je zobaczyć – dodała szeptem.

Pole bitwy skrapiał krwawy deszcz.

W powietrzu śmigają strzały, tak liczne, że Lysandra nawet nie rejestrowała, gdy wbijały się w jej boki czy skrzydła.

Morath oszczędzał swoje zasoby.

Aż do teraz.

O świcie łucznicy armii najeźdźczej uwolnili grad strzał tak gęsty, że wzbicie się w niebo okazało się śmiertelnym wyzwaniem. Nie chciała nawet wiedzieć, ile Crochan zostało zabitych pomimo wysiłków zbuntowanych Żelaznozębnych, które próbowały osłonić je ciałami własnych wywern. Większość mimo to zdołała się wznieść, a wtedy zderzyły się z szarżą legionu Żelaznozębnych.

Na ziemi Morath rzucił się do szturmu z zajadłością, jakiej Lysandra jeszcze nie widziała.

Czarne morze uderzyło o mury miasta, cofało się i znów nacierało. Drabiny oblężnicze wznosiły się szybciej, niż obrońcom udawało się je przewrócić, a po wschodzie słońca pokazały się nowe wieże.

Lysandra uderzyła w jakąś Żelaznozębną – Czarnodziobą, sądząc po opasce na czole – i zerwała ją z siodła, a potem rozszarpała gardziel jej wywernie.

Jedna. Raptem jedna z powietrznej chmary.

Rzuciła się do lotu nurkowego, by wybrać kolejny cel. A potem następny. I jeszcze jeden. Ciągłe za mało.

Jak dotąd Żelaznozębne zadowolaly się wciąganiem ich do bitwy. Dziś rozpoczęły zdecydowane natarcie. Powoli, skutecznie spychały je w stronę Orynthu.

Ani Lysandra, ani żadna z Crochan czy też wiedźm Petrah nie mogły nic na to począć. Nie potrafiły ich powstrzymać.

I wiedźmy ginęły.

A pod nimi, na murach miasta, ginęli żołnierze z wielu królestw.

Trwały ostatnie godziny ostatniej bitwy ich desperackiego sojuszu.

Manon oddychała z trudem, a ręka trzymająca miecz bolała ją jak nigdy wcześniej. Co rusz przegrupowywała hufiec i rzucała się do ataku na Żelaznozębne, ale za każdym razem zostawały zepchnięte. Z powrotem ku murom Orynthu.

Szeregi Crochan topniały. Nawet Żelaznozębne zaczynały już popełniać błędy.

Jak to możliwe, że do tego doszło, skoro tak długo walczyły? Skoro dały z siebie aż tyle? Trzynastka poświęciła swe życie, w Manon umarło serce, w uszach nadal słyszała odległy huk bitwy, a mimo to przegrywały. Jeśli nic się nie wydarzy, przed zmierzchem poniosą klęskę. Jeśli nie zmienią planu ataku, o świcie nie pozostanie z nich nic.

W jej postrzępionej duszy tkwiło jeszcze na tyle uporów, by uznała ostatni scenariusz za absolutnie nie do przyjęcia. Na samą myśl o porażce wzrastał jej gniew.

Musiały się cofnąć nad mury. Przegrupować się i wykorzystać jako atut umocnienia oraz góry za nimi. Im dłużej pozostaną na otwartej przestrzeni, tym gorzej się to dla nich skończy.

Manon pochwyciła za róg i zadęła dwukrotnie.

Crochan i Żelaznozębne odwróciły się ku niej. W ich szeroko otwartych oczach błysnął szok.

Manon zadęła ponownie.

„Odwrót! Odwrót do miasta!”.

Zachodnia brama do miasta zadygotała.

Z misternych, starożytnych rytów, które niegdyś pokrywały wysokie, żelazne skrzydła, pozostały jedynie zbryzgane krwią wgniecenia.

Nad miastem i górami poniosło się echo potężnego huku. Zdyszany Aedion, który szalał na murach nad bramą, pozbawił życia kolejnego wroga i ośmielił się spojrzeć w dół. Patrzył na skutki ostatniego uderzenia tarana.

Naprzeciwko bramy ustawiały się już szeregi wojska, kolejne wypełniały ulice. Tyłu żołnierzy, ilu mógł odesłać z murów.

Jeszcze trochę. Zachodnia brama miała niebawem ulec. Po tysiącu lat.

Miecz Orynthu ślizgał się w jego okrwawionej dłoni, a prastarą tarczę oblepiały strzępy ciał wrogów.

Najdzielniejsi spośród mieszkańców, którzy pomimo oblężenia nadal trwali w mieście, wbrew zdrowemu rozsądkowi licząc na to, że zdołają przeżyć, uciekali już wraz z dziećmi do zamku. Do zamku, który miał być ich ostatnim bastionem przeciwko hordom Morath. Nie wiadomo na jak długo.

Być może na zaledwie parę godzin.

Manon dała rozkaz do odwrotu. Crochan i Żelaznozębne lądowały na murze wciąż trzymającej się bramy południowej – niektóre dołączały do bitwy, inne nadal stawiały opór powietrznym siłom Morath.

Zachodnia brama znów zadygotała. Wzmocnione drewnem i łańcuchami wrota wygięły się do środka.

Aedion wyczuł jakiegoś przeciwnika, który gnał na jego odsłonięty lewy bok. Uniósł tarczę, która naraz wydała mu się niewiarygodnie ciężka, ale przeciwnika przechwyciła wywerna bez jeźdźca, która rozerwała go na pół i zrzuciła z murów.

Błysnęło światło i Lysandra pojawiła się przy nim. Poderwała swój strój oraz miecz i tarczę poległego Milczącego Zabójcy.

– Jakie pozycje mam wskazać Manon i pozostałym w mieście? – rzuciła zdyszana.

Na ramieniu miała broczącą krwią ranę, ale najwyraźniej jej nie zauważyła. Aedion zaś próbował narzucić sobie ów stan chłodnego wyrachowania, dzięki któremu zwyciężył w niejednej bitwie i wydostał się z opresji grożących klęską.

Niestety, tym razem od klęski, całkowitej i brutalnej, nie było już ucieczki. Czekala ich rzeź.

– Aedion! – W jej głosie pojawiła się rozpaczliwa prośba.

Jakiś Valg skoczył na nich. Aedion rozplątał go od pępka aż po nos.

Lysandra nawet się nie wzdrygnęła, gdy czarna krew bluzgnęła jej na twarz.

Zachodnia brama znów się wygięła. Trzeszczało wykrzywiałe się żelazo.

Musiał zejść na dół. Musiał zejść, by dowodzić obroną na ulicy.

Musiał stanąć do ostatniej walki, tej, w której czekał go koniec. Tej, w której zginie, broniąc miejsca, które najbardziej ukochał. Nie miał innego wyboru. Przynajmniej tyle mógł zrobić dla tych wszystkich, którzy polegli przez niego i jego decyzje.

Musiał polec. Musiał zasłużyć sobie na śmierć wartą pieśni. Na koniec, o którym będzie się opowiadać przy ogniu.

O ile w nowym świecie Erawana, w zapoczątkowanej przez niego erze ciemności, płomienie będą w ogóle mogły istnieć.

Legion Żelaznozębnych uderzył w zbuntowane krewniaczki. Wyczerpane Crochan lądowały, łapczywie zaspokajały pragnienie i obwiązywały sobie rany. Nabierały tchu przed ostatnim uderzeniem.

Przez mur przedzierało się coraz więcej żołnierzy Valgów.

Aedion pochylił się więc i ucałował Lysandrę, kobietę, która powinna zostać jego żoną i towarzyszką życia.

– Kocham cię – powiedział.

Jej piękną twarz wypełnił smutek.

– A ja ciebie. – Wskazała zachodnią bramę i żołnierzy czekających na moment, gdy wrota ustąpią. – Do końca?

Aedion uniósł tarczę i podrzucił miecz, by pozbyć się sztywności, która wkradła się w jego palce.

– Odnajdę cię – obiecał jej. – Nie wiem, co ma miejsce potem, ale odnajdę cię.

– W każdym życiu. – Lysandra pokiwała głową.

Razem odwrócili się ku schodom, po których mieli zejść na dół, ku śmierci, rozkładającej już ramiona.

Wtedy wrzawę bitwy przecięła pieśń rogu.

Aedion znieruchomiał.

Odwrócił się na południe, skąd dobiegł odgłos. Spojrzał za kłębiące się szeregi Morath, daleko za morze czerni, ku wzgórzom wyrastającym na skraju rozległej równiny Theralis.

Róg zaryczał ponownie – ostro, wyzywająco.

– To nie róg Morath – szepnęła Lysandra.

I wtedy się pojawili.

Zza wzgórz wyłonił się szereg żołnierzy w złotych zbrojach, zarówno kawalerzystów, jak i piechoty. Za pierwszym szeregiem pojawiły się kolejne i następne, tysiące ludzi. Armia ciągnąca się daleko wzdłuż linii wzniesień. Niebo pociemniało od potężnych, opancerzonych ptaków z jeźdźcami.

Przed nimi zaś jechał ktoś, kto wznosił miecz ku niebu, aż rubin w głowicy rozbłysnął niczym małe słońce. Na grzbiecie Władcy Północy jechała Aelin.

Władca Północy oraz Mali Ludzie prowadzili ich po prastarych, zapomnianych szlakach Dębowej Puszczy i Gór Perranth, a armia szybko i bez wytchnienia pokonywała dystans dzielący ich od Orynthu. Postoje skrócono do minimum, wszelki zbędny sprzęt został porzucony. Ścigali się wszak z przeznaczeniem.

Nie rozsyłano zwiadowców na rukach z obawy przed zbyt wczesnym wykryciem przez Morath. Dowódcy nie chcieli zmarnować przewagi, jaką dawało im zaskoczenie.

Maszerowali przez sześć dni. Niegościnnie tereny wyrównywały się przed nimi. Niewielkie rzeki i strumienie zamarzały, by ułatwić im przejście. Drzewa zatrzymywały padający śnieg.

Zeszłej nocy nie przystanęli nawet na nocleg, a gdy nadszedł świt, Władca Północy uklęknął przy Aelin i zaproponował, by na niego wsiadła.

Nie miał oczywiście żadnego siodła. Nie pozwoliłby, by go osiodłano, ale nie było też takiej potrzeby. Aelin wiedziała, że żaden jeździec nie spadłby z jego grzbietu.

Niektórzy ludzie klękali, gdy przejeżdżała. Nawet Dorian i Chaol pochyłili głowy.

Rowan, który dosiadł rumaka Darghanów o ognistym spojrzeniu, tylko skinął głową, jakby zawsze się spodziewał, że Aelin kiedyś znajdzie się tu, na czele armii, która w ostatniej chwili stawi się na ratunek Orynthowi.

Królowa założyła swą koronę bitewną i przywdziała zbroję z Anielle. Bronią podzielili się z nią Fenrys i Lorcan. Yrene, Elide oraz pozostałe uzdrowicielki miały na razie czekać na tyłach, aż ruki przeniosą je do miasta. Dorian i Chaol stanęli na czele prawej flanki, składającej się z górali z Kłów, Hasar i Kashin dowodzili lewą flanką, Sartaq i Nesryn osłoną powietrzną, a Aelin, Rowan, Fenrys, Lorcan i Gavriel poprowadzili centrum.

Armia rozciągnęła szyki, gdy dotarli w pobliże wzgórz ciągnących

się nieopodal Orynthu. Pokonawszy je, mieli po raz pierwszy ujrzeć stolicę.

Aelin, która nadal dosiadała Władcy Północy, z mocno bijącym sercem wjechała na ostatnie wzgórze, najwyższe i najbardziej strome, by po raz pierwszy od dziesięciu lat spojrzeć na Orynth.

I zamarła przerażona.

Bo tam, gdzie niegdyś wznosiło się piękne, białe miasto, migoczące między rzeką, równiną i górą, rządziły teraz dym, chaos i terror. Turkusowy nurt Florine zalała czerń. Przeraził ją ogrom armii uderzającej o mury miasta. Nie zdawała sobie sprawy z tego, jak wielka będzie armia Morath. Nie mogła uwierzyć w to, jak drobny i cenny wydawał się teraz Orynth.

– Mało brakuje, by przebili się przez zachodnią bramę – mruknął Fenrys, który dzięki zmysłom Fae już zdążył rozeznać się w sytuacji.

Armia kagana rozciągała swe szyki wokół nich niczym fala gotowa do uderzenia, ale nawet Darghanowie zawahali się na widok wojsk dzielących ich od miasta. Konie prychały i darły kopytami ziemię.

Rowan wpatrywał się w armię Morath z poważną twarzą, ale nie znać było po nim lęku.

Tylu wrogów... Tylu żołnierzy... A do tego legion Żelaznozębnych nad nimi.

– Crochan walczą na murach miasta – zauważył Gavriel.

W istocie, Aelin dostrzegła czerwone płaszcze. Manon Czarnodzioba nie złamała danego jej słowa. Aelin również nie miała takiego zamiaru.

Zerknęła na swą dłoń, na którą założyła ciężką rękawicę. Patrzyła tam, gdzie powinna znajdować się blizna.

„Przysięgam, że bez względu na to, gdzie będę i ile będzie mnie to kosztować, stawię się, gdy wezwiesz mnie na pomoc”.

Nie było czasu na mowy. Nie było czasu na motywowanie żołnierzy.

Byli gotowi. Ona również.

– Graj sygnał! – Aelin rozkazała Lorcanowi, który uniósł róg do ust i zadął.

Rozstawieni wzdłuż szeregów trębacze unieśli własne instrumenty, których pieśń zlała się w jeden ogłuszający ryk. Ten pomknął w stronę Orynthu.

I znów zadęli razem.

Aelin wyciągnęła Goldryna z pochwy na plecach, pochwyciła tarczę i wzniosła ostrze ku niebu. Wiązka jej magii przeniknęła przez rubin w głowicy, a ten zajaśniał.

Darghanowie wycelowali do przodu swe *sulde*. Wstęgi końskiego włosia załopotwały na wietrze.

Księżniczka Hasar i książę Kashin wskazali wroga ostrzami własnych włóczni. Dorian i Chaol dobyli mieczy. Rowan pochwycił jedną dłonią za miecz, a drugą za topór. Jego twarz wydawała się nieugięta, jakby wykuto ją z kamienia.

Rogi zagrały po raz trzeci i ostatni, po czym po zakrwawionej równinie poniósł się okrzyk bojowy. Władca Północy stanął dęba, przez co Goldryn wznósł się wyżej ku niebu, a Aelin pchnęła kolejny blask ognia w rubin. Ten rozbłysnął dziko, co było sygnałem dla całej armii.

Za Terrasen. Za wszystko.

Kopyta Władcy Północy opadły na ziemię, a nieśmiertelny płomień między rogami zajaśniał, gdy jeleni rozpoczął szarżę. Armia kagana spłynęła w dół zbocza, nabierając prędkości z każdym krokiem, gnając prosto na tylne szeregi Morath.

W stronę Orynthu.

Ku domowi.

Nieustraszeni, pełni gniewu podążali prosto ku walczącym.

Królowa dosiadająca białego jelenia nawet się nie zawahała, gnając w kierunku oczekujących wrogów. Machnęła tylko raz czy dwa mieczem i uniosła wyżej tarczę.

Nieśmiertelni wojownicy wokół niej również ani myśleli zwolnić, wpatrzeni w siły nieprzyjaciela.

Kawaleria kaganatu nabierała tempa i formowała szyk.

Morath już zauważył ich obecność. Oddziały odwracały się, celowały włócznie, łucznicy spieszyli na nowe pozycje.

Pierwsza fala ataku zawsze ponosiła straty. Wielu ludzi ginęło, zanim uderzyło w przeciwnika.

Niemniej jednak musieli się przebić. Musieli uderzyć. Nie mogli się złamać.

– Łucznicy! – huknął ktoś za liniami wroga.

Zaskrzypiały naciągane cięciwy.

– Strzelać!

Chmura strzał pomknęła ku niebu i przesłoniła słońce, mierząc ku nadciągającej kawalerii. Ale wtedy pojawiły się ruki, złociste, brązowe i czarne niczym noc, które skrzydło w skrzydło przeszły do lotu nurkowego i własnymi ciałami zasłoniły szarżującą kawalerię.

Spadały z nieba jeden po drugim.

Nawet królowa prowadząca szarżę zaszlochała z wściekłości i rozpacz, widząc, jak ruki i ich jeźdźcy walą się na ziemię. Wysoko nad nią młoda *rukhin*, przyjmując strzałę za strzałą, uniosła tarczę nad głowę i wykrzyczała swój okrzyk bojowy.

Szarża nie mogła się załamać.

Żelaznozębne na wywernach mknęły już ku rukom, by uderzyć na nie z tyłu.

Na murach Orynthu białowłosa królowa wrzeszczała:

– Naprzód! Naprzód! Nacierać!

Wyczerpane wiedźmy podrywały się do lotu na miotłach i wywernach. Wznosząc miecze, pędziły prosto na legion, który zawrócił, by uderzyć na ruki. By go zmiażdżyć.

Na zakrwawionej ziemi żołdacy Morath wycelowali włócznie, piki, miecze i wszystko, co mieli, w nadciągającą jazdę.

To nie wystarczyło.

Bo naraz w ich szeregi wgrzyły się ogień, wiatr i najczarniejsza śmierć, które zaczęły siać spustoszenie wśród pierwszych kolumn i wystawiać na uderzenie tych, którzy dopiero czekali, by wznieść broń. Wybijały wśród nich lukę na tyle szeroką, by złocista armia

kagana mogła w nią wtargnąć z siłą przyływu.

Oddychając miarowo, choć chrapliwie, Rowan szarżował przez szeregi Valgów, ogłuszony wrzaskami wokół siebie. Tuż obok przez wrogą cizbę przebijała się Aelin na grzbiecie Władcy Północy, zostawiając za sobą dziesiątki trupów. Zewsząd przypadali do niej żołnierze wroga, ale ani królowa, ani jej jeleń nie okazywali cienia przestrachu, tym bardziej że płomienie Aelin chroniły ją z każdej strony.

Kawaleria Darghanów spychała Morath, a na niebie ruki ścierały się z wyvernami. Co rusz na ziemię waliła się jakaś bestia, skrzydlata bądź pokryta łuską.

Borte nadal osłaniała królową przed atakami Żelaznozębnych, wypatrujących białego jelenia, który pośród morza ciemności był równie łatwy do znalezienia niczym wzniesiony wysoko proporzec. Narzeczony *rukhin* strzegł jej jednego boku, a Falkan Ennar pod postacią ruka osłaniał ją z drugiej strony.

Rowan na swym nieustraszonym rumaku machnął lewą ręką i ściął jakiemuś Valgowi głowę, po czym natychmiast zwarł się z kolejnym.

Nawet przy obranej przez nich strategii wróg nadal miał przewagę. Mimo to, gdyby zdołali uwolnić miasto, przegrupować się i odnowić zapasy, mieliby szansę na zwycięstwo. O ile wcześniej nie przybędą Erawan i Maeve.

Rowan nie łudził się. Wiedział, że kiedyś się zjawią, a wówczas Aelin będzie musiała się z nimi zmierzyć. Nie miał zamiaru pozwolić, by przystąpiła do tej walki w pojedynkę.

Zerknął ku niej. Nadal przerąbywała się przez wrogi szyk. Była coraz dalej i już rozdzielały ich gromady wrogów.

„Trzymaj się blisko” – napomniął się w myślach.

Nieopodal przemknęła jakaś Crochan, która wystrzeliła ku górze, mierząc w bezbronne podbrzusze wyverny Żelaznozębnej. Bez litości przeorała je mieczem. Buchnęła krew. Bestia jęknęła głośno i rozrzuciła skrzydła, a wtedy Rowan pchnął w nią podmuchem wiatru

i posłał ją prosto w szeregi Morath. Wywerna, roztrącając wroga, uderzyła w ziemię z łoskotem, który przeraził nawet jego rumaka.

Kiedy jej drżące skrzydła znieruchomiały, a Rowan zdołał uspokoić konia i obalić kolejną falę atakujących, rozejrzał się w poszukiwaniu Aelin. Nie było jej nigdzie w pobliżu.

Dopiero po chwili gdzieś z przodu mignęło mu srebro i złoto. Wysforowała się tak daleko, że niemalże znikła mu z oczu. Nie było też śladu Gavriela.

Niedaleko jednakże walczył Fenrys, a po jego lewicy szalał Lorcan, który z każdym uderzeniem miecza chłostał wrogów ciemnym, zabójczym wiatrem.

Niegdyś byli niewiele więcej niż niewolnikami królowej, która rozsyłała ich po całym świecie. Wspólnie rzucali wyzwanie całym armiom i dziesiątkowali miasta.

Nie dbał wówczas o to, czy zdoła zejść żywy z pól bitewnych w odległych królestwach. Obojętne mu było, czy te królestwa upadną, czy też przetrwają. Otrzymywał rozkazy i je wypełniał.

Ale tu, tego dnia... Aelin nie wydawała im żadnych rozkazów. Trzymali się tylko jednej obietnicy, którą złożyli wspólnie – by bronić Terrasenu.

I byli na to gotowi. Znów byli drużyną, jak kiedyś, ale teraz walczyli o to królestwo, o swój nowy dwór i swą nową ojczyznę.

Widział to w oczach Fenrysa, który rozrąbał jakiegoś żołdaka na pół. Dostrzegł wizję przyszłości na wykrzywionej gniewem twarzy Lorcana, gdy ten magią i mieczem przebijał się przez szeregi wroga.

Byli czymś więcej niż drużyną. Stali się dla siebie braćmi. Wspólnie przetrwali najmroczniejsze chwile, a teraz nic już nie było w stanie odebrać im wiary w siebie.

Dodało mu to sił w tym samym stopniu co widok jego ukochanej pracy naprzód.

Musiał się z nią zrównać. Nie mógł się oddalać. Wszyscy musieli jej strzec, bo od tego zależało przetrwanie Orynthu.

Nie byli już niewolnikami. Nie byli zgorzkniałymi, gniewnymi sługami.

Dotarli do miejsca, które miało się stać ich nową ojczyzną, domem i przyszłością.

Żołnierze Morath padali od ich ciosów. Niektórzy na ich widok rzucali się do ucieczki.

Być może dlatego Maeve zebrała ich w jeden zespół, ale nigdy nie udało się jej w pełni okiełznać ich potencjału i prawdziwej mocy. Wolą kontrolować ich przy użyciu strachu, bólu i kajdan. Nie potrafiła zrozumieć, że bogactwa i chwała to za mało.

Ale prawdziwa ojczyzna i królowa, która widziała w nich mężczyzn, a nie broń... Tak, dla kogoś takiego łatwo było walczyć. Żaden wróg nie mógł się temu przeciwstawić.

Rowan, w asyście Lorcana i Fenrysa, zacisnął zęby i popędził konia w ślad za Aelin, prosto w chaos i rozszalałą śmierć. Ani myślał się zatrzymać.

Aelin nadeszła.

Uciekła od Maeve i przybyła do nich.

Aedion nie mógł uwierzyć własnym oczom, nawet gdy zobaczył armię idącą za nią do ataku. Gdy dostrzegł Chaola i Doriana prących na czele dzikich ludzi z Kłów, gdy ujrzał strumienie lodu uderzające we wroga.

A więc Chaol Westfall nie zawiódł. W jakiś sposób przekonał kagana, by ten wysłał im na pomoc swe siły. Na pierwszy rzut oka Aedion odniósł wrażenie, iż była to większość jego wojsk.

Niemniej jednak odsiecz wciąż znajdowała się daleko na Theralis, a Morath wcale nie powstrzymał ataku na obie bramy stolicy. Południowa trzymała mocno, ale zachodnia zaczynała się wyginać.

Lysandra zamieniła się w wywernę i pomknęła ku niebu, by wesprzeć desperacki kontratak Manon i Crochan, który mógł zakończyć się oskrzydleniem Żelaznozębnych. Minęła chwila i zmiennokształtna znikła w zamieszaniu bitewnym.

Aedion zbiegł więc na dół z okrzykiem bojowym na ustach i stanął na czele swoich ludzi. Przez pęknięcia we wrotach widać było twarze atakujących. W chwili gdy brama ustąpi, wszystko trafi szlag.

Jego nogi drżały ze zmęczenia, mięśnie ramion były obolałe, ale stał z wysoko uniesioną głową. Nie miał pojęcia, ile razy jeszcze przyjdzie mu odetchnąć.

Aelin przybyła. To mu wystarczało.

Magia Doriana buchała z niego i obalała szarżujących żołnierzy. Walczył ramię w ramię z Chaolem, otoczony pierścieniem dzikich ludzi. Płuca płonęły im z wysiłku, miecze unosiły się i opadały, ale przedzierali się przez szyki wroga, a trup ścielił się gęsto.

Nigdy dotąd nie widział prawdziwej bitwy, ale wiedział, że nie chce już nigdy oglądać czegoś takiego. Chaos, zgiełk, krew, rżenie koni... Mimo to nie było w nim strachu. Chaol, który jechał obok niego i rozcinał każdego, kto wdarł się między nich, również się nie wahał. Parł naprzód i rąbał, zaciskając zęby.

Za Adarlan. Za krzywdy, które wyrządzono jego królestwu. Za to, czym mogło się stać.

Te słowa rozbrzmiewały w jego głowie z każdym chrapliwym oddechem.

Za Adarlan.

Armia Morath dalej odgradzała ich wieloma szeregami od nadkruszonych murów Orynthu.

Dorian nie chciał nawet myśleć o tym, ilu jeszcze wrogów pozostało. Skupił się na zboczonym krwią mieczu, na tarczy oraz na magii, którą wzmacniał swe ciosy. Nie chciał się przeistaczać, jeszcze nie teraz. Zdecyduje się na ten krok w chwili, gdy zarówno oręż, jak i magia zaczną go zawodzić. Nigdy dotąd nie walczył pod inną postacią, ale był gotów spróbować. Jako wywerna czy ruk.

Gdzieś nad nim znajdowała się Manon Czarnodzioba. Nie miał odwagi, by spojrzeć w niebo w poszukiwaniu błysku srebrnobiałych włosów czy migotania pajęczego jedwabiu, wzmacniającego skrzydła Abraxosa. Nie widział nikogo z Trzynastki, nie rozpoznawał też żadnej z Crochan, przelatujących mu nad głową.

Walczył więc wraz ze swym duchowym bratem i najwierniejszym przyjacielem. Postanowił, że przeliczy wszystkich dopiero pod koniec dnia. Jeśli przeżyją. Jeśli dotrą do murów.

Dopiero wtedy przeliczy poległych.

Dla Aelin liczyło się tylko oblężone miasto, wróg u jego bram i starożytny miecz w dłoni.

Wieże oblężnicze zbliżały się do murów. Trzy z nich tłoczyły się przy południowej bramie, a na każdej roilo się od żołnierzy. Wciąż za daleko. Wciąż poza zasięgiem jej magii.

Ulotna moc powoli odpływała z jej krwi.

Nie miała już do dyspozycji nieskończonych zasobów. Musiała oszczędzać magiczną moc i wykorzystywać tylko w najbardziej dogodnych momentach.

Pozostawał jej trening, który wpajano jej przez ostatnich dziesięć lat. Przecież była zabójczynią na długo, zanim opanowała magię ognia. Bez trudu wskoczyła w dawną skórę i pozwoliła, by zawładnęły nią bojowe instynkty. Goldryn śmigał i wyszarpywał krew z ludzkich ciał, a Aelin wpadała w gąszcz nieprzyjaciół i zostawiała za sobą trupy.

Władca Północy parł naprzód niczym burza. Jego białą sierść plamiła czerwona i czarna krew, między rogami nadal jaśniał nieśmiertelny płomień.

Niebo płakało krwią. Wiedźmy, wywerny i ruki nad ich głowami walczyły i ginęły. Borte nadal ją osłaniała i rzucała się na każdą Żelaznozębną, która podchodziła do lotu nurkowego.

Minuty przeistaczały się w godziny. A może na odwrót? Słońce znalazło się w zenicie i ruszyło w dół. Cienie się wydłużały.

Rowan i pozostali rozprzestrzenili się po polu walki, ale podmuchy lodowatego wiatru co jakiś czas przekazywały jej, że jej towarzysz życia nadal walczy i przebija się przez wroga. Wciąż próbuje się z nią zrównać.

Orynth powoli się przybliżał. Mury, jeszcze nie tak dawno mało wyraźne, wznosiły się coraz wyżej. Wieże oblężnicze dotarły już tam i żołnierze Valgów bez przeszkód wylewali się na umocnienia, ale bramy trzymały.

Nadal się opierały.

Aelin uniosła głowę i krzyknęła do Borte i Yerana, by zajęli się wieżami. W tej samej chwili dostrzegła sześć Żelaznozębnych dosiadających wywern, które runęły na ruki.

Niespodziewany atak roztrącił Borte, Falkana i Yerana. Ruki i wywerny z wrzaskiem spadały i toczyły się po ziemi, a na niebie pojawiła się gigantyczna wprost wywerna, która wykorzystwała okazję i rzuciła się do lotu nurkowego prosto na Aelin. Wyciągnęła pazury, by pochwycić ją oraz Władcę Północy, ale Aelin zasłoniła ich w porę ścianą ognia.

Latający potwór zrobił unik, wzniósł się i opadł do kolejnego ataku. Władca Północy stanął dęba, ale się nie cofnął.

Aelin jednakże zeskoczyła z jego grzbietu i smagnęła go po zadzie płazem miecza. Gardło miała tak zdarte, że z trudem wypowiedziała jedno słowo:

– Uciekaj!

Władca Północy opuścił jedynie łeb. Wywerna nadal nurkowała prosto na nich.

Aelin nie miała już na tyle magii, by zamienić bestię w popiół, a więc pchnęła moc na jelenia. Otoczyła go kulą ognia, a sama odskoczyła, unosząc miecz i tarczę.

Przygotowała się na zwanie. Błyskawicznie otaksowała wzrokiem pancierz nadciągającego potwora, szukając najsłabszych punktów, gdzie będzie mogła uderzyć, gdy uniknie kłapnięcia szczęk. Wywerna rozchyliła paszczę, z której buchnął gorący, smrodliwy oddech.

Wtedy jej łeb rozbiło uderzenie ogromnego, najeżonego kolcami ogona, należącego do innej wywerny. O szmaragdowych oczach.

Aelin przykucnęła, a zielonooka wywerna obróciła się ku Żelaznozębnej, która nadal siedziała w siodle i z niedowierzaniem wpatrywała się w swego zmasakrowanego rumaka. Jednym machnięciem ogona zielonooka wywerna nadziała ją na kolce i posłała jej ciało daleko na pole bitwy.

Powietrze rozbłysło, a potem zamigotało. Ku Aelin pędził widmowy lampart.

Królowa zerwała się i zarzuciła ramiona na kark ogromnego zwierzęcia. Zderzenie niemalże posłało ją na ziemię.

– Cieszę się, że cię widzę, przyjaciółko – wykrztusiła, ściskając Lysandrę.

Od strony miasta zaryczał rozpaczliwie róg. Wzywano pomocy.

Aelin i Lysandra zwróciły się ku Orynthowi. Ku trzem wieżom oblężniczym, które tkwiły przy bramie.

Szmaragdowe oczy spotkały się z turkusowo-złotymi. Lysandra machnęła ogonem.

– Skoczmy tam? – spytała Aelin z uśmiechem.

Musiał ją dogonić.

Rozdzieliło ich całe pole bitwy.

Rowan przebijał się ku Aelin, wspierany przez Fenrysa i Lorcana. Ból dudnił mu w uszach. Stracił rachubę odniesionych ran, a pamiętał o nich tylko ze względu na żelazny grot, który pozostał w jego ramieniu, gdy wyrwał strzałę.

Co za koszmarny błąd. Ów kawałek żelaza wystarczył, by uniemożliwić mu przemianę w jastrzębia. Nie mógł wzbić się do lotu i odnaleźć Aelin, a w takiej ciżbie nie miał odwagi zatrzymać się, by wydlubać pocisk z rany. Walczył więc jak szalony, a Lorcan i Fenrys wraz z nim. Ich rumaki szarżowały bez lęku i wahania. Z każdą chwilą przebijali się coraz dalej, mimo to Rowan nigdzie nie widział Aelin.

Dostrzegł jedynie Władcę Północy, który gnał w kierunku Dębowej Puszczy.

Jakby został uwolniony.

– Gdzie ona jest?! – ryknął Fenrys z twarzą zbryzganą krwią.

Rowan rozejrzał się po polu bitwy z mocno bijącym sercem. Ich wież jaśniała jednak niczym ogień.

Lorcan uniósł rękę i wskazał mury miasta przy południowej bramie. Przez wrogą ciżbę przebijał się ogromny widmowy lampart, a obok niego szalała wojowniczką w złotej zbroi, śląc naokoło języki ognia.

Zmiennokształtna i królowa zmierzały ku trzem wieżom oblężniczym wypluwającym mrowie wroga na mury.

Boki wież były otwarte, dzięki czemu Rowan ujrzał, co się działo

w środku. Widział, jak Aelin i Lysandra wdzierają się po rampie do wnętrza i masakrując Valgów, pną się poziom za poziomem w górę. Jeśli któraś z nich przeoczyła jakiegoś wroga, dopadała go towarzyszka. Gdy jedna uderzała, druga ją osłaniała. Krok po kroku wdzierały się na samą górę, gdzie stała niewielka katapulta.

Żołnierze wrzeszczeli dziko, gdy Lysandra rozszarpywała ich na strzepy, a niektórzy ze strachu zeskakiwali z wieży. Aelin w tym czasie przypadła do szczebli obracających katapultę w osi i zaczęła na nie napierać.

Gdy odwróciła ją od Orynthu i zamku, Rowan przypomniał sobie jedną z jej opowieści. Sam Cortland zrobił tak samo w Zatoce Czaszek. Konstrukcja tamtej katapulty również pozwoliła na jej obrócenie. Rowan zadał sobie w myślach pytanie, czy na twarzy młodej zabójczynie widnieje teraz szeroki uśmiech.

Wycelowała prosto w wieżę po lewej stronie.

Na jej najwyższym piętrze szalała teraz inna wojowniczką o ogniste rudych włosach, która również przypadła do wieńczącej konstrukcję katapulty i zaczęła ją obracać w stronę trzeciej wieży.

Ansel z Briarcliff.

Rudowłosa królowa machnęła mieczem i katapulta wyrzuciła głaz. W tej samej chwili Aelin również uwolniła ładunek.

Dwa głazy wzbily się w powietrze. Każdy wyrznął w sąsiednią wieżę obłączniczą.

Jęknęło żelazo, a drewno zaczęło się kruszyć. Obie wieże zaczęły się przewracać. Rowan nie widział, dokąd uciekła Ansel, bo nie spuszczał wzroku z Aelin. Królowa wskoczyła na wyciągnięte ramię katapulty, zwisające teraz nad polem bitwy, i krzyknęła coś do Lysandry, która przeistoczyła się w wywernę. Zmiennokształtna jedną pazurzystą łapą pochwyciła Aelin, a drugą ramię katapulty, które potężnym szarpnięciem uwolniła z obejm na szczycie wieży. Następnie machnęła skrzydłami, odbiła się i rąbnęła katapultą o wieżę, która runęła z łoskotem prosto na horde żołnierzy Morath szturmujących południową bramę.

Trzech Fae wpatrywało się w spektakl szeroko otwartymi oczami.

– O, i znalazła się Aelin – wykrztusił Fenrys.

Salkhi nadal unosił się w powietrzu, podobnie jak Kadara z Sartakiem na grzbiecie.

Dla Nesryn, która ścierała się z jedną wyverną po drugiej, nie liczyło się nic innego.

Bitwa z wyvernami okazała się o wiele gorszym doświadczeniem, niż sądziła. Nie dość, że wywerny były równie szybkie i nieustraszone jak ruki, to jeszcze górowały nad nimi masą, a do tego uzbrojone były w ogony z zatrutymi kolcami. Pozbawione duszy wiedźmy, które leciały na grzbietach wywern do boju, były zaś gotowe poświęcić własne rumaki, jeśli mogły w ten sposób zniszczyć choć jedną ręką.

Byli już blisko. Armia kaganatu kontynuowała natarcie w kierunku Orynthu, płonącego i strzaskanego. Jeśli nie wytracą tempa, mieli spore szanse na przyparcie sił Morath do murów miasta, tak jak zrobili to w Anielle.

Musieli jednak działać szybko. Wróg gromadził się przy bramach i nie ustawał w wysiłkach, by wdrzeć się do środka. Południowa brama trzymała się, a wieże oblężnicze przy niej zostały zniszczone, ale zachodnia brama powoli ustępowała pod naporem Morath.

Salkhi wzniósł się wyżej, by odetchnąć, a wtedy Nesryn rozejrzała się, by ocenić, ilu *rukhin* nadal unosiło się w powietrzu. Pomimo pomocy Crochan i buntowniczek wciąż nie byli tak liczni jak Żelaznozębne, ale mieli świeże siły i ochotę do walki.

Nesryn jednakże dostrzegła coś, co zmroziło jej krew w żyłach.

Dała znać Salkhiemu i runęła do lotu nurkowego. Błyskawicznie odnalazła Kadarę, która właśnie w locie rozszarpywała gardziel jakiejś wywernie. Zbryzgany czarną i błękitną krwią księżę ciężko dyszał. Nesryn zrównała się z nim.

– Dmij w róg! – krzyknęła, próbując przekrzyczeć zgiełk bitewny i huk wiatru. – Do miasta! Do południowej bramy!

Sartaq zmrużył oczy pod hełmem. Nesryn wskazała coś za nimi.

Od strony Perranthu nadciągała druga armia.

Reszta sił Morath, nad którą unosiły się świeże oddziały Żelaznozębnych.

A więc bitwa okazała się pułapką. Erawan ściągnął ich tu i zmusił, by tracili swe siły w walce z hordami oblegającymi Orynth, podczas gdy reszta jego wojska zaszła ich od tyłu.

Zachodnia brama wreszcie ustąpiła.

Aedion był przygotowany na moment, gdy czubek tarana przebiję wrota ze zgrzytem rozrywanego żelaza, a do środka wtargną tłumy nieprzyjaciół. Rozstawił swoich ludzi w szczelną, osłoniętą tarczami falangę, by powitać żołdaków Morath, to jednak nie wystarczyło. Zguba nie była w stanie zatrzymać chmar Valgów, nadciągających z pola bitwy. obrońcy nie potrafili wypchnąć wrogów poza miasto. I nawet Ren, który sprowadził odsiecz z murów, nie mógł zatrzymać naporu.

Musieli jakoś zamknąć bramę. Musieli znaleźć na to sposób.

Aedion ledwie mógł zaczerpnąć tchu. Ledwie trzymał się na nogach.

Z murów poniósł się ostrzegawczy sygnał rogu. Morath wysyłał do boju drugą armię, którą przesłoniły ciemności. Szli z nią książęta Valgów. Mnóstwo książąt Valgów. Erawan był gotów na wszystko.

– Południowa brama jest bezpieczna! – krzyknął doń Ren nad zgiełkiem walki. – Zbieramy ludzi za murami! Ilu się da!

A więc trwało przegrupowywanie się przed starciem z drugą armią. Niemniej jednak dopóki zachodnia brama nadal była otwarta, a do środka wdzierały się siły Morath, dopóty nie mieli żadnych szans.

Musieli zamknąć bramę. Aedion i żołnierze Zguby cięli i rąbali. Tarcze obrońców utworzyły mur, którego Morath nie był w stanie pokonać, ale to nie wystarczało.

Jakaś martwa wywerna z łoskotem wpadła przez bramę i przetoczyła się po ziemi. Aedion przygotował się na zderzenie – był przekonany, że ogromna bestia strzaska resztki wrót i runie prosto na nich, ale wywerna zatrzymała się w samej bramie, miażdżąc żołnierzy naokoło.

Własnym ciałem zablokowała napór.

Aedion nagle uświadomił sobie, że było to celowe działanie. Z siodła wywerny, z którego nadal zwisała martwa Żelaznozębna

z rozszarpanym gardłem, zeskoczył bowiem złotowłosy wojownik. Trzymając miecz w jednej dłoni, a sztylet w drugiej, biegł prosto ku Aedionowi. Jego brązowe oczy otaksowały go od stóp do głów.

Przybył jego ojciec.

Żołnierze Morath wspinali się po cielsku zabitego potwora, który zagradzał im drogę. Znów zaroilo się od nich w przejściu pod bramą.

Zatrzymała ich złocista bariera.

Nie na długo, ale dało to żołnierzom Zguby chwilę wytchnienia. Zdążyli sięgnąć po buklaki i podnieść broń poległych towarzyszy. Aedion ciężko dyszał, wspierając się dłonią o ścianę. Nieprzyjaciele tłoczyli się i szaleli z wściekłości za tarczą Gavriela.

– Jesteś cały? – spytał Lew. Tak brzmiały pierwsze słowa, które doń skierował.

Aedion zdołał unieść głowę.

– Znalazłeś Aelin – wymamrotał.

Twarz Gavriela złagodniała.

– Tak. A ona zamknęła Bramę Wyrda.

Aedion zamknął oczy. Przynajmniej tyle.

– A Erawan?

– Nie.

Nie potrzebował wyjaśnień, dlaczego ten łajdak ciągle żył. Nie chciał wiedzieć, co poszło nie tak.

Odepchnął się od ściany i zachwiał. Ojciec przytrzymał go za łokieć.

– Musisz odsapnąć.

Aedion wyszarpnął rękę.

– Powtórz to żołnierzom, którzy już polegli.

– Sam zaraz również padniesz – warknął Gavriel. Nigdy dotąd nie odzywał się tak ostro. – Jeśli nie usiądziesz choć na chwilę.

Przez moment mierzyli się spojrzeniami. Twarz Lwa była surowa i znać było po nim, że nie toleruje żadnego sprzeciwu. Aedion jednakże pokręcił tylko głową.

Złocista bariera wygięła się pod naporem wściekłych Valgów.

– Musimy zatrzaskać na nowo bramę – rzekł Aedion i wskazał wrota, rozerwane, ale wciąż nietknięte, przylegające do ścian. Dostęp do nich blokował tłum żołdaków napierających na barierę. – W przeciwnym razie ta horda zajmie miasto, nim nasze siły się przegrupują.

Gdyby zachodnia brama pozostała otwarta, chronienie się za murami byłoby pozbawione sensu.

Jego ojciec spojrział w tym samym kierunku. Przyjrzał się żołnierzom wroga tłoczącym się w przejściu pod bramą. Ciało zabitej wywerny, którą tak umiejętnie pchnął prosto na bramę, skutecznie spowolniło ich napór.

– No to ją zamkniemy – rzekł i uśmiechnął się ponuro. – Razem.

To słowo było w zasadzie pytaniem, ostrożnym i pełnym smutku.

Razem. Jak ojciec i syn. Jak dwaj wojownicy.

Gavriel, jego ojciec, przybył do Orynthu.

Aedion spojrział mu w oczy i zrozumiał, że nie zrobił tego dla Aelin ani dla Terrasenu.

– Razem – wychrypiał.

Nie chodziło o tę przeszkodę ani tę bitwę. Wypowiadając to słowo, Aedion miał na myśli wszystko, co miało nadejść. O ile przeżyją. Razem.

Mógłby przysiąc, że w oczach Gavriela zamigotało coś na podobieństwo radości i dumy, a także smutku. Aedion cofnął się do szeregu Zguby i skinął na żołnierza sąsiadującego z nim w szyku, by zrobił miejsce dla Gavriela. Jednym silnym natarciem powinni być w stanie wyprzeć nieprzyjaciela i zabezpieczyć bramę.

Odsiecz powinna wejść przez bramę południową i jakoś się przegrupować przed nadejściem drugiej części wojsk Morath, ale w tym czasie oni powinni zatrzaskać bramę zachodnią. Na zawsze.

Jak ojciec i syn.

Minęła chwila, nim Aedion uświadomił sobie, że Gavriel nie ruszył za nim do szeregu. Odwrócił się i ujrzał, że Lew zmierza w kierunku swej bariery, która zaczyna się cofać, a szeregi wroga są spychane

w tył, coraz dalej i dalej.

„Nie”.

Gavriel uśmiechnął się i rzekł:

– Zamknij bramę, Aedionie.

Lew wyszedł za bramę. Złocista tarcza stawała się coraz cieńsza.

„Nie!”.

W gardle Aediona narastał dziki wrzask, ale żołnierze Zguby biegli już ku wrotom, łapali je i zaczynali zamykać. Generał otworzył usta, chciał ryknąć, by przestali, by ich nie zamykali.

„Nie! Nie!”.

Gavriel uniósł miecz oraz sztylet, które błysnęły złotem w blasku zachodzącego słońca. Brama zamykała się za nim.

Aedion nie był w stanie nawet drgnąć.

Podczas całego oblężenia ani razu nie pozwolił sobie na chwilę bezruchu, ale teraz stał jak zaklęty. Nie mógł się zmusić, by wraz z innymi znosić belki, łańcuchy i gruz pod bramę.

Gavriel mógł zostać z nim. Mógł wypchnąć swą barierę na tyle daleko, by zdołali zamknąć wrota. Mógł się nie ruszać...

Aedion rzucił się do biegu, ale było już za późno. Jego kroki okazały się zbyt wolne, a ciało było za wielkie i za ciężkie, gdy przepychał się między ludźmi. Gdy przypadł do schodów prowadzących na górę.

Na polu bitwy rozbłysło złociste światło.

A potem zgasło.

Aedion przyspieszył. W jego gardle płonął szloch. Przeskakiwał nad ciałami poległych, zarówno ludzi, jak i Valgów, aż znalazł się na górze.

„Nie!” – powtarzał w myślach z każdym uderzeniem serca.

Biegł i rąbał Valgów, zabijał każdego, kto wspinał się po opartej nieopodal drabinie oblężniczej.

Drabina! Mógłby przebić się po niej na dół, zeskoczyć na ziemię, tam gdzie jego ojciec...

Machnął mieczem z taką siłą, że głowa pędzącego nań Valga wyfrunęła w powietrze. Już był nad bramą. Przypadł do blanek i wyjrzał na zewnątrz.

Z tarana nie zostało zgoła nic.

Wszędzie wokół bramy i martwej wywerny zalegały stosy trupów. Było ich tak wiele, że zagrażały dostęp do zachodniej bramy, która nagle stała się bezpieczna.

Jak długo tam stał, nie mogąc nawet drgnąć? Jak długo tam stał, podczas gdy jego ojciec siał spustoszenie?

Najpierw dostrzegł złote włosy gdzieś przed stosem Valgów. Przed bramą, którą dla nich zamknął. Przed miastem, które ocalił.

Ciałem Aediona zawładnęła straszliwa cisza.

Przestał słyszeć bitwę. Przestał widzieć walkę wokół siebie i nad sobą. Nie widział niczego oprócz poległego wojownika, który wpatrywał się w ciemniejące niebo niewidzącymi oczami.

Jego wytatuowana szyja została rozszarpana. W dłoni nadal ścisnął miecz.

Gavriel.

Jego ojciec.

Armia Morath odeszła od zabezpieczonej zachodniej bramy, po czym cofnęła się w kierunku nadciągających oddziałów.

Rowan utykał po mocnym cięciu w nogę, a jego ramię zdrętwiało przez tkwiący w nim grot. Mimo to wciąż miał w sobie siłę, by ciąć uciekającego żołdaka po twarzy. Buchnęła czarna krew, ale Rowan już szedł ku zachodniej bramie.

Tam gdzie nagle zrobiło się cicho. Bardzo cicho.

Kierował się tam od chwili, gdy ujrzał, jak Aelin i Ansel zniszczyły wieże zagrażające bramie południowej. To tam spieszyły teraz wojska kagana, by przed zmrokiem dostać się do miasta.

Do nadejścia reszty wojsk Morath pozostała jakaś godzina. Wówczas będą musieli zatrzaskać bramę na głucho, odcinając drogę ucieczki wszystkim spóźnionym.

Zachodnia brama, zagrodzona trupem wywerny i stosami ciał, była wyłączona z użytku. Rowan dostrzegł tam jednak kilka minut wcześniej złociste światło i zaczął przebijać się w tym kierunku, przeklinając żelazny grot, który uniemożliwiał mu przemianę. Fenrys i Lorcan skutecznie trzebili żołnierzy Morath, którzy próbowali atakować ludzi uciekających ku południowym wrotom, a ruki niosły uzdrowicielki do ogarniętego paniką miasta.

Musiał odnaleźć Aelin i wprowadzić w życie ich plany, zanim będzie za późno. Domyślał się, kto może maszerować na czele zbliżających się hufców, i nie miał zamiaru pozwolić jej, by samotnie stawiała czoła zagrożeniu.

Wiedział, co ich czeka. Wiedział, a mimo to parł bez wytchnienia.

Znalazł Gavriela przed zachodnią bramą, otoczonego dziesiątkami trupów. Ciała wrogów tworzyły barierę między bramą a nadciągającą armią.

Światło dnia szybko gasło. Pozostali żołnierze Morath i Żelaznozębne uciekali ku nadciągającym posiłkom. Armia kagana, idąca szybko ku południowej bramie, usiłowała zabić tylu maruderów, ilu się dało.

Musieli się dostać do miasta. Za wszelką cenę.

Wielu żołnierzy podnosiło drabiny obłęznicze i pięło się po nich na mury, niekiedy taszcząc na plecach własnych rannych.

Rowan praktycznie wyczerpał swą magię, której nie wystarczyłoby już do stworzenia lekkiego wiatru. Zacisnął więc zęby, by odepchnąć ból rany w nodze oraz ramieniu, i odrzucił ciało żołdaka, który umierając, padł na Gavriela.

Długie wieki życia, wiele lat wspólnych wojen i wędrówek przypadł w jednej chwili. Obrócił się w nicość, pozostawiając jedynie to nieruchome, sztywniejące ciało, przypominające teraz pustą, wyrzuconą łuskę.

Pod Rowanem ugięły się kolana.

Ich żołnierze sprawnie i szybko pięli się po murach. Coraz więcej z nich docierało do wciąż jeszcze bezpiecznej przystani. Nie mogli zwalniać. Musieli się spieszyć. O to przecież chodziło Gavrielowi. Na tym mu zależało. Za to zginął.

Mimo to Rowan opuścił głowę.

– Mam nadzieję, że odnajdziesz pokój, bracie. I liczę na to, że spotkamy się po śmierci.

Pochylił się, stęknął głucho, gdy w jego udzie znów obudził się ból, i przerzucił ciało Gavriela przez zdrowe ramię. Potem rozpoczął wspinaczkę po drabinie, opartej o zachodni mur. Każdy kolejny krok okazał się trudniejszy od poprzedniego. Każdy był wspomnieniem jego przyjaciela, wizją królestw, które razem widzieli, wrogów, z którymi walczyli, i wszystkich cichych momentów, o których nie wspominały żadne pieśni.

Niemniej jednak wiele z nich będzie opiewać tę chwilę. Śmierć Lwa przed zachodnią bramą Orynthu i straszliwą bitwę, którą wydał wrogom, by obronić swego syna oraz całe miasto. Jeśli przeżyją tę wojnę, jeśli uda im się wyjść z życiem z tej zawieruchy, niejedną raz usłyszą pieśń barda o końcu Gavriela.

Choć ewakuujące się piechota oraz kawaleria Darghanów robiły mnóstwo zgiełku, tam gdzie szedł niosący Gavriela Rowan, zapadała cisza.

Znalazł w sobie siłę, by z ulgą i wdzięcznością uklonić się przed Endymionem i Sellene, którzy, zakrwawieni i poturbowani, stali wraz z innymi Fae z rodu Białego Ciernia przy ostatnich katapultach. Byli jego rodziną, ale o poległym wojowniku, którego niósł na ramieniu, też mógł to powiedzieć. Gavriel był dlań rodziną, choć nie zdawał sobie z tego sprawy.

Okrutny ciężar stawał się niemalże nie do wytrzymania, ale uginający się pod nim Rowan zdołał dotrzeć na dół schodów, gdzie stał Aedion ze zwisającym bezwładnie Mieczem Orynthu.

– Mógł zostać po tej stronie – wykrztusił, gdy Rowan delikatnie ułożył ciało Gavriela na najniższym stopniu. – Mógł zostać.

Rowan spojrział na poległego przyjaciela. Najbliższego przyjaciela, w towarzystwie którego tylekroć zmagił się z niebezpieczeństwami. Z którym przeżył tyle wojen. Który zasłużył na nową ojczyznę w tym samym stopniu co każdy z nich.

Zamknął jego niewidzące oczy.

– Do zobaczenia po śmierci – rzekł.

Złociste włosy Aediona zwisały w strąkach, pozlepianych krwią i potem, a stary miecz w jego dłoni pokryty był zakrzepłą, czarną krwią. Wokół spieszyli żołnierze, którzy zbiegali po schodach, ale Aedion wpatrywał się jedynie w ojca. W zakrwawioną skałę rozcinającą nurt rzeki wojny.

Po chwili odwrócił się i ruszył ulicą miasta. Czas na łzy i wrzaski nadziei później.

Rowan szedł za nim.

– Musimy przygotować się do kolejnej fazy bitwy – powiedział ochryplym głosem Aedion. – Bo nie przetrwamy tej nocy.

Enda i Sellene już sięgnęli po swą moc, by ściągnąć wielkie kawały gruzu pod bramę. Rowan nie był już w stanie przywołać tyle magii, by im pomóc, a więc odwrócił się i wszedł na mury. Nie odważył się spojrzeć za siebie. Na żołnierzy, którzy nieśli Gavriela w głąb miasta. W jakieś bezpieczne miejsce.

Odszedł. Jego przyjaciel oraz brat odszedł na zawsze.

– Wasza Wysokość! – odezwał się zdyszany, zakrwawiony jeździec ruków, który wskazał horyzont. – Wrogą armię w znacznej mierze spowija ciemność, ale udało się oszacować ich rozmiary.

Rowan przygotował się na najgorsze.

– Przynajmniej dwadzieścia tysięcy – dodał jeździec i przełknął głośno ślinę. – W ich szeregach jest sporo Valgów i... i sześć *kharankui*.

Nie *kharankui*, lecz księżniczek Valgów, które weszły w ich ciała.

Rowan chciał się zmienić w ptaka, ale jego ciało się sprzeciwiło. Zaciskając zęby, odsunął naramiennik i wymacał ranę, ale ta zdążyła już zakrzepnąć i uwięziła żelazny okruch w jego ciele.

Nie mógł się zmienić w jastrzębia. Nie mógł wzbić się w powietrze i odnaleźć Aelin, gdziekolwiek była.

Musiał ją znaleźć, musiał znaleźć Fenrysa oraz Lorcana i poprosić, by mu pomogli, zanim będzie za późno.

Zapadała już noc. Rowan wsunął ostrze sztyletu w ranę i pomyślał, że być może już się spóźnił.

Choć bogowie odeszli, złapał się na tym, że odmawia w myślach

słowa modlitwy. Modlił się, choć rozcinane ramię przeszył straszliwy ból. Modlił się o to, by zdołał dotrzeć do Aelin na czas.

Przetrwali tak długo, stawili opór wielkiej przewadze i sprzeciwili się słowom starej przepowiedni. Wsunął sztylet głębiej, usiłując wymacać żelazny grot.

Musiał się spieszyć.

Plecy Chaola co chwila przeszywał ból. Nie miał pojęcia, co było przyczyną – trwająca wiele godzin walka czy może to, że jego żona zaangażowała się w uzdrawianie rannych – ale nie interesowało go to zbyt. W tłumie konnych wjechali z Dorianem do Orynthu przez południową bramę, by przygotować się do odparcia ataku drugiej części armii Morath.

Nadciągał zmierzch, ale wiedzieli, że Morath nie zaczeka z atakiem do świtu. Wszak ciemności przez cały czas unosiły się nad nimi niczym przerażające chmury, a to, co w nich latało, co tam na nich czyhało...

Dorian zgarbił się w siodle. Przewiesił sobie tarczę przez plecy, a Damaris wsunął do pochwy.

– Wyglądasz tak, jak ja się czuję – wykrztusił Chaol.

W szafirowych, udręczonych oczach Doriana błysnęło rozbawienie.

– Wiem, że król nie powinien się garbić i w ogóle – odparł i potarł twarz, brudną od krwi i ziemi. – Ale jakoś nagle przestało mnie to obchodzić.

Chaol uśmiechnął się ponuro.

– Mamy większe zmartwienia – rzekł.

O wiele większe.

Pognali do zamku stromą uliczką, która miała ich zaprowadzić pod bramy, kiedy nad pobojuwiskiem poniosła się pieśń rogu.

Ostrzeżenie.

Z tej wysokości ujrzeli, co skłoniło uciekających żołnierzy do większego pośpiechu. Armia Morath przyspieszyła, jakby jej dowódcy zrozumieli, że ich przyszłe ofiary są wyczerpane, i nie mieli zamiaru dać im ani chwili wytchnienia.

Chaol spojrział na Doriana. Obaj wstrzymali konie i zawrócili ku murom. Żołnierze kagana uczynili to samo. Wszyscy kierowali się w stronę murów i piekła, które lada moment miało się tam rozpętać.

Aelin usiadła na zdechłej wywernie i wysączyła ostatnie krople ze swego bukłaka. Siedząca obok Ansel oddychała ciężko przez zaciśnięte zęby, podczas gdy magia napotkanej uzdrowicielki scalała brzegi paskudnej rany, pozostawionej na ramieniu królowej z Briarcliff przez wrogie ostrze.

Obrażenie okazało się na tyle poważne, że Ansel nie była już w stanie pochwycić za broń. Wykorzystały więc fakt, że losy bitwy się odwróciły i wróg rzucił się do ucieczki, by zatrzymać się i odpocząć przez chwilę.

Aelin kręciło się w głowie. Ręce i nogi miała ciężkie jak z ołowiu, a z jej magii nie zostało właściwie nic. Wrzawa bitewna nadal huczała jej w uszach.

Obie z Ansel były tak brudne i zbryzgane krwią, że nikt nie rozpoznał w nich królowych, gdy padły na kolana przed południową bramą. Mijały je tłumy biegnących żołnierzy, uciekających przed nadciągającą armią.

Tylko minuta. Musiała odpocząć przez minutę, a potem wbiegną do Orynthu.

Do jej domu.

Ansel zakłęta i zachwiała się, a uzdrowicielka złapała ją w ostatniej chwili.

Kiepsko. Naprawdę kiepsko.

Aelin dobrze wiedziała, kto i co nadciąga na Orynth.

Lysandra powróciła na niebo, gdzie dołączyła do zbuntowanych Żelaznozębnych i Crochan. Nie miała pojęcia, co się stało z Rowanem i resztą jego drużyny. Rozstała się z nimi kilka godzin bądź stuleci temu.

Rowan był cały i zdrow. Dzięki ich więzi wiedziała, że nie odniósł śmiertelnych ran, a przysięga krwi zdradzała jej, że Fenrys i Lorcan również wciąż oddychali. Losu pozostałych przyjaciół nie знаła i na razie nie chciała o tym myśleć.

Uzdrowicielka dokończyła opatrywać ranę Ansel i odwróciła się ku niej, ale Aelin uniosła dłoń.

– Poszukaj kogoś, kto potrzebuje pomocy.

Kobieta, nie wahając się ani chwili, pognąła w kierunku najbliższych wrzasków.

– Musimy się dostać do miasta – sapnęła Ansel i oparła głowę o opancerzony bok wywerny. – Zanim zatrzasną bramy.

– Prawda – odparła Aelin i wyteżyła siły, by móc powstać i ocenić odległość, jaka nadal dzieliła ich od drugiego hufca.

Plan. Miała na tę okoliczność plan. Wszyscy go znali.

Niestety, czas nie pracował na jej korzyść. Być może z chwilą zniszczenia bogów opuściło ją szczęście.

Przełknęła ślinę, by pokonać suchość w ustach, i podniosła się z głośnym stęknieniem. Świat zakołysał się, ale utrzymała równowagę. Zdołała złapać za wodze konia mijającej ją Darghanki i kazała wojownicze zabrać majaczącą rudowłosą królową do miasta. Ansel nie miała siły, by zaprotestować, gdy jej towarzyszka wepchnęła ją na siodło za jeźdźcem.

Aelin stała obok zabitej wywerny i patrzyła, jak jej przyjaciółka znika w południowej bramie. Następnie powoli odwróciła się ku nadciągającej fali ciemności.

Skazała wszystkich na zagładę.

Za jej plecami brama zatrzasnęła się z głuchym hukiem, który rozszedł się wibracjami po jej kościach.

Żołnierze, którzy pozostali na równinie, krzyknęli z przerażeniem, ale ich wrzaski zostały przerwane przez serię rozkazów. Błyskawicznie zaczęli formować szyki i gotować się do bitwy.

Jej plan był wykonalny. Musiała go tylko dopasować do sytuacji.

Zerknęła na niebo, ale nigdzie nie widziała jastrzębia z białym ogonem. Ani śladu.

„To dobrze – wmawiała sobie. – Dobrze”.

Zamknęła na moment oczy. Położyła dłoń na piersi, jakby w ten sposób mogła narzucić sobie spokój i przygotować się na to, co czaiło się w nadciągającym mroku.

Zwierający szyki żołnierze pokrzykiwali. Wrzeszczeli ranni

i konający. Skrzydła tłukły w powietrzu.

Aelin stała jeszcze przez moment nieruchomo przed bramą do jej miasta. Do jej domu. Nadal przyciskała dłoń do piersi i czuła walące mocno serce. Czuła pył i kurz traktów, którymi wędrowała przez ostatnich dziesięć lat, by wrócić tutaj, w to miejsce.

W tym właśnie celu. By stanąć przed Orynthem dokładnie w tej chwili.

Po raz ostatni wyszeptała sobie swą opowieść:

– Dawno, dawno temu w pewnej krainie już dawno zrównanej z ziemią żyła sobie księżniczka, która bardzo kochała swe królestwo...

Yrene przerwała leczenie rannych na kilka minut. Jej moc, jasna i silna, płynęła nieprzerwanym strumieniem i nie gasła, choć uzdrowicielka pracowała od kilku godzin.

Przerwała jednak, bo chciała sprawdzić, co się wydarzyło. Do tej pory była przekonana, że zwycięstwo mają w kieszeni, ale od pewnego czasu słyszała okrzyki żołnierzy uciekających w stronę bramy. Zaalarmowana, pobiegła na mury obronne. Elide, która pomagała jej przez cały czas, pospieszyła za nią.

Lady Lochan skrzywiła się, gdy rozpoczęła wspinaczkę po schodach, ale nie powiedziała słowa skargi. Rozglądała się w ciżbie, najwyraźniej szukając kogoś lub czegoś, aż jej wzrok padł na starca, któremu towarzyszyła dziewczynka o niezwykle rudawozłotych włosach. Co rusz przypadali do niego posłańcy, którzy chwilę później odbiegali ze świeżymi rozkazami.

„To przywódca” – uświadomiła sobie Yrene, ale Elide już kuśtykała ku niemu.

Starzec odwrócił się i zamarł na jej widok.

Uwagę uzdrowicielki przyciągnęło pobojuwisko, po którym kroczyła nowa armia, do połowy spowita w ciemnościach. W pierwszych szeregach wypatrzyła sześć *kharankui*.

Żołnierze kagana zgromadzili się na murach i przed nimi. Południowa brama została zamknięta.

Nie byli w stanie odeprzeć tego ataku. Nie mieli wystarczających

sił, by stawić czoła tej armii, tym bardziej że była świeża i niezmeńczona bojem. W jej szeregach roilo się od okropnych istot.

Księżniczki Valgów... Wśród ich wrogów były księżniczki Valgów!

Chaol... Gdzie był Chaol?

– Nie możemy stawić czoła takiej przewadze i mieć nadziei, że uda nam się wyjść z tego cało! – rzekła Elide do starca głosem, jakiego Yrene jeszcze u niej nie słyszała. Pobrzmiwały w nim chłód i autorytet.

Lady Perranthu wskazała pole bitwy, po którym przewalała się ciemność, jakże przerażająca ciemność.

Po plecach Yrene spłynął zimny dreszcz.

– Wiesz, co to jest? – spytała Elide cicho. – Bo ja wiem.

Starzec przełknął ślinę.

Yrene zrozumiała wówczas, co jeszcze kryło się w ciemnościach. A raczej kto w nich podążał.

Erawan.

Słońce schowało się za horyzontem. Resztki jego blasku malowały zakrwawiony śnieg na niebiesko.

Błysnęło światło. Stojąca obok starca dziewczynka odwróciła się i zapłakała z ulgą na widok oszałamiająco pięknej kobiety, która wyrosła jak spod ziemi. Yrene dostrzegła liczne rany i sińce na jej nagim ciele, ale nowo przybyła szybko okryła się płaszczem, zgoła nie przejmując się zimnem.

Zmiennokształtna.

Nowo przybyła rozrzuciła ramiona i przytuliła dziewczynkę.

Yrene przypomniała sobie, że Chaol nazywał ją Lysandrą. Była damą na dworze Aelin oraz nieznaną bratanicą Falkana Ennara.

Lysandra odwróciła się do starca.

– Aedion i Rowan przysyłają mnie z rozkazem. Wszyscy, którzy są w stanie, mają się ewakuować.

Starzec spojrzał na pole bitwy. Widok nadciągającej armii odebrał mu mowę, tym bardziej że już widział, kto szedł na jej czele.

Dwie postaci, otoczone kłębiącym się mrokiem.

Młodzieńcem o złotych włosach był Erawan. Odgadłaby to nawet, gdyby była niewidoma.

Obok niego kroczyła ciemnowłosa kobieta o bladej skórze, której szaty falowały, jakby unosiły się na widmowym wietrze.

Ludzie dookoła nich zaczęli wrzeszczeć ze strachu i rozpacz. Maeve i Erawan nadeszli, by osobiście dopilnować zniszczenia Orynthu.

Szli ku bramom miasta, a ciemność za nimi gęstniała. Z mroku dobiegało klekotanie szczypiec. Nadciągały istoty, które potrafiły pożerać życie i radość.

„Och, na bogów...”.

– Lordzie Darrow – odezwała się Elide ostrym tonem dowódcy. – Czy istnieje jakaś droga ewakuacji? Jakies tajne przejście, którym dzieci oraz starsi mogą uciec z miasta?

Starzec oderwał wzrok od króla i królowej Valgów.

– Nie ma drogi, która w porę powoli im na ucieczkę – odezwał się głosem, w którym pobrzmiwały bezradność i rozpacz.

– Pokaż mi ją! – rozkazała Lysandra. – By choć mogli spróbować! – Złapała dziewczynkę za ramię. – By Evangeline mogła spróbować uciec.

Kłęska. To, co jeszcze niedawno wydawało się tryumfalnym zwycięstwem, miało się przerodzić w całkowitą porażkę. W rzeź.

Wroga armia, prowadzona przez Maeve i Erawana, znajdowała się zaledwie kilkaset metrów od murów miasta.

Od Orynthu dzieliły ich już tylko starożytne, kamienne umocnienia.

Darrow zawahał się. Bez wątpienia był w szoku.

Naraz Evangeline uniosła palec i wskazała coś między murami a nadciągającą armią.

– Patrzcie!

Była tam.

Wśród ciemniejszego błękitu nadchodzącej nocy, pośród płatków śniegu, które znów zaczęły spływać z góry, przed południową bramą

pojawiła się Aelin Galathynius. Stała dokładnie naprzeciw Erawana i Maeve.

Jej rozpuszczone włosy unosiły się na wietrze niczym złocisty proporzec, przez co wydawały się ostatnim promieniem światła gasnącego dnia.

Zapadła cisza. Ucichły nawet wrzaski, a wszyscy zebrani spojrzeli ku bramie. Aelin jednakże nawet nie drgnęła. Nie uciekała przed królem i królową Valgów, którzy zatrzymali się, jakby chcieli się z zachwytem przyjrzeć tej, która postanowiła rzucić im wyzwanie.

– Przecież... – jęknęła zduszonym głosem Lysandra. – Przecież ona już wyczerpała swą moc! – Głos zmiennokształtnej załamał się. – Nic jej nie zostało!

Mimo to Aelin uniosła miecz. Po jego ostrzu tańczyły złote płomienie.

Jeden płomień przeciwko morzu ciemności.

Jeden płomień, by rozświetlić noc.

Aelin uniosła tarczę, którą również spowił ogień.

Płonął jasno, bez lęku. Moc z dawnych dziejów się odrodziła.

Po murach i ulicach miasta niosły się okrzyki.

Królowa wreszcie powróciła do domu.

Królowa przybyła, by bronić bramy.

Nazywała się Aelin Ashryver Białe Cierń Galathynius.

I nie miała zamiaru się bać.

Maeve i Erawan zatrzymali się, a za nimi armia przypominająca młot, wzniesiony, by zadać Orynthowi ostatni, miażdżący cios.

Magia w jej krwi dogasała niczym syczący żar, ale król i królowa Valgów o tym nie wiedzieli. Jej drżące dłonie z trudem trzymały broń, ale ona ani drgnęła.

Nie pozwoli im, by zrobili choć krok w kierunku Orynthu.

– Jaką ty daleką drogę przebyłaś, Aelin. – Maeve uśmiechnęła się na powitanie.

Królowa Terrasenu jedynie pochyliła Goldryna ku nim i spojrzała w złociste oczy Erawana.

Jego spojrzenie zajaśniało. Pamiętał ten oręż.

Aelin odsłoniła zęby i podsycała płomienie tańczące wzdłuż klingi. Te zajaśniały.

Maeve zwróciła się ku Erawanowi.

– Zaczynamy?

Ten jednakże spojrzał na Aelin i się zawahał.

Nie miała wiele czasu. Przeczynała, że za moment zorientują się, że z mocy, której się teraz obawiał, nie zostało praktycznie nic.

Niemniej jednak ona nie zatrzymała się przed południową bramą, by ich pokonać. Nie, zależało jej tylko na tym, by zdobyć trochę czasu. By wszyscy ludzie w mieście, które tak bardzo kochała, zdolali uciec. By mogli podjąć walkę kiedy indziej.

Jej samej wystarczyło to, że dotarła do domu.

Te słowa rozbrzmiewały echem w każdym jej oddechu. Wyostrzały jej wzrok, dodawały siłę ciału. Nad jej głową pojawiła się migotliwa, niezniszczalna korona ognia.

Nie była w stanie zwyciężyć w walce z obojgiem, ale nie miała zamiaru im niczego ułatwić. Obiecała sobie, że jeśli jej się uda, zabierze któreś z nich ze sobą albo przynajmniej spowolni na tyle, by pozostali zdołali uruchomić ułożony wcześniej plan i spróbowali zatrzymać bądź pokonać wrogów. Nawet jeśli na razie wydawało się to mocno nieprawdopodobne.

Ale dlatego właśnie zatrzymała się przed bramą. Chciała dać reszcie odrobinę nadziei. Podtrzymać w nich chęć do walki. A ona? Cóż, w najgorszym razie odejdzie do świata zmarłych z wysoko uniesioną głową. Nie będzie się wstydzić, gdy stanie przed tymi, których ukochała sercem z dzikiego ognia.

Złożyła więc Erawanowi ukłon, przywołała całą swą brawurę i oznajmiła:

- Spotkaliśmy się już parokrotnie, ale nigdy w prawdziwych postaciach. – Mrugnęła do niego. Kolana jej drżały, mimo to zrobiła to. – Przystojniak z ciebie, Erawanie, ale chyba tęsknię za Perringtonem. Odrobinę.

Maeve rozchyliła nozdrza, ale rozbawiony Erawan zmrużył oczy.

- Myślisz, że to przeznaczenie sprawiło, że spotkaliśmy się w Rifthold, ale się nie rozpoznaliśmy?

Swobodne, niemalże żartobliwe słowa wypowiedziane przez jakże plugawą, okrutną istotę. Aelin zmusiła się, by wzruszyć ramionami.

- Przeznaczenie czy szczęście? – spytała, a potem wskazała na pobojuwisko i swe ranne miasto. – To miejsce o wiele bardziej pasuje na scenę naszej ostatecznej konfrontacji, nie sądzisz? Jest nas o wiele bardziej godne.

- Dość już tego – syknęła Maeve.

Aelin uniosła brew.

- Jakże to tak? Przygotowywałam się do tej chwili przez cały rok, a właściwie to dziesięć lat, jeśli spojrzeć na to z innej strony! – Cmoknęła. – Wybacz, ale chcę się nią nacieszyć. Chcę choć przez chwilę porozmawiać z moim wielkim nieprzyjacielem.

Erawan zachichotał, co przeszło ją dreszczem.

- Można by pomyśleć, że grasz na zwłokę, Aelin Galathynius.

Aelin wskazała miasto za sobą.

– A niby po co? Przecież Kluczy już nie ma, a bogowie znikli wraz z nimi. – Uśmiechnęła się szeroko. – Wiedzieliście o tym, prawda?

Erawan spoważniał.

– Wiem – rzekł. W jego głosie czaiła się obietnica straszliwej śmierci.

– Wiesz o tym, że wyświadczyłam ci przysługę?

– Nie pozwól jej mówić – szepnęła Maeve. – I skończmy to tu i teraz!

– Można by pomyśleć, że się boisz, Maeve! – Aelin parsknęła śmiechem. – Że to ty się boisz jakiegokolwiek zwłoki! – Znów zwróciła się do Erawana. – Bogowie umyślili sobie, że zabiorą cię ze sobą. I rozszarpią na strzępy – rzekła z uśmiechem. – Poprosiłam ich, by tego nie robili. Byśmy mogli wreszcie stoczyć nasz wielki bój.

– Jak ci się udało przeżyć? – spytała ostro Maeve.

– Nauczyłam się dzielić z innymi – prychnęła Aelin. – Przyznam, sporo czasu mi to zajęło.

– Kłamstwa! – wrzasnęła Maeve.

– A do was mam jedno ważne pytanie. – Aelin spoglądała na mrocznych władców, od których dzieliły ją teraz już tylko tumany wirującego śniegu. – Jak podzielicie się władzą? Wszak oboje ugrzęźliście tu na dobre. – Wskazała Maeve płonąca tarczą i dodała: – Z tego, co wiem, jeszcze niedawno oddałabyś wiele, by go odesłać do domu. Co więcej, zgromadziłaś w Doranelle małą armię uzdrowicieli, by móc go zniszczyć, gdy nadarzy się okazja.

Erawan zamrugął powoli, a Aelin się uśmiechnęła.

– Co teraz poczniesz z tymi uzdrowicielami, Maeve? Omówiliście to może między sobą?

Wokół palców Maeve zamigotała ciemność.

– Już mam dość tej paplaniny!

– A ja jakoś nie. – Złote oczy Erawana jaśniały.

– To dobrze – rzekła Aelin. – Bo byłam jej więźniem, wiesz? I to długie miesiące. Zdziwiłbyś się, ile mi się udało od niej dowiedzieć.

Na przykład o jej mężu, a twoim bracie. O bibliotece w jego zamku, gdzie Maeve nauczyła się wielu interesujących rzeczy o podróżach między światami. Podzielisz się z nim tą wiedzą, Maeve, czy może inaczej się umówiliście?

Oczy Erawana pociemniały, gdy pojawiła się w nich wątpliwość.

– Ona chce się ciebie pozbyć, wiesz? Na dobre. Co ci powiedziała, gdy zaginął twój Klucz Wyrda? Niech no zgadnę... Otóż król Adarlanu wkradł się do Morath, zabił zniewoloną dziewczynę, która miała się stać twoją żywą Bramą i zniszczył ci twierdzę, a Maeve spóźniła się z interwencją, tak? Nie udało się jej go zatrzymać? Nie wiesz, że współpracowała z nim przez wiele dni? Że wspólnie zamierzali wykraść ci Klucz?

– To kłamstwo! – zaprotestowała Maeve.

– Naprawdę? Mam powtórzyć to, co mówiłaś podczas odbywających się na osobności narad z lordem Erawanem? Bo król Adarlanu wszystko mi opowiedział!

Erawan uśmiechał się coraz szerzej.

– Zawsze lubiłaś dramatyzm. Może jednak kłamiesz, jak twierdzi moja siostra.

– Może kłamię, może nie. Sam zadecyduj, ale myślę, że prawda o tym, iż twoja nowa sojuszniczka próbuje ci wbić sztylet w plecy, jest o wiele ciekawsza niż dowolne kłamstwo mojego autorstwa.

– Dobrze, a może chciałabyś posłuchać innej prawdy? – spytała cicho Maeve. – Chciałabyś może wiedzieć, kto zabił twoich rodziców? I lady Marion?

Aelin zeszywniała.

– Nie on. – Maeve machnęła dłonią w kierunku Erawana. – Ani nawet król Adarlanu. Nie, wysłał w tym celu jakiegoś księcia Valgów o niskim statusie. Nie chciało mu się zająć tym samemu. Nie przyszło mu nawet do głowy, by zajął się tym ktoś istotny.

Aelin wbiła spojrzenie w królową. I w króla.

Potem uniosła brew.

– Próbujesz mnie wyprowadzić z równowagi? Liczysz sobie tysiące lat i to wszystko, co ci przychodzi do głowy? – Zaśmiała się

i wycelowała Goldrynem w Erawana. Mogłaby przysiąc, że ten cofnął się przed płonącym ostrzem. – Przykro mi z twego powodu. Przykro mi z powodu tego, że związałaś się z tą nieśmiertelną nudziarą, a jeszcze bardziej przykro mi będzie, gdy Maeve cię sprzeda.

– Słyszysz tę jej gadaninę? – syknęła Maeve. – Na tym polega jej prawdziwy dar. Gada i papie, a...

– Tak, tak. Ale jak już powiedziałam, macie przewagę na polu bitwy i nic was nie zatrzyma.

– Z wyjątkiem ciebie – rzekł Erawan.

Aelin przycisnęła tarczę do piersi.

– Pochlebiasz mi – powiedziała i znów uniosła brew. – Choć myślę, że dwieście uzdrowicielek, które zgromadziliśmy w mieście, może poczuć się urażonych, że zostały pominięte. Tym bardziej że na własne oczy widziałam, jak skutecznie wyganiają Valgów z zajętych przez nich ciał.

Erawan znieruchomiał. Na ułamek sekundy.

– A może to kolejne kłamstwo? – Aelin udała zadumę. – Ale gdyby moje słowa okazały się prawdą, wejście do tego miasta wiązałoby się ze sporym ryzykiem. Poprawka: do mojego miasta. Chcesz się przekonać, co tam na ciebie czeka? Słyszałam, że zadałeś sobie mnóstwo trudu, by tego lata zabić kogoś z moich przyjaciół, Dziedziczkę Silby. Na twoim miejscu przyłożyłabym się bardziej, bo cóż... Ona tu jest. Przebyła ogromny szmat drogi, by ci odplacić.

Płomienie Aelin zapłonęły jeszcze mocniej. Erawan znów się zawahał.

– Maeve o tym wiedziała. Dobrze wie, że uzdrowicielki tylko na ciebie czekają, i chętnie pozwolą, by się z tobą rozprawiły. Spytaj, gdzie podziewa się jej sowa. Uzdrowicielka, którą przywiązała do siebie, by chronić się przed tobą.

– Nie słuchaj tych bzdur! – syknęła Maeve.

– Nawet zawarła z nimi układ. Oszczędzi im życie w zamian za pozbycie się ciebie. – Aelin machnęła mieczem w kierunku miasta. – W chwili gdy przekroczysz bramę Orynthu, znajdziesz się w pułapce wraz ze swoimi przyjaciółmi Valgami. Z tej konfrontacji cało wyjdzie tylko Maeve, która stanie się Panią Wszystkiego.

Maeve uniosła brwi.

– Mam już tego serdecznie dosyć, Aelin Galathynius.

Aelin wiedziała, że Maeve nigdy się nie zatrzyma, nawet bez Erawana. Mroczny władca spojrział na nią i najwyraźniej uświadomił sobie to samo.

Ciemne włosy Maeve falowały wokół niej.

– A gdzie jest król Adarlanu? Mamy z nim do pomówienia. – Jej głos emanował skwiercząco, złowrogą wściekłością.

– Walczy gdzieś. – Aelin wzruszyła ramionami. – Pewnie nie chce nawet zawracać sobie tobą głowy. Cóż, Maeve, doceniam dzielną próbę zmiany tematu rozmowy. – Spojrzała na Erawana. – Uzdrowicielki czekają na ciebie. Niebawem się przekonasz, że mówię prawdę, choć pewnie wtedy będzie już za późno.

Zwątpienie. W oczach Erawana w istocie pojawiło się zwątpienie, niczym uchylone lekko drzwi. Teraz Yrene wraz z innymi musiała tylko pchnąć je ze wszystkich sił.

Nie chciała nikogo o nic prosić. Nie chciała realizować tego planu. Nie chciała wciągać nikogo w kolejną intrygę, ale ufała Yrene i pozostałym uzdrowicielkom. Miała nadzieję, że same się domyślą. Że zrozumieją, dokąd się udała i po co. Wierzyła w to.

Maeve podeszła bliżej.

– Mam nadzieję, że dobrze się bawiłaś przez ostatnich parę minut.

Obnażyła swe nazbyt białe zęby. Wszelkie ślady jej chłodnego wdzięku znikły, co najwyraźniej zaskoczyło nawet Erawana, który znów się zawahał. Zupełnie jakby się zastanawiał, czy słowa dziewczyny rzeczywiście ją przeraziły.

– Pleciesz, jakby ci zmysły odebrano, Aelin, ale liczę na to, że przynajmniej tobie się to podoba.

– Och, i to jeszcze jak! – Aelin złożyła jej drwiący ukłon. – A jeszcze bardziej spodoba mi się chwila, kiedy zetrę cię z powierzchni ziemi. – Westchnęła ku niebu. – Na bogów, cóż to będzie za widok!

Maeve wyciągnęła dłoń. Kłębiła się na niej ciemność.

– Nie ma już żadnych bogów, którzy mogliby się temu przyglądać. Nie przyjdą ci też z pomocą, Aelin Galathynius.

Dziewczyna uśmiechnęła się, a Goldryn zapłonął jeszcze mocniej.

– Ja jestem bogiem! – rzekła i rzuciła się na nich.

Rowan wyrwał kawałek żelaza z rany w chwili, gdy przybyli Maeve z Erawanem, a Aelin stanęła im na drodze ku Orynthowi. Magia zamigotała mu we krwi, ale zacisnął dłoń na krwawiącym ramieniu i pobiegł ku południowej bramie, jednocześnie próbując przyspieszyć gojenie. Rana zapiekła, gdy jej brzegi zaczęły się zrastać, ale wszystko działo się wolno. Zbyt wolno.

Wiedział jednak, że gdyby teraz zmienił się w jastrzębia, miałby poszarpane skrzydło, a w tym stanie nie mógłby wzbić się do lotu. Biegł więc po mieście, które miało stać się jego domem, kierując się ku południowej bramie.

Musiał zdążyć.

Ostrzegawczy okrzyk z murów sprawił, że odruchowo uruchomił barierę. W tej samej chwili do blanek przystawiono drabinę obłęzniczą, a na niej pojawili się pierwsi żołnierze Morath. Skoczyli prosto na ostrza czekających nań wojowników kagana oraz Zguby, ale było ich zbyt wielu.

Żelaznozębne starły się na niebie z Crochan, ale wywerny wroga niosły kolejnych żołdaków, których zrzucały na mury i na ulice.

Ludzie w całym mieście wrzeszczeli. Uciekali w popłochu.

Jeszcze tylko kilka ulic i znajdzie się przy południowej bramie. Przy Aelin.

Nie przestawał jednak słyszeć wrzasków przerażenia i bólu.

Dom. To miał być jego dom. A właściwie już nim był, skoro Aelin wciąż mu towarzyszyła.

Powinien go bronić. Będzie go bronić. Sięgnął po miecz i topór.

Gdzieś za murami buchnęły płomienie, które ozłociły całe miasto. Przecież Aelin nie pozostał nawet żar! W starciu z Erawanem i Maeve powinna zginąć! Mimo to jej płomień nadal huczał wysoko, a ich więź była mocna.

Coś zajaśniało. Pojawił się umazany krwią Fenrys, który warknął na żołnierzy wdzierających się na mur. Pierwszego, który na niego

skoczył, rozszarpał jednym ciosem pazurzastej łapy. Potem wystrzelił czarny wiatr. Nadszedł Lorcan.

Obaj Fae zatrzymali się na ułamek sekundy i spojrzeli na niego pytająco. Dobrze wiedzieli, gdzie była Aelin i na czym polegał jej plan.

Znów buchnął ogień za murami.

Ale Rowan wciąż słyszał wrzaski niewinnych ludzi w głębi miasta. Aelin nigdy by mu nie wybaczyła, gdyby ich zostawił.

Odwrócił się więc ku ulicom.

– Przysięgaliśmy wierność naszej królowej i temu dworowi – warknął i spojrzął na żołnierzy pnących się po murach. – Nie złamiemy obietnicy.

Nawet trzy wielkie potęgi tego kontynentu, które rozpoczęły starcie przed bramami miasta, nie były w stanie zatrzymać wojny wokół nich.

Morath tłoczył się przed bramami, a wyczerpani wojownicy kaganatu ponownie zwrócili się ku nim. Unieśli broń ku kolejnym koszarom wyłaniającym się z mroku, ku wyjącom, kłapiącym szczękami bestiom, ku lecącym na nich ilkenom. Na razie nie było nigdzie widać księżniczek Valgów, ale Elide wiedziała, że gdzieś czyhają i czekają na odpowiedni moment. Morath opróżnił najgłębsze jamy ciemności ze swych sojuszników, by wszyscy wzięli udział w ostatecznym zniszczeniu.

A na równinie przed bramami ogień i mrok ciemniejszy od nocy toczyły zaciekle starcie.

Elide nie wiedziała, czy patrzeć na bitwę między obiema armiami, czy też na pojedynki między Maeve, Erawanem i Aelin.

Yrene stała obok niej, a dalej widziała lorda Darrowa, Lysandrę i Evangeline.

Rozbłysnął ogień, odpowiedziała mu fala ciemności.

Aelin jak ognisty wir wdarła się między Maeve i Erawana. Ich walka była ostra i brutalna, ale... ale przecież ona nie miała już żadnej mocy! Zanim Brama Wyrda pozbawiła ją niemalże wszystkiego, Aelin być może byłaby w stanie stawić czoła jednemu

z mrocznych wrogów i wyjść ze starcia zwycięsko, ale po zamknięciu Bramy pozostał jej jedynie strzęp dawnej potęgi, osłabiony dodatkowo całodzienną walką.

Jednak Maeve i Erawan o tym nie wiedzieli.

Nie widzieli, że Aelin robi jedynie uniki, a nie atakuje. Że ów rozciągnięty w czasie taniec ma na celu jedynie kupienie obrońcom trochę czasu.

W ciemności za murami żołnierze walczyli i umierali, a pod murami żołdacy Morath przystawiali kolejne drabiny i falami wdzierali się do Orynthu. Aelin jednakże nadal broniła bram przed Erawanem i Maeve. Nie dopuszczała ich ani o krok do miasta.

Aelin Galathynius składała ostateczną ofiarę swej ojczyźnie.

W chwili gdy uświadomiła sobie, że królowej nie zostało ani trochę mocy, ich starcie rychło się zakończy. Wymiana sił, ekscytująca dla Maeve i Erawana, zamieni się w rzeź.

Gdzie byli pozostali? Gdzie podziewali się Rowan, Lorcan i Dorian? A co z Fenrysem i Gavrielem? Gdzie byli? A może nie wiedzieli, co się dzieje przed bramami.

Lysandra oddychała płytko. Nie, zmiennokształtna również nie mogła w żaden sposób pomóc. Poza tym, udzielając królowej pomocy, dałaby Erawanowi i Maeve do myślenia, że Aelin traci siły.

Nie było już łagodnego głosu nad ramieniem Elide. Ucichł na zawsze. Już nigdy nie usłyszy mądrego szeptu, który wskazywał jej kolejne rozwiązania.

„Patrz – szeptała do niej zawsze Anneith. – Patrz”.

Elide rozejrzała się po polu bitewnym i po mieście, spojrziała raz jeszcze na królową toczącą walkę z przywódcami Valgów.

Aelin nie robiła niczego bez celu. Zatrzymała się przed bramą tylko po to, by dać obrońcom czas. By trochę zająć i zmęczyć mrocznych władców. Nie była jednak w stanie ich pokonać.

Tej sztuki mogła dokonać tylko jedna osoba na świecie.

Wzrok Elide spoczął na Yrene, która z pobladłą twarzą wpatrywała się w starcie przed murami.

Królowa nigdy by o to nie poprosiła.

Ale mogła zostawić sugestię. Pole do działania. Gdyby Yrene i pozostałe chciały się włączyć.

Czując na sobie jej spojrzenie, Yrene oderwała wzrok od bitwy.

- Co takiego?

Elide spojrzała na Lysandrę, na mury, a potem na rozbłyski ognia i lodu wśród nich.

Wiedziała, co trzeba zrobić.

Nesryn nie przewidziała pojawienia się ilkenów. Nie zdawała sobie też sprawy z tego, jak potworny może się okazać choćby tuzin tych bestii.

Smukłe i złowrogie, przemknęły nad szeregami Morath, czarne niczym noc i aż gotujące się z ochoty, by zmierzyć się z rękami.

Sartaq rozkazał, by przyszykować wszystkie płonące strzały, jakie im pozostały. Jedna z nich oparzyła właśnie palce Nesryn, która wycelowała w którąś z ciemnych postaci i zwolniła cięciwę. Płomień pomknął przez noc prosto w ilkena, który właśnie zamierzał pochwycić jakiegoś Darghana. Grot trafił i nawet Nesryn wysoko na niebie usłyszała wrzask potwora. Darghan pchnął go wówczas *sulde*, czym przerwał rozpaczliwy ryk bestii. Odważny, szczęśliwy cios.

Nesryn sięgała po kolejną strzałę, gdy jeździec spadł z konia. Nie, ilken wcale nie został zabity, lecz jedynie udawał martwego. Noc przeszył dziki wrzask bólu, gdy szpony bestii rozorały pierś pięknego rumaka, a kolejne szarpnięcie rozorało jego jeźdźca.

Nesryn wymacała krzesiwo, by zapalić nasiąknięte ropą płótno, którym owinęła grot.

Ilkeny szalały na całym polu bitwy, a jeźdźcy i *rukhin* spadali na ziemię.

Tymczasem gdzieś na tyłach starć czaiła się nowa forma plugastwa, jakby czekała na swoje wielkie wejście, by zniszczyć to, co pozostało. Księżniczki Valgów w swych nowych ciałach należących do *kharankui*, ostatnia niespodzianka Erawana, tylko czekały na sygnał.

Nesryn wypuściła kolejną strzałę i rozejrzała się w poszukiwaniu Sartaqa. Księżę poprowadził oddział ręków w głąb linii wroga. Oskrzydlali go Borte, Yeran i Falkan, ranni i wyczerpani.

Ostatnie, desperackie natarcie.

Takie, z którego się przypuszczalnie nie wraca.

Yrene oddychała z trudem przez ściśnięte gardło. Dzikie bicie serca niosło się po całym jej ciele, ale wbrew jej obawom nie zawładnął nią paraliżujący strach.

Jeszcze nie.

Lysandra przeobrażona w ruka wylądowała na murach miasta i znieruchomiła, czekając, aż Elide i Yrene zdążą pospiesznie zejść. Nieopodal walczyli Dorian i Chaol, desperacko powstrzymując Valgów wdzierających się na mury.

Był to jednak najmniejszy z ich problemów, gdyż już przebijały się ku nim ilkeny.

„Niech Silba ma nas w opiece” – pomyślała Yrene.

Chaol ujrzał ją pierwszy. W jego szeroko otwartych oczach błysnęło przerażenie.

– Wracaj do zamku! – zawołał.

Nie posłuchała.

– Potrzebujemy cię, Wasza Wysokość! – krzyknęła, gdy Dorian odwrócił się ku niej.

Chaol, utykając, odepchnął się od blank.

– Wracaj natychmiast do zamku! – powtórzył.

Yrene znów go zignorowała. Dorian przeszył mieczem Valga przed sobą, zepchnął go z drabiny i przypadł do uzdrowicielki.

– O co chodzi?

Elide wskazała mu zachodnią bramę, gdzie buchały ognie wśród chmur ciemności. Zbryzgana krwią twarz Dorianą pobladła.

– Przecież jej nic już nie zostało!

– Wiemy! – Elide zacisnęła usta. – I właśnie dlatego potrzebujemy ciebie!

Chaol najwidoczniej zrozumiał zamysł na uderzenie serca przed królem i odwrócił się gwałtownie ku żonie.

– Nie możesz tego zrobić!

Elide pospiesznie, w zwięzłych słowach, przedstawiła ich ryzykowny, szalony plan. Plan, który przyszedł jej do głowy

dosłownie przed chwilą.

Yrene usiłowała powstrzymać drżenie, gdy uświadomiła sobie, że właściwie nie mają wyboru. Muszą spróbować. Elide już wdrapała się na grzbiet ruka, skąd skinęła na Doriana, a ten nie zawahał się ani chwili.

Chaol upuścił tarczę i miecz na zakrwawiony pomost i obiema dłońmi ujął twarz Yrene.

– Nie możesz tego zrobić! – zawołał łamiącym się głosem. – Nie wolno ci!

Yrene ujęła jego dłonie. Zetknęli się czołami.

– Jesteś największą radością mego życia – powiedziała.

Jej mąż i najdroższy przyjaciel zamknął oczy. Spowijał go smród metalu i krwi Valgów, ale doszukała się również jego własnego zapachu. Zapachu domu.

Chaol otworzył oczy, brązowe, jakże pełne życia. Pełne zaufania, zrozumienia i dumy.

– Idź, uratuj świat, Yrene – szepnął i pocałował ją w czoło.

Pozwoliła, by pocałunek wsiąkł w jej skórę i stał się dla niej barierą ochronną, symbolem miłości, dla której była gotowa wkroczyć do piekła i dalej. Chaol odwrócił się zaś do Doriana i Elide, a miłość na jego twarzy stwardniała. Patrzył na nich z zaciętością i determinacją.

– Uważajcie na nią – rzekł.

Yrene zrozumiała, że była to jedna, jedyna sytuacja, w której to on wydał rozkaz swemu królowi. Ich królowi.

To dlatego go kochała. Dlatego właśnie wiedziała, że dziecko w jej łonie ani razu nie zada sobie pytania, czy było kochane.

Dorian pochylił głowę.

– Będę jej bronił z narażeniem życia – rzekł i wyciągnął dłoń, by pomóc Yrene wejść na ruka. – Dajmy z siebie wszystko.

Płuca Manon płonęły przy każdym oddechu, ale Abraxos leciał nieustraszenie prosto w sam środek bitwy.

Liczba nieprzyjaciół odbierała pewność siebie, a nowe koszmary

Morath, w ich liczbie ilkeny, budziły w niej przerażenie.

Po niebie niesły się wrzaski i krzyki. Crochan, Żelaznozębne oraz ruki – najprawdziwsze ruki! – walczyły o życie. Wszelkie nadzieje na zwycięstwo, które obudziło pojawienie się Aelin Galathynius, gasły pospiesznie.

Manon z Abraxosem przebili się przez szeregi Żelaznozębnych, po czym zanurkowali, by rozrąbywać ilkeny i pieszych żołnierzy. Tnący Wiatr wydawał jej się ciężki niczym z ołowiu. Nie umiała już odróżnić swej krwi od potu.

Przybyła królowa Terrasenu. Przywiodła ze sobą armię.

I tak niewiele to dało.

Lorcan wiedział, że nadeszła Maeve. Czuł jej obecność w kościach. Czuł mroczną, okropną pieśń, która niesła się po świecie. Pieśń Valgów.

Walczył na murach u boku Białego Ciernia i Fenrysa. Nieopodal szalał Aedion, rzucając się na każdego przeciwnika z furją, którą zrodziła głęboka, niepowetowana rozpacz. Lorcan dobrze to rozumiał.

Gavriel poległ. Zginął, by jego syn oraz reszta ludzi broniących zachodniej bramy miała szansę ją zamknąć.

Świadomość, że Lwa nie było już wśród nich, obudziła w sercu Lorcana ból. Zdusił go gwałtownie.

„Kto będzie następny?” – zastanawiał się.

Za murami rozbłysło światło, szybko pochłonięte przez ciemność. Zbyt szybko, za łatwo.

Aelin postradała zmysły. Musiała oszaleć bez reszty, skoro myślała, że może rzucić wyzwanie nie tylko Maeve, ale również Erawanowi.

Mimo to Rowan zatrzymał się i w tej samej chwili o mało nie zginął z ręki nadbiegającego Valga. Na szczęście Lorcan cisnął sztyletem, który wbił się napastnikowi w twarz. Nie zważając na nic, Rowan skinął Lorcanowi i Fenrysowi, po czym przeistoczył się w jastrzębia i pomknął za mury.

Lorcan spojrział na Fenrysa, który aż się zjeżył. On również wyczuwał, co się dzieje na zewnątrz. Nadszedł czas.

- Zakończymy to razem – warknął i również zmienił postać. Jako biały wilk zeskoczył z pomostu na ulice miasta. Ku bramie.

Lorcan zerknął na zamek, skąd walce przyglądała się Elide. Pożegnał się z nią w myślach i pchnął całą swą miłość ku kobiecie, która ocaliła w nim wszystko to, co miało znaczenie, a potem pobiegł ku bramie.

Oraz ku Mrocznej Królowej, która groziła zagładą temu, czego pragnął i na co miał nadzieję. Na co nauczył się mieć nadzieję. Bo odkrył, że w życiu może pojawić się coś dobrego.

Albo ktoś dobry.

Był gotów za to zginąć.

Był to taniec, który Aelin ćwiczyła całe swoje życie.

Nie chodziło w nim tylko o odpowiednie ruchy miecza czy tarczy, ale również o krzywy uśmiech, z jakim parowała każdą falę ciemności, po raz kolejny uświadamiając sobie, kim są jej partnerzy w tańcu.

Gdy któryś z nich robił krok, Aelin pchała ku niemu płomienie. Starannie skrywała własne wątpliwości. Nie ośmieliła się nawet zastanawiać, czy widzą, że ów ogień to głównie światło i kolor.

Wciąż robili uniki. Wciąż próbowali go wyminąć.

Czekali, aż Aelin pobierze większą ilość magii, aż zamierzy się do ostatecznego ciosu.

I choć jej ogień odpierał ciemność, choć Goldryn stał się w jej ręku płonąca pieśnią, wiedziała, że ich moc wkrótce przebije się przez jej obronę.

Klucze znikły. Niosąca Ogień przepadła wraz z nimi.

Nie była im już do niczego przydatna. Nie było po co jej więzić, chyba że dla czystej przyjemności płynącej z tortur.

Czekały ją śmierć albo uwięzienie.

Ale Kluczy już nie było. Erawan nie mógł już stworzyć więcej Kamieni Wyrda ani sprowadzić kolejnych Valgów, by przejmowali ludzkie ciała.

Aelin skoczyła i pchnęła Erawana Goldrynem, jednocześnie zasłaniając się tarczą przed Maeve. Stworzyła też dwie ściany ognia, które sprawiły, że jej przeciwnicy znaleźli się nagle bliżej siebie. Erawan zdołał odepchnąć jej magię, ale Maeve się zatrzymała.

Aelin odskoczyła, ciężko dysząc. W ustach czuła miedziany posmak krwi, co zwiastowało rychłe przepalenie.

Maeve wpatrywała się w ogień Aelin, skwierczący i topiący śnieg, spod którego wyłaniały się suche trawy Theralis. Podczas letnich miesięcy było to morze falującej zieleni, ale teraz widać tu było jedynie zakrwawione błoto.

– Na boga, jakoś nie kwapisz się, by nas zniszczyć – odezwała się Maeve.

Były to jej pierwsze słowa od początku tańca, który zaczął się kilka minut, kilka godzin bądź całą wieczność temu.

– Symbolom trzeba nadać odpowiednią moc – wysapała Aelin i uśmiechnęła się, obracając miecz w dłoni. Płomienie zasyczały w powietrzu. – Gdybym was ścięła od razu, zrujnowałabym przekaz. – Po czym przywołała resztki swej zuchowatej arogancji i mrugnęła do Erawana. – Chce, bym cię zmęczyła, wiesz? By uzdrowicielki w zamku mogły cię łatwiej zniszczyć.

– Dość! – Maeve pchnęła w nią ogromną porcję mocy.

Aelin uniosła tarczę, a płomienie odepchnęły magiczny atak byłej królowej Fae.

W ostatniej chwili. Uderzenie rozeszło się po jej kościach i zawrzało we krwi. Nie pozwoliła sobie jednak na najmniejszy nawet grymas. Cisnęła w Maeve strumieniem płomieni, a królowa Valgów odskoczyła.

– Tylko czekaj! Pułapka, którą na ciebie zastawiła, niebawem się zatrzaśnie.

– To kłamczucha, a do tego idiotka! – wrzasnęła Maeve. – Próbuje nas poróżnić, bo wie, że we dwoje możemy ją pokonać!

Mroczna moc znów zgęstniała wokół królowej, ale Erawan stał nieruchomo i wpatrywał się w Aelin złocistymi, płonącymi oczami.

– W istocie. Ty... – zaczął i zamarł. Spojrzenie jego złocistych oczu powędrowało gdzieś wyżej, ponad mur i bramę za plecami Aelin.

Jeszcze wyżej.

Aelin nie miała odwagi spojrzeć w tym samym kierunku. Nie chciała nawet rozbudzać w sobie nadziei, ale oczy Erawana zapłonęły czymś nowym. Pojawiły się w nich furia, a może również lęk.

Obrócił głowę ku Maeve.

– W tym zamku są uzdrowicielki – rzekł.

– Oczywiście, że tak! – parsknęła ze złością Maeve.

Erawan znieruchomiał.

– Utalentowane uzdrowicielki. Pełne mocy!

– Prosto z Torre Cesme. – Aelin pokiwała z powagą głową. – Jak już mówiłam.

Erawan przeniósł wzrok na Maeve, a w jego oczach ponownie zamigotało zwątpienie. Potem spojrział na Aelin, jej płomień i miecz. Królowa Terrasenu pochyliła jedynie głowę.

– Jeśli ona mówi prawdę, jesteś martwa – syknął Erawan.

I nim Aelin przyzwała swą moc, by uderzyć ponownie, z ciemności za Erawanem wyłonił się ciemny, muskularny kształt i porwał go w powietrze. Był to ilken.

Aelin nie marnowała mocy na próbę powstrzymania go. Pamiętała przecież, że ilkeny są stosunkowo odporne na magię.

Mroczna Królowa odprowadziła wzrokiem unoszonego w górę Erawana.

Tylko cud sprawił, że Aelin wciąż żyła. Dwoje władców Valgów powinno się z nią już dawno rozprawić. Z samą Maeve Aelin również nie miała większych szans, ale jeśli Yrene i reszta zdołają rozprawić się z Erawanem...

– A więc pozostałyśmy tylko my dwie – rzekła Maeve. Jej usta wykrzywił pajęczy uśmiech, taki sam, jaki widniał na obliczach bestii atakujących Orynth.

Aelin uniosła ponownie Goldryna.

– Dokładnie o to mi chodziło – powiedziała.

– Sęk w tym, że ja znam twój sekret, Dziedziczko Ognia! – szepnęła Maeve i rzuciła się do ataku.

Stojąca na szerokim balkonie na szczycie najwyższej wieży zamku w Oryncie uzdrowicielka pchnęła kolejny strumień mocy. Ciemną noc przecięła jasność, która była wyzwaniem dla Mrocznego Króla walczącego z Aelin Galathynius przed bramą.

„Oto jestem! – śpiewała moc poprzez mrok. – Oto jestem!”.

Erawan odpowiedział.

Jego furia, strach i nienawiść płynęły z wiatrem, a on sam wzbijał się ku niebu, niesiony przez ilkena. Uśmiechnął się do młodej uzdrowicielki, której dłonie mieniły się jasnością, jakby już smakował jej krew. Jakby już cieszył się na to, że za moment zniszczy jej dar.

Wystarczyła jego obecność w powietrzu, by ludzie w zamku rzucili się z wrzaskiem do ucieczki. Erawan nie był uosobieniem śmierci. Był czymś znacznie gorszym.

Ilken przemknął nad wieżą i opuścił jeźdźca na balkon. Erawan wylądował z kocią gracją i wyprostował się. A potem obdarzył uzdrowicielkę kolejnym uśmiechem.

– Nie sądziłam, że doprowadzisz to do końca, wiesz? – powiedziała Maeve.

Jej mroczna moc zacisnęła się wokół zdyszanej Aelin. Skurcz, który zaczynał się gdzieś w dole pleców, rozlewał się po jej nogach i szedł w górę kręgosłupa.

– Nie sądziłam, że będziesz na tyle głupia, by wsadzić Klucze z powrotem do Bramy – ciągnęła Maeve. – Co się stało z tą piękną wizją, którą mnie kiedyś uraczyłaś, Aelin? Pamiętam, że stałaś w niej w tym oto mieście, otoczona czczącymi cię tłumami, wykrzykującymi twe imię. Czyżby cześć okazywana przez lud okazała się nazbyt nudna?

Aelin zbierała siły. Goldryn nadal jasno płonął.

Niech gada. Niech się napawa. Każda sekunda zwłoki, dzięki której

mogła odzyskać część swej mocy, była błogosławieństwem. Erawan pochwycił przynętę, a ziarno zwątpienia, które zasiała w jego umyśle, zakorzeniło się mocno. Wiedziała, że prędzej czy później wyczuje moc Yrene, a ta będzie gotowa na konfrontację.

– Zawsze miałam nadzieję, że my dwie jesteśmy sobie w pewien sposób równe – ciągnęła Maeve. – Że ty lepiej od Erawana rozumiesz prawdziwą naturę magii. Wiesz, z czym się wiąże tak wielki dar. Czuję się głęboko rozczarowana tym, że w głębi serca chciałaś być zwykłym człowiekiem.

Tarcza stała się nieznośnie ciężka. Aelin nie miała tyle odwagi, by odwrócić głowę i spojrzeć tam, gdzie znikł Erawan. By spojrzeć na to, co właśnie robił. Wyczuła eksplodującą moc Yrene i ośmieliła się nawet mieć nadzieję, że to jej sygnał bądź nawet przynęta, ale później niczego już nie zarejestrowała. Najważniejsze, że Erawan znikł.

Ciemność wokół Maeve wiła się.

– Królowa, Która Została Obiecana rozsypała się w pył – oznajmiła mroczna władczyni i cmoknęła. – Teraz jesteś już tylko zabójczynią w koronie. A magii masz tyle co zwykły zjadacz chleba.

Dwa pasma niszczycielskiej mocy jednocześnie uderzyły w oba boki dziewczyny. Uniosła tarczę i machnęła Goldrynem, jednocześnie robiąc unik. Buchnęły płomienie. Tarcza wygięła się lekko, ale Goldryn nadal płonął.

Mimo to poczuła znany sobie, niekończący się ból. Poczuła bliskość cieni, które mogły pożerać.

Które napierały. Podgryzały jej moc.

Maeve spojrzała na jaśniejący miecz.

– Sprytna z ciebie dziewczyna. Dobrze, że przepoiłaś ten miecz własną mocą. Wszak oddałaś wszystko podczas zamykania Bramy Wyrda.

– Środek zapobiegawczy, na wypadek gdybym nie wróciła – wysapała Aelin. – Stworzyłam broń na Valgów.

– Zaraz się przekonamy. – Maeve uderzyła ponownie. I raz jeszcze.

Zmusiła Aelin, by cofnęła się o krok. A potem jeszcze jeden. Aelin cofała się ku niewidzialnej linii, którą wytyczyła między ich starciem a południową bramą. Maeve zaś szła za nią. Jej ciemne włosy i szaty

powiewały.

– Odmówiłaś mi dwóch rzeczy, Aelin Galathynius. Kluczy, których szukałam – wycedziła i znów smagnęła przeciwniczkę strugą mocy. Płomienie Aelin ledwie ją odbiły. – I wielkiego pojedynku, który mi obiecałaś.

I naraz, jakby Maeve uniosła wieko kufra, w którym stłoczyła swą potęgę, wystrzeliły z niej języki czarnej magii.

Aelin cięła Goldrynem, który nadal płonął nieustraszenie, ale to nie wystarczyło. Cofnęła się jeszcze o krok, a wtedy jeden z języków smagnął ją po nodze. Nie zdołała powstrzymać wrzasku bólu. Przewróciła się i upuściła tarczę w zamrznięte błoto.

Trening i instynkt nie pozwoliły jej jednak rozluźnić palców zaciśniętych na rękojeści Goldryna.

Niemniej do jej głowy wdzierał się już nieznośny napór.

– Obudź się.

Świat się zmienił. Śnieg znikł, zastąpiony blaskiem ognia. Ziemia stała się płytą z żelaza.

Napór w jej głowie wił się i szalał. Aelin pochyliła się, klęcząc, i odepchnęła od siebie wizję. Nie chciała się z nią pogodzić. Nie to było prawdą. Bitwa, śnieg, krew... To było prawdziwe!

– Obudź się, Aelin – szepnęła Maeve.

Zamrugła. I uświadomiła sobie, że leży w żelaznej skrzyni, a Maeve stoi przy uchylonym wieku i się uśmiecha.

– No, jesteś – oznajmiła królowa Fae.

Nie Fae. Valgów. Maeve była Valgiem...

– Śniłaś – oznajmiła Maeve i musnęła palcem po masce przylegającej do jej twarzy. – Dopadły cię osobliwe sny o wędrownce, Aelin.

Nie. Nie! Nie to było prawdą! Zdołała podnieść głowę na tyle, by ujrzeć wychudzone ciało, wciąż pokryte bliznami.

Ciągle je miała. Nie było jeszcze nowej skóry.

– Mogę ci to ułatwić. – Maeve łagodnymi ruchami odsuwała włosy z twarzy Aelin. – Powiedz mi, gdzie się znajdują Klucze Wyrda i złóż

mi przysięgę krwi, a te łańcuchy, maska, skrzynia... Wszystko zniknie w okamgnieniu.

A więc nawet jeszcze nie zaczęli rozszarpywać jej na strzępy.

Sen. Niekończący się koszmar. Klucze były rozsiane po świecie, a Zamek nie został wykuty.

Sen. Zwykły sen.

– Co powiesz, siostrzenico? Chcesz się uwolnić od cierpień?
I związać ze mną?

„Nie masz prawa się poddać”.

– Łatwiej byłoby tu pozostać, rozumiem. – Maeve się zamyśliła. Oparła przedramiona na krawędzi trumny. – Nie musiałybyś podejmować tak okropnych decyzji. Inni podzieliliby twe brzemie między siebie. Ponieśliby jego konsekwencje. – Na jej ustach pojawił się ledwie dostrzegalny uśmiech. – To ci tak naprawdę przeszkadza. To cię prześladowa. W głębi serca chcesz być wolna.

Wolność. Wiedziała, czym jest wolność. Wiedziała, prawda?

– Tego się boisz najbardziej. Nie mnie, Erawana czy Kluczy. Boisz się tego, że nadzieja na uwolnienie się od ciężaru korony i władzy kiedyś cię pochłonie. Uczyni cię kobietą tak zgorzkniałą, że nie będziesz umiała rozpoznać siebie samej. – Jej uśmiech stał się szerszy. – Chcę cię od tego uwolnić. U mego boku staniesz się wolna. Nie masz pojęcia jak bardzo, Aelin. Obiecuję.

Przysięga. Złożyła przysięgę. Terrasenowi. Nehemii. Rowanowi.

Aelin zacisnęła powieki i odepchnęła od siebie wizję królowej, łańcuchów i żelaznej skrzyni. Wszystko to było nieprawdziwe.

Nieprawdziwe.

Czyżby?

– Wiem, że jesteś zmęczona – ciągnęła Maeve cichym, kojącym głosem. – Wszak twe życie to pasmo ofiar, których nigdy nie było dość. Nigdy im nie dogodzisz, prawda?

Nigdy. Bez względu na to, co by zrobiła, nigdy by nie wystarczyło. Nawet gdyby ocalała Terrasen i Erileę, nadal musiałaby się poświęcać. Dawać coraz więcej. Waga odpowiedzialności miażdżyła ją i przygniatała.

- Cairn – powiedziała Maeve.

Aelin usłyszała niespieszne kroki. Ktoś wchodził po schodach. Jej ciałem zatrzęsły nieoczekiwane, nieproszone dreszcze. Znała ten krok, znała...

Znienawidzona, rozciągnięta w szyderczym uśmiechu twarz Cairna pojawiła się obok oblicza Maeve. Oboje przyglądali się jej uważnie.

- Od czego zaczniemy, Wasza Wysokość?

Już kiedyś powiedział do niej te słowa. Już kiedyś odbyli ten taniec. Wielokrotnie.

Do gardła podeszła jej zółć. Nie mogła przestać się trząść. Wiedziała, co Cairn robi, od czego zacznie. Nigdy nie przestanie czuć tego bólu.

Mężczyzna musnął dłonią brzeg trumny.

- Złamałem ci to i owo, prawda?

„Nadaję ci imię Elentiya, czyli Duch, Którego Nie Można Złamać”.

Aelin przesunęła dłoń w żelaznej rękawicy nad dłonią, gdzie powinna znajdować się blizna. Gdzie nadal tkwiła. I nigdy nie zniknie, nawet jeśli ona sama nie będzie mogła jej dostrzec.

Nehemia... Nehemia, która oddała wszystko dla Eyllwe. A mimo to...

Nie stała się przez to słaba. Wcale nie.

Cairn wpatrywał się w jej skute łańcuchami ciało. Zastanawiał się, od czego powinien zacząć. Oddychał coraz szybciej, podekscytowany myślą o tym, co się zaraz wydarzy.

Dłonie Aelin zacisnęły się w pięści. Żelazo jęknęło.

Duch, Którego Nie Można Złamać.

„Nie masz prawa się poddać”.

Była gotowa przetrwać to raz jeszcze, jeśli będzie musiała. Była gotowa na każdą godzinę cierpienia i agonii. Wiedziała, że będzie bolało i że będzie wrzeszczeć, ale nie będzie się wzbraniać. Przeżyje.

Nie złamał jej Arobynn. Nie złamało jej Endovier.

Nie pozwoli, by doszło do tego teraz. Nie pozwoli na to temu

plugastwu.

Jej drzenie ustało. Ciało znieruchomiało. Czekala.

Maeve mrugnęła raz. Tylko raz.

Aelin wciągnęła powietrze, ostre i chłodne. Nie chciała, by to wszystko dobiegło końca. Nic z tych rzeczy.

Cairn rozplynał się na wietrze. Wraz z nim znikły łańcuchy.

Aelin usiadła w trumnie. Maeve cofnęła się o krok.

Aelin rozejrzała się po utkanej po mistrzowsku iluzji. Kamienna cela z żelaznymi koszami i hakiem zwisającym z sufitu. Kamienny ołtarz. Otwarte drzwi i dobiegający z oddali ryk rzeki.

Zmusiła się, by rozejrzeć się dookoła uważnie. By otaksować spojrzeniem to miejsce przepełnione bólem i rozpaczą. Naznaczyło ją na zawsze i pozostawiło ranę na jej duszy, ale nie chciała pozwolić na to, by ją zdefiniowało.

Wszak jej opowieść nie była wcale historią o mroku.

To nie była jej opowieść. Oczywiście wplecie fragmenty o tym miejscu i tym strachu w swą historię, ale przecież nie wypełni to całej pieśni. Nie wypełni to jej pieśni.

– Jak tego dokonałaś? – spytała Maeve.

Aelin wiedziała już, że wokół nich nadal szaleje bitwa, ale na razie nie kwapiła się, by opuścić kamienną komnatę. Wyszła powoli z żelaznej trumny. Maeve wpatrywała się w nią.

– Powinnaś się była domyślić – odparła Aelin, a resztki jej mocy zapłonęły jasno. – Przecież sama boisz się niewoli i zrobiłaś wszystko, by jej uniknąć. Powinnaś była wiedzieć, że nie trzeba było mnie więzić. Powinnaś była wiedzieć, że znajdę na to sposób.

– Jak tego dokonałaś? – powtórzyła Maeve. – Jak to możliwe, że nie uległaś?

– Bo ja się nie boję – rzekła Aelin. – Tobą powodował strach przed Erawanem i jego braćmi. Ten strach cię wyniszczał, choć szczerze wątpię, czy kiedykolwiek miałaś w sobie coś, co warto by niszczyć.

Maeve syknęła, a Aelin się zaśmiała.

– A do tego doszedł twój lęk przed Brannonem. Przede mną.

I spójrz, do czego cię to doprowadziło. – Wskazała otaczającą ich komnatę i świat za nią. – Tyle ci zostało z Doranelle. Ta oto iluzja i nic poza nią.

Moc Maeve przetoczyła się po pomieszczeniu.

Aelin odsłoniła kły.

– Zadałaś ból mojemu mężowi. Skrzywdziłaś kobietę, którą dzięki twoim manipulacjom uznał za swą towarzyszkę życia. Zabiłaś ją i zламаłaś mu serce.

Maeve uśmiechnęła się lekko.

– Tak. I rozkoszowałam się każdą chwilą.

Aelin odpowiedziała na jej uśmiech swoim własnym.

– I już zapomniałaś, co ci powiedziałam na plaży w Eyllwe?

Maeve zamrugała, a wtedy Aelin rzuciła się do ataku. Ścianą ognia odepchnęła Mroczną Królową, a potem posłała w nią lancę błękitnego płomienia. Królowa Valgów zasłoniła się murem ciemnej magii, ale Aelin słała w nią kolejne pociski. Słowa, które wywarczała do Maeve w Eyllwe, rozbrzmiewały między jednym atakiem a drugim.

„Zabiję cię”.

Była na to gotowa. Za to, co Maeve jej zrobiła. Za to, co zrobiła Rowanowi, Lyrii, Fenrynowi, Connallowi i wielu innym, była gotowa wymazać ją z pamięci.

W jej dłoni znów znalazł się Goldryn. Ostrze zaśpiewało płomieniami.

Nie przejmowała się tym, czy to były ostatnie chwile jej życia. Dla czegoś takiego warto było umrzeć.

Szalały po komnacie. Płomienie buchały, a Maeve odpowiadała na każdy jej cios. Ołtarz pękł i się rozpląnął. Żelazny hak zamienił się w płynną rudę, która z sykiem ściekała na kamienie.

Aelin roztrzaskała miejsce, gdzie ongiś siedział Fenrys, związany niewidzialną więzią. Dobywając resztek swej gasnącej mocy, przypuszczała na Maeve atak za atakiem. Na jej czole perlił się pot.

Żelazna trumna rozgrzała się do czerwoności, co było możliwe tylko tu, w tej iluzji.

Maeve sądziła, że zdoła ją ponownie uwięzić, ale tym razem nie miało jej to ujść na sucho.

Aelin zawirowała, odrzucając królową Valgów i popychając ją ku rozgrzanej trumnie. Spychała ją tam krok po kroku. Zapędzała.

Ciemność falowała po komnacie i zatrzymała grad ognistych strzał wymierzonych w Maeve. Ta naraz odważyła się zerknąć przez ramię na to, co ją oczekiwało. Na swe rozgrzane do czerwoności przeznaczenie.

Pobladła niczym śmierć.

Aelin zaśmiała się ochryple i wycelowała w nią Goldrynem, gromadząc moc po raz ostatni, gdy kątem oka wychwyciła jakiś ruch.

Elide.

Na twarzy lady Perranthu widniało przerażenie. Wyciągnęła ku Aelin dłoń, chcąc ją ostrzec.

– Uważaj!

Maeve smagnęła Elide biczem ciemności.

„Nie...”.

Aelin skoczyła i pchnęła swój ogień, by zablokować śmiertelny cios królowej Valgów. Uświadomiła sobie swój błąd uderzenie serca później, gdy jej dłonie przeniknęły przez ciało Elide, a jej przyjaciółka znikła.

Iluzja. Dała się oszukać iluzji i wystawiła się na cios.

Obróciła się ku Maeve i wyzwoliła płomienie, ale było już za późno. Dłonie uformowane z cienia zacisnęły się wokół jej gardła. Niezniszczalne. Wieczne.

Aelin wygięła się, próbując złapać choć odrobinę tchu, a dłonie zaciskały się na jej szyi coraz mocniej. Komnata roztapiała się. Kamienie pod jej stopami stawały się błotem i śniegiem, a huk rzeki został wyparty przez zgiełk bitwy. Iluzja pojawiała się i znikła co mgnienie oka. Ciepłe powietrze zastępował ostry wiatr, życie umykało przed pewną śmiercią.

Aelin otoczyła dłonie ogniem i usiłowała zerwać cienie zaciśnięte wokół jej gardła.

Maeve stanęła przed nią w rozwianych szatach i wydyszała:

– Oto, co się teraz stanie, Aelin Galathynius.

Wystrzeliły z niej kolejne lance cienia, które rozrywały i szarpały. Ani płomień, ani żelazna wola Aelin nie mogły ich powstrzymać, tym bardziej że te zaciskały się coraz bardziej, dławiły ją, wyduszały z niej resztki oddechu. Nie była w stanie krzyknąć, a jej ogień gasł.

– Złożysz mi przysięgę krwi, po czym wspólnie posprzątam bałagan, który jest twoim dziełem. Ty oraz król Adarlanu posprzącacie ten bałagan. Nie jesteś już Niosącą Ogień, ale nadal przydasz się do tego i owego.

Musnął ją podmuch wiatru ciężki od śniegu.

„Nie”.

Za Aelin błysnęło światło. Maeve zamarła.

Widmowe dłonie zacisnęły się mocno, a Aelin wygięła się znów, krzycząc bezgłośnie.

– Pewnie zastanawiasz się, dlaczego przyszło mi do głowy, że przystaniesz na moje warunki. Zadajesz sobie pytanie, cóż takiego mam na ciebie. – Maeve roześmiała się cicho. – Otóż to, co tak usilnie próbujesz chronić. To właśnie zniszczę, jeśli będziesz stawiać mi opór. Zniszczę to, co dla ciebie najcenniejsze. A gdy już się z tym uporam, będziesz klęczeć przede mną w pokorze.

„Nie, nie...”.

Z sylwetki Maeve znów buchnęła ciemność. Świat przed oczami Aelin ponownie zafalował, ale podmuch lodowatego wiatru pomógł jej odzyskać jasność myślenia. Chwila wystarczyła, by zdołała nabrać tchu i ujrzeć wytatuowaną dłoń, która wyciągnęła się ku niej. By pomóc jej wstać.

Rowan.

Za nim zamajaczyli Lorcan i Fenrys pod postacią wilka. Nie zawahali się przyjść jej z pomocą w Mistward, ale teraz nie podchodzili bliżej.

Rowan jednakże nadal wyciągał rękę ku Aelin, nie spuszczając przy tym oczu z Maeve. Odsłonił kły i warknął.

Ku zaskoczeniu wszystkich jako pierwszy uderzył Fenrys, który

wszak od dawna czekał na tę chwilę i sposobność. Obnażył kły i rzucił się na Maeve ze zjezoną sierścią. Mierzył prosto w jej blade gardło.

Aelin szarpała się, a Rowan krzyknął ostrzegawczo, ale było już za późno.

Pochłonięty furją i żądzą zemsty biały wilk skoczył na królową Valgów.

W odpowiedzi wystrzelił język ciemności.

Skowyt bólu Fenrysa rozszedł się echem po jej kościach, jeszcze nim wilk padł na ziemię. Z paskudnie rozciętego pyska ściekała krew.

Tak szybko... Maeve uderzyła w okamgnieniu.

Rowan i Lorcan przywołali moc, szykując się do ataku. Fenrys podniósł się z trudem, ale wtedy ciemność znów smagnęła go po twarzy, zupełnie jakby Maeve dokładnie wiedziała, gdzie uderzyć.

Fenrys padł, obryzgując śnieg krwią. Błysnęło światło i powrócił do swej formy Fae. Twarz miał wprost zmasakrowaną.

„Nie, nie...”.

Aelin zdołała nabrać tyle tchu, by móc jeszcze wychrypieć:

– Uciekaj!

Wtedy Maeve uderzyła po raz trzeci.

Zupełnie jakby gromadziła moc dokładnie na ten cios. Jakby czekała na tę chwilę.

Jej towarzysza życia ogarnęła fala ciemności, która po chwili dotarła również do Lorcana i Fenrysa. Ich moce rozjarzyły się niczym błyskawice pośród gęstych chmur, ale to nie wystarczyło, by uwolnić się z więzów. Brutalne, celne uderzenia lodu i wiatru chłostały ciemność, ale ta jedynie gęstniała.

Lód i wiatr wreszcie zamarły. Magia Lorcana również.

Zupełnie jakby zostały połknięte.

A potem Fae zaczęli wrzeszczeć.

Rowan też.

Erawan zbliżał się, ciężko dysząc.

– Uzdrowicielka – szepnął. Nieczysta moc emanowała z niego niczym czarna aura.

Kobieta cofnęła się o krok, bliżej balustrady balkonu. Mroczny władca szedł za nią niczym drapieżca, który wreszcie dopadł ściganą od dawna zdobycz.

– Czy ty zdajesz sobie sprawę z tego, od jak dawna cię szukam? – spytał. Wiatr muskał jego złociste loki. – Czy ty w ogóle wiesz, do czego jesteś zdolna?

Zawahała się i oparła plecami o balustradę. Za nią ciągnęła się przepaść.

– W jaki sposób twoim zdaniem w ogóle przejeśliśmy Klucze? – Jego uśmiech był okrutny, nienawistny. – W moim świecie istnieją takie jak ty, ale nie nazywamy ich uzdrowicielkami. Dla nas to kaci. Dziewice śmierci. Potrafią leczyć, ale również odbierać życie. Rozsupływać i niszczyć strukturę życia. Strukturę światów. – Erawan skrzywił się i dodał: – Zniewoliliśmy więc twe siostry i wykorzystaliśmy je, by naruszyć Bramę Wyrda. By oderwać od niej trzy fragmenty. Maeve nigdy się o tym nie dowiedziała i już się nie dowie. – Chrapliwy oddech władcy ciemności stał się głębszy, gdy rozkoszował się każdym słowem, każdym krokiem. – Potrzeba było was wszystkich, by oderwać trzy kawałki Kamienia Wyrda. Wszystkich. Zgromadziliśmy was co do jednej. Ale ty masz niezwykły dar. Sama byś podołała temu zadaniu. A skoro Klucze wróciły do Bramy... – Znów się uśmiechnął. – Maeve sądzi, że odleciałem, by cię zabić. By cię zniszczyć. Twoja mała ognista królowa też tak uważa. Nie przyszło jej do głowy, że ja chciałem cię znaleźć, zanim dopadnie cię Maeve. Nim stanie ci się krzywda. A teraz, skoro mi się już to udało... Tylko pomyśl, ile zabawy nas czeka, Yrene Towers.

Zrobił jeszcze krok ku niej.

I znieruchomiał. Chciał unieść nogę, ale nie zdołał.

Wówczas spojrział w dół, na kamienie, z których ułożono posadzkę balkonu. Na wykreślony krwią znak, w który właśnie wszedł, gdyż jego uwagę zanadto pochłonęła zdobycz.

Znak Wyrda. Ten, który trzymał. I więził.

Młoda uzdrowicielka uśmiechnęła się do niego, a białe światło wokół jej dłoni przygasło. Oczy zmieniły kolor ze złotego na szafirowy.

- Nie jestem Yrene – rzekła.

Erawan obrócił głowę ku niebu. Lysandra pod postacią ruka wyfrunęła z za wieży, za którą się kryła, i zaczęła gwałtownie obniżać lot. W szponach trzymała Yrene.

Król Valgów zebrał moc, ale Yrene już jaśniała niczym wciąż odległy świt.

Lysandra rozchyliła szpony i delikatnie postawiła uzdrowicielkę na balkonie, a ona ruszyła biegiem w kierunku Erawana. Dorian wrócił do swojej postaci również jaśniejąc uzdrowicielskim blaskiem, otoczył więżący Valga Znak Wyrda swą mocą.

Drzwi otworzyły się gwałtownie. Ze środka wypadła Elide, a Lysandra, przeistoczona w widmowego lamparta, opadła bezszelestnie na kamienne płyty balkonu.

Erawan najwyraźniej nie miał pojęcia, na kogo patrzeć – na Dorian, którego uzdrowicielska magia obaliła go na ziemię, na Lysandrę, która skoczyła na niego i przygwoździła go do posadzki, czy na Elide, która wzniosła Damaris i przebiła mu brzuch na wylot. Ostrze uwięzło między kamieniami.

Erawan wrzasnął, ale jego krzyk był niczym w porównaniu z dźwiękiem, który wyrwał się z jego ust, gdy przypadła doń Yrene i oparła na jego piersi dłonie przypominające teraz płonące gwiazdy.

Świat zwolnił i zaczął się wypaczać.

Yrene jednakże nie czuła strachu.

Nie bała się wcale oślepiającego, białego światła, które wystrzeliło z niej i wgrzyzło się w Erawana.

Ten wyginał się i wrzeszczał, ale starożytna klinga Damaris ani

drgnęła. Elide trzymała miecz mocno.

Mroczna moc narosła niczym fala, gotowa pożreć świat.

Yrene nie pozwoliła, by dotknęła kogokolwiek.

Nadzieja.

Chaol powiedział jej, że niesie nadzieję. Inna nadzieja dorastała w jej łonie.

Nadzieja na lepszą przyszłość. Na wolny świat.

To właśnie nadzieja dziesięć lat temu prowadziła dwie kobiety po przeciwnych stronach kontynentu. Nadzieja kazała matce Yrene pochwyć za nóż i zabić żołnierza, który spaliłby żywcem jej córkę. Nadzieja sprawiła, że Marion Lochan oddała własne życie za uciekającą dziedziczkę tronu.

Dwie kobiety, które nigdy się nie poznały, które świat uznałby za zwykłe i niczym się niewyróżniające. Dwie kobiety, Josefin i Marion, które wybrały nadzieję w obliczu ciemności.

Dwie kobiety, których decyzje podarowały im tę chwilę. Tę szansę.

Yrene nie bała się, bo myślała o nich. I o dziecku, które nosiła pod sercem.

A także o świecie, który wraz z Chaolem chcieli dla tego dziecka zbudować.

Być może bogowie odeszli, a Silba wraz z nimi, ale Yrene mogłaby przysiąc, iż czuje te ciepłe, łagodne dłonie, które ją prowadziły. Bez lęku napierała na pierś szalejącego, miotającego się Erawana. Miała wrażenie, że siła tysiąca czarnych słońc próbuje rozszarpać ją na strzępy, ale jej magia przebijała się przez nie bez wysiłku. Wbijala się w niego, wgryzała, wdzierała się w wijącego się robaka, który zagnieździł się w tym ciele.

W pasożyta. W infekcję, która karmiła się życiem, siłą i radością.

Skądś wiedziała, że otacza ją krąg światła jaśniejszy od słońca w zenicie. Wiedziała, że Mroczny Król jest jedynie dziurą pełną wijących się węży, które próbowały ją ukąsić, próbowały zatruć jej światło.

„Nie masz nade mną władzy” – powiedziała doń. Do ciała, które mieściło w sobie pasożyta nad pasożytami.

„Rozszarpie cię na strzępy! – zasyczał. – Poczynając od dziecka w twoim...”.

Wystarczyła myśl, by moc Yrene buchnęła jaśniej.

Erawan wrzasnął.

Moc tworzenia i niszczenia. Tak, to właśnie kryło się w jej wnętrzu.

Była Tą, Która Daje Życie. Tą, Która Tworzy Światy.

Spalała go krok po kroku. Zaczęła od jego kończyn, po czym wnikała coraz głębiej w ciało, a gdy jej magia zaczęła wytracać siłę uderzenia, wyciągnęła rękę. Nie poczuła nawet piekącego bólu, gdy ktoś rozciął skórę na jej dłoni. Ledwie poczuła dotyk mocnej, męskiej ręki.

Niemniej jednak gdy surowa moc Doriana Havilliarda wlała się w jej ciało, Yrene aż krzyknęła z zaskoczenia.

Po czym przeistoczyła się w blask gwiazd. W ciepło, siłę i radość.

Moc Yrene była życiem. Czystym, niczym nieskazanym życiem.

Dorian o mało nie osunął się na kolana, gdy jego magia spotkała się z jej mocą. Gdy ujął jej dłoń, by bez wahania przekazać jej własne rezerwy. Erawan nadal leżał przed nimi, przybity mieczem do ziemi.

Wrzeszczał bez opamiętania.

Dorian wiedział, że powinien się cieszyć z tego bólu, z tego wrzasku. Z końca, który lada moment miał nadejść.

Za Adarlan, za Sorschę, za Gavina i Elenę. Dorian oddawał swą moc Yrene za nich wszystkich.

Erawan miotał się, a jego moc co rusz unosiła się, by zderzyć się z nieprzeniknionym murem światła.

Mimo to Dorian powiedział:

– Chcę usłyszeć jego imię.

Yrene, skupiona na swym zadaniu, nawet nie spojrzała na młodego króla, ale Erawan usłyszał go pomimo wrzasków. Odwrócił ku niemu głowę. Nienawiści w oczach Valga wystarczyłoby, by pożreć cały świat.

- Chcę poznać imię ojca – rzekł Dorian. Głos mu nawet nie zadrżał.
- Odebrałeś mu je.

Nie zdawał sobie sprawy z tego, że tego pragnął. Że tak bardzo mu zależało.

- Żałosny, miękki człowieczek – wysyczał Erawan.
- Przekaż mi jego imię. Oddaj mi je.

Erawan zaśmiał się przez wrzask.

- Nie.
- Oddawaj.

Yrene spojrzała na niego. W jej oczach pojawiła się wątpliwość. Magia uzdrowicielki przestała działać na ułamek sekundy.

Erawanowi to wystarczyło. Zerwał się i pchnął mocą.

Dorian odrzucił jego uderzenie i przypadł do niego. Złapał za Damaris.

Wrzask Erawana groził rozsądzeniem całego zamku. Dorian szarpnął za miecz, obrócił go, pchnął po klindze moc w ranę.

- Chcę poznać jego imię! – wycedził przez zaciśnięte zęby.

Yrene, która wpiła się w jego drugą rękę, wyszeptała ostrzeżenie, ale Dorian ledwie je usłyszał.

Erawan znów się zaśmiał, ale zakrztusił się, gdy ponownie przeszła go moc uzdrowicielki.

- Czy to ma znaczenie? – spytała cicho Yrene.

Tak. Nie wiedział dlaczego, ale tak było.

Jego ojciec został wymazany z krainy umarłych i z każdej sfery egzystencji, ale przecież wciąż można było oddać mu imię.

Choćby po to, by on, Dorian, mógł spłacić dług. By mógł mu ofiarować choć odrobinę spokoju.

Erawan znów tchnął w nich mocą. Dorian i Yrene odepchnęli ją. Teraz. Musiał to zrobić teraz.

- Wyjaw mi jego imię! – warknął.

Erawan uśmiechnął się do niego.

- Nie.

- Dorianie! – ostrzegła go Yrene.

Po jej twarzy spływał pot. Nie mogła już dłużej utrzymać bariery, a młody król nie miał zamiaru narażać uzdrowicielki na zbyteczne niebezpieczeństwo. Znów pchnął moc po klindze miecza. Rękojeść Damaris zajaśniała.

- Wyjaw mi...

- Nosicie to samo imię. – Erawan otworzył szeroko oczy, zaskoczony własnymi słowami, wyszarpniętymi mu przez moc Damaris.

Doriana nawet nie zdziwiła magia drzemiąca w jego orężu.

Jego ojciec również miał na imię Dorian.

- Odebrałem mu imię! – parsknął Erawan i wił się z wściekłością, ale nadal znajdował się pod wpływem zaklęcia Damaris i słowa same płynęły mu z ust. – Wymazałem je zewsząd. Zniszczyłem je. Ale przypomniał sobie je raz. Tylko raz. W chwili, gdy ujrzał cię po raz pierwszy.

Łzy płynęły po twarzy Doriana. Prawda była nie do zniesienia.

Być może ojciec nieświadomie ukrył swe imię w jego duszy, co było pierwszą oznaką oporu wobec Erawana. Nadał mu własne imię, by okazać nieposłuszeństwo, by pozostawić tajny znak świadczący o tym, że nadal walczy. Że nigdy nie przestał.

Jego ojciec miał na imię Dorian.

Młodzieniec wypuścił rękojeść Damaris.

Yrene oddychała z coraz większym trudem. Teraz. Teraz albo nigdy.

Choć nadal miał przed sobą wijącego się króla Valgów, Dorian poczuł ulgę. Coś w jego sercu zagoiło się, a łzy schły pod wpływem ciepła ich mocy.

Spojrzał na Erawana.

- Rozwalilem twoją twierdzę. – Uśmiechnął się dziko. – A teraz rozwalimy ciebie.

I skinał Yrene.

Oczy Erawana rozjarzyły się niczym węgle. Yrene zaś uwolniła swą

moc raz jeszcze.

Erawan był bezsilny. Nie mógł nic począć w starciu z surową magią, która splotła się z mocą Yrene.

Całe miasto i otaczającą je równinę zalało oślepiające światło, tak jasne, że Elide i Lysandra zasłoniły oczy. Nawet Dorian przymknął powieki.

Ale Yrene wszystko widziała. Zobaczyła, co się gnieździ w sercu Erawana.

Patrzyła na złośliwą, nienawistną istotę. Prastarą, kipiącą furia, bladą niczym śmierć. Bładą po wieczności spędzonej w jakże głębokich ciemnościach, nigdy nietkniętych blaskiem słońca.

Nigdy nietkniętych światłem Yrene, które teraz parzyło księżycowobiałe, prastare ciało istoty. Erawan wił się i przechodził chaotyczne metamorfozy, bezsilny, cierpiący.

- Żałosne – oznajmiła Yrene.

Złote oczy zapłonęły wściekłością i nienawiścią, ale Yrene tylko się uśmiechnęła i przywołała oblicze swej ukochanej matki, a potem mu je pokazała.

Żałowała, że nie wie, jak wyglądała Marion Lochan, gdyż ją również chciałaby mu pokazać. Obie kobiety, które zabił rękami swoich żołdaków i nigdy więcej o nich nie pomyślał. Dwie matki, których miłość dla córek i nadzieja na lepszy świat były o wiele potężniejsze od wszelkich mocy Erawana. Silniejsze od Kluczy Wyrda.

Oblicze jej matki nadal płonęło przed oczami Erawana, wytykając mu błąd, z którego nie zdawał sobie sprawy, gdy Yrene zaczęła zaciskać dłoń.

Erawan wrzeszczał.

Zaciskała pięść coraz mocniej. Czuła, jak paznokcie wbijają się w jej dłoń. Nie słuchała błagań Erawana. Nie słuchała jego grózb.

Zaciskała tylko pięść. Coraz mocniej i mocniej.

Aż Erawan stał się ciemnym płomieniem uwięzionym między jej palcami.

Zacisnęła dłoń raz jeszcze. Płomień zgasł.

Naraz Yrene wydało się, że spada, że zapada się w głąb siebie. I w istocie traciła równowagę, bo ni z tego, ni z owego jej dłoń wyslizgnęła się z ręki Doriana, a ona sama przewróciła się na kudłate ciało Lysandry.

Dorian skoczył, by znów złapać ją za rękę i odnowić kontakt, ale nie było już takiej potrzeby.

Jego moc nie była już do niczego przydatna. Magia Yrene również.

Erawan leżał bez ruchu na kamiennej podłodze balkonu, a w jego szeroko otwartych oczach, wpatrzonych w rozgwieżdżone niebo, zgasł złocisty blask. Skóra mu poszarzała, a potem zaczęła się marszczyć i kruszyć. Wszelkie życie w nim gniło.

– Spalcie to – wychrypiała Yrene i dotknęła dłonią brzucha.

Odpowiedział jej przebłysk radości i iskra światła.

Dorian nie wahał się. Pchnął płomień, by pochłonęły rozpadające się ciało.

Zbyteczna fatyga.

Nim objęły jego ubiór, Erawan rozpadł się, pozostawiając po sobie skurczone wióry i kruche kości.

Dorian spalił wszystko tak czy owak.

W milczeniu patrzyli, jak król Valgów zamienia się w popiół.

I jak podmuch wiatru podrywa zetlałe resztki i unosi je daleko, daleko.

Nie żyła.

Aelin nie żyła.

Jej pozbawione życia ciało z ogoloną głową zostało przybite do bram Orynthu.

Rowan klęczał przed bramami, a obok niego przebiegali żołnierze Morath.

„To nieprawda. To nie może być prawda!”

Mimo to czuł na twarzy promienie słońca. W jego nozdrza wdzierał się smród śmierci.

Zacisnął zęby i skupił całą siłę woli, by znaleźć się jak najdalej od tego miejsca. Od tego koszmaru na jawie.

Ten nawet się nie zachwiał.

Czyjaś dłoń musnęła jego ramię, delikatna i drobna.

– Sam ściągnąłeś na siebie ten los, wiesz? – odezwał się śpiwny, kobiecy głos.

Znał ten głos i wiedział, że nigdy go nie zapomni.

Lyria.

Stała za nim i wpatrywała się w ciało Aelin.

Miała na sobie ciemną zbroję Maeve, a brązowe włosy, zaplecione w warkocz, odsłaniały jej delikatną, piękną twarz.

– I na nią zapewne również – dodała jego towarzyszka życia. Udawana. Fałszywa.

Przecież nie żyła. Lyria nie żyła. To Aelin miała przeżyć.

– Z nas dwóch wybrałeś ją? – spytała Lyria. Jej kasztanowe oczy wypełniły łzy. – Takim stałeś się mężczyzną?

Nie mógł znaleźć żadnych słów. Nie umiał niczego wyjaśnić. Nie umiał przeproszać.

Aelin nie żyła.

Nie potrafił oddychać. Nie chciał.

Connall uśmiechał się krzywo.

– Wszystko, co mi się przytrafiło, jest twoją winą.

Fenrys klęczał na owej werandzie w Doranelle, w pałacu, którego nie chciał już nigdy oglądać, i przełykał żółć, która zalewała mu gardło.

– Przykro mi.

– I co to zmieni? Czyżbym był ofiarą, którą chętnie złożyłeś, by dostać to, na czym ci zależało?

Fenrys pokręcił głową. Nagle uświadomił sobie, że przybrał wilczą postać, ciało, które kiedyś uwielbiał i z którego był tak dumny. W wilczym ciele nie mógł jednak mówić.

– Zabrałeś wszystko, czego pragnąłem – ciągnął jego bliźniak. – Wszystko. Czy po mojej śmierci uroniłeś chociaż łzę? Czy miała ona dla ciebie jakiegokolwiek znaczenie?

Chciał mu powiedzieć wszystko. Wszystko, co się w nim nagromadziło, wszystko, co powiedzieć należało. Wilczy język nie mógł jednak przemawiać mową ludzi czy Fae. Nie miał głosu.

– Zginałem przez ciebie – wyszeptał Connall. – Cierpiałem przez ciebie. I nigdy ci tego nie zapomnę.

„Błagam – to słowo płonęło na jego języku. – Błagam”.

Nie mogła tego znieść.

Rowan klęczał i wrzeszczał. Fenrys szłochał z twarzą wzniesioną ku ciemnemu niebu. Lorcan zaś siedział w absolutnej ciszy, z niewidzącymi oczami, jakby przesuwiał się przed nimi jakiś niewysłowiony koszmar.

– Widzisz, do czego jestem zdolna? – szepnęła Maeve. – Widzisz, jacy są bezsilni wobec mnie?

Rowan wrzasnął jeszcze głośniej, a żyły na jego karku nabrzmiały. Walczył z Maeve ze wszystkich sił.

Nie mogła tego znieść.

Wiedziała, że nie patrzy na iluzję, na utkane wizje. Ich ból był prawdziwy.

Wreszcie poznała moce Valgów, którymi dysponowała Maeve. Królowa władała taką samą piekielną mocą co książęta. Można ją było pokonać ogniem, ale Aelin nie pozostało już zgoła nic.

– W istocie, nie masz już żadnej karty przetargowej – powiedziała po prostu Maeve. – Poza sobą.

Nie. Wszystko, tylko nie to. Tylko nie to.

– Jesteś niczym.

Elide stała przed nim. Za jej plecami wznosiły się imponujące wieże miasta, którego Lorcan nigdy nie widział. Miasta, które powinno stać się jego domem, a teraz wabiło go na horyzoncie. Wiatr szarpał jej ciemne włosy, równie zimny jak blask w jej oczach.

– Nie znasz nawet swoich rodziców – ciągnęła. – Naprawdę myślałeś, że zwiążę się z kimś takim jak ty?

– Myślałem, że będziesz moją towarzyszką życia – wychrypiął.

Elide zachichotała wzgardliwie.

– Twoją towarzyszką? Naprawdę myślałeś, że dostąpisz takiego szacunku po tym, co zrobiłeś?

To nie mogło dziać się naprawdę. A mimo to chłód na obliczu Elide, dystans między nimi...

Zasłużył sobie na to.

Maeve wpatrywała się w trzech mężczyzn, ongiś jej niewolników, których umysły i wspomnienia stały się igraszką jej mrocznej mocy, i parsknęła śmiechem.

– Szkoda Gavriela. Ale przynajmniej zginął szlachetną śmiercią.

„Gavriel...”.

Maeve odwróciła się ku niej.

– Nie wiedziałas o tym, co? – spytała i cmoknęła. – Cóż, Lew już nie

zaryczy. Zapłacił własnym życiem za to, by jego szczenię mogło żyć dalej.

Gavriel nie żył. Aelin wyczuła, że Maeve mówi prawdę. Jej słowa wybiły dziurę w sercu młodej królowej.

– Najwyraźniej nie miałaś sposobności, by go uratować – ciągnęła Maeve. – Ale tych możesz ocalić.

Teraz wrzeszczał Fenrys. Rowan umilkł, a w jego zielonych oczach pojawiła się pustka. To, co teraz widział, pozbawiło go resztek sił. Nie umiał krzyczeć, nie potrafił płakać. Odczuwał jedynie niewyobrażalny, niewysłowny ból. Taki, przez który sama przebrnęła. Może nawet większy.

Mimo to...

Mimo to nie dała Maeve sposobności, by zareagowała. Nie dała jej czasu, by choć odwróciła głowę. Pochwyciła Goldryna i cisnęła nim w królową. Chybiła o włos. Królowa Valgów uskoczyła, a ostrze wbiło się głęboko w śnieg, gdzie otoczyły je kłęby pary. Nadal płonęło.

Tego właśnie było jej trzeba.

Sięgnęła po marne resztki swej mocy i pchnęła to, co jej pozostał, tym razem nie w Maeve, ale w Rowana, Fenrysa i Lorcana. Płomienie wgrzyły się w nich głęboko. Paliły ich, naznaczały.

Aelin nie żyła. Zawiódł ją.

– Marny z ciebie mężczyzna. – Lyria nadal wpatrywała się w bramę, gdzie kołysało się ciało Aelin. – Zasłużyłeś sobie na to. Po tym, co mi się przytrafiło, zasłużyłeś sobie.

Aelin nie żyła.

Nie chciał już żyć na tym świecie. Ani sekundy dłużej.

Aelin nie żyła, a on...

Jego ramiona przeszył ból. Potem zaczęły płonąć. Jakby ktoś przycisnął do nich rozżarzone piętno.

Płomień.

Rozejrzał się, ale nie dostrzegł żadnych ran.

– Tym, których kochasz, przynosisz jedynie cierpienie – ciągnęła

Lyria.

Jej słowa stały się odległe, mało istotne. Liczyła się tylko ta płonąca rana.

Ból się powtórzył. Niewyraźne wspomnienie...

Nie, nie wspomnienie, ale cały żywot ciśnięty w mrok.

W iluzję.

Kotwica.

Kiedyś rzucił jej podobną i wyszarpnął spod wpływu księcia Valgów.

Aelin.

Zacisnął pięści. Aelin, która równie dobrze jak on poznała, czym jest cierpienie. Która miała szansę toczyć spokojne życie, a mimo to wybrała jego, takiego, jakim był, właśnie ze względu na to, co oboje przeszli.

Iluzje.

A więc to wszystko były iluzje.

Rowan zacisnął zęby. Wyczuł macki wrogiej mocy, oplecione wokół jego umysłu, więzące go.

Warknął głucho.

To Maeve. Przecież dopuszczała się już tego. Wdzierała się do jego umysłu, wypaczała go, próbowała mu odebrać to, co było dla niego najważniejsze. Próbowała mu skraść Aelin.

Nigdy więcej jej na to nie pozwoli.

Lorcan ryknął, gdy piętno przegryzło się przez jego zmysły, odrzuciło szydercze słowa Elide i rozbiło wyobrażenie Perranthu, ojczyzny, której tak bardzo pragnął, a której mógł nigdy nie ujrzeć.

Ryknął, a świat zafalował. Znów widział wokół siebie śnieg, ciemność i bitwę.

I Maeve, która stała przed nimi z twarzą wykrzywioną wściekłością. Jej moc strzeliła ku niemu niczym zrywająca się do skoku pantera...

Elide leżała w wielkim, wspaniałym łożu i wyciągała ku niemu

pomarszczoną dłoń. Dłoń staruszki, poznaczoną znamionami i siateczką delikatnych żył, splatających się niczym rzeki wokół Doranelle.

A jej twarz... Ciemne oczy Elide były zamglone, a okalały je głębokie zmarszczki. Jej rzadkie włosy były białe jak śnieg.

– Oto prawda, z którą trzeba się pogodzić – powiedziała chrapliwym, ledwie słyszalnym głosem. – Oto miecz nad naszymi głowami.

Patrzył na jej łożo śmierci. Dłoń, którą ją dotknął, nadal pozostawała młoda. Sam wciąż był młody.

Do gardła podeszła mu żółć.

– Proszę...

Przyłożył dłoń do piersi, jakby mógł w ten sposób zapobiec pęknięciu serca. Odpowiedział mu słaby, pulsujący ból.

Słyszał chrapliwe oddechy Elide. Nie mógł na to patrzeć, nie mógł... Wbił palce głębiej w pierś, szukając źródła owego bólu. Przecież życie... Życie było bólem. Bólem i radością. Radością będącą skutkiem bólu.

Ujrzał to w twarzy Elide. W każdej zmarszczce, w każdym znamieniu, w każdym białym kosmyku. Ujrzał życie, które upłynęło im razem.

Ból rozstania płynął z tego, jak cudowne było ich życie.

Ciemność za nimi zaczęła się rozpląwać. Lorcan wbił dłoń w płonącą ranę na ramieniu.

Elide zanosła się suchym kaszlem, który wstrząsnął nim, ale zapamiętał go dokładnie i zachował w sercu. Wszak to właśnie oferowała mu przyszłość.

Nie przerażało go to.

Connall umierał raz za razem.

Leżał na podłodze werandy, a jego krew ściekała ku spowitej mgłami rzece.

„To mnie powinien przypaść ten los – pomyślał Fenrys. – Gdybym

podszedł na skraj tarasu i skoczył prosto w rzekę, czy ktoś zauważyłby, że mnie nie ma? Gdybym skoczył z bratem w ramionach, czy rzeka zesłałaby mi łatwą śmierć?”

Nie zasługiwał na łatwą i szybką śmierć. Należała mu się powolna, brutalna agonía. Należała mu się kara za to, co zrobił bratu. Zepchnął go w swój cień i pozwolił, by tam pozostał. Nigdy tak naprawdę nie chciał podzielić się z nim swoim blaskiem.

Nagle przeszył go ból wywołany poparzeniem, straszliwy, ostry. Jakby ktoś wepchnął mu ramię do pieca.

Zasłużył sobie na to. Powitał ów ból z radością. Miał nadzieję, że go zniszczy.

Ból. Tak bardzo się bała, by nie wyrządzić im krzywdy. Tak bardzo się starała, by nic im się nie stało, ale...

Smród przypalanych ciał wgryzł się w jej nozdrza. Maeve parsknęła śmiechem.

– Czy to jakaś bariera, Aelin? A może próbowałaś uwolnić ich od cierpienia?

Dłoń klęczącego obok niej Rowana zadrżała nad ostrzem upuszczonego topora. Nadal przeżywał koszmar zesłany mu przez byłą królową. Zapach śniegu i sosen zlał się z żelazistym posmakiem krwi, gdy seria drgawek posłała jego dłoń na ostrze.

– Możemy kontynuować tę zabawę, wiesz? – ciągnęła Maeve. – Aż Orynth legnie w gruzach.

Rowan wpatrywał się w coś przed sobą. Krew z jego dłoni ściekała na śnieg.

Zacisnął palce. Lekko.

Był to sygnał. Dyskretny, niewidoczny dla Maeve. Zupełnie niezauważalny dla nikogo poza nią. Tylko ona była w stanie go wychwycić dzięki niemej komunikacji między nimi, dzięki temu, jak ich ciała porozumiewały się ze sobą od chwili pierwszego spotkania w zakurzonej uliczce Varese.

Drobny akt oporu. Tak jak wtedy, gdy kilka miesięcy temu sprzeciwił się Maeve przed jej tronem w Doranelle.

Fenrys znów zaszlochał. Maeve zerknęła na niego.

Aelin przesunęła dłoń po ostrzu topora Rowana. Ledwie zwróciła uwagę na ból.

Jej towarzysz życia zadrżał, walcząc z umysłem, który ponownie wdarł się do jego własnego.

– Cóż za marnotrawstwo. – Maeve znów zwróciła się ku nim. – Bardzo żałuję, że ci wspaniali mężczyźni zdecydowali się porzucić mą służbę i przejść do królowej, której nie została ani kropla magii.

Aelin zacisnęła dłoń wokół ręki Rowana.

Drzwi między nimi zostały gwałtownie otwarte. Drzwi do niego, do niej. Rowan uścisnął mocniej jej dłoń.

– Ja w istocie nie mam już magii. – Aelin się roześmiała. – Ale mój towarzysz jeszcze trochę jej ma.

Szykując się do uderzenia z drugiej strony ciemnego przejścia, Rowan pomógł Aelin wstać. Ich dusze oraz ich moce złąły się w jedno.

Potęga magii Rowana, gniewnej i prastarej, sprawiła, że zakręciło jej się w głowie. Lód i wiatr stały się straszliwymi płomieniami. Jej serce śpiewało z tryumfem i radością, w miarę jak moc Rowana wlewała się w jej ciało. Ten trwał przy niej niewzruszenie. Na jego obliczu pojawił się dziki, zajadły, złowrogi uśmiech, a nad głową zakwitła korona z płomieni, identyczna jak jej własna.

Spojrzeli na Maeve jednocześnie.

Ta zasyczała, znów gromadząc swą mroczną magię.

– Rowan Białą Cierń nie posiada tyle mocy co ty kiedyś – oznajmiła.

– Pewnie nie – odezwał się Lorcan, który stał krok za nimi. – Ale wspólnie mamy jej aż nadto. – Zerknął na Aelin i podniósł dłoń do czerwonego śladu po poparzeniu na piersi.

– Dookoła nas – powiedziała Aelin i nakreśliła na śniegu znak krwią rozlaną przez siebie i Rowana – też się trochę jej znajdzie.

U ich stóp zajaśniało światło. Magia Maeve buchnęła, ale odrobinę za późno.

Otworzył się portal, dokładnie taki, jaki obiecywały księgi pełne

Znaków Wyrda, przywiezione przez Chaola i Yrene z południowego kontynentu. A prowadził tam, gdzie Aelin sobie tego zażyczyła. Do świata, który ujrzała, gdy spadała przez Bramę Wyrda. Gdzie zawędrowała wraz z Rowanem, gdy testowali ów portal.

Leśną polanę, pokrytą grubą warstwą śniegu, zalewał srebrny blask księżyca. Otaczały ją dziwne, stare drzewa, starsze nawet od tych rosnących w Dębowej Puszczy. Takie drzewa można było znaleźć jedynie na pustkowiach daleko na północ od Terrasenu.

Ale to nie drzewa sprawiły, że Maeve stanęła jak wryta. Nie, jej wzrok od razu padł na tłumy wojowników w grubych kosmatych futrach i ciężkich zbrojach. Ich broń połyskiwała, a między nimi warczały głucho wilki. Wilki wielkie niczym konie, niosące jeźdźców na grzbietach.

Na polu bitwy otwierały się kolejne portale, dokładnie tam, gdzie Rowan, Lorcan i Fenrys nakreślili je własną krwią podczas walki. Wszystkie otwierały się mocą tego samego czaru. Na ten sam rozkaz.

Za każdym portalem widać było tę samą armię.

– Słyszałam, że miałas zamiar tu przybyć. – Aelin zwróciła się do Maeve. Moc Rowana śpiewała niczym symfonia w jej krwi. – Słyszałam, że chciałaś sprowadzić tu swoje księżniczki *kharankui*. – Uśmiechnęła się. – A więc ja również postanowiłam sprowadzić tu kilku przyjaciół.

Pierwsza z postaci, dosiadająca wielkiego, srebrnego wilka, wyjechała z portalu. Choć na ciężką zbroję nałożyła grube futra, widać było kształtne, lekko spiczaste kobiece uszy.

– Fae, którzy mieszkali w Terrasenie, nie dali się wybić do nogi – powiedziała Aelin. Lorcan zaczął się uśmiechać. – Znaleźli sobie nowy dom. Zamieszkali z Wilczym Plemieniem.

Wśród wilczych jeźdźców byli bowiem również ludzie. Mity mówiły prawdę.

– A wiedziałaś o tym, że choć wielu Fae przybyło tu z Brannonem, po jakimś czasie dotarł tu jeszcze cały klan Fae z południowego kontynentu? Myślę, że uciekali przed tobą. Przykro mi to mówić, ale oni chyba nie za bardzo cię lubią.

Z portalu wyłaniało się coraz więcej Fae oraz jeźdźców na wilkach,

a ich szeregi wydawały się nie mieć końca. Maeve zrobiła krok w tył. Tylko jeden.

– A wiesz, kogo nie cierpią jeszcze bardziej od ciebie? – Aelin wskazała Goldrynem pole bitwy. – Tych pajaków. Nesryn Faliq opowiedziała mi wszystko o bojach, jakie ich przodkowie toczyli z nimi na południowym kontynencie. Jak uciekli przed tobą, bo usiłowałaś wzięć ich uzdrowicieli, a potem pchnęłaś na nich swoich małych przyjaciół. Wciąż pamiętali o tym, gdy przybyli do Terrasenu. Wiele faktów uległo zapomnieniu, inne się rozmyły, ale nadal pamiętali o tym, co najważniejsze. Potem przekazali prawdę swoim dzieciom. Dobrze je wyszkolili.

Fae oraz ich wilki, wyłaniający się z portali, odnaleźli już wzrokiem hybrydy *kharankui*, które pojawiły się na równinie.

– Powiedziałam im, że z tobą poradzę sobie sama – ciągnęła Aelin, a Rowan zachichotał. – Ale pajaki... Cóż, pajaki są ich. Sporo się naczekali, by wreszcie móc się z nimi rozprawić. Z Żelaznozębnymi zresztą również. Wygląda bowiem na to, że Żółtonogie nie były szczególnie miłe dla tych, którzy byli uwięzieni w postaciach zwierzęcych przez ostatnie dziesięć lat.

Aelin przywołała jaskrawy płomień. Lud, który ukrywał się przez całą dekadę, nie potrzebował wyraźniejszego sygnału. Gdy błagała ich, by wsparli ich w bitwie, poprosili tylko o jedno – o możliwość powrotu do domu.

Jej ogień tańczył po polu bitwy, a zaginieni Fae z Terrasenu oraz wojownicy legendarnego Wilczego Plemienia, którzy przyjęli ich pod swe dachy, wypadli przez portale i rzucili się prosto na szeregi niczego niepodejrzewających wojowników Morath.

Maeve pobladła jak trup. A potem jeszcze bardziej, gdy zamigotała magia i wrzeszczące z zaskoczenia pajęczce hybrydy zaczęły ginąć jedna po drugiej, wycinane asteriońskimi mieczami.

Rowan jednakże mocniej zacisnął rękę na dłoni Aelin, a ta spojrzała na niego.

Jej towarzysz życia wpatrywał się w Fenrysa. W mroczną moc Maeve, która nadal go oplatała.

Mężczyzna leżał na śniegu, a po jego policzkach płynęły niekończące się łzy. Twarz miał całą we krwi, zmasakrowaną.

Aelin przebiła się przez ryk mocy Rowana i odszukała nici, które wybiegały z jej serca i duszy.

„Spójrz na mnie”.

Jej ciche polecenie pomknęło wzdłuż więzi przysięgi krwi i dotarło do Fenrysa.

„Spójrz na mnie”.

– Zapewne przyszło wam do głów, że teraz jesteście w stanie wykończyć mnie w wielkim stylu? – Maeve zwróciła się do niej i do Rowana. Jej moc nabrzmiewała. – Wy, których najbardziej skrzywdziłam?

„Spójrz na mnie”.

Fenrys uniósł zakrwawioną twarz i odwrócił się powoli ku niej. W jego niewidzących oczach zaczynała pojawiać się jasność.

Aelin mrugnęła czterokrotnie.

„Jestem tu, przy tobie”.

Nie było odpowiedzi.

– Czy wy rozumiecie, kim jest królowa Valgów? – spytała Maeve z tryumfem w głosie, jakby na równinie nie było teraz dawno zaginionych Fae z Terrasenu oraz jeźdźców z Wilczego Plemienia, którzy atakowali jej siły. – Jestem równie wielka i wieczna jak morze. To mnie szukali Erawan i jego bracia. To mojej mocy łaknęli.

Magia unosiła się wokół nich niczym nieczysta aura.

– Uważasz się za Bogobójczynię, Aelin Galathynius? A kim byli bogowie, jeśli nie próżnymi istotami uwięzionymi w waszym świecie? Czym byli, jeśli nie istotami, których wasze umysły nie są w stanie zrozumieć? – Uniosła ramiona. – To ja jestem boginią!

Aelin mrugnęła raz jeszcze do Fenrysa. Moc Rowana gromadziła się w jej żyłach, gdy szykowała się do pierwszego i przypuszczalnie jedyne go ciosu, który będą w stanie zadać. Lorcan gromadził własną moc poza nimi, czas mijał, a mimo to Aelin nadal mrugała do półprzytomnego Fenrysa.

„Jestem tu, przy tobie”.

„Jestem tu, przy tobie”.

Pewna królowa przekazała mu tę myśl w ich tajemnej, bezgłośniejszej mowie. Powtarzali to sobie podczas długich godzin niewyobrażalnych tortur.

Dzięki temu nie był sam. Żadne z nich nie było same.

Weranda w Doranelle i zakrwawione śniegi przed Orynthem zlewały się i migotały.

„Jestem tu, przy tobie”.

Widział Maeve, która stała przed Aelin i Rowanem, płonąć mocą. Przed Lorcanem, którego mroczny dar utkał wokół niego cień. Fae... Tylu Fae, tyle wilków... Niektóre z jeźdźcami na grzbietach! Wszyscy wyskakiwali na pole bitwy przez dziury w powietrzu.

A więc udało się. Ich szalony plan, który miał zostać uruchomiony, gdy wszystko inne weźmie w łeb, ostatecznie zadziałał.

Jednak moc Maeve gęstniała.

Aelin nie spuszczała z niego wzroku. Trzymała go mocno. Wyciągała go z tej zakrwawionej werandy. Wciągała do ciała, które drżało z bólu. Do twarzy, która płonęła.

„Jestem tu, przy tobie”.

I Fenrys nagle odkrył, że odzyskał kontrolę. Mrugnął raz.

„Tak”.

Gdy oczy Aelin poruszyły się ponownie, wszystko zrozumiał.

Aelin spojrzała na Rowana i odkryła, że ten się do niej uśmiecha. Był świadom tego, co ich najprawdopodobniej czekało.

– Razem – powiedziała cicho.

Rowan musnął jej kciuk, czym jednocześnie przypomniał jej o swej miłości oraz się z nią pożegnał.

A potem eksplodowali.

Białe, oślepiające płomienie z rykiem runęły ku Maeve, ale Mroczna Królowa czekała. Jej moc rozgałęziła się na dwa strumienie, które trysnęły na nich.

Zatrzymał je czarny wiatr i odrzucił na bok.

Aelin i Rowan zaatakowali znowu, szybko niczym żmija. Formowali strzały i włócznie z ognia, które zmusiły Maeve do cofnięcia się o krok. Potem o kolejny.

Lorcan natarł na nią z boku, po czym Maeve znów się cofnęła.

– Powiedziałabym – wysapała Aelin, próbując przekrzyczeć cudowny ryk magii – że chyba jednak nas aż tak bardzo nie skrzywdziłaś.

Lorcan uderzał wraz z nimi. Najpierw ogień, a potem śmierć w środku nocy.

Maeve zmarszczyła ciemne brwi.

Aelin cisnęła w nią ścianą ognia i Maeve znów się cofnęła.

– Ale jest ktoś, kto chce wyrównać z tobą rachunki.

Maeve otworzyła szeroko oczy. Chciała się odwrócić, ale nie była naleyście szybka. Fenrys znikł bowiem z miejsca, w którym klęczał, i pojawił się tuż za nią.

Goldryn zapłonął jasno, gdy Fenrys wbił go Maeve w plecy.

Prosto w jej czarne serce.

Ciemna krew Maeve pociekła na śnieg, a królowa padła na kolana, próbując złapać płonący miecz wystający z jej piersi. Fenrys wypuścił rękojeść Goldryna, obszedł ją i stanął u boku Aelin.

Wokół nich buchało gorące powietrze. Aelin podeszła do królowej.

Maeve obnażyła kły i raz za razem usiłowała wyszarpnąć ostrze.

– Wyciągnijcie to ze mnie!

– Chcesz jej coś powiedzieć? – Aelin spojrzała na Lorcana.

Ten uśmiechnął się ponuro i popatrzył na Fae oraz na jeźdźców dosiadających wilków, którzy siali spustoszenie wśród pajaków.

– Umarła królowa. Niech żyje nowa! – stwierdził.

Królowa Fae Zachodu.

Maeve warknęła. Odgłos nie przypominał tych, które wydawali ludzie czy Fae, a kojarzył się tylko z Valgami. Tylko i wyłącznie.

– Patrzcie – odezwała się Aelin. – Już niczego nie udaje.

– Zgodzę się na każde wygnanie – syczała Maeve. – Pójdę wszędzie, gdzie mnie poślecie, ale wyciągnijcie to!

– Wszędzie? – spytała Aelin i puściła dłoń Rowana.

Nagła utrata kontaktu z jego magią oraz siłą zadziałała na nią jak skok do lodowato zimnego jeziora. Na szczęście miała jeszcze coś w zanadrzu – nie magię, ale siłę o wiele potężniejszą i głębszą od niej.

Matka nazywała ją Ognistym Sercem.

Nie ze względu na jej moc. Nie, to imię nie miało żadnego związku z magią.

Maeve znów zasyczała, próbując wyszarpnąć ostrze. Aelin otoczyła palce ogniem i wyciągnęła dłoń do Mrocznej Królowej.

– Przybyłaś tu, bo uciekałaś przed mężem, którego nie kochałaś. Przed światem, którego nie kochałaś.

Maeve zamarła, przyglądając się jej dłoni i nowym odciskom na skórze. Skrzywiła się, czując potworny ból, wywołany przez ostrze, które przebiło ją, ale nie odebrało jej życia.

– Tak – szepnęła.

– I pokochałaś ten świat. Pokochałaś Erileę.

Ciemne oczy Maeve omiotły spojrzeniem Aelin, a potem Rowana i Lorcana.

– Tak. Na swój sposób.

Aelin nadal trzymała wyciągniętą dłoń. W geście kryła się niewypowiedziana propozycja.

– Jeśli cię wygnam, udasz się tam, gdzie ci każemy. Nigdy nie będziesz dokuczać nam ani nikomu innemu.

– Tak! – warknęła Maeve i znów skrzywiła się z bólu. Opuściła niżej głowę, ciężko dysząc, i dotknęła wyciągniętej dłoni Aelin.

Dziewczyna podeszła bliżej. I w tej samej chwili wsunęła coś na palec Maeve, a potem szepnęła jej do ucha:

– A więc idź do piekła.

Królowa Valgów cofnęła się, ale było już za późno. Złoty pierścień – pierścień Silby, pierścień Athrila – zaśnił na jej bladym palcu.

Aelin odsunęła się i stanęła przy Rowanie.

Maeve zaś zaczęła wrzeszczeć. Krzyczała ku ciemnemu niebu i gwiazdom.

Ten pierścień nie był jej potrzebny dla ochrony przed Valgami. Przecież sama była Valgiem. Nie, pożądała go, by nikt inny nim nie zawładnął.

Niemniej gdy Elide wręczyła go Aelin, nie zależało jej wcale na tym, by zniszczyć królową Valgów, ale by zapewnić bezpieczeństwo Aelin. Darem, którego mocy Maeve nigdy nie poznała, była przyjaźń.

Przyjaźń ocaliła Aelin oraz całe królestwo.

Maeve miotała się, Goldryn płonął tym samym płomieniem co pierścień na jej palcu. Magiczny artefakt, który chronił ludzi i Fae przed Valgami, ale tym ostatnim zadawał śmierć.

Wrzask Maeve groził rozerwaniem świata na strzępy, lecz oni

jedynie stali wśród padającego śniegu i przyglądali się jej z nieruchomymi twarzami. Wpatrywali się w jej śmierć w imieniu wszystkich tych, których zniszczyła.

Maeve wiła się i drapała własne ciało, które zaczęło się przeobrażać. Jasna skóra odpadała płatami niczym stara farba i odsłaniała istotę, która czaiła się pod tą iluzją. Pod skórą, którą dla siebie stworzyła.

Aelin spojrzała na Rowana, a potem na Lorcana i Fenrysa. W jej oczach kryło się niewypowiedziane pytanie.

Rowan i Lorcan skinęli głowami. Fenrys mrugnął raz. Rany na jego twarzy nadal krwawiły.

Aelin podeszła więc do wrzeszczącej królowej czy raczej bestii kryjącej się w jej ciele. Stała za nią i wyszarpnęła Goldryna.

Maeve opadła na śnieg i błoto, ale pierścień nadal rozsadał ją od środka. Uniosła czarne, przepełnione nienawiścią oczy w chwili, gdy Aelin wzniosła Goldryna i uśmiechnęła się do niej.

– Uznajmy, że ostatnie słowa, jakie wygłosiłam przed twą śmiercią, nadawałyby się do pieśni.

Uniosła jeszcze wyżej płonący miecz.

Usta Maeve wciąż były otwarte do krzyku, gdy jej głowa potoczyła się po ziemi. Trysnęła czarna krew, a wtedy Aelin zamachnęła się i przebiła mieczem czaszkę królowej Valgów.

– Spalcie ją – wychrypiał Lorcan.

Mocna, ciepła dłoń Rowana odnalazła znów rękę Aelin. Po twarzy wojownika płynęły łzy. Bynajmniej nie wywołał ich widok martwej królowej ani nawet czyn Aelin. Nie, jej księżę, jej mąż, jej towarzysz życia spoglądał na południe. Na pole bitwy.

Choć ich moce zlały się w całość, a Aelin spaliła Maeve na popiół, Rowan wciąż spoglądał w kierunku pola bitewnego. Gdzie szeregi Valgów padały na kolana przed Fae, wilkami i kawalerią Darghanów. Gdzie ruki łopotwały skrzydłami, zaskoczone widokiem spadających z nieba ilkenów.

Gdzieś daleko powietrze przeszyły przeraźliwe wrzaski, które wnet ucichły.

Cała armia osuwała się na ziemię w połowie ruchu, w połowie uderzenia. Fala niosła się coraz dalej, aż wszyscy wojownicy Morath zalegli nieruchomo na ziemi. Aż Żelaznozębne uświadomiły sobie, co się stało, i pomknęły na południe, ścigane przez ruki i inne wiedźmy.

Aż ciemny cień otaczający upadłą armię umknął z wiatrem.

Wtedy Aelin nabrała pewności. Już wiedziała, co się stało z Erawanem. Kto go pokonał.

Wyrwała miecz z kupki popiołów, które jeszcze niedawno były ciałem Maeve. Wzniosła go wysoko, ku nocnemu niebu, ku gwiazdom i pozwoliła, by jej tryumfalny okrzyk wypełnił cały świat. Wykrzyczane przez nią imię zostało podjęte przez żołnierzy na równinie, murach i ulicach, aż powtarzał jej cały Orynth. Aż dosięgło połyskujących gwiazd Władcy Północy, które nie musiały już prowadzić jej do domu.

Yrene.

Yrene.

Yrene.

Chaola przebudził dotyk delikatnych, ciepłych dłoni, które wodziły po jego czole i szczęce. Znał ten dotyk. Poznałby te dłonie, nawet gdyby utracił wzrok.

Ciemność zawładnęła nim w chwili, gdy przebijał się przez tłum przeciwników na murach, jakby Yrene naraz pchnęła ogromną porcję mocy, co nie tylko osłabiło jego kręgosłup, ale także odebrało mu świadomość.

- Nie wiem, czy mam zacząć wrzeszczeć, czy płakać – wymamrotał.

Z trudem otworzył oczy i ujrzał Yrene, klęczącą przed nim. Rozejrzał się. Leżał na najniższym stopniu jakichś schodów, a przez zwieńczone łukiem przejście widział rozgwieżdżoną noc. Na niebie nie dostrzegł żadnych wywern.

Zewsząd dobiegały dzikie, zwycięskie wiwaty.

Nie bito już w bębny. Nie było słyhać warknięć ani ryków.

Yrene, nadal gładząca go po twarzy, uśmiechała się ze łzami w oczach.

- Wrzeszcz, ile chcesz – odparła, a kilka spośród jej łez uwolniło się.

Chaol rozdziawił usta, gdy nagle uświadomił sobie, co tak naprawdę się stało i z jakiego powodu Yrene pchnęła tak wielką mocą.

Zrozumiał, czego właśnie dokonała ta niezwykła kobieta.

Bo wszyscy wykrzykiwali jej imię. Żołnierze i mieszkańcy Orynthu skandowali jedno słowo.

Yrene.

Cieszył się z tego, że siedzi, choć fakt, że Yrene dokonała rzeczy niemożliwej, nie zdziwił go wcale. Otoczył ramionami jej talię i wtulił twarz w jej szyję.

- A więc już po wszystkim – szepnął w jej skórę. Nie mógł powstrzymać drżenia, wywołanego przez połączenie ulgi, radości

i resztek przerażenia.

Yrene przeczesła dłonią jego włosy. Poczul, że się uśmiecha.

– Tak, już po wszystkim.

Spojrzał na kobietę, którą trzymał w ramionach, pomyślał o dziecku, rosnącym pod jej sercem...

Erawan zginął, zniknęła jego armia, wyparowało zagrożenie, Maeve również należała do przeszłości.

A ich życie dopiero się zaczynało.

Nesryn nie wierzyła własnym oczom. Wróg po prostu padł. Nawet hybrydy *kharankui*.

Było to równie nieprawdopodobne jak Fae czy wilki, które po prostu wypadły przez dziury w powietrzu i bez wahania rzuciły się na Morath, jakby wiedziały dokładnie, gdzie i jak uderzyć. Jakby zostały wezwane prosto ze starożytnych mitów Północy.

Łuczniczka wylądowała na zalanych krwią murach miasta, skąd spojrzała na *rukhin* i sprzymierzone wiedźmy, którzy wspólnie ruszyli w pościg. Popędziłyby wraz z nimi, gdyby nie zadane pazurem rany wokół oczu Salkhiego.

Zeskoczyła z siodła, wzywając uzdrowicieli. Ledwie starczyło jej sił, by rozsiodłać ptaka, szepcząc do niego kojąco. Tyle krwi... Ilken chlasnął go bez litości. W ranie nie dostrzegła zielonej mazi jadu, ale...

– Nic ci się nie stało? – Książę omiótł ją wzrokiem od stóp do głów. Twarz miał zakrwawioną, a oczy szeroko otwarte. Za nim dyszała Kadara, równie zbryzgana posoką jak jej jeździec. – Nic ci nie jest? – Sartaq złapał ją za ramiona. Nigdy dotąd nie widziała na jego twarzy takiej paniki.

Wskazała jedynie leżące pokotem szeregi wroga. Nie umiała znaleźć odpowiednich słów.

Udało się to natomiast innym, którzy powtarzali jedno słowo, jedno imię.

– Yrene!

Uzdrowicielki biegły po murach ku obu rąkom, a Nesryn pozwoliła sobie na chwilę słabości i otoczyła ramionami talię Sartaqa. Oparła twarz o jego opancerzoną pierś.

– Nesryn! – W tym słowie kryło się zarówno pytanie, jak i rozkaz, ale ona jedynie wtuliła się w niego mocniej. Jakże mało brakowało do całkowitej zagłady...

– Yrene! Yrene! Yrene! – krzyczeli ludzie.

Sartaq musnął dłonią jej spocone włosy.

– Wiesz, co to zwycięstwo oznacza, prawda?

Nesryn uniosła głowę i zmarszczyła brwi. Za nimi Salkhi czekał cierpliwie, aż uzdrowicielka ukozi ból w jego oku.

– Mam nadzieję, że wreszcie się wyśpimy – powiedziała.

Sartaq zaśmiał się i wycisnął pocałunek na jej skroni.

– Oznacza to – rzekł, wtulony w nią – że wracamy do domu. Że ty wracasz do domu. Ze mną.

Choć bitwa dopiero co się zakończyła, choć mieli wielu rannych i zabitych, Nesryn uśmiechnęła się z radością. Do domu. Tak, chętnie wróci z nim do domu i do wszystkiego, co ich tam czeka.

Aelin, Rowan, Lorcan i Fenrys stali na równinie pod miastem, aż nabrali pewności, że upadła armia nie powstanie. Aż oddziały kagana weszły między poległych, by ich szturchać i trącać. Żaden z nich nawet nie drgnął.

Żołnierze nie ścinali jednak głów. Oszczędzali wszystkich, którzy nosili czarne pierścienie bądź naszyjniki, bo tych uzdrowicielki mogły jeszcze ocalić.

Jutro. Tym się zajmą jutro.

Księżyc znajdował się w połowie swej drogi, kiedy cała czwórka bez słowa stwierdziła, że zobaczyli już dość, by uznać, że armia Erawana więcej nie powstanie.

Ruki, Crochan i zbuntowane Żelaznozębne dawno znikły, ścigając resztki powietrznego legionu Morath.

Aelin odwróciła się ku południowej bramie Orynthu, a wrota, jakby

w odpowiedzi na jej ruch, zaskrzypiały, otwierając się szeroko na jej powitanie.

Królowa spojrzała na Rowana i ujęła go za rękę. Ich ogniste korony nadal płonęły.

Dudnienie jej serca niosło się po wszystkich kościach, gdy zrobiła krok ku bramie. Ku Orynthowi. W stronę domu.

Lorcan i Fenrys szli za nimi. Rany tego ostatniego wciąż ociekały krwią, ale odmówił, gdy Aelin i Rowan zaproponowali, że je zaleczą. Powiedział, że potrzebuje czegoś na pamiątkę. Nie ośmielili się zapytać, co też miałyby one upamiętnić. Jeszcze nie.

Aelin uniosła wysoko głowę i wyprostowała się z dumą. Zmierzali w stronę bramy.

Po obu jej stronach stały szeregi żołnierzy – nie byli to wojownicy kagana, lecz mężczyźni i kobiety w zbrojach Terrasenu, a wśród nich cywile. Na ich twarzach widniały zachwyty i radość.

Aelin spojrzała na prastare, dobrze jej znane kamienie bruku, teraz brudne od krwi i błota. Zebrała resztkę mocy i pchnęła ku nim płomień, a gdy ten znikł, bruk znów był czysty, jak nowy.

Obiecała sobie w duchu, że to miasto również stanie się czyste i nowe. Że poprowadzi je ku nowemu splendorowi. Że znów zamieni je w ostoję wiedzy i blasku.

Rowan mocno ujął jej dłoń, ale nie patrzyła na niego, gdy wchodziła na ulicę.

Spoglądała na swoich poddanych, uśmiechniętych szeroko, radośnie, a ci zaczęli wiwatować.

Cieszyli się, że wreszcie wróciła do domu.

Aedion walczył do chwili, gdy wrogi żołnierz przed nim osunął się na kolana jak rażony piorunem. Nie był jednak martwy, tak jak i pozostali ludzie z czarnymi pierścieniami – zginął jedynie demon w jego ciele.

Kiedy wojownicy z wielu krain zaczęli wiwatować, kiedy poniosła się wieść, że uzdrowicielka z Torre Cesme pokonała Erawana, Aedion po prostu odwrócił się od murów i blanek.

Odnalazł go po zapachu, który nadal unosił się w powietrzu i układał się w ścieżkę, wiodącą po ulicach wśród tłumów wiwatujących, szlochających ludzi.

Jego ciało leżało na stole w pustych koszarach, a przy nim płonęła samotna świeczka.

Aedion uklęknął przed ojcem i pochylił głowę.

Nie wiedział, jak długo trwał w tej pozycji, ale świeczka zdążyła się niemalże wypalić, nim skrzypnęły drzwi i do środka wpłynął znajomy zapach.

Podeszła bezszelestnie, nie mówiąc ani słowa. Uklęknęła obok niego i wtuliła się w jego ciało, a Aedion otoczył ją ramieniem i przygarnął do siebie.

Kłęczeli przez długą chwilę razem, a Aedion wiedział, że jej smutek jest równie prawdziwy jak jego. Czuła żal z powodu śmierci Gavriela, ale także z powodu jego straty. Z powodu tych lat, których nie przyjdzie mu już spędzić z ojcem. Lat, które chciał z nim spędzić, z czego nie zdawał sobie sprawy. Chciał go poznać, chciał usłyszeć jego opowieści, ale było już za późno.

Czy Gavriel o tym wiedział, czy też umarł ze świadomością, że jego syn nie chce mieć z nim nic wspólnego?

Aedion nie zniósłby takiej prawdy. Byłaby dlań nie do udźwignięcia.

Gdy świeca zgasła, Lysandra podniosła się i pomogła mu wstać.

Aedion w duchu obiecał sobie, że wyprawi ojcu wspaniały pogrzeb ze wszystkimi zaszczytami, na jakie będzie stać to wymęczone bitwą miasto. Jego zwłoki złoży na królewskim cmentarzu wśród bohaterów Terrasenu, tam gdzie sam chciał kiedyś spocząć. Obok niego.

Przynajmniej tyle mógł dla niego zrobić. Mógł dołożyć wszelkich starań, by ojciec dowiedział się o wszystkim w Zaświatach.

Wyszli na ulicę, a Lysandra zatrzymała się, by wytrzeć jego łzy i ucałować w policzki, a potem w usta. Były to lekkie, delikatne gesty przepełnione miłością. Aedion objął ją i trzymał mocno w blasku gwiazd oraz księżyca.

Nie wiedział, jak długo tak stali, ale nagle ktoś w ich pobliżu zakaszał cicho. Oboje odwrócili się w tamtą stronę.

I zobaczyli młodego mężczyznę, mającego nie więcej niż trzydzieści lat, który wpatrywał się w Lysandrę.

Nie był posłańcem ani żołnierzem, choć miał na sobie ciężki strój *rukhin*. Emanował przekonaniem i cichą, wewnętrzną siłą. Przełknął ślinę, nadal nie odwracając od niej wzroku.

- Czy ty... Czy ty jesteś lady Lysandra?

Zmiennokształtna przechyliła głowę.

- Tak, to ja.

Mężczyzna zrobił krok ku nim. Aedion zdusił ochotę, by zasłonić Lysandrę własnym ciałem i wyciągnąć miecz na tego człowieka, ale on otworzył szeroko szare oczy, które błysnęły łzami, i uśmiechnął się szeroko, z radością.

- Nazywam się Falkan Ennar – powiedział i ułożył dłoń na piersi.

Lysandra wpatrywała się w niego z ostrożnością i lekkim zmieszaniem, ale uśmiech Falkana nie osłabł ani trochę.

- I szukam cię od bardzo, bardzo dawna – dodał i opowiedział całą historię.

Lysandra patrzyła na swego wuja.

Jej ojciec był od niego o wiele starszy. Falkan szukał dziewczyny od chwili, gdy dowiedział się o jej istnieniu. Przez dziesięć lat usiłował odnaleźć porzucone dziecko swego nieżyjącego brata, odwiedzając Rifthold przy każdej dogodnej okazji, ale nigdy nie przyszło mu do

głowy, że jego bratanica mogła odziedziczyć jego talent do zmieniania postaci, a przez to w niczym go nie przypominać.

Odnalazła go jednak Nesryn Faliq czy też raczej znaleźli siebie nawzajem, a potem poukładali fakty. Choć świat był ogromnym miejscem, uśmiechnęło się doń szczęście.

– Jeśli sobie życzysz, uczynię cię spadkobierczynią mojej fortuny kupieckiej – mówił. – Już niczego ci nie będzie brakowało.

Po twarzy Lysandry płynęły łzy szczęścia. Zarzuciła Falkanowi ramiona na szyję i objęła go mocno.

Aedion zaś przyglądał się scenie w milczeniu. Serce miał nadal rozdarte, ale cieszył się jej szczęściem. Wiedział, że już zawsze będzie się cieszyć z każdego promyka światła, który rozjaśni jej życie.

Po chwili Lysandra odsunęła się od Falkana. Nadal uśmiechnięta, piękniejsza niczym nocne niebo nad nimi, splotła palce z Aedionem i powiedziała wujowi:

– Już mi niczego nie brakuje.

Choć upłynęło kilka godzin od chwili, gdy Erawan rozpląnął się w nicość, Dorian nadal w to nie wierzył. Wciąż wpatrywał się w ciemną plamę na kamieniach, z której sterczał Damaris. Jedyne ślad po tym, co tu zaszło.

Ojciec nosił to samo imię co on. Świadomość tego faktu wcale nie była niemiła.

Rozluźnił zakrwawione palce. Jego magia uległa wyczerpaniu, a na języku nadal czuł smak krwi, co było znakiem zbliżającego się przepalenia. Nigdy wcześniej go nie doznał, ale wydawało mu się, że lepiej będzie, jak się do tego przyzwyczai.

Jego nogi drżały, gdy podszedł do miecza i wyszarpnął go spomiędzy kamieni. Ostrze stało się czarne jak onyks. Musnął klingę palcami i przekonał się, że tej barwy nikt już nie usunie.

Musiał zejść z wieży. Odnaleźć Chaola i pozostałych. Zacząć pomagać rannym. Zająć się nieprzytomnymi żołnierzami na równinie. Ci, którzy nie zostali naznaczeni czarnymi pierścieniami i naszyjnikami, już dawno zbiegli, ścigani przez dziwnych Fae oraz wilczych jeźdźców. Powinien zejść. Powinien opuścić to miejsce.

A mimo to stał i wpatrywał się w ciemną plamę. We wszystko, co pozostało po Erawanie. Jedyłą pamiątką po dziesięciu latach cierpienia, tortur i strachu była ciemna plama.

Obrócił miecz w dłoniach. Wydawał się cięższy niż kiedyś.

Miecz prawdy.

A co tak naprawdę było prawdą?

Erawan mordował i zniewalał po to, by spotkać się z braćmi. Pragnął podbić cały świat i ukarać go, ale przede wszystkim chciał połączyć się z braćmi. Choć oddzielały ich tysiąclecia, nie zapomniał o nich i tęsknił za nimi.

Czy on zrobiłby to samo dla Chaola? Dla Hollina? Czy też zniszczyłby cały świat, by ich odnaleźć?

Czarna klinga Damaris nie odbijała światła. W ogóle nie błyszczała.

Dorian jeszcze mocniej zacisnął dłoń na złotej rękojeści i rzekł:

– Jestem człowiekiem.

Rękojeść się rozgrzała.

Spojrzał na ostrze, ongiś należące do Gavina. Relikt z czasów, gdy Adarlan był krainą pokoju i dostatku. Z czasów, które miały znów nadejść.

– Jestem człowiekiem – powtórzył gwiazdom widocznym nad miastem.

Miecz nie zareagował ponownie, jakby skądś wiedział, że było to już niepotrzebne.

Załopotały skrzydła i na balkonie wylądował Abraxos. Dosiadała go białowłosa wiedźma.

Dorian stał i mrugając, wpatrywał się w Manon Czarnodziobą, która zeskoczyła na ziemię. Spojrzała uważnie na niego, a potem na ciemną plamę na płytach. Uniosła złote oczy. Ciężkie, zmęczone, mimo to lśniące.

– Witaj, książątko – szepnęła.

Dorian uśmiechnął się lekko.

– Witaj, wiedźmiątko.

Spojrzał na niebo w poszukiwaniu Trzynastki czy Asterin Czarnodziobej, która bez wątpienia wywrzaskiwała swój tryumf ku gwiazdom.

– Już ich nie znajdziesz – powiedziała cicho Manon. – Ani na tym niebie, ani na żadnym innym.

Jego serce przeszył ból, gdy zrozumiał jej słowa. Świadomość, że dwanaście walecznych, wspaniałych wiedzńm straciło życie, wydarło kolejną wyrwę w jego sercu, ranę, o której nie miał zamiaru zapomnieć. W milczeniu przeszedł przez balkon.

Manon nie cofnęła się, gdy ją objął.

– Bardzo mi przykro – wyszeptał w jej włosy.

Manon powoli, delikatnie położyła dłonie na jego plecach, a potem wtuliła się w niego.

– Bardzo mi ich brakuje – szepnęła, drżąc na całym ciele.

Dorian objął ją mocniej i pozwolił, by opierała się o niego, jak długo tego potrzebowała. Abraxos zaś patrzył na krąg wypalanej ziemi na równinie. Wypatrywał swej towarzyszki, która już nigdy nie miała do niego powrócić.

Miasto wokół nich świętowało.

Aelin szła z Rowanem po stromych ulicach Orynthu. Jej poddani wylegali przed domy ze świecami w dłoniach, tworząc długą rzekę promyków, które wskazywały jej drogę. Prosto do bram zamku.

Tam, gdzie stał teraz lord Darrow z rozpromienioną Evangeline u boku.

Twarz starca była zimna jak kamień i twarda jak Jelenie Rogi wznoszące się za miastem. Stał im na drodze.

Rowan warknął głucho, co powtórzył stojący za nim Fenrys. Aelin jednakże puściła dłoń męża i postąpiła ku stojącemu w bramie Darrowowi. Korony z płomieni przygasły.

Na opromienionej blaskiem świec ulicy zapadła cisza.

Coś jej mówiło, że stary lord nie pozwoli jej wejść. Wyrzuci ją na oczach wszystkich. Wymierzy jej ostatni, upokarzający policzek.

Wtedy Evangeline szarpnęła go za rękaw, jakby chciała mu o czymś przypomnieć. Starzec otrząsnął się i powiedział:

– Doszły nas słuchy, że gdy ruszyłeś do walki z Erawanem i Maeve, twoja magia była niemalże wyczerpana.

– Tak było – odparła Aelin. – I nigdy już nie odzyskam pełni mocy.

– Dlaczego? – Darrow pokręcił głową.

Nie chodziło mu bynajmniej o poziom jej mocy. Pytał o to, dlaczego wyszła im naprzeciw, skoro pozostało jej tak niewiele magii.

– Terrasen to mój dom – odparła Aelin. Była to jedyna odpowiedź, którą niosła w sercu.

Darrow uśmiechnął się lekko.

– To prawda – powiedział i pochylił głowę, a potem złożył jej ukłon. – A zatem witaj, Wasza Wysokość – dodał, wstając.

Aelin jednakże spojrzała na rozradowaną Evangeline.

„Odbiłaś dla mnie królestwo, mała” – pomyślała.

Przecież to właśnie jej rozkazała miesiące temu. Nie miała pojęcia, w jaki sposób udało się jej tego dokonać. Jak zdołała zmienić stojącego przed nią starca, który zrobił krok w bok i gestem wskazał jej drogę do zamku. Evangeline mrugnęła do Aelin, jakby na potwierdzenie jej myśli.

Aelin roześmiała się, złapała dziewczynkę za rękę i weszła do zamku, prowadząc ze sobą nadzieję na jasną przyszłość dla swej ojczyzny.

Każdy mijany korytarz, stary i noszący ślady upływu czasu, sprawiał, że Aelin zalewały dziesiątki wspomnień, które zapierały jej dech w piersiach i wywoływały łzy. Przypominała sobie, jak kiedyś wyglądały owe miejsca, i porównywała je z tym, jak wyglądały teraz: smutne, zapomniane, zniszczone. W myślach obiecywała sobie, że przywróci im dawny splendor.

Darrow poprowadził ich ku sali biesiadnej, gdzie przygotowano posiłek z tego, co udało się znaleźć o tej porze, po tak potwornej bitwie, ale Aelin rozejrzała się i dostrzegła tego, który czekał na nią w słowiałym blasku Wielkiej Sali. Natychmiast zapomniała o głodzie

i pragnieniu.

W sali zapadła cisza, gdy Aelin zerwała się do biegu i wpadła na Aediona, tak rozpędzona, że kuzyn, złapawszy ją, cofnął się o krok.

Wreszcie w domu. Wreszcie razem.

Kątem oka dostrzegła Lysandrę, która dołączyła do Rowana i pozostałych, ale nie odwróciła się ku niej. Ujrzała bowiem na twarzy swego kuzyna znużenie, a w jego oczach smutek. Radosny śmiech zamarł jej na ustach.

Nakryła dłonią jego policzek.

– Tak mi przykro – powiedziała.

Aedion zamknął oczy i zdawał się czerpać siłę z tego dotyku. Pochylił się ku niej. Usta mu drżały.

Zauważyła, że na plecach nosi tarczę jej ojca, ale nie skomentowała tego ani słowem. Nie zdawała sobie sprawy z tego, że ją ma.

– Gdzie on jest? – zapytała.

Aedion bez słowa wyprowadził ją z sali. Szli wijącymi się korytarzami zamku – ich zamku! – aż dotarli do niewielkiej komnaty opromienionej blaskiem świec. Gavriela ułożono na stole, a jego straszliwe rany zasłonięto wełnianym kocem. Widać było tylko jego przystojną twarz, wciąż łagodną i szlachetną po śmierci.

Aedion zatrzymał się przy drzwiach, a Aelin zbliżyła się do poległego wojownika. Wiedziała, że Rowan i pozostali również nadeszli. Wiedziała, że jej towarzysz życia położył dłoń na ramieniu Aediona, wiedziała, że Fenrys i Lorcan pochylili głowy.

– Chciałam zaproponować ci złożenie przysięgi krwi po tym, jak zrobi to twój syn – powiedziała Aelin cichym głosem, który odbił się echem od kamiennych ścian. – Ale oferuję ci ją teraz, Gavrielu. Z całą wdzięcznością, na jaką mnie stać.

Jej łzy opadały na przykrywający go koc. Otarła jedną z nich i wyciągnęła sztylet z pochwy przy pasie. Odsłoniła rękę Lwa i rozcięła mu skórę na dłoni. Nie pociekło wiele krwi, ale zaczekała, aż jedna kropla opadnie na kamienną podłogę, a potem nacięła własne ramię, umazała palce we krwi i upuściła trzy krople do jego ust.

– Niech świat wie – powiedziała łamiącym się głosem – że jesteś wzorem wszelkich cnót. Że stanąłeś przy swoim synu, że broniłeś tego królestwa i pomogłeś je ocalić. – Ucałowała jego zimne czoło. – Przyjąłeś moją przysięgę krwi i zostaniesz pochowany z wszelkimi honorami. – Odsunęła się i pogładziła raz jego policzek. – Dziękuję.

To było wszystko, co mogła powiedzieć. Gdy się odwróciła, Aedion nie był jedynym, który płakał.

Pozostawiła ich tam. Stanowili drużynę, byli sobie braćmi, a teraz chcieli pożegnać się z nim po swojemu.

Fenrys, którego zakrwawionej twarzy nadal nikt nie opatrzył, uklękł obok stołu. Po chwili to samo uczynił Lorcan, a gdy Aelin stała już w drzwiach, dołączył do nich Rowan. Zaczął śpiewać prastarą pieśń żałobną, równie starą i świętą jak sam Terrasen. Tę samą pieśń, którą ona śpiewała, gdy tworzył jej tatuaż.

Słuchając czystego, głębokiego głosu swego męża, Aelin wsunęła rękę pod ramię Aediona. Pozwoliła, by wsparł się na niej, i razem powrócili do Wielkiej Sali.

– Darrow zwrócił się do mnie słowami: „Wasza Wysokość” – powiedziała po chwili.

Kuzyn spojrzał na nią zaczerwienionymi, zapuchniętymi oczami, w których nagle pojawiła się nowa iskra.

– Powinniśmy zacząć się martwić? – spytał.

– To samo przyszło mi do głowy. – Aelin skrzywiła się lekko.

Tyle wiedźm... Korytarze zamku wypełniały tłumy Żelaznozębnych i Crochan.

Elide przyglądała się każdej z osobna, zajęta pomaganiem uzdrowicielkom w Wielkiej Sali. Mroczny Król i Mroczna Królowa zostali pokonani, ale rany pozostały, a ona, póki miała choć odrobinę siły, uparła się pomagać.

Niemniej gdy do sali wkroczyła, utykając, białowłosa wiedźma, która wraz z inną wiedźmą, nieznaną jej z imienia, dźwigała ranną Crochan...

Nim Elide sobie uświadomiła, że w ogóle ruszyła się z miejsca,

zdążyła pokonać już połowę drogi dzielącej ją od białowłosej. Sama Manon znieruchomiała na jej widok. Przekazała Crochan swej towarzyszce, ale nadal stała. Nie ruszała się.

Elide już z daleka ujrzała smutek na jej twarzy i ból w złotych oczach. Znieruchomiała.

– Kto?

Manon z trudem przełknęła ślinę.

– Wszystkie.

Cała Trzynastka. Dzikie, wspaniałe wojowniczkki nie żyły. Co do jednej.

Elide oparła dłoń na sercu, jakby chciała uchronić je przed pęknięciem, ale Manon w kilku krokach pokonała dzielącą je odległość i choć na pokrzwawionej, pokiereszowanej twarzy nadal malował się żal, położyła na ramieniu Elide dłoń, by ją pokrzepić. Jakby opanowała już sztukę pocieszania.

Świat Elide rozmył się i rozmazał. Manon również starła nieposłuszną łzę.

– Żyj, Elide – powiedziała, po czym odwróciła się i wyszła. – Żyj.

Znikła na rojnym korytarzu, idąc z rozkołysanym warkoczem, a Elide zadała sobie w myślach pytanie, czy ten rozkaz był w ogóle skierowany do niej.

Kilka godzin później zastała Lorcana wciąż czuwającego przy ciele Gavriela. Usłyszawszy żalobną nowinę, sama rozplakała się na wieść o śmierci mężczyzny, który okazał jej tyle życzliwości. Na policzkach klęczącego Lorcana również obsychały łzy.

Wojownik wyczuł jej obecność i dźwignął się na nogi powoli, z trudem. Był skrajnie wyczerpany, a w jego oczach w istocie widniały żal i rozpacz.

Rozłożyła ramiona, a Lorcan przyciągnął ją do siebie.

– Mówią – powiedział, wtulony w jej włosy – że to tobie należy zawdzięczać zniszczenie Erawana.

Elide wyślizgnęła się z jego objęć i wyprowadziła go z komnaty smutku i świec.

- Nie mnie, a Yrene – rzekła. Szli jeszcze chwilę, aż Elide znalazła ciche miejsce przy oknach, skąd roztaczał się widok na świętujące miasto. – Ja tylko podsunęłam pomysł.

- Ale bez niego wszyscy stalibyśmy się karmą dla bestii Erawana.

Elide przewróciła oczami, pomimo tego, co się wydarzyło i co ich jeszcze czekało.

- A więc nazwijmy to wysiłkiem grupowym – oznajmiła. – Słyszałeś może, co się dzieje w Perrancie?

- Kilka godzin temu przybył zwiadowca na ruku. Sytuacja przedstawia się mniej więcej tak jak tu. Po upadku Erawana jego żołdacy padli trupem bądź uciekli, a władzę przejęli mieszkańcy. Niemniej ci, którzy zostali opętani, potrzebują pomocy uzdrowicieli. Rano przierzucimy tam całą grupę.

Ulga była tak ogromna, że zadrżały jej kolana.

- Anneith niech będą dzięki. Czy raczej Silbie.

- Obie odeszły. Dziękuj sama sobie.

Elide machnęła dłonią, ale Lorcan nachylił się i pocałował ją, a kiedy się cofnął, dziewczyna szepnęła:

- A to za co?

- Poproś mnie, bym został – rzekł.

Serce Elide zaczęło szybciej bić.

- Zostań – powiedziała cicho.

Jego ciemne oczy przepełnił jakże piękny blask.

- Poproś mnie, bym pojechał z tobą do Perranthu.

- Pojedź ze mną do Perranthu – powiedziała drżącym głosem.

Lorcan skinął, jakby w odpowiedzi, a jego uśmiech był najpiękniejszą rzeczą, jaką widziała.

- Poproś mnie, bym cię poślubił.

Elide roześmiała się przez łzy.

- Poślubisz mnie, Lorcanie Salvaterre?

Przycisnął ją do piersi i obsypał pocałunkami, jakby wreszcie pękły

wszystkie okowy na jego sercu.

– Zastanowię się.

Elide roześmiała się i pacnęła go w ramię, a potem roześmiała się raz jeszcze.

– O co chodzi?

– Właśnie sobie uświadomiłam, że... – usta Elide nadal drżały od tłumionej wesołości – że... No, jestem lady Perranthu. Jako mój mąż będziesz musiał przejąć moje nazwisko.

Lorcan zamrugał, na co Elide znów parsknęła śmiechem.

– Lord Lorcan Lochan?

Zabrzmiało to niebywale komicznie. Lorcan zamrugał ponownie, po czym ryknął śmiechem. Elide nigdy wcześniej nie słyszała u niego tak wielkiej wesołości. Poderwał ją i obrócił się.

– Będę nosił je z dumą po kres mojego cholernego życia! – wyszeptał w jej włosy, a gdy ją postawił, na jego twarzy znów widniała powaga. Z niebywałą czułością odsunął kosmyk jej włosów i założył go jej za ucho. – Poślubię cię, Elide Lochan. I będę z dumą tytułował się lordem Lorcanem Lochanem, nawet jeśli całe królestwo będzie pękać ze śmiechu. – Ucałował ją łagodnie, z uczuciem. – A gdy weźmiemy ślub – szepnął – zwiążę z tobą swe życie, byśmy nigdy nie musieli spędzić choćby dnia z dala od siebie. Nigdy nie będziesz sama. Już nigdy.

Elide zasłoniła twarz dłońmi i rozplakała się. Oddawał jej swe serce, dla niej był gotów rozstać się z nieśmiertelnością. Dla nich.

Wtedy Lorcan ujął jej nadgarstki i delikatnie odsunął jej dłonie od swej twarzy.

– Jeśli sobie tego życzysz – rzekł cicho.

Elide otoczyła ramionami jego kark. Czuła łomot jego serca, czuła, jak jego ciepło wnika w jej kości.

– Nie ma rzeczy, której pragnęłabym bardziej – odpowiedziała szeptem.

Yrene opadła na taboret w samym środku zamieszania panującego w Wielkiej Sali. Miała wrażenie, że bierze udział w innej wersji tej samej historii. Kolejne oblężone miasto, kolejna wielka sala zamieniona w prowizoryczny szpital. Świt się zbliżał, a mimo to Yrene wraz z innymi uzdrowicielkami nie przestawały pracować. Krwawiący wojownicy mogli nie przeżyć bez ich pomocy.

Ludzie, Fae, wiedźmy oraz jeźdźcy dosiadający wilków... Yrene nigdy dotąd nie widziała tak osobliwej grupy w jednym miejscu. W pewnym momencie dołączyła do nich Elide, rozpromieniona pomimo otaczających ją zewsząd rannych.

Yrene przypuszczała, że wszyscy uśmiechali się tak jak ona, choć jej własny uśmiech przygasł przez ostatnią godzinę, ustępując miejsca znużeniu. Zmuszono ją, by odpoczęła nieco po starciu z Erawanem, ale ledwie odzyskała pełnię mocy, natychmiast powróciła do pracy.

Nie mogła siedzieć beczynn timer. Wystarczyło, by zamknęła oczy, a znów widziała to coś, co kryło się pod skórą Erawana. Bestia została zniszczona raz na zawsze, to prawda, ale... Ale Yrene zastanawiała się, czy kiedykolwiek o niej zapomni. Czy kiedykolwiek pozbędzie się wspomnień o owej mrocznej, oleistej istocie. Kilka godzin temu wcale nie miała pewności, czy nudności, które nastąpiły po pojedynku, zostały wywołane przez wspomnienie Erawana, czy może dziecko w jej łonie.

– Powinnaś odszukać męża i iść do łóżka – powiedziała Hafiza, która podeszła bliżej i zmarszczyła brwi. – Kiedy ostatni raz spałaś?

Yrene uniosła głowę, która wydawała jej się cięższa niż kilka minut temu.

– Chyba wtedy co ty – odparła. Czyli dwa dni temu.

Hafiza cmoknęła.

– Najpierw zgładziłaś mrocznego władcę, potem wzięłaś się do łatania rannych... Cud, że jeszcze trzymasz się na nogach, Yrene.

Dziewczyna była skłonna się z nią zgodzić, ale dezaprobata w głosie starszej uzdrowicielki nieco ją wzburzyła.

- Mogę pracować – oznajmiła.

- W tej chwili rozkazuję ci odnaleźć swego uroczego męża i iść do łóżka. W imieniu twego dziecka.

Och. Skoro Najwyższa Uzdrowicielka ujmowała to w ten sposób...

- Nie masz litości – stęknęła Yrene, wstając.

Hafiza poklepała ją po ramieniu.

- Dobrze uzdrowicielki wiedzą, kiedy udać się na spoczynek. Zmęczenie często prowadzi do błędnych decyzji, a te...

- A te zabijają – dokończyła za nią Yrene i uniosła oczy ku sklepienemu sufitowi wysoko nad nimi. – Nigdy nie przestaniesz pouczać innych, co?

Hafiza rozciągnęła usta w szerokim uśmiechu.

- Na tym polega życie, Yrene. Nigdy nie przestajemy się uczyć, nawet w moim wieku.

Yrene od dawna podejrzewała, że to właśnie miłość do nauki i chęć rozwijania własnych umiejętności sprawiły, że Najwyższa Uzdrowicielka wciąż czuła się młoda w sercu. Uśmiechnęła się serdecznie do mentorki.

Spojrzenie Hafizy złagodniało. Pojawiła się w nim zaduma.

- Pozostaniemy tu tyle, ile będzie trzeba – powiedziała. – Aż żołnierze kagana będą mogli powrócić do domów. Część z nas zostanie tu, by zająć się tymi, których rekonwalescencja potrwa dłużej, ale większość z nas wyjedzie za kilka tygodni.

Yrene poczuła ucisk w gardle.

- Wiem.

- Ty zaś – ciągnęła Hafiza, ujmując jej dłoń – nie wrócisz z nami.

W oczach dziewczyny pojawiły się palące łzy, ale szepnęła:

- Nie.

Stara uzdrowicielka uściśnęła jej dłoń. Jej palce były ciepłe i mocne niczym stal.

- Będę więc chyba musiała sobie znaleźć nową dziedziczkę.

- Przykro mi – szepnęła Yrene.

– Czemu? – Hafiza zachichotała. – Znalazłaś miłość i szczęście. Niczego więcej ci nie życzę.

Yrene starła niesforną łzę.

– Nie chcę... Nie chcę, byś pomyślała, że zmarnowałam twój czas...

Hafiza parsknęła śmiechem.

– Zmarnowałaś mój czas? Yrene Towers... Yrene Westfall! – Staruszka ujęła twarz Yrene. – Ty nas wszystkich uratowałaś!

Dziewczyna zamknęła oczy, gdy Hafiza wycisnęła pocałunek na jej czole. Było to zarówno błogosławieństwo, jak i pożegnanie.

– Zostaniesz tu – ciągnęła z uśmiechem. – Ale choć rozdzieli nas ocean, na zawsze będziemy połączone. – Dotknęła serca. – I bez względu na to, ile upłynie czasu, Torre na zawsze pozostanie twoim domem. Na zawsze.

Yrene przyłożyła drżącą dłoń do serca i pokiwała głową, a Hafiza uściśnęła jej ramię i odwróciła się, by przejść do pacjentów.

Młoda uzdrowicielka jeszcze nie skończyła rozmowy.

– A co, gdybym... – zaczęła.

Hafiza odwróciła się i uniosła brwi.

– A co gdybym... – Yrene przełknęła ślinę. – Gdybym po powrocie do Adarlanu i urodzeniu dziecka, kiedy już nadejdzie odpowiednia chwila, wybudowała własną Torre?

Hafiza przechyliła głowę, jakby słuchała rytmu słów, które nadal rozbrzmiewały echem w jej sercu.

– Torre Cesme Północy – szepnęła.

– Tak, w Adarlanie – ciągnęła Yrene. – W Rifthold. Nową Torre, która mogłaby odbudować to, co zniszczył Erawan. By uczyć dzieci, które być może nie wiedzą o tym, że mają dar. I te, które się z nim urodzą.

Wielu Fae, napływających z pola bitwy, należało do potomków uzdrowicieli, którzy w dawnych czasach przekazali moce kobietom z Torre. Być może chcieliby pomóc im raz jeszcze.

Hafiza uśmiechnęła się ponownie.

– Bardzo mi się ten pomysł podoba, Yrene Westfall.

I odeszła w chaos bólu i uzdrawiania. Yrene zaś siedziała nieruchomo z ręką zakrywającą niewielką wypukłość na jej brzuchu. I uśmiechała się śmiało, szeroko ku przyszłości, która otworzyła się przed nią, jasna niczym nadchodzący świt.

Do wschodu słońca niewiele już brakowało, ale Manon nadal nie położyła się spać. Nie znalazła sobie nawet miejsca na spoczynek, bo wiele rannych Crochan i Żelaznozębnych wciąż potrzebowało pomocy, a ona nie wiedziała, ile spośród nich przeżyło bitwę. W jej sercu ziała wielka dziura, tam gdzie kiedyś płonęło dwanaście dusz.

Pewnie dlatego nie szukała jeszcze łóżka, choć przypuszczała, że Dorian znalazł już dla nich jakąś komnatę. Siedziała w gniazdowisku. Abraxos drzemał obok niej, a ona wpatrywała się w milczące już pobojoywisko.

Kiedys zbiorą resztę ciał, stopnieją śniegi i nadejdzie wiosna. Czy poczerniały ślad po eksplozji nadal będzie widoczny? Czy pamiątka po ofierze Trzynastki pozostanie tu na zawsze?

– Mamy ostateczny raport o stratach – odezwała się Bronwen.

Manon odwróciła się. Bronwen oraz Glennis wychodziły właśnie z drzwi wieży, a za nimi podążała Petrah.

Manon przygotowała się na najgorsze, zamknęła oczy i dała ręką znać, by Crochan mówiła dalej.

Straty były wysokie. Ale mogło być znacznie gorzej.

Gdy rozchyliła powieki, trzy wiedźmy wpatrywały się w nią. Crochan i Żelaznozębne stały obok siebie w pokoju. Jako sojuszniczki.

– Jutro zbierzemy zmarłe – powiedziała cicho. – I spalimy je, gdy wzejdzie księżyc.

Był to zwyczaj kultywowany przez obie grupy. Jutro wypadała pełnia, zwana przez wiedźmy Łonem Matki. Dobra chwila na palenie zwłok. Dobry moment na powrót do Bogini o Trzech Twarzach i odrodzenie w obrębie jej łona.

– A potem? – spytała Petrah. – Codalej?

Manon spojrzała na wszystkie trzy.

– A co chciałybyście zrobić?

– Wrócić do domu – powiedziała Glennis.

Manon przełknęła ślinę.

– Ty i Crochan możecie odlecieć, kiedy sobie tego zażycycie...

– Mam na myśli powrót na Pustkowie – rzekła Glennis. – Wspólny powrót.

Manon i Petrah spojrzały po sobie.

– My nie możemy – powiedziała Błękitnokrwista.

Bronwen uśmiechnęła się lekko.

– Ależ możecie.

Manon zamrugnęła, a potem zrobiła to ponownie, gdy Bronwen wyciągnęła ku niej rękę i rozchyliła dłoń. Spoczywał na niej jasnofioletowy kwiatek, mały niczym paznokiec, piękny i delikatny.

– Przed chwilą dotarł tu sabat Crochan. Spóźniły się nieco, ale usłyszały wezwanie i odpowiedziały na nie. Przyleciały aż z Pustkowi.

Manon nie odrywała wzroku od fioletowego kwiatka.

– Przywiozły tę roślinkę. Z równiny przed Wiedźmim Miastem.

Z jałowej, krwawej równiny. Z ziemi, która miała już nigdy niczego nie zrodzić poza trawą i mchem. W oczach Manon pojawiły się łzy i świat się rozmazał. Glennis ujęła jej dłoń, a Bronwen złożyła w niej kwiatek.

– Tylko razem zdołamy zdjąć klątwę – szepnęła Glennis. – Bądźcie mostem. Bądźcie światłem.

Mostem. To Manon stała się mostem, bo połączyła dwa ludy.

Światłem. Trzynastka eksplodowała światłem, by przegnać ciemność.

– Gdy żelazo zacznie się topić – szepnęła Petrah, której błękitne oczy skrzyły się łzami.

Trzynastka stopiła wieżę, a wraz z nią wszystkie Żelaznozębne i siebie.

– A kwiaty będą rosły na polach zboczonych krwią – ciągnęła Bronwen.

Kolana Manon drżały, gdy spoglądała na pole bitwy. Tam, gdzie

wciąż leżały tysiące kwiatów w miejscu ofiary Trzynastki.

– Pokażcie to krainie – dodała Glennis.

Patrzyła na pole bitwy, gdzie władcy i mieszkańcy wielu królestw i narodów przybyli oddać hołd. Byli świadkiem ofiary Trzynastki i uczcili pamięć o wiedźmach.

Zapadła cisza, a Manon, trzymając malutki, ale bezcenny kwiatek w dłoni, odezwała się drżącym głosem:

– A wówczas wróćcie do domu.

Glennis pochyliła głowę.

– I tak oto klątwa została zdjęta – powiedziała. – I powrócimy do domu razem. Jako jeden lud.

Klątwa została zdjęta.

Manon wpatrywała się w trzy wiedźmy i oddychała przez moment chrapliwie, a potem zbudziła Abraxosa i jednym susem znalazła się w siodle. Nikomu niczego nie wyjaśniając, nie żegnając się z nikim, wzbiła się w niebo ku rzadniejszej nocy i poprowadziła wywernę ku skrawkowi wypalanej ziemi w samym sercu pola bitwy. Uśmiechając się przez łzy, śmiejąc się z radości i smutku, wylądowała i ułożyła ów bezcenny kwiatek z Pustkowi na ziemi.

Jako wyraz wdzięczności i miłości.

By o wszystkim się dowiedziały. By Asterin, która wędrowała w innym świecie ze swoim myśliwym i dzieckiem, wiedziała, że im się udało.

Że wracały do domu.

Aelin chciała położyć się spać, ale nie mogła. Odrzucała sugestie, by znaleźć sobie komnatę czy łóżko w ogarniętym chaosem zamku. Zamiast tego wraz z Rowanem udała się do Wielkiej Sali, by porozmawiać z rannymi i zaproponować jakąś pomoc tym, którzy najbardziej jej potrzebowali.

Ponadto zaginieni Fae z Terrasenu oraz sprzymierzeni z nimi jeźdźcy dosiadający wilków pragnęli rozmowy w tym samym stopniu co inni mieszkańcy Orynthu. Aelin bardzo chciała się dowiedzieć, w jaki sposób dziesięć lat temu Fae odnaleźli Wilcze Plemię i jak

dołączyli do wojowników mieszkających wśród gór i pustkowi, ale musiała zdobyć się na cierpliwość. Niebawem cały świat miał poznać tę opowieść.

Ich uzdrowiciele i uzdrowicielki dołączyli do kobiet z Torre. Wszyscy wywodzili się z klanu Fae z południowego kontynentu i najprawdopodobniej zostali też przez nich przeszkoleni. Dziesiątki wypoczętych, chętnych do pomocy uzdrowicieli, którzy przynieśli własne, jakże potrzebne leki i inne zapasy. Bez zbytecznych rozmów wtopili się między swoje koleżanki z Torre, jakby współpracowali z nimi od stuleci.

Po jakimś czasie obie grupy zgodnie wyprosiły Aelin z Wielkiej Sali i królowa zaczęła się włączyć po zamku. Odwiedziła każdy korytarz i każde piętro, zaglądała do komnat pełnych duchów i wspomnień. Rowan szedł u jej boku w milczeniu. Nie odstępował jej nawet o krok. Wchodzili na coraz to wyższe kondygnacje i zaczęło już świtać, gdy dotarli na najwyższe piętro północnej wieży.

Poranek był zabójczo chłodny, tym bardziej że wspięli się na wieżę wznoszącą się wysoko nad całym światem, ale dzień zapowiadał się pogodny. Słoneczny.

– A więc to tu – powiedziała Aelin i wskazała ruchem głowy ciemną plamę na kamieniach balkonu. – Tu Erawan natrafił na swój koniec. Tu zginął z ręki uzdrowicielki. Mam nadzieję, że da się to zmyć – dodała, marszcząc brwi.

Rowan parsknął. Aelin odgarnęła mierzwięte wiatrem włosy i spojrzała przez ramię. Jej mąż stał oparty o drzwi prowadzące na klatkę schodową z rękami założonymi na piersi.

– Mówię poważnie – powiedziała. – Nie chcę oglądać tego świństwa, a mam zamiar wygrzewać się tu na słońcu. Erawan wszystko mi popsuje.

Rowan roześmiał się. Odepchnął się od drzwi i podszedł do balustrady.

– Jak nie da się zmyć, położymy tu dywan.

Aelin również się roześmiała. Wtuliła się w ciało księcia, rozkoszując się jego ciepłem. Słońce opromieniło pobojuwisko, rzekę i Jelenie Rogi.

– Cóż, widziałeś już wszystkie korytarze, komnaty i schody. Co sądzisz o swoim nowym domu?

– Ciasnawo tu, ale jakoś damy sobie radę.

Aelin trąciła go łokciem i wskazała podbródkiem sąsiednią, zachodnią wieżę. Ta, na której stali, północna, była wysoka, a zachodnią cechowały masywne rozmiary. U stóp górnych pięter rozciągał się zalany słońcem ogród, ogrodzony murem, za którym rozpoczynała się przepaść. Ogród królewski.

„Ogród królowej” – poprawiła się Aelin w myślach.

Póki co nie było w nim nic imponującego poza śniegiem i plątaniną kolczastych krzaków, ale pamiętała go z czasów, gdy jeszcze należał do Orlona. Pamiętała róże i opadające gałęzie glicynii, pamiętała fontanny, które tryskały wodą poza krawędź ogrodu, i jabłoń, której kwiaty na wiosnę przypominały ogromne płatki śniegu.

– Dotąd nie myślałam o tym, jak bardzo ucieszy się z tego Strzała – powiedziała Aelin, wpatrując się w ich tajemniczy, prywatny ogród. Zarezerwowany jedynie dla rodziny królewskiej. Czasem tylko dla króla i królowej. – Nie będzie musiała biegać w górę i w dół po schodach wieży, żeby się wysuszyć.

– Jestem przekonany, że twoi przodkowie zaprojektowali go w ten sposób właśnie z myślą o psych potrzebach.

– Ja bym o tym pomyślała – burknęła Aelin.

– Och, jestem co do tego przekonany. – Rowan uśmiechnął się. – A możesz mi wytłumaczyć, dlaczego jeszcze nie położyliśmy się spać?

– W ogrodzie?

Pstryknął ją palcem w nos.

– W apartamencie za ogrodem. W naszej sypialni.

Aelin bezzwłocznie zaprowadziła go na miejsce. Komnata prezentowała się w miarę nieźle w porównaniu z nieładem panującym wszędzie indziej w zamku. Najwidoczniej korzystał z niej któryś z adarlańskich dostojników.

– Chciałam go oczyścić ze wszystkich śladów po Adarlanie, zanim zaczniemy z niego korzystać – przyznała.

– Aha.

Nabrała w płuca chłodnego porannego powietrza.

Usłyszała ich i wyczuła na długo, nim ich zobaczyła. Gdy się odwrócili, ujrzeni Lorcana i Elide, wchodzących na balkon. Za nimi podążali Aedion, Lysandra i Fenrys, a pochód zamykał milczący, czujny Ren Allbrook.

Aelin nie miała pojęcia, jak ich znaleźli i po co przyszli. Na szczęście zauważyła, że rany Fenrysa wreszcie się zasklepiły, choć od czoła po podbródek ciągnęły się dwie identyczne, czerwone szramy, na które Fae najwyraźniej nie zwracał uwagi. Dostrzegła też, że Lorcan trzymał dłoń na plecach Elide, a ona wręcz promieniała.

Od razu domyśliła się, co było powodem. Wszak nawet ciemne oczy Lorcana błyszczały.

Mimo to obrzuciła go ostrzegawczym spojrzeniem, które zawierało w sobie wszystko to, czego nie wyraziła dotąd słowami:

„Jeśli złamiesz jej serce, usmażę cię żywcem i zaproszę na ucztę Manon Czarnodziobą”.

Lorcan wywrócił oczami, a Aelin uznała, że przystał na jej warunki.

– Ktoś z was zdążył się w ogóle przespać? – zwróciła się do wszystkich.

Jedynie Fenrys podniósł rękę.

Aedion spojrział na ciemną plamę i zmarszczył czoło.

– Zakryjemy ją dywanem – powiadomiła go Aelin.

– Mam nadzieję, że jakimś tandetnym – skomentowała Lysandra ze śmiechem.

– Zastanawiam się nad połączeniem rózu z fioletem. Dodatkowo wyszywanym w kwiaty. Erawanowi na pewno by się spodobało.

Fae spojrzeli na nią z niedowierzaniem, a Ren zamrugał. Elide pochyliła głowę, dusząc chichot.

– Czuję, że przynajmniej na tym dworze nie będzie nudno – prychnął Rowan.

Aelin położyła dłoń na sercu i spojrziała na niego, jakby została śmiertelnie urażona.

– Naprawdę się o to martwiłeś?

– Niech bogowie mają nas w opiece – burknął Lorcan, a Elide trąciła go łokciem.

Aedion odwrócił się do Rena, który nadal stał w wejściu, jakby się zastanawiał, czy by nie czmychnąć.

– Teraz masz okazję, by stąd zwać, zanim zostaniesz wciągnięty w ten niekończący się cyrk.

Niemniej Ren spojrzał badawczo na Aelin. Ich oczy się spotkały.

Królowa słyszała o losie Murtaugha, ale wiedziała, że to zły moment, by o tym wspominać, gdyż we wzroku młodego lorda nadal widziała żal spowodowany stratą bliskiej osoby. Uśmiechnęła się więc do niego szczerze, ciepło i otwarcie.

– A w cyrku zawsze znajdzie się miejsce dla nowej osoby – powiedziała, by przełamać lody.

Ren nie spuszczał jej z oczu.

– Porzuciłaś wszystko i powróciłaś. By walczyć.

– Wszystko dla Terrasenu – odparła cicho.

– Tak, wiem – rzekł Ren. Promienie wschodzącego słońca uwydatniły ciągnącą się po jego twarzy bliznę. – Teraz już to rozumiem. – Uśmiechnął się lekko. – Myślę, że po tej wojnie trochę cyrku dobrze mi zrobi.

– Jeszcze tego pożałujesz – mruknął Aedion.

– Nie ma co do tego wątpliwości – oznajmiła królowa i ukloniła się, a potem uśmiechnęła się do zebranych mężczyzn. – Nudzić to się nie będziecie. Słowo królowej.

– Skoro tak, to w jaki sposób chcesz tę nudę przegnać? – spytał Aedion. – Co będziemy robić?

– Odbudowywać – odparła Elide. – Czeka nas mnóstwo prac budowlanych.

– I negocjacje handlowe – rzekła Lysandra.

– Szkolenie nowego pokolenia w korzystaniu z magii – ciągnęła Aelin.

Mężczyźni zamrugali z zaskoczeniem, na co Aelin przechyliła głowę i powtórzyła ich gest.

– A sami nie chcielibyście może jakoś się przyczynić do poprawy sytuacji? Nie macie niczego do zaoferowania? – Cmoknęła. – Trzech z was liczy sobie po kilkaset lat. Po bandzie marudnych starych dziadów spodziewałabym się raczej ciekawych pomysłów.

Lorcan, Fenrys i Rowan rozchylili nozdrza. Aedion uśmiechnął się szeroko, a Ren poszedł w jego ślady, ale w porę zasłonił usta.

– Czterech – rzekł Fenrys. – Jest nas czterech starych dziadów.

Aelin uniosła brew, na co mężczyzna uśmiechnął się, rozciągając swe blizny.

– Przecież gdzieś jest jeszcze Vaughan! Wreszcie wolny.

– Nigdy nie da się znów złapać. – Rowan założył ramiona na piersi, ale Fenrys uśmiechnął się i spojrzał znacząco na armię Fae i jeźdźców na grzbietach wilków na równinie.

– Coś mi mówi, że ktoś z nich wie, gdzie zacząć poszukiwania – rzekł i zerknął na Aelin. – Jeśli nie masz nic przeciwko temu, by do dworu przyłączył się kolejny marudny dziad.

Aelin wzruszyła ramionami.

– Jeśli zdołacie go przekonać, nie widzę problemów.

Rowan uśmiechnął się i spojrzał na niebo, jakby już szukał wzrokiem zaginionego przyjaciela, a Fenrys mrugnął do Aelin.

– Obiecuję, że nie będzie tak żalonym typem jak Lorcan.

Elide pacnęła go w ramię, a Fenrys odskoczył ze śmiechem, unosząc ręce.

– Polubisz go – obiecał Aelin. – Wszystkie dziewczęta go lubią – dodał i znów mrugnął do niej, Lysandry i Elide.

Aelin parsknęła śmiechem, swobodniej i radośniej niż kiedykolwiek wcześniej, po czym zwróciła się ku budzącemu się królestwu.

– Obiecaliśmy wszystkim lepszy świat – rzekła po chwili uroczystym głosem. – Zaczniemy więc od tego.

– Od małych kroków – powiedział Fenrys. – Podoba mi się to.

Aelin uśmiechnęła się do niego i dodała:

– Podobało mi się głosowanie w sprawie Kluczy Wyrda. Powinniśmy robić to częściej.

Odpowiedziała jej cisza, którą przerwała Lysandra.

– Mielibyśmy częściej głosować? W jakich sprawach?

– Różnych – odparła Aelin i wzruszyła ramionami, wsuwając dłonie do kieszeni.

– Na przykład w kwestii obiadu? – Aedion uniósł brew.

Aelin wywróciła oczami.

– Tak, obiadu. Jasne. Zagłosujmy, co ugotować.

Elide zakaszła.

– Wydaje mi się, że Aelin chodzi o poważniejsze kwestie. Jak rządzić królestwem.

– Jesteś przecież królową – rzekł Lorcan. – Po co tu głosować?

– Ludzie powinni mieć coś do powiedzenia w kwestii tego, jak ktoś rządzi. Powinni uczestniczyć w odbudowie królestwa. – Aelin uniosła głowę. – Ja będę królową, a moje dzieci... – Zarumieniła się, uśmiechając się do Rowana. – A nasze dzieci – poprawiła się cicho – kiedyś odziedziczą rządy, ale Terrasen powinno mieć głos. Każda kraina powinna mieć swój głos. Nie mam tu na myśli lorda, który nią włada, ale przedstawiciela ludu.

Wojownicy spoglądali po sobie, aż odezwał się Rowan:

– Kiedyś istniało już takie państwo. Daleko na wschodzie, dawno temu. Wierzano tam w podobne rzeczy. – W jego oczach zapłonęła duma jaśniejsza od świtu. – Wierzano tam w pokój, mądrość i rozwój. Królestwo to było opoką w niebezpiecznych, burzliwych czasach i gdy odbudujemy Bibliotekę Oryntu, poprosimy naszych mędrców, by odnaleźli na ten temat wszelkie zapiski.

– Ba, możemy się tam wybrać – rzekł Fenrys. – By się przekonać, czy ich mędrzy i przywódcy nie chcieliby nas odwiedzić i podzielić się swą wiedzą. – Wzruszył ramionami i dodał: – Sam mógłbym się tego podjąć. Mógłbym tam pojechać, jeśli chcesz.

Aelin wiedziała, że nie żartuje. Naprawdę chciał wyruszyć w drogę jako emisariusz. Być może chciał zająć się czymś, by zapomnieć o tym, co widział i przeżył. By pogodzić się z utratą brata i wyciszyć konflikt w swoim sercu. Miała wrażenie, że blizny na jego twarzy zblakną, tylko jeśli tego zapragnie.

Pokiwała głową. Z chęcią wysłałaby Fenrysa, gdziekolwiek ten chciałby się udać, ale wtedy przypomniała sobie, co właśnie powiedział Rowan.

– Odbudujemy Bibliotekę? – wypaliła.

– I Królewski Teatr. – Jej mąż się uśmiechnął.

– Ale tu nie było żadnego teatru, a już na pewno nie takiego jak w Rifthold.

– Ale będzie. – Rowan uśmiechnął się jeszcze szerzej.

Aelin machnęła ręką.

– Mam ci przypomnieć, że choć wygraliśmy tę wojnę, nadal mamy pusty skarbiec?

Rowan otoczył ją ramieniem.

– A ja mam ci przypomnieć, że od chwili gdy odrąbałaś głowę Maeve, znów jestem księciem Doranelle z pełnym dostępem do moich ziem i majątku? Skoro zaś nie ma wątpliwości, że Maeve nie była tym, za kogo się podawała, połowa jej majątku przypada tobie, a druga reszcie rodu Białych Cierni?

Aelin zamrugła powoli. Pozostali uśmiechnęli się, nie wyłączając Lorcana. Rowan ucałował żonę.

– Nowa Biblioteka i Królewski Teatr – szepnął w jej usta. – Potraktuj to jako prezent ślubny, Ogniste Serce.

Aelin odsunęła się i spojrzała mu w twarz. Wyczytała w niej szczerą i przekonanie.

A potem rzuciła mu się w ramiona, śmiejąc się ku jaśniejącemu niebu, i wybuchnęła płaczem.

„Nastał dzień wielu spotkań” – pomyślała Aelin, która stanęła w niemalże pustej, zakurzonej komnacie i uśmiechnęła się do swoich sojuszników. Do swoich przyjaciół.

Ansel z Briarcliff, posiniaczona i podrapana, odpowiedziała tym samym.

– Twoja zmiennokształtna to świetna kłamczucha – oznajmiła. – Wstyd, że sama nie przejrzałam waszej intrygi.

Książę Galan, który wyniósł tyle samo sińców i ran, parsknął śmiechem.

– Ja na swą obronę mogę powiedzieć, że nigdy wcześniej cię nie spotkałem – rzekł i pochylił głowę. – A więc witaj, kuzynko.

Aelin, oparta o rozpadające się biurko, jedyny mebel w komnacie, uśmiechnęła się do niego lekko.

– A ja cię widziałam z oddali. Raz.

Oczy Galana Ashryvera błysnęły.

– Zakładam, że zajmowałaś się wówczas poprzednią profesją. Dziękuję, że mnie nie zabiłaś.

Aelin zachichotała, a Rolfe wywrócił oczami.

– Tak, kapitanie?

Mężczyzna zamachał wytatuowaną dłonią. Pod paznokciami nadal miał zaschniętą krew.

– Powstrzymam się od komentarzy.

– Jesteś dziedzicem Mycenian! – oznajmiła z uśmiechem Aelin. – Zwykle sprzeczki są poniżej twojej godności.

Ansel parsknęła, a Rolfe smagnął ją spojrzeniem.

– Co zamierzacie teraz zrobić? – spytała Aelin.

Uważała, że reszta jej dworu powinna być obecna na tym spotkaniu, ale gdy poleciała Evangeline, by sprowadziła wszystkich sojuszników, ta uznała, że powinni jednak odpocząć. Wyjątkiem był Rowan, który udał się na poszukiwanie Endymiona i Sellene. Wszystko wskazywało na to, że jego kuzynka miała się właśnie dowiedzieć sporo na temat swej przeszłości i przyszłości Doranelle.

– Będziemy musieli zdecydować, co począć. – Rolfe wzruszył ramionami. – Opcje są dwie. Możemy wrócić do Zatoki Czaszek albo... – Zmrużył swe oczy w kolorze morskiej zieleni.

– Albo? – spytała słodko Aelin.

– Albo może zabierzemy się do odbudowy starej siedziby w Ilium.

– Czemu sam nie podejmiesz decyzji? – spytała Ansel.

Rolfe machnął wytatuowaną dłonią.

- Mycenianie zapłacili krwią za swój udział w tej wojnie. Powinni więc samodzielnie zadecydować, gdzie chcieliby zamieszkać po jej zakończeniu.

- Mądrze. – Aelin cmoknęła.

Rolfe zeszywniał, ale rozluźnił się, widząc ciepło w jej spojrzeniu.

Królowa przeniosła wzrok na Iliasa w pogiętej zbroi.

- Odezwałeś się choć raz podczas całej wojny? – spytała.

- Nie – odparła Ansel za niego.

Syn Niemego Mistrza zerknął na młodą królową i przetrzymał jej wzrok.

Aelin zamrugwała, widząc emocje, które kryły się w jego spojrzeniu. Nie było tam wrogości, nie było tam lęku. Mogłaby przysiąc, że Ansel się zarumieniła.

Chcąc wybawić przyjaciółkę z opresji, zwróciła się do zebranych, mówiąc:

- Dziękuję wam.

Wszystkie twarze obróciły się ku niej, a Aelin ułożyła dłoń nad sercem i ciągnęła:

- Dziękuję wam za to, że przybyliście, gdy was o to poprosiłam. Dziękuję wam w imieniu Terrasenu. Jestem waszą dłużniczką.

- To my byliśmy twoją – sprzeciwiła się Ansel.

- Ja nie – mruknął Rolfe.

Aelin obdarzyła go szerokim uśmiechem.

- Będziemy się świetnie bawić – oznajmiła i raz jeszcze przyjrzała się swoim sojusznikom, znużonym, poturbowanym, ale nadal nieugiętym. Żaden z nich się nie poddał. Wszyscy dotrwali do końca.

- Oj, tak. Będziemy się doskonale bawić.

W południe Aelin odnalazła Manon w gniazdowisku wiedźm. Obwiązany wieloma bandażami Abraxos leżał i wpatrywał się w pobjowisko, przykrywając skrzydłem byłą Przywódczynię Skrzydła.

– Królowa Crochan i Żelaznozębnych – oznajmiła Aelin w ramach powitania i gwizdnęła cicho, na co Manon odwróciła głowę. – Imponujące.

Na twarzy Manon malowały się jednak wyczerpanie i żal.

– Wiem o wszystkim – rzekła cicho Aelin. Nie podchodziła bliżej.

Manon nie odpowiedziała. Jej milczenie mówiło wszystko, co królowa Terrasenu chciałyby wiedzieć. Nie, wcale nie miała się dobrze. Tak, śmierć Trzynastki zламаła jej serce. Nie, nie chciała o tym rozmawiać.

Aelin powiedziała więc coś innego:

– Dziękuję.

Manon skinęła zdawkowo głową. Aelin minęła wiedźmę i stanęła przy Abraxosie, który wpatrywał się w ciemną plamę na równinie Theralis. W jej sercu obudził się ból, gdy spoglądała na stworzenie, wiedźmę i ciemne pogorzelnisko. Ukucnęła przy wywernie i musnęła jego skórzasty łeb, a on wtulił się w nią.

– Postawimy pomnik – powiedziała do Abraxosa i Manon. – Jeśli chcecie, wybuduję tam pomnik. By nikt nie zapomniał o waszej ofierze. By wszyscy pamiętali, komu jesteśmy winni wdzięczność.

Wiatr świstał wokół wieży, zimny i rześki. Nie zagłuszył jednak cichych kroków na sianie. Manon usiadła obok niej.

Aelin milczała. Nie zadawała pytań, a Manon, widząc to, zgarbiła się i pochyliła głowę. Nie pozwoliłaby sobie na to przy nikim innym. Bo nikt inny nie zrozumiałby brzemienia, jakie obie nosiły.

Obie królowe w milczeniu wpatrywały się w pobojuwisko.

W przyszłość, która majaczyła za nim.

Przygotowania zabrały dziesięć dni.

Potrzeba było aż dziesięciu dni, by wysprzątać salę tronową, wyszorować korytarze, zdobyć jedzenie i znaleźć kucharzy. By przygotować królewski apartament, uszykować odpowiednie stroje i zapewnić sali tronowej należyty splendor. Belki oraz ławki zostały udekorowane zielonymi wieńcami i Rowan, który z podwyższenia przyglądał się zgromadzonemu tłumowi, musiał przyznać, że Lysandra wykonała imponującą robotę. Wszędzie migotały palące się świece, a ślady po bitwie zakrył świeży śnieg, który spadł zeszłej nocy.

Stojący u jego boku Aedion przestępował z nogi na nogę. Lorcan i Fenrys patrzyli przed siebie. Wszyscy wyszorowali się, umyli włosy i przywdziali stroje, w których wyglądali jak książęta, choć dla Rowana wygląd miał naprawdę niewielkie znaczenie. Nigdy w życiu nie miał na sobie czegoś równie niepraktycznego jak owa zielona, przetykana srebrną nicią kurtka. Pocieszało go tylko to, że mógł przypiąć pas z Goldrynem.

Na szczęście odziany w czerń Lorcan wyglądał równie nieszczęśliwie jak on sam.

„Gdybyś założył cokolwiek innego, świat stanąłby na głowie. – Aelin cmoknęła. – A więc niech będzie pogrzebowa czerń!”

Lorcan wywrócił wtedy oczami. Rowan jednakże dostrzegł spojrzenie Elide, gdy przed momentem mijał ją i Lysandrę w korytarzu prowadzącym do sali tronowej. Widział w jej oczach miłość i pożądanie, gdy patrzyła na Lorcana w nowym stroju, i zadał sobie w myślach pytanie, kiedy w tejże sali trzeba będzie urządzić weselisko.

Zerknął na Aediona, również odzianego w zieleń Terrasenu, i uśmiechnął się lekko. Nie jedno wesele, ale dwa, i to pewnie jeszcze przed nastaniem lata, choć Aedion i Lysandra nic na ten temat nie wspomnieli.

Ostatni goście dołączali do gęstego tłumu zebranych. Rowan omiótł wzrokiem przywódców i sojuszników zasiadających w pierwszych

ławkach. Ansel z Briarcliff wierciła się w nowych spodniach i nowej kurtce, a Rolfe, który rozparł się wygodnie i przerzucił ramię za oparcie, uśmiechał się krzywo, widząc jej dyskomfort. Po drugiej stronie Ansel zasiadał odziany w tradycyjną dla swego ludu białą szatę Ilias, który sprawiał wrażenie uosobienia spokoju.

Przed nimi siedział Galan, strojny w książęce szaty. Wysoko unosił głowę, mimo to mrugnął do Rowana, który odpowiedział lekkim ukłonem. W ten sam sposób pozdrowił Endymiona i Sellene, siedzących przy przejściu. Jego srebrnowłosa kuzynka potrzebowała dobrych kilku godzin na przetrwanie informacji, które przekazał jej Rowan, i chyba nadal nie docierało do niej, że jest teraz królową Doranelle. Królową Fae Wschodu. Nie ubrała się jednak stosownie do nowego statusu – podobnie jak Enda ograniczyła się do założenia ubrań najmniej sfatygowanych w walce i najwyraźniej szykowała się, by wprowadzić podobne zmiany w Doranelle. Rowan nie miał na to wpływu. Ród Białego Ciernia, spadkobiercy samej Mory, miał wreszcie przejąć władzę, ale to Sellene musiała zdecydować o wszelkich ewentualnych zmianach. Rowan nie miał też pojęcia, w jaki sposób sami Fae ułożą sobie życie w nowej rzeczywistości, kiedy już przestał na nich padać cień Mrocznej Królowej.

Nie wiedział również, ilu Fae postanowi zostać w Terrasenie, by wziąć udział w odbudowie rozdartego wojną kraju. Ilu zdecyduje, że woli lata ciężkiej pracy od spokojnego życia w dostatku. Wojownicy Fae, z którymi rozmawiał przez ostatnie dwa tygodnie, wstrzymywali się z jakimikolwiek deklaracjami, ale zauważył, że kilku z nich zerka z tęsknotą ku Jelenim Rogom i Dębowej Puszczy, jakby usłyszeli zew dziczy na wietrze.

Na szczęście istnieli jeszcze Fae, którzy mieszkali w Terrasenie przed jego upadkiem. Którzy posłuchali rozpaczliwego wezwania Aelin, a po bitwie odjechali do swych ukrytych siedzib na terenach zamieszkiwanych przez Wilcze Plemię, by przygotować się do wyczekiwanego powrotu do Terrasenu. Być może zabiorą ze sobą część wilków.

Chciał przygotować królestwo na ich powrót. Chciał uczynić je godnym wszystkich, którzy chcieliby tu zamieszkać: ludzi, Fae czy wiedźm. Chciał, by Terrasen stało się równie wielkie jak kiedyś, a nawet większe, równie potężne jak imperium na dalekim południu, za falami Wąskiego Morza, stanowiące najlepszy dowód na to, że

można stworzyć państwo pokoju i dobrobytu. Książęta kaganatu ostatnio sporo mu opowiedzieli o swej ojczyźnie i zamieszkujących ją ludach.

Kashin, Sartaq i Hasar siedzieli po drugiej stronie w towarzystwie Chaola, Doriana oraz Yrene i Nesryn. Obie dziewczęta miały na sobie suknie tak pyszne, że na pewno zostały pożyczone. W Oryncie nie otwarto bowiem jeszcze żadnych sklepów i wciąż nie docierały tu materiały. Należało się cieszyć z tego, że dla wszystkich znalazły się czyste rzeczy.

Przynajmniej Manon postanowiła, że nie będzie się stroić. Wiedźma nadal miała na sobie skórzany strój do latania, ale założyła koronę z gwiazd, której blask padał na Petrah Błękitnokrwistą i Bronwen Crochan, które siedziały po obu jej stronach.

Naraz Rowan usłyszał, jak Aedion przełyka ślinę, i zerknął na otwarte drzwi, a potem na Darrowa, siedzącego przy pustym tronie. Nie był to oficjalny tron królestwa, lecz jedynie największe, najgodniejsze krzesło, jakie znaleziono na zamku, przy czym wyboru dużego nie mieli. Lord Darrow również wpatrywał się w otwarte drzwi. Twarz miał obojętną, ale oczy mu się skrzyły.

Trębacze trzykrotnie zagrali wezwanie. Zaskrzypiały ławy, gdy wszyscy odwrócili się ku drzwiom.

Skryci za podwyższeniem i zasłonięci drewnianym, malowanym parawanem muzycy zaczęli grać melodię stosowną do procesji. Nie była to wielka, wyśmienita orkiestra, która powinna towarzyszyć wydarzeniom tej rangi, ale lepsza taka niż żadna.

Nie miało to jednak wielkiego znaczenia, gdy wkroczyła Elide w liliowej sukni. Związane w warkocz czarne włosy udekorowała wieńcem z wstążek. Utykała z każdym krokiem, gdyż poprosiła wcześniej Lorcana, by nie wzmacniał jej kostki magią. Chciała przejść do tronu bez niczyjej pomocy.

Szła z godnością i dumą w stronę podwyższenia, wyprostowana, ściskając w dłoni bukiet z ostrokrzewu. Była wszak lady Perranthu, a dziś, w dniu koronacji Aelin, z zaszczytem pełniła rolę jednej z jej służebnic.

Elide była w połowie drogi, gdy pojawiła się Lysandra w sukni z zielonego aksamitu. Natychmiast rozległy się szepty – nie ze

względu na jej niebywałą urodę, ale niezwykle czyny i ogromną odwagę, którą okazała podczas oblężenia. Oczom zebranych ukazała się wszak zmiennokształtna, która broniła ich królestwa i pomogła zniszczyć Erawana.

Z wysoko uniesioną głową Lysandra, lady Caraverre, płynęła między rzędami ławek. Aedion nie mógł oderwać od niej wzroku.

Następnie pojawiła się Evangeline z zielonymi wstążkami, wplecionymi w złotorude włosy. Szeroki, promienny uśmiech na jej twarzy sprawiał, że rozciągnięte blizny na policzkach przestawały przyciągać uwagę. Młoda pani na Arranie i dziedziczka Darrowa zdołała zawładnąć sercem starego lorda na tyle, że ten przekonał pozostałych lordów, by ci zgodzili się na jego decyzję.

By uznali prawa Aelin do tronu.

Dwa dni temu dostarczyli dokumenty podpisane przez nich wszystkich.

Elide zajęła miejsce po prawej stronie tronu, a obok niej stanęły Lysandra i Evangeline.

Serce Rowana zaczęło walić jak szalone. Wszyscy patrzyli teraz na niemalże puste przejście między rzędami, a muzycy zagrali pierwsze takty *Pieśni Terrasenu*. Muzyka narastała, nabierała siły, a gdy osiągnęła punkt kulminacyjny, gdy świat eksplodował królewskimi, niezłomnymi dźwiękami, pojawiła się ona.

Kolana Rowana zadrżały, a wszyscy powstali.

Aelin była odziana w zwiewną, płynącą po ziemi, zielono-srebrną suknię, a jej złociste włosy były rozpuszczone. Zatrzymała się na progu sali tronowej.

Rowan nigdy nie widział niczego tak pięknego.

Aelin spoglądała na przejście między rzędami, jakby zastanawiała się nad każdym krokiem, który dzielił ją od celu.

Od jej tronu.

Cały świat najwyraźniej zatrzymał się razem z nią. Czas zamarł nad progiem.

Aelin, lśniąca intensywniej od śniegu na zewnątrz, uniosła głowę i rozpoczęła ostatni odcinek drogi do domu.

Każda ścieżka, po której wędrowała, wiodła w to miejsce.

Twarze mijanych przyjaciół i sojuszników rozlewały się.

Szła w stronę czekającego na nią tronu. Ku koronie, którą Darrow miał umieścić na jej głowie.

Każdy krok zdawał się rozbrzmiewać echem, który przesywał ziemię. Aelin uwolniła cząstkę swej mocy i w powietrzu za nią zatańczyły złociste iskry. Jej dłonie drżały, przez co mocniej ujęła zielony bukiet, ułożony z roślin, które nie wiedły nawet zimą.

Był to symbol, który miał podkreślić suwerenność Terrasenu, od tej pory na wieki.

Tron wydawał się odległy, a mimo to ją wabił.

Rowan stał po prawej stronie i szczyrzył zęby w szerokim uśmiechu, którego pomimo wyćwiczonej surowości wcale nie umiał opanować.

Na lewo od tronu stał Aedion z wysoko uniesioną głową i Mieczem Orynthu u boku. Po jego policzkach płynęły łzy.

Aelin uśmiechnęła się do niego. Wspomniała ich wspólne dzieciństwo oraz wszystko, co stracili.

Co teraz odzyskali.

Ukloniła się Dorianowi i Chaolowi, mrugnęła do Ansel z Briarcliff i musnęła rękaw jej kurtki, po czym uświadomiła sobie, że weszła już na trzy stopnie podwyższenia, a ku niej idzie Darrow. Zeszłej nocy wysłuchiwała szczegółowych instrukcji, a potem sobie wszystko przećwiczyła w ciemnej, zakurzonej klatce schodowej, a więc wiedziała, co robić. Pokonała trzy kolejne stopnie i uklękła na ostatnim.

Tylko ten jeden raz podczas swego panowania miała pochylić głowę.

Tylko ten jeden raz miała uklęknąć.

Jej korona. Jej tron. Jej królestwo.

Wszyscy nadal stali, choć Darrow dał znać, by usiedli. A potem rozległy się słowa, wypowiedziane w Starej Mowie, prastare i święte, wymówione bezbłędnie przez starego lorda, który własnoręcznie

ukoronował samego Orlona.

- Czy oddajesz swe życie, swe ciało i swą duszę, by służyć Terrasenowi?

Zeszłej nocy ćwiczyła odpowiedź wraz z Rowanem, aż jej w ustach zaschło.

- Oddaję wszystko, czym jestem, Terrasenowi – rzekła w Starej Mowie.

- A więc wypowiedz słowa przysięgi.

Serce Aelin biło mocno i wiedziała, że Rowan to słyszy. Mimo to pochyliła głowę i rzekła:

- Ja, Aelin Ashryver Biały Cierń Galathynius, przysięgam na swą nieśmiertelną duszę, iż będę strzec Terrasenu, pielęgnować go i czcić od tego dnia aż po mój ostatni oddech.

- Niech więc tak będzie – odparł Darrow i wyciągnął rękę.

Nie do niej, ale do Evangeline, która podeszła, trzymając poduszkę z zielonego aksamitu.

Spoczywała na niej korona.

Adarlan zniszczył jej tron z poroży i przetopił koronę, a więc Aelin zleciła wykonanie nowej. W ciągu dziesięciu dni, jakie upłynęły od decyzji przeprowadzenia koronacji w Oryncie, odnaleźli odpowiedniego mistrza złotnika, który podjął się wykuć koronę z resztek złota ukradzonego z leża upiora w Wendlyn.

Korona przypominała rozgałęziające się poroża, które podtrzymywały znajdujący się pośrodku klejnot. Nie był nim wcale kamień szlachetny, ale coś o wiele cenniejszego, co przekazał sam Darrow.

Był to kawałek kryształu, w którym znajdował się pojedynczy kwiatek królewskiego płomienia z czasów rządów Orlona. Nawet schowany pośród złotych gałązek, czerwono-pomarańczowy kwiatek jaśniał w blasku poranka niczym rubin, zwłaszcza gdy Darrow podniósł koronę z poduszki.

Uniósł ją ku strumieniom światła, wpadającym przez okna za podwyższeniem. Ceremonia rozpoczęła się rano właśnie z tego powodu – by moc Mali mogła pobłogosławić ten moment. I choć Pani

Światła odeszła na zawsze, Aelin mogłaby przysiąc, iż czuje na ramieniu ciepłą dłoń. Ba, czuła, że stoją z nią wszyscy, których pokochała sercem z dzikiego ognia. Ci, których historie miała na zawsze wypisane na skórze.

A gdy korona zaczęła się obniżać, by spocząć na jej skroniach, Aelin otoczyła się magicznym blaskiem. Dawała znać tym, którzy nie zdążyli, wszystkim, którzy walczyli, całemu światu.

Darrow wreszcie ułożył koronę na głowie Aelin. Okazała się cięższa, niż przypuszczała.

Zamknęła oczy, by przyzwyczać się do ciężaru artefaktu oraz wyzwań, które na nią nakładał.

– Powstań – rzekł Darrow. – Oto Aelin Ashryver Biała Cierń Galathynius, królowa Terrasenu!

Przełknęła szloch i powoli, oddychając miarowo, choć jej serce groziło wyskoczeniem z piersi, podniosła się.

Szare oczy Darrowa jaśniały.

– Panuj długo i sprawiedliwie – rzekł.

Gdy odwróciła się ku sali, powietrzem wstrząsnął okrzyk, który odbił się echem od starożytnych, kamiennych ścian i pomknął dalej:

– Niech żyje Aelin! Niech żyje królowa Terrasenu!

Słyszała głosy Rowana i Aediona i niewiele brakowało, by padła na kolana, ale przemogła słabość, uniosła wysoko głowę i uśmiechnęła się promiennie.

Darrow wskazał jej tron.

Aelin wiedziała, że z chwilą, gdy na nim zasiądzie, ceremonia dobiegnie końca, a ona miała jeszcze coś do zrobienia. Odwróciła się ku Aedionowi i powiedziała cichym, ale nadal mocnym głosem:

– Należało ci się to od chwili, gdy przyszedłeś na świat, książę Aedionie.

Jej kuzyn znieruchomiał, gdy Aelin odsunęła rękaw i odsłoniła przedramię. Zadrżał od tłumionego płaczu.

Aelin nie walczyła z własnymi łzami, gdy spytała drżącym głosem:

– Czy zgodzisz się złożyć mi przysięgę krwi?

Aedion bez słowa opadł przed nią na jedno kolano.

Rowan w milczeniu podał jej sztylet. Ostrze zamarło nad skórą królowej, gdy ta przemówiła:

– Przez długie lata walczyłeś o Terrasen sam, nie mogąc liczyć na niczyją pomoc. Bez nadziei, bez sojuszników, ale nie ustawałeś. Walczyłeś dla mnie. Dla tych ludzi. Czy poprzysięgniesz, że nie ustanieś w swoich wysiłkach? Czy obiecujesz walczyć do ostatniego tchu?

Aedion pochylił głowę i wyszeptał:

– Tak. Zarówno w tym życiu, jak i każdym innym będę służył tobie i Terrasenowi.

Aelin uśmiechnęła się do niego, do swej bratniej duszy, a potem rozcięła sobie skórę na ramieniu.

– A więc upij mej krwi, książę. I witaj.

Aedion delikatnie ujął jej ramię i przysunął usta do niewielkiej rany, a gdy się odsunął z jej krwią na ustach, Aelin uśmiechnęła się do niego z góry.

– Powiedziałeś kiedyś, że chciałeś ją złożyć przed całym światem – szepnęła tak, by tylko on usłyszał jej słowa. – To chyba odpowiedni moment.

Aedion zdusił śmiech, po czym powstał, objął ją i uścisnął, a następnie powrócił na swoje miejsce przy tronie. Aelin zaś przeniosła spojrzenie na wciąż czekającego Darrowa.

– Na czym skończyliśmy? – spytała.

Starzec uśmiechnął się lekko i wskazał jej tron.

– Na ostatnim fragmencie ceremonii.

– A potem coś zjemy – mruknął Fenrys i westchnął.

Aelin powstrzymała uśmiech i zrobiła dwa kroki w kierunku tronu, a gdy odwróciła się, by usiąść, znów zamarła.

Zza framugi drzwi wyjrzały główki małych postaci, które zajrzały do wnętrza sali tronowej. Zaskoczona Aelin westchnęła cicho, co sprawiło, że wszyscy spojrzeli w tym samym kierunku.

– Mali Ludzie – szeptali zebrani. Niektórzy nawet się cofnęli, gdy

drobne postacie przemykały przez cienie, w przejściu między rzędami, szeleszcząc skrzydełkami i migocząc łuską.

Jeden z przybyłych stanął przed podwyższeniem. W patykowatych, zielonych paluszkach złożył ofiarę u jej stóp.

Drugą koronę. Koronę Mab.

Wyjęli ją z jej juków, które gdzieś się zapodziały podczas bitwy. Razem z samymi ludkami. Najwyraźniej nie chcieli, by się zagubiła. Nie chcieli, by zapomniiała.

Aelin podniosła koronę i spojrzała na małą grupkę, skuloną wśród cieni rzuczanych przez ławki. Mali Ludzie mrugali wielkimi, ciemnymi oczami.

– Królowa Fae Zachodu – powiedziała cicho Elide, choć wszyscy usłyszeli jej słowa.

Dłonie Aelin zadrżały, a w sercu poczuła wręcz bolesny ucisk. Spojrzała na prastarą, migoczącą koronę, a potem na Małych Ludzi.

– Tak – powiedziała. – Wam też będę służyć. Do końca mych dni. – I ukłoniła się im.

Złożyła ukłon niemalże niewidzialnym istotkom, które tak często oddawały jej wielkie usługi i nigdy nie prosili o nic w zamian. Oddała cześć Władcy Północy, który podobnie jak ona zdołał przetrwać najgorsze chwile i nigdy o niej nie zapomniiał. Chciała im służyć, tak jak pragnęła służyć wszystkim mieszkańcom Terrasenu.

Wszyscy na podwyższeniu również oddali im cześć, a po nich reszta zgromadzonych, ale Mali Ludzie już znikli.

Aelin umieściła koronę Mab na tej ze złota, srebra i kryształu. Pasowały do siebie idealnie.

A potem wreszcie usiadła na tronie.

Zaciężyła jej ta chwila. Znow poczuła ciężar odpowiedzialności. Nie była już zabójczynią ani bezdomną księżniczką.

Gdy uniosła głowę, by spojrzeć na wiwatujący tłum, gdy uśmiechnęła się jako Królowa Terrasenu oraz Królowa Fae Zachodu, płonęła niczym gwiazda.

Rytuał nie dobiegł jednak końca.

Gdy nad miastem poniosła się pieśń dzwonów, ogłaszając koronację, mieszkańcy zaczęli wiwatować.

Aelin zaś wyszła im na spotkanie.

W towarzystwie przyjaciół, dworu i gości zebranych w sali tronowej zeszła do bram zamku. Stała przed potężnymi, zamkniętymi wrotami, wykonanymi z rzeźbionego metalu, za którymi czekało na nią miasto oraz cały świat, i odwróciła się ku towarzyszom.

Ku tym, którzy pokonali z nią tak długą drogę i którzy pomogli jej dotrzeć tej chwili, do tej radosnej pieśni dzwonów. Gestem poprosiła, by członkowie jej dworu podeszli bliżej, a potem uśmiechnęła się do Doriany, Chaola, Yrene, Nesryn, Sartaqa i pozostałych, po czym im również dała znak, by podeszli. Zbliżyli się, marszcząc brwi.

– Chodźcie ze mną – powiedziała rozpromieniona Aelin w koronie i wskazała bramę za sobą. – Wszyscy.

Bo ten dzień należał do nich wszystkich. Nie miała prawa świętować go sama.

Zauważyła ich wahanie, a więc podeszła bliżej i wzięła Yrene Westfall za rękę, by zaprowadzić ją na czoło pochodu. Potem zaciągnęła tam Manon Czarnodziobą, a po niej Elide Lochan, Lysandrę, Evangeline, Nesryn Faliq, Borte, Hasar i Ansel. Wszystkie kobiety, które walczyły ramię w ramię z nią, które krwawiły, poświęcały się i nigdy nie straciły nadziei na to, że kiedyś nadejdzie ten dzień.

– Chodźcie ze mną. – Aelin zwróciła się do mężczyzn, którzy postąpili za kobietami. – Chodźcie, przyjaciele.

Dzwony nadal były. Królowa dała znać straży i wrota wreszcie się rozchyliły. Ryk zebranych tłumów mógł zatrzęść gwiazdami.

Wspólnie wyszli do wiwatujących mieszkańców.

Wyszli na ulice, gdzie ludzie tańczyli i śpiewali, gdzie płakali i przykładali dłonie do serc na widok procesji rozradowanych, machających do nich przywódców, wojowników i bohaterów, którzy uratowali ich królestwo, ich świat. Cieszyli się na widok swej nowej królowej, której oczy rozjaśniała radość.

Nowy świat.

Lepszy świat.

Dwa dni później Nesryn Faliq wciąż dochodziła do siebie po balu, który trwał do świtu.

Cóż to była za zabawa...

Przyjęcie nie było co prawda tak majestatyczne jak te, które organizowano na południowym kontynencie, ale w Wielkiej Sali zagościło mnóstwo śmiechu i radości, a ucztowano i tańczono do upadłego. Wiedziała, że nie zapomni tej zabawy już do końca życia.

Choć następnego dnia czuła się, jakby koniec jej życia był naprawdę blisko.

Stopy wciąż ją bolały od niekończących się płasów, a godzinę temu przy stole śniadaniowym słyszała, jak Aelin i Lysandra narzekają na to samo.

Wiedziała, że tańca królowej też nigdy nie zapomni.

Aelin miała poprowadzić pierwszy taniec i wybrała swego męża na partnera. Oboje zawczasu się przebrali – królowa założyła czarną suknię wyszywaną złotą nicią, a Rowan przywdział czarny strój haftowany srebrem. Ich samotny taniec okazał się niesamowitym widowiskiem.

Królowa z początku wydawała się bardzo zaskoczona, ale również zachwycona tym, że książę Fae ani razu nie pomylił kroku. Jej zachwyt szybko przerodził się w ekscytację tak wielką, że spowiła ich płomieniami.

Było to jednak dopiero początek.

Nesryn nie знаła słów, którymi można by opisać grację i zwinność, z jaką Aelin i Rowan tańczyli swój pierwszy taniec jako królowa i jej małżonek. Ich ruchy uzupełniały się niczym pytania i odpowiedzi, a gdy muzyka nabrała tempa, Rowan zaczął przechylać Aelin i nią obracać. Czarna suknia królowej wirowała, jej złociste pantofelki migotały. Stopy poruszały się tak szybko, że spod pantofli strzelały iskry.

Aelin i Rowan wirowali bez końca. Królowa jaśniała, jakby wykuto ją ze złota, a gdy walc z tryumfem dotarł do punktu kulminacyjnego, oboje zastygli w bezruchu jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

A potem królowa zarzuciła ramiona na szyję Rowana i go pocałowała.

Pomimo obolałych stóp Nesryn wciąż wspominała tę chwilę z uśmiechem.

Za jej plecami, w zakurzonej apartamencie, który stał się kwaterą główną dzieci kagana, toczyła się rozmowa.

– Najwyższa Uzdrowicielka mówi, że potrzebujemy jeszcze pięciu dni, by przygotować rannych do drogi. – Książę Kashin zwrócił się do Sartaq i Hasar, a także Doriana, który został zaproszony na to spotkanie.

– I wyruszyście do domu? – spytał Dorian i uśmiechnął się z lekkim smutkiem.

– Większość z nas – odpowiedział Sartaq, również ze smutkiem.

W trakcie zmagañ wojennych zrodziła się między nimi prawdziwa przyjaźń, która miała trwać długo, nawet po tym, jak ponownie rozdzielią ich oceany.

– Zaprosiliśmy cię tu, ponieważ mamy raczej osobliwą prośbę – ciągnął Sartaq, patrząc na Doriana.

Ten uniósł brew, a Sartaq skrzywił się lekko.

– Podczas naszej wizyty na Elfiej Przełęczy *rukhin* znaleźli porzucone, zapomniane jaja wywern. Część naszych chciałaby tu pozostać, by się nimi zajmować. A potem szkolić te wywerny, które się wyklują.

Nesryn zamrugła, zaskoczona tak samo jak Dorian. Nikt wcześniej jej o tym nie wspomniał.

– Myślałam... Myślałam, że *rukhin* nigdy nie opuszczają gniazdowisk! – zawołała.

– To młodzi jeźdźcy. – Sartaq uśmiechnął się. – Raptem dwa tuziny. – Odwrócił się do Doriana. – Poprosili mnie jednak, bym spytał się ciebie, czy mogliby tu pozostać po naszym wyjeździe.

Młody król się zastanowił.

– Nie widzę powodu, dla którego miałbym się nie zgodzić. – Jego oczy błysnęły, gdy do głowy przyszedł mu pewien pomysł. – A po prawdzie to będę zaszczycony.

– Tylko nie pozwól im zabrać wywern do domu – burknęła Hasar. – Nie chcę już oglądać tych paskudztw do końca życia.

Kashin poklepał ją po głowie, a Hasar kłapnęła zębami, jakby chciała go ugryźć.

Nesryn zachichotała, ale spoważniała, gdy ujrzała, że Dorian wpatruje się w nią ze smutkiem.

– Coś mi mówi, że stracę kolejnego kapitana gwardii – powiedział.

Nesryn pochyliła głowę.

– Ja... – zaczęła. Nie spodziewała się tej rozmowy.

– Ale bardzo się cieszę – ciągnął Dorian – że będę miał jeszcze jedną królową za przyjaciółkę.

Nesryn zarumieniła się, a czerwień na jej policzkach stała się jeszcze intensywniejsza, gdy Sartaq uśmiechnął się i rzekł:

– Nie królową, a cesarzową.

Wzdrygnęła się, a Sartaq i Dorian parsknęli śmiechem. Potem król wstał i uściskał ją mocno.

– Dziękuję ci, Nesryn Faliq. Za wszystko, co dla nas zrobiłaś.

Łuczniczka czuła taki ucisk w gardle, że nie zdołała wykrztusić ani słowa. Uściskała więc Doriana mocno, a gdy ten wyszedł, a Kashin i Hasar udali się na poszukiwanie czegoś do jedzenia, spojrzała na Sartaqą i znów się wzdrygnęła.

– Cesarzowa? Naprawdę?

Ciemne oczy księcia zamigotały.

– Wygraliśmy tę wojnę, Nesryn Faliq – rzekł i przyciągnął ją do siebie. – Pora, byśmy wrócili do domu.

Nesryn nigdy dotąd nie słyszała równie pięknych słów.

Chaol wpatrywał się w list, który trzymał w rękach.

Przyniesiono mu go godzinę temu, ale wciąż go jednak nie

otworzył. Wziął z rąk posłańca – dzieciaka z licznej gromady, którą dowodziła Evangeline – i zaniósł do sypialni, opromienionej blaskiem świec. Usiadł na łóżku, ale wciąż nie mógł się przemóc, by złamać pieczęć z czerwonego wosku.

Drgnęła klamka. Do środka wsunęła się Yrene, zmęczona, ale rozpromieniona.

– Powinieneś spać – powiedziała.

– Ty też – rzekł Chaol i wymownie spojrzał na jej brzuch.

Yrene zbyła go machnięciem ręki, równie łatwo, jak zbywała tytuły „wybawicielki”, „bohaterki Erilei” i spojrzenia pełne nabożnego zachwytu. Chaol musiał więc odczuwać dumę za ich oboje i to na niego miał spaść obowiązek opowiedzenia dziecku o odwadze i oddaniu jego matki.

– Co to za list? – spytała, myjąc ręce, a potem twarz w misce stojącej przy oknie.

W mieście widocznym za szybą panowała cisza. Mieszkańcy spali po długim, ciężkim dniu pracy przy odbudowie. Górale z Kłów wsparli ich pomocą, co było dla Chaola wielkim zaskoczeniem. Postanowił, że dołoży wszelkich starań, by im to wynagrodzić. Już zastanawiał się nad tym, jak powiększyć ich terytorium i myślał nad traktatem pokojowym między nimi a Anielle.

Teraz jednakże spojrzał na żonę i przełknął ślinę.

– Od mojej matki – rzekł.

Yrene znieruchomiała z mokrą twarzą.

– Od matki? To dlaczego go jeszcze nie otworzyłeś?

– Nie wszyscy ludzie na świecie mają w sobie tyle odwagi, by rzucać się na mrocznych władców, wiesz? – Chaol wzruszył ramionami.

Yrene wywróciła oczami, otarła twarz i usiadła na łóżku obok niego.

– Chcesz, bym przeczytała go pierwsza?

„Tak – pomyślał Chaol. – Niech mnie szlag, ale tego właśnie chcę”.

Bez słowa podał jej list, a Yrene w milczeniu złamała pieczęć

i rozłożyła pergamin. Jej złociste oczy przebiegały wzdłuż wypisanych atramentem linijek, a Chaol stukał palcem w kolano. Wiedział, że nie może jej poganiać, bo Yrene ma za sobą długi dzień pracy przy rannych. O wysiłku, jaki w to włożyła, najlepiej świadczył fakt, że sam ledwie dotarł do komnaty o lasce.

Yrene dotknęła dłonią szyi. Odwróciła kartkę i przeczytała to, co znajdowało się na odwrocie. Gdy uniosła ponownie głowę, po jej policzkach spływały łzy. Oddała mu list.

– Powinieneś sam to przeczytać.

– Powiedz mi! – błagał, obiecując sobie, że zrobi to później. – Powiedz mi, co napisała!

Yrene otarła oczy. Jej usta drżały, ale w jej oczach połyskiwała radość. Czysta radość.

– Píše, że cię kocha. Że za tobą tęskniła. Że jeśli nam to nie przeszkadza, chciałaby z nami zamieszkać. Ona i twój brat Terrin.

Chaol pochwycił list i przeczytał go pospiesznie. Nadal nie wierzył w to, co usłyszał, dopóki nie dotarł do słów:

„Kocham cię od chwili, gdy zrozumiałam, że dojrzewasz w moim łonie”.

Nie powstrzymywał łez.

„Twój ojciec poinformował mnie o tym, co zrobił z moimi listami do ciebie. Ja w odpowiedzi poinformowałam go, że nie wrócę już do Anielle”.

Yrene oparła głowę na jego ramieniu. Chaol zaś czytał dalej.

„Dzieli nas wiele długich lat i setki kilometrów, ale gdy urządzisz się wraz ze swą żoną i doczekasz się dziecka, chciałabym cię odwiedzić i zabrać ze sobą Terrina. Możemy zostać na dłużej, jeśli oczywiście nie będziecie mieli nic przeciwko”.

Ostrożne słowa pełne napięcia, jakby jego matka również nie wierzyła w to, że się zgodzi. Chaol szybko przeczytał resztę i przełknął ślinę, gdy dotarł do końcówki:

„Jestem z ciebie bardzo, bardzo dumna. Zawsze byłam i zawsze będę. Mam nadzieję, że się wkrótce zobaczymy”.

Chaol odłożył list, otarł oczy i uśmiechnął się do żony.

- Będziemy musieli zbudować większy dom – powiedział.

Uśmiech, którym odpowiedziała mu Yrene, był wszystkim, o czym marzył.

Następnego dnia Dorian zastał Chaola i Yrene w szpitalu, który przeniesiono na niższe poziomy zamku. Jego przyjaciel siedział w fotelu na kółkach i pomagał żonie w opatrywaniu rannej Crochan. Król poprosił, by udali się razem z nim.

Nie zadając żadnych pytań, poszli za Dorianem i dotarli na szczyt wieży, gdzie Manon jak co rano siodłała Abraxosa, by odbyć poranny lot zwiadowczy. Młody król dobrze wiedział, że wiedźmie nie chodziło tylko i wyłącznie o utrzymanie dyscypliny. Poranne loty pomagały jej odpędzić żal.

Znieruchomiała na ich widok i ściągnęła brwi. Zetknęła się już z Chaolem i Yrene kilka dni temu. Ich spotkanie nie należało do szczególnie wylewnych, ale nie było też chłodne, z czego należało się cieszyć, zważywszy na to, jak źle przebiegł pierwszy kontakt Chaola z wiedźmą. Yrene objęła Manon, która sztywno próbowała naśladować jej serdeczność, ale gdy obie kobiety odsunęły się od siebie, Dorian miał wrażenie, że bladeść Manon częściowo ustąpiła.

- Dokąd się wybierzesz po tym, jak wszyscy odjadą? – zwrócił się do wiedźmiej królowej.

Złote oczy Manon wpatrywały się w niego. Jak dotąd nie zebrał się na odwagę i nie zadał jej tego pytania. Nie chciał poruszać tego tematu, tak jak nie chciał nikomu mówić o swym ojcu i jego imieniu.

- Polecę na Pustkowie – powiedziała w końcu. – By się przekonać, co da się zrobić.

Dorian przełknął ślinę. Słyszał już rozmowy na ten temat wśród Żelaznozębnych i Crochan. Wyczuwał wśród nich narastające napięcie oraz ekscytację.

- A potem?

- Nie będzie żadnego potem.

Obdarzył ją lekkim uśmiechem, który tylko ona rozumiała.

- Naprawdę?

- Czego ode mnie chcesz? – spytała Manon.

O mało nie powiedział: „Ciebie, ciebie całej”. Zamiast tego opanował się i powiedział:

- Niewielka grupa *rukhin* pozostanie w Adarlanie, by szkolić małe wywerny. Chcę, by utworzyli mój osobisty legion powietrzny. I chciałbym, byś im pomogła wraz z innymi Żelaznozębnymi.

Chaol zakaszłał i obrzucił go spojrzeniem, które mówiło: „A kiedy chciałeś mi o tym opowiedzieć?”.

Dorian mrugnął do niego i zwrócił się do Manon:

- Wróc więc na Pustkowiec i weź się do odbudowy, ale pamiętaj, co ci powiedziałem. Zawsze możesz wrócić. Jeśli nie po to, by zostać moim ulubionym jeźdźcem w koronie, to po to, by pomóc w szkoleniu. – Zawahał się i dodał nieco ciszej: – No i wpadaj raz na jakiś czas, by się przywitać.

Manon wpatrywała się w niego.

Dorian robił wszystko, by nie wyglądać, jakby wstrzymywał oddech, jakby pomyślał, który go naszedł chwilę temu wśród książąt z kaganatu, nie płonął w nim żywym ogniem.

- Pustkowiec od Rifthold dzieli zaledwie kilka dni lotu – powiedziała ostrożnie Manon, po czym uśmiechnęła się lekko. – Możliwe, że Bronwen i Petrah będą w stanie mnie zastąpić, jeśli się raz na jakiś czas wymknę. By pomóc *rukhin*.

W jej oczach oraz w tym lekkim uśmiechu wyczytał obietnicę. Oboje nadal cierpieli, wciąż nie otrząsnęli się z rozpacz, ale w tym nowym świecie ich rany być może kiedyś się zagoją. Jeśli będą się trzymać blisko siebie.

- Moglibyście się po prostu pobrać – powiedziała Yrene. Dorian spojrzał na nią z niedowierzaniem. – Byłoby wam łatwiej i nie musielibyście udawać.

Chaol wpatrywał się w żonę szeroko otwartymi oczami. Ta wzruszyła ramionami i dodała:

- I stworzylibyście mocny sojusz.

Dorian odwrócił się ku Manon, by zasypać ją przeprosinami i zaprzeczeniami. Wiedział, że jego twarz zalał krwisty rumieniec, ale

wiedźma jedynie uśmiechnęła się do uzdrowicielki. Jej srebrnobiałe włosy unosiły się na wietrze, jakby już sięgały ku niebu, gdzie niebawem miała się wzbić i pomknąć na zachód na czele zjednoczonych narodów.

Jej uśmiech złagodniał, gdy dosiadła Abraxosa i ujęła wodze.

– Zobaczymy.

Niczego więcej już nie usłyszeli od Manon Czarnodziobej, Najwyższej Królowej Crochan i Żelaznozębnych. Jej wywerna rozłożyła skrzydła i wzbiła się ku niebu.

Chaol i Yrene sprzeczekali się przez moment, ale wkrótce zaczęli się śmiać, a Dorian podszedł na skraj tarasu i spoglądał w ślad za białowłosą wiedźmą i srebrnoskrzydłą wywerną, które mknęły w kierunku horyzontu.

I uśmiechnął się, bo po raz pierwszy od dawna uzmysłowił sobie, że nie może się doczekać kolejnego dnia.

Rowan wiedział, że ten dzień okaże się dla niej trudny.

Zresztą nie tylko dla niej. Wszyscy bardzo zbliżyli się do siebie przez ostatnie tygodnie i miesiące.

Niemniej tydzień po koronacji Aelin spotkali się znów, tym razem nie po to, by świętować, ale by się pożegnać.

Nastał piękny, słoneczny świt, choć w powietrzu nadal wisiał morderczy chłód. Zima wciąż nie odpuszczała i Aelin zeszłej nocy poprosiła wszystkich, by przeczekali najgorsze chłody i wyjechali na wiosnę. Rowan jednakże wiedział, że jej życzenie raczej się nie spełni. Część jej gości postanowiła, że się nad tym zastanowi, ale w końcu wszyscy z wyjątkiem Rolfe'a zadecydowali, że wyjeżdżają.

Miało to nastąpić dzisiaj. Tego dnia wszyscy mieli się rozjechać na cztery strony świata. Żelaznozębne i Crochan zorganizowały się jeszcze przed świtem i w ciszy odleciały na zachód, w stronę swej starożytnej ojczyzny.

Rowan stał obok Aelin na dziedzińcu zamkowym i czuł, jak przez jej serce przemykają smutek, miłość oraz wdzięczność. Księżęta kaganatu oraz *rukhin* również się z nimi pożegnali, choć Borte sprawiała wrażenie, jakby wcale nie chciała wyjeżdżać. Aelin serdecznie wyściskała Nesryn Faliq, a potem dwie młode królowe, które szykowały się do władania potężnymi królestwami, długo rozmawiały szeptem. Rowan dobrze wiedział, czego dotyczy ich cicha rozmowa. Obie zapewniały się o swej przyjaźni, choć miały je niebawem rozdzielić tysiące kilometrów.

Uzdrowicielki wyjechały wraz z nimi. Niektóre jechały konno wśród oddziałów Darghanów, inne podróżowały wozami, jeszcze inne dosiadły ruków. Yrene Westfall szlochała, ściskając je wszystkie i żegnając się po raz ostatni z Najwyższą Uzdrowicielką, a po ich wyjeździe jeszcze długo płakała w ramionach męża.

Jako kolejna wyjechała Ansel z Briarcliff z resztkami swoich sił. Obie królowe tradycyjnie wymieniły się serią uszczypliwości, potem zaczęły się śmiać, a na koniec objęły się i rozplakały. Rowan wiedział,

że patrzy na więź, która nie pęknie pomimo sporej odległości.

Następnie do drogi zebrali się Milczący Zabójcy. Ilias dosiadł konia, uśmiechnął się do Aelin i wyruszył. Po nim odjechał książę Galan, który kierował się do Surii, gdzie Ravi i Sol opiekowali się jego flotą. Objął Aediona, uścisnął dłoń Rowanowi i odwrócił się ku Aelin, a ta rzekła:

– Przybyłeś, gdy cię o to poprosiłam. Przybyłeś, choć nie znałeś nikogo z nas. Wiem, że już to mówiłam, ale zawsze będę ci wdzięczna.

Galan uśmiechnął się szeroko.

– Spłaciłem dług, który ciążył nam od dawna, kuzynko, i cieszę się, że to zrobiłem.

A potem odjechał na czele swych ludzi.

Ze wszystkich sojuszników, których Aelin ściągnęła do walki z Morath, jedynie Rolfe zdecydował się zostać przez zimę, gdyż objął godność lorda Ilium. Przyłączył się do nich też Falkan Ennar, wuj Lysandry, który chciał się rozwijać w sztuce zmieniania postaci pod okiem swej bratanicy. Być może planował również zbudować tu swe kupieckie imperium i pomóc przy zawieraniu międzynarodowych umów handlowych, których Terrasen bardzo potrzebowało.

Coraz więcej ludzi wyjeżdżało z Terrasenu w blasku zimowego słońca, aż pozostali jedynie Dorian, Chaol i Yrene. Uzdrowicielka objęła czule Elide i obie dziewczęta obiecały sobie, że będą często pisać. Następnie Yrene skinęła Lorcanowi, uśmiechnęła się do Lysandry, Aediona, Rena i Fenrysa, po czym podeszła do Rowana i Aelin. Nadal uśmiechając się, patrzyła na nich oboje.

– Gdy będziesz blisko narodzin pierwszego dziecka, poślij po mnie, a przybędę, by ci pomóc w trakcie porodu.

Rowan nie umiał wyrazić swej wdzięczności. Wszak porody Fae... Nie, nie chciał na razie o tym myśleć. Mocno objął Yrene.

Przez moment królowa i uzdrowicielka wpatrywały się w siebie.

– Pokonałyśmy długą drogę od Innish – szepnęła Yrene.

– Ale już wiemy, dokąd podążamy – odpowiedziała Aelin równie cicho, łamiącym się głosem.

Yrene i Aelin. Dwie kobiety, które trzymały w rękach los całego

świata. Które ów świat ocaliły.

Chaol ocierał łzy. Rowan, który pochylił głowę, również nie mógł opanować wzruszenia. Jego pożegnanie z Chaolem było krótkie – obaj mężczyźni objęli się mocno. Z Dorianem, taktownym i opanowanym, zabrało to więcej czasu, choć Rowanowi trudno było wykrztusić choć słowo.

Potem Aelin zatrzymała się przed Dorianem i Chaolem, a Rowan cofnął się, by stanąć obok Aediona, Fenrysa, Lorcana, Elide, Rena i Lysandry, członków ich niewielkiego wciąż dworu, który niebawem miał zmienić i przebudować cały świat. Dawał swej królowej chwilę na ostatnie i najtrudniejsze pożegnanie.

Aelin miała wrażenie, że płacze już zbyt długo i nie pozostało jej wiele łez, ale gdy spojrzała na Doriana i Chaola, rozszlochała się na dobre. Zalana łzami, rozłożyła ramiona i objęła każdego z nich.

– Kocham was obu – szepnęła. – Bez względu na to, co się wydarzy i ile kilometrów nas rozdzieli, nic tego nie zmieni.

– Spotkamy się niebawem – powiedział Chaol, ale on również nie mógł opanować wzruszenia.

– Razem przebudujemy ten świat – dodał Dorian, drżąc.

Aelin nie mogła znieść bólu w swym sercu, ale zdołała się opanować i przywołać uśmiech na zalaną łzami twarz. Położyła dłoń na piersi i rzekła:

– Dziękuję wam za wszystko, co dla mnie zrobiliście.

Dorian pochylił głowę.

– Nigdy nie sądziłem, że usłyszę od ciebie coś takiego.

Aelin parsknęła ochryłym śmiechem i szturchnęła młodego króla.

– Jesteś teraz władcą. Takie złośliwości są poniżej twojej godności.

Dorian wyszczerzył zęby i otarł oczy, a Aelin uśmiechnęła się do Chaola i jego żony.

– Życzę wam obojgu szczęścia – rzekła.

Nigdy dotąd nie widziała, by w brązowych oczach Chaola błyszczało tyle światła.

- Niebawem się spotkamy – powtórzył.

Potem wraz z Dorianem zawrócili konie i wyjechali przez bramy zamku. Kierowali się ku swemu królestwu na południu, by podnieść je z ruin.

I to już niebawem.

Po rozstaniu Aelin zamilkła. Wraz z Rowanem weszła na mury, by odprowadzić wzrokiem Chaola, Dorigana i Yrene, którzy jechali drogą, wijącą się przez spustoszoną równinę Theralis. Patrzyła na nich tak długo, aż zniknęli na horyzoncie.

Rowan objął ją i wdychał jej zapach, a Aelin oparła dłoń na jego ramieniu.

Starł się zignorować lekki ból, pozostały po tatuażu, który jego towarzyszka życia pomogła mu dokończyć zeszłej nocy. Wyrył na swej skórze imię Gavriela w znakach Starej Mowy, tak jak Lew ongiś miał w zwyczaju upamiętniać imiona własnych poległych wojowników. Fenrys i Lorcan, gdy tylko dowiedzieli się, co Rowan zamierza, również zażyczyli sobie takiego tatuażu, ale Aedion poprosił Rowana o coś innego. Chciał, by ten wplótł imię Gavriela w symbol Terrasenu, który już nosił nad sercem.

Nie odzywał się ani słowem, gdy Rowan przystąpił do pracy, co skłoniło księcia Fae, by zaczął snuć opowieści o Lwie. Mówił o ich wspólnych przygodach, o odwiedzonych krainach, o toczonych wojnach. Zasłuchany Aedion nie odzywał się ani słowem, ale z jego zapachu przebijał wymowny żal.

Rowan wiedział, że będzie go odczuwał jeszcze długo.

Aelin westchnęła cicho.

- Pozwolisz mi przepłakać cały dzień w łóżku – odezwała się w końcu – jeśli obiecuję, że jutro wezmę się do pracy?

Rowan uniósł brew. Przepelniała go radość, błyszcząca i pełna życia niczym strumień spływający po zboczu góry.

- Czy mam ci dostarczyć ciastek i czekolady? – zapytał. – Nie chcę, byś miała wrażenie, że twojemu wylegiwaniu się czegoś brakuje.

- Jeśli uda ci się coś znaleźć.

- Zniszczyłaś Klucze Wyrda i zabiłaś Maeve. Myślę, że uda mi się znaleźć dla ciebie trochę słodczy.

- Jak sam kiedyś powiedziałeś, to był wysiłek grupowy. Zdobycie odpowiedniej ilości czekolady być może będzie również tego wymagać.

Rowan roześmiał się i ucałował ją w czubek głowy. Przez dłuższą chwilę nie mógł się nadziwić temu, że jest w stanie to zrobić. Że może stać obok niej, w tym królestwie, w tym mieście, w tym zamku, w którym mieli założyć swój dom. Oczami wyobraźni widział już sale i korytarze, którym przywrócono dawny splendor, równinę i migotliwą rzekę, a dalej kuszące, wzywające go Jelenie Rogi. Słyszał muzykę, którą Aelin chciała sprowadzić do miasta, słyszał śmiech dzieci na ulicach. Na korytarzach zamku. W ich królewskim apartamencie.

- O czym myślisz? – spytała, wpatrując się w jego twarz.

Rowan musnął wargami jej usta.

- O tym, że udało mi się doczekać tej chwili. Z tobą.

- Czeka nas mnóstwo pracy. Można by nawet powiedzieć, że już łatwiej było się uporać z Erawanem.

- Nic już nie będzie równie ciężkie.

- Prawda – prychnęła Aelin.

Rowan przytulił ją jeszcze mocniej.

- Myślę o tym, jak bardzo jestem wdzięczny losowi za to, że nam się udało. Że cię znalazłem. I choć czeka na nas aż tyle pracy, nie będę narzekał ani przez moment, bo ty jesteś ze mną.

Aelin zmarszczyła czoło, a jej oczy zwilgotniały.

- Czeka mnie potworny ból głowy z powodu tego płaczu, a ty wcale mi nie pomagasz.

Rowan zaśmiał się, a potem znów ją pocałował.

- Uwaga godna królowej.

- Jestem uosobieniem królewskiej gracji i wdzięku.

Rowan roześmiał się w jej usta.

- Nie zapominajmy również o skromności i pokorze.

- Och, tak – powiedziała i otoczyła ramionami jego szyję.

Krew Rowana szumiała, skrząc się mocą o wiele większą niż ta, którą mógłby przywołać jakikolwiek bóg czy Klucz Wyrda. Odsunął się jednak nieco, by mogli się zetknąć czołami.

- A więc zaprowadzę cię do komnat, Wasza Królewska Mość, byś mogła rozpocząć twe królewskie wylegiwanie się.

Aelin aż zadygotała ze śmiechu.

- W sumie przyszło mi teraz coś innego do głowy.

Rowan mruknął cicho i skubnął jej ucho.

- To dobrze, bo mnie też.

- A jutro? – szepnęła i oboje spojrzeli na siebie. – Zakasasz jutro rękawy, by przebudować to królestwo i cały ten świat wraz ze mną?

- Nie tylko jutro. Oddam ci każdy kolejny dzień z tysiąca lat, którymi zostaliśmy pobłogosławieni. I jeszcze więcej.

Aelin pocałowała go ponownie i wzięła za rękę, po czym zaprowadziła do zamku. Do ich nowego domu.

- Bez względu na to, co się stanie? – szepnęła.

Rowan szedł za nią tak jak przez całe swe życie, na długo, zanim się spotkali, nim ich dusze zaiskrzyły do siebie.

- Bez względu na to, co się stanie, Ogniste Serce – rzekł i zerknął na nią z ukosa. – A mogę zasugerować, co powinniśmy odbudować w pierwszej kolejności?

Aelin uśmiechnęła się i otworzyła się przed nimi wieczność, lśniąca, wspaniała i pełna miłości.

- Opowiesz mi o wszystkim jutro.

Lepszy świat

Ostra zima ustąpiła miejsca łagodnej wiosnie.

Pracowali bez wytchnienia przez niekończące się, śnieżne miesiące. Odbudowywali Orynth, podpisywali umowy handlowe, nawiązywali kontakty z królestwami, z którymi nikt nie miał styczności od stu lat. Zaginieni Fae z Terrasenu powrócili, przyprawdzając wielu wilczych jeźdźców, i natychmiast rzucili się w wir prac. Dołączyło do nich kilka dziesiątek Fae z Doranelle, którzy postanowili zostać w Terrasenie, choć Enda i Sellene wrócili do ojczyzny.

Aelin miała wrażenie, że stukot młotów niesie się po całym kontynencie. Dziesiątki ludów wzięło się ostro do pracy, a na południu nikt nie pracował energiczniej od Eyllwe. Królestwo poniosło ciężkie straty, ale przetrwało. Nie ugięło się.

List, który Aelin napisała do rodziców Nehemii, był najradośniejszym w jej życiu. Napisała:

„Mam nadzieję, że wkrótce się z wami spotkam. I że naprawimy ten świat razem”.

Odpisali:

„Tak. Nehemia z pewnością by sobie tego życzyła”.

Aelin przez wiele miesięcy trzymała ich list na biurku. W przeciwieństwie do blizny, którą kiedyś nosiła na dłoni, list był obietnicą lepszego jutra. Deklaracją, że przyszłość okaże się tak cudowna, jak to sobie Nehemia wymarzyła.

Gdy po zboczach Jelenich Rogów wreszcie spłynęła wiosna, a świat stał się zielony, złocisty i błękitny, oczyszczone mury zamku wreszcie rozbłysły.

Aelin nie wiedziała, dlaczego obudziła się o świcie. Nie wiedziała, dlaczego wysunęła się spod ramienia, które Rowan narzucił na nią w nocy. Jej towarzysz życia nadal był pogrążony we śnie, gdyż jak zwykle położył się spać wyczerpany. Jak co wieczór. Jak oni wszyscy.

Tak, cały dwór z nią włącznie nie szczędził sił, ale każdy był

szczęśliwy. Elide i Lorcan, który ku jej nieustającemu rozbawieniu tytułował się lordem Lorcanem Lochanem, tydzień temu wyjechali do Perranthu, by rozpocząć tam odbudowę, tym bardziej że uzdrowicielki ukończyły już prace nad wypędzaniem Valgów z ostatnich jeńców. Mieli jednak powrócić za trzy tygodnie wraz z pozostałymi lordami, którzy po nastaniu wiosny objeżdżali swe ziemie. Wszyscy mieli spotkać się w Oryncie na weselu Aediona i Lysandry.

Aedion wreszcie miał zostać prawdziwym lordem Terrasenu.

Aelin uśmiechnęła się na samą myśl o tym, a potem narzuciła na ramiona podomkę i wsunęła stopy w pantofle wyściełane owczą wełną. Choć nastąpiła już wiosna, poranki nadal były chłodne. Strzała leżała na swoim posłaniu tuż przed kominkiem, zwinięta w kłębek i wyczerpana w tym samym stopniu co Rowan. Nawet nie otworzyła oka.

Aelin przykryła kocem nagie ciało Rowana i uśmiechnęła się, gdy ten nawet nie drgnął. Jej mąż przez całe dni pracował przy naprawie budynków i murów miejskich, gdyż zdecydowanie wolał pracę fizyczną od, jak to określał, „dworskich bzdur”. Miał przez to na myśli wszystko, co wiązało się z bardziej eleganckim ubiorem.

Mimo to obiecał, że zatańczy z nią na weselu Lysandry i Aediona. Był doprawdy wybitnym tancerzem, ale, jak ostrzegł ją po koronacji, sięgał po swój talent jedynie na szczególne okazje.

Aelin pokazała mu język, odwróciła się od łóżka i podeszła do okna wychodzącego na balkon, z którego roztaczał się szeroki widok na miasto i równinę. Od pewnego czasu stanowiło to jej poranny rytuał – wyczołgiwała się z łóżka, odrzucała na boki zasłony i wychodziła na balkon, by wciągnąć w płuca poranne powietrze. By spojrzeć na swe królestwo – ich królestwo! – i ujrzeć, jak się odradza. By spojrzeć na zielen wiosny, by wciągnąć w płuca zapach sosen i śniegu, niesiony wiatrem od Jelenich Rogów. Czasem dołączał do niej Rowan.

Bywało, że posepniała, ogarnięta wspomnieniami ostatnich miesięcy. Bywało, że dokuczała jej świadomość utraty ludzkiej formy. Obejmował ją wówczas i trwał przy niej w milczeniu. Bywało też, że budziła się rozpromieniona i uśmiechnięta. Rowan przeistaczał się wtedy w jastrzębia, po czym wznosił się na górskich wiatrach na miastem, Dębową Puszcą czy Jelenimi Rogami. Czynił to zawsze, gdy coś go trapiło bądź gdy rozpierała go radość.

Aelin wiedziała, że ostatnimi czasy wzbijał się do lotu głównie z tego drugiego powodu.

Nie mogła przestać się z tego cieszyć. Nie mogła się nacieszyć światłem i życiem w oczach Rowana.

To samo światło błyszczało w jej oczach.

Odsunęła ciężkie zasłony, wymacała klamkę drzwi balkonowych, raz jeszcze uśmiechnęła się do Rowana i wyslizgnęła się na poranne słońce i chłodny wiatr.

I wtedy znieruchomiała, a jej dłonie opadły, gdy ujrzała to, co odsłonił przed nią świt.

- Rowan – szepnęła.

Zaszeleściła pościel, gdy Fae zerwał się błyskawicznie. Wciągnął spodnie i wypadł na balkon, gdzie również zastygł w bezruchu.

Oboje patrzyli przed siebie w milczeniu. W mieście biły dzwony, ludzie krzyczeli, ale w ich głosach, zamiast lęku, słyhać było zaskoczenie i podziw.

Aelin uniosła dłoń do ust.

Górski wiatr osuszył jej łzy i porwał je wraz ze swą pieśnią, prastarą, ukochaną, płynącą z samego serca Dębowej Puszczy, z samego serca ziemi.

Rowan splótł z nią palce i szepnął:

- To dla ciebie, Ogniste Serce. Wszystko dla ciebie.

Każde jego słowo przepajał podziw.

Aelin płakała. Płakała z radości, która rozgrzewała jej serce i spowijała je płomieniami o wiele lepiej od wszelkiej magii.

Na zboczach każdej góry, pod gęstymi koronami Dębowej Puszczy i na całej równinie Theralis kwitł królewski płomień.

Podziękowania

Zakończenie serii, nad którą pracowałam przez dosłownie połowę życia, nie jest łatwym zadaniem, ale o wiele większym wyzwaniem wydaje się znalezienie sposobu na podziękowanie wszystkim ludziom, którzy odegrali rolę w realizacji tego marzenia.

Myślę, że powinnam zacząć od moich rodziców, którym zadedykowałam tę książkę i którzy zarazili mnie pasją czytania. Dziękuję Wam, że czytaliście mi co wieczór, gdy dorastałam, i nigdy nie mówiliście mi, że jestem za duża na bajki. Dziękuję, że zachęcaliście mnie, bym realizowała własne marzenia.

Jednakże żadne z nich by się nie spełniło, gdyby nie moja nieustraszona, wspaniała agentka, Tamar Rydzinski. Tamar, przygarnęłaś mnie, gdy byłam tylko dwudziestodwuletnią, nieopierzoną pisarką bez dorobku, i jako jedyna uwierzyłaś w moje powieści. Praca z Tobą przez ostatnie dziesięć lat była wielkim przywilejem i źródłem radości. Dziękuję Ci za to, że byłaś moją obrończynią, moją wróżką chrzestną, a co najważniejsze – przyjaciółką.

Podczas pracy nad cyklem miałam zaszczyt pracować z wieloma wspaniałymi redaktorkami. Margaret Miller, dziękuję Ci za to, że uwierzyłaś w tę książkę, oraz za Twoją wnikliwą, genialną redakcję. Dzięki Tobie jestem dziś lepszą pisarką. Michelle Nagler i Cat Onder, dziękuję Wam za wasze wsparcie, wizje i życzliwość.

Lauro Bernier, dziękuję Ci za pomoc przy *Wieży Świtu*. Praca z Tobą to źródło wielkiej radości. Bethany Strout, przeogromne dzięki za cudowne, wnikliwe uwagi o pracy nad *Królestwem popiołów*. Dzięki Tobie udało się przekształcić tę książkę w coś, z czego jestem naprawdę dumna. Kamillo Benko, pracujemy razem od niedawna, ale już sprawia mi to wielką przyjemność!

Lynette Noni, dziękuję, dziękuję, po trzykroć dziękuję za nieprawdopodobnie wnikliwe sugestie co do książki, za to, że przeczytałaś ją tyle razy, i za wszystkie poprawki w ostatniej chwili. Ogromnie się cieszę, że nasze ścieżki przecięły się w Australii wiele lat temu.

Wszystkim członkom zespołu Bloomsbury, którzy nieustrudzenie pracowali lub nadal pracują nad tymi książkami – Cindy Loh, Cristinie Gilbert, Kathleen Farrar, Nigelowi Newtonowi, Rebecce McNally, Emmie Hopkin, Lizzy Mason, Erice Barmash, Emily Ritter, Alonie Fryman, Alexis Castellanos, Courtney Griffin, Beth Eller, Jenny Collins, Phoebe Dyer, Nickowi Parkerowi, Lily Yengle, Frankowi Bumbalo, Donnie Mark, Johnowi Candellowi, Yelenie Safronovej, Melissie Kavonic, Oonie Patrick, Liz Byer, Diane Aronson, Kerry Johnson, Christine Ma, Lindzie Minton, Chandrze Wohleber, Jill Amack, Emmie Saska, Donnie Gauthier, Dougowi White'owi, Nicholasowi Churchowi, Claire Henry, Lucy MacKay-Sim, Elise Burns, Andrei Kearney, Mai Fjord, Laurze Main Ellen, Sian Robertson, Emily Moran, Ianowi Lambowi, Emmie Bradshaw, Fabii Ma, Grace Whooley, Alice Grigg, Joannie Everard, Jacqueline Sells, Tram-Anh Doan, Beatrice Cross, Jade Westwood, Cescii Hopwood, Jetowi Purdie, Saskii Dunn, Sonii Palmisano, Catrionie Feeney, Hermione Davis, Hannah Temby, Grainne Reidy, Kate Sederstrom, Hali Baumstein, Charlotte Davis, Jennifer Gonzalez, Veronice Gonzalez i Elizabeth Tzetzto – dziękuję z całego serca za to, że dzięki Wam ta seria stała się rzeczywistością. Uwielbiam Was wszystkich.

Zespołowi z Laura Dail Literary Agency – jesteście nie do zdarcia i ubóstwiam Was.

Giovanno Petta i Grace Beck, ogromnie dziękuję Wam za pomoc. Jonie Cassir i ekipo z CAA, dziękuję za to, że jesteście tak fantastycznymi współpracownikami i znajdujecie tak dobre domy dla moich książek. Mauro Wogan i Victorio Cook, jesteście doprawdy cudownymi prawniczkami i bardzo Wam za to dziękuję. Davidzie Arntzen, dziękuję Ci za dobre rady i okazywaną mi przez lata życzliwość. Cassie Homer, dziękuję Ci za to, że jesteś najlepszą asystentką we wszechświecie! Talex, dziękuję za niezwykle okładki.

Z całego serca pragnę również podziękować wszystkim moim cudownym wydawcom na całym świecie. Są to: Sahinpasic z Bośni, Record z Brazylii, Egmont z Bułgarii, Honghua Culture z Chin, Fokus z Chorwacji, Albatros z Czech, Tellerup z Danii, Pikoprit z Estonii, Gummerus z Finlandii, Editions du Seuil z Francji, Palitra z Gruzji, DTV Junior z Niemiec, Psivhogios z Grecji, Konyvmolykepzo z Węgier, Kor'im z Izraela, Mondadori z Włoch, Villagebooks z Japonii, Athena z Korei, Alma Littera z Litwy, Meulenhof/Van Goor

z Holandii, Gyldendal z Norwegii, Uroboros z Polski, Marcador z Portugalii, RAO z Rumunii, Azbooka Atticus z Rosji, Laguna z Serbii, Slovart ze Słowacji, Učila International ze Słowenii, Santillana & Planeta z Hiszpanii, Modernista ze Szwecji, Sharp Point Press z Tajwanu, Nanmee Books z Tajlandii, Dogan Kitap z Turcji, Vivat z Ukrainy. Trzymam kciuki za to, byśmy się kiedyś spotkali osobiście.

Nie dotarłabym tak daleko w swej karierze, gdyby nie niektórzy spośród moich pierwszych czytelników z *Fictionpress community*. Jak mogę przekazać Wam moją wdzięczność za to, co dla mnie zrobiliście? Wasze uznanie dla moich postaci i mego świata natchnęło mnie odwagą, by spróbować poszukać wydawcy. Dziękuję Wam za to, że wytrwaliście ze mną do końca.

Jednym z najważniejszych momentów mojej pisarskiej wędrówki były nawiązane po drodze przyjaźnie. Chciałabym przekazać wyrazy dozgonnej wdzięczności Louise Ang, Steph Brown, Jennifer Kelly, Alice Fanchiang, Diyanie Wan, Laurze Ashforth, Alexie Santiago, Rachel Domingo, Jessice Reigle, Jennifer Armentrout, Christinie Hobbs, Lauren Billings oraz Kelly Grabowski. Charlie Bowater, poznanie Ciebie było jednym z najistotniejszych punktów mojej kariery, a Twa niezwykła sztuka zainspirowała mnie na wielu płaszczyznach. Dziękuję Ci za wykonaną pracę (i za to, że jesteś po prostu geniuszem).

Rodzino, dziękuję za niezachwianą miłość, dzięki której dotarłam dalej, niż sądzicie. Drodzy teściowie, Lindo i Dennisie, dziękuję za to, że tak bardzo dbaliście o mnie i o Josha przez ostatnich kilka miesięcy (no dobra, przez ostatnich czternaście lat) i za to, że jesteście takimi cudownymi, bezinteresownymi dziadkami.

Pora wreszcie na Ciebie, drogi czytelniku. Dziękuję Ci z głębi serca za wszystko. Nic by mi się nie udało, gdyby nie Ty. Mogłabym zapisać nawet tysiąc stron wyrazami dozgonnej wdzięczności, ale to za mało. Tak naprawdę to chcę tylko mieć nadzieję, iż zdołasz spełnić wszystkie swe marzenia, bez względu na to, co sobie wyśniłeś. Mam nadzieję, że zrobisz wszystko, co w Twojej mocy, by je zrealizować, bez względu na to, ile Cię to będzie kosztować i ile czasu Ci zabierze. Wierz w siebie, nawet jeśli cały świat będzie innego zdania. Wierz w siebie, a dotrzesz dalej, niż sądzisz. Uda Ci się. Na pewno Ci się uda. Trzymam za Ciebie kciuki.

Annie, moja psia towarzyszką i najlepszą przyjaciółką. Siedziałaś

przy mnie (bądź na moich kolanach lub stopach), gdy pisałam każdą z tych książek. Gdybym mogła, zasypałabym Cię tonami przysmaków za Twą bezwarunkową miłość i szczęście, które mi dajesz. Kocham Cię z całego serca, psiaku!

Joshu, mój mężu, mój *carranam*, mój towarzysz życia. Cóż mogę rzec? Znam Cię niemalże tak długo, jak pracuję nad tymi powieściami, i oboje wiemy, że mamy za sobą niezwykłą podróż. Każdego dnia budzę się z radością i wdzięcznością za to, że mogłam przebyć ten szlak wraz z Tobą. Dziękuję za to, że tak się o mnie troszczysz. Za to, że jesteś moim najlepszym przyjacielem, rozbawiasz mnie i motywujesz, gdy brakuje mi sił. Nie powiodłoby mi się bez Ciebie i jestem podekscytowana tym, co jeszcze nas czeka.

Taranie, to Ty od samego początku byłeś moim przeznaczeniem, mój drogi. Ku Tobie wędrowałam przez całe swe życie, nawet o tym nie wiedząc. Jesteś doskonały, jesteś cudowny i jestem z Ciebie taka dumna. Nie będziesz pamiętał pierwszych miesięcy swego życia, ale ja dopatruję się niezwykłego zbiegu okoliczności w tym, że cykl powieściowy skończył się dokładnie w tej samej chwili, gdy się pojawiłeś. Mam wrażenie, że jeden rozdział się zamknął, a otworzył kolejny.

Teraz, gdy znalazłam się na rozdrożu, chcę, byś wiedział, że dokądkolwiek się w życiu udasz, życzę Ci, byś znalazł radość i szczęście. By zawsze prowadziły Cię odwaga, współczucie i ciekawość. Życzę Ci, byś zawsze miał serce i oczy otwarte i nieodmiennie wybierał mniej uczęszczane szlaki. Przede wszystkim pragnę, byś nie zapomniał o tym, że gdziekolwiek dotrzesz, zawsze będę Cię kochać.

Bez względu na to, co się wydarzy.

Redaktorka inicjująca: Agnieszka Trzeszkowska

Redaktorka prowadząca: Anna Salwa

Przekład: Marcin Mortka

Redakcja: Anna Włodarkiewicz

Korekta: Katarzyna Sarna, Helena Piecuch

Skład i łamanie: Plus 2 Witold Kuśmierczyk

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.

02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 48

tel./faks (22) 826 08 82, 828 98 08

biuro@gwfoksal.pl

www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-6882-7

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](http://www.gwfoksal.pl)

i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](http://www.virtualo.pl)

virtualo